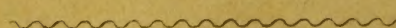
PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT VII.

1go Stycznia 1867.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.





PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT VII.

Miesiąc Styczeń 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW.
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.

Swaty w r. 1637.

SZKIC HISTORYCZNY.

Szanowni czytelnicy pozwolą nam zacząć od słów jednego z znajznakomitszych historyków współczesnych. W przedmowie „Dziejów Anglii od wstąpienia na tron Jakóba IIgo“, powiada Tomasz Babington Macaulay:

„*I should very imperfectly execute the task which I have undertaken, if I were merely to treat of battles and sieges, of the rise and fall of administrations, of intrigues in the palace and of debates in the parliament. It will be my endeavour to relate the history of the people as well as the history of the government, to trace the progress of useful and ornamental arts, to describe the rise of religious sects and te chanyes of literary taste, to portray the manners of successive yenerations and not to pass with neglect even the revolutions, which have taken place in dress, furniture, repasts and public amusements. I shall cheerfully bear the reproach of having descended below the dignity of history, if I can succeed in placing before the Englisch of the nineteenth century a true pecture of the life of their ancestors......*“

„Bardzo niedokładnie wywiązałbym się z przedsięwziętego zadania, gdybym wyłącznie miał się zajmować bitwami i oblężeniami, tworzeniem się i upadkiem ministeryów, intrygami pałacowemi i rozprawami parlamentu. Owszem, obowiązkiem moim będzie pisać zarówno dzieje narodu jak historyę rządu, rozwinąć obraz postępu sztuk nadobnych i użytecznego kunsztu, śledzić powstawania sekt religijnych i przemian w kierunkach naukowych, podać obraz obyczajów pokoleń po sobie

1.

następujących, wreszcie nawet te przeobrażenia uwzględnić, jakie zaszły w ubiorze, domowém urządzeniu, w ucztach i zabawach publicznych. Chętnie poddam się zarzutowi, iżem godność dziejopisarstwa spuścił z oka, skoro mi się powiedzie podać Anglikom XIXgo wieku wierny obraz żywota ich przodków."

Zasłaniając się powagą tych wyrazów opowiemy jeden z takich drobnych wypadków codziennego życia naszych przodków, który wprawdzie niczém nie wpłynął na losy narodu i kraju, który według powszechnego mniemania nie dorósł miejsca w historyi — ale który właśnie potrafi nas zapoznać z domowém życiem przodków, z ich sposobem postępowania w stósunkach prywatnych, z ich charakterem jako członków rodziny i ówczesnego społeczeństwa.

Głównym zresztą materyałem i przedmiotem naszego opowiadania jest bardzo cenny i ciekawy list samegoż bohatyra w tém zdarzeniu, zaledwie gdzieniegdzie kilkoma uzupełniony słowami *).

Działo się to w pierwszych dniach października. Król Władysław IV, przed parą dopiéro tygodniami połączony węzłem małżeńskim z arcyksiężniczką Cecylią Renatą, postanowił wyjechać na kilka tygodni do Gór, majętności królewskiéj nad granicą pruską. Celem podróży miały być łowy; tak przynajmniéj powiadano na dworze i powiadał sam król; domyślać się jednak można, że więcéj nad łowy uśmiechał się nowożeńcom kilkutygodniowy pobyt w samotném ustroniu, wolen od wszelkiéj pompy i etykiety dworskiéj.

Z królestwem miał jechać jedynie podkomorzy litewski Janusz Radziwiłł; zresztą nikt więcéj, żaden z ulubieńców

*) List Janusza Radziwiłła do ojca z Warszawy 15go października 1037, w dodatkach do „Życia Janusza Radziwiłła" przez Edwarda Kotłubaja, Wilno 1859, str. 317—325. Z tegoż listu wyjęliśmy największą część cytatów, mianowicie przytaczane w cudzysłowie dyalogi, o czém uwiadamiając czytelników, uwalniamy się od ustawicznego w ciągu artykułu powolywania na jedno i toż samo źródło.

i nieodstępnych towarzyszy królewskich, żaden z ministrów lub senatorskich rezydentów, a co najdziwniejsze, nawet Adam Kazanowski, znany faworyt Władysława, zostawał w Warszawie.

Cała Warszawa wszyscy najznakomitsi nawet dostojnicy zazdrościli Januszowi niezwykłego zaszczytu. Pobyt kilkutygodniowy przy boku króla, wolen od towarzystwa wszystkich kolegów i współzawodników, był zarówno nadzwyczaj powabnym jak i korzystnym. Najpierw dowodził niemałego stopnia faworów i zaufania królewskiego, a powtóre na wywdzięczenie się króla jakiémś, co najmniéj, bogatém starostwem liczyć wypadało najnieochybniéj. A ponieważ młody podkomorzy lubił namiętnie intratne starostwa, pragnął jeszcze więcéj władzy i wyniesienia się, posiadał zresztą do tego stopnia wyniosłą ambicyę, że nawęt współcześni możnowładcy polscy ganili mu nieraz zbytek takowéj — zdawało się, że nic dlań pożądańszego nad tę drogę wypaść nie mogło.

Tymczasem był pan podkomorzy w tak dziwném położeniu, że nawet wahał się, czy przyjąć ofiarowany sobie zaszczyt, nawet radził się o to swoich przyjacioł. Wprawdzie żal mu było okrótnie „tak wielką opuścić okazyę do przysługi, ile zrazu na piérwszym wstępie tak zacną przy królestwie zaniedbać funkcyę“ — ale cóż, kiedy ta okazya i te funkcye, psuły właśnie podkomorzemu jego własne, bardzo ważne plany.

Janusz Radziwiłł kończył właśnie 25ty rok życia, piastował niepośledni urząd z nadzieją bliskich znacznie większych jeszcze godności, był potomkiem jednéj z najznakomitszych i najmożniejszych rodzin litewskich, miał nareszcie ojca, który trząsł całą Litwą i którego sam król raczéj z obawy jak z przychylności niemałą otaczał estymą. Jednéj tylko rzeczy brakowało obu książętom, t. j. potomków. Na Januszu, jedynaku letniego ojca, spoczęła cała nadzieja przyszłego splendoru domowego kalwińskiéj linii książąt na Birżach i Dubinkach. Z tego powodu rad był ojciec ujrzeć go jak najspieszniéj ożenianym. Kiedy Janusz jako kilkunastoletni młodzieniec peregrynował po Niemczech, polecał mu ojciec już wówczas rozpatrzenie się między córkami zagranicznéj magnateryi. Tymczasem nie wypatrzył Janusz niczego. Bolało to ojca, którego ulubione marzenie stanowił projekt zkoligacenia się przez małżeństwo syna z jaką możną zagraniczną i kalwińską rodziną;

skoro jednak projekt ten na coraz nowe trafiał przeszkody, zezwolił ojciec na żonę Polkę, owszem pozostawił wszelką w tym względzie wolność Januszowi, i nalegał tylko w ogóle o jak najrychlejsze wzięcie postanowienia.

Janusz ze swéj strony czuł całą doniosłość życzeń ojcowskich i z duszy rad był uczynić im zadość. Rozpatrzywszy się przeto po różnych domach i pannach, wybrał sobie aż dwie naraz i „deklarował się stale udać się do jednéj albo do drugiéj.“ Jedną z nich była Anna księżniczka Wiśniowiecka, drugą wojewodzianka lubelska Tęczyńska. Co piérwszą tak dalece w oczach Janusza zalecało, nie wiemy; do drugiéj zaś nęciły pana podkomorzego znakomite bogactwa, na których wprawdzie nie zbywało domowi Radziwiłłowskiemu, ale ktore w owe czasy przy układach matrymonialnych prawie zawsze na piérwszym stawały względzie. Tym bogactwom gwoli zamierzył podkomorzy odprawić bezzwłocznie podróż w Krakowskie, poznać panny i zadecydować coś stanowczego. Kiedy się właśnie zaczął wybierać w zamierzoną podróż, powziął król wspomniany zamiar wycieczki na łowy i wezwał Janusza na jedynego towarzysza podróży. Ztąd poszło wahanie się i kłopot młodego Radziwiłła.

Ulegając tak perswazyi przyjaciół jako téż własnemu praktycznemu rozmysłowi, postanowił Janusz — jak sam powiada — „odłożyć tę krakowską drogę, która nicby innego nie przyniosła, tylko szczególne panny poznanie. Podobało się zrazu jechać z królem Jmć na polowanie i ztamtąd prosto do Krakowa wybieżeć, a potrafiać w to, żeby króla JM. jeszcze na polowaniu zastać; ale na ostatek postanowiłem pilnować téj tak zacnéj okazyi, a drogę krakowską do zwrócenia króla JMci odłożyć.“

Po téj rezolucyi zaczął się Janusz wraz z dworem gotować w drogę, do czego należało także oddawanie wizyt pożegnawczych. W wilię wyjazdu, w piątek 2go października wybrał się podkomorzy wieczorem z taką wizytą do JMć pani wojewodziny sandomirskiéj, któréj dom zażywał podówczas nie małego w stolicy rozgłosu.

Pani wojewodzina poważna już matrona, była córką Jeremiego Mohiły hospodara multańskiego, od 13 miesięcy była wdową po drugim mężu Mikołaju Firleju wojewodzie sando-

mirskim, była wreszcie po pierwszym mężu matką trzech znakomitych synów, Jana, Piotra i Pawła Potockich, oraz trzech nadobnych córek, Katarzyny, Anny i Zofii*). Jednym z synów był „miły obywatelom koronnym“ Jan Potocki, późniejszy wojewoda bracławski; syn drugi Paweł, późniéj kasztelan kamieniecki, sławny uczonością, a nawet autor kilku szacownych dziełek, bawił obecnie na akademiach zagranicznych; zaś najstarszy z braci Piotr, wkrótce starosta śniatyński, dosługiwał się właśnie tegoż starostwa w obozach ukraińskich. Z córek najstarsza Zofia wstąpiła niedawno do zakonu Dominikańskiego, pod imieniem Wiktoryi i słynęła z dziwnie żarliwéj pobożności**), podczas kiedy siostry jéj 18letnia Katarzyna i młodsza od niéj Anna zachwycały stolicę niepospolitą urodą.

---

*) Liczbę dzieci pani wojewodziny sandomirskiéj podają sprzecznie dwa spółczesne, najwiarygodniejsze źródła, mianowicie ksiądz Szymon Okolski, i sam książe kancl. Radziwiłł. Chodzi mianowicie o ową córkę zakonnicę, Zofię a późniéj imieniem zakonném Wiktoryę, którą ksiądz Okolski po kilkakroć jako rodzoną siostrę Katarzyny i Anny wspomina, a o któréj książe kanclerz nic nie wie. Otóż poszliśmy za zdaniem ks. Okolskiego z powodu, iż tenże, jako zamieszkały na Rusi i w częstych z Potockimi stósunkach, daleko lepiéj niż Radziwiłł mógł znać całą rodzinę, a powtóre iż wzmianka Radziwiłła jest tylko nawiasową (Pamiętniki, I. 360) przeciwnie zaś twierdzenia Okolskiego stanowcze i *ad hoc* wypowiedziane (*Orbis Pol.* II. 405; fundament przeciw fundamentowi, E. 4.). Wszystkie późniejsze źródła podają jak najbałamutniejsze w téj mierze wiadomości. Autor cennego dzieła: „*Tabulae Jabłonovianae ex arboribus genealogicis familiarum Slaviarum regni Poloniae nec non extranearum ab iis prognatarum tum cum iis cognatorum collectae. Norimbergae 1848 fol.* na tablicy 29 nazywa naszą Katarzynę Maryą, nie wiedząc nic o Zofii, zaś ksiądz Niesiecki (Herbarz T. VII. 456), wyliczając jak Okolski „Zofię czy Wiktoryę“ między dziećmi wojewodziny, podaje znowu jak najfałszywszą wiadomość, iż Katarzyna po śmierci Janusza poszła po raz drugi za mąż za kurfirszta brandenburskiego.

**) Tyara wieczności j. o. x. Katarzyny z Potoka Radziwiłłowey księżny na Birżach i Dubinkach, najwyższej podkomorzyny w. x. lit. etc. w skarbcu pogrzebowym w kościele kathedralnym Wileńskim na kazaniu prezentowana. Przez x. Augustyna Wituńskiego, zakonu Franciszka ś. Bernardynów mianowanego, lektora y kaznodzieię generalnego etc. w klasztorze Wileńskim *die 10 Februarii a. d. 1643 Vilnae Typ. acad. soc. Jesu.* 4to str. D. 3.

Zwłaszcza o Katarzynie utrzymywano powszechnie, iż posiada „nad inne panny urodę i gładkość“ *). Nad to oboje ceniono w niéj jeszcze rzadkie przymioty duszy i serca. Pierwszym z nich była pobożność tak głęboka, iż kiedy siostra zostawała zakonnicą, „życzyła sobie tego, aby z nią mogła być Bogu poślubiona i oddana.... ale iż tego od rodziców swoich otrzymać nie mogła, przy świetnéj szacie, przy drogich dyamentach i klejnotach, powagę pokornych, usługę nabożnych, cierpliwość zakonnych Bogu ofiarowała i oddawała i tak z siebie świat i pompę jego wykorzeniła“ **). Świadectwem téj pobożności pozostały bogate dary dla zakonów, mianowicie dla szczególniéj przez rodzinę Potockich protegowanych konwentów świętego Dominika ***), hojne wsparcia wszelakiego ubóstwa i scisła obserwacya przykazań kościelnych, tak iż np. „by największa niepogoda, by zimno najtęższe,“ nie zdołały ją wstrzymać od odwiedzin kościoła. Ostatecznie zdumiewała Katarzyna niewysłowioną dobrocią i pokorą. „Nietylko nikomu słowa przykrego nie rzekła, ale téż ani czoła zamarszczonego, ani oka zasępionego okazać nie mogła; gdyżby najmniejszemu choć i z poddanych, gdy potrzeba w czym rozkazać, nie chciała, tylko mówiła: proszę Waszmości“ ****). Dziewica takich przymiotów musiała niemałe czynić wrażenie i czyniła je téż istotnie. Dom pani wojewodziny sandomirskiéj roił się od natłoku licznych gości, mianowicie co najznakomitszéj młodzieży koronnéj, która nie zważając nawet na brak bogatego wiana, dobijała się na zabój o rękę panny Potockiéj.

*) Fundament przeciw fundamentowi. Duchowny przeciw światowemu. Na obsequiach j. o. xiężny na Birżach i Dubinkach, naywyższey Podkomorzyney w. l. x. Januszowey Radziwiłłowey etc. We Lwowie w kościele oyców Dominikanów od żałosney Rodzicielki JMć P. Wojewodziney Sandomirskiey Mohylanki odprawowanych. Przez W. oyca Symona Okolskiego, pisma ś. Doktora y Regenta tegoż Zakonu wystawiony y żałobą nakryty. Dnia 9 Lut. w roku 1643 We Lwowie w drukarni *Colleg. Soc. Jesu.* y Sebast. Nowogórskiego. Roku p. 1643. 4to tr. C. 4.

**) Tamże.

***) Kryształ z popiołu, ukazany przy początku pogrzebu j. o. xiężny Katarzyny z Potoka Radziwiłłowey etc. przez x. Wojciecha Cieciszewskiego *Soc. Jesu* etc. W akademii Wileńskiey. Roku 1643 *Febr. 8.* W Wilnie, w druk. akademii *Soc. Jesu.* 4to str. C 3.

****) X. Augustyna Wituńskiego, Tyara wieczności etc. str. H 2.

W chwili obecnéj miała wojewodzianka dwóch głównie konkurentów, mianowicie wojewodzica kaliskiego Karola Jędrzeja Grudzińskiego, chłopaka młodego i wartogłowa, oraz pana pisarza koronnego Dominika Aleksandra Kazanowskiego, bliskiego krewniaka Adama podkomorzego koronnego i ulubieńca króla Władysława. Podczas wspomnianéj wizyty pana podkomorzego litewskiego obecnym był także wojewodzic kaliski. Owóż „w posiedzeniu z matką i córką“ doświadczył Janusz najpierw, iż „panna srodze mu do serca przypadła;“ a powtóre, że „wojewodzicowi kaliskiemu i panna nie była przyjacielem i matka nie bardzo.“ A zatém „wpadł znowu nowy koncept starać się o to, żeby deklaracyę do kilku niedziel przeszkodzić, ażebym tę krakowską mógł odprawić drogę. Gwoli czemu“ — przyznaje Janusz — „większe począłem matce i córce oferty czynić i myślałem na niedzielę zostać, a w poniedziałek króla JM. w Zakroczymie dopaść.“

Pomiędzy gośćmi znajdował się także pan podczaszy koronny Ostroróg, bliski powinowaty panien domu, był bowiem ojcem żony wojewody bracławskiego Potockiego, rodzonego stryja Katarzyny. Do niego to udał się Janusz z swojemi ofertami, które polegały na natrąceniu, „iż mu się panna udała.“ „Tam zaraz pan podczaszy radził, żeby jeno słówko rzeknąć, a upewnił, że nie pogardzą.“ Ale przezorny młodzieniec „tak skwapliwie nic czynić nie chcąc,“ pożegnał matkę i pannę bez dalszych wynurzeń.

Nazajutrz z południa, na samém prawie wyjezdném, opadły króla zwykłe nieszczęsne choroby, podagra i kamień. Zamierzona wycieczka myśliwska spełzła na niczém, pan podkomorzy litewski otrzymał wolność rozporządzania sobą do woli i — „począł częściéj do Jmć pani wojewodzinéj uczęszczać a coraz to bardziéj pannę sobie smakować.

W niedzielę zwłaszcza, na liczném zgromadzeniu u pani wojewodziny zaloty Janusza wpadły w oko niemal wszystkim obecnym. Prócz pana podczaszego zauważał je pan podkomorzy koronny a kolega Janusza Adam Kazanowski, zauważał nadto ksiądz sekretarz królewski *), człek bardzo domyślny,

*) Był to prawdopodobnie Mikołaj Albrecht Gniewosz, herbu Rawicz, późniéj biskup kujawski, zmarły 1654 r. (Niesiecki, Herbarz, Tom IV, pag. 157). Urodzony z Ossolińskiéj mógł się nazwać kolliga-

ciekawy i rozmiłowany w pośredniczeniu przy podobnych okolicznościach.

Przy odjeździe, pierwszy podkomorzy koronny na wpół żartem zagabnął Janusza:

„Braciszku, gwoli tobie zaproszę na Wtorek panią wojewodzinę i z pannami, żebyś się naskakał; ale mi się nie kochajcie, bobyście mi odsadzili brata pana pisarza polnego koronnego, za którymem się już zawiódł.“

Wypada przytém pamiętać, że Janusz słynący w ogóle z układnego dworactwa, słynął także jako niezrównany tancerz. Dość powiedzieć, że odwiedzający Polskę Francuzi współcześni „pochwał dość znaleźć nie mogli dla księcia Radziwiłła; tańcować bowiem jak on lepiéj po polsku, po wołosku i po francusku, niepodobna *).“

Zaledwie odjechał podkomorzy koronny, pochwycił Janusza ksiądz sekretarz i obcesem zaczął wybadywać. Ponieważ „ksiądz sekretarz bardzo dobrze to widział, że mię ta panna nie mierziła“— powiada Janusz— „otworzyłem mu się z tém, że kocham, ale także mi i bogactwa panny wojewodzianki lubelskiéj smakują.“

„Tobie“ — zaczął mu na to przedstawiać ksiądz sekretarz — „jako człowiekowi młodemu, przyjaciela a nie bogactw upatrować potrzeba. Masz z łaski bożéj w domu swoim tyle, że się bez cudzego obejść możesz.“

Po przydłuższéj oracyi w podobnym sensie powiada Janusz: „formalnie począł mię do téj panny wieść, do któréj i bez tego czułem inklinacyę serca mego. Srodzem sobie tę jego szczerość upodobał, i poszedłszy z nim, wręcz prosiłem, żeby mi jako przyjaciel radził, co miałem czynić, i jeźli tę nad ową przełożyć.“

„Jako twój pokrewny bliski“ — odrzekł ksiądz sekretarz — „życzyłbym sobie jeszcze ponowienia z tobą przyjaźni; jako ka-

tem Radziwiłłowskim, acz nie zbyt bliskim. Niemoglibyśmy jednakowoż stanowczo sprawdzić tożsamość osoby.

*) *Histoire et Relation du voyage de la Reyne de Pologne et du retour de madame la mareschalle de Guébriant etc. Par Jean le Laboureur. Paris 1648. III. 56.* „*on ne put trouver assez d'eloges pour la dexterité, ni pour la bonne grace du Duc Radzwil; car jamais on ne dansa si bien à la Polonaise, ni à la Valaque, jamais on ne dansa mieux à la Françoise.*

plan zaś, niewypowiedzianie radbym cię katolikiem widział, i kiedyby można rzec, radbym cię przez ten środek uczynił.“

Co się jednak tyczy panny wojewodzianki lubelskiéj, widział ksiądz sekretarz „jako świadom jéj geniuszu i wychowania,“ niezmierne trudności. Pierwszą „srogą trudność“ stanowiłaby religia, gdyż panna Tęczyńska żarliwą jest katoliczką; drugą, nie mniejszą, ów „geniusz“ panny. Będąc bowiem siostrzenicą sławnego Jerzego Ossolińskiego, podówczas właśnie po śmierci ojczyma Katarzyny wojewody sandomierskiego, przejęła się zanadto ambitnemi planami swego stryja. Pan wojewoda, mimo niezaprzeczonych zalet i zasług, był także niezaprzeczenie dużo ambitnym, a porastając w pierze i w coraz nieograniczeńsze zaufanie królewskie, powziął był zamiar ożenienia królewicza Kazimierza z swoją krewniaczką. Projekt nie przyszedł do skutku, a pan wojewoda tylko „zbłaźnił“ pannę, „która się tego tak bardzo opiła, że srodze ludźmi poczyna gardzić.“

„Do tego musiałbyś“ — konkludował ksiądz sekretarz — „do Rzymu dla absolucyi posyłać, boś z nią w czwartym stopniu pokrewny, i tambyś trudności zażył a czasby się zwlókł; ty byś lata zawodził, i panna co teraz nie młoda, byłaby jeszcze starsza. Zaczém w imię boże bierz to co masz w oczach, jam służyć gotów.“

Perswazya ta, „dolewając ognia do serdecznéj gorączki,“ trafiła najzupełniéj do przekonania pana podkomorzego. Przypomniawszy sobie nadto poufne z ojcem rozmowy w tym przedmiocie, który między innemi także pannę Potocką jako odpowiednią partę mu przedstawiał — zdecydował się bez dłuższego namysłu i uprosił wręcz księdza sekretarza, „żeby z matką mówił — czego się tenże ochotnie podjął.“

Ale to nie wystarczało. Obyczaj ówczesny wymagał na swatów jeżeli nie ojca, to bardzo bliskiego i znakomitego krewniaka, godnego reprezentanta familii. Ksiądz sekretarz, acz koligat, nie był Radziwiłłem — acz nieposledni urzędem i godnością, nie dorósł jeszcze na głównego swata Radziwiłłowi, potomkowi licznego szeregu hetmanów, kanclerzów, biskupów, wojewodów i innych najwyższych dostojników. Bez ujmy godności rodowéj mógł takiemu panięciu tylko jeden z najprze-

dniejszych urzędników państwa, najznakomitszych magnatów w kraju dziewosłębić.

Takim koligatem i dostojnikiem był bawiący właśnie w Warszawie Jmć książę kanclerz wielki litewski Stanisław Albrecht Radziwiłł, pan na Ołyce, starosta łucki, piński, gniewski, kowieński, tucholski etc. etc. Był to jeden z najzacniejszych i najrozsądniejszych senatorów współczesnych. Sławny za życia i po śmierci z dziwnie żarliwéj pobożności, z miłosierdzia, szczodroty dla ubóstwa i ukochanych klasztorów, wreszcie z prawdziwie ojcowskiego obchodzenia się z poddanymi — zasługuje pod bardzo wielu względami na najzupełniejsze uznanie potomnych. Wdzięczność szczególniejszą winniśmy mu za cenny pamiętnik, spisywany przez dwadzieścia bardzo ciekawych lat panowania trzech Wazów, a mieszczący niewyczerpane zasoby do poznania życia ówczesnego w najdrobniejszych nawet szczegółach. Z pominięciem wreszcie kilku wydarzeń, można całe publiczne życie księcia kanclerza stawić za wzór cnoty i mądrości obywatelskiéj. Serdecznie przywiązany do rodziny panującéj i do ojczyzny, sprawiedliwy i rządny, grzeszył chyba zbytnią gorliwością katolicką, co, aczkolwiek naganne, było raczéj wypływem czasu i okoliczności, jak winą osobistego usposobienia.

Z tego téż powodu żył książe kanclerz w nienajlepszéj harmonii z krewniakami swoimi z Birża i Dubinek. Owszem gdzie tylko chodziło o sprawy osobiste, tam z pewnością książę kanclerz występował przeciw książętom Krzysztofowi i Januszowi, a ci nawzajem przeciwko kanclerzowi. Spłatawszy im dobrą sztuczkę, pokrzyżowawszy heretyckie zamiary krewniaków, zapisywał kanclerz z lekkiem sumieniem w swoim pamiętniku. Na chwałę bożą i za pomocą jego przenajświętszą otrzymał wojewoda rekuzę i t. d.

Ale kiedy chodziło o honor rodziny, o familię — wówczas stawali wszyscy jak jeden mąż, wówczas znikały wszelkie nieporozumienia, wówczas kalwińscy książęta słuchali z cierpliwością apostolskich nauk kanclerza, a pobożny kanclerz rzadziéj myślał i wspominał o owych ogniach piekielnych, w których heretyccy koligaci nieochybnie winy swoje odpokutować mieli. Wówczas książę kanclerz tłómaczył nawet królowi bardzo gorliwie, że książę Krzysztof acz heretyk, będzie odpo-

wiedniejszym wojewodą wileńskim jak katolicki Tyszkiewicz *), a książę Krzysztof nie omieszkał odwdzięczać się przy sposobności za taką promocyę.

Otóż uważał podkomorzy, że w obecnym wypadku nie można było i nie godziło się pominąć pośrednictwa księcia kanclerza. Szło zresztą także o sprawę familijną i można było liczyć na poparcie księcia, jeżeli tylko sprawa ta nie krzyżowała własnych jego widoków. Miał bowiem książę Albrecht jedną wadę, a to iż kochał niepomiernie płeć piękną, którą wreszcie i na to Pan Bóg stworzył.

W historyi głucho o tém wprawdzie; podług jéj rysunków widzimy zawsze księcia kanclerza z twarzą poważną, surową, z oczami najczęściéj ku niebu wzniesionemi; jeżeli na obliczu uśmiech się pojawi, to chyba przelotny i tak poważny, jak na kanclerza przystało; jeżeli usta się otworzą; to wypłynie z nich chyba jakaś mądra rada, chyba jakieś pobożne zdanie — słowem, widzimy tylko jednę stronę medalu. Tymczasem był książę kanclerz człowiekiem takim, jak wszyscy inni, zwłaszcza jak ludzie współcześni. Na obliczu dość pełném, które wizerunki współczesne przedstawiają pofałdowaném poważnemi i surowemi zmarszczkami, igrał nieraz śmiech pusty, towarzyszący „dziwnéj uciesze,“ z jaką nasz kanclerz wraz z innymi senatorami wyprawiał przed księdzem spowiednikiem „kondolencyę po przejechanym piesku **).“ Tenże sam książę kanclerz wpadał nieraz w gniew, w furyę, w pogróżki, inną razą szydził, a przy zdarzających się okazyach nie pogardzał nawet podstępami, z któremi moralność dzisiejsza żadną miarą pogodzićby się nie mogła.

Z temi rysami charakteru znał Janusz księcia kanclerza, a znając go dobrze, pojmując tak, jak tylko współczesny mógł pojmować, „nie miał doń nigdy skłonności, i teraz mu się nie bardzo chciało owcę wilkowi poruczać.“

Według dzisiejszego widzenia rzeczy, miał Janusz tém mniéj słusznych za sobą powodów, ile że książe kanclerz w grubą odziany był żałobę. W tym samym roku 1637, przed siedmiu niespełna miesiącami utracił książę wierną przez 18

*) Pamiętniki księcia Albrechta Stanisława Radziwiłła. Poznań, 1839, Tom I., str. 166 i dalsze.

**) Pamiętniki księcia A. S. Radziwiłła. Tom I., str. 405.

lat towarzyszkę życia, Reinę de Eisenreich, „najmilszego przyjaciela,“ który to wypadek „w smutek i żałość“ wszystko mu odmienił. „Rzekłbym z Jobem“ — zapisuje sam kanclerz *) — „niech zginie ten dzień! gdyby wola boska nie zakazywała tego.“ Dając folgę głębokiéj żałości, rozpisał się osierocony małżonek w obszerném wspomnieniu o zmarłéj i o jéj niezwykłych cnotach, „przypominając sobie takowe dla pociechy i przykładu,“ ofiarując Bogu za grzechy, frasunek i płacz swój żałosny.

Otóż te kiry i uczucia żałobne, zdolne rozrzewnić serca dzisiejsze, nie miały żadnéj wartości dla Janusza i innych współczesnych. Jeżeli wreszcie przypomnimy sobie, że książe kanclerz liczył 45ty rok życia, że się już nie raz gorzko uskarżał na niepoczciwą podagrę i na piérwsze bóle kałkułu — gotów nam się Janusz wydać niegodnym oszczercą, nie umiejącym uszanować ani wieku, ani żałoby, ani żadnéj świętości.

Lecz idźmy daléj.

Ponieważ księcia kanclerza „jako starszego w domostwie nielzia było pominąć“ — udał się doń Janusz we wtorek 6 października. Zaś jako wychowanek swego wieku i obyczajów, zaczął najpiérw wyrozumiewać, ażali téż książe „sam nie ma jakich zamysłów.“

Zaklął się przeciw temu uroczyście jegomość kanclerz a nawet strofować począł Janusza.

„Toć ty większe do obcych niż do mnie masz zaufanie“ mówił mu z wyrzutem — „a jam tu tobie na miejscu ojca; natrąć mi, a sprawięć wszystko k' myśli.“

„Za czym“ — powiada Janusz — „nie mogłem jeno go prosić, żeby mi się dobrodziejem okazał. Gdy mi to przyobiecał, jechaliśmy wszyscy pospołu do JMć pana podkomorzego koronnego na obiad.“

Pan podkomorzy koronny stawił się w słowie i wyprawił sutą ucztę; pani wojewodzina sandomirska dotrzymała również przyrzeczenia i przybyła z pięknemi swemi córkami. Wszystko szło jak z płatka. Aliści po niektórych kielichach „postrzegłem bardzo dobrze“ — mówi Janusz — „że się książę JMć kanclerz palić począł. Prosiłem go jednak, żeby za mną prośbę wniósł, czego się jak ochotnie podjął, tak widziałem że z panią wojewodziną siła i długo mówił. Po któréj rozmowie przyszedł

*) Pamiętniki T. I. str. 339 i dalsze.

do mnie i począł mi długi dyskurs prawić o wielkim afekcie pani wojewodzinéj przeciwko mnie, i po prostu naostatek uczynił mi dobrą nadzieję, tylko przydał że się obawia, aby nieco trudności z przyczyny wiary nie było. Którą trudność gdym usłyszał, prosiłem księdza sekretarza, żeby onę uprzątnął, który przystąpiwszy do pani wojewodzinéj, po krótkiego czasu rozmowie przyszedł do mnie przy księciu JMci kanclerzu i przeżegnawszy mię rzekł: *Ego te absolvo*; około wiary trudność jużem uprzątnął. Prosiłem tedy obudwu, żeby tamże prywatną deklaracyę otrzymali, bez któréj ja do publicznego starania przystąpić nie chciałem; którą otrzymawszy, takeśmy się z sobą namówili, że nazajutrz mieli tam Ichmość *solenniter* jechać i za mną prosić. Nawet odchodząc książe kanclerz od drzwi się wrócił i coś z panią wojewodziną szeptał, a do mnie się wróciwszy powiedział: żem prawi, drugi raz upewnienie wziął, żebyśmy się jutro darmo nie tłukli. Z tém książe odszedł; nas pan podkomorzy zatrzymał z panią wojewodziną na wieczerzę. Chciałem był zaraz i pana podkomorzego koronnego prosić, ale że sobie jako gospodarz podlał trochę, do jutram to sobie był odłożył."

Nazajutrz rano wyruszył Janusz do księcia kanclerza wraz z przyjacielem swoim i współwyznawcą kalwinem Mikołajem Abrahamowiczem, wojewodzicem smoleńskim i starostą starodębskim*). Ale księcia nie było już w doma. Pojechali zatém do księdza sekretarza, którego Janusz „zaczął prosić, żeby wieczorną obietnicę do skutku przywiódł." Ale znowu „ksiądz sekretarz począł mi się jakoś mienić, i wyprawować do księcia, abym się wprzód z nim widział. Postrzegłem ja co jest — i szedłem do Jezuitów." Książe oczywiście modlił się w kościele. Przystąpił doń tamże Janusz i zaczął mówić o swéj sprawie." Książe kanclerz odrzekł mu z najzimniejszą krwią:

„Mój kochany synowcze wiedz o tém, żem sobie szczerze twą sprawę promowował wczoraj; ale dzisiejszéj nocy najświęt-

*) Pan Kotłubaj domyśla się mylnie pod wojewodzicem smoleńskim późniejszego wojewody witebskiego Kiszki. Tymczasem był nim Abrahamowicz: równocześnie starosta starodębski (*Vol. leg.* T. III. pag. 951) zawsze w scisłych z Januszem zostający stósunkach.

sza panna, którąm o to prosił, kazała mi tę pannę pojąć; zaczym nie miéj to za złe, że co mi Bóg do serca podał, trzymać się muszę.“

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie sprawiło to wyznanie na Januszu, który nadto jako heretyk w objawienia nie wierzył. Książe kanclerz tymczasem wyprawił bezwłocznie księdza sekretarza do pani wojewodzinéj sandomirskiéj i do pani kasztelanowéj sieradzkiéj, rodzonéj ciotki Katarzyny, z prośbą o rękę panny. Pani kasztelanowa, także Mohilanka, żona Maksymiliana Przerębskiego, ulubieńca i niedawno swata królewskiego na dworze wiedeńskim — wcale jakoś nie sprzyjała zamiarom Janusza, i gotową była wszelkiemi siłami popierać kanclerza. Nadto afekt pani matki także jeszcze podlegał wątpliwościom, a co do reszty familii można było być pewnym, że prócz panny wszyscy przeniosą bogatego i katolickiego kanclerza nad młodego heretyka, którego ojciec żył jeszcze i sam rządził majątkiem, a którego przyszłość zawsze pewna mgła niepewności osłaniała. W jednéj przeto chwili ujrzał się Janusz najlepszych pozbawionym nadziei. Opuszczony od krewnych pokładał jedyną nadzieję w panu podkomorzym koronnym, do którego téż bez wahania ruszył z towarzyszącym sobie nieodstępnie wojewodzicem smoleńskim.

Pan podkomorzy koronny spał jeszcze w najlepsze po wczorajszém podlaniu. Obudzili go młodzieńcy, a Janusz opowiedziawszy całą sprawę począł prosić o pomoc.

„Mój kochany bracie i kolego“ — odrzekł pan podkomorzy koronny — „wszystkom dla ciebie uczynić gotów, i ten marmur, na którym stoję, będę gryzł jeźli każesz, ale jużem się za panem pisarzem zawiódł, i kiedybym go miał opuścić, miałby okazyę wielką narzekania na mnie, bom ja mu jest ojcem. Ale tak nie będę ani za tobą ani za kanclerzem prosił, ani téż nazbyt za swoim nacierał. Wszak jeźli Pan Bóg tobie ją naznaczył, jest młodsza siostra, i tę on wziąwszy, dość będzie miał honoru spowinowacenia domu naszego z domem twoim. Naostatek sam tego uczynić nie mogę, aleć żoneczkę wyszlę; niech jedzie, ja przeszkadzać nie będę.“

Taka oferta nie wiele pocieszyła Janusza. Szło głównie o ubieżenie księcia kanclerza w oświadczynach. Tymczasem ksiądz sekretarz już się gotował do wystąpienia, a Janusza

wszyscy swaci odbiegli. Nie pozostało jak tylko „udać się do nowego i nie bardzo zwyczajnego środka.“

Do domu pani wojewodziny sandomirskiéj wiodła droga po pod pałac Kazanowskich. Przeto nie długo się namyślając zawołał Janusz pacholika pana kasztelana sandomirskiego i kazał mu u wrót pałacu pilnować, kiedy ksiądz sekretarz pojedzie. Wówczas miał go pacholik zatrzymać, i „imieniem pańskiém“ na górę zaprosić. Rozkaz został wypełniony, a skoro ksiądz sekretarz wszedł do izby, Janusz „zamknął go na klucz“ z podkomorzym Kazanowskim, zaś sam skoczył chyżo z panem starostą starodębskim do pani wojewodziny.

Działo się to wszystko wcale ranną godziną. Przed nieubraną jeszcze wojewodziną zjawił się nagle podkomorzy litewski, i padłszy jéj do nóg, prosił o rękę córki.

W pierwszéj chwili „zdumiała się srodze“ pani wojewodzina. Spostrzegłszy to, zaczął jéj Janusz opowiadać cały proceder swojéj miłości i podstępu kanclerzyńskiego. Z większém jeszcze zdziwieniem pouczyła go wojewodzina, iż książe kanclerz „mówił wczoraj za sobą,“ a co do Janusza „sam trudności różne tak z przyczyny religii jako i inszych rzeczy ukazował.“

Januszowi łzy z ócz się puściły i gorącemi słowy począł błagać o rękę córki.

Wojewodzina uściskała go i rzekła:

„Mój kochany książe, żal mi cię bardzo. Kocham się w tobie z duszy, ale dla Boga! młodyś człowiek, prędkoś się zakochał, możesz prędko téż odkochać. A nadewszystko bez woli twoich rodziców uczynić tego nie mogę. Bo jako z jednéj strony życzę córce swojéj wszystkiego dobrego, tak z drugiéj bez woli rodziców twoich nic nie chcę czynić.“

Kiedy na to Janusz poklęknąwszy upewnił pod przysięgą, że to nie tylko nie będzie przeciw woli ojca, ale że książe Krzysztof sam mu nieraz doradzał staranie się o pannę wojewodziankę sandomirską — pani wojewodzina „pocałowawszy go w głowę,“ rzekła:

„Niechże się dzieje wola boża.“

Ale na tém nie koniec. Pani wojewodzina chciała „ujść nabiegania i sollicytowania od kanclerza.“ Na jéj żądanie musiał Janusz udać się do królestwa i prosić, żeby królowa we-

zwała do siebie wojewodzinę. Zostając podówczas w nieposlednich łaskach u Władysława IV, który niebezpieczną zawsze dworowi rodzinę kalwińskich Radziwiłłów różnymi starał się ująć sposobami, i w tym celu zwłaszcza młodemu Januszowi nie skąpił swéj łaski — znalazł pan podkomorzy i teraz jak najlepsze przyjęcie. Wysłuchawszy relacyi o całéj sprawie rzekł mu król:

„O mój drogi podkomorzy! kiedyby nie ta moja choroba, inaczéjby się chodziło koło twéj sprawy; ależ królowéj poruczę.“

Młoda królowa nie dała dwa razy się prosić. Kiedy wezwana co żywo wojewodzina stanęła niebawem w zamku, Cecylia Renata „tak gorąco sollicytowała za Januszem jako matka za synem.“ Prócz królowéj zainteresował się również cały dwór niewieści tyle ciekawym wypadkiem. Wszystkie damy i panny dworskie pod przywództwem królewny Anny Katarzyny, siostry Władysława IV., sprzyjały oczywiście jak najgoręcéj młodemu podkomorzemu i rade były przyprawić o rekuzę podstarzałego kanclerza. Królowa zamknęła się z wojewodziną, a Januszowi kazano „siedzieć w tyle na łożnicy.“ Panny „coraz to do Janusza z nowinami, to od niego z prośbą i podawaniem różnych środków do królowéj biegały. I sama też królowa biegała to do króla to od króla, który ją we wszystkiém informował.“

„W najlepszy czas traktatów przyjechał kanclerz na zamek i domagał się być u króla.“ Ale Władysław IV. nie chciał go przyjąć i kiedy kanclerz coraz natarczywiéj o audiencyę upraszał, rzecze król do pana podkomorzego koronnego:

„Powiedz mu niech się nie napiera być u mnie, bo pewnie będzie mieć kapitel, że się szalbiersko z synowcem obszedł.“

Kanclerz zmiarkował dobrze co się święci. Nie mogąc nic zyskać u króla, zgłosił się do królowéj. „Ona nie śmiała dać mu audiencyi, aż wprzód tyłem odbiegła do króla i spytała, gdzie król jegomość tak informował: żeby mu powiedziała, że się już za Januszem zaciągnęła, i słowa królewskiego raz danego odmienić nie może, i nie chce się tych obyczajów od księcia kanclerza uczyć, żeby miała obiecawszy jednemu za drugim prosić.“

Powtórzywszy kanclerzowi co do słowa powyższą odpowiédź, pospieszyła królowa oprymować daléj wojewodzinę. Jegomość pan kanclerz tymczasem, świadom dobrze obyczajów i humorów dworskich, niezbyt sobie wziął do serca niełaskawą odpowiédź królewską, i postanowiwszy równie jak Janusz do niezwykłych udać się środków, pozostał „w przednich pokojach" czekając cierpliwie na wojewodzinę wraz z przybranym swatem, panem podskarbim koronnym Janem z Żurowa Daniłłowiczem.

Rozjątrzyło to tylko agitacyę niewieścią. Mając zapartą drogę przez główne pokoje biegła królowa tylnymi „tam i sam do króla." Konfinowany zawsze jeszcze na łożnicy Janusz „przeprowadził ją teraz pod rękę" w téj zaułkowéj podróży. Było tego biegania przez kilka godzin. Wreszcie wojewodzina „utęskniona, zmordowana i skłopotana, a najbardziéj dla tego, iż wszystkę niechęć z siebie na króla zwalić chciała, zażyła tych słów do królowéj:"

„Król Imć jako opiekun najstarszy wszystkich siérót, niech rzecze: ja tak chcę mieć — a ja uczynię to bardzo rada, co muszę."

Gdy królowa przyszła z taką propozycyą, szlachetny Władysław trochę się rozgniewał i rzekł:

„Ja nikogo przymuszać nie myślę. Jakom się raz za podkomorzym wziął, tak i teraz za podkomorzym proszę. Ona jako matka córki swéj, niech wybiéra między tymi dwoma; wszak wié, co jéj córce lepszego. Ja jednak przy pierwszéj swojéj promocyi stoję."

Po takiéj odpowiedzi przyrzekła wojewodzina, iż nazajutrz da deklaracyę.

Kiedy w ten sposób niewiasty dworskie promowowały sprawę młodego podkomorzego, znacznie starszy kanclerz wraz „z zgrzybiałym starcem *)" podskarbim obmyślili i przygotowali nowy niezwyczajny sposób. Oczekując wyjścia pani wojewodziny, kazali odjechać do domu jéj karécie. Ona zaś nie wiedząc o niczém, wyszła wraz z córką po skończonéj audiencyi do przednich pokojów. Podkomorzy „zabawił się" u królowéj, z czego korzystając staruszkowie, „przeprowadzili" wychodzące damy. U wschodów, nie znalazłszy własnéj karéty, musiały przyjąć ofiarowane sobie przez pana podskarbiego miéjsca

*) Pamiętniki x. A. S. Radziwiłła. T. I. str. 369.

w jego powozie. Spostrzegłszy się na takiéj zdradzie biédna Katarzyna „w srogi płacz uderzyła.“ Janusz patrzył na to z okna i „ledwie mu serce się nie pukało.“ Ale ratunku już nie było. Kanclerz z podskarbim odprowadzili damy do domu, zostali na wieczór, i nie bawiąc, wystąpił książe z oświadczynami. Pan podskarbi, także koligat, a jako wiekiem poważny, znakomitéj zażywając estymy, poparł księcia jak nausilniéj, a nawet „gwałtem pannie rękę wziąwszy, gwałtem za sługę oddał jéj kanclerza.“ Późnym dopiéro wieczorem odjechali obaj „z tryumfem“ do domu. „Mnie jako psy obiad zjedli“ — uskarża się podkomorzy litewski z całą naiwnością i prostotą ówczesnych wyobrażeń.

Ale i podkomorzy, namiętny, gwałtowny, gotów — jak tego późniéj aż nadto dowiódł — dla sprawy osobistéj piekło i niebo poruszyć, pójść przez krew i płomienie całego kraju, całego narodu — nie tak łatwo dawał sprawę za przegraną. Przez rozstawionych „szpiegów“ wiedział o każdym kroku, a każdém najmniejszém nawet zdarzeniu w domu pani wojewodziny. Toż natychmiast po wyjeździe kanclerza z podskarbim, „wsiadłszy na konia przypadł do nóg matki.“ Zastał ją „srodze o córkę żałosną, która się z płaczem ubijała po komorze.“ Matka „winę na królestwo kłaść poczęła, że zimno koło tego chodzą i że na jéj wolę puścili.“ Janusz podjął się zagrzać pośrednictwo królewskie, i z jaką taką nadzieją pożegnał niewiasty.

Nazajutrz rano wpadł najpiérw do króla. Mimo najlepszych dla podkomorzego chęci zawahał się Władysław w dalszém pośrednictwie po dokonanym akcie zaręczyn kanclerza. Dopiéro kiedy Janusz z ferworem zaczął przedstawiać, że tu „nie o wakancyę, nie o urząd jaki idzie, ale o wiecznego przyjaciela, że w tém nadzieja jego, nadzieja rodziców i wszystko;“ dopiéro kiedy „zagrzał królowę, że to jéj sroga będzie niesława, ile na początku panowania że swego nie dopnie, i ci panowie pieczętarze wezmą miarę, że nad nią po chwili będą przewodzić;“ dopiéro kiedy zagroził, że królestwu tym sposobem i książe ojciec i cała Litwa „zejść może“ — dopiéro wówczas dał się król poruszyć i posłał spowiednika swego do wojewodziny, „perswadując jéj i żeby się do królowéj stawiła żądając.“

Wnet po oddaleniu się księdza spowiednika, przybył na zamek książe kanclerz, a rad z wczorajszego obrotu sprawy nie dopraszał się nawet audyencyi, lecz pozostał w przednich pokojach, oczekując przybycia wojewodziny. Spostrzegłszy to Janusz, prosił królestwa, iżby mu pozwolono wprowadzić wojewodzinę „bocznym kręconym wschodem mimo pokoje królewneczki.“ Gdy królestwo zezwolili, „obrócił“ Janusz tamtędy karétę nadjeżdżającéj wojewodziny, „wysadził ją“ z niéj i wprowadził na pokoje królowéj. Dzisiaj patrzał znowu na to wszystko książe kanclerz z okna.

Tymczasem królowa i królewneczka „nastąpiły serio z niecierpliwą prośbą.“ Zmiarkowawszy ostatecznie, że i pani wojewodzinie i całéj familii Katarzyny, a mianowicie państwu Sieradzkim głównie o materyalne względy chodziło, zaczęła królowa przedstawiać:

„Jeżeli się Wmć pani wojewodzino oglądasz na tę cackę, że książe pieczętarz, że bogaty i że na wszystkich starostwach dożywocie obiecuje, więc ja to naprzód sprawię, że król Imć nigdy na to zezwolenia nie da.“ Co do Janusza przeciwnie, „wszystkie te honory jakie bywały w domu jego, tak i teraz będą, i toż kanclerstwo po nim brać może, a cokolwiek ojciec jego ma teraz, tom mu wszystko sprawiła dzisiaj, i województwo i buławę i wszystkie starostwa, i jeszcze mu codzień obiecujemy dobrze czynić.“

Tak gorącym sollicytacyom nie była w stanie oprzéć się pani wojewodzina. Równocześnie wezwawszy pana Sieradzkiego, powtórzył mu król teżsame słowa, „któremu srodze ta deklaracya w łeb wlazła.“ W jednéj chwili zmieniły się rzeczy i poszły „smarowniéj.“ Pan kasztelan sieradzki oświadczył się otwarcie za Januszem, pani wojewodzina uczyniła przed królestwem deklaracyę, że mu córkę daje, ale „żeby księcia kanclerza uczciwie zbyć, udawać kazała, że tę sprawę odkłada do panów Potockich“ — bawiących jak wiadomo na Ukrainie. Janusz „przy królestwie matce podziękował.“ Kanclerz nie mogąc doczekać się wyjścia wojewodziny odjechał, a pan podkomorzy litewski, jak on wczoraj, odprowadził matkę „z tryumfem“ do domu.

Kazano mu jednak wnet ustąpić i czekać „naprzeciw we dworze pana Sieradzkiego.“ Jeszcze rano bowiem „obiecał

się kanclerz na wieczerzę i zwierzyn nasłał.“ Uwiadomiony o powrocie wojewodziny, przybył niezwłocznie, a pouczony o tém co się stało, „wpadł w gniew, w furyę, w przegróżki. Najpiérw się pan sieradzki z nim powadził, potém pani wojewodzina.“ Nic to jednak nie pomogło. Książe kanclerz odjechał i zamiast użyć na smacznéj wieczerzy „posłał, aby mu upominki wrócono, jakie był dał.“

Ale kucharz pani wojewodziny pospieszył się i wcześnie z tych darów przyrządził ucztę. Przybyli na nią niebawem Janusz z swoimi adherentami i pan wojewodzic kaliski z księdzem podkanclerzem koronnym Piotrem Gembickim jako swatem. Najpiérw obchodzono wspólnie zwycięztwo nad kanclerzem przy jego własnéj wieczerzy. Potém „znowu ksiądz podkanclerzy gorąco za wojewodzicem kaliskim nastąpił, ale postrzegł że przegrana.“

Nie postrzegł tego sam młodzieńczy wojewodzic i z najlepszą otuchą rzeknie do Janusza:

„Widzę że w. ks. m. kochasz się w téj pannie; ja téż dawno i nie bez nadziei udaję się; co będziem czynić? Trzeba przecie jednemu ustąpić.“

„Tak jak owi dwaj psy“ — odparł Janusz — „co się o kość wadzili, zgodzili się na wilka pójść, i tak co dłuższy kość zgryzł.“

„Bardzo mu się to niepodobało“ — kończy rad ze swego porównania podkomorzy — i zwinął nazajutrz chorągiew, a przez sługę pożegnawszy odjechał do domu.“

Nawet tyle kłopotu nie miał Janusz z trzecim wspólnikiem, panem pisarzem koronnym Kazanowskim. Panu pisarzowi bowiem zarówno jak całéj świéżéj rodzinie Kazanowskich smakowała głównie koligacya z rodem Potockich, do któregoto celu zarówno dobrą była panna Anna jak i jéj siostra. Idąc przeto za mądrą radą swego krewniaka Adama, skierował pan pisarz bezwłocznie afekta swe ku młodszéj wojewodziance, i w niedługie czasy poprowadził ją rzeczywiście do ołtarza.

Janusz tymczasem, „utarłszy z panem sieradzkim i roborowawszy wszystkie kondycye u grodu, zaręczył Katarzynę uroczyście w stan święty małżeński.“ Wesele odwlekło się wprawdzie jeszcze czas niejaki, ale już w roku następnym 1638

spotykamy Katarzynę „najwyższą podkomorzyną wielkiego księstwa litewskiego.“

Tak spełniły się życzenia i namiętne żądze Janusza. Przez parę lat pożycia małżeńskiego, dokładała Katarzyna wszelkich starań, aby męża przywieść do odstąpienia błędów heretyckich — lecz nadaremnie*). A kiedy Bóg jéj odebrał jedyną pociechę i nadzieję domu, malutkiego synka Krzysztofa**) — zgasła Katarzyna w 5tym roku małżeństwa, w 28 wiośnie życia.

Lecz jak w każdym wypadku tak i tutaj podziwiać należy mądrość wyroków Opatrzności. Wczesną śmiercią oszczędzała Ona Katarzynie największych boleści, jakie mogą przeszyć kochające serce żony. Umiérając pozostawiała męża jeszcze młodym, jeszcze pełnym najlepszych nadziei; — widok późniejszego nikczemnika, którego cały naród okrył przekleństwem a potomność niezmazaną napiętnowała hańbą, widok zdrajcy Ojczyzny — nie zamącił niewinnych, błogich snów zagrobowych Katarzyny.

A książe kanclerz? Zanadto sumienny, aby zupełnie o wypadku przemilczeć, zanadto przezorny, aby go w właściwéj barwie przedstawić, zdyplomatyzował, zapisując w swoim pamiętniku pod dniem 6 października***):

„Byłem zaproszony na obiad u kasztelana sandomirskiego Kazanowskiego, gdzie téż była wojewodzina sandomirska z córkami swemi i z siostrą swoją.... Tam miałem okazyę przełożyć kasztelanowéj sieradzkiéj inklinacyę podkomorzego litewskiego do starszéj wojewodzanki, aż ona mnie samego do tego namawiać poczęła, i mało wołoskiemi pieszczotami i zdradami w to mnie nie uwikłała; aż ja się z tych sideł wyrwałem, i podkomorzemu od Boga przeznaczonego przyjaciela odstąpiłem. Ta tranzakcya trwała przez trzy dni.“

W ośm miesięcy późniéj „strawił“ książe kilkanaście dni na kontraktach małżeńskich, dnia 30 maja wziął istotnie ślub

---

*) Szymona Okolskiego fundament przeciw fundamentowi, str. D 4.

**) Księdza Augustyna Wituńskiego, Tyara wieczności str. A 3, C 3.

***) Tom I. str. 367.

z Krystyną Lubomirską, córką kasztelana krakowskiego, poczém — jak sam powiada*) — „wesoło dalsze życie według praw boskich i uczciwości prowadzić postanowił.“ Jakoż istotnie został kanclerz po koniec życia jednym z najzacniejszych i najrosądniejszych senatorów współczesnych.

*) Pamiętniki T. I. str. 480.

Bernard Kalicki.

JERZY OSSOLIŃSKI.

TRYLOGIA

1616 — 1650.

Dwór królewicza Władysława.

Komedya historyczna w 3 aktach

jako

część pierwsza trylogii.

OSOBY.

Królewicz Władysław, lat 20 liczący.
Karol Chodkiewicz, hetman w. litewski, lat 56.
Marcin Kazanowski, oboźny w. kor., lat 30.
Adam Kazanowski, lat 19
Jerzy Ossoliński, lat 21
Jakób Sobieski, lat 21
Tryzna, lat 30
} pokojowce królewicza Władysława.
Bartłomiej Nowodworski, kawaler maltański.
Towarzysz pancerny.
Paź.

Rzecz dzieje się u bram oblężonéj przez Polaków Wiazmy, w roku 1616.

Komedya historyczna: Dwór królewicza Władysława, osnutą jest na „Pamiętniku Jerzego Ossolińskiego,“ kreślącym jego młode lata, którego rękopism udzielonym mi został przed kilku laty z Biblioteki imienia Ossolińskich. Miał ten pamiętnik Bohomolec, kreśląc „Życie Jerzego Ossolińskiego“ i podając szczegóły zajściach w obozie pod Wiazmą, nie umiał go jednak użyć, jak należało. Przedrukowany, zająłby pamiętnik jedno z najpierwszych miejsc w naszéj literaturze pamiętnikowéj, tyle w nim charakterystyki wieku i znakomitego człowieka, jakim niezaprzeczenie był późniejszy kanclerz.

AKT PIERWSZY.

Kwatera królewicza Władysława w obozie pod Wiazmą. Izba napełniona przyborami wojskowemi — na stołach porozrzucane księgi i broń rozmaita.

Scena 1.

Jerzy Ossoliński czyta księgę. — Jakób Sobieski ogląda nową szablę. — Adam Kazanowski chodzi wielkiemi krokami po izbie.— Tryzna siedzący w kącie przesuwa różaniec.

JAKÓB (próbując szabli).

Wyborna! lekka! Nie ma jak stal damasceńska
Jak panna w tańcu wiernie przystaje do duszy,
Dyabłu samemu w piekle obciąłbym nią uszy.

ADAM.

Ho! ho! jaki mi siłacz!

TRYZNA (na stronie).

A zawsze panienka
Ta spodnica na myśli. *Satanas*, *apage!*

JAKÓB.

Spróbujno ty statysto! Patrzajno! ma wagę
A młyńcem do okoła, jak kołowrot lata.

JERZY (budząc się z zadumy nad książki).

Co? co?

JAKÓB.

Daj go katu! spadł z innego świata
Liwiusza czyta! Patrzcie! on czyta Liwiusza
Nie słyszy, jak miecz gwiżdże.

ADAM (z ironią).

Senatorska dusza.

TRYZNA.

Poganin! pogańskiemi karmi się wymysły!

JERZY.

Czemu nie miałbym czytać? Nad brzegami Wisły
Naród nasz, ileż Tybru naród przypomina.

ADAM.

Jerzy naprzykład— Kato.

JERZY.
A ty? Katylina —

ADAM.
Dziękuję ci. Przynajmniéj, był to człek zuchwały.

JERZY.
Tak!

ADAM.
I byłby wielkim, gdyby się udały
Jego plany.

JAKÓB.
Patrzajcie! znowu spór się wszczyna
Mniejsza, czyś Waszmość Kato, czy Waść Katylina,
Patrzajcie, coś tu niosą (patrzy w okno).

TRYZNA (ruszając się ku oknu).
Oj ciągłe przeszkody
Przebacz, święty Jacenty, człowiek ciekaw, młody.

ADAM (przy oknie).
Kula!

JAKÓB.
Nie! bomba.

TRYZNA.
Łupka będzie twarda
Do zgryzienia Moskalom.

JERZY.
Petarda.

WSZYSCY.
Petarda?

Scena 2.

Ciż sami. Towarzysze pancerni (wnoszą petardę).

TRYZNA.
Ostrożnie! bo to pono i wystrzelić może,
A na co to niesiecie?

TOWARZYSZ.
Gadają na dworze,
Że to pan Nowodworski, kawaler maltański
Wielki rycerz i wielki człowiek chrześciański
Szle to dziwo a wkrótce i sam tu przybędzie
A do bram tych moskiewskich aplikować będzie.

Mówią, że wielki hazard podpalać to zwierze,
Bo albo kula z murów człowieka zabierze
Albo czerep ugodzi śmiałka, co podpali
Więc też charakternikiem tego pana zwali,
Bo trzykroć już próbował a z narodu chwałą
Zawsze bramę wysadził, zawsze wyszedł cało.
Do królewicza dziw ten odnieść rozkazano,
Oddaję Panu Bogu!

JAKÓB.

Bądźcie zdrowi. (Towarzysze odchodzą).

A! no

Przypatrzeć nam się godzi.

TRYZNA.

Ostrożności trzeba

Gdyby padła tu iskra.

ADAM.

Poszedłbyś do nieba

Świętoszku.

TRYZNA.

Chowaj Boże, człowiek w grzechach siedzi
Po uszy.... bez spowiedzi....

JAKÓB.

Gdyby — po spowiedzi....
Pan Nowodworski tego ciężaru nie dźwignie,
Ktoś pomódz musi. Wstydby gdyby sam tam chodził,
A samotnego oszczep moskiewski ugodził!

TRYZNA.

Otóż to Waszmość bredzisz, bredisz jak w malignie,
Idź Waszmość, idź mospanku, gdyś taki waleczny,
Ja odmówię za duszę odpoczynek wieczny.

JAKÓB.

Myślisz Waszmość, że stchórzę. Nie byłbym Polakiem
Otóż ja pójdę!

JERZY.

Waszmość, jesteś jedynakiem,
Szląc cię, rodzice w hazard życie twoje dali
Ale cię na straconą czatę nie posłali.
Pan Nowodworski człowiek temu poświęcony
Świeci, jak wielka gwiazda dla chwały korony,

Gdy skończy piękną śmiercią, żywot pełny czynów
Blask męczeńskiego zgonu doda do wawrzynów.
Waszmość niczém w Ojczyznie jeszcze nie zasłynął,
A potomnośćby rzekła, żeś z pyszalstwa zginął.

TRYZNA.

Otóż — oto Cicero — niech go Bóg wspomaga
Jednaka u nas obu podobno odwaga.

ADAM.

I ja, chociaż się często kłócimy tak szczerze
Jednakie z Utyceńskim mam zdanie w téj mierze,
Mamy młodość przed sobą, mamy wielkość, chwałę
Pierwszéj lepszéj okazyi, pragną duchy małe
Lecą za nią, zabłysną, jak raca i zginą.
Ambitny długo przyszłym w twarz się patrzy czynom,
Długo bada, wybiera, aż jak grom wystrzeli.

TRYZNA.

Taki czyn od Waszmości będziemy widzieli?

ADAM.

Być może.

JERZY.

Wiem, że Waszmość wielkie marzysz czyny
Czytajże Sallustyusza żywot Katyliny,
Porównaj go z Katonem i wybieraj trafnie.

TRYZNA.

Że się téż zawsze kłócą, zawsze jeden pafnie
Drugiego.

JAKÓB.

Chwalę męztwo, męztwo proste, szczere,
Jerzy mi zabił klina, prawda! z rodzicami
Nie godzi się dla własnéj satysfakcyi łzami
Ich zalewać, w szaloną rzucać się afferę.
Gdybym nie miał rodziców, dosyć mi zasłynąć
Tę chwilę, za Ojczyznę w śmiałym czynie zginąć
Wyręczając innego, którego młodzieńczy
Duch mnie w służbie ojczystéj zastąpi, wyręczy.
Dosyć nas dzielnych chłopców jeszcze z łaski niebu
A takiego nam męztwa co chwila potrzeba.

ADAM.

Poziome! które pierwszy posiada towarzysz!
Inne znam męztwo bracie, o jakim nie marzysz,
Męztwo, co wielkie dzieło, sokoła, w lot chwyci,
Trzyma go w dzielnéj dłoni na łowickiéj nici,
Kieruje nim, obraca, nad każdém ruszeniem
Panuje twardą wolą, niezgiętym ramieniem
Co nie cofnie się nigdy, nie zadrży przed niczém,
Aż w laurach dokonania zabłyśnie obliczem,
Aż świat głupi, co zwątpi, gdy sprawa się waży
Oścież otworzy gębę na blask jego twarzy!

JERZY.

Złe to męztwo, Adamie, jeźli piersią rusza,
Władało dłonią Sylli i dłonią Maryusza,
Bóg czasem poświęcone nim uzbraja serca
Cezarów, Aleksandów z jego kruszcu kuje,
Ale najczęściéj człowiek na nie zachoruje,
A wtedy zeń wichrzyciel bywa lub krwiożerca.
Strzeż cię Boże, ty w inne uzbrajaj hart woli
W męztwo naszego Trepki, polskiego Scewoli,
Coby ważnéj dla Polski tajemnicy z ręki
Nie puścić, ognia straszne umiał przenieść męki
W męztwo, które nie pragnie owładnięcia świata,
Lecz jak serce dla Boga i kraju kołata,
W męztwo, które złamawszy pierś, którą władało,
Jeszcze wie, że nie siebie lecz cnotę kochało.

TRYZNA (pokazując na bombę).

Ho! ho! ho! co tu męztwa i wielkości duszy
A téj pigułki przecie — żadne nie poruszy,
Które z nich lepsze — czas to, panowie pokaże.

JERZY.

Prawda, czas! Do chorągwi zajrzeć mi wypada.

JAKÓB.

Mnie także. (Jerzy i Jakób odchodzą).

TRYZNA (n. s)

Mnie zwyczajne dziś natężyć straże
Coś tu nie wielka zgoda siedzibę zakłada?

(odch.)

Scena 3.

Adam — potém królewicz Władysław.

ADAM.

Mmie ulubionéj myśli wolne podać pole
Trzymam cię w mojéj ręce; podlatuj sokole
Podlatuj! Kazanowskich w gwiazdy wynieś imię!

Cicho! gdyby wiedziano, co w téj piersi drzemie!
A szpiegów nam nie braknie.... Lecz mniejsza o szpiegi,
Ten Jerzy by potrafił zmącić mi szeregi....
Tylem pracował, aby w królewicza duszy
Pierwsze mu wydrzeć miejsce.... Wydarłem! nie ruszy
Mnie z tamtąd.... nie.... nie ruszy....
Cyt on! Jaki blady?
Pewnie nowe z Warszawy otrzymał tyrady.

WŁADYSŁAW (z listem w ręku nie widząc Adama).

List z Warszawy! od ojca. Ten zimny i srogi....
Trzeci list wśród moskiewskiéj téj dostaję drogi,
Każdy goryczą tylko karmi mnie i poi.
Szpiegują.... kłamią na mnie ci dworzanie moi,
A gdy w ziemi już serce, które syna kocha,
Donosami mi ojca poduszcza macocha.
Schowajmy. Wcześnie trzeba strzedz się ludzi oka.

ADAM (przystępując do królewicza).

Nie mego!

WŁADYSŁAW.

Ty Adamie! Widzi Bóg z wysoka,
Że moja dusza czysta, jak ta łza gorąca,
Co mi wypadła z duszy, którą ból roztrąca.

ADAM.

Tak! należy ostrożnym być w ludzi wyborze.

WŁADYSŁAW.

Więc któż? może ten Tryzna?

ADAM.

Nie wiem.

WŁADYSŁAW.

A więc może
Jezuita.

ADAM.

Być może.

WŁADYSŁAW.

Bo któż tu uwierzy
Aby to miał być?

ADAM.

Kto taki?

WŁADYSŁAW.

Jakób albo Jerzy.

ADAM.

Nie wiem.

WŁADYSŁAW.

Nie wiesz? W przyjaźni z niemi żyjąc jawnéj,
Nie wiesz, że nie są szpiegami! Toś zabawny,
Dziwny człowiek Adamie! Ja przecię dam szyję,
Że to nie ty!

ADAM.

Dziękuję, królewiczu panie
Pomnijcie, że kto w blaskach majestatu żyje,
Tego najpierwéj zawiść i zazdrość dostanie.
A owe gromy z dłoni królewskiéj rzucone
Nie zwrócone na ciebie, lecz na mnie zwrócone.
Dzisiaj hetman mnie w polu srogim przyjął dąsem:
Faworytku, zawołał, czas wojennym pląsem
Zyskać fawory braci, idąc ojców drogą,
Pokojowe fawory nie wiele pomogą.
A jeżeli tam Waszmość drogę sobie prości,
Że szyjesz innym buty u królewskiéj Mości
Młodszego pana, stać mnie za krwawe zasługi,
Że wylecisz jak z procy i padniesz, jak długi.

WŁADYSŁAW.

Z jakiéjż okazyi hetman tak ci śmiał ubliżyć,
Musiałeś dać początek.

ADAM.

Nie kazałem zniżyć
Buńczuka méj chorągwi przed jego buławą.

WŁADYSŁAW.

Znowu ta waśń.

ADAM.

Raz trzeba zakończyć z tą sprawą
Raz wszcząć burzę, raz wyzwać, niech będzie rozprawa
Czy królewicz dowodzi, czy jego buława.

WŁADYSŁAW.

Na to odpowiedź w liście królewskim gotowa:
Mnie honór, jemu władza i wojny kierunek
Królewską wolą przyznan.

ADAM.

Widać białogłowa
Układała ordynans, z mnichami na dworze,
Dwóch panów w jednym domu, kotów w jednym worze.

WŁADYSŁAW.

O ziemię mnie powali mnogi ten frasunek,
Ten niepokój, ta ciągła do koła niezgoda.
Chcę boju, pragnę sławę, a w głębi obozu
Lalką mam być, studentem, piątym kołem wozu,
Aby, gdy miasto wezmą, gdy Moskal tył poda
Prowadzono w tryumfie królewicza pana,
Że raczył być obecnym zwycięztwu hetmana!

ADAM.

Niedziw, że król powściąga zapał syna młody,
Że go od niebezpieczeństw uchronić się stara,
Inna rzecz nam tu srogie gotuje zawody:
Wojna w ręku hetmańskim, wojna to nieszczera
Nie o koronę Moskwy się dla ciebie para.
Polska wojnami tylko pokoje zawiera
Zdobyczy nie chce, skromne cieszą ją traktaty.
Nam trzeba boju, coby szedł Rożyńskich torem
Sapiehów! Tam pod Moskwą wielkim ledz taborem,
Ścisnąć Kreml, cara popa wziąść w sieć i udusić
Bojarom siąść na karku, do hołdu przymusić,
Wiarołomnych do nowéj przywodzić przysięgi;
Nam trzeba tron budować na gruzach potęgi
Carskiéj, ażeby snopek Wazów złotokłosy
Pół świata cienił sobą, strzelając w niebiosy.

WŁADYSŁAW.

Gorąca z ciebie głowa, mój drogi Adamie.
Jam gotów. Pierś mam pełną i silne mam ramię

Chcę sławy; orle skrzydła mam i w senną ciszę
Nieraz się na tych skrzydłach roskosznie kołyszę.
Na jawie — jam przykuty....

ADAM

Zerwać te ogniwa!

WŁADYSŁAW.

Jak zerwać?

(Słychać za sceną oddalony odgłos muzyki wojskowéj.)

Co za głosy?

ADAM.

To mój stryj przybywa.

(zbliżając się nagle do królewicza

On cię kocha, on wielbi królewiczu panie
On wie, co wy cierpicie. Stańcie przy nim silnie:
Dziesięć tysięcy wojska jak mur przy was stanie
Same syny koronne! Dziś już nieprzychylnie
Hetman o nich w obozie ostre rzucał słowa
Mają stawać w odwodzie, z ciurami Litwinów,
Oni, żądni tryumfów, oni żądni czynów!
Stryj mój stać tam nie będzie.

WŁADYSŁAW.

Stanęła umowa
Podług porządku stanąć muszą koroniasze....

ADAM.

Nie staną, choćby stryj mój miał nałożyć głową
Nie staną, na tarcz naszą klnę się wam herbową.

WŁADYSŁAW.

Więc bunty! wojnę wszczynać we wroga obliczu!

ADAM.

Waszéj pilnujem sprawy drogi królewiczu!
Waszéj chwały, moskiewskiéj pilnujem korony:
Gdy staną na odwodzie, tron Wasz utracony!

WŁADYSŁAW.

Jakto?

ADAM.

Tak! każda chwila lepiéj was przekona
Że hetmanowi wasza moskiewska korona
Nie w myśli, że ma w myśli pokój honorowy,
Otóż jeżeli chcecie błysnąć nią u głowy,

Wojsko Marcina zawsze skore i gotowe
Zdobyć ją — i uwieńczyć królewicza głowę.

WŁADYSŁAW.

Szaleńcze!

ADAM.

Marcin stary a myśli toż samo.
Kiedy się wojna kończyć będzie pod tą bramą
Wiazemską, którą owa petarda otworzy
Gdy hetman więcéj jeszcze dowodów nam złoży
Że was za figuranta.... przebaczcie mi panie
Z żalem mówię — na postrach bierze, co się stanie
Najpotężniejszym środkiem na upór Moskali....
Pomnijcie, że tam wierni czekają w oddali
Gotowi krwią wam usłać drogę w Kremlu mury.....

WŁADYSŁAW.

Aby nikt nie powrócił!....

ADAM.

Bóg tém zrządzi z góry
Dzielne ramię na ziemi....

WŁADYSŁAW.

Ha! myśl godna ciebie,
Godna was! Na dziejowém tém zajaśnieć niebie,
Zerwać pieluchy, w które spowito pierś męzką,
Pokazać, że się umie....

ADAM.

Pójść drogą zwycięzką
Bez mamek, bez hetmanów.

WŁADYSŁAW.

Milcz! milcz! Wielkie nieba!
Jeszcze nie! Więcéj na to byłoby potrzeba!
Niech się kielich goryczy przepełni, przeleje,
Milcz! milcz! Wtedy nas może wytłómaczą dzieje.

ADAM.

Nim się to stanie, stryj mój nie stanie w odwodzie.

WŁADYSŁAW.

Czekaj! czekaj! Nie wszczynać zamieszek w narodzie!
Cierpmy! Niechaj ostatni wzgląd na mnie odpasze
Idzie.... Silnie zażądam ordynansu zmiany.

(wchodzi Chodkiewicz.)

Scena 4.

Władysław — Chodkiewicz.

CHODKIEWICZ.

Chciałbym słów kilka z wami, królewiczu panie.

WŁADYSŁAW.

Słucham.

CHODKIEWICZ (do Kazan.).

Świadków nie trzeba, możesz odejść Wasze.

ADAM.

Królewicz mi nie kazał.

WŁADYSŁAW.

Idź! idź! mój kochany! (Kazan. odch.)

CHODKIEWICZ.

Niefortunne królewicz znalazłeś kochanie,
Zuchwalca, co szanować siwych głów nie umie.

WŁADYSŁAW.

Zły widzi przykład — mały siwych głów szacunek
Dla krwi królów. Boleść tę wszelako tłumię
Szacując was wysoko, kładąc na rachunek
Starości zapomnienie —

CHODKIEWICZ.

Tak! myślałem zawsze
Że was sercem ojcowskiém poczciwiéj uraczę,
Niż etykietą dworską, że oko łaskawsze
Za słowo prawdy raczéj, niż za fałsz zobaczę,
Więc i dziś, choć zrażony, z prawdą na plac jadę;
Gnieżdżą się tu na dworze jakieś jędze blade,
Matactwa, kłótnie, ludzi młodych nienawiści:
Brzydki znak, jeźli kiedyś w przyszłości się ziści
Na dworze króla, który nie powściągał z młodu
Włoskich sztuk, co imienia niegodne narodu,
Królewicz szpiega trzymasz w obozie, na dworze....

WŁADYSŁAW.

Szpiega?

CHODKIEWICZ.

Szpiega.

WŁADYSŁAW (z ironią).

Który mnie szpieguje?

CHODKIEWICZ.

Być może
Że i Was. Oto przednia obożnego czata
List przywozi. Zuchwalec! W targ się ze mną wdaje
Gdzie go postawię, pyta jakie tu zwyczaje,
Kto rządzi? Wie że lukta była między nami,
Gdzie ma stanąć i żąda, by między ciurami
Nie stał, bo starsza Polska od Litwy bułata.
Ha! jeszcze go ten bułat litewski nauczy
Że umie tego bronić, co mu Bóg poruczy.
A ten, co tajemnice obozowe zdradza
Precz iść winien z obozu.

WŁADYSŁAW.

Tutaj wasza władza
Kończy się. Kazanowski jest na moim dworze
Dopóki ja nie każę, odejść ztąd nie może.
Gdzie miał stanąć obożny, sekretem nie było,
Między ciurami stawać: nikomu niemiło,
Dla walecznego męża, dla zgody, ochoty
Można było mu naprzód posunąć namioty.

CHODKIEWICZ.

Można było! w istocie! Królewiczu panie,
Czyż myślicie, żem młodzik, sławy tak niesyty,
Żebym go nie był puścił aż na gród zdobyty?
Aleć karność zachowam, dopóki hetmanię
Mieczem jest w moim ręku świętym, ta młódź złota
Biada! jeźli samopas miecz w prawicy chodzi
Bo często w serca swoich, miast w wroga ugodzi.
Więc mi w kącie obozu pokutować będzie
Ten dumny panek!

WŁADYSŁAW.

Czyńcie po urzędzie
Waszym! Czyńcie to wszystko, do czego ochota
Was zbierze! Ja tymczasem dotrę, kto na dworze
Ojca szkalującemi uwłacza mi wieści.
Patrzcie, oto list króla. Dosyć mam boleści
Tego mi do frasunków jeszcze brakowało!
Ojciec wyrzut mi czyni, żem się z płcią wdał białą

Że mi w wygódkach brzydkich Kazanowski służy,
Cóż wy na to....

CHODKIEWICZ.

Rozumiem, że żal macie duży
Ale czyste sumienie pogardza potwarzą,
Patrzcie o toż się samo listy króla skarżą
Które Jegomość do mnie przysyła z Warszawy
A tu kopia responsu.

WŁADYSŁAW (czytając).

„....Co do owéj sprawy
Którą się trapić raczysz Wasza Mość Króleska
Powiem, że nas Opatrzność chroniła niebieska
Dotąd od bab w obozie, chyba na łopacie
Wiedźma w królewiczowskiéj stanęła komnacie.
A że wiedźmy są stare, wątpię królu panie
Aby pomimo postu, wzbudziła kochanie!
Co do Adama, dumy panięcia nie chwalę,
Karcę zuchwalstwo nieraz i sermon wypalę,
Lecz że nikczemnym środkiem łask swych nie zjednywa
Ręczyłbym głową moją, dusza tam uczciwa."
Dziękuję wam hetmanie, za niego i siebie.

CHODKIEWICZ.

Nie ma dziękować za co! Że pod ziemią grzebie
Jaki szczur lub kret jaki, cóż to nas obchodzi
Nie ruszać brudu ręką, bo plamę urodzi.
Ufni w siebie do dzieła przystępujmy społem,
A gdy staniem przed sobą, to z otwartém czołem.

WŁADYSŁAW.

Zgoda! mości hetmanie, toć powiem wam szczerze,
Że niesłusznie oboźny cięgę od was bierze,
Niesłusznie między ciury litewskie liczony,
A kontempt jego znaku to kontempt korony
Dajcie się zmiękczyć, zmieńcie obozu ordynek....

CHODKIEWICZ.

Nie! nie uczynię tego!

WŁADYSŁAW.

Czemu?

CHODKIEWICZ.

Pański synek
Niech przez antykamerę faworów nie szuka.

WŁADYSŁAW.

Ależ to kość niezgody.

CHODKIEWICZ.

To tylko nauka,
Niezgody tam nie będzie, gdzie bułat w swéj mocy.

TOWARZYSZ (wpadając)

Pan oboźny koronny......

CHODKIEWICZ.

Cóż waść, jako z procy
Przylatasz? jakby brakło oddechu Waszmości.

TOWARZYSZ.

Pan oboźny koronny wbrew Waszéj Miłości
Rozkazom gwałtem spędził chorągwie z pod wałów
Do kopii się już wzięto i do samopałów....

CHODKIEWICZ.

Ha! podać mi bachmata!

TOWARZYSZ.

Krzyk u koroniaszy
Że w imię królewicza.....

CHODKIEWICZ.

Czy tak?

WŁADYSŁAW.

Nie!

CHODKIEWICZ.

Chodź! Waszéj
Potrzeba obecności.

WŁADYSŁAW.

Hamuj się hetmanie!

CHODKIEWICZ.

Konia mego! Po grzbiecie zuchwalec dostanie!

(Wychodzi z królewiczem.)

Scena 5.

TRYZNA (wpada i patrzy w okno).

Mój Boże! co się dzieje! Nowe awantury!
Jakże wielka ułomność téj ludzkiéj natury,
Jaki brak pobożności, gniewy, huki, grzmoty,
Pan hetman na bachmacie wpada między roty.

Jezus Marya! jak Jowisz wygląda pogański....
Ha! ha! ha! Oboźnego goni na bachmacie
Dopada!

GŁOS HETMANA (za sceną).

Skurczybyku! znaj rozkaz hetmański!

TRYZNA.

Ha! ha! ha! bije, bije! dalipan! jak wali!
Królewicz zbladł jak ściana!

ADAM KAZANOWSKI

(wypada z szpadą w ręku, Jérzy i Jakób za nim.)

JERZY.

Bracie! miły bracie!

ADAM.

Precz z drogi, zabiję........

JERZY.

Nie puszczę....

ADAM.

Wstyd mnie spali!
Puść mnie Jerzy!

(Adam wyrywa się)
(wchodzi królewicz)

WŁADYSŁAW.

Gdzie lecisz?

ADAM.

Pchnąć mu w piersi szpadę.

WŁADYSŁAW.

Wstrzymaj się! On miał słuszność.

ADAM.

Więc uciekam, jadę
Rozstąp się ziemio! pochłoń!

WŁADYSŁAW.

Kocham cię Adamie
I ja niemały udział mam w téj strasznéj plamie
Zostań!

ADAM.

Nie mogę!

WŁADYSŁAW.

Plamy myją się żelazem
Sami zdobędziem Moskwę lub zginiemy razem.

AKT DRUGI.

Dekoracya piérwszego aktu.

Scena 1.

Adam i Marcin Kazanowscy.

ADAM.

Jego królewiczowska Mość na stryja czeka.

MARCIN

Strzeż drzwi.....

ADAM.

A zemsta nasza, stryju?

MARCIN.

Niedaleka

ADAM.

Chwała Bogu!

MARCIN.

Olśnimy te hetmańskie blaski
Krwi mi swojéj odmówił za srogą urazę!
Laurem wydartym jemu przykryję więc skazę.
Strzeż drzwi!

ADAM.

Zamknę za stryjem!

(Marcin. — Adam zamyka)

ADAM.

Teraz w samotrzaski
Trzeba mi złapać szpiega, co nasz czyn podgląda.

TRYZNA (wchodząc)

Hetman Jegomość widzieć królewicza żąda.

przechodzi patrząc dokoła.

Scena 2.

Chodkiewicz. Adam.

CHODKIEWICZ.

Gdzie królewicz?

ADAM.

Zamknięty w swoim gabinecie.

CHODKIEWICZ.

Chcę z nim mówić... Cóż to?... chcę z nim mówić przecie
Słyszysz waść czy nie słyszysz?

ADAM.

Słyszę, bo mam uszy.

CHODKIEWICZ.

Widzę, masz uszy długie (n. s.) Chłopiec hardéj duszy
Lubię go!

ADAM.

Nie pozwolił wołać się królewicz.

CHODKIEWICZ.

Ale ja chcę z nim mówić ja, Karol Chodkiewicz.

ADAM.

Ale ja z nim nie mogę, skoro rozkaz broni.

CHODKIEWICZ.

Masz racyą, chłopcze. Coś nam nasz królewicz stroni
Poczekam. Waszmość krzesło postaw mi pod drzwiami

(Adam stawia krzesło.)

Cóż Waszmość tak czarnemi szarpiesz wąsikami
Marszczysz brwi! coś hetmańska jak widzę osoba
Nie ma łaski u ciebie... hę... cóż nie podoba
Ci się, Karol Chodkiewicz?

ADAM.

Ha! mości hetmanie
Dosyć tego szyderstwa...

CHODKIEWICZ.

Jest szpada na ścianie
Czy to ta, z którąś leciał by przebić starucha
Gdy oboźnemu mores świstał koło ucha...

ADAM.

Hetmanie!

CHODKIEWICZ.

No mój chłopcze. Nie ganię cię wcale
Że masz krew, ród twój kochasz. Teraz doskonale
Pojąłeś, żeś uczynił głupstwo w piérwszym pędzie,
I zmiarkowałeś pewnie, żeś zostawał w błędzie,
Żem ja nie Kazanowskich uderzył buławą,
Lecz pana oboźnego, co przekroczył prawo.
Otóż zmądrzałeś teraz, moja rybo luba.
Nieprawda?

A to jakaś cierpliwości próba
Nigdym w króla nie czekał tak antykamerze
Ależ pilną mam sprawę..... Zamknięte?

ADAM.

Zamknięte

CHODKIEWICZ.

Kto drzwi zamknął?

ADAM (niespokojny.)

Królewicz, klucz ze sobą bierze
Mogę odejść?

CHODKIEWICZ.

Idź z Bogiem. (Adam odchodzi)
Ho! coś tu napięte
Coś tu nie jak się godzi. — Coś mi tu nieszczerze!
I patrzcie! właśnie list mi tu króleski wpada,
Ależ ma szpiegów stary, tfy! w Polakach zdrada —
Najwyraźniéj: Wiem dobrze, że na syna dworze
Coś..... że się w ustronnéj zamyka komorze,
Że przybywa tam jakaś postać skapturzona....
Tam do dyabła! Wieczorem.... Wieczór dyabła gratka.....
Jużcić baba... w istocie zgłupieć do ostatka.

Jerzy i Jakób wchodzą.

Jużcić baba wyraźnie....

JERZY.

No to rzecz skończona,
Trzeba hetmana prosić.... innéj nie ma rady....

JAKÓB.

A kto by tu wytrzymał w téj spelunce zdrady?

CHODKIEWICZ.

O cóż to, moje chłopcy hetmana potrzeba
Prosić? Witajcie chłopcy! Coś dworskiege chleba
Smak nie przypadł do buzi.

JERZY.

Tak niby po trochu...
Właśnie....

CHODKIEWICZ.

Chcecie skosztować kwarcianego grochu
Cóż tam? może królewicz?

JAKÓB.

Dobry i łaskawy,
Ale sam dyabeł jakiś miesza tutaj sprawy
Sieje waśń — jeden tutaj na drugich się boczy
Plotki jakieś — robactwo zgodę dworu toczy
Nie wytrzymać tu dłużéj.

CHODKIEWICZ.

Wiem i ja coś o tém
Jakieś tu podłe zwierze żyje krwią i błotem
Jakiś szpieg między wami tu Warszawie służy,
Wyszukać tego łotra i pchnąć do kałuży.
Nie macie podejrzenia?

JAKÓB.

Chowaj Panie Boże!

JERZY.

Któż by to był? Nie! nie ma takiego na dworze.

CHODKIEWICZ.

Jużcić jest, skoro pisze te na was paszkwile.
Ale powiedźcie waszmość, co tam czasu tyle
Bawi królewicz?

JAKÓB.

Gdzież to!

CHODKIEWICZ.

Drzwi zamknięte szczelnie.
I to tak często?

JAKÓB.

Często.

CHODKIEWICZ.

Oddawna?

JERZY.

Od zwady
Z panem oboźnym.

CHODKIEWICZ (n. s.)

Nie to byłoby bezczelnie
Gdyby...... nie! być nie może... Tfy! tfy to szkarady!
I cóż tu o tém mówią...

JAKÓB.

Nic takiego?

CHODKIEWICZ.

Przecie!
Może wy i dlatego do wojska iść chcecie
Co? chłopcy.

JERZY.

I dlatego.

CHODKIEWICZ.

No czekajcie trocha...
Nabiliście mi klina, niech was Pan Bóg kocha...
Cokolwiek się tu dzieje, próżno nam się biedzić
Najpiérw tego łotrzyka trzeba nam wyśledzić
Tego być nie powinno, to wstyd i sromota
Precz z psem, co kąsa milczkiem! Patrzajcie! zgryzota
Poturbowała dzieci, co na mojéj pieczy
Dobrze że się kochacie!

JERZY.

O tak w saméj rzeczy
Gdyby nie mój Jakóbek.

JAKÓB.

Gdyby nie mój Jerzy!

CHODKIEWICZ.

Otóż idzie królewicz. Zacząć rzecz należy.

Królewicz wchodzi.

Scena 3.

Władysław. Chodkiewicz.

WŁADYSŁAW.

Odejdźcie!

CHODKIEWICZ.

Długo czekam na wasze przybycie

WŁADYSŁAW.

Odpoczywałem.

CHODKIEWICZ.

Aha!

WŁADYSŁAW.

Słabym. Wybaczycie.

CHODKIEWICZ.

Nowe z Warszawy dziwy przedłożyć wam muszę.

pokazuje list.

WŁADYSŁAW.

Potwarz! potwarz ohydna! Żmiję tę uduszę!

CHODKIEWICZ.

Co robicie w komorze królewiczu panie
Nie wchodzę, w polu tylko nie w izbie hetmanię
Tuszę, że wszystko potwarz, chociaż wiek mój stary
Zasłużył, byście baczni na królewskie zdanie
Nie miewali sekretów, królewiczu panie!

WŁADYSŁAW.

Tą razą słowo wasze skutkować nie może
Nie mogę wam powiedzieć, co robię w komorze.

CHODKIEWICZ.

A przecież już o mężu pogańskim pisano,
Że chciał mieć z szkła jasnego izbę zbudowaną,
Aby naród na czyny jego patrzał wolno.

WŁADYSŁAW.

Do takich animuszów dusza ma niezdolną.

CHODKIEWICZ.

Bardzo źle!

WŁADYSŁAW.

Jeźli chcecie, zawierzcie potwarzy,
Hetman pomiędzy wojskiem polskiém gospodarzy,
Królewicz przyszłe swoje moskiewskie poddanki
Na posłuszne sposobi żony i kochanki,
Musi sobie czas słodzić i smutek rozrywać,
Siedzieć u stóp kochanek i przy cytrze śpiewać.

CHODKIEWICZ.

Rozumiem! Oboźnego kazus jeszcze boli:
Hetmanem jestem, działam po hetmańskiéj woli.

WŁADYSŁAW.

Hańba Kazanowskiego na mą głowę spada
Hardzi jesteście panie, tylko duma blada
Mogła was do tak srogiéj popchnąć gwałtowności!
Duma wstrzymała impet waszego ramienia
Żeście mu dać nie chcieli zadośćuczynienia.

CHODKIEWICZ.

Nie dosiągnionym widać wźrokowi miłości
Waszéj. Dumnym to prawda, z poczucia godności

Podlegam ludzkim błędom, bo któż nie jest w błędzie
Lecz staram się — nie sobą być na mym urzędzie:
Hetmańskiego urzędu — nie mój, grom uderzył
W oboźnego, hetmańskiéj téj dłoni powierzył
Król syna, Pan Bóg Polski granice od Wschodu
Nie moją jest dłoń moja, gdym w służbie narodu!
Za powrotem do domu, gdy plagi za duże
Najchętniéj królewiczu — oboźnemu służę.
Wam, jeżeli dotknięci jesteście tą zwadą
Służę, jakem powinien, służę dobrą radą
Dołóżcie starań, aby odkryć nikczemnika
Co w tajemnice wasze w podłym celu wnika,
Wypędźcie go od siebie.

WŁADYSŁAW.

Znajdę go, wypędzę.

CHODKIEWICZ.

Jeźli zaś dobrze widział, jeźli jakie jędze
Złego w królewiczowskim zagościły dworze
Jeźli zgubnym podszeptom podaliście może
Posłuch lekki, ulegli słabościom natury:
Królewiczu! wy serce dźwignijcie do góry
Zerwijcie się! Czystego potrzeba nam pana!

WŁADYSŁAW.

Hetmanie!

CHODKIEWICZ.

Jeźli starca pogardzicie słowem,
Słuchajcie! mnie opieka tutaj jest oddana
Nad dwoma, zacnych rodzin zacnemi panięty:
Pilnować ich — mnie każe obowiązek święty,
Jeźli chcecie powietrzem oddéchać morowém
Oddalcie chłopców, biada! kto gorszy niewinnych.

WŁADYSŁAW.

Bądźcie spokojni! Do spółki nie trzeba mi innych
Sam za siebie przed Bogiem odpowiem i światem.

CHODKIEWICZ.

To mimochodem tylko, królewiczu panie
Żegnam. (odchodzi).

Scena 4.

Władysław potém Adam.

WŁADYSŁAW.

Z naszych tajemnic wiatr zrywa zasołny.
Pęknąć może przed czasem plan nasz utajony
Adamie!

ADAM (wchodzi).

Królewiczu?

WŁADYSŁAW.

Zdrada na nas czycha!
Król wiedzieć może wkrótce, co ta izba cicha
Mieści w sobie.

ADAM.

Tak ściany mają oczy, uszy
Gdym w owéj strasznéj chwili wypadł z szpadą w dłoni
Ktoś tu był. Nie pamiętam, człek traci w katuszy
Pamięć, dosyć, że był ktoś?

WŁADYSŁAW.

Był Jerzy i Tryzna
Był Jakób. Lecz cóż z tego?

ADAM.

On wié.

WŁADYSŁAW.

Więc by oni?

ADAM.

On wie! śmiał się dziś ze mnie i szpadę wskazywał.

WŁADYSŁAW.

A tyś gniewał się pewnie, że on się nie gniewał.
Rozumiem! całą słuszność ci królewicz przyzna!
Nieznośny! kogo w blask tak ubrała Ojczyzna
Że człowiek się zazdrosnym wydaje owadem
Szuka ciemni, bo zginie idąc jego śladem.
Trzeba podwoić baczność i strzedz naszéj nory
Trzeba przyspieszyć sprawę.
Prawda! niewiesz jeszcze
Że my w téj naszéj kuźni kujemy amory!

ADAM.

Amory!

WŁADYSŁAW.

Tak król pisze! I to jeszcze szczęście
Że szpieg głupi. Cierpieniem hartują się pięście

Twardzi na te moskiewskie pójdziem impostory,
Przed nami orły chwały lub sępy złowieszcze!
Powracam do Marcina (odchodzi).

Scena 4.

Adam, potém Jerzy i Jakób.

ADAM.

Ja rozpocznę łowy
Wczoraj wietrzył amory ten kapłan surowy
Jutro z jednego słowa, co padnie niebacznie
Prawdziwéj się przyczyny domacywać zacznie
Dzisiaj odkryć go trzeba, bo jutro on może.

Przechodzę myślą wszystkie osoby na dworze
A chociaż mojéj czapce hiszpańskiéj nie wierzę
Niemogę myśleć... Jednak... trzech ich wtedy było
Jerzy, Jakób i Tryzna... nie jesteśmy szczérze
Z oboma — to hetmańscy całą duszy siłą,
Gniewni, że sam posiadam królewicza serce
Żem ich wyparł, lecz oni... potwarce... oszczerce?
Mogę przed panem na nich ruszać ramionami
Ale nie mogę myśleć, że ich podłość plami!..

Ha! tylko cierpliwości... poco bezustanka
Myśl trapić? Kilka godzin ciszy i firanka,
Kto tajemnic komnaty królewicza bada
Przychodzi tutaj pod drzwi i ucho przykłada. (chowa się).

Wchodzi Jakób i Jerzy.

JERZY.

Tak! należy nam odkryć, odkryć rzecz tę całą
Niedosyć się usunąć, jak tego zachciało
Szlachetne, niepewnością trapione sumienie
Mam prawie pewność teraz.

JAKÓB.

Miałeś podejrzenie,
Silne, do tak wielkiego niedość pewne kroku;
Łatwo się mylą barwy w przestraszoném oku.

JERZY.

Byłem u méj chorągwi. Wiesz, że mnie jak dziecko
Słucha, że umię butę powściągać szlachecką
Towarzyszy, choć gromkich słów użyję rzadko.
Mam człeka, co prowadzi ją dzielnie i gładko

I wiem jaki w chorągwi duch i ferwor wieje.
Otóż dziś pytam. Stary: Źle się, mówi, dzieje
I jakąś tajemniczą a smutną ma minę —
Biorę Działosza na bok, pytam o przyczynę.

JAKÓB.

I cóż?

JERZY.

Wiesz, że Chodkiewicz, w myśl młodego pana
Uważaj, że w myśl jego, nudził go od rana
Do południa, przeróżne podając motywa
Że Chodkiewicz, naszego hardego Gradywa
Marcina, tuż po zwadzie i plagach posadził
W osobny obóz. Motyw: by się spór wygładził
Aby nie było bójek Koroniaszy z Litwą;
Czuł może stary, że tę przesądził gonitwą
Że się uniósł. Co więcéj, rozkazał by nasze
Chorągwie poszły także, między Koroniasze.

JAKÓB.

Cóż z tego?

JERZY.

Na złe wyszło to odosobnienie!
Ten obóz się oderwie, pójdzie na skinienie
Marcina a królewicz pójdzie za Marcinem:
Wszelka między rycerskim jest gotowość gminem
Szemrzą na Chodkiewicza, na powolność srożą
Z jaką zdobywa Wiazmę.

JAKÓB.

Bunt!

JERZY.

Buntem nie grożą,
Bo oni pójdą sami, pójdą zginąć marnie
Szatańska Kazanowskich duma ich ogarnie.

JAKÓB.

Więc takich ma być owych niezgód dworu skutek?
Królewicz nasz!... mój Boże, nie! to niesłychana!

JERZY

Czyś nie widział na twarzy jego? Jaki smutek
Jak mu czasami oko zabłyśnie pożarem
Jakby polskim nad Kremlem powiewał sztandarem!

Cięży mu ta żelazna buława hetmana —
Ojca mu jezuicka cięży dyscyplina
Orzeł poczuwa skrzydła, w klatkę bić zaczya!

JAKÓB.

Jerzy! to idźmy za nim i gińmy z nim razem
Kto wie, co Bóg wszechmocny w dłoni jego chowa
Kto śmiały, samo piekło zdobędzie żelazem,
Idźmy z niemi!

JERZY.

Nie taka dziadów naszych mowa:
Nad śmierć piękną i laury w szkodliwéj szermierce
Dobro Ojczyzny winno kierować dziś nami,
Nad zapał, co młodemi porywa ogniami
Wyższy rozkaz sumienia, choć obraża serce.

JAKÓB.

Lecz uważ, uważ Jerzy, zastanów się jeszcze!
Czy powściągniesz twym krokiem niezgody złowieszcze
Czyli na odwrócenie złego go wystarczy?
Rozważ, jaki straszliwy zarzut nas obarczy,
Żeśmy tu królewicza szpiegowali sprawy.
Ha! wiesz, ile boleści sprawił ten ciekawy
Ten podły, który listy do Warszawy pisze!
O Boże, gdzież nas straszna nawałność kołysze?

JERZY.

Si fractus illabatur! rzekł poeta stary,
Mniejsza, byleśmy Polsce pochowali wiary!
Dziesięć tysięcy braci z przyszłym Polski panem
Zrywają w obec wroga wspólnictwo z hetmanem
W przepaść awanturniczéj rzucają wyprawy
Dobro Polski, cześć tronu i kościoła sprawy:
Warchoł jeden z prywatnéj wiedzie je urazy
Bóg mi dał wiedzieć o tém! Nie! nie dam dwa razy
Wołać o to na siebie, pod korcem nie skryję
Światła, cokolwiek na to rzekną krzyki czyje.

JAKÓB.

Masz słuszność! Małodusznym byłem drogi Jerzy
Więc cóż poczniesz?

JERZY.

Do króla pisać nam należy.

JAKÓB.

Do króla?

JERZY.

Tak do króla. Niechaj sam tu zjedzie
Lub senatorska zaraz komisya przybędzie
Zdusić zamysł i zgodę zbudować na nowo.

JAKÓB.

Czy hetman niewystarczy?

JERZY.

Oj ty pusta głowo
Gdzieżeś był, gdy pan Marcin po plecach obrywał?

JAKÓB.

Prawda! sam Jowisz by się więcéj nie rozgniewał
Jak on, gdyby o całéj dowiedział się sprawie,
A rzecz by się straszliwie skończyła i krwawie.
Ale czy król uwierzy?

JERZY.

Sprawi Bóg wieczysty
Gdy my sprawimy swoje.

JAKÓB.

Chodźmy pisać listy. (odchodzą).

ADAM (wyskakuje z za firanki).

Ha! głowa! głowa! głowa! Nie stawał pod drzwiami
A widział, jakby patrzał własnemi oczami!
Statysta! Nienawidzę! a podziwiać muszę
Szlachciura! z kąd on wyrwał taką wielką duszę?

Ale nasz wielki zamysł?! Zanim list dojedzie
Stanie się, co przewidział i zapóźno będzie!
Nie tak to prędko nasze gonią senatory,
Przyspieszym, dzielne ramię przełamie zapory.

Lecz jego bystre oko, każdy ruch wyśledzi
Przy nim nie spełnim swego, on jak sokół siedzi
Czuwa, w ostatniéj gotów uprzedzić godzinie
Hetmana.

Buntu niechcem. Dosyć krwi popłynie
Twarda czeka nas próba, krwi oszczędzać trzeba

Tam w Moskwie nasza trumna lub chwały koleba.
Co czynić?
Ho! ktoś idzie? Skryć się nie zawadzi.
(chowa się).

TRYZNA.

Statyści do pisania zasiedli za stołem,
Królewicz jeszcze ciągle z swym miłym warchołem.

Ho! ho! coś pan królewicz długo tutaj radzi
Żeby choć mała szparka, jak denar maleńka.
(podchodzi pod drzwi).
Nic! nic! Żadnego widać nie trzeba okienka!
Mój Boże, jak się łatwo człek ku złemu skłania!
A może tam co słychać? Co? pocałowania
Szepty miłosne — hm! hm! Nic nie słychać z goła
I to bywa, gdy cisza północy do koła.

Jutro poczta odchodzi — na dworze ciekawi.
Święty Jacku! nie dobrze się ten panicz bawi
Z niepobożnemi, wedle słów proroka, mieszka,
Niema to, jak ten pasek świętego Franciszka
A radziłem, by włożył.

ADAM (wypadając).

A! mam cię łotrzyku!

TRYZNA.

Co to? święty Jacenty?

ADAM.

Mam cię!

TRYZNA.

Nieróbkrzyku!
Czego chcesz?

ADAM.

Ty potwarcze te pisujesz listy.

TRYZNA.

Pohamuj się rybeńko! Napad oczywisty!
(n. s.) Jak się z tego wykręcić? hu! krucha robota!

ADAM.

Gadaj bo cię zabiję!

TRYZNA.

Nie tak znowu żwawo
Te listy...

ADAM.

Gadaj łotrze!

TRYZNA.

(n. s.) Ha! święty Jacenty
Dziękuję! Doradziłeś jak prawdziwy święty...
(g.) Te listy?... Wiem kto taką zabawia się sprawą
Te listy Jakób zawsze pisuje i Jerzy
(n. s.) Drapnę tymczasem... ho! ho! drapnąć mi należy...

ADAM.

(n. s.) Ha! jaka myśl!

TRYZNA. (n. s.)

Niech piorun nieuwagę trzaśnie.
(głośno) W téj chwili taki oba list pisali właśnie
(chce uciec — Adam go chwyta).

ADAM.

Czekaj łotrze! Potrzebnyś. Jaka myśl szatania!
Diabeł chyba kieruje te usiłowania
Że ją poddał. Tchórz taki, co się w drodze wstrzyma!
Odwagi! Ten mnie Jerzy świdruje oczyma...
Nie! nie samą się cnotą wielkie robią czyny
Cezar a bywał z młodu w szkole Katyliny.
(otwiera drzwi do komnaty królewicza).
Ha! zaiste — tę sprawę okupuję drogo!
Królewiczu, pokażęć kto sieje potwarze.

WŁADYSŁAW.

Kto taki?

ADAM.

Ten... ten Tryzna drogę nam pokaże.

TRYZNA (zaglądając do komnaty).

Głupia sprawa. A w izbie nie było nikogo!
(odchodzą).

Scena 5.

Zmiana dekoracyi — pokój Ossolińskiego. Jerzy — Jakób przy stole piszą list.

JERZY.

Skończyłeś?

JAKÓB.

Przejrzeć jeszcze należy pisanie.

JERZY.

Tytuł? adres?

JAKÓB.

Wypiszę: Najjaśniejszy panie
Majuskułami.

JERZY.

Dobrze.

JAKÓB.

Papier niezbyt świeży

JERZY.

Prawda, plama.

JAKÓB.

Przepisać — przepisać należy
Cóżby król o niebacznéj powiedział młodzieży?

JERZY.

Możeby jeszcze w stylu co trzeba poprawić
Cztery oczy bystrzejsze. Czy o królewiczu
Niezbyt ostro

JAKÓB (czyta).

„Podszepty ciągłemi bechtany“

JERZY.

Zwiedziony!

JAKÓB.

O oboźnym?

JERZY.

Że warchoł? Zostawić

JAKÓB.

O „gorączce“ hetmanie?

JERZY.

Prawda! Siwa głowa
My młodzi! Ale teraz potrzebne te słowa.

Wchodzi królewicz, Tryzna i Adam.

JAKÓB.

Przebóg! Królewicz!

JERZX.

Podaj mi pismo co prędzéj! (chowa papier)

WŁADYSŁAW.

Ha! takiéj się w Waszmościach nie spodziałem nędzy
Duszy, takiéj się po was nie spodział podłości!

JAKÓB.

Podłości? królewiczu!

WŁADYSŁAW.

W zanadrzu Waszmości
Jest list, gdzieście na pana pisali paszkwile.

JERZY.

Nie ma takiego listu!

WŁADYSŁAW.

Bezczelność w swéj sile,
W potędze, jakiéj rzadko młoda sięga dusza!
Trzy tygodnie tych listów trapi nas katusza
Rozbiliśmy się wszyscy, chodzimy jak mary
Nareszcie z twarzy podłych zleciały maszkary.

JAKÓB.

Jerzy! na miłość boską!....

JERZY (do Jakóba).

Pomnij na Mucyusza!

WŁADYSŁAW.

Oddaj list, plemię dawnych rycerzy spodlone!

JERZY.

Nie oddam królewiczu! (n. s.) Pod twoją obronę
Uciekamy się święta Boża Rodzicielko.

WŁADYSŁAW.

Oddaj list! Ty drżysz cały.... Chcę mieć pewność wszelką.

JERZY.

Nie oddam!

WŁADYSŁAW.

Ha! rozumiem. Jeszcze iskra cnoty
Tli w tobie! Nie chcesz słyszeć słów twojéj sromoty!
Czczę tę iskrę, odchodzę. (odchodzi).

JERZY (za odchodzącym, głucho).

Królewiczu panie! (mdleje)

ADAM (n. s.)

Wytrzymałem! Trzymałeś mnie za łeb szatanie!
(zbliżając się trwożnie do zemdlonego)
Czy on umarł?

JAKÓB.

Oddécha.

ADAM.

Żelazne ma serce!
Ha ileż trzeba chwały, aby zmyć oszczercę.
odch. (zasłona spada).

AKT TRZECI.

Scena 1.

Jerzy — Jakób.

Jerzy zatopiony w księdze nabożnéj — Jakób w głębokim smutku obok pogrążony.

JERZY.

Jakóbie! czy ty listy wysłałeś do domu?

JAKÓB.

Chciałem je wysłać — oddać nie było ich komu.

JERZY.

Jak to?

JAKÓB.

Jak od tchnącego zarazą morową
Stronią odemnie wszyscy i słyszałem słowo....

JERZY.

Jakie słowo....

JAKÓB.

Szpieg!

JERZY.

Prawda!

JAKÓB.

Uciekłem co żywa.

JERZY.

Pójdę ja.... Ja mam skórę mniéj jak ty dotkliwą,
A listy trzeba posłać, przesłać pożegnanie
Człowiek nie kamień; kto wie co się jeszcze stanie,
Nie chce Bóg, byśmy w swoich pomarli pamięci.
Jakóbie, dzisiaj wieczór potrzeba pieczęci
Czynów naszych — musimy uciec do Warszawy.

JAKÓB.

Jerzy!

JERZY.

Przecieś ojczystéj niezapomniał sprawy
List nie dojdzie do króla, musimy biedz sami.

JAKÓB.

Boże mój, to tam wiedzą, żeśmy nie....

JERZY.

Szpiegami,
Lecz jeszcze jedna ciężka tu nas próba czeka,
Módl siły mój Jakóbie, rzecz stoi jak stała,
Nie możem rzucić hańby, która nas spotkała,
Nie możem mu powiedzieć.

JAKÓB.

Za wiele na człeka....

JERZY.

W téj księdze wzorów wielkich na wszystko ci stanie,
Czytaj drogi! Chrystusa to naśladowanie.
Daj mi listy, ja pójdę.

JAKÓB.

Ha! hetman przybywa.

(Głos hetmana za sceną).

Postawić straże! Biedna głowa ma sędziwa!
Tegom się od młodego nie spodział plemienia.

Scena 2.

(Wchodzi Chodkiewicz, Jerzy, Jakób).

CHODKIEWICZ.

Czy to prawda?
Milczycie!

JAKÓB (słoniąc się na stół i płacząc)

Jerzy! Jerzy! Jerzy!

JERZY.

Jakóbie! Boga w pomoc, wytrwać nam należy.

CHODKIEWICZ.

W bojach i ludźmi różnemi osiwiałem stary....
Przychodzę was zapytać, bo nie chcę dać wiary.
Czy to prawda?
Milczycie?

JAKÓB.

On nie chciał dać wiary!

JERZY.

Jakóbie!

CHODKIEWICZ.

Po raz trzeci, braci moich dzieci
Zacnych domów potomki pytam się — raz trzeci....
Ha! oderwać im kordy! Stańcie w nędzy nagiéj!
Jutro przed całym dworem.... plagi!... plagi!... plagi!...
Ubiję pod plagami!... (odchodzi).

JAKÓB (oddając kord).

O bezdenny wstydzie! (słabnie)

JERZY.

Nie! takiemu gorączce nie można powiedzieć....
Jakóbie! Boże! Boże! któż na pomoc przyjdzie
Jakóbie! Pan Bóg z tobą!

JAKÓB (zrywając się).

Ja muszę powiedzieć....
Plagi przed całym dworem.... szabla moja.... Jerzy
Puść mnie! Ja oszaleję.... Puść mnie!

JERZY.

Chwilę jeszcze
Jeszcze Bogu tę sprawę poruczyć należy,
Matki Boskiéj opieki wezwać! Na kolana!
Boże! Boże! już siła nasza wyczerpana!
Mówmy: Kto się w opiekę....

(Modlą się chwilę.— We drzwiach zjawia się Nowodworski).

Scena 3.

Nowodworski — Jakób — Jerzy.

NOWODWORSKI.

Pokój nam! niechaj Chrystus będzie pochwalony

JERZY i JAKÓB (zrywają się).

Na wieki wieków!

NOWODWORSKI.

Wyrok wasz został cofniony!
Nie pójdziecie w publiczną, młodzieńcy pogardę,
Lecz ze mną u bram Wiazmy założyć petardę.

JERZY.

Ktoś jest, co się nam tutaj zjawiasz miast anioła?

NOWODWORSKI.

Nowodworski, służebnik Polski i kościoła.
Mam płacić dawne grzechy, tłumić dawne bóle,
Więc idę, gdzie za Chrysta otwiera się pole

Boju, idę, gdzie sztandar ojczysty powiewa,
Szukam śmierci, co chlubna będzie i szczęśliwa.
Grzesznik jestem, więc cudze wyrozumiem grzechy,
A gdzie mogę, tam słowo przynoszę pociechy.
Pójdziemy do spowiedzi — a ztamtąd pod bramy
Wiazmy.... tam z krwi się może nasze zmyją plamy.

JERZY.

Boże! dzięki! Ty człeka nie kusisz nad siły,
Ty przybywasz z pomocą Panie Boże miły!
Kawalerze, którego zna Ojczyzna cała,
Ręka niebios nam biednym na sukurs cię słała.
My niewinni!

NOWODWORSKI.

Zacz trafia was tyle zniewagi?

JERZY.

Oto list, który pisać obowiązek kazał....
Innym uczynkiem nad ten, nikt się nas nie zmazał
Inna, zbrodnicza tamte pisywała ręka,
Przychwycono nas przy nim, tkanka straszna, cienka
Oplotła nas — z ojczyzny rwać ją trzeba szkodą
Było, więceśmy głową nadsławili młodą.
Chcieliśmy dziś uciekać, pod potępień groz,
Biedz do Warszawy, króla uprzedzić zawczasu,
Wtedy nas tu zamknięto z hetmana rozkazu
I modlitwa nas tylko strzegła od rozpaczy.
Panie! Bóg nas wam zesłał. Stało się inaczéj,
Wasze go własne ręce do króla zawiozą,
Powiedzcie, żeśmy prawdę krwią naszą i łzami
Stwierdzili, żeśmy pod Wiazmy zginęli murami,
Bo wy tam nie pójdziecie — my tam pójdziem sami!

NOWODWORSKI (przeczytawszy list).

Boże, jakążeś radość méj duszy zgotował,
Jakiś dał nektar, bym go pierwszy pokosztował,
Jakąś perłę w niegodne moje spuścił ręce!
Dzieci! ależ ja cały rozum mój poświęcę
Aby tego hetmana gorączkę ukoić
Biorę list, ten go przecie zdoła uspokoić.

JERZY.

W tym liście jest o buncie obożnego mowa,
W wojsku tleje zarzewie.... Ogniem są te słowa,
Sprawa nasza doleje do ognia oliwy
Tu — tylko król poradzi.

NOWODWORSKI.

Tyś kanclerz prawdziwy!
Oby kiedyś gdy rządzić Polski będziesz kraje
Tak cię słuchała Polska, jak ja posłuch daję!
Jadę do króla, chłopcy.

JERZY.

My zaś tam — pod bramy!

NOWODWORSKI.

Nie mogę was tam puścić.

JAKÓB.

My nie zniesiem plamy!
Na jutro hetman....

NOWODWORSKI.

Prawda!

JERZY.

Zapowiedział plagi!

NOWODWORSKI.

Więc ja z wami?

JERZY.

Któż Polskę i króla ostrzeże
Jeźli was trafi kula, kto, nasz kawalerze
Powie światu, rodzicom, żeśmy nieshańbieni
Jeźli pod bramą Wiazmy padniem ugodzeni?

NOWODWORSKI (słychać trąbę).

Czas szturmu, wielki Boże! Nie! wy nie zginiecie
Ojczyznie takich mężów potrzeba na świecie,
Przez krwawe nasze prace, dziejowe zasługi
Nie zginiecie, Bóg żywot piękny da i długi!
Idźcie moje sokoły, idźcie orły harde
Przeprowadzę przez straże i dam wam petardę. (odchodzi.)

Scena 4.

Władysław — Adam.

ADAM.

Cóż się stało?

WŁADYSŁAW.

Bóg zesłał nam pocieszyciela.
Hetman, co w gniewie swoim niepomni rozwagi,
Jakóba i Jerzego osądził na plagi.

ADAM (chce się rzucić do jego nóg).

Plagi! Mój królewiczu.

WŁADYSŁAW.

Szczęściem, że się zjawił
Nowodworski i z tego kłopotu wybawił.
Uprosił, by z chłopcami podsadził petardę
Pod bramę wschodnią. Poszli....

ADAM.

Zginą!

WŁADYSŁAW.

Lecz z honorem!

ADAM (na st.)

Dwie dusze na méj duszy!

WŁADYSŁAW.

Zkądżeś tak z faworem
Dla nich?

ADAM.

Ha! ha! to jam ich na śmierć wyprowadził! (wypada)

WŁADYSŁAW.

Co to ma znaczyć? Przestrach mnie jakiś napada,
Poleciał — na rumaka bojowego siada,
Leci ku bramie wschodniéj. On ich naprowadził
Na śmierć?
Ha! więc on miałby wojować potwarzą....

(klaszcze w ręce.)

Wołać Tryzny!

PAŹ.

Królewska Mość raczy darować
Tryzna przepadł téj nocy.

WŁADYSŁAW.

Przepadł! wielki Boże!
Co to znaczy! Chłopcy tak zacne i hoże,
Niepodobne tak na to, to jakaś straszliwa
Tajemnica w téj sprawie smutnéj się ukrywa.

Jerzego księga modlitw otwarta.... zmoczona
Łzami — na Dawida psalmach odchylona,
Tu porzucone jakieś Jakóba pisanie,
Czytajmy: „My niewinni królewiczu panie!"
Co to jest?

Scena 5.

Władysław — Nowodworski.

(pokazuje się we drzwiach.)

Nie! nie byłby król z młodzieńca prawy
Gdybym z tym listem musiał jeździć do Warszawy.
Tutaj załatwię sprawę.

WŁADYSŁAW.

Wy, panie? i sami?
Zginęli!....

NOWODWORSKI.

Giną może pod Wiazmy murami.
Oto list który oba do króla kreślili.

WŁADYSŁAW.

Ha! stary
Milcz mi! zapomnij słów tych ukradzionych dźwięku
Zapomnij! żeś je widział! Wróciły! mam w ręku
Co mi porwała zdrada dworzanów nikczemnie.

(drze list.)

Oni zginą.... Ty będziesz milczał....

NOWODWORSKI.

Żyją we mnie,
Ja je, Ojczyzny sługa, królowi odniosę,
Odniosę ten czyn dzielny szlachetnéj młodzieży,
Co się chciał z rąk dumnemu wydrzeć szaleńcowi,
Ojczyznie hufiec dzielnych uchować rycerzy.
Odniosę — aby wiedział i syna ratował,
Którego bezsumienny człowiek opanował,
Który, chcąc w bohaterskiéj zajaśnieć postaci,
Waży przyszłość pokoleń i krew drogą braci.
Którego duchem dzisiaj tak ślepota włada
Że nie wie jak szlachetność — a jak podłość gada.

WŁADYSŁAW.

Kawalerze! ta mowa! Bij się kawalerze,
Jednego z nas Bóg niech lub szatan zabierze.

Dwaj wiedzieć nie możemy — dwóch żywych z téj sprawy
Wyjść nie może, pod wagą hańby i niesławy!
Broń się!

NOWODWORSKI.

Broni na pana przyszłego nie wzniosę.

WŁADYSŁAW.

Broń się, bo cię zabiję!

NOWODWORSKI.

A więc o śmierć proszę,
Abym takiego w Polsce nie widział zwierzchnika.

WŁADYSŁAW.

Kawalerze! Ha! jakaż przepaść się odmyka
Przedemną.... O ty nie wiesz, nie wiesz kawalerze
Co mnie z Marcinem w straszne popchnęło przymierze....
Nie wiesz ilem wycierpiał, nie wiesz jak się miota,
Młody duch, gdy mu włożą więzy choćby z złota,
Nie wiesz, jakie téj piersi biednéj szamotanie
Gdy wszystko — wszystko w poprzek młodej duszy stanie,
Gdy męczarnią jest każda żywota godzina....

NOWODWORSKI.

Wiem ja i wskażęć przykład koronnego syna
Szlachcica, co był większą boleścią rozbity.
Patrzaj wraca z pod Wiazmy....

Scena 6.

(Kazanowski i Jakób wnoszą rannego Jerzego.)

NOWODWORSKI (na st.).

Boże! on zabity?

JAKÓB.

Ranny mocno, na polu opatrzylim rany....

ADAM (bieży do królewicza).

Panie! składam u stóp twych miecz mój pokalany,
Rycerskie od nóg moich odrywam ostrogi.
Wołaj straży! niechaj mnie weźmie.

WŁADYSŁAW.

Co mój drogi?
Szalejesz!

ADAM.

Wielką! wielką splamiłem się plamą.
Ci oba.... którzy byli pod wiazemską bramą
Niewinni! Tryzna szpiegiem był na twoim dworze,
Jerzy przeniknął cośmy robili w komorze,
Ja wysłuchałem jego z Jakóbem rozmowy....
Potém złapałem Tryznę, jak się do alkowy
Podkradał — oni oba list wtedy pisali
Do króla.... Tryzna na nich ciężar winy zwali....
Ja.... ja....

JERZY (budząc się z omdlenia).

Gdzież ja to jestem?....

JAKÓB.

Uspokój się Jerzy!

JERZY.

Nowodworski pojechał?

NOWODWORSKI.

Przy twém sercu leży.

JERZY.

Jedźcie na miłość boską! jedźcie kawalerze!
Spieszcie.... czekajcie, jeszcze list, który odbierze
Mój ojciec.... jeźli umrę, mówcie w jakiéj sprawie....

ADAM.

I ja — i ja.... przyjąłem co mi poddał niecny
Aby ukryć sekret komory.... ja bezecny....

JERZY.

Ha! królewicz!

WŁADYSŁAW.

We śnie-że jestem czy na jawie!
Kawalerze!

NOWODWORSKI.

To przykład który wam podałem.

WŁADYSŁAW.

I niepróżno! Podziwiam.... wielbię sercem całém
Gnij się! ty hardy karku! uznaj co należy....
U stóp twojego łoża, bracie mój, mój Jerzy
Składam moje twą cnotą rozbite zamiary,
Nie pójdę sam pod Moskwę, lecz gdzie hetman stary

Wiedzie nas, tam poniosę serce niezazdrosne
A zażądam twéj dłoni, gdy ciebie dorosnę.
Dwóch was, w takiéj męczeńskiéj wytrzymało próbie
Czemuż miast sobą, tobą nie jestem Jakóbie?

JERZY.

Królewiczu! Narzędzie znać było z nas Boże,
Boże ojców! dziękuję, dziękuję w pokorze!!!
(słania się na łoże.)

WŁADYSŁAW.

Nieba wielkie! on mdleje....

NOWODWORSKI.

Gdyby w takiéj chwili
Skonał, miałby śmierć piękną.... lecz Bóg go posili,
Zwycięży słabość ciała Rzymianina dusza
Nieskona, kto nie umarł w męczarniach Mucyusza,
Nieskona, bo Ojczyznie, by nie padła marnie
Trzeba synów, co takie znieść umią męczarnie!
Patrzcie już się żelazna natura podnosi (słychać trąbę)
A oto właśnie trąba wzięcie Wiazmy głosi,
Któréj bramy zabójczą otwarli petardą
Hetman z swoją drożyną zwycięzką przybywa.

ADAM (n s.)

Hetman! ha! śmierć nas jedna zratuje Marcinie!
(zrywa się i ucieka)

JERZY (porywa Adama i zatrzymuje.)

Stój mój bracie! Adamie! Nikt tu z nas nie zginie
Skoro Bóg tak łaskawym był nam tutaj panem!
Potrzeba całą rzecz tę ukryć przed hetmanem!
Nie może wiedzieć, co się działo między nami,
Boby nam tu Jowisza zadzwonił gromami
A Bóg sam już każdemu karę tu wymierzył.
Adamby hańby stryja i własnéj nie przeżył
I gotów by bezbożną unieść się rozpaczą...

ADAM.

Jerzy! jeszcze przebaczasz! Nie chcę przebaczenia
Zginę, jeźli przebaczysz.

JERZY.

Więc z twego cierpienia
Z łez tych, któremi dumne myśli twoje płaczą
Z łez tych, z których podlecisz fenix odrodzony.

Zmyć grzech, w szalonéj celach ambicyi spełniony,
Z całéj ciężkiéj twojego upadku katuszy
Zrób ofiarę dla tego, którego tam w duszy
Kochasz bardzo....

WŁADYSŁAW.

Tak dla mnie... dla mnie zrób Adamie!
Nikt prócz nich, o mym błędzie i o twojéj...

ADAM.

Plamie...
Nie będzie wiedział prawda! lecz ja... ja na świecie
Mam żyć z tym... tym, którego wielkość tak mnie gniecie...
Nie!... nie!... puście mnie... puście...

JERZY.

Więc zrób tę ofiarę
Dla téj, któréj twe dziady poprzysięgły wiarę,
Któréj z przyczyny tego sekretu odkrycia
Mogą grozić zamieszki! Stryj na wojska czele
Wiernego, będzie bronił honoru i życia
Hetman...

ADAM

A więc ja z stryjem! stryja los podzielę...

NOWODWORSKI.

Przestań Jerzy! w kim Polska nie piérwszą miłością
Stracony, bo się dziadów sprzeniewierzył kościom!

ADAM (pada na ziemię)

Jerzy! Jerzy! twe nogi całuję w pokorze.

JERZY.

Bracie! Bracie!

NOWODWORSKI.

Na wszystkich padło światło Boże
Hetman blisko! Kanclerzu przyszły, radź kochanie...

JAKÓB.

Czyliby nie przydało się tu rozwiązanie
Jak to często we włoskich komedyach bywa?...
Królewicz się alchemią zajmował w komorze,
My listy do białychgłów pisali w téj porze
Kiedy królewicz nadszedł.

NOWODWORSKI.

Brawo! Myśl szczęśliwa
Widać że Waszmość w takich materyach obyty
Jerzy — spocznij. Lecz tygle?

ADAM.

Są tygle po Tryznie
Łotr szukał złota w tyglu i brał w gotowiźnie

(Władysław, Adam odchodzą.)

Scena 7.

Chodkiewicz. Jakób. Jerzy. Nowodworski.

CHODKIEWICZ.

Gród zdobyty!
Lecz mi jak koń niesforny szły te Koroniasze
Ty tu! Jerzy zabity... dobrze że zabity...
Zleć dał Bóg, że mi żywy powróciłeś Wasze...
Teraz Waszmość mi szablę od boku odpasze,
Pójdziesz pod straż...

(Jerzy rusza się)

I ten mi się nieboszczyk rusza
Bieda! że w tych Polakach taka twarda dusza...

(spostrzega Nowodworskiego)

Waszmość tu? Jakże się tam zdrajcy popisali?...

NOWODWORSKI.

Szli jak lwy

CHODKIEWICZ.

Jak lwy mówisz?

NOWODWORSKI.

Jak lwy szli mój stary!

CHODKIEWICZ.

Pokazuje się przecie, że ich hańba pali.

NOWODWORSKI.

I męztwo to, w ich winę niezachwiałoć wiary?

CHODKIEWICZ.

Mnie? Cóż mi już do nich? Nie myślę o wstydzie
Smarkaczy, lecz mi tylko o rodziców idzie
Co tu do nich napisać, i co z temi robić?
Wielka szkoda, chęć miałem po ojcowsku obić,
Odesłać, lecz walecznych jak tu bić rycerzy...

WŁADYSŁAW (wchodzi z tyglami.)
Hetmanie, sekret izby tu przed nami leży,
Tego co go przez szpary szpiegował ciekawy
I listy o amorach pisał do Warszawy
Nie ma już, choć sowite zasługiwał baty —
Uciekł, ubrawszy innych w zbrodni swojéj szaty.

CHODKIEWICZ.
Więc oni... Lecz mi Waszmość zamącacie głowę....
Tygle, tygle... ojcowskie dziedziczysz znać gusta
Ale nie o tém mowa.... więc...

WŁADYSŁAW.
Nie ma łotra i oszusta
Ale są ci niewinni ci jako śnieg biali.

CHODKIEWICZ.
Ale pisali listy... chowali... nie dali
Czytać... pytałem przecie nie odpowiadali...

WŁADYSŁAW.
To listy do białychgłów...

CHODKIEWICZ.
Ha! ha! tam do kata!
Znowu baby... i sroga za baby zapłata!
No! aleź czczą i bardzo widać kochać muszą...
Daj im Panie! najlepiéj! Chłopcy z czystą duszą.
Pójdźcie do mnie... no patrzcie... to kazus nie mały
Dałyż im te amory, chłopcom moim dały...
A przeciem się was pytał...

JERZY.
To nie wypadało
Powiedzieć...

CHODKIEWICZ.
No to i jakże się w końcu wydało

NOWODWORSKI.
Mnie powiedzieli idąc pod mury z petardą.

CHODKIEWICZ.
No! chłopcy, przy czci niewiast stanęliście twardo
Przy bramie Wiazmy uszy trzymali do góry,
Piękne to na Waszmości przyszłość konjunktury,
Niech na kanclerstwo bodaj jeden pisarz godzi
Drugiemu niech ta przyszła króla Polski zrodzi!

Józef Szujski.

Rzecz o szkołach naszych *)

III.

Zastanowiwszy się nad niedostatkami i wadami wytkniętemi w dzisiejszém szkół urządzeniu i szukając przyczyn tychże wad i niedostatków, przyznać należy, że głównie pochodzą one ztąd, iż cały ustrój szkolny jest z góry zaoktrojowany bez wszelkiego udziału kraju, a tém samém jako czysto abstrakcyjny, bo według pewnego wzoru dla całego państwa przykrojony, nietylko nie uwzględnia stosunków szczegółowych i odrębnych kraju i jego żywotnych potrzeb, lecz nadto nieraz nawet w rażącéj zostaje z niemi sprzeczności.

Kraj więc nie miał żadnego udziału w sprawie jednéj z najżywotniejszych, a nadto nie zostawiono mu nawet najmniejszego ani udziału ani wpływu na zarząd szkół w kraju istniejących i dla kraju przeznaczonych.

Nie na tém jeszcze koniec. Szkoła jako osobna dla się gałęź, jako odrębny organizm nie miały i nie mają dotąd osobnego z ludzi fachowych, sprawie edukacyjnéj wyłącznie oddanych złożonego zarządu; bo cały zarząd szkół spoczywa w ręku władz politycznych, a szkół niższych podzielony między też same władze i konsystorze.

To téż brak ten udziału kraju w sprawie szkół krajowych, brak osobnéj władzy szkołami zawiadującéj a wyłączny zarząd szkół w ręku władz administracyjnych czyli jak je u nas zowią politycznych, potęgował i potęguje jeszcze to złe wynikające z ustroju szkolnego przez rząd centralny zaoktrojowanego, a jak się powyżéj pokazało, w stosunku do potrzeb krajowych tak jednostronnego, a tém samém stanowi także jedną z najgłówniejszych przyczyn nie najlepszego stanu szkół naszych.

---

*) **Pierwszą część téj pracy zamieściliśmy zeszłego miesiąca. Patrz Przegląd Polski zeszyt VI. str. 508.**

Najsmutniejsze karty dziejów szkół krajowych to przeważnie skutki wpływu wywieranego na szkoły przez zarząd biurokratyczny, a zatém naturze czyli istocie szkoły obcy, przeciwny a tém samém i szkodliwy bo wpływ taki nie tylko krępu jeszkołę i tamuje jéj rozwój formami jéj zupełnienie odpo, wiedniemi, lecz nadto zmusza ją do służenia celom obcym do zastósowywania się do zmiennych, często poronionych systematów politycznych, przez co ją poniża a nieraz i demoralizuje, kiedy szkoła jako taka ma cel własny i jedyny: kształcenie i wychowywanie młodzieży sobie powierzonéj na uczciwych ludzi, dobrych i pożytecznych obywateli kraju i uzdolnionych pracowników w zawodach i kołach życia, w których im przyjdzie zająć kiedyś miejsce.

Wyłączny wpływ i zarząd polityczny szkół naszych wypierał przy każdéj sprzyjającéj sposobności język polski z wykładów we wszystkich szkołach od najniższych już po reformie po roku 1848 dokonanéj, która nakazała zaprowadzenie języka ojczystego do szkół niższych, a co do gimnazyów, a w ogóle szkół średnich orzekła wyraźnie w planie organizacyjnym, że język wykładowy stosować się powinien do potrzeb mieszkańców.

Temu to wpływowi i zarządowi przypisać należy, że postanowienie monarsze z dnia 9 Grudnia 1854, mocą którego udzielać miano wszędzie nauk w tym języku, który najwięcéj ułatwić może wykształcenie uczniów, a tylko w klasach gimnazyalnych wyższych przeważnie wykładać miano po niemiecku „nie zostało„ jak stwierdza list JCMości z 20 października 1860 do ówczesnego Ministra Stanu hr. Gołuchowskiego, „wykonane w sposób słusznym potrzebom ludności odpowiadający“.

Ten to wpływ sprawił, że postanowienie monarsze z 20 Lipca 1859, którem Najś. Pan zezwolić raczył, aby w okolicach, w których przeważna część ludności innym aniżeli niemieckim mówi językiem, odstąpiono od postanowienia z 9 Grudnia 1854 mocą którego w wyższych klasach gimnazyalnych język niemiecki ma być przeważnie wykładowym pomimo że umieszczone było w Dzienniku ustaw państwa (L. 150 str. 447 i 448) a po dzień dzisiejszy nie jest odwołane, nigdy nie weszło w życie; wpływ ten to sprawił, że praca komisyi złożonéj z ludzi fachowych i po owym liście monarszym do hr. Gołuchowskiego do Wiednia powołanéj, praca tycząca się uregulowania sprawy

języka wykładowego w naszych szkołach średnich, podziś dzień spoczywa w aktach biura ministeryalnego.

Wpływ ten sprawił, że w roku 1853 oddalono z Uniwersytetu Jagiellońskiego bez śledztwa kilku najzdolniejszych profesorów, a późniéj nieco zaproponowano pozostałym, aby prosili o zaprowadzenie języka niemieckiego w Uniwersytecie; po jakimś zaś czasie zaprowadzono rzeczywiście wykłady niemieckie bez względu na to, że byli tam profesorowie już starsi, którzy długie lata wykładali tylko po łacinie a potem po polsku, a zatém dopiero na starość do wykładów niemieckich wprawiać się byli przymuszeni.

Ten to wpływ wyparł niedawno z tegoż Uniwersytetu i znów bez śledztwa dwóch znakomitych profesorów, jakby mu nie dość było na owym pierwszym smutnéj pamięci eksperymencie.

Ten to wpływ, mówię, zdziałał był, że przed kilku laty wszystkie stopnie i rodzaje szkół naszych, jedną technikę krakowską wyjąwszy, były pomimo nazw szkół ludowych, gimnazyów, szkół realnych niższych i wyższych a wreszcie i uniwersytetów, niczem inném, tylko szkołami języka niemieckiego; koloniami do szerzenia giermanizacyi po kraju.

Gdyby ten wpływ nic więcéj nie był sprawił, to już tą jedną sprawą językową bardzo ciężko zawinił względem kraju i państwa i pozostawił sobie pomnik „trwalszy od Spiżu“ w rocznikach nie tylko szkół naszych, lecz i w dziejach pedagogii i dydaktyki w ogólności. Albowiem śmiało można powiedzieć, że osobna władza szkolna, gdyby nawet z cudzoziemców ale ze światłych pedagogów a nie nowożytnych błędnych rycerzy i kondotyerów w nauczycielstwie złożona, pedagogów sumiennych, dla których szkoła jest świętym przebytkiem wychowania i kształcenia, a serce i umysł młodego pokolenia najdroższym na ziemi skarbem; że władza czy to komisya taka, gdyby nawet zastała była w szkołach naszych język niemiecki jako wykładowy, to przypatrzywszy się czas krótki takiemu trybowi udzielania nauki, takiemu obarczaniu a tém samém przytępianiu władz umysłowych zamiast ich rozwijania najnaturalniejszym i najprostszym sposobem; takiemu marnowaniu drogich darów bożych, drogiego czasu i drogich przyrodzonych zdolności, takiemu mozolnemu obrabianiu pańszczyzny w plantacyach obce-

go ducha, a przez to zrażaniu prawdziwych nauczycieli chociażby cudzoziemców i zniechęcaniu się uczniów; że taka władza czy komisya szkolna podniosłaby głośny protest przeciw podobnemu naigrawaniu się z najprostszych, najelementarniejszych zasad wszelkiéj zdrowéj pedagogiki i dydaktyki.

Wszak ludzie, którzy we Wiedniu ułożyli w r. 1849 plan organizacyi gimnazyów i szkół realnych, pedagogowie z powołania wypowiedzieli chociaż między niemi nikogo nie było z nauczycieli naszych, wypowiedzieli, jak się już rzekło nieco wyżéj, całkiem wyraźnie, że „wybór języka wykładowego stósować się powinien według potrzeb ludności.“

Gdyby ten wpływ nic więcéj nie był sprawił! Ale wpływ ten i zarząd nie poprzestał na tém; owszem szedł on jeszcze daléj. On to zamieniał szkoły w zakłady policyjne, a nauczycieli w stróżów politycznego sposobu myślenia nawet dzieci i wyrostków; a tém samém zamiast rozumnego pielęgnowania i kiérowania uczuć młodzieży z domu rodzicielskiego wyniesionych, uczuć rozwiniętych pod wpływem tylowiekowéj przeszłości dziejowéj, słowem uczuć narodowych, starał się bądź stłumić, bądź zastąpić surogatem zaoktrojowanych uczuć i jakichś raz ciaśniejszych to znów obszerniejszych ojczyzn; a przez to zmuszał bądź do hipokryzyi, bądź wzbudzał w młodych sercach złowrogie ujemne czynniki, które jak każde licho jak najdłużéj powinny spoczywać nie budzone; on zamiast ojcowskiego karcenia wybryków pochodzących najczęściéj z tego właśnie, że uczucie narodowe, miłość i cześć dla własnéj przeszłości były tylko kontrabandą, ciągnął wyrostków przed trybunały polityczne i wydalał ze szkół całéj monarchii, a przez to wyrzucał wielu z drogi prawidłowego rozwoju i ciskał na kręte ścieszki i manowce pokątnego politycznego partactwa, a mierząc przytém zasługi nauczycielskie miarą nie pedagogiczno-dydaktyczną, czynił niemożliwém wychowanie w całém znaczeniu tego wyrazu. Właściwe bowiem wychowanie nie jest prostém zaopatrywaniem głów w potrzebne i niepotrzebne wiadomości i wiadomostki; nie jest téż i tresowaniem do pewnych zawodów; wychowanie prawdziwe a do tego publiczne liczyć się musi ze wszystkiemi wpływami wśród których młodzież od lat niemowlęcych wzrasta, z wszystkiemi własnościami i właściwościami osobistemi rodzinnemi i narodowemi uczniów, bo to są czynniki, których

nawet dekretem urzędowym zniszczyć nie można. Wychowanie prawdziwe ujmie je w rozumne karby i pokieruje ku temu, aby się wszystkie ułożyły w wychowańcach w zgodną całość i wydały owoc każdego zdrowego wychowania: ludzi żywych o jasnéj świadomości swego przeznaczenia, stósunków w których żyć i działać mają i obowiązków wynikających tak z owego przeznaczenia jak i owych stosunków, z silną wolą sumiennego pełnienia każdego obowiązku.

Czy blisko wiekowy zarząd polityczny szkół może się u nas poszczycić takiemi owocami wychowania pnblicznego, którém wyłącznie kierował i kieruje?

Zresztą czy może taki zarząd nawet przy najlepszych już chęciach z istoty swojéj podołać temu zadaniu? Czy w téj saméj istocie nie tkwi zaród koniecznéj jednostronności? Czy rutyna biurowa wystarczyć może do zawiadowania szkołą, która dziś urosła już w széroko rozgałęziony organizm o własném życiu?

„Tak jak nikt nie poleci prezesowi tybunału wypracowania nowego katastru celem uregulowania podatku gruntowego, nie powoła dowodzącego jenerała do reformy górnictwa, radcy skarbowemu nie przekaże organizacyi sztabu jeneralnego, a bogatego właściciela fabryk nie postawi na czele kryminalnego sądu: podobnie nie mogą sami duchowni i prawnicy załatwiać spraw szkolnych i niemi zawiadować. Tylko ludzie zawodu szkolnego z koła zakładów naukowych w ściślejszém znaczeniu słowa, łącząc z umiejętną gruntownością encyklopedyczny pogląd, jasne wnikanie w teraźniejsze potrzeby życia publicznego i bogaty zasób doświadczenia podołać mogą temu zadaniu a ich zbawienne działanie jako członków naczelnéj władzy szkolnéj będzie tem pewniejsze, jeźli dla uniknienia pedanteryi, jednostronności i krótkowidzenia, przewodniczyć im będzie umiejętnie wykształcony, światły mąż stanu, który jako każdy w tym wydziale pracujący radca ministeryalny wolny powinien być od ducha policyjnego pisarza i fabrykanta reskryptów.“

Jestto odpowiedź, jak sądzą, wymowna na pytania powyżéj zadane; odpowiedź nie moja, lecz zawarta w słowach bardzo światłego Niemca *), co przynajmniéj w kołach centra-

*) Pölitz: *Staatswissenschaftliche Vorlesungen.*

listycznych stanowić powinno jéj zaletę i świadczyć o skuteczności jéj treści.

Jestto odpowiedź w naszym razie tém wymowniejsza i bardziéj znacząca, że wypowiedział ją człowiek, który żył w stosunkach zupełnie prawidłowych, naturalnych jako Niemiec w kraju niemieckim, gdzie nikomu na myśl nie przyszło używać przy udzielaniu nauki w szkołach innego aniżeli ojczystego języka, gdzie i zarząd szkół chociaż polityczny był w rękach krajowców, których z krajem ten sam łączył interes. Tymczasem u nas ma się rzecz inaczéj.

Do tego myśl w owych słowach zawartą wypowiedział Pölitz nie dziś lecz już dość dawno; a tymczasem u nas i dawniéj i po reformie w roku 1849 dokonanéj o niéj ani słychu. Naszemi szkołami zarządzali i zarządzają władze polityczne, kierowali i kierują urzędnicy, o tyle znający szkoły, że kiedyś sami do szkół chodzili, a do tego do szkół zupełnie inaczéj zorganizowanych aniżeli dzisiejsze, któremi zawiadują. Inspektorami szkół ludowych są u nas dziś byli komisarze cyrkularni, a referentami ludzie, których poprzednie karyery wcale nie stykały się ze szkołami. Pölitz powiada, że zarząd szkolny wolny powinien być od ducha policyjnego; tymczasem wiadoma rzecz, że namiestnictwo lwowskie miało niedawno referenta szkolnego, który właśnie z biura policyjnego dostał się był na tę posadę. Są to wszystko anomalie dziwnie odbijające w obec dzisiejszego ogólnego kierunku dążącego wszędzie do podziału pracy i przydzielania każdego jéj rodzaju tym, którzy do niéj szczegółowo się uspasabiają. Uniwersalizm dziś zużył się w oświeconéj Europie, bo prawdziwy jest tylko wyłącznym przywilejem jeniuszów; u ludzi zwykłych jest on poprostu powierzchownością i płytkością, a każdy mi przyzna, że w sprawie tak ważnéj jak publiczne wychowanie, kwalifikacya tego rodzaju wystarczyć nie może, chociażby w ciągu czasu połączyła się z rutyną.

Szkoły nasze ludowe zostają pod zarządem konsystorzów, jak gdyby były szkołami ściśle konfesyjnemi. Tymczasem takiemi nie są i dobrze że niemi nie są, bo młodzież przeznaczona żyć kiedyś razem w kraju i dla niego spólnie pracować w zawodach życia społecznego, powinna się razem także wychowywać, przez co rozumiem nie samo pobieranie nauki.

Spólna ławka szkolna powinna być piérwszą podstawą późniejszego spólnego życia, spólnéj pomocy dla kraju. Szkoła publiczna jako zakład wychowawczy przyciera właśnie rogów wszelkim skrajnym odrębnościom czy to kastowym lub stanowym czy jakimkolwiek innym, bo łagodzenie wszelkich cech, nawyknień i wyobrażeń że tak powiem zaściankowych, przetapianie tych rodzimych kruszców na kruszce czyste czyli oczyszczanie owych żywiołów wyniesionych z różnych sfer domowych, społecznych i im podobnych z przymieszek, że się tak wyrażę, sztorcem wystających, a podnoszenie ich do cech prawdziwie ludzkich, aby się ułożyły w zgodną całość, to właśnie zadanie prawdziwego wychowania.

Zobojętnienia czyli tak zwanego indeferentyzmu pod względem religijnym nie ma się w takim razie co obawiać, jeźli tylko nauczyciele religii odpowiedzą należycie swemu szczytnemu i świętemu powołaniu.

W ostatnich kilkunastu latach zaczęła w szkołach naszych we wschodniéj części kraju występować coraz jaskrawiéj różnica obrządkowa i doprowadziła nie pod jednym względem do kroków, które nie tylko zdrowa pedagogia i dydaktyka, lecz samo uczucie chrześciańskie bezwzględnie musi potępić; bo podnoszenie téj różnicy z pobudek politycznych wynikłe a i do szkoły wniesione, łączy się niestety z wszczepianiem już w młodziutkie serca uczuć ujemnych, niszczących a nie budujących, a tém bardziéj rozstrajających i demoralizujących młodziutkie dusze maluczkich, że robota ta niechrześciańska łączy się ze świętą sprawą religii chrześciańskiéj.

Wreszcie i do zawiadowania szkołami ludowemi potrzeba ludzi fachowych; sam charakter kapłański do tego nie wystarcza; a nominacya urzędowa na scholastyka tak dobrze nie nadaje kwalifikacyi potrzebnéj duchownemu, jak jéj nie nadaje urzędnikowi politycznemu, jeśli się wyłącznie nie poświęcali zawodowi szkolnemu, który dziś w każdéj swéj gałęzi potrzebuje nietylko rutyny do załatwiania spraw bieżących i robienia referatów według utartych wzorów czyli tak zwanych „priusów“ *), lecz szczegółowych gruntownych studyów.

*) Przed kilkunastu laty opowiadano mi fakt następujący: Umarł przy jakiéjś szkole ludowéj dyrektor. Scholastyk pewnego konsystorza miał więc donieść o tém władzy politycznéj; rzekł więc do

Ale może kto na to zarzucić, że w szkołach ludowych głównie chodzić powinno o wychowanie religijne, zatém najwłaściwszym zawiadowcą szkół tych może być tylko kościół. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydać się może słusznem takie wnioskowanie, to zdawać się ono może takiém tylko niewprawnemu w rozumowanie słuchaczowi. Albowiem z założenia, że w szkołach ludowych chodzić powinno przedewszystkiém o wychowanie religijne — z czém się zupełnie zgadzam i dodam, że w każdéj szkole o nie chodzić powinno — wynika, że przedewszystkiém kościół ma obowiązek czuwania nad tém, żeby wychowanie było religijném, tudzież że w téj części wychowania, która właśnie na niego przypada, nikt go zastąpić nie może; ale udział w wychowaniu nie jest jeszcze wyłączném zawiadowaniem szkoły. Wyznaczenie osób do udzielania religii, czuwanie nad tém, aby nie udzielano w szkole niczego, coby podkopywało religijność i moralność uczniów, czuwanie, aby w zakładach nauczycielskich kształcono kandydatów w duchu religijnym, to prawa, których kościołowi nikt zaprzeczyć nie może. Udział więc w nadzorze nad szkołami służy kościołowi, a dziś ma on go i w szkołach średnich, chociaż niemi nie zawiaduje, a udział taki poręcza mu także konkordat ze stolicą apostolską zawarty. Ale zupełnie inna rzecz zarząd szkołami, do którego, jeźli ma być dobry, potrzeba koniecznie fachowego wykształcenia i usposobienia się.

Nie chodzi więc tu o wydobycie szkół z pod wpływu kościoła, lecz o zarząd wykonywany przez konsystorz; zarząd, który dotychczas niebardzo się przyczynił do podniesienia szkół; przez konsystorze, które u nas niewiele się różnią od innych urzędów, a w sprawach dydaktycznych i w sprawie języka wykładowego do tego stopnia ulegały prądom politycznym, że obojętnie patrzyły na wprowadzanie języka niemieckiego do wykładów religii po gimnazyach, kiedy poważne wdanie się ich w tę sprawę, stanowczy głos przeciw używaniu nauki religii jako środka do ćwiczenia uczniów w języku niemieckim, odniósłby był pożądany skutek, jeśliby już nie u władz politycznych lub w byłém ministerstwie oświecenia i wyznań,

kancelisty: „*Bringen Sie mir das Prius, wie ein Director stirbt*", t. j. kancelista miał mu przynieść z kancelaryi gotowy wzór konceptu, czyli zwany także w języku biurowym „szimel".

to niezawodnie u tronu, którego religijność znana przecież światu od czasów praojca dziś panującéj rodziny.

IV.

Z uwag dotąd rozwiniętych nad stanem dzisiejszych szkół naszych okazuje się, że szkoły te a z niemi i wychowanie publiczne pod wielu względami nie odpowiadają potrzebom krajowym; jednym bowiem nie czynią zadość, drugie zupełnie pomijają, inne wreszcie załatwiają w sposób nieraz nawet szkodliwy.

Zapytawszy się o najgłówniejszą złego przyczynę, mniemam, że się nie pomylę, jeźli wskażę jako najwłaściwsze i najobfitsze źródło to, że dotąd jak we wszystkich innych tak i w sprawach szkolnych radzono i stanowiono o nas bez nas. Z tegoto bowiem źródła wypłynął jednostajny dla całéj monarchii pod każdym względem ustrój szkolny; z niego jednostronny kierunek w tymże ustroju; kierunek, jak go powyżéj nazwałem, idealny, mający przeważnie na względzie kształcenie urzędników, a bardzo, bardzo mało zważający na inne potrzeby życia społecznego; z niego narzucenie języka obcego jako wykładowego; z niego wreszcie i zarząd szkół przez władze polityczne.

Tym sposobem stało się, że dzieci nasze uważał rząd jakby rzecz niczyją i zabierał je w swoją wyłączną opiekę i na własność swoją. Przypomina to wprawdzie pod pewnym względem stosunki spartańskie z tą tylko różnicą, że dotychczasowe wychowanie publiczne nie wychowywało dzieci naszych na Spartan, lecz na ludzi po największéj części nieporadnych, a chociaż zaopatrzonych zwykle w plik ogromny świadectw szkolnych, to przecież pomimo to a może właśnie dla tego nie tak łatwo znajdujących podstawę w życiu, chyba że im ją zapewnił tak zwany dekret i połączony z nim *„Zahlungsbogen“*.

Że na przeważnie tak kształconych pokoleniach nie może się opierać pomyślność kraju, a w skutek tego i kraj jako część państwa nie może w téj całości być tém, czémby być powinien na podstawie przyrodzonych tak materyalnych jak i duchowych zasobów, to rzecz łatwa do pojęcia.

Do niedostatków powyżéj wymienionych łączy się, a w znacznéj części z tego samego głównego źródła płynie i brak do-

statecznéj liczby należycie ukształconych nauczycieli i liche gospodarstwo szkolne w ogóle; o czém jednak jako o sprawie wymagającéj szczegółowego w drobiazgi na pozór obojętne wchodzącego rozbioru rozwinę w osobnym artykule szereg uwag, w których zajmę się także szczegółowym rozbiorem dotychczasowych planów szkolnych. Tu mi głównie chodziło o wytknięcie punktów kardynalnych, w których reforma bardzo pilna, a dokonana stósownie, uczyni możliwém i łatwiejszém naprawienie złego i pod innemi względami.

Wskazałem powyżéj jako najgłówniejsze źródło złego tę okoliczność, że dotąd radzono i stanowiono o nas bez nas. Rzecz jasna, że zatkać można to źródło tylko przez to, jeźli i my weźmiemy udział godziwy w radzeniu i stanowieniu o naszéj skórze. Dana nam do tego sposobność i środek w sejmie krajowym; wszelako sejm wszystkiego zrobić nie może i to nietylko dla tego, że jest jednym tylko czynnikiem ustawodawczym, lecz i dla tego, że reformy szkolne wymagają prac szczegółowych, którym reprezentacya krajowa zwłaszcza przy swym składzie teraźniejszym podołaćby nie mogła i któremi według dotychczasowéj praktyki sejmy nigdzie się nie zajmują. Sejm może wykazać potrzebę konieczną reform i wskazać w uchwałach swych kierunek, w jakim reformy odbywać się powinny, może uchwalić ustawę co do języka wykładowego w szkołach niższych i średnich; wreszcie i kwestya funduszów potrzebnych na podźwignięcie szkół bądź już istniejących, bądź na założenie nowych, bądź na polepszenie doli nauczycielskiéj, w pewnym względzie do sejmu należy, t. j. o tyle, o ile fundusz krajowy mógłby przyczyniać się w razach dopiéro co wspomnianych; funduszem bowiem szkolnym sejm nie zarządza, a to co skarb państwa łoży na nasze zakłady naukowe, należy dotąd do budżetu państwowego. Pomimo to jednak, chociaż zakres działania sejmu w sprawach szkolnych nie jest bardzo rozległy, obowiązkiem jest sejmu zająć się sprawą jedną z najważniejszych, sprawą dotąd bardzo zaniedbaną, a jeźli zrobi się to, co dziś zrobić można, to zawsze postawi się krok naprzód, po którym da Bóg pójdą i inne.

Przedewszystkiém chodzi dziś o to, aby szkoły nasze nie były tylko szkołami w kraju czyli w obrębie granic kraju naszego koronnego położonemi, lecz żeby się stały zakładami

krajowemi; staną się zaś niemi wtedy, jeźli oprą się na rzeczywistych stosunkach i potrzebach naszych, co znów wtedy tylko nastąpi, jeźli w kraju będą urządzone czyli zorganizowane, jeźli w kraju będą miały zarząd własny, w którym kraj udział brać będzie.

To miała na względzie komisya edukacyjna wyznaczona w przeszłym sejmie, kiedy wnosiła projekt do utworzenia osobnéj krajowéj władzy edukacyjnéj i zawezwania rządu, aby zwołał komisyę z ludzi fachowych, którzyby wypracowali projekta do stósownego zreformowania dzisiejszych urządzeń.

Otóż i obecnie chodzić powinno najpiérw o utworzenie odrębnéj władzy szkolnéj, do któréjby należał zarząd szkół dotychczas będący w rękach władz politycznych, a co do szkół niższych i w rękach konsystorzów. Do władzy téj należałoby wszystko, co się szkół tyczy; ona więc musiałaby przedewszystkiém wypracować projekta do stósownych reform szkolnych, któreby potém przyszły pod uchwały sejmu. Czy wypracowałaby se sama, czy téż uznałaby potrzebę zawezwania do pomocy specyalistów, to już rzecz podrzędna, tém bardziéj że władza ta nowa powinna już mieścić w swém łonie ludzi fachowych, bo ci rdzeń jéj stanowić powinni.

Główna rzecz sam skład takiéj władzy. W ogólności baczyć na to należy, aby nie była jednostronną; a byłaby nią, gdyby w niéj jaki żywioł składowy górował nad innymi. Powiedziałem że ludzie fachowi stanowić powinni jéj rdzeń, a sądzę że w tym punkcie każdy się ze mną zgodzi. Gdzie chodzi o szkołę, tam ludzie szkole się poświęcający powinni mieć głos pierwszy, bo tylko z bezpośredniego stykania się ze szkołą, płynąc że tak powiem w prądzie jéj życia, nabrać można doświadczenia potrzebnego, można gruntownie poznać najdrobniéjsze odcienia jéj potrzeb, można nauczyć się chwytania wszystkich jéj właściwości na uczynku i z jednego, na pozór nie raz nic nie znaczącego szczegółu poznawać ducha, kierunek i gospodarstwo zakładu. Rozumié się samo przez się, że takiemu zadaniu podołać mogą ludzie fachowi, którzy z gruntowném wykształceniem fachowém łączą dar spostrzegania, wnikania w istotę zjawisk; nauczyciele którzy nietylko dobrze udzielają nauki w swych przedmiotach, lecz zarazem zdolni są wznieść się nad prąd, w którym płyną, i zdać sobie sprawę tak

z czynności własnych, jak ze stosunku téj czynności do celu szkoły, a téj od potrzeb i stósunków krajowych. Ludzie ci fachowi powinni być nie tylko specyalistami w zawodach, lecz i ludźmi światłymi o rozleglejszym i gruntowniejszym na świat i życie poglądzie. Samo zasklepienie się w swym przedmiocie, chociażby bardzo w głąb sięgające, prosta, że ją z niemiecka nazwę, *Schulfuchserya* w takim razie nie wystarcza. Ludzie fachowi mający wejść w skład władzy szkolnéj powinni, jak się Pölitz wyraził, łączyć z umiejętną gruntownością encyklopedyczny pogląd, jasne wnikanie w teraźniejsze potrzeby życia publicznego i bogaty zasób doświadczenia.

Ale ponieważ szkoły kształcą uczniów swych ostatecznie dla spółeczeństwa, dla życia rzeczywistego, dla tego téż w skład władzy szkolnéj powinni wejść i ludzie, którzy sami szkoły przebywszy, w życiu zajęli stanowiska i na nich odznaczyli się gruntowną znajomością stosunków i potrzeb rzeczywistych; przytém ludzie którzy zdolni są cofnąwszy się myślą w lata swe szkolne zdać sobie sprawę, czy i jak wpływy, które szkoły na nich wywierały, odbijają się w życiu, o ile godzą się z jego potrzebami, ile z nich wsiąkło lub wsiąknąć może w istotę człowieka i stanowić zasób na dalszą po ukończeniu szkół pielgrzymkę wśród rzeczywistego życia. Tacy ludzie mogą osądzić, czy i jak szkoła, wychowuje ludzi, jak ich usposabia do życia, do którego przecież każdy uczeń jest przeznaczony; a jeźli niegdyś na schyłku rzeczypospolitéj polskiéj komisya edukacyjna określiła zadanie szkoły jako „osnowę starań około dziecięcia podjętych na to, aby jemu było dobrze i aby z niém było dobrze;“ to tacy ludzie powinni osądzić, czy istotnie dobrze tym, których szkoły wychowują i czy z nimi dobrze spółeczeństwu.

Szkoły udzielają nauk. W życiu spółeczném są ludzie, którzy także przebywszy szkołę, nauki, umiejętność w téj lub owéj gałęzi wzięli sobie za cel życia; a między nimi znów tacy, którzy na tém polu dopracowali się obfitych plonów, zajęli w świecie naukowém niepoślednie miejsca, a od spółeczeństwa także się nie odsunęli. Takim łatwo osądzić jak się ma szkoła, nauki, których udziela i sposób w jaki ich udziela, do właściwego zadania naukowego, czy idzie drogą prostą lub błądzi manowcami, czy nie przekracza właściwych sobie granic.

Słowem te i tym podobne żywioły powinny mieć reprezentacyę w składzie władzy szkolnéj; one bowiem będą regulatorami tego, co robić będą ludzie fachowi; tak jak ci znowu w każdym razie będą wskazywać różnicę, jaka zachodzi między szkołą jako przygotowywaniem do życia, a życiem samém i jego potrzebami.

Z tego punktu uważana, władza szkolna krajowa powinna w składzie swym mieścić reprezentacyę różnorodnych, na wysokości prawdziwego wykształcenia stojących żywiołów, bo tym tylko sposobem uniknie jednostronności. Zdaje mi się, że w obec dzisiejszego wieku nie potrzebuję dodawać, że skład ten niepowinien wykluczać żadnego wyznania lub obrządku; przeciwnie szukać należy wszędzie ludzi prawdziwie światłych, i korzystać z ich światła na rzecz całego kraju.

Przeszła sejmowa komisya szkolna złożyła w projekcie swym władzę szkolną z namiestnika lub jego zastępcy, z referenta dla spraw administracyjnych, z inspektorów szkół krajowych, a takich inspektorów mamy obecnie czterech, z dwóch duchownych przez monarchę mianowanych, z dwóch posłów przez sejm i dwóch delegatów przez rady miast Krakowa i Lwowa delegowanych, a wreszcie z trzech członków z zawodu nauczycielskiego przez sejm, względnie przez Wydział krajowy przedstawionych a przez monarchę mianowanych.

Głosy, jakie dotąd odzywały się o tym składzie w pismach publicznych, wyraziły obawę, aby żywioł urzędowy nie wziął góry nad żywiołami mającymi przedstawiać kraj, a w skutek tego żeby zarząd szkolny nie pozostał takim, jakim jest po dzień dzisiejszy. Opinia bowiem publiczna, o ile dotychczas znalazła wyraz w pismach publicznych, liczy do członków zawisłych w rzeczonym składzie: referenta administracyjnego, czterech inspektorów i dwóch duchownych, a powątpiewa o samodzielności członków z zawodu nauczycielskiego, ufa zaś tylko dwom posłom i delegatom rad miasta Lwowa i Krakowa. W takim razie uznałoby się w składzie władzy tylko cztérech członków pewnych, niezawisłych, a dziesięciu wątpliwych pod przewodnictwem namiestnika lub jego zastępcy, opinia bowiem do członków zawodu nauczycielskiego nie ma szczególniejszego zaufania. Zresztą przypuściwszy nawet że z trzech nauczycieli jeden lub dwaj stanęliby po stronie niezawisłych, to i w takim razie, byłoby ich sześciu przeciw ośmiu.

Przyznać należy, że smutny horoskop stawia opinia publiczna i nader smutne świadectwo wydaje tak członkom mającym reprezentować duchowieństwo, jak i tym, którzy dotąd zostawali pod wpływem rządowym, a tém samém i samemu wpływowi rządowemu; a niestety trudno odmówić opinii publicznéj słuszności, bo sąd swój opiera na dotychczasowém doświadczeniu. Nie wierzy ona, aby powołani dwaj duchowni stanęli samodzielnie i mieli dobro szkoły i kraju na oku, bo wié, że z pomiędzy konsystorzów naszych jedne przyczyniały się czynnie do germanizowania szkół, drugie patrzyły na to obojętnie i ulegały zupełnie germanizującemu inspektorowi lub, jak okazały niektóre petycye do zeszłego sejmu wniesione, wpływowi władzy politycznéj; inne stały się ogniskami i sterem agitacyi politycznéj, gwałcącéj prawa rodziców i gmin co do stanowienia o języku, w którym uczniowie pobierać mogą nauki, a nawet naukę religii; agitacyi przemycającéj do szkoły i język i pismo obce, dotąd w kraju nie zwykłe, identifikującéj obrządek religijny z narodowością, a w skutek tego zabraniającéj młodzieży obrządku unickiego wstępu do szkół z wykładem polskim, rozporządzeniem ministeryalném, które dla się wyjednać miała *); agitacyi przy tém wszystkiém siejącéj ziarna nienawiści pomiędzy dziećmi wbrew zadaniu szkoły, które ma wychować, a tém samém kształcić i ustalać harmonię psychiczną w wychowańcach, wbrew najkardynalniejszym podstawom zakonu Chrystusowego, według których człowiek bez miłości jest cymbałem brzmiącym, miedzią pusty dźwięk czyniącą.

Opinia publiczna przeraża się na myśl, że inspektorowie szkół wejść mają w skład władzy szkolnéj, bo opinia tu wié, że inspektorowie dotychczasowi nie stali na straży dobra szkół jako zakładów krajowych lecz byli prostymi urzędnikami, z których jedni ślepo wykonywali rozkazy przez władze polityczne wydawane z pominięciem nieraz rozporządzeń przez ministerstwo oświecenia ogłaszanych, w czém wydał im świadectwo były sekretarz stanu w rzeczoném ministerstwie baron

*) Wiadomo, że od lat kilku istnieje i dotąd obowiązuje rozporządzenie, ministeryalne, na mocy którego rodzicom obrządku unickiego nie wolno oddawać dzieci do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, a więc do zakładu noszącego imię panującego nam miłościwie monarchy! A tylko namiestnictwo może dać na to pozwolenie. Czy słyszał kto o takiéj anomalii nie w Europie (prócz Rosyi) lecz w saméj Austryi?

Helfert w broszurze, którą już poprzednio przytoczyłem; drudzy przesadzali się w służbistości wyprzedzającéj nawet same wskazówki z góry, inni germanizowali i germanizują szkoły szukając na téj drodze zasług, których jako zawiadowcy szkół zyskać nie mogą jako ludzie zawodowi szkolnemu zupełnie obcy; a znów inni stali się narzędziami ślepemi frakcyi, która schlebiając centralizmowi sfer rządzących wyrobiła sobie *carte blanche* do burmistrzowania po szkołach w wschodniéj części kraju z pominięciem rzeczywistych stosunków krajowych, potrzeb uczącéj się młodzieży, życzeń jéj rodziców i z uszczerbkiem saméj nawet sprawy oświaty.

Opinia publiczna nie ufa członkom z zawodu nauczycielskiego, którzyby wejść mieli do składu władzy; bo taż opinia wié, że nauczycieli naszych pozbawiono wszelkiéj samodzielności, pomimo że reforma po roku 1848ym w systemacie szkolnym dokonana, wymaga od nauczycieli zwłaszcza szkół średnich głębokiego naukowego wykształcenia, a tém samém wraz z naukowém wykształceniem rozbudziła w wielu i poczucie własnéj godności a z niém i przeświadczenie, że się nie jest maryonetką poruszoną siłą z zewnątrz działającą. Tymczasem nauczycieli wzięto w taką kuratelę, że nie u jednego owa samodzielność, owo poczucie się myślącym, i w przekonaniu działającym człowiekiem, stały się źródłem nieszczęść, a inni słabsi na duchu, troskami o chleb codzienny znużeni, patrząc na takie przykłady, woleli zamilknąć i poddać się losowi, byle nie ściągnąć na się i na rodziny owych wszystkich następstw, które w najlepszym razie podadzą ich nazwiska do nieśmiertelności w księdze czarnéj i prowadzą do mimowolnych podróży po kraju od zakładu do zakładu. Opinia ta wie, że nie stopień wykształcenia naukowego, nie udowodnione zdolności pedagogiczne i dydaktyczne, nie prawość i nie skazitelność charakteru, lecz zasługi innego rodzaju prowadziły do wyższych stopni w hierarchii nauczycielskiéj; sądzi więc że trudno o takich nauczycieli, którzyby mieli dość odwagi ogólnéj do wypowiedzenia nawet w sprawach pedagogicznych i dydaktycznych swego przekonania, jeźliby się tylko nie zgadzało ze zdaniem zasiadającego w radzie czy władzy edukacyjnéj zwierzchnika.

Smutne to zaiste zjawisko ten wyraz, to wotum nieufności opinii, ale dziwić mu się nie można; skoro się opiera na dotychczasowém doświadczeniu..

Wszelako i na to zwrócić należy uwagę, że nieufność ta polega na dotychczasowém tylko doświadczeniu. A trzeba przecież wierzyć, że dziś ma się ku zmianie na lepsze; zatém że i wpływ dotychczas z góry wywierany będzie inny, uwzględniający potrzeby kraju, dopomagający każdemu usiłowaniu rzetelnemu, dążącemu do podniesienia jego dobra, a z nim i dobra państwa. W razie bowiem, gdyby wróciły się dawne rządy, można być także pewnym, że nie będzie władzy szkolnéj a wtenczas odpada i obawa wynikająca z niestósownego składu téjże władzy, *notabene*, ze składu jaki proponowała komisya sejmu przeszłego, któréj propozycya nie obowiązywała ani tegoż przeszłego sejmu, bo mógł uchwalić skład jakiby był uważał za najstósowniejszy, ani i to tém mniéj sejmu teraźniejszego, bo ten złoży sobie zapewne inną komisyą i może sobie znowu postąpić z jéj sprawozdaniem jak mu się podoba, byle tylko nie odraczał sprawy do kadencyi przyszłéj.

Jest więc wszelka swoboda składania władzy szkolnéj; swoboda którą miarkować mogą i miarkować powinny tylko stosunki rzeczywiste, wśród których żyjemy. Zarzucając abstrakcyjność dotychczasowemu ustrojowi szkolnemu, z góry zaoktrojowanemu, nie popadajmy sami w abstrakcyą, nie uwzględniając położenia w jakiém się znajdujemy, lub nie róbmy skoku, kiedy nam brak miejsca do należnego zapędu; a w skutek tego tylko krok za krokiem powoli postępować możemy.

Uwagę dopiéro co wyrzeczoną muszę zastosować i w wypadku obecnym, w którym rozchodzi się o utworzenie osobnéj krajowéj władzy szkolnéj o jéj charakter i skład.

Nie ulega wątpliwości, że sprawy szkolne jako tak ważne i osobny dla się dział stanowiące powinny mieć osobny zarząd. Jak np. sądownictwo odłączone być powinno od administracyi, a w oświeconych krajach wszędzie samo dla siebie stanowi odrębny dział, podobnie i szkoła ze swemi sprawami powinna stać samodzielnie, mieć własny zarząd, tak jak go ma w wielu krajach europejskich. Godności i ważności szkoły w kraju odpowiada osobna, dla się istniejąca władza krajowa, któraby stała obok władzy administracyjnéj, sądownictwa, skarbowości i t. p. Wszelako licząc się z rzeczywistemi stosunkami w państwie, o takiéj zupełnie samodzielnéj władzy szkolnéj

myśleć dziś trudno. Najpierw w państwie nie masz osobnéj władzy oświecenia i tylko jakaś przyboczna Rada oświecenia z głosem doradczym przyczepiona do ministerstwa stanu, którego zawiadowca ma prócz tego pod sobą sprawy wewnętrzne, policyjne i wyznań, jest jéj surogatem. Powtóre stosunek krajów koronnych do władzy centralnéj dziś jeszcze nieoznaczony, a na podstawie ustaw zasadniczych dotąd wydanych, a mianowicie na dotychczasowém określeniu tak zwanych „spraw spólnych" trudno ściśle określić kompetencyę krajów koronnych i ich reprezentacyi, o ile sięgać może w sprawie publicznego oświecenia.

W skutek tego władza szkolna, o któréj utworzenie chodzi, nie może od razu być zupełnie samodzielną; z czasem w miarę ustalenia się stosunków ściśle konstytucyjnych opartych na słusznem i godziwém uwzględnieniu potrzeb krajowych, w miarę znikającéj obopólnéj nieufności, jaką zrodziły i karmiły dawniejsze rządy, przyjść może i do tego, że niezależna władza edukacyjna sama zarządzać będzie sprawą publicznego oświecenia w kraju. Dziś urządzona władza edukacyjna potrzebowałaby zaufania u rządu, któreby dla niéj saméj było rodzajem rękojmi, że nie jest instytucyą jakby na straconéj pikiecie postawioną. Zaufanie to zjednać jéj powinien węzeł łączący ją z najwyższym zarządem kraju: Namiestnik stojący u steru spraw krajowych kierowałby władzą szkolną, udzielnie ukonstytuowaną.

Zakres wpływu téj władzy obejmowałby szkoły niższe i średnie, zakres zaś działania musi być obszerniejszy od dzisiejszych atrybucyi namiestnictwa w sprawach szkolnych, jeźli władza szkolna ma skutecznie działać i zaradzić złemu rozlicznego gatunku, zagnieżdżonemu po szkołach naszych różnych stopni i rodzajów.

Z tego względu przejść powinien na władzę szkolną zupełny zarząd szkół ludowych, zatém i ta jego część, którą dotąd dzierżą w rękach konsystorze, którym pozostaje tylko nadzór nad szkołami pod względem religijnym. Władzy téj służyć powinno prawo wypracowywania wniosków mających reformę szkół na celu, któreby sejmowi przedkładała; prawo mianowania nauczycieli, przydzielania ich do zakładów i w razie potrzeby oddalania, prawo stanowienia o książkach szkolnych

i zatwierdzania planów naukowych układanych przez zgromadzenia nauczycielskie na każdy rok szkolny dla pojedynczych zakładów. Przedkładanie corocznych sprawozdań o stanie wychowania publicznego i szkół sejmowi, a względnie Wydziałowi krajowemu byłoby jéj obowiązkiem.

Jakiż ma być skład władzy szkolnéj?

Komisya szkolna z przeszłego sejmu wyznaczona złożyła, jak się już wyżéj rzekło, władzę szkolną z 14 członków i przewodniczącego namiestnika lub jego zastępcy. Członkami są: referent dla spraw administracyjnych, 4 inspektorowie, 2 duchowni, 2 posłowie, 2 delegaci rad miast stołecznych i 3 członkowie z zawodu nauczycielskiego. Referenta wyznacza namiestnik, duchownych mianuje cesarz, posłów i delegatów miejskich wysyłają sejm i rady miejskie, członków z zawodu nauczycielskiego przedstawia sejm, względnie wydział krajowy, a mianuje cesarz. Posłowie urzędują przez czas trwania mandatów, delegaci miejscy i reprezentanci zawodu nauczycielskiego przez lat trzy, poczém znów mogą być wybrani.

Tak złożona władza składałaby się z członków stałych i zmieniających się. Stałymi byliby inspektorowie i dwaj duchowni; resztaby się zmieniała i to posłowie co lat sześć, jeśliby w tym czasie nie pomarli lub nie złożyli mandatów, delegaci rad miast stołecznych i nauczyciele co lat trzy. Referenta administracyjnego wyznacza namiestnik, zatém i on należałby mniéj lub więcéj do członków zmieniających się. W takim razie żywioł stały, punkt właściwy ciężkości i podstawę stałą władzy szkolnéj stanowiłyby owe żywioły, którym jak wyżéj powiedziałem, opinia publiczna nie ufa. A stałych członków trzeba koniecznie, jeśli ta władza ma być władzą i ciągle zajmować się szkołami, owe dodane żywioły zmieniające się mają, jak się powyżéj wyraziłem, być regulatorami, żywiołami odświeżającemi instytucyą, aby nie skostniała, nie rozwijała się jednostronnie, nie wyrodziła się w czczy biurokratyzm.

Referentami stałymi powinni być ludzie fachowi, zwłaszcza w sprawach pedagogiczno-dydaktycznych, zatém pomiędzy nauczycielami szukać ich należy. Dziś reprezentują ten żywioł inspektorowie, których jednak lęka się opinia publiczna; a do tego obaj inspektorowie szkół ludowych dostali się na posady

nie z zawodu szkolnego lecz z biur politycznych. Jakże tu usunąć obawy opinii publicznéj, a do tego opinii, która niestety ma za sobą doświadczenie?

Oto najpierw zrobię uwagę, że inspektorowie wszedłszy w skład osobnéj władzy szkolnéj, stają się jéj członkami a przestają być urzędnikami biura politycznego; przejąć się więc powinni duchem innym, a jeżeli rzeczywiście mają wyobrażenie należyte o godności i zadaniu szkoły, to cieszyć się powinni, że uwolnieni z niewłaściwych form będą mogli bez przeszkody pracować na nowéj i odpowiedniéj drodze dla dobra szkoły. Ale na to może zarzucić opinia publiczna: „*Coelum mutant non animum trans mare euntes*“. I na to jest odpowiedź. Jeżeli dzisiejsi inspektorowie nie zdołaliby się wdrożyć w życie nowe i w nowe zadanie, lub jeźli są tacy, którzy nieodpowiadają stanowisku, na którém ich postawiono, to i na to jest rada prosta: zmiana osób. Nie jest ona niezwykłą w państwach absolutnych, a w państwach prawdziwie konstytucyjnych jest ona regułą. W takich razach nie masz wątpliwości co do rozwiązania znanego zagadnienia, czy tabakiera dla nosa, czy nos dla tabakiery. Wreszcie przypuściwszy nawet, że w inspektorach miałoby się żywioł chwiejny lub biurokratycznie uparty, to i to niemało już znaczy, że w żywiołach niezależnych będą oni mieli ciągłą kontrolę, ciągłych świadków, wobec których trudno będzie zupełnie milczeć sumieniu; trzeba się przynajmniéj zarumienić, jeźliby się przyszło sprzeciwiać oczywistéj prawdzie, téj wielkiéj potędze, wobec któréj tylko czoło zupełnie wytarte i dusza zupełnie zatęchła nie straci kontenansu. A w końcu od czegóż opinia publiczna i jéj bicz moralny? Życie w każdym kierunku jest walką; walka w sprawie uczciwéj godziwą bronią wytrwale i energicznie prowadzona, doprowadzić musi w końcu do zwycięstwa.

Co do liczby inspektorów jako radców szkolnych wystarczyłaby może liczba trzech dla trzech głównych rodzajów szkół niższych i średnich, t. j. dla szkół niższych gimnazyalnych i realnych. Wprawdzie szkół niższych jest dziś już taka liczba, że trudno aby jeden inspektor podołał odwidzeniu wszystkich choćby raz tylko na rok. Ale za to stosunkowo bardzo mało jest szkół realnych, więc inspektor tych szkół mógłby w części zwidzać i szkoły niższe, a kto wie czy jego spostrzeżenia

nie przyniosłyby korzyści, zwłaszcza że zwracając uwagę na stronę realną nauki w szkołach ludowych, ochroniłyby je od jednostronności gramatycznéj, która od wieku wyłącznie panuje w tychże szkołach; stała się ich drugą naturą i tradycyą, z któremi podobno czas dłuższy jeszcze walczyć będzie potrzeba.

Szkoły realne powinny mieć osobnego radcę szkolnego i referenta, człowieka w téj gałęzi szczegółowo wykształconego; dotąd bowiem obchodzono się z niemi bardzo po macoszemu, przydzielając je bądź inspektorom szkół ludowych, bądź gimnazyalnych. Nawet instytut techniczny krakowski, tudzież tamtejsza szkoła sztuk pięknych zostawała jakiś czas pod nadzorem inspektora szkół ludowych, którego pierwotnym zawodem była służba w zawodzie politycznym. Dziś zakłady te jeźli nie wszystkie, to przynajmniéj zakład techniczny podlega inspektorowi gimnazyalnemu z zawodu filologowi.

Czy jeden inspektor gimnazyalny odpowiedziałby zadaniu? Gimnazyów nie tak wiele. Wprawdzie inspektorowie przewodniczą egzaminom dojrzałości; jednemu trudnoby więc było, gdyby egzamina tak zwanéj dojrzałości i nadal się utrzymały, przewodniczyć prawie w tym samym czasie egzaminom we wszystkich zakładach. Ale tę trudność możnaby usunąć delegując dyrektorów gimnazyalnych do przewodniczenia egzaminom w zakładach, któremi nie zawiadują, a byłaby w tém i ta korzyść, że dyrektorowie obznajamialiby się ze stanem innych gimnazyów, a porównywając go ze stanem własnych, nabywaliby rozleglejszego doświadczenia, przez co zyskiwałyby i zakłady.

O załatwianie spraw bieżących podczas niebytności inspektorów w biurze władzy szkolnéj nie byłoby kłopotu, gdyż zająć się tém mogą inni członkowie władzy, zwłaszcza w sprawach pedagogiczno - dydaktycznych członkowie z zawodu nauczycielskiego.

Nie od rzeczyby było, gdyby czasami czy to z inspektorami razem czy osobno zwiedzali szkoły i inni członkowie władzy, mianowicie członkowie nie z zawodu nauczycielskiego, gdyby bywali i przy egzaminach dojrzałości; w takim bowiem razie uzupełniałyby się spostrzeżenia inspektorów spostrzeżeniami ludzi patrzących na szkoły z punktu ich stosunku do potrzeb krajowych.

Komisya edukacyjna przeszłego sejmu proponuje do składu władzy szkolnéj dwóch duchownych.

W tym względzie zachodzi najpierw pytanie, kogo lub co przedstawiają ci duchowni w składzie władzy szkolnéj?

Gdyby zastępować mieli konsystorze, to w takim razie byłoby ich siedmiu: dla krakowskiego, tarnowskiego, dwóch przemyskich i trzech lwowskich; jeźli obrządki, to musiałoby ich być trzech: dla łacińskiego, unickiego i ormiańskiego; a w dalszém następstwie wypadałoby powołać i zastępców innych wyznań, jako to: ewangielickiego i mojżeszowego; a wtedy byłoby pięciu reprezentantów jednego głównego kierunku. Rzecz jasna, że w takim razie byłoby trudno o równowagę w składzie władzy szkolnéj, a zarazem że liczba dwóch duchownych nie zaspokoiłaby wszystkich pretensyi.

Zresztą coby miała na celu taka reprezentacya; do czegoby służyła. Wszak szkół konfesyjnych prawie nie ma; a ta mała liczba, która jest; ma charakter zakładów prywatnych, któremi się zajmują gminy i korporacye religijne w swoim już zakresie załatwiające sprawy z wyznaniem się łączące; sprawy zaś dydaktyczne są ogólnéj natury i załatwione być mogą przez władzę szkolną a w niéj przez członka innego wyznania.

Nowszemi czasy usiłują u nas utworzyć szkoły obrządkowe począwszy od najniższych aż do najwyższych zakładów naukowych, a usiłowanie to wsparło nawet ministerstwo wydawszy owo już wspomniane rozporządzenie, jedyne w swoim rodzaju, mocą którego tylko za pozwoleniem namiestnictwa można przyjmować uczniów obrządku unickiego do gimnazyum lwowskiego Franciszka Józefa, w którém poczęści udzielają nauk w języku polskim. Ale to są stosunki sztuczne, zachcianki nie mające rzetelnéj podstawy, a jako takie tém mniéj zasługują na uwzględnienie przy składzie władzy szkolnéj.

Konsystorze mają prawo czuwania nad udzielaniem religii tudzież nad tém, aby szkoły nie podkopywały religijności uczniów. Z drugiéj strony i władza szkolna nad tym drugim punktem czuwać będzie, bo czuwać ona ma nad wychowaniem młodzieży, a w tém wychowanie religijne stanowi główną podstawę. Stanowisko reprezentanta duchownego w składzie władzy szkolnéj może więc właściwie być pedagogiczno-dydaktyczne, bo zresztą i nadzór i plan nauki religii i naostatek książki do

téjże nauki należą do biskupów. W takim razie członek duchowny we władzy szkolny, mąż światły i stojący na wysokości wykształcenia pedagogiczno-dydaktycznego byłby reprezentantem stanu zajmującego wszędzie jedno z piérwszych miejsc w społeczeństwie, a jako takiemu należy mu się miejsce w składzie władzy. Lecz w takim razie różnica obrządu nie jest cechą istotną; w którémkolwiek duchowieństwie czy to łacińskim czy unickiém lub ormiańskiém znajdzie się mąż światły, zarówno zająć może miejsce; wszak obrządki w kościele katolickim nie różnią między sobą stopniami znaczenia mniejszego lub większego. Wreszcie jeźliby komu koniecznie chodziło o reprezentacyę obrządków, to mogłyby z kolei co lat kilka zmieniać swoich reprezentantów.

Na możliwy zarzut, że szkoły ruskie potrzebują swego zastępcy we władzy szkolnéj, odpowiadam, że powinny go mieć istotnie, i będą go miały, jeźliby władza szkolna przyszła do skutku; będą go miały w radcach szkolnych czyli inspektorach i innych członkach władzy; ale do tego dodam, że ani szkół ruskich ani języka ruskiego nie identyfikuję ani z duchownym obrządku unickiego ani nawet z konsystorzem tego obrządku, a prostego przywłaszczenia nie uważam za prawo, tak jak nie jestem bezwzględnym wielbicielem czynów dokonanych.

Sądzę więc, że członek duchowny w składzie władzy szkolnéj zastąpi dostatecznie inteligencyę duchowieństwa katolickiego.

Referent dla spraw administracyjnych szkolnych jest urzędnikiem przy namiestnictwie, a jako taki nie powinienby być członkiem władzy szkolnéj, a nawet gdyby bywał na posiedzeniach, nie ma powodu mieszania się do spraw pedagogiczno-dydaktycznych, zatém i głosu mieć nie potrzebuje.

Członków trzech z zawodu nauczycielskiego odpowiadałoby trzem rodzajom szkół: niższym, gimnazyalnym i realnym. Członkowie ci niekoniecznie mają być nauczycielami publicznymi zostającymi w służbie czynnéj; wszak bywają światli zawiadowcy zakładów prywatnych, lub prywatni nauczyciele nie rzemieślnicy lecz z całym zapałem poświęcający się swemu zawodowi, dla których jest on przedmiotem badań. Zresztą i rodzaj szkoły nie powinien scieśniać swobody wyboru; profesor bowiem uniwersytetu zwłaszcza jeżeli poprzednio był profesorem gimnazyalnym, lub profesor zakładu technicznego zna-

jący dokładnie potrzeby szkół realnych, dla czegóżby nie mogli zastępywać spraw szkół jeden gimnazyalnych a drugi realnych? Wszelako przez to nie myślę usuwać ani profesorów gimnazyalnych ani realnych ze składu władzy szkolnéj.

Prócz dwóch posłów i dwóch delegatów rad miast stółecznych Lwowa i Krakowa dodałbym jeszcze jednego lub dwóch reprezentantów z zawodu naukowego lub literackiego. Mamy w kraju towarzystwo naukowe w Krakowie, zakład imienia Ossolińskich we Lwowie, a w nich mężów zajmujących niepoślednie miejsce w świecie naukowym; byłoby to więc godziwém uczczeniem pracy, hołdem dla prawdziwéj zasługi a zaszczytem dla takiéj instytucyi, jaką powinna być władza stojąca w kraju na czele publicznego wychowania. Przyjąwszy jednego lub dwóch reprezentantów nauki, władza składałaby się z 12 do 13 członków. Z tych rząd mianowałby sam inspektorów jako stałych członków; trzech z zawodu nauczycielskiego mianowałby na przedstawienie władzy szkolnéj; posłów wybiéra sejm, delegatów wysyłają rady miejskie; członka duchownego i reprezentantów nauki przedstawia Wydział krajowy.

Inspektorowie mają stałą płacę; inni członkowie pobierają remuneracye lub dyety stósowne.

Utworzenie osobnéj władzy szkolnéj złożonéj z żywiołów odpowiednich — składu powyższego nie uważam za jedynie możliwy, lecz rzuciłem tylko myśl gdzie wypada szukać członków — jest jednym z piérwszych i niezbędnych warunków polepszenia dzisiejszego stanu naszego publicznego wychowania, dotąd bardzo jednostronnie kierowanego, bo bez wszelkiego udziału kraju, którego skutki tegoż wychowania najbliżéj obchodzą.

V.

Pomiędzy głównemi wadami szkół naszych powyżéj wymienionymi, a płynącemi z owego źródła, że o nas radzono i stanowiono bez nas, wymieniłem także język obcy, którego młodzież nasza dopiéro uczyć się musi, jako wykładowy w największéj części przedmiotów udzielanych w szkołach naszych od najniższych począwszy. Praktyka tego rodzaju jest najsilniejszą tamą wszelkiego zdrowego postępu w naukach i w prawdziwém wychowywaniu szkolném o ile ono polega na harmonijném rozwijaniu władz umysłowych. Dopóki więc zapora ta

nie będzie usunięta, dopóty niepodobna myśleć o prawidłowym stanie szkół i naturalnym ich rozwoju.

Wykazałem nieco wyżéj, jak się ta sprawa języka wykładowego wiąże ściśle z wyłącznym politycznym zarządem szkół, a fakt świéżo przytoczony na posiedzeniu rady miejskiéj krakowskiéj przez rajcę Dra Oetingera, że jeszcze w roku zeszłym reskrypt władzy wyższéj zabronił udzielania nauk w języku polskim w zakładzie prywatnym urządzonym na Kazimierzu w Krakowie, i pociągnął zakład do odpowiedzialności, pomimo że tenże dowodził, iż użycie języka polskiego nastąpiło z wyraźnéj woli rodziców, jest nową ilustracyą tego wyłącznego politycznego zarządu szkół naszych.

Historyę języka wykładowego, szereg środków i machinacyi przedsiębranych celem usuwania języka polskiego z wykładów już po reformie szkół po roku 1848 dokonanéj, skreśliłem obszernie w szeregu artykułów umieszczonych w „Czasie“ w ostatnim kwartale 1862 roku. Tu tylko w ogólności powiem, że wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego zwłaszcza w szkołach średnich jako zakładach w ściślejszém znaczeniu słowa naukowych, stanęły w drodze dwa czynniki: wpływ polityczny mający na celu germanizacyę i frakcya tak zwana Świętojurska, sojuszem związana z owym krajowi nieprzyjaźnym wpływem. Jéj to umizgom do Stadionowéj reakcyi i giermanizacyjnego absolutyzmu Bacha poświęcono młodzież wschodniéj części kraju, poświęcono sprawę wychowania i oświaty, pozbawiając szkoły nawet téj odrobiny wykładów w języku wykształconym i powszechnie używanym w całym kraju, jaką chwilami przyznawano szkołom w zachodniéj części kraju; a uczyniono to nawet po publiczném wyznaniu téjże frakcyi, że język ludowy ruski nie był jeszcze przydatnym do wykładów w szkołach średnich. Skazano więc jednę część młodzieży o wykształconym języku na mitrężenie czasu, łamanie się z trudnościami, dopóki drugiéj nie rozwiąże się język; skazano więc tych co dobrze chodzą na własnych nogach na używanie szczudeł, dopóki drudzy nie nauczą się chodzić. Wyzyskał więc wpływ urzędowy germanizacyę na celu mający umizgi owe we własnym interesie, kosztem młodzieży naszéj tak polskiéj jak ruskiéj, a tém samem i kosztem całego kraju, kosztem jego przyszłości.

„Umiejętność jest potęgą“ rzekł był w okólniku swoim p. Szmerling. Nie wchodzę w to, o ile za rządów jego dźwignęła się ta potęga w reszcie monarchii; ale to pewna, że w kraju naszym nie zastósował były minister stanu téj zasady; raczéj powstrzymywanie naturalnego rozwoju życia w kraju było dlań potęgą, którą znów wyzyskiwał w celach poronionego systemu politycznego, uważającego Austryę za państwo szczero niemieckie. „Umiejętność jest potęgą;“ ale w szkołach średnich i wyższych zwłaszcza we wschodniéj części kraju naszego pozostawił język niemiecki jako wyłącznie wykładowy, zagradzając umiejętności drogę, którą rozwijając się, jedynie stać się może potęgą, uprawiana w zakładach wyższych naukowych jako umiejętność w ścisłém znaczeniu słowa, a rozpowszechniana najwłaściwiéj za pomocą organu przyrodzonego po reszcie kraju. I znów umizgom reakcyjnéj frakcyi w kraju gwoli, wywdzięczając się za popieranie polityki centralizującéj zapomocą automatów na pasku prowadzonych w Radzie państwa, pozwolił p. Szmerling na wprowadzenie języka ruskiego jako wykładowego w niższych klasach jednego z lwowskich gimnazyów, a miastu Lwowu ofiarującemu się z własnych funduszów utrzymać gimnazyum, stawiał przeszkody w zaprowadzeniu języka polskiego; w uniwersytecie lwowskim, ciągle wyłącznie niemieckim, w którym nie pozwalano na bezpłatne docentury w języku polskim, zaprowadził trzy docentury w języku ruskim, płatne z funduszu publicznego; z uwolnieniem podobno kandydatów do tych docentur od dopełnienia warunków przepisanych ustawą do osiągnięcia prawa wykładania z katedry uniwersyteckiéj.

Wreszcie dla uzupełnienia tego ogólnego rysu historyi języka wykładowego w zakładach naszych dodam jeszcze, że już za obecnego ministerstwa w skutek oświadczenia gotowości ze strony profesora uniwersytetu lwowskiego, Dra Zielonackiego wykładania prawa rzymskiego w języku polskim, zwłaszcza, że uniwersytet ma drugiego profesora tegoż przedmiotu, który go wykładać może tylko w języku niemieckim, zezwolono wreszcie z początkiem bieżącego roku szkolnego, na wykłady w języku polskim, ale tylko jednego i to dwugodzinnego kolegium, tak zwanego *publicum* t. j. kolegium bezpłatnego i nieobowiązującego, pomimo że dla wykładów w języku ruskim— nie wcho-

dząc w to, jakiego jest gatunku — w języku, który dopiero lat ośmnaście się kształci, polski zaś ma kilkuwiekową literaturę, był językiem wykładowym w uniwersytetach wileńskim, warszawskim i liceum Krzemienieckim, a dziś jest nim w szkole głównéj Warszawskiéj i w znacznéj części przedmiotów w uniwersytecie Jagiellońskim, o czém przynajmniéj o tym ostatnim uniwersytecie zapewne wié ministeryum stanu i przyboczna Rada oświecenia — istnieją owe trzy katedry w lwowskim uniwersytecie.

Sprawa więc języka wykładowego, względem któréj zwłaszcza w obrębie szkół niższych i średnich, istnieją bądź rozporządzenia ministeryalne, w wykonaniu pod wpływem dawniejszych władz politycznych zwichnięte, bądź postanowienia monarsze wcale nie wykonane, jest jedną z najważniejszych w gospodarstwie szkolném. Jéj załatwieniem sejm powinien się zająć, zwłaszcza, że co do szkół średnich ma już tak zwaną precedencyę w sejmie czeskim.

Nie ulega wątpliwości, że sprawa językowa w sejmie naszym należy do spraw najdrażliwszych, i ten jéj charakter był głównym powodem, główną przeszkodą, że sprawy szkolne nie załatwiono na przeszłéj sesyi sejmowéj. Ale zachodzi pytanie, czy nie ma już drogi do jéj załatwienia; czy sama drażliwość kwestyi jest dostatecznym powodem do jéj omijania. Sejm jest miejscem załatwienia krajowych spraw w duchu rzeczywistych potrzeb krajowych, a nie miejscem sentymentów. Dobro kraju, pomyślność jego to główny cel, cel poważny i święty, który przedewszystkiem należy mieć na oku, w obec którego wszystkie inne względy o tyle zasługują na uwagę, o ile są koniecznemi warunkami do osiągnięcia tego celu.

W czém tkwi drażliwość sprawy językowéj w kraju naszym?

Oto w rozbracie, który od lat ośmnastu trwa i trapi kraj nasz, który sprawia, że załatwienie każdéj sprawy napotyka na trudności nieprzełamane, pochodzące z uporu jednéj strony, reprezentującéj głównie ów nieszczęsny rozbrat. Stroną tą jest jak każdemu wiadomo stronnictwo zorganizowane pod przewodnictwem konsystorzów unickich w kraju i na niém cięży główna wina sporu dotąd niezałatwionego. Na zapytanie, czy strona druga w niczém nie zawiniła, odpowiem, że i ona nie wol-

na całkiem od winy; ale zarazem zapytam się, czy téż strona ta druga nie czyniła kroków celem załagodzenia sporu domowego, czy wywlekała go poza granice domowe i wytaczała go przed kratkami obcych; a zapytam się także, co strona przeciwna, owe stronnictwa pod przewodnictwem konsystorzów zorganizowane, uczyniło w tym celu, czy uczyniło choćby jeden krok naprzód ku zbliżeniu się; w czém od niego jako kierowanego i złożonego z kapłanów chrześciańskich, z powołania apostołów miłości chrześciańskiéj, słusznie pierwszego kroku wymagaćby można, jeśli wzięto na się kierowanie ciemnego ludu, za którego obrońcę i przewodnika przy każdéj głosi się sposobności?

Na to drugie pytanie odpowiedź nie trudna, bo jest tylko jedna i jednostajna w ciągu lat ośmnastu: właśnie to ośmnastoletnie zachowanie się tego stronnictwa, w obec którego, jak każdy bezstronny przyzna, maleje, prawie całkiem niknie wina strony drugiéj: brak taktu w traktowaniu sprawy, który téj stronie zarzucić można; maleje i niknie tém bardziéj, jeśli pomniemy, że z téj strony występują ludzie świeccy, z tamtéj duchowni, kapłani Chrystusowi, z powołania apostołowie miłości chrześciańskiéj; w rzeczywistości czy jéj apostołowie?

W obec dobra i pomyślności ogółu nie masz spraw drażliwych. Ścisłe zbadanie stosunków rzeczywistych, sumienne na ich podstawie załatwienie sprawy w duchu dobra powszechnego to zadanie ciała ustawodawczego. Na nic się tu nie zdadzą wywody pseudo-historyczne i filologiczne, jakich próbki słyszeliśmy na zeszłém zebraniu sejmowém; i proste przeczenie nic nie pomoże tam, gdzie to, czemu się odmawia rzeczywistość, ciągle w niemiły przypomina się sposób. Pozbywanie się przeszkód i trudności za pomocą wmawiania w siebie, że ich zupełnie nie ma, jest środkiem nadzwyczajnie łatwym i bardzo dogodnym, ale i bardzo niebezpiecznym jak wszelkie łudzenie się, a przytém przypomina w części ów sposób strusi unikania niebezpieczeństwa za pomocą zagrzebywania łba w piasek.

Z rzeczywistości, z tego co jest, a nie z tego, coby być mogło lub być może, ani też z tego, czego sobie życzymy, należy wychodzić przy wszelkiem załatwianiu spraw żywotnych, bo życie jest rzeczywistością, jakby rzeką, która w każdéj chwili ma pewną tylko wysokość wód. Ktoby więc budował statek

bez względu na zwykły, rzeczywisty stan wody, a miał na oku stan jéj, który zbiera się w rzece bliżéj jéj ujścia w skutek dalszych dopływów, ten zbudowałby może statek bardzo piękny ale do żeglugi w danych stosunkach nieprzydatny.

Jakież są stosunki rzeczywiste pod względem językowym w kraju naszym?

Ludność kraju naszego od wieków na téj ziemi osiadła, mówi dwoma językami polskim i ruskim, blisko ze sobą spokrewnionemi już spólnością źródła, z którego wypłynęły a bliżéj jeszcze nietylko sąsiedztwem od niepamiętnych czasów lecz i zlewaniem się ducha sąsiadów i spółczynników w jednym organizmie państwowym, w pięciowiekowéj spólnéj pracy dziejowéj. To téż owa praca, ów pięciowiekowy rozwój spólnego życia sprawił, że warstwy wykształcone w téj połączonéj całości używały jednego języka spólnie wykształconego, a tylko lud wiejski, pozostały poza szérokim prądem życia dziejowego i wyższéj oświaty, zatrzymał w jednéj części kraju język pierwotny, który tém samym pozostał aż po dni nasze językiem tylko ludowym.

Dopiéro od lat ośmnastu zaczęła jedna część inteligencyi krajowéj imać się języka ludowego w mowie i pismie usiłując go podnieść ze sfery ludowéj na widownię rozleglejszą życia literackiego; mówię: od lat ośmnastu, gdyż przed rokiem 1848 jawiły się tylko kiedy niekiedy przelotnie utwory w języku ruskim, a częściéj w języku cerkiewnym; w życiu zaś społeczném używano w warstwach wykształceńszych powszechnie polskiego języka tak w mowie jak i pismie.

Są to fakta, którym prawdziwości nikt nie zaprzeczy. A jakkolwiek kierunek ten nowy, to odrywanie się od całości wiekami spojonéj, może być dla tych, którym droga ta całość, przykre i bolesne, a jako usiłowanie wyrobienia nawet odrębnéj całości w czasach, w których żywioły od wieków spojone tylko przy wielkim zasobie sił żywotnych i przy wyrobioném dziejowém stanowisku utrzymać się mogą — tylko na marnowaniu sił i dotychczasowych spólnie nagromadzonych zasobów skończyć się może: wszelako i usiłowań takich nikomu zabronić nie można, dopóki idą torem naturalnego rozwoju bez naruszania praw i interesów stron innych.

Wszelako tym razem rozchodzi się tu nie o życie towarzyskie i nie o używanie języka w pismie i druku, bo mówić może sobie każdy językiem jakim mu się podoba, byle go kto chciał słuchać i rozumiał, a pisać i drukować można także w języku, w jakim się podoba, byle się znalazł czytelnik.

Tu chodzi o szkoły a z niemi o wychowanie i oświatę w kraju; a to, jak mi każdy nawet przeciwnik polityczny przyzna, nie są sprawy prywatne, przeciwnie sprawy publiczne, cały kraj bez różnicy wyznań i obrządków religijnych i różnicy opinii politycznych obchodzące, sprawy największéj wagi i doniosłości. W takich sprawach należy postępować jak najostrożniéj i najsumienniéj, wyrzec się wszelkich pobocznych względów, nakazać nawet milczenie uczuciu, jeźliby było w niezgodzie z rozumem poważnie zimno i bezstronnie rzecz badającym, gdyby w wypadkach badań nie szedł razem z uczuciem; inaczéj bowiem najmniejsze zboczenie z drogi przez rozum wytkniętéj stać się może zdradą poważnéj sprawy oświaty.

Jak się więc ma język ruski do szkół naszych?

W szkole ludowéj zwłaszcza wiejskiéj może być środkiem udzielania nauki, bo szkoła ta powinna udzielać jéj sposobem najprzystępniejszym, w języku, którym dzieci mówią i z koła rodzinnego wynoszą. Zresztą tu gminy i patronowie szkół głównie będą rozstrzygać w sprawie wyboru języka.

Inaczéj rzecz się ma, jeźli chodzi o język wykładowy w szkołach wznoszących się ponad poziom życia ludowego. Tu bowiem występuje zaraz sprawa oświaty wyższéj w całéj powadze, grozie i świętości znaczenia swojego.

Oświata wyższa to nie płód zaściankowych usiłowań, lecz owoc promoteuszowego szamotania się pokoleń, wieków całych, ścierania się ducha narodów, a nawet obozów narody całe obejmujących, ich ubiegania się o lepsze na przestrzeni tak rozległéj, jak rozległą jest prawie cała powierzchnia ziemi, ich wzajemnego na się oddziaływania; to owoc tytanicznych walk najróżnorodniejszych czynników, których dostarczają najodleglejsze od siebie czasy i przestrzenie.

Oświata wyższa potrzebuje zatém do rozpowszechnienia środków także wyższych, nad poziom życia ludowego wzniesionych; a w takim razie czy sprosta zadaniu język ludowy, zawierający w sobie tylko tyle zasobu form, ile zasobu mieści

się w duszy, w umyśle ludu? Czy użyty jako środek do udzielania nauki w szkołach średnich doprowadzi do osiągnięcia celu, którym na tym stopniu szkół jest udzielanie nauk w formie ściślejszéj naukowéj, a treść sama nauk jest już wynikiem badań ściślejszych, w pewien system ujętych?

A cóż dopiéro rzec o politechnice i uniwersytecie?

Wprawdzie od lat ośmnastu trwają w kraju naszym usiłowania w celu podniesienia języka ludowego do rzędu języków piśmienniczych; wszelako i tu nie można pominąć pytania, czy w ciągu lat ośmnastu choćby najenergiczniejszych usiłowań, może język ludowy przekształcić się w język piśmienniczy, czy może stanąć tam, gdzie stoją języki, których rozwój szedł w parze; krok za krokiem z rozwojem oświaty powszechnéj, z usiłowaniami ducha ludzkości europejskiéj w rozwiązywaniu najważniejszych, najzawilszych zagadnień stanowiących treść życia umysłowego ludzkości?

Wezwałem był niedawno jednego z pedagogów, stojącego po stronie frakcyi tak zwanéj świętojurskiéj, czy jest rzeczywiście przekonany, że można wykładać w języku dzisiejszym ruskim Platona, Demostenesa, Sofoklesa. Wezwany odpowiedział mi twierdząco i wyjaśniał rzecz tém, że mając np. tłómaczenie polskie Platona Kozłowskiego łatwo można zrobić sobie na téj podstawie tłómaczenie ruskie, gdyż różnica między oboma językami niewielka. Już ta sama odpowiedź wskazuje, na jak wątłéj podstawie opierałoby się dydaktyczne działanie nauczyciela; musiałby biedak być niewolnikiem wypracowanego tłómaczenia. Ale czy w każdéj chwili miałby w pogotowiu potrzebne zwroty do oddania myśli zawartéj w oryginale greckim podczas wykładu, czego przy nauczaniu koniecznie potrzeba, to pytanie, na które śmiało przecząco można odpowiedzieć. W każdym wykształconym nawet języku braknąć może tłómaczącemu lub piszącemu stósownego właściwego zwrotu do oddania myśli, bo i sam Homer czasami drzémał; ale czyż raz to się zdarza, że potém wziąwszy w chwili wolnéj jakąkolwiek książkę do ręki tłómacz, znajdzie nie szukając ów zwrot właściwy, o który poprzednio było trudno; znajdzie go więc w zasobie już gotowym językowym, znajdzie go od niechcenia w literaturze. Jak ów Anteus w podaniach greckich, ile razy go powalono o ziemię, powstawał z niéj z nowemi siłami, bo

ziemia była mu matką: tak samo duch nauczyciela i pisarza zaczerpywa sił nowych, myśli, wyrażeń i zwrotów stósownych i właściwych, ile razy sięgnie do gotowéj literatury, która jest właściwą karmicielką ducha. Język bez literatury to tylko środek do codziennego porozumiewania się, ale jeszcze nie narzędzie do udzielania nauki w szkołach średnich i wyższych.

Czy język, który od lat ośmnastu wyrabia stronnictwo ruskie, wydobył już z własnego ducha, tego ducha; który jest źródłem języka ludowego ruskiego; taki zasób form i zwrotów na wyrażenie wszelkich kierunków i odcieni myśli, wszelkich zdobyczy dotychczasowych w zakresie życia umysłowego, czy sposoby wyrażania każdego drgnienia życia językowego, o ile zapomocą słowa na jaw się wydobywa, już się tak ustaliły, aby u każdego piszącego miały to samo znaczenie? Na to pytanie odpowiedzą zapewne ci, którzy używają tego języka, całkiem stanowczo, że język ich w niczém nie ustępuje innym europejskim, a śmielsi powiedzą nawet, że wyżéj stoi od języka polskiego. Wszak niedawno, bo na przedostatniém posiedzeniu przeszłego sejmu dowodząc z Woluminów legum że Polacy nigdy nie uciskali Rusinów, twierdził zarazem ks. Guszalewicz że w r. 1848 język polski tak dobrze nie miał terminologii ustawodawczéj jak i język ruski, zapomniawszy, że w każdym języku może być tylko terminologia na to, co się zawiéra w życiu narodu, zapomniawszy, że ustawodawstwo austryackie z góry zaoktrojowane było życiu polskiemu w kraju naszym, a z ustawodawstwem i terminologia. Nie miał więc język polski na wszystkie odcienia terminów niemieckich odrazu stósownych wyrażeń bądź dlatego, że termina owe wyrażały stosunki, jakich w życiu polskiém nie było, bądź dlatego że ci, których do komisyi terminologicznéj do Wiednia powołano, jak ś. p. profesor krakowski Słotwiński i prezes sądu Strojnowski byli znakomitymi legistami, znali dotyczące kodeksy, ale podobno niekoniecznie znali cały zasób językowy polski, bo do tego potrzeba osobnych rozległych studyów w całéj historyi prawa i ustawodawstwa, a obok tego rozległéj i gruntownéj znajomości całego obszaru literatury, w którym nie jedno byliby znaleźli oddawna gotowe, nad czém się dopiéro mozolili i pocili. W takich razach potrzeba układającym terminologią znać historyę języka; rodowód każdego wyrazu,

przekształcanie się w ciągu czasu jego znaczeń; potrzeba znać znaczenie każdéj końcówki wyrazu, aby wiedzieć jaki odcień myśli ona oznacza, a obok tego wszystkiego potrzeba i przyrodzonéj pewnéj intuicyi, pewnego przyrodzonego jakby artystycznego talentu do chwytania właściwych dla myśli kształtów słowa, tak jak je od razu z ideałem w zakresie sztuki chwyta wyobraźnia artysty a potém w materyi uwydatnia. Całkiem na zimno, ściśle że tak powiem matematycznie, nie można tworzyć i terminologii, tak jak sama matematyka chociaż np. zajmuje się formami przestrzeni i perspektywą, nie stworzy jeszcze ani w malarstwie ani w rzeźbie ani nawet w architekturze formy któraby była wyrazem piękności; a najgruntowniejsza znajomość zasad harmonii potrafi zdobyć się na instrumentacyę, ale sama nie stworzy melodyi.

Tyle w odpowiedzi ks. Guszalewiczowi, który odwołaniem się do powagi Szafarzyka dowiódł tylko, że rozwój ducha niemieckiego a słowiańskiego idzie właściwemi sobie drogami, a zatém że i języki ich mają odrębne właściwości, zatém że to co się znajduje w jednym, nie da się żywcem dosłownie przenieść do drugiego, bo to czynią tylko języki tworzący się sztucznie ze zlewu różnorodnych żywiołów, lub robi oficyalna kuźnia językowa. Ale tém samém dowiódł także ks. Guszalewicz o co mi w niniejszych uwagach także się rozchodzi, że na języku niemieckim, którego frakcya, do któréj i on należy, zażądała w r. 1848 jako języka wykładowego w szkołach wschodniéj części kraju, dopóki się ruski język nie rozwinie, a czemu ówczesna reakcya chętnie zadość uczyniła, bo to była woda na jéj młyn, nie może się stósownie kształcić, żaden język słowiański a zatém i ruski.

Inni mogą mi na powyższe pytanie odpowiedzieć, że język ruski wciągu lat ośmnastu stanął na równi z polskim, bo dziś przecież wychodzą rozliczne pisma w tym języku; dzienniki polityczne i pisma literackie, zajmujące się rozbiorem spraw wszelkiego rodzaju.

Prawda, ale na tę odpowiedź jest także jeszcze odpowiedź. Same te pisma różnią się między sobą co do zasad językowych, właściwie rozmaitymi pisane są językami. Czyż spór jaki się toczył między literatami ruskimi na posiedzeniach „Matycy ruskiéj“ ma się przenosić i do szkół i w jednych mają używać języka

ludowego, używanego przez pisarzy ukraińskich; w drugich języka za jakim obstawał profesor Hołowackij?

Możemy usłyszeć także odpowiedź, że w jedném z gimnazyów lwowskich uczą w klasach niższych w języku ruskim, a w uniwersytecie są trzy katedry ruskie. Prawda; były rząd uczynił dla języka ruskiego to, czego nie uczynił dla języka polskiego, pomimo że ma wykształconą literaturę. Ależ właśnie zachodzi pytanie, jaki jest ten język, w którym udzielają nauk w gimnazyum, a wykładają z katedr uniwersyteckich? jakie są postępy w naukach udzielanych w gimnazyum w tymże języku? Kto o nich zdaje sprawę z onych postępów? Do jakiego języka przyznają się inspektorowie Janowski i Kulczycki, a których oczyma i rząd patrzy na sprawę języka i udzielanéj w nim nauki?

Chcąc należycie odpowiedzieć na te pytania, nie można pominąć i względów następujących. Ministeryum odrzuciło tłómaczenie jeografii na język ruski, dokonane przez profesora Szaraniewicza z powodu niewłaściwego języka; Gazeta Narodowa przytoczyła w kronice swéj próbki języka ruskiego użytego w „katechizmie,“ języka, którego żaden Rusin, nie znający języka cerkiewnego i rosyjskiego, nie zrozumie; Słowo przedrukowało w fejletonie żywcem artykuł Archireja Antoniego o kościele unickim „w zachodnich krajach,“ wyjęty z „Misiacosłowa“ t. j. kalendarza dla dyecezyi chełmskiéj, a napisany czysto po rosyjsku, czyli według terminologii „Słowa“ po „russki;“ „jeden w imieniu wielu“ oświadcza w „Słowie,“ że Rusini galicyjscy są „Russkimi“ czyli Moskalami, a że język ich nie jest ruski, lecz „russki“ czyli rosyjski; wreszcie duchowni i nauczyciele świeccy udają się z Galicyi pod rząd rosyjski, tam otrzymują posady i od razu zupełnie są uzdolnieni do udzielania nauk w języku czysto rosyjskim.

Są to wszystko zjawiska i fakta ważne. Wprawdzie powiedziałem nieco wyżéj, że mówić, pisać i drukować nie można nikomu zabronić w języku, w jakim się komu podoba; wszak wolno każdemu u nas pisać po francusku, po niemiecku a nawet po turecku, jeźli tylko umie; i tu za tą wolnością obstaję. „Słowo“ może sobie pisać czysto rosyjskim językiem, byle znalazło czytelników i abonentów; wolno i nauczycielom uczyć się języka rosyjskiego tak dla poznania literatury rosyj-

skiéj, jak i dla karyery w Rosyi, jeźli mają do tego ochotę. Ale inna rzecz, jeźli chodzi o zaprowadzenie języka ruskiego jako wykładowego. Dziś trzeba się najpiérw zastanowić nad tém, jaki język się zaprowadza; czy ruski, jakim mówią w Galicyi, czy „russki" czyli rosyjski, który aczkolwiek z ruskim w kraju naszym pokrewny, jak wszystkie języki słowiańskie mniéj lub więcéj są ze sobą spokrewnione; ruski zaś do rosyjskiego zbliżony przez zaprowadzenie graždanki, która pozwala wymawiać wyrazy czysto ruskie po rosyjsku: wszelako w kraju naszym jest językiem obcym, tak dobrze jak obcym jest serbski, który także używa graždanki, jak nie jest polskim język czeski, chociaż oba do siebie zbliżone i łacińskiego używają pisma.

Mają więc słuszność ci, którzy utrzymują że język ruski jest zdolny do wykładów w szkołach średnich i wyższych, jeźli przez język ruski rozumieją russki czyli rosyjski; ale nie mają słuszności ci, którzyby utrzymywali, że dzisiejszy język właściwy r u s k i jest do tego przydatny.

Zastanawiam się nad tą sprawą nie od dziś; zajmowała ona i dotykała mnie blisko od swego pojawienia się; to téż nie przestałem na nią zwracać bacznéj uwagi. W rokn 1861 napisałem w odcinku do C z a s u rzecz o sprawie językowéj w kraju naszym *); zaszczycony wyborem do sejmu krajowego uważałem za tem świętszy dla siebie obowiązek rozpatrzenia się w niéj powtórnie; rozpatrzenia się tu na miejscu, we Lwowie, gdzie od kilku miesięcy stale zamieszkałem. Wziąłem się do rzeczy zimno, bezstronnie, jak to mówią przedmiotowo; a łatwiéj mi to było, bo nie należę do żadnego stronnictwa skrajnego; wziąłem się do niéj jako obywatel kraju i syn téj ziemi z jednéj, a były nauczyciel z drugiéj strony, jako człowiek nie mający żadnych osobistych widoków na względzie; wziąłem się do niéj, nie tylko jako do sprawy krajowéj dobro ogółu obchodzącéj, lecz także jako do sprawy, która mnie osobiście nadzwyczajnie blisko dotyka. Otóż na podstawie tego wszystkiego ze spokojnem sumieniem powtórzyć muszę to, com napisał przed pięciu laty, że język ruski może być użyty jako środek nauczania w szkołach ludowych, ale w szkołach

*) „Język w wschodniéj części kraju naszego w stósunku do siebie i do szkoły." Rzecz ta wyszła i w osobném odbiciu.

średnich i wyższych dziś jako ruski wykładowym być jeszcze nie może.

Nie idzie zatém, żebym mu zupełnie odmawiał prawa do tego; niech się kształci, a w miarę tego będzie mógł wchodzić w zakres szkolny; ale mylne jest zdanie, że przez użycie w szkole kształcić się będzie. Szkoła nie jest do tego miejscem; w niéj może być środkiem udzielania nauki tylko język gotowy, mający literaturę, skupiającą w sobie rezultaty oświaty powszechnéj. Nie odmawiam téż językowi ruskiemu równouprawnienia; bo równouprawnienie służy wszystkiemu co tylko ma życie; ale każdy mi także przyzna, że wykonywanie tego prawa zależy zawsze i wszędzie od zasobu sił i że tak powiem stopnia kwalifikacyi, na jakie stać każdego równouprawnionego. W rozwoju naszych stosunków zaszliśmy do tego, że dziś każdemu wolno nabywać majątki ziemskie, ubiegać się można o wszelkie posady; wszelako do kupienia majątku potrzeba pieniędzy, do otrzymania posady, potrzebnéj kwalifikacyi. Czy zostali pokrzywdzeni w równém swém prawie ci, którzy nie mając pieniędzy dóbr nie kupili, lub ci których przy obsadzeniu posad pominięto dla braku dostatecznych kwalifikacyi? Pojmowane równouprawnienie jako zupełna we wszystkiém równość, byłoby spółką o równych zyskach a nierównych wkładkach.

Przy dzisiejszych więc rzeczywistych stosunkach język polski powinien być językiem wykładowym w szkołach średnich i wyższych; ruski może nim być w przyszłości, skoro w rozwoju swoim sprosta swemu zadaniu, chociaż według mego indywidualnego zdania, o ile je opieram na sumiennem zbadaniu tego języka, który od roku 1848 dotychczas się rozwinął i który przeważna część stronnictwa dzisiejszego ruskiego uważa za swój język, ten język samodzielnéj przyszłości nie ma. Dziś ma on już wybitne cechy z wyraźném nachylaniem się ku rosyjskiemu i jeźli tym torem pójdzie daléj, zleje się w końcu z rosyjskim, kiedy przeciwnie język ludowy więcéj zbliżony do polskiego. Zresztą wypowiedział to jasno ów „jeden w imieniu wielu“, dla którego słownik rosyjski Szmida jest słownikiem i ruskiego języka; wypowiedział to także jakiś Rusin węgierski w kalendarzu tegorocznym w Ungwarze wydanym, w którym pisząc o narodzie ruskim wyraźnie oświadcza, że jeden

tylko jest naród ruski tak pod panowaniem austryackiém jak i rosyjskiém.

Powiedziałem powyżéj, że w załatwieniu sprawy językowéj należy się opierać na rzeczywistości. Otóż faktem jest także, jak się już rzekło, że w jedném z gimnazyów lwowskich wykładają w niższych klasach po rusku. Zachodzi więc pytanie, co z tym rzeczywistym faktem uczynić. Mniemam, że należy go najpierw dokładnie zbadać pod każdym względem; a dopiéro na podstawie szczegółowych, sumiennie, bez wszelkiego uprzedzenia zebranych dat można stanowczo orzec o tym fakcie od kilku lat istniejącym. W obecnych stosunkach uczynić to może tylko rząd, mający wyłączny zarząd nad szkołami, bo ani sejmowi ani wydziałowi nie służy do tego prawo. Sejm może tylko zawezwać rząd uchwałą do ścisłego zbadania sprawy przez ludzi sumiennych i znających się na rzeczy i do udzielania mu wypadku badań przedsięwziętych. Mając rezultat badania, może daléj uchwalić, co uzna za stósowne.

Według dotychczasowéj praktyki istnieje przymus co do nauki języka ruskiego w szkołach ludowych wyższych a nawet w szkołach panieńskich. W ostatnich kilku latach narzucono naukę tego języka uczniom i uczennicom tychże szkół bez różnicy pochodzenia. Strony interesowane zanosiły w tym względzie petycye do przeszłego sejmu, a gminy zwłaszcza miejskie wystąpiły z protestami przeciw poddaniu ich szkół pod konsystorz unicki, który bez względu na mieszkańców narzuca w szkołach język ruski. Przymus taki narusza prawa rodziców i gmin, a jako taki ustać powinien. Rusin chociażby najbardziéj do swego języka przywiązany, nie może przecież bez ominięcia się z prawdą powiedzieć, że język ruski w kraju ma już takie znaczenie, iż go każdemu potrzeba; a dopóki na taki nie wzniósł się stopień, dopóki nie wniknął jako niezbędny czynnik w stosunki życia, dopóty z góry narzucany będzie tylko razić i niechęć wzbudzać. Każdy język tylko ciężkością swoją, wagą znaczenia swojego w życiu, podbija i zmusza do uczenia się go. Cudzoziemcy przybywający do kraju naszego osiedliwszy się w nim, uczą się języka polskiego, bo to jest właściwy język krajowy, którego znajomość toruje drogę we wszystkich stosunkach i przeprowadzi nietylko przez całą Galicyę, lecz nawet i przez znaczną część Bukowiny.

Rozporządzenie ministeryalne nakazuje, aby uczniów obrządku unickiego nie przyjmowano do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie chyba za pozwoleniem namiestnictwa, rozporządzenie wdzierające się w najświętsze prawa rodziców, a wydane w skutek zabiegów frakcyi, powinno być zniesione, jako rzecz we właściwéj Europie niepraktykowana.

Wreszcie zasługuje także na szczególniejszą uwagę nadużycie, jakiego dopuszczają się konsystorze unickie przez identyfikowanie obrządku z narodowością, a w skutek tego przez narzucanie uczniom obrządku unickiego języka ruskiego w nauce religii, chociażby uczniowie nie umieli po rusku, a polskim mówili od kolebki jako językiem ojczystym. Religia Chrystusowa, to religia powszechna, nieznająca granic ani narodowych, ani szczepowych, i między innemi tém także wyższa nad wszystkie inne. Do udzielania nauki religii nigdy i nigdzie nie miała ona, że tak powiem, urzędowego języka; nie używała ani hebrajskiego ani greckiego, chociaż są to języki pisma świętego; nie używa języka łacińskiego, chociaż jest językiem kościoła katolickiego obrządku łacińskiego. Skądże więc obrządek gr. katolicki ma jeden narzucać uczniom język czy to cerkiewny, czy nowożytny ruski, jeźli oni nim nie władają?

I to jest naruszanie praw cudzych, tém dotkliwsze, że dokonywane przez władze duchowne, a źródłem jego pobudki polityczne, a nie religijne wychowanie tych, którym się narzuca obcy język.

Tym wszystkim anomaliom zapobiedz mogą uchwały sejmu, które jako nietykające sprawy stosunku kraju do całości państwa, jako nienależące do spraw tak zwanych spólnych, zapewne będą zatwierdzone.

Anomalią w naszych stosunkach jest także i uniwersytet lwowski dotąd ciągle niemiecki, do tego stopnia, że nawet docentom chcącym wykładać w języku polskim, nie dawano pozwolenia, uzasadniając odmowę tém, że ministeryum nie widzi powodu odstępowania od zasady. Ale godzi się zapytać, co ma tu zasada na względzie: dobro kraju, czy dobro państwa, czy wreszcie dobro a raczéj utrzymanie czyli posady dla pewnéj liczby profesorów niemieckich.

Nazwałem ten uniwersytet w stolicy kraju nieniemieckiego z językiem wykładowym niemieckim anomalią; bo wyda-

tnie występuje ona w całéj swéj jaskrawości i na zewnątrz wobec całego kraju. Albowiem czyż to nie szczególniejsze zjawisko, którego się zapewne nigdzie więcéj nie napotka, chociażby przy świetle elektryczném szukał, żeby rektorowie tegoż uniwersytetu statutem do reprezentacyi kraju powołani, siedzieli w sejmie jak na tureckiém kazaniu, nie rozumiejąc języka w którym się toczą obrady, a jako obcokrajowi nie znając ani stosunków ani potrzeb kraju; żeby jako reprezentanci umiejętności, najwyższego zakładu w stolicy kraju odgrywali tę samą rolę, jaką odgrywają w Radzie państwa nasi posłowie włościanie?

Uniwersytet potrzebuje pod względem języka wykładowego reformy; inaczéj zawsze będzie kolonią wpośród kraju. Sejm powinien się postarać o zmianę dotychczasowego stanu uniwersytetu lwowskiego pod względem języka wykładowego.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Sprawa języka wykładowego w szkołach łączy się jak najściśléj ze sprawą językową w sądzie i zarządzie. Język w szkołach i język w urzędach i sądach — to bracia syamscy. Poruszenie sprawy jednego pociąga za sobą koniecznie i sprawę drugiego; załatwienie jednéj byłoby tylko połowiczném uwzględnieniem potrzeb, a nawet nie wydałoby oczekiwanych owoców. To téż chociaż sprawa języka w urzędach i sądach nie jest sprawą szkolną, wszelako jako najściśléj z nią złączona znalazła tu krótkie przynajmniéj wspomnienie.

Oto główniejsze ogólne punkta sprawy szkolnéj, oczekujące od sejmu załatwienia; sprawy od któréj nie masz ważniejszéj, a dziś nie masz już nawet i pilniejszéj.

Zygmunt Sawczyński.

O adresie sejmu Galicyjskiego.

W długim szeregu lat, które kraj nasz przeżył pod pa-
nowaniem austryackiem, nie znajdzie się może ani jeden rok
tak ważny dla naszéj przyszłości, jak ten, który się właśni
ukończył. Był jeden, który wydobył na jaw kwestyę społeczn
w całéj jéj rozciągłości i grozie, był inny, który silnie po
pchnął naprzód rozwój zasad nowoczesnych i demokratycznych
ale ani w roku cztérdziestym szóstym, ani w cztérdziestym
ósmym nie było takiéj niepewności o przyszłość, takiego po
wszechnego wyczekiwania jakichś wypadków wielkich, stanow
czych, zamykających jednę epokę a poczynających inną, jaki
dziś rozpostarło się po całym kraju i wielkim ciężarem przy
gniata umysły. Ogólny niepokój, ogólna troska i wspólne wszyst
kim dręczące uczucie, że w tych przewidywanych wypadkach
które o losach świata może będą rozstrzygać, my na swój lo
wpłynąć zdołamy bardzo mało lub wcale nie. Może Bóg da, że z
lat kilka wspominać będziemy ten nasz dzisiejszy stan umy
słów z takim uśmiechem lekko pogardliwego współczucia, z ja
kim dziś czytamy o tych biednych ludziach, którzy w końc
dwunastego wieku przeczuwali bliski koniec świata; być moż
ale dziś doznajemy takiego dręczącego niepokoju, takiego stra
sznego wrażenia próżni na około siebie, że prawie wyobraz
sobie możemy, my sceptyczni i pewni siebie synowie dziewi
tnastego stulecia, jakichto cierpień, obawy i niepokoju dozna
wać mogły te ciemne, łatwowierne, prostoduszne dzieci średni
wieków. Przed nami kilka dróg, wszystkie zawalone trudn
ściami, ale jedne wiodą na miejsce bezpieczne, drugie w jaki
ciemne przepaści i otchłanie, z których wygląda do nas dante

ski napis: „tu nie ma nadziei“— a my, choć złe drogi od do-
brych umiemy rozeznać, nie możemy ich wybierać, ale na złe
lub na dobre wejdziemy za drugimi, pociągnięci przez drugich.

Oto położenie, które nam zostawia rok ukończony. Goto-
wało się ono oddawna, tworzyło się przez długie lata, ale ten
rok je uzupełnił, wykończył i odsłonił przed światem, i nie
w skromnych rocznikach jednego biednego kraiku tylko, nie
tylko w smutnych dziejach jednego uciśnionego narodu, ale
w historyi świata będzie on znaczył i będzie żył długo w pa-
mięci ludzkości, bo za niego dwa walczące pryncypia wolności
i dezpotyzmu, oświaty i barbarzyństwa, życia i śmierci, tak
blisko naprzeciw siebie stanęły, że ostateczne pomiędzy niemi
starcie stało się nieuchronném, a nie może być dalekiém.

Dla nas zaczął się ten rok spokojnie, rzeklibyśmy niele-
two, pomyślnie; zaczął się pierwszemi swobodnemi, pierwsze-
mi prawdziwemi obradami sejmu, zaczął się nadzieją pożąda-
nego rozwoju sił polskich i polskiego życia w Galicyi, w zgo-
dzie z istniejącym rządem, w wewnętrznym i postronnym po-
koju. Zgoda ta, wyznajemy z prawdziwą pociechą, nietylko
z żadnéj strony nie została zachwianą i naruszoną, ale owszem
wzmogła się i silniéj zakorzeniła. Ale pokój — pokój, które-
gośmy pragnęli i potrzebowali, ten chybił, i w chwili, kiedy
nam się zdawało, żeśmy stanęli nogą na gruncie pewnym i sta-
łym, w téj saméj chwili przyszło trzęsienie ziemi, i tym grun-
tem tak zatrzęsło, że jeszcze do równowagi nie przyszedł. Odu-
rzeni tym nowym przewrotem, ze wszystkich dawnych jeszcze
nie wypoczęci, musimy znowu przedzierać wzrokiem ciemności
i szukać sobie drogi, znowu dźwigać się na nogi i iść, nie
wiedząc gdzie przed nami miejsce, ani kiedy przed nami chwila
wytchnienia. Nie jest to łatwo, ale pomimo tego powiedzieć
możemy bez zarozumiałości, żeśmy sobie drogę upatrzyli lub
raczéj żeśmy z niéj wcale nie byli zeszli, i że daléj po niéj
iść próbujemy. Może być, że nie zajdziemy na niéj daleko, że
wypadki będą chciały zepchnąć nas z téj drogi, lub na niéj
gwałtem powstrzymać, ale droga jest dobra i bądź co bądź
powinniśmy się jéj trzymać; być może, że i ona nie wyprowa-
dzi nas z tego labiryntu, po którym się błąkamy, ale żadna
inna wyprowadzić nas z niego nie może; mówimy to nie o so-
bie tylko i nie dla naszego tylko kraju, ale o Państwie i dla

Państwa, do którego należymy, a o którego całość i potęgę szczerze jesteśmy dbali.

I.

Nie z przekąsem ani z urąganiem, nie ze złością a brzydką radością ze szkody drugiego przychodzi nam porównać do labiryntu dzisiejsze stosunki Państwa austryackiego. Stan jego dzisiejszy jest dla nas samych takiem złem, dla naszéj przyszłości takiem niebezpieczeństwem, że wierzyć nam można kiedy mówimy, że patrzymy nań ze smutkiem i że radzibyśmy przyjść ze skuteczną pomocą. Jeszcze pokój z Prusami nie był podpisanym, jeszcze Wiedeń nie ochłonął z patryotycznego zapału, który mu natchnął wiadomą petycyę do cesarza, kiedy wszystkie głosy polskie, czy to osobiste w poufnych rozmowach, czy zbiorowe głosy opinii organem dzienników, już wołać zaczęły, że należy się ratować i że jedynym sposobem ratunku, jest odprzysiądz się polityki niemieckiéj tak szczerze i tak stanowczo, żeby Prusom nie dawać najmniejszego powodu do dalszéj nienawiści i do powtórnego napadu, a urządzić się u siebie wewnątrz, jako federacyjny związek wolnych krajów koronnych. Oddawna Polacy tak sobie wyobrażali przyszłość Austryi, oddawna pragnęli dla niéj i dla siebie, żeby taką przyjęła politykę. Za czasów otwartego despotyzmu Bacha, za czasów niemieckiego ucisku przez Schmerlinga i ciasną Radę Państwa, było to wszystko marzeniem, ideałem, była to jak żeby statua dla Austryi zrobiona przez Susippa, który jak wiadomo kuł w marmurze formy ludzkie nie takie jak są, ale takie jak być powinny. Ale kiedy gorzkie doświadczenie pokazało tak wyraźnie, że wyciągając gwałtem członki państwa ze stawów żeby ją zmusić do przeciwnych ich naturze ruchów i obrotów, osłabia się fatalnie cały organizm, kiedy się pokazało że pieniężne wycieńczenie krajów mści się na skarbie państwa w chwili niebezpieczeństwa, że zaskrzepłe formy biórokratycznéj administracyi w rzeczy nic administrować nie mogą, że mundur nie więcéj czyni jenerała jak habit mnicha; słowem, że rozprzęgły się wszystkie koła téj maszyny rządowéj funkcyonującéj jednym trybem od lat sześciudziesiąt; kiedy wreszcie zwycięzca zażądał od spadkobiercy tylu niemieckich cesarzów, żeby mu w Niemczech miejsca ustąpił, i kiedy ko-

nieczności poddać się wypadło, kiedy bezpłodna i bezskuteczna a tak kosztowna przewaga we Włoszech ustąpiła miejsca stósunkom spokojnym i łatwym — wtedy można było się spodziewać, że konieczność przemoże wszystkie opory i wstręty, że natura rzeczy i logika faktów sprowadzi Austryę na tę drogę przykrą z razu, ale im daléj tém łatwiejszą i świetniejszą, że przeszłość państwa policyjnego która tak smutną zrodziła terazniejszość zniknie bez śladu, ustępując miejsca terazniejszemu państwu wolnemu i samorządnemu, a przewaga żywiołu niemieckiego, zakończona faktem wystąpienia Austryi ze Związku, nie będzie już w przyszłości tamować wolności innych narodów Monarchii ani psuć ich równowagi.

Tymczasom, upłynęło już pół roku od owéj wielkiéj katastrofy, a sytuacya zamiast się wyjaśnić i uprościć, coraz bardziéj się gmatwa. Spokojną i dobrą jest chyba tylko od strony Włoch, tu pokój wydaje się prawdziwym, a dzisiejszy wzajemny stósunek obu państw wydaje się przyjętym szczerze i bez restrykcyi przez obadwa. Ale od strony północnéj, choć burza przeszła, niebo się przecie nie wypogodziło — chmury stoją i grożą nowém oberwaniem, a na horyzoncie ukazuje się ich coraz więcéj; dzienniki jak kalendarze przepowiadają wojnę z Rosyą, a choć urzędowi astronomowie zaręczają za zupełną z téj strony pogodę, gmin przecież wierzy w swoje znaki i przepowiednie, a po Niemczech obiega nowa karta Europy, na któréj Prusy dochodzą do Dunaju, Rosya przez Węgry i Kroacyę do morza Adryatyckiego, a Austryi nie ma wcale.

Nie strasząc się więcéj jak należy podobnemi zuchwałemi i złemi konceptami, nie można jednak słuchać obojętnie tego co dzienniki rosyjskie piszą o naturalnéj granicy Karpat i o południowych słowiańskich braciach. Rosya złożyła już tyle dowodów swojego zaborczego ducha, że nikt w niego wierzyć nie przestanie, i że najmniejsze jéj przemówienie wystarczy, żeby wszystkich wprawić w niepokój, zwłaszcza, że rosyjskie dzienniki cieszą się tym przywilejem, że cokolwiek powiedzą, brane jest jak żeby było powiedziane z natchnienia rządu, i tłomaczone jeżeli nie jako bezpośrednia groźba, to przynajmniéj jako wskazówka stałéj i nieprzymuszonéj woli. Że Rosya oddawna założyła sobie zagarnąć pod swoje panowa-

nie wszystkie kraje zamieszkałe przez słowiańskie szczepy, to nie jest tajemnicą dla nikogo; że zaś większa część tych plemion zostaje pod berłem austryackiem, przeto Rosya tylko ze szkodą Austryi może je zagarnąć; a że w końcu, w skutku ostatniéj wojny i wewnętrznego rozstroju, do którego każde państwo policyjne ostatecznie dojść musi, Austrya znajduje się dziś w stanie wielkiego osłabienia, przeto każdy naturalnie przypuszczać musi, że z tego osłabienia Rosya zechce korzystać i napaść Austryę, zanim się ta z upadku podźwignie.

Nowy ten a niezaprzeczenie groźny moment w położeniu tego cesarstwa tkwił wprawdzie oddawna w naturze obu państw, ale zostawał w ukryciu, i mało kto o nim wiedział, oprócz Polaków. Ci przez długie cierpienia może mają nerwy tak zaostrzone, że zdaleka przeczuwają zmiany polityczne, podobnie jak cierpiący organizm fizyczny czuje naprzód zmiany powietrza. Ale proroctwa polskie mają tę samą własność co proroctwa Kassandry, przydają się na to tylko, żeby dręczyć proroka, słuchaczom jego oczów nie otwierając. Tego konia brzemiennego zbrojnym ludem, który czeka tylko na sposobny wyłom w murze, pokazywaliśmy Austryi w roku 1830, potém od roku czterdziestego ósmego przestrzegaliśmy ją nieustannie, że wyłom się zwiększa i że ona sama pracuje nad tém, żeby go koniowi wygodnie rozprzestrzenić, późniéj błagaliśmy w sześćdziesiątym trzecim, żeby ten wyłom zamurować — zawsze nadarmo. Dziś najmniéj łatwowierni nawet zaczynają przypuszczać, że w północnéj stronie obronnych murów Austryi jest przynajmniéj znaczna szczelina, a przykładając do niéj oko, dostrzegają zarysów czegoś podobnego do Trojańskiego konia. Od chwili jak wewnętrzne sprawy jednéj z prowincyi ausrtyackich obudziły czujną troskliwość Rosyi o własne bezpieczeństwo, od chwili jak urzędowe stanowisko jednego Polaka wydało się wszystkim organom rosyjskiéj opinii prowokacyą i groźbą, od téj chwili wątpić nie można, że Rosya teraz lub późniéj szukać będzie zaczepki. Jak się usłyszy skargę: „Baranku mącisz mi wodę“, trzeba uwierzyć, że wilk musi być niedaleko.

Dzienniki wiedeńskie widzą niebezpieczeństwo, a choć je w miarę swojéj potrzeby przesadzają, wszelako jeden z nich natrafił na myśl zdrową i szczęśliwą. *Presse* radzi rządowi tak

się zachować, żeby pokoju z Prusami niczém nie narazić, a raczéj ustąpić im miejsca w Niemczech szczerze i zupełnie, tak żeby w razie zaczepki ze strony rosyjskiéj, nowa ta potęga nie miała ani powodu, ani nawet pozoru do udziału w wojnie. Dla czego pomimo zawartego z Prusami pokoju, utrzymuje się w umysłach niespokojność o trwałość tego pokoju, zkąd to jakieś uczucie ciemne i niewytłumaczone ale powszechne, że spór austryacko-pruski nie jest jeszcze stanowczo rozstrzygniętym, czy Prusy dowiodły czémkolwiek chęci dalszych zaborów, czy Austrya zdradziła chęć odzyskania stanowiska w Niemczech — dość że wzajemna niechęć i wzajemne podejrzenia dotąd się nie uciszyły, stosunek obu państw jest widocznie przykry, a pessymiści, *utinam falsi vates*, nie przestają nas straszyć prusko-rosyjskiém przymierzem przeciwko Austryi.

Wobec takich konstellacyi, jedyna potęga na któréj Austrya oprzećby się mogła, potęga rzeczywista zawsze choć pozbawiona znacznéj części swojego uroku, Francya, gotowaby może sprzymierzyć się z Austryą, ale zanim się słowem zwiąże, pyta przezornie jakie siły Austrya do tego przymierza przyniesie. Na to pytanie zaś odpowiada wewnętrzny stan monarchii w sposób niezupełnie zaspokajający. Pomijając stan finansów i konieczną reorganizacyę armii, to jest pomijając dwie rzeczy najważniejsze, nie znajdujemy w stosunkach wewnętrznych nic prócz zamętu i sprzeczności.

Konstytucya lutowa zawieszona, system decentralizacyjny zapowiedziany; zdawałoby się że to przecie jeden punkt stały. Ale ten nowy system posługuje się w administracyi wewnętrznéj całą zbutwiałą maszyneryą dawnego, nie śmie się bez niéj obejść, nie śmie zastąpić jéj inną, prostszą i praktyczniejszą; a konstytucya lutowa, zawieszona na wielką radość wszystkich krajów słowiańskich monarchii, próbuje czyby nie mogła powrócić pod dawną lub pod nową jaką formą. Czesi, Polacy i wszyscy inni Słowianie jéj przypisują wszystkie klęski monarchii i przepowiadają nowe, jeżeliby ona wrócić miała. Podług Niemców wojna dla tego była przegraną, że hukowi armat z pod Königgrätzu nie wtórował głos mowców parlamentarnych w sali za szkocką bramą. Jedni zapowiadają, że w system centralistyczny wtłoczyć się nie dadzą, drudzy dają hardo do zrozumienia, że im o tyle tylko zależy na egzystencyi mo-

narchii, o ile będzie Rada Państwa i w Radzie Państwa większość niemiecka — jednych i drugich razem zadowolnić niepodobna. Już to samo wystarczyłoby na bardzo smutną sytuacyę wewnętrzną, cóż dopiéro jak się policzy trudność i konieczność porozumienia z Węgrami. Korona ze swojéj strony zrobiła w téj mierze co mogła, żywioł niemiecki w monarchii gotów zrezygnować zupełnie na supremacyę w Węgrzech byle zachować ją w krajach słowiańskich, Węgrzy gotowi mu ją przyznać wszędzie byle nie u siebie, zdawałoby się więc, że ze trzech stron zgoda na jakiś nowy ustrój państwa — na dualizm; zdawałoby się, że się znalazł znowu punkt stały. Ale co korona przyjęłaby jako wyjście z nieznośnéj sytuacyi, co Niemcy przyjęliby jako ulubioną centralizacyę w nowéj postaci, na co Węgrzy zgodziliby się z taką obojętnością jak żeby byli takimi wyspiarzami w Austryi jak Anglicy w Europie, to grozi znowu gdyby w życie wejść miało, wielkiém niezadowoleniem i biernym oporem wszystkich krajów słowiańskich; jedném słowem położenie tak wewnętrzne jak i zagraniczne tak poplątane, tak zagmatwane, tak najeżone trudnościami i sprzecznościami, że nie można się z niego wydobyć tak, żeby kogo nie potrącić lub czegoś nie naruszyć, jedno z tych położeń rozpaczliwych, z których tylko wielcy politycy wyjść umieją, i z których wychodzą przez zamach stanu; a jak nominacya hr. Gołuchowskiego i krucyata rosyjskich dzienników przeciw niemu i Galicyi wniosła światło w zagraniczne stosunki Austryi, tak świeże rozprawy adresowe wszystkich sejmów krajowych dozwoliły nam przypatrzeć się dokładnie wszystkim przeciwieństwom stosunków jéj wewnętrznych.

Wszystkie te adresy zaczynają się jednakowo; wszystkie mówią o wojnie i o opłakanym stanie monarchii, wszystkie zgodnie wołają o ratunek, i wreszcie wszystkie uznają, że ten ratunek jest możliwym. Ale w tym punkcie rozchodzą się w dwie przeciwne strony, a kierunki ich tak są od siebie różne, że nie łatwiéj im spotkać się z sobą jak dwom liniom równoległym.

Nie możemy wdawać się w szczegółowy rozbiór wszystkich adresów lub ich projektów, a tém mniéj w rozbiór dziewietnastu długich rozpraw adresowych. Chodzi nam o to tylko, żeby uwydatnić jak i o ile wszystkie te rozprawy wpłynęły

na położenie sejmu galicyjskiego, a przez to na słowa, które on do tronu wyrzec musiał.

Adres sejmu Niższéj Austryi niezawodnie reprezentuje najdobitniéj jeden z tych dwóch kierunków, na które rozpada się opinia krajów koronnych — kierunek centralistyczny. Bez uprzedzenia, a raczéj z uszanowaniem patrzymy na żal z jakim Niemcy austryaccy oderwać się musieli od Rzeszy, i nie dziwimy się, że ten ból gwałtowny i słuszny nie daje im trzeźwo i zimno oceniać dzisiejszego stanu monarchii; zkądześkolwiek wychodzi głos w obronie wolności i udziału ludu w rządzie, my głosu tego zawsze z sympatyą słuchać będziemy. Gotowiśmy więc oddać zupełną sprawiedliwość adresowi Niższo-austryackiego sejmu, tam gdzie on ubolewa nad zerwaniem związku z Rzeszą, choć sami ubolewać nad tém nie możemy, i gotowiśmy przyznać mu słuszność, tam gdzie się skarży, że polityka zawieszenia nie sprowadziła żadnych zmian korzystnych w zakresie prawodawstwa, administracyi i sprawiedliwości. Wszelako, temu dziwić się musimy, że ciało złożone z ludzi uważających się za czoło austryackiéj inteligencyi, przemawiając uroczyście do korony, a mając zrobić niejeden słuszny zarzut i postawić niejedno słuszne żądanie, ucieka się do naciągań i wykrętów żeby bronić doktryny. Czytamy bowiem w adresie tego sejmu, że wprawdzie wypadek ostatniéj wojny nie da się wyłącznie przypisać samemu tylko zawieszeniu konstytucyi lutowéj, ale że zawieszenie to sprowadziło rozbrat i wewnętrzne osłabienie Austryi, że nieprzyjaciel umiał chytrze z tego skorzystać, a nie było tego organu, który w chwili niebezpieczeństwa najskuteczniéj mógł był rozgrzać wszystkie ludy zapałem dla wolności i prawa i pobudzić je do powszechnego powstania ku odparciu nieprzyjacielskiego napadu.

Otóż z żalem przychodzi nam powiedzieć, że to wszystko jest bardzo naciągnięte. Że rozbrat był i jest w łonie monarchii, to niestety prawda, ale fałsz, żeby polityka zawieszenia była go stworzyła lub nawet powiększyła. Najniebezpieczniejsza z tych wszystkich niezgód, węgierska, zaczęła się dawniéj podobno, a jeżeli się nie załagodziła przez wszystkie lata konstytucyi lutowéj, pomimo że ów organ jedności, zgody i patryotyzmu nie zaniedbywał swoich obowiązków organu, czyż temu winien manifest wrześniowy i dzisiejszy minister stanu?

Wszak jeżeli się nie mylimy, nowy rozbrat z Węgrami zaczął się w roku 1861, a powodem jego była podobno właśnie owa Rada Państwa, któréj zawieszenie dziś ma być znowu powodem jeszcze większego rozbratu? Co więcéj, wszak pierwszy krok do zgody i porozumienia z Węgrami, podróż cesarza do Pesztu w roku 1865, stał się hasłem nowego porządku rzeczy w Austryi, wystąpienia pana Schmerlinga z ministeryum? Możnaby myśleć, że konstytucya lutowa i gabinet centralistyczny z jednéj strony, a porozumienie z Węgrami z drugiéj, wykluczały się wzajemnie, skoro pierwszy krok cesarza ku Węgrom pociągnął za sobą upadek pana Schmerlinga i zawieszenie Rady Państwa, i skoro po tych faktach zacięty opór Węgrów zwolniał o tyle przynajmniéj, że traktowanie z nimi stało się podobném. Ale nie możemy wierzyć temu co nam mówi rozsądek i fakta, skoro sejm niższo-austryacki zaręcza, że polityka zawieszenia doprowadziła ów rozbrat do ostatnich granic! Poddajemy się; a ze swojéj strony dodamy, że gabinet dzisiejszy mocno pobłądził kiedy w marcu odmówił Węgrom tego, co im przyznał w listopadzie; gdyby nie ta nieszczęsna pomyłka, nie byłoby z téj strony przynajmniéj, żadnego prawdopodobnie rozbratu; wszelako nie przecząc bynajmniéj temu co twierdzi adres niższo-austryacki, pozwolimy sobie podnieść tylko tę nieznaczącą okoliczność, że kiedy za konstytucyi lutowéj sejm węgierski przez lat cztery nie zeszedł się ani razu, po jéj zawieszeniu schodzi się już powtórnie w przeciągu roku, i zdaje się być coraz bliżéj porozumienia.

Tyle co do niezgody z Węgrami. Co zaś do innych krajów koronnych, wiemy, że za konstytucyi lutowéj Czechy stały w otwartéj opozycyi, ale nie wiedzieliśmy, że i dziś stoją na tém stanowisku. Wiemy że nieprzyjaciel istotnie „chciał chytrze z ich opozycyi skorzystać“ i rozrzucał odezwy powołujące ich do niepodległości, ale nie widzimy, żeby ich żal za Radą Państwa był wybuchnął otwartém powstaniem, co pod zasłoną pruskich bagnetów nie było rzeczą ani trudną ani niebezpieczną; nie możemy zatém dopatrzeć się tu tego rozbratu, którego wina spada na głowę dzisiejszego ministra stanu, a w głębi serca mamy nawet niejaką wątpliwość, czy w latach poprzednich owe pruskie odezwy byłyby się okazały tak kompletnie nieszkodliwemi.

Co do Galicyi zaś, możemy zaręczyć sejmowi Niższo-austryackiemu, że jakkolwiek wiele i bardzo wiele do życzenia jéj pozostaje, to przecież nigdy nie była tak dobrze dla rządu i dla państwa usposobioną, jak właśnie od roku. Zdawałoby się zatém że w znacznéj połowie państwa zapowiedziany system autonomiczny, złagodził raczéj niżeli rozszerzył ów rozbrat wywołany centralizacyą i supremacyą Niemców nad wszystkimi innymi ludami, — a jeżeli dziś istnieje niechęć do rządu, to chyba tylko u Niemców.

Obok tego adresu Niższéj Austryi, staje jednaki z ducha i z treści adres drugiéj połowy tego samego kraju; jeden drugi wspiera, jeden jak drugi jest silnym wyrazem opinii niemieckiego stronnictwa, i służyć ma do tego, żeby taką jednomyślną manifestacyą niemieckich poddanych odstraszyć koroną od wskazanego naturą Państwa systemu federacyjnego. Z naszego stanowiska oceniwszy jeden z tych adresów, oceniło się tém samém i drugi, a przeto szczegółowa odpowiedź byłaby zbyteczną.

W tym samym duchu, a w tonie mniéj lub więcéj podniesionym, odzywa się cały chór niemieckich adresów. Wyróżnia się między niemi adres styryjski, wiadomo że w tym sejmie jest gniazdo niebezpiecznych autonomistów, który na ołtarzu konieczności składa część swoich zasad, i zalecając rządowi zgodę z Węgrami, przystaje na dualizm. Zręcznie to i roztropnie; zostawić Węgrom zupełną wolność działania po tamtéj stronie Litawy, byle po téj stronie Niemcom wolno było robić co im się podoba. Nie możemy powiedzieć, żeby centralizacya zupełnie była nam milszą od dualizmu; bynajmniéj, bez żadnéj przyjemności widzielibyśmy Węgrów wtłoczonych pospołu z innymi w tę formę w któréj nam samym było tak ciasno i niewygodnie, ale nie możemy także powiedzieć żebyśmy z naszego stanowiska woleli dualizm jak dawną centralizacyę pana Schmerlinga, bo dla nas jest on taką samą zupełnie centralizacyą, bo czy Węgrzy cierpią lub nie, to my zawsze jednakowo cierpimy.

Tak więc po jednéj stronie nie tylko żądanie Rady Państwa, żądanie centralizacyi i supremacyi Niemców, a jeżeliby téj być nie miało, złowrogie przepowiednie i groźby. Cóż będzie po stronie drugiéj?

Po stronie drugiéj nie mówiąc o sejmie węgierskim po stronie drugiéj, widzimy naprzód sejm morawski który z dwóch

projektów adresowych nie złożył do tronu żadnego. Biedny projekt autonomiczny miał przeciw sobie tak znaczną mniejszość centralistyczną i niemiecką, że nie śmiał wystąpić jako program całego kraju; zasługa należy się autorowi patentów lutowych i jego zgrabnym ustawom wyborczym. Skończyło się na złożeniu Cesarzowi hołdu od jego wiernego sejmu morawskiego, ale w żadnym sejmie nie spotkały się tak blisko dwie zasady, centralizacyi i autonomii, i w żadnym nie walczyły z tak równemi siłami. W niemieckich występowała jedna tylko zasada, w galicyjskim odezwała się wprawdzie niejaka obrona konstytucyi lutowéj, ale widocznie tylko na złość, w czeskim stronnictwo niemieckie walczyło ze znacznie od siebie mocniejszém narodowém, w tym jednym tylko przegrana konstytucyi lutowéj nie była kompletną; stosunek ludności niemieckiéj do morawskiéj, zręcznie wyzyskany przez ustawę wyborczą, sprawił że w sejmie tym stronnictwo konstytucyjne (niemieckie) liczy czterdzieści dwa głosy na sto i przeciwważy silnie stronnictwu feudalnemu. Feudalnym jest jak wiadomo każdy, kto nie wierzy że poza Reichsrathem nie ma zbawienia.

Ale zobaczmy te dwa projekta do adresu.

„Margrabstwo morawskie powiada jeden trzyma się wier-„nie zasad tego stanu prawnego, który W. Ces. Mość swoim „dyplomem z 20 Października 1860 r. zaprowadziłeś, a następ-„pnie świeżo uznałeś i potwierdziłeś. Wszelka próba załatwia-„nia wielkich spraw Państwa sposobem innym jak oznaczonym „w dyplomie Październikowym, pociągnęłaby za sobą skutki „najzgubniejsze dla jedności i potęgi państwa.“

„Od roku przeszło „opiewa drugi“ obchodzić się musi „Morawia bez swojego uroczyście poręczonego prawa radzenia „o sprawach wspólnych krajom z téj strony Litawy położonym, „a wielką żałobą i bolesnym niepokojem napełniają ją skutki „nieszczęsnéj polityki zawieszenia, a jeżeli rząd daléj na téj „drodze pozostanie i nie wznowi reprezentacyi państwa na za-„sadach patentów lutowych, nie zdoła Austrya nie tylko dawnéj „powagi odzyskać, ale nawet dzisiejszego swego znaczenia na „długo zatrzymać.“

Oto w skróceniu położenie całego państwa. Dla jednych zbawienie tylko w zasadach dyplomu październikowego, dla drugich tylko w konstytucyi lutowéj, a te dwie zasady tak się

z sobą dadzą pogodzić jak ogień z wodą. A jak w sejmie morawskim głosy rozdzieliły się prawie po połowie za temi dwoma zasadami, tak w całém państwie stoją przy każdéj z nich dwie za równe się poczytujące połowy. Żadna nie ustąpi, a choćby centralizacya chwilowo zwyciężyła, przekona się w krótce o bezskuteczności swojego zwycięstwa. Jedném słowem położenie z którego wyprowadziéby mógł chyba nowy zamach stanu, chyba nowa z góry nadana ustawa.

Podobnie jak w morawskim zjawiły się i w sejmie czeskim dwa projekta adresu. Wiadomo, że kraj ten jest oddawna kością niezgody pomiędzy Niemcami którzy go za swój uporczywie chcą uważać, i narodem czeskim który się z długiego letargu własną wolą przebudził, i własną siłą z głębokiego upadku podźwignął. W tych smutnych czasach, kiedy wszystko w około nas się rozprzęga i rozkłada, widok narodu który nie tylko nie upada, ale owszem widocznie się podnosi, nie tylko jest miłą pociechą, ale jest nawet otuchą i nadzieją. Z drugiéj zaś strony rzeczą jest naturalną, że silnie rozbudzona i z każdym dniem mocniejsza narodowość czeska jest celem gwałtownéj nienawiści Niemców którzy mniemali przez długie czasy że ją zupełnie pochłonęli i zatarli. Nie byłoby więc nic dziwnego gdyby ten kraj, choć wierny dynastyi i państwu, stał się kiedyś powodem nie małych kłopotów wewnętrznych, gdyby żywioł niemiecki chciał mu zaprzeczać téj odrębności któréj on żąda i do któréj ma prawo. Starcie pomiędzy pierwiastkiem narodowym a niemieckim, pojawiło się i w tym sejmie pod formą dwóch odmiennych adresów. Adres niemiecki jest tylko powtórzeniem tego wszystkiego co mówiły sejmy krajów niemieckich, a przegłosowany znaczną większością był prostą demonstracyą na korzyść konstytucyi lutowéj. Adres większości za to, adres czeski, ma wielkie znaczenie polityczne, a w układzie, w tonie i w treści, ma charakter dobrze rozważonego i stanowczo przyjętego programu. Oto jego zasady: wierność dla korony i gotowość do poświęceń gdyby całość państwa zagrożoną być miała; konieczność ogólnéj stawy konstytucyjnéj Państwa, w duchu dyplomu z 20 Października 1860 r. Królestwo czeskie wie i uznaje, że jedność i potęga Austryi jest warunkiem jego własnego bytu i dobrego powodzenia, ale nie mniéj także uznaje

za rzecz pewną i dowiedzioną, że jego historyczne prawa, jego rozpoczęty samorząd i narodowo-polityczna świadomość jego ludności, nie jest dla Austryi powodem słabości, ale raczéj źródłem siły żywotnéj i odżywiającéj. W tém przekonaniu oświadcza sejm królestwa czeskiego, że na drodze wskazanéj Manifestem wrześniowym wiernie stać będzie przy Tronie i ufa że Jego Ces. Mość wypełni to słowo, którém wszystkim swoim ludom przyrzekł równy głos i równy wpływ na przyszłe ukonstytuowanie Państwa. W końcu przypomina adres cesarzowi, że kilkakrotnie oświadczył zamiar koronowania się w Pradze na króla czeskiego.

Jest to niezaprzeczenie wyraz najśmielszy i najzupełniejszy zasad federacyjnych i autonomicznych; i przyjąć można że jak adres Niższéj Austryi najlepiéj reprezentuje kierunek niemiecki i centralistyczny w Monarchii, tak czeski podobne zajmuje stanowisko pomiędzy adresami autonomistów.

Jest w naszém życiu prowincyonalném jeden fakt uderzający, a tym jest, że my Polacy od czasu jak należymy do państwa austryackiego, nie wyrobiliśmy sobie stósunków z żadnym z narodów które to państwo składają. Udział Polaków w wojnie węgierskiéj nie wypływał z żadnego politycznego systemu, nie był oparty na wspólności interesów, nie doprowadził téż do żadnych stósunków pomiędzy tymi dwoma krajami. Oprócz zaś rozpowszechnionéj u nas choć siebie nie zupełnie świadoméj sympatyi do Madyarów, próżnoby ktoś chciał u nas szukać jakiegokolwiek uczucia dla innych narodów podległych temuż co i my berłu, lub jakiéjkolwiek nie powierzchownéj wiadomości o ich dążnościach, postępach, strapieniach lub o ich dla nas usposobieniu. Rzecz dziwna zaiste; a praca byłaby wcale wdzięczna i ponętna wyśledzić, dla czego zjazd Słowiański w Pradze i sejm roku 1848, dla czego wreszcie Reichsrath posłużył tylko do stósunków przemijających lub nie posłużył do żadnych. Nie robiąc sobie pochlebnego wyobrażenia o stanie naszego narodu w chwili rozbioru, można przecież przypuścić że miał więcéj zasobów cywilizacyi jak Słoweńcy, Kroaci lub Węgrzy, a w owéj zwłaszcza chwili, więcéj oświaty rodziméj, więcéj narodowego poczucia i ducha jak Czesi. Wszelako nie wpłynęliśmy na żaden z tych narodów, byliśmy dla nich i do dziś dnia jesteśmy obcy i nie znani;

jesteśmy z sobą jak ludzie którzy się z sobą kilka razy widzieli w salonie, kłaniamy się wzajemnie, zamieniamy kilka słów, ale nigdy u siebie nie bywamy, a o korespondencyi nie ma nawet mowy. Łatwo zrozumieć dla czego nas te wszystkie ludy tak mało obchodziły. Mają one inną przeszłość, inne warunki życia, inny wreszcie punkt ciężkości, a jeżeli do tego dodamy i ten jeszcze wzgląd, że wśród nich rekrutowała się po większéj części owa armia urzędników, która nas gnębiła, to łatwo pojąć, że obojętność nasza względem nich przechodziła niekiedy w niechęć, a nieznajomość w uprzedzenie. Jednak szkoda, i wielka szkoda, bo w tych narodach jest wiele żywotności, wiele siły nie zużytéj lub odradzającéj się w sposób bardzo świetny, wiele wreszcie u niektórych przynajmniéj i pod niektórymi względami wyższości, w pracy, w zamożności, w konsekwencyi i w spółecznéj zgodzie.

A przez ten czas kiedy my ignorowaliśmy je zupełnie, ze zwykłą naszą płochością i opieszałością, kiedy nader rzadcy pomiędzy nami starali się zwracać na nie naszą uwagę, znaleźli się inni, Moskale, którzy ich nie zaniedbywali, ale nad nimi pracowali i jeżeli nie z zupełnym skutkiem, to nie zupełnie bez skutku.

Gdybyśmy znali się lepiéj z Czechami, Kroatami, i Słoweńcami, gdybyśmy byli pracowali na ich przyjaźń i zdobyli sobie prawo do ich ufności, czyż w téj chwili krytycznéj po wojnie pruskiéj nie bylibyśmy mogli znióslszy się z nimi i porozumiawszy na wspólnych podstawach, wystąpić z warunkami i z programem, który wtedy nie byłby w obec rządu ani groźbą ani targiem, ale ratunkiem i w porę podanym punktem ciężkości. Widząc rzeczywistą podstawę, byłby się jéj rząd uchwycił, i byłby musiał na niéj stanąć żeby się bronić zewnętrznym zamysłom i wewnętrznym uroszczeniom. Dualizm byłby równie niepodobnym jak germanizacya, a jeden z głównych naszych celów, jeden z głównych środków ratunku i odrodzenia Austryi, alians francuski, byłby się stał bardzo ułatwionym, gdyby Austrya przystępowała do niego wzmocniona w sobie przez poparcie ludów żywych i posiadających sympatyę Zachodu.

Uwagi te nasunął nam adres sejmu czeskiego, tak zgodny z naszemi uczuciami, tak odpowiedni potrzebom i dążnościom

naszego kraju. A teraz zobaczyć chcemy jak i o ile odpowiedział tym uczuciom tym potrzebom adres naszego własnego sejmu, jak określił stanowisko naszego kraju pośród tych sprzecznych prądów wewnętrznych o których mówiliśmy wyżéj, i pośród tych niebezpieczeństw zewnętrznych które grożą nam i całemu państwu.

II.

W chwili otwarcia sejmu wydawało się, że przeważy może opinija w ogóle adresowi przeciwna; była ona dość rozpowszechnioną i przez poważne głosy popartą, a nie można zaprzeczyć, że miała wiele za sobą. Wśród wszystkich bowiem trudności położenia, w obec niepewności jak się obrócą układy z Węgrami i jaką zmianę w polityce rządu pociągnie za sobą świeże wejście bar. Beusta w skład gabinetu, wiązać się naprzód stanowczém orzeczeniem swoich zasad, mogło być krokiem przedwczesnym i niezręcznym, a postawa milcząca i wyczekująca była bez wątpienia najwygodniejszą, tém zaś łatwiejszą była do przyjęcia, że reskrypt cesarski do ministra Stanu, nie koniecznie obowiązywał sejmy do odpowiedzi. Wszelako, od chwili, jak wszystkie inne wzięły ten reskrypt za powód lub za pozór do adresów, nie mógł nasz sejm pozostać za nimi wtyle. Było bowiem rzeczą oczywistą, że adresy te będą jak żeby odprawioną przed Tronem dysputą kierunku centralistycznego i autonomicznego, a wtedy nie stanąć przy swojéj chorągwi, nie podnieść głosu w obronie swojéj zasady, nie postarać się o pewien wpływ na umysł Monarchy i na decyzyę korony, byłoby to opuścić pole walki w chwili dość gorącéj jeżeli nie stanowczéj. Adres więc być musiał.

Jaki miał być, oto pytanie, które stawiało się samo, w chwili, gdy pierwsze było rozstrzygniętém. Wyznajemy, że nie byliśmy bez obawy o nasz adres, a wyznajemy to z prawdziwą i nie małą radością, bo fakt dał tym obawom zaprzeczenie jak najzupełniejsze. Pomijając już to, że byliśmy przygotowani usłyszeć w téj adresowéj harmonii ten akkord fałszywy, który wszyscy znamy i który przy każdéj sposobności odzywa się tak przyjemnie, „jak zgrzyt żelaza po szkle“ — nie byliśmy zupełnie spokojni o układ adresu i o przebieg rozprawy, ze względu na sam już żywioł polski w sejmie.

Uważano to nie raz, że u nas w Polsce każda zgoda z istniejącemi rządami przechodzi w uległość bezwzględną, żeby nie powiedzieć płaską, każdy zaś opór i każda oppozycya nie umie się zatrzymać na innym punkcie niż w granicach siedmdziesiątego drugiego roku. Uwaga to trafna podobno, a fakt dla nas samych najszkodliwszy. Nazywamy się jedni drugich konserwatystami i rewolucyonistami, wstecznikami i ludźmi „czynu,“ białymi i czerwonymi, a im więcéj wymyślać będziemy takich przezwisk i tytułów, tém bardziéj będziemy się jątrzyć wzajemnie i tém bardziéj od siebie oddalać.

Robimy nawet gorzéj i twierdzimy, o jednych, że zależy im tylko na zachowaniu tego co mają, majątku, stanowiska(?!), spokojnéj egzystencyi; o drugich, że nie mając nic do stracenia, mącą dla tego, że w mętnéj wodzie połów najłatwiejszy. Dzięki Bogu, żadna strona nie ma w tém słuszności. Różnica zapatrywania, jeżeli jéj śledzić chcemy, będzie podobno leżała w tém, że jedni z nas mają wyłącznie na oku każdorazowe chwilowe położenie, jego konieczności i te ciasne manowce, po których wywijać się trzeba, żeby z tego danego położenia dostać się do lepszego cokolwiek, i tak pomału coraz daléj; — drudzy mniéj doświadczeni w sprawach publicznych lub uniesieni popędem młodości i temperamentu, widzą tylko proste drogi zasad, a nie baczą, że na tych drogach leżą zapory, które częstokroć wprost przebyć się nie dadzą, ale kto chce się znaleść po drugiéj ich stronie, musi je bocznemi ścieżkami wymijać. Na to nie poradzimy, może tak być musi, może poniekąd trzeba żeby tak było, ale że tak jest, zaprzeczać nie możemy. Jedno atoli powinniśmy sobie powiedzieć raz na zawsze, że ile razy spokojne zachcenie jednéj strony przebierze miarę i przejdzie w przesadzoną uległość, w pochlebstwo i płaskość, tyle razy strona przeciwna, urażona w swojém uczuciu narodowéj godności, posądzi ją o obojętność dla sprawy jeżeli nie o odstępstwo, i na odwrót, każdy wybryk, każdy tak przed trzema laty zwany rewolucyjny środek, niby to rewolucyjnym czasem usprawiedliwiony, każdy spisek oparty na powietrzu, musi odstręczyć stronę przeciwną od tak zwanych gorących ludzi, i niechęć ich usprawiedliwi przed sumieniem, przed rozsądkiem, przed Bogiem i przed potomnością.

Wiedząc, że obydwa te kierunki znajdują się i w naszym kraju, i w naszym sejmie, lękaliśmy się o adres. Lękaliśmy się, żeby zawarty w ciasném kole prowincyonalnych tylko potrzeb i spraw, nie zatracił tego świętego znamienia aktu narodowego, które nosić na sobie winien każdy akt wychodzący od Polaków. Z drugiéj zaś strony nie bylibyśmy bez obawy, żeby wszystkie nasze dawne z rządem austryackim rachunki i nasze do niego zażalenia, nie wpłynęły szkodliwie na układ adresu, i nie przeszkodziły temu, co dobro naszéj sprawy umieścić w nim nakazywało, to jest wypowiedzeniu ścisłego, wiernego i stałego związku z Austryą.

Bo nie trzeba sobie taić i trzeba, żeby sam rząd o tém wiedział, że Austrya, która pomimo zaprowadzonéj konstytucyi u nas w Galicyi dotychczas nie przestała być państwem policyjném, a do ustąpienia pana Schmerlinga z gabinetu była niem w naszym kraju zupełnie, i która występowała dotąd zawsze jako ostatnia twierdza zasady legitymizmu, dopóki tych dwóch charakterów z siebie nie zrzuci, zawsze będzie celem podejrzeń i nieufności dla ludzi szczerze wolnomyślnych i postępowych. Z drugiéj zaś strony, wszelki akt dobrowolnego zobowiązania się względem jednego z państw rozbiorowych, jest zawsze dla Polaków trudnym i przykrym, i dla tego byliśmy niespokojni, czy adres nie ograniczy się czasem na zwyczajnych nic nie znaczących protestacyach wierności, i czy zdoła wyrazić tę myśl związku i przymierza z Austyą, które jest koniecznêm nie dla naszéj prowincyi tylko, ale dla naszéj sprawy.

Jakiż bowiem jest dzisiejszy stan téj sprawy? Z każdym dniem wyraźniéj na przekór naszéj sławionéj cywilizacyi i téj wolności, o któréj na żart chyba tyle się w Europie mówi, z każdym dniem wyraźniéj występuje dążność państw wielkich do pochłonięcia mniejszych ; przed chwilą utworzyło się państwo takie na zachodniéj granicy naszych siedzib, a po drugiéj ich stronie, dążność ta sama jest, żyje i wzmaga się bez ustanku. Niech sobie te dwie przemoce podadzą rękę, niech się te dwa prądy połączą, a zaleją nas i wszystko co koło nas żyje, i zacznie się zabójcze dzieło assymilacyi, absorbacyi, unifikacyi, czyli, naszym językiem, zacznie się dzieło śmierci i rozkładu. A choć wierzymy, że jeżeli ten potop nastąpi, to

wody jego kiedyś opadną, że w jakiéjś arce przechowa się wolność i Polska, to przecież strach nam myśleć jak wieleby on zatopił i jakby ziemia nasza cierpiała pod jego wodami. Skoro więc pierwsza burza nas ostrzegła, i skoro oznaki niejakie każą nam myśleć, że ostatnią nie była, cóż my innego robić możemy, jak gotować się do ubezpieczenia téj tamy, która najbardziéj przeciw falom wysunięta, pierwsza musi ich uderzenie wytrzymać. Od chwili, jak Austrya jest zagrożoną, w dalszéj lub bliższéj przyszłości, ale niezawodnie przez Prusy i Rosyę, od chwili jak jest rzeczą pewną, że w téj walce ona bronić musi wolności przeciw przemocy, oświaty przeciw ciemności, wiary naszéj przeciw Schizmie, nasze stanowisko wątpliwém być nie może; stanąć przy niéj jest to być wiernym naszéj narodowéj myśli, naszéj historyi, naszéj przyszłości, a wypowiedzieć głośno, że się przy niéj staje, jest to dać znak życia za cały naród, jest to przemówić z całéj jego zbiorowéj duszy.

Otóż lękaliśmy się, że nasz sejm tego stanowiska nie zajmie; że z jednéj strony względy ostrożności, z drugiéj żal do Austryi, zaślepią go na konieczność wypowiedzenia téj ogólno-narodowéj myśli i na konieczność przyjęcia téj z Austryą związanéj narodowéj polityki. Pomyliliśmy się; a nigdy jeszcze z tak szczerą radością nie przyszło nam przyznać się do pomyłki i do winy.

„Mamy téż“ mówi adres „tę podnoszącą serca wiarę, że „w moc opatrznego przeznaczenia i wiedziona dziejów koniecz„nością, Austrya, aby być, i silniéj niż kiedy zakwitnąć, bę„dzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem „poszanowanéj wolności, a na zewnątrz: tarczą cywiliza„cyi Zachodu, praw narodowości, ludzkości i spra„wiedliwości. Posłannictwo takie było naszém „przez długie wieki. Bez obawy więc odstępstwa od my„śli naszéj narodowéj, z wiarą w posłannictwo Austryi i z uf„nością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo „jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświad„czamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać „chcemy.“

Adres nie jest broszurą ani artykułem dziennikarskim, nie może zasad rozwijać ani ich wyprowadzać z historyi lub z natury rzeczy, może je tylko wprost wypowiadać, zostawując

komentarze właśnie broszurom i dziennikom. Otóż naszém przekonaniem, w przytoczonych powyżéj słowach, wyraźnie jest wypowiedziana ta zasada naszéj narodowéj polityki, którą nam podaje konieczność historycznéj i politycznéj logiki. Nie jeden wypadek, nie jedna zmiana może tę wielką prawdę tak jeszcze zaćmić w przyszłości, że ludzie będą się naśmiewać z tego, co dziś wydaje im się pewnikiem; być może, że Austrya sama posłannictwa swego, o którym mówi adres, nie pozna, lub że je zaniedba, ale ono jest i prędzéj czy późniéj do spełnienia przyjść musi, mógł zatém sejm i powinien był w imieniu kraju oświadczyć, że bez obawy odstępstwa naszéj myśli narodowéj, chce Monarchię w posłannictwie tém wspierać i że przy niéj stać będzie; a za wielką także zasługę poczytujemy adresowi te słowa, że „świadomość własnego dobra i sumienie „innych narodów chrześciańsko-cywilizacyjną myślą przejętych, „nie dozwoli, aby Austrya w pełnieniu tego posłannictwa stała „odosobnioną.“ Jest to zwrot pośredni do tych właśnie narodów, jest niejako oświadczenie im złożone, że na drodze takiego posłannictwa rząd austryacki nie będzie stał sam, ale będzie miał poparcie swoich ludów; jest niejako daną mu rękojmią, że do spełnienia takiéj missyi nie zabraknie Austryi sił wewnętrznych.

Ustępy powyższe, jak wychodzą niezaprzeczenie po za obręb spraw prowincyonalnych i w kraczają na pole ogólnéj polityki narodowéj, tak z drugiéj strony ściągają się do zagranicznéj polityki rządu. Nie żeby miały krytykować złośliwie, jak adresy sejmów niemieckich, wszystkie przeszłe błędy wszystkich austryackich dyplomatów, ale że wskazują na przyszłość jedyną stronę w któréj Austrya znaleźć może prawdziwą podporę i prawdziwe przymierza. Tak daleko nie mógł sięgać adres żadnego innego kraju koronnego, bo ich sprawy rozstrzygnięte lub rozstrzygnąć się mogące w łonie Monarchii saméj, nie potrzebują się troszczyć o zagraniczne jéj stósunki. Inaczéj zaś ma się rzecz z nami, których sprawa „najbardziéj europejska“ wychodzi po za zakres wewnętrznych spraw państwa austryackiego.

Ale jeżeli z obowiązku jedynego dziś swobodnie przemawiającego organu polskich opinii, jeżeli z konieczności tak ważnego dla nas ogólnego położenia Europy, adres nasz dotknąć

musiał tych spraw dalszych i tych zasad ogólniejszych, to nie mógł z drugiéj strony pominąć milczeniem spraw i potrzeb naszéj prowincyi i stanowiska jakiego ona dla siebie pragnie w tym organizmie państwowym którego jest częścią.

Ale nie mogło być wątpliwości; prawa i interesa kraju są tak widoczne, że ludzie którzy na wszystkie inne kwestye czyto szczegółowe czy ogólne zapatrują się inaczéj, zgadzają się jednomyślnie na to, że centralizacya jest dla nas równie zgubną jak dla Państwa, że wolny rozwój wszystkich narodowości jest jedynym warunkiem jego siły, a federacya jest ostatecznie jedynym prawdziwym i trwałym wyrazem jedności Panstwa. Że więc Izba przemawiać będzie ze stanowiska i w obronie krajowéj autonomii, to wiedzieliśmy wszyscy z góry; inaczéj być nie mogło.

A w tym zakresie także, odpowiada adres w zupełności uczuciom i dążeniom kraju; nie formułuje wprawdzie jego żądań i nie wylicza ich po kolei, nie przesądza nic o przyszłéj konstytucyi państwa, ale w wyrazach ogólnych tak dobitnie stanowisko swoje określa, że ani kraj ani rząd, ani sprzymierzeńcy ani nieprzyjaciele nie mogą się pomylić i muszą zrozumieć od razu czego chcemy:

„Otworzyłeś na nowo, Najjaśniejszy Panie, drogę wytkniętą „Manifestem z dnia 26 września, na któréj, za współudziałem „ludów Twoich, założone być mają podwaliny do nowéj budowy „konstytucyjnéj. Skoro nadejdzie pora, przystąpimy do tego „zadania z ufnością i otuchą, bo przekonani jesteśmy, że gdy „uznane Najwyższym dyplomem z dnia 20 października 1860, „prawa i dziejowe tradycye krajów wskład Państwa wchodzą„cych dojdą do zupełnego uwzględnienia, a orzeczenie ludów „Twoich Najjaśniejszy Panie, wolnym przez legalnych repre„zentantów ich wypowiedziane głosem, skutek otrzyma, niepo„dobnym stanie się już system centralizacyi, która paraliżując „siły żywotne ludów, podkopywała i wątliła to, co „stanowi całego Państwa potęgę. W owym to „zgubnym systemie leży przyczyna mnogich cierpień „naszych i klęsk Państwa i t. d.

Otóż, tak jak ustępy o których mówiliśmy wyżéj, określają stanowisko narodu polskiego w ogólnych sprawach europejskich, i stanowisko Galicyi w sprawie polskiéj, tak ustęp

dopiéro przytoczony, określa stanowisko jakie ta prowincya zająć chce w przyszłym ustroju państwa, i jéj stósunek tak do rządu jak do innych ludów cesarstwa i do ich różnych dążności. A skoro tak jest, skoro adres obejmuje te dwie zasady kardynalne, i skoro je wypowiada otwarcie i stanowczo, przeto śmiało nazwać go możemy nie tylko odpowiednim i wyczerpującym adresem, ale aktem wielkiego politycznego znaczenia; chcielibyśmy równie śmiało módz powiedzieć, że jest stanowczym programem naszéj krajowéj i narodowéj polityki, programem ze świadomością przyjętym, a przeto obowiązującym.

Za to ręczyć nie ważymy się; dziwne bowiem jak mówi jeden stary pisarz, są naszego narodu dowcipy, a że wszystkich wiatrów najmniéj jednostajnym jest powiew *aurae popularis.* Może z gabinetem zmienić się postępowanie rządu względem nas, i wytłomaczyć poniekąd zwrot opinii, może opinia ta bez winy rządu dać się omamić jakim złudzeniom i sztukom cudzoziemskich lub swoich kuglarzy; może być, że nie jeden z nas od zdrowych tych zasad odstąpi. Ale choć przypuszczamy, przecież się odmiany takiéj nie spodziewamy, a nadzieję naszą zasadzamy na fąkcie który nie jest bez znaczenia. Wiadomo że adres tak jak został uchwalonym i do Wiédnia przesłanym, nie jest z jednego rzutu, ale że był przedmiotem długich pozasejmowych narad poselskiego koła, że z czterech podanych projektów każde zdanie, każde słowo niemal było ważone i dyskutowane, nie przez kilku ludzi, nie przez ciało spokojne i zgodne jak komisya z kilku członków złożona, ale przez całe grono posłów polskich z których każdy mógł podawać swoje pomysły i stawiać swoje zarzuty. Były téż o ile wiemy rozprawy długie i wyczerpujące w kole poselskiém, a skoro pomimo wszystkich różnic i odcieni w zdaniach, projekt adresu taki jak został uchwalonym, przyjęty był przez owo koło nie w skutku znużenia, nie w skutku groźby bezwzględnego użycia większości głosów, nie pod wpływem zapału ani łatwego u nas uniesienia, nie z powodu koniecznéj w obec partyi śto-jurskiéj solidarności w głosowaniu, któréj nie jeden czasem zdanie swoje poddać musi, ale skoro przyjętym był po głębokim namyśle, z przekonania, bez żadnych z żadnéj strony skarg i zażaleń, skoro tak jest, wolno nam sądzić, że związek z Austryą ze stanowiska polskiego, a ze stanowiska poddanych au-

stryackich autonomia wszystkich krajów koronnych i zabezpieczenie narodowych praw wszystkich ludów, wolno wierzyć, że te zasady są uznane i przyjęte przez cały kraj, i że je kraj uważa za punkta stałe, za aksiomata swojéj polityki. Żaliliśmy się nieraz i gorżko na brak jednomyślnie przyjętego, stałego u nas kierunku w sprawach publicznych, narzekaliśmy nieraz i słusznie, że nie mamy drogi wytkniętéj — nie chcielibyśmy łudzić siebie ani drugich, ani przedstawiać rzeczy lepiéj jak są, wszelako, to przyjęcie przez koło poselskie aktu tak ważnego i zasadniczego jak projekt adresu, przyjęcie idące tym razem tylko z rozumu i z przekonania, daje nam nadzieję, że są zasady na które wszyscy zgodnie pisać się możemy, że cokolwiek nas z kąd inąd dzieliło, jest grunt na którym wszyscy spotkać się możemy. Zasady adresu mogą być dla nas doskonałemi punktami wytycznemi w naszéj drodze tak ciężkiéj, i tak pokrzyżowanéj; jeżeli ich z oka spuszczać nie będziemy, znajdzie się sama z siebie owa jedność kierunku któréj brak czuliśmy tylokrotnie i tak boleśnie.

Oprócz zasad zaś należało umieścić w adresie i wdzięczne uznanie tego faktu, że przez rok ubiegły rząd dał krajowi więcéj zakładów swojéj dobréj woli, niżeli się to stało przez wiele, wiele lat poprzednich, a w obec namiętnych i niesprawiedliwych napaści na dzisiejszych doradców korony, należało dla saméj prawdy jeżeli już nie dla innych powodów, dać i im dobre słowo zaufania i szacunku. W odnośnym ustępie adresu upatrzono taki nadmiar wdzięczności, że w całéj jego osnowie nie chciano już widzieć nic prócz uniżonych podziękowań. Ile jest dziękczynień w ustępach które przytoczyliśmy wyżéj, i jak sejm kłania się w nich do ziemi za to czego kraj nigdy nie dostał, to czytelnik już mógł osądzić, a oto podajemy jedyny ustęp adresu w którym się mieści rzeczywisty wyraz wdzięczności:

„W téj nadziei utwierdza nas sankcya udzielona wielu „pracom organizacyjnym naszego sejmu, utwierdza nas wybór „Męża wzrosłego pośród nas i znającego nasze stosunki i po„trzeby, na piérwszy w kraju urząd Twojego, Najjaśniejszy Pa„nie Namiestnika, utwierdza nas zaufanie w szczerość zamia„rów obecnych doradzców korony.“ Gdzie tu przesada, gdzie pochlebstwo, czy dla cesarza, czy dla ministra, czy dla na-

miestnika, gdzie ten zbytek wdzięczności? nie podejmujemy się tego wynaleźć i musimy staranie to zostawić bystrzejszym dowcipom. Zdaje nam się jednak, że gdyby sejm w adresie nie był wspomniał o sankcyi danéj własnym jego uchwałom, o mianowaniu namiestnikiem tego właśnie męża którego kraj przez długi czas wszelkiemi sposobami rządowi wskazywał, byłby postąpił nie jak ten który swoją godność zna i wysoko nosi, ale jak człowiek źle wychowany, który za przysługę głową nawet nie skłoni z bojaźni, żeby sobie nie uchybił. Że zaś ministrowi, który prawda nie wiele dla kraju naszego zrobił, ale zrobił nie jedno, i nie jedno złe mu oszczędził, że temu sejm dał dobre świadectwo i to w chwili kiedy go z innych stron niesłusznie szarpią i szkalują, tego przecież nikt nie będzie żałował ani sejmowi wymawiał.

To zaś co adres w ogólnych tylko wypowiedział słowach, to odbyta nad nim rozprawa uzupełniła, rozwinęła, i dowodami poparła. Nie wiemy czy była kiedy w naszym sejmie dyskusya równie wszechstronna i wyczerpująca, zdaje nam się że nie było nigdy tak jednolitéj i tak dobrze świadczącéj o polityczném uzdolnieniu naszych posłów, a zatém i naszego kraju. Żadna bowiem strona położenia czy to naszego, czy téż położenia Monarchii nie była pominiętą — przeciwnie, każdy z kolei mowca coraz inną brał pod rozwagę i wyświecał, a wszystkie te głosy wzięte razem składają bardzo świetny komentarz do adresu, w którym zasady tegoż nie tylko obszernie są rozwinięte, ale zarazem wytłomaczone są i powody dla których kraj nasz tych tylko a nie żadnych innych zasad trzymać się może i musi. Był nawet w tych wszystkich mowach pewien, nie wiemy czy umyślny lub przypadkowy, artystyczny szyk i porządek. Piérwsza mowa nakreśliła ogólny obraz sytuacyi państwa i naszego stósunku w państwie; następne podnosiły z tego tła ogólnego pewne momenta które wymagały szczegółowego rozbioru — ostatnie wreszcie przemówienia, poświęcone były sprawom domowym, stósunkom wewnętrznym galicyjskim, a że wszystkie z jednéj płynęły myśli i jednym duchem były przejęte, przeto układały się naturalnie w całość nie tylko zupełną i zaokrągloną ale rzeczywiście imponującą.

Ogólny ów obraz położenia Austryi dawała mowa pana Rodakowskiego; najważniejsze szczegóły téj sytuacyi rozwinięte

są w mowach panów Adama Potockiego i Ludwika Wodzickiego — wreszcie sprawy domowe, ważne bardzo a smutne stanowisko Świętojurców, osądzone są w głosach panów Krzeczunowicza, Grocholskiego i Zyblikiewicza.

Gdyby pan Rodakowski przemawiał był z trybuny dość wysokiéj żeby głos jego mógł był rozejść się szeroko i daleko, gdyby zamiast w skromnéj Izbie prowincyonalnéj mówił był w Paryżu lub przynajmniéj w Wiedniu, nie wątpimy, że głos jego byłby się silnie odbił w opinii europejskiéj, a może nawet w opinii rządzących mężów stanu. Tutaj, w łonie sejmu galicyjskiego, przemawiał szan. poseł do nawróconych, a raczéj wypowiadał to, co tkwi we wszystkich umysłach, bo stanowi essencyę naszych przekonań i dążności, samą treść życia zbiorowego którém wszyscy oddawna żyjemy. Zdarzyło nam się słyszeć dziwną krytykę téj mowy: pan R. nie powiedział nic nowego! Ale cóż nowego był powinien, co mógł powiedzieć nowego? co jest nowém w naszém lub w państwa położeniu? Zapewne, nowe są to warunki egzystencyi, które mu stworzył wypadek wojny pruskiéj, ale to przecież nie nowe dla nas, że dawna polityka do tego doprowadzić musiała; czy mówiąc o sposobach ratunku miał zrobić nowe odkrycie? niestety, prawda raz odkryta nie zostawia już nic do szukania, a odkryliśmy ją nie dziś dopiéro i wiemy dobrze jaką Austrya być powinna, jeżeli ma być potężną i trwałą. Czy w stosunkach zewnętrznych może dało się coś nowego powiedzieć? Wszakże i tu wiemy wszyscy że Austrya prędzéj lub późniéj będzie zagrożoną przez Rosyę, wiemy bo czujemy to oddawna i oddawna powtarzamy wszystkim z kolei gabinetom wiedeńskim. Nie o nowe pomysły tu chodziło, ale o sformułowanie odważne, jasne i wyczerpujące prawd starych nie dość dotychczas uznanych, o poparcie ich takimi dowodami, któreby mogły zrobić skutek i wrażenie nie na nas Polaków z których duszy mowca wyjął swoje słowa, ale na rząd, i na opinią jeżeli nie europejską to przynajmniéj austryacką. O to mowcy chodziło, i tu można mu przyznać, że choć nie wynalazł nic nowego, wypowiedział nasze polskie zapatrywanie na sprawy Austryi i na sprawy europejskie nawet, tak dobitnie, i tak wszechstronnie, że je streścił w sposób tak zgodny z uczuciem narodowém, jak tego dotychczas, w ostatnich przynajmniéj czasach, żaden głos polski żywy

czy drukowany, nie zrobił; i mamy to sobie za rzecz nie małą wcale, że w téj niepewnéj chwili kiedy się ważą przyszłe losy monarchii i świata, polska opinia, polskie uczucie, przemówiły tak silnie i tak stanowczo.

Jakkolwiek czytelnik świéżo jeszcze ma tę mowę w pamięci, przecież nie oparlibyśmy się pokusie powtórzenia jéj treści, gdybyśmy pisali pamiętnik historyczny obecnego sejmu. Teraz atoli nie pozwalają na to drobne prawdziwie przeglądowe rozmiary naszéj pracy. Musimy więc ograniczyć się na prostém powiedzeniu, że dwie ogólne, główne myśli adresu, to jest łączność sprawy polskiéj z istnieniem i potęgą Austryi i konieczne w przyszłości starcie pomiędzy Austryą a innemi północnemi i wschodniemi mocarstwami z jednéj strony, a z drugiéj konieczność dla Austryi oparcia się na wolnych równouprawnionych narodowościach, w mowie pana Rodakowskiego znalazły świetny komentarz historyczny, polityczny i filozoficzny.

Gdy zaś ta strona ogólna, i że tak rzekę, niezmienna, naszego położenia dostatecznie została wyświeconą, wypadało mowcom następnym wziąść pod rozbiór jego szczegóły, jego warunki chwilowe i przechodowe. Pomiędzy tymi na pierwszym miejscu stoi ten zgubny dla nas prąd centralistyczny, który nie wpływa wprawdzie bezpośrednio na stałe zasady naszéj polityki narodowéj, ale zato wpływa silnie i szkodliwie na stan naszego kraju, a który teraz, z okazyi adresów, może z powodu pewnych wachań w rządzie, wystąpił śmieléj i gwałtowniéj niż kiedykolwiekbądź. Czém dla nas jest ten kierunek, to wypowiedział wprawdzie p. Rodakowski w ogólnych zarysach, ale w obec rozpraw adresowych po sejmach niemieckich, odpowiedź ogólna nie wystarczała, pryncypia i skutki centralizacyi wziąść pod rozbiór scisły i szczegółowy ze stanowiska polskiego i ze stanowiska prawdy, było w dzisiejszéj chwili koniecznością położenia; a wyrazem téj konieczności była mowa p. Adama Potockiego. Była ona odpowiedzią naszego kraju na zarzuty sejmów niemieckich przeciw dzisiejszemu systemowi rządu, i była zarazem surowém potępieniem systemu dawnego. Zarzuty centralistów obracają się zawsze około tego naciągniętego faktu, że zawieszenie konstytucyi lutowéj było powodem wszystkich klęsk Austryi i jéj złego zarządu wewnętrznego. Na to tedy odpowiada p. Potocki, a słowa jego potwierdza powszechna

opinia kraju, tak jak potwierdzała je Izba, że w administracyi politycznéj nic się nieszczęściem nie zmieniło za dzisiejszych rządów, ale owszém, że została ona taką jaką była za sławionéj konstytucyi lutowéj — jeżeli zatém ona jest powodem złego, to nie dzisiejszy gabinet za to złe odpowiadać winien. Tém mniéj zaś spadać nań może odpowiedzialność za niepowodzenia czy to wojenne czy dyplomatyczne, skutki fatalne ale nieuniknione téj nieszczęśliwéj sytuacyi którą dzisiejszym ministrom zostawiła konstytucya lutowa i jéj reprezentanci.

Zarzuty te zatém są fałszywe, jak fałszem jest żeby przeciwnicy centralizacyi byli przeciwnikami wolności. Są oni tylko nieprzyjaciołmi téj wolności udanéj, która posługuje się formami konstytucyjnemi żeby pod jéj zasłoną krzewić przemoc jednych nad drugimi czyli niewolę. Przeciwko takiemu kłamstwu wolności zawsze wystąpić muszą jéj prawdziwi wyznawcy, a takiém kłamstwem od początku do końca, kłamstwem w zarodzie, w objawach i w skutkach, była ta właśnie centralizacya, ta konstytucya która dopuszczała „że ministrowie „z trybuny głosili zadawnienie praw, że dawali przewagę jednéj „narodowości nad drugą, że pewnym narodom odmawiali w ich „życiu krajowém owych oznak wewnętrznego życia narodowego, „bez których żaden naród obejść się nie może.“ Dziś widzimy w rządzących przynajmniéj zacność charakteru i szczérość zamiaru, i dla tego mamy do nich ufność, nie żeby położenie nasze miało dziś być takiém jakiém być powinno, ale że od tych doradców korony spodziewamy się lepszego na przyszłość.

Konieczne zaś uzupełnienie tego zwrotu przeciw centralizacyi, znajduje się w słowach pana Ludwika Wodzickiego. Pan Potocki powiedział czém była dla nas miniona centralizacya, powiedział że jéj na przyszłość nie chcemy. Ale gdyby ona przecież mimo to miała powrócić, cóżmy wtedy zrobimy, cośmy zrobić powinni? Pytanie nader ważne, na które niebawem może odpowiedzieć nam przyjdzie. Pan L. Wodzicki odpowiada nań jak następuje: „Oddajemy się Austryi, ale się „jéj nie zaprzedajemy; byłoby wielkiém nieszczęściem, gdy„byśmy w przyszłości mieli przejść do opozycyi, są jednak „położenia, w których pozostając zawsze wiernymi poddanymi, „zrobićbyśmy to musieli. Żadne naprzykład względy „nie zniewoliłyby nas do wzięcia powtórnie udzia-

„łu w fikcyi politycznéj, która się nazywała cia-„śniejszą Radą Państwa.“ Oto konieczna po poprzednich dwóch mowach, jedyna praktyczna i możliwa konkluzya; nie dość krytykować co było, niedość wiedzieć jak się dziś stoi, trzeba wiedzieć zawczasu co się będzie robić jutro. Orzeczenie powyższe dodaje rys ostatni do tego obrazu położenia Galicyi, który złożyła rozprawa adresowa, rys bardzo ważny skoro jest wskazówką przyszłego jéj zachowania wobec pewnych ewentualności. Nie przesądzając jakby w danym razie wypadła decyzya sejmu, szczęśliwi jesteśmy, że strona ta drażliwa została dotkniętą, i to w sposób odpowiedni przekonaniu znacznéj części jeżeli nie całości kraju.

Znaleźliśmy w mowie pana L. Wodzickiego inną jeszcze myśl znacznéj doniosłości. Przeczuwając, że stronnictwo centralistyczne spróbuje może ująć nas Polaków jakiémś na pozór odrębném stanowiskiem w monarchii, byle mogło panować nieograniczenie nad innymi słowiańskimi narodami, zwraca mowca uwagę Izby na to, że żadna wolność nie potrafi ostać się długo, jeżeli naokoło siebie nie będzie miała wolności innych; wolność nasza musi być związaną z wolnością postronnych nam ludów monarchii, inaczéj będzie słabą i niepewną życia. „I dla „tego bez radości przyjęlibyśmy stanowisko uprzywilejowane, „bo jeżeli prawa narodowe innych nie byłyby należycie uznane, „nie moglibyśmy wierzyć, że nasze własne długo będą szano-„wane.“ Słowa obosieczne, wymierzone z jednéj strony przeciw owéj mniemanéj odrębności Galicyi, którą nas centraliści może wkrótce kusić zechcą, z drugiéj do wszystkich ludów słowiańskich Austryi, które mogą porównać ten głos polski z głosami świętojurskich panslawistów, i wyciągnąć z tego porównania wniosek wcale ciekawy i nauczający.

A więc ta rozprawa adresowa była czémś bardzo pięknem, może nawet wzniosłém, była otwartém wypowiedzeniem i dostatecznem rozwinięciem zasad naszéj polityki narodowéj, naszego postępowania na przyszłość, w zgodzie z naszą historyą, w zgodzie z prawdą i ze sprawiedliwością była uczciwa i godna narodu, który sam jeden z tych co mają historyę może o sobie powiedzieć, że nigdy nikomu nic złego nie zrobił? Tak jest, i dla tego możemy się nią cieszyć. Ale i ona nie obeszła się bez goryczy; ów ton fałszywy, który niestety nigdy nam

w uszach brzęczyć nie przestaje, ów zgrzyt żelaza po szkle, owo słowo obcego nam ducha i obcéj wiary, które z ambon Chrystusa przez długi czas pocichu a dziś coraz głośniéj szerzyć zaczyna ewangelię antychrysta, słowo to dało się słyszeć i przy téj sposobności. Mieliśmy nadzieję, że pomimo wszystkich politycznych zawiści lub sympatyi, posłowie którzy się ruskimi mienią, zechcą się ruskimi pokazać odkąd rzucono na nich w dzienniku „Słowo“ tak brzydki cień zdrady narodu; a jeżeli już nie to, to przynajmniéj oddawaliśmy się téj nadziei, że księża katoliccy, skoro na nich padło z ich własnego obozu podejrzenie odstępstwa od wiary, tego przynajmniéj wyprzeć się zechcą, przez wstyd choćby, jeżeli nie przez wierność i miłość dla swego kościoła. Wszak każdy z nas na chrzcie przyrzeka, że przyzna się śmiało do swojéj wiary, gdyby go o nią zapytano i gdyby była wątpliwą. Po artykułach „Słowa“ w takiém właśnie położeniu znajdowali się ci posłowie; można było sądzić przecie, że to jedno przynajmniéj zrobią, że choć się zaparli wszystkich prawd politycznych i historycznych, przyznają się do jednéj przynajmniéj, do prawdy religijnéj. Sposobności nie brakło. Pan Henryk Wodzicki mówił o religijnéj stronie położenia, mówił komentując słowa adresu, że Austrya jeżeli ma być tarczą wolności i cywilizacyi, będzie musiała zarazem być tarczą wiary, a jakiekolwiek między nami (w Galicyi) zachodzić mogą różnice, na tém polu przynajmniéj, na polu wiary, wszyscy zgodnie stanąć możemy. Zdawałoby się, że choć jeden z posłów świętojurskich zechce skorzystać z podanéj sposobności i zmyć ze siebie i z drugich ten zarzut, który na nich cięży, że się przyzna choć jeden do téj jedności religijnéj, że ją zatwierdzi choćby tylko jedném słowem: tak. To byłoby nam wystarczyło, ale tego słowa czekaliśmy na darmo. Wstrzymujemy się od sądu, bo w takich rzeczach wyrok nie należy już do opinii dziennikarskiéj, ale do biskupów i do głowy kościoła katolickiego w Rzymie.

Za to usłyszeliśmy co innego; Credo polityczne tych panów, symbol wiary nie apostolski ani nicejski wprawdzie, ale istnie wiedeński, złożony możnaby myśleć przez apostołów centralizmu pod natchnieniem świętego Schmerlinga. Tak jest, ci panowie żądają przywrócenia konstytucyi lutowéj i rychłego zwołania Reichsratu, a w Galicyi żądają podziału na dwie ku-

rye, ruską i polską, i dwóch wydziałów, ruskiego i polskiego. Z jakich powodów, wszyscy wiemy; są tak uciskani, tak prześladowani przez Polaków, że nie pozostanie im wkrótce nic jak wynosić się z ojczyzny. Prześladowania te wyliczył jeden z mowców (którzy nie wezmą nam za złe że ich ruskimi nazywać nie będziemy) i zobaczymy zaraz do czego one się redukują. Na teraz pozwolimy sobie zrobić tym panom dwie przyjacielskie uwagi. Naprzód, że gniew, namiętność, złość, wszystko to źli doradzcy. Ani się człowiek spodzieje jak go doprowadzą do kroku, którego potém żałuje. Gdyby ci panowie nie byli się tak uwzięli bądź co bądź zawadzać polskim dążnościom na drodze, nie byliby stanęli przed Izbą w téj niewygodnéj pozycyi, w jakiéj się znaleźli, gdy ks. Dobrzański przeczytał ich adres i zażądał żeby go Izba przyjęła. Co bowiem z tém factum zrobić, nie wiedział nikt, a najmniéj ci, którzy z niém wystąpili; ksiądz Dobrzański żądał, żeby „toj adres był wid nas pryniatyj“ — ale co znaczyć miało „wid nas“ i przez kogo miał być przyjęty, tego nikt nigdy dowiedzieć się nie mógł. Adres mniejszości dałby się zrozumieć, gdyby był osobnym projektem mniejszości komisyi, ale adres kilku lub kilkunastu posłów obok adresu przez sejm uchwalonego, posłany „wid nas“, na ręce marszałka zapewne, to przecie pomysł tak potworny, że się daje wytłumaczyć chyba tylko niepohamowaną chęcią droczenia. Zakłopotali się nim nawet sami autorowie; zapytani czego właściwie chcą ze swoim adresem, po naradzie dopiéro zdecydowali, że żądają aby Izba przeszła do porządku dziennego nad projektem wydziału, a ich projekt wzięła natomiast pod obrady. Tak więc adres został wnioskiem, został przynajmniéj czémś co się parlamentarnie dało określić i pojąć, a następnie pokrajany na kawałki, wystąpił przy rozprawie szczegółowéj jako szereg poprawek do wydziałowego projektu. Cała ta sprawa tak nieszczęśliwie ujęta i poprowadzona, nietylko nie służyła za przeciwwagę adresowi większości, ale nawet pozornego efektu zrobić nie mogła, bo zbyt widocznie wyszła z saméj tylko chęci dokuczenia większości. Ale na złość drugiemu, postawić siebie w położeniu fałszywém i niedogodném, to doprawdy niedobre wyrachowanie.

A nietylko w naszym sejmie postawił Świętojurców ów adres w fałszywém położeniu; postawił on ich jeszcze w świe-

tle mniéj korzystném ale za to prawdziwém przed innymi słowiańskimi szczepami w Austryi. Było bowiem rzeczą przyjętą, że mniemani reprezentanci Rusinów reprezentują zarazem ideę i patryotyzm słowiański, że tego charakteru słowiańskiego strzegą wierniéj jak Polacy, i z tego tytułu odzywali się oni nieraz do sympatyi innych Słowian w monarchii. Dziś któż im uwierzy, jeżeli zechcą mówić o przyszłości Słowian, kiedy przyszłość tę otwierają prośbą o tę ustawę, która wszystkich Słowian razem poddaje pod przemoc Niemców? Jakie wrażenie zrobi ów adres „wid nas“ w Czechach albo na Morawie? Miło jest wprawdzie dla serc nieszlachetnych zrobić na złość drugiemu, ale ludzie roztropni powinniby o tyle tylko téj przyjemności sobie pozwalać, o ile im to samym szkody nie przyniesie.

Dla czego zaś partya świętojurska potrzebuje Reichsrathu, to wytłumaczył ksiądz Naumowicz w mowie długiéj a tęsknéj i rzewnéj jak elegia. Oczywiście dla tego, że Polacy prześladują Rusinów, a minister stanu zostaje „w miłosnych stosunkach z większością“. W czém zaś leży prześladowanie? Oto w tém, że mniejszość sejmowa nie jest większością. Do tego redukuje się wszystko, ale jak na to poradzić, doprawdy nie wiemy. Liczebna większość Rusinów w kraju, ma w sejmie mniejszość, powiadają Świętojurcy; byłoby to wielką niesprawiedliwością, gdyby prawo wyborcze było wyrzekło, że z jednéj strony Sanu tysiąc ludzi naprzykład wybiera jednego posła, a z drugiéj dziesięć tysięcy — ale tak nie jest; prawo jest to samo, i większa część kraju wysyła większą liczbę posłów; jeżeli zaś w téj liczbie Świętojurcy nie są sami, to temu nikt nie winien oprócz wyborców, którzy nie samych tylko Świętojurców na sejm wybierają. Ale na wolę wyborców żadna ustawa wpłynąć nie może, i ani pan Schmerling, „za którego rządów było jeszcze jakieś prawo“, jak to ks. Naumowicz powiedział, nie mogąc wstrzymać się od uśmiechu, ani popularny i nieodżałowany hr. Mensdorff, któremu dostała się przecież jedna w całém państwie oracya pochwalna (domyślamy się, że nie za konwencyę gasteinską ale za stan oblężenia w Galicyi), nie byliby mogli wydać prawa nakazującego ludom Austryi tych tylko ludzi wybierać na posłów, których im wskaże Monitor Świętojurców: „Słowo“.

Zażalenia te wszystkie zreasumował komisarz rządowy, a wykazawszy, że nie mają żadnéj podstawy, skończył temi znaczącemi słowy, że jeżeli żądania tych panów ściągają się do podziału kraju, jeżeli o to się skarżą, że temu żądaniu nie stało się zadość, to przeszłe Ministeryum także go nie uwzględniło i uwzględnić nie mogło; przyczyna zaś leży głębiéj niż upatrywać jéj chcą orędownicy podziału. *Sapienti sat*, i pragnęlibyśmy szczerze, żeby posłowie święto-jurscy chcieli wziąść te słowa pod rozwagę. Może to przynajmiéj zdoła zrobić na nich wrażenie, co im mówią reprezentanci rządu. Nasi posłowie nie mówili do nich na darmo, bo nigdy się prawdy na darmo nie broni, ale niezachwiali uporu ani złéj wiary przeciwników.

I znowu wypadło, że role były jak żeby rozlane; pan Krzeczunowicz zbijał ów adres ruski i wszystkie fałsze i adresu i mów motywujących, pan Grocholski przypomniał te krzywdy, które Świętojurcy nam Polakom i Rusi od lat sześciu wyrządzają przy każdéj sposobności a mianowicie w Radzie Państwa, pan Zyblikiewicz wreszcie protestował jako z urodzenia Rusin a z obrządku unita przeciwko téj bezprawnie uzurpowanéj nazwie jedynych reprezentantów Rusi, którą bezwstydnie popisują się czytelnicy Słowa, autorowie wiadomego Memoryału o podziale Galicyi i dzisiejszego adresu. Łatwa i zawsze pełna ognia wymowa pana Zyblikiewicza, nigdy zdaniem naszém nie pokazała się piękniejszą. Zapał właściwy temu mowcy tém silniejsze robił wrażenie, że oburzenie jego nie przechodziło w oskarżenia, a chłoszcząc niemiłosiernie uczynki i dążności, ludzi nie jątrzył i nie ranił; panować nad własnym zapałem i trzymać go na wodzy, musi być dla mowców rzeczą nie łatwą, ale opłaca się sowicie, bo słowom ich nietylko siły i wagi nie odejmuje, ale jéj owszem dodaje.

Jest tedy adres uchwalony, a w tym adresie wypowiedziane zasady polityki krajowéj i narodowéj; ale czyż przez to już wszystko zrobione? nie. Nie dość jest wytknąć sobie drogę, trzeba się jéj trzymać; a tu napotkamy trudność nie jedną, na którą przygotować się naprzód wypada.

Pierwszém trudném położeniem, w którém znaleźć się możemy w najbliższéj już przyszłości, będzie to nowe ukonstytuowanie Monarchii, które zrobić się musi dla jéj własnego i dla naszego bezpieczeństwa, a które może postawić nas w kolizyi pomiędzy tym interesem jaki mamy w sile i potędze Austryi, a interesem ciaśniejszym naszéj autonomii krajowéj.

Gdyby uznawano powszechnie w Austryi, tak jak to uznaném jest w niektórych krajach koronnych, że federacya i współrzędne sobie stanowisko wszystkich ludów Austryi, jest najlepszą, bo wskazaną naturą rzeczy formą konstytucyi i najpewniejszym warunkiem potęgi tego państwa, natenczas położenie nasze byłoby bardzo łatwém. Ale tak nie jest. W łonie Monarchii znajdują się dwa pierwiastki, niemiecki i węgierski, które współrzędności trzeciego nie chcą ani przypuścić; dotychczas obadwa jeszcze się z sobą nie pogodziły, i dla tego rzecz zostaje w zawieszeniu, ale jeżeli przyjdą z sobą do kompromisu, to naturalnym wyrazem ich porozumienia nie będzie nic innego jak dualizm.

Jeżeli zaś do tego kompromisu rychło nie przyjdzie, to łatwo stać się może, że rząd ulegając opinii krajów niemieckich, powoła centralną reprezentacyę wszystkich krajów zalitawskich i za-karpackich, czyli, pod jakąkolwiek formą i tytułem, dawniejszą Radę Państwa.

Cóż my wtedy zrobimy? Nie pójdziemy, to albo rzeczywiście przyczynimy się do jeszcze większego rozprzężenia tego Państwa, którego potęga jest nam koniecznie potrzebną, albo przynajmniéj damy przeciwko sobie pozór, żeśmy się do tego dzieła rozkładu przyczynili. Pójdziemy, to całą naszą autonomię, wszystkie nasze narodowe prawa i nasze narodowe życie, oddamy na łaskę niemieckiéj większości. Powiemy zaś, że posłalibyśmy delegacyę do takiego Zebrania *ad hoc*, byle delegacyę wybrano nie na podstawie ustawy lutowéj, to jest z całego sejmu, a nie z kuryi, to możemy sprowadzić ten znowu zły skutek, że Niemcy zacietrzewieni w swojéj tak zwanéj nieprzerwalności prawnéj, do takiego zebrania by nie przyszli? Chodzi nam o to, żeby nie poświęcić ani jedności Państwa, ani naszéj narodowéj wolności, a jedna forma konstytucyi, która jedno z drugiem może pogodzić, dziś jeszcze dopuszczoną nie będzie. Co więc robić, jak się zachować?

Gdybyśmy byli pewni, że poddając się centralizacyi, wzmocnimy Państwo tak, że ono każdemu zewnętrznemu niebezpieczeństwu zdołałoby się obronić, natenczas rzeklibyśmy bez wahania, że interes ciaśniejszy krajowy ustąpić musi przed ogólnym naszego narodu i że więcéj nam zależy na zapewnieniu zwycięstwa Austryi w wojnie, która prędzéj czy późniéj nastąpi, aniżeli na prowincyonalnych swobodach; rzeklibyśmy zatém: iść do Roichsrathu. Ale rzecz się nam właśnie przeciwnie przedstawia, i w naszém przekonaniu Reichsrath taki jak był nietylko nas samych o zgubę przyprawia, ale i Państwo. Zbyt wiele zresztą mieliśmy od niego do cierpienia, żebyśmy wracać do niego mogli; a przekonanie, że nawet gdyby Świętojurcy bez nas udali się do Wiednia, nawet gdyby nowy jakiś gabinet nakazał bezpośrednie wybory do reprezentacyi centralnéj, to i wtedy jeszcze bezpłodność i bezskuteczność tego ciała w krótkim czasie wszem w obec objawićby się musiała, czekalibyśmy spokojnie, ażby ten system poraz drugi nie zdał powtórnie próby swojéj niemożliwości. Ale przez ten czas cierpiałaby wiele i nasza narodowa wolność, nasza krajowa pomyślność, i Austrya sama, która potrzebuje odrodzić się i pokrzepić, a na téj drodze pokrzepić się nie może. Trzeba zatém szukać sposobu, żeby tego złego uniknąć, a sposób ten da się znaleźć tylko na jakiéjś drodze pośredniéj. Wskazywać jéj nie mamy odwagi a raczéj zarozumiałości; jednakowoż sądzimy, że można przynajmniéj próbować porozumienia. Na Radę Państwa taką jak była zgodzić się nie możemy, i gdyby ta miała być przywróconą, nie pozostałoby nam jak zachować się biernie i czekać. Ale uznając potrzebę reorganizacyi Monarchii i uznając, że ta tylko przez jakieś ciało parlamentarne ogólnie uchwaloną być może, pogodzilibyśmy może obydwa nasze interesa główne, gdybyśmy oświadczyli gotowość porozumiewania się poufnie z rządem i z delegatami innych krajów, o tych warunkach, pod którymi moglibyśmy wziąść udział w takiéj konstytuancie, nie przesądzając nic o jakiéjś przyszłéj ustanowić się mającéj, normalnéj, wspólnéj reprezentacyi Państwa, ani o naszém w niéj stanowisku. Taki krok i nie narażałby naszéj autonomii, nie zaprzeczałby naszych zasad i dowodziłby w praktyce, że rzeczywiście zależy nam na jedności i na potędze Państwa.

W ogóle przewidzieć łatwo, że ta sprawa reorganizacyi Monarchii jakkolwiek się skończy, kryje w swojém łonie wiele szkopułów, o które łódź naszą rozbić lub przynajmniéj nadweręży możemy. Żaden plan jeszcze do dziś dnia nie przemógł i nie wiemy jak rząd wyobraża sobie przyszły stan prawny całości Państwa i nasz do niego stosunek. Ale znając główne prądy opinii, które wpływać będą na jego uformowanie, można przepowiadać, że centralizacya węgierska w jednéj połowie Państwa, centralizacya niemiecka w drugiéj, wypłyną niebawem z dzisiejszego chaosu. Obydwom pierwiastkom będzie na tém zależeć, żebyśmy im w ich dziele nie przeszkadzali; obiegające pogłoski o Tryjadzie, w któréj Galicya miałaby odrębne stanowisko, są wyraźną tego wskazówką, a celem takiéj Tryjady byłoby: zrzeczeniem się do czasu przeważnego wpływu w tym jednym kraju, zapewnić sobie nieograniczony we wszystkich innych. I nie jest ta Tryjada jedynym tego rodzaju pomysłem. Słyszeliśmy o innym, który dzieli Austryą na dwie grupy, z dwoma ciaśniejszemi Radami Państwa i jedną reprezentacyą do spraw wspólnych. Jedną z takich grup, niemiecką, stanowiłaby zachodnia połowa Państwa — drugą, wschodnia, a ta miałaby swój Reichsrath złożony z wysłańców wszystkich sejmów korony ś̀go Szczepana i z Galicyi. Galicya w tym składzie nie byłaby poddaną Węgrom ani do nich przyłączoną, ale owszem w swoim zarządzie wewnętrznym zachowałaby najzupełniejszą swoją odrębność. Żaden z tych pomysłów nie wejdzie w życie, jak sądzimy, ale jeżeli mamy powiedzieć jak nam się wydaje, to wyznać musimy, że się obudwóch boimy.

System trzech grup wydaje nam się niebezpiecznym, dla tego, że grupa galicyjska, najsłabsza z trzech, nie miałaby na kim się oprzeć i z odrębnością swoją zostawałaby zawsze na łasce dwóch innych; prosta zmiana gabinetu w Wiedniu wystarczałaby, żeby grupę tę wcielić w inną i pochłonąć.

Bardziéj ponętnym na oko, wydać się może ten pomysł, który obiecując Galicyi autonomiczny zarząd wewnętrzny, przeznacza jéj miejsce w Reprezentacyi wspólnéj wschodniéj połowy Monarchii. Tu, pomyśli nie jeden, niebezpieczeństwo nie dla nas, ale raczéj dla Węgrów, bo nam łatwiéj niż im porozumieć się ze wszystkimi Słowianami korony węgierskiéj. Nie dziwilibyśmy się żeby plan ten znalazł dobre przyjęcie w niejednéj

polskiéj głowie, i nie dziwilibyśmy się gdyby Niemcy użyli wszystkich sposobów żeby nas dla takiego planu pozyskać. Łatwiéj bowiem przeboleliby oni utratę bezpośredniego wpływu na Galicyą, jak na każdy inny kraj koronny. Najprzód jest to kraj najodleglejszy, najpóźniéj do monarchii przyłączony, nie objęty ustawą sankcyi Pragmatycznéj, która zawsze jest dotychczas tym aktem prawa publicznego, na którym zasadza się zależność innych krajów korony austryackiéj, — powtóre, posiadanie téj prowincyi wydaje im się mniéj pewném z powodu chciwych zdobyczy sąsiadów. Gotowiby zatém zrzecz się zniszczenia Galicyi, pod warunkiem żeby mieć wolne ręce w drugiéj połowie cesarstwa. Oczywiście łatwiéj panować nad Słowianami w Czechach i Morawie, jak nad Czechami, Morawianami i Polakami razem. Ostateczny cel tego pomysłu byłby ten, a nie inny; środki zaś pozyskania nas dla téj myśli, mogłyby być różne, jakoto, obszerna istotnie autonomia krajowa, uznanie naszéj odrębności, a wreszcie choćby nawet piękne obietnice na przyszłość. „Taka Galicya mogłaby być zawiązkiem niepodległéj Polski — żywioł niemiecki nie miałby nic przeciwko temu, jeżeliby Polacy chcieli być z nim w zgodzie i nie przeszkadzali mu rządzić tam, gdzie on do rządzenia rości sobie prawo.“

Przyszłości nie przesądzamy; jeżeli Galicya ma kiedyś istotnie stać się zawiązkiem Polski, to żywioł niemiecki w Austryi przeszkadzać temu w żadnym razie nie będzie, bo stać się to może jedynie w skutku jakichś wielkich europejskich wypadków. Przy dzisiejszém zaś nastąpić mającém przeobrażeniu państwa, nie chcielibyśmy, żeby Galicya takie stanowisko zajęła. Jest ono, pomimo powabnych pozorów, równie niebezpieczne jak Tryjada, niebezpieczeństwo zaś leży w tém, że w chwili kiedybyśmy je zajęli, zerwalibyśmy stanowczo z Słowiańszczyzną zachodnią. Może kto pomyśli że to romans, że szlachetność przesadzona i dziecinna nie poprawić sobie losu dla tego, że innym źle się dzieje, że wreszcie nie mamy względem tych Słowian żadnych obowiązków wdzięczności ani żadnego obowiązku solidarnego z nimi cierpienia. Dla polityki uczuciowéj (żartobliwe miano polityki uczciwéj), nie mamy téj pogardy, którą odznaczają się wielcy politycy, ale w tym razie zastrzedz się musimy, że ta polityka nie byłaby romansową ale raczéj utylitarną.

W chwili bowiem kiedy centralizacya niemiecka zapanowałaby bez ograniczenia w Czechach i na Morawie, rozwinęłaby się tam na wielką skalę agitacya rosyjska, i im więcéj element germański gnębiłby Słowian, tém więcéj oni chyliliby się do Rosyi. To jest pewnik psychologiczny i logiczny, tak niezawodny jak pewniki matematyczne. Nie mamy zarozumiałości, my słabi i biedni, innych zasłaniać ani prowadzić, ale powinniśmy w miarę możności przeszkadzać wszystkiemu, co posuwa naprzód zabójczy panslawizm rosyjski. Odstąpmy dziś Słowian zachodnich, wydajmy ich Niemcom i umyjmy sobie ręce, a pchniemy ich sami w objęcia Moskali. Pokażmy im że ich los mamy na sercu, i że mniéj sobie cenimy rzeczywiste nawet miejscowe korzyści, jak korzyść wspólnego z nimi stanowiska i wiernego przymierza, a pokażemy że Rosya, nie jest jedynym Słowiańszczyznie przychylnym słowiańskim narodem, może po części przeszkodzić zdołamy rosyjskiéj propagandzie. Wielkim to było błędem Polski i przed rozbiorem i po nim, że nie dbała o swoje związki pokrewieństwa z innymi Słowianami; o ile można należałoby dzisiaj ten błąd choć późno naprawić, i jeżeli nie możemy ich obronić, to przynajmniéj nie umywajmy rąk od ich sprawy. Kto wie co nam najbliższa godzina przyniesie, i czy ich przyjaźń nie będzie dla nas kiedyś w złych czasach wielkim warunkiem siły i jedyną może nadzieją. Im silniejsze, im żywsze będą pojedyńcze narodowości słowiańskiego szczepu, tém łatwiéj przetrwają potop, który może wprawdzie nie nadejść, ale może tak samo i nadejść, i tém łatwiéj wydobędą się z pod wody. To nie romans, ale interes, lokacya kapitału na zysk odległy wprawdzie, ale jedyny jaki w pewnych okolicznościach mieć możemy.

Wybaczy nam czytelnik tę dysgresyę; trudności naszego położenia w obec reorganizacyi państwa, naprowadziły nas na te szczegóły; pomysły te mogły być chwilowe a dziś już porzucone, możemy się nigdy z nimi nie spotkać; że jednak są w rzędzie możliwości, przeto uważaliśmy za potrzebne, wskazać niebezpieczne ich strony. A teraz wracamy do rzeczy, i pytamy co będzie, jeżeli nastanie rzeczywista reakcya centralizmu? Wtedy lękamy się mocno, żeby Rząd nie utrudnił nam tego stanowiska wierności i spokoju, które i w takim nawet razie chcemy względem niego zachować jak nam to nakazuje

nasz ogólny narodowy interes, a z drugiéj strony, lękamy się żebyśmy sami nie przebrali miary w opozycyi, i nie ułatwili, choćby na czas krótki, powrotu zabójczego dla nas świętego przymierza. Nie przypuszczamy żadnych powstań w Galicyi ani się ich obawiamy, ale że wszelki ucisk i prześladowanie prowadzi naturalnie do agitacyi, przeto nie moglibyśmy zaręczyć czy te się nie zjawią, jeżeli powróci rząd despotyczny pod jakąbądź formą, i ucisk naszéj narodowości.

Agitacye takie w Galicyi, gdyby w przyszłości rozpoczynać się kiedy miały, byłyby ciężkim występkiem przeciwko sprawie narodowéj. Powie nam kto, że należymy do tych ludzi „którzy zawsze się boją każdego ruchu, bo się boją cokolwiek „w nim stracić lub poświęcić; znana rzecz, że ludziom osia„dłym i posiadającym a zwłaszcza szlachcie, więcéj zależy na „zachowaniu i spokojném używaniu tego co mają, aniżeli na „przyszłości narodu, że przeto lękają się wszelkiéj incyatywy, „wszelkiego działania, a swoją rezygnacyę i egoizm osłaniają „zużytą i wytartą draperyą tak zwanéj pracy wewnętrznéj. „Każą zawsze czekać sposobnéj chwili, ale żeby się zdać na „ich wybór, chwila sposobna nie nadeszłaby nigdy.“

Mowy takie pamiętamy wszyscy z lat które poprzedziły bezpośrednio ostatnie powstanie w królestwie, a nie wątpimy, że przekonania takie choć dziś się nie odzywają, tkwią zawsze w niejednym umyśle fanatycznym lub przewrotnym, i dlatego postanowiliśmy wypowiedzieć otwarcie, dlaczego konspiracye i organizacye tajne uważamy za zgubne w ogóle, a najbardziéj tu w Galicyi.

Nie należeliśmy nigdy do tak zwanego stronnictwa czynu, ale nie truduo nam postawić się na miejscu tych, którzy do niego należą i wyobrazić sobie ich rozumowanie. „Sprawa pol„ska ma prawo być rozwiązaną, my mamy obowiązek praco„wać nad jéj rozwiązaniem. Nie możemy spodziewać się po„mocy od żadnego z istniejących państw i rządów, musimy „wszystkie środki wyciągnąć sami z siebie; musimy przeto „zapewnić się zawczasu, że w chwili jakiegoś zamieszania i roz„ruchu, która w dzisiejszym stanie Europy zdarzyć się musi „prędzéj lub późniéj, nie zabraknie nam środków moralnych „ani materyalnych, to jest pieniędzy, ani posłuszeństwa i po„święcenia ludzi. Do téj pewności dojść możemy jedynie cią-

„głą pracą i rozszerzaniem naszych idei. Otwarcie robić tego „nie możemy, musimy robić skrycie. Zbierajmy więc skrycie „pieniądze i zyskujmy ludzi, a dzień zdarzeń jak przyjdzie, „zastanie nas w pogotowiu, zwycięstwo będzie rzeczą łatwą, „zwłaszcza że zawsze liczyć możemy na pomoc tych którzy tak „jak my cierpią na dzisiejszym stanie rzeczy, i którzy ze swojéj „strony pracują nad tém żeby go obalić."

Tak przedstawia nam się rozumowanie spiskowca, w całéj swojéj czystości, rozebrane z tych wszystkich dodatków zawiści, żółci lub osobistéj korzyści o które nieszczęściem nie trudno. Rozumowamie to wiedzie logicznie do konspiracyi, konspiracya zaś i organizacya wiedzie logicznie do wybuchu. Jest to syllogizm tak ścisły, że nikt konkluzyi uniknąć nie zdoła. Mówi się wprawdzie zawsze i nie wątpimy, w dobréj wierze, że szaleństwem by było myśleć o wybuchu, o powstaniu, w téj danéj chwili lub w téj danéj części kraju. Broń Boże, nikt nie chce i nikt nie myśli; ale przecież jawném jest każdemu, że dzisiejszy stan Europy długo potrwać nie może; prędzéj czy późniéj musi nastąpić jakaś katastrofa; nie trzeba żeby nas zaskoczyła nieprzygotowanych bezsilnych i biernych. Organizuje się więc na przyszłość, bez oznaczonego celu ani terminu. — Żywiołu do téj organizacyi nie szuka się naturalnie między zgniłą szlachtą, tém mniéj między zaprzedanymi „Panami," ani między ospałem i lodowatem mieszczaństwem — młodzież szkół i uniwersytetów, młodzież warsztatów i rękodzielni, to jeszcze jedyny skarbiec zapału i miłości ojczyzny; z niéj więc rekrutuje się główna armia, a co braknie dobierze się z ludzi którzy nie zechcą narazić się opinii, znajdzie się ich w każdéj warstwie społeczeństwa, bo tchórzów nie brak na świecie. — Staje zatém organizacya, ale zamiast czekać owéj sposobnéj chwili, nie czeka; owe żywioły młode i gorące, poruszone i roznamiętnione imieniem Ojczyzny burzą się coraz silniéj, prą coraz gwałtowniéj; gdyby można zebrać je razem wszystkie na jedno miejsce i rozmówić się z nimi, możeby zrozumiały że i dlaczego mają czekać — ale jakże to wytłomaczyć tysiącom głów rozprószonych, chcąc je utrzymać w swojém ręku trzeba je ciągle rozgrzewać, coraz dodawać nadziei, przemawiać coraz silniéj do tego zapału. Każesz im czekać, zapytają jak długo; oznaczysz czas na miesiące, wstrzymają cierpliwie, ale nie od-

ważysz się oznaczyć go na lata. Tak odkładając z terminu do terminu, dojdziesz w końcu do tego że albo będziesz przez wszystkich odstąpiony i okrzyczany za oszusta lub zdrajcę, albo ci inny wyrwie z ręki wszystkie nici twojéj konspiracyi; albo wreszcie rad nie rad, wbrew własnemu przekonaniu, nie przygotowany i porwany przez tych których prowadzić mniemałeś, musisz zerwać się do „czynu,“ do czynu w który sam nie wierzysz choć wiarę udajesz, za który drżysz czy kiedyś ciężko nie odpowiesz, a którego skutek zdajesz na łaskę bożą, mówiąc „Coś się stanie i jakoś to będzie.“

To nie fikcya, ale rzeczywistość, historya. Ktoby o tém wątpił niech spojrzy na nauczający przykład komitetu centralnego w Warszawie. Komitet centralny chciał opanować i prowadzić zbudzony ruch narodowy i obrał do tego drogę spiskowéj organizacyi. Wiedział wprawdzie i nie taił że dążył do powstania, ale wiadomo dziś wszystkim, że nie zakładał sobie terminu wybuchu, że chwilę tę chciał opóźnić, a jednak musiał wbrew woli i przekonaniu dać hasło do powstania, bo inaczéj zręcznie ohydzony przed zniecierpliwionymi swoimi sprzysiężonymi byłby musiał ustąpić i oddać władzę w ręce innych. Proskrypcya była raczéj pozorem jak powodem wybuchu; skrzesała ona iskrę, ale i bez niéj palny materyał byłby się zajął przez samą swoją wewnętrzną fermentacyę — komitet centralny nie był panem téj organizacyi którą sam stworzył, utrzymać jéj nie mógł, musiał dać się przez nią porwać. Na téj spiskowéj pochyłości utrzymać się nie można, rzecz zaczęta na drobne prawie nieznaczące rozmiary, toczy się jak lawina, tocząc się rośnie co chwila, a własnym ciężarem, waląc się coraz prędszym i coraz gwałtowniejszym ruchem, spada wreszcie na samo dno przepaści.

Niech nikt nie myśli żebyśmy pisząc to, przewidywali spiski, powstania i tak (niewłaściwie) zwane organizacye, tu w Galicyi, nie; obawiamy się tylko i to jedynie w odmiennych okolicznościach ich pozoru nad którego stworzeniem ajenci rosyjscy niezawodnie pracować nie przestaną. Naprowadzenie zaś tokiem rzeczy na ten przedmiot, nie chcieliśmy prześliznąć się po nim bojaźliwie, ale ludziom dobréj wiary jakich jest wielu w stronnictwie które się z krzywdą innych lubi nazywać gorącém, chcieliśmy powiedzieć otwarcie, a Bóg widzi bez na-

miętności i zawiści, że jeżeliby przypadkiem chcieli wziąść naszą prowincyą za pole prac swoich, pracowaliby tylko dla Rosyi, lub dla fantazyi tych znowu ludzi, a są i tacy, dla których klęska a nawet ostateczny upadek naszéj sprawy nie jest niczém, jeżeli im daje sposobność do napisania kilku manifestów, do odegrania krótkiéj roli w tragicznéj komedyi władzy i do zbierania składek. Agitacye takich ludzi mogą przecież mieć jednę niebezpieczną stronę. Stroją się one w pompatyczny płaszcz demokracyi i miłości ludu, mogą omamić nie jeden umysł młody, zapalony szczerą miłością tych zasad, które stanowią chlubę i postęp dzisiejszego świata.

Ale ta demokracya w imię któréj nie jeden stara się przemawiać do naszéj młodzieży, do rosyjskiéj bardzo podobna, a ta miłość ludu rozebrana z szumnych frazesów, jest tylko zazdrością towarzyskich lub majątkowych korzyści i stanowisk, tylko ujemną nienawiścią spółeczną. Niech nasza młodzież demokratyczna będzie spokojną; zasada o którą jéj chodzi zwyciężyła już dawno i wszędzie; zwycięstwo to nie da się cofnąć ani odrobinę; ale niech baczy by się oszukiwać nie dała, i by uwiedziona świetnym sztandarem wolności ludów, nie dała się porwać tam, gdzie się zaczyna wszechwładztwo Rosyi we wschodniéj połowie Europy.

Rzekliśmy wyżéj, że lękamy się, żeby w razie powrotu centralizacyi rząd sam nie popchnął nas na drogę opozycyi tajnéj. W otwartéj, znaleźćbyśmy się musieli, ale ta nie doprowadziłaby do szkodliwego dla stron obu zerwania; tajna byłaby zgubną. Otóż chcielibyśmy żeby rząd wiedział, że interesem jest jego, nawet w razie gdybyśmy się zgodzić nie mogli w sprawie reorganizacyi państwa, inaczéj się z nami obchodzić, jak się to działo za konstytucyi lutowéj.

Rząd mógł się przekonać, że zgoda z Galicyą nie jest rzeczą trudną; ale trzeba żeby wiedział, czego mu nikt może dotychczas powiedzieć nie miał odwagi, że węzłem pomiedzy naszym krajem a koroną nie jest dotąd przywiązanie. U ludzi oświeconych przywiązania takiego nie dopuszcza pamięć rozbioru Polski i pamięć ciągłych od tego rozbioru macoszych rządów w Galicyi. O przywiązaniu ludu wiejskiego do tronu mówiono wiele, i rząd może w nie wierzy, ale radzimy mu szczérze, niech na to przywiązanie zbytecznie nie liczy. Jest w tém

przywiązaniu pamięć dawnych czasów, kiedy chłop szukał u rządu opieki przeciw panu, jest może wdzięczność za zniesienie pańszczyzny, jest niestety nadzieja korzyści, nadzieja, „lisów i pasowysk“ ale świadomego przywiązania do korony, austryackiego patryotyzmu, nie ma wcale, pomimo wszystkiego co od stu lat donosić mogą do Wiednia miejscowe organa władzy. Mówimy to z całą szczérością, nie dla tego żeby rządowi powiedzieć rzecz przykrą, tém mniéj żeby mu grozić, ale dla tego że dla jego jak dla naszego własnego dobra, radzibyśmy wyświecić położenie jego w Galicyi. Powtarzamy raz jeszcze, węzłem pomiędzy Galicyą a Austryą nie jest jeszcze przywiązanie, może nim być tylko interes. Węzeł to rzeczywisty i bardzo mocny, najpewniejszy, i może posłużyć do zawiązania innych jeszcze węzłów. Niechże go rząd nie osłabia nigdy; niech naszą narodowość i jéj prawa szanuje nawet wtedy, jeżeli sejm nasz stanie oporem do tego lub owego gabinetu. Adres ostatni wypowiada że chcemy trzymać się wiernie Austryi, ale chcemy także narodowego życia i wolności; do obu tych zasad przyznajemy się szczerze i nie myślimy ich odstąpić; niechże rząd szanując jednę z nich, ułatwi nam wierne wykonanie drugiéj. —

Termin zamknięcia sejmu jest już oznaczony, a tak bliski, że adres może być jedyną jego ważniejszą uchwałą. Szkoda byłaby wielka, ale i w takim nawet razie sesya ta nie przeszłaby bez skutku, bo w tych ciężkich czasach które przebywamy, adres sejmu naszego był faktem nie małéj pociechy. Widzimy w nim bowiem objaw jednomyślności narodowéj, a z jakiéjkolwiek strony patrzeć nań zechcemy, znajdziemy go zawsze odpowiednim i godnym. Odpowiada on i potrzebom naszego kraju, i naszemu narodowemu sumieniu, i téj z ogólnego położenia Europy wypływającéj, historycznéj i logicznéj konieczności, która narodowi naszemu taką właśnie wskazuje drogę postępowania, jaką ten adres wytyka.

Nie wiemy co przed nami, ani jakie jeszcze los zechce sobie z nas zrobić igrzysko; nie wiemy który z przewidywanych powyżéj zwrotów polityki wewnętrznéj sprawdzi się w rzeczywistości, nie możemy więc wiedzieć ani mówić, w jakiém położeniu znajdziemy się za chwilę, ani jak długo w tém

położeniu, dziś niewiadomém, zostać możemy. Wiemy atoli, że nie zmieni się konieczność historyczna i polityczna pod któréj wpływem wytworzyły się zawarte w adresie zasady, i to wiemy, że powinniśmy, cokolwiek nas czeka, trzymać się tych zasad wiernie, bo trzymając się ich, zostaniemy wierni naszéj sprawie narodowéj i najskuteczniéj będziemy mogli jéj służyć. Skutek od nas nie zależy, bo przyszłość jest w ręku Boga, ale obowiązek jest jawny, i widocznie wskazany. *Fais ce que dois advienne que pourra.*

St. Tarnowski.

O PRZEŚLADOWANIU
KOŚCIOŁA I DUCHOWIEŃSTWA KATOLICKIEGO
W POLSCE.

Alokucya Ojca świętego ubolewająca nad postępowaniem Rosyi względem kościoła katolickiego i ukaz petersburski z 22 listopada odrywający gwałtownie kościół polski od Stolicy świętéj, to dwa najświeższe i największéj wagi dokumenty w sprawie polskiéj.

Ponieważ ukaz nastąpił po alokucyi, niewtajemniczony w sprawy kościoła katolickiego w Polsce, mógłby mniemać, że ukaz jest tylko odwetem za alokucyę, tak jednakowoż nie jest, ukaz byłby nastąpił, czyby był Papież przemówił czy nie; był on loicznym wynikiem poprzedniéj polityki i działań ks. Czerkawskiego; usankcyonował on tylko fakt już dokonany i podniósł go do znaczenia stanu prawnego. Ojciec śty długo w téj sprawie głosu nie zabierał, spodziewając się umiarkowaniem ochronić kościół katolicki w Polsce od tego ostatniego ciosu, dopiéro gdy wszelka nadzieja znikła, alokucya nastąpiła. Od uwiezienia arcybiskupa Felińskiego władza Papieża w Polsce faktycznie została zawieszoną, a zamach na religią katolicką od upadku Polski wchodził w rachubę polityki rosyjskiéj. Car Mikołaj nosił się już z myślą oderwania kościoła od Rzymu w tém przekonaniu, że Polska odcięta od wpływów zachodniéj cywilizacyi, prędzéj ulegnie wynarodowieniu. Plan ten nie został nigdy zaniechany, odroczono go tylko do stósowniejszego czasu, a zdaniem rosyjskich polityków czas ten właśnie teraz nastąpił.

Sięgając jeszcze daléj w przeszłość, przekonać się możemy, że nawet Mikołaj nie był twórcą tego planu, jest on tradycyjną polityką Moskwy, zastósowaną do wszystkich narodo-

wości nierosyjskich i do wszystkich wyznań nie prawosławnych. Ta sama polityka, która się dzisiaj praktykuje w Polsce i Rusi przeddnieprskiéj, praktykowaną była dawniéj na Zadnieprzu. Analogia zbyt bijąca w oczy, aby każdego uderzyć nie miała. Po ugodzie perejesławskiéj Zadnieprzu pozostawiono széroką autonomią. Miało ono odrębny kościół, odrębne prawa, odrębną administracyą i sądownictwo. Narodowość małoruska wybitną miała swoją cechę, która jéj nawet w związki małżeńskie z szczepem wielkorosyjskim wchodzić nie pozwalała, czego dowód istnieje w instrukcyi danéj hetmanowi Mazepie od cara Piotra W., aby wszystkiemi środkami starał się wykorzenić niechęć do małżeństw mięszanych, forytując tych, którzy wbrew narodowemu obyczajowi w takie związki wchodzili.

Zaledwie 200 lat minęło a z autonomii téj dziś śladu nie zostało; jednę swobodę po drugiéj odbierała Moskwa, już to korzystając z uległości małodusznych hetmanów, już to pchając naród podstępem i okrucieństwem do buntu, aby go w skutek tego za pozbawiony wszelkich praw ogłosić.

Bywały w tym wiekowym procesie i takie chwile, gdzie im w całości lub w części prawo rodzime zwracano, był to kaprys pojedyńczych panujących nie trwający dłużéj jak ich panowanie. Systemat moskiewskiéj polityki wyrobiony tradycyą powracał po każdéj dłuższéj lub krótszéj przerwie do dzieła zniszczenia i asymilacyi.

Po upadku Rzeczypospolitéj tę samą politykę zastósowała Moskwa do zaboru polskich ziemi. Katarzyna wojnę wydała unii, szanując zresztą dawne polskie prawa i obyczaje.

Paweł nawet prześladowania unii zaniechał, statut litewski w sprawach cywilnych zatrzymał. Car Aleksander pozwolił zakładać nowe kościoły, rozwijać się szkołom polskim, Kongresówce dał konstytucyę, obiecał połączyć z nią ziemie ruskie pod jego berłem zostające.

Swobody te dane niechętnie, pod naciskiem ówczesnych stosunków politycznych Europy, już car Aleksander sam uważał jako przeniewierzenie się tradycyjnéj polityce moskiewskiéj, ukartował więc tak rzeczy, że między rządem rosyjskiem a narodem polskim mogło w każdéj chwili przyjść do nieporozumienia, do akcyi z jednéj, do reakcyi z drugiéj strony. Car Mikołaj zaraz na wstępie swego panowania dał do poznania, że autono-

mia Polski raz na zawsze skończyć się musi. Rozpoczął rządy swe od tego, że konstytucyi nie zaprzysiągł, przy każdéj sposobności prawa narodowe gwałcił, pchając naród do rewolucyi, któréj upadek zapowiadał mu możebność obalenia wszystkich swobód. Życzenia cara zostały spełnione. Polska powstała i upadła. Natychmiast pozamykano szkoły polskie, na Rusi zniesiono unię i statut litewski, większą część kościołów łacińskich pozamykano lub oddano na użycie prawosławiu, w Kongresówce nietylko zniesiono konstytucyę, ale wprowadzono rosyjskie prawodawstwo w sprawach karnych, a konfiskatą zniszczono większą część obywateli.

Syn jego Aleksander II. poszedł jeszcze daléj. Wywoławszy powstanie, drażniąc naród udzielaniem jednego dnia koncesyi, które nazajutrz cofano, zaprowadzając instytucye, z których korzystać nie było wolno, wzbudzając nadzieję, których nigdy spełnić nie miano, głaszcząc raz a odpychając drugi — słowem używa wszystkich środków, by naród do rozpaczliwéj walki zmusić. Po upadku tego powstania narodowość, sumienie i własność Polaków skazano na zatratę. W tém dziele zatracenia szczególnie zwrócono się przeciwko kościołowi katolickiemu. Reprezentant carski w Rzymie nazywał katolicyzm ustawiczną rewolucyą. Naturalny tego wynik, że przyczynę rewolucyi t. j. kościół katolicki w Polsce trzeba znieść jeżeli się ma porządek w nieszczęśliwym tym kraju na stałych podwalinach przywrócić. Alokucya położenia ani nie otworzyła ani nie zmieniła, zmusiła tylko carat do zrzucenia maski i odsłonięcia zasłony, jaką pokrywał gospodarowanie swoje w Polsce.

Jaką drogą teraz Rosya pójdzie w sprawie kościoła katolickiego, i to odgadnąć nie trudno. Tam gdzie polityka od wieków rozwija się tradycyą, łatwo z przeszłości można z całą pewnością stawiać wnioski odnośnie do przyszłości.

Z początku utworzą jakiś synod przeważnie z katolików złożony, potém kolejno wprowadzać będą do niego coraz więcéj szyzmatyków dla oznaczenia niby stosunków prawnych kościoła do państwa, następnie prawosławie i kościół łaciński pod wspólny dadzą zarząd, aż nakoniec car ogłosi, że jeden jest Bóg, jedna wiara i jeden car, a ktoby śmiał w to powątpiewać, spotka się z Sybirem lub knutem.

Carat żadnéj instytucyi znieść nie może, któraby miała jaką taką niezawisłość, w Rosyi wszystko musi być środkiem dla machiny urzędowéj. Dotąd tylko katolicyzm usuwał się z pod bezpośredniego wpływu caryzmu, nie dziwić się więc, że cała zajadłość przeciwko niemu się skupia i wszelkiemi sposobami obalić go usiłuje. Nie koniecznie z tego wynika, aby car swoje plany urzeczywistnić zdołał, być może, iż zbyt napięte struny pękną, całą maszynę zdruzgocą i kierownikom jeszcze się co dostanie, lecz wątpliwości nie ma, że dzieło unifikacyi będą chcieć przywieść do skutku, i ubitą pójdą drogą. Zły przykład dany przez niektóre katolickie państwa, ogólna apatya w wierze, a ztąd bezsilność Ojca św. w zapobieżeniu złemu będzie zachętą dla cara i służebników jego.

Do przeprowadzenia tego dzieła wybrał sobie car człowieka ze wszech miar odpowiedniego. Książę Czerkaski, dyrektor spraw wewnętrznych i faktyczny dziś naczelnik kościoła katolickiego w Polsce obok nienawiści narodowéj powoduje się jeszcze lekceważeniem i wzgardą dla religii w ogólności a dla wyznania łacińskiego w szczególności. Dla niego każda religia jest fanatyzmem i zabobonem niegodnym cywilizowanego człowieka, każdy duchowny kuglarzem i hipokrytą. Innowierca z głęboką wiarą dla swojéj religii zdoła pojąć przynajmniéj religijne uczucia w drugich, będzie może ubolewał nad ich zaślepieniem, fanatyk gotów gwałtem nawracać, ale prześladowanym oszczędzi przynajmniéj szyderstwa. Czerkaski prześladuje i szydzi, prześladuje, bo tak mu nakazuje interes Moskwy, szydzi, bo w nic nie wierzy. Prześladowanie podobnego człowieka może być mniéj gwałtowne i gorączkowe, ale za to jest systematyczniejsze i więcéj destrukcyjne, bo nietylko gwałci prawa pewnego kościoła, ale rodzi zwątpienie, zabija w człowieku wszelkie religijne uczucia.

Obszerny dokument do prześladowania kościoła katolickiego w Polsce rozdany obecnie został przez najwyższego Pasterza wszystkim kardynałom zamieszkałym w Rzymie. Nim jednak takowy dojdzie do wiadomości wielkiéj publiczności, podajemy niżéj kilka szczegółów o postępowaniu księcia Czerkaskiego względem kościoła katolickiego skreślonych przez naocznego świadka.

Z nich przekonamy się, że już od wywiezienia księdza biskupa Rzewuskiego prawa władza w kościele polskim przestała istnieć.

Zarząd dyecezyi warszawskiéj oddany został ks. Zwolińskiemu z woli księcia Czerkaskiego i nominacyi hr. Berga bez dołożenia się Rzymu, a nawet wbrew konkordatowi zawartemu z Rosyą r. 1847, a do komisyi duchownéj mającéj ograniczyć działalność kościoła, zubożyć duchowieństwo konfiskatą i kontrybucyami, znieść klasztory jako jednę z silnych dźwigni katolickiego ducha, powołano księży Budkiewicza i Zaleskiego dla występnego życia wydalonych z dyecezyi i prywatnie w Warszawie zamieszkałych. W rękach trzech tych ludzi z ks. Czerkaskim na czele spoczywają losy kościoła katolickiego i jego duchowieństwa *). Dla łatwiejszego poglądu cały tok téj sprawy opowiemy porządkiem chronologicznym.

Arcybiskup Feliński przed wydaleniem swém na Syberyą mianował po sobie administratorem archidyecezyi warszawskiéj księdza Pawła Rzewuskiego, sufragana warszawskiego, biskupa nominata brusseńskiego, by ten na jego miejscu zarząd nad sprawami duchownemi objął i nominacyę jego rządowi przedstawił — lecz przewidując, że równe niebezpieczeństwo zagraża księdzu Rzewuskiemu, na przypadek więc jego śmierci lub wywiezienia, naznaczył sekretnie jeszcze dwóch zarówno godnych po nim następców w osobach kanoników katedralnych warszawskich: Szczygielskiego i Domagalskiego i nominacye na godność rządców kościoła dla każdego z nich zostawił w rękach prywatnych. Zaledwie arcybiskup Feliński wywieziony do Jarosławia został, książę Czerkaski wydał najsurowszy zakaz konsystorzowi warszawskiemu odwoływania się w jakiejkolwiek sprawie kościelnéj do arcypasterza — a zarówno tenże otrzymał w Jarosławiu rozkaz, aby się w żadne duchowne interesa nie wdawał i żadnych korespondencyi z duchowieństwem warszawskiem nie miewał. Stosunki między pasterzem a jego owczarnią zostały więc na wstępie absolutnie zerwane. Nastąpiła potém presya ks. Czerkaskiego na konsystorz warszawski w celu sprowadzenia kolizyi między sumieniem i wiernością do Rzymu ks. administratora a wymaganiami bezprawnemi rządu.

*) Już po napisaniu tego artykułu świat katolicki dowiedział się o dymisyi Czerkaskiego, czy na zmianie osoby, kościół zyska, bliska przyszłość pokaże.

aby go równie jak arcybiskupa od rządów archidyecezyi odsunąć i w głąb cesarstwa wywieść.

W istocie niezliczone a nieustanne żądania księcia Czerkaskiego do konsystorza warszawskiego i do osoby księdza biskupa Rzewuskiego przesyłane, żądania zmuszające ich ciągle do odstępstwa, do łamania praw kanonicznych i ustaw kościoła i mężny opór jaki stawiał naciskowi konstystorz warszawski i biskup Rzewuski, a w dodatku zemsta władz rządowych za kazanie biskupa Rzewuskiego, w którém wymownie zganił kłamstwa i oszczerstwa głoszone w „Dzienniku Warszawskim" przeciw kościołowi, sprowadziły na czcigodnego prałata karę deportacyi do Astrachanu, gdzie świątobliwy ten biskup po dziś dzień zostaje, zaś księciu Czerkaskiemu otworzyły szérsze pole do szatańskich działań.

Zaledwie biskup Rzewuski wywieziony został, kapituła warszawska zebrawszy się, na sesyą nadzwyczajną, uznała prawomocnemi zostawione przez arcybiskupa Felińskiego nominacye dla kanoników Szczygielskiego i Domagalskiego i pierwszemu z nich administracyę w archidyecezyi i zarząd w konsystorskich sprawach powierzyła, a następnie nominacyę jego według ustaw rządowych księciu Czerkaskiemu jako dyrektorowi spraw duchownych do zatwierdzenia przedstawiła.

Książę Czerkawski, nie spodziewając się takiego zwrotu rzeczy, w przekonaniu że z wydaleniem się biskupa Rzewuskiego skończyła się władza przez arcybiskupa Felińskiego umocowana, wpadł w gniew niepohamowany i zwoławszy natychmiast kapitułę warszawską oraz kanoników Szczygielskiego i Domagalskiego, wywarł na nich złość swoją, iż poważyli się przyjąć nominacye arcybiskupa sekretnie zostawione, które rządowi wiadome nie były, i korzystając z pozoru téj nielegalności, rozkazał kanonikom Szczygielskiemu i Domagalskiemu dymisye z nominacyami swemi w ręce rządu złożyć, a kapitule nakazał prałata Zwolińskiego proboszcza z Pragi, znanego powszechnie z bezwzględnéj do rządu rosyjskiego przychylności, administratorem archidyecezyi obrać i w obec licznie zebranych duchownych i cywilnych urzędników nacisk najsilniejszy na nich wywierać począł.

Prawo kościelne zabrania pod klątwą władzom cywilnym mianowania urzędników duchownych i udzielania im mocy do

sprawowania funkcyi kościelnych. Złożenie dymissyi w ręce rządu cywilnego z nominacyi udzielonych przez arcypasterza było również prawom kanonicznym przeciwne i tak kapituła warszawska jak kanonicy Szczygielski i Domagalski przystać na żądania księcia Czerkaskiega nie mogli.

Duchowieństwo warszawskie trzymane na owéj audiencyi przez sześć godzin u księcia Czerkaskiego, przetrwało prawdziwie trudną próbę przypominającą tragiczne sceny prokonsulów rzymskich z pierwotnymi wyznawcami chrześciańskiéj wiary. Dyrektor wyznań wobec licznych urzędników swoich zmuszał natarczywie nasamprzód obydwóch kanoników do złożenia w ręce jego dymissyi, a gdy się stanowczo żądaniu temu oparli, zagrażać im zaczął Sybirem, katorżnemi robotami, wołając groźnie i stanowczo: że teraz jedyném prawem dla duchowieństwa powinien być tylko ukaz cesarski, że on tylko ich obowięzuje. Szydził z nich daléj: że im się władzy zachciewa, że wyniesienia na wyższe godności pragną, ale że właśnie do nich nie dojdą! Gdy przejęci boleścią i oburzeniem na podobne niegodne uczciwych kapłanów zarzuty wymawiali się, że sumienie im na łamanie praw kościelnych nie pozwala, odpowiedziano im z ironicznym śmiechem, że sumienie jest rzeczą bardzo elastyczną i za wymówkę bynajmniéj służyć im nie może.

W téj uciążliwéj i nadmiar przykréj rozmowie oświadczył ks. Czerkaski obydwom kapłanom, że wola rządu spełnić się koniecznie musi i że natychmiast obadwa na Sybir wywiezieni zostaną. Czcigodni kapłani przyjęli wyrok ten z rezygnacyą, oświadczając z swéj strony, pomimo sardonicznego uśmiechu i cynicznych uwag księcia Czerkaskiego, że są gotowi na wszystko, że chętnie zdrowie, los i życie dla udowodnienia wierności kościołowi swemu oddadzą.

W téj dramatycznéj i stanowczéj chwili ktoś z otaczających księcia Czerkaskiego rzucił myśl: czy kanonicy Szczygielski i Domagalski nie mogliby złożyć dymissyi z nominacyi swoich w ręce Ojca świętego i one do Rzymu do zatwierdzenia posłać. Prawo kanoniczne nie sprzeciwiało się temu środkowi ratunku, zaprojektowany przeto im natychmiast został, i oba kapłani czując, że wydalenie ich na Syberyą i oderwanie od zarządu kościoła pozbawi tenże ostatniéj legalnéj władzy przez

Arcypasterza umocowanéj, a nadewszystko mając nadzieję, że następnie trudna ta kwestya da się jakoś na innéj drodze ułożyć, przystali na żądanie księcia Czerkaskiego i przyrzekli, że to w jak najkrótszym czasie uczynią.

Zaledwo książę Czerkaski zakończył sprawę, choć tylko chwilowo, z mianowanymi kandydatami na administratorów archidyecezyi, rozpoczął ją natychmiast z kapitułą warszawską, żądając: aby kapituła natychmiast do wyboru nowego administratora przystąpiła, ponieważ kanonicy Szczygielski i Domagalski nominacye swoje złożyli, przytém dodał, że wybór nie może paść na kogo innego tylko na prałata Zwolińskiego proboszcza z Pragi, jako jedynie posiadającego zaufanie rządu i że nikogo innego rząd na téj posadzie nie zatwierdzi.

Nowa ta samowola dyrektora wyznań gwałcąca prawo kanoniczne wielkie oburzenie i zgrozę nietylko w duchowieństwie ale w mieście całém wznieciła. Kapituła warszawska wymówiła się od wyboru prałata Zwolińskiego na administratora archidyecezyi pomimo gróźb księcia Czerkaskiego zesłania na Sybir opornych woli rządu téjże kapituły członków i pomimo najnikczemniejszych intryg użytych w tym celu przez dyrektora wyznań i nikczemnych jego doradców. Książę Czerkaski niezniechęcony bynajmniéj owym niespodziewanym oporem kanoników Szczygielskiego i Domagalskiego oraz kapituły, owszem tryumfujący, że na swojém postawił, przesłał do Rzymu dymisye obu tych kapłanów, zaś od siebie załączył przedstawienie prałata Zwolińskiego na rządcę archidyecezyą, i zatwierdzenia obydwóch aktów przez Stolicę apostolską zażądał.

Na wiadomość o podobnych nadużyciach zadrżało duchowieństwo, zadrzała Warszawa, przeraził się kraj cały, przewidując że nam zagraża jawne już prześladowanie religii, że ono niebawem i na kraj cały rozciągać się będzie, i wszystkich przeraził widok ukazującéj się już na horyzoncie polskim złowrogiéj szyzmy!

Wiadomo wam zapewne, że postanowione od pewnego czasu zostało, aby stosunki i korespondencye duchowieństwa polskiego ze Stolicą apostolską odbywały się za pośrednictwem rządu i przesyłane były drogą dyplomatyczną przez Petersburg do Rzymu. Tak jest niestety! Biskupom polskim i ich zastępcom zabronione zostało odnosić się ze swemi sprawami wprost

do Głowy kościoła, a nadewszystko przedstawiać tych podań w taki sposób jak tego potrzebuje dobro naszego kościoła. Tylko te jedynie kwestye, na które rząd a dziś książę Czerkaski zezwolić zechce i w taki sposób jaki widokom jego dogadza.

Łatwo sobie wystawić jak taka samowola szyzmatyckiego pośrednika, a w dodatku zawziętego wroga katolicyzmu i jednego z najenergiczniejszych mężów stanu dzisiejszéj epoki, utrudnia porozumienie się kościoła naszego z Rzymem.

Ojciec święty odmówił przedstawieniu księcia Czerkaskiego zadosyć uczynić, nie przyjął dymisyi kanoników Szczygielskiego i Domagalskiego, nie udzielił zatwierdzenia prałatowi Zwolińskiemu na administratora archidyecezyi warszawskiéj, twierdząc, że załatwianie wszelkich spraw duchowieństwa należą do prawego jéj pasterza, chociaż bowiem jest głową kościoła, przecież do spraw umocowanego przez Stolicę apostolską pasterza mieszać się nie powinien i raz oddawszy zarząd archidyecezyi warszawskiéj arcybiskupowi Felińskiemu, na nim zupełnie polega i do niego zatwierdzenie żądań księcia Czerkaskiego odsyła.

Ale czémże jest wyrok Głowy katolickiego kościoła dla szyzmatyckiego prokonsula umocowanego przez swój rząd do wytępienia właśnie wiary apostolskiéj w Polsce, czém rozporządzenie papieskie w porównaniu z ukazem cesarskim i z niezłomną wolą interesowanego wroga! Ukaz cesarski i system polityczny socyalisty rosyjskiego spełnione być muszą, ustąpić im winny prawa boże, kościelne i moralne!

Rozgniewany książę Czerkaski odmowną odpowiedzią Ojca świętego na swoje żądania, lecz nie zrażony tém niepowodzeniem, postanowił daléj dzieło swoje pełnić. Zamierzywszy odsądzić arcybiskupa Felińskiego od zarządu sprawami kościelnemi w Polsce, nie odwołał się oczywiście do niego stósownie do wyroku z Rzymu, lecz oświadczając ciągle kanonikom Szczygielskiemu i Domagalskiemu, że są intruzami, rozkazywał im poczytywać się już za dymisyonowanych i w żadne stosunki w kościelnych sprawach wchodzić z nimi nie chciał, twierdząc przeciwnie, że tylko prałat Zwoliński będzie administratorem archidyecezyi, bo taka jest w tym względzie wola rządu.

Jednocześnie z odmowną odpowiedzią z Rzymu zjawił się w Warszawie prywatną drogą przesłany list osobisty Ojca

świętego do księdza Szczygielskiego, przez który władzą swoją zatwierdza go zastępcą arcybiskupa Felińskiego i rządy nad archidyecezyą jemu powierza, zachęcając go przytém do mężnego wytrwania na trudném swojém stanowisku.

List ten krążyć potajemnie zaczął z ręki do ręki po mieście, i wkrótce wiadomość o nim doszła do władz rządowych i do księcia Czerkaskiego, który nakazał odbyć natychmiast najściślejszą w mieszkaniu kanonika Szczygielskiego rewizyę, a jego samego uwięzić. Przybył w dzien naznaczony o 1széj w nocy pułkownik żandarmów z kilku żołnierzami i po czterogodzinnéj rewizyi tak ścisłéj, że nietylko każdy papier został przetrząsany ale ściany naruszone w mieszkaniu obwinionego, znalezioną została kopia listu Ojca świętego, która istnienie oryginału stwierdziła. Uwięziony kanonik Szczygielski nie mógł zaprzeć faktu, wyznał, iż ów list papieski rąk jego doszedł, wręczył nawet na rozkaz księcia Czerkaskiego ukryte owo breve rządowym władzom, lecz pomimo srogiego nalegania i najuciążliwszych i najdrażliwszych indagacyi w komisyi śledczéj w cytadeli, gdzie od chwili uwięzienia zostawał, nie wyjawił jaką go odebrał drogą. Ksiądz Szczygielski zamknięty w końcu zeszłego roku w cytadeli, zostaje do téj chwili w więzieniu dręczony nieustanném naleganiem o wyznanie, jaką drogą list Ojca świętego odebrał i najdotkliwszemi cierpieniami wynikającemi z delikatnego a więzieniem tak długiém i dotkliwém znękanego zdrowia; nikomu niewolno go odwidzać ani widywać — wiadomo tylko wszystkim, że jest ciągle chory — a głucha wieść niesie, że jest w kazamatach trzymany.

Badania komisyi śledczéj wykryły następnie, że kopia listu papieskiego znaleziona w mieszkaniu ks. Szczygielskiego, spisana była ręką znamienitego dobroczynnością i gorliwością kapłańską księdza Lasockiego, w skutek czego czcigodny ten kapłan uwięziony także został i do téj chwili w cytadeli zostaje, postradawszy resztę starganego na posługach religijnych zdrowia w uciążliwém więzieniu. Wieść niesie, że ksiądz Lasocki do tego stopnia zdrowie w cytadeli postradał, że już opuścić łóżka nie może. Wiadomość o złym stanie zdrowia i o szkodliwéj atmosferze więziennéj potwierdził własnoręczny list ks. Lasockiego przed miesiącem do familii pisany, w którym prosi o nowy materac, ponieważ ten który mu dotąd słu-

żył, zgnił pod nim zupełnie od więziennéj wilgoci. Ileż to cierpi tak chory więzień w odosobnieniu od przyjaznéj pomocy i pozbawiony wszelkiéj nad sobą opieki!

Czyż takie uciskanie ludzi zacnych i przez cnotę swoją tylko winnych nie są zbrodniami wołającemi o pomstę do nieba!

Po uwięzieniu księdza Szczygielskiego wstąpił na urząd administratora archidyecezyi warszawskiéj tak z urzędu jak z prawa mu służącego przez nominacyę arcybiskupa i w skutek odmówienia w Rzymie dymisyi jego, ksiądz kanonik Domagalski, kapłan znany powszechnie z wysokiéj świętobliwości i niepospolitéj kaznodziejskiéj wymowy. Był on już ostatnim legalnym rządcą kościoła i z tego względu starał się postępowaniem roztropném i pełném namaszczenia unikać wszelkiego przeciw rządom swoim zarzutu, a kościołowi polskiemu oszczędzić ostatecznego ciosu, to jest władzy nielegalnéj, klątwę ściągającéj na całą dyecezyę w razie gdyby on jeszcze uwięziony został, a nieupoważniony przez arcybiskupa lub Stolicę apostolską, od rządu cywilnego narzucony administrator rządy nad kościołem objął.

Lecz tego właśnie pragnął książę Czerkaski, bo nieustanną dążnością jego było tę ostatnią jeszcze legalną władzę w archidyecezyi usunąć, swojego rządcę narzucić, wymódz na nim ustępstwa odpowiednie swym planom, i w końcu z Rzymem i z Jarosławiem zupełnie zerwać. W tym celu książe Czerkaski zaczął znowu opór stawiać rządom kanonika Domagalskiego, dowodzić, że prawa jego są żadne i nic nieznaczące w oczach rządu, że on jest na urzędzie administratora intruzem, którego rząd dłużéj znosić nie może. Książę Czerkaski zażądał od kanonika Domagalskiego zrzeczenia się wszelkich stosunków z arcybiskupem Felińskim i z Rzymem, narzucając mu coraz dotkliwsze i przeciwniejsze ustawom kościelnym żądania — a w końcu, jak się późniéj pokazało, rozkazał księdzu Domagalskiemu (już zamkniętemu w cytadeli) podpisać oderwanie kościoła polskiego od Rzymu, zrzeczenia się powierzonéj mu władzy przez arcybiskupa i przelania jéj na prałata Zwolińskiego, nieustannie przez dyrektora wyznań narzucanego na rządcę archidyecezyi.

Zdaje się iż żądania te musiały być ciągłym przedmiotem wezwań kanonika Domagalskiego do komisyi śledczéj w cytadeli, gdyż nieustannie tam był powoływany. Lecz widać że zawsze odmawiać musiał wymaganiom rządu tak sprzecznym z obowiązkami jakie na nim ciężyły.

Książe Czerkaski ponowił presyę na kapitułę warszawską, by prałata Zwolińskiego rządcą archidyecezyi obrała, a że ustawy kościelne zabraniają kapitułom wybierać w razie uwięzienia biskupa, dopóki tenże żyje, innego po nim następcę, a zatém i kapituła warszawska obierać go nie miała prawa i nie zatwierdziła. Wtedy książe Czerkaski wpadł w ferwor i grożąc znowu stanowczém wywiezieniem na Sybir wszystkich czynniejszych i więcéj znaczących kapłanów, zażądał aby przynajmniéj dozwolono prałatowi Zwolińskiemu wejść w skład konsystorza jako urzędnikowi do szczególnych poruczeń w stosunkach z rządowemi władzami.

Pod tak gwałtownym naciskiem i tak stanowczém zagrożeniem księcia Czerkaskiego, kapituła warszawska chcąc znowu oszczędzić kościołowi polskiemu ostatecznéj zagłady, i ponieważ się owo żądanie dyrektora wyznań nie sprzeciwiało prawom kanonicznym, pozwoliła prałatowi Zwolińskiemu urzędnikiem konsystorskim zostać. Ale książę Czerkaski dążący daléj jeszcze wynajdywał coraz nowe zarzuty przeciw rządom kanonika Domagalskiego, coraz natarczywiéj ustępstw od niego żądał, a w końcu dnia 28go maja bieżącego roku powołanego raz jeszcze do cytadeli i opierającego się tymże żądaniom, ostatecznie uwięzić rozkazał.

W dzień ten rano przybył oficer do mieszkania kanonika Domagalskiego i nie zastawszy go w domu, gdyż był wyszedł Mszę św. odprawić w kościele, udał się tamże za nim, i wracającego od ołtarza natychmiast do jenerała Tuhołki naczelnika komisyi śledczéj powołał.

Udający się bez zwłoki na wezwanie władzy rządowéj kanonik Domagalski wyrzekł te tylko słowa: „jeżeli nie wrócę, to będzie znak, że odemnie żądać będą rzeczy na które przystać nie dozwala mi sumienie.“

Późniéj dowiedziała się cała Warszawa, że w cytadeli nie przebierano w środkach by zmusić kanonika Domagalskiego

do zerwania stosunków ze Stolicą apostolską, do wyrzeczenia się zwierzchności papiezkiéj nad polskim kościołem i do przelania władzy swéj na prałata Zwolińskiego.

Książę Czerkaski spodziewał się, że wymoże na kanoniku Domagalskim narzucone mu tak absolutnie i w tak srogi sposób wyciskane ustępstwa; pytany przez znajomych jaki był powód tak długiego uwięzienia tegoż kapłana w cytadeli odpowiadał „że to bagatela, że idzie o to aby w pewnéj małéj kwestyi ustąpił i że oczywiście ustąpi wkrótce.„

Wiarołomstwo, zdrada kościoła i religii, przełamanie praw kanonicznych są dla księcia Czerkaskiego bagatelą, a kapłan świętobliwy broniący swojéj wiary i wierny obowiązkom stanu swojego jest przestępcą! W takie to ręce oddał cesarz rosyjski i król polski losy polskiego kościoła i całego naszego narodu!

Od chwili uwięzienia kanonika Domagalskiego nie dozwolono mu utrzymywać żadnych z duchowieństwem stosunków i odtąd archidyecezya całkiem już osieroconą została.

Do dziś dnia kanonicy Szczygielski i Domagalski oraz ksiądz Lasocki jęczą w ciężkich więzieniach swoich i wszyscy trzej męczeństwem za wiarę zaszczyceni, za wierność dla kościoła życie swoje i zdrowie poświęcają!

Ach! kiedyż łaska Opatrzności wyzwoli nasz kościół z pod tego srogiego i tyle zgubnego jarzma.

Kilkomiesięczne uwięzienie kanonika Domagalskiego stało się świadectwem bohaterskiego jego przy obowiązkach swoich wytrwania, a wymowniejszym jeszcze tego dowodem jest: że prałat Zwoliński otrzymał nominacyę na administratora archidyecezyi warszawskiéj od namiestnika królestwa hr. Berga i że władzę swą od niejakiego czasu na téj zasadzie spełnia! Tak więc ustała już prawa władza kościelna w Warszawie — a książę Czerkaski przeistoczywszy cały skład duchowieństwa, połamawszy wszelkie szyki w organizacyi kościelnéj, wydaliwszy legalnych rządców a postawiwszy na czele oderwanéj już od stolicy apostolskiéj archidyecezyi warszawskiéj nieprawego przez siebie narzuconego i umocowanego władcę — tryumfuje że dzieło zagłady religii katolickiéj w Polsce już bliskie.

Gdy z uwięzieniem kanonika Domagalskiego ostatniego legalnego zastępcy arcybiskupa ustała już prawa władza w kościele naszym, trzoda wiernych pozbawiona ostatniego pasterza zadrżała boleśniéj jeszcze niż poprzednio, ujrzała bowiem przed sobą w niedalekiéj może przyszłości że pozbawioną zostanie obrządków religijnych i duchownych pomocy, lub że popadnie w klątwę, któréjby uległa cała archidyecezya z 700,000 dusz złożona, jeżeli który z kapłanów ulegając pogróżkom rosyjskim przyjmie z rąk świeckich tytuł i urząd administratora i jeżeli duchowieństwo rządy owego nieprawego władcy nad sobą uzna. Przewidywanie miasta spełniło się już w części, fakt bolesny odstępstwa się spełnił — bo jak mówiliśmy wyżéj prałat Zwoliński nominacyę na administratora dyecezyi z rąk szyzmatyckich przyjął, i z tego tytułu już pełną władzę nad nami wykonywa.

Z rozkazu księcia Czerkaskiego Warszawa została odtąd podzielona na nowe parafie — co wykonać ma prawo tylko biskup dyecezyi za szczególném upoważnieniem Ojca św. — nowi proboszcze z nominacyi dyrektora wyznań zostali na nie wprowadzeni — a poprzednicy ich w głąb kraju usunięci i na oddalone wikaryaty porozsyłani.

Nominacya prałata Zwolińskiego nie została wszakże nigdzie publicznie ogłoszoną, a podział Warszawy na dwanaście parafii, wprowadzenie nowych proboszczów, dzienniki z nakazu wyższego nawiasem tylko wspomniały.

Wszystkie rozporządzenia i stosunki rządu w sprawach kościelnych odbywają się dziś tylko potajemnie, w skutek czego duchowieństwo wierne kościołowi nie ma pola wystąpić z jawną protestacyą. Książe Czerkaski rządzi *de facto* kościołem naszym i dumny ze swego powodzenia najgrawa się dziś z duchowieństwa, z władzy papieskiéj i z samego Boga!..

Dyrektor wyznań ustanowiwszy się w ten sposób rządcą kościoła, odrzuca z szyderstwem przychodzące z Rzymu rozporządzenia, zatrzymuje w swoim gabinecie, nie dopuszcza do wiadomości duchownych i dotąd każdego z nich w pełnieniu władzy ogranicza. Żadnemu z biskupów nie wolno bez pozwolenia dyrektora wyznań wydalić się ze swojéj dyecezyi i do innéj albo do Warszawy przybyć, każdego kapłana poczytuje

za wyrzutka spółeczeństwa i stósownie z nim się obchodzi. Przybywających z interesami do niego księżom przy drzwiach wystawać każe trzymając ich umyślnie długo — a potém ze szyderczemi obelgami odprawia fukając, łając, krzycząc na nich, żadnemu inaczéj jak ty nie mówiąc. Gdy mu przedstawiano konieczność udzielenia paszportu dla kuracyi jednemu z bardzo chorych kapłanów mówiąc że inaczéj umrze „to niech zdechnie“ rzekł z szyderczym śmiechem — będzie mniéj o jednego przecie.

Każdy z duchownych powołany do indagacyi stawać musi przed komisyą śledczą z wojskowych i szyzmatyków złożoną i pod przysięgą odpowiadać na najdrażliwsze w kwestyach duchownych pytania. Łatwo sobie wystawić trudne w takich razach położenie kapłana i męczące dla sług kościoła pytania, aby kłamstwem się nie plamić, a rzeczy odnoszących się do spraw kościoła i świętości religii nie wystawiać na szyderstwa ludzi bez czci i wiary, którzy ze zwierzęcą obojętnością i niesumiennością zbrodniczą, ustaw kościoła katolickiego szanować nie umieją a nawet je najsromotniéj gwałcą.

Dziś już duchowieństwo zależy tylko od władzy cywilnéj, książę Czerkaski rozporządza nimi według swego upodobania i swoich widoków, mianuje, wydala, przenosi księży jak mu potrzeba; ustawy kościelne, prawa kanoniczne nagina do swoich planów i do potrzeb rządu — odrzuca z szyderstwem przedstawienia które mu nie dogadzają — ukrywa przed duchowieństwem odezwy przychodzące z Rzymu, nie dopuszcza ich do wiadomości interesowanych, nie dozwala duchowieństwu polskiemu przesyłać żadnych podań do stolicy apostolskiéj, zaś najmniejszego porozumienia z Rzymem jak najściśléj dochodzi i najsurowiéj karze.

Proboszcze wiejscy ogołoceni z dochodów, nie są w stanie podejmować liczniejszych zebrań duchownych w święta odpustowe, nabożeństwa téż w wielu miejscach przez to utrudnione.

Grunta proboszczów wiejskich zostały zabrane na skarb, powypuszczane już wszędzie zostały w dzierżawę przez licytacyę więcéj dającym, to jest ponajwiększéj części żydom.

Nie jeden dzierżawca, żyd, spekulant podstępny, wziąwszy w arendę grunta plebańskie, denuncyował proboszcza o wy-

myślone przeciw rządowi rosyjskiemu grzechy, sprowadzał na niego śledztwa i komisye, aby ostatnie parę morgów pozostawionych według prawa na ogród mu wydrzeć, kontrybucyę na nim wymódz, a w końcu jako współposiadacz do domu jego się wprowadzić.

Oświata religijna została w całym kraju bardzo utrudniona — proboszczom wiejskim nie wolno jest mięszać się do wykładów w szkółce, ani żadnéj ochrony prywatnie zakładać, ani nawet urządzać. Wszystkie pensye męzkie i żeńskie pod opieką zakonów utrzymywane, zostały wszędzie zniesione z zakazem fundowania nowych.

Książę Czerkaski wydał rozkaz do cenzury, aby nie przepuszczała do druku dzieł religijnych, religijno-moralnych i religijno-filozoficznych i odtąd rękopisma takichże treści odrzucane lub całkiem konfiskowane zostają, zaś przesyłane do cenzury artykuły do Przeglądu katolickiego wychodzącego od lat paru w Warszawie i utrzymującego się dziś z największą trudnością, tak są kreślone że ledwo z kilku arkuszy parę utrzymać się zdoła.— Nie wolno pismu temu wspomnieć, że katolicyzm wpływa na cywilizacyę, że on prawdziwą wolność ludom zapewnia; a daléj przekreślone bywają ustępy, w których o odszczepieństwach mowa. — Książę Czerkaski rozkazał także ze wszystkich katechizmów przykazania kościelne wyrzucać, ponieważ tam o składaniu dziesięcin kościołowi mowa — a polskie elementarze rosyjskiemi literami w Petersburgu drukować i w szkołach elementarnych wprowadzać. Nakoniec zabronił najsurowiéj zakładać stowarzyszeń religijnych i religijno-naukowych, pociągając do najsurowszéj odpowiedzialności każdego, ktoby w podobnym celu jakie bractwo lub uczniów u siebie zgromadzał.

Zmiany sprowadzone w Warszawie i w całém królestwie przez rządy księcia Czerkaskiego są przerażające — a kiedy w dwóch latach tyle przeistoczone zostało, za drugie dwa lata prostém następstwem rzeczy nastąpi zupełna reszty organizacyi kościelnéj i narodowości naszéj zagłada.

Zniesienie klasztorów męskich i żeńskich przeprowadzone na wstępie rządów księcia Czerkaskiego, rozpoczęło szereg tych zmian w nieszczęśliwym kraju naszym.

Akt ten odbył się w sposób zarówno barbarzyński jak i podstępny. — Nikt ani w mieście ani w zakonach nie spodziewał się tak nagłego i tak gwałtownego ciosu, który żadném pismém ani urzędowém zawiadomieniem nie został interesowanym poprzednio oznajmiony. — Książę Czerkaski żywił go tylko w swém łonie i wraz z osobną do spraw duchownych ustanowioną przez siebie komisyą przysposabiał w tajemnicy grom, który miał nagle w zgromadzenia zakonne uderzyć i kraj cały o utratę ich przyprawić.

Z dnia 27 na 28 listopada 1864 roku w cichém i uśpionėm mieście odbył się dramat ten prawdziwie jakby z katakombowych czasów. O pierwszéj po północy w każdym klasztorze zjawiła się delegacya z kilku urzędników cywilnych i wojskowych złożona, i zwoławszy do jednéj z obszerniejszych sal klasztoru wszystkich zakonników, oznajmiła przez jednego z swych członków który rozporządzenie rządu głośno odczytał: że od owéj chwili zakon ten zniesiony został, że natychmiast zgromadzenie ma się z niego wydalić, że gmach klasztorny przechodzi na własność rządu, że w zamian za dochody miejscowe każdy zakonnik pensyę rządową pobierać będzie i że wszyscy relegowani według wyższego rozporządzenia zostaną.

Delegacya rozkazała zgromadzeniu każdego męzkiego klasztoru bez względu na chorobę którą wtedy niektórzy zakonnicy dotknięci byli, na niedostatek ciepłéj odzieży na podróż, a nadewszystko bez względu na religijne ich w mieście stósunki wsiadać natychmiast na czekające już w ulicy kibitki i ustępować z klasztoru.

Posłuszni woli rządu zakonnicy pozabierawszy brewiarze opuścili natychmiast cele swoje, wyszli z klasztorów które od tylu set lat służyły ich zakonom za spokojną, cichą, nigdy przez żadną władzę nie znieważoną siedzibę; otoczeni wojskiem powsiadali na czekające powózki, i wywiezieni zostali pod silną strażą zbrojnych wojskowych oddziałów poza Warszawę, a daléj w różne strony kraju do rozmaitych opustoszałych klasztornych na prowincyi gmachów. — Jakiż dramatyczny był widok tego zastępu zakonników siedzących na kibitkach, licznemi karabinami oraz oddziałami kozaków otoczonych i postępujących zwolna i w ponurem milczeniu wśród nocnéj pory wzdłuż pu-

stych warszawskich ulic! — Łatwo odgadnąć jakiemi uczuciami żalu boleści i oburzenia przejęci byli wszyscy, którzy temu aktowi przytomnymi byli lub się o nim nazajutrz dowiedzieli. Próżnobym się silił opisać płacz i lament pobożnych mianowicie niewiast które przywykłe do rannego nabożeństwa, zastały kościoły pozamykane, a wielebnych ojców dobrodziejów swoich wywiezionych. — Wszyscy zakonnicy zostali jednocześnie téjże nocy z dnia 27 na 28 Listopada wywiezieni, zostawiając za sobą opustoszałe cele, a co najboleśniéj opuszczone w kościołach ołtarze i konfesyonały!

Ten akt barbarzyństwa spełnił się pomiędzy 1szą a 4tą zrana, wśród ciemności nocnych w tajemniczém milczeniu, w chwili w któréj we śnie pogrążone miasto nie domyślało się krzywdy wyrządzającéj się mu po ulicach w tak nikczemny i podstępny sposób. — W istocie, czyż ci zakonnicy nie byli traktowani jak zbrodniarze? Czyż potrzeba było siłą zbrojną zapełniać ulice, karabinami otaczać kibitki, żeby świętobliwe w posłuszeństwie wyćwiczone sługi Boże z klasztorów wywozić?

Ojcowie Kapucyni wywiezieni zostali téjże nocy do Zakroczenia, Missionarze od św. Krzyża do Łowicza inni jak Trynitarze z Tamki, Karmelici z Krakowskiego przedmieścia, Augustyanie z Piwnéj ulicy udać się musieli do Koła, Wielkiéj woli, i innych miejsc gdzie się znajdowały puste, bez drzwi ni okien od dawna niezamieszkałe, nieogrzane a nawet w ruinie będące dawne klasztorne gmachy i tam nieszczęśliwi wygnańcy do dziś dnia siedzą w bezczynności i tęsknocie, pozostając pod dozorem policyi która najsurowiéj zabrania, aby żaden z tych kapłanów nigdzie się nie wydalił, w żadne duchowne sprawy się nie wdawał, i żadnéj z niskąd nie otrzymywał pomocy. Gdy który z okolicznych obywateli pragnie przesłać jaką zubożałym tym niewolnikom pomoc w zbożu lub jarzynie, musi się o nią odbywać na rynku miasteczka nędzna komedya przed policyą miejscową, w skutek któréj ofiarujący udaje że sprzedaje przybyłemu na targ zakonnikowi owe przesłane zboże, a przyjmujący udaje że od ofiarującego towar nabywa, płacąc za niego publicznie pieniądze, które po skończonéj komedyi napowrót odbiera!

Dziennik Warszawski po spełnieniu owego barbarzyńskiego rozprószania, ogłosił dopiéro ukaz kasujący zakony, na prowincyi

w taki sam sposób jak w Warszawie; — to jest nocą, bez żadnego poprzedniego uprzedzenia i przygotowania wywiezieni zostali wszyscy inni zakonnicy z miast prowincyonalnych i w podobnem położeniu jak warszawscy i ci się znajdują.

Skazani na bezczynność, niewygodę i nędzę od lat dwóch, nie jeden z zakonników oderwanych od swego klasztoru i swych obowiązków wpadł w melancholię, w chorobę a nawet w fixacyę.

Żadnemu z nich niewolno było przez cały ten czas ruszyć się z miejsca, a tém bardziéj przybyć do Warszawy. Żaden kapłan w całym kraju przyjechać nie może do Warszawy bez pozwolenia i bez zawiadomienia o swém przybyciu księcia Czerkaskiego. Przywłaszczył on sobie więcéj niż Apostolską władzę nad całem naszem duchowieństwem.

Za rogatki Warszawy żaden podobnie kapłan wydalić się bez pozwolenia Dyrektora wyznań nie może. Nie jeden musiał ponieść często najboleśniejszą stratę rodzinną czy szkodę majątkową dla tego, że księciu Czerkaskiemu nie podobało się udzielić mu pozwolenia, by się w interesie familijnym na parę dni wydalił z Warszawy!

A ileż haniebnych szyderstw i zniewag towarzyszy zawsze tym jego odmowom!

Ukaz rządowy przeznaczał bardzo szczupłe pensye uwięzionym zakonnikom, a zaś chcącym wydalać się z kraju 1000 złp. gratyfikacyi na drogę; miał to, być środek przyniewolenia głodem kapłanów do wydalenia się z kraju. Wszystkie majątki zakonne zostały na skarb zabrane. Dwa domy Misyonarskie obok kościoła św. Krzyża wraz z ogrodami; domy i kamienice Dominikańskie, Karmelickie, Paulińskie; wszystkie zapasowe pieniądze klasztorne i kościelne wszelakie wsie i folwarki odebrane w jednym dniu zakonom stały się rządu własnością.

Obrazy, sprzęty i kwiaty pozostałe po Ojcach Kapucynach sprzedawano przez licytacyą lub rozdawano każdemu kto chciał je zabierać.

Te barbarzyńskie rozrządzanie własnością kościelną zakonną miało w sobie coś tak wandalskiego że wstrzymać się od złorzeczenia najezdzcom nie było można.

Zakony żeńskie zostały w tenże sam sposób pokasowane. Do każdego zgromadzenia przybyła delegacya rządowa i przywołanym do kraty w rozmownicy siostrom oznajmiała o ukazie carskim.

Żeńskim zakonom zabrano podobnież majątki dotąd przez cały czas ich istnienia szanowane. Najwięcéj zostało skrzywdzone zgromadzenie Wizytek. Od czasu przybycia swego do Polski dokąd przez Jana Kazimierza i małżonkę jego sprowadzone zostały, pobożne sługi Boże zajmowały się, głównie wychowaniem dziewcząt. Celem Wizytek było przyjmować do pensyonatu swojego jak najwięcéj ubogich panienek, częścią za małe wynagrodzenia, częścią bezpłatnie. W tym celu starały się Wizytki o powiększenie swoich dochodów i nabyły za wniesione niedawnemi czasy posagi kilku sióstr zakonnych oraz za summy pożyczone im przez różne protektorki i przez rodziny niektórych zakonnic parę kamienic przyległych klasztorowi na krakowskiem Przedmieściu. Wyporządziwszy te kamienice wyrobiły sobie z nich za czynsze z mieszkań i sklepów przeszło 60,000 złp. intraty, z których większa połowa na utrzymanie i naukę ubogich panienek obróconą była, a reszta szła na potrzeby zakonnic, na obsługę kościoła i na wsparcie wielu bardzo nędzą przyciśnionych rodzin, które u ich kraty pomocy, szukały. Jedno pociągnięcie pióra księcia Czerkaskiego zniweczyło zakon, pensyonat i ten ciężką pracą za posagi sióstr i pożyczone summy nabyty majątek!

Pozostawił on w prawdzie siostry zakonne w klasztorze, bo klauzura niedozwala im wydalić się za furtę, lecz zakazał przyjmować nowych pretendentek do nowicyatu, a pozostałe siostry zamierzył potajemnie przymusić głodem do opuszczenia kraju, przeznaczając na 40 zakonnic pensye od rządu w następujących kwotach: dla 14tu starszych zakonnic piastujących wyższe urzędy w zgromadzeniu po złp. 800 rocznie, dla 14tu niższe urzędy piastujących po 33 zł. gr. 10 rocznie, a innym wszelkiego wsparcia odmówił, poczytując je jako jeszcze nie związane ostateczną professyą za nowicyuszki które do domów powrócić mogą. Oto jak za utratę kamienic przynoszących im przeszło 10,000 rubli dochodu indemnizowane zostały!

Co więcéj, podobało się księciu Czerkaskiemu z powodu nic nieznaczącéj nieformalności zatrzymać im wypłatę i téj nikczemnéj pensyi. Przez kilka miesięcy zgromadzenie Wizytek żadnego zupełnie dochodu nie pobierało tak zarówno w Warszawie jak w Lublinie, gdzie takiemu samemu losowi i pierwsze uległy. Zakonnice oddaliwszy z braku funduszów sługi, pracując same, przy niedostatku literalnie chorowały i puchły z głodu, a gdy przełożonéj Wizytek znękanéj zmartwieniem, pracą podwojoną od czasu prześladowania i niedostatkiem, lekarz nakazał brać wzmacniające kąpiele, nie miał klasztór za co drzewa do grzania tych kąpieli kupić!

Śmierć z zimna i głodu byłaby spotkała jednę po drugiéj zakonnicę, lub nędza najostateczniejsza byłaby je zmusiła do szukania przytułku w innych klasztorach zgromadzenia swego w Europie, gdyby wdzięczność wielu rodziców dawniejszych wychowanek sióstr tych dobroczynnych nie była zasilała je w nędzy i dopomagała zakonnicom do pozyskania i rozprzedawania roboty, nad któremi ślęczeć musiały po nocach, aby na jaki taki zasiłek dla zgromadzenia z 40 osób złożonego zarobić!

Od niejakiego czasu rząd wypłaca im przecie owe nędzne pensye, lecz czyż owe mogą wystarczyć na wyżywienie całego zakonu i na opłacenie kosztów obsługi kościoła, który nie będąc parafialnym nie posiada żadnych funduszów i jedynie staraniem zakonnic był i jest utrzymywany. Kasacya klasztorów zaskoczyła tak nagle, że żadne zgromadzenie zakonne nie mogło interesów swoich wprzód ułożyć i z tąd w wielkie nie jeden zakon wpadł kłopoty. Między innemi Wizytki wystawione zostały, z tego względu na przykrość wielką. Mając tyle osób do żywienia, brały wiktuały od handlarzy hurtownie i kwartalnie im należytość wypłacały. Otóż gdy, po skasowaniu klasztorów, po zajęciu domów wizytkowskich i po rozproszeniu pensyonatu przyszło regulować rachunki, wielu rzemieślników i handlarzy zgłosiło się ze swemi rachunkami do zakonnic, które nie posiadając już żadnéj własności i pozbawione wszelkiego funduszu zapłacić tych należytości nie były w stanie i odsyłały wierzycieli do władz rządowych, które z rozkazu księcia Czerkaskiego wypłaty im odmówiły!

Oprócz tego książę Czerkaski rozkazał gmach klasztorny Wizytek zabrać na gimnazyum rządowe, zwołał po kilkakrotnie komisyą do rozpatrzenia się w jego wnętrzu i do przemierzenia ogrodu, lecz że budowa gmachu tego nie dozwalała rozpołowić mieszkań bez naruszenia klauzury, gdyż jedno w nim tylko wejście było, a drugie niedało się przebić, plan ten upaść musiał.

Podobny los spotkał zgromadzenie panien Sakramentek na Nowem mieście: zabrano im podobnie fundusze, rozproszono pensyonat, a w dodatku że tam gmach klasztorny ulicy dotykał przedzielono go na połowę i na gimnazyum żeńskie rządowe użyto. Te wszystkie rozporządzenia sam książę Czerkawski wydawał!

Ale co więcéj, i co byłoby trudném do uwierzenia gdyby nie znajdowały się na to urzędowe dowody, książę Czerkaski postanowił nieobjęte początkowym z końca roku 1864 kasacyjnym ukazem Siostry Miłosierdzia znieść, rozpędzić i powydalać z Warszawy! Siostry Miłosierdzia, te Anioły opiekuńcze cierpiącéj ludzkości, ten zaszczyt chrystyanizmu, ten wzór cnot ewangielicznych, przez wszystkie stany począwszy od monarchii aż do żołnierza uwielbiane, uszanowane przez wszystkie narody, wyznania i sekty. Siostry Miłosierdzia błogosławione nawet przez dzicz barbarzyńską... napotkały w księciu Czerkaskim wroga, łupiciela... który je z kraju wygnać postanowił, i ludzkość cierpiącą ich dobroczynnéj opieki pozbawić!

Wyrok kasujący siostry miłosierdzia, plan w jaki sposób rozproszone być mają, projekt aby gmachy szpitalne w których mieścili się chorzy pod opieką sióstr miłosierdzia zostający zabrać i na potrzeby rządowe użyć, już zostały wypracowane w Warszawie i do zatwierdzenia do Petersbuga poszły w miesiącu kwietniu roku bieżącego, już siostry miłosierdzia otrzymały oznajmienie że każda będzie odesłaną do domu rodzinnego lub do miejsca urodzenia, już popłoch ogarnął wszystkich chorych, również jak miasto całe, kiedy na wieść tę przerażającą z łaski opatrzności bardzo silna opozycya Namiestnika hrabiego Berga i nacisk głównych warszawskich dygnitarzy wpłynęły na otaczających Monarchą w Petersburgu doradców, że projekt księcia Czerkaskiego do skutku nie doszedł,

Siostry Miłosierdzia wezwane tylko przez księcia Czerkaskiego były do podpisania deklaracyi jako z generałem misyonarzy a głównym przełożonym zakonu swego księdzem Etienne mieszkającym w Paryżu żadnych stosunków utrzymywać nie będą i w żadnych interesach nie poważą się do niego ani do Rzymu odnosić, lecz podpisu tego odmówiły.

Więc tylko oburzenie że tak powiem instynktowe ludzkiéj natury na akt kasacyi Sióstr Miłosierdzia przez księcia Czerkaskiego postanowionéj, wstrzymało przecież tę klęskę wiszącą już nad naszemi głowami.

Ale czy wiecie jakie zgromadzenie żeńskie znalazło jedynie łaskę w oczach księcia Czerkaskiego? Oto samo tylko zgromadzenie kanoniczek Warszawskich, których kasacyą już podpisał, lecz ją odwołał natychmiast i podpis swój cofnął. Na zmianę decyzyi wpłynął ten fakt... że kanoniczki nie są zakonnicami... i że mogą za mąż wychodzić!

Oto moralny powód działań w religijnych przedmiotach tego reformatora ludzkości!

Rozproszenie panien Felicyanek zamieszkałych od lat kilku w Warszawie przy ulicy Danielewiczowskiéj w gmachu będącym dawniéj przybytkiem biblioteki Załuskich, odbyło się w sposób nierównie sroższy i więcéj barbarzyński od innych, a że téj sprawie towarzyszyło parę szczególnych okoliczności, a nadewszystko żebyście lepiéj zrozumieli artykuł rządowy z natchnienia księcia Czerkaskiego w dzienniku Warszawskim umieszczony, pozwólcie, że wam o tym fakcie cokolwiek szerzéj wspomnę. Postąpienie księcia Czerkaskiego z Felicyankami odkryło do naga jego bezbożność i cynizm.

Felicyanki czyli córki trzeciéj reguły św. Franciszka z Asyżu zebrane w stowarzyszenie pobożne pod wezwaniem ś. Feliksa szczególnego patrona ubogich i dzieci, których ratowaniu z chorób i nędzy sam życie poświęcił, zajmowały się od lat blisko dziesięciu pielęgnowaniem dzieci osieroconych, wiekowych niewiast i ubogich kalek, a przy tém oddane modlitwie, czytaniom pobożnym i robotom kościelnym, doskonaliły się w cnotach ewangielicznych, dając wzór z siebie licznie zbierającym się w około nich pobożnym różnych stanów osobom. Oprócz tego Felicyanki zajmowały się ochronami i chorymi

na wsiach, poświęcając się cierpiącéj ludzkości z gorliwością pobożną, jaką okazują tylko osoby działające z miłością Boga i bliźniego.

Zakład ten zawiązany w skromnéj izbie na Mostowéj ulicy w Warszawie w r. 1854, pod opieką i przewodnictwem przewielebnéj dziś i najświętobliwszéj przełożonéj całego Zgromadzenia matki Angeli Truskowskiéj *), wzrósł z czasem do znacznych rozmiarów, a przeniesiony później na Danielewiczowską ulicę do pałacu dawniéj Załuskich, będącego dziś własnością hr. Pusłowskiego, liczył w chwili rozproszenia **150** sióstr zakonnych, pod których opieką wychowywało się przeszło sto ubogich siérót, a utrzymanie i opatrzenie miało kilkadziesiąt kalék i wiekowych niewiast, oraz czterdzieści ochron założonych po różnych wsiach i miasteczkach prowincyi. Dobroczynny wpływ Felicyanek tak wzrastał, że w ostatnim roku swego istnienia, otrzymały wezwanie od czterdziestu innych dworów i gromad wiejskich o przysłanie siόstr do tyluż ochron, które pod ich przewodnictwem zakładać tamże chciano.

Do Felicyanek zgromadzały się również na nabożeństwa i ćwiczenia pobożne tak zwane Tercyanki czyli córki trzeciéj reguły św. Franciszka w świecie żyjące, które przykładem zakonnic i naukami w ich kaplicy głoszonemi, udoskonalały się w moralności i religijném życiu.

Książę Czerkaski ścierpieć nie mógł Zgromadzenia religijnego, które tak rozległy wpływ na wszystkie warstwy spółeczne wywierało, i postanowił znieść go ze szczętem.

Zgromadzenie Felicyanek założone według reguły świętego Franciszka z Asyżu, było zakonem żebrzącym i pokutującym, a utrzymywało się jedynie z kwesty i jałmużny. Ks. Czerkawski zabronił nasamprzód kwestowania po kraju Felicyankom, chcąc je tym sposobem osłabić, i do rozproszenia zmusić, ale Opatrzność cudownie broniła od głodu wierne swoje sługi — jałmużna przypływała im ciągle i dość nawet hojnie, pomimo że po nią odwoływać się do serc dobroczynnych nie było im wolno.

---

*) Należała ona przedtém do bractwa ś. Wincentego á Paulo, zgromadziła początkowo pod opiekę swoją kilka ubogich kalek, i kosztem swoim ich utrzymywała.

Dyrektorem tego pobożnego zgromadzenia był Ojciec Hororat Koźmiński, zakonnik kapucyn z Warszawy, który przebywszy czas długi w ciężkiém więzieniu w cytadeli i przywiedziony wielkiemi cierpieniami do pojęć wyższych i uczuć religijnych, postanowił wstąpić do zakonu i służbie Bożéj się oddać.

Człowiek ten najsurowszy dla siebie, najgorliwszy w dopełnieniu obowiązków, niezmordowany w pracy około chwały Bożéj i pożytku dusz, genialnych zdolności i wysoko wykształcony, prawdziwą cześć obudzał w słuchaczach i penitentach swoich.

Książę Czerkaski w swoim organie „Dzien. Warszawskim“ te poświęcone ludzkości kobiéty poważył się zbezcześcić, bezinteresowność ich i cnotę poddać w wątpliwość, a na ostatek Zgromadzenie rozpędzić. Za pozór służyła mu następująca okoliczność:

Do rozległego ogrodu Felicyanek na ostatecznym onego krańcu przytykał mały, zupełnie odosobniony domeczek, który Zgromadzenie wynajmowało obcym i często nieznanym osobom. Zdarzyło się że mieszkanie w tym domeczku najęła w czasie rewolucyjnych wypadków jedna nie młoda osoba, która zostając w tajemnych stósunkach z naczelnikami ukrytego rządu, przyjęła do pokoiku swego drukarską prasę i otaczała ją swoją opieką. Tajemnica ukrywana czas jakiś, wydaną została przy jakichś indagacyach w cytadeli, a lokatorka dowiedziawszy się o tém, wyniesła się wraz z prasą z mieszkania. Policya nie omieszkała ścigać obwinionéj, i podczas rewizyi wykryła nieszczęściem kilka czcionków pozostawionych na podłodze, co najfałszywsze porozumienie o stósunki Felicyanek z rządem ukrytym rzuciło.

Książę Czerkaski spodziewał się nagłą rewizyą schwycić Zgromadzenie na gorącym uczynku, znaleźć w ich gmachu ukryte materyały rewolucyjne, i dowody intryg o które je posądzał. W tym celu rozkazał urzędnikom ze swego wydziału napaść je z nienacka w nocy, i najsciślejszą w całym gmachu odbyć rewizyę. Przybyła zgraja o 5téj rano, otoczyła niebezpieczny zakon i zastała.... już o tak wczesnéj godzinie pełny chór modlących się i śpiewających zakonnic, a cały dom już w porządku na nogach. Rewizya najsciślejsza wykryła tylko ubóstwo

zakonu z jałmużny żyjącego i wolności kwest pozbawionego, oraz wszelkie dowody jego świątobliwości, a w miejsce rewolucyjnych depozytów, wszędzie nędzarzy i sieroty pod opieką sióstr zostających *). Zdumienie a nawet rozrzewnienie urzędników było na widok ten niezmierne; zawstydzeni czynnością swoją i posądzeniem rzuconém na świątobliwe niewiasty, zdali najprzychylniejszy raport o całém Zgromadzeniu ks. Czerkaskiemu, który pomimo tego, zarzuty Felicyankom o intrygi polityczne w artykule gazety i w powodach rozproszenia ich zakonu czynił, i haniebném szyderstwem Zgromadzenie ich okrył.

W kilka dni po odbytéj rewizyi tj. d. 17 grudnia 1864 r. nastąpiło ostateczne Felicyanek rozproszenie — i znowu o 5téj z rana zebrane w chórze na modlitwach siostry, zostały przerażone nagłém oznajmieniem, że wojsko dom ich otoczyło, że całą zapełniło ulicę i że przybyły pułkownik Anenków wraz z komisyą zażądał widzieć przełożoną. Wyszła. Pułkownik Anenków oznajmił jéj r o z k a z, aby natychmiast zwołała wszystkie siostry Zgromadzenia do jakiéj obszernéj sali, gdzieby im mógł być przeczytany dekret księcia Czerkaskiego, kasujący ich zakład. Zebrano je natychmiast do jednéj z większych sal miejscowych i tam odczytany im został wyrok kasujący Zgromadzenie i rozkaz, aby natychmiast wszystkie z niego się rozeszły. Każda z zakonnic miała wrócić do rodziny lub być odesłaną do miejsca urodzenia jeźli pochodziła z prowincyi. Wyrokiem ks. Czerkaskiego, pobożne sługi Boże, miały na skinienie porzucić życie bogobojne, i na światowe je zmienić, miały porzucić drogi Pańskie, zasługi opuścić, zdjąć zakonne suknie i powołania swego się wyrzec!

Łatwo sobie wystawić, jakie wrażenie podobny dekret wywarł na dusze wyższemu religijnemu życiu poświęcone i jak został przyjęty: zdumienie, przerażenie, boleść ogarnęły wszystkie. Zakonnice oniemiałe z oburzenia i żalu, ubolewały zarówno nad sobą, nad krzywdą wyrządzoną kościołowi i spółeczeństwu, jak nad sprawcami świętokradzkich zamysłów, które niszcząc instytucye Boskie i niejako samego Boga wyzywając tak

*) Tu przekonano się także, iż Felicyanki zajęte jedynie służbą Bożą i ratowaniem bliźnich, nie wiedziały nic wcale o drukarskiéj prasie, ukrytéj w oddalonym domeczku i w żadne intrygi osobiste ani polityczne zamieszane nie były.

straszną odpowiedzialność przed Nim na siebie ściągali. Zrozpaczone siostry przyrzekły sobie, że habitu nie zdéjmą i cobądźkolwiek się stanie, zakonnego życia nie porzucą. Przełożona oświadczyła to pułkownikowi, który był poprzednio z szyderstwem twierdził, że on jest ich dobroczyńcą i wyzwala je z jarzma, do którego namową i podstępem zmuszone zostały.

Po odczytaniu dekretu pułkow. Anenków udał się wraz ze swymi pomocnikami do rozmownicy, a tymczasem wojsko zajęło posterunki przy wszystkich drzwiach zakładu. Pełno żołnierzy weszło do zakonnego churu i do kaplicy, do któréj wejście bagnetami zagrodzili — pełno ich było w salach i po korytarzach, i nie zwykły a raczéj jedyny to był widok w dziewietnastym wieku w Europie, barbarzyńskiéj zbrojnéj dziczy pomięszanéj w zakonnych murach z bogobojnemi niewiastami.

Na widok żołdactwa zajmującego tak bezwzględnie cały gmach Zgromadzenia, przełożona zażądała od pułkownika Anenkowa, aby cofnął wojsko z murów zakonnych i do porządku go przywołał. Pułkownik przyrzekł odwołać żołnierzy z gmachu lecz tylko pod warunkiem, że przełożona da słowo, iż każda z sióstr przed nim się stawi, i dekretowi się podda. Przełożona dała słowo i wojsko z wnętrza zakonnych murów cofnięte zostało, lecz pozostało na dziedzińcu i na całéj ulicy. Wejście do kaplicy i chóru zostało siostrom dozwolone, spowiédź jednak najsurowiéj zakazana.

Pułkownik Anenków w mundurze wojskowym otoczony adjutantami i urzędnikami z komisyi spraw wewnętrznych przysłanemi przez ks. Czerkaskiego, zasiadł potém w rozmownicy, rozkazał sobie podać listę zakonnic i wojskowy przegląd z niemi uczynił. Stojący przy drzwiach od chóru żandarmi przywoływali jednę siostrę po drugiéj przed pułkownika, ten jéj zapytywał zkąd była rodem, gdzie ma rodzinę,— każdéj potém oznajmił, że ma się natychmiast wydalić ze zgromadzenia i do rodziny powrócić, w świeckich sukniach chodzić, każdéj polecał najsurowiéj, aby nie ważyła się przywdziewać habitu, mówiąc, że „jeżeli tylko brzeg zakonnéj sukni ujrzany będzie z pod jéj ubrania na ulicy, natychmiast na Sybir wywiezioną zostanie.“ Pułkownik Anenków każ-

déj wydawał rozkaz, aby natychmiast się wydalała z zakładu, a gdy która najmniejsze w tym względzie przedstawiała trudności, wpadał w pasyą i krzyczał gniewając się, że mają przewrócone głowy i że są niedorzeczne, szalone. Przybyła opiekunka zakładu hrabina Augustowa Zamojska na pomoc uciśnionym ofiarom, zapragnęła podać raz ostatni pomocniczą rękę rozpraszającemu się już zakładowi i tyle przynajmniéj prośbami swemi u księcia Czerkaskiego wyjednała, że pozwolił rozwozić wydalające się zakonnice powozami, a takim, które żadnego funduszu do życia i na podróż nie miały, wolno było z pieniędzy złożonych w tym celu przez hrabinę Augustową Zamojską i hrabinę Pusłowską dawać po 200 złotych polskich zostającym w mieście, po 500 złotych wydalającym się na prowincyę, a po 1000 złotych udającym się zakonnicom za granicę. W ogłoszeniu rozprószenia Felicyanek rząd przecież sobie zasługę tych względów przypisał, pomijając, że to była względność prośbami zdobyta i wyżebrana na pułkowniku, z kieszeni protektorek wyłożona. Każda siostra po odbytéj odprawie podpisywać się musiała na oznajmione jéj warunki i otrzymane pieniądze.

Tymczasem rozeszła się po mieście przerażająca wiadomość napaści wojskowéj na zgromadzenie Felicyanek. Rodziny i znajomi zakonnic zbiegały się tłumem ku Danielewiczowskiéj ulicy, by się o prawdzie przekonać, ale rozstawieni żandarmi i żołnierze otrzymali rozkaz, aby nie puszczać nikogo i w istocie wszystkim przybywającym na wstępie ulicy łając i krzycząc, odmawiali wstępu. Osoby z rodziny Felicyanek musiały się legitymować u komisarza swojego cyrkułu, że są krewnemi zakonnic, brać od niego świadectwo i z niem dopiéro wpuszczane były do zakładu. Stósownie do rozporządzenia i w miarę odprawionych sióstr z zakładu przez pułkownika Anenkowa, rodziny zgłaszały się i zabierały je do domu.

Dnia tego wieczorem większa część sióstr już wydalona była. Nazajutrz w Niedzielę rano wszystkie dnia poprzedniego wydalone siostry, lecz już w świeckich sukniach zgromadziły się o świcie w kaplicy. Pułkownik Anenkow dowiedziawszy się o tém, wpadł w nowy atak namiętnego gniewu, co widząc przełożona, ośmieliła się przedstawić mu, że „widać, nie

były zmuszone do klasztoru, kiedy uwolnione od jarzma i wydalone z zakładu zgromadziły się w nim bez namowy, i dobrowolnie w jego mury wracają.“

Przez całą Niedzielę pomimo święta i odprawianych nabożeństw, Anenkow i cała jego świta bez ustanku czynności swoje daléj odprawiali — wyprawiając znaczniejszą jeszcze ilość sióstr z zakładu. Chaos był nie do opisania — jedne siostry ściślejszéj reguły, tak nazwane klauzurowe, udawały się omnibusami na koléj żelazną, aby się dostać do klasztoru Bernardynek do Łowicza, inne wydalały się powozami na pocztę, aby dyliżansem jechać na prowincyą, inne rozchodziły się do domów; — głód wszystkim dokuczał, bo któż o jedzeniu mógł pomyśleć w takiem zamieszaniu — mróz był silny na dworze, wielu siostrom nie dostawało ciepłéj odzieży na drogę — trzeba było się o nią postarać. Tłum omnibusów, powozów, żołnierzy uzbrojonych, policyantów, żandarmów i mnóstwo przybyłych rodzin po siostry mające się wydalić do miasta, jak również wielka jeszcze liczba zakonnic bladych z bezsenności i głodu zapełniały dziedziniec i coraz więcéj opustoszałe sale zakładu; a pożegnania, płacz, modlitwy ostateczne w kaplicy, rozruch tak nagłemu rozprószeniu tylu osób towarzyszący, nadawały obrazowi temu charakter wysokiéj traiczności. Pułkownik Anenkow sam dyrygował wszystkiem i dyspozycye dawał — co chwila jeździł z raportami i po rozkazy do księcia Czerkaskiego odwołując się do niego w najmniejszéj nawet kwestyi. Tymczasem w kaplicy odbywał się nieszpór, benedykcya dziwne sprawiała wrażenie obok czynności zimnych zbirów wykonywających tak zapamiętale dzieło zniszczenia. Niemniéj tragiczną była chwila, gdy przełożona wyprowadziła klasztorowe siostry z zakładu jednę po drugiéj, wymieniając każdéj nazwisko, które Anenkow i pomocnicy jego zapisywali i gdy je żandarmy wsadzali do omnibusów, nagląc popychaniem brutalskiem do pośpiechu. Pozwolono kapłanowi im towarzyszyć — oficer pojechał z niemi, policyanci i żandarmi powsiadali na kazioł — Anenkow naglił, wołał, krzyczał, dowodził, nareszcie zakrzyknął: stupaj.... i.... omnibusy z zakonnicami ruszyły! Każdemu powozowi udającemu się z wyjeżdżającą zakonnicą na pocztę, towarzyszył podobnie oficer i żandarm — każda z asystencyą policyi opuściła zakład. Lecz

o ileż dramatyczniejsze było jeszcze przed ostateczném wydaleniem ostatnie wszystkich sióstr ze sobą pożegnanie! Zebrały się wszystkie do kapitularza — matka Angela przemówiła do nich, zachęcała je do wytrwania w przeciwnościach, upominała na trudną i zagrożoną przyszłość, błogosławiła im i polecała wierność w służbie bożéj, przepraszając je za popełnione względem nich uchybienia. Jeden jęk boleści wydarł się na te jéj słowa z piersi całego zgromadzenia — zbolałe ofiary żegnały się z matką i z sobą, przyrzekając Bogu i przełożonym swoim, że w rozprószeniu wiernie ślubów swoich dotrzymywać będą, że nic ich nie zdoła zmusić do niewierności Bogu i przyjętym obowiązkom!

Nie byłyż to katakumbowe sceny!

Następnych dni pułkownik Anenkow zajął się wyprawieniem z zakładu reszty pozostałych zakonnic i stanąwszy z listą zakonnic w ręku po jednéj stronie stołu a przełożona z drugiéj, wymieniał głośno, jakby przed frontem wojskowym, nazwisko każdéj siostry i na świadectwo przełożonéj wykreślał te, które już były wydalone a notował pozostałe, które potém naglił czém prędzéj do opuszczenia zakładu. We Wtorek oddano pozostałe kaleki, chore kobiety i dzieci pod opiekę rządową — a przez pare dni następnych wydalano resztę sióstr, które zrazu nie miały się gdzie podziać.

Tak tedy w przeciągu dni czterech rozpędzono wszystkie zakonnice i 200 nieszczęśliwych istót pod ich opieką zostających, to jest osób przeszło trzysta!....

Ostatniego dnia po nabożeństwie, które się pomimo nielicznego już grona zakonnic w kaplicy odbywało, po udzieleniu ostatniego komunikanta, kapłan zagasił lampę gorejącą ciągle poprzednio przed ołtarzem!.... Bóg w postaci chleba i wina ukryty i przebywający w ołtarzu wśród tego przybytku od początków jego tu istnienia, ustąpić musiał przed najezdną dziczą, która ścigając boskie instytucye i ten cichy, skromny a dobroczynny zakład, zniweczyła!.... lecz.... biada!.... trzykroć biada będzie temu, kto ów wyrok destrukcyi dzieł boskich wydał, gdy on nawzajem przed straszliwy sąd Boży powołanym zostanie!

Z rozkazu księcia Czerkaskiego wyznaczony z komisyi spraw wewnętrznych urzędnik dopóty w zgromadzeniu zostawał, dopóki ostatnia siostra tego schronienia nie opuściła.

Ruina straszna po tak nagłém rozprószeniu zgromadzenia — rabunek rzeczy niepodobnych do zabrania pozostałych w gmachu, dokonany przez policyantów; płacz dzieci przestraszonych napaścią, pozbawionych opiekunek, posiłku i ciepła; przerażenie i boleść wiekowych niewiast, chorych i kalek, niepewnych dalszego losu stanowiły ostatnią ilustracyę téj rozrzewniającéj sceny.

Na tem jeszcze nie koniec. Książe Czerkaski, który ma zamiar cały kraj nasz przeistoczyć na prowincyę rosyjską, postanowił między innemi kolegiatę kielecką należącą do biskupstwa krakowskiego, a która granicą Królestwa i zajęciem dóbr duchownych przez rząd rosyjski, oddzieloną jest od swojéj metropolii, przeistoczyć na nowe osobne biskupstwo kieleckie i administratora jéj biskupa Jerychońskiego *in partibus infidelium* Majerczaka biskupem kieleckim nominować.

Miasto Kielce ulubiona dawniéj rezydencya biskupów krakowskich i stolica byłego Województwa krakowskiego, posiada piękny parafialny kościół, seminaryum, kanoników kolegialnych i wspaniały pałac przez biskupa krakowskiego Zadzika wystawiony, czterema wieżami przyozdobiony. W pałacu tym znajdowały się obszerne sale z marmurowemi odrzwiami i portretami biskupów krakowskich ozdobione; we wieżach zaś umieszczone były kolosalne figury z kamienia wyobrażające Szwedów dla uwiecznienia pamiętnego traktatu zawartego za pośrednictwem biskupa między Szwecyą a Rzecząpospolitą.

Rząd rosyjski zamierzający zaprowadzić nowy podział Królestwa i od dzisiejszéj gubernii radomskiéj oddzielić dawne województwo krakowskie, aby z niego nową gubernią kielecką utworzyć, przysłał już naprzód prowincyi téj rządcę w osobie gubernatora Chlebnikowa, który najwyższą objąwszy władzę nad miastem i przyległemi powiatami, zajął mieszkanie w biskupim pałacu, zkąd zaraz rozpoczął reformy swoje religijne, polityczne i socyalne, znosząc się tylko wprost z Czerkaskim.

Kielce w ostatnich latach słynne się stały znaczną liczbą znamienitych, zarówno oświéconych jak gorliwych kapłanów, którzy tam na urzędach kościelnych i na profesorskich katedrach zajaśnieli. Wiemy jakie znaczenia mają w katolickich krajach

seminarya ogniska religijnej oświaty wydające z łona swego pasterzy dusz i depozytorów owych prawd i łask bożych, które są jedynem prawdziwéj oświaty i moralności źródłem. Seminaryum Kieleckie dzięki kilku znamienitym swoim profesorom wydało liczny zastęp tak wyższych duchownych jak wzorowych wiejskich proboszczów i cieszyło się nadzieją coraz większego na téj drodze udoskonalenia. Oprócz Seminarym odznaczał się jeszcze w Kielcach konsystorz tak wzorowo administrowany i tak gorliwy w szerzeniu religijnéj oświaty, że własnoręcznem dziękczynném pismem Ojca świętego Piusa IX. zaszczycony za tę gorliwość został. Nie uszło to pełne zasług miejsce uwagi Dyrektora wyznań, postanowił i tu ognisko wiary zgasić, religijność wytępić. Żelazna jego ręka doścignęła nasamprzód znamienitszych kaznodziei i pod błachemi pozorami wydaliła ich na Sybir — następnie pousuwał znakomitszych profesorów z katedr seminaryjskich, skasował dotychczasowych kolegialnych kanoników, a kilku najwyższych nauką i cnotą kapłanów całkowicie od wszelkich urzędów kościelnych odsadził. Niedawnemi czasy przyszła do Kielc od Dyrektora wyznań nominacya dla kilku innych duchownych w Kielcach mieszkających na kanoników katedralnych, a dla ks. Majerczaka na biskupa kieleckiego z rozkazem, aby się od tych nowych godności nie usuwali i stósowne pensye od rządu przyjęli. — Ks. Majerczak i nowo nominowani kanonicy dali odmowną odpowiédź księciu Czerkaskiemu — oczekując z rezygnacyą wszelakich kroku tego następstw.

Gubernator Chlebnikow otrzymał od Dyrektora wyznań polecenie zmusić ks. Majerczaka do przyjęcia ofiarowanego mu tytułu i do przeprowadzenia owéj nakazanéj przez rząd zmiany kościelnéj i w tym celu wezwawszy Biskupa Majerczaka do swego mieszkania oświadczył mu, iż jest stanowczą wolą rządu, aby kolegiata, którą zarządza, stała się odtąd Biskupstwem kieleckiem, a on tytuł biskupa kieleckiego przyjął.

Usłyszawszy żądanie gubernatora ks. Biskup Majerczak odpowiedział mężnie i stanowczo, że nic nie jest w stanie zmusić go do poddania się w rzeczach kościelnych wyrokom władzy cywilnéj, że poniesie najchętniéj los najgorszy a nawet śmierć samą raczej, jak żeby miał przeniewierzać się

obowiązkom swoim. „Możecie mnie“ rzekł Biskup „wywieźć, umęczyć, życie mi odebrać, jestem gotów na wszystko — będąc starym, już mi się nie wiele na tym świecie należy, więc chętnie ostatki życia na ofiarę Bogu oddam.“ — „Rząd nasz nie karze śmiercią za opór w sprawach religijnych“ odpowiedział gubernator „lecz nie taję Waszéj excellencyi, że bolesno mi oświadczyć, jak surowe mam rozkazy na przypadek oporu Jego. Rząd mój umié nagradzać tych, którzy mu są wierni, ale téż umié i karać nieposłusznych.“

Ostrzegam więc Waszą excellencyą, że Go także najgorsze następstwa czekają, jeżeli woli rządu się nie podda, biskupstwa kieleckiego nie zatwierdzi i nominacyi nie przyjmie“ — Tu gubernator Chlebników oświadczył otwarcie, że postanowieniem rządu jest oderwać stanowczo kościół polski od zwierzchnictwa Rzymu, znieść władzę Ojca św. w granicach Cesarstwa i że zamiar ten prędzéj czy późniéj spełnionym być musi. Nalegania jego na biskupa Majerczaka i groźby więzieniem, Syberyą, nie uniknionemi a surowemi następnościami dalszego oporu coraz się zwiększały. — Ks. Biskup Majerczak odpowiedział jeszcze: „Trzy razy przysięgałem Bogu: raz na chrzcie świętym katolikiem zostając, drugi raz w stan kapłański wstępując, a trzeci raz zostając biskupem i wiary mojéj nie złamię. Jestem gotów na wszystko“.

Po téj rozmowie ks. Biskup Majerczak odszedł do siebie, a gubernator Chlebników po kilkakrotnie potem jeszcze na niego i na innych kapłanów o ustępstwa nalegał, powtarzając ciągle „że wola rządu nieodwołalnie spełnioną być musi“.

Dodać tu wypada, że gubernator Chlebników sam z siebie tak lekceważy prawa i tradycye kościelne, że chcąc je znieważyć, kazał salę biskupów krakowskich w odwiecznéj ich rezydencyi przerobić świéżo na salę balową, portrety pasterzy kościelnych pozacierać, dawne odrzwia marmurowe z pałacu powyrzucać i przenieść je do budującéj się cerkwi szyzmatyckiéj w Kielcach, figury kolosalne Szwedów porozbijać w kawałki wbrew najusilniejszym prośbom mieszkańców miasta by je w całości jako pamiątkę zostawić dozwolił — a zaś same wieże wznoszące się w cztérech rogach pałacu pan gubernator pozrucać kazał, aby mu się nie zdawało że mieszka w kościele; tak że piękny, starożytny gmach dochowany sta-

rannie i odnowiony świéżo, przeistoczony dziś został na prozaiczną, zwyczajną kamienicę.

Niesłychany ten akt wandalizmu spełniony został z umysłu i z brutalną przemocą, wykonali go na rozkaz gubernatora żołnierze rossyjscy, gdyż dodać trzeba na pochwałę mieszczan, że nikt niechciał się do tego bohaterskiego dzieła w mieście nająć.

Zapytacie teraz zapewne co w takim stanie spraw kościelnych czyni nasze duchowieństwo? . . . . to co w tém położeniu czynić może jedynie: modli się o ratunek z nieba, gdyż żadna siła nie potrafi zapobiedz działaniom tak gwałtownym rządu; modli się za swych prześladowców błagając dla nich o łaskę przejrzenia i poznania prawdy, którą zabijają, bo ona tylko cywilizuje narody i ludzi sprawiedliwemi czyni — modli się za siebie, prosi o łaskę wytrwania w tak trudném położeniu, bo jeżeli Bóg nie zlituje się nad naszym narodem, system rządu i nadużycia rozpasanych służalców tyranii pozbawią nas w krótce wiary ojców naszych.

Dzięki więc niech będą Ojcu świętemu Piusowi IX, że się ujmuje za uciskiem naszym, że w imię sprawiedliwości woła o powściągnienie nadużyć wykonywanych w Kościele polskim, że i sam zanosi modlitwy i innych do modłów wzywa za ojczyzną naszą.

Książe Czerkaski wiedząc, że świętobliwy i oświécony kapłan wywiera znaczny wpływ na wiernych, postanowił ująć ich w swoją rękę i w tym celu obrawszy zarząd nad sprawami duchownemi, sporządził listę księży klasyfikując ich stósownie do stopnia ich religijności i według zbieranych o każdym doniesień. Najgorliwszych i najświętobliwszych zapisywać kazał w listę f a n a t y k ó w i tych starał się pod różnemi pozorami usuwać, czy to uwięzieniem w cytadeli, czy wywiezieniem na Sybir, czy wydaleniem na odludne wikaryaty, czy też odsądzeniem ich od wyższych urzędów i od wykładów w Seminaryach i szkołach. Takich wpływ i działanie zostały całkiem zniszczone. — Drudzy obojętni i zgadzający się na wszystko nazwani zostali rozsądnemi, dogodnemi, i takim powierzono zarząd nowych parafii w Warszawie i wiele kościelnych w całym kraju wyższych urzędów; zaś ludzi bez powołania całkiem nie

odpowiednich stanowi kapłańskiemu a rządowi przychylnych, przyjmujących niestety! wynagrodzenia pieniężne od rządu, to jest pensye znaczne ad personam, postawiono u steru administracyi kościelnéj i niektórych konsystorzy!

Na zakończenie niechaj mi wolno będzie donieść wam jeszcze słów kilka, jaki użytek zrobił rząd z zabranych zabudowań i nieco o zakładach naukowych.

W skutek rozporządzeń księcia Czerkaskiego nastąpiły następujące w Warszawie zmiany:

Gmach Misyonarzy przy kościele ś. Krzyża wzięty został na gimnazyum męzkie i przebudowany stosownie: porozbijano w nim cele, potworzono duże sale na klasy — pracowano tak pospiesznie, że jeszcze do wilgotnych i sztucznie suszonych ścian wszedłszy uczniowie na tyfus chorowali.

Do owéj chwili gimnazyum to miało klassy w dawnym gmachu Towarzystwa przyjaciół Nauk wystawionym przez Staszyca; ks. Czerkaski kazał polskie szkoły z tego gmachu wyrzucić do misionarskiego, a wprowadzić do domu Staszyca gimnazym rossyjskie założone dla kilkunastu chłopców prawosławnych synów wojskowych rossyjskich, którzy wyższe nauki tu a nie w Rossyi pobierają; paręset polskich studentów ustąpić miejsca musiało kilkunastu prawosławnym uczniom, dużo czasu szkolnego stracić czekając wśród roku na restauracyę gmachu misyonarskiego a potem chorować, uciskać się po wielkich salach Staszycowskiego domu dlatego tylko, aby na nim zajaśniał złocistemi wielkiemi literami napis: Ruska gimnazya.

W klasztorze kapucynów umieszczone zostało gimnazyum żeńskie — gmach w tym celu przebudowano; przez ogród Misyonarzy i Kapucynów mają być przeprowadzone poprzeczne ulice, żeby całkiem ślad klasztoru zatrzeć.

Pałace hr. Andrzeja Zamojskiego zabrane na skarb, zostały przecistoczono na mieszkania dla wojskowych. W pałacu większym stoi garnizon i wyżsi wojskowi — w apartamentach samego hrabiego Andrzeja założoną została resursa rossyjska i tam codzień porozsiadani oficerowie na fotelach z gazetami w ręku zapełniają miejsca, na których tak niedawno hr. Andrzej Za-

mojski z taką gościnnością rodaków swoich przyjmował. Frontowe apartamenta hr. Andrzeja Zamojskiego zajmuje obecnie jenerał Tuchołko prezydujący, w komissyi śledczéj w cytadeli który od lat kilku z niezrównaną wytrwałością pastwi się nad nieszczęśliwemi ofiarami naszemi.

Domy zabrane Wizytkom na krakowskiem przedmieściu wynajęto na rzecz rządu, a w jednym z nich umieszczono gimnazyum niemieckie i wielkim na poniżenie narodowości polskiéj oznaczono napisem.

Do gmachu Karmelitów na Krakowskiem przedmieściu wprowadzoną została akademia Duchowna.

Do klasztoru Bernardynów Seminaryum.

Wszystkie domy kościelne i zakonne zostały na skarb zabrane i prywatnym osobom wynajmywane być mają.

W Instytucie panien Alexandryjsko-Maryjskim na wiejskiéj ulicy przełożoną jest rossyanka Pani Słuczewska sprowadzona Petersburga, intendent Rossyanin. — Popy rossyjskie zasiadają na examinie lub na zebraniach w tymże instytucie na wyższych miejscach niż kapłani katoliccy. Na pensyonatach prywatnych żeńskich wyrzuconą została z przedmiotów naukowych: moralność, pedagogia, psychologia; z języków obcych, wolno tylko jednego się uczyć — zaś na to miejsce wprowadzony został język rosyjski trzy godziny tygodniowo oraz wydano rozkaz, żeby historya i jeografia polska, wykładane były razem z historyą i jeografią Cesarstwa po rossyjsku. Temu rozkazowi towarzyszy zagrożenie, że jeżeli która przełożona pensyi uchybi najmniéj temu przepisowi pensya jéj zamkniętą będzie.

W szkołach mezkich niemniéj znaczące zaszły zmiany. Oddano je pod zarząd kuratora, sławnego Wałujewa. Język rosyjski stał się przedewszystkiem obowiązującym — który uczeń nie ma dobrych stopni z rossyjskiego, nie dostaje promocyi do wyższéj klassy choćby miał celujące we wszystkich innych przedmiotach — kto nie przejdzie surowego examinu z wyższéj nauki języka tego, po skończonych klasach, nie może przejść do szkoły głównéj, a po ukończonéj szkole głównéj patentu naukowego nie otrzymuje akademik, bez wyższego jeszcze examinu z rossyjskiego języka.

Józef Aleks. Zubicz.

LIST Z MEKSYKU
legionisty austryackiego.

Zacapoxtla dnia 27 Sierpnia 1866,

Znajduje moje położenie dosyć interesujące aby mój dziennik zacząć.

27 Września zostałem posłany przez mojego kapitana po pieniądze do Puebli.

Wyjechawszy z Los Slanos o szóstéj z rana miałem z sobą 20 kawalerzystów i dwa wozy z bagażem kapitana Fünfkirchen. Pewien Francuz Dupeirain przyłączył się do mojego transportu gdyż miał z sobą 8000 fr. które chciał do Puebli przywieźć.

Już przejechałem 4 Liguas bez żadnego wypadku aż w piątéj Legua spotkałem transport strzelców, którzy także do Puebli maszerowali i dniem wprzódy z Los Slanos wyszli.

Dojechawszy do nich zapytałem się jednego z podoficerów gdzie się porucznik komendant transportu strzelców znajduje, na to odpowiedzieli mi że przeszło dwie godziny jak naprzód pojechał i niewiedzą co się z nim stać mogło. Wóz który strzelcy mieli niemógł iść daléj więc posłali jednego człowieka po kilka mułów, który dotychczas także niewrócił.

Do tego jeden z podoficerów zameldował, że wszedłszy na małą górkę która obok drogi była, widział więcéj niż jeden szwadron kawaleryi, który na drodze z Puebli ku nam się zbliżał. Wszyscy byli pewni że to nieprzyjaciel, ale ja znając dosyć dobrze okoliczności w jakich my się znajdowali, przekonany byłem że to musi być jakiś oddział z naszéj strony czyli cesarski. W każdym razie myślałem: wezmę pięciu ludzi na patrol i zobaczę bliżéj jak się rzeczy mają.

Zaraz dałem rozkaz mojemu wachtmistrzowi aby zatrzymał strzelców i czekał na mój rozkaz. Wziąwszy z sobą pięciu kawalerzystów pojechałem naprzód i o tysiąc kroków od naszych wozów, spotkałem patrol konny Mexykański, który zaraz z daleka poznałem że jest z pułku Rodriguez, który o pare mil od Los Slanos garnizonem stoi. Dojechawszy do nich ujrzałem na równinie koło stu ludzi konnych którzy frontem do nas stali. Zapytałem się, co to jest za wojsko, na co mi odpowiedziano, że to pułk Rodriguez który do Los Slanos maszeruje i na téj łące odpoczywa.

Wiedząc że Rodriguez jest pułk cesarski a nie nieprzyjacielski, dałem rozkaz jednemu z moich żołnierzy aby się do wozów wrócił i wachmistrzowi kazał daléj maszerować. A ja wziąwszy z sobą mój patrol pojechałem do pułku, aby się widzieć z pułkownikiem i oficerami, których bardzo dobrze znałem, gdyż w przeszłym roku przeszło ośm miesięcy w Los Slanos z niemi garnizonem stałem.

Dojechawszy do nich przywitałem się z oficerami. Pułkownik ręke mi podał i zapytał się gdzie maszeruje. W tém gdy się tak witamy obtoczyli nas kawalerzyści Rodriguez i witali się z moimi ludźmi. Aż na raz wydobyli wszyscy rewolwery i przyłożywszy nam do piersi zsiąść z koni kazali. Do mnie celowali wszyscy oficerowie, obejrzałem się tylko czy nie ma sposobu do ucieczki, ale widząc się zupełnie otoczonym i pewną śmierć przed oczami, musiałem zsiąść z konia i mój pałasz pułkownikowi oddać. Przyznam się że to był moment tak przykry i serce ściskający, że mi zupełnie oddech zatrzymał.

Dodać musze że dojeżdzając do Pułku Rodriguez widziałem, ze 30 strzelców naszych koło pułku przechodzili i naturalnie niemogłem mieć żadnego podejrzenia na pułk, gdyż oni w porządku i spokojnie daléj maszerowali.

Zabrali mi mojego konia, szczęściem tylko pułkownik mi powiedział że kuferek który na wozie miałem, będzie mi oddany. Zaprowadzili mnie i mój patrol za krzaki i tam w największéj niepewności i rozpaczy czekałem na transport który nadchodził. Wachtmistrz dojechał na przodzie i tak samo został desarmowany. Dopiero w pięć minut przyjechał cały transport z największą ufnością do pułku, który natychmiast ich otoczył jak gdyby się witał z naszemi ludźmi. Naraz rewolwery wydobyli i w ten sam sposób wszystkich desarmowali,

Dwóch ludzi uciekło, a kapral i jeden szeregowy chcąc uciekać dostali kilka strzałów skutkiem których ostatni zaraz umarł.

Jednakowoż nie był to koniec, gdyż wciąż miałem nadzieję w strzelcach, którzy sformowawszy kwadrat bardzo by się bronić mogli. Lecz strzelcy nasi prawdziwie nic niewarci gdyż po zdesarmowaniu pierwszego z nich wszyscy swoje karabiny rzucili i uklęknąwszy krzyczeli *Viva la liberted viva coronel* Rodriguez. Powodem tego jest: że nasi ludzie wiedząc okoliczności w jakich się cesarstwo znajduje, i widząc że Francuzi do Europy wracają, naturalnie tak wielkiego kraju małemi siłami trzymać nie będą mogli, a ponieważ wojennych więźniów tutaj wypuszczają i wolność zupełną im dają pod warunkiem że do swoich wrócić się nie mogą, a zatém spodziewali się że z niemi to samo będzie.

W pół godziny potém zaprowadzili nas pod mocną eskortą do małéj wioski nazwiskiem Carmen, która pomiędzy górami leży.

Mnie dali osobny pokój do którego przyprowadzili porucznika od strzelców, kuferek mój oddali, ale rzeczy ludzi naszych pomiędzy siebie rozdzielili.

W tym pokoju byliśmy około dwóch godzin. Poczem pułkownik wpadł do nas i natychmiast nam iść kazał do kościoła gdzie nasi ludzie zamknięci byli. Zaraz pojąłem co się dzieje. Dwóch ludzi naszysh którzy uciec zdołali, zawiadomili w Los Slanos co się z nami stało. Natychmiast kapitan nasz wziąwszy z sobą cały szwadron wyruszył naprzeciwko pułku Rodriguez aby nas z niewoli wydobyć. Lecz w tym kraju nikomu nie można wierzyć bowiem dniem w przódy pytałem się o drogę do Puebli czy jest pewną, na co wszyscy mi powiadali, ze tak jest jak zwykle. Byłoto kłamstwem, gdyż trzy małe miasteczka na drodze do Puebli pronunciowało się przeciwko nam. I w téj małéj mieścinie Carmen przeszło 400 infanteryi było. Kapitan niewiedząc że infanterya to miasteczko obsadziła, zaatakował kawaleryę Rodriguez, która się zaraz do wsi cofneła i tam narażony został na okropną deszarże, którą my w kościele słyszeli ale któréj skutki dotąd nam są nieznane. Jedni mi powiadali że kapitan nasz bardzo ciężko ranny, a drudzy mówili że porucznik Wurmbrand zabity został. Przyznam się, że w czasie téj bitwy niebardzo nam

miło było, gdyż w przypadku pobicia Rodrigueza, kto wie czy by nam się co nieoberwało.

Nikt niema wyobrażenia o dzikości ludzi tutejszego kraju, gdyby nas z sobą zabrać nie mogli, to każdego by rozstrzelali. Zaraz po bitwie kazali nam wyjść z kościoła; oficerom i rannym naszym dali dwa wozy, a ludzie nasi piechotą iść musieli. Wychodząc z kościoła spostrzegłem na progu domu jednego trzech ludzi umarłych okropnie zakrwawionych i pięciu albo sześciu rannych którzy mocno lamentowali.

Nareszcie po czekaniu jednogodzinném na dworze wymaszerowaliśmy w stronę Perote, i zaraz za wsią ujrzeliśmy kilka koni naszych rannych i zabitych a pomiędzy temi konia naszego kapitana.

Tu zaczęły się rozmyślania i pytania nasze dokąd nas prowadzą, lecz naturalnie nikt nam tego powiedzieć nie chciał.

Po ośmiu godzinnym marszu stanęliśmy w Haciendzie Concepcion która od Los Slanos o 4 Leguas odległa jest.

28 września 1866 całą noc ogromny ruch w Haciendzie, wciąż do nas w chodzili i patrzeli czy który z nas nie uciekł. Francuza zamknęli z nami, a pieniądze jego oddali warcie. Z rana gdym się obudził, nie widziałem więcéj jak ze stu ludzi infanteryi ale których nieznałem; była to infanterya z Tezuiblau, Ruch który był przez całą noc w Haciendzie był mi wytłomaczonym, gdyż przeszło 1100 ludzi przez te haciendę przemaszerowało aby atakować Los Slanos. Przeszłego dnia nic nam jeść nie dali, i biedni nasi żołnierze nie byli w bardzo dobrym humorze.

Cały ten dzień spędziliśmy w téj Haciendzie, aż wieczór rozkaz przyszedł maszerowania do Los Slanos. O 7éj wieczór stanęliśmy w Los Slanos, nasz garnizon widząc niemożliwość trzymania tego miejsca, wymaszerował w nocy, ale dokąd, nie chcieli nam powiedzieć.

Przyznać muszę, że dużo ludzi do mnie przyszło i wszystko com sobie życzył dawali. Kasa moja w niebardzo dobrym stanie była, gdyż przy końcu miesiąca żaden z oficerów wiele pieniędzy nie ma. Zakwaterowali nas w koszarach, w których dniem wprzódy nasi strzelcy byli. A nam oficerom i kilkom podoficerom dali mały pokoik, w którym przed pięcioma dniami więźniowie polityczni aresztowani w Los Slanos zamknięci byli.

Tutaj wspomnieć muszę, że na widok tego pokoju bardzo mi nieprzyjemnie było, gdyż aresztowania, które w Los Slanos nastąpiły, były głównie z mojéj przyczyny i moich powodów.

Obawiałem się, czy mieszkańcy Los Slanos na mnie podejrzenia nie mieli. 29 września zrana przyszło kilku oficerów z pułku Rodriguez bardzo grzecznie ale ostrożnie z nami byli. Na pytanie, co się z nami stanie, odpowiedzieli nam, że wszystko zależy od więźniów z Los Slanos, którzy w Puebli są i już do Cour-Martial oddani byli, i że z nami to samo się stanie co z niemi. Ponieważ od dwóch tygodni jenerał Neigre odebrał komendę nad nami, bardzo łatwo by być mogło, że ich rozstrzelać każe. Naturalnie wiadomość ta nie bardzo mnie ucieszyła, ale przygotowałem się na wszystko. Po południu przyszedł jeden z oficerów i zaprowadził mnie do jenerała głównie dowodzącego nazwiskiem Mendez. Ogromny mężczyzna, czarny na twarzy i wźrok lisi mający. Spojrzał na mnie i podał mi papierosa. Jam myślał, że chce, abym go palić zaczął i jużem się zabierał do palenia, gdy mnie jenerał wstrzymał i kazał mi papieros rozwinąć. Nic dotąd nie rozumiałem i machinalnie papieros otworzyłem. Na drugiéj stronie spostrzegłem bardzo drobne pismo z podpisem Hotze. Hotze jest naszym podpułkownikiem. Natychmiast zrozumiałem, że to jest korespondencya do nas.

W tém jenerał wpatrzywszy się we mnie swoim lisim wźrokiem, powiedział: „Pod słowem honoru przetłomacz mi pan to, co na tym papierosie napisane.“ Słowo honoru w mojéj pozycyi jest naturalnie przymusowe. Ale widząc nazwisko Hotze na dole, przeczytałem na prędce co napisane było, a ponieważ nie było nic bardzo ważnego, a zatém przetłómaczyłem mu dosłownie. Na to popatrzał się jeszcze na mnie i szukając pomiędzy papierami, powiedział: „Mam tu jeszcze więcéj korespondencyi, które pan będzie łaskaw przetłómaczyć.“

Na to dreszcz mnie przeszedł, gdyż pomiędzy korespondencyami, o których on wspomniał, jeżeli je miał rzeczywiście w rękach swoich, mógłem być zgubiony; albowiem w ostatnim raporcie, który nasz komendant w Los Slanos do Puebli posłał, znajdował się list po francusku przezemnie pisany, w którym na końcu stało: *Le Lieutnant Łempicki partira à Puebla le 27 de ce mois lequel pourra Vous donner des preuves exactes*

sur les prisonniers de Los Slanos. Ten list był pisany do jenerała Neigre 1 dniem wprzódy do Puebli posłany: bardzo łatwo więc być mogło, że ten list dostał jenerał Mendez, gdyż wszystkie nasze korespondencye służbowe przechodziły przez ręce tych, którzy nas desarmowali. Ale na szczęście przyszedł jeden z oficerów z listem, który zdawał się być dosyć ważnym, gdyż jenerał przeczytawszy go, natychmiast mnie odprawił.

30 września 1866 o godzinie 2iéj zrana przyszedł jeden z moich znajomych oficerów i oświadczył nam, że z rozkazu jenerała mamy maszerować, ale dokąd nie chciał nam powiedzieć. Zebraliśmy zaraz wszystkie nasze rzeczy i wyszliśmy przed koszary, gdzie dwa wozy dla nas stały. Żołnierzy naszych powiązali jednym sznurem każdego za prawą rękę, aby nie mogli uciekać. O 11éj przed południem stanęliśmy w Haciendzie Mazassa, noc nadzwyczajnie zimna, wszyscy byliśmy przemarznięci. Eskorta nasza była złożona z samych Indyanów, z któremi nie było co żartować, gdyż za pierwszém słowem kulką się dostawało. Było Indyanów koło 250, komenderował niemi pułkownik. Pan pułkownik był prosty chłop i złodziéj, gdyż wszystko cośmy na sobie mieli, bardzo mu się podobało i każden z nas chcąc być z nim w harmonii, musiał mu coś darować. Ja na nieszczęście mam przy sobie zegarek kapitana Fünfkirchen, który miałem oddać w Puebli do reparacyi. Panu pułkownikowi bardzo się podobał i byłbym był zmuszony mu go oddać, ale ofiarowałem mu płaszcz, na co i on się zgodził.

Przyszedłszy do folwarku Mazassy, gdzie nasi żołnierze odpoczywali, widząc ludzi naszych tak powiązanych i w szeregu siedzących, przyszedł mi na myśl pan Tadeusz Mickiewicza a kiedy Moskale biedną szlachtę pomiędzy belki skuli.

Prosiłem pułkownika, aby naszych żołniorzy wypuścił, gdyż na podwórzu otoczonem murami, żaden nie będzie myślał o ucieczce, na co odpowiedział mi temi słowy: „Ty szelmo sam uciec chcesz.“ Nie było zatém sposobu z tym człowiekiem i siadłszy pod murem, czekałem na jedzenie, które dla nas Indyanie gotowali. Wrzucili w ogromny kocioł 20 baranów, nalali trochę wody i zaczęli gotować. Po trzech godzinach kazali nam stanąć szeregiem, i my oficerowie tak jak każden

żołnierz dostaliśmy kawałek mięsa i dwie tortille, które mniéj ważą jak jedna bułka centowa. Po tym obiedzie wymaszerowaliśmy do Zacapoaxtli; ponieważ droga niemożliwa jest dla wozów a zatém musieliśmy iść piechotą, a mając z sobą kuferki nieśliśmy je na sobie przemieniając się z żołnierzami. Wchodząc do Zacapoaxtli, wyszedł na przeciwko nas patrol i jeden z żołnierzy powiedział mi: „A cóż teraz idziesz bez karabinu, ha, widzisz nie zawsze będziesz z karabinem chodził, teraz więźniem jesteś;“ i także inne naigrawania, na które mu zupełnie nieodpowiadałem.

Komendant Zacapoaxtli chciał nas widzieć i z latarnią w ręku stanął w bramie więzienia, a my musieliśmy pojedynczo przed nim defilować. Zamknęli nas dwóch oficerów i sześciu podoficerów w pokoiku 10 stóp długości i 5 stóp szerokości mającego; a ludzi naszych w ogromnéj sali na dole bez okien i gdzie wilgoć tak wielka była że z sufitu zupełnie lało. W naszym pokoiku drzwi nie było i w nocy ogromne zimno cierpiałem, nie widząc jak sobie poradzić, prześcieradłem porucznika od strzelców się obwinąłem. Drzwi nasze tak jak naszych żołnierzy wychodzą za podwórko 20 stóp kwadr. otoczone ogromnem murem ze 30 stóp wysokim, a zatém o ucieczce żadnéj myśli mieć nie było można. Zapomniałem tutaj wspomnieć, że porucznik który ze mną był, wchodząc do więzienia kolbą od jednego z Indianów dostał chociaż zupełnie był niewinnym.

Do tego wiadomość nas doszła że na zajutrz maszerować mamy z temi samemi Indianami do ich siedziby i tam oczekiwać będziemy dalszych rozkazów. Naturalnie ta wiadomość nie bardzo mnie ucieszyła, ale cóz robić, trzeba się z losem zgodzić. 1 października mięso przynieśli dla naszych ludzi i i kilku deserterów będących w Zacapoaxtli przyszło nas odwiedzić.

O godzinie 11 przed południem przyszedł jeden z moich znajomych i przyniósł nam tę nowinę, że jednego z więźniów z Los Slanos rozstrzelali w Puebli. Dla nas wiadomość ta rzeczywiście przykrą była, gdyż jak wspomniałem, to samo się z nami stać miało.

Nudziliśmy się w tym małym pokoiku i rozmyśliwaliśmy nad marnościami świata. Szukając chustki do nosa w moim

kuferku, znalazłem kawałek staréj gazety niemieckiéj i z największém ukontentowaniem wziąłem się do czytania. Ale myśl rozstrzelania, naturalnie nie mogła być usuniętą, gdyż pierwszy artykuł z gazety niemieckiéj był opis rozstrzelania pewnego żołnierza w Frankfurcie... Do tego wszedł jeden z oficerów i rozmawiając z nami powiedział:

„Panowie mieszkacie w pokoju w którym delikwenci się spowiadają.

Będąc w tak rozdrażnionym stanie umysłowym, wszystkie te głupstwa nie miłe wrażenia nam sprawiały, i to ciągłe oczekiwanie wiadomości które z Puebli przychodziły, i które po większéj części fałszywemi były, do takiego stopnia nas doprowadziły, żeśmy wszyscy głowy na dół spuściwszy milczeli. —

Były to najnieprzyjemniejsze te dni w życiu mojem; będąc pewny śmierci, ratunku znikąd spodziewać się nie mogłem. Wtenczas stanęła mi przed oczyma cała moja rodzina, moje młode lata, cała przeszłość, i wszystko w tak pięknych barwach, tak żywo, żem się sam zawstydził łzy, która po twarzy ciekła.

Śmierci się nie boję i umrzeć będę wiedział jako Polak i jako Łempicki; ale żal mi było świat w ten sposób opuszczać.

Do tego koledzy moi tak na duchu upadli, że smutek na ich twarzach czytać było można, i chociaż ja wciąż im mówiłem, że to jest niepodobném, i chciałem różnemi żartami dyskusyę zacząć, aby ich rozweselić, w żaden sposób do tego doprowadzić nie mogłem. W takiéj niepewności spędziłem dwa dni i dwie nocy. Sen nie przychodził, ale z zmęczenia poprzeszłych dniach chcąc niechcąc zasnąłem. Przyznać muszę, że nigdy tak pięknych snów nie miałem: wszystko o rodzinnym kraju, o familii, o Plaucie i o Odrobinie. Najszczęśliwszy byłem gdym zasnął: ale kiedy z rana świtać zaczęło, na raz zostałem obudzony przez krzyki i mowy ludzi naszych, i po tych pięknych snach do rzeczywistości przeniesiony byłem; przykre, prawdziwie przykre obudzenie było. Tak spędziłem te dwa dni 1go i 2go 1866 października.

3 paźdz. 1866 r. Jeden z oficerów przyszedł i oświadczył nam, że w Puebli jen. Neigre chce nas zamienić za więźniów,

których miał u siebie. Naturalnie wyobrazić sobie można radość naszą. Tego samego dnia żądałem widzieć się z jener. Mendez, który dnia poprzedniego z Los Slanos przybył. Zaprowadzili mnie do niego; prosiłem go aby nam pozwolił po placu chodzić, gdyż w téj zamkniętéj dziurze powietrze nie zdrowe było. Dostaliśmy pozwolenie, ale tylko oficerowie i podoficerowie. Co do nas, nic pewnego jeszcze nie było, ale przynajmniéj miałem nadzieję być wymienionym. Zaraz kupiłem papieru i piór, i tutaj u jednego kupca siedząc w miejscu, gdzie kupczyki sprzedają, piszę mój dziennik. Pieniędzy nie mam — biéda — jeść musimy to, co naszym żołnierzom dają, a dają mało i źle.

4go paźdz. 1866. Nie bardzo dobrze spędziliśmy noc, gdyż pcheł i innych zwierząt masa w więzieniu. Kontent jestem, że mi kupiec miejsca pozwolił, gdzie pisać mogę, przynajmniéj się czas zabija. Wszedł właśnie porucznik od strzelców i napiwszy się gorzkiéj wódki z kilkoma innymi, kazał mi napisać: *Und er kam mit seinen Rittern, und trank einen Bittern.*

Tak spędzamy dnie bez żadnéj roboty, rozmyślając nad tém głupiém dezarmowaniem nas.

Przekonany jestem, że jeżeli będziemy wymienieni, to nas napowrót w Puebli zamkną, to jest mnie i porucznika od strzelców, gdyż mając całą odpowiedzialność na sobie, nie będą nas mogli tak puścić.

5go paźdz. 1866. Jeden z oficerów wziął mnie z sobą do kawiarni i tam grałem w bilard, co mnie rozerwało, a będąc jednym z lepszych graczów, mojéj kasie dopomogło.

Za te pieniądze pozwoliłem sobie zaprosić moich kolegów na obiad, który w meksykańskiéj kuchni nigdy nie jest dobry, ale przynajmniéj lepszy od naszego jadła.

6go paźdz. 1866. O wymianie wciąż mówią, ale kiedy ma nastąpić, tego nikt nie wie, my z niecierpliwością na nią czekamy.

Dzisiaj byłem u jenerała i prosiłem o inny pokój, który nam został dany i przy téj okazyi opowiedziałem mu nasze pieniężne położenie, na co nam 10 pensów dał, które dotąd nie wiemy czy są pożyczką czyli też płacą. Po wzięciu Plapacoya mieliśmy także dwóch oficerów uwięzionych, którym

nasz komendant dziennie płacił jednego pensa z kasy naszéj, a zatém nam powinniby także pewną płacę dać: ale mnie się zdaje że sami nie mają.

7go paźdz. 1866. Wciąż inne wiadomości nas dochodzą, zawsze kłamstwa.— Dzisiaj wiadomość przyszła o śmierci Napoleona, temu także nie wierzę, ale jeżeli jest prawdą, to z nami skończyło się już w Mexyku.— Francuzi maszerują do portów, a rzeczą pewną jest, że 3000 naszego korpusu nie może całego Mexyku trzymać, gdyż na wszystkie strony powstają i z nami bardzo źle wygląda. Dzisiaj piszę w innym sklepie i tak szkaradne mam pióro, że trudno litery pisać a do tego jestem bez stołka.

8go paźdz. 1866. Nic nowego, czytam książki hiszpańskie, które mi kupiec jeden pożyczył.— Wprawdzie położenie nasze nie jest tak przyjemne, daleko od rodzinnych miejsc i znikąd pomocy spodziewać się nie możemy. Co gorsza, w mojéj pozycyi jest to, że mi wolności nie dadzą i że będą mnie tutaj tak długo więźniem wojennym trzymać, ponieważ jestem oficerem, póki mnie nie wymienią za którego z ich oficerów.

9go paźdz. 1866. Powiadają że tylko nas dwóch oficerów chcą wymienić, co dla nas bardzo złą rzeczą będzie, gdyż oddadzą nas pod sąd wojenny i bardzo być może, że dla przykładu nas rozstrzelać każą. — Czas dosyć prędko schodzi. O 6téj wieczór musimy się w domu znajdować i takie głupstwa dokazujemy, że nam rzeczywiście smutek odchodzi.

10go paźdz. 1866. W nocy był u nas oficer inspekcyę mający: spodziewając się jego wizyty, postawiliśmy dwa stołki koło drzwi, któreśmy sznurkiem mocno związali. Naturalnie pan kapitan nic nie wiedział, i otworzywszy drzwi zaplątał się w sznurek i z ogromnym hałasem razem ze stołkami upadł. Żaden z nas się nie odezwał i udając że śpimy widzieliśmy jak pan kapitan jedną ręką latarnię trzymał, a drugą do pewnéj tylnéj części przyłożył, wymyślając różnemi słowami. Mało brakowało a byłbym parsknął od śmiechu, ale na szczęście kapitan wyszedł, nakazawszy warcie aby na przyszły raz wieczór nas wizytowali i żadnych sznurków do naszego pokoju nie przepuszczali.

11go paźdz. 1866. Nudno okropnie. Sekretarz jenerała, który do Puebli pojechał, (*na conto pana porucika Lempickeho*

dwe kopi cheri non catalan — w tym momencie musiałem iść do naszych ludzi, którzy okropne krzyki i hałasy robili. Skończyło się na tém, żem jednego bockspanem ukarał. Przez ten czas wszedł mój kolega i widząc mój papier w sklepie, napisał to głupstwo o dwóch kieliszkach wódki.) jeszcze dotąd nie wrócił — ma on zamianę naszą w Puebli urządzić. Około jedenastéj wieczór widziałem na placu kilku z pułku Rodriguez i masę osób cywilnych z różnych stron, które dawniéj znałem. Nie wiedziałem zkąd to pochodzi, aż późniéj powiedziano mi, że Francuzi bardzo blisko Los Slanos się znajdują.

12go paźdz. 1866. Strach okropny opanował Zacapoaxtle, gdyż Francuzi do Los Slanos weszli, a na czele ich sławny pułkownik Dussin. My się w duchu śmiejemy, ale otwarcie nic nie możemy mówić. Obawiają się aby tutaj nie przyszli, co dla nas będzie rzeczą nieprzyjemną, gdyż wtenczas poślą nas do Terra-Caliente, gdzie ogromne gorąca w tym czasie panują.

Dzisiaj znowu wiadomość przyszła, że więźniów z Puebli do Yucatan posłali, czemu także nie wierzę — ale któż wie co jenerał Neigre z nimi pocznie. Wieczorem przyjechał z Los Slanos posłaniec z listem do mojego wachmistrza, przywiózł mu cygar, bielizny i 20 pensów od jednéj znajoméj familii, co nas ucieszyło i wieczór u nas bardzo wesoło się zaczął, w tém wszedł jeden z oficerów jenerała i prosił nas o wszystkie papiery które mamy, gdyż dowiedzieli się, że posłaniec z Los Slanos do nas przyjechał i myśleli, że musiał nam niektóre polityczne wiadomości przywieść.

Musieliśmy zatém wszystkie papiery i pieniądze jemu oddać, i mój dziennik także się u niego znajdował, chociaż mu naprzód powiedziałem, że po polsku jest pisanym; na to odpowiedział mi; „znajdziemy osobę, która nam to przetłumaczy.“

Niebardzo to przyjemném dla mnie było, ale przekonany byłem, że dobrze nie będą mogli przeczytać. Dezerterów mamy kilku tutaj Polaków, ale ci niebardzo dobrze po hiszpańsku mówią, a zatém spodziewam się, że jeżeli kto będzie musiał tłómaczyć, to tylko ja, a wtenczas będę wiedział jak mam mówić. Ale zapomniałem tu napisać, że koło godziny czwartéj popołudniu przyszedł jeden z oficerów od jenerała i wziął z sobą porucznika od strzelców, który w pięć minut powrócił i powie-

dział mi, że jenerał chce mieć list francuski przetłómaczony. Zaraz myślałem sobie, ża to być może list, który ja do jenerała Neigre napisałem. Naturalnie musiałem iść i proszę sobie wyobrazić moje zadziwienie, gdy na papierze, który mi podali, widziałem na początku drukowane niebieskiemi literami: „*Cabinet central Corps Expéditionnaire le 8 Octobre*“, a zatém cztery dni temu jak ten list był pisany w Mexyku do marszałka Bazaine przez jednego z jenerałów francuskich.

Z tego listu dowiedziałem się, że marszałek Bazaine z Mexyku wyjechał, ale gdzie się znajduje nie można było wiedzieć, gdyż ten który list pisał, sam nie wiedział i tylko na adresie położył *Mr. le Maréchal Bazaine.* Nowiny listu tego niebardzo mnie cieszyły, gdyż cesarz ma w Mexyku trzy szwadrony huzarów naszych, którzy przygotowani są na pierwszy moment cesarza eskortować. Cesarz jedzie do Orizaby pod pretextem że naprzeciw cesarzowéj, ale rzeczywiście aby być bliżéj Vera-Cruz. Różne historye o ministrach, którzy razem z cesarzem że przeciwko marszałkowi działają. Cały ten list był awizujący marszałka, aby się miał na baczności i aby mógł do Francyi swój raport o tém zdać.

Jeżeli cesarz chce Mexyk opuścić, to nastąpi bardzo prędko a ja w bardzo piękném położeniu się znajduję, gdyż jak raz cesarstwo upadnie, to nasz korpus austryacki rozwiążą albo téż do Europy odeślą, a mnie dadzą wtenczas wolność. Będę mógł długo się oglądać o miejsce jakie, chociaż przyznać muszę, że do Europy wrócić się nie chcą, i jeżeli tutaj jakąkolwiek pozycyę sobie wyrobię i pieniądze na drogę mieć będę, wtenczas zresztą będę widział jak się rzeczy mieć będą.

Co mnie nadzwyczajnie martwi — to te moje papiery, które mój służący przy sobie ma i do których ja w żaden sposób nie będę mógł dojść, chyba że mi dadzą wolność i że więźniów z Puebli wymienią. Po drugie mam bieliznę i różne ubrania w moim kufrze, który także u mojego służącego się znajduje. Jadąc do Puebli cieszyłem się, że będę mógł dostać paczkę z domu, która mi przez doktora Nauper posłaną została. Doktora widziałem i powiedział mi, że paczka jest w Puebli w Corps-Commando.

13go paźdz. 1866. Oddali mi mój dziennik, ale wątpię żeby go tłómaczyli, nic mi o tém nie wspominali. Rachunki które na jednéj stronie na poprzek są pisane, uskutecznione zostały przez jednego z oficerów w kancelaryi jenerała, a zatém kartka ta będzie zawsze pamiątką dla mnie. Jeden Meksykanin opowiadał dzisiaj, że cesarz do Orizaby pojechał, a zatém list francuski zdaje się być prawdziwym.

Ludwik Łempicki.

Kronika literacko-artystyczna.

Przedstawienie „Kupca weneckiego“ w teatrze krakowskim. — Halka. — Drugi tom dziejów 18 i 19 wieku H. Schmitta. — Nakłady Żupańskiego: Marya Malczewskiego z illustracyami. — Pamiętników 18 wieku tom nowy — Pamiętnik anegdotyczny do czasów Stanisława Augusta. — Pamiętnik Kiedrzyńskiego. — Młodzi i starzy powieść przez Elpidona.

Szekspir na scenie polskiéj w Krakowie, oto fakt, który pozwolę sobie zapisać na czele kroniki choćby dla tego, aby ją od miejscowych rozpocząć notat.

Reprezentacye Szekspira, bo możemy wygadać się że dyrekcya kilka urządza, rozpoczęły się od „Kupca weneckiego“. Wybór ten był trafnym, bo Kupiec jest jedną z najprzystępniejszych sztuk Szekspira, tak dla publiczności większéj odwykłéj od przedstawień starego mistrza jak dla artystów, którzy go dotąd mało albo wcale niegrali. Powodzenie sztuki zależy zwykle od roli Shyloka a po rolach p. Rapackiego można się było spodziewać, że będzie dobrym Shylokiem, jakoż się niezawiedziono.

Powodzenie mówię i powtarzam, a więc nie istota sztuki, bo rola Shyloka nie jest ani alfą i omegą sztuki, ani sztuka dla niéj pisaną, jak to zapowiada sam tytuł: Kupiec wenecki, odnoszący się nie do Shyloka ale do Antonia. Ma to do siebie Szekspir, co każdy wielki artysta, że tworzy całość, że nieoprzestaje na jednéj albo drugiéj udałéj postaci ale wszystkie wiąże w jednę wielką artystyczną harmonię. Harmonia ta często trudna do objęcia a pojedyńcze figury łatwiéj nas uderzają swoją charakterystyką, niż całość swoją budową. Dla tego to Szekspir od Ben Johnsona i Malone'a do Gervinus'a prowadzi za sobą całą rzeszę zdolnych i mniéj zdolnych komentatorów, dla tego sztuki jego, jak są kamieniem probierczym dramaturgicznego talentu tak téż po części i wyrobionego smaku publiczności.

Kupiec wenecki należy do najznakomitszych utworów Szekspira. Zdaniem krytyków pisał go autor między Romeo i Julią a Hamletem a więc w epoce życia najpłodniejszéj. Treść podała podług jednych włoska nowella, podług drugich dramat podobnéj treści a innego pióra. Jeżeli mu tutaj kilka uwag poświęcimy, czy-

nimy to dla tego, aby tém lepiéj umotywować sąd nasz o grze artystów.

Antonio, bogaty kupiec wenecki, wyprawił całe swe mienie w okrętach na zdradliwe morze. Rzecz to, która się kupcom weneckim codziennie przytrafiać musiała, toż ów niespokój, który przyjaciele Salario i Salarino na jego twarzy spostrzegli, nie jest skutkiem obawy o mienie „bo przecież towary nie jednemu powierzył statkowi“. Może się rozbić jeden, to z bogatym plonem pieniędzy lub korzystnie kupionego towaru powróci drugi. Z kąd że ten niepokój? To objaw zwykły w życiu ludzkiém przed ważnemi a ciężkiemi wypadkami, to przeczucie, napotykane dosyć często w dramatach Szekspira.

Potrzeba było Szekspirowi tego obłoczku przeczucia na czole Antonia, aby nastroić widza do niezwykłych wypadków, które za chwilę zobaczy. Jest to rybitwa przed burzą, po któréj się w piątym akcie tém piękniéj niebo odsłoni.

I jako w życiu, pierwszą przyczyną nieszczęścia jest często najżyczliwsza, niewinna dłoń przyjaciela, tak i w utworze Szekspira. Wchodzi na scenę przyjaciel Antonia od serca, Bassanio, młody exwojskowy, kawaler gładkiej postaci ujmujących manier, i szlachetnego serca, chociaż lekkomyślny trochę. Ludzi takich przyprowadza zwykle do statku miłość i małżeństwo. Bassanio ujrzał piękną Porcyję, dziedziczkę Belmontu i zdaje mu się, że jéj względy pozyskać potrafi. Antonio jest przyjacielem Bassania, przyjacielem, jakich w naszym wieku mało, jakich goniący za efektami pisarze dramatyczni na scenie nieprzedstawiają. Jak ta przyjaźń powstała, jak wzrosła, nie mówi Szekspir, prowadzi on ją gotową do pierwszego aktu. Antonio wie, że małżeństwo potrzebne dla Bassania, więc téż sam się go rozpytuje „jaka to owa dama, do któréj tajemne odbywa pielgrzymki“, Tu Bassanio musi mu się wyspowiadać z kłopotów finansowych a w pięknem porównaniu o „dwóch strzałach“ okazuje swój charakter hulaszczy i rezykujący, ale pełen kawalerskiego wdzięku. Antonio dowiedziawszy się o dobréj partyi w Belmont, otworzyłby z duszy kiesę dla przyjaciela, gdyby ją miał, boć tu chodzi o jego postanowienie, o przyszłość całego życia, Ale przypadek zrządził, że pieniędzy po wyprawieniu statków zabrakło, trzeba pożyczyć dla przyjaciela. Rozchodzą się więc za przyszłym wierzycielem.

Któżby go wynalazł prędzéj, jak nie hulaszczy Bassanio? On nie raz pierwszy zapewnie pożyczał na Rialto u synów Izraela. Wiedzie więc za chwilę żyda Shyloka na scenę, bogatego lichwiarza, człowieka podeszłego w leciech a przechowującego wiernie tradycyę swego narodu. Shylok nienawidzi Antonia, bo Antonio gardzi Shylokiem. Antonio jest Chrześcianinem; obniża stopę procentów na giełdzie weneckiéj pożyczaniem „gratis“ (oczewista iż ma więcéj takich przyjaciół jak Bassanio) szydzi z lichwiarstwa Shyloka, nienawidzi „świętego narodu żydowskiego“. Wystarcza tych

motywów do obudzenia wzajemnéj w Shyloku nienawiści, wystarcza aby wytłumaczyć ową zadumę w któréj wchodzi na scenie i mechanicznie a przyzwalająco odpowiada Bassaniowi. Co za chwila dla podeptanego: Antonio wchodzi z nim w interes, pożycza od niego pieniędzy! Dla tego to w pierwszym akcie „na stronie“ mówi: gdyby go chwycić, chociażby za łydkę. Pomimo tego charakterystycznego wyrażenia, pomimo wspomnienia o niepewności majątku Antonia powierzonego falom morza, jest rzeczą pewną, że Shylok nie ma żadnego planu gotowego, a owa propozycya pożyczenia na rewers z warunkiem wykrojenia mięsa dłużnikowi, jeżeli się na termin niestawi, jest tylko dziwadłem powstałem w téj nienawidzącéj duszy, upakarzającym żartem, którym mści się za słowa Antonia: Gotów jestem znów cię kopnąć nogą. Jest to coś podobnego do praktykowanego u żydów pożyczania na słowo honoru, gdzie niechodzi o samą gwarancyę ale o przyjemność jednego spojrzenia szyderstwa i pogardy. Po słowach Antonia, nienawiści Shyloka zapachnęło mięso Antonia, połknął pigułkę wszakże i zdradził się z swoim okrutném pragnieniem dopiero w dziwacznéj swojéj propozycyi. Antonio pomimo oporu Bassania, w którym gra podrażniony honor przyjaciela a może i przeczucie (*I like not fair terms* i td.), przystaje na warunek z lekceważeniem.

Gdyby nic po tym wypadku niezaszło, Shylok nieodebrawszy nawet kapitału na termin, byłby się kontentował lichwą a niepomyślał o funcie mięsa. Byłby zawsze wolał trzy tysiące dukatów.

Ale chrześciański świat Wenecyi sprzysiągł się na starego żyda. Sługa jego, chrześcianin, Lancelot Gobbo porzuca służbę skąpca i wprasza się do służby dłużnika Bassania. Shylok podrażniony tym na pozór małym wypadkiem potrzebuje nowéj zemsty, ależ ta zemsta znowu maleńka, jak zakres jego społecznego stanowiska. Hulaszczy Bassanio, pożyczywszy pieniądze, niema nic pilniejszego, jak sprosić przyjaciół na kawalerską biesiadkę, na któréj nawet maski być miały. Shylok, który niedawno odrzucił zaprosiny Bassania na biesiadę aby niewąchać „świniny“ idzie teraz „z nienawiści, aby się cieszyć marnotrawstwem chrześcian“.

Podczas nieobecności jego w domu trafia go cios straszny. Córka Jessika, ucieka z jednym z znajomych Bassania, Lorencem, zabierając klejnoty, które pod ręką znalazła. Zakochana para ucieka prosto na maskaradę do Bassania, a podług powieści Salarina i Salania, Bassanio sam pomaga do ucieczki. Pierwszéj chwili rozpaczy żyda, niewyprowadził Szekspir na scenę, a ktokolwiek się przyjrzy architektonice sztuki, przyzna, że miał do tego powody. Opowiada o niéj Salanio, w wypuszczonéj na przedstawieniu krakowskiém scenie. Biegnąc w lamencie przez ulicę wołał żyd sprawiedliwości, żądał pogoni za uciekającą, ale lament za klejnotami przeważał lament za córką. Najzwyczajniejszą, najcodzienniejszą namiętnością była u żyda chciwość i sknérstwo. Ona téż krzyczała najgłośniéj, chociaż nie była najsilniejszą w jego duszy.

Jakoż w scenie z Salarinem i Salaniem (akt III), którzy szydzą z jego nieszczęścia, odzywa się pierwsza zapowiedź strasznéj zemsty, odzywają się owe głębsze struny jego duszy, ranami ostatniemi rozruszane. Scena ta stoi w mistrzowskiéj antytezie z następną, w któréj rozmawia z współwiercą Tubalem. Salarinowi i Salaniowi odsłania tylko zemstę; z razu zaledwie odpowiada na ich szydercze słowa, potém jakby w monologu uważa:

My own flesh and blood to rebel!

(Moje własne ciało i krew się buntuje)

w końcu wyszczerza zęby tygrysie w wspaniałych ustępach: „Niech on tylko pamięta o swoim rewersie“ i owym najcharakterystyczniejszym.

I am a Jew — hath not a Jew eyes

(Ja żyd. Nie masz żyd oczów i t. d.

w którym wypowiedział wszystko, co mu na sercu leżało a zarazem tysiącoletnie powody nienawiści, która Żydów i Chrześcian rozdziela.

Przed Tubalem za to odkrywa się Shylok cały. Lament za klejnotami i córką, waży się tutaj z rozkoszą z materyalnego upadku Antonia, którego statki się rozbiły, przyczyny zemsty rosną z wiadomością o każdym czerwonym złotym, strwonionym przez Jessikę i jéj chrześciańskiego kochanka, sposób zemsty ułatwia coraz wyraźniejsza wieść o bankructwie Antonia, które mu Tubal odsłania. Zemsta zwycięża. Shylok z radośnym pospiechem poséła Tubala po sędziego i daje mu rendez-vous w synagodze, w ukochanéj świątyni swéj wiary, która mu teraz bliższą niż kiedykolwiek. On będzie jéj bohaterem, mścicielem.

W téj synagodze przysiągł on swoje przeprowadzić, nacieszyć się kawałkiem mięsa chrześciańskiego, które mu tak niegdyś przed oczyma zabłysnęło. „*I have sworn an oath*“ mówi on do Antonia, który zadrzawszy przed tym olbrzymem zemsty, zniżył się do prośby... Zemsta pokonała chciwość; aby nieuledz pokusom pieniędzy, których by Wenecya dla popularnego nieszczędziła kupca, Shylok przysiągł, przysiągł nie wziąść nic, byle warunek dopełnionym został.

Zguba Antonia jest pewną: Wenecya musi strzedz wykonania zobowiązań, bo na tém jéj handel polega. Antonio oczekuje pełen rezygnacyi wyroku, przyjaźń dla Bassania i wzgląd na ojczyste miasto słodzi mu wszystko.

Wśród tych dramatycznych scen pełnych siły, rozwija się w pałacu bogatéj dziedziczki Porcyi świat zupełnie inny, na wskróś chrześciański, którego piękności, niestety! nie od razu ocenić można, z czego wypływa, że niejeden bierze Shyloka za alfę i omegę sztuki. Świat ten, którego bohaterką jest piękna Porcya, wysyła z grona swego anioła-pocieszyciela, kobietę, która bez trudu rozcina gordyjski węzeł zaplątany przez nienawiść żydowską.

Porcya jest bogatą sierotą, damą wielkiego świata. Umierający ojciec, dla którego patryarchalną cześć żywi, rozporządził

dziwnie jéj losem. Rękę jéj ma otrzymać ten, kto z trzech skrzynek, złotéj, srebrnéj i ołowianéj, tę wybierze, w któréj jest jéj wizerunek. Jest to, ile sobie przypominamy, jedyny żywioł allegoryczny, którego użył Szekspir w swoim pisarskim zawodzie. Allegorya ta ma głębokie swoje, antytetyczne względem żywiołu żydowskiego a w ogóle wschodniego znaczenie, jest ona czysto chrześciańską, jak by osnutą na słowach biblii: Kto się uniża, będzie wywyższony. Oprócz kilkunastu zalotników, których Porcya tak wybornie w rozmowie z Nerissą charakteryzuje, starają się o jéj rękę książę Maroku, książę Aragonii a wzdycha do niéj Bassanio. Przystępują oni kolejno do próby skrzynek i oto spokrewniony z Shylokiem krwią wschodnią Marokanin, chwyta łakomie złotą, w któréj znajduje szkielet, dumny a „gardzący motłochem Aragończyk“ czyta na srebrnéj napis, który zdaje mu się zapowiadać nagrodę jego zasług i znajduje obraz „jaskrawego dudka“ Między Bassaniem i Porcyą powstała miłość wielka, szlachetna, na obopólnym polegająca szacunku, miłość, która niewstydzi się wyznania, bo pewną jest męskiego charakteru jednéj a niewieściéj rezygnacyi drugiéj strony. Z drzeniem serca przystępują obie strony do próby fatalnych skrzynek, ale próba wiedzie się, Bassanio znajduje portret w skrzynce ołowianéj, bo niekochał ani czczego blasku majątku jak Marokanin, ani niekochał się w sobie, jak Aragończyk, ale kochał miłością dla miłości, ową miłością duszy, jaką nauczyło kochać chrześciaństwo, jaka rozwinęła się w czasach średniowiecznego rycerstwa.

Takiéj miłości poddaje się Porcya z pokorą i uległością chrześciańskiéj żony, z zachwytem szczęścia tak przecudownie opisanym w ustępie: *You see me, lord Bassanio, where i stand.* Nie będzie to oryentalna niewolnica, lub nowowieczna dama zapominająca o domu dla zabaw świata; ona z tego samego kuta marmuru co prababki nasze umiejące zastąpić męża radą i czynem.

Także gdy w ową chwilę szczęścia urozmaiconą jeszcze związkiem panny służebnéj Nerissy z Grazianem i przybyciem Lorenza z Jessiką, nad któremi świeżo zaręczona para skrzydła nieznanéj dzisiaj patryarchalno-feudalnéj opieki rozpościera, gdy w ową chwilę szczęścia spada jak grom wiadomość o losie Antonia, gdy Bassanio wyznaje swój mimowolny współudział w téj sprawie i zrozpaczony głowę traci, Porcya nieprzypadkowo wpada na myśl szczęśliwą wybawienia: bo ta myśl, to skutek owéj jasnowidzącéj poradności kobiecéj, działającéj cuda, gdy ją natchnie tyle szlachetnych motywów, jak miłość, wdzięczność, obawa o pokój duszy męża a może i obawa o jego honór, któryby mógł ucierpieć w téj sprawie.

Na szatańską nienawiść Shyloka, był przeto jeden tylko ratunek: szczęśliwe natchnienie kochającéj duszy kobiety chrześciańskiéj.

W sławnym czwartym akcie przedstawiającym sąd występują obie strony do boju: Kobieta uzbrojona w jeden syllogizm genialny, żyd uzbrojony całym woluminem praw Wenecyi i interesem jéj handlu. Wszyscy tracą nadzieję, doża uczepił się jeszcze doktora praw Bellarjo, który ma przybyć z Padwy. Porcya niewierzy mądrości legisty, przebrana za młodego prawnika z jego niby poręki, staje przed sądem, a przejąwszy się wybornie rolą, aby jéj Bassanio niepoznał, wypowiada swój kazuistyczny manewr; Żyd może wyciąć mięso, ale krwi upuścić niemoże!

Na literę prawa znalazła Porcya literę drugą, na zbrodniczy haczyk, drugi, którego się nikt nie spodziewał. Żyd upadłszy z nieba marzeń, żyd, który już nóż ostrzył na bucie, przeszedł w kilka chwil całą gwałtowną burzę uczuć, ale z przytomnością właściwą swemu narodowi upomniał się o pieniądze. Ale kara go już dosięga: konfiskata — ba nawet chrzest. Żyd złamany odpowiada: Jam kontent — w końcu skarzy się, że mu nie dobrze. — Na tém koniec jego roli ale nie sztuki.

Szekspir usnuł akt piąty z najcudowniejszéj tkanki pajęczéj. Noc, księżyc, muzyka, same kochające się pary na scenie. Jeżeli żyd ukaranym został, miałże wyjść bez maleńkiego napomnienia Bassanio, który acz bez złéj woli, tyle sprawił kłopotu? Porcya nie myślała wprawdzie o karze, ale kara się sama znalazła. Chcąc zyskać dowód swojéj roli sędziowskiéj, Porcya wyprasza u Bassania pierścionek jego zaręczynowy, który jéj tenże po długiém wahaniu, za namową uwolnionego Antonia daje. Tego pierścionka żąda Porcya od małżonka wracającego do domu, podnosi jego wartość i znaczenie, grozi zerwaniem stosunków, skoro go nie widzi. Ta mała chwilka jest jeżeli nie karą, to przynajmniéj napomnieniem lekkomyślnego Bassania, zakończoném naturalnie okazaniem pierścionka i odkryciem tajemnicy. Jest to ów ostatni sens moralny wypadku, przemawiający do pana młodego, że ślubując szlachetną kobietę, powinien zerwać z dawném, lekkomyślném życiem, aby go grzechy młodości nie porywały z objęć żony i nie łamały symbolicznego pierścionka, który na zawsze dusze ich powiązał.

Tyle o sztuce, któréj rozwój, harmonię i sens staraliśmy się wedle możności wyłuszczyć. Dodamy jeszcze, że w sądzie żyda jest Szekspir synem swego wieku z ultimatum w ręce: chrzest albo pogarda! Dzisiaj inaczéj jesteśmy względem kwestyi żydowskiéj usposobieni, chociaż nie wiem, czy wielkość chreściańską równie dobrze rozumiemy jak Szekspir, gdy zwykle cała owa jasna strona dramatu całéj naszéj uwagi uchodzi, a nawet na scenie mniej wybitnych znajduje przedstawicieli. Tycze się to nietylko naszego teatru.

Pozwolimy sobie teraz powiedzieć słowo o grze artystów. Występując po raz pierwszy w charakterze krytyka, prosimy najprzód, jako dobrych znajomych, aby przyjęli sąd jak go podaję,

jako wyraz sumiennego i żadną osobistą niechęcią nie powodowanego przekonania.

W roli Antonia, wystąpił pan Wolski. Jest to rola trudna, a nie powiem, aby była wdzięczną, jeżeli pod wdzięcznością roli rozumiemy brzmiące publiczności oklaski. Ale w Szekspirze trzeba poczekać, zanim publiczność każdemu słuszność wymierzy. Otóż zdaniem naszém p. Wolski grą swoją nie popsuł całości, ale przyjął rolę obojętnie, bez wiary w jéj znaczenie, które wcale małém nie jest, jakeśmy to wykazać się starali. Nie uplastycznił ani gorącéj do Bassania przyjaźni, ani ugruntowanéj całym szlachetnym charakterem wzgardy dla żyda, słowem nieumożebnił nam pojęcia tego nadzwyczaj dodatniego charakteru. Tłumaczymy go tém ogólném zjawiskiem, że dodatne charaktery zwykle nie mają sympatyi samego grającego, jeżeli nie mają przyczepionéj ujemnéj charakterystyki. Antonio jéj niema: spodziewamy się wszakże, że na przyszłém przedstawieniu lepiéj wypadnie, bo panu Wolskiemu niebrak zdolności i doświadczenia, a o dobrych chęciach niewątpimy.

W roli Bassania wystąpił p. Benda i grał ją bardzo dobrze. Umiał być rycerzem 16 wieku, w którym nie brakło ani ogłady, ani męskiego hartu, umiał być hulaszczym i szczerze uczuciowym, bez sentymentalności, którą mu często zarzucano. Bassanio należy do najlepszych ról p. Bendy, chociaż mało otrzymał oklasków. Ależ oklaski publiczności nie zawsze sprawiedliwość oddają postępom i pracy artysty. Gdyby oddawały, byłby je był powinien otrzymać za Bassania, tymczasem musi poprzestać na powszechném cichém uznaniu, że grał dobrze w Szekspirze.

Pani Modrzejowska była Porcyą. Tak utalentowana, tyloma darami natury obdarzona artystka, nie może popsuć roli, którą wzięła, może jéj atoli niedociągnąć. Każdy się zgodzi, że obok p. Rapackiego i p. Bendy, p. Modrzejowska grała najlepiéj, każdy uniósł z sobą wrażenie pięknéj sceny 3 aktu i niemniéj pięknéj 5go, ale jeżeli p. Modrzejowska przeczyta, cośmy o znaczeniu roli Porcyi w „Kupcu“ powiedzieli, jesteśmy pewni, że drugie przedstawienie pamiętniejsze nam pozostawi wrażenie. Porcya p. Modrzejowskiéj jest dotąd damą wielkiego świata, szlachetną duszą i bystrą głową, przydać należy więcéj tego żywiołu, który się odezwał w akcie trzecim w słowach „*You see me lord Bassanio*“, a pamiętać, że się ma wywołać w widzu wrażenie zwycięstwa, odniesionego przez kobiecą rękę.

Pomniejsze role składały się dobrze w całość. Podnieść musimy znakomitą grę Lancelota Gobbo (Hennig) i starego Gobbo (Ładnowski st.), dochodzącą w drugim akcie do możliwych granic naturalności. Wyborne holla ho! holla hu! Lancelota w piątym akcie, charakteryzujące tak dobrze swobodę sługi, który się na dobry chleb dostał, pokazuje, jak z najmniejszéj drobnostki można zrobić rzecz bijącą prawdą i naturą, byle podsłuchać, co w sobie mieści.

Lorenzo (Ładnowski mł.) i Jessika (p. Śliwińska), dwie na pozór uboczne role, należą przecież do najwdzięczniejszych w sztuce. Jeżeli miłość Porcyi i Bassania jest wielką, chrześciańską miłością, to sam fakt zakochania się chrześcianina w żydówce, świadczy, że to miłość, która z lekkiéj, jak otoczenie Lorenza pobudki, wszczęła się, nie pozostawała w granicach moralności, a następnie doprowadzić musiała do owego złego, którego uczestnicy dalsi odnieśli karę w chwili sądu u doży — podczas gdy Jessika i Lorenzo żadnéj nie odnoszą. Jest to jedna z tych tysiąca miłości, któremi ślepy Amor i fortuna kierować się zdaje. W taką miłość trzeba wlać wiele ciepła, naiwności, namiętnego zachwytu. Umie to p. Ładnowski młodszy, nie powiemy wszakże, aby użył tą razą wszystkich swoich zasobów. Ciepło roli zależy od przejęcia się uczuciem jéj; przesadzić tu nie można, jeżeli tylko uczucia starczy. Jessika miała szczęśliwe chwile, ale trema i brak rutyny w grze przeszkadzały. Warunków na Jessikę niebrak — trzeba odwagi i przejęcia. A o gracyjne pozy nóg starać się trzeba, jeżeli się w męskim lub zbliżonym do męskiego występuje ubiorze.

Pozostaje nam pan Rapacki, o którym się szerzéj rozpisać musimy. Pan Rapacki zebrał zasłużone laury w roli Shyloka, niechże od cieszącego się zdolnościami, pracą i wytrwałością jego posłucha uwag, które mi się nasunęły.

Shylok p. Rapackiego jest śmiałém, samodzielném odtworzeniem szekspirowskiéj postaci. Niemcy przedstawiając Shyloka starają się o archeologiczne wyszukanie weneckiego żyda z 16 wieku, p. Rapacki nie wahał się wziąść typ miejscowy, żyda polskiego, nie wahał się ubrać podług wzorów Matejki w hałat i czapkę Izraelitów, którzy śpią na starym cmentarzu Kazimierza, nie wahał się użyć akcentu żydowskiego, spotykanego dzisiaj, chroniąc go tylko od przesady, która stała się celem niesłusznego pośmiewiska. Pozujący się na znawców, gotowi mu to za złe poczytać, my przyklaśniemy całą duszą, bo pozwolił sobie tego, czego sobie sam Szekspir pozwalał.

W Koryolanie strzelają Wolskowie i Rzymianie z armat, w Hamlecie „Polaki“ walczą na saniach z Fortinbrasem, w „Zimowéj bajce“ płynie się z Sycylii do Czech morzem, w „Wiele hałasu o nic“ występują na bruku messyńskim angielscy konstable, w samym „kupcu“ charakter włoski dotwarzamy sobie raczéj, niż byśmy go widzieć mieli. Shylok jest takim typem ogólnym żyda, że go pojmujemy daleko lepiej za pomocą analogii z pierwszym lepszym lichwiarzem, niż za pomocą archeologicznych badań o żydach weneckich. Co do owego akcentu zaś, nie jest on właściwością żydów polskich, ani niemieckiego żargonu, jest on właściwością żydów oryentalną, przeniesioną z hebrajskiego w każdy język którym mówią, właściwością, któréj często najwyższa nauka i cywilizacya wyniszczyć nie może. Dobrze więc zrobił p. Rapacki, że

wziął typ miejscowy i znany na model, dobrze zrobił, że się ubrał zrozumiale dla każdego....

Nie mamy więc charakterystyce nic do zarzucenia. Nie możemy także nieoddać słuszności pojęciu charakteru, prawdzie, przejęciu się rolą, która wielekroć wywołała pożądaną ułudę. Któż nie podziwiał p. Rapackiego w akcie pierwszym, któż nie zadrżał w akcie trzecim, kiedy Salarinowi i Salaniowi wygłaszał wspaniały, powyżéj przez nas cytowany ustęp, mówiący za uprawnieniem żydów silniéj, niż wszystkie rozprawy uczonych, któż nie miał współczucia dla biednego żyda, gdy przed Tubalem uderzył w ton oryentalnego lamentu i przypomniał nam ciche przestwory puszczy arabskiéj i krwawe Jerozolimy ruiny? Publiczność w takich razach jest dobrym sędzią, bo zmuszona prawdą, unosi się i klaszcze. Ale sam p. Rapacki przyzna, że w akcie czwartym mniej był szczęśliwym, mniej był strasznym, chociaż grał go wcale znakomicie, a dodamy, że i w scenie z Jessiką nie doszedł tam, gdzie był powinien.

Jakaż tego przyczyna? Pan Rapacki pojął charakter, ale nie odcieniował wszędzie rozwoju charakteru, p. Rapacki sypnął pełnemi garściami złoto, ale nieumiał z nim ekonomicznie postąpić. W akcie czwartym nie zabrakło mu konsekwencyi, ale zabrakło mu tego ogromnego zasobu, którego wymaga kulminacyjna scena. Jeżeli p. Rapacki zgodzi się na rozwój charakteru w mojéj recenzyi, nie potrzebuję wskazywać bliżéj, jakim sposobem zachować ma ekonomią a rozwój charakteru uzupełnić. Powiem tu tylko słowo o największéj trudności, jaką przedstawia rola Shyloka, o jéj zakończeniu. Od owego genialnego syllogizmu Porcyi, scena się ciągnie dosyć długo aż do odejścia Shyloka, a Shylok ma tylko krótkie interlokucye:

„Czy to jest napisane w prawie? — Przyjmuję ofiarę, niech zapłaci potrójny dług i niech sobie idzie. — Oddajcie mi kapitał i dozwólcie odejść. — Czy nie dostanę kapitału? — Niech mu tam djabeł na pożytek skieruje. Niechcę tu dłużéj stać i odpowiadać. — Weźcie moje życie i wszystko i t. d. — Jestem kontent. — Proszę was pozwólcie mi odejść.... przeplatane słowami Porcyi, Antonia, doży i szyderstwami Graziana.

Gdzie tak mało słów, tam pozostawiona cała rzecz artyście, któremu autor tylko wskazówki daje. Wielkie i stanowcze chwile w życiu nie są obfite w słowa, wielkie nieszczęścia objawiają się zwykle jednym wykrzykiem. Otóż i tutaj trzeba wszechstronnie objawić myśl poety, trzymając się nielicznych słów jego. Takie natury, jak Shylok, bardzo szybko się oryentują w sytuacyi, a nikt się tak nie nauczył naginać pod jarzmo konieczności jak żyd. Skoro na pierwsze pytanie otrzymał potwierdzającą odpowiedź, przerzucił on się z gibkością dzikiego zwierza w nową sytuacyę i zażądał procentów — najprzód potrójnych — potém samego kapitału. Uwidocznienie tego przejścia jest trudném, ale koniecznem.

Dopiero w słowach: Niech mu to djabeł na pożytek skieruje, podnosi się przygnieciona sprężyna, ale trwożliwie i słabo, bo nacisk wielki. Sprężyna ta pęka, skoro straszny wyrok usłyszał. Żyd wychodzi zniesławiony. Każdy przyzna, że przedstawienie takich odcieni podlega ogromnym trudnościom, ale nie wątpimy, że przy użyciu twórczości w myśl poety pan Rapacki wyjdzie z nich zwycięsko przy drugiém przedstawieniu.

Tyle o „Kupcu", może za wiele, ale pozwoliliśmy sobie rzecz szerzej poruszyć, aby pomódz, o ile możemy, przeniesieniu Szekspira na scenę naszą. Rezultata takiego wprowadzenia są wielkie, bo Szekspir na scenie, to prawda i smak dobry wpajany publiczności. Liczne jéj zebranie i serdeczny współudział każą rokować, że i dalsze przedstawienia będą miały powodzenie, Życzymy tego z całéj duszy, jak życzymy powodzenia operze polskiéj, która powstaniem swojém umożliwia rozwój dramatu i wyższéj komedyi.

Pojawienie się „Halki", przedstawionéj już po raz szósty, zapisujemy jako drugą nowość artystyczną. W ocenę muzyki i wykonania wdawać się nie możemy, bo nie poczuwamy się pod tym względem do jakiegokolwiek znawstwa. Wrażenia zapisywać jest to ubliżyć najznakomitszemu dzisiaj kompozytorowi na ziemi polskiéj i pracowitemu gronu wykonawców, Czekamy więc na kompetentne pióro, które w Przeglądzie naszym, zdanie swoje o utworze i jego przedstawieniu wypowiedzieć zechce.

(Dokończenie nastąpi.)

Józef Szujski.

Przegląd polityczny.

31go Grudnia.

Winniśmy wyznać, iż adres sejmu lwowskiego przeszedł nasze oczekiwanie. Zamiast stać się tylko wyrazem obecnéj sytuacyi politycznéj, zamiast dotknąć tylko tych najważniejszych spraw, które najspieszniéj winny być rozstrzygnięte, ogarnął on w wymownych wyrazach cały system polityczny, za którym od początku istnienia pisma naszego przemawiamy. Zamiast więc być tylko adresem chwilowym dotykającym najżywotniejszych spraw obecnych, lub żądającym drobnych korzyści stał się adres sejmu lwowskiego szerokim programem całego okresu, w który obecnie weszły nasze interesa, programem nietylko dla sejmu, ale niemal dla całego narodu. Już ten charakter wzniosły, ogólny, daleko sięgający usuwa go niejako z pod uwag skromnego miesięcznego kronikarza. Zmuszeni z powołania zastanawiać się nad miesięcznzmi faktami, zestawiać je i śledzić ich ślimacze kroki, a tém samém zamykać się w nader ciasnych granicach, obawialibyśmy się dotknąć tak wielkiej doniosłości i znaczenia tak nacechowanego wzniosłemi myślami dokumentu, jakim jest ostatni adres sejmu lwowskiogo, Wdzięczni jesteśmy jednemu z współredaktorów tego pisma, który nas w téj pracy wyręczył; jako obecny rozprawom nad adresem, mógł on lepiéj jak my ocenić nietylko adres i każdy jego ustęp, ale także powody, które nakazywały umieszczenie poszczególnych ustępów i nadanie adresowi tego znaczenia i téj formy, w jakiéj wyszedł z obrad izby.

Odpowiedź Najj. Pana na adres jest najlepszym dowodem, że adres był na czasie; już tém samém stał się on użytecznym, że ścieśnił węzły między prowincyą a koroną. Odpowiedź Najj. Pana świadczy zarazem o dobrém usposobieniu korony dla Galicyi, świadczy ona, że kraj teraźniejszém postępowaniem swojém potrafił już usunąć przesądy i podejrzenia rzucane od tylu lat na niego i jest ona niejako rękojmią, że nadal jego głos nie zaś nieprzyjaznych nam wyrazów lub koteryi, będzie miał przystęp do tronu. Są to na-

turalne następstwa z obopólnego zrozumienia położenia, czerstwego zapatrywania się na sytuacyę i wspólnego już w tym duchu i kierunku działania. Teraz idzie o to, aby tak jedna strona jak druga, aby tak korona jak kraj umiały skorzystać z téj sytuacyi, z tego zobopólnie dobrego usposobienia, aby potrafiły wyzyskać je wzajemnie i wysnuć pomyślną przyszłość, tak dobitnie wskazaną adresem. O dobréj woli pod tym względem nie wątpimy, lecz położenie tak jest zawiłe, tak trudne, dyskusya nad niém tak obfita, rady i projekta tak liczne, iż wszystko to raczéj zamęt dotąd sprowadza, niż pomaga do znalezienia jakiéjkolwiek drogi wyjścia. Trudności jednak i ciemność sytuacyi nie powinny zrażać, skoro się ma przekonać, że się zdąża do słusznego na prawdzie opartego celu. Otóż w dziele przeobrażenia i ukonstytuowania się Austryi na nowych i silnych podstawach, tak korona jak Galicya mogą być ożywione oném przekonaniem, a tém samém najenergiczniéj i najskrzętniéj działać. Owo ukonstytuowanie się wewnętrzne monarchii jest dziś najspieszniejszą, najbardziéj naglącą sprawą, a przedstawia się ona przynajmniéj pozornie, jakby jaki kamień filozoficzny, nad wynalezieniem którego mozolą się daremnie umysły. Nim jednak dotkniemy téj tak ważnéj, téj pierwszorzędnéj dziś sprawy, od załatwienia któréj zawisłe są wszystkie dalsze programy, niech nam wolno będzie rzucić okiem na kończącą się właśnie tegoroczną sesyę sejmu naszego.

Niezawodnie nie małą będzie dla kraju szkodą, iż obecna sesya — zapewne z wyższych ogólnopaństwowych względów — zamkniętą zostanie z dniem dzisiejszym, a mówiemy to nietylko dla tego, że wiele ważnych spraw zostanie nie rozstrzygniętych i poddanych właśnie w téj chwili do sankcyi Najj. Pana; ale dla tego także, że sądząc po rozprawach tegorocznych i pracach komisyi, o ile nam są znane, wróżyć można było gruntowne i ze wszech miar zadowalniające załatwienie owych spraw. W saméj rzeczy, co nas przyjemnie uderza w tegorocznéj sesyi, oto pewien widoczny postęp parlamentarny, który objawiał się nie tylko oszczędnością w gadaniu, ale także nienadużywaniem wymowy, nareszcie niezaprzeczonym zdrowym sądem zgromadzenia, nie dozwalającym przyjść nawet pod obrady dziecinnym, niedorzecznym lub niepotrzebnym wnioskom. W ogóle powiedzieć można, że sesya ta wyszła pod wszelkiemi względami na korzyść większości, a raczéj że większość dała podczas niej nietylko nowe dowody patryotyzmu i karności, ale także umiejętności parlamentarnéj, szczególniéj jeżeli się zważy trudności, z jakiemi miała do walczenia. Wycieczki zaś jednostek nie należących ściśle do większości, były mniéj niż kiedykolwiek szczęśliwe, już może dla tego samego, że były mniéj niż kiedykolwiek na

czasie. Co się tyczy mniejszości, ta nie chcąc czy nie mogąc — możemy to już dziś przypuścić — wyjść z fałszywego nader położenia, w którém się naraz znalazła, zdradzała myśli, których wypowiedzieć nie mogła i odrysowała krzywemi zaledwie liniami swoje w sejmie stanowisko. Nie zaparła się ona ani moskwicyzmu ani „Słowa", lecz za to przyznała się, iż jest zawsze centralistyczną, a dowiodła zarazem, że w izbie zadaniem jéj jest tylko negacya *quand meme*, posunięta może nawet do drobiazgowości, mającéj na celu hamowanie i opóźnianie wszelkich prac sejmu. Większość tą razą nie stała naprzeciw Rusinów i mniéj lub więcéj przesadnych ich żądań lecz miała do walczenia z odłamkiem ultracentralistów, z żywiołem negacyjnym i negującym wszystko, co korona uznała za słuszne uczynić od września 1865 r., nareszcie z opozycyą nietylko w stosunku do większości, ale także do ministeryum. Dodajmy na pochwałę większości, iż nie nudużyła bynajmniéj tego położenia stworzonego przez samą mniejszość.

Jeżeli teraz przejdziemy do pozytywnych rezultatów tegoroczněj sesyi, to niezawodnie moglibyśmy wyrazić żal, iż wiele naglących spraw nie zostało rozstrzygniętych i że ich rozstrzygnięcie pozostawione przyszłości stało się dla kraju jakby niewiadomą, któréj dziś jeszcze niepodobna odgadnąć. Jeżeli jednak zważymy skład izby, trudności stawiane przez mniejszość, krótkość czasu, ukonstytuowanie się nowych komisyj, to przyznać wypadnie, że jeszcze owoce téj sesyi przeszły oczekiwania, że sesya nieco jałowa w pierwszych chwilach, w ostatnich odznaczyła się i obfitością przedmiotów, i umiejętnym między niemi wyborem, i pośpiechem, który bynajmniéj nie przeszkodził gruntownemu zbadaniu podniesionych spraw. Wypada nam przedewszystkiem oddać sprawiedliwość gorliwéj pracy komisyów, mianowicie komisyi do zmiany prawa wyborczego i edukacyjnéj.

Dzięki pracy tych dwóch komissyj załatwiono dwie ważne sprawy. Na wniosek komissyi do prawa wyborczego, któréj referentem był poseł Zyblikiewicz, sejm rozszerzył w duchu liberalnym prawo wyborcze, pomnażając liczbę posłów z miast o dwunastu. Zdaniem naszém była to w téj chwili najbardziéj nagląca a możliwa modyfikacya tak zresztą wadliwego prawa wyborczego, nie tylko liczebnie wzmacnia ona sejm, ale tuszyć sobie można, iż wzmocni go także nowemi intellektualnemi i patryotycznemi siłami, a zarazem jest ona w zasadzie sprawiedliwą, bo daje interesom najniesłuszniéj zapoznanym i pominiętym przez lutową ustawę przedstawicieli. Nie tylko bowiem że dwa największe miasta prowincyi silniéj będą w sejmie reprezentowane, ale także uwzględnionemi zostały takie punkta środkowe jak Bochnia, Brzeżany, Złoczów itd. które niezawodnie przedstawiają i grupę inte-

resów i zastęp inteligencyi, a które najniesłuszniéj byłoby pominąć lub poddać pod majoryzowanie nieoświeconych warstw społeczeństwa. Nareszcie wolno nam spodziewać się, że uwzględnienie przez sejm praw tych miejscowości, da nowy popęd życiu politycznemu, społecznemu i umysłowemu tych miast, tak, iżby się stały prawdziwemi ogniskami oświaty w kraju. Liberalny ów wniosek napotkał na zaciętą opozycyę mniejszości, tak, iż nawet na chwilę rozeszła się po kraju niepomyślna wieść, iż nieuzyskał potrzebnych $^2/_3$ głosów. Bliższe jednak i głębsze zbadanie ducha ustawy doprowadziło do przekonania, które zresztą zaraz p. Grocholski wypowiedział, iż uchwała była prawomocną. Nareszcie uchwała sejmu z d. 29 t. m. rozstrzygnęła wszelką pod tym względem wątpliwość. Niewątpimy więc, że uchwała niebawem zostanie sankcyonowana, tak, aby mogła wejść w życie przed nowemi wyborami.

Druga nader ważna sprawa uchwalona przez sejm jest petycya do tronu o ustanowienin *Rady szkolnéj.* Mówić o użyteczności i wysokiem znaczeniu téj instytucyi byłoby zbyteczném; jeżeli jednak rozdział władz politycznych i sądowych uznany jest jako pierwszy warunek każdego cywilizowanego społeczeństwa, to tém bardziéj rozdział ten jest potrzebny w sprawie wychowania publicznego, jeżeli bowiem wydział sprawiedliwości i ochranianie społeczeństwa, wymaga zupełnéj niezawisłości od wszelkich pobocznych względów, to tém więcéj wymaga tego warunku udzielanie oświaty i nauki, przyspasabianie młodéj generacyi do utworzenia właśnie takiego społeczeństwa, w którém jak najwięcéj byłoby cnót, jak najmniéj zbrodni; nareszcie jakże uwierzyć w rzeczywistą prawdziwą autonomię, jeżeli pokolenie które z niéj ma korzystać, w celu jéj rozwijania pracować i wśród niéj żyć nie będzie autonomicznie wychowane, to jest, jeżeli nad jego wychowaniem nie będzie czuwać władza krajowa narodowa i obywatelska. Nie dotykamy tu innych stron kwestyj, które już tyle razy były poruszane. Lecz pod względem tak niezależności jak narodowych podstaw wychowania publicznego stwierdzić musimy, iż właśnie jedynie tylko takie ciało jak *Rada szkolna* dać może prawdziwe rękojmie, nareszcie tylko takie ciało zdolne usunąć wszelkie trudności wynikające z położenia i stosunków wewnętrznych naszego kraju, a które dotąd zdawały się stawać na przeszkodzie załatwienia ważnéj sprawy wychowania publicznego, bo ono wciąż czuwając nad wychowaniem, może jedynie wszystkim wyrządzać sprawiedliwość. Projekt komissyi któréj referentem był mąż znany w całym kraju z poświęcenia się téj gałęzi i który nie małe już na tém polu położył zasługi, jest gruntownie i wszechstronnie obmyślany, a przytém jak wszelkie

znakomite dzieło nosi na sobie ową cechę sprawiedliwości i uwzględnienia praw wszystkich i przynależnych wpływów. Śmiało rzec możemy, że skoro na tych podstawach stanie *Rada szkolna*, kraj poszczycić się będzie mógł wielką instytucyą, która będąc jedną z głównych podwalin autonomii, przeznaczoną będzie zarazem wywrzeć wielki wpływ na przyszłość całego narodu, równie téż śmiało dodamy, że w téj chwili jedném z najgorętszych życzeń kraju będzie, aby ta petycya czémprędzéj uwzględnioną, a komissya edukacyjna w życie wprowadzoną została. Dopiero po wprowadzeniu jéj w życie, tuszyć sobie możemy że nastąpi zupełna i zadawalniająca reforma wychowania publicznego w naszym kraju do któréj za główne podstawy posłużyć muszą owe tak pełne doniosłości wnioski p. Dietla postawione na jedném z tegorocznych posiedzeń sejmowych. Co spowodować mogło mniejszość, a raczéj świętojurską frakcyą do tak gwałtownéj opozycyi przeciw temu naciskowi, że aż wyszła z izby przed szczegółową dyskusyą? Jest to ta taktyka o któréj wyżéj nadmieniamy, a która polega na tém właśnie, iżby tém gwałtowniejszą stawiać opozycyą, im zbawienniejsze są dla kraju wnioski. Komissya edukacyjna będąc tylko najwyższą władzą nadzorczą i wykonawczą, nie mogła mieć przeciw sobie frakcyi świętojurskiéj ze względów narodowych, ze względów ruskich, sprawa bowiem językowa nie przez nią lecz drogą ustawodawczą zostanie rozstrzygniętą; wtedy więc moglibyśmy pojąć opozycyę ruską, gdyby prawa Rusinów pod tym względem zostały pominięte; lecz utworzenie Rady Szkolnéj w niczém tych praw nie przesądzało, a więc opozycyę pod tym względem uważać musimy nie jako zasadniczą lecz jako systematyczną. Zresztą świętojurska frakcya znów w téj sprawie nader fałszywe zajęła stanowisko, bo skoro *Rada Szkolna* składać się ma zarówno z osób mianowanych przez koronę i wyznaczonych przez kraj, skoro namiestnik królewski ma w niéj zasiadać, przewodniczącego zaś mianuje N. Pan, a mimo tego mniejszość umotywowała wyjście swoje z izby obrad tém, że Rusini nie mają rękojmi równouprawnienia w składzie *Rady Szkolnéj* tem samém dała ona wotum nieufności już nie temu lub owemu ministeryum, lecz saméj koronie, która przeważnie wpływać będzie wedle projektu komisyi na ukonstytuowanie Rady Szkolnéj. Jeżeli zaś ani sejm ani wydział sejmowy ani korona nie dają pod tym względem rękojmi, gdzież szukać ich chcą posłowie którzy izbę opuścili?! Nowy to dowód fałszywéj drogi na jaką owi posłowie weszli. Lecz namiętność czy też inne względy któremi powoduje się kilkunastu posłów nie powinny, nie mogą tak w téj sprawie jak w każdéj innéj stawać na przeszkodzie reformom zbawiennym, konie-

cznym nie tylko dla całego kraju ale i dla monarchii; nie byłoby to uszanowaniem mniejszości ale zapoznaniem przez większość swoich obowiązków.

Sejm uchwalił téż także inne zbawienne wnioski dotyczące sprawy edukacyjnéj, a tak załatwił po części jedną z najważniejszych spraw, która ma nie tylko doniosłość miejscową galicyjską lecz ogólną polską bo dotyczącą się języka, ducha i wiedzy narodowéj: tych własności narodu które zawsze umiał on zachować pomimo wszelkich przemian politycznych i pomimo zmiennych losów a które dla każdego głębiéj myślącego były zawsze i są prawdziwą podstawą dotychczasowego naszego bytu, prawdziwą siłą która nas od śmierci ochroniła i która nam daje prawo do życia.

Tak więc z ważniejszych wniesionych na téj sesyi wniosków pozostaną nierozstrzygnięte tylko wnioski w sprawie propinacyi, która jeżeli nie w sejmie to w kraju, tak charakterystyczną wywołała dyskussyę, i sprawa wolności dzielenia gruntów, która z każdym dniem naglejszą się staje.

Nie możemy wreszcie pominąć i tego, że przy rozprawach nad budżetem sejm okazał patryotyczny i szeroki sposób zapatrywania się, niedał się powodować żadnemi ciasnemi względami, choćby względami oszczędności tak ze wszech miar godnemi uznania i zrozumiałymi lecz dla których nie można pomijać innych wyższych. W ogóle byłoby to nader zgubném złudzeniem mniemać, iż drobnemi oszczędnościami zaradzić można opłakanemu położeniu finansowemu i ekonomicznemu kraju. Tak tu jak w sprawie reorganizacyi społecznéj i politycznéj trzeba nie małych ale wielkich środków używać, bo złe jest zbyt wielkiem.

Tak więc gdyby chcieć mierzyć skutki tegorocznéj sesyi miarą niezliczonych potrzeb kraju, to powtarzamy niezawodnie wiele pozostałoby do życzenia, lecz jeżeli się je porówna z trudnościami materyalnemi i moralnemi z któremi sejm miał do walczenia, to niezawodnie dojdzie się do przekonania, że zasłużył się on krajowi. Bo wszystko a szczególniéj w polityce jest względném. W każdym razie i zawsze względnie powiedzieć można, iż sejm poważną i polityczną rozprawą nad adresem, następnie rozszerzeniem prawa wyborczego, uchwaleniem Rady szkolnéj i sumiennem załatwieniem bieżących spraw krajowych, więcéj niemal zrobił przez czas téj krótkiéj sesyi dla kraju, jak zrobiła dla monarchii Rada Państwa przez czas całego swojego istnienia. Przemawia to niezawodnie za gorliwością naszych posłów, lecz jest zarazem najsilniejszym dowodem, iż wszelka praca wszelkie działanie o tyle tylko może przynieść owoce o ile opiera się na prawdzie i na rzeczywistéj podstawie. Zajmującém pod tym względem byłoby właśnie przy końcu

pierwszéj kadencyi sejmowéj, porównanie praw i ustaw uchwalonych przez sejmy krajowe a przez Radę Państwa i wykazanie owoców, które tak jedne jak drugie przyniosły; porównanie to byłoby niezawodnie najsilniejszém potępieniem centralizacyi a poparciem autonomii, wykazałoby do czego doprowadza fikcya a co stworzyć może w polityce prawda.

Zaledwie ukończą się prace sejmu naszego, aż tu kraj zapewne powołanym zostanie do innéj funkcyi konstytucyjnéj, bo do wyborów. Już dla tego samego kończąca się kadencya sejmowa nie małą przyniesie korzyść praktyczną, iż stała się najlepszą wskazówką dla wyborców. Przez czas ten mógł kraj rozpatrzeć się i ocenić swoich ludzi publicznych. Kadencya ta wykazała i zdolności polityczne i nacechowała indywidua szkodliwe i niepotrzebne lub mniéj uzdolnione, zachwiała ona niejedną pozorną wielkość, zdarła nie jedną aureolę. Teraz od kraju zależy, aby podług tych wskazówek umiał wybór robić. Niebawem zapewne nastąpią wybory dwojakiego rodzaju, jedne do rad powiatowych drugie do sejmu. Przy pierwszych przeważać winny względy, które właśnie zbyt może miano na uwadze przy wyborach do sejmu; tu właśnie znaleść winny miejsce, wszystkie znakomitości lokalne, ludzie obeznani ze stosunkami swojéj okolicy, szczycący się dobrą sławą i wpływami miejscowemi i odznaczający się temi dobremi chęciami i tym patryotyzmem, który z zaparciem się miłości własnéj i osobistych widoków, gotów zawsze służyć sprawie, współobywatelom i ojczyźnie. Przeciwnie w wyborach do sejmu przeważać muszą względy polityczne, wybory padać powinny przeważnie na ludzi znanych w kraju z patryotyzmu, nauki, uzdolnienia politycznego i przeszłości politycznéj. Tych kilka tylko uwag rzucamy dziś mimochodem. Wiele bowiem jeszcze innych uczynić nam wypadnie, jeżeli nam przyjdzie mówić o wyborach do sejmu.

Najważniejszą jak powiedzieliśmy już sprawą dla nas, jest w téj chwili sprawa ukonstytuowania się monarchii, najważniejszą bo od niéj cała przyszłość zależy i dla tego, że o niéj zapewne niebawem Galicya także będzie musiała swoje słowo wypowiedzieć i w niéj swój udział wziąść. Nie chcemy, nie możemy pod tym względem żadnych czynić ani przypuszczeń, ani domysłów już dla tego samego, iż pomnożyłyby one tylko niezliczoną liczbę przypuszczeń, które jedne po drugich giną w otchłani zapomnienia; i dla tego także że właśnie może w téj chwili drukują się już w Wiedniu ważne dokumenta, które, będą rozstrzygające przynajmniéj co do przedwstępnych kroków w dziele reorganizacyi monarchii. Lecz niech wolno nam będzie zastanowić się nad sytuacyą jaką stworzyły pod tym względem wypadki zaszłe w tym

miesiącu oraz nad położeniem w jakim znaleść się może Galicya wobec zamierzonych czynności reorganizacyjnych. Sytuacya przedstawia się nam jakby jakie matematyczne zadanie z natury swéj nierozwiązalne; lecz porównanie to pozornie tylko jest prawdziwe, polityka bowiem nie jest matematyką już dla tego samego, że ludzie nie są cyframi. Politykę robią ludzie ulegający wszystkim ułomnościom i namiętnościom ludzkim, to więc co dziś w polityce wydawać się może nierozwiązalném, jutro rozwiązaném być może, bo namiętności i słabości ludzkie są zmienne, bo zręczną i silną ręką kierowane, mogą być nagięte do celu. W saméj rzeczy cóż widzimy dziś w owéj wielkiéj sprawie reorganizacyi monarchii? Oto zamęt wyobrażeń pochodzący z zamętu namiętności i ścierania się rozmaitych interesów. Wobec tego pytanie jakie się samo z siebie stawia, jest: czy jest interes ogólny wyższy górujący nad temi wszystkiemi szczegółowemi interesami? Jeżeli jest, wtedy zadanie ukonstytuowania monarchii nie jest nierozwiązalném, wtedy monarchia się ukonstytuje a ten wyższy, ogólny interes znajdzie właśnie swój wyraz w wspólnych sprawach. My wierzymy silnie, że ten interes w dzisiejszym składzie monarchii istnieje dla wszystkich jéj części składowych, interes bytu na podstawie cywilizacyi, wolności i indywidualności narodowéj w obec dwóch faktów wszech pruskiéj monarchii i wszech moskiewskiego caratu, groźnych zarówno cywilizacyi jak wolności i indywidualności narodów składających Austryę. Ale ten ogólny wyższy interes zaciemniony jest poszczególnemi interesami, chorobliwemi aspiracyami, obcemi intrygami, trudnością położenia, świéżemi klęskami, dawniejszemi błędami, złą wiarą i namiętniczą polemiką, nieprzerwalnością prawną i nieprzerwalnością konstytucyjną. Stan ten dokładnie oznaczył tawernik baron Sennyey w sejmie peszteńskim, mówiąc: „Austrya choruje na jedno złe wielkie. Jest to zamięszanie, jest to sprzeczność jéj politycznych tendencyj, wskutku któréj każde stronnictwo chce mieć po swojéj myśli rozwiązaną kwestyę konstytucyjną.“ Otóż jeżeli żadne nie tylko z stronnictw ale żadna narodowość, żaden kraj nie zechce uczynić ustępstw z swojego widzimi się i nie z swoich zasad lecz z przesadnych życzeń lub żądań na korzyść owego ogólnego interesu, to niezawodnie nigdy porozumienie nie nastąpi ani téż prawdziwe ukonstytuowanie się państwa. Oczywiście, że jeżeli Węgrzy i Niemcy zechcą podzielić monarchią na dwie części, inne części nie przystaną dobrowolnie na ten podział, że gdyby znów Czesi, Polacy i Sławianie chcieli wyłącznie zużytkować na swoją korzyść dzisiejsze położenie, Niemcy austryaccy w inną możeby stronę zwrócili swoje oczy i zamiast zajmować podrzędne w Austryi stanowisko, woleliby

utonąć w wspólnéj wielkiéj germańskiéj ojczyźnie, w którym to kierunku już i teraz niektóre przesadne umysły zwracają swoje nadzieje. Tym więc sposobem nie tylko nie wytworzyłaby się siła dośrodkowa, lecz przeciwnie potęgowałyby się z każdym dniem siły odśrodkowe. Dla tego kto chce prawdziwego i silnego ukonstytuowania się monarchii, ten powinien przynieść do tego dzieła szczerą i dobrą wolę i nie powinien na nie zapatrywać się tylko z ciasnego lokalnego stanowiska.

Zawsze na pierwszym planie stoi pod tym względem sprawa między koroną a sejmem peszteńskim; rzeczywiście zaś idzie i tam tylko o określenie owego wspólnego dla całéj monarchii interesu, który zowie się, sprawy wspólne. Adres sejmu peszteńskiego w odpowiedzi na ostatni reskrypt królewski, nie można pod tym względem nazwać zadawalniającym; żąda on bowiem przed określeniem przez sejm spraw wspólnych, przywrócenia nieprzerwalności prawnéj, a tem samem i ustaw uchwalonych przez sejm w 1848 r. które to ustawy redukowały niemal do zera sprawy wspólne i były prawie ich negacią. Sejm żąda więc najprzód od korony zaparcia się niejako spraw wspólnych a dopiero potem obiecuje stworzyć je na nowo, słowem żąda wszystkiego a w zamian daje tylko obietnicę, która go bynajmniéj nie wiąże. Jednak stronnictwo Deaka a za niem większość izby o tyle otworzyły furtkę pojednaniu, iż sprzeczne z zdaniem lewicy postanowiło, aby komitet wyznaczony do określenia spraw wspólnych, daléj prowadził swe prace. Tym sposobem korona będzie miała przed przywróceniem nieprzerwalności zapewnie nie uchwałę sejmową określającą sprawy współne i zmieniającą ustawy 1848, jednak określenie przez komitet wybrany z łona sejmu tych spraw wspólnych a więc jeżeli nie rękojmię prawną to niejaką moralną podstawę.

W obec tego położenia rzeczy korona dwie ma tylko drogi do wyboru, i albo po wypracowaniu przez komitet spraw wspólnych przywrócenie nieprzerwalności i oczekiwanie następnie uchwały sejmu w sprawach wspólnych, albo rozwiązanie sejmu i chwycenie się innych środków; tak w jednym jak w drugim razie nie podobna dziś jeszcze przewidzieć skutków ani zakończenia. Niepodobna nam także wiedzieć, jakie będzie postanowienie korony, bo odpowiedź cesarska deputacyi wręczającéj adres węgierski starannie zakryła to postanowienie. Podróż zaś bar. Bausta do Pesztu zdaje się być jak ów *coup de théatre*, którego prawdziwe znaczenie odkrywają widzowie dopiéro przy końcu sztuki. Wnioskami więc w téj mierze nie będziemy męczyć ani publiczności, ani siebie samych. Powiemy tylko, że w chwili tak ważnéj, któréj niebezpieczeństwa adres pesteński tak

energicznie i śmiało nakreślił; mężowie polityczni węgierscy powinni przyłożyć rękę czém prędzéj do dzieła pojednania, do dzieła utrzymania jedności i całości państwa, oni jedni mogą to uczynić, dawając prawdziwe rzeczywiste koronie rękojmie, które pozwoliłyby daléj prowadzić rozpoczęte dzieło, a nie zmuszały korony chwytać się niebezpiecznych środków; powtarzamy: winni to Węgrzy i sobie i państwu z którém losy ich dotąd złączone i innym krajom i narodom do składu monarchii wchodzącym; uczynić zaś to mogą dziś jedynie, dając rękojmię co do spraw wspólnych. Potrzebna tu dobra wola z jednéj i drugiéj strony, ze strony korony o niéj wątpić nie można, już dla tego samego, że leży ona tak wielce w jéj interesie; gdyby zaś Węgrzy nie okazali jéj, cóżby przypuścić można? Że się powodują uczuciem zemsty, któreby im szeptało do ucha: zgińmy, ale niech i oni zginą niech odniosą karę za dawne nasze krzywdy! Lecz Węgrzy są zbyt politycznie wykształceni aby nie wiedzieli, iż nie ma mniéj politycznego uczucia, jak uczucie zemsty, a tém samém aby uczucie to nie było im wstrętném. Pozostawałoby więc tylko przypuszczenie, że stronnictwo skrajne, przesadne, stronnictwo, które niegdyś marzyło o odłączeniu losów Węgier od losów Austryi, lecz które nie miało dotąd przewagi w kraju bierze ją nie tylko faktycznie ale i moralnie, skoro nie tylko samo przez siebie, ale przez umiarkowaną większość dochodzi do swoich celów; że słowem wybiła jego godzina, i że Węgrzy widzą w upadku Austryi świetną dla siebie przyszłość i mniemają że one przeznaczone są do odziedziczenia największéj części spadku po Austryi, do utworzenia owego niezbędnego nad Dunajem państwa, o którém wspomniał jeden z mowców sejmu peszteńskiego.

Gdyby tak było przyszło by nam ubolewać nad tak smutnym obrotem rzeczy i widzieć w nim zarówno działanie ducha rewolucyjnego jak obcych intryg; ubolewalibyśmy jednak w takim razie i nad zaślepieniem Węgrów, którzy albo by bezowocnie narażali swoją przyszłość w monarchii i odwlekali niepotrzebnie dzieło do pojednania, albo téż rzucaliby się na awanturnicze drogi prowadzące do niewiadomego i niepewnego, dla nich szczególniéj, celu. Puszczając się niemi w naszém przekonaniu, ulegaliby tylko zgubnemu złudzeniu i daliby się powodować błyskotkami, któremi mamić ich jest nteresem, i zarówno rewolucyi jak obcych. Że takie mamidła pokazują Węgrom, o tém wiemy, lecz Węgrzy powinniby wiedzieć, że nie wszystko co się świeci jest złotem, że w razie upadku Austryi los ich wątpliwy i niepewny nigdy nie mógł by być świetniejszym jak ten który mieć mogą w potężnéj i silnéj Austryi, a więc w Austryi z Węgrami pogodzonéj, że w razie

upadku Austryi nie oni lecz potężni sąsiedzi staliby się spadkobiercami rzeczywistemi, i że Węgrzy znaleźliby się na łasce i niełasce tych sąsiadów, z których jeden, powtarzamy to znów dzisiaj, niewątpliwie sięgnąłby po niejedną ziemię należącą do korony ś. Szczepana. Węgrzy mogą być użyci jako środek, wątpimy aby ich kiedykolwiek obcy uważali jako cel ostateczny. Lecz nie przypuszczamy, aby namiętność lub zły duch tak Węgier, jak Austryi taki nadał obrót wypadkom, przeciwnie wierzymy jeszcze w możność pojednania a nie możemy jak tylko podziwiać energią i czynność jaką w téj sprawie zdaje się rozwijać bar. Beust, który jak prawdziwy mąż stanu tém głównie się zajmuje, co dziś najważniejsze, i który miał tak określić dzisiejsze położenie: „Pierwsza niewątpliwie rzecz do zrobienia, pojednanie z Węgrami, doprowadźmy więc najpierwéj do niego a potém zobaczymy co będzie daléj do zdziałania.“

Jakikolwiek weźmie obrót sprawa węgierska, czy korona zadość uczyni żądaniu ostatniego adresu i przywróciwszy nieprzerwalność prawną będzie się starała za pomocą odpowiedzialnego ministerstwa węgierskiego, załatwić kwestyą spraw wspólnych, czy odwlecze całą sprawę czy też zerwie układy z sejmem i innych środków się chwyci, mniéj lub więcéj konstytucyjnych, zawsze zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż zechce i potrzebować będzie zasięgnąć rady i zdania innych krajów koronnych. Tu zacznie się znów czynna rola Galicyi; nad tym więc punktem wypada się nam także zastanowić. Galicya powtarzamy w sprawie reorganizacyi monarchii, więcéj może jak każdy kraj koronny, przyniesie dobréj chęci którą zresztą wyraziła tak dobitnie na czele swojego adresu. Jéj idzie przedewszystkiem o silne ukonstytuowanie się państwa, bo w s i l n é j i p o t ę ż n é j A u s t r y i widzi swoje bezpieczeństwo i zapewnienie interesów polskich; ona więc powinna i może wiele zrobić dla tego ukonstytuowania. Jednego tylko uczynić nie może, oto wejść na drogę zgubną, wedle jéj przekonania i już nabytego doświadczenia, dla monarchii, na drogę, która do klęsk i rozstroju wewnętrznego doprowadziła. Powtarzamy tu za naszym współpracownikiem i przyjacielem posłem Ludwikiem Wodzickim. „Jako nieszczęście poczytałbym, gdyby przyszło do tego, abyśmy znowu do opozycyi przerzucić się mieli“ lecz dodamy, iż nie przypuszczamy i nie widzimy dziś ewentualności, któraby nas w tak smutną ze wszech miar przerzucić miała z dnia na dzień w ostateczność, że dzięki Bogu nie przewidujemy nawet tak przykréj konieczności, któraby nas strącając z zajętego stanowiska pozbawiła widocznych korzyści jakie z niego wypływają i nie dozwoliła wyzyskać je do końca. W kwestyi konstytucyjnéj Galicya może, powinna przystąpić do wszelkiéj próby, do wszelkiéj kombinacyi ma-

jącéj na celu uporządkowanie spraw wewnętrznych i konstytucyjnych, a zmierzającéj do rzeczywistéj siły i potęgi państwa, wypływa to i z zajętego przez nią stanowiska, i z jéj oświadczeń i z ostatniego adresu sejmowego i zgodném jest z jéj interesem; do wszelkiéj kombinacyi powtarzamy wyjąwszy do téj którą doświadczenie już potępiło, która nie przyniosłszy żadnych dla monarchii korzyści, stała się przeciwnie źródłem wielu nieszczęść, a Galicyi wyrządziła tylko szkody. Słowem Galicya może przystąpić przez swych reprezentatów do wszelkiego usiłowania, do wszelkich narad nad kwestyą konstytucyjną, lecz nie może przystąpić powtórnie do ściślejszéj Rady Państwa, a to dla tego, iż ściślejsza Rada Państwa byłaby tylko powtórzeniem błędów przeszłości a od tych obowiązkiem jest Galicyi ochraniać i strzedz monarchię. Jednak w takim nawet razie nie tyle stanęłaby w opozycyi jak raczéj wstrzymując się od udziału w Radzie Państwa uniemożebniłaby i sprowadziła rząd z błędnéj, zgubnéj drogi, bez jéj bowiem udziału, i z niewątpliwą abstencyą Czechów powtórzenie szmerlingowskiéj fikcyi konstytucyjnéj stałoby się niemożliwem.

Lecz pomimo złowrogich wieści rozpuszczonych pod tym względem ostatnich dni przez centralistyczne organa wiedeńskie, nie chcemy wierzyć, nie wierzymy aby po długim namyśle Korona i ministeryum nic innego nie umiały wymyślić jak powrót do opuszczonego w zeszłym roku systemu i zaparcie się dwuletniéj polityki Korony i oświadczeń cesarskich, słowem aby rząd nie zdobył się na nic więcéj jak na nieprzerwalność konstytucyi lutowéj; nie chcemy nareszcie przypuścić aby bar. Beust był tylko poprawną edycyą p. Schmerlinga, a raczéj aby chciał być drugą tylko edycyą tak nieudanego dzieła. Przypuszczamy raczéj że Korona jak powiedzieliśmy uczuje potrzebę otoczenia się i powołania do Wiednia legalnych reprezentantów krajów koronnych, lecz zupełnie w innéj formie, w innym duchu i w innym celu jak powoływaną była Rada Państwa. W innéj formie bo owi reprezentanci przedstawiać będą sejmy krajowe i stanowić delegacye sejmowe; w innym celu, bo tak złożone zgromadzenie powołaném będzie nie do działania w ramach z góry zakryślonych, lecz do orzeczenia dopiero o przyszłém ukonstytuowaniu się monarchii. Takie zgromadzenie byłoby wypowiedzmy ten wyraz nieco szumny konstytuantą a tylko zwołanie takiéj konstytuanty dziś pojmujemy. Tryb więc postępowania byłby następujący: po zamknięciu sejmów krajowych nastąpiłyby nowe wybory do sejmów, z nich wynikłe sejmy wybrałyby delegacye, które udałyby się do Wiednia dla utworzenia konstytuanty. Życzyćby sobie jednak można, aby wybór owych delegacyj, nie do legislatywy, lecz do konsty-

tuanty nie odbywał się w ciasnych ramach kuryj, lecz aby owe delegacye powstały z całego sejmu. Skoro prawo wyborcze nie mogło być zmienione i rozszerzone, ten sposób wyboru byłby niejako jego rozszerzeniem, a jego rezultat byłby wyrazem kraju, nie zaś szczególnych interesów. Przeciw takiemu postępowaniu Galicya nic by nie miała i przyniosłaby do niego jak najlepsze chęci, pracę i światło swych reprezentantów. W naszém nawet przekonaniu tu mogłaby się zacząć wielka, ważna rola Galicyi, rola pośredniczki między wszystkiemi sprzecznemi dążnościami i namiętnościami, między różnemi krajami i Koroną. Takie powołanie z natury rzeczy przypada Galicyi; nie powinna się go zrzekać; podjąć je powinni jéj polityczni ludzie. Galicya więc może ważną przeznaczona jest odegrać tu rolę od któréj usunąć się nie może, a zarazem ma strzedz i bronić zarówno swéj i interesów polskich przyszłości, jak téż wpływu swego na przyszłe losy państwa i na sprawy wspólne którego to wpływu pod żadnym warunkiem zrzec się nie może. Tak więc zdaniem naszém przyszłe stanowisko delegacyi sejmu lwowskiego nie powinno być ani ministeryalne *quand même* ani opozycyjne lecz pojednawcze. Co daléj zajdzie dziś niepodobna przesądzać, lecz wyżéj wskazany tryb postępu zdaje się być pierwszym koniecznym krokiem w dziele uorganizowania monarchii, być może że i on nie doprowadzi natychmiast do rozwiązania, lecz w każdym razie będzie on jednym krokiem naprzód. My wiemy tylko, że Galicya nie odmówi swego współudziału w każdéj kombinacyi, która zapewni prawdziwą siłę i potęgę państwa. W takiéj więc konstytuancie rozstrzygną się przyszłe losy państwa, i przyszłe stanowisko w monarchii Galicyi. Bąć co bąć Galicya od niczego się nie usuwając a bacząc przedewszystkiem na własne i państwa interesa winna zawsze głosić swoją zasadę sprawiedliwość dla wszystkich krajów i narodów składających monarchię lecz zarazem nie podobna by jéj było ani popierać ani łączyć się z przesadami żądaniami z uporem, lub złą wolę w dziele reorganizacyi, z egzekuraciami, nawet atonomicznemi, któraby np. polegaly na tém aby uchwały owéj konstytuanty poddawać jeszcze pod rozbiór sejmów krajowych, o czém marzą jak nas zapewniano niektórzy ultra Czechy, lecz tuszemy sobie, że nie większość politycznych ludzi tego kraju którzy nie mogą żądać niepodobieństw i narażać się dla utopij na prawdziwe szkody.

Podczas kiedy wewnętrzne sprawy tak powolnym postępują krokiem, nowy minister spraw zewnętrznych usiłuje o ile się da uspokoić sytuacye i nowe polityce austryackiéj otworzyć drogi. Traktat handlowy z Francyą podpisany w tym miesiącu w Wiedniu jest pomyślnym i ważnym faktem, nie tylko dla tego, iż rzeczywiste przynosi korzyści handlowi

austryackiemu, ale że jest pierwszém zbliżeniem się na polu interesów Austryi do Francyi, i dozwala dziś już przypuszczać bez obawy i złudzenia, iż przyjdzie wcześniéj czy póżniéj do prawdziwego między temi dwoma mocarstwami aliansu. Teraz jeszcze koniecznym jest traktat handlowy z Prusami tak ze względów ekonomicznych jak politycznych. Pod tym względem nic nie doszło do wiadomości publicznéj. O ile zaś nam wiadomo stosunki z Prusami nie pozbyły się jeszcze znamienia wyrytego na nich przez ostatnie wypadki, jednak nie są one zbyt natężone a br. Beust bardzo zręcznie i sumiennie działa — chce unikać nawet wszelkich pozorów mogących pogorszyć te stosunki.

Nie wiemy czy zbliżeniu się do Francyi czy innym powodom przypisać należy także widoczne polepszenie stosunków między Petersburgiem a Wiedniem. Dziś już nie same organa urzędowe austryackie zapewniają o dobréj harmonii ale także i rosyjskie a mianowicie: *Journal d. St. Petersbourg* w dwóch ostatnich artykułach. Zapisując te symptomata unosimy zadowolnienie, że się sytuacya zewnętrzna uspakaja, a tém samém chwilowo przynajmniéj znacznie polepsza; bo pomimo insynuacyi i oszczerstw prasy moskiewskiéj; nie moglibyśmy przemawiać dziś za polityką awanturniczą a pokój zewnętrzny uważamy dla Austryi w obecnéj chwili jako pierwszy konieczny warunek.

Do wielu powodów które skłaniać mogą Rosyą, w téj chwili do umiarkowania liczyć musimy opłakany stan jéj finansów czego znów świeży mamy dowód w nowéj a nie wiedząc już któréj emisyi banknotów. Te ciągłe dowolne i bez żadnéj kontroli wydawane emisye banknotów znacznie już wpływały na kurs rubli papierowych tak, iż w wielu wypadkach sam rząd uważa jego wartość dziś już jako równą pięciu złotym polskim.

Wypadek; traf, jakaś mimochodem miana rozmowa ks. pruskiego z carem podczas zaślubin carewicza spowodowała odsunięcie kilku urzędników i kilku reformatorów ze szkoły milutynowskiéj. Ks. pruski miał przedstawić carowi, że nadużycia, których się dopuszczają reformatorowie, a na ich czele ks. Czerkaski, przechodzą wszelkie granice, że połączone są ze zdzierstwem, że to wszystko odstrasza kapitały niemieckie i nie pozwala Niemcom nabywać majątków w Królestwie. Na to cesarz zarządził rodzaj śledztwa, do którego wezwanym został namiestnik hr. Berg, śledztwo wykazało nietylko nadużycia, ale nawet nadużycie zaufania cesarskiego, w skutku tego p. Mikołaj Milutyn miał popaść w niełaskę, która wywołała ów paralityczny atak. Upadek p. Milutyna pociągnął za sobą upadek ks. Czerkawskiego. Oto, o ile nam wiadomo, w głównych zarysach przebieg tego epizodu. A teraz można ztąd wróżyć jakąkolwiek zmianę sy-

stemu? Nie, niepodobna pod tym względem poddawać się najmniejszemu złudzeniu. Innych by trzeba przyczyn, innych wypadków, aby sprowadzić zmianę systemu. Hr. Berg miał telegrafować z Petersburga do Warszawy, „że jest zmiana osób ale nic systemu“, wierzymy w to i mamy na to dowód w świeżym artykule „Inwalida“ przedrukowanym w „Dzienniku Warszawskim“, a który porównywając Rosyę do Stanów zjednoczonych, Polskę do krajów południowych, twierdzi że tak tu jak tam obowiązkiem rządów było i jest, nietylko zwyciężyć ale raz na zawsze zapobiedz wypadkom mogącym zagrozić całości państwa, a więc tém samém jest ich obowiązkiem, daléj prowadzić politykę represyi i uciemiężenia. Mowa nowego gubernatora wileńskiego Baranowa, która tak dobitnie zapowiedziała, iż nie nastąpi żadna zmiana systemu, była niemal zbyteczną. W Królestwie odwołanie ks. Czerkawskiego nie jest także zmianą systemu, co najwięcéj może sprowadzić niejaką zmianę w wykonaniu go. Zapewniano nas nawet, że rząd rosyjski postanowił od dawna ks. Czerkawskiego odwołać, skoro tylko ten przeprowadzi tak nazwane reformy, a głównie reformę kościelną. Takiego radykalnego rewolucyonisty, rząd nawet rosyjski musi się do pewnego stopnia obawiać i dla tego twierdzą niektórzy, iż odwołanie jego postanowioném było jeszcze przeszłéj jesieni, ale rząd wiedział, że żaden inny nie potrafiłby przeprowadzić równie zręcznie i równie bezwzględnie reform, i dla tego nie oddalał go, lecz skoro tylko ks. Czerkawski główną rzecz doprowadził do końca, a zdarzyła się do tego sposobność, odsuniętym został jako już niepotrzebne a niebezpieczne narzędzie. Mianowanie zaś Brauenschweiga jego zastępcą potwierdzić tylko może podobno, iż usunięcie ks. Czerkawskiego jest tylko zmianą osoby, aczkolwiek zmiana indywidualności nie może nigdy być obojętną.

Tymczasem system zaprowadzony przez ks. Czerkawskiego szczególniéj na Podlasiu i w dyecezyi Chełmskiéj trwa ciągle, trwa więc wciąż prześladowanie unitów i używane są wszelkie środki w celu nakłonienia lub zmuszenia ich do schizmy. Proboszczom unitom nie wolne jechać z jednéj wsi do drugiéj bez paszportów, a paszportów tych nie chcą im dawać władze, tak iż rzeczywiście są oni internowani, na odpust wolno tylko jednemu księdzu przyjechać, zaprowadzono nowy kaleudarz i wymazano z niego wszystkie święta, które schizmatycy nie obchodzą i t. d. — A dzienniki rosyjskie mówią o prześladowaniu Rusinów w Galicyi!

Znany ukaz z 4 t. m. zniósł ostatecznie jedném pociągnięciem pióra dwustronną umowę, tak nazwany konkordat

z 1847. Zniesienie to było odpowiedzią na ostatnią encyklikę Ojca świętego. Wiedzą nasi czytelnicy, jaki to był ów konkordat z 1847 r., szczególniéj jak był wykonywany, do czego służył w rękach rządu rosyjskiego, usunięcie więc jego zapisać można jako nowy fakt świadczący o pogardzie rządu rosyjskiego nawet dla form w sprawach zobowiązań dyplomatycznych, skoro ta pogarda nie naraża go na nic. Lecz-co ważniejsza, oto że formalne zniesienie konkordatu zapowiada formalne poddanie kościoła w Królestwie pod zarząd cywilny. W chwili, w któréj rząd rosyjski zdaje się dochodzić do kresu swoich nadużyć, prześladowania i zdawna zamierzonego celu: zgnębienia kościoła katolickiego w Polsce, Ojciec święty ogłasza cały zbiór dokumentów wystawiających przebieg tego prześladowania. Obszerny ten zbiór zawiera opis niezwykłego, nadzwyczajnego fenomenu, oto opis najaokropniejszego prześladowania, przez jeden z rządów europejskich, całego narodu w tém, co mu najdroższe, bo jego wiarę, i to wśród dziewietnastego wieku, wśród pełnéj cywilizacyi i postępu, i kiedy zasada wolności wyznań wszędzie już zwyciężyła, wszędzie uznaną została, wyjąwszy w téj Rosyi, która mówi o swéj opatrznościowéj misyi i zamierza reformować dawne europejskie społeczeństwo! Ogłoszenie tych dokumentów, to odwołanie się Ojca świętego do ramienia całego cywilizowanego świata. Czy odwołanie to znajdzie dziś odgłos? W każdym razie jest to jedyny środek, którym Ojciec święty mógł rozporządzić i tym rozporządził na korzyść świętéj a drogiéj mu zawsze sprawy. Jest coś imponującego w téj ciągłéj walce moralnéj z podstępem, złą wiarą i brutalną siłą. Jeżeli skutków jéj nie podobna dziś dopatrzyć się, to wcale jednak nie dowodzi, aby ich nie było.

Każdy niemal miesięczny przegląd spraw polskich, a mianowicie dzisiejszy, jest najlepszym dowodem, iż przyszłość papiestwa nie jest, nie może być nam Polakom obojętną. W pismie polityczném niechcielibyśmy — o ile tylko to jest możliwém — mięszać kwestyj religijnych z politycznemi, jednak wszędzie jest to trudném, u nas niepodobném. Nie my lecz wrogi nasze prześladowaniem połączyli, zespolili ściśle w Polsce kwestyę religijną z kwestyą polityczną tak, że użyjemy tu wyrażenia jednego z mowców podczas dyskusyi adresowéj, jest rzeczą niewątpliwą „że katolicyzm wszędzie jest obroną naszéj narodowości; katolicyzm broni nas na zachodzie od wynarodowienia przez protestantyzm, na wschodzie broni nas od wynarodowienia przez szyzmę.“ Nic więc dziwnego, że losy papiestwa, bez którego katolicyzmu nie byłoby, nie mogą być nawet ze względów politycznych obojętne Polsce. W obecnéj więc trudnéj

dla niego chwili z niemałém zajęciem czytaliśmy broszurę p. Pawła Popiela wyszłą w drukarni „Czasu“ pod tytułem: 12 Grudnia 1866 r. Broszura ta odznaczająca się owym pięknym stylem właściwym autorowi, jest niejako wyrazem osobistych a znanych jego uczuć, mieści jednak w sobie wiele wzniosłych myśli wyższego rzędu moralnego, na które każdy Polak, katolik a nawet tylko rozumny człowiek zgodzić się musi. Broszura, jak wszystkie w téj kwestyi rozprawy, nie wskazuje ani rozwiązania, ani wyjścia, lecz co nas w niéj uderzyło, oto właśnie ze strony publicysty znanego ze swoich silnych w téj kwestyi przekonań, wielkie umiarkowanie w sądzie, wielki spokój wśród słusznych obaw. Dowodzi to, że czas od rozpoczęcia owéj kwestyi do dzisiejszéj chwili nie był dla niéj stracoym, skoro dziś rozbieranąm jest spokojnie bez drażliwości i rozjątrzenia. Tego życzyć sobie szczególniéj u nas wypada, gdzie najniepotrzebniéj a razem najzgubniéj byłoby rozjątrzać ją i stworzyć czy to w publicystyce, czy gdzieindziéj dwa w téj kwestyi niejako obozy, jak to niemal stało się przed kilku laty. Przedewszystkiem jednak życzyć trzeba, aby umiarkowane, rostropność i sprawiedliwość przewodniczyły obustronnie dalszemu przebiegowi téj wielkiéj sprawy.

Dziś wybiła pod tym względem ostatnia godzina. Wojska francuskie stósownie do warunków konwencyi wrześniowéj opuściły Rzym. Ojciec święty pozostał w wieczném mieście — tak jakbyśmy zawsze radzi go widzieć — bez obcéj opieki, otoczony jedynie majestatem swojego wzniosłego posłannictwa; dotąd spokój nie został zakłócony w Rzymie i Pius IX swobodnie w nim przebywa. Czy stan taki może długo potrwać? Trudno się pod tym względem łudzić, dopóki nie stanie układ między Papieżem a rządem włoskim, lub nie nastąpi gwarancya ze strony całego cywilizowanego świata lub przynajmniéj katolickich mocarstw. W naszém przekonaniu byt i bezpieczeństwo Stolicy apostolskiéj winny być ustalone międzynarodową tranzakcyą. W każdym razie teraz jest rzeczą wolnych Włochów i rządu włoskiego uczynić wszystko co możliwe aby dojść do zgody i trwałego pojednania z tą wielką niezaprzeczenie potęgą, która się zowie papieztwem; dopóki to nie nastąpi, dzieło rekonstytucyi Włoch będzie nieskończoném i nieskończoną będzie także prawdziwa jedność narodowa. Nie Rzymu brakuje Włochom do téj jedności narodowéj — w Rzymie bowiem nie ma już obcych wojsk — ale zgody i stałego sojuszu między wolnemi Włochami a Papiestwem.

Daremném byłoby usiłowaniem chcieć dziś odgadnąć przyszłość: chcieć nawet zbadać o ile missya p. Tonelli może się powieść. Pozornie jednak sytuacya chwilowo uspokoiła

się nieco i właśnie owa missya p. Tonelli jest przynajmniéj usiłowaniem na drodze do pojednania. Mowa zaś króla włoskiego przy otwarciu parlamentu — nie wchodzimy w to pod wpływem jakich okoliczności i jakiego nacisku mogła być powiedzianą — miała niezaprzeczenie charakter pojednawczy i nacechowaną była owém umiarkowaniem, którém, wielce życzymy sobie, aby uzbroili się wszyscy w téj sprawie. Powtarzamy, pomimo tego przyszłość jeszcze nie jasna. W każdym razie Polska z synowską troskliwością śledzić będzie dalszego przebiegu wypadków, zawsze gotowa nieść ofiary dla Ojca świętego, dla naczelnika prześladowanego przez jéj wrogów kościoła.

Mowa prezydenta Stanów Zjednoczonych przy otwarciu kongresu oraz dokumenta dyplomatyczne przedstawione Izbom, nie są tą razą obojętne, odnośnie do spraw europejskich. Dowiadujemy się z nich niewątpliwie, iż cesarz Napoleon poświęcił i Meksyk i cesarza Maksymiliana pod naciskiem coraz silniejszym gabinetu waszyngtońskiego. Komiczny prawie epizod owéj depeszy p. Sewarda do gabinetu paryskiego ogłoszonéj w zbiorze dokumentów amerykańskich, a o istnieniu któréj rząd francuski przysięga wobec rozciekawionéj publiczności iż nigdy nie wiedział, najlepiéj może charakteryzuje ową politykę sposobików; haczyków i krętych ścieszek, któréj rząd napoleoński chwytał się szczególniéj w awanturze meksykańskiéj, a która bąć co bąć uwłacza godności takiego narodu jak francuski. W każdym razie powinszować sobie tylko można, iż jak o tém świadczą przemówienia cesarza i mowa posła amerykańskiego w Paryżu, dobre stosunki, które tak niepotrzebnie zakłóconemi zostały tylko przez awanturę meksykańską, przywróconemi zostały między Francyą a Stanami Zjednoczonemi. Zupełne polepszenie tych stosunków i przywrócenie dawnéj ich ścisłości wpłynąć może przeważnie na stosunki europejskie, a szczególniéj na postępowanie Francyi, która uwolniona z téj strony od wszelkich obaw, tém śmieléj będzie mogła występować w prawdziwym jéj zakresie działania, to jest w Europie i odzyskać tu ten wpływ, który dziś widocznie straciła. Tymczasem kończy się ostatni akt prawdziwego d r a m a t u meksykańskiego, który niezawodnie będzie kiedyś dla dramaturga obfitym tematem, nie brak w nim bowiem ani bohaterki traicznie kończącéj, ani ofiary, ani intrygantów, ani czarnych charakterów. Wieści z Meksyku są tak sprzeczne, tak niedokładne, iż nic pewnego jeszcze wiedzieć dziś nie można; to tylko pewna, że przed wiosną Francuzi opuszczą Meksyk, że tron cesarski runie jeżeli już nie runął, a że cesarz Maksymilian pozostanie w historyi jedną ofiarą więcéj najlepszych chęci napoleońskich.

St. Koźmian.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawierać będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	12 Złr. w. a.
„ półrocznie	6 „ „
„ kwartalnie	3 „ „
W Prusach	8 Talarów.
We Francyi	25 Franków.
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	1 Złr. 50 c.

OZNAJMIENIE.

Administracya Przeglądu Polskiego przyjmować będzie wszelkiego rodzaju inseraty za cenę 6 centów od wiersza. Stępel w ilości 30 centów za każde pojedyńcze ogłoszenie płaci się osobno. Interesowani w téj mierze zechcą się zgłosić osobiście lub pisemnie do bióra Redakcyi przy ulicy Gołębiéj pod L. 173.

Jaśnie Adam hr Potocki

PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT VIII.

1go Lutego 1867.

KRAKÓW,

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,

pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1867.

Str.



PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT VIII.

Miesiąc Luty 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW,

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,

pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1867.

RZECZ
o podatkach i ich reformie.

Dwadzieścia lat już mija od chwili, w któréj Galicya w skutek pamiętnych wstrząsnień roku 1846 i 1848 weszła w nową fazę społecznego ustroju i ekonomicznego rozwoju zarazem. Pod naciskiem rewolucyi dokonały się wtedy w krótkim bardzo czasie nader ważne przeobrażenia: uwolniono włościan z poddaństwa, nadano im na własność ziemię, oswobodzono przemysł i rękodzieła od krępujących je dotąd więzów średniowiecznéj daty, rozłożono ciężary publiczne na wszystkich bez wyjątku obywateli i zrównano ich zupełnie w obliczu prawa. Reformy tego rodzaju, na których istocie opiera się potęga nowoczesnych Państw, przeprowadzone już o wiele pierwéj w innych krajach wszędzie spotęgowały niesłychanie siły narodowe i wzmocniły tak materyalnie jak i moralnie państwa zachodniéj i środkowéj Europy. Nawet w Austryi, pomimo działania różnych mniéj korzystnych wpływów: kłopotów skarbu publicznego, rosnących nad miarę podatków, wewnętrznych i zewnętrznych wojen, znaczny postęp pod każdym względem od r. 1848 zaprzeczyć się nie da. Inaczéj rzeczy się mają w Galicyi. Tutaj bieda i nędza coraz wzmagać się zdają, a nieszczęśliwe położenie kraju z każdą chwilą staje się bardziéj widoczne. Wprawdzie wielkie przewroty społeczne znacznemi nieraz okupywane być muszą ofiarami, ale gdzieindziéj ofiary są tylko chwilowe, a wrodzona każdemu zdrowemu organizmowi społecznemu siła żywotna usuwa prędko chwilowe przeszkody, które jego naturalny rozwój tamowały. Tymczasem 19 lat już upływa od reform 1848 r. a Glicya, zdaje się że jeszcze dotąd do normalnego stanu nie wróciła.

Daty statystyczne czerpane ze źródeł urzędowych, przez rząd publikowane, dostarczą nam niezbitych dowodów świadczących o upadku naszego kraju. To też kilkoma przykładami na cyfrach opartemi łatwo nam będzie w pierwszéj części naszéj pracy uwydatnić smutne położenie, w którém równie pod materyalnym jak moralnym względem Galicya obecnie się znajduje. Badając następnie przyczyny tego faktu pomimowolnie nasunie nam się kwestya podatkowa jako jedyny klucz do zrozumienia obecnéj sytuacyi ekonomicznéj. Wykazawszy ciężkie brzemie podatków, pod którém kraj nasz prawie upada, przyjdzie nam nakoniec mówić o projektach reform podatkowych mogących choć w części to złe usunąć, albo przynajmniéj zrobić je o ile możności nieszkodliwém.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Ludność — produkcya rolna i przemysłowa — szkoły i oświata w Galicyi w latach 1847 — 1864.

Przed okropną katastrofą 1846 r. przeżyła Galicya pod berłem austryackiém dosyć znośne chwile. Liczna i coraz bardziéj zwiększająca się ludność uprawiała ziemię z dobrym skutkiem. Zboża galicyjskie nie tylko że żywiły dostatnio krajowych mieszkańców, ale zasilały nieraz i ościenne prowincye Monarchii lub pograniczne Prusy. W obec kwitnącego rolnictwa przemysł miał także swych przedstawicieli. Na szczególną wzmiankę zasługują tutaj fabryki żelaza właścicielom znaczne niosące korzyści. Gęsto po kraju rozsiane gorzelnie produkowały okowitę dla kraju i zagranicy, a tysiące wołów podolskich spasionych na brażе szło na sprzedaż do Wiednia albo Ołomuńca. W kilka lat późniéj wszystko się zmieniło: choroba kartofli zamknęła gorzelnie, które późniéj akcyza do reszty zrujnować miała, produkcya zboża się uszczupliła, a opas bydła ustał zupełnie. W skutek upadku tych głównych gałęzi przemysłu krajowego, pomyślność i dobrobyt mieszkańców znacznie podupadły, ludność się zmniejszyła, a Galicya weszła na drogę zubożenia i upadku, po któréj od tego czasu fatalnie kroczyć nie poprzestała. Wszystkie te fakta rzucające niesłychanie ważne światło na stan społeczny i ekonomiczny kraju

pozwalające nawet z nieomylną prawie pewnością o jego przyszłych losach wyrokować, muszą zająć naszą szczególną uwagę.

Myślę, że dla każdego równie ciekawą jak i pouczającą będzie rzeczą, rzuciwszy okiem w niedaleką jeszcze przeszłość zastanowić się nad tém, czém niedawno jeszcze byliśmy, czém jesteśmy i dokąd idziemy. Zaczynamy od ludności jako od najważniejszego czynnika potęgi narodowéj.

1. Ludność *).

Według popisu z r. 1847 liczyła Galicya z Bukowiną ludności 5,368,702 czyli 3418 dusz na milę kwadratową; bez Bukowiny 4,990,121 albo 3498 dusz na milę kwadratową. Szczególniéj ludne były cyrkuły Galicyi zachodniéj, z których wadowski posiadał dusz 5568, bocheński 6013, jasielski 5225 a krakowski 5963 na milę kwadratową. W dziesięć lat późniéj popis z r. 1857 wykazał tylko w Galicyi ludności 4,597.470 co w porównaniu z r. 1847 stanowi ubytek 392,651 dusz to jest 8—9%. Szczególniéj ucierpiały cyrkuły zachodnie: wadowski stracił 1403 dusz, bocheński 847, jasielski 1486 a krakowski 1317 na milę kwadratową w przeciągu lat dziesięciu. Tak znaczny ubytek ludności spowodowany został znaczną śmiertelnością lat 1847, 1854 i 1855, w których w skutek nieurodzaju i głodu mocno grasowały epidemie. Wykaże to jaśniéj następująca tablica ruchu ludności:

w latach:	urodziło się:	umarło:
1847	197,756	380,470
1852	179,263	172,167
1853	181,276	190,920
1854	171,122	237,832
1855	139,925	293,347
1856	162,919	151,198
1857	187,659	124,473
Razem	1,219,920	1,450,407

Widzimy ztąd, że suma z lat 7 przedstawia znaczną przewyżkę zmarłych nad rodzących się, a dwa lata (1847

*) Porównaj: *Tafeln zur Statistik der oesterreichischen Monarchie XIX Jahrgang für die Jahre 1847 n. 1848 — neue Folge Bände II u. IV. für die Jahre 1852—54 und 1858—1859.*

i 1855) dają bajeczną prawie śmiertelność: w r. 1847 umarł bowiem jeden mieszkaniec na 13, a w r. 1855 na 15 żyjących. W tym ostatnim roku na 1000 zmarłych, 304 padło ofiarą epidemii i głodu.

Zresztą powtórzył się tutaj wielokrotnie stwierdzony już fakt statystyczny, iż po roku znacznéj śmiertelności, następuje rok, w którym liczba małżeństw się wzmaga, w skutek czego rośnie także ilość rodzących się dzieci, i tak ubytek ludności znowu pomału pokryty zostaje. W Galicyi liczono małżeństw

w r. 1852	40,237
„ 1853	38,287
„ 1854	34,719
„ 1855	34,772
„ 1856	44,492
„ 1858	42,400

Szczególniéj uderzać musi ilość małżeństw w r. 1856 w porównaniu z poprzednim; stoi z nim w związku ilość urodzonych, która w r. 1857 jest niesłychanie wysoka. Dla lepszego rozpatrzenia się przytaczamy następujące cyfry:

	wypada jedno małżeństwo		
w latach:	na mieszkańców:	urodzenie:	śmierć:
1855	126	29	15
1856	99	24	29
1857	106	21	36

Nagłe skoki w tych cyfrach wskazują na stósunki nieustalone i na gwałtownie działające przyczyny, które w jednéj chwili równowagę kilku lat burzą.

Od r. 1857 ruch ludności stał się więcéj jednostajnym, a ludność pomału wzrastać poczęła. Liczono

w latach:	małżeństw:	urodzonych:	zmarłych:
1858	46,170	217,502	141,657
1859	36,379	228,018	152,236
1860	45,454	214,170	138,889
1861	45,655	222,511	148,725
1862	52,005	222,845	166,291
1863	49,384	240,755	175,305
		1,345,801	923,103

Na podstawie ruchu ludności wyrachował rocznik statystyczny z roku 1863 ludność Galicyi w przybliżeniu na rok *)

1857	4,610,734
1858	4,686,588
1859	4,762,370
1860	4,835,919
1861	4,882,311
1862	4,939,118
1863	5,004,568

Jeżeli ten rachunek jest prawdziwy, toby ludność Galicyi w r. 1863 była większą od ludności z r. 1847 o 14,447 dusz. Ale następujące lata znowu mniéj były pomyślne, głód nawiedzał najprzód Zachodnią a potém Wschodnią Galicyą, a ilość zmarłych przewyższyła w r. 1864 i 1865 ilość urodzonych. Wprawdzie brak dat statystycznych z lat ostatnich nie pozwala nam ze zupełną dokładnością sprawdzić ubytku ludności, ale zdaje nam się, że się nie miniemy z prawdą twierdząc, że obecna ludność w Galicyi nie dochodzi ludności z r. 1847 **).

Z popisami ludności, które się w Austryi co lat 10 odbywają, połączony jest spis bydła i innych zwierząt domowych. Zestawienie cyfer z kilkunastu lat ostatnich i tutaj także ubytek okazuje. Liczono bowiem

w latach	1847	1854	1857
sztuk koni	579,668	530,554	612,222
bydła rogatego .	1,612,670	1,434,826	2,325,650
owiec	1,420,363	995,908	810,832

Z tych cyfer możnaby sądzić, że w ostatnim lat dziesiątku ubyło prawie o połowę owiec, ale za to przybyło o jednę trzecią bydła rogatego, którego wartość o wiele wartość owiec przewyższa. Ale przybytek ten jest więcej pozorny jak rzeczywisty i tłomaczy się polepszoną metodą liczenia. Gdy bowiem przed 1848 rokiem wystarczały ogólne deklaracye man-

*) Patrz: *Statistisches Jahrbuch der österreichischen Monarchie für 1864. Wien 1865*

**) Tyfus i cholera grasujące epidemicznie w drugiéj połowie 1866 r. w Galicyi Wschodniéj, sprawdziły zupełnie przewidywania nasze w I okresie wyrażone; sama cholera zabrała w 12tu cyrkułach 25,312 ofiar.

dataryuszów, którzy równie dworskie jak i włościańskie bydło razem w przybliżonéj cyfrze podawali, w r. 1857 urzędnik wydelegowany do sporządzenia spisu, badał sam na miejscu stan rzeczy i wymuszał prawdziwe zeznania znacznemi nieraz karami pieniężnemi. W skutek tego ostatni spis chociaż może nie zupełnie jeszcze dokładny — tak ogólną jest niechęć spowiadania się ze swego mienia i obawa przed fiskalnemi dążeniami każdéj czynności urzędowéj — to przecież o wiele bliżéj stoi prawdy jak poprzedni... Biorąc w rachubę różnicę w dokładności liczenia, pokaże się więc, że bydła rogatego pomiędzy r. 1847 a 1857 wcale nie przybyło, owiec zaś ubyło prawie o połowę. Takie umniejszenie sił roboczych t. j. ludności i inwentarza musiało za sobą pociągnąć uszczuplenie:

2. produkcyi rolnéj, ale uszczuplenie to jeszcze w znaczniejszym nastąpiło stósunku, aniżeli sił roboczych ubyło. Zniesienie powinności poddańczych, zdawałoby się, że inaczéj powinno było na produkcyę rolną wpłynąć. Doświadczenie nas naucza, iż we wszystkich prawie krajach Europy wolna praca do daleko lepszych przychodzi rezultatów, aniżeli praca niewolnicza. Nie życzylibyśmy sobie wcale, żeby zasada ta w Galicyi nie znalazła swego zastósowania; może być że obecna chwila jest chwilą przejścia, zawsze jednak stwierdzić musimy fakt, że produkcya rolna od r. 1847 w Galicyi znacznie się zmniejszyła. Znajdujemy bowiem w tablicach statystycznych dla Monarchii austryackiéj, że Galicya wyprodukowała niższo-austryackich mierzyc

w latach	1847	1854	1864 *)
pszenicy	2,827,000	1,729,000	1,683,300
żyta	7,579,000	5,234,000	5,018,600
jęczmienia . . .	10,612,000	6,649,000	6,595,700
owsa	14,773,000	9,689,000	9,389,600
kukurudzy . . .	532,000	212,000	212,000
innych gatunków zboża	3,059,000	3,036,000	2,998,500
Summa	39,382,000	26,653,000	25,897,700

Wprawdzie nie przeceniamy wcale wartości tych cyfer, gdyż znane są nam trudności, jakie administracya w ocenieniu produkcyi ma do usunięcia. Ale trudności są te same teraz

*) Cyfry te są wyjęte z dzieła: *Handbuch des Statthalterei-Gebietes in Galizien für das Jahr 1865.*

co pierwéj, i jeżeli przyjmujemy za prawdziwe cyfry z r. 1847 to równém prawem przyjąć musimy cyfry z późniejszych lat. Nie ma bowiem żadnéj racyi dla któréjby urzędowe publikacye z r. 1847 na mniejszą zasługiwały wiarogodność, aniżeli publikacye z lat następnych. Zresztą i świadectwa prywatne potwierdzają, że Galicya mniéj teraz produkuje zboża, aniżeli w czasach przedpańszczyznianych. Przymus silniéj działał na nieoświeconych aniżeli wolność. Żeby jednak produkcya rolna o jednę trzecią część w Galicyi się zmniejszyła, jakto przytoczone cyfry wskazują, temu trudno uwierzyć. W każdym razie znaczny ubytek produkowanego rocznie zboża zaprzeczyć się nie da *).

3. Przemysł.

Szczupły był zawsze zakres przemysłu galicyjskiego: szczuplejsze jeszcze są wiadomości, które o nim posiadamy. Jedno z pierwszych miejsc zajmowała produkcya spirytusu z wypasem wołów połączona. Gorzelnictwo w nader kwitnącym było stanie w Galicyi, aż do chwili, w któréj przyszła pierwsza zaraza na kartofle, t. j. do r. 1847. Późniéj zmiana stosunków, mianowicie zmniejszenie exportu spirytusów na Wschód w skutek powstałych gorzelń w Ks. naddunajskich, podrożenie najmu, a nadewszystko coraz bardziéj rosnące podatki tak fatalnie działały na tę gałęź przemysłu krajowego, że w przeciągu lat 20 ilość gorzelni w ruchu zostających do dziesiątéj części zredukowaną została. Związek pomiędzy podatkiem konsumcyjnym a produkcyą okowity pokaże następująca tabela:

w roku	wynosił podatek	ilość gorzelń w ruchu	wyprodukowano okowity wiader
1836	6 kr. od wiadra	4,897	
1839		3,388	
1843		1,713	11,342,222
1849	10 kr. „ „	1,113	
1853	14 kr. „ „	619	
1856	8 kr. „ „	483	6,980,750

*) Urodzaj w roku bieżącym 1866 gojący choć poczęści rany materyalne lat poprzednich, nie może jednak obalić naszych twierdzeń. Jak długo nie tylko pomyślność ale nawet życie znacznéj części mieszkańców jakiegoś kraju zależne jest od jednorocznego żniwa, tak długo o dobrobycie mowy tam być nie może. Dzisiaj absolutny brak żywności nigdzie nie ma miejsca, obfitości jednak w Galicyi nie widać.

W przybliżeniu obrachowano *), że wartość leżącego martwo w zamkniętych gorzelniach kapitału wynosiła w r. 1856 9,750,000 fl. m. k., a roczny dochód kraju przez uszczuploną produkcyę okowity i bydła opasowego zmniejszył się w 20letniém przecięciu (1836 — 56) o 3,830,000 fl. m. k. rocznie.

Jak na produkcyę okowity wysoki podatek, tak na produkcyę żelaza niekorzystnie znowu wpłynęło obniżenie cła wchodowego od żelaza zagranicznego. Nie mam wprawdzie pod ręką wykazów dawniejszéj produkcyi, chociaż mi jest wiadomém, że sama Galicya Zachodnia parę kroć sto tysięcy centnarów żelaza przed 1850 r. produkowała, ale już cyfry z lat ostatnich **) wzięte, znaczny ubytek wskazują. Wyprodukowano bowiem w Galicyi zachodniéj:

w latach	1854	1856	1864
	c e t n a r ó w		
żelaza surowego	18,571	21,498	29,721
żelaza lanego	24,879	27,069	39,965
żelaza sztabowego	47,806	44,635	
razem	91,256	93,203	69,686
we wartości	654,008	629,169	334,503

W ciągu lat 10 zmniejszyła się prawie o połowę wartość produkcyi żelaza, co się zwłaszcza tém tłómaczy, że stosunkowo produkowano w r. 1864 mało żelaza sztabowego czyli kutego, którego wartość wynosi od 7 — 9 m. k.

Równie niekorzystny przedstawia nam obraz produkcya siarki w Swoszowicach, wyprodukowano bowiem

w latach	1854	1856
cetnarów	16,385	13,737
we wartości	91,329	81,239 fl.

W roku 1864 przemysł ten ustał zupełnie i nie figuruje wcale we wykazach statystycznych.

---

*) Pożyczamy te szczegóły z Tygodnika roln.-przemysłowego krakowskiego. Rok V. 1858. Nr. 25.

*) Porównaj: *Schilderung der Cultur- und Bevölkerungsverhältnisse zu dem des Handels- und der Verkehrsmittel und der vornehmlichen Industrie-Zweige in Grossherzogtum Krakau und den westlichen Kreisen Galiziens während der Jahre 1854 — 56. Verfasst von der Krakauer Handels- und Gewerbe-Kammer. Krakau 1861.*

Brak dostatecznych źródeł nie pozwala nam szerzéj nad przemysłem galicyjskim się rozwodzić i każe nam poprzestać na tych kilku cyfrach, które raczéj za przykłady służyć mogą, aniżeli przedmiot wyczerpać. Lenistwo i ospałość, brak wszelkiego zmysłu przedsiębiorczego połączone z brakiem kapitału postawiły nas pod względem przemysłu w porównaniu z innemi krajami koronnemi Austryi tak niesłychanie w tyle, że teraz spokojnie patrzeć musimy jak nasze płody surowe przerobione zagranicą, nazad do nas powracają. Ale i te gałęzie przemysłu, które przed kilkunastu laty do pewnego doszły były stopnia pomyślności, jedne po drugich upadają. Smutny to zaiste objaw, jeszcze smutniejszy przy upadającém rolnictwie. Nie lepiéj się téż rzecz ma z kulturą moralną, któréj wyraz znajdujemy

4. w szkołach.

Austrya należy do państw, które dotąd bardzo mało łożyły na oświatę publiczną. W budżecie na rok 1864 figuruje pozycya oświecenia w cyfrze 3,194,402 fl., podczas gdy Prusy wydają rocznie na ten cel około 3 miliony talarów, a Francya przeszło 19 mil. franków. Z tak szczupłéj dotacyi bierze Galicya dosyć znaczną część bo 497,620 fl. w. a., a zatém daleko więcéj aniżeliby na jéj rozległość i ludność w porównaniu z innemi prowincyami wypadało. Pomimo tego cyfra ta jest tak niską, że o przeprowadzeniu porządnego systemu wychowania publicznego ani myśleć można. To téż ilość szkół ludowych będących kamieniem węgielnym wszelkiéj oświaty, nietylko że się w Galicyi nie powiększyła, ale przeciwnie znacznie uszczuplała. Posiadała bowiem Galicya *)

w latach	1847	1854	1864
gimnazyów	13	14	18
uczęszczających doń . . .	4,115	3,674	6,329
szkół ludowych	3,061	2,727	2,641
nauczycieli	—	2,571	3,700
uczęszczających dzieci . .	125,005	122,882	184,824

*) Patrz cytowane już: *Tafeln zur Statistik der österr. Monarchie, Band I und II.*

Z tablicy téj widzimy, że przybycie kilku gimnazyów nie zastąpi kilkuset szkół ludowych, które w ostatnich latach zamknięto.

Sądząc z coraz wzrastającéj ilości chodzących do szkół dzieci twierdzićby trzeba, że potrzeba oświaty coraz bardziéj przenika masy i znagla rodziców do posyłania dzieci do szkoły, chociaż im to, w skutek zmniejszonéj liczby szkół, trudniéj przychodzi niż poprzednio. Z tém wszystkiém przyjmując według wyrachowania z r. 1857, że na 100 ludzi znajduje się w Galicyi 17·69 we wieku lat 6 — 14, to jest właśnie we wieku szkolności (*schulfähig*), znajdziemy, że u nas na 789,000 dzieci tylko 184,824, to jest każde piąte dziecko do szkoły uczęszcza. Jedna szkoła wypada w Galicyi na 2,500 mieszkańców, a na jednę szkołę 72 dzieci. Że dawniéj jeszcze było gorzéj, dowodzi ten ze wszech miar uwagi godny fakt, że z 24 rekrutów galicyjskich jeden zaledwie umie czytać i pisać.

Tak niski stan oświaty krajowéj stoi niezawodnie w związku z małym nakładem rządu na ten tak ważny przedmiot. Wprawdzie w ostatnich latach poczęto się u nas gorliwie zajmować kwestyą wychowania publicznego. Ileż to nie ułożono programów, nie wybrano komisyi i nie napisano artykułów o potrzebie zakładania szkółek? Ale téż wszystko kończyło się na tém, bo bez podstawy materyalnéj i należytych środków pieniężnych nic przeprowadzić się nie da. Zresztą i ustawę o konkurencyi szkolnéj zmienićby należało, i rozłożyć równiéj ten ciężar, który obecnie samą tylko obarcza ziemię. Póki to nie nastąpi, pozostanie Galicya krajem pogrążonym w ciemnocie, którą zaledwie usiłowania kilku pokoleń usunąć zdołają, jeżeli im do tego sił i chęci nie braknie.

Gdybyśmy ze wszystkiego co dotąd powiedziane zostało, złożyć sobie chcieli ekonomiczno - społeczny obraz Galicyi, to zaiste obraz ten będzie bardzo smutnie wyglądał. W obrazie tym zobaczymy zdziesiątkowaną głodem i epidemiami, coraz bardziéj topniejącą ludność, znacznie zmniejszoną produkcyę rolną, upadający przemysł, brak kapitałów i coraz uciążliwsze warunki kredytu, a nareszcie w grubéj ciemnocie pogrążoną całą większość ludności. Co gorsza cyfry wzięte z lat kilkunastu wskazują wszędzie wzmagający się upadek. Wobec tych faktów smutnych, niezbitych dowodów nędzy i ubóstwa, podatki

jakie płaci Galicya rządowi, w przeciągu lat 18 prawie się podwoiły. Gdyby kto chciał sądzić o stanie naszego kraju z budżetu rządowego, toby tam pewno upadku się nie dopatrzył, lecz przeciwnie na coraz wzmagający się dobrobyt wnioskować musiał. Dla lepszego rozpatrzenia się przytaczamy tablicę wykazującą ogół ciężarów płaconych przez Galicyę do skarbu państwa:

wynosił	w latach			
	1847	1854	1857	1863
podatek gruntowy	2,847,667	3,553,022	3,587,985	4,520,460
domowy	643,212	1,010,365	1,179,089 (domowy i klasyczno-domowy)	803,426
klasyczno-domowy	—	—		1,249,941
zarobkowy . . .	155,713	275,205	340,678	421,025
dochodowy . . .	—	412,811	519,020	569,046
spadkowy (*Erbst.*)	34,623	31,632	—	16,359
żydowski . . .	730,716	—	—	—
Suma stałych	4,402,432	5,283,035	5,626,781	7,580,257
konsumcyjny . .	1,709,402	2,560,046	2,744,444	6,165,919
cło	822,622	763,563	726,630	427,454
monopol soli . .	3,983,599	3,866,295	5,355,391	6,814,674
„ tytuniu .	2,205,325 (tytuniu, stemple, taksy i opłaty, loterye, poczta, myta)	1,504,723	2,138,068	2,697,036
stemple		1,783,484 (stemple, taksy i opłaty, loterye, poczta, myta)	557,647	913,701
taksy i opłaty . .			879,995	1,085,362
loterye			277,469	284,281
poczta			956,300	72,440
myta			481,777	542.944
Suma niestałych	8,720,948	10,477,111	14,117,721	19,003,801
Suma ogólna .	13,123,380	15,760,146	19,744,502	24,584,058

Zważyć tu jeszcze trzeba, że rok 1847 obejmuje Galicyę z Bukowiną, a późniejsze bez. Dochody niestałe bierzemy tutaj w cyfrze, która do skarbu wpłynęła jako dochód czysty. Biorąc zaś dochody niestałe brutto t. j. w cyfrze opłacanéj przez opodatkowanych, zobaczymy, że Galicya płaciła podatków:

w roku 1847 16,583,910 fl. m. k.
„ 1854 21,299,781 „

w roku	1857	23,593,437	fl. m. k.
„	1863	31,244,351	„

Cyfra to zaiste wielka, a większą się jeszcze stanie, jeżeli do niéj dodamy ciężary krajowe i gminne. Galicya opłaca dzisiaj na głowę mieszkańca tyle, co środkowe i północne Niemcy; czy zaś tyle co one produkuje, o to i pytać zbyteczna.

Zestawiając podatki galicyjskie z ludnością i produkcyą, przychodzi się do przekonania, że u nas stoją one do pomyślności krajowéj w odwrotnym stosunku: w miarę jak podatki wzrastają, ludność i produkcya się zmniejsza. Słusznie więc w podatkach upatrują przyczynę smutnego stanu w jakim się znajduje Galicya i jeden z główniejszych czynników działających szkodliwie na dobrobyt krajowy. Przekonamy się o tém lepiéj w dalszym ciągu téj pracy, zastanawiając się poszczególe nad pojedynczemi rodzajami podatków, o których nam z kolei rzeczy mówić przychodzi.

Trzymając się podziału przyjętego zarówno przez naukę jak przez administracyę, weźmiemy najprzód pod rozbiór podatki stałe, a następnie niestałe, i zakończymy rzecz całą kilkoma uwagami nad projektami reform podatkowych.

ROZDZIAŁ DRUGI.

O podatkach stałych.

1. Podatek gruntowy.

Już w dwa lata po zajęciu w posiadanie Galicyi począł rząd austryacki myśleć o reformie podatku gruntowego zwanego za czasów Rzeczypospolitéj polskiéj ofiarą. W tym celu zażądały władze finansowe w r. 1774 od właścicieli majątków ziemskich zeznań dochodów. Od zeznanego dochodu wymierzony został podatek dominikalny we wysokości 12% po odciągnięciu poprzednio od 5·10% aż do 20% na koszta uprawy. Do opodatkowania gruntów włościańskich czyli rustykalnych wzięto także za podstawę własne zeznania posiadaczy pobieżnie tylko kontrolowane przez wyznaczonych do téj czynności komisarzy.

*) Wszystkie cyfry, które w ciągu tego rozdziału cytować będziemy, wyjęte są z dzieła: *Tafeln zur Statistik des Steuerwesens im österr. Staate mit besonderer Berücksichtigung der directen Steuern, herausgegeben vom Finanzministerium. Wien 1858.*

Grunta orne włościańskie opodatkowane zostały we wysokości 10 kr. od jednéj mecy wysiewu, odtrąciwszy jednę trzecią część roli na ugór. Łąki szacowane były według wydatku siana, tak że na każdą furę siana wypaść miał podatek 3 krajcarów. Późniéj jednak zezwolono na zmniejszenie tego na owe czasy zbyt wysokiego podatku przy gruntach średniéj jakości o $^1/_5$, a w złéj całkiem glebie o $^2/_5$. Włościanie osiadli na gruntach królewskich płacili jak poprzednio po 25 fl. m. k. z każdego łanu.

W kilka lat po tym pierwszym experymencie podatkowym zapowiedział cesarz Józef II patentem z dnia 20 kwietnia 1785 r. ogólną reformę podatku gruntowego, który odtąd miał równo obciążać wszystkie prowincye, gminy i właścicieli ziemskich bez żadnéj różnicy stanu i narodowości, tylko w miarę ilości posiadanego gruntu i ciągniętych z niego korzyści. W skutek tego nastąpiły najprzód pomiary, które jednak tylko w lasach i w mniéj dostępnych okolicach przez mierników, gdzieindziéj zaś łańcuchami przez wieśniaków pod kierownictwem komisarzy przedsięwzięte zostały; potém zażądano od właścicieli zeznań co do rodzaju uprawy i co do plonu uprawianych w kraju gatunków zboża, a nakoniec plony w naturze porównane pomiędzy sobą zredukowano na dochód w pieniądzach, mnożąc je przez przeciętne ceny zboża z lat 1772—82. Od każdych stu guldenów dochodu brutto wymierzony został we wszystkich prowincyach niemiecko - słowiańskich podatek w téj saméj wysokości jak następuje: pola orne płacić miały 10 fl. 37 kr., łąki 17 fl. 85 kr., a pastwiska i lasy 21 fl. 15 kr. Sama tylko Galicya uzyskała chwilową ulgę o $^1/_3$ całéj należytości.

Kataster Józefiński ukończony z niesłychanym pośpiechem w przeciągu lat 4 wszedł w życie z 1szym listopada 1789 r., ale już w półtora roku późniéj przez cesarza Leopolda IIgo uchylony został. Wrócono więc do dawniejszego systemu opodatkowania, który już bez żadnéj przerwy przetrwał aż do r. 1817. W tym roku wyszła ustawa zaprowadzająca stały kataster i określająca sposób w jaki tenże miał być przeprowadzony. Że jednak wykonanie pomiarów bardzo wiele czasu zabierało, więc dla Galicyi, na którą kolej na ostatku przyjść miała, przywrócony został rozporządzeniem z dnia 8go lutego 1819 roku kataster Józefiński jako prowizoryum aż do ukończenia

stałego katastru trwać mające. Przy téj sposobności uwzględniono odmiany, jakie od roku 1789 zaszły w stanie kultury, i zmieniono stosunek opodatkowania różnych gatunków uprawy pomiędzy sobą, zresztą zasady katastru Józefińskiego zostały nienaruszone i podziśdzień służą jeszcze za podstawę podatku gruntowego.

Przedłużenie na tak długi okres czasu stanu tymczasowego musiało bardzo niekorzystnie wpłynąć na stosunki rolnicze w Galicyi. Już zaraz w początku kataster, do którego pomiary uskuteczniane były przez chłopów, a którego szacunki opierały się na dobrowolnych zeznaniach właścicieli, nie mógł równo ciężaru podatkowego na wszystkich rozłożyć. Ale od r. 1819 potrzeby państwa niesłychanie się wzmogły i w téj saméj mierze i podatki także podwyższone zostały. W skutek tego początkowa nierówność podatku doszła do bardzo znacznych rozmiarów, a to co zrazu było tylko uciążliwém, dzisiaj stało się nieznośném. Podatek gruntowy składa się teraz z ordinaryum, wyrachowanego na podstawach wyżéj wykazanych, z dodatku $^1/_3$, z nadzwyczajnego dodatku $^2/_6$, z dodatku indemnizacyjnego i na fundusze krajowe (w Galicyi zachodniéj 63 centów od każdego guldena wynoszących) i z wielu innych jeszcze dodatków na potrzeby miejscowe. Weźmy tedy dwóch rolników, którzy posiadają dwie realności pod zupełnie temi samemi warunkami położone, z których jednak opłacali w r. 1850 w skutek nierównego rozkładu pierwszy 1 fl. m. k., a drugi 3 fl. z każdéj morgi podatku gruntowego. Dzisiaj z dodatkami płaci jeden z nich 2 fl. $29^2/_3$ kr., a drugi 6 fl. 89 kr. Co więcéj, przy konkurowaniu na kościół, na szkoły, do naprawy dróg i mostów i t. p. dwaj sąsiedzi pociągani są w ten sam nierówny sposób, zawsze na podstawie pierwotnego podatku gruntowego. Ani się więc dziwić można, że gdy jeden z nich będzie się miał dobrze, drugiego dochody pochłonięte będą przez ciężary do gruntu przywiązane. Zacytowany przykład nie należy pewno do najjaskrawszych, bo same rządowe wykazy przyznają, że we wielu miejscach zabierają podatki tylko 3% czystego dochodu, w innych zaś 50%.

Odrzuciwszy na bok nierówność w rozkładzie podatku gruntowego w Galicyi, to przecież przedstawia on się za wysoki równie ze względu na produkcyę krajową, jak i w poró-

wnaniu z podatkami opłacanemi przez inne kraje koronne w monarchii. Twierdzenie to musimy poprzeć cyframi.

Galicya liczy 1380·88 mil kwadratowych, z których tylko 34 we wschodniéj (2·59% całéj powierzchni), a 18 w zachodniéj (1·36% całéj powierzchni) należy do ziemi nieuprawianéj.

Z powierzchni produkcyjnéj wypada:

na grunta orne	5,584.504	morgów
na łąki i ogrody . . . . , ...	1,761.989	„
pastwiska	1,142.161	„
lasy	3,419.589	„
razem morgów n. a. . . .	11,858190	„

Grunta orne zajmują 48% a lasy 27% całéj urodzajnéj powierzchni.

Urodzajna powierzchnia rozdzielona jest na parcel

w Galicyi wschodniéj	9,280.566
„ „ zachodniéj	5,740.446

w pierwszéj wypada na jedną parcelę 1.04, a w drugiéj 0.70 morgi n. austr. Właścicieli ziemskich posiadała w roku 1856

Galicya wschodnia	401.657
„ zachodnia	183.018.

Na jednego właściciela wypada w Galicyi wsch. parcel 23.1, mogów 24 ; w Galicyi zach. parcel 31.4, morgów 21.9. Podatek gruntowy wynosił w r. 1863 4,520.460, a z dodatkami na potrzeby krajowe, na które się płaci w Galicyi zachodniéj **63** krajcarów od każdego guldena podatku stałego, a we wschodniéj **50** kr. przeszło 6 milionów złr. Morga produkcyjnéj powierzchni płaci więc w Galicyi pięćdziesiąt kilka krajcarów, morga gruntów ornych z opuszczeniem łąk, pastwisk i lasów 1 złr. 10 kr. Na parcelę wypada podatku gruntowego czterdzieści kilka krajcarów, na głowę właściciela ziemskiego przeszło 10 złr. Szczególniéj rażącą jest wysokość podatku gruntowego w odniesieniu do wartości ziemi i przypuszczalnego z niéj dochodu. Według obliczeń rządowych uczynionych na podstawie dat statystycznych z lat 1851—56, wartość własności ziemskiéj wraz ze zabudowaniami

wynosi w Galicyi	477,496718 fl.	w. a.
inwentarzy żywych	150,393087 fl.	„
narzędzi gospodarskich	44,409736 fl.	„
summa . . .	672,299954 fl.	w. a.

Wprawdzie metoda wzięta za podstawę tego wyrachowania, nie jest bez zarzutu. Przypuszczając bowiem, że własność nieruchoma w Galicyi co lat 25 zmienia właściciela, pomnożono przez 25 wartość dóbr, które każdego roku opłacają należytość skarbową od przeniesienia własności. Ale podatek od przeniesienia własności bierze najczęściéj za podstawę podatek gruntowy, który 100 wzięty ma reprezentować wartość nieruchomości. Otrzymana w tak sztuczny sposób wartość nieruchomości, nie zawsze odpowiada wartości istotnéj. Że jednak podatek gruntowy w Galicyi jest znacznie wyższy, aniżeli w innych prowincyach monarchii, przeto wartość morgi wyrachowana na podstawie sto razy wziętego podatku, dosyć się zgadza z cenami rzeczywistemi. Inaczéj się ma rzecz w innych krajach koronnych, tam szacunek katastralny od dawna stoi w sprzeczności z rzeczywistością. Pomijając jednak ten wzgląd i przyjmując wartość własności nieruchoméj w Galicyi na 477,496718 fl. (czyli 40.06 fl. na 1 morgę) a 4% rentę od téjże własności na 19,099.718 fl.*), zobaczemy, że w r. 1860, w którym podatek gruntowy i domowy wynosił 5,950.634 fl., podatki bez dodatków zabierały w Galicyi 24.063% renty a 1.246% zkapitalizowanéj wartości ziemi. Następująca tablica pokaże, jak dalece Galicya podatkiem gruntowym jest przeciążona, w porównaniu do innych prowincyi:

*) Patrz Sprawozdanie Sejmu galicyjskiego z r. 1866.

Wartość własności ziemskiéj wynosiła		4% renta	Czysty dochód katastralny	Należytość podatkowa	Dodatki w krajcarach *)	Stosunek podatku bez dodatku do kapitału	Stosunek podatku bez dodatku do renty
1. w Austryi Niż.	1,065.210.162	42.608.806	13.702.118	9.454,671	57	0·887%	22·191%
2. „ Wyż.	411.956.699	16.478.268	7.866.206	2.500.358	52	0·607	15·181
3. w Salcburgu .	80.497.029	3.219.881	1.349.334	432.098	67	0·537	13·419
4. w Styryi . .	422.879.456	16.915.178	7.284.377	2.498.658	54	0·591	14·775
5. w Karyntyi .	99.415.267	3.976.611	2.515.212	777.053	46·5	0·781	19·540
6. w Krainie . .	101.587.286	4.063.491	3.365.846	1.047.047	41	1·031	25·767
7. we Wybrzeżu .	242.127.428	9.685.097	2.550.114	1.253.487	25·4	0·517	12·942
8. w Dalmacyi .	37.487.764	1.499.511	1.295.951	460.620	24	1·228	30·716
9. w Czechach .	1,736.085.220	69.443.433	47.010.549	15.239.200	40	0·877	21·944
10. w Morawie . .	770.182.730	30.807.309	19.116.285	5.805.371	34·4	0·753	18·848
11. w Szląsku . .	109.605.076	4.384.203	3.485.598	1.065.914	45·6	1·073	24·312
Summa .	125,077.044.719	203.081.788		40.534.477	Wsch. G. 37·5	0·798	19·967
12. w Galicyi . .	477.496.718	19,099.869	23.901.663	5.950.654	Zach. G. 51·9	1·246	26·989
13. w Bukowinie .	51.255.785	2.050.231	959.021	493.307	38·8	1·037	25·930
14. w Lomb. Wenec.	800.701.435	32.028.070	17.433.809	8.305.063	66·6	0·870	24·063
15. we Wegrzech .	1,903.168.900	76.126.756	72.707.860	16.568.500	53	1·079	21·764
16. we Wojewódz.	458.811.435	18.352.457	24.752.316	4.953.250	1·023	25·595	56·1
17. w Kroacyi . .	178.500.000	7.140.000	7.106.578	1.827.540	0·791	19·776	55·9
18. w Siedmiogr. .	251.607.514	10.064.301	13.382.860	1.990.326	0·908	22·689	59
Summa 12—18	2,792.087.849	111.683.514		25.339.616	—	—	—
19. w Tyrolu . .	302.382.462	12.095.298	—	973.500	0·318	8·049	113·6
							50·4

*) Wszystkie cyfry tutaj przychodzące podane są w guldenach mon. kow.

Zastanawiającą jest w przytoczonéj tablicy różnica pomiędzy 4% rentą a dochodem katastralnym. Kiedy bowiem 4% renta w krajach, w których kataster dawniéj zaprowadzony został, jest dwa razy wyższą od dochodu katastralnego, n. p. (we Wyższéj Austryi), w Czechach i Morawie, gdzie kataster świeżo ukończono, jest ona tylko półtora razy wyższą, to w prowincyach węgierskich i Galicyi, gdzie obowiązuje prowizoryum, jest znacznie niższą. Według prowizorycznego katastru szacowany jest dochód ze ziemi

w Galicy wschodniéj na	15,823,657 fl. w. a.
„ zachodniéj na	8,078,006 fl. „
razem . .	23,901.663 fl. w. a.

Z tego przypuszczalnego dochodu idzie na podatek około 20% ze rzeczywistego zaś jak wyżéj widzieliśmy 26.989%. Inaczéj rzeczy stoją w Wyższéj Austryi, gdzie ze rzeczywistego dochodu podatek gruntowy zabiera 15.181%, we Wybrzeżu z Tryestem tylko 12.942%, a w Tyrolu 8.049%.

Ciężar podatków realnych jaki wykazują ostatnie publikacye statystyczne, jest już znacznie wyższy od tego, który nam daje powyższa tabela. W r. 1863 wynosił bowiem

podatek gruntowy	4,520.460 fl.
„ domowy	2,053.367 „
dodatki krajowe	1,898.731 „
summa . .	8,472.528 fl.

z czegoby wypadało, że w roku 1863 na podatek szło 40% ze 4% renty od zkapitalizowanéj wartości ziemi wraz z budynkami.

Ciekawą byłoby rzeczą wyrachować istotną rentę ziemską w Galicyi, i to w ten sam sposób, jak ją stara się wynaleźć stały kataster. Renta taka porównana z opłacanemi przez ziemię podatkami, dałaby obraz rzeczywistego obciążenia ziemi. Ale jeżeli niepodobną rzeczą jest dla rządu ten rachunek przeprowadzić, to tém więcéj trudném byłoby takie zadanie dla prywatnego. Aby się zaś przekonać, jak działają podatki realne na pomyślność krajową, dosyć jest porównać ciągłą progressyą podatku gruntowego z produkcyą rolną w Galicyi: tamten w 10letnim okresie (1847—57) o 89.6% urósł, ta o trzecią część się zmniejszyła.

Zdaje mi się, że będzie dla czytelnika interesującém przytoczenie tablicy stosunkowego wzrostu podatków.

Od roku 1838 powiększył się podatek

	gruntowy	domowy
w r. 1839	o + 0.6%	+ 1.5%
„ 1840	„ + 0.5%	+ 3.3%
„ 1841	„ + 0.3%	+ 6.7%
„ 1842	„ + 0.2%	+ 8.6%
„ 1843	„ + 0.3%	+ 10.9%
„ 1844	„ + 0.3%	+ 13.4%
„ 1845	„ + 0.3%	+ 17.2%
„ 1846	„ + 0.5%	+ 24.4%
„ 1847	„ + 0.1%	+ 27.7%
„ 1848	„ + 0.1%	+ 30.7%
„ 1849	„ + 0.1%	+ 32.6%
„ 1850	„ + 36.0%	+ 65.4%
„ 1851	„ + 69.6%	+ 107.7%
„ 1852	„ + 65.6%	+ 130.2%
„ 1853	„ + 74.5%	+ 141.%
„ 1854	„ + 75.3%	+ 156.%
„ 1855	„ + 78.3%	+ 168.8%
„ 1856	„ + 78.1%	+ 186.%
„ 1857	„ + 90.6%	+ 198.%.

Do tego przyszedł w r. 1859 dodatek wojenny 20%, który w r. 1863 przemienił się w dodatek nadzwyczajny $^2/_6$. Galicya, dla któréj niegdyś cesarz Józef zezwolił był na ulgę jednéj trzeciéj części, nietylko że musiała wszystkie dodatki znosić na równi z innemi prowincyami, ale nadto obarczona została bardzo znacznym dodatkiem na fundusze krajowe, od którego aż po r. 1847 prawie całkiem była wolna.

Podatek gruntowy i domowy wynosił w Galicyi:

w roku 1847	3.481.880 fl.
„ 1863	8,472.558 fl.

to jest w przeciągu lat 16 powiększył się o 135%, a tu jeszcze nie są objęte liczne dodatki na potrzeby gminne i miejscowe, które także coraz bardziéj rosną.

Przy tak wysokiéj stopie opodatkowania ani się dziwić można, że właściciele ziemscy w Galicyi szczególną zwracają uwagę na ostateczną regulacyę podatku gruntowego, która ma

wejść w życie równocześnie z ukończeniem stałego katastru. Kataster słusznie przez wszystkich jest uważany za ostatnią kotwicę ratunku, mającą albo ulżyć ciężarów nieszczęśliwemu krajowi, albo pogrążyć go w nadmiarze klęsk i do ostatecznéj zbliżyć ruiny. Niestety to co o katastrze doszło do publiczności, nie może uspokoić naszych obaw. Już sama metoda wyrachowania czystego dochodu ze ziemi na podstawie słusznéj kombinacyi ułożonego na papierze płodozmianu i domniemanych plonów, licznym podlega zarzutom. Nadto powierzenie całego aktu szacowania obcokrajowcom nie znającym stosunków krajowych a wykluczenie od téj czynności obywateli miejscowych, zwiększa jeszcze niebezpieczeństwo. W innych krajach koronnych monarchii współdziałanie władz krajowych przy przeprowadzeniu katastru usuwało szkodliwe następstwa fałszywéj metody szacowania. To téż podatek gruntowy wyrachowany na podstawie stałego katastru, wypadł mniejszy od podatku prowizorycznego w Austryi Wyższéj o 15 %, w Styryi o 22 % a w Karyntyi o 13 %. W prowincyach północno-słowiańskich, w których stały kataster zaprowadzony został dopiéro w latach 1850 i 51 pod wpływem całkiem odmiennych już stosunków ekonomicznych i spółecznych, podatek gruntowy podniósł się w Morawie o 10 % a w Szląsku o 23 %. Taka nierówność we wynalezieniu czystego dochodu razić musi właśnie w stałym katastrze, którego jest zadaniem wszelkie niejednostajności w opodatkowaniu usunąć i pod jednę stopę podatkową wszystkie kraje monarchii podciągnąć. W każdym razie najgorzéj wyjdzie na stałym katastrze Galicya, w któréj czynności katastralne dopiéro są na ukończeniu. Pan Kornel Krzeczunowicz sądzi, że podatek wyrachowany na podstawie stałego katastru, byłby dwa razy tak wielki jak podatek obecny. Kataster już zaprowadzony w W. Ks. Krakowskiém po części usprawiedliwia to przewidywanie. Wziąwszy bowiem pod uwagę więcéj jak średnią glebę okręgu dawnéj Rzeczypospolitéj Krakowskiéj znajdujemy plony katastru stałego za zbyt wysokie, a mianowicie z jednéj morgi

pszenicy mec niż. austr.	11
żyta „ „ „	10
jęczmienia „ „ „	14
owsa „ „ „	12

kartofli	mec niż. austr.	74
grochu	„ „ „	8

a cóż dopiéro mówić o owéj sztucznéj rotacyi całkiem rzeczywistéj uprawie nieodpowiadającéj, a która podwyższyła jeszcze cyfrę dochodu w naturze!

Równie jest wysoki dochód w gotowiznie, bacząc, że ceny zboża brane są z r. 1824. Dochód ten wynosi:

z morgi gruntn ornego	3 fl. — 36	kr.
„ łąki	4 fl. — 44	„
„ lasów wysokopiennych	1 fl. — 29	„
„ „ niskopiennnych	2 fl. — 56	„

Gdyby te same cyfry zastósowane być miały do Galicyi, tobyśmy dostali czysty dochód będący o wiele wyższy od rzeczywistego. Szczególniéj zagrożone są wysokim podatkiem lasy, z których dochód wypada w W. Ks. Krakowskiem wyżéj jak przeciętna w całéj monarchii, (w prowincyach stałego katastru dochód z lasu niskopiennego oznaczony jest na 1 fl. 13 kr.), a które we wielu miejscach Galicyi wcale nic albo mało co przynoszą.

Nie chcąc dłużéj rozszerzać się nad przedmiotem przez uczonego p. K. Krzeczunowicza tylokrotnie omówionym, kończymy ten przedmiot wzmianką, iż podzielamy z nim w zupełności obawę, aby stały kataster nie obciążył Galicyi jeszcze większym podatkiem i że wyrażamy życzenie, aby z idealnego szacunku wyrachowane dochody i wyprowadzona z nich sztucznie wartość ziemi, istotnemi cenami dzierżaw i kontraktów kupna i sprzedaży kontrolowaną, a w danym razie i prostowaną być mogła.

2. Podatek domowy *(Gebäude-Steuer)*.

Podatek domowy został w Galicyi początkowo rozpisany jako dodatek do należytości kwaterunkowych najprzód we Lwowie w r. 1775 a w innych miastach w r. 1776. We Lwowie za podstawę podatku przyjęte zostały dobrowolnie zeznane czynsze pobierane z domów, które po odtrąceniu 10 $/_0$ na koszta utrzymania budynku, opodatkowane zostały jako czysty dochód we wysokości 10 $/_0$. W innych miejscach podzielono wszystkie domy na 8 klas i wymierzono na nie podatek według stałéj taryfy wynoszącéj dla najniższéj klasy 14 kr., dla

najwyższéj zaś 16 fl. 40 kr. Na téj pierwotnéj podstawie wyrobiły się dwa odrębne systemy opodatkowania:

a) Podatek czynszowo-domowy zaprowadzony w stolicach krajów koronnych i w niektórych innych większych miastach rozporządzeniem z dn. 23 lutego 1820 r. Od czynszów domowych przez właścicieli dobrowolnie zeznawanych i to pod przysięgą, strącano 15% na utrzymanie budynku, a od reszty płacić się miało 16% podatku, do czego przyszedł w r. 1850 dodatek 5 1/3%. Patent cesarski z d. 10 października 1849 roku rozciągnął w krajach niemiecko-słowiańskich podatek czynszowo-domowy na wszystkie miejscowości, w których zwykle przynajmniéj połowa budynków mieszkalnych wynajmuje się, tudzież na wszystkie budynki wynajmowane bez żadnego względu na ich położenie. Z tych miast drugiéj klasy zezwolił patent na strącenie 30% dochodu na koszta utrzymania, a od reszty wymierzył podatku 12% i dodatku 4%.

b) Podatek klasyczno-domowy opłaca się według stałéj skali od domów położonych w tych wszystkich miejscach, które podatkowi czynszowo-domowemu z r. 1819 nie podpadały. W tych zaś miejscach, które opłacają podatek czynszowo-domowy na podstawie patentu z d. 10 października 1849, podatek klasyczny w podatek czynszowo-domowy wrachowany bywa. Podatek klasyczno-domowy obciąża tylko takie budynki, które albo w całości albo przynajmniéj w części są zamieszkałe, wozownie, stodoły i t. d. od niego całkiem uwolnione zostały. W celu wymierzenia należytości podatku klasycznego podzielono wszystkie domy podatkowi podlegające na klasy, na każdą z nich wypada pewna oznaczona kwota podatkowa. Budynki bez piętra podzielone na klas 11, płacą od 20 kr. do 5 fl., budynki o piętrach podzielone na klas 9, płacą od 3 fl. aż do 9 fl. m. k.

Już powyżéj traktowaliśmy podatek domowy w połączeniu z gruntowym jako należący z nim do oddziału podatków rzeczowych (realnych) przywiązanych do pewnych oznaczonych przedmiotów bez względu na ich właściciela; teraz sam podatek domowy zajmować nas będzie.

W 20letniéj peryodzie od r. 1838—57 podniósł się podatek domowy w monarchii o 198%. Rok 1859 podwyższył go jeszcze o dodatek wojenny. Jeżeli jednak wzrost podatku do-

mowego (a uważamy tutaj czynszowy i klasyczny razem) był tak znaczny w całéj monarchii, to w Galicyi, która od r. 1847 bardzo mało podatku domowego opłacała, stał on się jeszcze znaczniejszym.

W r. 1847 płaciła Galicya podatku domowego	634.213 fl.
„ 1854 po zaprowadzeniu dodatku $1/_3$ czyli 5 $1/_3$ %	1,010.365 „
„ 1863 czynszowo-domowego	803.426 „
klasyczno-domowego	1,249.941 „
Razem . .	2,053.367 fl.

co stanowi powiększenie w przeciągu lat 16 o 223%. Dodać do tego potrzeba dodatki na potrzeby krajowe i gminne, które przed r. 1847 prawie nie istniały, a będziemy mieli obraz półtrzecia do trzechmilionowego ciężaru, który mają budynki mieszkalne do dźwigania. To przeciążenie biednéj Galicyi, dawniéj dosyć pod względem podatków oszczędzanéj, tém więcéj razić musi, jeżeli zważemy, że Tyrol i Wenecya całkiem od podatku domowego są wolne, a kraje węgierskie pojedyńcze taryfy płacą, podczas gdy Galicya płaci podwójne.

Ale przejdźmy do szczegółów zaczynając od

a) Podatku czynszowo-domowego.

Podatek ten nałożony jest na czysty dochód, jaki właściciele domów przez ich wynajmowanie pobierają, w zasadzie więc nie byłoby przeciw niemu nic do powiedzenia, gdyby zbyt elastyczne przepisy patentu z roku 1849 nie zostawiały w wykonaniu szérokiego pola dowolności władz finansowych. W skutek téj dowolności podatek czynszowo-domowy tam nawet zaprowadzony został w Galicyi, gdzieby o nim wcale mowy być nie powinno, jak się o tém łatwo przekonać możemy.

Według popisu z roku 1857 liczyła Galicya 4.597,470 mieszkańców. Wprawdzie tabele statystyczne austryackie nie rozróżniają wcale ludności na miejską i wiejską to jest na mieszkańców wsi i miast; ale natomiast znajdujemy w nich wyliczone wszystkie miejscowości, które więcéj jak 2000 mieszkańców posiadają. Ilość miast i miasteczek z ludnością wyżéj 2000 wynosi:

w Galicyi wschodniéj	122
„ zachodniéj	45
razem . .	167

Pierwsze liczą ludności		570.323
drugie		187.175
	razem	757.498

Na podstawie tych cyfer możnaby szacować ludność miejską w Galicyi na $^1/_6$ albo na 16—17% ludności całego kraju. Cyfry te jednak nic jeszcze nie stanowią. Wiadomą jest bowiem rzeczą że mieszkańcy miasteczek zatrudniając się rolnictwem nie wiele się od wieśniaków wyróżniają, i że po miasteczkach równie jak i po wsiach o wynajmowaniu mieszkań nie może być mowy. Aby otrzymać ludność właściwie miejską, trzeba wziąść miasta liczące wyżéj 5000 mieszkańców, których jest w Galicyi 28, z ludnością 343,832 według dat z r. 1857. Od tego czasu ludność się zwiększyła, ale choćbyśmy ją na 400,000 szacowali, toby dopiero 8% całéj ludności stanowiła. Ludność ta zamieszkuje po większéj części miasteczka raczéj niż miasta i zajmuje się trochę rolnictwem, trochę przemysłem i rękodziełami, rzadko kiedy handlem. Przyjmując, że jedna trzecia część domostw w tych miejscowościach jest wynajmowaną (i to za liche pieniądze) mijamy się prawie z rzeczywistością. Tém bardziéj zadziwić nas musiało, gdyśmy znaleźli w tablicach statystyki podatków, że czynsz domowy w miejscach opłacających podatek czynszowo-domowy, obrachowany jest:

w Galicyi wschodniéj na		2.718,797
„ zachodniéj na		1.356,397
	razem	fl. 4.075,194

Tenże czynsz wynosi:

w Styryi	1.926,830 fl.
w Czechach	7.900,890 fl.
w Węgrzech	10.954,000 fl.
w całéj monarchii	62.817,588 fl.

Jakżeż pogodzić cyfry te z faktem, że Galicya jest jedną z prowincyi austryackich najuboższych w miasta, prowincyi, gdzie 88% całéj ludności trudni się rolnictwem i który tylko trzy większe miasta posiada? Jestże choć trochę prawdopodobném, aby czynsze z domów w bogatych, ludnych i obfitujących w miasta Czechach tylko dwa razy, a w rozległych i zamożnych Węgrach tylko półtrzecia raza były większe od czynszów galicyjskich? Więc w Galicyi każdy mieszkaniec

miast, rachując w to kobiety i dzieci, wydaje rocznie 10 fl. na pomieszkanie? Zdaje mi się, że te kilka słów wystarczy aby mocno podkopać, jeżeli nie zupełnie obalić wiarogodność urzędowych twierdzeń. Mogły one tylko powstać przez zamieszczenie takich miejscowości w kategoryi miast, w których większa część domów nie jest wynajmowana, i przez sztuczne i dowolne obrachowanie pobieranych przez właścicieli czynszów domowych.

Wyrachowany na podstawie domniemanych czynszów podatek czynszowo-domowy wynosił w roku 1863 w Galicyi 803.426 a z dodatkami na fundusze krajowe śmiało na 1 milion przyjęty być może. Podatek ten zabiera więc 25% idealnych a bardzo często — jak tego rozliczne przykłady nas pouczają — 30 a nawet 35% rzeczywistego dochodu z domów w miastach stołecznych. To też rzadkie są wypadki aby ktoś w Krakowie albo Lwowie porywał się na budowanie nowych domów, a to głównie dla obawy płacenia podatku. W Krakowie za méj pamięci w 15 latach nie wiem czy 10 domów postawiono, nie rachując tych, które odbudowane zostały po pożarze pod opieką wielu wyjątkowych korzyści. Podatek czynszowy wysoki i gniotący we formie, paraliżuje rozwój równie większych jak i mniejszych miast, które go opłacają. Podczas gdy podatek czynszowo-domowy jest skierowany na obciążenie czystego dochodu z domów, to jest ich wartości zamiennéj.

6). Podatek klasyczno-domowy ma przeciwnie na oku ich wartość użytkową i zdaje się dążyć do opodatkowania kapitałów obróconych na wystawienie budynków. Zasady jednak na podstawie których podatek klasyczny bywa rozkładany, nie odpowiadają wcale temu założeniu, ale przeciwnie skrzywiają je w zastósowaniu. Zamiast uwzględnić takie okoliczności, które o rzeczywistéj wartości budynku opodatkowanego dają dokładne wyobrażenie, podatek klasyczny zadawalnia się sporządzeniem taryfy nakładającéj na domy pewien stały podatek według ilości części zamieszkałych z których się dom składa. Położenie budynku, jego wartość, trwałość materyałów z których został wybudowany, wcale nie wchodzą w rachunek. Wskutek tak niedostatecznych przepisów podatek klasyczny nie może być ani na pojedyńcze kraje, ani na powiaty, gminy i opodat-

kowaniu podlegające domostwa sprawiedliwie rozłożony. Wprawdzie istnieją dwie taryfy, a niektóre kraje wcale są od podatku klasycznego wolne, ale dobrodziejstwem pojedynczéj taryfy cieszą się tylko Węgry, a uboga Galicya płaci podwójne taryfy na równi z najzamożniejszemi prowincyami monarchii. Nędzny rzemieślnik galicyjski, ubogi, nie raz z głodu może umierający góral karpacki, płaci ten sam podatek domowy, jak zamożny przemysłowiec mieszkający pod Wiedniem, lub chłop czeski z okolic Pragi, jeżeli jego domostwo teżsamą ilość części mieszkalnych posiada. Podatek klasyczny wychodząc z bezwzględnéj równości, narusza w zastósowaniu wszystkie zasady sprawiedliwości i zdrowéj polityki gospodarczéj, która żąda, aby każdy według swéj możności pociągany był do ponoszenia ciężarów publicznych. Zamiast podniecać, podatek ten niszczy produkcyę krajową, i jest dla ludności galicyjskiéj nowego rodzaju pogłównem, opłacaném zarówno przez bogaczów jak nędzarzy.

Dla porównania podatku klasycznego opłacanego przez Galicyę z innemi krajami koronnemi, przyłączamy następującą tabelę:

	Ilość domostw opłacających pod. klasycz.	na 1 milę kwadrat. wypada domów opłacać pod. klas.	na jeden dom wypada mieszkańców: ogółem	na jeden dom wypada mieszkańców: z wyłączeniem stolicy	Podatku wypada: na jeden dom	Podatku wypada: na jednego mieszkańca
1) W krajach taryfy podwójnéj:			guldenów			
W Niższéj Austryi	150,871	483	10.0	7.6	2.8	— 25
„ Wyższéj Austryi	104,903	517	7.0	6.9	2.21	— 22
„ Salcburgu	20,087	171	7.0	6.4	1.32	— 16
„ Styryi	156,178	411	6.6	6.4	1.17	— 14
„ Karyntyi	44,903	256	7.3	7.2	1.20	— 12
„ Krainie	68,808	405	7.1	6.9	1—8	— 11
„ Wybrzeżu	71,786	540	7.3	6.7	1—27	— 18
„ Czechach	607,829	685	7.9	7.7	1—21	— 13
„ Morawii	289,386	764	6.5	6.4	1—14	— 14
„ Szląsku	66,377	753	7.1	7.0	1.16	— 13
„ Wschodniéj Galicyi	427,167	446	7.3	7.2	1.½	— 10
„ Zachodniéj Galicyi	238,985	603	7.4	7.2	1.1	— 10
„ Bukowinie	66,887	369	6.2	6.1	1.2	— 15
Summa	2,290,080	468	6.7	—	1.19	— 22
2) W krajach taryfy pojedyńczéj:						
W Dalmacyi	64,671	312	6.4	6.4	— 21	— 5
„ Węgrach	1,229,511	411	6.6	6.1	— 25	— 10
„ Kroacyi	139,999	464	6.4	7.1	— 29	— 10
„ Serbii	247,807	485	6.2	7.4	— 26	— 6
„ Siedmiogrodzie	412,134	404	5.3	—	— 19	— 5
Summa	2,114,209	—	—	—	— 25	—
1 + 2	4,404,289	—	—	—	— 53	—

Cyfry te przekonywują nas, że wysokość podatku wypadającego na jeden dom w Galicyi jest wprawdzie cośkolwiek niższa aniżeli w innych krajach koronnych podwójnéj taryfy, ale zato ilość domów na jednéj mili kwadratowéj znajdujących się jest szczególniéj w Galicyi zachodniéj znacznie większa, aniżeli w innych krajach koronnych. Tak więc domostwo w Galicyi mało co mniéj płaci podatku aniżeli w innych prowincyach monarchii. Biorąc zaś wzgląd na mniejszą wartość budynków mieszkalnych galicyjskich, zbudowanych ze słomy i drzewa, a opodatkowanych tak jak domy czeskie murowane z kamienia i pokryte dachówką, zważając nadto na mniejszą ich użyteczność, gdyż dają przytułek nędznéj i biednéj ludności, podczas gdy w domach czeskich mieszkają skrzętni pracownicy: możemy śmiało twierdzić, że podatek klasyczny niesłychanie przeciąża Galicyę.

Jeszcze przed rokiem 1846 nie mogła Galicya podołać ciężarowi podatków gruntowego i domowego. Od tego czasu produkcya się zmniejszyła, ludności ubyło, a z nią i sił płacenia podatków. Dowodzą tego coraz bardziéj wzrastające zaległości podatkowe i zezwolone przez władze finansowe ulgi. Biorąc przecięcie z lat 20 (1834—1853) ulgi w podatku gruntowym i domowym wynosiły:

	z powdu szkół elementarnych guldenów	innych względów	w procentach od całéj należytości podatk. *ad 1.*	*ad 2.*
W Galicyi . . .	162,634	439,605	2.02	5.46
„ N. Austryi .	16,459	21,306	0.89	1.15
„ W. Austryi .	14,897	48,198	0.33	1.06
„ Salcburgu .	1,873	469	0.93	0.23
„ Krainie i Karynt.	21,294	9,456	1.62	0.72
„ Wybrzeżu . .	24,366	11,112	4.0	1.83
„ Czechach . .	113,538	21,123	1.67	0.31
„ Morawie . .	55,510	17,635	1.53	0.48
„ Szląsku . . .	8,920	2,338	1.55	0.41
„ innych krajach .	531,946	646,844	1.82	2.21

Cyfry te mówią wymownie. Wymowniejszym jest jeszcze fakt, że w roku 1863 w całéj monarchii zaległości podatku gruntowego wynosiły 7.990,440 fl.; w Galicyi zaległo 779,859 fl. Okoliczności tego rodzaju powinnyby na się zwrócić uwagę

władz finansowych, skoro pewném jest, że przeciążenie istnieje, zdrowa polityka radziłaby raczéj obniżyć podatki, aniżeli szafowaniem ulg ratować pojedynczych kontrybuentów. Ta ostatnia droga nierównie jest dla stron cierpiących uciążliwsza i niepewniejsza, gdyż robi je zależnemi od łaski lub niełaski władz finansowych, ale równie i dla rządu jest niedogodną i kosztowną.

3. Podatek zarobkowy i dochodowy.

Podatki te należą do rodzaju podatków zwanych osobistemi, dla tego że nie są przywiązane do posiadania jakiegoś przedmiotu, lecz owszem zależą od osobistych własności opodatkowanego. W wspólnéj nazwie osobistych, łączymy podatki od zysku z przedsiebiorstw, od renty z kapitałów i od dochodu z pracy. W austryacki system opodatkowania kapitału ruchomego i pracy, w system pod wieloma względami niezupełny, a we wielu miejscach bardzo wadliwy, wchodzą:

a). Podatek zarobkowy (*Erwerb-Steuer.*) zaprowadzony patentem z d. 31 grudnia 1812 r. i dzisiaj jeszcze na pierwotnéj podstawie, ze zmienionemi jednak postanowieniami z d. 5go września 1822 r. taryfami istniejący. Podatek zarobkowy opłacają:

Oddział I. Fabrykanci podzieleni na 8 klas, na które według stałéj taryfy przypada należytość podatkowa we wysokości: 40, 80, 100; 300, 500, 700, 1000 i 1500 fl. m. k.

Oddział II. Kupcy i handlarze. Wielcy handlarze płacą w 5 klasach od 100—1500 fl., handlujący zaś surowemi produktami płacą we Wiedniu od 100—1000 fl., w stolicach prowincyonalnych od 50—300 fl. w miastach z ludnością wyżéj 4000 dusz od 40—100 fl. we wsiach i miasteczkach z ludnością wyżéj 1000 dusz od 30—80 fl. a nareszcie w innych miejscowościach od 2—16 fl. m. k.

Oddział III. Przemysłowcy i rzemieślnicy. Tutaj należą wszyscy kramarze, rzemieślnicy i inni po miastach wolne rzemiosła praktykujący. Płacą oni we Wiedniu od 5—300 fl. w miastach z ludnością wyżéj 4000 dusz od 3—50 fl. w miasteczkach aż do 1000 miesz. od 2 fl. 30 kr.—30 fl. w innych miejscowościach od 2—16 fl.

Do oddziału IV. należą nauczyciele prywatni, tancmistrze, fechtmistrze i przedsiebiorcy zakładów wychowawczych opodatkowani od 2—20 fl.; faktorzy i pośrednicy płacący od 5—300 fl. a nakoniec trudniący się przewozem osób i rzeczy od 2—100 fl. m. k.

We Węgrzech *cum partibus adnexis* przybrał podatek zarobkowy charakter pogłównego i nakładany bywa na głowę mieszkańców bez wyłączenia kobiet i dzieci.

W związku z podatkiem zarobkowym stoi:

b). Podatek dochodowy ustanowiony patentem z dn. 29go października 1849 roku. Podatek ten płacą:

I. Klasa.

a). Wszyscy przemysłowcy dotknięci podatkiem zarobkowym.

b). Właściciele hut i kopalń.

c). Dzierżawcy ze zysku dzierżawnego.

II. Klasa: Urzędnicy państwa, urzędnicy gmin, publicznych zakładów, albo spółek, którzy stałe pensye albo inne do ich osoby przywiązane dochody pobierają, nareszcie pisarze, dziennikarze, artyści i lekarze. Podatek dochodowy pobierany též bywa od dochodów z kasy państwa, albo z kas gminnych kościołom wypłacanych.

III. Klasa. Kapitaliści płacą podatek dochodowy od dochodu z kapitałów z wyjątkiem tych, które na realnościach opłacających podatek gruntowy albo domowy intabulowane zostały. Należą tu także dożywotnicy i właściciele rent dożywotnich lub innych.

Podatek dochodowy wymierzany bywa na podstawie corocznych zeznań przez strony opodatkowane pod przysięgą składanych. Od zeznanego dochodu 1 i 3 klasa płaci 5%— w trzeciéj klasie dochody niżéj 300 fl. wolne są od podatku— druga klasa zaś od dochodu pomiędzy 600 a 1000 fl. płaci 1% a od każdego dalszego tysiąca czystego dochodu 2%, od trzeciego zaś 3% aż do 10%. W klasie pierwszéj podatek dochodowy wrachowany bywa w zarobkowy.

Podatek zarobkowy, który wynosił w r. 1838 w całéj monarchii 2,788.613 fl. m. k. nie rachując w to jednak pogłównego ze Siedmiogrodu, wzrósł w przeciągu lat 20 to jest aż do r. 1857 po zaprowadzeniu we Węgrzech podatku zarob-

kowego osobistego o 77%. W porównaniu z podatkiem gruntowym i domowym wzrost to nie wielki, ale bo téż taryfy pozostały te same, i tylko do nich przyszedł w r. 1850 dodatek $^1/_6$. Podatek dochodowy pojawił się w budżecie państwa po raz pierwszy w roku 1850 i to w cyfrze 3,478.297 fl.; w ciągu następujących lat 7 urósł o 56%. Galicya płaciła podatku zarobkowego:

w roku	1847	155.713 fl.
„	1854	275.205 fl.
„	1857	340.678 fl.
a w roku	1863	421.025 fl.

a zatém w przeciągu lat 16 powiększył się w Galicyi podatek zarobkowy o 175%

Podatek dochodowy przyniósł w Galicyi:

w roku	1850	402.227 fl.
„	1854	412.811 fl.
„	1863	569.048 fl.

Co stanowi wzrost w 13 latach o 42%.

Podatki osobiste są w Galicyi w porównaniu z podatkiem gruntowym i domowym małoznaczne. W r. 1857 miał się podatek gruntowy do podatku zarobkowego i dochodowego:

w Galicyi zachodniéj jak 1 : 0.10 : 0.17.
w Galicyi wschodniéj jak 1 : 0.08 : 0.13.

Przyczyna tego stósunku leży w austryackim systemie opodatkowania, który przygniatając całym swym ciężarem realności, oszczędza kapitał ruchomy łatwiéj usuwający się z pod bacznéj kontroli władz finansowych. Grunta i domostwa przeciążać nawet dosyć długi czas można podatkami; wyniknie z tąd niezmierna szkoda dla produkcyi krajowéj, ale podatek zawsze się da sciągnąć choćby przez licytacyę przedmiotu opodatkowanego. Przeciwnie własność ruchoma, a szczególniéj kapitały z natury swojéj kosmopolityczne, bez trudności opuszczają kraj, któryby je chciał wysokimi podatkami dosięgnąć. Niezmiernie pouczającém byłoby oszacowanie własności ruchoméj w Galicyi i zestawienie jéj z podatkami które opłaca. Niestety brak dat statystycznych zmusza nas przynajmniéj na teraz odstąpić od tego przedsięwzięcia. Tutaj ograniczymy się tylko na porównaniu Galicyi z innymi krajami koronnymi pod względem opłacanych przez nią podatków osobistych. Przytoczona tutaj tabela wykaże, jak ubogą jest Galicya w kapitały. W r. 1857 płaciły:

	Podatków realnych		Podatków osobistych		Razem	Podatki osobiste miały się do realnych jak 1 do
	w całéj sumie	w procentach do wszystkich stałych	w całéj sumie	w procentach do wszystkich stałych		
1. Wenecya	6,655,941	92.7%	522,065	7.3%	7,176,006	12.7
2. Zachodnia Galicya . . .	1,628,376	87.1%	240,974	12.9%	1,869,350	6.8
3. Czechy	12,047,863	86.1%	1,945,530	13.9%	13,993,393	6.2
4. Kraina	866,369	85.9%	142,442	14.1%	1,008,811	6.1
5. Wyższa Austrya	2,045,369	85.1%	358,572	14.9%	2,403,941	5.7
6. Dalmacya	365,942	84.6%	66,741	15.4%	432,733	5.5
7. Wschodnia Galicya . . .	3,202,796	84.5%	587,559	15.5%	3,790,355	5.5
8. Wojewodzyna	4,134,668	84.4%	763,532	15.6%	4,898,200	5.4
9. Morawa	4,792,357	83.9%	917,262	16.1%	5,709.619	5.2
10. Niższa Austrya	7,195,354	Wiedeń 52.5% reszta 83.0%	3,893,864	47.5% 17.0%	11,089,218	1.1 4.9
11. Szląsk	878,791	82.8%	182,922	17.2%	1,061,713	4.8
12. Salcburg	355,197	82.0%	78,081	18.0%	433,278	4.5
13. Styrya	2,018,730	81.7%	452,308	18.3%	2,471,038	4.5
14. Bukowina	386,787	80.6%	92,803	19.4%	479,590	4.2
15. Karyntya	638,650	80.4%	155,418	19.6%	794,068	4.1
16. Tyrol	821,577	77.4%	239,686	22.6%	1,061,263	3.4
17. Kroacya	1,306,172	75.4%	426,296	24.6%	1,732,468	
18. Węgry	13,193,144	74.8%	4,437,938	25.2%	17,631,082	
19. Wybrzeże	1,026,375	67.7%	488,949	32.3%	1,515,324	2.1
20. Siedmiogród	1,550,241	45.1%	1,886,196	54.9%	3,436,437	0.8
Suma . . .	65,108,749	78.5%	17,879138	21.5%	82,987,887	3.6

Cyfry te pokazują:

1). Że w monarchii austryackiéj własność ruchoma jest w porównaniu z własnością nieruchomą za nisko opodatkowana. Chociaż bowiem cesarstwo ubogie jest w kapitały, to jednak pomiędzy własnością ruchomą i nieruchomą zachodzić musi z natury rzeczy inny stósunek jak 1 : 5.

2). Że Galicya w szeregu krajów koronnych pod względem przemysłu i handlu ostatnie prawie zajmuje miejsce.

Chociaż własność ruchoma mniéj jest przeciążona w Galicyi podatkami aniżeli nieruchoma, to jednak w porównaniu z innemi prowincyami w rozkładzie podatków osobistych zosłała Galicya ukrzywdzona. Podatek zarobkowy wymierzany bowiem bywa na podstawie stałéj taryfy obrachowanéj według ludności miejsca, które opodatkowany zamieszkuje. Wynika ztąd, że fabrykant lub rzemieślnik galicyjski opłaca ten sam podatek co rzemieślnik i fabrykant niższo-austryacki albo czeski, chociaż znacznie mniéj od tamtego produkuje. Toż i kapitały galicyjskie opodatkowane są według téj saméj stopy podatkowéj co w innych prowincyach, chociaż stopa procentowa u nas jest wyższa, a kapitał droższy, aniżeli gdzieindziéj. W skutek tego przemysł galicyjski mając z różnemi przeszkodami do walczenia, i pożyczając potrzebne mu kapitały po wysokiéj stopie procentowéj, opodatkowany jest na téj saméj zasadzie co przemysł rozwijający się pod korzystniejszymi warunkami. Takie zrównanie pod względem podatku, czynników nierównych pod względem produkcyi, jest oczywistém upośledzeniem słabego na korzyść śilniejszego. Do porównania przemysłu galicyjskiego z innemi prowincyami posłuży następująca tablica:

W roku 1856 liczono:

	Handlarzy i przemysłowców	Zajętych przy przemyśle i handlu: pomocników	Zajętych przy przemyśle i handlu: sług i najemników	Dochód na podstawie podatku obrachowany: handlarzy i przem.	Dochód na podstawie podatku obrachowany: pomocników i sług	Dochód na podstawie podatku obrachowany: najemników dzien.	Podatek zarobk. i dochod. I. kl. na głowę: handlarzy i przem.	Podatek zarobk. i dochod. I. kl. na głowę: mieszkańca
w Niższéj Austryi . .	90.944	134.363	256.957	60.058.772	81.131.754	— 41 kr.	36 fl. 42 k.	1 fl. 56 k.
w Wyższéj „ . .	36.425	31.236	163.557	5.763.610	26.768.785	— 29 „	7 „ 48 „	— „ 22 „
w Salcburgu	6.579	6.162	33.874	1.150.255	5.228.258	— 35 „	8 „ 16 „	— „ 21 „
w Styryi	31.554	33.906	196.487	5.793.108	32.610.437	— 31 „	9 „ 9 „	— „ 16 „
w Karyntyi	12.576	15.525	71.502	2.112.825	12.572.341	— 31 „	8 „ 45 „	— „ 19 „
w Krainie	16.712	8.246	46.916	2.123.535	6.936.445	— 36 „	8 „ 33 „	— „ 13 „
we Wybrzeżu . . .	13.832	22.457	104.128	10.169.299	26.382.371	— 41 „	35 „ 30 „	— „ 52 „
w Czechach	216.090	218.508	662.160	31.558.592	96.057.731	— 21 „	7 „ 27 „	— „ 19 „
w Morawii	92.680	65.536	253.306	12.890.466	38.379.200	— 19 „	8 „ 26 „	— „ 23 „
w Szląsku	16.982	17.458	63.768	3.026.374	8.458.330	— 19 „	9 „ 12 „	— „ 19 „
w Wsch. Galicyi . .	51.344	18.931	296.249	10.989.055	26.548.643	— 19 „	11 „ 10 „	— „ 11 „
w Zachod. „ . . .	22.181	10.928	170.243	4.965.026	17.196.548	— 19 „	10 „ 3 „	— „ 7 „
w Bukowinie	8.517	3.601	36.661	1.602.138	3.434.339	— 19 „	9 „ 29 „	— „ 11 „
w Tyrolu	32.329	35.789	141.357	3.532.967	24.163.541	— 33 „	5 „ 35 „	— „ 11 „
w Dalmacyi	7.714	13.186	33.688	1.033.968	7.960.388	— 39 „	7 „ 15 „	— „ 7 „
w Wenecyi	64.374	71.772	409.004	9.768.587	61.201.333	— 22 „	6 „ 4 „	— „ 9 „
w Lombardyi . . .	74.227	60.700	413.873	10.861.915	61.211.857	— 26 „	6 „ 7 „	— „ 9 „
we Węgrzech . . .	188.150	102.506	1.097.002	37.541.485	153.055.607	— 29 „	11 „ 37 „	— „ 22 „
w Kroacyi	15.211	7.852	45.970	2.736.687	6.789.053	— 31 „	podatek	— „ 19 „
w Serbii	26.346	16.370	155.756	7.249.266	31.614.041	— 43 „	zarob.	— „ 16 „
w Siedmiogrodzie . .	31.328	16.959	182.566	8.846.288	24.484.428	— 29 „	osobisty	— „ 43 „
Suma ogólna .	1.056.117	911.371	4.835.714	233.874.188	752.185.431	— 27 kr.	11 fl. 37 k.	— fl. 22 k.

Jeden handlarz i przemysłowiec wypada więc na mieszkańców:

w Niższej Austryi	16·3
w Wyższej Austryi	19
w Morawii	20·1
w Czechach	21·5
w Szlązku	26
w Tyrolu	26·6
w Styryi	33·8
w Galicyi	62·7

to jest innemi słowami w Galicyi jest przemysłowcem lub handlarzem każdy 62gi mieszkaniec, podczas gdy w niższej Austryi jest nim każden 16ty. Dla tego też wypada podatku zarobkowego i dochodowego pierwszéj klassy na głowę mieszkańca w Galicyi Wschodniéj 11 kr., w Zachodniéj 7 kr., podczas gdy w przecięciu na głowę mieszkańca w monarchii wypada go 22 kr. Ale przeciętna podatku na głowę handlarza i przemysłowca jest znacznie większa w Galicyi aniżeli w innych prowincyach i wyrównywa prawie przeciętnéj z całéj monarchii. Jedném słowem, chociaż Galicya płaci tylko milion podatków osobistych, to jednak bacząc na smutny stan, w którym się jéj przemysł znajduje, także i tutaj w porównaniu z innemi prowincyami jest przeciążona.

Ogółem wszystkich podatków stałych płaciła Galicya w roku 1863 . . . 7,580,257 fl.
dodatków krajowych . . . 1,898,731 fl.
Razem . . . 9,478,988 fl.

Podatki stałe wynosiły więc na głowę mieszkańca około 2 fl. w. a. a na morgę produkcyjnéj powierzchni prawie 1 fl. Nie mamy dat statystycznych z lat ostatnich, aby porównać ciężar podatków stałych w Galicyi z innemi prowincyami i musimy poprzestać na dawniejszych wykazach.

W r. 1856 płacił podatków stałych każden mieszkaniec w przecięciu

w Galicyi Wschodniéj	1 fl. 50 kr.
w Galicyi Zachodniéj	1 fl. 34 kr.
w Czechach	3 fl. 26 kr.
w Węgrzech	2 fl. 41 kr.
w całéj monarchii	3 fl. 31 kr.

Morga produkcyjnéj ziemi płaciła w r. 1856:

w Galicyi . . . . 45 kr. m. k.

w Czechach . . . . 2 fl. — m. k.

w całéj monarchii . . . . 1 fl. 20 kr. m. k.

Zanim skończymy rozdział o podatkach stałych, rzućmy raz jeszcze okiem na obowiązujący w Austryi system opodatkowania.

Podatki stałe, zamiast zabierać równą część dochodu każdéj gałęzi produkcyi krajowéj, głównie przygniatają ziemię. A i tu nie czysty dochód czyli renta ziemska ale stare zeznania przeszłowiecznych dochodów służą mu za podstawę. Początkową nierówność powiększono mnożąc bez końca dodatki do podatków, które stuletni kataster Jozefiński miały pogodzić z obecnemi potrzebami państwa. W skutek tego wszystkiego podatek gruntowy najniesprawiedliwiéj rozłożony, najszkodliwiéj téż wpłynął na rolnictwo. Podatek czynszowo domowy wyrachowany na podstawie idealnych czynszów zabiera po miastach znaczniejszą część dochodu z domów na cele publiczne. Podatek klasyczny i zarobkowy nakłada jednakie taryfy na najróżnorodniejsze zatrudnienia i jednakim podatkiem obciąża najróżniejsze dochody. Nareszcie podatek zarobkowy zostawia obowiązek przyczyniania się do wspólnego dobra skrupulatności sumienia tych, których to dobro najmniej interesuje. Wszystkie zaś podatki razem wzięte nakładają bardzo znaczny ciężar na społeczeństwo, nie uwzględniając ani jego potrzeb, ani interesów, stojąc w sprzeczności z przyjętemi zasadami zdrowéj ekonomii politycznéj, szkodząc produkcyi, naruszając kapitał narodowy i marnując znaczną część tak drogim kosztem zebranych podatków na same koszta ich poboru. Jeżeli gospodarstwo krajowe (finanse państwa) mają się podźwignąć, to najpierwszym krokiem do tego musi być zupełna reforma podatków stałych. Reforma ta jest równie konieczną dla rządu jak i dla kraju i dopiéro po jéj przeprowadzeniu może się zacząć era pomyślności ekonomicznéj w austryackiéj monarchii.

(Dok. nast.)

Mieczysław Marassé.

Handlowa centralizacya.

I.

Któż nie podsłuchał będąc w wschodniéj Galicyi marzeń mazurskich parobków, marzeń o pójściu na woły, o kupieniu sobie na wołach sukiennego płaszcza, o szerokim pasie i kilkudziesięciu guldenach w kalicie, a wszystko to związane z wędrówką na woły, z zaciągnieniem się pod sztandar handlarza obchodzącego jarmarki po drobnych miasteczkach i skupującego rogate bydło, aby je na kolej i daléj za granicę prowadzić. — Ileż to razy zdarzyło się nie jednemu z nas że jadąc podolskim szlakiem musiał wstrzymywać konie gdy się spotkał ze stadem siwych podolskich wołów lub białych sojek węgierskiego pochodzenia, które na długich swych rogach niosły wszystkie przybory podróżne pędzących je parobków, a zacząwszy od butów aż do guni całą toaletę na rogach wołowych przeglądnąć było można.

Takie obrazki widział każdy w Galicyi, ale nie każdy myślał sobie że ci parobcy, ci wolarze, ci marzyciele o przyszłém swém szczęściu są dzielnymi popieraczami centralizacyi, są centrałami w całém tego słowa znaczeniu. Oni pomagają handlarzom wołów, ci znów wywożą woły, a razem z nimi nie jeden surowy produkt, aby go sprzedać na wiedeńskim targu, wspierać wiedeński przemysł, a w zamian za to przywieść nam piękny powóz i lakierowaną skórę lub trochę pieniędzy, które w ich rękach ciągle w ten sam się obracają sposób. Spytajmy się naszych wagonów, spytajmy się składów zbożowych we Lwowie, Przemyślu, Tarnowie, Krakowie, a one nam różne o naszym kraju nie bardzo pomyślne opowiedzą dzieje. Od dawien dawna nic nie robimy tylko wywozimy, a wywozimy daleko więcéj, potrzebniejszych rzeczy aniżeli te co do nas

wracają. Pocieszamy się tém, że za te produkta płacą nam gotówką, gotówką co tak rzadką w nowszych bywała czasach. Ależ pytamy się czyż gdybyśmy na miejscu płody te przerabiali, nie zyskalibyśmy dziesięć razy więcéj? czyż płody surowe nie wychodząc już jako zboże, woły lub wełna ale jako sukna, lekierowane trzewiki, papier i t. d. nie przynosiłoby o wiele więcéj pożytku.

Zdawało nam się że w tym roku zrobiliśmy doskonałe interesa, bo wywóz zboża był wielki, a pszenicę po 10 złr. płacono, gdybyśmy jednak raz tylko ową pszenicę byli przerobili i wywieźli mąkę jużby się o wiele więcéj na korcu w kraju było zostało, nie rachując otręb i wyżywienia ludzi przy młynach zajętych. A dajmy na to, że industrya nasza tak wysoko stoi, iż większą część zboża dzisiaj na wywóz przeznaczonego w kruju spożytkować możemy, czyż gospodarze na tém co stracą? — zyskają i zyskają wiele, bo nie potrzebują zboża wywozić ale sprzedadzą go na miejscu i do tego drożéj, bo zyskają cały transport nie tylko do kolei ale i koszt na kolei aż do miejsca zużycia. Jeżeli ktoś z jasielskiego sprzedaje tarnowskim żydom 100 korcy pszenicy za 1000 złr., to żyd wiezie ją do Tarnowa i płaci za furmankę 40 cent. od korca, więc 40 złr. Żyd potrzebował najmniéj trzy dni czasu aby ten interes zrobić t. j. aby zboże kupić i do Tarnowa odstawić, rachujmy że 10 centów zyskał na korcu to zagranicznemu spekulantowi musiał już zboże odsprzedać za 1050 złr. zboże więc dopiéro 10 mil oddaliło się od producenta, a już producent 5% na niém stracił, ileż jednak straci zanim zboże to przejdzie przez dziesięć rąk spekulantów i kupców aby się dostać do parowego młyna. O ileżby jednak zyskał ów producent gdyby w miejscu w Jaśle miał młyn parowy i fornalkami wprost tam mógł swą pszenicę odstawiać. Zarzucicie mi jednak że przecież w niejednéj okolicy jest młyn parowy, a mimo to korzystniéj czasem sprzedać zboże za granicę; w czemże jednak fakt ten ma swoją przyczynę, zapewne nie w czém inném, tylko w tém, że za mało w okolicy młyna ludzi którzyby bułki jadali, a więc za mało industryi, za mało przemysłu.

Cała więc zagadka i polityka handlu mieści się w zdaniu: „zbliżcie konsumenta do producenta.“

Im bliżéj będzie producent konsumenta tém mniéj się musi opłacać przekupniom którzy jak cytrynę wyciskają jego ciężką pracę, tém mniéj będzie podlegał zmowom nienawistnéj producentom spekulacyi. Jeżeli mięso z twego wołu zjada chłop we wsi lub szewc w pobliskiém miasteczku, toś zyskał wszystko to cobyś zapłacić musiał faktorom i kolejom zanim byś zawiózł swego wołu do Wiédnia, aby tamtejszemu szewcowi dobrą z niego dać sztukę mięsa. Rada na to tylko aby nie kupować trzewików w Wiedniu lecz u tutejszego szewca.

Lat temu kilkadziesiąt jak Liebig mawiał swoim Niemcom, żeby nie wywozili kości do Anglii bo niezadługo ziemia się pomści, a straszne choroby panować będą w Niemczech, bo zabraknie tam kostnych pierwiastków; Niemcy parci przemysłem usłuchali rady, a dzisiaj krocie cetnarów kości wpływają do Niemiec i użyzniają im zjałowiałą ziemię. Inny uczony ostrzega dzisiaj narody aby nie wywoziły swych surowych produktów, bo człowiek wywożący je sam z téj ziemi w końcu wyjść musi, wycieńczy ją bowiem, stanie się ubogim i będzie gdzieindziéj szukał kawałka powszedniego chleba. Ztąd najwięcéj powstało kolonizacyi, ztąd tłumy wychodźców przewożących się rok rocznie do Ameryki.

Gdzie wywóz surowych produktów, tam centralizacya, bo tam kraj za mało ma soków żywotnych, za mało ma siły, aby się oprzeć narzuconéj ustawie lub narzuconemu wpływowi zagranicznych kupców. Dzieje się tutaj jak w życiu pojedyńczego człowieka. Kto ma za mało środków do istnienia, nie może wolno rozwijać się lecz musi naginać się i karłowacieć jak owo drzewko inspektowe któremu rok rocznie obcinają gałązki aby w górę prostym nie wystrzeliło pręciem. Taka centralizacya handlowa t. j. zawisłość od obcego dalekiego targu na każdym kroku tysiączne nam przynosi szkody. Brak pieniędzy, wysoka stopa procentowa która przez tyle lat i dotąd jeszcze uciemięża naszego rolnika, wszystko to w największéj części pochodzi ztąd, że płodów surowych nie przerabiamy w domu, lecz oddawać je musimy w ręce spekulantów, którzy żyją z pracy rąk rolnika. „Siła narodu upada stopniowo z powiększeniem się stopy procentowéj, a zjawisko to widzimy tam, gdzie chęć wywozu surowych produktów się wzmaga. We wszystkich tych narodach kredyt upada, obrót chromieje, cyrkulacya krwi

spółecznéj że tak rzekę staje się powolniejszą, a człowiek coraz to więcéj staje się niewolnikiem przyrody i swego sąsiada.“

Nowsza znakomita szkoła ekonomistów proponuje powrót do systemu handlowego, rozbudza świetne wspomnienia Colberta, chce zaprowadzić wszędzie cła protekcyjne, wzdycha do dobrego handlowego bilansu; sądzę że przy wolności handlowéj rozwój spółeczny szedłby naturalniéj, trzymałby się wrodzonych mu granic, zważyć jednak należy, że stósunki ekonomiczne krajów wtedy tylko mogłyby się ułożyć w dobroczynny z natury rzeczy wypływający system, gdyby wolność handlowa była ogólną i przez wszystkie przyjęta państwa, dopóki jednak jeden z sąsiadów na korzyść swéj industryi cła protekcyjne wprowadza, to i kraj obok niego leżący industryę swą w opiekę wziąść musi, aby nie stanąć słabszym do walki o swoje istnienie.

Galicya od lat kilkudziesięciu jęczała pod jarzmem politycznéj i handlowéj centralizacyi, pierwszą wspierał cały smutnéj pamięci legion obcych urzędników, drugą podnosili żydzi. Handel w tém znaczeniu aby kupić tam gdzie najtaniéj a sprzedać tam gdzie najdrożéj, w swojéj istocie już mieści najsilniejszą podporę politycznéj centralizacyi, bo stara się jak najbardziéj oddalić producenta od konsumenta, aby najwięcéj kosztów przewozowych i spedycyjnych dla siebie uzyskać, a przeto uczynić producenta zależnym od dalekiego targu. Żywioł żydowskiéj spekulacyi najsilniéj wybujał u nas pod centralistycznymi wiedeńskimi rządami, dla tego że jedna centralizacya drugą wspierać musiała, ręka rękę myła. Z téj przyczyny żydzi zajęli u nas zupełnie inne stanowisko aniżeli w Królestwie, a oparłszy całe swe istnienie na centralizacyjnym a nie na krajowym handlu, tak bardzo oddalili swe interesa od interesów krajowego dobrobytu.

Jak długo handel wywozowy towarów surowych będzie najgłówniejszym handlem Galicyi, tak długo żydzi odmienne od reszty ludności będą mieli interesa, tak długo między nimi a narodem nieprzyjazne powstawać będzie tarcie. Rzecz bardzo naturalna: większość żydów dotychczas jest dla kraju nieprodukcyjną, bo niczém inném się nie zajmuje jak utrudnianiem i tak szkodliwego wywozu surowych produktów, mówię utrudnieniem, bo

gdyby nie zmowy kupców żydowskich, toby producent nasz niepotrzebował sprzedawać zboża przez faktora drobnemu handlarzowi, a przez tego dopiero większemu i d. t., ale domy komisowe obywatelskie lub sprzedaż wprost zagranicznemu kupcowi o wiele ułatwiłaby wywóz i znacznieby podniosła ceny. Proszę się tylko przypatrzyć całemu organizmowi zbożowego handlu w Galicyi a przekonamy się jak silnéj on podlega centralizacyi.

Pójdźmy na targ małego miasteczka: ekonom ze zbożem dworskiém na targ wyjeżdża, żydek przychodzi, bierze próbkę do ręki, rachuje kąkole, gryzie ziarnka, spluwa, nareszcie nagadawszy się do syta że zboże nie ma wagi, pszeniczka nikła i blada, pyta się co chcecie? — pięć, sześć reńskich — „Ny chcecie śtyry to go bierzcie." Ekonom przeklnie, odwróci się i czeka na innego kupca, żydek jednak flegmatycznie spaceruje sobie naokoło wozu. Przychodzi inny kupiec, chce zboże oglądać, ale żydek uprzedza go: *„ich gib ihm schon vier ranysz, er will nischt,"* a to jest już dostateczną przestrogą aby drugi kupiec odszedł i nie psuł mu kupna. Żydek wytrzyma ekonoma w ten sposób aż do końca targu, a ten widząc że inaczéj nie sprzeda i nie przywiezie panu pieniędzy, które przywieść ma nakazane — sprzedaje za bezcen. Jeźli zawiózł zboże do domu a szlachcic ma dobre fornalki, to drugą razą wiezie zboże już o kilka i kilkanaście mil do Przemyśla, Tarnowa, Rzeszowa itd. do miast położonych bliżéj przy kolei. Tutaj to samo jeżeli nie gorzéj: utrzymanie fornalek w mieście kosztuje, trzebaby zaraz sprzedać przywiezione zboże, żydki dobrze to miarkują i dają może mniéj jeszcze niż w małém miasteczku, producent się niecierpliwi, kupcy się śmieją i w końcu kupią najtaniéj, bo jeźli producent na składby tam zboże chciał złożyć, to po pierwsze, nie zawsze znajdzie dobre miejsce, powtóre naraża się aby mu gdzieś w wilgoci zboże nie zatęchło, lub wołki nie zjadły, po trzecie niepewny czy za tydzień lub dwa mniéj mu jeszcze nie dadzą. Powiecie producent niepo-radny; jeżeli się chce uwolnić od przemocy żydowskich handlarzy, niech wiezie zboże do Wiednia, Wrocławia. Łatwo to powiedzieć, lecz nie każdy ma stósowną ilość zboża i nie każdy może, a jeźli zboże jest w cenie i popyt nań większy, to żydowscy spekulanci i na to wyborną mają radę: sztucznie

zniżają ceny zboża na wiedeńskim targu, zwożąc tam w jednéj umówionéj chwili wielką ilość zboża, a tymczasem w Galicyi łowią producentów na sztucznie obniżoną cenę.

Podobne zmowy często się w nowszych czasach powtarzały. Wszystko cośmy o zbożu powiedzieli, da się także zastósować do innych surowych produktów i rzeczywiście tak się ciągle dzieje. Rząd bardzo często wspierał wyraźnemi ustawami owe centralistyczne dążenia wiedeńskiego handlu, przytoczymy tutaj tylko jeden przykład: w r. 1855, wyszło rozporządzenie mocą którego wszystkie wyroby płócienne krajów koronnych musiały jeździć do Wiednia aby tam były opatrzone stęplami *(Ursprungszeugnisse)*. Oczywiście podobne rozporządzenie musiało być zabójstwem dla krajowych fabryk a fabrykanci w Czechach i na Morawie prosili nawet rządu aby im wolno było utrzymywać własnym kosztem na miejscu owych stemplujących urzędników, chcąc tym sposobem uniknąć handlowéj szykany. Petycya nie pomogła, a skutkiem rozporządzenia było wiele bankróctw, wiele podupadłych fabryk. U nas walący się gmach pod Kołaczycami świadczy, że ktoś zanadto był odważnym, aby mógł się mierzyć w fabrykowaniu drelichu z wiedeńską centralizacyą; podobnież z dawna znane andrychowskie drelichy nie tylko poszły w zapomnienie w ostatnim lat dziesiątku, ale pociągły za sobą upadek ważnéj dla kraju gałęzi industryi. Wśród takiéj przemocy producent krajowy wolno się poruszać nie może, jest ciągłą ofiarą wyzyskiwaną przez przebiegłych handlarzy, a jeżeli zważymy że producenci Galicyi od lat kilkudziesięciu obok klęsk politycznych, obok znacznych podatków, obok wyzyskiwania drobniejszych organów rządowych, żywić musiała 500.000 żydów żyjących li tylko z wyzyskiwania producenta, to zaiste dziwić się nie będziemy, że kraj ten upaść, zadłużyć się i kredyt postradać musiał.

Klika żydowskich kupców w Galicyi doskonale to czuła, że upadek centralizacyi, swobodne rozwijanie się przemysłu krajowego, słowem podnoszenie wszystkich instytucyi zbliżających konsumenta do producenta jest ciosem śmiertelnym dla jéj wyzyskującego systemu. Z tąd owe sceny przy lwowskich wyborach, z tąd owi zjadliwi korespondenci do centralistycznych wiedeńskich gazet, z tąd owe sympatye pomiędzy większą częścią nawet oświeceńszych naszych żydów do Wiednia,

do swego eldorada w którym świat finansowy żydowski całą potęgę w Galicyi wywierał. Interes to wywołał takie paszkwile jak książka pana sekretarza izby handlowéj brodzkiéj *„Die Juden Galiziens,“* z tąd to rodziły się podobne, spaczone, fałszywe i bezecne artykuły jak np. artykuły „Nowéj-Pressy“ z przyczyny banku dla drobnych rolników w Galicyi. Przyczyna wszystkich tych wysileń był interes utrzymania centralizacyjnego wiedeńskiego handlu i podniesienia zgubnych a licznych arteryi, któremi zdrowie i siła narodu wypływała za granicę kraju, aby tylko zbogacić kilkaset monopolistycznych żydowskich rodzin.

W nowszych czasach często podnoszono żydowską kwestyę z téj i owéj strony się jéj przyglądając, badano wpływ ekonomiczny żydów w Galicyi i rozważano środki którymi ich wpływ handlowy zrównoważyćby można. Najczęściéj podnoszono głosy: wzbudźmy nasz handel, zrównajmy się z nimi w spekulacyi, zróbmy się kupcami! *point de rêverie* panowie! w handlu żydom niezrównacie, oni mają za sobą tradycyę stu pokoleń, mają potrzebny spryt i przebiegłość, mają rozgałęzioną sieć swych wyznawców po całym świecie, zresztą dajmy na to, żebyście im zrównali, tobyście sami się przyczynili do swego upadku, bo handel wywozowy zawszeby się skończył na kilkudziesięciu majątkach a na kilkukroć stu tysiącach nędzarzy.

Jest inny sposób który szkodliwy wpływ żydów znieść musi, nie myślę tutaj bynajmniéj wywozić żydów do Jerozolimy, zostawmy to frankfurckiéj Europie niechaj swój projekt zechce przeprowadzić; nie myślę także ograniczeń prawodawczych — owszem równouprawnienie zupełne, bo tego sprawiedliwość wymaga, my o nic się nie starajmy tylko o zniszczenie handlowéj centralizacyi za pomocą podnoszenia krajowego przemysłu, rozwiązujmy skrępowane ręce stowarzyszeniom, podnośmy gminę, a reszta sama się znajdzie, bo gdy płody surowe w domu przerabiać będziemy, gdy obok producenta konsument zamieszka, wtedy żydzi muszą się stać producentami, a jeźli niełaska to sami emigrować muszą. Zobaczmy tylko na kartę europejskich krajów, gdzie żydzi zatrzymali dawny swój tryb wyzyskiwania cudzéj pracy? — w krajach najuboższych i ekonomicznie najmniéj rozwiniętych, w krajach bogatych gdzie

przemysł i industrya kwitnie stali się producentami, zlali się z ludnością, albo powoli wyszli za granicę. W większéj części Niemiec, w Saksonii prawie niema żydów, dla tego że znikła możność kupowania tanio a sprzedawania drogo, artykuły konieczne do życia mniéj więcéj jednostajną przybrały cenę, a więc żydzi nie chcąc oswoić się z produktywną pracą, poszli szukać zarobku w uboższych krajach. U nas nieprodukcyjny żydek jeszcze istnieć może, bo ceny płodów surowych nie stałe, zawisłe od zagranicznego targu, ma więc pole otwarte zyskać na producencie, niechaj jednak więcéj powstanie rzemieślników, więcéj fabryk, to zobaczymy wkrótce jak owi faktorzy, owi wykupywacze zboża, skórek itd. powoli z naszego horyzontu niknąć będą.

Dziwiono się dla czego żydzi mimo niejednokrotnych usiłowań rządów nie dali się przywiązać do ziemi i uprawą roli trudnić się nie chcieli — rzecz bardzo prosta: nie chcieli porzucać dawnego zatrudnienia, bo nie było ekonomicznéj potrzeby, którąby ich zmuszała odstąpić od tradycyonalnego handlu. Rozwój kraju nie był bowiem o tyle podniesiony, producent nie zbliżył się jeszcze tak dalece do konsumenta, aby zysk z handlu, z prostéj spekulacyi kupującéj taniéj a sprzedającéj drożéj, nie był jeszcze możebnym, środki używane na żydów w celu nakłonienia ich do zatrudnienia rolnego, były li tylko zewnętrzne, wypływające z polityki rządów, a jako takie nie mogły trwałych za sobą pociągnąć skutków. Niech jednak ceny produktów surowych się podniosą, a ceny prodnktów technicznych się zniżą i tym sposobem zrównanie cen powstanie, to zobaczymy w krótce jak żydzi tracąc ekonomiczną podstawę dotychczasowego swego bytu, będą zmuszeni albo uprawiać ziemię, a przeto szczerzéj zróść się z tą ziemią, albo szukać egzystencyi bardziéj na wschód Europy, gdzie czysto rolnicza produkcya nastręczy im sposobność do utrzymania. Gdybyśmy rozważyli historyę żydów, dzieje ich tułactwa, tobyśmy się przekonali, że przyczyną tego tułactwa było wieczne trwanie przy jedném i tém samém nieprodukcyjném zatrudnieniu. Tułactwo ich naturalne — bo narody europejskie postępowały, o ile zaś postępowały o tyle nie mogły znosić w sobie nieprodukcyjnego żywiołu, lecz wyrzucały go ze

swojego łona, żywioł zaś ten szukał wiecznie nowéj roli, którąby wyzyskać zdołał.

Socyaliści mówiąc że handel jest uprzywilejowaném oszustwem, po części mieli słuszność, bo handel niewypływający z potrzeby narodu, ale monopolizujący ceny targowe dla własnéj korzyści, rzeczywiście niczém innén nie jest.

Do centralizacyi handlu galicyjskiego w Wiedniu, przyczyniło się to, że koléj Karola Ludwika sama jedna istnieje, koléj ta bowiem nie mając odnóg w kraju, a nadewszystko nie połączona z koleją nadcissańską a więc z Węgrami z jednéj, a Mołdawią tudzież Odessą z drugiéj strony była najlepszą drogą po któréj wiedeńska centralizacya handlowa bezkarnie bez najmniejszéj konkurencyi wojażować mogła. Zmowy były nader łatwe, bo wywóz jedną tylko musiał iść drogą. Przeciwnie gdy się połączymy z produktami handlowymi w odwrotnych kierunkach, zmowy handlowe będą prawie niemożebne, najsilniejszy nerw centralizacyi zniszczony. Fakt że koléj brodzka i druga przecinająca Karpaty w tyle lat dopiero po założeniu kolei Karola Ludwika przyjdą do skutku, uważam za jedną z największych klęsk Galicyi w ostatnich czasach.

Po przyprowadzeniu téż tych kolei do skutku, po silnym samorządzie i wspieraniu krajowych instytucyi, możemy się téż tylko spodziewać przybliżenia producenta do konsumenta, decentralizacyi handlowéj, pomnożenia kapitału stałego, dostatku pieniędzy, i obniżenia stopy procentowéj, słowem wszystkich tych ekonomicznych oznak, które są termometrem żywotnéj siły i cywilizacyi narodów. Rząd który się przekona o szkodliwości handlowéj centralizacyi, mimo nawet całego prądu do centralizacyi politycznéj, stawiać będzie pierwszéj przeszkody, przekona się bowiem że na czas dłuższy silny rząd z centralizacyą handlową ostać się nie może.

Rządom czysto monarchicznym zapewne najbardziéj o to chodzi, aby największe mogły nakładać podatki, lecz i podatki wiecznie podwyższać, a nawet na téj zaméj stopie utrzymać się nie dadzą, jeżeli się nie będzie wzmagało bogactwo narodu; podatek ma swoją ekonomiczną granicę, mądry rząd więc nigdy nie może się skłonić do środków, które wzmagają handlową centralizacyę, bo taka centralizacya niszczy

naród, wyssie z niego ostatnie soki, a rządowi pozostałyby kości i szkielety. Z tąd téż widzimy, że rząd francuski pomimo całego swego monarchicznego kierunku nadzwyczaj się stara o podniesienie dobrego bytu, o rozwój własnéj produkcyi przez cła protekcyjne.

II.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że za dawnych dobrych czasów w Polsce pszeniczka szła do Gdańska, cały handel był wywozowy zagraniczny, a przecież Polska potężną była i dobrze się u nas działo. Dla wyświecenia więc tego, tudzież poparcia mego zdania, przypomnę główniejsze rzeczy o wpływie handlu wywozowego w Polsce.

Im więcéj w jakimś kraju jest pola dla handlu, tém wyżéj tam dobrobyt i oświata stać musi; handel ma zawsze centralizacyjną dążność i chce zyskać monopol. Pod monopolem handlu Polska długie jęczała wieki, a ów Gdańsk, który z tradycyjném prawie powtarzamy zadowoleniem, był po największéj części jedynym Polski monopolistą. Gdańsk powstał z polskiego tranzita, z polskiego handlu powstały Prusy, polska pszenica nadała północnym wybrzeżom potęgę i znaczenie. Gdańsk centralizował wszystkie żyły któremi Polsce przez długie lata krwi upuszczano, a te sanki co zimową porą naładowane wołyńskiém i podolskiém zbożem ku Wiśle dążyły i ci flisacy co z pieśnią na ustach ku Gdańsku płynęli, nie przeczuwali, że wywożąc z kraju surowe płody, niszczą kraj i siłę mu odbierają.

Powiedziałem, że Gdańsk powstał z polskiego tranzita, z niego urósł w potęgę, to też po upadku Polski i ów Gdańsk który ongi wojny prowadził i traktaty z państwami zawierał, schylił się do poziomu prostego prowincyonalnego miasta. Zaraz po pierwszym podziale ilość wpływających do Gdańska okrętów o połowę się prawie zmniejszyła i nigdy już nie doszła dawniejszéj liczby. Na dowód tego przytoczymy ilość morskich okrętów wpływających do Gdańska w latach kilkunastu podczas rozbioru Polski:

roku	1769 okrętów	1036	roku	1776 okrętów	602
„	1770 „	1247	„	1777 „	652
„	1771 „	869	„	1778 „	548
„	1772 „	1025	„	1779 „	531
„	1773 „	785	„	1791 „	594
„	1774 „	683	„	1792 „	641
„	1775 „	615			

Handel wywozowy polski wcześnie się ku północnemu skierował morzu, a królowie polscy czyli raczéj szlachta polska sprzyjała mu, już w r. 1298 daje Łokietek Lubeczanom prawo nieopłacania cła w Gdańsku i jego okręgu. Wcześnie téż z centralizacyą handlową nieprzyjazny germański żywioł zaczął szkodzić Polsce. Pozwolenie dane niektórym polskim miastom należenia do niemieckiéj Hanzy było już wielkim błędem, bo Hanza to wyraz największéj monopolizacyi handlowéj, jaka w średnich wiekach na północy przeprowadzić się dała. Hanza miała na oku niemieckie tylko interesa, Polskę jak każdy kupiec wyzyskiwać chciała, i tak n. p. w r. 1385 zakazała Hanza pruskim miastom wywozu polskiego sukna do Rosyi, aby tym sposobem nie szkodzić niemieckim kupcom w Nowogrodzie zamieszkałym, a tym sposobem jedyna prawie polska industrya zupełnie zniszczoną została.

Dążność ta centralizacyjna polskiego handlu wkrótce wpłynęła na zupełną przemianę polskiego społeczeństwa, szlachta starała się o przywileje ekonomiczne — najszkodliwsze ze wszystkich przywilejów, i tak już w r. 1496 wyrobiła sobie szlachta wywóz bez opłacania cła, 1504 rozszerzyła je na przywóz artykułów do własnéj służących potrzeby, a w latach 1511, 1581, 1598 nastąpiły trzy prawa uwalniające szlachtę od cła za wywiezione zboże.

Któż miał teraz zboże wywozić? oczywiście uprzywilejowani; któż mógł mieć to zboże — także uprzywilejowani. Skutki tego zniesienia ceł od najważniejszych płodów Polski okropne się okazały: wieśniak ni mieszczanin nie mógł się już ostać obok szlachcica, małe własności niemieckie ginęły odtąd zupełnie, poddaństwo się wzmagało, ilość dni pańszczyźnianych rosła, powstawała z jednéj strony swawola, z drugiéj najsromotniejsza niewola, z jednéj strony na stołach pańskich małmazye i zagraniczne korzenie, z drugiéj chleb owsiany.

Przywilej tylko z przywilejem znieść się może, to też obok przywileju ekonomicznego szlachty istnieć musiały uprzywilejowane drogi, przywilejem opatrzone miasta. Nikt nie mógł wozić swych produktów najbliższą i najwygodniejszą mu drogą, ale drogami najwygodniejszemi dla centralizacyi handlowéj. I tak z Mołdawią lub Wołoszczyzną nikt inną drogą handlową komunikować się nie mógł, jak tylko z okolic za Lwowem przez Halicz, Kołomyję, Stryj jeździć musiał na skład do Lwowa, a jeśli chciał wieść towar do Przemyśla, Jarosławia lub Rzeszowa, to Lwowa objechać nie mógł. Handlowa centralizacya na wybór dróg wywozowych tak dalece ze szkodą kraju działała, że z naturalnych nawet dróg wywozowych Polska w skutek rozwielmożnienia się Gdańska korzystać nie mogła. I tak naturalny prąd wywozowy z Podola i Ukrainy musiał dążyć ku Czarnemu morzu. Prąd ten znalazł nawet raz polityczną pobudkę, bo gdy w r. 1415 Turcy Tracyę ciężko nawiedzili, wysłał wschodni cesarz Emanuel Paleolog i patryarcha konstantynopolitański poselstwo do króla Władysława Jagiełły o zboże. Król na wywóz zboża zezwolił i wskazał polski port Koczubey — dzisiejszą Odessę na skład zboża dla wschodniego cesarstwa. Punkt ten mógł się odtąd stać tém nad morzem Czarném, czém był Gdańsk na północy, wpływ jednak gdańskiéj centralizacyi był już za silny, aby drugi punkt obok siebie znieść mógł — szlachta zanadto się przyzwyczaiła jeździć Wisłą do Gdańska, aby się jéj chciało cokolwiek więcéj trudu ponieść i z Wenecyanami na Czarném morzu się uwijającymi w handlowe zachodzić transakcye. To też zaniedbano południowe drogi, a Turcy i Tatarzy wnet Koczubey opanowali.

Gdańsk już nie miał rywala. Całe okolice Podola i Ukrainy w największéj się znajdowały nędzy, bo będąc daleko od centrum polskiego handlu, ulegały już takiemu transportowemu podatkowi, że wywozić do Gdańska się nie opłaciło. Na miejscu rząd się nie starał o podniesienie przemysłu, co zresztą szlacheckie przywileje uniemożebniały. Przypomnijmy sobie państwo ekonomiczne Thünena, to na najdalszych granicach tego idealnego państwa widzimy okolice, które dla centralizacyi handlowéj nic na sprzedaż produkować nie mogą, tém była Ukraina za czasów centralizacyi handlowéj Gdanska. Kardynał

Comendoni objeżdżając Polskę, zauważał smutny ten stan Ukrainy, widział, że mieszkańcy tamtejsi nie są w stanie wozić zboże aż do Gdańska, bo transport wartość zboża przenosił, na sejmie téż w Piotrkowie wniósł przed Zygmuntem Augustem i szlachtą, aby nad brzegiem Dniestru założyć miasto, gdzieby składy zboża umożebniały jego wywóz na Czarne morze. Comendoni chciał, aby handel ten oddać w ręce Wenecyan, którzy nad brzegami Donu mieli ważny punkt handlowy Tanu (dzisiejszy Azow) a z tamtąd do Białogrodu, by podpływali po ukraińskie zboże. Król przystał na projekt, Wenecyanie oczewiście chętnie możność zysku przyjęli, nawet Porta na wolny handel przystała — rzecz jednak skończyła się na niczém, bo delegowani znaleźli w okolicy trudności nie do przebycia. Comendoni nie robił tego z przyjażni dla Polski, chciał on Wenecyanom nowy skarb surowych produktów otworzyć, droga ta jednak byłaby się wiele przyczyniła do potęgi Polski, powstałaby bowiem była konkurencya z Gdańskiem, a centralizacya handlowa chwiaćby się była poczęła. Jestto paralela do dzisiejszego stosunku w Galicyi między koleją Karola Ludwika a mającém powstać połączeniem z Odessą.

Zgubna w Polsce monopolizacya handlowa tak szybko najgorsze sprowadzała skutki, że już w r. 1451 i 1505 musiano na towary stałą nakładać taryfę, tak dalece brak konkurencyi handlowéj podwyższał ceny. Co więcéj industrya polska tak upadła, że w r. 1532 wyszło rozporządzenie, aby sól po zwykłéj cenie sprzedawano, pomimo to, że Bochnia i Wieliczka wraz z warzonką podkarpacką inne kraje prócz Polski zaopatrywać byłaby w stanie. Obca sól się cisnęła do kraju, polska sól najlepsza w świecie nie mogła wytrzymać konkurencyi. W r. 1510 i 1520 rozporządzono, aby starostowie pod znaczną karą zakazywali wprowadzanie cudzéj soli. W r. 1562 rząd przemożony już gdańską centralizacyą, musiał się do ustępstwa nakłonić, aby szlachcie w braku polskiéj soli wolno było morską warzonkę sprowadzać. Gdańszczanie proponując podobne prawo na polskim dworze, tłómaczyli małą tę przysługę tém, że i oni Polsce wiele dobrego robią, sprzedając jéj zboże za granicą. Piękna przysługa! nie dosyć, że monopolizowali ceny zboża i z polskiéj pracy żyli, lecz nadto chcieli zabić jedno z najznakomitszych źródeł polskiego bogactwa, aby

z téj straty polskiéj ciągnąć jeszcze zyski i sprzedawać wa-
rzonkę morską.

Serce się kraje rozważając ile milionów, ile bogactw Polska traciła, wywożąc ciągle surowe produkta. Polska biorąc pieniądze za zboże od Gdańszczan, sprzedawała własną swoją przyszłość, piętnowała się na niewolnicę obcych silniejszych narodów. W XVI. i XVII. wieku w każdym dziesiątku lat w przecięciu pół miliona łasztów zboża z Polski do Gdańska wychodziło, z tego prawie trzy czwarte części zboża twardego, reszta jęczmienia i owsa, a dorachowawszy zboże, które szło do innych portów lub do Niemiec, ogólna liczba wywozu zboża przechodziła milion łasztów w dziesiątku lat czyli przeszło 100000 łasztów rocznie. Obok zboża wychodziło 80000 wołów rocznie, stada koni, ogromne trzody świń na Szląsk, miody, woski, potaże, anyżek, chmiel, konopie, drzewo na okręty i budowlane. Zrachowawszy ogromne straty, które Polska w skutek tego wywozu poniosła, zrozumimy, że zła gospodarka państwo do upadku przyprowadzić musiała. Pomyślmy sobie tylko, gdyby połowa tych produktów tylko na miejscu była zużytkowaną, ile milionów ludzi znalazłoby było utrzymanie, ile miast by powstało, ile sił przyrosło narodowi. W skutek téj handlowéj centralizacyi większa część narodu żyła w nędzy i ciemnocie, a mniejszość szlachecka także się szybko ku upadkowi chyliła, bo szlachcic wiecznie na swych produktach tracić musiał. Wyładował galar zboża do Gdańska, kosztowała go droga tam i napowrót, sprzedał zboże za cenę, jaką mu narzucono. Za Zygmunta I. jeszcze utyskiwali obywatele polscy na różne uciążliwości przez Gdańszczanów czynione, osobliwie, że nie dozwalając Polakom sprzedawać swych produktów komu innemu, tylko im samym, przymuszali naszych do sprzedawania zboża za cenę, którą w Gdańsku dowolnie stanowiono.“ Na domiar złego kupował szlachcić drogo zagraniczny towar, który kupcy gdańscy także podwójną krydką rachowali, a przywożąc ten towar do domu, odbierał chleb swojskiemu rzemieślnikowi. Na nic się też nie przydawały prawa przeciwko zbytkowi często powtarzane, szlachta znajdowała sobie sposoby zastąpienia jednego przedmiotu opodatkowanego innym jeszcze zbytkowniejszym i robiła sobie igraszkę z ekonomicznego stanu narodu. Przywóz jedwabiów, koronek i innych najzbytkowniej-

szych materyi był tak wielki, że przy końcu istnienia Rzeczypospolitéj Polskiéj jeden bankier Piotr Blank posyłał za towary zbytkowe do Polski przychodzące z zagranicy rocznie w przecięciu 9 milionów złotych. W końcu nie było co wywozić, a czasy porozbiorowe smutne nam w tym względzie nastręczają data; bilans handlowy zawsze dla Polski bywał niekorzystny, i tak w r. 1776 według wykazów celnych obcych towarów z Austryi, Prus, Rosyi i Turcyi.

	Sprowadzono do Polski:	Wywieziono z Polski:
w Krakowskie za złp.	9.113691	2.813328
na Mazowsze „	17.468062	8.311018
do Wielkopolski „	10.611882	3.928960
na Ruś „	8.148778	5.426751
na Ukrainę „	3.298276	1.616301

Przywóz więc 48.640679 złp.
Wywóz 22.099360 „

Przywóz przenosi wywóz o 26.544308 złp.

W r. 1777 z Austryi, Prus, Rosyi i Turcyi

	przywieziono do Polski:	wywieziono:
w Krakowskie za złp.	8.894620	3.005634
na Mazowsze „	17.313563	10.631656
do Wielkopolski „	10.833221	7.091076
na Ruś „	7 003256	7.187356
na Ukrainę „	3.443907	1.923516

Przywóz więc 47.488867 złp.
Wywóz 29.839238 „

Przywóz przenosi wywóz o 17.649629 *(Büsching Magazin, 16 Theil, S. 22)*

Na sejmie w r. 1780 udowodniono, że od roku 1778 do 1780 sprowadzono do Polski obcych towarów prawie za 100 milionów złotych polskich, a wywieziono swojskich płodów zaledwie za 60 milionów.

To były skutki polityki wywozowéj i handlowéj centralizacyi.

Kazimierz Chłędowski.

Konstanty Gaszyński.

Dziesiątek lat poprzedzających powstanie listopadowe, możnaby nazwać wiosną naszéj poezyi. Przez ten dziesiątek, tak samo, jak na wiosnę kazdego roku, gdy rankiem wynidziesz w pole, rozlegało się powietrze koncertami spiewaków leśnych, polnych, wodnych, spiewających hymn na powitanie słońca i życia. Słowiki prym trzymały. Nadwilejski słowik rozpoczął koncert — mistrz, dyrygował orkiestrą, i zaraz do wtóru ozwał się drugi z ukraińskich stepów, pełen rzewnéj melodyi. Za ich przykładem nie było okolicy, któraby nie miała swego słowika a przynajmniéj skowronka, zrywającego się z piosenką. Wszyscy spiewacy nawiązali na swoich lirenkach nowe struny i szukali nowych melodyi — niebrakło im téż słuchaczów, jak homerycznemu Femiowi, o którym Telemak powiedział:

Ażaliż nie téj pieśni słuchamy najchętniéj
Co czemsić nowém w sercu słuchacza odtętni? *)

Były to czasy najprzyjaźniejsze poezyi; lubili ją starzy i młodzi, a nadewszystko płeć piękna egzaltująca się każdą nowością. Na gotowalniach obok perfum i pomad leżał tomik którego z ulubionych poetów; przedmiot herbacianych pogadanek krążył w kole estetycznych teoryi dowodzących wyższość romantyzmu nad klasycyzmem; strój nawet kraciasty przypominał walterskockich Higlenderów; a wyznający swą miłość młodzieniec, okraszał ją jaką niedwóznaczną cytacyą z Maryi lub Dziadów....

Nic dziwnego, że każdy zawód literacki rozpoczynał się balladą, lub dumką, poematem à la Byron, lub romansem

*) Odissea ks. I.

historycznym à la Walterscot; i rozpoczynający mógł rachować jeźli nie na dobre, to zawsze nie na obojętne przyjęcie. Pod skrzydła mistrzów orlego lotu, cisnęły się drobne ptaszyny i obiegały szerokie horyzonty duchowego państwa. Były to większe i mniejsze talenta, zdolności wybitne i zdolności wątpliwe, a jednak nie odrzucano ich; dziś jeszcze wracając do nich, choć może nie na jedno wzruszysz ramionami, znajdziesz tam pewne ciepło poczucia, poryw duchowy. *Spiritus intus alit;* ogień wewnętrzny dawał ci to życie, to trwanie — w nim też najgłówniejszy warunek poezyi. Bez duchowego ciepła, nic nie pomaga nowéj generacyi poetów, że się podszywają pod pewne systema, pod pewne prawidła natchnienia; że wolą to niż tamto, utrzymując: na takiéj tylko wolno grać strunie; takie tylko przedmioty śpiewać, a nie inne! Tymczasem poezya może się obejść bez wszystkiego, byle była w treści poezyą. Na nic jéj nie przyda się ta pretensyonalna jałowość co dzisiaj sadzi się na rytmy i rymy wyszukane, co ideę poświęca dla obrazu, co anatomizuje naturę zamiast ją malować z czuciem, co wreszcie zamiast jasnych i zdrowych pojęć, sypie metaforami. Jeszcze mniéj poetycznemu żywiołowi sprzyja ów ton szyderczy, owo naigrawanie się z zwierzeń, z przyjętych wyobrażeń w spółeczeństwie. Myli się kto mniema, że wspiąwszy się na szczudła ironii, panuje tém samém nad tą ludzkością, którą rozdziera zębem nienawiści, podejrzywa każde uczucie mieniąc je hipokryzyą; tymczasem sam jest największym hipokrytą, bo udaje tę wyższość, któréj nie ma, prosty podrzeźniacz Byrona, lub Słowackiego. Nic to innego, tylko szamotanie się w poetycznéj niemocy.

Mówią też powszechnie, że poezya za dni naszych należy do rzadkości; nieprzeczę; lecz to zapewnie pochodzi ztąd, że poetów namnożyło się bez liku. Nowe pokolenie przejąwszy w spuściznie wyrobiony język poetyczny, zasypuje nas rymowaną gadaniną względnie tak udoskonaloną, że choćby się odezwał jaki głos prawdziwie poetycznie natchniony, zagłuszonoby go w tym gwarze upędzającym się za nowym polem dla poezyi, jakby to jéj sfera nie była zawsze jedna i ta sama. Serce człowieka, to niewyczerpana kopalnia, pełna rozmaitości, ale tylko dla silnéj wyobraźni, dla wyższego ducha, jak znowu dla ubogich duchów, wyobraźni jałowych, przedstawia ciasne

pole zasiane oklepanemi ogólnikami. Póki świat światem poezya nie będzie nic innego śpiewać, tylko Boga, naturę i miłość. Może się powierzchnia kula nasza przeobrażać nieskończenie, pracę rąk zastąpić siła mechaniczna, machina urągliwym kłębem dymu pluć w niewzruszony sklep niebieski; możemy zmieniać rządy i chorągwie, wyobrażenia i zwyczaje — wszystko to da ton, da inne zacięcie poezyi — ale mimo tego nie będzie ani jéj pierwiastkiem ani celem. Jeżeli poeta ma w piersi iskrę boskiego ognia, każdy przedmiot jakiego się dotknie, będzie miał prawo do życia; i niepotrzebnieby się kłopotał czy sprawie narodu lub ludzkości służy pożytecznie. Wieszcz, natchniony poeta zawsze znajdzie się w prądzie opatrznościowym swojego czasu; nie pcha się tam, nie powiada z góry, że chce zająć to wysokie stanowisko — ale je zajmuje mimowiednie. Zaraz się da to widzieć, uczuć, odgadnąć, po przenikającéj prawdzie jego słowa, po wzruszeniu które na słuchaczach jak prąd elektryczny przebiega. Mićkiewicz od pierwszego rzucenia w świat swoich dwóch tomików poezyi, dotąd trzyma pod magiczném zaklęciem trzecie już pokolenie, i nie wiem wiele jeszcze takich pokoleń przesunie się, zanim ten czar zostanie z nich zdjęty.

Była to jak rzekłem wiośniana pora poezyi w tym ożywionym lat dziesiątku przygotowującym powstanie listopadowe. Odmłodzenie krwi w narodzie rzeczywiste, nieudane, objawiające się niezwykłym ruchem w sferze myśli i uczuć.

Nowy zastęp pisarzy wychodził na widownię i wzmacniał się z każdym dniem.

W téj liczbie znalazło pewien rozgłos nazwisko Konstantego Gaszyńskiego młodego ucznia Uniwersytetu warszawskiego który kilkoma poezyami wdzięcznemi i słodkiemi, zwrócił na siebie uwagę.

Szczęśliwy to czas, gdzie zwrotka dobrze utoczona dawała imie.

Gaszyński miał jeszcze to szczęście, że wyborem przedmiotu, formą tak zwanym klasykom dogadzającą, a przytém pewną malowniczą świeżością, dogadzał obu stronnictwom ścierającym się na polu literackich teoryi. Romantycy nie odpychali go od siebie, klasycy uważali za swego.

Nadzwyczaj ujmującéj powierzchowności, dobrze wychowany, umyslem bystry, umiał się podobać, i przez stosunki koleżeńskie z młodym Zygmuntem Krasińskim wprowadzony został w dom jego ojca, jenerała Wincentego Krasińskiego, u którego zbierało się grono poważnych literatów, jak Osiński, Koźmian Kajetan, Franciszek Morawski, Niemcewicz i tyle innych ówczesnych znamienitości. W gronie tem wyrabiał się smak młodzieńca, dowcip rozwijał — Towarzystwo ludzi wykształconych, zajmujących wysokie stanowiska, światowych, wesołych, dowcipnych, nie mogło nie oddziaływać na młodego człowieka robiąc go poważnym w rzeczach poważnych a gładkim, ujmującym, umiejącym się znaleść i zawsze dobrze opowiedzieć w danym razie. Miała téż konwersacya ówczesna inny charakter niż dzisiejsza i mogła być lekką, lecz dowcipną; powierzchowną, lecz ożywioną, ścierającą się w zdaniach, lecz bez zadawania ran dotkliwych dla miłości własnéj. Była to dawna tradycya wykwintnych towarzystw stolicy dzisiaj prawie stracona; teraz bowiem najczęściéj jeźli konwersacya nie bywa ciężko pedantyczna, to obmowna, jeżli nie przybiera charakteru jątrzącéj dyskusyi w któréj mowca tyranizuje swojém zdaniem, to się jedni odwracają od drugich, lub podejrzliwie unikają rozmowy; a jeźli jeszcze połowę towarzystwa sklada płeć piękna, zwykle bywa skazaną na przysłuchiwanie się rozprawom jak z katedry, lub ławy sejmowéj, które choć potężnie nudzą, jednakowoż nie łatwo dają się sprowadzić do tonu mniéj naprężonego. Za czasów Górnickiego starosty tykocińskiego znano się na tych przyzwoitościach towarzyskich, jak pokazuje wyborna anegdota o owym dworzaninie, co to postawą srogą, odętym wąsem, straszył, i tylko z fukiem mówił o wojennych rzeczach twierdząc, że zbroja najmiększa jego pierzyna, a najsmaczniejszy trunek z przyłbicy. Otóż jedna z pań, widząc go srodze zafrasowanego prosiła, żeby się albo przysiadł do muzyki, albo tańcował, albo rozmową z paniami bawił, na co on każdą razą odpowiadał, iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie jego rzemiosło. Radziła mu tedy owa grzeczna pani, że ponieważ wojny tu nie ma, żeby się kazał razem ze zbroją i orężem tłuszczem wysmarować i do szafy zamknąć, aż do czasu najbliższéj wojny; dodając: żebyś wpan bardziéj niż teraz nie zardzewiał.

To samo dałoby się powiedzieć o tonie dzisiejszych towarzystw po większéj części poetycznie sztywnych, a ztąd pozbawionych tego ciepła, co przyciąga, udziela się, i rozwiązując język, stawia w naturalnym stanie werwy i dobrego humoru. Salon dawniéj był szkołą światowego wykształcenia, dziś jest zbiorowiskiem jednostek odrabiających pańszczyznę wielkiego świata.

Gaszyński przeszedł przez tę szkołę i został mu na całe życie wdzięk towarzyski, który acz złamanego wieloletniemi cierpieniami zawsze robił przyjemnym i pożądanym w każdém gronie. Uprzejmość, delikatność w zachowaniu się, trafne słowo, niekiedy dowcipne, i tém dowcipniejsze że się samo nasuwało bez pretensyi sadzenia się na nie — wszystko to sprawiało, że jeżeli miłą była znajomość z nim, to nierównie cenniejszą przyjaźń. Doznając jéj lat wiele, mógłbym coś o tym stosunku powiedzieć, który lubo rzadko osobiście nas zbliżał, niemniéj jednak pozostał miłą dla mnie pamiątką w licznéj jego korespondencyi.

Lecz oto w wycieczce téj przeciw dzisiejszéj fizionomii towarzystw splątałem sobie porządek historyczny jakiego wypadało trzymać się opowiadając żywot zgasłego niedawno poety. Nic dziwnego! pamięć po każdéj drogiéj stracie wysuwa naprzód te wrażenia jakie się najmocniéj w niéj wycisnęły.

Wracam do obowiązku ścisłego biografa.

Konstanty urodził się dnia 10go marca r. 1808 w ziemi czerskiéj, w województwie mazowieckiém w Małéjwsi, z matki Tekli Bzowskiéj, z ojca Antoniego Gaszyńskiego, niegdyś vice-brygadyera w wojsku Rzeczypospolitéj, późniéj radcy województwa mazowieckiego. Do szkół i do uniwersytetu uczęszczał w Warszawie, i jeszcze na szkolnych ławach okazywał talent do wierszowania. Pierwsze próby jego pióra pojawiły się w *Rozmaitościach* dodawanych do Gazety: *Korespondent Warszawski*, i zwróciły na siebie uwagę; odtąd poezye jego i prozaiczne artykuły ukazywały się po różnych pismach, mianowicie w *Pamiętniku dla płci pięknéj*, którego był współpracownikiem. Najwięcéj jest tu tłumaczeń z Byrona, Moora, Szyllera, także z Guzli Merimego, który na wzór pieśni serbskich układał bardzo zgrabne apokryfy. Najwięcéj jednak zrobił sobie wziętości pieśniami sielskiemi, przy-

pominającemi prostotą i tokiem, piosnki naszego ludu. Pojawiły się one w r. 1830 i były symptomatem upadku ballady i romancy, zrazu z takim zapałem przyjętéj. Znać tu wpływ Brodzińskiego wskazujący źródło w którém odmłodzić się miała nasza rodzima muza. Gaszyński niebędący zagorzałym romantykiem, skłonił ucho do melodyi wielkopolskiego ludu, podobnie jak Zaleski pochwycił był nutę ukrainną, i jak Chopin z obertasów i mazurków tworzył muzykalne arcydzieła. Jest takich piosnek siedem, i dziś można je z przyjemnością czytać, a nawet raz przeczytawszy, nauczyć się na pamięć, tak są płynne, tak pełne melodyi. Kogoby zmęczyła teraźniejsza apokaliptyczno-ironiczna poezya, mógłby sobié odetchnąć przy takim przyśpiewku jak: Pocałowanie.

Przez Bóg żywy, dziewcze moje
Ty czarujesz usta twoje:
Bo gdy ciebie pocałuję
To żar taki silny czuję,
Że choć usta nim napieszczę
Żar ten w sercu pali jeszcze.
A gdy zasnę — do świtania
Śnią mi się pocałowania.
Przez Bóg żywy, to są dziwy,
To są dziwy dziewcze moje,
Ty cukrujesz, ty czarujesz,
Ty czarujesz usta twoje.

Piosenki te najwięcéj mając charakteru rodzimego, są téż najlepszą cząstką poetycznych utworów pisanych do roku 1830, które Gaszyński miał zamiar zebrać i wydać w dwóch tomach. Wybuch rewolucyjny przeszkodził temu: co nie wyszło mu na złe, gdyż pierwiastki téj młodzieńczéj muzy byłyby w późniejszym czasie jemu samemu przysporzyły nieukontentowania, jak o tém w jednym liście wyraził się do mnie, gdy mówiąc o powtórném wydaniu swych Poezyi (w roku 1856) powiada, że z pierwszéj edycyi (r. 1844) powyrzucał prawie wszystkie juwenilia; chociaż w téj pierwszéj, owych warszawskich juweniliów było niewiele, i to już znacznie przetrzebionych. Skwapliwość do ogłaszania drukiem pierwiastków choć sprawi na razie pociechę, w dojrzałości męskiéj wzbudza niekiedy skrupuły, ale tylko u takich pisarzy, co mają uczucia doskonałéj formy

i wyższéj piękności. W słabych nieudatnych próbach widzą oni profanacyę sztuki i to ich boli.

Gaszyński w wysokim stopniu miał to uczucie, i bardzo mu szło o to, żeby księgarz petersburski Wolf, zamierzający w Skarbczyku wydać jego poezye po większéj części patryotycznéj treści, a tém samém trudne do przeprowadzenia przez cenzurę, nie poprzestał na przedrukowaniu samych juweniliów. „W takim razie — pisze on w liście (30go maja 1855) — mogą o moich poezyach powiedzieć to samo co Wójcicki w swojéj Historyi Literatury mówi o moim romansie historycznym: Dwaj Śreniawici wydanym w roku 1830, robiąc tę bardzo słuszną uwagę, że nie ma tam kolorytu historycznego z czasów Łokietkowych; aczkolwiek powinien był dodać, że autor miał wówczas lat 19 gdy pisał, więc znał bardzo płytko i historyę i serce ludzkie.“

Byłto grzech młodości ten romans Dwaj Sreniawici, atoli grzechu tego dopuszczali się i starzy, którym zdawało się że dość jest wziąść jedno lub kilka nazwisk historycznych z średnich wieków, ubrać je w hełmy i pióra, czarną lub świecącą zbroję, posadzić na czarnym lub białym rumaku, za dekoracyę dać parę zamków w niedostępnych górach, z podziemnemi lochami, wyprawić wesele lub gody na królewskim dworze, parę turniejów, i co niemiara bitew, a w to wszystko wplątać jaki naiwny romans z porywaną i odbijaną heroiną, łączącą się po wielu, wielu przechodach z bohaterem powieści. Wprawdzie nudziły te oklepane motywa i sytuacye, ale pobłażano im, w nadziei że i my dostaniemy swego Walterscota; zresztą uważano w tém pewną stronę utylitarną utrzymując, że tym sposobem popularyzuje się umiejętność historyi.

Jak tedy widzimy młodzieńcza płodność Gaszyńskiego zaledwie liczącego rok dwudziesty pierwszy, mogła się już poszczycić dwoma tomami przygotowanych poezyi, w świat puszczonym romansem á la Walterscot i krotochwilą Waryat z potrzeby, która nie wiem czy była lub nie przedstawioną na scenie. Spora wiązanka na pierwszy występ w szrankach literackich.

Niebawem jednak nadeszła chwila gdzie powinność nakazywała zrobić rozbrat z piórem. Wybuchło powstanie listopadowe. Młody pieśniarz wstąpił w szeregi gwardyi akademickiéj

mającéj tę zasługę, że odrazu stanęła w obronie porządku; gdy zaś za zbliżeniem się armii rosyjskiéj służba na bruku warszawskim nie wystarczała patryotycznym uczuciom młodzieży, Konstanty wstąpił w regularne szeregi do batalionu Saperów, który w kilku okazyach zaszczytnie się odznaczył.

Przypominam sobie tę chwilę — choć tyle lat przesunęło się po niej — jak w obozie pod Jędrzejowem sąsiadując z batalionem Saperów, często na miłą pogadankę schodziliśmy się do namiociku Konstantego, i przy biwakowym ogniu rozprawialiśmy o klasykach i romantykach, o szczegółach powstania i o złotych nadziejach, w które każdy z nas tak wierzył, że brał je niemal za rzeczywistość. Wtenczas to Konstanty ułożył tę piosneczkę:

Pamiętasz bracie kochany
Gdyśmy zawsze w dni wiosnowe
Wychodzili na Bielany
Obchodzić święto majowe.
Nucąc wraz: Boże daj
By nam lepszy zakwitł maj.

Spiewaliśmy ją chórem i niebawem stała się tak popularną, że ją w szeregach śpiewano na nutę znanéj piosneczki Doliwy Starzyńskiego. Druga jego piosneczka:

„Ojczyzna długo gnębiona“

no nutę barkaroli z Niemej z Portici, napisana w pierwszych chwilach powstania, już się była przyjęła i tak rozpowszechniła, że ją wszędzie powtarzano. Jednakowoż piosennik Rajnolda Suchodolskiego używał jeszcze większéj wziętości i słusznie powiedział o nim w jednym sonecie Konstanty:

Śpiewaku wdzięcznych piosnek które młodzież cała
W świetnych dniach listopada z dumą powtarzała,
I które przeszły w usta ludu i żołnierzy.

Z tém wszystkiém pieśni te nie miały tego lirycznego polotu, téj porywającéj siły co Marselieza — było w nich coś brukowego, więcéj satyry niż szerokiego natchnienia. Jeden Gaszyński co uchwycił wyższy ton w sławnéj pieśni: Za Bug! Za Bug! gdzie szczególniéj jedna zwrotka przenikała do szpiku:

Wodzu nasz Janie, nasze orły żebrzą
Ogniem Grochowa i Wawru napadem

Niech się czémprędzéj brzegi Bugu srebrzą
Tryumfującym ich stadem;
Niech postrzełony ten potwór dwugłowy
Po naszéj ziemi dłużéj się niesłania —
Wyrzuć ostatni pocisk piorunowy,
I skróć mu męki skonania.

Przepyszna to inwokacya, godna Tyrteusza i Körnera — ale pieśń ta nie wyszła po za obręb literackiéj produkcyi — ani lud, ani żołnierz jéj nie śpiewał, chociaż moment był dobrze wybrany.

Gaszyński poszedł z wyprawą na Litwę i po przejściu Niemna w Wielonie, ułożył hymn do Litwinów w kilku strofach, kończących się zwrotką:

Do broni! nieodrodne Gedymina dzieci
W pomoc bratniéj Pogoni biały orzeł leci.

Jest to wierszyk deklamacyjnych ogólników — słaby, jak cała ta wyprawa nieszczęśliwa, nieśmiały jak przeczucie bliskiéj katastrofy, która posilkowe wojsko wepchnęła do Prus.

Odtąd zaczyna się Odysseja jego tułactwa.

Przez Niemcy, Brukselę dostał się do Paryża, gdzie się znalazł w wirze przybywających z kraju emigrantów, którzy zostawiwszy na pobojowiskach krwią zlanych żołnierskie cnoty, przyszli na bruki stolicy świata wzajem się obwiniać i tworzyć stronnictwa ścierające się bez końca. Od uduszenia się w téj zgęszczonéj atmosferze namiętności politycznych ratowała go poezya tęsknoty za krajem, poezya żalu po zgruchotanych nadziejach, poezya oburzenia się na carskie gospodarstwo w zwyciężonéj ojczyznie. W pierwszym tym roku pobytu w Paryżu napisał kilka rzewnych piosenek, które na lotnych skrzydłach wdzięcznéj melodyi dostały się do kraju i były wszędzie śpiewane. Któż nie zna jego Czarnéj Sukienki, téj zapowiedni narodowéj żałoby zmienionéj w trzydzieści lat późniéj w ogólną demonstracyę? Kto wiersza pełnego śpiewności:

Gdy na wybrzeżach twojéj ojczyzny
Obaczysz kiedy okręt strzaskany,
Co przez sterników nie przez bałwany
Zginął, wpędzony w zdradne mielizny:
Poświęć mu poświęć łezkę choć jedną,
On tobie Polskę przypomni biedną!

Wiersz ten napisany do pewnéj angielki wyciskał łzy bliższym świadkom niedoli, gdy go w rodzinnych gronach przy towarzyszeniu fortepianu śpiewano. W drobnych tych utworach znać było, że może marzył o sławie Berangera — i byłby nim może został nie opuszczając kraju; z obcéj bowiem oddalonéj ziemi trudno było mu chwytać tę aktualność, z któréj francuski pieśniarz umiał tak po mistrzowsku korzystać. Poprzestał więc na kilku elegicznych akordach szczęśliwie znalezionych na swojéj lutni.

Ówczesny rząd francuski zaniepokojony napływem emigracyi do stolicy, która roznamiejętniała Francuzów jeszcze ciepłych po barykadach lipcowych — zaczął ich internować po prowincyach. Gaszyński w r. 1833 udał się do Prowancyi do Aix, czarującego słońcem, okolicą, rzymskiemi i średniowiecznemi zabytkami, które przecież nie rozpraszały ani utulały jego tęsknot jak sam mówi:

Balsamy te bez skutku na pielgrzyma życie:
Bo w tym kraju roskoszy, w téj ziemi uroczéj,
Brakuje mi ojczyzny — bo na tym błękicie
Dwie gwiazdy mi nie świecą — kochanki méj oczy!

Zapewne wzmianka tu o przedmiocie ukochanym młodzieńczém uczuciem, a zostawionym w kraju, nie była tylko dla rymu, dla zakończenia strofki. W kilku miejscach wspomina, że pokochał — i stracił. Jakżeby mogło być inaczéj, żeby w życie poety, marzyciela nie wsnuła się złota nić miłości? W lat kilkanaście późniéj napisany poemacik: Sielanka miłości, zdaje się być historyą pierwszego uczucia, które podobne jest do gwiazdki ukazującéj się w błękicie żeglarzowi miotanemu falą na pełném morzu. Gdziekolwiek prąd go unosi, gdziekolwiek pędzą burze namiętne, ona zawsze się przypomina Edenem młodego serca mogącego raz tylko tak czuć, tak marzyć, tak wierzyć.... Zapewne pamięć téj skłonności do młodziutkiéj dziewczynki, któréj nie dano młodziutkiemu kawalerowi, zajmującemu jeszcze studencką ławkę, a połączono z poważnym Jegomością — towarzyszyło mu długo na drogach pielgrzymich, i tak żywo tkwiło w duszy, że potrzeba aż było wielu lat żeby ta bolesna rzeczywistość stała się poetycznem wspomnieniem. Są pewne świętości serca ukrywane nietylko przed ludźmi ale przed samym sobą, że ich nawet nie śmiemy

powierzyć miękkim i lotnym obłoczkom poezyi — a kiedy już powierzymy, to zamknęły się dzieje tego wewnętrznego świata. Tłumaczy to dlaczego Gaszyński tak późno skreślił sielankę swojéj młodości — on, co umiał uhistoryczniać swoje wrażenia w miarę jak przesuwały się przez jego duszę, co zbiór swych poezyi nazwał „kalejdoskopem w którym przesuwa się życie autora przez ciąg kilkunastu najpiękniejszych lat młodości“, co datę i miejsce kładł pod każdym kawałkiem jakby chciał wskazówką tą usprawiedliwić, co, jak i kiedy wpływało na jego usposobienie — jednakowoż sielanki téj nie śmiał napisać aż po dwudziestu kilku latach od téj serdecznéj katastrofy ubiegłych, kiedy dużo przecierpiał, przeżył; kiedy

Niejedna odtąd miłość namiętna lub czuła
Upoiła go szczęściem — smutkami zatruła!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady —
Bo na ścieżce żywota, w ciągłym niepokoju
Pił do sytu z cierpkiego doświadczenia zdroju!

Tylko z silniejszemi, głębszemi uczuciami człowiek nosi się tak długo i zazdrośnie przed okiem świata ukrywa,— płytsze wrażenia prędzéj wyrzuca ze siebie.

Mówić o poecie i nie potrącić o tę stronę która go może zrobiła poetą, byłoby jedno, co mówić o kielichu i barwie kwiatu a zamilczeć o jego woni.

Nie wiem czy umyślnie dla znalezienia zatrudnienia, czy przez samą ciekawość, w roku przybycia do Aix zwiedził Konstanty wyspę Korsykę, tę ojczyznę Napoleona i vendetty.

Osobliwy ten kraj, o którym tyle zajmujących rzeczy pisano, mianowicie pod względem oryginalnych obyczajów mieszkańców, mógł rzeczywiście rozciekawić jego wyobraźnię, lubo w późniejszym opisie téj podróży nie znajduję, żeby wyniósł był nadzwyczajne wrażenia, prócz jednego, które wypowiedział w wierszu pod napisem: Ajjacio, gdzie obudzają się w nim wspomnienia wielkiéj przeszłości na widok domku, pod którego dachem urodził się Napoleon. Pięknych tu kilka strofek; między innemi szczęśliwa:

Czoło żołnierza laurem jaśniejące
Czemużeś zakrył koroną cesarza?

Wszak takich koron było już tysiące,
A takie laury nie każdy wiek stwarza.

Kończy tę apostrofę zwrotem do obecności:

Dziś obcy nawet nad twym grobem płaczą!
Ajaccio, chlub się! zrodziłaś olbrzyma:
Nie prędko wieki taki cud obaczą.
— Karły dziś liczne, olbrzymów już niema.

Sarkazm ten odpowiadał wewnętrznemu usposobieniu tułacza, który jak do ziemi zbawienia dążył do Francyi legionów, Francyi stwarzającéj Księstwo Warszawskie — a znalazł tylko samolubny rząd mieszczański z godłem: *chacun chez soi, chacun pour soi.*

Z wycieczki do Korsyki wrócił do Aix i tam się osiedlił. Przyjęcie serdeczne doznane od mieszkańców, bliższa zażyłość z kilkoma znamienitemi talentami, piękna miejscowość, wiele pamiątek, niebo słoneczne, wszystko miało urok przywiązujący o tyle, o ile mogło przywiązać tego, co ciągle tęsknił do brzegów Pilicy i domku, gdzie mieszkała matka i rodzeństwo, i do tego północnego nieba uśmiechającego się tak rzadko.

Obrawszy to przyjemne siedlisko w stolicy Prowancyi mającéj swój uniwersytet, towarzystwa uczonych, muzea, zabytki architektury, był pociągniętym do pracy. Dobrą znajomość francuskiego języka wyniósł z domu, a lubiąc tę literaturę, przy wrodzonéj łatwości, prędko nabył wprawy w pisanie w obcéj mowie. Jakoż między próbami jego francuskich wierszy znajduje się sonet do Wiktora Laprade będący odpowiedzią na wiersz, który doń napisał ten, jeszcze wtedy niegłośny poeta, lubo znany już w prowanckiéj stolicy. Sonet ów nosi datę r. 1834. Znać jeszcze nieśmiałość, walkę z trudnością przejęcia się duchem obcéj poezyi i mowy, lecz mimo tego myśl sama zachowała pewną oryginalną świeżość, co musiało pobudzić jego francuskich przyjaciół, że go nakłonili do pisania w tym języku. Zabrał się więc Konstanty do ścisłych studyów nietylko nad językiem, ale nad wszystkiem co obchodziło miejscowość: badał historyę, starożytności, literaturę trubadurów i prowansalskie narzecze, czyli tak zwany *la langue d'oc*, mający świetne swoje czasy w średnich wiekach, a teraz znowu wskrzeszony przez poetę Jasmina, który acz golibroda, najwięcéj może poetycznego daru dostał w udziale.

W jednym z listów późniejszéj daty (z r. 1851 z Bad-Baden) opisywał mi Gaszyński studya swoje w literaturze prowensalskiéj, i robił nad nią bardzo trafne uwagi; między innemi mówi:

„Dziewietnaście lat temu przybywszy do Prowancyi, zająłem się był historyą Trubadurów. Wszystkie dzieła w téj materyi pisane przewartowałem i mam spore zeszyty wyciągów, lecz nie mając tego wszystkiego pod ręką, nie mógłbym się teraz wziąść dla dostarczenia ci tłómaczeń z oryginałów. Zresztą, o ile sobie dziś przypominam, owe pieśni Trubadurów nie robiły na mnie wielkiego wrażenia, więcéj tam tego, co nazywają Włosi *concetti*, niż tego sercowego natchnienia tak silnego w pierwotnych poezyach ludowych. Pieśni Trubadurów są tém na polu poezyi, czém szkoła bizantyńska na polu malarstwa, mniéj naiwnością. Podług mego zdania Jasmin, fryzyer z Agen, więcéj wart jako poeta, niż wszyscy Trubadurowie; a jeźlibyś to uważał za przesadę, to ci powiem, że on przynajmniéj podniósł na nowo i wysoko trzyma chorągiew poezyi *de la langue d'oc*.

„Z jakimże zachwyceniem, z jaką roszkoszą czytam zawsze jego Martę, Bliźnięta, Winnicę, Miasto i Wieś, a szczególniéj Tydzień Syna! Są to perły nie osadzone w złoto, bo im tego nie potrzeba, bo mają dosyć własnego blasku.

„Tło obrazów jest życie ludu, ale nie tego ludu co po karczmach pije, lub na klubach peroruje — ale tego ludu, co żyje w bojaźni Boga, poczciwie na kęs chleba zarabia. Treść np. poematu: Tydzień Syna jest taka: Alari biedny mularz (czyli jak w Krakowie piszą: murarz) ojciec licznéj rodziny zachorował mocno; starszy syn i córka idą modlić się na drogę przed wioską, gdzie na słupie stoi obraz Matki Boskiéj. Modlitwa ta prześliczna, wypisuję ci ją w oryginale i dołączam tłómaczenie:

„May de Diou, bierges pietadouzo
Mando toun Angel che nous aou
Et garis nostre pay malaou;
Nostro may tournara jouyouzo
Et nous-aou dus, biergeto-may
T'aymaren se pouden, enquero, enquero may!

(O Matko Boża, Panno miłosierna, zeszlij twego anioła do naszéj chaty; uzdrów chorego ojca; matce wróć wesołość; a my za to Panienko-Matko kochać cię będziemy, jeżeli potrafimy, jeszcze lepiéj, jeszcze lepiéj!)

„Te *se pouden* (jeżeli potrafimy) jest w oryginale prześliczne.“

„Otóż dzieci wróciwszy do domu, zastają ojca zdrowszego; gorączka ustąpiła, ale doktor każe mularzowi jeszcze tydzień wypoczywać w domu — a on otrzymuje rozkaz wracać do murowania rozpoczętego domu, bo jeśli nie wróci, komu innemu oddadzą robotę. Biedny konwalescent w rozpaczy. Ale syn jego, pietnastoletni Abel (dla delikatnego zdrowia trudnił się pisaniem w biurze), powiada ojcu, że znalazł dla niego zastępcę w innym robotniku — a sam (to jest Abel) zamiast chodzić do biura, przez cały tydzień pracuje z mularzami; w końcu szóstego dnia idąc po belce z szaflem wapna, spada w przepaść i zabija się. Ojciec nadbiega, a syn umierający uśmiecha się do niego z rezygnacyą, bo czuje, że swojém poświęceniem się ocalił życie ojcu i zapewnił utrzymanie się rodziny. Ten uśmiech kończący poemat więcéj wart niż najpatetyczniejsze słowa.“

Ustęp powyższy jego listu był odpowiedzią na moje wezwanie, żeby napisał co o poezyi prowensalskiéj, którą, będąc u źródła, mógł znać z pierwszéj ręki; lecz gdy już wtedy zajmowały go inne prace literackie, a zdrowie zaczęło szwankować, tłumaczył się ze swojéj niemożności. Szkoda wielka, bo jestem pewny, że z pod jego ręki wyszedłby zajmujący traktat o Trubadurach, o których tak trafnie sądził, i o nowszéj poezyi Jasmina, w któréj tyle pierwszorzędnych odkrywał piękności.

Czas jego pobytu w Aix trwał dziesiątek lat (do 1844) co wystarczało dla umysłu czynnego a bystrego i chciwego nauki, żeby się obeznać ze wszystkiemi miejscowemi stosunkami, i władać piórem jak rodowity Francuz. Czując się tak usposobionym, wstąpił jako pracownik do *Memorial d'Aix* i po trzechletnim współudziale miał sobie powierzoną naczelną redakcyę tego dziennika. Pan Gaut, autor pośmiertnego wspomnienia o Gaszyńskim, znający go oddawna, takie podał o nim szczegóły w tymże dzienniku, którego zmarły niegdyś był o-

zdobą i redaktorem. Lubo odnoszą się one do prac francuskich naszego poety, nie mogą być nam obojętne, gdy na obcéj ziemi zaszczytnie dały poznać charakter i zdolności Polaka.

„Dziwili się wszyscy — pisze p. Gaut, widząc dziennik francuski tak dobrze redagowany przez Polaka, który poprawnością i wykwintnością stylu rywalizował z pierwszymi pisarzami francuskimi. Ludzie wykształceni szukali i chciwie czytali artykuły Gaszyńskiego; w każdym bowiem znać było erudycyę, czucie i zdrowy rozsądek, którym mianowicie odznaczał się nadwiślański poeta.

„Treść swoich utworów czerpał on najwięcéj z prowanckiéj historyi, którą poznał szczegółowo wertując miejscowe archiwa. Do tego działu należy: *Quentin Metsys*, scena z życia tego flamanckiego malarza, mieszkającego jakiś czas w Aix za panowania króla Rene; Karol Vty w Aix, smutna karta z roczników tego miasta; Krystyna królowa Szwedzka w Aix, studyum charakteru téj niezwykłéj kobiety; Małgorzata Voland, spomnienie pięknéj córy Manosqua, dobrowolnéj męczennicy, która zwróciwszy na siebie pożądliwy wzrok Franciszka I., spaliła sobie twarz siarką, żeby się od królewskich zalotów uwolnić.

„Do drugiego działu należą żywoty sławnych artystów prowensalskiéj stolicy, jak: Chardini, Chastel i inni mniéj znani.

„W trzecim dziale mieszczą się opisy romantycznych okolic Prowancyi, miejsc historycznych i przywiązanych do nich legend i podań; takiemi są: *Saint-Antonin — L'Ermitage de Saint-Sers — les Figons.*

„Ze wspomnień obozowych i politycznych wysnuł Gaszyński: *Une causerie de bivouac* i *Les deux prisonniers d'Etat.* Do fantastycznych utworów należą: *Le passage des Anglais; Histoire d'un clou et d'un tableau; Recherches sur la pipe*, i wiele ulotnych powiastek.

„Prawdziwym znawcą sztuki okazał się w obszernéj pracy, pod tytułem: *Les cabinets de tableaux et Collections artistiques de la ville d'Aix.* Dzieło to zwróciło na niedość cenione, czy zapomniane muzea miasta Aix, uwagę całéj Francyi.

„W poezyi także złożył dowody swego talentu. Dziennik *Memorial* ogłosił wiele sonetów i innych jego kawałków wdzięcznéj formy i wysokiéj myśli.

„Poza dziennikiem wydał Gaszyński kilka prac godnych uwagi, między temi studyum Aixańskiego kościoła *Saint-Sauveur* — także *Nord et Midi*, a nakoniec przetłumaczył dwa poemata Zygmunta Krasińskiego: *Le Dernier* (Ostatni) i *L'Aube* (Przedświt *)".

W przedmowie do tych przekładów zestawia on Mickiewicza z Krasińskim i tłumaczy różnicę ducha ich utworów. Podług niego muza Mickiewicza więcéj pozytywna, żyjąca więcéj na ziemi niż w sferze napowietrznéj, gdzie się unosił Krasiński, pozbawioną jest tego pogodnego spokoju, jakim tchnie poezya śpiewaka Przedświtu. Mickiewicz z całą energią maluje przeszłość i przyszłość, lecz w tę ostatnię pogląda często okiem smutném i rozpaczliwém; nieraz téż z jego piersi wydziera się krzyk rozpaczy i zemsty. Tutaj przywodzi szereg przykładów potwierdzających jego zdanie, między innemi:

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny —
Żrąca jest i paląca mojéj gorycz mowy:
Gorycz wyssana ze krwi i z łez méj ojczyzny.

„Natchnienie Krasińskiego — powiada daléj — lubi bujać najczęściéj w wysokich krainach ideału, gdzie wszystko jest lazurem i światłością — śpiew jego — to ciągły śpiew nadziei, to wiara w zmartwychwstanie. Krasiński wiernie trzyma się téj myśli górującéj w jego tworach, że jeżeli ojczyzna skazana na męczeństwo, to dla tego, że Bóg wskazał ją jako najczystszą ofiarę między narodami, dla odkupienia nieprawości tego świata. Nigdy téż nie odwołuje się do uczucia zemsty i nie przestaje głosić, że poświęcenie się, ofiara, miłość, cnota, są najsilniejszą dźwignią dla ujarzmionego ludu, który pragnie wyswobodzenia.

Oto są główne punkta tego porównawczego procesu między dwoma gwiazdami poezyi naszéj. Gaszyński od młodości przyjaciel Zygmunta, kochał jego pomysły i może zanadto wcześnie zakonkludował o zbawiennym wpływie jego poezyi, gdy biorąc pochop z wypadków r. 1861 w Warszawie, dodał na końcu: „cała ludność bezbronna, śpiewająca litanie u stóp „krzyża i umierająca spokojnie pod gradem kul moskiewskich, „dowiodła tém swojém zachowaniem się, że natchnione słowa

*) Wyszły w Paryżu u Dentu r. 1863.

„Krasińskiego rozeszły się i na wskróś przeniknęły sumienie „ludu polskiego.“

Nie mniemam czy przez ścisły rozbiór dzieł tych dwóch poetów, przyszlibyśmy do tego samego ocenienia ich wpływu na naród lub na współczesne wypadki. Lecz że to dla Francuzów pisane, którzy lubią efektową frazeologię, więc nie ma co upominać się o ten sposób przedstawiania rzeczy w ich duchu. W każdym razie nie znam nic trudniejszego jak oznaczyć granice doniosłości literackich wpływów, tém więcéj, że się w tym względzie zakradło nadużycie, a raczéj niektóre wpływy wyśrubowano aż do przesady; gdy tymczasem zachodzi wielkie pytanie, czy poeta, autor, podchwytywał prąd istniejący już w ludzkości, lecz jeszcze niesformułowany i niewypowiedziany, czyli téż nadawał go jéj, tworząc coś z niczego? Nie mniemam również, żeby nasze nieszczęście polityczne można przypisywać zgubnym wpływom poezyi, jak to niektórzy robią. Byłoby to jedno, co winić koguta lub śpiewające wilgi, że sprowadzają słotę lub burzę. Polityczne klęski zawsze sprowadza zła polityka, budowana na okolicznościach, a nie na stałéj zasadzie, nie na pewniku wydobytym z rzeczywistego położenia. Jeżeli w średnich wiekach każdy los jaki spotkał króla, wodza lub prywatnego człowieka, przypisywano wpływowi złéj lub dobréj konstellacyi, pod którą się rodził — to znowu w naszych bezprzesądnych czasach przeniesiono to na wpływy pióra rządzące losami narodów. Mniemam jednak, że jak astrologia niebieskich aspektów była złudzeniem, tak i dzisiejsza astrologia literacka temuż obłędowi podlega. Twórczość poetyczna zawsze była i będzie skutkiem istniejących już przyczyn, a nie samą przyczyną, aczkolwiek przyczynia się do rozwinięcia onéj.

Natomiast bardzo przypuszczam i wierzę w zbawienne wpływy ludzi wyższego ducha, talentu, wytrawnych pojęć, na młodego, niedoświadczonego pisarza, który wyniósł z ziemi swojéj czyste serce, szlachetne chęci, dużo zapału a mało światła co do prawd będących kamieniem węgielnym, balastem życia nieoddanego na prąd wszystkich wiatrów. Takim przyszedł Gaszyński do Francyi i mógł się nazwać szczęśliwym, że zdrowy instynkt nie rzucił go w objęcia klubów i komiwojażerów różnych afiliacyi, ale kazał mu się przytulić do towarzystwa lu-

dzi wyższych światłem, talentem, dążnością. Takich przyjaciół znalazł w Aix; byli nimi Scipion du Roure i najzacniejszy poeta w dzisiejszéj Francyi Wiktor de Laprade. Pierwszy wtajemniczył go w świat sztuki, drugi w świecie fantazyi nie prowadził go na bezdróża gorączkowych chimer, złudnych widzeń, ale uczył jak samolubną i do materyalizmu lgnącą społeczność prowadzić do ideału i piękna, jak słuchając wewnętrznego głosu iść za nim, a nie zrażać się ani brakiem powodzeń, oklasków, ani oklaskami bitemi w hołdzie miernościom wyzyskującym tę lub inną okoliczność czasową; jak nie palić ofiar modzie, zmiennościom ciekawości i smaku, jak wreszcie być prostym i silnym, spokojnym i zrezygnowanym w odosobnieniu, słowem jak stać w sprzeczności nie z rozumem, sumieniem, prawem moralném, uczuciem słuszności i prawdy w świecie i w duszach, lecz w sprzeczności jawnéj z niskiemi namiętnościami, zręczném wyrachowaniem, intrygą i reklamą. Takim był Laprade poeta głęboko chrześciański, którego wizerunek odfotografował się w tym wierszu:

Beau vase athenien plein des fleurs de Calvaire.

(Piękna urna grecka pełna kwiatów na górze Kalwaryi zerwanych).

Gaszyński ocenił ten wpływ i w światłém towarzystwie zmodyfikował wiele wyobrażeń, w innych się podniósł i zmężniał. Sam o tém napomyka w przedmowie do zbioru swoich poezyi wydanego w Paryżu roku 1844, gdy tak się wyraża: „W poezyach tych nie panuje jedna i taż sama idea; owszem, czytelnik napotka często opinie wprost przeciwne; ale tak być musiało: bo człowiek młody nie może natrafić odrazu na drogę, którą postępować będzie i musi przejść, a przynajmniéj usiłuje dojść przez błędy i wahania się — do prawdy i stałych zasad religijnych i politycznych. Data położona przy końcu każdego kawałka najlepiéj te przeciwieństwa i sprzeczności objaśni.

„Zwątpienie i wiara — próżnia serca i miłość namiętna — zapał do arcydzieł sztuki ludzkiéj, to znów rozmiłowanie się w tworach ręki boskiéj — wszystkie te uczucia różnorodne wydały dźwięki różnorodne i stały się pieśnią o wielorakich tonach.“

Jedna tylko miłość ojczyzny — dodaje w końcu — wyssana z mlekiem, nie potrzebowała się wyrabiać ani modyfikować z życiem.

Zbliżył się jednak czas, że miał pożegnać gościnną prowancyę, o któréj zawsze mówił: druga moja *cara patria.* Pożegnał ją rzewnym wierszem, osobliwie w tych strofach:

O jak mi smutno rzucać ten ziemi zakątek
Kędy mi przebiegł spokojny i miły
Pod piękném niebem, młodych lat dziesiątek,
Gdzie miłość, przyjaźń — tyle zostawiły
Błogich mi w sercu pamiątek!
Prowancyo! te pamiątki nigdy nie zaginą,
Węzeł mię z tobą połączył wieczysty;
Choć los się zmieni i lata upłyną,
Ty będziesz zawsze — po ziemi ojczystéj
Najmilszą dla mnie krainą!

I dotrzymał słowa, kiedy zawsze z wycieczek swoich wracał do jéj ciepłego słońca i serc ciepłych — kiedy tam nakoniec znalazł przytułek dla swoich popiołów, których ojczysta ziemia przytulić nie mogła.

W r. 1844 przybył Gaszyński do Paryża i wydrukował tomik poezyi, poświęcając go w części autorowi Irydyona przyjacielowi lat młodych, w części, to jest oddział Sonetów, Mickiewiczowi, gdzie wyznając się uczniem tego mistrza, spodziewa się, że te drobne niezabudki zebrane na ziemi prowanckiéj

Rozkwitną — i pod cieniem twéj chwały, nabiorą
Więcéj barwy, powabu, świeżości i woni.

W poezyach tych wiele kawałków nosi datę z Aix, co pokazuje, że nie saméj francusczyznie się poświęcał. Francuskie autorstwo dawało mu utrzymanie, polskie odpowiadało tęsknotom serca, myślom, które stanowiły rdzeń jego istoty. Zaciągając się w szeregi francuskich pisarzy, mógł był zająć wcale niepoślednie stanowisko przy swoich wiadomościach, zacnym sposobie myślenia i przy téj oryginalności, jaką Sławianin może wnieść w tę literaturę, która już zużyła i nadużyła wszystkiego — atoli nie zapomniał on co winien był ojczystéj muzie, ubogiéj i tułaczéj, i o autorstwie swojém francuskiem powtarzał razem z Horacym: „że nosił drwa do lasu, a do Aten sowy.“

Tomik ten nie zrobił hałasu — już bowiem czas był przeminął, kiedy poezya silnie wstrząsała — przyjęto go jednak wdzięcznie jak wiązankę fijołków w kwietniu. Znawcy umieli cenić tę jego elegancyę formy, tę mistrzowską poprawność, która nie odjęła sobie przez to ani naturalnéj prostoty, ani męskiego wdzięku. Jeżeli oryginalnościami nie iskrzyły się jego wiersze, za to otaczało je pełne i przenikające światło; czytając, rozumiałeś je, bo nigdzie z umysłu rzeczy nie plątał i nie zaciemniał, aby zostawiać pole domysłom i odgadywać to, o czém sam poeta nie miał jasnego pojęcia. Uważałem, że ta wada nieraz na dobre wychodzi piszącym; ciemną ich zawiłość czytelnicy radzi brać za głębokość; ekscentryczne grymasy, humorystyczne wybryki, z których, żeby autora przycisnąć, nie umiałby zdać sprawy — za cuda fantazyi, za iskry jeniuszu lub wybuchy wielkiéj namiętności; w każdym razie pochlebia to czytelnikowi, że kiedy się zmęczy nad książką i nie zrozumie jéj, staje się tém samém współpracownikiem głośnego autora; a jeśli nie pochlebia, to go zdumiewa i każe mu wierzyć w prostocie ducha, że to musi być szczytne i bezdenne, kiedy się w jego zdrowym, gospodarskim rozumie pomieścić nie może. Mam przekonanie, że przymiot jasności, ekonomii słowa i szczeroty znamionującéj poezye Gaszyńskiego, zapewni im dłuższe trwanie; sama wykończoność formy, gładkość odlewu, spoistość części, melodya wewnętrzna, dają im wyraz odróżniający od zwykłych wyrobów rzemieślniczych. Włóż jego piosneczkę, jego sonet i pomięszaj z innemi zapełniającemi dziś kolumny żurnalów ilustrowanych i nieilustrowanych, a znawca pozna się zaraz, że nie do téj epoki należy, podobnie jak w steku ceramik naśladujących kształty i smak starożytny, odróżni jednym rzutem oka prawdziwy etrusk.

Ubliżałbym pamięci Konstantego, gdybym tylko tę stronę artystyczną widział w jego poezyach, a innéj nie widział. Są tam piosenki drgające czuciem, strofki pełne świętego ognia zapału.

Gdybym nic więcéj nie przytoczył jak Sonet do Matki napisany w wigilią Bożego Narodzenia, jużby nie mógł mię nikt o zbytek względności i pobłażania pomówić.

Otóż i ten sonet:

Matko! już piąty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu — i piąty raz zima
W rodzinnéj ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętéj wieczerzy siedzieli.
Dziś, kiedy wszyscy u stołu weseli,
Ty, patrząc w koło tęsknemi oczyma,
Myślisz w swéj duszy: Konstantego nie ma:
I któż się dzisiaj opłatkiem z nim dzieli?!
O Matko moja! gdy w wieczór stroskana
Modlić się będziesz przed Maryi obrazem,
Serc naszych głosy spotkają się razem,
I anioł święty poniesie przed Pana
Jednéj krzewiny dwa woniące kwiatki,
Modlitwę syna i modlitwę matki!

„*La netteté est le vernis des maîtres*“ powiedział któryś estetyk, i zdanie to można stósować do poezyi Gaszyńskiego, który choć nie miał pretensyi uchodzić za mistrza, umiał nadawać mistrzowski pokost swym tworom. Brakuje im dwóch tylko rzeczy, aby je do arcytworów literatury naszéj policzyć, to jest: owych iskier, których się czytelnik nie spodziewa, a które uderzają w niego i przeszywają do szpiku, a następnie owéj czarodziejskiéj mocy, co opasuje cię zjawiskami swojego świata i robi jego niewolnikiem, że tylko ze smutkiem patrzysz na rzeczywistość.

Jest to słowem przyjemny poeta — a raczéj mający wszystko, aby nim zostać, gdyby nie krwawa epoka, w któréj żył i cierpiał. Przyjemny poeta! to wygląda niemal na anachronizm, w czasach, kiedy nie ma tylko wielcy poeci, jeniusze, sztukmistrze, lub tacy, co chcieliby za takich uchodzić. Przyjemnego poety w dawniejszém znaczeniu nie znajdziesz na lekarstwo; nie ma téj mieszaniny dowcipu, lekkości, wyobraźni, zaniedbania, dobrego humoru i téj zręczności, co z lada bagateli korzysta, aby z niéj upleść wierszyk, grzecznostkę ładnéj kobiecie, lub epigram pochwycony w mgnieniu oka mający powodzenie i robiący nieraz fortunę autora.

O takim poecie dziś już nie słychać. Spółeczność nasza nastrojona poważnie nie wiedziałaby nawet do jakiéj kategoryi go policzyć i co z nim robić; bo jeżeli czasami miewa kaprysy dla poety piszącego przyjemnie, lekko, dowcipnie, tedy

musi znaleść w nim coś więcéj, jeśli nie splin i sarkazm Byroński, to choćby frazeologię humanitarnéj apokalipsy, zgoła coś coby ją wstrzęsło, rozgorączkowało — bez tego niktby ani spojrzał na wdzięcznego pieśniarza, śpiewającego sobie ot tak dla przyjemności.

Gaszyński w młodszych latach kiedy był jeszcze uczniem w Warszawie, pokazywał ten dowcip, tę niewymuszoność, ten humor wesoły, tę lekkość w wierszykach rzucanych na prędce, a utoczonych tak zręcznie, że się musiały podobać. Pewny téż jestem, że niechby go los był zachował w zaciszu domowém, wśród stosunków patryarchalnego wiejskiego życia, a nie rzucił w odmęt publicznych nieszczęść, nie kazał przebywać tyle zmiennych kolei, a tém samém ochronił od silnych wrażeń, które tak żywo odbijały się w jego duszy — czyli po prostu, gdyby nie był dzieckiem żelaznego wieku — i jego muza możeby miała familijne podobieństwo z muzą Krasińkiego. Jest to tylko symboliczna formułka, przez którą chciałem wytłumaczyć naturę jego talentu — bo przecież i największy poetyczny jeniusz, choć wylatuje za szranki pojęć swoich współczesnych i nowe światy odkrywa — nie mniéj nosi na czole piętno czasu, w którym żyje.

Gaszyński z Prowancyi, jak rzekłem, udał się do Paryża, gdzie się zajmował wydawaniem pism swego przyjaciela Zygmunta Krasińskiego, który z początku ogłoszał je bezimiennie, a potém pożyczył nazwiska Gaszyńskiego , dla lepszego zamaskowania swojego anonimu. Nie potrzebuję mówić, jakie wrażenie sprawił Przedświt gdy się ukazał — a lubo Gaszyński jako autor figurował na tytule, każdy ktokolwiek wczytał się w jego sposób pisania, poznał z saméj faktury wiersza, że to tylko mistyfikacya, i że ktoś inny ukrywa się pod jego nazwiskiem. Długo jednak utrzymywała się tajemnica; a choć ją gadano sobie do ucha, pisma publiczne nie śmiały jéj roztrąbić.

Okres ten nowy w życiu Konstantego przerzucał go ciągle z Paryża, gdzie zwykle część zimy przepędzał, do wód niemieckich i morskich na całe lato i jesień; atoli nietylko sama potrzeba orzeźwienia się zmianą miejsca lub nabrania sił w leczebnych zdrojach, była pobudką do tych wycieczek; coś silniejszego ciągnęło go: przyjaźń i towarzystwo autora Irydiona

i Nieboskiéj, który dla poratowania nadwątlonego zdrowia, a niemniéj téż żeby w ojczystéj ziemi nie nasuwać się na oczy podejrzliwego rządu, najczęściéj przebywał w Niemczech nadreńskich.

Połączenie się z dawnym przyjacielem i kolegą szkolnym, było tym węzłem, który Konstantemu przybliżał ojczystą Polskę; rozmowy z nim ukrzepiały go na duchu, obudzały wiarę w przyszłość, podnosi nad poziom małostek, małpowanych sposobików, niewyczerpanych kłótni o wiatr, bezsilnych wichrzeń, będących chlebem codziennym wychodźtwa. Konstanty harmoniował z Zygmuntem oddawna w sferze poetycznych usposobień, teraz pojął go całkiem, gdy ten mu odkrywał myśl bożą, mądrość chrześciańską, jako jedyne, najwyższe prawo mające rządzić sumieniem człowieka, kierować sprawami narodów i ludzkości — za każdem słowem mistrza, jak za uderzeniem dłuta, spadały niepotrzebne okruchy, i wyłaniał się ideał ducha promienny pięknością lecz jeszcze zawieszony wysoko w lazurze, żeby go za jednym westchnieniem lub modlitwą sprowadzić na ziemię....

Lecz wróćmy do zajęć pisarskich Konstantego.

W r. 1846 wydrukował on obrazek emigranckiego życia: Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy; w obrazku tym natura pochwycona na uczynku, opowiadanie dziwnéj naturalności, jak które z najlepszych kartek Doświadczyńskiego, a znajomość serca z taką prawdą oddana, charaktery tak dobrze ujęte, jakbyś czytał jeden z najlepszych rozdziałów Gil-Blasa. Są tu rysy nieocenione do historyi emigracyi we Francyi, tém cenniejsze, że nie zaprawne żółcią, nie powleczone pokostem ironii. Wystawia on litewskiego szlachcica rzuconego na bruki Paryża i przygody jakie go tu spotykają, i koleje przez jakie przechodzi, biorąc udział we wszystkich klubach, komitetach, stowarzyszeniach i t. d.

Krótko ale wybornie maluje on posiedzenie takiego klubu.

„W owym czasie, emigranci mieszkający w Paryżu zbierali się licznie w wielkiéj sali przy ulicy *Taranne* Nr. 12, gdzie była kontynuacya warszawskich honoratkowych klubów, i gdzie codziennie dowodzono z hałasem: kto zdradził — a kto nie zdradził? Głównie zaś rzecz szła o to: kto będzie rządził emigracyą? A było dużo kandydatów!

„Pan Dezydery Boczko (bohater opowiadania, ów szlachcic Litwin) poszedł parę razy na te ogólne zebrania i z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali, i że podobnie jak na wyborowych sejmikach w kraju każdy miał prawo popisywać się z własném krasomowstwem i przerywać mowę innym. Ale gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu uciemiężonych dwódziestu milionów kmiotków — a ex-hrabia jednooki Gurowski, przed swoim odjazdem do Petersburga, wystąpił z argumentem, że póty u nas rewolucya się nie uda, dopóki ulice Warszawy nie będą wybrukowane czaszkami szlachty polskiéj — mój Litwin się przestraszył i wspomniawszy na swój klejnot rodowy i na zakopcone portrety wąsatych przodków, które w dworku swoim zostawił — już więcéj nogą na ulicy *Taranne* nie postał.“

Autor przeprowadza pana Dezyderego przez wszystkie odcienia polityczne zawiązywane w emigracyi i kończy na rzuceniu go w objęcia tak zwanego: Zjednoczenia, które nigdy się nie zjednoczyło, *usque ad consumationem saeculorum*, i zjednoczyćby się nie mogło; sługę zaś jego Pafnucego, który porzucił pana i został wszystkim równym obywatelem, powiódł z klubu ulicy *Taranne*, gdzie gorliwie wotował na odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali, karyerą komiwojażera co już nie nosił kamizelki *à la Robespierre*, przeciw arystokratom nie deklamował, z dawnymi buzingotami nie witał się, aby mu nie zbrudzili jego rękawiczek i nie skompromitowali w oczach prefekta, który go na bale zapraszał. Pafnucy przezwał się panem Pafnuckim i oddał się duszą i ciałem partyi książęcéj, trzeciego maja.

Stary z antenatów szlachcic skapiał — fagas miał się dobrze i pisał się do arystokratów; prawdziwa Owidyuszowa przemiana.

Powieść ta, acz wybornego pomysłu, jest zawsze drobnym rysunkiem oprawnym w ogromne ramy. Żałować przychodzi, że Gaszyński zrobił szkic, a nie skończony obraz; on jeden byłby do tego zdolny. Obserwator z trafnym poglądem, umiejący chwytać delikatne odcienia jak i wybitne rysy, a nadewszystko stojący na stanowisku wyższéj myśli nie unoszącéj się namiętnościami stronniczych nienawiści lub miłości — mógł

był zostać malarzem emigranckiego świata, i napisać romans większéj doniosłości niż owe *post-scriptum* na końcu powieści, przynoszące obrok duchowny, zatęchły owies, którego konie jeść nie chcą.

W następnym roku wyszła druga jego książka: Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego Rotmistrza konfederacyi Barskiéj (1847 w Paryżu.) Przypominam sobie z jaką pożądliwością chwyciłem ją, gdy mi nadesłał egzemplarz. Tuszyłem sobie, że pamiętnik konfederata Barskiego dostarczy tyle nowych szczegółów i rysów, tak nas obeznа z trybem zbierania się, obozowania, walczenia, z fizyonomią tych figur mających dziś pewien urok oryginalny, z przypadkami ich, z charakterem wodzów i tém wszystkiém czego nie mają pamiętniki Kitowicza pisane z pretensyą do historyi, a zawsze z stronniczém uprzedzeniem i kwaśnym humorem śledziennika. Lecz Rogowski zawiódł poniekąd moje oczekiwania: ani stylem, ani rzeczą nie przeniósł mię w swoje czasy; lubo dostarczył kilka ciekawych okoliczności, o jakich ani dzieje, ani pamiętnikarze nie wspominali.

Między innemi jest tam epizod tyczący się sercowego stosunku między Kaźmierzem Pułaskim a Franciszką Krasińską już księżną kurlandzką, który mógłby dać temat do napisania romansu, są także wiadomości o pobycie Konfederatów w Stambule, i o wyjeździe Pułaskiego do Ameryki — zresztą same nic nieznaczące notatki, tak dalece że podejrzywałem autora, iż sam skomponował ten pamiętnik, na co naprowadzała mię ta okoliczność, że wiele słów i wyrażeń się znalazłem nie należących do tamtéj epoki, jak i ton opowiadania zmodernizowany. Rzeczywiście Gaszyński miał oryginalne notatki owego konfederata, ale je podopełniał, wygładził, obrobił — i to sprawia, że obudzają niejakie podejrzenie.

Przypominam sobie — pod koniec r. 1847 kiedy mieszkałem w Brukseli, wchodzi ktoś o rannéj godzinie, blady, chwiejącym się krokiem, i zrobiwszy kilka kroków ode drzwi pada na fotel. — Zbliżam się, patrzę i poznaję Konstantego, który po pierwszém słowie powitania, wołał osłabłym głosem: Bulionu! filiżankę bulionu! —

Przez cały czas, nim przyniesiono bulion, drżał jak listek i nic nie mówił.

Dopiéro gdy się pokrzepił, przyszedł do siebie i zaczął opowiadać, że wprost z kolei do mnie zajechał wracając z podróży do Niemiec, gdzie całe lato i jesień przepędził w towarzystwie ukochanego Zygmunta, a nakoniec o swojéj chorobie, która mu odjęła władzę w nogach.

Przytaczam tę drobną okoliczność, lecz w życiu jego stanowiącą ważny moment — utraty zdrowia! Odtąd przez lat kilkanaście aż do saméj śmierci dręczyła go ta niemoc.

W następnym roku zjechaliśmy się w Berlinie, gdzie znalazłem go krzepszym i pełnym nadziei na widok tych ruchów, jakie, podobne falom wylewającéj rzeki szły od zachodu ku północnemu wschodowi. Kilka listów Zygmunta odczytanych razem przeniosło nas w sferę dumań nad przeobrażającym się stanem społeczeństwa i rozpadaniem się form nie mogących nowéj myśli pomieścić.

Było to nasze ostatnie widzenie się.

Od r. 1850 zawiązała się między nami listowna rozmowa przerywana tylko wypadkami politycznemi, jak wojna w Krymie, we Włoszech, lub powstanie — i napowrót zawiązująca się — aby raz na zawsze z jego zgonem ustała.

Tę część jego życia, jego prac i myśli będę usiłował uwydatnić i ozdobić wyjątkami z listów, które najlepiéj objaśniają wewnętrzną stronę człowieka; a jeżeli ten jest poetą, literatem, artystą, tém pożądańsze są wyznania jego poufne, zakulisowe, nie produkujące się zwykle przed publicznością.

Gaszyński ma to do siebie, że nie jest innym na widowni świata, a innym w negliżu. Ta sama zacność, ten zdrowy sąd, taż otwartość pełna delikatności — ten nie udany zapał do wszystkiego co dobre, piękne, wielkie. Widać, że prawdę miłując i w życiu i sztuce, brzydziłby się sławą ubitą z pianki reklam jak i honorami zdobytemi na drodze popularnych masarakd.

Trzymając się korespondencyi i wyjmując z niéj miejsca żywiéj interesujące i komentujące osobę poety, mniemam, że przez to bliżéj zapoznam z nim czytelników.

W listach tych uskarżania się na stan zdrowia, przeplatane uwagami o bieżącéj literaturze lub donoszące o własnych pracach, stanowią główną treść.

Z Bad-Baden 22 czerwca 1851 r. tak pisze:

„Już przeszło trzy miesiące jak listy nasze skrzyżowały się w drodze. Piszę więc dziś do ciebie, bo pragnę, aby stosunki nasze nie przerywały się zbyt i żebyśmy od czasu do czasu wiedzieli o sobie. Od miesiąca jestem tu w Baden i odbywam kuracyę pijąc wodę Kissingen i kąpiąc się w tutejszych źródłach. Tak jak pod starą i chylącą się żydowską karczmą polską podstawiają dyle i krokwie, aby nie runęła — tak i ja corocznie podpieram liche zdrowie moje — i dotąd chwała Bogu trzymam się na nogach jako tako. Zabawię tutaj do późnéj jesieni, a potém nie wiem jeszcze gdzie ruszę, czy do Paryża, czy do Prowancyi, ale najpewniéj do téj ostatniéj, bo ona stała się dla mnie drugą *cara patria*....

„Z nowin literackich krajowych czytałem w tych dniach kilka tomów Rzewuskiego. W Teofrasce są rzeczy ciekawe i dobre, ale też wiele brudów i paskudstw narodowych, które trzeba było zostawić w śmieciach, a nie na widowni publiczności pokazywać. Ale to systemat pana hrabi Henryka, aby dowieść, że naród nie wart był żyć i że słusznie zginął. W przypiskach swoich odcina się ze złym humorem opinii publicznéj, dowodząc, że u nas ta opinia nic nie znaczy, i że gdy wszyscy hurmem powstają na jakiego człowieka, to widać, że to musi być człowiek najpoczciwszy i najrozumniejszy. Może to być i prawdą, ale trzeba dodać w jakich momentach; inaczéj zarywa to na paradoks. W romansie Szmigielski sfałszował historyę, aby tylko Moskali i Piotra W. nad wszystko wynieść. Jeszcze dotąd nie słyszałem, aby pod Pułtawą w wojsku Piotra Polacy się znajdowali, a Rzewuski Szmigielskiego z całą polską chorągwią sadowi tam, i t. d.“

Z Baden 13 lipca t. r.

...„Zastanawiałem się nad tém, coś mi pisał o Słowackim, i znajduję słuszne twoje postrzeżenia. Widywałem go często w Paryżu, szczególniéj między 1844 a 46 rokiem. W owych czasach już towianizm złamał mu był inteligencyę, i choć żył oddzielony od Mickiewicza i innych braci, lecz na swoje kopyto zakładał nową religię ducha i werbował adeptów, szczególniéj między młodzieżą przybywającą z kraju, która go nawiedzała. Mówił on mi, że Mickiewicz skompromitował i skrzywił ideę Towiańskiego, ale że ta idea jest w nim (t. j. w Słowackim) cała, i że ją pokaże światu. Napisał on był wtenczas

dziełko p. t. Nowa Genezis, o któréj mówił mi trzymając rękopism w ręku: „Są tu straszne rzeczy i lękam się ogłosić to drukiem.“ Pewnego dnia wziął ów rękopism i roztworzywszy, pokazał mi jednę stronnicę, mówiąc: czytaj! — Wziąłem i wyczytałem *à peu près* następną rzecz: „Światło tworzy ciepło, ciepło tworzy elektryczność — ale że i wola ludzka może tworzyć elektryczność, a zatém i światło i t. d.“ Dziś nie pamiętam dobrze owego tekstu, lecz było to w tym sensie. Gdym skończył czytać, rzekł do mnie: „Do takich wielkich rezultatów można dojść tylko z naszą (t. j. towiańczyków) ideą.“ Ja mu na to odrzekłem żartem: „W szkołach nie tęgi był ze mnie chemik i fizyk, a zatém sądzić nie mogę; może to jest wielki rezultat, a może tylko odgrzéwany i nic nie znaczący...“

„W owym czasie żył on kompletnie odosobniony od świata na *rue Ponthieu*, na czwartém piętrze, i miał balkon, na którym hodował kwiaty. Chodziłem często odwiedzać go z litości nad jego samotnością i wyciągałem go ile mogłem między ludzi, aby go rozerwać. Był już wówczas bardzo mizerny, w ciągłéj gorączce, gdyż jak mówiono, zażywał opium, aby sprowadzić widzenia, które nieraz mi opowiadał. Nerwy jego były kompletnie roztrzaskane, organizm złamany. Często bardzo mówiąc, łzami się zalewał. Dawny sarkastyczny jego dowcip, który tak błyszczy w Beniowskim jak ostrze sztyletu, zamienił się na mdły i zagmatwany mistycyzm, który się wyraził w poemacie p. t. Król Duch. Zawsze to znakomity władacz języka, pisał z łatwością, czuł i myślał wyobraźnią, która była u niego górującym przymiotem. Jeszcze w r. 1833 schodziłem się z nim często w Paryżu; wtedy był to inny człowiek: wesoły, dowcipny, towarzyski — późniéj obcowanie z nim było fatygujące, bo jak mówiłem, albo gadał niestworzone duby, albo płakał.“

W tymże roku 1851 wydał był Gaszyński zbiór powiastek pod napisem: Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia — są to opowiadania w soplicowskim rodzaju, zajmujące bardzo, lecz znać, że je pisał literat, z wyobraźni; gdy soplicowskie pamiętniki zdawałoby się, że opowiadał szlachcic, co nigdy do rąk, prócz korda, różańca i kielicha, nie wziął pióra, a tylko o ludzi się ocierał i dobrze miał w gębie. W tém właśnie leży ich oryginalność przypra-

wiająca o rozpacz każdego naśladowcę. Gaszyński wprawdzie nie usiłował go naśladować, bo miał swój własny sposób; atoli zaczepiając już o te czasy ostatniego połysku szlacheckiego życia, niepodobieństwem jest prawie uniknąć porównania z soplicowską Iliadą. Po tym Homerze, dla następców zostało tylko być tém, czém w epice greckiéj był Stasinus, Lesches, Agiasz, Eugamon....

Mimo tego w kontuszowych pogadankach drga bardzo żywy prąd patryotyczny; pełno tam rysów wielkiego poświęcenia się dla ojczyzny, fanatycznego przywiązania, co dziwnie uszlachetnia i podnosi te staroświeckie postacie.

Po wydaniu téj książki, gdym mu doniósł, że do kraju ma wstęp wzbroniony, tak mi pisał w jednym liście:

„Wasza cenzura prócz nożyc musi mieć także kataraktę na oku, kiedy w Pogadankach znalazła niebezpieczną książkę i zakazała. Przyznam ci się, że mi trudno temu uwierzyć. Nigdzie tam nie ma ani pół słówka przeciw religii, moralności lub ideom monarchicznym — owszem sarkazmy na demagogię, któréj szczerze nienawidzę, pod jakimkolwiek objawia się kształtem. Ale jest niezaprzeczenie dążność czysto polska, rozmiłowanie się w owéj świetnéj a smutnéj przeszłości, któréj żadne cenzory nigdy nie skasują.“

Słusznie mógł zostający za granicą autor dziwić się, że kiedy nie plwał na trony, na kiszkach szlachty księży nie wieszał, gilotyną głów nie strychował, a tylko kochał i sławił przeszłość pogrzebionéj ojczyzny — cenzura kraju monarchicznie rządzonego nie będzie miała przyczyny potępiać niewinnych powieści. Alić zapomniał zapewne, że wtenczas zostawaliśmy pod systematem germanizacyi bachowskiéj, który pozwalał patrzyć przez szpary nawet na demagogiczne zachcianki, na teorye wywrotów religijnych i spółecznych, a nie przepuszczał wspomnieniom odświeżającym tradycyę przeszłości. Przez ten system spodziewano się wmówić w nas, że życie nasze zaczyna się — od dzisiaj.

Z Baden 28 października 1851.

„Donoszę ci naprzód, że jutro opuszczam Baden i przez Szwajcaryę i górę śgo Gotarda jadę wprost do Genui, gdzie się zatrzymam z dziesięć lub piętnaście dni, dla obejrzenia się, które miejsce we Włoszech najspokojniejsze: czy Rzym, czy

Florencya lub Neapol; w jedném z tych trzech miast zimę przepędzę, a na przyszłe lato wrócę znowu do Badenu. Zdaje się jednak, że Rzym z garnizonem francuskim jest asekurowany od rewolucyi, i że tam założę główną kwaterę zimowiska, a do Florencyi i Neapolu zrobię tylko krótką ekskursyę. Wyobrażasz sobie łatwo, z jaką przyjemnością puszczam się w tę podróż. Zwiedzić Włochy było marzeniem mojego życia; już dwa razy, odkąd jestem w emigracyi, wybierałem się na seryo w tę drogę i zawsze zaszła jakaś przeszkoda — dziś wszystko usunięte. Mam pieniądze, paszport *en règle*, kufer zapakowany, i jutro o godzinie drugiéj z południa wyruszam na noc do Bazylei."

Otóż i marzenie jego spełnione! Widzieć Italię, tę Italię, którą nie znając, opiewał w sonetach jak nieznajomą kochankę, napawało go nieopisaną radością. Można powiedzieć, że do téj podróży gotował się przez całe życie — tęsknotą.

O piękna Włoch kraino! dziś o twojém niebie,
O twéj chwale przebrzmiałéj w ciągłych walk pożarze,
O twych miastach, madonach i gondolach marzę,
I jak kochanek wzdycham i tęsknię do Ciebie!
Kiedyż piękna Florencyo, starożytny Rzymie
Ujrzę wasze muzea i gmachy olbrzymie,
Kiedyż dotknę marmuru, co grób Danta kryje?
Kiedyż, pośród rozkosznéj Wenecyi, co żyje
Jak Syrena śród morza — na czarnéj gondoli
Zasnę, ukołysany dźwiękiem barkoroli?

Piérwsze jego wrażenie miała Genua, zkąd 18 Listopada pisał mi:

„Każdą roskosz, każdą przyjemność, każdą wielkość, aby osiągnąć i używać jéj, trzeba ją opłacać wielkiemi trudami i cierpieniem... Taką drogą krzyżową i ja do Włoch dowlokłem się. Kraj ten jest to ogród starożytnych Hesperydów do którego przystępu bronią straszne potwory, gorgony i smoki. — Z jednéj strony morze, które mnie mocno fatyguje — z drugiéj Alpy, które znałem tylko z pięknych pejzażów i opisów. Tę więc drogę obrałem nie wiedząc co to jest góra św. Gotarda w zimie. Za długo byłoby ci opisywać wszystkie szczegóły téj przeprawy — wiedz tylko, żem zastał tam ogromne śniegi i że sankami trzeba było jechać przez 10 godzin po drożynie na

pół odgrzebanéj a zawieszonéj nad przepaściami, na których wspomnienie dotąd dreszcz mię przejmuje. Otulony futrem, nie cierpiałem zimna, ale zimno moralne przejęło mię sto razy, gdy na téj ciasnocie trzeba się było mijać z innemi konwojami sanek; wybierałem tylko myślą miejsce głębiny w którém miałem być pogrzebany na wieki. Przy pomocy Bożéj przebyłem to wszystko bez szwanku; ale śnieg, jak jakaś mara biała towarzyszył mi aż prawie do saméj Genui. Snieg, deczcz i zimno po brudnych małych miasteczkcch włoskich i po dyliżansach ciasnych i niewygodnych. Płynąc przez Lago-maggiore, pod parasolem przyglądać się musiałem pięknym wyspom Boromejskim i wspaniałemu krajobrazowi brzegów. Wreszcie odetchnąłem w Genui; słońce włoskie mię ogrzało; zastałem wygodny hotel i dobre jadło, co po trudach podróży doskonałą jest rzeczą. Genua nie napróżno nazywa się *superba.* Ci kupcy republikanie musieli ogromne pieniądze zarabiać handlem, olbrzymie łupy zagarniać orężem, kiedy mogli wystawić takie miasto pałaców, nagromadzić takie stosy marmurów, wyrzeźbić je, wyzłocić i na tych ścianach zawiesić arcydzieła sztuki. — Wystaw sobie ulice całe złożone z Luwrów lub Tuilleriów; co najwięcéj zadziwia, to proporcye olbrzymie a przytém harmonia. Sienie tak wielkie, że w niektórych mógłby się pomieścić ów zachwalony pałac księcia Oranii w Bruksełli; a wszędzie lasy kolumn dwudziesto lub trzydziesto-stopowych, a wszystkie owe kolumny i balustrady i fasady całych domów, z białego kararyjskiego marmuru. Kościoły marmurowe także zewnątrz i wewnątrz. Zwiedziłem kilka pałaców — najpiękniejsze i najbogatsze są pałac Durazzo i Brignole. Tam są portrety Vandykowe tuzinami, ale takie jakich nigdzie w Belgii nie widziałem. Kto chce poznać arcydzieła Vandyka, tu powinien przyjechać; większa ich część są to nie biusta ale całkowite portrety od stóp do głowy, naturalnéj wielkości. Cóż to za przepych pędzla! Same portrety Vandyka zapłaciły mi niewygody podróży. Są i Rubensy prześliczne i Weronezy i Tyciany i Andre del Sarto i t. d. nie chcę ci katalogu pisać, ale chciałbym ci dać uczuć jaki miły pokarm miałem „przez oczy dla duszy.“

„Jutro wieczorem wyjeżdzam lądem do Pizy, gdzie poświęcę dzień jeden dla obejrzenia Campo-Santo, a potém

drogą żelazną do Florencyi, tylko na pięć dni, bo mi spieszno do Rzymu, gdzie ze dwa lub trzy miesiące posiedzę i w największych szczegółach studiować będę to miasto miast. Do Florencyi wzdycham także z żądzą kochanka; znam ją z opisów lepiéj niż Genuę; ciekawym czy realność przewyższy mój ideał? Trzeba ci wiedzieć mój drogi, że ja z rzemiosła mego jestem artysta i archeolog więcéj może niż literat. Studiowałem długo te nauki, i teraz wiadomości moje z historyi, architektury, rzeźbiarstwa i malarstwa posłużą mi."

List ten na progu Włoch pisany pełen jest entuziazmu artysty i archeologa, który jedzie na miejscu sprawdzać to, czego się z książek nauczył.— Rozczarowania jednak nie doznał, a w wielu rzeczach znalazł więcéj niż sobie wyobrażał. W pięciomiesięcznym pobycie miał czas zwiedzić Florencyę, Rzym, Neapol z wszystkiemi kościołami, galeryami, muzeami, dzieląc się ze mną każdém wrażeniem jakiego doznawał, każdém postrzeżeniem jakie na miejscu robił. Urosło ztąd kilkanaście bardzo zajmujących listów:

Z Badenu dokąd na lato wrócił, tak mi donosił o swoich projektach:

(1 Listopad 1852) „Za dwadzieścia dni najdaléj opuszczam Baden i jadę rzemiennym dyszlem do Prowancyi przez Paryż, gdzie zabawię do Nowego Roku. Jadę do Paryża naprzód dlatego, żem go już od dwóch lat przeszło nie widział (a znajdę wiele rzeczy zupełnie nowych) powtóre dla rozpoczęcia druku moich Listów o Włoszech. Manuskrypt kompletnie ukończony. Listy o Genui Florencyi całkiem na nowo napisane, ani ich poznasz. Mnóstwo także weszło dodatków do opisu Rzymu i Neapolu. Słowem jest teraz ze dwadzieścia listów i Przedmowa. Nie mogę drukować gdzie indziéj tego dziełka tylko w Paryżu, gdyż chcę sam dopilnować korekty, aby nie poprzekręcano nazwisk, nie narobiono byków drukarskich. Każdy błąd drukarski jest dla mnie jakby pchnięciem sztyletu."

Rzeczywiście z początkiem 1853 r. wyszły jego: Listy z podróży po Włoszech, stokroć przyjemniejsze do czytania, i lepiéj wrażające miejscowość, niż tyle pretensyonalnych podróży nadzianych ciemną i jałową estetyką.

Nie pomnę co zaszło, lecz cały r. 1853 i część następnego obydwa zaniedbaliśmy się w naszéj korespondencyi.

Pod dniem 5 Maja 1854 taki list otrzymałem z Heidelbergi:

„Po dwuletniém blisko milczeniu odzywam się, aby się przypomnieć twojéj przyjacielskiéj pamięci. Ja ten czas przebyłem niezbyt przyjemnie, w ciągłych lekach i niemocy. Przeszłego lata odbyłem kuracyę wodną w Boppard nad Renem, dla nabrania sił — ale okazało się że zamiast się wzmocnić, osłabiony zostałem tą końską kuracyą; — zapadłem szczególniéj na nogi. Całą zimę przepędziłem w Heidelbergu pod okiem sławnego Cheliusa, zażywając ciągle żelazo w kroplach i biorąc smarowania krzyżów i nóg, przyszedłem do sił jakich takich, ale nie dawnych. Chodzę dobrze ale tylko po równinie, a przechadzek po górach musiałem zaniechać. Stara karczma coraz bardziéj się nachyla ; krokwie trzeszczą a belki uginają się.... *Fiat voluntas Dei....* Zresztą tak źle jeszcze ze mną nie jest, bo żołądek doskonały i sen wyborny, a Chelius mnie zapewnia, że i siły całkowite wrócą od kąpieli, do których pojadę w przyszłym miesiącu. Pojadę więc do Wildbad niedaleko z tąd, ale już w Wirtemberskim, gdzie są źródła wody żelaznéj połączone z jodem; mają być bardzo wzmacniające. Daj Boże!

„Możesz sobie wyobrazić, że przy tarapatach kuracyjnych nie było ochoty do pióra. Przez ten cały czas napisałem tylko kilka sonetów o Włoszech. Przerobiłem, poprawiłem wiele moich dawnych poezyi z edycyi 1844 r. i przygotowałem rękopism do drugiéj edycyi, wypuściwszy z pierwszéj wszelkie juwenilia. Ale teraz o druku nie ma co myśleć. Epopeja, która się odgrywa w Europie (a w któréj i my będziem mieli epizod), ciekawszą jest niż wszelkie poezye, choćby nawet Mickiewicza.“

Ostatnie to zdanie odnosi się do wojny wschodniéj, w któréj, mimo przewidzeń, nie mieliśmy naszego epizodu.

W następnym liście z Heidelbergu taki daje sąd o Improwizacyach Deotymy, które wtedy robiły wiele hałasu:

„Mam tu od parę miesięcy przepyszną edycyą warszawską Improwizacyi Deotymy. Przyznam ci się, że gdym po raz pierwszy czytał w dziennikach wiersze: Krucyaty i Taniec schwytany zostałem na wędkę entuzyazmu, bo te dwa kawałki są piękne, bez pretensyi i pedantyzmu; ale gdym cały zbiór

odczytał, odczarowany zostałem. Podług mnie, poezya Deotymy na polu sztuki jest tém, czém fotografia na polu malarstwa; jest to rodzaj szejnekatarynki, w któréj na nabijanych gwoździkach (złożonych z erudycyjnych cytacyi i imion własnych wyjętych z encyklopedyi), modulują się treny i trille, czasem bardzo harmonijne, ale najczęściéj pospolite. W téj poezyi jest tylko popisywanie się z rozumem i wszechwiedzą — ale uczucia nie ma."

W r. 1855 lato i jesień przepędzał w Baden, krzepiąc jak zwykle wątlejące zdrowie. Był to jednak rok, który mu przyniósł szczęśliwe natchnienie. Na wiosnę napisał ową przecudną, z nagłębszych tajników serca wydartą: Sielankę młodości, i przysłał mi ją w osobném odbiciu z drukującego się w Paryżu nowego wydania jego poezyi. Napisałem o niéj artykuł pod wpływem upajającéj woni tego polnego kwiatka. W téj materyi odpowiedział listem z Aix, gdzie pojechał na zimowe miesiące (18 grudnia 1855).

„Przejeżdżając przez Paryż znalazłem twój artykuł o mojéj Sielance. Bardzom był rad z niego i przesyłam ci dzięki za twoją pamięć. Sielanka dotąd podobała się wielu osobom i zewsząd dochodzą mię komplementa. Szczera prawda prędzéj trafia do ludzkiego serca niż wszelkie marzenia fantazyi. Istotnie sam to czuję, że to najmłodsze dziecko moje, udało się!...

„Uniknąwszy trzeciéj zimy niemieckiéj, od dwudziestu dni wygrzewam się tu pod prowanckiem słońcem. Dobrze mi tu i przyjemnie, bom tu spędził 14 najpiękniejszych lat młodości, i wszyscy moi dawni przyjaciele i znajomi przyjęli mię z otwartemi rękoma i chętném sercem. Przez kilka dni mieliśmy mróz do 3 stopni dochodzący, ale dziś już 8 stopni ciepła w cieniu, a około południa słońce będzie tak gorące, że spacerując, trzeba będzie go unikać. W takim klimacie żyć dla inwalidów jak ja!.... Odbywam tu kuracyę podług zleceń najlepszego paryskiego doktora p. Chomel: stawiają mi na kości pacierzowéj *des vesicatoires volants* i piję po dwie łyżki *l'huile de foie de morue*. Przykre to lekarstwa, jedno i drugie, ale cóż robić, kiedy mają mi wrócić siły. Dotychczas wielkiego polepszenia nie widzę."

Tom jego poezyi ukazał się nakoniec z początkiem 1856 r. Wiele w nim dawniejszych kawałków odpadło, wiele nowych

przybyło. Sielanka młodości swoim urokiem wiosennym, fiałkową wonią, prostotą niewinną, tak ćmiła inne, nawet nieraz szczęśliwie natchnione poezye znajdujące się w tym zbiorze, że kto ją przeczytał, na resztę mniéj zważał. Gaszyński przy układaniu rękopisu chcąc zachować ścisłość historyczną swych wrażeń, popełnił tę niezręczność, że Sielankę, jako odnoszącą się do jego szkolnych lat, choć napisaną w wieku dojrzałym, na samym czele zamieścił. Jestto jakby najwykwintniejszy dessert dany przed zupą; a jednak w dalszym ciągu ile tam smacznych rzeczy! Między innemi Elegia na śmierć dziesięcioletniéj dziewczynki, przypominająca mi owych sławnych kilka wierszy z Elegii starego Malherba także na śmierć dziewczęcia.

Nie mogę się wstrzymać, żeby nie przytoczyć choć samego początku:

Jak kropla rosy błyszcząca
Co od rannego gorąca
Usycha;
Jak śpiew słowika pieszczony,
Co nagłym hukiem zgłuszony
Ucicha;
Jak złotoskrzydlny motylek,
Co ledwo kilka żył chwilek
I mdleje;
Jako różyczka rumiana,
Co jeszcze w pączku zerwana
Więdnieje;
Tak nad brzegami Sekwany
Zdala od ziemi kochanéj
Wołynia —
Zgasła różyczka, fijołek,
Kropelka rosy, aniołek —
Ludwinia i t. d.

Poeta nadał tu zwrot, jaki się spotyka w pieśniach ludu a niekiedy w kanconach włoskich, co wszystko ujęte w nader wdzięczną formę, naznacza téj elegii miejsce obok najpiękniejszych w tym rodzaju, na których czele stoją Kochanowskiego Treny.

Rok 1857 nie przeszedł mu bezowocnie dla literatury. W Poznańskim ogłoszono konkurs i nagrodę za napisanie najlepszéj satyry odpowiedniéj czasowi. Zapalił się do tego Gaszyński i posłał wiersz pod tytułem: Gra i Karciarze, który uznany za najlepszy, otrzymał pierwsze premium. Następnie napisał także z satyryczną tendencyą dramatyczny obrazek we dwóch aktach: Wyścigi konne w Warszawie; a gdym go pytał, czy życzy sobie, aby ta komedyjka była przedstawioną w teatrze? tak odpisał: „Zostawiam to do twego sądu i do zdania aktorów, czy taka krótka komedyjka (która właściwie jest tylko dyalogowaną satyrą), bez intrygi miłosnéj nie zrobi *fiasco* na teatralnych deskach?.... O partyach sportowych, o których mi piszesz, że są między amatorami wyścigów, nic nie wiedziałem, dla tego więc nie mogłem wprowadzić walki między anglo- i arabomanię — a teraz już trudno przerabiać.“

W rzeczy saméj w komedyjce téj brakuje tego rysu w pewnym względzie bardzo charakterystycznego — jak równie wiele innych rysów, których autor przebywając za granicą nie mógł z pierwszéj ręki studyować; dla tego téż obrazek ten acz bardzo zręcznie ułożony i prowadzony, nie ma dość życia. Autor zdradza się jawnym zamiarem skarcenia i dania nauki, tymczasem gdyby był rzeczywistość ze strony śmiesznéj przedstawił, jakiéj wyścigomanom nie braknie — skutek byłby dzielniejszy.

W Satyrze: Gra i karciarze, o wiele jest szczęśliwszy, Po Sielance młodości najdoskonalszy to jego utwor. Można powiedzieć że od czasów Krasickiego nikt nie napisał takiéj satyry obyczajowéj. W obrazkach zdjętych z natury nigdzie najmniejszéj przesady, sama tylko prawda tém mocniejsza im spokojniéj wypowiedziana. Poeta wyczerpując wszystkie rodzaje téj nieszczęśliwéj namiętności, nie pozostawia nic do życzenia. Najtrafniejsze to w nim, że potępiając grę i karciarzy, nie wyobraża sobie że biczami swych wierszy wyruguje tę namiętność, przywiedzie do opamiętania, jakby on dopiéro piérwszy wynalazł, że gra jest niemoralną i zgubną dla rodzin i spółeczeństwa. Przeciwnie; pisze on nie w nadziei poprawy, lecz dla tego żeby dobrym dał otuchę i poparcie.

Mniejsza, że źli i głupi powstaną nań z wrzawą
Krzycząc: do strofowania kto tobie dał prawo?
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu ściskając: Niech ci Bóg odpłaci.

Tak tedy satyrę: Gra i karciarze, i obrazek dramatyczny: Wyścigi konne złożyły się na tomik który wydał w Paryżu w r. 1858 pod tytułem: *Pro publico bono.* Zajmując się tém wydaniem a jeszcze więcéj swojém zdrowiem, pisał mi z Paryża (13 Lipca 1858).

„Już blisko dwa miesiące siedzę tu odbywając zmudną kuracyę. Pręcikami żelaznemi rozpalonemi do czerwoności, przypiekają mi skórę wzdłuż kości pacierzowéj. Operacya odbywa się co pięć dni, i nie jest zbyt bolesną — a siły w nogach widocznie mi przybyło, W końcu tego tygodnia jadę do Trouvillle brać kąpiele morskie i zabawię do końca Sierpnia. — Znam dwóch ludzi mających tęż samą co ja chorobę, których Guerin jeźli niezupełnie wyleczył, to doskonale podreperował. Mam więc nadzieję że i ja znajdę polepszenie.“

W tym roku nie jeździł do Niemiec, lecz we wczesnéj jesieni pojechał do ukochanego Aix na zimowe leże, gdzie w roku następnym w Lutym doszła go wiadomość o śmierci Zygmunta Krasińskiego w Paryżu. Był to cios który uczuł tak głęboko, jak tylko może uczuć przyjaciel lat trzydziestu. Około tego czasu odebrałem list od niego zawierający kilka serdecznych westchnień za zmarłym, a między innemi ten ustęp:

„Tylko pośród nas mogła zię pojawić podobna anormalna pozycya, aby wielki poeta i cnotliwy obywatel, wypierał się przez całe życie swojéj chwały literackiéj i krył się z zacnymi uczynkami, jak inni kryją się z podłością i występkiem, a wszystkie usiłowania wytężał na to, aby marne zaszczyty i błyskotki za któremi próżność tak goni, omijały jego osobę... — Bóg zlał na niego wielkie dary; dał mu miłość i szacunek ziomków i wielkie serce, umysł jenialny, żonę piękną, cnotliwą i najzacniejszą — miłe i dorodne dzieci — licznych i wiernych przyjacioł — nakoniec znaczny majątek. Brakło mu tylko zdrowia i tego, czego niedostawało Alfowi... Banalnych i pstrych rozmów nie lubił, i dlatego stronił od modnych salonów... — Najmilszą mu była wieczorna pogadanka z kilkoma przyjaciołmi,

rozmowa gorąca, poważna, szczególniéj z historyi i filozofii w pytaniach najżywotniejszych, O jakże świetniała wówczas jego wymowa! Jakie zdrowe i wielkie myśli wybłyskiwały z tych improwizacyj! Nieraz słuchając go z uwielbieniem, myślałem sobie: gdyby ten mąż był anglikiem lub francuzem i miał przystęp do publicznéj mownicy stanąłby niezawodnie na równi z Pittem i Burkiem, z Guizotem i Thiersem, stanąłby na równi rozumem i mową — a sercem niezawodnie by ich przewyższył. Bogobojny, wylany dla rodziny i przyjacioł — dobroczynny prawie do rozrzutności...

„Można zastósować do niego własny jego wiersz w którym scharakteryzował zasługi dawnego rycerstwa:

„Tyś się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzu twéj ojczyzny."

Po tym liście przerwała się na jakiś czas korespondencya z powodu wybuchłéj wojny we Włoszech, dopiéro we Wrześniu (29) odebrałem następujący list z Paryża.

„Bóg świadkiem, wstyd mi żem tak dawno do ciebie nie pisał: ale przez sześć ostatnich miesięcy byłem w ciągłych podróżach i pracy, a oprócz tego, w czasie wojny nie śmiałem pisać z nieprzyjacielskiego kraju.

„Mimo lichego bardzo zdrowia, żyję dotąd i energią ducha podpieram jak mogę chwiejące się ciało.

„W miesiącu Kwietniu wyjechałem był z Aix do Paryża dla przejrzenia i uporządkowania pozostałych papierów po nieodżałowanym nieboszczyku. Czerwiec i Lipiec przepędziłem w Aix zajęty ciągłą pracą. Sierpień zeszedł mi w Biarritz w kąpielach morskich. Od miesiąca jestem znów w Paryżu i dopiéro w końcu Października będę mógł wyrwać się z zimna i deszczów tutejszych pod moje prowanckie słońce.

„Zajęty tu jestem drukiem dwóch dzieł pozostałych po Zygmuncie. Piérwsze nosi tytuł: Niedokończony poemat (urywki z pośmiertnych rękopisów). Jest to piérwsza część Nieboskiéj Komedyi ale pod względem artystycznym daleko wyższa od znanego poematu, bo w dziewięć lat późniéj pisana.

„Miał to być poemat olbrzymich rozmiarów; na nieszczęście nie dokończył go, ale w tém, co pozostało, jest pewna całość, epizod pełen wielkiéj i głębokiéj poezyi. Będzie najmniéj

8 arkuszy druku.— Drugie dzieło p. t. Wyjątki z Listów Zygmunta Krasińskiego. Miałem ogromną pracę dla przygotowania do druku téj publikacyi. Musiałem przeczytać przeszło tysiąc listów nieboszczyka i wypisać z nich tylko takie wyjątki które mogą interesować ogół czytelników. Usunąć trzeba było wszelkie alluzye polityczne, dlatego, aby książka mogła przejść przez różne cenzury. Tom obejmie najmniéj 300 stronic druku; późniéj wyda się tom drugi, może i trzeci. Są tam nieocenione skarby wzniosłych i nowych myśli; skarby języka i stylu. Dzieło to powinno zrobić ogromne wrażenie; nic podobnego literatura nasza w tym rodzaju nie miała.

„Listy Józefa de Maistre są niższe od Listów Zygmunta, bo piérwszy posiadał tylko rozum i dowcip — u drugiego serce zewsząd wytryska. Przed końcem tego roku dojdzie cię ten tom Listów, osądzisz sam czy mówię nieprawdę. “

„Obok tych zatrudnień miałem inną robotę. Piszę obszerne dzieło pod tytułem: Zygmunt Krasiński i moje z nim stósunki. Już mam ze trzydzieści arkuszy mego drobnego pisma i dociągnąłem moją pracę do r. 1849. Téj zimy dziesięć ostatnich lat opiszę. Ale to dzieło choć się ukończy, niezaraz pójdzie do druku i dopiéro kiedyś, po mojéj śmierci, gdy będzie można bez niebezpieczeństwa odkryć całą prawdę o zmarłym, ktoś zajmie się publikacyą. Widzisz więc żem nie próżnował i masz ekskuzę na moje, tak długie milczenie. O tych moich Pamiętnikach proszę cię nikomu nie wspominaj, mam bowiem zamiar na przyszłe lato, jeźli da Bóg doczekać, pojechać za paszportem na dwa lub trzy miesiące do królestwa dla obaczenia méj matki i brata.“

Jak widzimy z tego listu, ze śmiercią Gaszyńskiego nie zamknął się szereg produkcyi jego. Owe Pamiętniki, które niewątpliwie do końca doprowadził, i zapewne coś o nich rozporządził, obiecują cenny nabytek dla naszéj literatury, w ogóle dość ubogiéj w wyznania ze świata literackiego. Czy nie przyszedł jeszcze czas na ogłoszenie ich drukiem? zostawione to musi być komuś do rozstrzygnięcia, kogo zrobił wykonawcą ostatniéj swéj woli.

W roku następnym, o czém już w powyższém liście zrobił wzmiankę, wykonał swój długo układany zamiar odwiedzenia matki i brata mieszkających pod Częstochową. Po latach

trzydziestu wygnania, na przekór wszystkim nadziejom, znalazł się jako gość paszportowy, jako cudzoziemiec na téj ziemi, co była jego kolebką, gdzie miał wszystkie najdroższe związki i wspomnienia, gdzie prochy jego przodków spoczywały od tylu wieków. Wyrok Opatrzności nie przestał ciężyć na ojczyznie wygnańców i męczenników, i chyba wtenczas się skończy, gdy wykonawcy onego przebiorą miarę sprawiedliwości boskiéj i ludzkiéj — w czém, jak widzimy, nikt im nie przeszkadza.

Konstanty odświeżywszy wrażenia młodości, upoiwszy się uczuciem synowskiem i rodzinném, po kilkomiesięcznym pobycie w kraju, jak przelotne ptasze — odciągnął do swojéj Prowancyi.

Niebawem nastał czas demonstracyi duchowéj, a z téj wywiązała się demonstracya zbrojna. O ile pierwsza miała wielką doniosłość, o tyle druga była tylko rozpaczliwém miotaniem się w niemocy, a co gorsza pozorném usprawiedliwieniem dzikości i zemsty nieprzebierającego w środkach wroga.

Oddalonemu od widowni wypadków Konstantemu, walka ta wydawać się mogła olbrzymich rozmiarów, tém więcéj, że pole, na którém się toczyła, obejmowało cały obszar dawnéj Polski. Biło mu więc serce tym samym zapałem i wiarą, jak niegdyś na polach Grochowa lub Dembego; biło podwójną zemstą za krzywdy narodu i cios, który go osobiście ugodził. W r. 1863 Moskale napadłszy dwór, gdzie mieszkała matka jego, sędziwa staruszka, zamordowali ją wystrzałem.

Wiadomość ta rozdarła serce synowskie; atoli myśl że taka niewinna, biała ofiara stanie przed Bogiem — napawała go wiarą w przebłaganie wyroków, w przechylenie się szali na stronę nieszczęśliwych....

Gorączkowy rok powstania natchnął go znowu wojenną piosnką jak przed trzydziestą laty, z tą tylko różnicą, że złamany cierpieniem, mógł tylko śpiewem brać udział, nie czynem:

Nie zdolny dziś już chwycić za szablę lub kosę,
    Aby walczyć za Polskę wraz z wami;
Bracia! duszy méj dźwięki w ofierze wam niosę,
    I w wasz obóz przychodzę z piosnkami.

W końcu tego przesłania robi porównanie do Tyrteusza wysłanego z lutnią na pomoc Spartanom, którzy zwyciężyli Messeńczyków, i kończy:

— Piosnkom moim brak hartu greckiego Tyrteja,
Ale wy, macie męstwo Spartanów.

Piosnki te jednak, acz im sam nie przyznaje Tyrteuszowego hartu, wyżéj daleko stoją niż te, co przed trzydziestą laty tworzył; znać tu już zmężniały talent i pewną jędrność słowa, jakiéj przedtém nie miał.

Ostatni to jego twór poetyczny, jakim zamknął swój zawód. Wydał go w Paryżu r. 1864, pod napisem: Kilka pieśni dla kraju.

„Od odebrania wiadomości o śmierci matki — pisze p. Gaut — stracił humor i sił ostatek. Kula moskiewska, co ją zabiła, jego ugodziła w serce śmiertelnie. Nie cierpiąc żadnéj zabójczéj choroby, skończył na wyczerpanie sił żywotnych.“

Między nami przerwała się korespondencya; nie mieliśmy dla siebie słów pociechy — więc milczeliśmy obydwa. Dopiéro po kilku latach odebrałem od niego list pisany dnia 4 czrwca 1866 z Aix — a zatém na trzy miesiące przed zgonem.

„Już z kopę lat temu, jak korespondencya nasza urwała się nagle, nie wiem już z czyjéj winy — lubo się domyślam, że z winy nieszczęsnych wypadków — dla tego chwytam z uradowaniem pierwszą sposobność, aby ją odnowić.

„Co się mnie tyczy, zdrów jestem — ale nogi moje biedne tak osłabły, szczególniéj od roku, że stałem się prawie kaleką; to jest, że sam po ulicy chodzić nie mogę i musiałem przyjąć służącego, który mi podaje rękę w przechadzkach. Po pokojach (jeśli posadzki nie zbyt froterowane) chodzę śmiało, na kanapie lub fotelu jeszcze ze mnie zuch, ale po bruku już nie śmiem puszczać się sam.

„Co rok jeżdżę do kąpieli, które mi nie pomagają. Za miesiąc mam zamiar spróbować nowych wód, tu w południowéj Francyi w Balazuc w okolicach Montpellier. Może mi ta kuracya jakąś ulgę przyniesie, bo te wody sławne są na wszelkie paraliże. Słowem, co mam jeszcze dobrego, to żołądek, głowę i serce — reszta w ruinie. Możesz sobie wyobrazić, że w takiéj pozycyi umysł u mnie nie bardzo spokojny i dla tego od trzech lat ani jednego wiersza nie napisałem. Czytam co piszą inni i to dla mnie pociechą, zwłaszcza gdy coś dobrego napadnę, ale te niespodzianki są rzadkie. Dla tego wyglądam

z niecierpliwością chwili, gdy wyjdzie z druku nowy poemat Pola O Domu naszym.

....„Nie piszę ci nic o polityce, bo wszyscy gazety czytamy, a prorokiem nie jestem. Z całéj téj zawieruchy nic dla nas dobrego wypaść nie może (wojna z Prusami). Smutna to rzecz liczyć na cudze nieszczęście, ale tylko podział Turcyi czyli *la succession du malade* możeby nam coś przyniosła....“

To był ostatni jego list....

Pan Gaut świadek przedśmiertnych chwil poety tak je podaje: „Dnie 6, 7 i 8 października były jego konaniem. Wbrew zwykłemu przebiegowi chwil takich, w dzień pozostawał nieprzytomny a w nocy w zupełném posiadaniu władz umysłowych. Wtedy z otaczającymi prowadził zajmujące rozmowy o rzeczach tego świata i obietnicach przyszłego; czasami błysnął jeszcze wesołém słówkiem, albo jednym z tych żarcików pełnych bystrego rozumu, które niegdyś słuchaczów radowały. Tak przechodziła noc.

„Ze wschodem słońca zaczynała się znowu zażarta walka życia ze śmiercią: tracił przytomność, przychodziło grobowe zimno i usiłowało zmrozić krew krążącą w żyłach. Wtedy czarna trwoga ogarniała bezwiedny umysł konającego; instynkt zachowawczy brał górę nad potęgą ducha i walczył ze śmiercią — a zmęczenie się w tych zapasach objawiało się zimnym potem na bladém czole.... Kiedy zjęty przerażenia dreszczem w objęciu śmierci pozostawał, nie puszczał od siebie przyjaciół otaczających łóżko, za ręce ich trzymał, jakby chciał puklerzem przyjaźni zastawić się od ostatniego ciosu.... Było to uczucie jemu wrodzone; człowiek ten żył dla przyjaciół, więc w ostatniéj godzinie mniemał, że ich miłość może pozew Opatrzności odroczyć....

Przy śmierci obecnym był krakowianin p. Janicki, nauczyciel synów Zygmunta Krasińskiego. Magnesem przyjaźni przyciągniony z daleka, do śmiertelnego łoża Gaszyńskiego pośpieszył i otrzymał ostatnie jego ręki ściśnienie i ostatnie polecenia.

Pogrzeb odbył się wedle woli zmarłego bardzo skromnie: prosta niepomalowana trumna i nic wiecéj — towarzyszyło mu kilku Francuzów i trzech rodaków, a na cmętarzu postawiono żelazny krzyż z napisem: Konstanty Gaszyński.

Ten epigraf jaki położył na drugiem wydaniu swych poezyi, przypomina się tu mimowolnie:

..... a dla ziemi, u mogiły,
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły! —

Te poetyczne piórka — to najszacowniejsza cząstka i świadectwo pobytu jego między nami,.... to połowa długu spłaconego ojczyźnie ze skarbca myśli; gdy drugą połowę włożył w uczynki miłe Bogu i ludziom....

Lucyan Siemieński.

O kwestyi ruskiéj.

I.

Zamierzając mówić o kwestyi ruskiéj, czujemy się obowiązanymi do wypowiedzenia najpierw naszych przekonań co do głównych, kardynalnych punktów téj sprawy.

Wedle tych przekonań nie ma, tak wobec polskiéj jak ruskiéj sprawy, nic niewłaściwszego, niesłuszniejszego i zgubniejszego nad negowanie Rusi, nad twierdzenie, iż narodowość ruska jest fikcyą tylko, niemającą żadnéj realnéj podstawy, że jest jedynie i wyłącznie płaszczykiem moskiewskich agitacyi, lub austryacko - biurokratycznych wymysłów celem gnębienia i rozkładu norodowości polskiéj.

Ludzie, przyznający się do tych przekonań, popierają je złośliwém twierdzeniem, że narodowość ruską w Galicyi stworzył Stadion, a w zabranych prowincyach Moskale. Co do pierwszego mamy głębokie przekonanie, że tworzenie narodów leży po za zakresem władzy i możności pojedyńczych, choćby najgienialniejszych ludzi, a nie ubliżając nawet Stadionowi, nigdy nie ośmieliliśmy się zaliczać go do tych ostatnich. Z drugiéj strony przedstawianie Ruśczyzny w zabranych prowincyach jako produkcyi rządu moskiewskiego sprzeciwia się także wszelkim prawidłom natury i zdrowego rozsądku. Wiadomo bowiem powszechnie, że rząd moskiewski od pierwszych lat rozbudzenia się narodowości ruskiéj w prowincyach zabranych, wytężył wszelkie siły celem jéj zgniecenia i wytępienia, że politykę swą exterminacyjną skierował równie gwałtownie przeciw Rusi jak przeciw Polsce, a podobne równouprawnienie Rusi z Polską wobec Moskwy jest najlepszym dowodem, jak dalece Moskwa

uważa Ruś za różną od siebie i niebezpieczną dla swych panmoskiewskich zamiarów.

Jakoż mówiąc o Rusi, niepodobna ograniczać się na jéj małéj cząstce, którą stanowi Galicya wschodnia, niepodobna z téj słabéj próbki wydawać sądu o całości. Tymczasem postępowanie takie jest dość powszechnym obyczajem obywateli naszego kraju. O prowincyach zabranych mamy najczęściéj bardzo niedokładne lub fałszywe wyobrażenia; Galicyę wschodnią i jéj ludność uważamy za zupełnie odrębną całość, wyrażając przez to tak bałwochwalcze poszanowanie dla rozgraniczenia politycznego, jak gdyby ono było naszém własném, ulubioném i chlubném dziełem. Na téj drodze dochodzimy do twierdzeń i rezultatów, które wręcz przeciwne rzeczywistemu stanowi rzeczy, przyczyniają się jedynie do rozszerzania nieszczęsnéj między nami a Rusią przepaści.

Lecz przejdźmy do faktów.

Na ogromnéj przestrzeni, którą dawniéj określono nazwą województw ruskiego, podolskiego, wołyńskiego i Ukrainy, między brzegami Dniestru i Dniepru i znacznie daléj po za Dniepr, na południe do brzegów Czarnego morza, na północ aż pod Wilno, zamieszkuje naród, który się nazywa ruskim, który Polaka, Lacha uważa za innoplemieńca, a Moskala za wroga.

Czémże jest wobec tego faktu negacya istnienia Rusinów?

Wywody historyczne, jakkolwiek najsłuszniejsze i najloiczniejsze, tracą wszelką siłę wobec istniejącéj, namacalnéj, że tak powiemy, rzeczywistości. Toż mimo najgorętszego patryotyzmu, mimo najwymowniejszéj przeszłości, zaprzeczyć się nie da, że wspomniany obszar ziemi i wspomniany naród posiada dzisiaj wszelkie cechy narodowéj odrębności.

Kraj ten i naród nie jest moskiewskim. Moskale bowiem, pracujący jak najusilniéj nad zmoskwiceniem wspomnianych prowincyj, starają się wynarodowić i wyplenić zarówno Polaków jak i Rusinów. Jedyny niemal żywioł polski, szlachtę, pędzą w Sybir i konfiskują jéj majątki; główny żywioł ruski, lud, chrzczą gwałtem na prawosławie, uczą gwałtem po moskiewsku, w razie najmniejszego oporu mordują pod kijami i również całemi wioskami w Sybir lub w głąb Moskwy przesiedlają.

Ucisk Rusi wzmógł się właśnie najbliższemi nam czasami. Car Mikołaj I i Aleksander II pozostawili na Rusi równie ohydną pamięć jak w Polsce, stworzyli zupełnie odrębne ruskie martyrologium, które w każdym razie bywa jedną z niezaprzeczonych cech odrębności narodowéj.

Moskiewskim przeto naród ten nie jest, ale nie jest także polskim. Posiada on bowiem równie wybitne różnice narodowe jak owa szlachta i nieliczne osady polskie, które od niepamiętnych czasów na Rusi osiadłe, mimo to na pierwszy rzut oka ogromną różnicę od ruskiego ludu przedstawiają. Różnice te w jednych i drugich pozostały niestarte w ciągu kilkuwiekowéj przeszłości, która pod każdym względem była pomyślniejszą dla polskiego jak ruskiego żywiołu. Pod panowaniem i wpływem polskim Ruś nie spolszczała, pomimo iż czasy ówczesne daleko więcéj nad dzisiejsze sprzyjały wszelkiemu wynarodowieniu. Dzisiaj kiedy ten wpływ na Rusi prawie w zupełności usunęli Moskale, kiedy żywioł polski w prowincyach zabranych z każdym dniem topnieje, kiedy poczucie narodowości powołuje do życia samoistnego narody, które już od dawna sądzono w zupełności wynarodowionemi — czyż dzisiaj można się łudzić nadzieją spolszczenia Rusi?

Ale ta Ruś — słyszymy często powtarzane zarzuty — aczkolwiek posiadająca pewne odrębności, żadną miarą za naród odrębny uchodzić nie może. Wobec dzisiejszego bowiem stanu rzeczy naród bez intelligencyi, bez szlachty, bez literatury, słowem naród składający się z samych tylko chłopów i księży jest anomalią, dotąd jeszcze w dziejach cywilizowanego świata nieznaną. Prawdą jest, że z takich materyałów wyrabiały i wyrobiły się wszystkie narody; zdarzało się to jednak tylko w wieku dzieciństwa narodów. Przeciwnie w wieku obecnym, w czasach kolei żelaznych i drutów telegraficznych, podobne niańczenie narodów jest niemożliwém. Dzisiaj aby istnieć, trzeba mieć nietylko wszelkie warunki bytu, ale i odpowiednie siły, trzeba być nie dzieckiem-narodem, ale mężem-narodem. Zmężniały bowiem tylko naród zachować może dzisiaj indywidualność swoją wobec tylu silnych wpływów zupełnie już wyrobionych narodów; dziecko uledz musi nieochybnie najbliższemu potężnisjszemu sąsiadowi.

Zdaniami takiemi wojują zazwyczaj nasi ultra-demokraci. Przyznając się w zupełności do zasad demokratycznych — właśnie na tychże zasadach oparci odrzucamy powyższe rozumowanie tak samo, jak odrzucamy wszelkie ultra, w ścisłém znaczeniu tego słowa wszelkie exageracye.

Jakto? Rusi dla tego uznać nie można narodem, ponieważ niema szlachty? Jakto? dla braku szlachty można Rusi zaprzeczyć najświętszych i najdroższych praw?

Wierni zasadom, które ludzkość długowiekowém doświadczeniem i pracą zdobyła, których zwycięztwo jest chlubą naszego wieku, które nie tylko w ustach lecz i w sercach głęboko posiadamy wyryte, uznajemy zawsze i wszędzie, że naród, że główną treść jego stanowi nie szlachta jak w wiekach średnich, nie żadna klasa uprzywilejowana — ale lud.

Nie mogliśmy bynajmniej twierdzić, jakoby szlachta, która najczęściej stanowi intelligencyą narodu, była zupełnie zbędną jego częścią. Owszem przeciwnie. Wobec dzisiejszych ustrojów spółeczeńskich, wobec braku wyrobionéj klasy średniej, niezaprzeczonego zwłaszcza na całym wschodzie europejskim, jest brak szlachty stanowczym hamulcem pomyślnego rozwoju narodowego. Wyborny przykład w tym względzie dają narody czeski, arabski i inne, które od czasu rozbudzenia poczucia narodowego starają się wszelkiemi sposobami o zastąpienie tego braku, a powrót każdej garstki szlacheckiej w szeregi narodowe zawsze za nie małe cenią sobie zwycięztwo. W każdym jednak razie choć tak koniecznie potrzebną, stanowi klasa szlachecka tylko dodatkową część narodu, podczas gdy lud stanowi jego część główną. Używając porównania fizycznego, uważamy lud za chleb, szlachtę za sól. Jak chleb ze solą daje dopiero pokarm zdrowy i smaczny, tak naród posiadający wszystkie klasy spółeczeńskie a więc i tę którą zwyczajnie nazywamy szlachtą, stanowi dopiero całość harmonijną i silną. Ale chleb bez soli chroni tysiące ludzi od śmierci głodowéj, podczas gdy samą solą nikt jeszcze głodu nie zaspokoił. Również i naród bez szlachty ostanie się zawsze narodem, ale szlachta bez ludu jest i będzie niczem.

Skoro przeto istnieje lud ruski, skoro tenże ma poczucie narodowe i pragnie być ruskim, wypowiadamy z najgłębszém przekonaniem, iż pomimo braku szlachty Ruś jest i będzie.

Na inteligencyi nie brak wreszcie tej Rusi tak zupełnie, jak to radzi utrzymują jéj nieprzyjaciele. W tym względzie jednakowoż wypada rzucić okiem na jéj ognisko, na tak zwaną Małoruś, któréj sercem jest Kijów, w którym to opowiadaniu opierać się będziemy na dostarczonych nam materyałach i wskazówkach przez ludzi dokładnie ze stosunkami tamecznemi obeznanych.

Pozbawiona życia politycznego równie jak Polska manifestuje Ruś jedynie na polu literackim objawy swego życia narodowego. Ruch literacki przybrał znaczniejsze rozmiary zwłaszcza około r. 1840. Znakomity poeta Szewczeńko, historycy Kostomarow i Kulisz, Maksymowicz i inni, podnieśli w krótkim przeciągu czasu literaturę małoruską do niepośledniego stopnia. Używając przeważnie tła ludowego, zdołali obudzić powszechne zajęcie dla siebie i dla uwielbianego przez się ideału dawnej wolności kozaczéj. Ruch ten zaczął niebawem przybierać cechę polityczną, którego ostatecznym wynikiem stał się szeroko rozgałęziony spisek w celu przywrócenia hetmaństwa kozackiego na zasadzie punktów ugody perejasławskiej z roku 1654. Spisek został odkryty w roku 1846, Szewczeńko i Maksymowicz poszli w sołdaty na linię kaukazką, Kostomarow, Kulisz i niezliczona ilość innych napełniła więzienia. Car Mikołaj pojąwszy doniosłość kwestyi ruskiéj, nie szczędził najwyszukańszych prześladowań, do czego używano prawdziwie moskiewskich środków. Między innemi np. pozostał własnoręczny ukaz carski, wzbraniający Szewczeńce używania papieru, piór i ołówka.

Stłumiony na razie żelazną ręką Mikołaja, ruch ludowy stał nadal w zarzewiu, oczekując stósownéj pory do wybuchu. W czasie wojny krymskiej ponowił on się w znacznie niebezpieczniejszych dla Moskwy rozmiarach. Lud zaczął się kupić w znaczne gromady, chwytać i aresztować carskich urzędników. Polakom proponowano powszechnie łączenie się celem wspólnej z Moskwą walki.

Niebawem wystąpiły silne kolumny wojska. Zbuntowane gromady kartaczowano, wziętych w niewolę ubijano pod pałkami. W krótkim czasie ruch został ponownie stłumiony.

W takiż sam sposób, kartaczami i pałkami uspokojono inny ruch ludu ruskiego w r. 1861, wybuchły po ogłoszeniu

manifestu znoszącego poddaństwo a pozostawiającego tymczasowo pańszczyznę na przeciąg lat dwóch. Chłopi nie chcieli nadal robić pańszczyzny ani płacić czynszów. Carscy fliegeladjutanci rozpoczęli na czele kolumn wojskowych wojenną egzekucję. Posypały się setki rózeg i pałek, rozdzielanych ofiarom zawsze wobec całéj gromady. Zasiekłszy połowę na śmierć, wywożono nierzadko w Sybir. Cały rok trwała taka egzekucya po "carskiej woli" — aż wszystko umilkło.

Postępowanie takie wzmogło w Rusinach nieubłaganą ku ciemięzcom nienawiść. Nazwą moskala brzydzi się lud tameczny, i używa jej jedynie wcelu wyrażenia najwyższej pogardy. Być wziętym w Moskali, tj. w sołdaty, uważa sobie za największe nieszczęście. Głęboko religijny, modli się o wybawienie z niewoli moskiewskiej, i z największą rozkoszą spiewa dumki o dawnej, świetnéj kozaczyznie, któréj pamięć przechowuje się w sercu jego tradycyjnie jako najdroższa spuścizna przeszłości.

Dla intelligencyi, dla literatury zabłysła swobodniejsza nieco chwila w pierwszych paru latach po wstąpieniu na tron Alexandra IIgo, kiedy car wspomniany udawał jeszcze liberalnego. Uwolnieni z więzień Kostomarow, Kulisz, Białozierski i inni stanęli na czele ruchu literackiego, który niebawem główne ognisko swoje znalazł w uniwersytecie kijowskim. Wówczas tak w Kijowie jak w Pułtawie, Charkowie, Czernichowie i w innych znaczniejszych miastach małoruskich, potworzyły się tak zwane gromady, stowarzyszenia literackie z ukrytym celem polityczném. Rzucono się mianowicie skrzętnie do zakładania szkółek wiejskich, do szerzenia oświaty między ludem. Kierunek ten spowodował exageracyę, znaną powszechnie pod nazwą chłopomanii. Młodzież uniwersytecka mianowicie, chcąc odpowiedzieć skuteczniéj założonemu sobie celowi, udawała się osobiście na nauczycieli wiejskich, przebierała w suknie wieśniacze, starała się życiem i powierzchownością asymilować w zupełności ludowi, aby tym sposobem pozyskać jego zaufanie, i wywierać nań wpływ stanowczy.

Ruch ten sprawiał różne na ludności polskiej wrażenie. Szlachta starsza patrzyła nań z niedowierzaniem, nawet z niechęcią. Przyzwyczajona do stanu rzeczy za czasów pańszczyźnianych, który lud poddany równał z zerem, a jedynym repre-

zentantem całéj ludności czynił szlachtę — starała się ona ile możności zachować to stanowisko w stosunkach obecnych. Hasłem jéj było: „kraj ten winien być polskim, ponieważ my Polacy tutaj żyjemy“ pomimo iż liczba tych Polaków podówczas już znacznie mniéj niż setną część całéj ludności w spomnianych prowincyach stanowiła.

Młodzież jednak polska sądziła sprawę inaczéj. Przypatrzywszy się bliżéj rzeczywistemu stanowi rzeczy uznała, iż po zniesieniu poddaństwa i w obec rozbudzonego poczucia narodowości ruskiéj spolszczenie tego kraju stało się stanowczo niemożliwém. A skoro nadzieja spolszczenia go stała się mrzonką, szło głównie o zapobieżenie zmoskwiceniu. Ku temu celowi jedynym skuteczném środkiem wydało się poparcie usiłowań jak najsilniejszego rozbudzenia narodowo ruskiego poczucia i życia.

Nastąpiło przeto rozdwojenie w samémże łonie nielicznego żywiołu polskiego. Ojcowie i synowie w przeciwnych stanęli obozach. Pierwsi, hołdując znanéj u nas zasadzie bezwarunkowéj i niczém nie popartéj negacyi, odżywiali w Rusinach istniejącą zdawien dawna niechęć ku polszczyznie; drudzy wpadając wręcz w przeciwny kierunek, wyrzekali się własnéj narodowości, stawali się Rusinami, kierując się poszczególnioną wyżéj myślą, tj. zastąpienia w obec Moskwy upadających szermierzy polskich wojowniczym zastępem ruskim.

Jak kiedyś w czasie wojen kozackich przywódzcami czerni zacząwszy od Chmielnickiego, była w głównéj częsci szlachta polska zkozaczona, tak obecnie przywódzcami i kierownikami rozbudzającego się życia narodowego Małorusi, byli po największéj części dobrowolnie zruszczali potomkowie téjże saméj szlachty polskiéj, która po dawnym obyczaju gardziła tą ruchawką chłopską.

Mimo to praca szła raźno i czyniła znakomite postępy. Obok propagandy ludowéj, obok ruchu pedagogicznego, zakładania szkółek wiejskich i niedzielnych, na co w pierwszych latach panowania Aleksandra II. Moskale przez szpary patrzeli, wywiązał się świetny ruch literacki, którego owoce na zawsze chlubę małoruskiéj literatury stanowić będą.

Ułaskawiony przez cara Aleksandra II. Taras Szewczeńko, rzeczywiście poeta znakomity, obudzał niesłychany, z dniem

każdym wzrastający zapał. Strawiony jednak ciężką dolą sołdata, zmarł niebawem po powrocie z niewoli w Petersburgu. Śmierć Szewczeńki w r. 1861 dała pochop niepomiernym manifestacyom ruskim. Ciało poety sprowadzono na Ukrainę. Pochodowi żałobnemu przez wszystkie kraje ruskie towarzyszyły tłumne zebrania i liczne manifestacye. Zwłaszcza w Kijowie przybrały te ostatnie ogromne rozmiary. Przeszło 30.000 ludzi wyszło naprzeciw sprowadzonych szczątków poety, a liczne mowy, wypowiedziane nad niemi czysto ruskim językiem, nosiły cechę tych uczuć narodowych, które całą ludność ruską ożywiały.

Niemniéj wpływu od Szewczeńki wywierały także inne literackie znakomitości ruskie. Kulicz, Kostomarów i Biełozierski rozpoczęli w Petersburgu wydawnictwo ruskiego czasopisma „O s n o w a ,“ uznanego powszechnie za prawdziwie znakomite. Prócz innych pism periodycznych wzmógł się także ruch książkowy, zadziwiający samą już swoją ilością. Wypłynęło mnóstwo nowych nazwisk, odznaczających się talentem i niezmordowaną pracowitością, jak Koniski, Szejkowski, Korpeńko, A. Tornowski, Daniło Moroz, Opatowicz, Babczeńko, Artemowski, Danilewski, Oleksy Starożeńko, Osnowaneńko, Morko Wowczek, Steceńko, Leonid Hlibów, Kochowski, Hreczulewicz, i inni.

Cały ten ruch literacki pozostał w najsciślejszych zresztą stósunkach z półpolitycznemi stowarzyszeniami pod nazwą gromad. Gromady, jak wiadomo, miały swoje punkta centralne w uniwersytetach, mianowicie w kijowskim, i składały się téż przeważnie z młodzieży kijowskiéj. Obok téj jednakowoż należała do gromad prawie cała poza uniwersytecka inteligencya ruska. Wychodzący mianowicie z uniwersytetu uczniowie, pozostawali zawsze członkami gromad, brali udział w jéj czynnościach, szerzyli na prowincyi jéj wpływ i propagandę, znosili się z nią wreszcie nieustannie. Tym sposobem wyrobiły w sobie gromady element poważniejszy, który zawsze stanowczo wpływał na ich kierunek, a najczęściéj był im *de facto* kierownikiem.

Przy scisłém porozumieniu się tak członków gromad pojedynczych jak i samychże gromad między sobą, przybrał cały ten jawny, szeroki ruch polityczno-literacki charakter jednolity z dwoma wybitnemi dążnościami, które obie do

jednego zmierzały celu. Celem tym, obok spotęgowania poczucia narodowości ruskiéj w masach ludu, było uwidocznienie i ustalenie głównych znamion téjże narodowości. Pierwszemu usiłowano zadość uczynić wspomnianą wyżéj propagandą, zakładaniem mnóstwa ludowych i niedzielnych szkółek ruskich, wreszcie nawet chłopomanią. Drugie stało się zadaniem ożywionéj literatury, która chwyciła się namiętnego dowodzenia, iż Ruś i Ruśczyzna nie jest ani Moskwą ani Polską, ale czémś odrębném, samoistném, czémś zupełnie od obydwóch różném.

Polemikę z Polszczyzną wywołali w znacznéj części samiż Polacy. Staréj szlachcie polskiéj, jedynemu reprezentantowi żywiołu polskiego w ruskich prowincyach, nie odpowiadał w ogóle jak już wspominaliśmy cały ten ruch narodowościowy, który zagrażał jéj utratą tradycyjnego stanowiska i znaczenia. Nie mogła się ona żadną miarą pogodzić z myślą zruśczenia polskich niegdyś prowincyi. Uznając zaś żywotność rozbudzonéj propagandy narodowościowéj, bezsilna aby takowéj w jakikolwiek sposób zapobiedz, przyjęła znaną u nas zasadę negowania faktów, którym przeszkodzić nie mogła, bezwarunkowego potępiania całego ruchu.

Zdaniem téj szlachty, wszelkie uznanie narodowości ruskiéj byłoby dziełem nowego, dobrowolnego podziału, byłoby przyczynianiem się do rozkładu polskiego życia narodowego. Zdanie to, jak wiadomo, znajduje także licznych zwolenników w obec ruskiéj sprawy w Galicyi.

Na Małorusi niechęć taka ze strony Polaków dla sprawy ruskiéj, wywołała równie silną niechęć Rusinów do polszczyzny. Dla Rusinów, pracujących jak najusilniéj nad rozbudzeniem i spotęgowaniem narodowego uczucia ruskiego, negacya ze strony Polaków miłą być nie mogła, a powtarzane ze staroszlachecką butą twierdzenia, iż kraj ten spolszczyć się powinien i musi, jątrzyły tylko i rozpłomieniały niechęć w kołach ruskich. Jak zresztą Polacy obawiali się zruśczenia Rusi, tak znowu Rusini obawiali się jéj spolszczenia. Jak pierwsi dla owéj obawy starali się znaleźć środek zaradczy w negacyi, tak znowu drudzy szukali go w polemice literackiéj, w coraz większe urastającéj rozmiary.

Pisarze ruscy, starający się o cechę ile możności narodową, czerpali treść do prac swoich głównie z przeszłości

kozaczéj, któréj pamięć posiada niewysławiony urok dla całego ludu ruskiego. Tradycya wolności, hetmańszczyzny, wojennych wypraw, odpowiadająca tak żywo usposobieniu tamecznego ludu, żyje nie tylko w jego piosnkach ale i w sercu. Cenzura moskiewska, niedozwalająca tykać czasów bliższych, wpłynęła na zwrócenie się piśmiennictwa ruskiego ku czasom dawniejszym, mianowicie ku czasom wojen kozackich, jako najwybitniejszéj chwili przeszłości małoruskiéj.

Dodało to nowych powodów polsko-ruskim nieporozumieniom. Polacy ze wzgardą przyjmowali idealizowanie przywódzców buntu kozackiego, a na wzmiankę o ucisku dawnych panów, należącym niestety także do tradycyi nie tylko ruskiego ludu, zakrzyknęli jednogłośnie, że Ruś i sprawa jéj to intryga moskiewska, a przywódzcy téj sprawy ajenci Moskwy.

Roznamiętnienie obustronne doszło wysokiego stopnia.

W obec tych obu, tak namiętnie przeciwko sobie stojących stronnictw, wyrastało jeszcze trzecie, podzielające z Rusinami wszystkie uczucia prócz jednéj nienawiści ku Polsce. Stronnictwo to składało się początkowo przeważnie z samych młodych Polaków, o których ruśczeniu się wspominaliśmy już wyżéj, a których stanowisko i niepośledni wpływ na Małorusi, wymagają bliższych o téj sprawie skazówek.

Stronnictwu temu, właściwemu jądru tak zwanéj Młodéj Rusi, szło głównie o zabezpieczenie kraju przed zmoskwiceniem. O spolonizowaniu go w tym celu, nie dozwalał myśleć na prawdę rzeczywisty stan rzeczy. Prócz wielu innych względów, jak obudzonego poczucia narodowości ruskiéj, dowodziły niemożności takiegoż przedsięwzięcia same względy fizyczne, same cyfry. Według dat statystycznych, przypadał w prowincyach tamtejszych w roku 1795 jeden szlachcic polski na 12 osób innych klas, tj. na 12 Rusinów, wliczając w to także żydów; zaś bezpośrednio przed r. 1863 przypadał tenże sam szlachcic polski na przeszło 175 osób innych klas. Jeżeli przeto w roku 1795, w obec nieskończenie przyjaźniejszych okoliczności, nie umiał i nie zdołał jeden Polak spolszczyć 12 Rusinów, nie podobna było przypuszczać, aby tenże sam jeden Polak dokonał podobnego dzieła w latach bieżących na 175 Rusinach, ożywionych poczuciem własnéj narodowości.

Jedyną przeto drogą, wiodącą do celu, stawało się spotęgowanie tego poczucia, wspieranie rozwoju ruskiéj narodowości, która na przyszłość sobie i Polsce stać się miała puklerzem w obec Moskwy. Téj téż drogi chwyciła się młodzież wspomniana.

Zdaje się, iż myśl ta najlepiéj odpowiadała stósunkom i potrzebom ówczesnym, ponieważ we wszystkich kołach inteligentniejszych, największe znalazła poparcie. Między Rusinami doszli niebawem polscy renegaci zaszczytu przewództwa — a młodzież szczero-polska, stowarzyszona jak Rusini w zorganizowane gminy, oświadczyła się stanowczo za tym kierunkiem, pozawiązywała jak najlepsze stósunki z gromadami ruskiemi, i starała się najusilniéj o zachowanie takowych.

Postępowaniem takiem wywołała młodzież polska równą niechęć starszéj szlachty przeciw sobie, jak młodzież ruska i zruśczała. Zarzucano jéj z głębokim żalem, iż samochcąc przyczynia się do rozkładu narodowego, do nowego, dobrowolnego podziału. Uznając bowiem narodowość ruską, wspomagając jéj rozwój, daje się Rusinom na przyszłość możność dążenia do utworzenia oddzielnego narodu i państwa. A przecież ideą Polski, najświętszym jéj obowiązkiem jest chronienie tradycyi granic historycznych.

Na to odpowiadali tak Polacy jak Rusini przeciwnego obozu, iż żadne tradycye granic historycznych nie uprawniają jeszcze do odmawiania jakiemukolwiek narodowi jego istnienia, jego praw najświętszych. Posłannictwem Polski jest właśnie obrona praw narodowych wobec panslawizmu moskiewskiego, jest stawianie zapór takimże dążnościom Moskwy. Tego posłannictwa dokonać ona może na Rusi jedynie poparciem rozwoju ruskiéj narodowości. Na przyszłość pozostaje system federacyjny z autonomią narodową, wobec Moskwy niezbędny zawsze dla Polski i Rusi, system godny wieku 19go, bo zabezpieczający prawa własne i szanujący prawa drugich.

Ale rozbudzane namiętności żadnemi rozumowaniami ukoić się nie dadzą. Część szlachty polskiéj pozostała przy swojém zdaniu, młodzież polska i Ruś przy swojém — pożądany rozejm nie zakończył walki. Przybywało jéj owszem coraz nowych żywiołów, między innemi sprawa pisowni.

Pisarze małoruscy przyjęli od dawnego czasu graždankę i skoropis w miejsce starożytnéj kirylicy, graždankę jako zbliżoną znacznie do alfabetu łacińskiego a tém samém postępową, zaś skoropis jako jedyny dla języka ruskiego środek pisarski, gdyż kirylicą jak wiadomo pisać wcale nie można. Podając cały ruch ruski w podejrzenie jako agitacyi moskiewskiéj, wskazywano ze strony polskiéj na graždankę jako na dowód, i żądano zmienienia jéj na alfabet łaciński.

Żądaniu temu oparli się na razie stanowczo Rusini, uważając graždankę za środek przeciw polszczeniu ruskiego języka. Zastrzegając się jednak równie stanowczo przeciw podejrzeniom o moskwicyzm, powoływali się na upowszechniane właśnie środki ostrożności w tym względzie.

Głównym takim środkiem było ostateczne przyjęcie pisowni fonetycznéj, czysto ruskiéj, w miejsce etymologicznéj. Pisownia fonetyczna, od XVIIgo wieku na Rusi używana, różni się od etymologicznéj głównie tém, iż używając jéj pisze się tak, jak się wymawia, gdy tymczasem według pisowni etymologicznéj pisze się stósownie do źródłosłowów, czerpanych po największéj części ze starych zabytków piśmienniczych. Na takich cerkiewno-słowiańskich wzorach wykształcił się język moskiewski; przyjąwszy zatém metodę etymologiczną, mogli Rusini doprowadzić do zupełnego zatarcia różnicy w pisowni swego języka z moskiewskim, gdyż różnica polegająca na odmienném wymawianiu, w praktyczném zastosowaniu byłaby prawie żadną.

Przyjęcie pisowni fonetycznéj zachowywało w piśmie i druku czysty język ruski, zmuszało go do rozwijania się na prawdziwie narodowéj podstawie, chroniło — zdaniem znawców — stanowczo od zmoskwicenia. Ponieważ jednym z głównych i najżarliwszych propagatorów pisowni fonetycznéj był Kulisz w licznych swoich dziełach, ponieważ tenże niemało na jéj udoskonalenie wpłynął a nawet w osobnéj gramatyce główne jéj prawidła wskazał, nazwano takową od jego imienia kuliszówką, które to nazwanie powszechnie się dzisiaj utrwaliło.

Ale nietylko pod względem pisowni zastrzegano się przeciw moskwicyzmowi. Korzystając z liberalniejszego acz chwilowego tylko usposobienia cenzury, rzucili się Rusini do wyjaśnienia w pismach publicznych różnicy narodowéj między Moskwą a Rusią. Kostomarow zwłaszcza w wydawaném przez

siebie w Petersburgu czasopiśmie „Osnowa“ zamieścił obszerniejszą pracę pod tytułem: Dwie ruskie narodowości, która powszechną na siebie ściągnęła uwagę. W pracy téj starał się autor uwydatnić kardynalne, niczém zatrzeć się niedające różnice narodowości ruskiéj i moskiewskiéj, a to pod względami geograficznym, historycznym, politycznym, religijnym, społecznym i wszelkimi innymi. Co do samego nazwiska Rosyi twierdził autor, iż takowe najniesłuszniéj przez Moskali przyswojoném sobie zostało, ponieważ nazwa ta, przekręcenie nazwiska Rusi, téj tylko jedynie przynależeć może. Moskwa przezywając się Rosyą, zbliżyć się chciała tym sposobem do czysto ruskich szczepów; jak ogromna jednak i niezatarta między nimi a nią zachodzi różnica, wskazuje najlepiéj okoliczność, iż od czasu uzurpowania przez Moskwę nazwy Rusi, nazwa ta straciła urok dla samychże Rusinów. Sami Moskale uczuli wnet potrzebę uwydatnienia téj różnicy narodowéj, i przezwali Rusinów w języku urzędowym Małorusami, w języku zwykłym pogardliwie chachłami, które to wyrażenie chachoł zbliża się najbardziéj do polskiego cham. Rusinom zaś chodziło do tego stopnia głównie o uwydatnienie różnicy narodowościowéj, iż w tym celu przyjęli chętnie nawet pogardliwe miano chachłów, byle miano to chroniło ich od wszelkiego podobieństwa z Moskalami.

Dążenie do uwydatnienia różnic między Moskwą i Rusią napiętnowało silnie całe małoruskie piśmiennictwo. Za Kostomarowem poszło wielu innych, poszedł cały ogół piszących.

Kierunek ten wreszcie wraz z powyżéj wskazanemi, wraz z powszechném i stanowczém przyjęciem pisowni fonetycznéj, zapewniły piśmiennictwu ruskiemu wszelkie cechy samodzielności i odrębności.

Sprzeciwiało się to w zupełności widokom rządu moskiewskiego. Liberalny car Aleksander II uznał potrzebę użycia środków represyjnych. Posypały się ukazy wprost przeciw Rusinom i Ruszczyznie wymierzone. Najpierw zakazano młodzieży wykładów w szkołach niedzielnych i ludowych, a niebawem zamknięto wszystkie podobne szkółki, w których uczono po rusku. Natomiast polecił inny ukaz zaprowadzenie elementarnych szkółek parafialnych, w których jedynie po moskiewsku uczyć wolno było.

W roku 1862 rozpoczęły się prześladowania osobiste. Pod pozorem wyśledzenia spisku politycznego, którego celem miało być szerzenie na Zadniepru propagandy ruskiej w duchu perejasławskiego traktatu, wysłano w Sybir mnóstwo młodzieży i innych osób, jak profesora Aleksandra Stronina, inżyniera Łobodę, adwokata Koniskiego, Sawicza, Czubińskiego, Dr. Nosa i innych.

W roku 1864 z powodu wykrycia jakiegoś składu broni rozstrzelano w Połtawie Potockiego, uwięziono Poszczeńkę i wielu innych Małorusinów.

Główne jednak pociski wymierzył rząd przeciwko piśmiennictwu ruskiemu. Początkowo, celem przeciwważenia wpływu tegoż piśmiennictwa pozakładano na Rusi dzienniki moskiewskie jak: Wiestnik południowo zachodniéj i zachodniéj Rosyi wydawany przez odstępcę małorusina Goworskiego, i inne. Gdy jednak taka polemika po ukazie żadnych nie wywierała skutków chwycono się radykalniejszych środków. Najpierw zamknięto wydawnictwa czasopismów ruskich, jak Osnowa, Czytelnia i inne, a niebawem zakazano stanowczo drukować i wydawać dzieła ruskie zwłaszcza pisownią fonetyczną. Znajdujące się podczas zakazu po drukarniach rękopisma i odbitki ruskie skonfiskowano co do jednego.

Prześladowania takie szerzą się i wzrastają po dzień dzisiejszy. Za list pisany po rusku, za ruską śpiewkę, za rozmowę w języku ruskim biorą natychmiast pod ścisły dozór policyjny, który zawsze prawie kończy się wysłaniem na Sybir. Boleśniejszém wreszcie nad to wszystko jest ustawiczne urąganie moskali, powtarzane ciągle twierdzenia, że Rusi i Rusinów nie ma, że to czysta Rosya, że to co się zwie ruszczyzną, jest jedynie mużyckim prowincyonalizmem, obecnie ze względów naukowych i postępowych jak najsurowiej wzbronionym.

Rząd moskiewski nie zaniechał żadnych środków, którymi przy prześladowaniu jakiejkolwiek sprawy zwykł się posługiwać. Między innemi starał się także usilnie o pozyskanie odstępców sprawy ruskiej. Do niewielkiej liczby podobnych nikczemników jak Goworski i Kułżyński, należy mianowicie zwany ajent moskiewski Gogocki, z rodu Rusin, który w luźnych pismach dowodzi tak samo jak lwowskie Słowo, iż Ruś a Moskwa to jedno, iż żadnych między niemi niemasz różnic.

Ludzie ci jednakowoż zarówno z lwowskiém Słowém i Świętojurcami doznają najwyższéj wzgardy ze strony całego narodu ruskiego.

W obec tych faktów umilkły rzeczywiście podejrzenia niektórych Polaków, iż sprawa ruska jest jedynie intrygą moskiewską, przeciwko narodowości polskiej wymierzoną. Natomiast podniosły się coraz głośniejsze oszczerstwa moskali, iż cała ta sprawa jest jedynie machinacyą polską, przeciw rządowi moskiewskiemu podniesioną.

Same te zarzuty przekonują dostatecznie, iż nie jest ona ani jedném, ani drugiém. Nie zwichnęła jéj bowiem ani negacya polska, ani jéj nie stłumiło prześladowanie moskiewskie. Lud ruski tak jak lud polski wynarodowić się nie da, a wzrastającej codzień liczbie intelligencyi ruskiej wyrabiającéj się pod obuchem prześladowania, tem silniej przeto do swej narodowości przywiązanéj, niezdołają zapobiedz żadne ukazy i żadne zakazy. Najpewniejszym bowiem środkiem uświęcenia jakiejś sprawy jest jéj prześladowanie, niezawodnym sposobem rozszerzenia apostolstwa jest męczeństwo.

Takim jak nam zaręczają ma być rzeczywiście stan sprawy ruskiéj na Małorusi. Różni on się pod bardzo wielu względami od tejże sprawy w Galicyi, na które to różnice wpłynęły zupełnie odrębne stosunki społeczne i polityczne. Najgłówniejsza różnica polega w tém, iż przywódcami ruskiéj sprawy w Galicyi samowolnymi jéj kierownikami politycznymi są właśnie odstępcy, są ludzie jak Gogocki i inni, których dziś na Małorusi nie za swoich lecz za wrogów cały naród uważa. Prawdziwi reprezentanci narodu ruskiego, stronnicy młodej Rusi, pozostają u nas pod przekleństwem frakcyi świętojurskiéj.

Polacy jednak nie umieją i nie chcą dojrzeć ogromnej różnicy między Świętojurcami a prawdziwymi Rusinami. Tym czasem różnice te są niezaprzeczone i na pierwszy rzut oka uderzające. Taż sama Moskwa, która na Małorusi wytępia Ruśczyznę szubienicą i Sybirem, taż sama Moskwa głaszcze Świętojurców i nazywa ich braćmi swymi. A Świętojurcy znowu przemawiający obłudnie w imię narodu ruskiego, pozostają w najczulszéj z Moskwą przyjaźni, tłomaczą sobie z upodoba-

niem, że Ruś a Moskwa to jedno, potępiają zarówno z Moskalami cały narodowy ruch małoruski i prześladują jak najzaciędziéj reprezentantów tegóż kierunku w Galicyi.

Słowem na Małorusi przewodniczy sprawie ruskiéj duch Szewczeńki, duch gromad, duch męczenników w Sybir wleczonych i pod moskiewskimi pałkami mordowanych; w Galicyi usiłuje przewodniczyć duch Katkowa i Gogockiego.

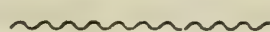
Duch ten jednakowoż ożywia w Galicyi tylko nieliczny zastęp ludzi, których miejscowe społeczne i polityczne stosunki podniosły na stanowisko tak obszernéj władzy, o jakiéj w czasach dzisiejszych zaledwie najzagorzalsi despoci poważają się marzyć. Naród ruski jęczący pod obuchem tego despotyzmu, ożywiany uczuciami małoruskich współbraci, z utęsknieniem oczekuje swobodniejszéj nieco doli.

Bliższe pojaśnienie tego szczególnego zjawiska będzie zadaniem dalszego ciągu pracy niniejszéj.

(Dokończenie nastąpi.)

Bernard Kalicki.

Do dziejów cywilizacyi powszechnéj.



Pewien znakomity krytyk zauważał całkiem słusznie, że bardzo znaczna część ludzi żyjących wśród dzisiejszéj cywilizacyi i korzystających z jéj rozlicznych dobrodziejstw, nie stawiła sobie nigdy tego pytania, jakiemi to cudownemi drogami te bogactwa nabyte pracą tylu wieków i tylu pokoleń dostały się nam w spuściznie, w jaki sposób prace tak rozmaite, kolejno się pojawiające, częstokroć bardzo uciążliwe, niekiedy drobne, nieraz olbrzymie, owoc rozmyślań pojedynczych ludów i całych narodów, kapitalizowane od pierwszéj chwili pojawienia się człowieka na ziemi, składały się na to wspaniałe dziedzictwo, z którego czerpiemy pełną garścią, nie poczuwając się do żadnéj wdzięczności, a nierzadko odpłacając nawet obojętnością dla ich twórców.

A jednakowoż tylko dzięki tym kolejnym pracom dokonanym z trudem i poświęceniem przechodzącém wszystko to, cokolwiekby wyobraźnia zdołała wymyślić, jak i to co dzieje i tradycye nam podają, zdobyła sobie ludzkość cały ten zapas wiedzy stanowiący treść i miazgę naszéj cywilizacyi, jako też potężny bodziec dalszego rozwoju i postępu, który na przyszłość ma powiększyć wspólne bogactwo, z którego czerpiemy materyały do naszego wykształcenia, naszego dobrobytu, naszego rozwoju intelektualnego, moralnego i materyalnego.

W rzeczy saméj od wschodu i zachodu, od południa i północy, po wszystkie czasy i na wszystkich miejscach, ludzie różniący się między sobą ojczyzną, pochodzeniem, charakterem, talentami, stopniem cywilizacyi, obyczajami i językiem, składają na ołtarzu cywilizacyi owoce usilnéj pracy, doświadczenia, cnót, wiedzy, pojęć i błędów nawet, jako szacowny spadek generacyi dawno już zeszłych z widowni świata dla pokoleń żyjącyeh, z którego korzystać winni ludzie i narody teraźniejsze, którym on służy jako przewodnia gwiazda w ich niebezpiecznym biegu na drodze postępu; — historykowi zaś, o którym już Cycero powiedział, że jest zwiastunem zesłanym przez Opatrzność, aby naukę i doświadczenie umarłych podać na pokarm żywym, przypada to trudne lecz pełne powabu zadanie wtajemniczyć ludzkość w wszystkie szczegóły różnorodne tych prac wiekowych, rozświecić nauką niezbadane jeszcze lub pogrążone zupełnie w ciemności i zapomnieniu wypadki i fakta dziejowe.

Wzniosłe to posłannictwo umiejętności historycznych nigdy lepiéj nie było pojęte jak w XIX wieku. Nauce tegoczesnéj zawdzięczać mamy, że obok naiwnych roczników kronikarskich, obok dzieł historycznych, gdzie z teatralną wystawnością ułożone są tabele dynastyczne, daty bitew i pochwały panujących tu i owdzie nadziane cytacyami moralnemi lub oschłemi rozprawami, powstała historya rozsnuwająca przed nami powolny a często bezimienny rozwój idei, obyczajów i wynalazków. Skromne monograficzne prace i przenikliwa bystrość krytyki najwięcéj przyczyniły się do postawienia historyi na jéj właściwém stanowisku. Odtąd bada ona sumiennie stopniowy postęp ducha ludzkiego w dziedzinie filozofii, religii i nauk; tłomaczy wielkość i upadek narodów i cywilizacyi; wskazuje ile na ten stan oddziaływały wpływy wewnętrzne lub zewnętrzne; stara się zgłębić życie publiczne i prywatne ludów i indywiduów, sięgając w najtajniejsze nawet zakątki ich prywatnego życia; rozbiera i klasyfikuje objawy ludzkiéj myśli i woli; wykazuje początek i rozwój tych myśli, albowiem ideje tak jak narody mają swoją historyę, to jest stan dziecinny, rozwój stopniowy, idą naprzód lub cofają się w tył, budzą entuzyazm lub rodzą zwątpienie, dochodzą do szczytów wielkości lub upadają na zawsze.

Z pochodnią w ręku zwiedzała historya wszystkie zakątki, aby wyświecić ten wielki dramat, którego jesteśmy aktorami i świadkami, a odkrycia na pozór bardzo skromne, badania bardzo drobne, posłużyły często do rozwiązania kwestyi ważnych w dziedzinie filozofii i historyi. Czyż to nie rozbiór chemiczny pierwiastków zawartych w mumiach egipskich dokonany przez znakomitych znawców starożytności dowiódł jak cywilizacya indyjska i egipska nawzajem się przenikały i uzupełniały; czyż nie nauce mitologii porównawczéj zawdzięcza historya, że mogła dotrzeć aż do źródła swego istnienia i odtworzyć jeżeli nie historyę żywą i kompletną, to przynajmniéj zestawić szczegóły bardzo ciekawe i ważne o istnieniu, życiu i cywilizacyi Ariasów — ludów przedhistorycznych, od których pochodzi rasa kaukaska.

Podniesiemy późniéj wielką usługę jaką oddała historyi metoda porównawcza zastosowana do umiejętności uważanych jako pomocnicze historyi; tutaj wskażemy tylko, że nie ma nauki, chociażby takowa w najciaśniejszych ramach była zamkniętą i na pozór wydawała się niewdzięczną, którаby w sobie nie zawierała pierwiastków wiedzy i któréj owoce pięknością i smakiem nie przeszły oczekiwania i nadzieje początkowych jéj uprawiaczy.

Z pomiędzy studiów historycznych pierwsze miejsce należy się tym, które się trudnią życiem i pracami wielkich indywidualności; starają się zgłębić charakter ich nawet w rodzinnych i towarzyskich stosunkach, badają doniosłość i wpływ ich idei wraz z najdalszemi następstwami na byt narodów i rozwój cywilizacyi, a których zasługi inaczéj byłyby nieznane przez tych, którzy z ich idei korzystają i w nie się stroją.

Do historyka należy ta świetna misya wykazania jak ideje z sobą się wiążą i wyszukania nazwiska, bezimiennego dobroczyńcy ludzkości, który wyposażył ją nowym wynalazkiem; czuwania nad sławą gieniuszu, którego prace, noce bezsenne, troski bez liku i energia niezawsze uwieńczone były za życia uznaniem współczesnych, gdyż jest to prawie powszechném przeznaczeniem wielkich idei, że dopiéro po wiekach błyszczą całém swém światłem, tryumfują po długiéj uporczywéj walce nad przesądami i błędami, które obalają i rozpraszają. Zadanie to jest tém ważniejsze, gdyż rzadko kiedy gieniusze natychmiast zostają poznane, ocenione i wynagrodzone mieniem

i sławą, przeciwnie narażone są na prześladowania i zawody, cierpią nędzę i niedostatek, podczas kiedy poroniony jeniuszek i lada talent mierny, który zaledwie na kilka lat ma w sobie zapasów życia, cieszą się popularnością i dostatkami. Prawdziwe jeniusze, których pomysły stały się dźwignią rozwoju ludzkiego, które są zaszczytem swéj ojczyzny, zwykle dopiéro po śmierci odbierają zasłużoną cześć i ta biegiem czasu coraz staje się silniejszą i powszechniejszą.

Kopernik jest bez wątpienia jednym z tych jeniuszów, jakich Opatrzność zsyła od czasu do czasu na ziemię, aby obalić spruchniałe posągi fałszywych bożyszcz, a na ich miejsce wystawić nowe ołtarze w przybytku prawdy. Podzielając los zwykły gieniuszów, był on zapoznany za życia. Dwóch lub trzech protektorów, kilku przyjaciół i niewielka liczba uczniów, ale za to oddanych zupełnie mistrzowi, byli dla niego jedyną pociechą wśród prześladowań przez zakon krzyżacki, wśród niechęci jednych, zazdrości i zabobonów drugich. Najgrawano się z niego na miejscach publicznych, płatni szarlatani podawali w pośmiewisko szczytne jego myśli, a on z chrześciańską rezygnacyą wychylić musiał kielich goryczy, którą go napawano; dopiéro po śmierci nauka jego rozpowszechnia się i wzbudza podziw ogólny.

Galileusz, Giordano Bruno, najgorętsi jego zwolennicy roznoszą po szerokim świecie chwałę jego imienia, znoszą mężnie tortury inkwizycyi świętej i męczeństwo za prawdę jaką Kopernik ogłosił i jéj nieomylności dowiódł.

Lecz dzisiaj nawet kiedy cały świat uznał Kopernika za twórcę nowego systemu słonecznego, kiedy uznano go za ojca umiejętności najbardziéj pozytywnéj i która najwięcéj przynosi zaszczytu umysłowi ludzkiemu, czy geniusz jego został wszechstronnie zbadany i oceniany? Czy pochwyciła i osądziła historyozofia doniosłość ogólną jego idei w ten sposób, jak ludzie specyalni, którzy najwięcéj przyczynili się do rozwoju astronomii, osądzili ją pod względem naukowym. Zaiste nie! możemy to powiedzieć z całą pewnością, nie obawiając się zaprzeczenia ze strony tych, którzy aż do końca studium nasze czytać zechcą. Wzięliśmy się do pióra aby zapełnić ten brak, który dziejopisom cywilizacyi zaszczytu nie przynosi, a naszą ojczyznę pozbawia jednego z najpiękniejszych tytułów do wdzięczności

świata całego; uzupełnić mamy kartę, która w otwartéj księdze dziejów nie została zapisana, wskazać jak idea Kopernika nietylko wzbogaciła naukę, ale wpłynęła potężnie i stanowczo na rozwój zasadniczych pierwiastków cywilizacyi, pierwiastków żywotnych, których wypływem jest wolność osobista, religijna i polityczna. Gdyby chodziło tylko o wskazanie użyteczności systemu słonecznego stworzonego przez znakomitego prałata toruńskiego, zadanie nasze byłoby krótkie i łatwe, ograniczyćbyśmy się musieli bowiem na powtórzeniu tego, co już powiedziano. Do wieńców chwały jaki mu spletli za jego naukowe odkrycia najznakomitsi mężowie wszystkich krajów i w rozmaitych czasach jak Galileusz, Giordano Bruno, Kepler, Newton, Laplace, Arago, Humbold i nasz nieoszacowany Śniadecki, dorzucić już nie podobna żadnéj nowéj gałązki.

Nie chcąc ani powtarzać tego co inni już tak znakomicie powiedzieli, ani wdawać się w sprzeczki o jego narodowość, przedsięwzieliśmy sobie zupełnie z innego stanowiska zastanowić się nad zasługami naszego ziomka. Zostawiając specyalistom uczonym głoszenie sławy naukowéj tego nowego Jozuego, który odważył się słońce w biegu swoim zatrzymać, my badać chcemy pod względem historiozoficznym ten umysł potężny, który walczył tak energicznie przeciwko ciemnocie, przesądom, fałszom i zabobonom, chociaż je nawet nauka i kościół brały w swoją obronę i który złożył na łonie cywilizacyi te zarody siły, jakie potrzebne były do obalenia ostatatniéj zapory stawianéj myśli i czynności ludzkiéj a tém samém i wolności ludzkiéj.

Być może, iż nam powiedzą: jeżeli to prawda, że Kopernik był jednym z najpotężniejszych czynników cywilizacyi i udoskonalenia ludzkiego, jakimże sposobem stać się mogło, że ta jego zasługa uszła uwadze i bystrości tylu znakomitych ludzi którzy swoją pracę i swój talent poświęcali filozofii dziejów? jakimże sposobem Vico, Herder, Hegel, Comte, Bukle, Laurant, Taine, Guizot nie znaleźli nawet sposobności, żeby wspomnieć imię jego? Na to historya wszystkich umiejętności odpowiada najlepiéj. Tam to widzimy, jak prawdy najistotniejsze i najbardziej bijące w oczy przez całe wieki uchodziły spostrzeżeniom ludzi uczonych, chociaż się o nie codziennie ocierać musieli; oprócz tego ileż to słabostek nie mieści się w ser-

cu i umyśle ludzi nawet takich, którzy się wznieśli po nad zwykły poziom, mianowicie, jeżeli sądami o ludziach kierują sympatye i antypatye.

Stronniczość historyków porwana duchem partyi religijnych, politycznych, narodowych lub spółecznych nie pozwala im dopatrzéć się faktów namacalnych i zasług najoczywistszych, a szkoła materyalistów panująca dzisiaj w świecie naukowym poświadcza to i teraz, pomijając systematycznie imię Kopernika tam nawet gdzie mowa jest o systemie słonecznym, ażeby chwałę i zasługę przypisać Galileuszowi, który tylko był jego gorliwym zwolennikiem i uczniem. Wszystko to z tego powodu, że uczony katolik który pracę swoję dedykował naczelnikowi kościoła, strzegł się rozumowań antireligijnych i antispółecznych w jakie obfituje skruszony delikwent inkwizycyi męczony turturą, i zmuszony do odwołania przekonań swoich naukowych, a po odwołaniu rzucający światu te pamiętne i znane słowa: „*E pur si muove*“. Nie zadziwi nas więc zapoznanie moralnego wpływu Kopernika, kiedy nawet zasługi jego naukowe, szkoła dzisiaj panująca stara się zmniejszyć i osłabić.

Nie będziemy marnować czasu na wynurzanie próżnych żalów, że Kopernik nie chylił się chociażby trochę do herezyi i nie był przez kościół prześladowany, coby zapewnie dzisiaj przyczyniło się do podniesienia jego imienia i chwały ojczystego kraju; zadanie nasze jest szlachetniejsze jak wojować za złą wiarą, a to: odsłonić prawdę niepostrzeżoną, domagać się w imieniu Polski uznania dla jednéj z najpiękniejszych kart dziejowych, rzucającéj równą chwałę tak na geniusz człowieka jak na geniusz narodu. Ażeby się z tego zadania wywiązać i prawdę którą pierwsi podnosimy w właściwém postawić świetle, jesteśmy zmuszeni przerzucić kilka kart z dawniejszych wieków cywilizacyi powszechnéj, i podnieść najważniejsze kwestye z dziedziny filozofii i historyi. Ażeby osądzić w czem i jakim sposobem idea twórcza Kopernika przyczyniła się do rozwoju człowieka i postępu ludzkości, potrzeba znać cały przebieg historyczny rozwoju cywilzacyi, taki, jak nam go wskazuje filozofia, historya, umiejętność, teorya, doświadczenie, zasada i fakt. Musimy więc w ogólnych rysach oznaczyć wielkie etapy przez jakie przechodziła myśl i czynność ludzka wśród wieków i pokoleń, bo tym tylko sposobem osiągniemy cel

wskazany. Przesuwając ogniwo po ogniwie z tego złotego łańcucha cywilizacyi świata, przyjdziemy nareszcie nieznacznie ale z wszelką pewnością do punktu, w którym człowiek widzi się w swoim biegu ku wolności zatrzymany, którego przekroczyć nie umié i natenczas zwraca swe oczy ku gwiazdeczce błyszczącéj nad brzegami Wisły, gwiazdeczce, która z czasem zamieni się w wspaniały meteor, rzucający jasne światło na drogę postępu i cywilizacyi.

Podobnie jak Sniadecki w znakomitéj swojéj rozprawie o systemie Kopernika dał jasny pogląd na rozwój stopniowy umiejętności astronomicznych, tak samo i my, aby ocenić wpływ geniuszu Kopernika na rozwój cywilizacyi nowożytnéj i wolności, jesteśmy zmuszeni skreślić w krótkości posuwanie się ustawiczne ludzkości naprzód do celu wskazanego jéj przez Opatrzność, to jest do wolności. Zapomocą téj metody, dotrzemy aż do punktu, gdzie potęga idei Kopernika obala ostatnią kolumnę podtrzymującą świątynię pogańskiéj bogini, która mimo postępu dokonanego przed nim, mimo światła ewangielii i wiadomości zdobytych przez naukę, utrzymywała wolę ludzką w złowrogiéj zależności i nie pozwalała człowiekowi urządzić swego zycia i swojéj czynności na zasadzie wolnéj woli, dogmatycznie wypowiedzianéj. Takie studyum przedwstępne pozwoli nam z właściwego stanowiska wielkość Kopernika ocenić, a działając z całą świadomością sprawy, będziemy mogli zakończyć rozprawę naszą słowami sławnego Arago: Zgasł on, trzymając w omdlałych rękach piérwsze egzemplarze dzieła, które miało rzucić na Polskę sławę szeroką i czystą.

II.

Wolna wola jest to dar najkosztowniejszy i najświętszy jaki Stwórca mógł uczynić dla swego stworzenia; przez nią zbliża się człowiek do Boga i staje się jego podobieństwem. Przez wolną wolę człowiek sam pomiędzy wszystkiemi istotami staje się panem swego przeznaczenia, on sam jedynie może kierować swemi czynnościami, wytknąć im cel rozumny i moralny, a postępując drogą pracy, postępu i zasługi ku zdobyczom cywilizacyi i wolności, może wznieść się do życia wyższego, do najwznioślejszych wyżyn cnoty i inteligencyi. Bóg uczyniwszy ze złego towarzysza nieodstępnego ludzkości, mówiąc człowie-

kowi: rozwiąż zagadkę, wyjdź zwycięzko z walki z potworem, a ja za to obiecuję ci nagrodę; równocześnie wyposażył człowieka cudowną symetryą inteligencyi, i woli ażeby z tém złém walczyć, obdarzył go samopoznaniem aby nadać kierunek zbawienny rozumowi i woli. Tak więc od samopoznania zawisł ostatecznie kierunek jaki człowiek nadaje swojéj myśli i swojéj woli, jednak stósowność tego postanowienia zawisła od stopnia udoskonalonego w nim pojęcia i od energii jego woli. W skutek tajemniczego połączenia duszy i ciała, dusza ustawicznie rwie się do wolności; będąc jednak wystawioną na bezprzestanne wpływy zewnętrzne, potrąca za każdym krokiem o przeszkody jakie jéj tworzą te wpływy; samo poznanie więc tylko o tyle stać się może ciałem w jéj czynnościach, o ile w duszy stopniowym postępem zwiększa się potęga pojęcia i skuteczność jéj woli, o ile poznać zdoła że człowiek może chcieć lub nie chcieć, i ocenić czego chcieć powinien.

Jak widzimy, wolna wola człowieka ulega ogólnym prawom postępu, jak wszystko co jest ludzkie; równocześnie jest ona główną dźwignią postępu, ponieważ przeznaczeniem człowieka na téj ziemi nie jest używanie biernéj szczęśliwości i wolności nieograniczonéj, lecz ma on się rozwijać i doskonalić przez usiłowania jakie powstają w jego duszy w skutek dążenia do wolności, podniecanéj potrzebami fizycznemi, intelelektualnemi i moralnemi; rozszerzać potęgę i stanowczość swego działania w stósunku jak jego pojęcie zyskało na rozległości przez naukę i doświadczenie; w stósunku jak jego uczucia stopniowo oczyszczone i coraz wznioślejsze, zbliżyły się do ideału prawdy, piękna i dobrego.

Wolna wola jest zatém nasieniem z drzewa ludzkości, które kiełkuje i wschodzi przez uprawę umiejętną i energiczną; postęp dokonany i skapitalizowany przez cywilizacyę stopniową jest jéj sokiem, wolność osobista, religijna i polityczna, jest jéj owocem. Wszystkie fałszywe teorye, wszystkie nadużycia popełnione przeciwko lub w imieniu wolności pochodzą ztąd, że wolność uważano jako zaród postępu a nie jako jego owoc. Błąd ten potępiony przez filozofię i historyę służył za punkt wyjścia dwom teoryom wprost sobie przeciwnym, które wszędzie i zawsze wyrzucały rydwan wolności z jéj na-

turalnéj kolei; to jest reakcyi która uważa wolność jako niebezpieczeństwo, i anarchii która naucza, że człowiek przez wolność przychodzi do postępu i cywilizacyi, kiedy przeciwnie człowiek przez postęp i cywilizacyę przychodzi do wolności. Człowiek jest synem pracy, trudu i znoju!

Świat starożytny nie miał i nie mógł mieć pojęcia o wolności osobistéj, nie uznano tam pierwowzoru wolności to jest wolnéj woli; wolność i czynność ludzka poddane były pod wpływ nieubłaganego fatum; wolność cywilna i polityczna była u niego wynikiem siły, gwałtu i zwycięstwa. Idea, że człowiek jest moralnie wolną istotą, t. j. panem swojéj wolności i odpowiedzialnym za swoje uczynki, nie pojawiła się ani w umyśle najznakomitszych filozofów starożytności, ani religijném poczuciu ludów dzikich i barbarzyńskich. Dziki i barbarzyniec znał tylko swawolę, dążył on do wolności instynktem zwierza, z tym instynktem który nakazuje nieujeżdzonemu koniowi pozbyć się swojego jezdzca; ale w gruncie bezsilny, pogrążony w ciemności, kolejno ciemiężyciel lub uciemiężony, krępowany bezustannie zbytkiem lub nędzą, dolegliwościami i roskoszą, poddający się z zabobonną uległością przeznaczeniu, kończył na tém, że z nędzy ludzkiéj uczynił teoryą, a duszę spowitą i złożoną na kamieniu ofiarném, uważał jako narzędzie ulegające fatalizmowi. Znajdujemy u starożytnych ludów wszystkie namiętności, ale żadnego uczucia moralnego, które podnoszą dusze chrześcijanina do téj niebiańskiéj sfery, gdzie rodzi się wolność osobista. Wyjątku nie stanowią nawet bohaterowie wyidealizowani przez Homera; ci królowie dzicy niosący w daleki świat mord i pożogę, powodują się wyłącznie tylko namiętnościami, nie znając co to jest litość dla ofiary powalonéj; uczty ich kończą się opilstwem i wyuzdaniem, a rozmarzony winem miłośnik ciągnie do swojego namiotu opierającą się niewolnicę wyrwaną wczoraj przemocą z łona familii. Nie znajdujemy u nich jak tylko popędy dzikich zwierząt: samowolność, rozmiłowanie w mordzie, grabierzy i gwałcie, pogardę dla zwyciężonego, podłość i podstęp, opilstwo i spoczynek szakala po krwawéj uczcie. Homer ma zupełną słuszność porównywając swoich bohaterów to do lwa, to do lisa, to do innych dzikich zwierząt. Nie uznają oni żadnéj godności człowieka, nie przyznają mu żadnego prawa do wolności, chyba że takową zdobędzie sobie sam siłą, bo siła dla nich jest piérwszą cnotą, jedynem prawem;

wszakże to oni zwinność w ucieczce nazywają zręcznością, podstęp sławą, kłamstwo mądrością. Ulis spotyka pewnéj nocy Trojańczyka zabłąkanego wśród obydwóch obozów, przywabia go do siebie obietnicą życia i zabija go bez wyrzutów sumienia; w tym fakcie mieści się mądrość, moralność i sława homerowskiéj starożytności.

Prawodawstwo i filozofia starożytna mniéj wprawdzie brutalne jak epopeja, nie wzniosły się jednak mimo postępu w obyczajach do poczucia wolności osobistéj. Jakież pojęcie miały one o człowieku w społeczeństwie? Prawodawstwo egipskie i indyjskie dzieliło ludzkość na tyle części ilo było kast; każda kasta była zamkniętą w ciasnym kółku, z którego jéj od urodzenia aż do śmierci wyjśdź nie było można. Grecya i Rzym zrobiły już ważny krok naprzód; pojęcie kastowości nie znalazło u nich przystępu, tu już społeczność dzieli się tylko na dwie części: na pana i na niewolnika, a w stósunkach międzynarodowych rodzi się pojęcie obywatela i barbarzyńcy. Ludzkość według nich składa się z dwóch ras oddzielnych, z których jedna ma panować a druga słuchać, jedna ma dzierżyć bat, a druga dźwigać jarzmo. Umiejętność, teorya i filozofia pod wpływem tego faktu nie zdobyły się na jedno słówko protestacyi, ażeby skarcić instytucyę niewoli i stanąć w obronie sromotnie pogwałconéj wolności osobistéj. Dosyć jest odczytać Platona i Arystotelesa, aby się przekonać, że obaj wielcy filozofi starożytni nie zdobyli się na jednę łzę politowania dla niewolnika; że Arystoteles uważał grabierz za prawny sposób nabycia własności, i przed Brenusem jeszcze wyrzekł owe fatalne słowa: „biada zwyciężonemu“ sankcyonując niewolę całą powagą ówczesnéj umiejętności.

Zachodzi teraz pytanie, czy rasa ludzi wolnych, która wykonywała swoją wolność kosztem niewolników miała w starożytności pojęcie wolności indywidualnéj? zaiste — nie! Ażeby się o tém przekonać, dostateczném będzie zauważać, jaki udział brało fatum we wszystkich objawach woli ludzkiéj, przypatrzyć się, jaka nierówność panowała w Grecyi i w Rzymie między mężczyzną a kobietą, urodzonych oboje z rasy wolnéj i panującéj.

Kobiecie zaprzeczano duszy, (przedmiot sporny między ówczesnemi uczonemi) była ona właściwie mówiąc jedną z form własności. Oddana na pastwę poligamii i rozwodowi, gatunkowi kolejnéj poligamii, należy zupełnie i całkowicie do małżonka;

w zamian za swoje przywiązanie i za swoją miłość podporządkowaną była zupełnie w ustroju familijném, i w oczach ojca rodziny uważaną była jako najstarsza z jego domowników. W świecie starożytném kobieta nie mogła się uwolnić z jarzma graniczącego z niewolą jaką na nie nakładało prawodawstwo, jak tylko opłacając swobodę wyjątkową prostytucyą ducha i ciała. — W Grecyi Lesbianki jedynie mogą zapuszczać się w głębiny ducha, one jedynie miały prawo wychylić się poza obręb ginaceum, gdzie kobieta uczciwa żyła w zamknięciu, odosobniona od wszystkich, a często nawet opuszczona od męża.

Tak więc ani prawodawca, ani filozof, ani moralista starożytności nie wynaleźli żadnego prawa, aby bronić niewolnika przeciwko dowolności pana, ażeby zażądać dla uczciwéj i wiernéj towarzyszki mężczyzny współudziału w zarządzie familii i w objawieniu swéj woli, chociaż ci sami prawodawcy, filozofowie i moraliści składali swoje hołdy u stóp Lesbianki, a lira poety czerpiąca swoje nadtchnienie w winie i rozpuście, opiewała wierszem wdzięki Aspazyi, Neery, Tyrrchy, Gliery, Cynery, Inachii, bachantek uwieńczonych koroną uwitą z lilii i róż, wdzięcznie rozpierających się w swych dwókolnych wozach.

Wprawdzie znajdujemy w prawie rzymskiém, w tém prawie pisaném przy schyłku starożytnéj cywilizacyi niejaką protekcyę i obronę przyznaną aż do pewnych granic kobiecie i niewolnikowi przeciwko gwałtowi męża i pana, lecz nawet te prawa, owoc rozwoju intelektualnego i złagodzonych obyczajów, nie są wypływem uznania wolności indywidualnéj; zasada ta jest zupełnie obcą tak prawodawcom jak i prywatnym, bowiem prawo rzymskie nie uznaje jak tylko prawa i obowiązki obywateli, których źródłem i zasadą jest interes państwa; człowiek i ludzkość nie wchodziły tu zupełnie w rachunek. Najwięcéj możnaby uważać prawodawcę rzymskiego jako liktora poprzedzającego tryumfatora Boskiego, ktory obwieścił światu dogmat o wolnéj woli, emancypacyi myśli, indywidualności i osobowości ludzkiéj.

Ewangelia ostatecznie obala fatum, rzuca nowe światło na stósunki wzajemne ludzi, i na stósunek ich do Boga. Ewangelia wyzwala wolę ludzką dotąd niewolnicę przeznaczenia, i niszczy monopol wiedzy i wolności. Dogmat wolnéj woli

czyni człowieka wolnym, ponieważ jest odpowiedzialnym za swoje czyny; zdobywa dla niego prawa, ponieważ zaczyna pojmować swoje obowiązki; wola Boża przestaje być przeznaczeniem, a staje się łaską. Przez Ewangelią człowiek staje się twórcą swojéj własnéj wielkości, a w upadku sobie zawdzięcza podniesienie. Skrucha, któréj towarzyszy wola, kieruje jego krokami ku temu co dobre i piękne; skrucha maże grzech popełniony, i zapewnia człowiekowi miejsce między wybranymi w Niebiesiech.

To pragnienie wiecznéj szczęśliwości jakie Chrystyanizm zaszczepia w duszy, staje się równocześnie powolném czynnikiem odrodzenia spółecznego; dogmat o wolnéj woli, odpowiedzialności, obowiązku i zasłudze odżywia nowym sokiem drzewo cywilizacyi, przyczynia się do rozwoju pojęcia o godności, prawie i wolności ludzkiéj.

Chrystyanizm nie był rewolucyą; nie wymagał on żadnych zmian w formach politycznych, nie zaczepiał żadnego rządu, i nie mieszał się do żadnych zaprowadzonych instytucyi, lecz był on szkołą reform radykalnych, która miała pchnąć cywilizacyę na nową drogę, nie używając do tego siły brutalnéj, ale jedynie siły idei i moralności.

Kobiéta zhańbiona rozwiązłością obyczajów lub poniżona przez tyranię męża — niewolnik oddany na pastwę pogardy i pracy poniżającéj godność ludzką i pozbawiony wszelkiéj wolności nie zdołali uwolnić się od jarzma przemocy ani przez krwawe wojny, które skończyły się wyrznięciem Tyru, ani rewolucyą Helotów w Sparcie, ani buntem niewolników na wyspie Chios i w Atenach, ani przestrachem jaki opanował Rzym z powodu powstania pod dowództwem Herdoniusza, i rozpaczliwych walk, zbrojnych band dowodzonych przez Szpartaka, — jedynie za pośrednictwem moralném nauki chrześciańskiéj, która wydała ciemięztwu wojnę powolną ale skuteczną, używając przekonania, a strzegąc się gwałtu, ujrzeli jak pomału okowy z ich nóg spadają.

Prawodawstwo greckie i rzymskie (jakie niektórzy nasi pisarze polityczni wystawiali za wzór wolności, otaczając niejako ciało żywéj Polski zarazą zgniłego trupa) splamione materyalizmem, odurzone fatalizmem, wyzyskiwało człowieka przez człowieka, i ażeby go ukarać, skazywało jego ciało na tórturę i mękę. Nauka chrześciańska ogłaszając, że dusza jest

źródłem wszelkiéj wolności, zaszczepiła w uciemiężonym pojęcie obowiązku, rozbudziła w nim przywiązanie do przekonania w nim urobionego, i wytrwania do ostatka przy tém, co za prawdę uznaje, — a ciemiężcy wskazała, że po za granicami materyi władza jego ustaje, że ujarzmiając ciało, nie może ujarzmić ducha, co ostatecznie musiało zrodzić w obydwóch pojęcie godności człowieka i uszanowanie wolności indywidualnéj.

W istocie jak tylko człowiek przychodzi do świadomości wolnéj woli, nie może już być ani niewolników, ani uciemiężonych; każdy już wie, że jest panem swego przeznaczenia, otworem przed nim stoi droga ku dobremu i ku złemu; może z nich wybierać jednę lub drugą i żadna siła ludzka nie jest zdolna zwrócić go z raz obranego kierunku. Prawa oprawcy do niewolnika są bezsilne w obec jego woli, która stanowi boską część człowieczeństwa. Prokonsul rzymski nakazuje chrześcianinowi składać ofiary fałszywym bogom — nie mogę, odpowiada tenże, będąc uczniem Chrystusa — a więc skazany zostaniesz na śmierć, oddam cię na pastwę dzikich zwierząt. — Rób co ci się podoba, i chrześcianin znosi śmierć jako męczennik; tortura i męki nie mogą zachwiać jego postanowieniem; pozostaje wolnym nawet wśród męki.

Zaprzyj się Ojczyzny, ugnij kolano przed wszechwładnym carem, nakazuje patryocie chrześciańskiemu oprawca, który kieruje mordami tajemniczemi w cytadeli warszawskiéj.— Nie uczynię tego, bo jestem Polakiem.— Buntowniku zgnijesz w więzieniu, upokorzę cię, i złamię twoją hardość tórturą i mękami, pójdziesz w sołdaty gdzie tysięcznych doznasz przykrości, wyszlę cię na Sybir, zginiesz pod knutem, a na domiar zgubię cię w opinii publicznéj, pozbawię cię dobrego imienia; na mój rozkaz rządowi fałszerze podrobią twoje pismo, w którém wystawiony będziesz jako podlec, zdrajca i odstępca od sprawy ojczystéj.— Wiem że wszystko ze mną uczynić możesz, lecz ja pozostanę wiernym religii i tradycyi mych ojców. Możesz ogniem i żelazem męczyć moje ciało, oszczerstwem możesz zaszkodzić mojéj sławie, ale duszy mojéj żadnego gwałtu uczynić nie zdołasz? — I męczennik za Ojczyznę znosi tórturę, spokojnie zagląda śmierci w oczy, pocieszając się tém, że śmiercią swoją stwierdza niepodległość woli i sumienia, że przykład dany przez niego, posłuży do utwierdzenia

cnót politycznych, które zapewniają przyszłość jego Ojczyznie. Dzięki chrześciańskiemu światłu, wiem i czuję, że wszystko co myślę i chcę odemnie zależy, ciało może ulec wpływom zewnętrznym, ale ja sam nie zależę tylko od mego przekonania; siła brutalna może ograniczyć i zniweczyć moje czynności, lecz chociażby świat cały runął, nic mnie nie zmusi do uczynienia tego, co się z mojém sumieniem nie zgadza.

Jeżeli porządek moralny w ten sposób się rozwija w całéj swéj okazałości, natenczas cnota przedstawia się w całéj swéj piękności, występek w całéj swéj brzydocie; pragnienie położenia zasługi nas ożywia, obawa utracenia téj zasługi nas powstrzymuje, a gwiazda niebiańska wolności, która przyświeca na ostatniém krańcu drogi, którą ma przebiédz wiedza i wola ludzka, czyni tę drogę łatwiejszą do przebycia, oświecając duszę i dodając jéj energii.

To światło i ta energia, które rozprzestrzeniają się w duszy i sercu pojedynczych ludzi i całych narodów w miarę rozwoju stopniowego do jakiego doszli przez pracę, biorąc udział w zdobyczach cywilizacyi, okazuje się pojedynczym ludziom i narodom jako tęcza nadziei wśród burzy i zawieruchy; jako arka nieśmiertelności. Naród ożywjony tym duchem Bożym, używa w świecie moralnym tych samych przywilejów, co indywidyum. Może on być podbitym, rozćwiertowanym, gwałt może go zakuć w kajdany, zdrada i niewdzięczność mogą się nad nim pastwić, można go zniszczyć ogniem i żelazem, pozbawić go niepodległości, odjąć mu prawa cywilne i polityczne, lecz nic nie zdoła zadać gwałtu jego egzystencyi i wolności moralnéj; a jeżeli sumienie narodowe nakaże mu zostać wiernym tradycyi, naród taki żyć będzie i pozostanie wolnym mimo sprzysiężenia się przeciwko niemu wszystkich bezeceństw i namiętności.

Tutaj więc sprostować musimy błąd kardynalny, rozpowszechniony wbrew prawdzie i zdrowemu rozumowi przez historyków takich jak Herder, Comte, Hegel i Guizot, jakoby Germani byli pierwsi, którzy na łonie cywilizacyi zaszczepili pojęcie wolności osobistéj. Uczucie to całkiem chrześciańskie nie mogło istnieć nawet w zawiązku u ludów nie znających innego prawa jak siłę, gdzie życie ludzkie oceniano na pewną sumę pieniężną i tylko we własném ramieniu musiano szukać

opieki; gdzie niewola panowała w formie najbrutalniejszéj; gdzie instynkta zwierzęce i krwiożercze w całéj swojéj ochydzie występowały w stósunku pana do niewolnika; gdzie z kobiétą nie lepiéj się obchodzono jak z niewolnikiem; gdzie prawo pięści panowało nad człowiekiem i spółecznością. Takimi byli Germani, jeżeli mamy zawierzyć źródłom autentycznym zachowanym przez historyą. Od najdawniejszych czasów spółeczność podzielona jest u nich na dwie klasy: ludzi wolnych i niewolników. Dwie te klasy znajdują się tak dobrze u Alemanów, Sasów, Franków i Bawarów, jak i u Turynczyków. Niewolników uważano na równi z bydlętami; można ich było sprzedać, kupić, dowolnie ukarać lub zabić; szeregi ich uzupełniano nie tylko ludem podbitym i jeńcami, ale często kontyngensu dostarczała rasa germańska. Małżeństwo między człowiekiem wolnym a niewolnicą było zakazane, ponieważ jak powiada Edda, krew ich nie była ta sama! Barbarzyniec północy okryty skórą niedźwiedzia, która zaledwie pokrywała nagość jego członków, był równie rozwiozłym jak dzikim. Jeżeli mamy zawierzyć świadectwu Cezara i prawom zwyczajnym, to zobaczymy, że takowe pozwalały Germanom publicznie smagać rózgami małżonkę, a nie zabraniały mu poligami i rozwodu, tych dwóch źródeł barbarzyństwa, tych dwóch żywiołów niszczących wszystkie węzły familii i spółeczności.

Widzimy więc, że tak jak wszystkie ludy barbarzyńskie i pogańskie tak samo i Germanie nie mieli żadnego pojęcia o téj godności człowieka, która nakazuje w bliźnim uszanować te same prawa, jakich dla siebie pragniemy i bez których nie ma wolności osobistéj.

Nie przeczymy, że u ludów germańskich panowało bardzo żywe uczucie opierające się ciemięztwu; lecz to uczucie jakie posiada każde zwierzę, jest wrodzoném naturze ludzkiéj, i na każdém miejscu i na każdym czasie znaleźć je można. Uczucie to u ludów barbarzyńskich manifestuje się buntem i nieposłuszeństwem i w niczém się nie różni, jak to już wyżéj powiedzieliśmy, od pragnienia, jakie ma koń dziki; pozbycia się jeźdzca; z poczuciem jednak wolności indywidualnéj, nic to nie ma wspólnego. Wolności takiéj jaką widzimy wśród cywilizacyi nowożytnéj, a która jest wypływem wolnéj woli, Germani nie znali. Wolność bowiem jest wyrozumowana, nie zasadza się

na użyciu gwałtu przeciwko gwałtowi, lecz na sprawiedliwości przeciwstawionéj samowoli, na prawach nieprzedawnionych człowieka przeciwstawionych nadużyciu siły brutalnéj. Mógłże więc szczep germański, rządzący się prawem pięści, wierzący w przeznaczenie w skutek ciemnoty i zabobonu, ciemiężyciel niewolnika i kobiéty, przynieść cywilizacyi pierwiastek wolności indywidualnéj? Odpowiedź na takie pytanie musi wypaść przecząco. Dogmat o wolnéj woli ogłosił Chrystus, ogłosił Kościół, który potężnie bronił cesarstwa rzymskiego przeciwko ciemnocie barbarzyństwa germańskiego, który następnie tych barbarzyńców nauką swoją podbił, i stał się czynnikiem i łącznikiem cywilizacyi między światem rzymskim i światem barbarzyńskim. Postawiony z jednéj strony między sceptycyzmem i upadkiem obyczajów stolicy starożytnego świata, z drugiéj strony między dzikością i gwałtami obyczajów barbarzyńskich, wzmacnia on rozpadający się pierwiastek starożytny, i łagodzi energię bez wędzidła ludów niecywilizowanych. Opatrzność, która postęp uczyniła prawem dla ludzkości, powierzyła Kościołowi wysokie posłannictwo: zaszczepienia na łodydze dzikiéj barbarzyńców, cywilizacyi, nie mogącéj wydać już owocu na spruchniałym pniu świata rzymskiego. Pod tym to nowym wpływem powstał nowy porządek społeczny tj. feudalność, który w porównaniu z organizacyą społeczną świata starożytnego i świata barbarzyńskiego, był już postępem na drodze do wolności. W istocie jak już powiedzieliśmy, w pogańskiéj Germanii istniała niewola tak dobrze jak u Rzymian, i to w formie jeszcze bardziéj obrażającéj godność człowieka, ponieważ tam niewolnicy pozbawieni byli wszystkich praw, jakie im w pewnych wypadkach użyczało prawodawstwo rzymskie.

Zdobycie państwa rzymskiego przez Germanów, nie byłoby w pochodzie ludzkości krokiem naprzód, ale krokiem w tył, gdyby Chrystyanizm działający zawsze przez reformy w ideach i obyczajach a nie przez wstrząśnienia rewolucyjne, nie był stopniowo złagodził barbarzyńskie pojęcia Germanów, zamieniając pomału niewolę na przykucie do gleby. Postęp był widoczny. Niewolnik u Germanów nie miał ani własnéj chaty, ani familii, żył on w domu swego chlebodawcy, zależny każdéj chwili, we wszystkich swoich chęciach i czynnościach od woli swojego pana. Za najmniejszém przestępstwem bat wznosił się nad nim, od wschodu do zachodu słońca był żyjącém narzę-

dziem pana, istotą bezosobową, nie mającą woli ani imienia, a śmierć pogrążała go w to samo nicestwo w jakiém był za życia. Dla niego nie było nawet tego zmartwychwstania, jakie my nazywamy potomstwem. Kobiéta rodziła, pan płód zabierał, i oto wszystko. Prawo pierwszéj nocy, które w Niemczech dotrwało do XVIII. wieku, było odbiciem dawnego prawa, jakie przysłużało panu względem niewolnika, było to najjaskrawszą negacyą wolności osobistéj, mimo tego jednak uczeni Akrobaci historycznego sofizmu chcą przedstawić rasę germańską jako rodzica wolności indywidualnéj. W świecie germańskim czas i przetrzeń nie istniały dla niewolnika, on musiał swoje ruchy, swoją myśl, swoje istnienie zastósować do długości łańcucha, do którego był przykuty; co się tyczy praw wolnego człowieka, te jemu były wydzielane odpowiednio do jego siły i potęgi.

Niewolnik chrześciański spełnia swoje zadanie pracując na glebie, zdala od ustawicznego nadzoru swojego pana. Więcéj przynależał on do własności niż do właściciela. Lenno absorbowało wprawdzie większą część jego pracy i czasu, lecz zostawało mu zawsze kilka chwil wolnych na polepszenie swego dobrobytu. Po ukończonéj pańszczyznie mógł już chcieć, myśleć, pracować na własny rachunek. Między siewem a żniwami dusza miała chwilę wypoczynku. Miał własną chatę, własną familię, jednę nogę miał już w przyszłości, przyczyniał się nakoniec do własnego bytu jako téż do bytu pozagrobowego w swojém potomstwie. Wolny w obec Boga, odkupiony zasługą Ewangelii, nie miał on jeszcze równie jak i jego pan dobrego pojęcia wolności, instynktowo jednak już ją przeczuwał: pracował nad własném wybawieniem; przyszłość należała do niego. Posiadał jeżeli nie ziemię, to przynajmniéj wartość ziemi, jaką jéj nadawał swoją pracą, a owoce nagromadzone, mogły stać się na przyszłość rękojmią jego swobody.

Dobrodziejstwa Ewangelii nie tylko niewolnikowi przyniosły korzyść. W miarę jak nauka chrześciańska o wolności coraz głębiéj sięga w organizm spółeczny, spółeczność ta się przekształca. Pod wpływem miłości chrześciańskiéj spadają pęta z kobiéty, któréj los roztrzyga losy familii i ludzkości. Odzyskuje ona swoją duszę pogrążoną w ciemnościach nocy, staje się równą mężczyznie w obec Boga i prawd ewangeli-

cznych, bowiem oboje mają wspólne wielkie i chwalebne przeznaczenie: ofiarę, cnotę i świętość. Odtąd może ona już życiu zajrzeć śmiało w oko, wzrok jéj może ogarnąć wszystkie stósunki ludzkie, odrzucić może zasłonę rozdartą tchnieniem boskiego Zbawiciela, okazać wszystkim to pogodne czoło i ten uśmiech, jaki Bóg złożył niby odbicie swéj łaski na twarzy najpiękniejszego ze swoich stworzeń.

Prawo chrześciańskie ogłaszając nierozerwalność związków małżeńskich kładło koniec rozwodowi, téj wielkiéj niesłuszności, która niczém inném nie była jak poligamią praktykowawą w kolejnych terminach. Kobiéta ma odtąd zapewnione sobie miejsce we familii. Może spokojnie czuwać przy kołysce swego dziecięcia, nie obawiając się zerwania brutalnego węzłów familijnych przez rozwód, staje się tém samém aniołem opiekuńczym domowego ogniska, aniołem stróżem familijnéj solidarności, a małżonek nauczywszy się ją czcić i kochać, w tajemnicza ją we wszystkie swoje myśli, nadzieje i smutki.

Wojownik pod wpływem małżeńskiéj miłości, rozbrojony słodyczą żony, podbity jéj cnotą, traci gwałtowne swoje zwyczaje, a kiedy śmierć kres ich życiu położy, spoczywają pod wspólnym całunem; wspólny grób kryje śmiertelne ich szczątki. Co Ewangelia ogłosiła jako dogmat religijny, to biegiem czasu weszło do kodeksu cywilnego, urządzającego stósunki ludzkie. Własność uświęcona pracą, nadała kobiécie wszystkie prawa osobiste. Kobiéta raz przyszedłszy do posiadania przynależących jéj praw, nie ograniczała swojego dobrotliwego wpływu na rodzinę, ale odbił się on w stósunkach cywilnych i politycznych narodów. Zapalając do bohaterstwa, została sama bohaterką, swoją słodyczą, miłosierdziem, zamiłowaniem w poezyi, stworzyła na około siebie świat idealny, w który wciągnęła mężczyznę, wzbudziła w nim entuzyazm liryzmu i miłości, które znowu stworzyły świetną epokę czasów rycerskich. Nikt nie zaprzeczy, że ten kult, jakiego przedmiotem była kobiéta, najwięcéj się przyczynił do złagodzenia obyczajów średnich wieków, wywołał on nie tylko świetne czyny osobistéj brawury, ale stworzył jeszcze literatutę pełną imaginacyi i uczucia. „Bóg i moja dama“ było jedyną i ustawiczną dewizą rycerstwa, w niéj czerpało ono natchnienie do wielkich swych czynów, ona umiała okiełzać dzikość obyczajów i gwałtowność charakteru.

Takim sposobem nauka chrześciańska odżywiając cywilizacyę nowym sokiem, stała się dla narodów barbarzyńskich i pogańskich środkiem odrodzenia. Ona rozbudziła wewnętrznego człowieka, jaźń ludzka zaczęła się sama poznawać i oceniać. Dotąd dusza ludzka spowita, uboga w uczucia i w ideje mimo postępu cywilizacyi starożytnéj, mogła wprawdzie osiągnąć pewną osobowość polityczną, ale nie zdołała się wznieść do niezależności indywidualnéj, to jest do jedności wewnętrznéj, uświęconéj wiedzą, wzmocnionéj przekonaniem. Człowiek żył i działał na zewnątrz wiedziony siłą obcą, niezależny od swéj własnéj woli; jako człowiek ulegał ślepo przeznaczeniu, jako obywatel państwu. Dwie te potęgi współrzędne w świecie pogańskim, kierowały jego krokami, zastępowały mu moralność. Chrystyanizm ogłaszając wolność indywidualną, rozwijając życie duchowe i sumienie, rozbudzając poczucie zasługi i odpowiedzialności, pracował bez ustanku nad obaleniem gmachu wzniesionego dla pogańskiego fatum, przygotował człowieka przez dogmat wolnéj woli do przyjęcia zasady wolności indywidualnéj, a jeżeli czynił to stopniowo, jeżeli wpływ jego był czysto moralny, zostawiając pracy i gieniuszowi ludzkiemu zasługę zdobycia sobie stopniowo tego światła Bożego, jakie mu na dalekim horyzoncie przyświecało: to taka była wola Opatrzności, takie posłannictwo objawienia Bożego, że oświecając drogi woli i wiedzy ludzkiéj pochodnią świętéj wiary, zatrzymało się na granicach myśli i tajemnicach natury, których mądrość Boża objawić nie chciała, zostawiając ich odkrycie czynności i pracy człowieka, którego opatrznościowy niepokój ducha do postępu zachęca, na téj drodze utrzymuje i wynadgradza. Bóg który z pracy, wysileń i trudów uczynił jeden z warunków zasługi człowieka i postępu ludzkości, pozostawił tajemnice ukryte w głębinach duszy i we wnętrzu ziemi poszukiwaniom jeniuszu ludzkiego. Dla tego to Kościół który w rzeczach wiary i moralności jest nie omylnym, nie pozostawił żadnych wskazówek mogących za pośrednictwem objawienia, naruszać prawa człowieka; co więcéj, ile razy Kościół chciał przekroczyć granice swego działania, popełniał błąd po błędzie, a działając wbrew postępowi, działał przeciwko sobie samemu.

Nie zadziwi nas, jeżeli w wieku szesnastym podczas walki pierwiastku chrześciańskiego z resztkami barbarzyństwa

i poganizmu, wspartemi literaturą starożytną, jaka przez Konstantynopol rozszerzyła się po Europie, zasada wolności indywidualnéj narażona była na wielkie niebezpieczeństwa, nie tylko ze strony hord tureckich, ale także ze strony germańskiego fatalizmu, który wygnany przez dogmat katolicki, tryumfował nie tylko u ludów schyzmatyckich i obałamuconych przez Mahometa, ale także wśród ludów chrześciańskich jeżeli nie zasadniczo, to faktycznie wywierał przeważny wpływ na wolę ludzką. Ażeby wyzwolić wolę człowieka, trzymaną przez całe wieki w zależności od przeznaczenia; niedostateczném było ogłoszenie zasady wolności indywidualnéj przez Kościół, potrzeba było jeszcze, aby człowiek własną pracą, własnym geniuszem stwierdził tę prawdę, uwolnił się od obłędu, jaki zabobon i nieuctwo rozpostarły, a które przypisywały sile ukrytéj zjawiska nadzwyczajne, ówczesnéj umiejętności niedostępne.

Istotnie roczniki średniowieczne przekonywują nas dostatecznie, że pogańskie fatum mimo nauki Ewangelii, opierało się wszystkim atakom dogmatu aż do szesnastego wieku, znajdując w magii i astrologii wiernych sojuszników. Jak długo człowiek czuł się zawisłym od władzy ukrytéj czarnoksiężników, jak długo wierzył, że gwiazdy stanowczy wpływ wywierają na jego losy, niepodobieństwem dla nie było uwolnić się od więzów fatalizmu, wznieść się do poczucia indywidualnéj niezależności. Magia, zawdzięczająca swoją potęgę nieświadomości pospólstwa, co do tajemnic natury i zręczności kilku oszustów, którzy w niém umieli wzbudzić wiarę, że są w stósunkach z duchami, za pomocą różnych sztuk chemicznych i fizycznych, jakiemi dzisiaj bawią kuglarze publiczność małych miasteczek, zasadzała się nie tak na niedostatku wiadomości chemicznych i fizycznych, jak na ciemnocie w któréj uczeni i szarlatani pragnący wyzyskać swoją wiedzę i urok nadzwyczajności, lud utrzymywali, a lud jak nam wiadomo jest zawsze gotów przypisać siłom nadnaturalnym zjawiska których nie rozumi. Aby obalić złowrogi wpływ, jaki magia wywierała na wolną wolę człowieka, dostateczném by było, ówczesne wiadomości o tajemnicach natury, jakie mędrcy starożytności i średnich wieków przekazywali sobie za pośrednictwem pewnego gatunku wolnego mularstwa, rozpowszechnić między ludem; historya bowiem późniejsza wykazała, że magia, tak długo się

utrzymująca mimo nauk Kościoła, prześladowania, inkwizycyi, topienia i stosu, znikła z rozpowszechnieniem sztuki drukarskiéj, i nadaniem kierunku więcéj liberalnego w udzielaniu nauk przyrodniczych, popularyzującego wiadomości chemiczne i fizyczne. Zniknienie magii, tego sprzymierzeńca pogańskiego fatum, było ważnym postępem naprzód, dziełem zbiorowéj pracy wszystkich tych, którzy jakimkolwiekbądź odkryciem przyczynili się do wzbogacenia umiejętności.

Czy z astrologią miało się stać tak samo?

A jednak była ona niebezpieczniejszą niż magia, ponieważ kładła pęta na wolę, nie obrażając sumienia; ze swojem wpływem nie potrzebowała się ukrywać, gdyż i Kościół chylił się na jéj stronę, i monarchowie otaczali ją opieką i wsparciem; astrologia miała za sobą powagi naukowe i sympatye mas, nie utraciła też przez szesnaście wieków cywilizacyi chrześciańskiéj ani piędzi ziemi. Nadaremnie z ambon kościelnych ogłaszano naukę o wolnéj woli, wskazywano człowiekowi wielkość jego przeznaczenia, daremnie starano się wzbudzić w jego duszy uczucie niepodległości; słów tych słuchano z pokorą, lecz one żadnych owoców wydać nie mogły, jak długo człowiek czuł się zawisłym od konstelacyi gwiazd.

Widoczném jest, że jak długo człowiek przypisuje tajemnym wpływom ciał niebieskich pomyślny skutek swoich przedsiębiorstw; wolę i czyny swoje stara się zastotować do biegu gwiazd, poczytuje pragnienia duszy, to żywe świadectwo wewnętrznéj wolności, za próżne urojenia, więcéj wierzy w potęgę księżyca niż w potęgę swéj woli; fatalizm koniecznie nad nim ciężyć musi, krępować w nim rozwój życia moralnego, tego życia wewnętrznego, nad którém zastanowiwszy się, zdoła sobie zdać rachunek ze swoich czynów, pobudek które nim kierowały, i celu do którego dąży; życie to wewnętrzne może jedynie wzbudzić w nim całą pełnię wiedzy, stać się węgielnym kamieniem wyzwolenia tak pojedyńczych indywiduów jak całych narodów. To też w szesnastym wieku po upadku ostatnich szczątek bałwochwalstwa, fatum, to bożyszcze potworne wygnane ze świątyń, znajduje przytułek w obyczajach, w sumieniu gdzie zabobonny przestrach panuje jeszcze wszechwładnie i w umyśle zaniepokojonym przez astrologię. Ze wszystkich błędów pogańskich ona sama jedna nieuroniła nic z dawnego swojego wpływu,

ani téż nie znalazł się choćby jeden głos, któryby władzy jego zaprzeczył uprawnionéj podstawy. Tak więc mimo promieni ewangielicznego światła oświecającego widnokrąg cywilizacyi chrześciańskiéj, olbrzymi cień jaki rzuca astrologia, nie pozwala człowiekowi spostrzedz, że to fatum, które jego wolę trzyma na uwięzi, niczém inném nie jest jak marą, straszydłem na niedobre dzieci. Widzimy téż, że zabobon walczy z dogmatem potężną bronią. Tutaj trzeba szukać źródła ogólnego nieukontentowania, jakie opanowało w szesnastym wieku całą społeczność będącą w sprzeczności z sobą samą. Daremnie ta biedna społeczność stara się o podstawę dla instytucyi wolnych i trwałych, a chociaż wszystko wzdycha do postępu i wolności, jeżeli nie z wyrozumowaném poczuciem człowieka wolnego, to przynajmniéj z instynktem naturalnym, który czuje znużenie i niesmak po krwawych nadużyciach barbarzyństwa, nigdzie jednakowoż nie znajduje punktu oparcia. Wszędzie bowiem sprzeczność między teoryą a praktyką, między zasadą a faktem, między wiarą kościoła powszechnego a praktykami indywidualnemi, między instytucyami a stosunkami społecznemi. Człowiek zaczyna mieć poczucie wolności, ale boi się z niéj korzystać, czuje że mu skrzydła wyrastają, ale powierzyć się im nie ma odwagi, nie ma odwagi wypowiedzieć posłuszeństwa potędze tajemniczéj, zawieszonéj nad jego głową. Takie sparaliżowanie woli ustać nie mogło, dopóki zabobony astrologiczne oparte na fałszywych ale przez nikogo niezakwestyonowanych podstawach, wykładane systematycznie z katedr nauczycielskich z całą powagą i pozorem prawdy, znajdowały przystęp i wiarę u uczonych i prostaków, w kościele i na tronie, w pałacach możnych, w domach mieszczańskich i pod ubogą strzechą wieśniaka. Jak długo dobra lub zła wiara naiwnego lub chytrego astrologa kierowała czynnościami królów i poddanych, ani państwa ani indywidua wolnemi być nie mogły. Dosyć jest otworzyć kroniki średniowieczne aby się przekonać z jaką tyranią wywierali astrologowie swój wpływ na losy monarchów i ludów, na umysł i wolę największych ludzi i najznakomitszych uczonych.

Ażeby wyzwolić myśl, sumienie i wolność ludzką, potrzeba było nowéj siły, którąby wytrysła z gieniuszu ludzkiego, zdzierając maskę udanéj mądrości, w jaką się stroił fałsz i kłamstwo.

Zadanie to nie było łatwe, bo jeżeli magia utrzymywała się wśród najniższych warstw społeczności, prześladowana przez kościół i władzę cywilną, astrologia przeciwnie rozpościerała swoją władzę, wsparta na powagach kościelnych i politycznych, protegowana zarówno przez papieży i monarchów, szanowana przez wielkich i małych. Jak już powiedzieliśmy, wpływ magii był ograniczony, oparty tylko na nieuctwie zabobonnych mas chciwych cudów i nadzwyczajności, astrologia zaś była nauką poważną i poważaną, najznakomitsi bili przed nią czołem, a monarchowie i potentaci udawali się do niéj po radę w chwili przesilenia. Uniwersytet krakowski miał także katedrę astrologii, a Kopernik był jéj najznakomitszym uczniem. Obalić astrologię, a razem z nią zadać cios śmiertelny tyrańskiemu fatum, które ujarzmiało wolę ludzką, było dziełem zarówno wielkiém jak trudném. Ażeby spełnić to dzieło, którego następstwa w rozwoju cywilizacyi są nieobliczone, potrzeba było ażeby Opatrzność uposażyła świat w jeniusz, zdolny rozniecić światło wśród ciemności fałszu i zabobonów, którędy się wzniósł ponad poziom ówczesnych wyobrażeń uświęconych czasem i powagą nauki. Potrzeba było nowego Prometeusza, któryby to światło zdobył, miał odwagę powiedzieć słońcu: „stój!. ziemię zaś pchnął w ruch, którego jéj zaprzeczała nauka starożytna i nowożytna; nakoniec powiedział gwiazdom i planetom: odtąd nie będziecie już kierować pochodem państw i ludów, nie będziecie ubezwładniać wolę człowieka, owszem człowiek określi wasz bieg eliptyczny, naprzód wskaże zmiany, jakim z wyroku Opatrzności koniecznie podlegać musicie. Zwróciwszy się zaś do człowieka trawionego wewnętrzném dążeniem do wolności, a przykutego do nóg niezbłaganego fatum podtrzymywanego przez astrologię rzekł mu: podnieś twoją głowę, nie drżyj przed zabobonem, okiem śmiałém i spokojném patrzaj na te cuda niebieskie, objawiające ci wszechmocność i boskość Stwórcy, który cię uczynił istotą rozumną i wolną, i którego jedynie masz obawiać się i czcić. Wola twoja oczyszczona od rdzy fatalizmu niechaj na przyszłość kroczy swobodnie i energicznie na drodze zasługi i postępu. Twierdzenia mędrców przypisujące gwiazdom wpływ na twoje losy, są kłamstwem i fałszem, przepowiednie astrologów bezecném

oszustwem, system umiejętności astronomicznych oparty na powadze uczonych jest czczém urojeniem.“

Jakiż to gieniusz odważył się wypowiedzieć te słowa prawdy? nie byłże to geniusz znakomitego naszego ziomka, który rzucając podwaliny dzisiejszych umiejętności astronomicznych, uregulował bieg gwiazd, wyzwolił wolność ludzką zpod wpływa astrologii, a tém samém postawił najwspanialszy pomnik dla ducha ludzkiego. Możemy śmiało powiedzieć, że Kopernik sam jeden więcéj uczynił dla postępu ludzkiego na drodze cywilizacyi niż cała rasa giermańska razem wzięta, która mimo światła nauki chrześciańskiéj, czynność i wolę swoję podporządkowała pod wyroki astrologii, tak, że powiedzieć można: Giermanie nie mogli zaszczepić pierwiastku wolności indywidualnéj na szczepie cywilizacyi, bo sami nie mieli własnéj woli, ale ulegali astrologom, którzy aż do chwili gdzie system Kopernika wytknął stałe prawa astronomii, tém byli dla ludów giermańskich, czém augurowie starożytności dla Greków i Rzymian, ministrami fatalnéj i ogłupiającéj potęgi, jeżeli nie fatalném narzędziem w rękach ambitników.

Dzisiaj, kiedy system Kopernika o mechanizmie ciał niebieskich stwierdzonym został nieustannémi po sobie następującemi odkryciami naukowemi, zdawać nam się może, że nic nie ma na świecie bardziéj pojedyńczego, łatwego i prostego, jak to co wielki mąż ten wypowiedział i udowodnił. Wszelako, jeżeli się przeniesiem myślą w ową epokę, w któréj wyszło wiekopomne dzieło Kopernika, w ową epokę niezaprzeczonego panowania błędu, w któréj uczeni równie jak i ludzie prości wierzyli w nieruchomość ziemi a ruchomość słońca — to łatwo pojmiemy zapał, na który napotykamy w dziełach Ossiandra, kardynała Schomberga, sławnego Tycho Bruhe, Flaviusa, Gessendego, Kepplera, Ramusa, Żorawskiego, Stadiusa, Rheinholda etc. etc., że pominę póżniejszych astronomów, o których wyżéj wspominałem, a którzy wierszem i prozą, stylem natchnienia i stylem ścisłéj matematycznéj nauki, wyrażają uwielbienie swoje dla potężnego gieniuszu, przezwyciężającego przesądy wiekowe, wznoszącego się ponad powagę kościoła i ustalonéj acz błędnéj nauki, walczącego z fałszywemi ideami i z wkorzenionemi przesądami, pokonywającego siłą woli i jeniuszu fałszywą teoryę opierającą się na powadze czternastowiekowego

i niezaprzeczonego posiadania kierownictwa rozumu ludzkiego, a co ważniejsza, na optyczném złudzeniu, które przedstawia oczom naszym nieruchome ciała niebieskie, jakby w nieustającym ruchu będące, ziemię zaś, nieustający ruch rotacyjny odbywającą, jakby stale i niewzruszenia na osi swéj osadzoną. Nie, zaprawdę, do zbudowania dzieła rzucającego fundamenta tak olbrzymiéj i radykalnéj rewolucyi naukowéj i społecznéj, wystarczyć lub naprowadzić nie może, ani prosty wypadek, ani traf losu, ani téż nawet szczęśliwe natchnienie ducha. Do tego potrzeba było więcéj niż natchnienia, bo gieniuszu i bezdennéj nauki; więcéj niż gieniuszu i nauki, bo niezłomnéj siły ducha i głębokiej wiary. Jakże téż olbrzymia i wspaniała jest postać Kopernika oświecona promieniem historyi i psychologii, przedstawiająca się potomności w całym blasku prawdy, piękna i cnoty, ale téż jakże smutne i wstrętne uczucie powstaje w nas, skoro napotykamy w sądach polskich historyków i krytyków paradoxa zmierzające do błędnego i poniżającego ocenienia charakteru męża dziejowéj i narodowéj sławy, paradoxa ścieśniające jednostronnem i cząstkowém zapatrywaniem się zakres zasług, które przyniosły całéj ludzkości nieocenioną korzyść, a Polsce niezrównaną sławę.

I tak, zkąd ten zarzut, przeciwko któremu protestuje świadectwo współczesnych, i życie bogobojne, cnotliwe i obywatelskich zasług pełne, jakoby Kopernik wstąpił w stan duchowny dla korzystania z protekcyj wuja, okoliczność, która przeszkadza uważać Kopernika za czysty, niepokalany charakter*). Podejrzenie to niczém nieusprawiedliwione, skandaliczne i w tajniki sumienia wdzierające się, moglibyśmy się spodziewać znaleść w inkwizycyjnym protokóle sędziego kryminalnego i to Niemca, ale nie w zdaniu historyka polskiego. Ale nie dość na tém. Podawszy w podejrzenie dobrą wiarę i szczerość religijnego powołania kanonika warmińskiego, krytyk raz na téj śliskiéj drodze hipotezy usiłującéj zaciemnić blask najczystszéj sławy, przedstawiwszy nam Kopernika jako człowieka bez czci i wiary, zaprzecza jego gieniuszowi charakteru polskiego, a tém samém Polsce odbiera jeden z najcenniejszych klejnotów z korony sławy i chwały narodo-

*) Obacz Dziennik Literacki z 26go czerwca 1866 r. str. 409. Mikołaj Kopernik.... K. Chłędowskiego.

wéj. Gieniusz Kopernika, powiada wyżéj cytowany krytyk, będący wynikiem owego prądu umysłowego (włosko-giermańsko—reformacyjnego) najwięcéj życia z włoskiéj zaczerpnął ziemi, Polska go tylko wypielęgnowała, a snać się przejęła ówczesnym duchem czasu, jeżeli potężny umysł mógł silne w niéj zapuścić korzenie, i tutaj się rozróść w olbrzymie drzewo.... a daléj kończy temi słowy: Jeżeli Dr. Frantz zowie go ojcem materyalistów, to nazwa ta rzeczywiście się Kopernikowi należy *).

A więc Kopernik jest człowiekiem chytrym i złéj wiary, kapłanem bez powołania, gieniuszem nie polskim ale włosko-giermańskim, ojcem materyalistów. W tych konkluzyach zgadza się pisarz polski z pastorem niemieckim!

Konkluzye te w polemiczném pisemku Dra Frantza **) nie zadziwiają nas bynajmniej, bo kto w 19 wieku, w brew najściśléj dowiedzionéj prawdzie utrzymuje, jako uczony, że system Kopernika jest najzupełniéj fałszywym, że jako przeciwny pismu świętemu stał się przyczyną bezdusznego mechanizmu, że w skutku tego systemu nowsza Astronomia stała się główną siedzibą materyalizmu, ten może jako pastor i Niemiec, nazwać Kopernika praojcem materializmu, geniuszem niepolskim, człowiekiem bez czci i bez wiary. Czy w polemiczném pisemku Dr. Frantz chciał dowieść swojéj ignoracyi czy téż biegłości w paradoksalnym sofizmie, nie nasza rzecz dochodzić, dość powiedzieć, że w piśmie swoim, okazuje się słabym nawet teologiem, albowiem twierdząc, że system Kopernika jest przeciwny pismu świętemu, dowodzi on, że wiadomości jego są spóźnione o trzy wieki, albowiem jeźli utrzymywano to zdanie w 16tym wieku, to wynikła z tąd dyskussia w świecie naukowym i religijnym, wyświeciła błędne zapatrywanie się na text pisma świętego, na korzyść systemu Kopernika, a nawet kościół katolicki stanął po jego stronie, albowiem wyrok indexu potępiający naukę Kopernika, nie tylko przez papieży ani przez żadne koncilium, nigdy potwierdzonym nie został, ale nadto,

**) Tamże str- 425.

*) *Die Pretensionen der Exacten Naturwissenschaften etc. etc. Dr Frantz. Nordhausen 1857.* str. 408.

papież Benedykt XIV. zniszczył ten wyrok, a system Kopernika stał się podstawą do układu kalendarza chrześciańskiego i świąt kościelnych.

Niemniej paradoksalnym jest zarzut uczyniony Kopernikowi przez pastora, a poczytany niemal za zasługę przez polskiego krytyka że był praojcem materyalizmu. Kopernik materyalistą! on, którego gieniusz nie mogąc znieść nauki przekrzywiającéj odwieczną mądrość Stwórcy, przeczuł, pojął, a olbrzymią nauką i niezmordowaną pracą doszedł, ogłosił i dowiódł, że skoro Bóg nie mógł stworzyć dzieła potwornego i przeciwieństwa pełnego, to odpowiedzialność za fałszywe tony odzywające się wśród ogólnéj harmonii wszechświata, spada na ułomność rozumu ludzkiego niepojmującego, lub fałszywie sobie tłumaczącego najdoskonalsze i najmędrsze prawa. Badając tę potworność mechanizmu niebieskiego, mówi Kopernik w wiekopomném dziele *(De revolutionibus orbium coelestium)* i ten brak w poszukiwaniach matematyków, dusza moja cierpiała na tém, że dotąd nie odkryto przyczyny niezaprzeczonéj ruchu gwiazd, który naszym zdaniem stworzonym został przez najmędrszego i najdoskonalszego mechanika. Czyż tak mówi sceptyk materyalista!? Czyż może być obwinionym o materyalizm ten który trzymając w ręku grom mający w perzynę obrócić ruiny fałszu i stawiając fundamenta świątyni prawdy, nie powiada w uniesieniu szłusznéj dumy: Oto jest system mój — ale korząc ducha przed Bogiem i pełen podziwu dla wielkości dzieła, pełen czci dla Stwórcy, mówi: Oto jest dzieło Boskie, dzieło największego i najdoskonalszego stworzyciela *(de Rev)*. Nie zaprawdę, podejrzywać dobrą wiarę i uczucia religijne męża, który dokazawszy tak wielkie dzieło, korzy rozum swój przed wszechmądrością stwórcy cudownego ustroju, które on zbadał, wytłumaczył i podziwia, to zadać samowolnie kłam słowom mędrca, loice, psychologii, faktom historycznym i doświadczeniu. Nazwano również Kopernika, ojcem sceptyków, bo on pierwszy zwątpił o ustalonéj powadze doktryny, przestał *jurare in verba magistri* i ufając w potęgę rozumu i nauki, zrzucił jarzmo panującego błędu, i sam wystąpił w obronie rozumu i prawdy. Ależ, jakże dalekim jest ten sceptycyzm naukowy, stanowiący

siłę i dodatność ludzką od sceptycyzmu materialistów, będącego słabą i odjemną stroną wygórowanéj cywilizacyi zachodniéj. Kopernik był zaprawdę sceptykiem powątpiewających o nieomylności naukowych twierdzeń niezgodnych z ideałem boskiej doskonałości, dlatego geniuszem prawdziwie polskim i polskością przejętym, — ale nie sceptykiem, na kopyto włosko niemieckie o Bogu i jego mądrości powątpiewającym; a taki jak Kopernika sceptycyzm nie ma nic wspólnego z materyalizmem ale się raczéj zwać może najczystszym i najszczytniejszym spirytualizmem. Jeżeli Kopernik oparł swój system na podstawie pozornie przeciwnej literze jednego ustępu z pisma świętego, to nie dla tego że nie wierzył; ale dla tego że wiara jego czysta, niezaciemniona mgłą nieuctwa przesądu i zabobonu, na żelaznéj pracy i jasnej wiedzy oparta, wskazała mu, że jeżeli są prawdy rozumem ludzkim niedocieczone z wyższych sfer objawienia byt twój czerpiące, to znowu są inne, które z woli Stwórcy, człowiek rozumem dociec może, a do których pracą dojść powinien, które zatem są skutkiem postępu, potem czoła okupionego, udziałem wiedzy i woli ludzkiej. Taka wiara to prawdziwa religijność, promienieją̨ca światłem prawdy i cnoty, taką posiadał Kopernik w najwyższym stopniu.

Mamy nadzieję, że wkrótce powołane i uzdolnione pióro, którego z historyków naszych, obdarzy literaturą ojczystą, kompletną biografią Kopernika, wskrzesi prawdziwą postać genialnego męża, rzucającego tyle blasku na chwałę ojczystą, i okaże nam go w całéj świetności cnoty i zasługi.

Powiedzieliśmy już wyżéj, że jedyném było zadaniem obecnéj naszéj pracy: wskazać zasługę Kopernika w rozwoju dziejowym cywilizacyi, dowieść jak bezpośredniém i pośredniém następstwem jego nauki było obalenie przesądów i zabobonów, wyzwolenie wolności ludzkiéj z pod wpływu pogańskiego fatum. Odkąd téż człowiek przestał wierzyć w oddziaływanie księżyca i gwiazd na swoje losy, stał on się panem swojéj woli i swoich czynności, co więcéj przekonał się, że te gwiazdy nie tylko żadnego wpływu na niego wywrzeć nie mogą, ale same ulegają konieczności, którą człowiek z góry obrachować i przewidzieć może. Myśli i rozumowi ludzkiemu nie stało już nic na zawadzie, a każde zagłębienie się w dziedzinę ducha uwieńczone

było nowém zwycięztwem, bo odkryciem świeżych prawd moralnych lub zgłębieniem niezbadanych dotąd tajników natury.

Nie będziemy się zatrzymywać nad ponętnym obrazem postępu nauk przyrodzonych dokonanym za pomocą dedukcyjnéj i indukcyjnéj metody Kopernika, nie będziemy szczegółowo rozbierać następstw otrzymanych przez swobodny rozwój woli i czynności ludźkich uwolnionych z pod jarzma starożytnego fatum, tę jednak uwagę zrobić musimy: że najznakomitszy postęp uwidocznił się szczególnie w dziedzinie materyalnéj. Zkąd przeważny nastąpić musiał kierunek ku materyalizmowi. Ale jeżeli Kopernikowi zawdzięczyć musimy uwolnienie woli i czynności ludzkiéj z pod jarzma przesądów, to jednak niewolno mu robić zarzutów za kierunek, jaki człowiek téj woli i czynności nadał. Dążenia ku materyalizmowi czyż mają przerzucić nas na stronę tych, którzy utrzymują, że cywilizacya i ludzkość zbliżają się do upadku? Postęp materyalny, przerabiający i podbijający potęgą ducha tęż materyę, czyż nie jest zarazem tryumfem ducha nad materyą? Przecież, im bardziéj myśl i czynność ludzka świadome swéj władzy i swojéj wolności pomnażają pracę, czém więcéj praca ta nosi na sobie piętno duchowego wykształcenia pracującego, tém wyżéj wnosi się naród w sfery wyższe ducha, a tylko harmonijny rozwój sił fizycznych, intelektualnych i moralnych stwarza ten porządek organiczny, który społeczności zabezpiecza prawa do wolności, a narodowi prawa do niepodległości. Z rozszerzeniem zakresu wiedzy ludzkiéj wzrasta także liczba pracowników, którzy z téj wiedzy korzystają.

Dzięki emancypacyi myśli ludzkiéj dokonanéj przez Kopernika, wiedza przestała być monopolem pewnych klas uprzywilejowanych, lecz stała się własnością całego narodu, przecisła się do najniższych warstw społeczeństwa. Skutkiem tego procesu różnice rodowe między ludźmi zaczęły znikać i wyrobił się dzisiejszy porządek społeczny oparty na równości i wolności wszystkich. Tym wielkim rezultatom gieniusza naszego rodaka tylko przyklasnąć możemy.

Zboczenie z naturalnéj i harmonijnéj drogi nastąpić może wtedy, gdy społeczność nie umie zachować równowagi między czynnikami: fizycznym, intelektualnym i moralnym, natenczas

albo nurza się w kałuży materyalizmu, albo buja po zwodniczych obłoczkach idealizmu.

Kopernik wytknął prawdziwą drogę postępowi, zdarł z oczów ludzkości zasłonę, która jéj zakrywała gwiazdę wolności, zerwał więzy, które myśl człowieka przykuwały do nieubłaganego fatum, teoryą i praktyką wykazał jakim sposobem człowiek powinien być wolnym i panem swojego losu; odpowiedzialność za kierunek jego nauki ciężyć téż musi na każdém indywiduum z osobna, na społeczności i całych narodach. Kopernikowi należy się tylko zasługa, że otworzył ludom bramę do postępu, cywilizacyi i wolności. Z tych to powodów tak dla nas jak i dla tych którzy badali i pojęli tę wielką postać historyczną, Kopernik jest owém wielkiem zjawiskiem, jakie od czasu do czasu opatrzność zsyła na ziemię, aby nowe tory wskazać wolności. Miejmy nadzieję, że Polska, która ten wielki gieniusz wydała, wykarmiła i wychowała, potrafi zużytkować nagromadzone skarby wiedzy i potęgi przez niego do bytu wywołane, aby zdobyć sobie napowrót prawa do wolności i niepodległości.

Leon Skorupka.

Kronika literacko-artystyczna.

(Ciąg dalszy.)

Zapisawszy w kronice dwie nowości sceny krakowskiéj, przechodzimy do księgarskich nowości.

Czasy Stanisława Augusta, historya ostatnich lat rzeczypospolitéj zajmuje dziś dziwnym wypadkiem, przeważną rolę w publikacyach literackich. Wydawnictwo p. Franciszka Trzecieskiego wydało przed miesiącem drugi tom Dziejów Polski XVIII i XIX wieku Henryka Schmitta, obejmujący czasy od 1763 do 1776, p. J. K. Żupański Pamiętnik anegdotyczny do Stanisława Augusta J. J. Kraszewskiego i Pamiętniki do tychże czasów przez jednego z posłów czteroletniego sejmu a Dr. Ernest Hermann kontynuator historyi Rossyi Starcla, który w 5 i 6 tomie téjże historyi w duchu nieprzychylnym w prawdzie ale z niemałym zasobem archiwalnego materyału traktował dzieje ostatnich lat rzeczypospolitéj, ogłasza świeżo: *Diplomatische Correspondenzen aus der Revolutionszeit 1791—1797 Gotha 1867)* rzucając niejedno światło na sprawę polską w owym czasie.

Rozpoczynamy przegląd tych publikacyi od książki p. Henryka Schmitta, stanowiącéj drugi tom Dziejów 18 i 19 wieku. Praca to obszerna, na materyałach biblioteki Czartotyskich w Paryżu oparta. Naukową nazwać jéj możemy, bo autor wspominając o rękopiśmiennych źródłach, nie cytuje ich wcale ani nie usprawiedliwia dopiskami swego przedstawienia rzeczy. Stał temu na zawadzie sam cel wydawnictwa, które popularne raczéj niż naukowe książki wydawać musi, aby odpowiedzieć swemu

celowi. O ile wiemy gotuje p. Henryk Schmitt historyę panowania Stanisława Augusta w badawczéj, naukowéj formie, która nam wykaże, jak z bogatego materyału korzystał. Do ukazania się jéj musimy przedstawienie dziejów Stanisława Augusta przez p. Henryka Schmitta, oceniać podług dzisiejszéj naszéj o tych czasach wiedzy.

A najprzód niech nam tu wolno będzie wypowiedzieć nasze zdanie, że jakąkolwiek jest książka o tak bliskich i żywo nas obchodzących czasach traktująca, jakakolwiek jéj tendencya i doktryna, zawsze jest pożyteczną i czytania godną, jeżeli autor starał się o nagromadzenie i uszykowanie obszernych i szczegółowych wiadomości, jeżeli te wiadomości podał z chronologiczną i pragmatyczną sumiennością. Polemizować z tendencyą, wykazać gdzie ona wprawdzie zaszkodziła jest rzeczą krytyki, spostrzedz właściwość autora, którego indywidualność rysuje się wybitnie w jego przedstawieniu rzeczy, a przyjąć od niego hojną ręką podane fakta, jest rzeczą czytelnika. Użyteczności i zasługi książce p. H. Schmitta nie odmawiamy, chociaż jesteśmy przeciwnikami jego teoryi historycznéj i jego przedstawienia rzeczy.

Pan Schmitt należy do pisarzy historycznych szkoły Moraczewskiego. Wychodząc z fałszywego przypuszczenia, że ideja narodowa a forma rządu tego narodu to jedno, że każda zmiana formy rządu jest spaczeniem idei narodowéj, że dzieje narodu są rozwinięciem jakiegoś naprzód postawionego syllogizmu, prowadzi p. Schmitt myśl zawartą w dziejach rzeczypospolitéj polskiéj J. Moraczewskiego, w czasy, do których poprzednik nie dociągnął, prowadzi ją z większym zasobem wiedzy i krytyki ale nie z mniejszém bałwochwalstwem dla ulubionéj premissy. Teorya ta filozoficznego niemieckiege początku, któréj i Lelewel hołdował, wiedzie p. Schmitta do subjektywizmu, że się znowu po niemiecku wyrazimy, w pisaniu dziejów: do subjektywizmu bardzo łatwo się tłumaczącego, bo juźcić posiadłszy raz sekret idei narodowéj, szuka jéj wszędzie i wszędzie zająć musi polemiczne względem jéj przeciwników w historyi stanowisko. Tym czasem ideja narodowa nie może się mieścić w téj albo owéj formie rządu, chociaż forma rządu jedna może być wypływem téj idei bardziéj, niż druga forma; ideja ta nie może być monopolem żadnego piszącego ani wyłącznym przywilejem tego albo owego człowieka w historyi. Są to abstrakcye nieprzydatne na nic. Zgodzimy się chętnie, że Słowianie polscy mieli od wieków przywiązane do gminowładztwa, ale czy można gminowładztwo nazwać ich ideją narodową? Gdyby nie nasze Bolesławy byliby Niemcy zjedli Słowian nadwiślańskich wraz z ich gminowładztwem. Otóż widzimy tu wychodzącą formę patryarchalno-monarchiczną z potrzeby i z okoliczności. Żeby Chrobry i Łokietek mieli skrzywić ideję narodu, twier-

dzić może tylko doktryner lub mistyk. Nie pomoże narodowi żadna ideja, jeżeli warunków materyalnych istnienia niewydobędzie. Niewydobyła ich z siebie Polska i upadła. Wydobędzie, to odżyje, mniejsza czy przez absolutyzm monarchiczny czy przez dyktaturę. Wtedy teoryjki nasze wydadzą się pigmejskiemi marzeniami, a naród silny i zorganizowany, nie będzie się bał o swoją ideję.

Z podobnéj fałszywéj premissy pochodzi sposób pisania dziejów p. Henryka Schmitta. Podobnie jak Moraczewski ma on wstręt wrodzony do każdego króla polskiego i do każdego afirmującego się za rządem człowieka w historyi naszéj, boć królestwo jest skrzywieniem gminowładztwa a każdy człowiek afirmujący się za władzą odpada z niesłychaną łatwością od idei narodowéj, tak subtelnie pojętéj, jak ją p. H. Schmitt pojmuje. Obstaje przy urządzeniach rzeczypospolitéj *quand même* i widzi zawsze sposób poprawy, a że tego sposobu, który dziś widzi nie chwycono się, potępia jednych, usprawiedliwia drugich. „Największą klęską rzeczy pospolitéj było niewątpliwie, mówi i tutaj o Augusta III czasach, że jéj narzucono króla niedołężnego, który nie mógł i nie umiał oprzeć rządów swoich na podstawie wzajemnego zaufania i miłości narodu, lub zjednać sobie cześć i poważanie ogółu przez sumienną troskliwość o dobro kraju. Tego zaś głównie potrzeba było do wytworzenia silnego rządu, który i wówczesnych stósunkach był możebnym przy środkach, jakiemi zawsze król rozrządzał.“ Zapatrywanie to stoi w rażącéj sprzeczności z zdaniem, wypowiedzianém w tomie 1 Dziejów 18 i 19 w. p. H. Schmitta: „Można wiele zwalać na niedołężność króla i na przewrotność ulubieńca jego Brühla; lecz największa część winy, spadnie zawsze na naród, który nie zważając na przestrogi swych światlejszych obywateli, wkraczał samochcąc prawie w przepaść ziejącą tuż pod jego nogami.“ Chcieć aby jeden człowiek za pomocą saméj miłości i zaufania wytworzył rząd silny — niemając innego środka, prócz tego, o jakim zapewne p. Schmitt myślał, tj. prawa dystrybucyi wakansów, środka, który w społeczeństwie zepsutém jest tylko środkiem do przyspieszenia zguby, chcieć, aby jeden człowiek pozostając w granicach prawa magicznym jakimś sposobem naprawił co zepsuły wieki, w okolicznościach, które jak najszybszego wymagały ratunku; przypuszczać, że taką powolną drogą byłaby się Polska może uratowała, jest niepojętym dla nas obłędem, wychodzącym z zupełnego braku poczucia rzeczywistości. Nie bronimy przez to Bryla i Augusta III ale przekonani jesteśmy, że nawet najdzielniejszy król, nawet taki Stefan Batory niepodołałby sam jeden, za pomocą drogi miłości i zaufania zadaniu, które było tak ogromném, ani mógł rozkładać pracy na długie lata, skoro lada rok mógł kataklizm przyprowadzić. Nie możemy więc przyjąć, iż ideja narodowa była monopolem tych ludzi,

którzy chcieli reformy, ale powolnéj, a pokazywali zawsze, że o téj reformie bardzo mało myśleli, albo tych którzy chcieli reformy nagłéj, w celu uratowania państwa. Ale musimy powiedzieć prozą, że naród przyszedł do tego zenitu anarchii, w którym musiał sobie utworzyć nową formę bytu lub zginąć jako polityczna jednostka, do tego zenitu bezprawia, z którego wyratować go mogła tylko uzurpacya jednych lub drugich, albo z którego wprost w przepaść niewoli stoczyć się musiał.

Dla wszystkich społeczeństw ludzkich jest jedno ludzkie prawo. Dla czegóż my się z pod tego prawa wyłamywać mamy? Społeczeństwo potrzebuje rządu i sprawiedliwości: niebyło tych dwóch warunków. Że Czartoryscy chcieli rządu, chociaż obyczajem wszystkich ambitnych tego świata siebie z sprawą identyfikowali, niepodobna zaprzeczyć; żeby przeciwnicy chcieli stanowczéj reformy pod względem rządu lub sprawiedliwości społecznéj niepodobna utrzymywać. Jeżeli Czartoryscy byli negacyą, przeciwnicy nie byli czémś więcéj, jak negacyą téj negacyi. Pan Henryk Schmitt charakteryzuje bardzo trafnie bezsilność i luźność tego stronnictwa (p. 18.), a przecież nie przestaje ono być jego faworytem, jego dzieckiem najukochańszém, traktowaném łagodnie nawet w tenczas, gdy woła do kraju Moskali. Dla czegóż ta parcyalność? Cóż go do niéj skłania? Jeżeli gwałty Czartoryskich, to moglibyśmy zacytować cały szereg gwałtów przeciwników. Jeżeli zwycięztwo Czartoryskich, toć były chwile kiedy ich dobra niszczono tak dobrze, jak dobra przeciwników. Ideja więc, oczywiście ideja, ależ czy Czartoryscy niemieli także idei, która miała daleko więcéj racyi? Znamy ich program, gdzież program drugi? Czy teorye wolności, czy teorya słabości rzeczypospolitéj, aby baczności sąsiadów niewzbudziła? Ależ to absurdum niechcieć kija w nadziei, że nieprzyjaciel niebędzie go używał. Czy memoryały pisane do Francyi a ogłoszone niedawno w Bibliotece Ossolińskich? Ależ wiemy już dzisiaj, jakie Choiseul i Paulmy mieli o nich mniemanie. Niemożna więc mieć ideowych faworytów w téj epoce, bo jeżeli Czartoryskim nie można przebaczyć przywołania Moskali, to przeciwnikom niemożna przebaczyć, że niemieli żadnego rozsądnego programu, prócz konserwatyzmu, któryby stawił czoło Czartoryskim. Któż z resztą nie wié z czasów Augusta III, że Czartoryscy stali w 1733 po stronie Leszczyńskiego, że Gryf Branicki stał po stronie Augusta: pierwsi przeciw Moskalom, drudzy z Moskalami. Wypływem anarchii są uzurpatorstwa zbawienia, a miarą ich wartości politycznéj jest ich rozum polityczny.

Otóż trudno zwalać na Czartoryskich całéj odpowiedzialności za wszystko złe, które za panowania Stanisława Augusta Polskę dotknęło. Wpływ Mokali na sprawy polskie nie datował się od czasów Czartoryskich, a nie ulega wątpliwości, że byliby się czynnie wmieszali do bezkrólewia, chociażby ich Czartoryscy

nie wołali, a kto wie czyby nie byli znaleźli poparcia w stronnictwie, które potém konfederacyę radomską utworzyło. Temu zaprzeczyć niepodobna, że Czartoryscy znali nieszczerość pomocy rosyjskiéj, że pragnęli się od niéj uwolnić, że czekali na moment aby zawiązać inne stósunki dyplomatyczne, a zmacniając kraj wewnątrz, przygotować go do wystąpienia przeciwko Moskwie. Dla tego nie przyjęli proponowanego przez dwór rosyjski zaczepno-odpornego traktatu, dla tego stanęli twardo w sprawie dyssydentów. Przyznaje im p. H. Schmitt te zamiary na str. 110 i rozgrzesza od zdrady kraju ale ta łaska nie trwa długo: polityka Czartoryskich antimoskiewska, nie obowiązuje go, jak nie obowiązywała Radomian. Tu jednakże, gdybyśmy chcieli bawić się w kryminacye, moglibyśmy zapytać: Kto więcéj winien? Czy ten, co sprowadził Moskali i dosyć zręcznie wyzbywał się ich napowrót, co czynił na polu dyplomatyczném i administracyjném wszystko, aby wytworzyć siłę i samodzielność, czyli ten, który widząc to dążenie, nie poparł go, osobiste swoje poświęcając urazy, ale wezwał przeciw niemu tych samych Moskali, aby je obalili. Jeżeli pierwszy miał cel ogólny, drugi nie miał tylko osobisty, jeżeli pierwszy zgrzeszył wołając Moskwy na pomoc, to drugi zgrzeszył więcéj — bo widział na Czartoryskich jasny przykład, że Moskwa własne nie cudze popiera interesa. W jakimże to kodeksie moralnym czy politycznym jest zapisano, że grzech poprzednika rozgrzesza następcę? Czyliż przeciwnie nie większym jest grzechem wpadać w winę taką, któréj zgubne skutki najbliższa przeszłość rozświeciła?

Może więc p. H. Schmitt potępić Czartoryskich, ale niechże wymierzy równą Radomianom karę. Jeżeli do Czartoryskich aplikuje axiomat, że błąd polityczny staje się zbrodnią, niechże go i dla głupoty Radomian nie szczędzi.

Nie tu miejsce poddawać dzieło p. H. Schmitta wszechstronnemu i wyczerpującemu rozbiorowi. Zwróciwszy uwagę na stronniczość jego, z owego fałszywego pojmowania idei narodowéj płynącą, poprzestaniemy na szczegółowéj krytyce kilku ustępów, a mianowicie sejmu r. 1766 i konfederacyi radomskiéj. Nie mamy w ręku materyałów, jakie miał p. H. Schmitt, ale i owe materyały nie obalą tego, co na źródłach rękopiśmiennych i drukach oparci wiedzieć możemy, dopóki się z nimi nie rozprawią. Téj krytycznéj rozprawy nie ma, wolno nam zatém kwestyonować prawdę przedstawienia.

Otóż p. Henryk Schmitt, zdaniem naszém przedstawił w niewłaściwém świetle sejm Czaplica 1766 roku. Opisuje on szczegółowo, że król i Czartoryscy czynili wszystko, aby zyskać dla siebie zaufanie, że sprzeciwianiem się żądaniom dyssydentów, popieranym przez dwory berliński i petersburski, chcieli przyjść do popularności i do przeprowadzenia dalszych reform. Niepodobna temu krokowi odmówić polityczności. Nie skutkował on bo

opozycya z Sołtykiem na czele monopolizowała dla siebie obronę wiary, i łączyła ją z chęcią obalenia dzieła reformy. Wiara i *liberum veto* stała u niéj na jednym planie. Pomimo tego była opozycya w mniejszości, a izba byłaby przyjęła propozycye królewskie *pluralitatis* w materyałach skarbowych. Wtedy rozpoczęły się jak p. Schmitt sam pobieżnie wspomina, konszachty opozycyi z posłami: pruskim i rosyjskim. Dla czegóż to p. Schmitt więcéj o nich nie wspomniał, chociaż oczywiste miał na nie dowody, skoro porażka królewska dokonała się tylko za pomocą przerzucenia się Repnina na stronę opozycyi? Jakże nam wytłómaczy, że posłowie, którzy byli przeważnie królewskimi, znaleźli się na stronie przeciwnéj i zniszczyli konfederacyą sejmu 1764 roku?

W Ssołowiewa historyi „upadku Polski“ znajdujemy pod tym względem stanowczą wskazówkę. Dnia 16 października poséła carowa instrukcyę Repninowi: „Jeżeli sprawa dyssydentów nie będzie mogła dojść w stadyum negocyacyi formalnéj, jeżeli zniszczenie téj całéj nadziei przypisać będzie trzeba podstępności starych Czartoryskich, wtedy wytężyć należy wszelkie siły ku złamania konfederacyi sejmowéj roku 1764, wtedy trzeba wejść w stósunki z rywalami Czartoryskich.“ Uczynił to Repnin za odebraniem instrukcyi. „Ambasador moskiewski — pisze korespondent w listach z r. 1763 i 1766 (Poznań 1846) — wchodził, jak wiadomo, w układy z biskupem krakowskim.“ W obozie królewskim rozpoczęło się brzydkie zbiegostwo, wywołane odwróceniem łaski ambasadorskiéj. Dnia 11 listopada podaje Benoit i Repnin noty za dyssydentami i *liberum veto*, którą to ostatnią okoliczność zbywa p. Schmitt: „prócz tego żądano pojaśnienia ustaw wątpliwych 1764!“ Po takiéj premisie inaczéj trochę, przyzna p. H. Schmitt, wydawać się będzie wniosek Wielhorskiego (20 listopada) żądający przywrócenia wolnego głosu a motywowany rozumowaniem, że Polska powinna być słabą, bo mocną sąsiedzi rozszarpią. !

Inaczéj przeto wyglądają sesye 21 i 22 listopada, które stanowiły o walnéj porażce Czartoryskich i króla. Król podawał deklaracyę dworów za dyssydentami i *liberum veto*, żądając poparcia swéj opozycyi przeciw Moskwie. Król pytał się narodu: Pójdziesz ze mną? ja stanę przeciw żądaniom dyssydentów, ty stań przeciw przywróceniu nierządu. Postępowanie takie było godne i uczciwe, jak zacnemi były usta kanclerza Zamojskiego, które je wygłaszały. Cóż czyni izba? Izba nie pozwala na czytanie deklaracyi dworów, stronnicy bezrządu żądają projektu Wielhorskiego, ubezpieczającego głos wolny. Cóż znaczy podobne niepozwalanie? Oczewiście to tylko, że odrzucano wyciągniętą przez króla rękę, że nie chciano reformy ani ofiarowanego przez króla oporu w sprawie dyssydentów. Wtedy stronnicy i przeciwnicy królewscy wołają na Sołtyka, aby podniósł swój projekt przeciw dyssyden-

tom, a to z przeciwnych powodów. Przeciwnicy chcą, aby zdemaskować króla projektem Sołtyka, stronnicy, aby zdemaskować Sołtyka wdającego się w układy z Repninem. Sołtyk przyparty do ściany podaje projekt z „obosieczną“ ostrożną mową. Nazajutrz dopiero występuje z mową, w któréj między innemi ten znajdujemy ustęp: „Żebym się zaś usprawiedliwił przed Bogiem, kościołem i wami prześwietne stany, że nie byłem, nie jestem, ani być myślę obmierzłym Bogu i ludziom hipokrytą, wiarę na pozór tylko do innych dalekich od wiary względów i zamysłów biorącym, albo w pierwiastkowéj ducha gorącości ostygłym przyjmijcie w zastaw méj wierności publiczne, które z gruntu duszy wylewam zaklęcie.... *). Kto się usprawiedliwia tak gorąco, temu coś zarzucać musiano, kto powtarza nawet wyrażenia mów poprzednich (mianowicie mowy na 6 sesyi sejmowéj), temu zależy na tém, aby stałość zasadzie raz wypowiedzianéj wszystkich w oczy uderzyła. „Pochlebiano sobie, pisze korespondent z Warszawy (w cytowanych listach s. 122), że biskup krakowski wpadnie w zasadzkę, czy będzie za projektem (własnym), czy będzie przeciw niemu.“ Jeżeli postąpienie Sołtyka w téj sprawie pokazuje wprost, że szczerze do wiary przywiązany, był zresztą namiętnym przeciwnikiem króla, że z Moskalami grał grę niebezpieczną, to postępowanie króla, jeżeli gdzie, to tutaj nosi na sobie charakter szczerości, która wszakże najgorsze miała dlań skutki.

Skutek sejmu najlepiéj nas o stanie rzeczy poucza. Król i Czartoryscy pod naciskiem opozycyi i Repnina zrzekają się konfederacyi, sprawa dyssydentów staje na drugim planie. Ambasador wywiązał się co do słowa z instrukcyi. „Muszę donieść, że załatwienie kwestyi dyssydentów przechodzi granice możności tak króla jak Czartoryskich. Najlepszym dowodem jest na to zniszczenie *pluralitatis*, któremu się wczoraj poddali. Niezawodną jest rzeczą, że im *pluralitas* była droższą i potrzebniejszą niż cokolwiek, a przecież wyrzekli się téj najdroższéj rzeczy, ujrzawszy otwierającą się pod nogami otchłań.“ Depeszę tę wysyła Repnin 22 listopada, po zupełnéj króla i Czartoryskich porażce. Czegoż ona dowodem, jeżeli nie owego nieszczęsnego kółka błędnego, w którym się sprawy publiczne przez używanie pomocy obcéj obracały, które przerwać można było tylko obopólném porozumieniem, jakiemu ambicya i egoizm ciągle na przeszkodzie stawały. Król i Czartoryscy wyciągający rękę do narodu i wzywający go do oporu, musieli przed Repninem okazywać dobre względem dyssydentów chęci, opozycya przeciwna dyssydentom nie wahała się wypowiedzieć słowa za obaleniem reform, pomimo, że Moskale i Prusacy za nim przemawiali. Brak dobréj wiary obopólnéj dochodził do takiego stopnia, że nienawiść podawała to jednych to drugich w ręce nieprzyjaciela.

*) Dyaryusz 1766 niepaginowany, arkusz *u*.

Jeżeli p. Schmitt w przedstawieniu sejmu 1766 starał się ile możności zatrzeć winę stronnictwa patryotycznego (?) wolności szlacheckiéj, które nie cofnęło się przed poparciem Moskwy, to i w opisaniu konfederacyi radomskiéj łagodnym jest dla tych, którzy się obałamucić dali, a cały nacisk kładzie na to, że król i Czartoryscy o wszystkiem wiedzieli i wszystko aprobowali. Mając Ssołowiewa pod ręką, przemilcza starannie, że Czartoryscy odmówili załatwienia kwestyi dyssydentów w myśl dworów, o czém tenże Sołowiew wyraźnie mówi a co było walną przyczyną przerzucenia się Repnina na stronę, z którą już podczas sejmu 1766 r. znosić się począł. O robotach Repnina mógł wiedzieć król i Czartoryscy, chociażby się sam Repnin do nich nie przyznawał, boć działy się przecie pod bokiem ich w Warszawie, gdzie w lutym 1768 naczelnicy opozycyi układali *gravamina* do przesłania carowéj. Nie ma przyczyny poczytywać im tego za grzech, bo czyliż po ostatnich doświadczeniach r. 1766 nawet wykrycie dwulicowości Repnina byłoby się na co przydało? Podoski, ajent Repnina, obiecywał detronizacyę, stronnictwo saskie złowiło się na tę wędę: czyż byłby król wstrzymał od obłędu, gdyby był wyznał, że mu Repnin koronę zapewnia w cztérech ścianach gabinetu? Jeżeli cała owa opozycya leciała na oślep w ramiona Rosyi, czyliż król i Czartoryscy mądrzejsi politycznie od téj opozycyi, nie mieli obowiązku wytrwać na stanowisku, gdy po drugiéj stronie bezgraniczne panowało głupstwo? Wiedzieć o rzeczy jakiéjś, rzeczy, która wprost przeciw nam jest wymierzoną, nie jest przecie jedno, co być wspólnikiem i współdziałaczem téj rzeczy. Liche to więc usprawiedliwienie Radomian, tém lichsze, że oni to mieli przeprowadzić to, czego już nawet król i Czartoryscy przeprowadzić nie chcieli. Pomiędzy konferencyą ową 3 maja, którą p. Schmitt cytuje a końcem sejmu 1766 jest sześć miesięcy: w tych sześciu miesiącach widzimy po jednéj stronie ich porażkę polityczną i opór Repninowi, po drugiéj wedle p. Schmitta zupełne z Moskwą porozumienie i zgodę na robotę konfederacyi, ale czemuż p. Schmitt nie uczcił jednem słowem oporu, z którego owa konfederacya wyszła, czemu nie chciał wyraźnie odznaczyć, że wszystko, co Repnin po stanowczéj odpowiedzi Czartoryskich przedsiębrał, było batem ukręconym na ich skórę a smagającym ich dopóty, dopóki się nie poddali. Mówiąc zaś terminami prawnemi król Stanisław August acz narzucony przez moskiewską przemoc, był uznanym królem a jako taki nie miał prawa i obowiązku abdykować przed konfederacyą przeciwko niemu się tworzącą, dla tego, że Repnim oszukiwał tę konfederacyą, bo czyż taka konfederacya zapewniała Polsce takie bodaj warunki, jakie jego i Czartoryskich zdolność polityczna zapewnić mogły?

Poprzestajemy na tych dwóch wypomnieniach stronniczości p. H. Schmitta, kończąc zdaniem naszém gdzieindziéj wypowiedzianém, że jeżeli Czartoryscy zbłądzili opierając się na Moskwie,

to przynajmnéj chcieli rządu i reformy, przeciwnicy nie chcieli nic, prócz zemsty i swawoli. Takiemi racyami bytu stronnictwo stać nie może a przynajmniéj nic zbudować nie może.

Gorliwy nakładca p. J. K. Żupański wystąpił około nowego roku z kilkoma publikacyami. Do czasów Stanisława Augusta odnoszą się dwie: Pamiętnik anegdotyczny wydany przez J. J. Kraszewskiego i Pamiętnik posła sejmu cztéroletniego. Pamiętnik anegdotyczny jest zbiorem krótszych i dłuższych wspomnień charakterystycznych o wybitniejszych figurach epoki spisanych, jak o tém wydawca w przedmowie wiadomość podaje, przez Cieszkowskiego, podolskiego szlachcica owych czasów. Wartość tych zapisków biograficznych rozmaita, jedne mało nowych podają rzeczy, drugie mieszczą liczne charakterystyczne rysy osób i wieku. Najgorzéj wypadły rysunki znanych historycznych osobistości, nie wyczerpujące tego, co o nich powiedzieć można a często błędne w datach i szczegółach; najlepiéj biografie takiego Józefa hrabi Gozdzkiego i Karoliny z Gozdzkich, których autor znał widać bliżéj i dokładniéj. O Kołłątaju i spisku Gorzkowskiego podaje autor niepochlebne dla pierwszego szczegóły, które bezstronna historya do właściwych zredukuje rozmiarów, aczkolwiek wątpimy mocno, aby nawet ta redukcya na korzyść Kołłątaja wypadła.

O pamiętniku posła wielkiego sejmu nie wiele mamy do powiedzenia. Obejmuje on rys panowania Stanisława Augusta, bez ścisłości w opowiadaniu, bez dat jak zwykle pamiętniki owych czasów. Spodziewaliśmy się, że sejm czteroletni znajdzie w opisie wypadków panowania tego króla obszerniejsze miejsce, ale spotkał nas zawód, bo sejm czteroletni traktowanym jest w tenże sam sposób. Zapatrywanie się na rzeczy cechuje przyjaciela konstytucyi 3 maja i reformy, ale ciesząc się tym dobrym jego kierunkiem, smucić nam się przychodzi, że w pamiętniku tak mało okazał chęci odsłonięcia szczegółów i osób, na które patrzał, że poprzestawał na ogólnéj charakterystyce stronnictw, że pisał, jakby był dalekim od widowni politycznéj. Ciekawém jest owe podsłuchane przez autora plany Branickiego na zjeździe Kaniowskim (p. 86) trafną charakterystyka stronnictwa potemkinowskiego (p. 111) przeszkadzającego pod płaszczykiem krzykliwego patryotyzmu robotom sejmu, ale jeżeli nam do ogólnéj charakterystyki epoki jeden jeszcze przybywa świadek, żałować przychodzi, że ten świadek tak w ogólnikach się zamknął. Nie inna téż przyczyna, że niepodobna z tekstu dojść nazwiska autora, niepodobna pochwycić jego indywidualności.

Przegląd nowych materyałów i opracowań dziejów 18 wieku kończymy wspomnieniem wydanéj świeżo p. E. Hermana korespondencyi dyplomatycznéj z epoki rewolucyjnéj. Wymaga ona obszernego i szczegółowego rozbioru, pojaśnia bowiem głównie sprawy wschodnio-europejskie od r. 1791 do 1797 a drugiemu i

trzeciemu rozbiorowi Polski nie mało dodaje światła. Szczupłe ramy kroniki nie pozwalają zająć się nam wynotowaniem nowych tych szczegółów dla naszéj wiedzy historycznéj. Do najciekawszych nowości należą listy Buchholza z Grodna podczas ostatniego sejmu rozbiorowego pisane. Wściekłość ziejąca z listów ambasadora nie zna granic. „Wojewoda Walewski (jeden z otumanionych Targowiczanów) wice-marszałek konfederacyi, pisze Buchholz 18 kwietnia, stawia Rosyi wszelkie możebne zapory (niestety, za późno!). My skonfiskujemy dobra wszystkich emigrantów, podajemy członków do rady i przygotowujemy same takie materye, które Walewskiego do ostateczności przyprowadzą: jeżeli się sprzeciwi, każemy go porwać i uwieść wojsku rosyjskiemu.“ Po odsunięciu Walewskiego i S. Rzewuskiego z konfederackiéj rady, pisze Buchholz: Gdyby konfederacya nie była ustąpiła, bylibyśmy tych panów posłali na Syberyą a Polskę zalali wojną.“

Wracając do publikacyi p. Zupańskiego, zwracamy uwagę na piękne wydanie Maryi Malczewskiego z illustracyami Zaleskiego. Druk, papier, wykonanie rycin, poprawność tekstu, nic niepozostawiają do życzenia, a ozdobne wydanie staje godnie obok zagranicznych galanteryi literackich tego rodzaju. W szeregu dwunastu obrazków p. Zaleskiego, pięknie wykonanych, podnosimy Kozaka do słów:

Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz Kozacze

Maryę klęczącą, wyjazd na wyprawę starego klucznika między maskami, Wacława goniącego do lubéj, scenę cmętarną, w których duch poematu pięknie się odźwierciadlił. Mniéj zgadzamy się z wojewodą, z miecznikiem i córką, z Maryą i Wacławem, najmniéj zaś z Wacławem przy trupie żony. Najdrastyczniejsza chwila poematu jest niezawodnie bardzo dla illustratora ponętną ale i niebezpieczną; choćby dla tego, że nie wszystko da się wymalować, co się da opisać. Wypowiadając szczerze nasze zdanie o wydaniu Maryi, spodziewamy się, że nie jednego zbierze ochota sprawdzić je na saméj publikacyi. Hazardowne to przedsięwzięcie, ani słowa, ale jeżeli pomimo biedy, stać nas w dzisiejszym karnawale na nie jeden wybryk polskiego rezonu, to i p. Żupański niepowinien rozpaczać nad nakładem, który kosztuje wprawdzie 15 talarów, ale w pięknéj sukience podaje Maryę Malczewskiego.

Skoro mowa o pięknych wydaniach, nie możemy pominąć krakowskiego: „Modlitwy ś. Kazimierza Jagiellończyka do Najś. Panny“ dokonanego staraniem hr. Przezdzieckiego. Wydanie to zdobi chromolitografia wykonana podług najstarszego obrazu Kazimierza Jagiellończyka w Krośnie i trzy tablice paleograficzne. Hymn: *Omni die* przypisywanym był jak wiadomo ś. Kazimierzowi. Hr. Przezdziecki czyniąc poszukiwania archiwalne, doszedł do rękopismów tegoż hymnu z XIV. wieku, a nareszcie autografu znajdującego się w Paryżu z XII. wieku, i windykował autor-

stwo hymnu dla św. Bernarda Klarawalleńskiego. W drugiéj części dziełka znajdujemy tekst hymnu, noszącego tytuł: *Invocatio divinae sapientiae in laudem perpetuae virginis Mariae.*

Na polu belletrystycznem spotykamy się z świeżą w Lipsku wyszłą powieścią p. t. Młodzi i starzy. Mieścimy ją między nowościami krakowskiemi, bo dzieje się cała w naszém mieście, a pisana w Paryżu 1860 roku, traktuje między innemi o fekelcugu dla Smolki i delegacyi wiedeńskiéj, która jak wiadomo pierwszych dni stycznia 1861 w Wiedniu bawiła. Rozpiszemy się o niéj obszerniéj, bo nie mamy zwyczaju milczeć o objawach czy to literackich, czy politycznych, które dla społeczeństwa i narodu szkodliwemi być mogą. Rozpiszemy się bez żółci i gniewu, bo żółci i gniewu dosyć już w saméj powieści, bo przyznajemy chętnie prawdziwy jéj autorowi talent i radzibyśmy chętnie, aby herostratyczną nie szedł drogą.

Autor „Młodych i starych" podjął się w swojéj powieści przedstawić stan społeczeństwa krakowskiego między rokiem 1858 a 1861. Powieść jego jest czysto lokalną, krakowską powieścią, ciągle słyszymy o Krakowie, widzimy piękne jego okolic obrazki, chodzimy po rynku, ulicy św. Anny i innych ulicach, Kleparzu i Kazimierzu, odwiedzamy prześliczne nasze Bielany. Przesuwają się przed nami sceny z życia młodzieży uniwersyteckiéj, obrazy jéj ruchu politycznego, sprawa adresu o język polski, udział w demonstracyi dla Smolki, w końcu zaś perspektywa na wypadki lat następnych. Obok tych scen dwa stoją światy, świat populacyi krakowskiéj warstw niższych i świat salonów, napełnionych książętami, hrabiami, baronami i szlachtą.

Pomimo tylu lokalnych a nawet historycznych szczegółów musieliśmy sobie powtarzać, że się rzecz dzieje w Krakowie a to z kilku przyczyn.

Wiedzieliśmy wprawdzie, że w Krakowie dużo jest nędzy, że Kraków miał oddawna przyciągającą siłę dla dziadów — ale myśleliśmy zawsze, że to się dzieje z przyczyny istnienia licznych zakładów dobroczynnych i antiekonomicznéj zasady chętnego dawania jałmużny — wiedzieliśmy także, że w Krakowie dużo jest karmazynów, ale żeby mieli być samemi łotrami, tegośmy przypuszczać nie mogli. Nie mogliśmy przypuszczać, że w Krakowie trzeba być synem złodzieja, aby zostać porządnym człowiekiem, a dosyć być hrabią, aby wyjść na złodzieja!

Przyrzekamy autorowi, że to ostatni żart, którego sobie pozwalamy. Będziemy z nim mówić otwarcie, szczerze, groźnie! Powiemy mu, że on pierwszy napisał w Polsce powieść, która wiedzie do absolutnéj negacyi społeczeństwa, napisał ją, nie wiedząc może sam, że strzelił do własnéj stodoły.

Rozpocznijmy od streszczenia: Bohater powieści Leon, syn złodzieja zwanego Żelaznym, zawdzięcza opatrznemu przypadko-

wi, że dostawszy się do domu przytułku i pracy, spotkał się tam z człowiekiem wyższym, którego przewrotność ludzka naraziła na pozory i na karę za zbrodnię złodziejstwa. Jest to Zygmunt, guwerner w domu księcia Ireneusza. Rozmawiając z guwernerem bardzo żywo, wsunął ks. Ireneusz dwa banktoty tysiącoreńskowe do kamizelki, a nie wiedząc o tém, posądził o złodziejstwo Zygmunta, gdy banknotów na biórku znaleść nie mógł. Zygmunt dostał się do kryminału. Książe znalazł potém owe banknoty ale się nie przyznał, bo go wstyd było. Owoż ten Zygmunt, którego zbrodniczy książe Ireneusz skazał na życie bez sławy, zajął się wychowaniem złodziejskiego dziecka a pchnąwszy go raz na drogę nauki i pracy, został kamedułą na Bielanach. Leon dając lekcye utrzymuje się własną pracą. Uczy on między innemi hrabiankę Helenę Zatorską literatury polskiéj — miłość się wszczyna, ale Leon jéj nie wyznaje pomimo skłonności panny. Widząc co się święci, usuwa się nawet, ale panna choruje, więdnie. Ojciec, hrabia Zatorski za radą lekarza idzie do Leona, czyni zrazu wyrzuty, przekonywa się, że Leon panny nie bałamucił, prosi więc, aby chorą odwiedzał i obecnością swoją pomógł do jéj wyzdrowienia. Leon trwa w postanowieniu ukrywania miłości, panuje nad sobą, ale hrabia pozyskany jego zaletami, przekonany jego wymownie głoszonemi opiniami, gotów już przyzwolić na związek. Wtedy wykrywa się, że Żelazny jest ojcem Leona; Leon nie wypiera się ojca, usuwa się odstępując narzeczoną swojemu koledze Emilowi. Obok tego wątku mamy inne, zręcznie z główną akcyą połączone. Kolegą Leona jest Wasyl, Rusin, pogardzony i podejrzywany przez współuczniów, dobrodziej biednych węglarzy krakowskich, medyk. Drugim jest Żyd Izaak, który obrażony, że go chrześciańscy współucznie za jakąś awanturę z księciem z balu wyrzucili, znienawidza naród polski i zaczyna wracać do niemieczczyzny. Trzecim jest Emil, syn szlachecki zacniejszego od innych hrabiów charakteru, ale słaby, niepochopny do pracy a skłonny do podejrzeń. Obok księcia Ireneusza, znajdujemy w *haute voleé* barona, który nastawia sidła na biedne dziewczęta, hrabiego Edmunda, który z pistoletem w ręku żąda pieniędzy, panią Herminię, która jest Putyfarową Leona, księżnę Ireneuszową, dewotkę skłonną do inkwizycyi świętéj i t. p.

Do czegóż to wszystko prowadzi? Oto prowadzi do podstawnéj myśli autora, streszczonéj w tytule antytezą: Młodzi i Starzy. Społeczeństwo krakowskie a więc i polskie dzieli się na młodych i starych. „Starość nie zawsze jest wynikiem wieku, mówi autor, szczególniéj tam, gdzie się patrzy na ducha a my mówimy o starości ducha. Dwa są znamiona starości: Nie lubi zbytniego ruchu, i chwali to, co było; brak zapału, za wiele rozsądku, to przyprawy starzejącego się ducha. U nas tak zwani starzy, zawsze pragnęli tego, co było dobre, ale przed kilkudziesięciu latami. Młodymi byli członkowie czteroletniego

sejmu, starymi Targowica; młodzi zrobili rewolucyę w 30 roku, starzy ją zwichnęli!“ W rzeczywistości, t. j. w powieści która zastępuje rzeczywistość, inaczéj wygląda antyteza młodych i starych. Młodzi to Leon, Izaak, Wasyl, węglarze i cały świat nie mający szlacheckich przodków; starymi są wszyscy, którzy przypadkowo z szlacheckiéj urodzili się rodziny. Dosyć jest być szlachcicem, aby niemódz dobrze radzić o Ojczyznie, aby jeżeli nie zdrajcą, być przynajmniéj odstępcą i szkodliwym sprawie. Jedyna droga zbawienia, poddać się komendzie młodych, ale i ta droga zamknięta, bo fatalizm krwi przeszkadza, nie pozwala na poprawę!.... Wszystkiemu co się złego dzieje w społeczeństwie, winni w powieści starzy; panuje nędza między uboższą warstwą, wina to bogatych, istnieją złodzieje i żydzi, którzy do złodziejstwa pomagają: wina bogatych; słowem, co cokolwiek się złego stało i stać może, przyczyny szukać trzeba w stanie społeczeństwa, która się dzieli na herbowych i nie herbowych, na ludzi mających sytuacyę i nie mających sytuacyi, na owych mistycznych starych i młodych.

Autorze „młodych i starych“ do czegóż to wszystko? Z takich że to premiss i wyobrażeń chcesz wyprowadzić ruch młodzieży od r. 1861/3 na ziemi polskiéj? Taką racyą dać bohaterom i męczennikom tego ruchu? Za taką ideję każesz ginąć dzieciom krakowskim pod murami Miechowa, na polach Grochowisk i Kobylanki? Źle im służysz zaprawdę, bo oni nie takiéj idei życie poświęcili. Broniłem was i ich żeście nie wychodzili z idei socyalnéj, że kierowała wami miłość a nie nienawiść, i nie żałuję tego, przypisywałem pełnoletnim winę małoletnich i przypisuję ją dotąd, ale jeżeli tym małoletnim taką piszesz apologią, świadczę się ich duchami, że im źle służysz, że uwłaczasz pamięci zmarłych!

Gdzie twoje prawo proskrybowania jednych a wynoszenia do steru społeczeństwa i narodu drugich? Gdzie prawo wyroku, że ci, którym przeszłość historyczne przekazała wspomnienia, stracili przez przechowywanie tych wspomnień słowo o społeczeństwie? Gdzie prawo zwalania wszystkich ujemnych stron społeczeństwa na barki tych, którzy mają znaczenie i majątek? Gdzie prawo wyroku, że dosyć jest być czémś w tém społeczeństwie, aby dlań być szkodliwym, aby go nie kochać! Gdzie prawo sponiewierania kościoła, sług kościoła, szafarzy nauki, historycznych imion, powag pracy i naturalnego układu społeczeństwa?

Oczywiście w ujemnych stronach tego wszystkiego? a w doskonałości przeciwnéj strony!

Autorze „młodych i starych“ czy możesz powiedzieć sumiennie, żeś zbadał te ujemne strony, że je znasz, żeś je dobrze i trafnie przedstawił? Możesz powiedzieć o sobie i o twoich przyjaciołach, że dorośliście pracą, cierpieniem, doświadczeniem,

miłością kraju, abstrakcyą od osobistych uraz do téj wyżyny, abyście mogli nad spółeczeństwem złamać laskę sądu i powiedzieć: Od nas zacznie się przyszła epoka! Czy znacie tak dobrze przeszłość tego narodu, czy poświęciliście badaniu beznamiętnemu jego dzisiejszego stanu dosyć czasu, czy rozglądnęliście się po horyzoncie dosyć trzeźwo, aby to powiedzieć! Jeżeli kochacie Chrystusa i jego świętą naukę, jak to wielokrotnie w powieści czytam, czy nie drzycie w głębi serca waszego przed odpowiedzialnością, którą takim słowem na siebie bierzecie? Czy was nie przeraża to oddalenie od starych, ta potrzeba negacyi tylu serc, tylu głów, chociaż ją głuszycie towarzystwem ludzi nie tak daleko, jak wy sięgających, ludzi garnących się do was dla waszych teoryi socyalnych i politycznych?

Mieliśmy demokratów i arystokratów w r. 1848, białych i czerwonych w r. 1863, obecnie mamy młodych i starych. Rzecz bardzo naturalna, bo teoryom demokratycznym nikt nie przeczy, są one dziś oficyalném wyznaniem wiary każdego; czerwoni jesteśmy wszyscy, bo nas cały ocean krwi bratniéj oblał, zacieramy więc w sobie rysy twarzy i macamy pulsu, jaka tam krew bije, młoda czy stara. A przecież wszyscy pochodzimy od Adama i krwi młodéj nie ma na świecie!

Pozwól więc, Autorze Młodych i Starych, że ja po swojemu, dam ci obraz spółeczeństwa. Nie mogę go dzielić na młodych i starych, bo takiego podziału nie było i nie będzie na świecie. Nie podzielę go na arystokratów i demokratów, bo arystokracya rodowa nie daje żadnego prawa. Nie podzielę na białych i czerwonych, bo kwestya białych i czerwonych ustala z r. 1863. Nie podzielę na szlachtę i nieszlachtę, bo szlachta chłopieje, a chłop szlachcieje, szlachcic upada majątkowo, chłop przy oświacie majątkowo się podnosi; na panów rodowych i niepanów, bo majątek rodowy stoi dzisiaj obok majątku kupców i przemysłowców. Żyjemy obok siebie i ze sobą, bogaci i ubodzy, dawna szlachta i plebejusze, ludzie pracy i próżnujący, ludzie zacni i źli, ale nie może o zacności stanowić ani bogactwo ani ubóstwo, ani szlachectwo ani brak herbu, wyznanie takie lub owakie: może stanowić tylko charakter osobisty, zasługi, praca. Żadna téż wina i brak społeczny nie może spadać na barki czyjeś, że jest szlachcicem, albo że nie jest szlachcicem, bo on temu nie winiem, że się nim urodził, a szlachectwo nie przeszkadza mu zostać człowiekiem. Smutna rzecz, że o takich rzeczach mówić przychodzi. Społeczeństwo, w którém się żyje, trzeba przyjąć takiem jak jest, badać jego wady i potrzeby, ale nie wolno nikomu powiedzieć: społeczeństwo dzieli się na zdolnych i niezdolnych do służenia dobrze narodowi; zdolnemi są młodzi, niezdolnemi starzy, do zdolnych należą ci wszyscy, którzy postępują tak, jak postępowali moi znajomi i przyjaciele, do niezdolnych wszyscy, którzy im opór stawiali — na poparcie zaś tego twierdzenia rzucić na jednych pełną

garścią błota i niestworzonych bajek, na drugich niebiańską aureolę apostolstwa.

Zacytuje ktoś na obronę powieści poprzedników, które także podnosiły wady sfer wyższych. Proszę porównać, a ukaże się różnica. Można mieć słuszne pretensye do tego, że ktoś jest złym będąc hrabią lub szlachcicem, że nie używa na dobre majątku, imienia, zdolności, ale nie można wykazywać, że jest złym, bo jest hrabią i szlachcicem. Można wykazywać, że w ustroju społecznym szlachta, mieszczaństwo lub duchowieństwo nie dopełnia swoich obowiązków, ale nie można ich czynić odpowiedzialnemi za wszystko złe, które się w tém społeczeństwie dzieje, a które z ogólnego stanu społeczeństwa i przeszłości jego wypływa. Można wykazywać, że sprawa publiczna źle jest kierowaną przez koryfeuszów tego społeczeństwa, ale nie można twierdzić, że ponieważ oni popełniają błędy, kierunek jedynie zbawczy wyjść tylko może od ludzi niższych, młodych, którzy całém postępowaniem swojém pokazują negacyę całego społeczeństwa i mają się za alfę i omegę narodu.

Zacytuje ktoś socyalne powieści francuskie od Tajemnic Paryża do Misérables. Proszę porównać, a i tu ukaże się różnica. Wykazują one braki i wady urządzeń społecznych, biorą w obronę zapomniane i upośledzone warstwy, służą zasadzie, aby społeczeństwo starało się o dobrobyt każdéj jednostki, ale nie powiadają: Ty, który najlepiéj to czujesz, jesteś jedynie uprawnionym do monopolu kierowania społeczeństwem, ty, który w czémkolwiek do dopięcia tego celu przeszkadzasz, jesteś potępionym i niezdolnym do niczego.

Ale autor uzurpuje dla swoich młodych pochodzenie duchowe od wszystkich, którzy tworzyli partyę ruchu i postępu w przeszłości. Nie lubimy używać broni, któréj użył, aby ich białość i przeźroczystość uwydatnić a drugą stronę w cieniu postawić, zwrócimy tylko uwagę na owe tytuły prawne, które im daje, aby wykazać, że byli przeznaczeni na przodowników i apostołów społeczeństwa. Byłże tym tytułem adres za językiem polskim, obicie człowieka, który padł ofiarą cudzéj intrygi i fakelcug dla Smolki? Byłoż tym tytułem założenie czytelni akademickiéj lub zamiar zawiązywania stosunków z rzemieślnikami? Gdyby autor te dzieła młodzieży postawił same, nie byłby uzasadnił praw przewodnictwa, boć musiałby się spotkać z zarzutami, że żaden z tych punktów prawa stanowienia o losach społeczeństwa nie nadaje, a nie jeden wykracza poza jedyny, obywatelski obowiązek młodzieży, aby się uczyła i sposobiła na przyszłych sług społeczeństwa. Prawa tego musiał szukać autor gdzieindziéj: w zgniliznie społecznéj warstwy najwyższéj. A przecież Kraków nie składa się tylko z warstwy najwyższéj i studentów, ale ma jeszcze warstwę średnią, ma intelligencyę. Téj autor nie dotknął, téj dla autora nie ma. Warstwa ta żyła

i żyje w Krakowie, nie uboga w zacne serca i głowy, nie potrzebująca pożyczać rozumu od tych, którzy chcą prowadzić jego monopol. W warstwie téj przeważna ilość nieszlachty, przeważna ilość ludzi pracy i osobistéj zasługi: o téj warstwie należało coś powiedzieć, kiedy się obraz Krakowa stawiało. Ale chcąc dać wyłączne prawo swoim bohaterom, należałoby i tę zanegować warstwę, zanegowawszy ją, można ją było obrazić. Kozłami i baranami musieli zatém pozostać hrabiowie i książęta, od których się powieść roi, przyprawą społeczne niechęci.... Trzeba przyznać autorowi tendencyjną zręczność, ale pochwalić go za tę zręczność nie można!....

Byli u nas od wieku ludzie gorący, którzy ukochawszy myśl narodową, zniecierpliwieni społeczeństwa martwotą, kupili około siebie siły świeże i czynami pieczętowali swoje przekonania. Ludzie ci przyłożyli się walnie do rozbudzenia społeczeństwa i społeczeństwo stanowi dzisiaj liczny zastęp narodowy. Ludzie ci apostołowali demokracyę, uwłaszczenie ludu, podniesienie warstw niższych. Rekrutowali się z najrozmaitszych stanów. Ludzie ci, jeżeli przetrwali burze swego czasu, wracali do normalnego ustroju społeczeństwa, jako pożyteczni i postępowi jego członkowie. Ludzi tych jest w Krakowie nie mniéj jak gdzieindziéj, z nich to złożonym jest przeważnie polska większość sejmu lwowskiego, oni zajmują miejsca w instytucyach krajowych. Łatwo zrozumieć, że im więcéj takich ludzi w kraju się wytworzyło, tém bezpieczniejszém mógł się czuć kraj pod względem narodowego rozwoju. Ludzie ci uczyli się i pracowali, uczą się i pracują. Łatwo i to zronumieć, że im więcéj takich ludzi, tém się więcéj następcy ich duchowi z niemi rachować muszą. Miarą wartości politycznéj następców, musi zatém być porozumienie z poprzednikami, bo tylko w Azyi spycha powstający dynasta wszystko, co przed nim było i zaczyna rzecz od siebie. Ludzie więc działający na własną rękę, tém więcéj tracili zawsze racyi bytu, im więcéj musieli współwierców politycznych negować po za sobą, im więcéj na przeciwnéj stronie pozostawało serc zacnych, szlachetnych, gorących, dusz pragnących postępu, które potępiały ich polityczne środki. Od apostolstwa do demagogii, jest tylko jeden skok, ale stanowczy. Nie wie się często, kiedy się go robi, a przecież społeczeństwo jednako musi go potępić, czy się go robi z niedoświadczenia czy z ambicyi, czy z namiętności. Zrobiwszy go, zrywa się z społeczeństwem a zrywa się tém straszniéj, tém szkodliwiéj, im więcéj na drugim brzegu pozostało racyi, im mniéj się ma przyczyn zerwania. Wtedy to neguje się wszystko, wrze się gniewem na wszystko, wpada się w namiętność obalenia wszystkiego. Wtedy przewraca się fetysze, które się wczoraj stawiało, jeżeli dzisiaj nie służą, wtedy przypisuje sobie cudotwórczą wszechmoc postawienia nowéj budowy, nowego ustroju społecznego, dopięcia najwyższych

celów za pomocą najwyższéj negacyi. Zapomina się, że się jest krwią krwi tego spółeczeństwa, kością jego kości, rezultatem jego stanu, jego oświaty, jego zamętu pojęć. A gdy spółeczeństwo stanie naprzeciw, gdy po ludzku się pogniewa i odeprze to, czego niechce, co mu wstrętném, wtedy nazywa się to prześladowaniem i utwierdza w przekonaniu, że gdzie prześladowanie, tam prawda. Idzie się z tą prawdą do dziewiczych umysłów warstw niższych, które potrzebują nauki, ale nie tendencyi, wiedzy, ale nie bełamuctwa, uznania powag, ale nie przodowników z ław uniwersyteckich!...

Nie taka droga dla pisarzy polskich, kończymy zwracając się do autora Młodych i Starych. Kto posiąga po laur w świątyni narodowego słowa, powinien starać się spółeczeństwu swemu przynieść słowo nie namiętne, wyczyszczone ogniem abnegacyi, wysnute z studyów rzeczywistego świata, słowo z narodowéj wysnute myśli. Dosyć już mamy literatury negacyjnéj; świat cały neguje nas i odmawia nam nazwiska Polaków, przestańmy się negować sami. Komu Bóg dał zdolność znakomitą, komu dał takie bogactwo fantazyi i łatwość produkcyi, ten powinien starać się, aby jego zdolność nie stała się szkodliwą; potrzeba dwóch rzeczy: samotności i pracy dla pracy; potrzeba kilku chwil śmiałego lotu, któryby wyniósł nad kółko, trzymające w więzach.

Powieść „Młodzi i starzy" polecamy do czytania, nie tym, dla których pisana, ale tym na których uderza: ludziom salonu.

Z ostatnich publikacyi wspomnieć nam wypada Rafała Błońskiego: Pobyt na Syberyi i Poczet skazańców na Sybir do gubernii wiatskiéj (z r. 1830 i 1831), nowe przyczynki do dziejów martyrologii naszéj. Pamiętnik p. Błońskiego kreśli nam nie znane dzieje spisku łomżyńskiego w r. 1839 i pobyt na Syberyi do r. 1855, stylem nie wykwintnym a pełnym prostoty, który jak schludna szata osłania zacne serce, pełne wiary i miłości Ojczyzny. Nikt bez wzruszenia i zbudowania nie odłoży na bok książki pisanéj całém życiem cierpienia i męki, która kończy się słowami: Po tylu nieszczęciach wiara nasza w pomyślniejszą przyszłość przy łasce Boga nie upadła i — nie upadnie.

Józef Szujski.

Przegląd polityczny.

31go Stycznia.

Nigdy może w dziejach naszych ważniejszéj nie było chwili jak obecna, nigdy przynajmniéj nie ciężyła większa na ludziach politycznych odpowiedzialność, nigdy większe nie ciężyły obowiązki na tych, którzy w ten lub ów sposób, słowem, pismem czy czynem wpływać mogą na chwilę obecną, nigdy sprawa publiczna nie wymagała większych wysileń, większéj pracy i usiłowań ze strony obywateli, większego poświęcenia i natężenia wszelkich ich władz umysłowych i moralnych. Znajdujemy się w położeniu, z którgo tylko zbawiennie wyjść można wielkiém skupieniem ducha, i wielką odwagą w chwili, w któréj przypada nam raczéj moralną niż materyalną spuściznę wieków ochronić, przechować i od grożących jéj niebezpieczeństw uratować. Temu zadaniu wydołać może tylko zbiorowa praca wszystkich intelligencyi krajowych, praca sumienna i wytrwała, praca każdego w właściwém jemu kole działania. Lecz praca ta nie jest abstrakcyjną lecz przededewszystkiém praktyczną, codzienną, bo dzień każdy niemal przynosi nam fakta niby surowe materyały, które nie są czém inném jak pierwiastkami owéj zamglonéj przyszłości, dla któréj pracować jest obowiązkiem równie szlachetnym jak patryotycznym.

Publicystyki przedewszystkiém jest obowiązkiem gromadzić, obrabiać owe materyały, to jest wyrabiać opinię i zdanie o tych codziennych faktach, mających dziś tak wielką doniosłość już dla tego, że w chorobach niebezpiecznych wszelkie symptomata podwójnéj nabierają ważności, gdyż podług tego czy źle czy dobrze są zrozumiane, mogą niezmiernie wpłynąć na bieg słabości. Nie chcemy bynajmniéj przeceniać ważności i doniosłości naszego wydawnictwa, jednak uważając się jako pewne zbiorowe kółko pracujące, poczuwamy się do pewnych w tém kole obawiązków. Tém uczuciem powodowani, uznaliśmy za potrzebne wydanie jeszcze przed ukazaniem się tego zeszytu pi-

sma naszego, broszury naszego współredaktora p. Szujskiego pod tytułem: „Kilka prawd z dziejów naszych“ — którą dzienniki krajowe już oceniły z tém pominięciem *Przeglądu Polskiego*, które ze strony dzienników téj prowincyi zbyt jest systematyczném, abyśmy się już nie byli do niego przyzwyczaili.

Broszura ta — owoc pracy naszego znakomitego współredaktora, jest wypływem opinii i przekonań redakcyi *Przeglądu Polskiego*. Jeżeli zaś pospieszyliśmy się z wydaniem téj broszury, to nie dla tego, aby tendencye, z któremi broszura walczy, wydawały się nam już teraz zbyt grożnemi, ani też aby dziecinne niektóre objawy miały nas zastraszać. Nie, ani sami nie jesteśmy niemi przerażeni, ani też nikogo straszyć nie chcemy, jak to nam zarzucano; lecz chcieliśmy w ważnéj nader chwili wyborów do sejmu wykazać, iż droga przez nas obrana, iż polityka za którą przemawiamy, a którą kraj uznał za swoją, nie jest ani polityką fantazyi, ani osobistych widoków, ani osobistéj sympatyi lub antipatyi, lecz że jest rzeczywiście polityką norodową wypływającą zarówno z doświadczenia i historyi, jak z sytuacyi obecnéj. Zdaniem naszém dowiodła tego zwycięzko broszura pana Szujskiego, do niéj więc odwołać się możemy jako do naszego programu. Już z tego wypływa, iż jest ona także po części naszym programem wyborczym.

W saméj rzeczy kraj ma dziś najlepszą sposobność okazania i wypowiedzenia swojego zdania za pomocą wyborów — w wyborach tych przedewszystkiém musi i powinien stwierdzić, że popiera i uznaje za swoją ową politykę, która znalazła swój ostatni wyraz w ostatnim adresie sejmowym, wybierając tych ludzi, którzy szczerze z odwagą i wiarą przystąpili do niéj. Nigdy może kraj i wyborcy nie znajdowali się w téj prowincyi wobec tak ważnéj chwili; tą razą bowiem sejm powstały z wyborów przeznaczony jest przedstawiać nietylko interesa jednéj prowincyi polskiéj, interesa Galicyi, lecz w ogóle interesa polskie; okres zaś sześcioletni w który wchodzimy jest najważniejszy jaki był kiedykolwiek, o ile bowiem rozum ludzki zdolny przewidzieć, w okresie tym rozstrzygną się niezawodnie ostatecznie losy interesów polskich, a interesa te po części spoczywać będą w rękach sejmu powstałego z wyborów, i delegacyi powstałéj z sejmu.

Z położenia więc samego rzeczy wypływa, że sejm, że powstała z niego delegacya przedewszystkiem politycznemi kwestyami trudnić się będzie, sejm więc z politycznie uzdolnionych ludzi składać się winien, lecz zarazem z ludzi politycznych którzy przystąpili do systemu uznanego za jedynie możliwy przez większość. Przedewszystkiem potrzeba nam większości narodowéj i w tym kierunku głównie musiały być wysilenia komitetów centralnych. Lecz zdaniom naszém nie dość na tém;

trzeba jeszcze i przedewszystkiém aby skład tej większości odpowiadał ze wszechmiar ważności chwili i aby odpowiednim był dzisiejszéj politycznéj sytuacyi. Trzeba więc aby większość sejmowa składała się z ludzi politycznie wykształconych z silném przekonaniem politycznêm, tak silném, aby umiał się oprzéć tak wszelkim choćby najponętniejszym pokusom, jak wszelkiemu upadkowi ducha, i wytrwać w obranym dziś systemie w brew oszczerstwom jednych, obojętności drugich i pomimo grożących niebezpieczeństw które nie raz w nadchodzącym periodzie sześcioletnim jeszcze groźniejszemi stać się mogą; trzeba nam więc nietylko ludzi politycznie wykształconych, ale także ludzi politycznie wyrobionych. Pod tym względem w naszém przekonaniu wyjątków czynić nie można, wyjątki byłyby zgubne, bo chwila jest tak ważną, iż większość wydołać jéj potrafi tylko, jeżeli stanowić będzie jednolitą silną całość; w odcieniach członkowie większości różnić się mogą, lecz w ogólnym systemacie politycznym, w ogólnym kierunku, w ogólnym programie, powinni być zgodni, powtarzamy raz jeszcze, wyjątków tu nie przypuszczamy.

Ktokolwiek nie uznaje dziś zasady wolności i jawności w działaniu publiczném, ten nie ma naszego poparcia, ktokolwiek nie zdołał zwalczyć w sobie owego złego ducha Polski, owego *liberum veto* lub dziecka jego *liberum conspiro*, ten nie tylko w oczach naszych nie ma kwalifikacyi na posła, ale tego przeciwnie wskazać musimy jako niezdolnego do wypełniania obowiązków poselskich. Już z tego wypływa iż radzibyśmy, aby przy teraźniejszych wyborach pominięto wszelkie choćby najznakomitsze jednostki idące samopas gwoli fantazyi chwilowéj lub namiętności, słowem wszystkich, „luźnych szermierzy“. Nic oni nie zdolni dobrego w téj chwili zdziałać, a wiele popsuć mogą, choćby tylko jako przeszkody na drodze spiesznego i energicznego działania.

Z tego jednak co powiedzieliśmy niech nikt nie wnioskuje, iż jesteśmy, że się tak wyrazimy, fanatykami zdolności politycznych, to jest iż nie uważamy na inne względy; przeciwnie powiedzieliśmy wyżéj, iż nie tylko wykształcenia ale także wyrobienia politycznego żądamy od kandydatów, a tém samém nie tylko zdolności ale i charakteru i odwagi cywilnéj i wszelkich rękojmi tego charakteru; odwagi i wytrwałości żądać winni wyborcy od swoich kandydatów.

Kto nie daje tych rękojmi, kto pod tym względem nie umiał wzbudzić zaufania, choćby obdarzony był najświetniejszemi zdolnościami, powinien być pominiętym, bo kraj musi powierzyć swe losy ludziom pewnym, wytrwałym a nie chwiejnym gdyż powierza im nietylko losy téj lub owéj sprawy, lecz powierza im tą razą całą naszą przeszłość, i tak nie pewną przy-

szłość, rękojmię zaś tych kwalifikacyi dać tylko mogą wypróbowane charaktery.

Wyrazimy całą myśl naszą, jeżeli powiemy, że dziś więcéj jak kiedykolwiek wyższemi, prawdziwie wyższemi względami powodować się winni wyborcy, a że z drugiéj strony więcéj jak kiedykolwiek kandydaci z przyjęcia mandatów czynić winni kwestyę sumienia; winni sumiennie badać sytuacyę i własne zdolności w stosunku do ważności chwili. Wiadomém jest, że główną u nas przeszkodą owego wyższego zapatrywania się na wybory jest partykularyzm, zaściankowość i że użyjemy tego wyrazu powiatowszczyzna. Nieraz już dotknęliśmy téj kwestyi, tu więc tylko powiemy, że głównym zadaniem komitetów centralnych — których skład ze wszech miar wzbudzić winien zaufanie wyborców — powinna była być walka z partykularyzmem i powiatowszczyzną, wpływanie energiczne na koła wyborcze, aby posyłali do sejmu przedstawicieli ogólnych nie partykularnych interesów; nie wątpimy, że komitety czyniły w téj mierze co tylko było możliwém, czy skutecznie tego nie wiemy, bo nie jest nam tajném, iż właśnie z natury swéj duch zaściankowy, duch powiatowszczyzny zbyt niestety jeszcze u nas silny, staje sztorcem i znajduje upodobanie w stawianiu oporu komitetom centralnym. Złemu temu skutecznie zaradzićby mogły głównie komitety obwodowe, gdyby same umiały się otrząść z powiatowszczyzny a wznieść się na nieco wyższe stanowisko.

Byłoby nader zgubnym błędem, zakrywać całą grozę i ważność chwili obecnéj. Jeżeli nie stojemy na wulkanie, to nie mniéj widoczném jest, że ze wszech stron grozi nam burza, która niewątpliwie zagrzmi wśród sześcioletniego peryodu. Oczywistém jest także, iż wypadki i kombinacye, od których zależeć będą przyszłe losy nasze, przyszłe nasze być albo nie być, są rzędu wyższego, iż odnosić się będą do wyższéj polityki, aby im sprostać, aby stanąć na ich wysokości nie wystarczy znajomość lokalnych potrzeb i interesów, nie wystarczą przymioty obywatelskie i cnoty rodzinne — słowem nie dość aby zrozumieć i pojąć dzisiejsze sytuacye, dzisiejsze stadyum sprawy polskiéj i złączonéj z nią reorganizacyi Monarchii austryackiéj, mieć zdrowe zdanie i sumienne przekonanie w sprawie propinacyi, trzeba coś więcéj jeszcze i coś mniéj, więcéj wykształcenia i znajomości stósunków politycznych, mniéj ciasnego i drobiazgowego zapatrywania się na sprawę publiczną. Powtarzamy, byłoby grzechem taić i zakrywać całą grozę położenia, przeciwnie wypada ją poddać pod sumienną rozwagę wyborców; położenie jest złe, zawikłane, niebezpieczne, takie iż tylko wyższem natchnieniem jednego człowieka lub pracą i usiłowaniami najznakomitszego konsylium politycznych lekarzy chorego uratować można. W nadchodzącym sześcioletnim pery-

odzie nie o tę lub ową sprawę, nie o mniéj lub więcéj korzystne załatwienie kwestyi propinacyjnéj iść będzie, lecz o całą egzystencyę, o całą przyszłość bez zapewnienia któréj jużby nie nam przypadło załatwić nie tylko sprawę propinacyi, ale wiele innych wewnętrznych, nieco w naszych oczach ważniejszych.

Swieżo ogłoszona amnestya wszystkim skazanym za udział w ostatnich wypadkach przywracająca prawa polityczne jest ze strony rządu nader chwalebnym krokiem, świadczącym o sumiennéj jego chęci usunięcia wszelkich przeszkód tamujących wolne i swobodne w téj chwili objawienie woli kraju. Akt ten bowiem ogłoszony w przeddniu wyborów miał oczywiście na myśli wybory, o ile naszéj prowincyi się tyczy, świadczy on iż rząd mniéj jest surowym jak wielu z pomiędzy nas i że nie potępia bezwzględnie ani téż skazuje na ostracyzm tych wszystkich których usiłowania w niedawnych wypadkach nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Lubimy ze strony władzy to szerokie prawdziwie liberalne pojmowanie położenia. Kto wszystko pojmuje i na wszystko jest wyrozumiały, ten wzbudzać może zaufanie. Nowy ten akt łaski Monarszéj powiększy niezawodnie kilkoma indywidualnościami koło kandydatów kwalifikujących się na posłów. Jednak i tu nie możemy się wstrzymać od uwagi, że można być bohaterem a nie być jeszcze politycznym człowiekiem, że można nawet nosić wieniec męczeński, a nie mieć jeszcze potrzebnych kwalifikacyj na posła, że nie dość odsiedzieć karę za polityczne przekroczenia aby zasiadać w sejmie, słowem że polityka uczuciowa do któréj tak skłonni jesteśmy, nie powinna nigdy kierować wyborami. Kraj wybierać winien tylko patryotycznych posłów, lecz tylko patryotów na posłów uzdolnionych. W obecnéj chwili więcéj trzeba będzie rozwagi, zimnéj krwi i rozsądku jak zapału, szlachetnych uniesień i wielkich poświęceń. W niebezpiecznych chorobach tén lekarz uratować może chorego, który nie traci głowy i wśród najkrytyczniejszych chwil zachowuje całą swoją zimną krew. Zadanie obecne sejmu wymaga nie uczuciowych ludzi lecz wytrawnych polityków.

Już w ostatnim przeglądzie przewidywaliśmy, iż rząd obieże mniéj więcéj tryb postępowania którego wyrazem stał się patent 2 stycznia. Przyznać jednak musimy, iż patent ten z wielu względów nie może nas zadowolnić. A najpiérw ogólna jego cecha zdradza niepewność, i wachanie się ze strony najwyższéj władzy. Nie moglibyśmy się zgodzić na samowładne, bezwzględne rozstrzygnięcie sprawy konstytucyjnéj przez rząd, raz, już dlatego samego że jeżeli przyszły ustrój państwa ma być trwałym i silnym, winien on powstać z wolnéj woli wszystkich ludów składających Monarchię, powtóre że koniecznym tu jest kompromis jako niezbędna podstawa każdéj federacyi, każdego związku na wolności opartego. Nie wierzymy w trwałość ża-

dnego systemu politycznego a tém mniéj federacyi narzuconéj z góry czy to przez rząd czy przez mniejszość czy nawet przez większość; dlatego pojmujemy i uznajemy konieczność zasięgnięcia w kwestyi konstytucyjnéj zdania legalnych reprezentantów krajw koronnych która niejako uznaną została patentem 2 stycznia. Lecz jeżeli przeciwni jesteśmy narzuceniu jakiéjkolwiek formy z góry, to znów w tak ważnéj chwili, uważać musimy za niezbędny warunek zbawienia śmiałą incyatywę rządu ku pewnemn jasnemu dobrze określonemu celowi; uważamy téż za niezbędne nadanie pewnego wypadkom kierunku zgodnego z położeniem przedewszystkiém zaś śmiałe zerwanie z błędami przeszłości i stanowcze odrzucenie środków których zgubność okazały doświadczenie i przeszłość. A właśnie w patencie z 2 Stycznia nie możemy mimo najlepszéj chęci dopatrzeć się tego. Patent ten jest jakby amfibicznėm stworzeniem a raczéj sfinksem zrobionym do połowy z konstytucyi lutowéj, a w drugiéj części z manifestu wrześniowego, — jest więc w nim coś ludzkiego tak jak i coś niezrozumiałego, możnaby go amblematycznie przedstawić przyczepiając głowę pana Belcredego do ciała p. Szmerlinga. Wyznaczonym zaś Edypem do odgadnięcia zagadki, będzie tu owa nadzwyczajna Rada Państwa, która i tak dość trudne będzie miała zadanie i któréj ten rebus zdaniem naszém niepotrzebnie dano do odgadnięcia. Być bardzo może, że patent 2 Stycznia miał na celu zadowolnić wszystkich — w takim razie dopiął celu, gdyż nikogo całkiem nie zadowolnił. Koncesya ze strony dzisiejszego Ministeryum, jeżeli była koncessya okazała się bezskuteczną, centraliści bowiem nie inaczéj ją uważają jak tylko, jako ranę zadaną najdroższéj im konstytucyi lutowéj. Autonomistów zaś patent, nie mógł uspokoić, ani zapewnić, iż tą lub ową drogą nie wejdzie się na drogę potępioną doświadczeniem.

Jeżeli teraz przejdziemy do szczegółów, to pojmujemy wybornie, iż rząd w tak naglącéj chwili, i jedynie dla spiesznego działania musiał użyć ram konstytucyi lutowéj do powołania legalnych reprezentantów; dozwalając zaś jak się zdaje sejmom obierać dowolnie kuryami lub z całego grona sejmowego rozszerzył i zmodyfikował o ile się dało na prędce prawo wyborcze i to w bardzo dla nas ważnym punkcie; jedynie bowiem głądzie delegacya powstała z całego sejmu może reprejak już to powiedzieliśmy w przeszło-miesięcznym Przezentować kraj cały i sejm, a nie poszczególne interesa tak sztucznie rozdzielone ustawą lutową. Owa dowolność zostawiona sejmom może jedynie nadać nadzwyczajnemu zebraniu Rady Państwa charakter i doniosłość jakiéj wymaga wielkie dzieło do którego powołaną została przez Monarchę. Bardzo jcst zrozumiałem, że centraliści którym idzie tylko o przywrócenie konstytucyi lutowéj a raczéj przewagi jaką ona im da-

wała, oburzają się i tak gwałtownie powstają na owo liberalne i prawdziwie wyższe pojęcie sposobu w jaki ma powstać Rada Nadzwyczajna; wszystko co tę Radę oddala od ukochanéj Rady szczuplejszéj gniwa ich, drażni, wprowadza wściekłość; jest to skutek *idee fixe*, która zawsze doprowadza do ciasnego pojęcia i ciasnego zapatrywania się jeżeli nie do zupełnego kretynizmu. Lecz właśnie dlatego ci którym idzie o prawdziwą, rzeczywistą, silną reorganizacyę Monarchii, którym idzie o to aby nie tracić czasu na bezowocnych próbach lub na błądzeniu po znanych manowcach, którym jedném słowem idzie o to, aby Rada Nadzwyczajna dopięła wielkiego celu do którego powołaną została, i niepozostałą Radą bezowocną, nie małą przywięzywać muszą wagę do sposobu, w jaki owa Rada powstanie, słowem nie mogę wcale sobie lekceważyć, czy sejmom pozostawiona zostanie pod tym względem zupełna wolność i swoboda, czy téż ścieśnięte zostaną tendencyjnemi przepisami, przekazanemi przez tak godną potępienia przeszłość, przez tę przeszłość potępioną w sumieniu tych wszystkich, którzy pragną szczerze trwałéj i silnéj reorganizacyi monarchii. Dwa powody przemawiają za silném, energiczném obstawaniu przy prawie sejmów orzeczenia, w jaki sposób odbyć się ma wybór delegacyi: 1) że jedynie posiadając tę wolność, sejmy mogą wysłać do Rady prawdziwą rzeczywistą reprezentacyę krajów koronnych, a więc reprezentacyę będącą wyrazem kraju w ważnéj kwestyi państwowéj; a tém samém odpowiedzieć w zupełności wezwaniu korony; 2) iż ta wolność jest rękojmią jedyną lecz rzeczywistą, że się nie wejdzie na ciasną drogę konstytucyi lutowéj, lecz na szerszą mogącą doprowadzić do prawdziwie lepszéj przyszłości, nie zaś do tych zgubnych rezultatów, które już raz tyle na monarchię sprowadziły klęsk. Te dwa powody wydają nam się tak ważne, tak silne, iż wcale nie dziwią nas zdania, które słyszymy wyrażane często, a które coraz powszechniejszemi się stają, iż ta rozumna i liberalna dowolność zostawiona sejmom, jest przeważającym argumentem za wysłaniem przez sejm lwowski delegacyi do Nadzwyczajnéj Rady Państwa, już dla tego samego, iż jest niejaką gwarancyą, iż bezwiednie lub z świadomością nie zostaniemy wprowadzeni na manowce szmerlingowskich teoryi. Dla tego téż pojmujemy także rozpowszechnioną bardzo a objawiającą się we wszystkich niemal zebraniach przedwyborczych myśl, iż gdyby rzeczona wolność nie była pozostawioną sejmom, sejm lwowski pomimo najszczerszéj chęci i wielu względów, których nie zapoznajemy, nie mógłby może przystąpić do wyboru delegacyi bez narażenia się na postawienie się w sprzeczności z programem, życzeniami i zdaniem kraju i z głębokiém przekonaniem téj prowincyi o warunkach, w których jedynie nastąpić może prawdziwa reorga-

nizacya Monarchii, a Austrya stać się prawdziwie silną i potężną, jak to orzekł ostatni adres naszego sejmu.

Warunek ten wolności zostawionéj sejmom w sposobie wybierania delegacyi tém ważniejszym nam się wydaje, iż zaprawdę nie pojmujemy co spowodować mogło rząd do powołania w téj chwili do życia najwięcéj nieudanéj kreacyi szmerlingowskiéj to jest izby panów. Jeżeli nadzwyczajną Radę Państwa brać mamy na seryo jako powołaną do wyprowadzenia z dzisiejszego zamętu Monarchii i do utworzenia nowego porządku rzeczy, to pytamy się jaką myślą, jakim uczuciem kierowany był rząd powołując także Izbę panów mianowaną za czasów szmerlingowskich? Chyba tylko uczuciem płatonicznéj miłości dla konstytucyi lutowéj. Niepodobna nam pojąć jaką rolę odegra wobec Izby powstałéj z wyborów dokonanych pod ministeryum hr. Belcrediego, Izba panów mianowana za czasów p. Szmerlinga, jakie przeznaczenie mieć może to koło niepraktycznéj machiny szmerlingowskiéj przy nowéj budowie. Działanie izby panów albo będzie żadne, albo téż utrudnić tylko może całą robotę, słowem, stanowisko izby panów będzie albo śmiesznem albo anormalném. Pojąć byśmy mogli tylko powołanie Izby panów, gdyby dziś już ukrytą myślą rządu było przemienienie Rady Nadzwyczajnéj w Radę Szczuplejszą, lecz tego nie możemy przypuścić, tego nie przypuszczamy, bo w takim razie loiczném, najloiczniejszém następstwem takiego zwrotu, byłoby zastąpienie nawróconego hr. Belcrediego, tryumfującym p. Schmerlingem. Przypuszczenie to wydaje nam się tak niepodobném nawet w téj chwili, w któréj wszystko co nie jest nawet przypuszczalném, stać się może, iż nie chcemy dłużéj nad niém się zastanawiać. Przeciwnie uważamy i uważać możemy zwołaną Radę patentem 2go stycznia, tylko jako Nadzwyczajną Radę, powołaną jedynie w celu ściśle określonym patentem. Jak sejm zwołany na 11go lutego, ma tylko wybrać delegacyę do Nadzwyczajnéj Rady, tak delegacya ta mieć będzie tylko zadanie i prawo wypowiedzenia swojego zdania o ogólném ukonstytuowaniu się Państwa, to jest o sposobie wspólnego traktowania spraw wspólnych. Ten a nie inny cel naznaczony został patentem styczniowym, delegacya wybrana przez sejm, umocowaną więc będzie do traktowania tylko téj sprawy, i tak jak Rada zwołaną została przez Koronę *ad hoc*, tak samo sejm wybierze delegacyę tylko *ad hoc*. Jestto punkt nader ważny, którego w żaden sposób pominąć lub zapoznawać nie można, jeżeli chce się iść w duchu patentu styczniowego i pozostać w zgodzie z naturą obecnéj sytuacyi. O ile taki określony i ograniczony mandat delegacyi przemawia z jednéj strony za wysłaniem jéj przez sejm do Nadzwyczajnéj Rady, o tyle z drugiéj

strony upraszcza on i wyraźnie nakreśla stanowisko i postępowanie téj delegacyi.

W saméj rzeczy, sejm wybierając delegacyę w duchu patentu styczniowego, wysyła ją w celu, który zawsze uważamy dziś za pierwszorzędny, szukania sposobów i środków ostatecznego załatwienia kwestyi konstytucyjnéj. Delegacya udaje się więc do Wiednia, aby wyrazić przekonanie kraju o najkorzystniejszém dla Monarchii ukonstytuowaniu się, a zarazem aby przyłożyć rękę do tego ukonstytuowania; aby w téj tak spornéj kwestyi rzucić na szalę głos Galicyi. W dziele tém dobra wola téj prowincyi podejrzaną być nie może, przeciwnie wszystkiego po niéj spodziewać się może Korona, wyjąwszy zaparcia się przekonania opartego na doświadczeniu.

Jakież więc mogłoby być stanowisko delegacyi galicyjskiéj w Nadzwyczajnéj Radzie? Zadanie jéj składałoby się przeważnie z dwóch punktów. Przedewszystkiém delegacya galicyjska stanowczo oprzeć by się musiała powrotowi do systemu potępionego doświadczeniem, aby ochronić od niego tak Monarchię jak prowincyę; wyraźnie mówiąc delegacya sejmu lwowskiego, nie mogłaby przystąpić do kombinacyi, mającéj na celu powrócenie do konstytucyi lutowéj, lub do każdéj, któraby w swéj treści do téj konstytucyi podobną była. Wypływa to tak dobrze z całéj przeszłości politycznéj téj prowincyi, jak z ostatniego adresu sejmowego i z tego położenia Galicyi, które nie dozwala jéj przykładać ręki do bezużytecznych prób, lecz przeciwnie nakazuje jéj jak najenergiczniéj działać w dziele reorganizacyi Monarchii.

Następnie zadanie delegacyi galicyjskiéj będzie jakeśmy to już powiedzieli w ostatnim „Przeglądzie“ przedewszystkiém pośredniczące i pojednawcze, obstajemy więcéj niż kiedykolwiek przy tém zdaniu naszém. Głównym celem Galicyi jest dziś silne ukonstytuowanie się Monarchii, tém samém zadaniem delegacyi będzie dążenie do pojednania i pogodzenia wszystkich sprzeczności stojących na przeszkodzie temu ukonstytuowaniu a także do uspokojenia i wpłynięcia na namiętności które tak wielce pogarszają położenie. Delegacya w Radzie nadzwyczajnéj nie powinna trzymać *quand même* ani z Ministeryum, ani z Czechami, ani z Niemcami, ani z Węgrami, lecz powinna wytężyć swe usiłowania, aby tak rząd jak Czesi, Niemcy i Węgrzy doszli wspólnie i zgodnie do zapewnienia bytu całości i normalnego ustroju państwowego, słowem aby wynaleźć i zabezpieczyć wspólny interes całéj Monarchii bez szkody interesów i praw poszczególnych krajów koronnych.

Jakich w tym celu wypadnie użyć środków, jaka kombinacya najodpowiedniejszą się okaże tego dziś trudno ściśle określić i to będzie właśnie zadaniem mężów których sejm powoła do składu delegacyi. Pod tym względem winna im być

zostawiona jak największa wolność, gdyż niewątpliwie cały tok rozpraw przybierze w téj mierze charakter układów i rokowań. Lecz właśnie dlatego skład delegacyi winien być takim, żeby sejm z całém zaufaniem mógł polegać na niéj, to jest na charakterze i zdolnościach swoich wybrańców raczéj, jak na instrukcyach poufnych lub niepoufnych. W sprawie téj, to co dziś może być niewykonalném, jutro stać się może możliwém i dlatego delegacya w dziele reorganizacyi nie powinna być krępowaną żadnemi pętami, żadnemi drobiazgowemi zastrzeżeniami, lecz winna dążyć samoistnie do tego wielkiego celu silnego ukonstytuowania Monarchii, oparta niewzruszenie na wyrobioném przekonaniu, iż tylko na pewnych podstawach to ukonstytuowanie może być rzeczywistém i trwałém. Tak jest, delegacya galicyjska nietylko nie może przyłożyć się do budowy na fundamentach, które już okazały się tak słabemi, ale nie może także zezwolić na żaden spieszny niedokładny wadliwy plan budowy jedynie w celu, aby ta budowa czém prędzéj stanęła. Jeżeli materyały jeszcze nie gotowe, lepiéj zaczekać niż stawiać budowę, któraby może w krótkim czasie miała runąć i która zawalając się przydusiłaby tą razą ostatecznie wszelką wiarę w możliwość wystawienia gmachu i około któréj praca byłaby tylko nową stratą czasu.

Wiemy, że w téj chwili dualizm jest na porządku dziennym; wyraz ten nas nie zastrasza, bo wiemy, że częstokroć w polityce wyrazy są jak owe wiatraki Don Quischotta, lecz coby nas zastraszało oto znacznie jakie wyraz ten mógłby przybrać. Wytłumaczymy się: jeżeli pod dualizmem rozumieć mamy zgodę korony z Węgrami na podstawie pragmatycznej sankcyi, a tém samém niewątpliwie odrębne nieco stanowisko Węgier w monarchii i znacznie różne z początku od innych krajów koronnych, to w takim razie wyraz ten wcale nas nie zastrasza i przyjmujemy taki dualizm jako konieczność. Lecz jeżeli pod dualizmem rozumieć mamy nietylko uznanie praw Węgier ale także zapoznanie i pominięcie praw innych krajów koronnych, jeżeli pod dualizmem rozumieć mamy nietylko autonomię i odrębność korony św. Szczepana, ale także centralizacyę konstytucyjną po téj stronie Litawy w takim razie uważać musimy dualizm za niemal równie nam szkodliwą kombinacyę a raczéj teoryę, jak centralizacyę szmerlingowską. W takim dualizmie nie moglibyśmy upatrywać ani podstaw do trwałego ukonstytuowania się monarchii, ani rękojmi dla praw naszéj prowincyi, ani téż rękojmi przynależnego jéj wpływu na sprawy ogólne. Podobny dualizm byłby z jednéj strony negacyą spraw wspólnych całéj monarchii, z drugiéj ostatecznie, tamą i przeszkodą rozwojowi autonomii poszczególnych krajów koronnych z wyjątkiem Węgier.

Nie może to być w żaden sposób zadaniem ani celem zwołanéj Nadzwyczajnéj Rady. W każdym razie delegacya galicyjska inny musi upatrywać do innego zmierzać. Jéj ce-

lem musi być właśnie stworzenie wspólnych dla całéj monarchii spraw i wspólnéj nad niemi kontroli wszystkich krajów koronnych a zarazem zapewnienie prawdziwéj rzeczywistéj autonomii tych krajów. Skoro sprawy wspólne określone zostaną, nie pojmujemy innéj nad niemi kontroli, innego czuwania, jak wspólnego wszystkich krajów koronnych, za pómocą ich legalnych reprezentantów zebranych w jedném wspólném ciele, z równémi atrybucyami i prawami. To co raz za sprawy wspólne uznanem zostanie, zarówno obchodzić będzie Węgrów jak Galicyą, Czechy jak Dolną i Niższą Austryę, każdy zaś z krajów koronnych równe będzie miał prawo wpływania na nie, a w żadnym razie nie mogą mieć prawa wpływania na nie tyle, ile wszystkie inne kraje koronne razem wzięte. Skoro raz ministeryum węgierskie zostanie mianowane następstwem loiczném byłoby mianowaaie kanclerzów dla krajów koronnych i ministeryum wspólnego dla spraw wspólnych. W tych głównych zarysach pojmujemy jedynie przyszłe ukonstytuowanie się monarchii. Ono jedno wydaje nam się zgodném z naturą rzeczy, odpowiedniém położeniu wynikającemu ze stosunku Węgier do monarchii, ono jedno może zapewnić całość państwa i autonomię krajów koronnych. W żaden zaś sposób pojąćbyśmy nie mogli konstytucyi z dwoma parlamentami zasiadającemi w Wiedniu i z dwoma ministerstwami, byłoby w tém dziele coś potwornego i taka konstytucya musiałaby być bezpłodną; samo już skomplikowanie téj maszyny jest przerażającym. Przeciwnie cóż prostszego jak załatwianie wszystkich spraw nie wspólnych przez sejmy, pośredniczenie między sejmami a koroną, tam za pomocą ministeryum węgierskiego tu za pomocą kanclerzy, jak następnie załatwianie spraw wspólnych za pomocą ciała powstałego z delegacyi wszystkich sejmów i reprezentowanie korony w obec tego ciała przez ministeryum odpowiedzialne, ministeryum do spraw wspólnych. Już sama pojedynczość podobnie urządzonéj machiny, winna za nią przemawiać.

Nie łudzimy się jednak wcale iż taka kombinacya któréj tu tylko ogólne rzuciliśmy zarysy natrafi na wielkie przeszkody, że jéj powodzenie zależném jest dziś od kompromisu z Węgrami i od sposobu, w jaki właśnie obradujący komitet 67 sejmu węgierskiego określi sprawy wspólne. Lecz w każdym razie głębokiém jest naszém przekonaniem, iż jedynie do takiéj lub jéj podobnéj kombinacyi zmierzać winna i może delegacya galicyjska. Nowe fakta, wypadki, rozpatrzenie się w położeniu skład Nadzwyczajnéj Rady, są to wszystko czynniki które wypada mieć na uwadze i które znacznie mogą wpłynąć na stanowisko i działanie naszéj delegacyi, lecz główny jéj cel podstawy jéj przekonania i kraju zmienić się nie mogą.

Kiedy z jednéj strony sejm powołany będzie tą razą do tak ważnych czynności tyczących się ogólnych interesów państwa, z drugiéj strony kraj wita nową organizacyę administra-

cyjną którą hr. Gołuchowski przywiósł wracając z Wiednia. Orgznizacya ta ma w naszych oczach tę wielką zaletę że upraszcza administracyę i zmniejsza liczbę urzędników, następstwem więc jéj będzie nietylko oszczędność w wydatkach lecz także niezawodnie, spieszniejsze, energiczniejsze i dokładniejsze załatwianie spraw. Jeżeli jednak organizacya zmniejsza nareszcie liczbę biurokratów, to jednak sama przez się nie jest jeszcze zerwaniem z systemem biurokratycznėm, dopiéro przy téj nowéj organizacyi wprowadzenie w życie rad powiatowych i gmin szczera i zupełna swoboda dana im w zakresie ich działania i stopniowe rozszerzanie tego zakresu może nas doprowadzić do prawdziwego samorządu. Prawdziwy, rzeczywisty samorząd, prawdziwa odpowiedzialność władz administracyjnych w obec autonomicznych organów, oto w naszych oczach najważniejszy i pierwszy warunek prawdziwego konstytucyonalizmu i prawdziwego ukonstytuowania się.

Kiedy stopniowo i o ile położenie pozwala społeczeństwo nasze w Galicyi usiłuje dojść do pewnego ładu i porządku. Rosya nierównie spieszniéj postępuje w dziele dezorganizacyi zatarcia śladu nawet jakiegokolwiek ładu, rządu i administracyi polskiéj. Nowy ukaz równający Królestwo Polskie z innemi prowincyami cesarstwa, wcale nas nie zadziwił, jest to loiczne następstwo polityki przyjętéj przez Rosyę względem Polski, jest to fakt, który my dawno mogliśmy przewidzieć, gdyż jest to tylko posunięciem się naprzód o jedną stacyę Rosyi na téj drodze i do tego celu, który dla nas od dawna jest widoczny. Europie więc zostawiamy zdziwienie, my tylko stwierdzamy, że Rosya tym ukazem o jednę etapę posunęła się naprzód na drodze tak groźnéj dla Europy a szczególniéj dla jéj sąsiadów. Chwila dokonania tego dawno powziętego zamachu zręcznie została przez rząd rosyjski uchwycona. Co i któż bowiem mógł dziś stawić jakikolwiek w téj mierze opór? Chwila zaiste jakiéj jeszcze nie było, chwila, w któréj Austrya osłabiona, Francya w stanie niezwykłéj prostracyi a Anglia na wszystko obojętna co się jéj bezpośrednio nie tyczy. Mówiono nam, iż ów ukaz ogłoszono teraz właśnie dla tego, aby pokazać, że car odsuwając ks. Czerkaskiego, bynajmniéj nie zmienił swéj polityki względem Polski, i że on nie ks. Czerkaski jest jéj przedstawicielem. Mniemamy jednak, iż główną przyczyną ogłoszenia ukazu dawno sporządzonego była sposobna chwila, chwila, w któréj nikt aniby chciał, aniby śmiał zaprotestować. Co się tyczy praktycznéj strony ukazu, to niezawodnie nie możemy sobie lekceważyć zniesienia nawet przez Rosyę dotychczasowego prawnego stanu Królestwa, faktycznie jednak wątpimy, aby ukaz mógł o wiele pogorszyć stan rzeczy; w skutku jednak ukazu wszyscy urzędnicy nie umiejący po rosyjsku oddaleni zostaną, wszyscy profesorowie

zdawać będą musieli egzamina rosyjskie, chcąc pozostać na posadach; nareszcie wszystkie niemal sprawy nie podpadające pod kompetencyę gubernatorów, już przeniesione zostały, lub przeniesione zostaną do Petersburga; również fundusze banku i inne krajowe depozyta; słowem następuje zupełne z jednéj strony owo zlanie interesów polskich z rosyjskiemi o którém mówił już nie pomnimy jaki organ rosyjski,' z drugiéj daléj prowadzone jest dzieło zupełnego wytępienia narodowości polskiéj. Grabież i brutalność nie przestaje więc być dalszymi środkami, którymi Rosya zmierza do swojego opatrznościowego celu. Taić sobie nie można, że dokonanie owéj assymilacyi Królestwa do cesarstwa z powodzeniem i bez najmniejszego ze strony Europy oporu, przyspieszyć może wybicie stanowczéj godziny, w któréj Rosya pokusi się o dopięcie ostatecznego celu.

Nim Rosya weźmie się do wykonania dalszych planów, pierwéj musi skończyć z Królestwem, do tego zaś świeżo ogłoszonym ukazem znaczny zrobiła krok. Godném jest jednak uwagi, iż postępowanie rządu rosyjskiego widocznie jest nieco odmienném po prawym i po lewym brzegu Wisły — tu wynaradawianie nie jest tak gwałtowném, ani tak namiętnie wykonywane jak tam. Czy miałoby to być wskazówką, iż Rosya myśli ową część innemu odstąpić państwu? Nie wiemy — lecz zawsze na tę okoliczność warto zwrócić uwagę. Listy indemnizacyjne z téj części, o któréj mówimy, znacznie także lepiéj stoją od innych. Czyż miałoby to ukrywać nadzieję, że oprą się one kiedyś o kredyt pruski?

Wszelkie jednak dotąd dalsze plany starannie są ukrywane przez rząd rosyjski; rząd umywa sobie ręce z wszelkich agitacyi i zaczepek względem Austryi, lecz pozwala działać stronnictwom i przygotowywuje opinię; zbierają się więc składki dla Rusinów galicyjskich i mnożą się w tym duchu z każdym dniem demonstracye; rząd ich nie pochwala, lecz przez uszanowanie dla wolności nie wzbrania ich, a najwyżsi dygnitarze rosyjscy ubolewają głośno nad niesnaskami między Polakami i Rusinami w Galicyi. Któż nie pojmie znaczenia téj gry? któż nie odgadnie uczucia boleści, które wyciska owe łzy krokodyle?

Z drugiej strony interpelacya w sejmie berlińskim posła Waligórskiego i odpowiedź na nią hr. Bismarka rzucają także niejakie światło i na obecne stosunki i na najbliższą przyszłość.

Interpelacya posła Waligórskiego, któréj wniesienie zapowiedzieliśmy przed parą miesiącami a tycząca się nadgranicznych z Rosyą stosunków oprócz praktycznéj handlowo komunikacyjnéj strony, miała także doniosłość polityczną i tem właśnie nader była na czasie, musiała ona bowiem wywołać oświadczenia o stosunkach między Prusami a Rosyą; i w saméj rze-

czy z odpowiedzi hr. Bismarka dowiedzieliśmy się, iż wszelkie inne względy dziś pominiętémi być mutzą w obec przeważnego względu, ścisłego trzymania i porozumienia się Prus z Rosyą; że wreszcie co się tyczy Polski i Polaków, nie ma różnicy w zapatrywaniu się rządu prnskiego i rosyjskiego, chyba pod względem ekonomicznym. Wszystko to pozwalałoby wnosić, że w sprawie polskiej jest może już ukartowany projekt, w skutku którego właśnie postępowania rządu rosyjskiego innėm jest po prawym a innėm po lewym brzegu Wisły.

Illustracyą zaś do sposobu zapatrywania się rządu pruskiego na sposób w jaki sprawiedliwość wyrządzoną ma być Polakom, jest skonfiskowanie numeru *Dziennika Poznańskiego*, w którym umieszczone zostały uwagi nad interpelacyą posła Waligórskiego i odpowiedzią hr. Bismarka. Uwagi te, które czytaliśmy, napisane z wielkiém umiarkowaniem, w niczém nie wydały nam się karygodnemi; a jednak numer *Dziennika* został skonfiskowany i nader przykrą i ścisłą rewizyę odbyto w mieszkaniu odpowiedzialnego redaktora pana Żychlińskiego. Nie pojmujemy podobnego postępowania ze strony tak silnego rządu jak pruski. W każdym razie powinszować sobie tylko możemy, iż u nas coś podobnego dziś staćby się nie mogło i że najsurowszy prokurator nie mógłby inkryminować podobnie umiarkowanego artykułu.

Nareszcie najlepszym dowodem zapatrywania się rządu pruskiego na stanowisko prawne jego poddanych polskich, jest wciągnięcie W. Księstwa Poznańskiego do północnego Związku niemieckiego, w skutek czego odbywać się właśnie będą wybory w téj prowincyi do owego parlamentu. Nie wątpimy, iż polscy posłowie udadzą się do północnego niemieckiego parlamentu jedynie aby zaprotestować przeciw niesłychanemu pogwałceniu zasady, w imieniu której sam parlament niemiecki się zbiera i w imieniu której Prusy do Niemiec przemawiają. W każdym razie stanowisko posłów polskich będzie tam anormalne, i gdyby nie inne względy, które przeważyły, bylibyśmy zawsze prędzéj pojęli zupełną w tym przypadku abstencyę. Nie wątpimy, że posłowie poznańscy godnie wywiążą się z równie trudnego jak przykrego zadania. Przyjęcie w tych warunkach mandatu jest prawdziwym czynem poświęcenia.

Sprawy polskie tak obfitego dostarczyły nam w tym miesiącu materyału, iż nie pozostaje nam wiele miejsca dla innych. Nie możemy jednak pominąć milczeniem dekretu cesarza Napoleona z 19go b. m. zaprowadzającego ważne zmiany w praktyce konstytucyjnéj cesarstwa. Dwie są odrębne części w tym dekrecie; pierwsza znosząca prawo dyskusyi nad adresem, druga nadająca Izbom prawo interpelacyi i dozwalająca wszystkim ministrom stawać przed Izbami. Pojmujemy wybornie, iż rząd nie chciał, nie mógł nawet zezwolić w tym roku na dyskusyę

adresową, która podnosząc wszystkie niepowodzenia polityki napoleońskiéj i wyświecając wszystkie jéj błędy, byłaby się stała potężną bronią w rękach opozycyi i byłaby mogła obudzić w narodzie uczucie nader dla dynastyi niebezpieczne, bo uczucie upokorzonéj dumy narodowéj. W takiéj dyskusyi rząd nie mógłby był równie łatwo i snadnie się bronić, jak to uczynił w pamietnym okólniku p. Lavalette. Nie pozostawało więc nic jak jedném pociągnięciem pióra usunąć tę niedogodność i odjąć Izbom niedawno przyznane im prawo. Lecz z drugiéj strony rząd nie ośmielił się i nie czuł się dość silnym aby przyjąć rolę reakcyjną, piękne czasy ministerstwa Espinasse już bezpowrotnie minęły, trzeba było więc ocukrzyć gorzkie lekarstwo, dla tego téż dekret przyznaje prawo interpelacyi i wpuszcza ministrów do Izby. Dwie te koncesye nie zmieniają bynajmniéj dotychczasowego stanowiska rządu do Izb i Izb do rzadu, prawo interpelacyi będzie tak samo wyzyskiwane przez opozycyę jak prawo dyskusyi nad adresem, rząd zaś równie powie tyle tylko i o tyle tylko tłumaczyć się będzie, o ile zechce; ministrowie uczestniczyć będą w obradach Izb nie jako członkowie ministeryum, lecz jako komisarze cesarscy; zmiana ta korzystna może odnośnie do specyalnych spraw, nie ma jednak, jak to sam list cesarza do ministra stanu świadczy, znaczenia politycznego. Jednak niepodobna zapoznawać, iż obecność ministrów w Izbach pociągnie za sobą wcześniéj czy późniéj ich odpowiedzialność wobec ciał prawodawczych. Nareszcie cesarz w liście do ministra stanu zapowiada ważne zmiany tyczące się dziennikarstwa i prawa zgromadzeń. Nikt wyjąwszy rządowych dzienników nie może przyjąć zmian tych jako ukoronowanie budowy, jednak mają one cechę koncesyi zrobionéj coraz bardziéj wzrastającemu niezadowoleniu z istniejących instytucyj. Koncesye te jednak nie wywołały ani entuzyazmu ani zadowolenia, użyte one zostaną tylko aby nowe i inne wyzyskać. Gdyby dynastya była już zupełnie ustaloną, wszelkie liberalne koncesye obróciłyby się niezawodnie na jéj korzyść — lecz dziś, kiedy zbywa jéj na jednym z pierwszych warunków, bo na uroku, kiedy polityka zewnętrzna nie może zadowolnić dumy narodowéj, wszelkie koncesye stać się mogą bronią i środkiem do antidynastycznych dążności. Dynastya napoleońska z wolnością konstytucyjną wewnątrz a z upokorzeniem na zewnątrz, byłaby anomalią a raczéj niemożliwym i nietrwałym porządkiem rzeczy.

St. Koźmian.

KILKA SŁÓW
o młodzieży polskiéj kształcącéj się w Szwajcaryi.

Ostatnie wypadki w nieszczęśliwéj naszéj Ojczyznie zmusiły wielu do szukania schronienia za granicami kraju, mianowicie we Francyi i w Szwajcaryi.

We Francyi rząd cesarski przyszedł tułaczom w pomoc, w Szwajcaryi zajęli się prywatni obmyśleniem środków egzystencyi dla nieszczęśliwych. Zdrowy rozum narodu szwajcarskiego kazał mu przedewszystkiém zająć się młodzieżą pragnącą oddać się zawodowi naukowemu, wychodząc z téj zasady: „że gdzie liczny jest zastęp światłych i specyalnie wykształconych obywateli, tam o przyszłości narodu wątpić nie można.“

Trzy niżéj zamieszczone dokumenty:

Odezwa komisyi wsparcia do Polaków;

Sprawozdanie rachunków tejże komisyi;

Podziękowanie młodzieży polskiéj dla szwajcarskich jéj protektorów — pokażą nam w jakim stanie znajduje się obecnie sprawa uczącej się młodzieży w zakładach szwajcarskich i co mieszkańcom Ks. Poznańskiego i Galicyi uczynić w téj sprawie należy.

ODEZWA
KOMISYI WSPARCIA DLA UCZNIÓW POLSKICH
do mieszkańców Galicyi i Ks. Poznańskiego.

Po świeżéj a nieszczęśliwéj walce o niepodległość, utworzyła się nowa emigracya za granicą. Wielu z nieszczęśliwych

tych rozbitków znalazło przytułek w Szwajcaryi, a przyjaciele sprawy polskiej w tym kraju zajęli się natychmiast obmyśleniem środków w celu ułatwienia mniéj zamożnéj młodzieży ukończenia nauk. Komisya wsparcia od dwóch lat istniejąca wywierała jak najdobroczynniejsze skutki w tym kierunku. Pewna liczba młodzieży polskiej otrzymująca miesięczne wsparcia oddawała się gorliwie naukom specyalnym tak na Politechnice jak na Uniwersytecie w Zürich. Niektórzy pokończyli już nauki i otrzymali świadectwa, które im dopomogą do otrzymania stanowiska niepodległego. Polska znajdzie w nich kiedyś ludzi w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiéj specyalnie wykształconych, którzy przyczynią się do rozwoju jéj bogactwa narodowego i do postępu prawdziwego światła.

Po inicyatywie uczynionéj przez Szwajcarów przyjaciół Polski, niektórzy obywatele Galicyi i W. Ks. Poznańskiego przyszli w pomoc komitetowi, lecz wsparcie to wkrótce okazało się niedostateczném. Jedynie komitetowi inwalidów polskich założonemu w Szwajcaryi, który upoważniony przez założycieli, swoich funduszów na wsparcie młodzieży użyczył, zawdzięczyć potrzeba, że udzielanie miesięcznego wsparcia żadnéj przerwy nie doznało. Przerwa ta jednak nastąpić musi koniecznie, jeżeli mieszkańcy Galicyi i Ks. Poznańskiego przestaną nas zasilać. Życzyćby należało, aby w tym celu pozawiązywano komitety w kraju, któreby się zajęły przesyłką regułarną funduszów w kwartalnych ratach, bo tym tylko sposobem komisya będzie mogła ustalić równowagę w swoim budżecie. Ponieważ te komitety nie będą miały nic wspólnego z polityką, władze miejscowe żadnych trudności stawiać nie będą.

Rachunki które załączamy, przekonają każdego o ważności zadania, jakie sobie komisya wsparcia założyła i jak się z przyjętego obowiązku wywiązała; dzisiaj, kiedy już znaczne osiągnięto korzyści, kiedy zwinięcie komisyi z braku funduszów pociągnęłoby za sobą zgubne następstwa, uważamy za obowiązek nasz odezwać się do uczucia narodowego Polaków w Galicyi i Poznańskiém, aby dzieło powstałe za przyczynieniem się i współudziałem Szwajcarów, skutecznie wesprzeć chcieli. Spo-

dziewamy się, że odezwa nasza nie pozostanie bezskuteczną i że Polsce znakomitą odda się tym sposobem usługę.

Zürich 18 listopada 1866.

Prezes: *Karol Walder*, komendant i członek Wielkiéj Rady.
Vice-Prezes: *Władysław* hr. *Plater*.
Dr. *Gustaw Zeuner*, dyrektor szkoły politechn.
E. Landolt, prof. i vice-dyrektor szkoły politech.
Homberger, członek Rady kantonalnéj.

Przesyłki uskuteczńia się pod adresem: *à la maison de banque des Héritiers Schulthess à Zürich.*

Rezultat komisyi w sprawie dla młodzieży polskiéj był następujący:

Przychód:

Składki zebrane w Szwajcaryi r. 1664 i 1865	2,763 fr.	—	cent.
Składki nadeszłe z Polski w r. 1864 i 1865	2,266 „	70	„
Zaliczka z funduszu inwalidów	1,634 „	15	„
Razem	6,663 „	85	„

Rozchód:

Wsparcie wypłacane przez komitet polski w Zürichu od stycznia 1864 do kwietnia 1865 r.	578 fr.	—	cent.
Wsparcie wypłacane z funduszu specialnego dla uczniów polskich od kwietnia 1865 do stycznia 1866 r.	3,250 „	70	„
Wsparcie wypłacane w ciągu r. 1866 . .	2,385 „	15	„
Koszta utrzymania bióra, druku i poczta przez lata 1864, 1865 i 1866 . . .	450 „	—	„
Razem	6,663 „	85	„

Zürich 30 grudnia 1866.

Prezes: *Karol Walder*, komendant i czł. Wielkiéj Rady.
Vice-Prezes: *Władysław* hr. *Plater*.

Do Redakcyj dzienników krajowych.

Niżéj podpisani uczniowie szkoły politechnicznéj i uniwersytetu w Zürychu pragnąc wyrazić swą wdzięczność szlachetnym Szwajcarom, którzy przez przyjaźń dla sprawy polskiéj zajęli się losem ubogich współtowarzyszy naszych, i od dwóch przeszło lat dają im możność wzbogacania umysłu swego skarbami wiedzy, która w przyszłości na pożytek kraju tylko użytą być może, uważamy obecną chwilę za najwłaściwszą do uskutecznienia téj chęci, gdy mężowie Ci, przedstawiając krajowi rezultaty swych czynności, domagają się od ziomków naszych poparcia i podtrzymania rozpoczętego dzieła.

Mamy nadzieję, że usiłowaniom tym, patryotyzm polski, nie tylko nie pozwoli upaść, lecz że ją rozwinie, i ugruntuje Instytucyę, która stojąc na wysokości idei narodowéj, upatrywać będzie w kształceniu umysłu i serca młodego pokolenia główną podstawę dla kraju naszego, i posłannictwo za nim tęskniącéj młodzieży polskiéj na obcéj ziemi.

Temu obowiązkowi, ćwicząc się w naukach specyalnych, staramy się o ile możności zadość uczynić, i upatrując w jego spełnieniu rękojmię istotnego patryotyzmu, mniemamy, że stajemy się godnymi Matki naszéj Polski. Udajemy się do niéj z Synowską ufnością, aby braciom naszym pozbawionym możności dalszego kształcenia się uczyniła je możebnym, utrwalając szlachetnie rozpoczęte dzieło przez Szwajcarów których odezwa z dnia 18go b. m. wywołać tylko może wdzięczność w każdém sercu polskiém.

Dnia 2go Grudnia 1866 r.

Uczniowie szkoły politechnicznéj i Uniwersytetu.

Jan Cieślikowski. — Bonifacy Dombkowski — Wacław Ibiański. — Wincenty Olewiński. — Ludwik Raciborski. — Bolesław Vogdt. — Józef Witkowski. — Ludwik Michalski. — Stanisław Ziembiński — Napoleon Gładysz. — Alojzy Teleszyński. — Franciszek Wentzel. — Józef Krzymowski. — Kizimierz Latkowski. — Bron. Zukowski. — Karol Eustachiewicz. Jan Sobolewski. — Godzimirski. — Witkowski. — St. Matuszewicz. — Zołnowski. — Milewski. — Mieczysław Olsiewicz. — Konst. Zaborowski. — Wł. Roguski.

Omyłki druku w VII Zeszycie.

Str. 108, wiersz 9 od dołu — *zamiast* dwunastego — *czytaj* trzynastego.
Str. 110, wiersz 14 od dołu — *zamiast* statua dla Austryi zrobiona przez Susippa — *czytaj* statua Austryi zrobiona przez Lysippa.
Str. 123, wiersz 10 od dołu — *zamiast* zachcenie — *czytaj* zachowanie.
Str. 124, wiersz 6 od góry — *zamiast* bylibyśmy — *czytaj* byliśmy.
Str. 142, wiersz 10 od góry — *zamiast* zniszczenia — *czytaj* zniemczenia.
Str. 147, wiersz 13 od góry — *zamiast* do rosyjskiéj — *czytaj* do rosyjskiéj polityki.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawiera będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	12 Złr. w.
„ półrocznie	6 „ „
„ kwartalnie	3 „ „
W Prusach	8 Talarów
We Francyi	25 Franków
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	1 Złr. 50

OZNAJMIENIE.

Administracya Przeglądu Polskiego przyjmować będ wszelkiego rodzaju inseraty za cenę 6 centów od wiersza. S pel w ilości 30 centów za każde pojedyńcze ogłoszenie pł się osobno. Interesowani w téj mierze zechcą się zgłosić o biście lub pisemnie do bióra Redakcyi przy ulicy Gołęl pod L. 173.

PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT IX.

1go Marca 1867.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.



PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT IX.

Miesiąc Marzec 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW,

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,

pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1867.

RZECZ
o podatkach i ich reformie.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ TRZECI.
O podatkach niestałych.

Podatki niestałe te mają nad stałemi wyższość, że obciążają opodatkowanego tylko o tyle i wtedy, jak ma chęć i środki wzięcia tego ciężaru na siebie. Aby utrzymać jednak swój charakter, powinny one być nałożone na artykuły zbytkowne, chociaż powszechnie używane, a nie na potrzeby codziennego życia, których konsumcya w skutek opodatkowania ze szkodą na pomyślność krajową zmniejszyćby się mogła. Podatki niestałe w Austryi nie są wolne od tego zarzutu. System podatków niestałych znacznie został w przeciągu ostatnich lat kilkunastu rozwinięty i zreformowany. Dzisiaj obejmuje on *):

1) Podatek konsumcyjny od wyrobu trunków gorących i innych przedmiotów zaprowadzony w prowincyach niemiecko-słowiańskich patentem z d. 1go listop. 1829, a w krajach węgierskich dopiéro w r. 1851.

Pomiędzy przedmiotami opłacającemi podatek konsumcyjny, pierwsze miejsce zajmuje spirytus.

a) Prawem z r. 1835 podatek od spirytusu oznaczony został na 9 kr. m. k. od każdego wiadra naczyń fermentacyjnych; Galicya jednak płaciła o $1/3$ mniéj aniżeli inne prowincye, to jest 6 kr. od wiadra. Ze wzmagającemi się potrzebami państwa podatek od spirytusu znacznie został podwyższony: w r. 1849 podniesiono go na 10 kr., przy któréj to sposobności

*) Wszystkie cyfry w tym rozdziale użyte, wyjęte są z dzieła: *Die indirecten Abgaben Oesterr. in den Jahren 1847, dann 1850—1859. Herausgegeben vom Finanz-Ministerium. Wien 1860.* Pieniądze wyrażone są w walucie austryackiéj.

Galicya z innemi prowincyami zrównaną została, w roku 1853 na 14 kr., w r. 1856 na 18 kr., a w r. 1859 powiększono go dodatkiem wojennym 20%. W r. 1862 porzucono dawniejszy system opodatkowania, nakładając podatek na ilość wyprodukowanego spirytusu w wysokości 6²/₃ kr. od stopnia. Nowy ten system opierał się na racyonalniejszéj podstawie i byłby prawdziwém dobrodziejstwem dla kraju, gdyby w wykonaniu nie napotykał na trudności i gdyby dla niedoskonałości naczyń zegarowych służących do wymierzenia wyprodukowanego spirytusu nie ułatwiał defraudacyi, utrudniających konkurencyę uczciwym producentom. Nareszcie w przeszłym roku doczekaliśmy się zastąpienia systemu zegarowego systemem ugodnym najkorzystniejszym dla skarbu, a najdogodniejszym dla producenta.

Podatek od spirytusu miał zawsze dla Galicyi szczególne znaczenie, już dla tego, że okowita należy do trunków gorących najwięcéj przez krajowców konsumowanych. A potém, że produkcya spirytusu stanowiąca jeden z głównych gałęzi przemysłu krajowego zrosła się także z gospodarstwem rolném dostarczającém gorzelniom potrzebnéj ilości kartofli. Galicya nie pamiąta tak pomyślnych chwil jak czasy, w których przy niskim podatku konsumcyjnym tysiące browarów było w ruchu, a woły opasowe stami szły do Wiednia i do Ołomuńca. Od r. 1849 ciągłe podwyższanie podatku wpłynęło na zamknięcie wszystkich mniejszych gorzelń niemogących już z przyczyn mechanicznych stosunkowo tyle co większe i doskonalszemi aparatami zaopatrzone, spirytusu produkować. Z upadkiem małych gorzelń ucierpiało niesłychanie rolnictwo, zmniejszyła się ilość nawozu i inwentarża, a tém samém i produkcya zboża zmniejszyć się musiała. Wszystkie te fakta udowodniliśmy już cyframi w pierwszym rozdziale, tutaj załączamy jeszcze tabelę dziesięcioletniéj produkcyi spirytusu.

W Galicyi Wschodniéj wynosiła:

w roku	Ilość gorzelń		Objętość naczyń fermentacyjnych opłacających podatek wiader n. austr.	Ilość gorzelń opłacających całorocznego podatku guldenów			
				od 1 do 100	od 100 do 1000	od 1000 do 8000	wyżéj 8000
1851	283	470	6,920,214	122	244	385	2
1852	264	351	8,785,872	118	226	271	—
1853	264	365	7,934,469	183	277	165	—
1854	249	359	6,865,975	108	234	266	4
1855	254	313	6,770,508	112	163	292	—
1856	241	289	3,374,179	91	83	356	—
1857	190	304	5,881,889	76	76	300	42
1858	148	220	7,009,834	72	43	304	49
1859	133	367	8,906,226	42	49	336	73
w Galicyi Zachodniéj:							
1851	24	145	764,812	20	116	33	—
1852	21	153	679,247	43	113	18	—
1853	16	141	605,112	20	104	33	—
1854	11	113	436,572	17	72	35	—
1855	7	90	410,797	11	54	32	—
1856	8	93	548,762	7	37	57	—
1857	10	126	1,165,722	2	16	117	—
1858	22	133	1,113,580	5	40	110	1
1859	12	147	1,367,656	3	35	121	—
w całéj Galicyi:							
1863	695		—	130	152	266	247

Podatek zaś od spirytusu przynosił:

w roku	w Galicyi Wschodn.	w Galicyi Zachod.	Razem
1847	—	—	860,923
1850	—	—	1,499,679
1851	1,051,851	140,228	1,192,079
1852	1,334,573	118,369	1,452,942
1853	1,231,426	107,212	1,338,638
1854	1,413,834	97,148	1,510,982
1855	1,401,731	95,970	1,497,701
1856	1,327,177	128,670	1,497,701
1857	1,548.412	325,922	1,874,334
1858	1,841,203	306,016	2,147,219
1859	2,391,474	375,986	2,767,460
1863	—	—	4,435,923
1864	4,187,827	575,788	4,763,615
1865	2,812.639	443,088	3,255,727

Zastanawiając się nad temi cyframi spostrzegamy, że w 9cio-letnim okresie (1850—59) w Galicyi Wschodniéj zmniejszyła się ilość gorzelń o 50%, objętość naczyń fermentacyjnych, od których opłaca się podatek, powiększyła się o 35%, a sam podatek podniósł się o 139%. W Galicyi Zachodniéj ilość gorzelń zmniejszyła się o 7%, objętość naczyń powiększyła się o 86%, a podatek o 185%. Porównując zaś r. 1851 z r. 1863 widzimy w całéj Galicyi zmniejszenie się gorzelń o 33%, a wzrost podatku o 344%. Szczególniéj zastanawiać musi wzmaganie się gorzelń wielkich płacących wyżéj jak 8000 fl. podatku rocznie, a których w r. 1851 było 2, a w r. 1863 247. Zyskuje może na tém przemysł, ale traci rolnictwo.

Porównywując Galicyę z innemi krajami koronnemi pod względem podatku od spirytusu, zobaczymy, że w r. 1859 płaciła Galicya podatku tego ośm razy tyle co Niższa Austrya, cztéry razy co Morawa, dwa razy tyle co Czechy, a prawie równie tyle co Węgry. Że gorzelnictwo od roku 1847 znacznie upadło w Galicyi, dowodzi już ten fakt, że w r. 1847 połowa prawie podatku od spirytusu opłacanego w całéj monarchii płaconą była przez Galicyę, w r. zaś 1856 tylko trzecia część, a w r. 1863 czwarta część. Wprawdzie przyczynił się do téj zmiany wzrost gorzelnictwa w innych prowincyach, i tak sama Niższa Austrya w r. 1859 opłacała podatku od spirytusu sześć razy tyle, a Czechy cztery razy tyle co przed 12 laty.

Podatek od spirytusu w r. 1863 dosięgnął w Galicyi wysokości podatku gruntowego. Jest on téż w części niczém inném jak podatkiem od produkcyi kartofli i łączy się z podatkiem gruntowym, aby wspólnie z nim przygniatać ziemię. Przy obecnych bowiem stosunkach zmuszony jest rolnik spirytus nawet ze stratą produkować, aby spieniężyć swe kartofle, wyżywić inwentarz i znawozić grunta. A czyliż zamknąwszy gorzelnię i tak nie jest narażony na zupełną stratę utopionego w budynku i w maszynie kapitału? przecież już w r. 1856 wartość zamkniętych gorzelń galicyjskich na 7,950,000 szacowano.

Podatek gorzelniany stanowił dotąd jednę z najboleśniejszych ran Galicyi, i dostarczał jéj przedmiotu do słusznych zażaleń kilkakrotnie wymownie we Wiedniu wypowiedzianych, a przez tak długi czas nieuwzględnionych. Teraźniejszy system

opodatkowania lepsze wprawdzie rokuje nadzieje. Ale Galicya przy niższym stanie przemysłu gorzelnianego i przy tańszéj cenie spirytusu, a przedewszystkiém przy sąsiedztwie Węgier, już z natury tyle żyzniejszych, gdzie nadto podatek od spirytusu nigdy należycie przeprowadzonym nie był, zasługiwałaby na coś więcéj.

Zdaje nam się, że prawo z r. 1835 stanowiąc dla Galicyi opłatę od produkcyi spirytusu o $1/3$ niższą aniżeli dla innych prowincyi, dało dowód wielkiéj znajomości stosunków naszéj prowincyi, i przywrócenia napowrót tego dobrodziejstwa powinnaby się Galicya na nowo dopominać.

Mniejszą wagę ma dla Galicyi podatek konsumcyjny od innych przedmiotów a mianowicie od piwa, wina, mięsa i cukru. Podatek od piwa płaci się według ilości wyprodukowanego przedmiotu, wychodząc jednak z przypuszczenia, że każde wiadro naczyń fermentacyjnych produkuje przynajmniéj 12 stopni piwa. Od każdego stopnia oznaczonego na cukromierzu (sacharometrze) płaci się:

w Czechach	$3\,1/4$	kr. m. k.
we Węgrzech *cum partibus adnexis*	3	„ „
w Galicyi	$2\,1/2$	„ „
w innych krajach	$3\,1/2$	„ „

W taryfie téj uderzać musi oszczędzanie Galicyi pod względem podatku piwnego, podczas gdy podatek od spirytusu, artykułu nader dla naszéj prowincyi ważnego, jest ten sam co gdzieindziéj. Zdawałoby się, że rząd szczególniéj chce u nas protegować produkcyę piwa.

Po większych miastach piwo stanowi jeden z głównych przedmiotów dotkniętych akcyzą miejską. We Lwowie i Krakowie podatek ten jest jednak znacznie niższy aniżeli w stolicach innych krajów koronnych.

Podatek od wina pobierany bywa według różnych systemów. Przeważa jednak opodatkowanie od ilości szynkowanego po miastach wina. Projekt reformy, która chciała podatek od wina nierówno na różne prowincye rozłożony, nadal w jednéj wysokości na wszystkie kraje koronne monarchii rozciągnąć, dla oporu ze strony Węgier nie wszedł wcale w wykonanie, choć już w r. 1860 najwyższą sankcyę był otrzymał.

Podatek od cukru nałożony jest na każdy korzec buraków do fabrykacyi przeznaczonych i płaci się albo po 18 kr. m. k. od cetnara buraków surowych, lub po 1 fl. 39 kr. od cetnara buraków wysuszonych. Pobór podatku od cukru równie jak i od wina znacznie uproszczony został przez coraz szersze zastosowanie systemu ugód (*Abfindung*).

Podatek od mięsa wymierzany bywa według stałéj taryfy pochodzącéj z roku 1862.

Podatek ten wynosi:

	I klasa.		II klasa.		III klasa.	
1. od wołów, krów i cieląt wyżéj 1 r. od sztuki	4 fl.	20 kr.	3 fl.	15 kr.	2 fl.	10 kr.
2. cieląt niżéj 1 r. „	— „	70 „	— „	52½ „	— „	35 „
3. owiec lub kóz „	— „	26½ „	— „	21 „	— „	14 „
4. jagniąt ważących mniéj niż 25 fnt. od sz.	— „	17½ „	— „	14 „	— „	9 „
5. świń aż do 35 fnt. „	— „	52½ „	— „	35 „	— „	26½ „
6. świń wyżéj „ „ „	1 „	5 „	— „	79 „	— „	52½ „
6. od cetnara świeżego mięsa	— „	87½ „	— „	70 „	— „	44 „

Do 1széj klasy należą miejscowości liczące wyżéj 20,000 mieszkańców, do 2giéj 10,000 do 20,000 mieszkańców, a do 2ciéj niżéj 10,000 mieszkańców.

Chociaż podatek od mięsa nie jest sam w sobie zbyt wysoki, to jednak uderzać musi jego niesprawiedliwa podstawa. Płaci się go bowiem od sztuki przeznaczonego na rzeź bydlęcia bez żadnego względu na jego wartość i na jego wagę. W skutek tego Galicya, gdzie i mięso tańsze i bydło mniejsze jak w innych prowincyach austryackich, znowu jest w stosunku do nich przeciążona. Dowiódł tego wymownie na tegoroczněj sesyi sejmu galicyjskiego p. Kornel Krzeczunowicz, wykazawszy rażącą sprzeczność pomiędzy wysokością wypadającego w Galicyi na głowę mieszkańca podatku od mięsa, a powszechnie znaną mało rozpowszechnioną konsumcyę tego artykułu w naszym kraju.

W miastach pierwszego rzędu t. j. w stolicach krajów koronnych i w niektórych innych większych miastach opłacany bywa podatek konsumcyjny czyli akcyza od wielu tutaj wcale nie wymienionych przedmiotów. Akcyza pobiera się zwykle

przy wejściu artykułu opodatkowanego w obręb miasta, ku temu celowi pilnie po wszystkich rogatkach przez straż miejską strzeżonego, a przy wyjściu znowu zwracana bywa. Z galicyjskich miast zaprowadzona jest akcyza tylko w Krakowie, Lwowie i Brodach,

Ogółem wynosił podatek konsumcyjny opłacany przez Galicyę:

w latach	podatek od piwa	od wina	mięsa	cukru	innych przedmiotów	wraz z pod. od spirytusu ogólna summa
1847	246.213	48.705	498.134	—	138.076	1,792.051
1850	381.075	43.936	483.782	312	184.081	2.615.865
odtąd *a)* w Galicyi wschodniéj:						
1851	227.435	36.095	431.174	20.579	92.998	1.860.132
1852	224.876	35.981	351.745	30.264	93.294	2.170.833
1853	206.466	32.875	452.569	17.068	111.090	2.051.494
1854	235.210	37.187	476.608	61.944	133.400	2.358.385
1855	202.004	41.024	486.710	58.038	139.826	2.329.335
1856	161.186	24.706	346.696	64.180	113.019	2.036.964
1857	212.340	22.546	356.684	130.515	117.994	2.398.491
1858	356.737	22.741	363.857	224.850	115.725	2.925.113
1859	402.464	21.577	377.232	244.045	119.349	3.556.641
b) w Galicyi zachodniéj:						
1851	113.004	448	11.845	1.293	59.488	326.206
1852	96.846	368	11.689	720	61.189	289.181
1853	97.100	1.315	11.817	5.811	67.012	290.167
1854	71.285	250	12.464	4.188	67.012	252.347
1855	84.131	364	11.753	3.084	65.256	260.558
1856	92.073	18.370	142.165	4.295	75.295	460.868
1857	146.011	21.519	150.917	7.546	75.298	727.215
1858	227.944	21.341	158.063	8.070	82.823	804.257
1859	233.088	23.346	160.891	13.600	90.233	897.144
w całéj Galicyi:						
1863	667.181	51.892	589.085	—	—	6,403.768
1864	733.832	45.462	520.194	202.073	391.342	7,055.317

Zastanówmy się nad znaczeniem przytoczonych tutaj cyfer.

Podatek od piwa chociaż mniejszy aniżeli w innych krajach koronnych, nie wiele jednak wpłynął na rozwój téj gałęzi przemysłu w Galicyi. Wprawdzie należytość podatkowa podwoiła się prawie w latach 12 (1847—1859) ale ilość wyprodukowa-

nego piwa stała w mierze. Wyrobiono bowiem w Galicyi wschodniéj w roku 1847 wiader 469.999,
„ 1859 „ 476.511;
w Galicyi zachodniéj
w roku 1850 wiader 218.506.
„ 1829 „ 291.146.

Ilość browarów w tychże samych okresach czasu zmniejszyła się prawie o połowę (w r. 1847 było ich 343, w r. 1859 182) w Galicyi wschodniéj, a powiększyła się o 29% w zachodniéj. Zresztą powtórzył się tutaj fakt, któryśmy w gorzelniach dostrzegli, że połowa mniejszych browarów piwnych płacących podatku mniéj jak 1000 fl. w. a, zamkniętą została, ilość zaś browarów większych płacących rocznie wyżéj 5000 fl. podatku, o jednę trzecią część wzrosła. Innych rezultatów doczekał się w 12letnim okresie przemysł piwny w Czechach, Niższéj Austryi i Styryi: tam potroił się wprawdzie podatek, ale i produkcya piwa w dwójnasób się wzmogła. Czemu ten fakt przypisać, czy większéj przedsiębiorczości przemysłowéj, czy téż względniejszemu zastósowaniu systemu opodatkowania, nie umiem wyjaśnić.

Podatek od wina zmniejszył się w Galicyi pomiędzy r. 1847 a 1859 o 25%. Ponieważ zaś w tym czasie ani stopa podatkowa spadła, ani sposób poboru tego podatku na lepsze się zmienił, przeto fakt ten każe wnosić, że i konsumcya wina w tych latach znacznie się w Galicyi uszczupliła.

Podatek od cukru powiększył się w Galicyi wschodniéj w latach 1851—1859 dziesięć razy. Ten nagły wzrost przypisać należy rozwinięciu się cukrowni w Tłomaczu, która po kilku latach pomyślnych w skutek różnych niekorzystnych okoliczności i błędów zarządu, nakoniec zbankrutowała.

Podatek konsumcyjny od mięsa wynosił w Galicyi
w roku 1847 . . . . . . 497.178 fl.
„ 1859 . . . . . . 538.123 „
„ 1863 . . . . . . 589.085 „
co stanowi wzrost o 18%. Zważywszy zaś na podwyższenie stopy podatkowéj o 20%, pokaże się, że Galicya mniéj dzisiaj mięsa konsumuje, aniżeli przed 12 laty. Wprawdzie od bydła bitego na domowy użytek nie opłaca się podatku konsumcyjnego, a zatém ilość takowego wyjęta jest z pod kontroli. Ale

większa surowość w zastósowaniu i w przeprowadzeniu przepisów do podatku konsumcyjnego od mięsa odnoszących się, pozwala nam twierdzić, że dzisiaj mniéj bydła bitego na domowy użytek wolném jest od opłaty podatkowéj, aniżeli pierwéj. Przecież Galicya zachodnia płaciła

w roku 1858	11.753 fl.
a w rokn następnym . .	142.165 fl.

w skutek wydzierżawienia podatku od mięsa i przyjętego przez dzierżawców systemu ugód. P. Krzeczunowicz wykazawszy, że podług zestawień z lat 1850—59 wypadało podatku od mięsa przeciętnie na jednę głowę mieszkańca

w Galicyi (bez Krakowa)	11.3 kr.
w Karyntyi	11.5 „
w Kranie (bez Lublany)	11.2 „
w Morawii	9.8 „
w Czechach	8.9 „
w Szląsku	6.2 „

szuka przyczyny téj dysproporcyi po części we wykonaniu ustaw, głównie jednak w samych ustawach stanowiących zasadę, iż podatek wymierza się od sztuki bydła bez uwzględnienia wagi bydła i ceny mięsa. Zdaniem naszém szczególny nacisk położyć trzeba na przepisy wykonawcze, które jedynie wytłomaczyć nam mogą, dla czego Karyntya płaciła w roku 1857 91.839 fl. a w roku 1858 34.151, przeciwnie zaś Galicya zachodnia w r. 1858 11.753 fl. a w r. 1859 142.265 fl.

Również i skuteczność uchwały naszego sejmu galicyjskiego, według któréj taryfa podatku konsumcyjnego od mięsa ma być ustanowioną dla każdego kraju koronnego z osobna, z należytém uwzględnieniem przeciętnéj wagi bydła i przeciętnéj ceny mięsa tego kraju, zależeć będzie całkiem od przeprowadzenia. Przedewszystkiem należałoby się postarać o odpowiednie cyfry, któreby niezbitą słuszność naszych wymagań i niewątpliwość podatkowego przeciążenia naszego kraju wykazały. Zestawienie tych cyfer przypadnie w udziale Wydziałowi krajowemu, który dalszych kroków w obranym raz kierunku czynić nie omieszka, pomimo nawet nieprzychylenia się wysokich władz do uchwały sejmu w miesiącu marcu powziętéj.

Podatek konsumcyjny od wyszczególnionych tutaj przedmiotów jaki płaciła Galicya w r. 1863 był cztery razy tak

wielkim aniżeli podatek w r. 1847. Wprawdzie nie produkuje obecnie Galicya więcéj spirytusu i piwa, aniżeli przed 16 laty, a prawdopodobnie mniéj konsumuje wina i mięsa, zwłaszcza że i ludność w téj epoce się zmniejszyła, ale mimo tego taryfy podatkowe iść do góry wcale nie przestały. Tylko lata głodu 1852 i 1855 stanowią wyjątek, bo zresztą podwyższenie stopy opodatkowania działało tak skutecznie, że dochody Państwa coraz bardziéj wzrastały. Czy stan taki potrwa długo? czy będzie można z równą skutecznością czerpać na przyszłość w kieszeniach poddanych nie zasilanych świeżą produkcyą? na te pytania odpowiedzieć musi obecne położenie kraju, upadek przemysłu, głód i śmiertelność, któréj ani skąpa pomoc ubogiego skarbu publicznego, ani pochwały godne usiłowania i zabiegi kraju nie zdołają odwrócić.

2. Stemple, opłaty i taksy.

Papier stemplowy pojawił się w Austryi poraz pierwszy z końcem 17go wieku, a od r. 1762 wszedł w stałe użycie. Ustawa stemplowa składała się przez czas długi z dziwnego konglomeratu różnorodnych i nieraz całkiem ze sobą sprzecznych przepisów, które w części tylko rozporządzeniami z lat 1840 i 1847 w ład wprowadzone zostały. Dopiéro prawo z 9go lutego 1850 r. ułożyło ten rozległy przedmiot w pewien system. Prawo to zajmuje się w osobnych rozdziałach stemplami, opłatami i taksami. W nim dopiéro należytość stemplowa od czynności sądowych i dokumentów publicznych oznaczoną została według niezmiennéj skali. Oprócz tego nałożono stempel na kalendarze, karty, gazety krajowe i zagraniczne, ogłoszenia prywatne, świadectwa służbowe, podania do władz i dokumenta prywatne. Opłaty od przeniesienia własności rozróżniają przedewszystkiem rzeczy ruchome od nieruchomych. Równie na jedne jak i na drugie wyznaczone zostały dwie skale, także od rzeczy ruchomych płaci się $\frac{1}{4}$% i $\frac{1}{20}$% a od rzeczy nieruchomych $3\frac{1}{2}$% i $1\frac{1}{2}$% wartości przedmiotu, stósownie do tego, czy przeniesienie własności nastąpiło za wynadgrodzeniem lub też darmo. Od wyroków sądowych i od wcielenia hipotecznego tytułu własności (wyjąwszy wypadek przeniesienia własności w skutek kupna i sprzedaży, w którym to razie nie opłaca się osobnéj opłaty od wpisu hipotecznego),

wypada opłata we wysokości $^1/_2$% wartości przedmiotu. Nareszcie należy tu i podatek spadkowy wynoszący 1, 4 i 8% wartości przedmiotu spadkowego według bliższego lub dalszego stopnia pokrewieństwa spadkodawcy ze spadkobiercą.

Zatrzymując podział przyjęty przez prawo i wskazany naturą przedmiotu, cytujemy dochód, jaki przyniosły w Galicyi stemple opłaty i taksy w dziesięcioletniéj peryodzie pomiędzy 1850—1859.

1) Stemple:

Z roku	Dochód ze sprzedaży znaczków i papieru stemplowego	Dochód z wpłat wprost uczynionych	Ogólna summa wraz ze stemplami od kart, gazet i t. p.
1850	424.005	8.490	451.260
1851	391.042	19.438	487.936
1852	387.819	17.305	488.065
1853	404.619	29.027	513.290
1854	428.231	22.250	546.789
1855	491.317	26.163	582.467
1856	531.336	25.986	613.416
1857	518.849	33.758	594.553
1858	500.728	39.209	592.826
1859	604.983	42.182	701.199
1863	841.215	73.286	914.501

2) Opłaty:

z roku	od przeniesienia własności rzeczy nieruchom.	roczny aequiwalent 2% opłacany p. osoby mor.	od przenies. własności w skutek śmierci	od wyroków sądowych	od darowizn między żyjącymi	stałe opłaty	wcielenie w księgi hipoteczne
1850	15.718	—	238	141	187	43	5.968
1851	112.399	—	3.082	1.459	4.755	263	24.281
1852	180.669	4.741	16.850	4.860	11.992	1.203	35.185
1853	256.247	13.121	65.199	11.584	19.903	3.528	53.440
1854	272.234	78.713	85.589	15.805	24.071	1.881	44.757
1855	317.395	117.128	98.962	16.167	20.071	1.868	53.093
1856	389.977	92.101	104.627	13.565	29.670	2.002	45.649
1857	427.613	75.083	106.808	15.962	32.734	1.894	46.590
1858	434.874	74.818	156.946	17.338	44.901	2.093	49.622
1859	395.016	84.013	130.343	18.171	29.530	2.978	53.226
1863	518.774	107.127	212.326	36.287	54.869	—	71.701

3) Taksy:

z roku	opłaty razem	
1850	22.295	23.905
1851	146.241	83.012
1852	255.500	62.450
1853	423.022	45.767
1854	523.050	36.614
1855	625.438	53.039
1856	677.591	180.222
1857	706.684	95.341
1858	780.592	62.405
1859	693.277	55.221
1863	1,001.084	—

Zastanówmy się nad znaczeniem zacytowanych cyfer.

1. Co do stempla:

Dochód ze sprzedaży stempla w ciągu lat 10 bardzo się nieznacznie w Galicyi powiększył, a wzrost z r. 1859 tłómaczy się, nie rozszerzeniem użycia stempla, lecz dodatkiem wojennym 20%. Bliższe szczegóły dowodzą nawet, że w ostatnich latach mniéj sprzedano stempli na wyższe kwoty opiewających, aniżeli poprzednio, jak to wskaże następujące porównanie.

Sprzedano sztuk stempli

	na 20 fl.	na 1 fl.	na 30 kr. m. k.
w r. 1850	849	29.583	207.558
w r. 1859	611	26.837	189.120

czyli o tyle mniéj zawarto w r. 1859 interesów, kontraktów i umów na papierze stemplowym, aniżeli w r. 1850. Bardzo mało przynosił w Galicyi stempel na kartach, może dla tego, że Galicya żadnych fabryk kart nie posiada, chociaż przyznać trzeba, że i konsumcya kart jest teraz mniejsza niż poprzednio. Stempel od ogłoszeń prywatnych podniósł się o 100%, ciągle w bardzo niskiéj jest preliminowany cyfrze. Dochód ze stempla w Galicyi w porównaniu z innemi krajami koronnemi uważać należy za bardzo nieznaczny: w Czechach, które mają prawie tę samą ludność, jest on trzy razy większy, w Morawii przy daleko mniejszéj ludności ten sam, a nawet na małym Wybrzeżu z Istryą dochód ze stempla dorównuje dochodowi galicyjskiemu. Symptom to wcale niekorzystny i pokazuje jak na

dłoni wyższość przemysłową i handlową zachodnich krajów nad wschodniemi częściami monarchii. Wprawdzie często użycie stempla jest niezawisłém od woli albo dochodów tego, który go kupuje, ale częściéj jeszcze wynika z ruchu handlowego i świadczy o szybkim obrocie interesów.

2. Co do opłat.

Uderzać musi każdego mały dochód, jaki przynoszą opłaty od przeniesienia własności albo użytkowania rzeczy nieruchomych w Galicyi. Rubryka ta czyniła w dziesięcioletniem przecięciu u nas mniéj aniżeli w krajach o tyle od Galicyi mniejszych i uboższych, jako to: Wyższéj Austryi, Styryi, Voralbergu i Tyrolu a nawet w Serbskim Banacie, dwa razy mniéj aniżeli w Morawii; a przeszło cztery razy mniéj niż w Czechach. Jeden dowód więcéj stagnacyi wywołanéj brakiem kapitałów i powszechném ubóstwem. Nawet wykazy rządowe przyznają, że nieruchomości zmieniają w Niższéj Austryi i Wybrzeżu właścicieli co lat 15, w innych prowincyach zachodnich monarchii co lat 20, a w Galicyi co lat 25. Opłaty od przeniesienia własności w skutek spadku w korzystniejszym nieco stoją do innych krajów koronnych stosunku: stoją one prawie na równi z opłatami Morawii, Styryi i Wyższéj Austryi, a trzy razy tylko niżéj od czeskich. Ale to téż tutaj przeniesienie jest niezależne od woli właścicieli, a spadkobiercy chociaż z narażeniem całego mienia należytości od spadku skarbowi wypłacać muszą. Nareszcie taksy corocznie przez Galicyę opłacane dosyć przeważną stanowią kwotę, że to jednak źródło dochodów podrzędne i na które inne działają względy jak dobrobyt albo upadek materyalny kraju, przeto nie widzimy potrzeby dłużéj się nad tym przedmiotem zastanawiać. Stemple, opłaty i taksy razem wzięte czyniły w Galicyi w r. 1859 półtora miliona. Zwracamy tu jeszcze uwagę, w jak wprost przeciwny sposób działał dodatek wojenny z r. 1859 na dochód ze stempli i z opłat: podczas bowiem gdy pierwsze o 25% się wzmogły, drugie w tym samym stosunku spadły.

Zastanawiając się nad istotą stempli i opłat, w pierwszych widzimy wynadgrodzenie za pewne usługi oddawane przez rząd prywatnym, w drugich zaś zobaczyć musimy podatek od kapitału najszkodliwszy ze wszystkich. Szczególniéj musi on być uciążliwym dla Galicyi, gdzie własność nieruchoma prze-

ciążona podatkiem gruntowym, ma jeszcze ten nadzwyczajny ciężar do dźwigania. Zresztą podatek od przeniesienia własności jest jeszcze dla tego niesprawiedliwym, iż pobierany bywa od całéj wartości dóbr nieruchomych bez żadnego uwzględnienia ciążących na nich długów. Wprawdzie patent z r. 1850 stanowi pewne wyjątki, ale te są tak nie jasne, że nigdy nie przychodzą do zastósowania. W skutek tego wysoki nieraz spada podatek na nabywcę nieruchomości, który, jak to nieraz się zdarza w spadkach, oprócz tytułu własności, żadnéj zresztą nie osiągnął korzyści. Taki rezultat jest równie niemoralny jak przeciwny zasadom gospodarstwa krajowego.

3. Monopol soli.

Monopol soli stanowi jedną z główniejszych gałęzi dochodu państwa, i zajmuje prawie pierwsze miejsce pomiędzy podatkami niestałemi. Nie tutaj miejsce szérzéj się nad istotą monopolu w ogóle zastanawiać i w szczególności korzystne albo szkodliwe następstwa monopolu soli wykazywać. Mając galicyjskie tylko stósunki przed oczami, weźmiemy pod sciślejszy rozbiór produkcyę i konsumcyę soli w kraju naszym.

Galicya zachodnia wyprodukowała soli kamiennéj:

w latach	cetnarów	dochód ze soli	koszta produkcyi	dochód czysty
1847	1,331.063	2,943.233 fl.	539.871 fl.	2,403.362 fl.
1853	1,202.250	3,219.094 fl.	670.635 fl.	2,548.458 fl.
1856	1,568.682	4,236.870 fl.	866.523 fl.	3,370.346 fl.
1859	1,398.250	3,909.937 fl.	675.245 fl.	4,234.697 fl.
w 12letn. przecięc.	1,348.364.	3,561.673 fl.	686.240 fl.	2,875.433 fl.

Galicya wschodnia wyprodukowała warzonki:

w latach	cetnarów	dochód brutto	koszta produkcyi	dochód czysty
1847	334.026	2,475.406 fl.	302.053 fl.	2,173.353 fl.
1853	531.567	2,461.561 fl.	568.484 fl.	1,893.076 fl.
1856	503.106	2,737.650 fl.	625.653 fl.	2,111.996 fl.
1859	543.834	3,065.569 fl.	26.205 fl.	3,039.364 fl.
w 12letn. przecięciu	502.978	2,688.648 fl.	458.353 fl.	2,230.295 fl.

Jak ważną dla skarbu państwa jest sól galicyjska, pokazuje się ztąd, iż w 12letniém przecięciu 1847—59 produkowała Galicya zachodnia 40.58% soli kamiennéj a Galicya wschodnia 21.68% warzonki produkowanéj w całéj monarchii,

i że w téj epoce dochód ze soli galicyjskiéj wynosił 20% dochodu z całego monopolu soli.

Pomimo tego kopalnie galicyjskie nie przynoszą skarbowi takiego dochodu jakiby przynosić mogły. Pokazuje się to z następującego rachunku opartego na cyfrach przeciętnych z lat 12tu.

Monarchia austryacka produkuje soli rocznie		6,384.444 cetn.
przykupuje	„	349.206 „
razem cetnarów		6,733.650

Dochód z monopolu soli wynosi . . 35,494.066 fl.

Cena cetnara soli w przecięciu wynosi 5 fl. 15 kr.

Gdyby sól galicyjska sprzedawaną była tylko po cenie przeciętnéj, toby monopol soli w Galicyi przynosić powinien

brutto: 1,348.364 cetn. × 5 fl. 15 kr.	9,504.311 fl.
Przynosi rzeczywiście	6,250.321 fl.
a zatém	3,253.990 fl.

mniéj jakby mógł przynosić. Fakt ten tém więcéj zadziwiać musi, że sól w Galicyi nie taniéj, lecz drożéj aniżeli w innych prowincyach, a nawet znacznie wyżéj po nad ową przeciętną cenę 5 fl. 15 kr. sprzedawaną bywa. Według obowiązującego teraz rozporządzenia z 5go września 1858 r. kosztuje cetnar

warzonki w Hall (w salcburskiém)	4 fl. 25 kr.
Soli morskiéj w Dalmacyi	2 fl. 25 kr.
Warzonki w Maras-Ujwar (w Siedmiogrodzie) .	4 fl. —
Soli kamiennéj w Pograniczu Wojskowém . .	4 fl. 25 kr.
Soli kam. w Bochni i Wieliczce w Galicyi	od 5 fl. 75 kr. do 6 fl. 57 kr.
Warzonki w Galicyi wschodniéj	5 fl. 75 kr.

Cena soli w Galicyi, kraju najwięcéj soli produkującym, jest więc znacznie wyższą, aniżeli we wielu daleko od niéj zamożniejszych krajach zachodnich.

Że zaś saliny galicyjskie zamiast 10 tylko 6 milionów rządowi przynoszą, przypisać trzeba wywozowi soli galicyjskiéj za granicę, gdzie ona znacznie taniéj jak w kraju sprzedawaną bywa.

W ogóle Austrya więcéj produkuje soli, aniżeli jéj spożyć może. Wyrachowano bowiem, że w całéj monarchii konsumuje jeden mieszkaniec $15^{52}/_{100}$ funtów rocznie.

Produkcya soli wynosi	6,733.650 cetn.
Konsumcya	5,417.600 cetn.
Pozostaje . . .	1,316.050 cetn.

które za granicę wywożone zostają.

Przypuszczając że Galicya więcéj potrzebuje soli, aniżeli inne prowincye, tak żeby konsumcya 20 funtów rocznie na głowę mieszkańca wynosiła, toby konsumowała ona tylko 919.494 cetn. a że produkuje 1,851.342 cetn. przeto pozostaje zwyżka produkcyi nad konsumcyą miejscową 931.848 cetn. Z téj ilości odstępuje Austrya Prusom i Rosyi przeszło 600.000 cetnarów i to w cenie nie dochodzącéj nawet do kosztów produkcyi, reszta zaś w innych prowincyach po niższéj aniżeli w Galicyi cenie sprzedawaną bywa, a biedna Galicya zmuszona kupować własny produkt po wysokiéj cenie, ze zazdrością spogląda na szczęśliwszych od niéj sąsiadów, którzy sami z jéj skarbów ciągną korzyści.

Ale nie dosyć na tém. Liczne przed sejm krajowy zaniesione skargi dowodzą, że we wielu miejscach trudno jest mieszkańcom nawet po taryfie rządowéj w magazynach w sól się zaopatrzyć, że takową u handlarzy żydowskich po daleko wyższéj cenie kupować muszą.

Dziwnie brzmi argument, że soli już brakło, kiedy jéj Galicya przeszło dwa razy tyle produkuje, aniżeli spotrzebować może. Ani więc wątpić trzeba, że nadużycia tego rodzaju już więcéj się nie powtórzą. Lecz to nie wystarczy. Galicya skazaną jest teraz przez monopol soli na opłatę pogłównego wynoszącego przeszło 1 fl. w. a. na głowę mieszkańca, a będącego dla biednych posiadających znaczną familią wielkim ciężarem. W kraju, w którym konsumcya mléka i mięsa jest tak mało rozpowszchniona, a ziemniaki stanowią główny artykuł żywności, sól zastępując omastę, bardzo ważną w gospodarstwie domowém gra rolę. Słusznie więc może żądać Galicya, aby ceny soli obniżone zostały i zrównane z cenami zachodnich prowincyi.

4. Monopol tytuniu.

Monopol tytuniu sięga w Austryi najdawniejszych czasów. Już bowiem w r. 1670 udzielił cesarz Leopold I. hr. Khewenhüller wyłączny przywilej sprzedawania tytuniu we Wyższéj

Austryi, a ten w r. 1679 sprzedał przywilej swój jakiéjś spółce za opłatą roczną 2.400 fl. Następcy Leopolda I. rozciągnęli monopol tytuniu z Wyższéj Austryi na inne kraje koronne słowiańsko-niemieckie, w skutek czego dzierżawa tytuniu przynosiła w r. 1783 sumę 2,838.108 fl.

Od r. 1784 wziął skarb publiczny zarząd monopolu na siebie, począł liście tytuniowe na własny od producentów zakupywać rachunek i w rządowych przerabiać je fabrykach. Dochód z monopolu tytuniowego wzrastał ciągle: w r. 1784 wynosił 3,125.391 fl. a w r. 1849 15,757.750 fl. Jeszcze wtedy rozciągał się on tylko na kraje niemiecko-słowiańskie, ale już w r. 1850 zaprowadzony został we Węgrzech *cum partibus adnexis*. Rozpostarłszy się po całéj monarchii, uzyskał monopol tytuniu tém silniejszą podstawę. Nikt już w całéj monarchii nie mógł siać tytuniu, nie uzyskawszy pierwéj na to koncessyi rządowéj, toż i przemycanie liści tytuniowych za granicę lub sprowadzanie zagranicznych tytuniów, jeżeli się nie stało niepodobném, to przynajmniéj ograniczyło się do małych bardzo ilości. Dodawszy do tych okoliczności jeszcze rozpowszechniające się coraz więcéj użycie tytuniu, pojmiemy, dla czego dochód z monopolu tytuniowego w przeciągu lat kilkunastu prawie się potroił.

	brutto	netto
W r. 1856 wynosił on	49,043.449 fl.	26,557.517 fl.
w r. 1863 „ „	58,756.591 fl.	36,977.045 fl.

W Galicyi monopol tytuniu przynosił:

w r. 1847 . . .	1,959.715 fl.
w r. 1850 . . .	2,224.667 fl.
w r. 1854 . . .	3,350.045 fl.
w r. 1857 . . .	4,071.268 fl.
w r. 1864 . . .	4,736.935 fl.
w r. 1865 . . .	4,596.618 fl.

Cyfry te wykazują, że u nas także konsumcya tytuniu już w dziesięciu latach się podwoiła. Późniéj podwyższenie cen tytuniu w skutek dodatku wojennego z r. 1859 wstrzymało ją wprawdzie, ale na czas krótki. Objaw coraz bardziéj rozpowszechniającego się użycia tytuniu, należącego przecież do artykułów zbytkowych, w obec zmniejszonéj produkcyi i w rosnocém ubóstwie, nie należy do pocieszających. Przypomina on

bankruta tracącego ostatki, aby sobie ulubionych zachcianek nie odmawiać. Z drugiéj strony wyznać trzeba, że zwiększona konsumcya tytuniu w Galicyi obudziła także jego produkcyą i przysporzyła krajowi niejakie ztąd dochody, które jednak rozchodowi na tytuń wcale nie wyrównują. Następujące cyfry dadzą szczegóły téj produkcyi:

Rok	Ilość producentów	Obszar ziemi obróconéj na uprawę tytuniu morgów	Dochód w naturze cetnarów	Cena jednego cetnara	Dochód w gotowiźnie guldenów
1851	30.941	4.616	53.972	7—27	401.983
1852	32.950	5.031	51.617	7—37	393.525
1853	30.333	4.933	69.896	8—33	597.985
1854	36.596	6.507	89.745	8—26	758.193
1855	33.201	4.978	40.192	11—33	464.732
1856	34.842	4.986	56.266	9—45	549.167
1857	41.259	5.365	83.518	10—48	903.185
1858	68.825	11.479	224.319	8—33	1,927.878
przecięc. z lat 8	38.618	5.987	83.678	8—56	748.613

Cyfry w kolumnie trzeciéj od końca reprezentują summę wypłaconą przez rząd producentom tytoniu, od któréjby koszta produkcyi odtrącić wypadało. Ale chociażby te nawet połowę dochodu zabierały, to zawsze dostała Galicya w r. 1858 prawie milion fl. czystego dochodu za uprawę tytoniu. Rezultaty kultury tytuniowéj świetniejsze są nawet w Galicyi aniżeli w innych krajach koronnych. Biorąc przecięcie z lat 1851—58 we Węgrzech przy urodzajniejszéj glebie ziemi i łagodniejszym klimacie nie zbierano z morgi jak tylko 10 cetnarów tytoniu, w Serbii i w Banacie 6.80 we wszystkich krajach korony węgierskiéj razem wziętych 9.42, a dochód z morgi tytuniem obsianéj przynosił rocznie 77 fl. 60 kr. W Galicyi zaś morga jedna produkuje 13.96 cetnarów tytoniu i daje 125 fl. dochodu. Gatunek tytoniu gal., jak się to z jego ceny pokazuje, należy także do najlepszych.

Żałować tylko trzeba, że tak mała przestrzeń ziemi poświęconą jest u nas uprawie tytoniu. Dzisiaj produkuje Galicya 16% całéj ilości tytuniu jaką rząd corocznie zakupuje

i przy obecnym składzie rzeczy trudnoby przyszło tę produkcyę rozszerzyć. Dlatego posłowie galicyjscy wystaraćby się powinni dla swego kraju o koncessyę wywożenia tytuniu zagranicę. Koncesye takie udzielane we Węgrzech z łatwością rozciągnąćby się dały na Galicyą, która mając sobie w Prusach zapewnioną na swój produkt targowicę, mogłaby dziesięć razy tyle co teraz przestrzeni uprawie tytuniu poświęcić i pomiędzy krajami produkującemi tytuń znakomite zająć stanowisko.

Widzieliśmy już z dochodu jaki monopol tytuniu w Galicyi skarbowi przynosi, że konsumcya tytuniu u nas jest dosyć znaczna, a w odniesieniu do produkcyi krajowéj zbyt wysoka. Pomimo tego stoi ona w tyle poza konsumcyą innych krajów koronnych, jak tego następujące cyfry dowodzą.

Konsumcya tytoniu w Galicyi wynosiła na głowę mieszkańca:

w roku	sztuk cygar	funtów tytuniu	funtów tabaki	razem funtów	wydatek obliczony w pieniądzach
1851	7.79	1.04	0.09	1.19	0 fl. 50 kr.
1854	10.36	1.27	0.09	1.44	0 „ 69 „
1856	11.99	1.31	0.09	1.46	0 „ 79 „
1858	12.77	1.29	0.08	1.38	0 „ 88 „
1859	10.57	1.19	0.07	1.45	0 „ 81 „
Taż konsumcya w krajach niemiecko-słowiańskich:					
1859	23.83	1.71	0.19	2.09	1 „ 57 „
w krajach włoskich:					
1859	19.99	0.42	0.29	0.89	1 „ 08 „
w krajach węgierskich:					
1859	17.27	1.14	0.02	1.30	0 „ 87 „
w całéj Monarchii:					
1859	20.88	1.32	0.14	1.63	1 „ 24 „

Konsumcya cygar i tabaki jest w Galicyi o połowę mniejsza, aniżeli w całéj Monarchii, tytuniu prawie jéj wyrównuje, a wydatek w pieniądzach mniejszy jest o jednę trzecią część. Konsumcya galicyjska pokaże się jeszcze mniejszą, jeżeli wypuścimy z rachunku kraje węgierskie, które płacą bardzo małą kwotę za tytuń rządowi, bo same go produkując, konsumują po wielkiéj części tytuń po domach przyrządzany.

Jakkolwiekbądź Galicya i tak za wiele tytuniu konsumuje na swe szczupłe dochody opłacając w ten sposób obok wielu innych jeszcze ten dobrowolny podatek we wysokości 1 fl. na głowę mieszkańca, co się niepomału przyczynia do powiększenia ciężarów, które jéj dźwigać przychodzi.

5. Dochód z loteryi.

Loterya jako źródło dochodu państwa zaprowadzona została patentem z dnia 13 Października 1751 r. a piérwsze ciągnienie nastąpiło w rok późniéj. Dochód z loteryi podobnie jak monopol tytuniu początkowo był wydzierżawiany prywatnym, najprzód za 260,000 fl. a późniéj za 800,000 fl. Dopiéro w r. 1787 przeszła loterya pod bezpośredni zarząd skarbu państwa. Od r. 1788 do 1805 przynosiła loterya rządowi blisko do jednego miliona, od r. 1832 wyżéj dwóch, a d r. 1843 wyżéj trzech milionów. Na wygrane przeznaczono z początku 56.5% stawek od r. 1850 nawet 59.4%.

Ludność galicyjska dosyć żywy zawsze brała w loteryi udział, wynosiły bowiem:

w latach	stawki	wygrane	pozostawał dochód czysty dla skarbu
	g u l d	e n ó w	
1847	570,059	358,531	211,528
1850	405,464	303,744	101,722
1852	597,648	356,571	241,077
1854	501,691	264,758	236,913
1856	590,335	379,366	210,969
1858	587,752	305,801	281,951
1859	632,588	381,159	251,429
1863	612,468	328,187	284,281
1864	759,485	481,348	278,037

Widzimy ztąd, że ochota do gry utrzymywała się w Galicyi dosyć w mierze, kiedy stawki po upływie lat 16 tylko o 8% się powiększyły. Nawet różnica z roku na rok w ciągu tego okresu jest bardzo małą; i dwa lata tylko przedstawiają dla skarbu szczególniéj niepomyślny rezultat; rok 1850 stojący o 50% i rok 1854 stojący o 25% w tyle poza rokiem 1859 który należy do najpomyślniejszych. Na Galicyą wypada tylko 4% stawek całéj Monarchii, nieco mniéj aniżeli na Morawią i Wybrzeże, a trzy razy mniéj jak na Czechy.

Jakkolwiekbądź owe pół miliona, które rok rocznie loterya Galicyi zabiera, mogą być uważane dla krajowéj produkcyi za bezpowrotnie stracone. Wprawdzie większa połowa stawek wraca się we wygranych losach, ale te nie zastąpią nigdy téj szkody, jaką przegrywające sprawiły. Gdy bowiem na przegrane składają się robocze klasy ludności i tracą bez żadnéj korzyści ciężko zapracowany grosz, któryby inaczéj obrócony na powiększenie rzemiosła lub polepszenie ich dobrobytu mógł być użyty, wygrane zbogacają pojedyńcze tylko indywidua i najczęściéj strwonione zostają na rozpuście utwierdzając wygrywających w próżniactwie i we wstręcie do pracy.— Wygrany pieniądz mało jeszcze kogo wzbogacił, a nieszczęśliwa namiętność do loteryi zrujnowała już nie jedną familię. Loterya jest niczém inném jak dobrowolnym podatkiem płaconym przez lekkomyślność, tém uciążliwszym że pada na najuboższe części ludności.

Dochód z loteryi wyrachowany na wyzyskiwanie ludzkich namiętności jest z natury swéj niemoralny i stanowczo ze względów humanitarnych potępiony być musi.

Wprawdzie jest pewna trudność zastąpienia w budżecie pięciu milionów, które loterya przynosi, ale bodaj czyby nie było lepiéj nałożyć tę kwotę jako podatek zarobkowy na klasy robocze, a loteryą znieść zupełnie. W ten sposób robotnicy o połowę lepiejby się mieli, a rząd uwolnionyby został od kłopotu kierowania kombinacyami loteryjnemi.

6. Cło.

Już w drugiéj połowie 18go stólecia występuje w Austryi cło, jako środek mający krajowy przemysł przeciw obcemu ochraniać. Piérwsza ustawa cłowa wraz z taryfą z dnia 15go Lipca 1775 r. napisaną została w całkiem protekcyjnym duchu według zasad szkoły merkantylnéj. Ustawa ta zniosła cła pomiędzy krajami koronnemi z téj strony Litawy położonemi, ustanowiła ścisłą różnicę między cłem a mytem, i oznaczyła opłatę cłową od większej części towarów na 20% ich wartości. Przywóz wielu artykułów został zupełnie wzbroniony, na wiele innych niesłychanie wysoka taryfa nałożona. Ustawa z r. 1775 acz we wielu punktach zmieniona lub późniejszemi rozporządzeniami uzupełniona, pozostała jednak w głównych zarysach przez trzy ćwierci wieku nienaruszoną.

W obec zmienionych stósunków handlowych i przemysłowych była ona w połowie 19go wieku wielką anomalią, to téż z powszechną radością powitano od dawna upragnioną nową taryfę postanowioną rozporządzeniem z 6 Listopada 1851 r. a wprowadzoną w życie 1 Lutego 1852 r. pod nazwiskiem: „ogólnéj austryackiéj taryfy cłowéj dla przywozu, przewozu, i wywozu.“ Nowa taryfa, która na zawsze stanowić będzie epokę w historyi przemysłu austryackiego, zachowała wprawdzie protekcyjny charakter, ale w porównaniu z przestarzałemi przepisami ustawy Tereziańskiéj słusznie zasługuje na miano postępowéj i racyonalnéj. Usunęła ona wszystkie zakazy przywozowe ustawiła przedmioty opłacie cłowéj podpadające, nie według porządku alfabetycznego, z którego dawniéj w zastósowaniu taryfy cłowéj nierozwikłane powstawały trudności, lecz według naturalnego pokrewieństwa, dzieląc je na 30 klas i 105 grup; zniosła zasadę wymierzania cła od wartości towaru i zastąpiła ją zasadą opłacania od wagi; a nakoniec obniżyła większą połowę taryf pierwéj niezmiernie wysokich. W rozwinięciu zasad postawionych w nowéj ustawie cłowéj z r. 1851 wyszło jeszcze rozporządzenie z dnia 5 Grudnia 1853 r. w którém ilość grup ze 105 na 80, a ilość przedmiotów podpadających ocleniu z 324 na 264 zredukowana, opłata od najwyżéj opodatkowanych artykułów na 250 fl. m. k. od cetnara obniżona, wszystkie cła wywozowe z wyjątkiem cła na drzewo i na niektóre artykuły noszące w przemyśle nazwę surowych (*Rohstoff*) zniesione, najwyższa opłata od cła przewozowego na 15 kr. od funta ustanowiona, i cła od przywozu niektórych płodów surowych zupełnie usunięte zostały. Ustawa z r. 1851 wraz z rozporządzeniem z r. 1853 uzupełniona niektóremi przepisami całkiem podrzędnéj wagi, stanowią podziś dzień podstawę ustawodawstwa cłowego. Ale już od dwóch lat toczą się układy ze sąsiedniemi krajami, których ostatnim wyrazem jest traktat handlowy z Anglią, a które mają system umiarkowanego protekcyonalizmu obecnie obowiązujący przemienić w system wolności handlowéj.

Ze względu na skarb państwa skutki reformy cłowéj z r. 1851 i 1853 są nader zadawalniające. Wprawdzie taryfy cłowe od wielu przedmiotów znacznie zmniejszone zostały (np. najwyższa taryfa wynosiła według dawnéj taryfy 3600 fl. od

cetnara według nowéj tylko 250 fl.) ale natomiast ilość przywożonych i wywożonych towarów tak dalece się wzmogła, że finanse państwa nie tylko nic nie ucierpiały, lecz owszem zyskały nawet na téj zmianie.

Czysty dochód ze cła wynosił w 8-letnim przecięciu (w latach 1841 — 47, 1850 — 1851) . . . 18,499,763 fl., a w 6cioletniém przecięciu po reformie cłowéj (1852 — 1858) wraz z podatkiem konsumcyjnym od cukru, który poczęści cło od cukru zastąpił . . . . 23,784,422 fl. a więc wzrósł o 22%.

Sczezególniéj wzmogła się po reformie cłowéj konsumcya kawy i herbaty.

W roku	przy opłacie cłowéj od cetnara kawy	przywieziono kawy cetnarów	dochód ze cła od kawy przyniósł skarbowi
1831	21 fl. — kr.	73,528	1,544,088 fl.
1843	„	119,885	2,517,585 „
1858	7 fl. 30 kr.	428,348	3,220,042 „

Stósunkowo więcéj jeszcze zyskała konsumentów herbata,

W roku	przy opłacie od cetnara	przywieziono herbaty cetn.	z czego dochód
1841 — 50	90 fl.	360	32,400 fl.
1851	„	552	49,680 „
1854 — 57	15 fl.	4,513	67,699 „

Ogólna wartość przywozu podniosła się od r. 1851 do 1858 z 150,547,298 fl. na 270,033,976 fl., wywozu w tymże czasie z 130,023,756 fl. na 207,940,920 a w r. 1864 doszedł nawet przywóz do 272,536,637 a wywóz do 351,318,559 fl.

Szczególniéj jednak rozwinął się przemysł następujących przedmiotów:

1) rud i metalów, których

w dwuletniém przecięciu	przywieziono za	wywieziono za
(1850 — 51)	2,839,158 fl.	3,929,854 fl.
(1856 — 57)	11,707,468 fl.	5,032,904 fl.

2) Towarów metalowych, których

w dwuletniém przecięciu	przywieziono za	wywieziono za
(1850 — 51)	466,843 fl.	3,591,473 fl.
(1856 — 57)	4,672,067 fl.	6,752,162 fl.

3) Przędzy i towarów bawełnianych których

w dwuletniém przecięciu	przywieziono za	wywieziono za
(1850 — 51)	785,743 fl.	20,117,523 fl.
(1856 — 57)	14,824,790 fl.	34,378,977 fl.

Cyfry te pokazują, że reforma cłowa nie tylko korzystną była dla skarbu, lecz także pomyślnie wpłynęła na rozwój niektórych gałęzi przemysłu austryackiego.

Nie mając dat statystycznych w dostatecznéj ilości, nie śmiem apodyktycznie twierdzić, że cały przemysł austryacki zyskał na reformie, zwłaszcza, że nie brak także na narzekaniach, i że wielu przemysłowców nie mogąc wytrzymać konkurencyi zagranicznéj znacznie ucierpiało, inni nawet upadli zupełnie. Zdaje mi się jednak, że straty te są małoznaczące, i że korzyściami w innych miejscach sowicie wynadgrodzone zostały.

Dochód ze cła w Galicyi wynosił:

w roku	1847	1,105,732	guldenów
„	1850	1,084,335	„
„	1853	970,241	„
„	1855	839,982	„
„	1857	726,630	„
„	1863	427,454	„
„	1865	581,327	„

Inaczéj więc jak w innych prowincyach rzecz się ma ze cłem galicyjskiem, które spadło prawie o połowę. Przyczyny tego faktu nie należy jednak szukać w samém zubożeniu kraju, gdyż Galicya posiadając ze wszystkich krajów koronnych najdłuższą może granicę, przywozi i wywozi nie tylko dla siebie, ale także dla innych. Zdaje się więc, że podczas, gdy zmniejszona produkcya galicyjska mniéj na miejscu handlowi zagranicznemu dostarczała przedmiotów, handel całéj Monarchii z Rosyą i Prusami inne sobie obrał drogi.

Co się tyczy przemysłu krajowego, nie wiele mogła Galicya w skutek reformy cłowéj ucierpieć, bo u nas przemysł zawsze był w pieluchach. Tylko fabryki żelaza nie mogąc na niskim stopniu swego rozwoju wytrzymać konkurencyi z żelazem angielskiem, musialy znacznie ograniczyć swą produkcyą, a niektóre całkiem upadły. Gorzéj jak przemysł wychodzi na obowięzującém teraz prawodawstwie cłowém nasze rolnictwo.

Jeżeli bowiem nową taryfę cłową austryacką nazwaliśmy dla przemysłu protekcyjną, to dla rolnictwa jest ona wolno-handlową w obszerném tego słowa znaczeniu. Cła od przywożonego ze zagranicy zboża zostały w niéj albo zupełnie uchylone, albo przynajmniéj na tak niską zredukowane kwotę, że nie mogą wcale krajowego rolnictwa przed zagranicą bronić, a tymczasem wyroby zagranicznego przemysłu, mogące z austryackiemi konkurować, muszą jeszcze ciągle mniéj albo więcéj znaczne opłacać podatki. W takim stanie rzeczy rolnik galicyjski będąc zasypany zbożem rosyjskiém taniem bo produkowaném pod korzystniejszemi warunkami, musi spokojnie znosić obniżenie ceny własnych produktów, a nie mogąc dla ceł protekcyjnych zaopatrywać się w tanie wyroby przemysłu sąsiednich Prus, sprowadza po droższéj cenie potrzebne mu towary ze zachodnich prowincyj cesarstwa.

Galicya traci więc dwa razy na systemie protekcyjnym dla przemysłu a wolno-handlowym dla rolnictwa: raz że taniéj sprzedaje produkowane u siebie zboże, a potém że drogo kupuje produkta przemysłowe sąsiednich krajów koronnych. Inaczéj rzecz się ma ze zachodniemi prowincyami cesarstwa, w których koncentruje się przemysł i handel Monarchii, a rolnictwo podrzędną gra rolę. W skutek wolności przywozu zboża, dostają one artykuły pierwszéj potrzeby po tańszéj cenie a w skutek cła spieniężają własne produkta drożéj. Więc wolność handlowa co do zboża przy protekcyi przemysłu jest niczém inném jak upośledzeniem prowincyi produkujących zboże, a faworyzowaniem prowincyi produkujących wyroby fabryczne. Jest to jeszcze jeden rodzaj podatku opłacanego przez rolnictwo na rzecz przemysłu, to jest przez ubogich na rzecz bogatych.

Rozumieli bardzo dobrze położenie ekonomiczne Galicyi w stósunku do innych krajów koronnych mężowie zaufania powołani w r. 1863 przez ministra handlu Kalchberga do dania opinii nad świéżo projektowaną ustawą cłową. Nie oświadczając się wcale przeciw wolności handlowéj chcieli ją oni rozciągnąć z rolnictwa na przemysł czyli zrobić ogólną. „Czém „dla waszego przemysłu, mówili oni, są towary angielskie, tém „dla nas jest zboże rosyjskie wyprodukowane w najżyzniejszéj „glebie i to w kraju, gdzie podatek gruntowy prawie nie „istnieje. Jeżeli więc pragniecie prawdziwie wolności handlo-

„wéj, to ogłoście ją równie dla rolnictwa jak i dla przemysłu. „Lecz jeżeli zatrzymacie cła protekcyjne dla tego ostatniego, „to chrońcież także cłem wchodowém nasze rolnictwo, które „na równe jeżeli nie na większe jak wasz przemysł narażone jest „niebezpieczeństwo przez tanią produkcyą sąsiedniego rywala." W tym samym duchu wyrażała się prośba *) Komitetu Tow. gospod. galicyjskiego z dnia 13 Maja 1865 r. żądając podwyższenia taryfy cłowéj od cetnara pszenicy i żyta z 35 kr. na 45 kr., innych gatunków zboża z 15 kr. na 27 kr. mąki i kaszy z 75 na 90 kr. i niektórych surowych płodów w tym samym stosunku. Czy te słuszną przedstawienia pomyślny skutek odniosą, przyszłość okaże.

Stanąwszy u kresu naszego zadania, nie od rzeczy będzie to, cośmy o podatkach niestałych powiedzieli w krótkich słowach powtórzyć. Jeżeliby się kto pytał jaki wpływ wywierają podatki niestałe na pomyślność krajową w Galicyi to w przytoczonych powyżéj cyfrach znajdzie odpowiedź, że podatek konsumcyjny od spirytusu zabijał do ostatnich czasów nasze gorzelnictwo tyle dla galicyjskiego rolnictwa potrzebne, że podatek od mięsa wymierzony od sztuki bydlęcia daleko więcéj od innych prowincyi obarcza nasz kraj tak mało mięsa konsumujący, że stęple i wysokie opłaty od przeniesienia własności tamują naturalny ruch interesów, utrudniają sprzedaże i kupna nieruchomości, że wysokie ceny soli dają się najuboższym klasom ludności we znaki i obciążają je podatkiem równającym się pogłównemu, że uchylenie ceł protekcyjnych dla zboża a utrzymanie ich dla przemysłu obniża wartość jedynego przedmiotu, który możemy wywozić, że nareszcie tytuń i loterya dopełniają miary ciężarów ponoszonych przez zubożałą ludność. Jednem słowem ciężar, jakim podatki niestałe przygniatają Galicyę, przewyższa o wiele ciężar podatków stałych.

Niektóre z pomiędzy podatków niestałych tę mają właściwość, że skarb występuje w nich jako przedsiębiorca produkujący pewne towary, aby je w dowolnie przez siebie ustanowionéj cenie poddanym przedawać. W ten sposób czysty dochód

*) Całe powyższe rozumowanie oparte jest na zapatrywaniu zacytowanéj w tekscie prośby komitetu, któréj przekonywające i trafne argumenta w zupełności podzielamy.

skarbu nie przedstawia wcale téj cyfry, którą konsumenci na zakupienie towaru wydali, gdyż większą część ceny kupna produkcya pochłonęła. Widzieliśmy wyżéj, że z dochodu na tytuń przeszło 50% szło na koszta fabrykacyi cygar i tabaki, ze stawek loteryjnych 56% na wygrane, a z dochodu za sól 1Z—12% na kopanie soli. Ale oprócz tego wydawał skarb przed 1850 r. 17.52%, a po r. 1850 12.26% na koszta administracyi i poboru podatków niestałych. Żeby poznać cały ciężar jaki ponoszą poddani trzeba znać co czynią podatki niestałe brutto. — Tak więc zamiast cyfer w rozdziale piérwszym przytoczonych, zobaczemy że Galicya płaciła podatków niestałych:

W roku 1847	. . . . . .	12,163,641 fl.
„ 1854	. . . . . .	15,835,399 „
„ 1863	. . . . . .	23,664,094 „

Porównywając pod względem podatków niestałych Galicyę z innemi prowincyami, otrzymamy na głowę mieszkańca w r. 1856 podatku:

W Styryi	. . . . .	6 fl.	41 kr.
„ Karyntyi	. . . . .	4 „	21 „
„ Czechach	. . . . .	4 „	43 „
„ Morawii	. . . . .	4 „	30 „
„ Galicyi	. . . . .	3 „	35 „
„ Szląsku	. . . . .	3 „	21 „
„ całéj Monarchii	. .	5 „	18 „

i tu więc stoi Galicya pomiędzy najwyżéj opodatkowanemi.

Niezmierny ciężar podatków, który nasz kraj coraz więcéj przygniata i sprzeczność w jakiéj takowe stoją z upadającą produkcyą zwracała od dawna uwagę dbających o dobro kraju obywateli. Różne w ostatnich czasach podawano projekta dążące albo do zupełnego zreformowania systemu opodatkowania w Austryi, albo przynajmniéj do względniejszego zastósowania go dla Galicyi. Stan teraźniejszy zdaje się wszystkim pod względem ekonomicznym tak smutnym, przyszłość przedstawia się w tak czarnych kolorach, że o potrzebie reformy nikt pono nie wątpi, i tylko co do środków jéj przeprowadzenia różnią się opinie. Rozebranie projektu reformy z najpoważniejszego bo z ministerstwa finansów wychodzącego źródła, postanowiliśmy ostatnią część obecnéj pracy poświęcić.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

O reformie podatków stałych.

Zrównoważenie wydatków z dochodami państwa jest od lat kilkunastu w Austryi szkopułem, o który napróżno się rozbijają usiłowania finansistów i mężów stanu. Ekonomiczne położenie poddanych cesarstwa wymaga raczéj zmniejszenia aniżeli podwyższenia podatków, a wzmagające się z drugiéj strony wydatki państwa coraz nowych nakładów potrzebują. W takiem położeniu jeżeli trudno jest zwiększyć dochody, to trudniéj jeszcze zmniejszyć wydatki, a zaprowadzenie równowagi w budżecie zdaje się prawie niepodobném do osiągnięcia.

Przekonamy się łatwo o tém, podzieliwszy wydatki państwa na następujące trzy kategorye:

1) wydatki użyteczne są jak w gospodarstwie prywatném tak i publiczném te, które produkcyjnie użyte zostały. Tutaj należą wydatki: podniesienie dobrobytu materyalnego na celu mające, jako to: na budowy dróg żelaznych, gościńców, regulacye rzék, fabryki rządowe, i wydatki na podniesienie oświaty ludowéj *). Na wszystkie te cele wydaje Austrya daleko mniéj aniżeli inne europejskie rządy, a tak rubrykę tę raczéjby podnieść aniżeli zniżyć wypadało, gdyż wydatki tego rodzaju są zasiewem przynoszącym w przyszłości bogate owoce.

2) Wydatki konieczne obejmują koszta utrzymania administracyi, sądownictwa, policyi i t. p. Nie można wątpić, że po przeprowadzeniu reform w duchu autonomicznym i po wyswobodzeniu gmin z pod kurateli rządowéj, administracya będzie daleko mniéj aniżeli dzisiaj kosztowała. Ale z drugiéj strony reformy takie prędko ukończyć się nie dadzą, a po ich

---

*) Według zestawień Hausnera wynosi wydatek roczny:

	na oświatę	na roboty publiczne
w Belgii	3·3%	14·3%
w Prusach . . .	2·09%	7·0%
w Rosyi	1·53%	6·5%
we Francyi	1·25%	7·5%
w Austryi	0·67%	4·5%
w całéj Europie . .	1·57%	7·3%

ogółu wydatków państwa.

ukończeniu nawet pozostanie obowiązek utrzymywania ludzi, którzy rządowi swe usługi poświęcili, i którzy chociaż niepotrzebni, uzasadnione prawa do pobierania pensyi i emerytur posiadają. Tak więc nie należy się spodziewać, aby rubryka druga w najbliższéj przyszłości na znaczniejsze oszczędności pozwoliła.

3) Przychodzą nareszcie wydatki potrzebne obracane na opłacanie procentów od długu państwa, koszta utrzymania wojska i marynarki i t. p. Zaoszczędzenia w téj rubryce zależą więcéj od okoliczności zewnętrznych jak wewnętrznych i dla tego nie zawsze przeprowadzić się dają.

Nie mogąc zmniejszyć wydatków, pozostaje druga alternatywa powiększenia dochodów. Podatki stałe w Austryi są nader wysokie, ale jak to w drugim rozdziale wykazaliśmy, jeszcze więcéj gniecie ich nierówny rozkład, jak wysoka stopa podatkowa. Dla tego, jeżeli podwyższenie podatków ma nastąpić, musi poprzednio cały system opodatkowania gruntownéj uledz reformie. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że każda zmiana w opodatkowaniu nader dotkliwie daje się w pierwszéj chwili we znaki kontrybuentom burząc równowagę, do któréj pod dłuższém panowaniem całkiem niesprawiedliwego nawet systemu opodatkowania, stosunki produkcyi się ułożyły. Z tego względu twierdzić można, że stałość systemu podatkowego jest jednym z warunków rozwoju ekonomicznego i pomyślności krajowéj. Ale w Austryi uwagi te nie mogą znaleść zastosowania już dla tego, że tutaj żaden system podatkowy nie istnieje i że go zastępują prowizorya zmieniające się według czasu i miejsca. I tak obecnie obowiązuje w Austryi 8 katastrów dla podatku gruntowego, dwie taryfy dla podatku domowego, dwa systemy zarobkowego, a niektóre prowincye od niektórych podatków stałych całkiem są uwolnione. Że stan tak anormalny trwa i tak już zanadto długo, zbytecznie byłoby dowodzić. Bez wątpienia cierpieć będą na reformie interesa prywatne, ale zyska na niéj ogół. Zresztą zniżenie nader wysokich kosztów poboru i konieczność pogodzenia systemu podatkowego z przygotowującemi się zmianami administracyjnemi, stawiają kwestyę reformy podatków stałych na porządku dziennym.

W przekonaniu, że reforma podatków stałych w bliskiéj przyszłości stanie się przedmiotem ogólnego zajęcia, postano-

wiliśmy przypomnieć publiczności rządowy projekt reformy podatków, któremu powagi naukowe i administracyjne w swoim czasie wielkie oddawały pochwały. Projekt ten wypracowany w ostatnim lat dziesiątku przez ministeryum finansów, przedyskutowany potém w osobno do tego celu wysadzonéj komisyi *), stał się następnie podstawą przedłożeń rządowych, które jednak we wiedeńskiéj radzie państwa nie przyszły nawet pod obrady. Jakąkolwiek się będzie miało opinię o projektowanéj reformie podatków, zawsze jéj przyznać trzeba wielką konsekwencyę w przeprowadzeniu przyjętych zasad i chęć pogodzenia interesów skarbu publicznego z warunkami pomyślności gospodarskiéj kraju. Nadto projekt reformy wypracowany przez ludzi fachowych na podstawie z wielką skrzętnością zebranych dat statystycznych, oparty jest na tak gruntownéj znajomości przedmiotu, że zdaniem naszém i dziś służyć powinien za punkt wyjścia **) do dalszych prac w tym kierunku.

§. 1. Peryoda podatkowa.

Projekt reformy proponuje, aby zamiast każdorazowego rozpisywania podatków, rozpisywane były podatki raz na trzy lata. Dla stron opodatkowynych nieoszacowaną byłaby pewność, iż przynajmniéj przez trzy lata podatek się nie zmieni. Wydatki państwa na taki okres czasu także z góry przewidzieć się dadzą. Tak więc proponowana zmiana zdaje się być dla wszystkich dogodną.

§. 2. Nowe organa do administrcwania podatków stałych.

Kosztowność i opieszałość teraźniejszych władz finansowych przez wszystkich uznaną została. Świéżo do życia powołane organa autonomiczne krajowe i gminne z łatwością oszczędzić potrafią rządowi wiele pracy i kosztu. Według projektu reformy zarządem podatków stałych mają się zajmować:

---

*) Galicyą reprezentował w téj komisyi p. Maurycy Kraiński.

**) Porównaj: *Zur Reform der directen Besteuerung in Oesterreich. Austria. Jahrgang 1859 u. 1860.— Die directen Steuern in Oesterreich und ihre Reform. Herausgegeben vom Finanzministerium. Wien 1860.*

a) centralna komisya podatkowa składająca się z radców ministeryalnych i z przedstawicieli samych kontrybuentów.

b) krajowe komisye podatkowe złożone z gubernatora, z radców gubernialnych, a w drugiéj połowie z członków sejmu krajowego.

c) powiatowa komisya podatkowa dla każdego okręgu politycznego, pod przewodnictwem naczelnika powiatowego, a składająca się z 10ciu kontrybuentów przedstawiających w równych połowach własność ziemską i przemysł. Referentem przy téj komisyi ma być rządowy podatkowy inspektor.

d) gminne komisye podatkowe osobno dla każdéj gminy albo dla kilku gmin razem.

e) szczególne komisye szacunkowe dla fabryk i górnictwa.

f) operacye szacunkowe do katastru gruntowego mają być przedsiębrane przez rządowych urzędników obeznanych z przedmiotem i świadomych języka krajowego.

§. 3. Postulata podatkowe.

Podatek gruntowy był od dawna w Austryi podatkiem repartycyjnym albo ilościowym w tak zwanych postulatach krajowych corocznie na pojedyncze kraje koronne rozpisywanym. Dopiéro od roku 1848, gdy i sejmy krajowe zgromadzać się przestały, podatek gruntowy w pewnéj wysokości od domniemanego czystego dochodu oznaczonym bywa. Nie podlega żadnéj wątpliwości, iż pierwszy system lepiéj odpowiada interesom skarbu publicznego i interesom opodatkowanych. Skarb publiczny w ten sposób wié dokładnie na jakie dochody może rachować, a nawet uwolnionym zostaje od obowiązku rozkładania podatku na pojedyńczych kontrybuentów. Opodatkowani rozdzielając sami pomiędzy siebie podatek rozpisany w sumie ryczałtowéj najprzód na kraj a potém na powiaty, otrzymują tém samém najlepszą gwarancyę przeciw przeciążeniu i niesprawiedliwemu rozkładowi. Sumy ryczałtowe przypadające na pojedyńcze kraje koronne oznaczone będą przez ciało prawodawcze państwa, na podstawie katastru wykazującego kapitał do opodatkowania.

§. 4. System podatkowy.

Wychodząc z ogólnie przez naukę przyjętych zasad, dzieli projekt podatki na

A. Podatki realne.

Mówiąc o podatkach realnych pierwsza z początku nasuwa się kwestya katastralna. Według §. 4 cesarskiego patentu z dnia 23go grudnia 1817 r. podatek gruntowy ma być wymierzony na czysty dochód, a pod czystym dochodem ma się rozumieć nadwyżka przychodu wyprowadzonego z jakiegoś kawałka gruntu w latach średniego urodzaju według powszechnie przyjętego tamże sposobu uprawy, nadwyżka zostająca po odtrąceniu kosztów produkcyi. Czysty dochód da się znaleść w dwojaki sposób: albo przez oszacowanie jakiegoś kompleksu gospodarskiego wraz z należącemi do niego gruntami i ruchomościami jako pewnéj i nierozdzielnéj całości, albo przez wynalezienie dochodu jaki przynosi każdy z pojedyńczych kawałków różnych rodzajów uprawy i odniesienie tegoż dochodu do całości. Stały kataster wynajduje w każdéj gminie czysty dochód na mórg każdego rodzaju uprawy i obrachowuje według téj jednostki czysty dochód wszystkich parcel do téj saméj klasy należących. Zastosowanie téj skali na całe kompleksa gospodarskie z różnych parcel składające się, jest niczém innem jak ćwiczeniem rachunkowém nieuwzględniającém wcale całości, z którą ma do czynienia. Szacowanie według klas nie może brać względu na różnicę stosunku różnych rodzajów uprawy pomiędzy sobą i w odniesieniu do całego gospodarstwa, zaokrąglenia gruntów i ich odległości od zabudowań gospodarskich i różnych sposobów gospodarowania, które sprawiają, iż dwie posiadłości posiadające wprawdzie ten sam gatunek ziemi, ale położone w różnych miejscowościach i pod różnemi warunkami, przynoszą też całkiem różne dochody. Jeszcze większe błędy powstają w skutek indywidualnéj różnicy w zapatrywaniu się organów szacujących, których dowolności w ocenieniu przyjętego w jakiéjś gminie sposobu gospodarowania w wyrachowaniu średnich plonów i wynalezieniu cen targowych z r. 1824 szerokie bardzo pole jest zostawiane. Wprawdzie wielkie mocarstwa jak Francya i Prusy zaprowadziły u siebie także

stały kataster, ale zmuszone były później od niego mniéj lub więcéj odstąpić. Powagi naukowe stanowczo także przeciw praktyczności stałego katastru się oświadczają, jak tego następujący ustęp z dzieł Maksymiliana Wertha dowodzi:

„Jeżeli się zastanowimy — powiada ten znakomity pi-„sarz — że w Anglii i w Ameryce, które żadnych katastrów „nie posiadają, rozkład podatku gruntowego corocznie z bardzo „małemi kosztami przeprowadzany bywa, jeżeli zauważamy, że „z cen kupna i dzierżawy czysty dochód bardzo łatwo bez wiel-„kich zachodów i nakładów da się wywnioskować: to musimy „się stanowczo oświadczyć za przyjętym w tych krajach sy-„stemem. Członkowie jednéj gminy znają całkiem dokładnie „dochód gruntów w obrębie téjże gminy leżących. Dochód ten „zależy od gatunku uprawianéj ziemi, od jéj położenia i od „przyjętego sposobu uprawy. Do dochódu stosuje się cena ku-„pna i sprzedaży, tak że z téj ceny da się całkiem pewny „wniosek na dochód wyprowadzić. Nie ma więc żadnéj potrzeby „starać się przy rozkładzie podatków o wynalezienie dochodu „za pomocą mozolnych, długotrwałych, kosztownych a przecież „mało użytecznych poszukiwań, kiedy opinia publiczna przez „długoletnią praktykę dochód ten dawno wynalazła i według „niego pewną cenę na grunta przyjęła. Opinia publiczna sto-„suje cenę kupna do każdorazowéj zmiany dochodów, a tak też „cena kupna jest najpewniejszą miarą dochodu.

Jeszcze stanowczéj wyraża się margr. d'Audiffret w dziele o systemie finansowym Francyi:

„Nareszcie nie pozostaje nam jak dodać, że najznakomitsi „administratorowie uważali od dawna stały kataster za dzieło „nieużyteczne i niemające końca, i że wszyscy, którzy chcieli „rozwiązać trudności jakie on przedstawia, rozbili się o błędy „leżące w samym systemie.“

Sprawa katastru nie jest wcale dla Austryi zamkniętą. Kataster kosztuje po rok 1860 cesarstwo 38 milionów fl., chociaż dopiéro na 3956 milach kwadratowych ukończony został. Przy dotychczasowéj dotacyi wynoszącéj 1,575,000 fl. rocznie, potrzeba do ukończenia szacunków i pierwszych rewizyi w całéj monarchii 50 lat czasu i 79 milionów fl. Ale na tém niedosyć: zaledwie skończoną zostanie w r. 1910 rewizya katastru w Siedmiogrodzie, rozpocząc ją trzeba będzie w innych prowincyach,

czyli obracając się jak w błędném kole, nie wychodzić nigdy z szacowania i katastrowania bez żadnéj nadziei osiągnięcia kiedykolwiek zamierzonego celu.

Wszystko to radzi zastanowić się, czy należy postępować daléj na raz obranéj drodze, lub czy nie lepiéj poszukać innéj, któraby do sprawiedliwego rozkładu podatków pewniejsze wskazała środki.

Projekt reformy wykazawszy wszystkie błędy stałego katastru, szuka zbawienia nie w częściowéj jego reformie, lecz w zupełném zastąpieniu go katastrem opartym na innych podstawach a nazwanym w projekcie: katastrem wartości *(Realitäten- Wert Kataster).* Przez to nie zmieniłoby się nic w zasadach podatku gruntowego, tylko czysty dochód, na który podatek gruntowy ma być nadal — jakto dotąd miało miejsce — nakładany, obrachowanyby był w inny sposób. Nowy kataster realności ma być zaprowadzony we wszystkich gminach podatkowych i obejmować znajdujące się w nich nieruchomości. Pomiędzy tym katastrem a tabulą krajową i mającemi powstać książkami gruntowemi musi panować jak największa zgodność. Każde osobne ciało tabularne stanowiłoby zarazem osobną katastralną całość. Każda gmina podatkowa musiałaby mieć u siebie swój kataster, aby się nim, w razie nałożenia dodatków gminnych, posługiwać. Pierwszą czynnością katastralną jest zdjęcie pomiarów wszystkich ciał tabularnych i rodzajów uprawy, bez uwzględnienia pojedyńczych parcel. Następnie w każdéj gromadzie podzielone będą grunta na rodzaje, uprawy i na klasy przedstawiające różne gleby, poczém oznaczoną zostanie skapitalizowana wartość morga w każdéj uprawie i w każdéj klasie, według cen praktykowanych w miejscu przy kupnach i sprzedażach gospodarstw włościańskich. Ztąd powstanie taryfa mająca służyć za regulatora przy oznaczeniu wartości zamiennéj każdego samoistnego ciała tabularnego. Przemijające ulepszenia w uprawie nie mogą być uwzględnione, gdyż w ogóle przyjętą jest zasada, że wartość zapisana w katastrze raczéj niższą, aniżeli wyższą od cen rzeczywistych być powinna. Reklamacye są przypuszczone nie tylko przeciw szacunkowi własnych, ale także i cudzych grnntów. Ponieważ bowiem należytość podatkowa przez skarb tylko na całe prowincye oznaczana, a we-

wnątrz kraju przez autonomiczne organa na powiaty, gminy i pojedynczych kontrybuentów rozdzieloną być ma, przeto każdemu opodatkowanemu zależeć musi równie na tém, aby jego własny majątek nie był za wysoko, jak i na tém, aby majątek jego sąsiada nie był za nisko oszacowany, gdyż w przeciwnym razie, to co na tamtego wypada, jemuby samemu płacić przyszło. Każda gmina odpowiada zresztą solidarnie za podatki opłacane przez wszystkich do niéj należących, przeto i z tego względu każdy jest interesowany, aby ani on ani sąsiad jego podatkiem nie był przeciążony, i następnie w niewypłacalność nie popadł.

Ponieważ pomiary dawno już w całém cesarstwie ukończone zostały, a szacunki według wypowiedzianych tutaj zasad z łatwością równocześnie we wszystkich krajach koronnych przeprowadzić się dadzą, przeto otrzymane ztąd cyfry wszędzie będą zgadzać się z rzeczywistością, a tak będzie można rozłożyć podatek gruntowy na różne prowincye cesarstwa, i przywrócić właściwy stósunek w opłacanych przez nie kwotach podatkowych. Z jedną tylko tutaj spotkamy się trudnością. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że w krajach zamożnych stopa procentowa jest niższa aniżeli w krajach ubogich, powstaje przeto pytanie, czy należy uwzględnić tę okoliczność we wyrachowaniu przypuszczalnego dochodu ze skapitalizowanéj wartości własności nieruchomych? Nam się zdaje, że można śmiało przyjąć w obliczeniu czystego dochodu jednę stopę procentową dla całéj monarchii, zważywszy, iż wysoka cena kapitału dowodzi małego rozwoju ekonomicznego, braku kapitałów, jedném słowem ubóstwa, która przecież we wymierzaniu podatku uwzględnianą być powinna; bacząc nadto, iż polepszenie się dobrobytu krajowego, zaraz wpłynie na podwyższenie cen nieruchomości.

Próby na małą skalę przedsiębrane stwierdzają w zupełności użyteczność i praktyczność katastru wartości. I tak: w Niższéj Austryi skatastrowano w przeciągu 6ciu tygodni własność nieruchomą na przestrzeni 4.2 mil kwadratowych, któréj wartość na 8,670.102 fl. oznaczoną została. Szacunek ten wykazał jasno nierówność teraźniejszego podatku gruntowego, dowodząc cyframi, że od 4 procentowéj renty gruntowéj, płaci Niższa Austrya 9.8%, a Bukowina 15.2%, i że w po-

jedyńczych wypadkach podatek zabiera od 3% do 50% rzeczywistego dochodu własności ziemskiéj.

Kataster własności tworzyć ma, według memoryału, podstawę systemu podatków realnych.

Według zasad ekonomicznych każdy dochód, jaki przynosi własność ziemska mieści w sobie trzy części składowe: rentę ziemską, procent z uwięzionego w ziemi kapitału i zysk z przedsiębiorstwa. Temu podziałowi odpowiadać mają projektowane w projekcie reformy podatki: gruntowy, domowy i podatek od kapitału.

1. Podatek gruntowy.

Główna trudność przeprowadzenia reformy podatku gruntowego, leży w nagłém przejściu, które zmieniając dotychczasowy rozkład podatkowy, musiałoby także wpłynąć na zmianę cen nieruchomości. Wykazy rządowe pokazują bowiem, że wartość istotna ziemi wyższą jest od wartości katastralnéj

w Niższéj Austryi o . . 94%
w Salcburgu o 133%
w Wyższéj Austryi o . . 105%
w Styryi o 117%
w Krainie o 20%
we Węgrzech o 9%

Niższą zaś w Wojewodzinie o 18%,
a w Siedmiogrodzie o 20%.

Wypuściwszy z rachunku nawet trzy ostatnie kraje, w których taryfa podatkowa jest niższą, pojąć łatwo, że podatek gruntowy przez dłuższy czas swego trwania, stał się niejako ciężarem gruntowym i jako taki wyraz swój znalazł w cenach realności. Nagłe przejście z niesprawiedliwego rozkładu podatku na sprawiedliwy, musiałoby nagle obniżyć wartość gruntów płacących dotąd za mało, a podnieść wartość innych płacących dotąd za wiele. W ten sposób chcąc usunąć dawną niesprawiedliwość, popełniałoby się nową i wkładało nowy ciężar na tych, którzy może dotychczasowy niski podatek w cenie kupna dawnemu właścicielowi opłacili. Aby zaradzić téj komplikacyi, przyjąć należy w szacunek gruntów także i opłacany przez nie dotąd podatek gruntowy. Dodawszy zaś do 4 procentowego dochodu od kapitału reprezentującego

wartość zamienną nieruchomości, płacony obecnie podatek gruntowy, otrzymamy dopiero całą rentę ziemską, od któréj nowy podatek ma być wymierzony.

Porównywując projektowany podatek gruntowy z podatkiem obecnym, łatwo przekonać się, że w jego naturze nic się nie zmieniło, gdyż ciągle nakładany on będzie na czysty dochód, ale zmiana zaszła w oznaczeniu co jest właściwie czystym dochodem. Otóż w katastrze wartości podatek nałożonym będzie na 4% rentę skapitalizowanéj wartości własności ziemskiéj wraz z dodanym do niéj podatkiem dotychczas opłacanym, a kapitał *(Steuer-Kapital)*, od którego się podatek płaci, stanowi cena realności i skapitalizowany podatek gruntowy teraz opłacany. Jeżeli na tę rentę i na ten kapitał skarb we wszystkich prowincyach w téj saméj wysokości nałoży podatek, to zabierze każdemu jednaką część jego dochodu i dopełni w ten sposób jednego z warunków sprawiedliwego rozkładu podatków.

Każdy podatek gruntowy ma z dwojakiego rodzaju trudnościami do walczenia. Państwo żąda od niego, aby mu coraz więcéj przynosił dochodów dla zaspokojenia rosnących wydatków skarbu publicznego, gospodarstwo narodowe wymaga zaś, aby oszczędzał rolnictwo i ochraniał amelioracye gruntowe przed nowemi opłatami. Chcąc pogodzić z sobą sprzeczne dążenia producentów i skarbu, projektowana reforma zostawia kapitał reprezentujący w katastrze rentę ziemską przez 20 lat bez zmiany, a ogólną wartość realności służącą za podstawę do podatku od kapitału co 3 lat poddaje rewizyi, aby ją zastósować do bieżących cen własności ziemskiéj. W skutek takiego urządzenia wszystkie ulepszenia w sposobie uprawiania gruntów i wszystkie podwyższenia renty ziemskiéj zaszłe w ciągu lat 20, nie wpływają na podwyższenie podatku. Tylko zmiany w stanie własności *(Besitzstand)* jak np. przejście gruntów urodzajnych w nieurodzajne lub przeciwnie, muszą być w katastrze zaraz uwidocznione. Po upływie lat 20 następuje ogólna rewizya katastru, w któréj stałe podwyższenie lub zniżenie cen własności ziemskiéj uwzględnione będzie, aby państwo w korzyściach lub stratach swych poddanych odpowiedni udział brać mogło. Przeciwnie kapitały stałe uwięzione w ziemi już po latach 3, mają być szacowane, i jeżeli podnio-

sły wartość realności, muszą wpłynąć na podwyższenie podatku od wartości czyli od kapitału. Stósownie do tych urządzeń repartycya podatku gruntowego na kraje koronne i następny jego rozkład na powiaty, gminy i kontrybuentów ma być tylko raz na trzy lata przedsiębrana i przez cały ten przeciąg czasu podatek gruntowy ma zostać niezmienionym.

2. Podatek od budynków *(Gebäude-Steuer).*

W budynkach rozróżniamy dwa przedmioty opodatkowania: najprzód procent od kapitału obróconego na wybudowanie budynkn i dochód za używanie budynku zmieniający się według okoliczności, a pobierany przez właścicieli we formie czynszu dzierżawnego z mieszkań wynajmowanych. W katastrze muszą być obydwa te czynniki zapisane, ale podatek domowy wymierzony jest tylko na czysty dochód z budynków. Dochód ten powstaje z czynszów mieszkalnych po odtrąceniu kosztów utrzymania budynku w stanie zdolnym do użycia i nie zależy wcale od wysokości kapitału włożonego w budynek. Działa tutaj inny czynnik a mianowicie stósunek żądania do ofiarowania, który zawisłym będąc od ilości mieszkańców i ilości budynków do wynajęcia przeznaczonych, w każdéj miejscowości jest inny.

Cała trudność przy rozkładzie podatku domowego, leży w wynalezieniu dochodu z domów. Dotąd służyły do tego celu zeznania właścicieli, prostowane przez władze skarbowe; projektowana reforma radzi sobie inaczéj. Biorąc płacony obecnie przez każdą gminę podatek domowy dzieli go przez ilość mieszkańców téjże gminy i otrzymane w ten sposób jednostki podatkowe *(Steuer-Einheit)* układa w taryfie, która w odstępach od 5 do 5 krajcarów pokazuje, wiele w każdéj miejscowości na głowę mieszkańca wypada podatku domowego. Rozkład podatku na podstawie taryfy przeprowadzony być ma jak następuje. Taryfę układa najwyższa komisya podatkowa, i przeséła ją komisyom powiatowym, które rozkładają podatek wewnątrz powiatu. Komisye powiatowe wybierają dla każdéj gminy taką taryfę, jaką ze względu na dotychczas przez gminę płacony podatek domowy, ze względu na dochód, jaki domy w gminie przynoszą, a nareszcie i na stósunek tego dochodu do dochodu z domów w gminach innych, za najstó-

sowniejszą i najodpowiedniejszą uznają. Ostateczna repartycya podatku domowego na domy w każdéj gminie według wartości tychże, usunąć ma terazniejszą nierówność w opodatkowaniu. Jak skoro tylko cała czynność ukończoną zostanie, komisya krajowa poddaje ją scisłemu rozbiorowi i przedkłada komisyi centralnéj do potwierdzenia. Ztąd powstaje tak zwana jednostka podatkowa *(Steuer-Einheit)*, która pomnożona przez ilość ludności w każdéj gminie zamieszkałych, daje podstawę do rozkładu podatku domowego na powiaty i gminy.

Podatek domowy równie jak gruntowy rozpisany zostaje z góry na lat 3 i to w pewnéj oznaczonéj kwocie, którą każden kraj koronny płacić ma, posiadając zupełną swobodę w rozłożeniu jéj na kontrybuentów. W ciągu lat trzech nie może żadna zmiana zajść w opłacanym podatku, chyba gdyby w ciągu tego czasu opodatkowany budynek runął, albo nowy został wybudowany. Po 3 latach następuje ogólna rewizya katastru obejmująca zarówno budynki jak i dochód, który przynoszą, poczém na nowo gminy w taryfę jaka zmienionym stósunkom odpowiada, zaciągnione i podatek na kontrybuentów rozłożony zostanie. Wspominaliśmy już, że podatek od budynków wymierzony jest jedynie na czysty dochód z domów. Gdy jednak ten ostatni z wartością użytkową budynków nie zawsze się zgadza, a często nawet w stósunku do niéj wprost przeciwnym stoi, przeto już z tego się pokazuje, że podatek od budynków sam jeden nie wystarcza. Już samo doświadczenie uczy nas bowiem, że dwa budynki, których wystawienie równe sumy kosztowało, mogą przynosić całkiem różne dochody; gdyby więc podatek domowy tylko od przypuszczalnego dochodu był opłacany, toby budynki mniéj trwałe i zbudowane z lekkiego materyału opodatkowane zostały stósunkowo za wysoko, a budynki mocno zbudowane ale mały dochód przynoszące za nisko. Trwałość i przyjemność zużytkowania budynków nie są wcale uwzględnione w podatku domowym, dla tego podatek ten nałożony na dochód z budynków, zależący od więcéj zewnętrznych okoliczności, znajduje dopiero swe uzupełnienie w podatku od kapitału nałożonym na kapitały w budynkach utopionego bez względu na dochód jaki przynoszą.

3. Podatek od kapitału (*Wert-Steuer*) albo wartościowy.

W dzisiejszym systemie podatkowym dodatek jednéj trzeciéj części do podatków stałych zastępuje podatek dochodowy, który właściciele gruntów i domów równie jak wszyscy inni jakikolwiek dochód pobierający opłacać powinni. Podstawa tego dodatku jest atoli najniesłuszniejsza, gdyż nie uwzględnia on wcale rzeczywistego dochodu, tylko powiększa uciążliwość i tak już niesprawiedliwie rozłożonego podatku gruntowego. W miejsce dodatku jednéj trzeciéj części proponuje projekt reformy podatek od kapitału, jako wyrównywujący dodatek do podatków stałych. Podatek ten płacony być ma od dochodu czyli od renty z kapitałów w gruntach i budynkach, jako kapitał stały uwięzionych, albo we formie kapitału obiegowego znajdujących się. Rozpisywany ma być podatek od kapitału na lat 3. Jego praktyczna zaleta leży w tém, że nie stoi w żadnym związku z podatkiem gruntowym, lecz opiera się bezpośrednio na samodzielnéj podstawie, jaką jest wartość realności. Z natury więc swojéj stoi on w scisłym związku z katastrem wartości, a nawet zupełnie na nim polega.

Dokładność katastru jest dwojaka: albo dokładność absolutna, albo dokładność względna, która zależy na utrzymaniu stósunku wartości jednego przedmiotu do drugiego. Dokładność względna wystarcza dla podatku gruntowego i domowego, w których chodzi tylko o sprawiedliwą repartycyę kwot stałych na cały kraj rozpisanych na pojedyńczych kontrybuentów; dla podatku od kapitału potrzeba nadto dokładności absolutnéj. W tym punkcie leży pomiędzy tymi podatkami główna różnica: pierwsze są podatkami repartycyjnemi, ostatni zaś podatkiem procentowym t. j. według pewnéj z góry oznaczonéj stopy pobieranym. Podczas gdy kwota, która ma przynieść podatek gruntowy i domowy z góry oznaczoną została, dochód jaki przyniesie do skarbu publicznego podatek od kapitału w przybliżeniu tylko podany być może.

Otóż i cały zarys podatków realnych, według projektowanéj reformy. Nie chodzi w niéj wcale o podniesienie dochodów skarbu publicznego, lecz o sprawiedliwszy i odpowiedniejszy rozkład ciężarów. Wprawdzie zdaje się, że podatki realne

nowego systemu o kilka milionów więcejby przynosiły, ale ta nadwyżka ma powstać głównie przez uproszczenie administracyi i uproszczenie poboru. Więc na reformie nie straciliby nic kontrybuenci, a rząd by jeszcze zyskał. Przechodzimy teraz do

B. Podatków osobistych (Personal-Steuer).

Aby system opodatkowania był zupełny, musi obejmować oprócz podatków realnych jeszcze podatki osobiste, które chociaż niby przywiązane do osoby, wymierzone są na dochód z majątku ruchomego i z usług osobistych. Trzymając się zasad ekonomicznych dochód ten da się podzielić:

1. Na zysk z przedsiebiorstwa:

a). w przeważającym charakterze renty od kapitału, którą pobierają akcyonaryusze spółek handlowych i przemysłowych,

b) w przeważającym charakterze zysku od przedsiębiorstwa we wszystkich wypadkach, w których kapitalista sam przedsiębiorstwo prowadzi.

2. Na dochód z pracy.

3. Na rentę od kapitału, do której kategoryi porachować także można dochody z jakiegokolwiekbądź tytułu przez poddanych austryackich ze zagranicy pobierane.

Projekt reformy wymierza na zysk z przedsiębiorstwa, podatek zarobkowy pierwszéj klasy, na dochód z pracy, podatek zarobkowy drugiéj klasy, a na rentę od kapitału, podatek dochodowy. W ten sposób żadna gałęź dochodu narodowego od podatku oszczędzoną nie zostanie, ale żadna téż nie będzie dwa razy opodatkowana. Wprawdzie na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że renta od kapitału jest w dwojaki sposób opodatkowana: raz podatkiem zarobkowym nałożonym na zysk przedsiębiorcy, który nietylko swojemi lecz często cudzemi także obraca kapitałami, a drugi raz podatkiem dochodowym nałożonym na rentę od kapitału. I rzeczywiście jest to słaba strona projektu chociaż niby równowaga pomiędzy kapitałami opodatkowanemi i nieopodatkowanemi w ten sposób przywróconą zostaje, że przedsiębiorcy płacą w podatku zarobkowym podatek dochodowy niejako w zastępstwie, następnie go sobie w rencie płaconéj kapitalistom strącając.

Jak logicznym jest wymiar, tak prostym jest pobór podatków osobistych. Podatek zarobkowy pierwszéj klasy dotychczas pobierany na podstawie stałéj taryfy samowolnie przez władze finansowe wymierzanéj, teraz ma być rozkładany i ściągany przez organa gminne. Podatek ten podobnie jak gruntowy i domowy będzie podatkiem repartycyjnym, którego cała na kraj wypadająca kwota z góry oznaczoną zostanie, i który przez autonomiczne władze na podstawie oszacowania przypuszczalnego dochodu na kontrybuentów rodzielany będzie, bez uwzględnienia czy właściciel przedsiębiorstwa jest obdłużonym, czyli nie.

Podatek zarobkowy drugiéj klasy nałożony na dochód z pracy czy-to fizycznéj czy umysłowéj, pobierany będzie według stałéj taryfy. Taryfa ta zamieszcza należytości podatkowe w ciągłéj progresyi w miarę rosnących dochodów, tak jednak, aby podatek zarobkowy podatku dochodowego nie przewyższał. Podatek zarobkowy drugiéj klasy płacony będzie na ręce gmin, na podstawie książeczek *(die Bolette)* przez wyższe władze finansowe opodatkowanym doręczonych. Podatek ten zastąpi podatek zarobkowy osobisty czyli pogłówne w krajach siedmiogrodzkich od najdawniejszych czasów istniejące. Nareszcie podatek dochodowy jest z natury swojéj procentowym *(Percentual - Steuer)* i zabiera pewną oznaczoną część dochodu czyli renty od kapitału. Pobór podatku dochodowego od obligacyi rządowych najłatwiéj uskutecznić już teraz przez odciągnięcie przy wypłacaniu kuponów. Spółki i towarzystwa na akcye płacić będą podatek na podstawie publicznego zamknięcia rachunków. Podatek dochodowy we wielu wypadkach spływa się z podatkiem od kapitału i z podatkiem zarobkowym. W niewielu tylko razach pozostanie jako ostateczny środek użycie dobrowolnych zeznań pod przysięgą składanych.

Zastanawiając się nad podatkami osobistemi, znajdziemy w nich wiele podobieństwa do podatków realnych. Podatek zarobkowy pierwszéj klasy jest repartycyjnym tak jak gruntowy, zarobkowy drugiéj klasy podobnie do domowego płacony będzie według taryfy, a dochodowy zabiera jak podatek od kapitału pewną część czystego dochodu. Równie tych jak i tamtych pobór został uproszczony i administracya od władz rządowych na gminne przeniesiona. Zresztą reforma podatków

osobistych jest obrachowana na ich podwyższenie. Widzieliśmy bowiem wyżéj jak mały stosunkowo dochód przynoszą podatki osobiste w Austryi, widzieliśmy, że się mają do realnych jak 1 : 3.6; otóż projekt reformy twierdzi, że opodatkowawszy wszystkie części majątku ruchomego, znacznie wyższy dochód osiągnąćby się dało. Za dowód służy porównanie z Prusami, gdzie wypada na głowę mieszkańca:

	podatków realnych	osobistych	ogółem stałych
	0.82	1.22	2.04 kr.
w Austryi zaś	1.96	0.54	2.50 kr.

§. 5. Pobór i egzekucya podatków.

a) Podatki stałe winny być płacone z góry w czterech równych kwartalnych ratach.

b) Od niezapłaconych najdaléj w 8 dniach po terminie podatków i dodatków liczą się procenta zwłoki we wysokości 5%.

c) W 14 dni po upłynionym terminie następuje zagrożenie egzekucyi, poczém ruchomości zalegającego kontrybuenta zostają oszacowane i w dalszych dniach 14 na licytacyę wystawione.

d) Poborem podatków i ich egzekucyą zajmują się urzęda powiatowe i gminne. Mianowicie gminy mają obowiązek ściągania podatków na własny koszt i pod własną odpowiedzialnością. Czy to zresztą pobór podatków przez urzędników gminnych jest dokonany, czy to wypuszczony w dzierżawę poborcom prywatnym, w każdym razie cała należytość podatkowa na gminę wypadająca, powinna być najdaléj do 15 trzeciego miesiąca po zapadłym terminie w urzędzie podatkowym złożona. Ulgi w podatkach nie mają miejsca, ale popadłych w niewypłacalność kontrybuentów zastępuje w wypłacie należytości mający się utworzyć fundusz rezerwowy.

e) Rozpisywaniem podatków, sporządzaniem książeczek podatków i t. p. ma się zająć urząd podatkowy w każdym powiecie ustanowiony.

§. 6. Postępowanie karne.

Podstępne ukrócenie skarbu publicznego pociąga za sobą karę pieniężną równającą się trzechkrotnemu podatkowi. W ra-

zie niewypłacalności skazanego, kara pieniężna zamienioną zostaje na areszt, rachując jeden dzień więzienia za każde 5 fl. w. a. kary.

Tyle mówi memoryał o reformie podatków stałych. Nie mogło wchodzić w zakres obecnéj pracy nad tą reformą dłużéj się zastanawiać i obszerniejszemu poddać ją rozbiorowi. To cośmy z memoryału przytoczyli, ma służyć za dowód, jak dalece w sferach rządowych znane są dolegliwości obowiązującego systemu opodatkowania i jak dawno o jego reformie myślano. Ale memoryał nietylko ważny jest jako krytyka: proponuje on zmiany ze wszech miar zasługujące na uwagę. Zupełne zerwanie ze stanem prowizorycznym, który w podatkach stałych od tak dawna istnieje, zbliżenie się do zasad wyznawanych przez naukę, zaprowadzenie oszczędności w kosztach poboru i sprawiedliwszego rozkładu podatków, zupełne usunięcie katastru parcelowego, a nareszcie przypuszczenie autonomicznych organów do rozkładu i poboru podatków: wszystko to są reformy zasługujące na największe pochwały. Z drugiéj znów strony ustanowienie taryf na podatek domowy i zarobkowy, możeby nie zupełnie odpowiedziało oczekiwaniom i w zastósowaniu niepraktyczném się okazało. W każdym razie projektowana reforma obiecuje znaczną ulgę w opodatkowaniu i zdąża chociaż pomału do bardzo racyonalnego systemu opodatkowania. Jeżeli nie zrywa odrazu z przeszłością, to tylko dla tego, aby nagłe zmiany w przedmiocie tak blisko wszystkich obchodzącym, interesów prywatnych na wielkie nie naraziły straty.

Z drugiéj strony jednak nie trzeba zapominać, że od napisania projektu reformy upłynęło lat sześć i że przez ten czas zaszły w wewnętrznym ustroju monarchii zmiany, które i na kwestyę podatkową bez wpływu zostać nie mogły. Czynności przydzielone w projekcie centralnéj komisyi podatkowéj i krajowym komisyom podatkowym przypadłyby dzisiaj przynajmniéj w części w udziale centralnéj reprezentacyi państwa i sejmom krajowym. Najtrudniejszém byłoby oznaczenie kompetencyi w ustanawianiu postulatów podatkowych na pojedyńcze kraje koronne wypaść mających, bo tutaj łatwoby nastąpić mogło przeciążenie jednych na korzyść drugich, gdyby reprezentacya całéj monarchii miała takowe ustanawiać. Sejmy krajowe nie

mogłyby także decydować, gdyż inaczéj żaden podatek nie przyszedłby do skutku. A jednak w oznaczeniu postulatów czyli kwot ryczałtowych leży punkt ciężkości projektu reformy podatków stałych. Jak łatwo zaś w kwestyach tak drażliwych zostać bezparcyalnym, pokazał sam projekt reformy, kończąc ogólne zasady o sprawiedliwym rozdziale podatków, zasady, dla których nie możemy znaleść dosyć pochwał, wnioskiem nieusprawiedliwiającym wcale założenia. Odkładamy na kiedyindziéj wykazanie, jak dalece Galicya w nałożonych na nią w projekcie reformy ryczałtowych kwotach ukrzywdzoną została, tutaj dodając tylko, iż system postulatów podatkowych jest bronią tak obosieczną, że nie śmielibyśmy bezwzględnie jego przyjęcia zalecać. Natomiast znajdują się w projekcie reformy inne punkta, które bez wątpienia z wielką korzyścią dla kraju przeprowadzićby się dały.

Do ich liczby zaliczam:

1) Zniesienie obowiązującego dotychczas katastru jako niesprawiedliwéj i fałszywéj podstawy opodatkowania i zastąpienie go katastrem wartości opierającym się na cenach własności ziemskiéj.

2) Ustanowienie przynajmniéj trzechletniego okresu, w ciągu którego podatek gruntowy i domowy podwyższonym być nie może.

3) Przeniesienie poboru i rozkładu podatków w ręce powiatowych i gminnych władz autonomicznych.

4) Zastąpienie podatku klasyczno-domowego i zarobkowego innymi, któreby lepiéj uwzględniały dochody z domów i przedsiębiorstw, i więcéj oszczędzały smutne stosunki naszéj biednéj prowincyi.

5) Zwalenie części ciężaru podatkowego z realności na kapitał ruchomy, stosunkowo za nisko obecnie opodatkowany.

Te skromne reformy jeżeliby nie zmniejszyły ciężaru podatkowego, który kraj ponosi, to przynajmniéj sprawiedliwiéjby go rozłożyły, a tém samém przyczynićby się musiały do ustalenia stosunków ekonomicznych i do podniesienia produkcyi naszéj prowincyi.

W obec rozpoczętéj reformy administracyjnéj i powierzenia jéj kierunku mężowi, którego kraj przyjął z takim zapałem, oceniając nareszcie jego długoletnie zasługi, spodziewać

się należy, że i reforma finansowa nie każe długo na siebie czekać. Rząd obecny pojmuje bardzo dobrze, że jego pomyślność związana jest z pomyślnością rządzonych, i że oświata i dobrobyt materyalny są głównemi warunkami téjże pomyślności. Nie braknie więc i na środkach do działania w kierunku raz przyjętych zasad, a wtedy i my będziemy mogli powziąść lepsze nadzieje o gospodarskiéj przyszłości naszego kraju, który dotąd nie mógł się jeszcze podnieść z pod materyalnych i moralnych klęsk, w jakie go różne nieszczęśliwe okoliczności, a poczęści może i własne winy wtrąciły.

Mieczysław Marassé.

Siedem projektów
konstytucyi w Austryi.

Rozpoczęta przed laty blisko dwudziestu, a w tym przeciągu czasu kilkakrotnie zawieszona i kilkakrotnie na nowo podejmowana praca około wynalezienia najwłaściwszéj dla państwa austryackiego konstytucyi, wejdzie niebawem w nowy okres, przez zwołanie jeszcze jednéj Rady Państwa. Obrady tego ciała parlamentarnego staną w szeregu za sejmem z roku 1848 i za Reichsrathem stworzonym w r. 1861, jak dalszy akt tego samego dramatu. Czy akt ten będzie ostatnim? i czy przyniesie rozwiązanie? czy się skończy na tragicznéj katastrofie lub na wspaniałém ogólném pojednaniu i wyrównaniu sprzecznych kierunków i namiętności? węzeł dramatu zbyt zawikłany, żeby widzowie mogli przewidywać w jaki się sposób rozwiąże. Nie o koniec nam téż chodzi, ale o to raczéj co poprzedziło akt dopiéro rozpoczęty; a kiedy rozprawy Rady Państwa mają wydać na świat nową konstytucyę, chcemy odświeżyć pamięć dawniejszych, i podać pod sąd czytających, która z nich, o ile i w czém zgadzała się z dobrem naszego kraju i z naturą Państwa, któremu służyć miała za regułę i za najdoskonalszy wyraz jego politycznego życia.

Era konstytucyjna rozpoczęła się w Austryi w roku 1848; dziś mamy rok 1867, co czyni lat dziewietnaście, a w tych dziewietnastu leciech mieliśmy siedem ustaw konstytucyjnych, czy to urzędownie obowiązujących, czy też projektowanych; konstytucya z dn. 25go kwietnia 1848 r. nadana przez cesarza Ferdynanda, konstytucya cesarza Franciszka Józefa z dnia 4go marca 1849,— dyplom z 20 października 1860 i modyfikacya

jego patent z 26go lutego 1861; zaś z drugiéj strony: projekt konstytucyi Państwa ułożony na zjeździe słowiańskim w Pradze w roku 1848; projekt komisyi sejmu wiedeńskiego *resp.* kromieryżskiego, wreszcie projekt przygotowany dla sejmu kroackiego z roku 1848. Pomysłów prywatnych, które choć istniały, nie wyszły nigdy po za ciasne koło zaufanych przyjaciół politycznych, nie możemy brać w komput ustaw konstytucyjnych, i dla tego liczbę ich ograniczyć musimy do siedmiu. Liczba poważna, którą dałoby się obdzielić siedem państw pozbawionych konstytucyjnego prawa; obfitość do pozazdroszczenia, gdyby nie świadczyło przeciw niéj przysłowie: „lepiéj mało a dobrze, niźli dużo a miernie“, i słowa téj lwicy z bajki, która się chwaliła że ma „jednego, ale lwa“. Rzeczywiście ta mnogość ustaw i projektów konstytucyjnych w tak krótkim przeciągu czasu, daje miarę rozstroju wewnętrznych stosunków Austryi, a te próby coraz nowe, te kombinacye w których te same zawsze pierwiastki w różnych mieszane są z sobą proporcyach, a które zamiast chemicznego połączenia nie wydały dotąd nic prócz fermentacyi i rozkładu, dowodzą tylko jak trudno jest wynaleść formę i wyraz jedności dla państwa złożonego z kilku różnych szczepów, wyraz, któryby odpowiadał myśli i przekonaniu każdego z tych szczepów, formę, w któréjby wszystkie obok siebie wygodnie mogły się pomieścić.

Dla nas forma taka jest gotowa i widoczna, trzeba ją tylko przyjąć, a formą tą jest federacya. Jak indywidua ludzkie, chcąc je mieć użytecznemi, należy brać jak są, ze wszystkiemi warunkami ich osobistéj natury, i z tych danych dopiéro i w kierunku tą osobistą naturą wskazanym, wydobyć jak można najwięcéj czynności, pracy i pożytku, tak samo i szczepowe lub narodowe indywidualności mądry rząd brać powinien jak są i obchodzić się z nimi jak dobry pedagog, który nie chce przetworzyć natury wychowania, ale tylko rozwinąć to wszystko co w niéj tkwi i do czego ona jest zdolną. W Austryi wielki mąż stanu nie próbowałby nic nowego tworzyć, ale przyjąłby odważnie to co jest; nie starałby się o jednostajność, skoro sam fakt stworzenia z góry ją niepodobną uczynił, zależność jednych od drugich sprowadziłby do ostatniego minimum, a wtedy osiągnąłby łączność i jedność. Wszelako taką formę wewnętrznego ustroju państwa, najprostszą, najła-

twiejszą, wskazaną naturą rzeczy, oddziela od rzeczywistości mnóstwo przeszkód prawie nie do zwalczenia; rząd centralny obawia się w niéj osłabienia dla siebie i kolejnego odrywania się od państwa luźnie ze sobą powiązanych krajów; ludność niemiecka obawia się zrównania z innymi szczepami i możliwéj w przyszłości przewagi tych szczepów; wszechwładna do niedawna biurokracya lęka się autonomii i wolności jak wyroku śmierci; dawna zaś tradycya, zakorzeniona rutyna w sposobie rządzenia, obawa wszelkiéj nowości tak właściwa dawnym monarchiom, dawnym dynastyom i stojącym obok nich dawnym arystokracyom, nieufność wreszcie rządu do rządzonych plemion, i bojaźń czy się téż które z nich rządowi z ręki wyrwać nie zechce, wszystko to wpływy, które sprawiają, że Austrya wszystkiego pierwéj spróbuje zanim odważy się na to, co samo jedno zbawić ją może, na federacyę.

Widzimy już teraz, że wyrzucona koniecznością z systemu bezwzględnéj centralizacyi, nie miała odwagi przekształcić się w państwo federacyjne, ale dawną politykę, dawny sposób rządzenia próbuje uratować dualizmem i nim obwarować. Jak się ta próba nie uda, i jeżeli nie zjawi się jaki wielki mąż stanu zesłany na ratunek tego państwa, to wszystkie wyżéj wyliczone wpływy ustąpią może nieco w kierunku federacyjnym, ale nie ustąpią szczerze i zupełnie, wejdą może na tę drogę, ale oglądać się będą za sposobem odwrotu. Ostatecznie, jeżeli istnieć ma Austrya, będzie musiała przyjąć formę federacyjną, ale z tego co było dotychczas wnosić można, że konieczności téj bronić się będzie do ostatka. Przekonanie, że wolność polityczna ludu obraca się na niekorzyść władzy, i że narodowa wolność krajów koronnych obróciłaby się na niekorzyść państwa, jest dotychczas głęboko w rządzie zakorzenione i niełatwo ustąpi. Dowodzą tego, między innemi faktami, i te ustawy konstytucyjne, o których mówić chcemy. Każdy projekt konstytucyi podany z dołu, wychodzący od sejmów i reprezentacyi, opiera budowę państwa na zasadach federacyi — każda zaś ustawa nadana z góry zazdrosna o władzę centralnego rządu, trwożliwa o skutki samorządu i narodowéj wolności pojedyńczych krajów, skupia wszystkie sprawy w Wiedniu, a jeżeli one nie dadzą się utrzymać w ręku jednego wszechwładnego ministra, stara się przynajmniéj skupić je wszystkie w jedném

wielkiém ciele parlamentarném, które rzeczywistéj władzy nie zdobędzie sobie nigdy, bo złożone gwałtem z najsprzeczniejszych sobie żywiołów, będzie i musi być zawsze *„divisum contra se“*.

Wszystkie projekta konstytucyi, o których mówić będziemy, świadczą o tkwiącéj w świadomości narodów potrzebie systemu federacyjnego; wszystkie konstytucye obowiązujące dowodzą, że rząd boi się tego systemu. Przykłady objaśnią to dostatecznie.

I.

Pierwszą w tym szeregu stoi konstytucya cesarza Ferdynanda z 25go kwietnia 1848. Pamiętamy wszyscy te wypadki marcowe, w których starsi z pomiędzy nas brali udział sądem i działaniem, a młodsi widząc otwarte więzienia, słysząc słowa, na które i w dziecku serce bije choć nie wié dla czego, czuli instynktem jakąś zmianę szczęśliwą, jakąś zapowiedź swobody. Były to piękne dni, do porównania z pierwszym powiewem ciepłego wiosennego powietrza, z pierwszym promieniem wiosennego słońca. Do téj chwili wolność znano z téj strony Renu z powieści tylko, z tęsknoty, z pragnienia; a na zachód, ku Francyi i Anglii zwracano oczy żałośnie, jak patrzeć zwykli upośledzeni na szczęśliwych. Naraz zwolniał mróz który te ziemie ściskał, lody puściły, życie zaskrzepłe i obumarłe zaczęło się budzić, a po milionach przeszedł jakiś roskoszny dreszcz odrodzenia. Nie przewidywano, że chwila swobody miała być krótką, nie wiedziano, że miała być nadużytą, oddychano w początkach roku czterdziestego ósmego niezmąconą swobodą i radością. W tych to pierwszych dniach pogodnych ukazała się pierwsza w Austryi konstytucya. Wszystko co teorya i umiejętność uważa za rękojmię politycznéj wolności, mieści się w tym akcie, którym samowładny monarcha odstępuje część swoich prerogatyw na rzecz swoich poddanych, i gdyby nie podpisy arystokratycznego dyplomaty jak hrabia Ficquelmont, posiwiałego w biurze urzędnika jak baron Kraus, możnaby mniemać, że ustawę układał jaki profesor głęboki myśliciel, lub że redaktor liberalnego dziennika włożył w nią swoje desideria. Rezultat historycznego doświadczenia europejskich społeczeństw, zdobycze rewolucyi francuskiéj na polu wolności,

kardynalne warunki, pod którymi i przez które wolność angielska rozwinęła się w przeszłości i utrzymuje przez wieki, cały ten zasób prawd politycznych i zasad wolności, zdobyty czy to praktyczném doświadczeniom czy téż spekulacyą na polu filozofii politycznéj, tak jak tkwił w przeświadczeniu ludzkości, tak żywcem w całości, objętym został w téj ustawie. Znajdziemy w niéj zniesienie przywileju i równość wszystkich przed prawem, rozdział władzy prawodawczéj, wykonawczéj i sądowniczéj, odpowiedzialność doradzców korony. Jawne sądownictwo, sądy przysiegłych, wolność osobista, wolność sumienia, mowy, pisma, druku, wolność stowarzyszeń, wreszcie rodzaj *habeas corpus*, postanowione w paragrafie 18 prawo, jako nikt nie może być uwięzionym inaczéj jak zgodnie z prawem przepisaną formą, wyjąwszy jeżeli schwytanym będzie na uczynku: słowem jest w téj konstytucyi wszystko co teorya stawia jako główne zasady, wymagania i rękojmie wolności. Szerokie przytém atrybucye sejmu centralnego; w owéj chwili gorącéj nikt naturalnie nie mógł nawet myśleć, że Izbie można nie przyznać prawa wybierania prezydenta; co więcéj, senat konstytucyą tą postanowiony, ów senat który zawsze i wszędzie uważany jest, nawet przez konstytucyjną teoryę za środek przeciw możliwemu wszechwładztwu Izby poselskiéj, i ten nawet jest wybieranym, wprawdzie wybieranym tylko z wielkich posiadłości ziemskich i tylko w części, bo oprócz urodzonych (arcyksiążąt), mieli być także i senatorowie mianowani przez cesarza; ale w każdym razie zasada wybieralności zastósowana do senatu, i rozciągnięta do przeważnéj liczby stu pięciudziesiąt członków, jest ciekawym objawem owoczesnego liberalizmu rządu; w Europie napróżno szukalibyśmy czegoś podobnego, a senat wybierany znajdujemy tylko w Stanach Zjednoczonych Północnéj Ameryki, gdzie zgromadzenie prawodawcze (sejm prowincyonalny) każdego stanu, wybiera po dwóch senatorów.

Jeden to dowód więcéj, jak silnie liberalne teorye działać musiały w roku 1848, skoro prawo takie znaleść się mogło w ustawie oktrojowanéj. Nie robiąc atoli studium nad rokiem czterdziestym ósmym, ale śledząc w ustawach konstytucyjnych tych kolei, jakie myśl federacyi w Państwie austryackiém przebywała, musimy odwrócić się od tego przedmiotu, a zobaczyć jak owa pierwsza konstytucya urządza stosunek pojedyń-

czych krajów koronnych do państwa, jak godzi jego jedność z ich narodową i administracyjną wolnością.

Pod tym względem znajdziemy ją niezmiernie ostrożną, nie wyraźną i o tyle skąpą w przyrzeczenia, o ile była hojną i szeroką w wyżéj pomienionych rozporządzeniach. Rzecz naturalna, wpływ czasu i działających podówczas żywiołów widoczny. Rewolucya wiedeńska roku 48go poczęta i wykonana w duchu liberalnym i demokratycznym, którego tryumf był podówczas pierwszą potrzebą wschodnio - europejskich społeczeństw, była przecież poczętą i dokonaną nietylko przez teoretyków, ludzi nauki, pióra lub marzenia, ale przez Niemców, którym o ile chodziło o wolność polityczną i o zasady demokratyczne, o tyle nie chodziło wcale o wolność narodową różnych szczepów monarchii. Téj potrzeby nie rozumieli, poza czysty liberalizm wzrok ich nie sięgał. Ztąd to domyślamy się, konstytucya 25 kwietnia tak jest skąpą dla sejmów krajowych. Stanowi ona wprawdzie w paragrafie czwartym, że „wszystkim plemionom poręczoną być ma nietykalność ich narodowości i mowy,“ ale orzeczenie to elastyczne i ogólne wygląda, jak żeby umieszczone było dla formy, dla oka świata, dla przyzwoitości. Tam zaś, gdzie ustawa mówi o sejmach krajowych (§. 54, 55), czeka nas zupełne rozczarowanie. „W pojedyńczych krajach istnieć mają sejmy prowincyonalne do roz„poznawania krajowych interesów i do zajmowania się wypły„wającemi z tych interesów potrzebami, o ile takowe nie są „objęte ogólnemi sprawami państwa. Dotychczasowe Stany pro„wincyonalne zachowają nadal swoje urządzenie i swój zakres „działalności, o ile ustawa konstytucyjna takowego nie zmieni.“

Jakkolwiek sam prąd historyczny owego czasu nie dozwala słów powyższych tłumaczyć w ten sposób, jakoby w obec silnego wszystko równającego ruchu demokratycznego ostać się były miały owe Stany, które się zbierały przed rokiem 46, wszelako aż nadto jest widoczném, że ogólnikowém tém orzeczeniem ustawa chciała zostawić w zawieszeniu attrybucye sejmów krajowych, zachowując sobie w przyszłości określić je tak, jakby było najwygodniéj, i ograniczyć, jakby się podobało. W następnym atoli paragrafie znajduje się przyrzeczenie ważne i cenne, którego późniejsze ustawy nie powtórzyły. Stanowi ten paragraf (55), że „jedném z pierwszych zadań sejmu Pań-

„stwa będzie zbadanie i ocenienie wniosków, jakie mu sejmy „krajowe przedłożą w przedmiocie potrzebnych zmian dotych„czasowego ich składu.“ Podług tego więc sejm centralny stanowiłby o prawie wyborczém każdego sejmu krajowego, ale inicyatywa przynajmniéj wyjśćby miała od sejmów samych; każdy kraj ułożyłby sam dla siebie podstawy i warunki swojéj reprezentacyi. Pomysł ten, aczkolwiek tak ze stanowiska zasady jak i ze stanowiska praktycznego wiele zarzucić mu można, zyskuje przecież niezaprzeczenie na porównaniu z apodyktycznym w tym przedmiocie wyrokiem ostatniéj, dziś obowiązującéj ustawy konstytucyjnéj.

Jeżeli do powyższych dwóch paragrafów doliczymy jeszcze obietnicę (§. 56), że prawodawstwo postanowi instytucye municypalne gwoli sprawom i interesom obwodowym i powiatowym, wyczerpiemy już wszystko co w konstytucyi z dnia 25 kwietnia 1848 odnosi się bezpośrednio do krajów koronnych i ich wewnętrznego politycznego życia. Trudno zaiste innego odnieść z tych postanowień wrażenia, jak to, że rząd albo nie miał podówczas jasnéj w téj mierze myśli i wyrobionego ustalonego zamiaru, albo że chował *in petto* jakieś zastrzeżenia, które późniéj przy sposobności, na niekorzyść sejmów krajowych na jaw wyjść miały.

Nie była atoli ta konstytucya końcem, ale raczéj zaledwo początkiem ówczesnego ruchu politycznego, a zjawieniem swojém i powołaniem posłów do wiedeńskiego parlamentu, dała popęd wszystkim składającym monarchię pierwiastkom, do wystąpienia ze swojemi znowu dążnościami, do postawienia swoich zasad. Od chwili jak wolność została inaugurowaną, żąda jéj dla siebie każda idea, każda zasada, i każda dla siebie walczy jeżeli nie o zwycięstwo, to przynajmniéj o uznanie. Stać się zatém musiało, że kiedy w Wiedniu zwyciężył kierunek liberalny i demokratyczny, kiedy rząd sam uznał go uprawnionym, kierunek drugi, zapomniany i przez ową ustawę cesarza Ferdynanda i przez wszystko co reprezentowało lub prowadziło ówczesny ruch wiedeński, kierunek narodowy, zasada narodowéj wolności i równouprawnienia ludów, musiała dopomnieć się o swoje prawa. Na konstytucyę z góry nadaną odpowiedziały kraje koronne swoimi projektami konstytucyi, w których orzekły, jakiem chcą mieć to państwo, jaka kon-

stytucya liczyć może na ich wierność i zgodę. Takich deklaracyi wielkiéj politycznéj doniosłości i wielkiego znaczenia choć do dziś dnia deklaracyami tylko pozostały, liczymy dwie, a mianowicie: Zjazd słowiański w Pradze i Projekt do konstytucyi ułożony dla sejmu kroackiego. Obok zaś tych dwóch aktów staje pokrewny im po części, choć wielce różny projekt ustawy konstytucyjnéj, ułożony przez wybraną w tym celu przez sejm wiedeńsko-kromieryski komisyę. Wszystkie trzy wychodzą z dołu, od narodów, wszystkie trzy były wywołane ustawą z góry nadaną, dwa pierwsze są sobie bardzo bliskie duchem i kierunkiem jeżeli nie szczegółami, trzeci, wypadek różnorodnych wpływów i usiłowań, ma przecież coś z nimi wspólnego; wszystkie trzy pozostały martwą literą i nie weszły w prawo obowiązujące — ale dziś kiedy po dwudziestu latach prób i nieszczęść na nowo otwiera się sprawa przeobrażenia więcéj niż podówczas skołatanéj monarchii, kiedy te same co podówczas dążności i zasady wstępują w szranki i gotują się do walki poraz nie wiedzieć który, dziś kiedy tak wiele zależy nam na tém, by dowieść, że to co pozostało od owych czasów martwą literą, nie przestało, od owych czasów także, być żywym duchem, dziś nie bez ciekawości i więcéj bo nie bez uszanowania przychodzi nam rozpamiętywać owoczesną obronę prawdy, prawdy wtedy zwyciężonéj, dziś jeszcze nie uznanéj, ale zawsze jednéj i téj saméj, zawsze téj, która dla Państwa tak powinna być regułą polityki, jak jest warunkiem siły i racyą bytu.

Zjazd słowiański w Pradze zasługuje sam jeden na to, aby być przedmiotem pracy osobnéj i obszernéj. Potężny objaw wspólności różnych plemion słowiańskich, czysty od grzechu zabójczego panslawizmu rosyjskiego, najpiękniejszy do owéj chwili kwiat odrodzonego narodowego życia czeskiego, zaleca się on zdrowymi i głębokimi pomysłami politycznemi, ujmuje pięknością swoich celów i szlachetnością swojego postępowania. Że zakończony wśród huku dział i rozprószony nie zdołał dojść do konkluzyi i zostawić po sobie śladów widocznych i namacalnych, to się samo tłómaczy; ale trudniéj pojąć, dla czego w pamięci ludzkiéj tak małe zajmuje miejsce, dla czego tak mało odwołują się do niego ci sami nawet, którzy dziś dzielą jego zasady i bronią téj saméj sprawy. Być może,

że zbyt wiele sobie zamierzył, że széroki jego zakres działania nie jednemu wydaje się przesadzonym, a pamięć jego o Słowianach poza granicami Austryi, więcéj uczuciową i serdeczną jak polityczną; być może, że wysłańcy plemion młodych, które życia politycznego nie były zakosztowały, nie rachowali się jak Napoleon III. z granicami możliwości, może być, że żądając powszechnego europejskiego kongresu dla spraw międzynarodowych, żądali czego nie mogli wymódz ani otrzymać — niech się z tego śmieją pogardliwie urzędowi ludzie stanu, ale my nie ruszajmy na to ramionami, bo z tych praw i usiłowań wieje jakiś duch braterstwa i sprawiedliwości, który spotkać nie łatwo, a który zaprzeczany i wyszydzany przez wszystkich, u nas przynajmniéj powinien być w poszanowaniu.

Żałujemy, że właściwy przedmiot nie pozwala nam nakreślić szczegółowego obrazu owego zjazdu, tak bogatego w rysy ciekawe i sympatyczne, i że przestać musimy na pobieżném suchém przypomnieniu jego czynności.

Bezpośredni powód do zwołania zjazdu słowiańskiego dał parlament frankfurcki, uchwalając, że cesarstwo austryjackie należeć ma do Rzeszy niemieckiéj, ze wszystkiemi swoimi krajami, z wyjątkiem krajów korony węgierskiéj. Bezczelne to niczém nie usprawiedliwione *sic volo* frankfurckich rycerzy wolności, musiało wywołać oburzenie i opór we wszystkich narodach słowiańskich; przepuścić milczkiem taką krzywdę i taką zniewagę, byłoby to na nią zasłużyć. Z drugiéj znów strony, Węgrzy na podstawie swojéj konstytucyi roku 1848 i silni swojém wyjątkowém w monarchii stanowiskiem, nabrali takiéj przemocy nad Słowianami południowymi a przemoc tę tak próbowali ugruntować przebojem, prześladowaniem, więzieniem, ba karą śmierci, że Słowianie ci zastraszeni o swój byt, zaczęli się oglądać za ratunkiem i punktem oparcia. Wdzierstwo więc i bezczelność Niemców z jednéj strony a z drugiéj arrogancya i bezwzględność Węgrów, zeszły się razem jako bezpośrednie przyczyny zjazdu słowiańskiego, który miał być dla Słowian instrumentem wspólnéj obrony i ratunku, i środkiem do zajęcia poważnego stanowiska w Austryi i w Europie.

Myśl słowiańskiego „Sboru“ rzucił pierwszy Iwan Kukuljewić w Zagrzebskiéj illyryjskiéj gazecie. Myśl rzucona odbiła się zaraz we wszystkich krajach słowiańskich korony austry-

jackiéj, a pierwszym jéj skutkiem był zjazd kilkunastu osób z różnych narodów w Pradze, celem naradzenia się o sposobie zwołania powszechnego słowiańskiego kongresu. Zjazd ten pierwotny, złożony przeważnie z Czechów i Polaków, ukonstytuował wydział tymczasowy, któremu polecił ułożyć wezwanie do wszystkich Słowian, aby się stawili w Pradze na dzień 30 maja. Odezwa ta wydana dnia 1 maja a podpisana przez ludzi znanych zaszczytnie w zachodniéj i południowéj Słowiańszczyźnie (z Polaków podpisał się Xżę Jerzy Lubomirski, pan Jan Dobrzański jako umocowany od Rady narodowéj lwowskiéj i pan Witalis Grzybowski), zaczyna od użalania się nad dotychczasowém rozbiciem Słowiańszczyzny, a następnie oświadcza, że „kiedy parlament frankfurcki powziął uchwalę, do któ„réj nie miał najmniejszego prawa, która narusza niepodległość „Państwa austryjackiego poddając Rzeszy większą jego połowę, „i która grozi zagładą narodowemu istnieniu Słowian, nie po„zostaje Słowianom tym jak porozumieć się pomiędzy sobą „o wspólne interesa i dla wspólnéj obrony.“ Słowianie z poza granic państwa austryjackiego, jeżeliby przybyć zechcieli, byliby miłymi gośćmi. Widać z tego, że wezwanie ich się właściwie nie tyczy, co dowodzi, że wydział tymczasowy był ostrożny, i że zjazd miał się zajmować sprawami samych tylko Słowian austryjackich.

Chcąc zaś uniknąć pozoru niebezpiecznéj czy to Państwu czy innym narodom słowiańskiéj agitacyi, wydał wydział tymczasowy na dniu 5 maja drugą odezwę, wymierzoną do niesłowiańskich ludów Austryi, w któréj dla uspokojenia tych ludów wypowiada zasady, na których się zjazd słowiański zbierze i których się trzymać będzie. Zasady te są: 1. Wierność monarchii i panującemu domowi, oraz gotowość do obrony całości Państwa. 2. Zgoda z niesłowiańskiemi plemionami w Austryi, zupełna względem nich sprawiedliwość i sumienne uszanowanie dla ich słusznych praw. 3. Obrona tych przyrodzonych narodowych praw, które Słowianie już mają sobie przyznane, jak i tych, które im się jeszcze należą. Słowianie użyją wszystkiego, ażeby pierwsze z tych praw zachować a drugie zdobyć. Że jednak Słowianie są przekonani, iż celu swego tylko w związku z Państwem austryjackiem dopiąć mogą, przeto rzeczą jest jasną, że zamierzony ich zjazd będzie miał

charakter konserwatywny, że zatém inne narody nie powinny ani się go obawiać ani go podejrzywać." Taka jest treść téj odezwy potrzebnéj ze względu na opinią innych krajów; jeden wszelako ustęp musimy przytoczyć z niéj dosłownie, jako cechujący pięknie charakter tego kierunku, który w zjeździe miał znaleść swój wyraz. Ustęp ten brzmi: „Złośliwi ludzie rzucają „na nas podejrzenie, jakobyśmy byli Panslawistami i ciągnęli „do Rosyi. Przeciwko takim oskarżeniom zastrzegamy się z gó-„ry i oświadczamy, że nie ma w nich nic prócz potwarzy „i kłamstwa."

Po wydaniu tych odezw, zajął się wydział tymczasowy przygotowaniem regulaminu dla ułatwienia obrad przyszłego kongresu, oraz ułożeniem spisu przedmiotów, które miały przyjść pod obrady.

Z regulaminu tego wyjmujemy dla wiadomości główne zarysy: Kongres dzielił się na trzy gruppy, z których jedna obejmowała Czechów, Morawiaków i Szlązaków, druga Polaków, Rusinów i Szlązaków mówiących językiem polskim, trzecia: Słoweńców, Chorwatów, Serbów i Dalmatyńców. Każda z tych grup wybierze zaraz po ukonstytuowaniu swojem pod przewodnictwem najstarszego wiekiem, prezesa, wiceprezesa, sekretarza i jego zastępcę*), oraz szesnastu delegatów do wielkiego wydziału kongresowego, nie mniéj każda po jednym kandydacie na prezydenta i na sekretarza kongresu. Po tych wyborach wzywa prezes tymczasowego wydziału, członków wielkiego wydziału, aby wybrali prezesa; dwaj inni kandydaci zostają z prawa wiceprezesami**).

Przygotowany zaś przez wydział tymczasowy porządek spraw mających przyjść pod obrady, obejmował: 1. Wzajemny stósunek Słowian austryackich do siebie. 2. Stósunek tychże Słowian do innych ludów monarchii. 3. Stósunek ich do Słowian po za granicami Austryi; 4. do innych ludów euro-

---

*) W grupie polsko-ruskiéj prezesem był Karol Libelt; komisarzami do ukonstytuowania téj grupy kże Jerzy Lubomirski, p. Maurycy Kraiński i p. Jan Borysikiewicz.

**) Na posiedzeniu z d. 1go czerwca prezesem wybrany jednomyślnie Franciszek Palacky; kandydaci zaś grup: polskiéj i południowo-słowiańskiéj, kże J. Lubomirski i p. Stanko Vraz, zostali *eo-ipso* vice-prezesami zjazdu.

pejskich, — a wreszcie 5: sposób wykonania uchwał zjazdu i uzyskania dla nich mocy obowiązującéj. Nie ograniczył się zaś wydział tymczasowy na prostém wskazaniu przedmiótów nad którymi zjazd miał obradować, ale zarazem przygotował mu program, projekt w jaki sposób każda z pomienionych kwestyi urządzoną lub rozwiązaną być miała. Program ten więc miał być właściwym przedmiotem dyskusyi.

Program ten najlepiéj daje poznać ducha, w jakim zjazd zwołano, i którym przejęte być miały jego obrady i uchwały. Stanowi on tedy, co do 1go, czyli co do stósunku Słowian austryackich między sobą: Państwo austryackie znajduje się w największém niebezpieczeństwie; królestwo Lombardzko-Weneckie w otwartéj wojnie; zatargi węgierskie każdéj chwili przejść mogą w wojnę domową, swoim niemieckim poddanym i swoim ministrom dowierza cesarz tak mało, że opuścił stolicę, żadnego rządu — w takim stanie rzeczy nie mogą poradzić żadne zmiany, żaden minister ani ministeryum, muszą radzić te narody, które w razie rozbicia Państwa jako drobne i słabe, zostałyby na łasce pierwszego mocniejszego sąsiada, któryby je zechciał zagarnąć. Powinny więc te narody zrobić związek pomiędzy sobą, a tym sposobem wprowadzić i monarchię na tę drogę, na któréj jedynie znaleźć może zbawienie, na drogę federacyi. Ludom słowiańskim z natury rzeczy jest to łatwiejszém jak wszystkim innym, niechaj więc one poręczą sobie wzajemnie: 1. swobody konstytucyjne, 2. nietykalność narodowości każdego; niech się zobowiążą, 3. do wspólnéj obrony swoich praw i wolności czyto konstytucyjnych czy narodowych, na przypadek gdyby te z jakiéj bądź strony zagrożonemi być miały. Wzywa zatém program zebranych na zjeździe reprezentantów słowiańskich plemion, ażeby rozważyli czy chcą zawrzéć pomiędzy sobą takie odporne przymierze.

Wyraźniéj jeszcze występuje myśl polityczna w drugim ustępie owego programu, to jest w tym, który mówi o stósunku Słowian do innych ludów monarchii. Słowianie nie pragną niczyjéj szkody ani upośledzenia, domagają się tylko sprawiedliwości dla siebie. Wszystkim innym narodom, Niemcom i Madyarom chętnie podadzą rękę, jeżeli ci zobowiążą się oddać im tę sprawiedliwość. „Zbierzmy się więc w Wiedniu

„na kongres narodowy; znieśmy się z sobą co do spraw „naszych przez równą liczbę reprezentantów, poręczmy sobie „wzajemnie narodowość naszą i wewnętrzną wolność, połączmy „się w państwo związkowe pod cesarsko-austryacką „koroną.“ Zjazd zaś słowiański ma obradować nad warunkami które z jego stanowiska miałyby być zasadami owego związku. Widoczna jest, że ten kongres narodowy miał być, podług myśli kierowników zjazdu, dalszym ciągiem onego, niejako dalszym stopniem owéj federacyjnéj formacyi, któréj pierwsza warstwa, podstawa, ułożyć się miała w Pradze. Programu tego oczywiście nie wypowiada, ale wzywa inne narody, aby przyjęły myśl kongresu, jako jedyny środek zaradczy, na zatargi wewnętrzne, które w Węgrzech mianowicie, przez bezwzględną przemoc jednéj strony a upośledzenie drugiéj przejść mogą niebawem w wojnę i sprowadzić nieobliczone klęski dla Państwa i dla pojedynczych krajów. Wylicza przytém program krzywdy wyrządzone Słowakom, Kroatom, i Serbom przez Madyarów, a chcąc zapewne dać tym ostatnim poparcie, pierwszym zaś przestrogę, oświadcza się za uciśnionymi.

Gdyby nawet zjazd Praski był obrady swoje szczęśliwie dokończył, wątpić można, czyby się była przyjęła owa myśl narodowego kongresu w Wiedniu. Wszechwładny w stolicy liberalizm niemiecki, i wszechwładny za Litawą element madziarski, byłyby sobie zapewne podały rękę, żeby pomysł ten odepchnąć. Czy atoli pomysł sam w sobie był tak złym? Mieliśmy od tego czasu wojnę węgierską i jéj skutki, rządy pana Bacha i ich skutki, wojnę włoską i jéj skutki, konstytucyę lutową i jéj skutki, opór Węgrów i jego skutki — wreszcie Königgraetz... pytanie, czy z tego szeregu klęsk nie byłoby się uniknęło niektórych przynajmniéj, gdyby owa myśl porozumienia i federacyi była znalazła zastósowanie.

Zwracając się do Słowian po za granicami Austryi, ogranicza się program na wyrażeniu sympatyi i nadziei, że przyjdzie chwila oswobodzenia dla Słowian tureckich, że Prusy wstrzymują się w swojém dziele germanizacyi Szlązka, Wielko-Polski i Prus (zachodnich i wschodnich), że wolność zaświeci kiedyś dla narodu rosyjskiego, i że pomiędzy Rosyą a Polską nastąpi zgoda „na podstawie równouprawnienia“. Ciasne to

pojmowanie sprawy polskiéj musi każdego z nas urazić, a musiałoby nawet zrazić do całego zjazdu i jego twórców, gdyby było wyrazem zapatrywania całéj Słowiańszczyzny na nasz stósunek do Rosyi. Jest to atoli tylko wyjątek z programu ułożonego przez jednego człowieka a zatém wyrazem opinii co najwięcéj pewnego koła nie obeznanego z naszém położeniem. Polacy sami tak mało dbali o zapoznanie innych Słowian ze swoją sprawą, Rosya dbała tak wiele oto, by tę sprawę zawsze w fałszywém świetle przedstawiać, że błędne jéj pojmowanie może nas boleć, ale dziwić nie może.

Dla bliższego zaś poznajomienia i związku wszystkich szczepów słowiańskich pomiędzy sobą, żąda program ażeby zjazd postanowił utworzyć pomiędzy nimi towarzystwo literackie i naukowe, ażeby peryodycznie odbywały się zjazdy słowiańskich uczonych w celach umiejętności, i ażeby nauka wszystkich języków słowiańskich wykładaną była na wszystkich słowiańskich uniwersytetach.

Punkt czwarty, stósunek do innych narodów europejskich, zawiera stanowczą protestacyę przeciw włączeniu nie-niemieckich krajów austryackich do Rzeszy niemieckiéj; wreszcie punkt piąty, mówi o właściwém stanowisku zjazdu słowiańskiego, o charakterze jego uchwał i o sposobach jakimi uchwały te nabyć mają mocy obowiązującéj. Pod tym względem program jest niezmiernie ostrożnym, nie rości dla zjazdu żadnego charakteru prawodawczego, ani dla jego uchwał żadnéj prawomocności; o działanie nieprawne, rewolucyjne, nikt zjazdu oskarżyć nie może. Jest on naradą ludzi prywatnych, zebraniem dozwoloném konstytucyą — postanowienia jego, poddane będą jako wnioski pod uchwałę sejmów krajowych, które starać się będą o sankcyę cesarską dla tych, już swoich uchwał. Zjazd zaś, ze swojéj strony, może co najwięcéj wysłać do cesarza deputacyę z uwiadomieniem o swoich czynnościach. Czy ją wysłać ma lub nie, to program poddaje pod jego obrady. Wynika z tego, że stanowisko zjazdu było zupełnie prawne, zgodne z przepisami, że zjazd nie wdzierał się w zakres żadnéj władzy ani sobie żadnéj nie przywłaszczał.

Powiedzieliśmy wyżéj, że z programu tego najlepiéj poznać można ducha, zasady i dążności zjazdu; podnosimy je tu raz jeszcze dla lepszéj pamięci; 1. Zjazd wypiera się

panslawizmu; 2. chce utrzymać Austryę ale chce ją ukonstytuować jako państwo federacyjne; 3. w téj federacyi żąda dla każdego narodu wolności narodowéj i administracyjnéj.

Przedmioty przychodziły pod obrady tym porządkiem, jak je program uszykował. Każda z trzech grup obradowała nad niemi u siebie, za uchwałę zaś kongresu to tylko miało uchodzić, na coby się wszystkie trzy zgodziły. W razie sprzeczności pomiędzy pojedynczemi grupami, miał wielki wydział obradować nad spornym przedmiotem, a potém ze swojém zdaniem o przedmiocie, odesłać dotyczącéj grupie do powtórnéj dyskusyi. Tymczasem d. 3go czerwca nastąpiła zmiana nie co do treści lub zasad programu, ale co do porządku przedmiotów. Przewodniczący sekcyi polsko-ruskiéj, Karol Libelt, wniósł, ażeby dla prędszego działania i ukończenia zamierzonych czynności, ograniczyć takowe do trzech, a mianowicie: 1. wydać manifest do ludów Europy z wypowiedzeniem zasad i celu zjazdu słowiańskiego; 2. podać do cesarza adres z wyrażeniem próśb i potrzeb słowiańskich jego poddanych; 3. zawrzeć związek ludów słowiańskich Austryi, przeznaczony do ubezpieczenia i obrony ich praw narodowych, a zaopatrzony w środki wykonania i przeprowadzenia powziętych na kongresie uchwał.

Te trzy punkta obejmowały wszystko co kongres zdziałać sobie zamierzył; że zaś droga postępowania była krótszą i łatwiejszą, przeto wielki wydział przyjął wniosek p. Libelta, a odstąpił od wytkniętego programem porządku obrad. Osobnym komisyom zlecono zaraz ułożenie manifestu do ludów Europy, adresu do cesarza, oraz artykułów związku który miał być zawartym.

Manifest, ułożony był w komisyi tak zwanéj dyplomatycznéj, przez Palackiego, z pomocą Libelta, Bakunina i Zacha. Dokument to dość długi, ale wart, żeby go przeczytać przynajmniéj z ciekawością. Jak też przemówi do swoich starszych braci uznojonych długiém działaniem i długą historyą ten szczep słowiański najmłodszy, nie znany lub zapomniany, mało dotąd na scenie świata widywany, z czém się odezwie, czego zażąda, co nowego przyniesie temu światu w który chce wstąpić, téj historyi w któréj chce miejsca dla siebie? Przemówił, jak w owym czasie mówiły wszystkie narody, słowem

wiary w wolność, w sprawiedliwość i w braterstwo; przemówił jak młodzieniaszek wierzący święcie, że co dobre i prawdziwe musi być możliwém i łatwém. Można mu zarzucić, że nie obliczył się z trudnościami, że rzucił myśl któréj wykonać nie mógł. Można powiedzieć to samo o nie jednym wielkim pomyśle, o republice chrześciańskiéj Henryka IV. naprzykład, jednak trudno zaprzeczyć, że w tych utopiach są pewne warunki i zasady odrodzenia i postępu ludzkości, że jest pewna szlachetność i wielkość, któréj brak w rzeczywistym stanie Europy.

Zaczyna manifest od skreślenia dotychczasowego upośledzonego stanu ludów słowiańskich, przyznaje się do zasad wolności i równości przed prawem, a następnie występuje z zasadą, któréj urzeczywistnienie miało być podług teoryi owoczesnéj naszéj historyozoficznéj szkoły (Mickiewicz, Krasiński, Brodziński, Ojcze nasz) przeznaczeniem słowiańskich plemion a przed wszystkiemi Polski.

„Nie mniéj świętém jak przyrodzone prawo człowieka, „jest nam przyrodzone prawo narodów. — Natura nie zna „ludów szlachetnych i podłych, i żadnego z nich nie powołała „do panowania nad drugim, żadnego nie przeznaczyła do „służenia celom drugiego. Równe prawo wszystkich narodów „jest prawem Bożem, którego żaden naród bezkarnie przekro„czyć nie może. Ale dziś niestety, nie uznają i nie wykonywują „tego prawa najoświeceńsze nawet narody; a wolności, którą „przyznały człowiekowi, zaprzeczają jeszcze narodom. My „Słowianie odrzucamy i potępiamy panowanie jednego narodu „nad drugim; potępiamy téż i tę politykę, która z krajami „i ludźmi, obchodzi się jak żeby one były rzeczą nie żywą, „własnością panującego, którą się samowolnie zabiera, oddaje, „zamienia i dzieli.“

„Przeciwko takiéj polityce chcąc działać ile możemy, „prosimy zwierzchnika naszego cesarza austryjackiego, ażeby „Państwo swoje urządził w związek dobrowolny wolnych naro„dów, a upatrujemy w tém nietylko nasze własne zbawienie, „ale ubezpieczenie wolności, oświaty i sprawiedliwości w ogóle „i liczymy, że ludy Europy nie będą nam przeszkadzać w do„konaniu tego dzieła. Nieprzyjaciele nasi chcą nas oczernić „i rzucają na nas podejrzenie, że dążymy do Panslawizmu.

„To nie prawda; my żądamy tylko sprawiedliwości. Wołamy „sprawiedliwości dla Polski, wzywamy rządy, aby naprawiły „złe wyrządzone przez dawną politykę gabinetów i rachujemy „na sympatyę całéj Europy; protestujemy przeciw samowolne-„mu rozdzieraniu krajów, jak to rząd pruski właśnie zrobił „z W. Ks. Poznańskiem; spodziewamy się, że rząd ten odstą-„pi od prześladowania nie niemieckich narodowości na Szląsku, „w Poznańskiem, w wschodnich i zachodnich Prusiech: doma-„gamy się od ministeryum węgierskiego, żeby zaniechało nie-„ludzkich i gwałtownych środków ucisku, których używa prze-„ciw Kroatom, Serbom, Słowakom i Rusinom, i żeby im „wszystkim przyznało jak najśpieszniéj należne im narodowe „prawa."

„Najmłodsi, ale nie najsłabsi pomiędzy europejskiemi „szczepami, wstępując na nowo na widownię dziejów, zaczy-„namy od wezwania ludów Europy, aby zebrać wspólny kon-„gres powszechny do rozwiązania wszystkich spraw międzyna-„rodowych, a wierzymy, że wolne ludy łatwiéj się porozumie-„ją, niż płatni dyplomaci."

Marzenia i utopie? Poezya nie polityka. Istotnie słychać w tym głosie jakieś dźwięki przypominające „Poselstwo z ziemi ucisku i Psalmy przyszłości." Jednak, jeżeli nawet wprowadzenie zasad chrześciańskich w międzynarodowe stosunki i prawa ma do końca świata pozostać utopią, to będzie przynajmniéj najszlachetniejszą z utopii. Zjazd słowiański przyznał się do niéj i postawił ją jako swoje polityczne *credo;* a w chwili kiedy wydawał swój manifest, miał prawo, zdaniem naszém, mniemać, że pierwszy wypowiadał wielką i świętą prawdę przed światem, i że dobrze płacił za miejsce, którego się domagał dla Słowian w kole europejskich narodów.

Program i manifest kongresu oddaliły nas od właściwego przedmiotu, od projektowanéj federacyjnéj konstytucyi Państwa. Mniemaliśmy jednak, że nie należało pominąć tych dokumentów, jako cechujących ducha i dążności zjazdu. Co się zaś tyczy reorganizacyi Państwa, nie zostawił po sobie ów zjazd nic takiego, coby się właściwie nazwać dało wyrobionym projektem konstytucyi, gdyż jak wiadomo, czynności jego zostały gwałtownie przerwane. Wszelako z czynności początkowych można zrobić sobie dość dokładne wyobrażenie o téj bu-

dowie konstytucyjnéj, któréj główne zarysy miał ułożyć; czynności te zaś zaszły tak daleko, że choć w jednę formę nie zostały przelane ani przez kongres uchwalone, przecież policzyć je możemy śmiało do rzędu projektowanych ustaw konstytucyjnych w Austryi.

Zasady, na których zjazd Prażski chciał oprzeć przyszły ustrój Państwa austryjackiego, dają się wyszukać w adresie tego zjazdu do cesarza i we wniosku p. Libelta z d. 7 czerwca; a jeżeli manifest do ludów Europy bujał po obłokach, to rzeczone dwa dokumenta sprowadzają nas na stały grunt rzeczywistości.

Adres zaczyna od skreślenia smutnego stanu monarchii (nie tak rozpaczliwego przecie, jak ten, na który dziś patrzymy), i podaje nań ten sam środek, który my dziś zalecamy, system federacyjny; a jako pierwszy krok na téj drodze przedstawia cesarzowi następujące prośby słowiańskich jego poddanych:

Czesi i Morawianie proszą o porównanie praw Morawii z prawami przyznanemi Czechom, o zachowanie pomimo tego udzielności każdego z tych krajów; żeby najwyższe urzędy były wspólne dla Czech i dla Moraw; żeby wydziały sejmowe obu krajów zbierały się na przyszłość na narady o wspólnych sprawach; żeby wreszcie obadwa kraje poręczyły sobie wzajemnie wolność obywatelską i równość swoich narodowości.

Dążność tych krajów do połączenia się z sobą wyraźnie daje się dostrzedz z powyższych postulatów.

Słowacy i Rusini węgierscy skarżą się na ucisk, którego doznają od Madyarów a mianowicie od nowego (podówczas) ministeryum, a oprócz tego proszą:

Ażeby przez Madyarów uznanymi zostali jako odrębny naród i ażeby im przyznano porówno z Węgrami prawa w sejmie węgierskim;

ażeby mieli swoje osobne zbory słowacko-ruskie, z osobnym stałym wydziałem, któryby czuwał nad całością ich praw i wykonywał uchwały ich zborów;

ażeby mogli zakładać sobie szkoły, od elementarnych aż do najwyższych, w których to szkołach język ich byłby wykładowym;

ażeby Węgrzy uczyli się w szkołach ich języka, a oni węgierskiego, ażeby w Węgrzech żadna narodowość nie była panującą, ale wszystkie sobie równe i równouprawnione;

ażeby Słowacy uwięzieni przez władze węgierskie za obronę praw swego plemienia natychmiast zostali uwolnieni;

ażeby im nie odmawiano prawa stowarzyszenia, ale aby im takowe przyznano w takiéj mierze jak Węgrom.

Serbowie i Kroaci proszą ogólnie, ażeby cesarz potwierdził to wszystko, co sejmy ich uchwaliły lub jeszcze uchwalą na korzyść dynastyi, ich narodowéj samoistności i ich instytucyi municypalnych.

Prośby te pozwalają zajrzeć w sam środek sprzecznych kierunków krzyżujących się w krajach korony śgo Szczepana i odchylają zasłonę, pod którą buta madyarska ukrywa trudne wewnętrzne stosunki tych krajów. Wreszcie Słowańcy osiedli w Styryi, Krainie, Karyntyi i na Wybrzeżu, proszą, ażeby ich połączono w jednę polityczną całość pod nazwą Królestwa Słowańskiego, z Lublaną za stolicę; język ich miałby być wprowadzonym do szkół, sądów i urzędów, a w Lublanie miałby być utworzonym uniwersytet słowański.

Trzeba przyznać, że mąż stanu, któryby te wszystkie żądania chciał pogodzić z pretensyami Węgrów i Niemców, podjąłby herkulesową pracę; ograniczeni założeniem naszém na proste opowiadanie, nie możemy wchodzić w ocenienie, czy to słuszności czy téż praktycznéj wykonalności powyższych postulatów; wydobyć tylko musimy z owego adresu to, co nas bezpośrednio dotyczy, to jest żądania Galicyi tak jak je sformułowała grupa polsko-ruska słowiańskiego zjazdu.

Znajdziemy tu poruszone a ze zgodą Polaków i Rusinów do pewnego rozwiązania doprowadzone wszystkie te kwestye sporne, które występowały tak gwałtownie na ostatnim naszym sejmie; znajdziemy, że wiele z nich tak właśnie rozstrzygnąć zamierzono, jak dziś są rozstrzygnięte, (na wielką, jak się dziś mówi, krzywdę Rusinów) — domyślamy się, że ze strony polskiéj układy te musiały być prowadzone z wszelką wyrozumiałością i gotowością do ustępstw — wreszcie widzimy w zawieszeniu jeden punkt nader ważny, który strona ruska musiała wnosić, a którego polska przyjąć nie mogła.

„Z ogłoszonéj konstytucyi odniosła dotychczas Galicya jednę tylko korzyść, to jest wolność druku. Zresztą odpowiedz cesarskie na prośby Galicyi i Krakowa, i tyczące się tych krajów rozporządzenia ministeryalne tak mało poręczają ich wolność narodową, że Polacy i Rusini musieli ułożyć między sobą pewien plan wzajemnego ubezpieczenia swoich praw narodowych. Warunki takiego ubezpieczenia narodowości są:

a) Stósownie do przeważającéj ludności każdego powiatu ma być język polski lub ruski językiem urzędowym. Każda gmina jednak może w czynnościach urzędowych tego języka używać, za którym się oświadczy większość jéj mieszkańców. Przy obsadzaniu niewybieralnych urzędów, rząd uwzględniać będzie zarówno Polaków jak Rusinów.

b) Język szkolny w szkołach parafialnych, trywialnych i normalnych stósować się ma do większości mieszkańców każdéj gminy. Mniejszość atoli może zakładać szkoły dla swojego języka. W trzeciéj klasie normalnéj nauka obu języków ma być obowiązującą. Gimnazya osobne dla każdego języka, ale język drugi ma być w każdém gimnazyum przedmiotem obowiązkowym. Na uniwersytetach wolne są wykłady w obu językach.

c) Gwardya narodowa każdéj miejscowości stanowi sama, czy chce mieć komendę w języku polskim czy ruskim.

d) Galicya ma jeden wspólny rząd centralny, który z władzami polskiemi znosi się po polsku, z ruskiemi po rusku. Sejm wspólny, z wolném używaniem obu języków. Uchwały sejmu i rozporządzenia rządowe mają być w obu językach ogłaszane.

e) Duchowieństwo obu obrządków ma być zrównaném tak co do godności jak co do dochodów.

f) Wreszcie *(in cauda venenum)* sejm galicyjski uchwali, czy podział Galicyi na dwa okręgi administracyjne jest potrzebnym i czy jest na czasie. Wydaje nam się to, jak żeby pierwszy krok na téj drodze, na któréj Świętojurcy zaszli daleko, bo aż do żądania dwóch wydziałów sejmowych, jeżeli nie dwóch sejmów. Polacy widocznie uczuli niebezpieczeństwo i kiedy ustąpili we wszystkiem, w tym jednym punkcie ustąpić nie chcieli, nie mogli. Nie wiemy, ale domyślamy się nad tym punktem żywéj dyskus-

syi, domyślamy się, że do porozumienia przyjść nie mogło, i że z tego powodu kongres nie poruszał téj kwestyi, zostawując ją sejmowi galicyjskiemu do rozpoznania.

Oprócz zaś wyliczonych punktów określających wzajemny stosunek Polaków i Rusinów, proszą cesarza jedni i drudzy o zwołanie sejmu krajowego jeszcze przed terminem zapowiedzianego sejmu wiedeńskiego; o zastąpienie dotychczasowego sejmu postulatowego innym, opartym na ustawie wyborczéj odpowiadającéj potrzebom i prawom całego narodu; o odpowiedzialność urzędów tak jak ona Czechom przyrzeczoną została; o odwołanie urzędników nie znających języków krajowych i o zastąpienie ich innymi, posiadającymi zaufanie narodu.

Z różnorodnych tych żądań nie zebranych w jeden zaokrąglony projekt konstytucyi, trzebaby dopiéro wybierać pierwiastki federacyjnego ustroju Państwa, są one jednak bardzo widoczne. Dążność Czechów i Morawian do połączenia się w jednę grupę, dążność Słowian karyntyjskich i styryjskich do uformowania osobnego ciała politycznego, protestacye Słowian korony węgierskiéj przeciw zwierzchnictwu Madyarów, powszechne żądanie administracyi własnéj, wybieralnéj po części i odpowiedzialnéj, wszystko to są dowody federacyjnych dążności. Jeszcze wyraźniéj zaś, jeszcze jędrniéj, objawia się ten kierunek w samym wniosku p. Libelta, który był pierwszym powodem ułożenia tak manifestu jak i adresu do cesarza. We wniosku tym oznaczone są zasady, których się trzymać mają rzeczone dokumenta, a mianowicie pomiędzy innemi:

1. Słowianie żądają udziału ludów w rządzie, wyrazem tego udziału ma być Izba prawodawcza, z wyborów bezpośrednich i jak najmniéj ograniczonych. Izba wyższa ma być wybierana przez Izbę niższą na pewną oznaczoną liczbę lat.

2. Żądają instytucyi gminnych, a przeto wybieralności wszystkich urzędników administracyjnych.

3. Gwardyi narodowych pod wybieranymi dowódzcami. Armia ma przysięgać na wierność konstytucyi i t. d., pomijamy wiele czysto-liberalnych żądań, które zarówno pomieścić się mogą w centralistycznéj jak w federalnéj konstytucyi, a podnosimy najwięcéj dla nas znaczącą zasadę, że: żaden niesłowiański parlament nie ma prawa narzucać swoich „uchwał Słowianom“— zasada ta wymierzona przeciw ów-

czesnemu parlamentowi frankfurckiemu, ale łatwa do zastósowania przeciw każdemu innemu, któryby zagrażał narodowéj odrębności krajów i ludów słowiańskich.

Powiedzieliśmy wyżéj, że wniosek Libelta stał się osią i nicią przewodnią prac zjazdu, i że zadania te zamknął w trzech czynnościach, a mianowicie: manifest do ludów Europy, adres do cesarza i obmyślenie środków do zdobycia i utrzymania objętych poprzednimi aktami celów i zasad. Manifest i adres, choć nie zostały ostatecznie przez zjazd uchwalone, były przecież gotowe, a nie ma wątpliwości, że co do głównych swoich zasad byłyby po uchwale kongresu zostały takimi, jak je dotyczące komisye ułożyły. Ale trzecia czynność kongresu, owo praktyczne zadanie obmyślania środków do wprowadzenia w życie celów i zasad zjazdu, to nigdy w komisyi nawet ukończonêm nie zostało, a jeżeli chcemy dowiedzieć się cokolwiek o tych środkach, musimy ich szukać znowu we wniosku Libelta. Podług niego środkiem takim miałby być:

1. Kongres słowiański zbierający się peryodycznie dwa razy do roku, w maju i w październiku, coraz to w innêm mieście słowiańskiem.

2. Stały wydział tego kongresu złożony z trzech sekcyi.

3. Wydziały stałe każdego narodu w ciągłych stosunkach z wydziałem kongresu.

4. Ogłaszanie i rozszerzanie uchwał kongresu wszelkiemi prawnie pozwolonymi sposobami.

5. Stały wydział literacki dla całéj Słowiańszczyzny, przeznaczony do utrzymywania duchowéj i umysłowéj jedności pomiędzy Słowianami.

6. Wszech-słowiańskie czasopismo i wszech-słowiańska biblioteka.

7. W końcu stanowcze potępienie wszelkich środków działania tajnych i nie dozwolonych.

Gdybyśmy pisali wiadomość historyczną o zjeździe słowiańskim w Pradze, byłoby naszém zadaniem i obowiązkiem, opowiedzieć jego smutny koniec i wyjaśnić te wpływy i powody, które ów koniec sprowadziły. Opowiadanie to dałoby nam pożądaną i wcale wdzięczną sposobność do podania wielu cie-

kawych szczegółów, do wprowadzenia wielu zajmujących lub sympatycznych działających podówczas postaci. Z samych Polaków ilużto było w Pradze, połączonych jedną myślą, którzy dziś rodzieleni całemi przepaściami uczuć, wyobraźni i kierunku. Uczeni jak Ant. Zygmunt Helcel, Karol Libelt i Antoni Walewski; nieprzyjaciele dzisiejsi jak ks. Ginilewicz i pan Jan Borysikiewicz; książe Jerzy Lubomirski, który nie weźmie nam za złe, jeżeli go nazwiemy jednym z najdoskonalszych reprezentantów kierunku, którego prorokiem był Zygmunt Krasiński a historyozofem August Cieszkowski, obok niego Lucyan Siemieński, ks. Janiszewski, w ostatnich chwilach zjazdu Floryan Ziemiałkowski, i wielu, wielu innych, a pomiędzy nimi potężna, tragiczna postać margrabi Wielopolskiego — ileżto kierunków, ile sprzecznych doktryn i zasad; możnaby powiedzieć Mikrokosmus polskiego społeczeństwa, zbiór wszystkich różnic i odcieni polskiéj myśli. Niestety, musimy się odwrócić od tego ponętnego dla pisarza obrazu, a do innego przechodząc przedmiotu, zastrzedz się, że mówiąc o projektowanych w Austryi konstytucyjach, mieliśmy nietylko słuszne prawo, ale powinność mówić o zjeździe słowiańskim. Bo jakkolwiek przygotowawcze jego prace tyczyły się raczéj ukonstytuowania Słowiańszczyzny jak Austryi, to przecież obrachowane były na urządzenie téj Słowiańszczyzny w Austryi i w związku z Austryją, i nosiły w sobie tyle pierwiastków do federacyjnéj organizacyi tego Państwa, że uważać je można za jedno z najdzielniejszych w tym kierunku usiłowań, za najpoważniejszy może wyraz tych dążności i trzeba przyznać, że noszą w sobie wszystkie warunki wielkiego politycznego systemu; a jedynie wypadki przeszkodziły, że te myśli i zasady nie uformowały się w skończony całokształt federacyjnéj konstytucyi dla Austryi.

II.

Drugim z kolei projektem konstytucyi federalnéj dla Austryi jest program p. Ostrozińskiego. Znany ten w całéj południowéj Słowiańszczyznie publicysta, dał wprawdzie firmę projektowi, ale nie trzeba mniemać jakoby ten program acz przez niego napisany, był wymysłem jednego prywatnego człowieka; bo tak w r. 1848 jak w r. 1861 cieszył się ten

projekt powszechném uznaniem Kroatów i Sławeńców, którzy go uważali za najdokładniejszy wyraz swoich idei i dążności; tak dalece, że w zbiorze aktów urzędowych do historyi Kroacko-Słoweńskiego sejmu i ruchu z r. 1848, program ten został pomieszczony jako wyraz narodowych dążności tych krajów*).

W programie tym nie potrzebujemy już wyszukiwać zasad federalnych i wydobywać ich z przygotowanych zaledwo materyałów; mamy bowiem do czynienia z projektem tak zupełnym i wykończonym, że w téj saméj formie w któréj go autor podał do druku, mógłby być przydatnym pod rozprawy każdego parlamentu.

Podobnie jak właściwa praca zjazdu słowiańskiego w Pradze poprzedzona była ogólném wypowiedzeniem zasad, niejako zbiorowém wyznaniem wiary złożoném w manifeście do ludów Europy, tak i polityk chorwacki poprzedza swój projekt konstytucyi wstępem, który pominąć byłoby to skrzywdzić i czytelnika i autora. Jest on tém ciekawszy do poznania, że dowodzi, jak pokrewny sobie jest duch plemion słowiańskich, jak zbliżone do siebie ich zapatrywania na sprawy europejskie, jak wszystkie instynktem pragną sprawiedliwości w stósunkach międzynarodowych. Myśl ta jest dominującym pierwiastkiem całéj literatury polskiéj, zwłaszcza literatury poetycznéj od r. 1830; w manifeście prażskim znalazła ona wyraz bardzo silny; zobaczmy jak ją formułuje Słowianin od Dunaju i Sawy.

Upadek dawnego systemu rządzenia**) dowodzi, że system ten nie opierał się na stałych i prawdziwych podstawach; system ów musiał się obalić, bo trzymała go nie rzeczywista wszystkim częściom monarchii wspólna siła spójna, ale tylko sztuczne, mechaniczne środki. A przecież jak w świecie fizycznym tak i w świecie polityczno-spółecznym są pewne naturalne siły spójności, które łączą spółeczeństwo ludzkie do pewnych wspólnych celów. Siła taka musi być i w Austryi, musi być

---

*) *Aktenstücke zur Geschichte des Kroatisch-Slavonischen Landtags und der nationalen Bewegung vom Jahre 1848, herausgegeben von Stephan Pejaković, Landtags-Abgeordneten aus der Militärgrenze. Wien 1861, Meihitaristen-Buchdruckerei.*

) **Pisane w roku 1848.

coś, co wszystkim narodom monarchii mogłoby być wspólném, pożyteczném i drogiém.

I to „coś“ musi być podstawą przyszłéj budowy politycznéj jeżeli ta budowa ma być trwałą i silną.

Gdzież więc tę podstawę znajdziemy? Czy będzie nią absolutyzm, czy monarchia konstytucyjna, czy ideja republikańska? Czy niemiecka centralizacya, czy węgierski dualizm? Germanizm, Madyaryzm, czy Słowiańszczyzna? Katolicyzm, protestantyzm czy jakakolwiek ideja religijna? Nie — nic z tego wszystkiego nie może być zasadą prawdziwéj reorganizacyi tego państwa, bo nic nie odpowiada w jednéj mierze potrzebom wszystkich jego ludów. Jeszcze raz więc, gdzież mamy szukać téj zasady?

Kiedy nam ziemska mądrość nie wystarcza, nie pozostaje jak uciec się do mądrości Bożéj; otwieramy więc Ewangelię, i znajdujemy w niéj słowa jak żeby umyślnie dla ludów austryackich napisane: „Kochaj Boga nadewszystko a bliźniego swego jak siebie samego“ — „Nie czyń drugiemu czego nie chcesz aby tobie czyniono“ — a daléj spotykamy tę mądrą dla austryackich mężów stanu naukę: „Żaden nie wprawuje „łaty z nowego sukna w starą szatę, abowiem odrywa od „szaty całość jej, y staje się gorsze przedarcie. Ani leją wina „młodego w stare statki, bo inaczej pękają statki, y wino „się rozlewa y statki się psują. Ale młode wino zlewają „w statki nowe, a oboje bywają zachowane“ (Mat. IX. 16. 17.). *Justitia regnorum fundamentum*, oto owa ogólna zasada dla Austryi, która atoli dotychczas ogólnie uznaną nie bywała; a politycznym wyrazem téj zasady jest równouprawnienie.

Przedmiotem równouprawnienia jest indywiduum, obywatel religia i narodowość. Z emancypacyą człowieka i z emancypacyą stanów ukończyła się wielka rewolucya we Francyi; cel, jéj był dopiętym, bo tam, w narodzie jednolitym, po zniesieniu osobistych lub kastowych przywilejów, zniesione były tém samém wszystkie ograniczenia wolności i równości. Ale w Austryi gdzie oprócz przywilejów osobistych i kastowych istnieje jeszcze arystokracya szczepowa, uprzywilejowane stanowisko żywiołu niemieckiego i węgierskiego, położenie narodów upośledzonych jest nie do zniesienia dla nich samych, a nie mówiąc już o tém, że jest obrazą cywilizacyi i sprawiedliwości,

musi w przyszłości okazać się szkodliwém i niebezpieczném dla państwa.

Emancypacya człowieka i stanów jest dopiero połową dzieła rozpoczętego przez ruch r. 1848; druga połowa pozostaje jeszcze do zrobienia, a mianowicie, pozostaje jeszcze pogodzić wolność polityczną z wolnością narodową, a obiedwie razem w jedności państwa uwydatnić i zabezpieczyć.

Przypominamy, że słowa te były pisane w roku 1848; trzeba przyznać, że od owego czasu, ta druga połowa dzieła nie wiele naprzód postąpiła.

Ta druga połowa dzieła, naturalne i konieczne następstwo pierwszéj, polega wedle autora, w emancypacyi narodowéj wszystkich ludów Austryi, a zbawienie monarchii da się osiągnąć tylko przez polityczną konfederacyę tych ludów.

Autor mniema, że cel ten da się dopiąć bez narażenia jedności monarchii na niebezpieczne skutki zbytniéj odrębności i luźnego związku krajów koronnych.

Ideja narodowa tych krajów nie będzie przeciwną politycznéj idei jedności państwa, jeżeli w obrębie téj jedności wszystkie ludy znajdą warunki i rękojmie zachowania swojéj narodowości, i jeżeli żaden z nich nie będzie miał powodu obawiać się lub zazdrościć narodowéj supremacyi drugiego.

Ludy te, uważane jako narodowe osobistości, należałoby wezwać do porozumienia się wzajemnego w przedmiocie ich przyszłego stanowiska w państwie, a na podstawie zupełnego równouprawnienia narodowego.

Państwo austryackie składa się z siedmiu takich odrębnych od siebie różnych, organicznie w sobie skończonych narodowych osobistości; a mianowicie: 1. z Niemców 2. Czechów, Morawian, Szlązaków i Słowaków; 3. Madyarów, 4. Słowian południowych (Serbów, Kroatów i Słoweńców); 5. z Polaków i Rusinów; 6. z Rumunów; wreszcie 7. z Włochów.

Jaki zaś być ma stósunek prawny tych siedmiu grup do siebie i do państwa, żeby narodowość żadnéj z nich nie była pokrzywdzoną ani jedność monarchii zachwianą, to oznacza bliżéj „program do ukonstytuowania państwa austryackiego, na zasadzie konstytucyjnego i narodowego równouprawnienia.“

Całość państwa stanowią wyżéj pomienione ludy i kraje, formą rządu ma być monarchia konstytucyjna, tron jest dziedziczny w domu Habsbursko-Lotaryńskim podług prawa następstwa opisanego sankcyą pragmatyczną.

Za temi postanowieniami, które są wspólne wszystkim ustawom konstytucyjnym w Austryi, następuje dopiéro właściwy projekt konstytucyi federalnéj, w następujących zarysach:

Władza prawodawcza dzieli się na centralną i narodową.

a) Centralną jest 1) kongres narodowy, złożony z reprezentantów wszystkich narodów, wybieralnych w równéj liczbie przez sejm każdego kraju. Kongres ten jest organem prawodawczym międzynarodowym do ostatecznego ustalenia terytoryalnego rozgraniczenia krajów; do ułożenia ustawy konstytucyjnéj i aktu związkowego pomiędzy tymi krajami; do określenia kompetencyi swojéj własnéj równie jak kompetencyi sejmów krajowych; do kontroli nad polityką nadwornych kanclerzy narodowych.

2) Sejm (*Reichstag*) złożony z wysłańców wszystkich sejmów krajowych także przez te sejmy wybieranych (w proporcyi jednego posła na sto tysięcy ludności), jako organ prawodawczy konstytucyjny, przeznaczony do uchwalania praw w zakresie spraw zagranicznych, wojny, skarbu i handlu, w obrębie ustaw organicznych ułożonych przez kongres a dla sejmu tego obowiązujących.

Dla zabezpieczenia interesów konserwatywnych wyższego rzędu, zamiast Izby dziedzicznych Parów, miałby być utworzonym senat Państwa złożony z członków dożywotnich, mianowanych przez cesarza z pomiędzy dostojników świeckich i duchownych, wielkich właścicieli ziemskich, wielkich przemysłowców, z umysłowych i naukowych znakomitości.

Władzę prawodawczą narodową *b)* stanowią sejmy krajowe; do ich kompetencyi należą wszystkie sprawy, które nie są oznaczone powyżéj jako należące do kompetencyi kongresu lub sejmu centralnego. Wszystkie te ciała prawodawcze nie są bynajmniéj od siebie zależne, a o sankcyę dla swoich uchwał udaje się każde z nich wprost do cesarza. Sejmy krajowe schodzą się corocznie w pierwszy poniedziałek listopadowy — sejm centralny w pierwszy poniedziałek miesiąca lutego. Z sejmu centralnego zaś może każdéj chwili zebrać się kongres, gdyż

każdy sejm krajowy, wysyłając delegowanych do sejmu centralnego, wyznacza zarazem z pomiędzy nich tych dwudziestu pięciu, którzy zastępować go mają na kongresie.

Kongres i sejm centralny obradują w tym języku, który zrozumiałym jest większości członkom. Protokóły posiedzeń mają być pisane, a uchwały ogłaszane, we wszystkich językach. Każdy tekst zarówno uważanym być ma jako oryginalny.

Każdy sejm krajowy obraduje w swoim własnym języku.

Kongres i sejm centralny zbierają się w rezydencyi cesarskiéj.

Podobnie jak prawodawcza dzieli się i władza wykonawcza na centralną i narodową.

We wszystkich sprawach należących do ciał prawodawczych centralnych, władzą wykonawczą jest odpowiedzialne ministeryum, złożone z prezydenta ministrów, z ministra cesarskiego domu, spraw zagranicznych, skarbu, wojny i handlu.

Do spraw zaś poddanych pod kompetencyę sejmów krajowych, a zatem do wszystkich spraw dotyczących wewnętrznego zarządu, istnieje przy boku cesarza osobna dla każdego kraju kancelarya nadworna z kanclerzem na czele, który to kanclerz za czynności swoje odpowiada właściwemu sejmowi krajowemu.

Atrybucye władzy kanclerskiéj w obrębie właściwego kraju są te same jakie mieli dotychczas ministrowie spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, oświecenia i policyi.

Władzą wykonawczą narodową jest w każdym kraju koronnym namiestnik przez cesarza z pomiędzy krajowców mianowany, a podległy w ogólnych sprawach państwa ministerstwu, w sprawach zaś krajowych kanclerzowi krajowemu. Przy boku namiestnika jest Rada złożona z członków mianowanych przez koronę na jego przedstawienie.

Naczelników obwodowych mianuje cesarz, powiatowych kanclerz.

Gminy miejskie i wiejskie wybierają same swoich zwierzchników, których potwierdza już to cesarz, już namiestnik.

Municypia, rady obwodowe, powiatowe i gminne mają do prowadzenia swoich interesów swoje własne wybieralne wydziały i urzędy; zakres ich czynności administracyjnych ma być przez Państwo na ich rzecz odstąpionym. Mają one prawo

petycyi, ale nie mogą mieszać się do władzy prawodawczéj ani wykonawczéj Państwa.

Sądownictwo od administracyi niezależne i oddzielne sprawowane być ma w każdym kraju przez osobne trybunały; każdy kraj ma u siebie sądy wszelkich instancyi. Sejm centralny orzecze, czy najwyższy centralny trybunał Państwa jest potrzebny lub nie.

Język narodowy każdego kraju ma być językiem urzędowym, sądowym i szkolnym, ministeryum Państwa i kancelarye nadworne znoszą się z każdym krajem w jego własnym języku.

Tym sposobem, mówi pan O. Ostrożiński, zaprowadziłaby się równowaga pomiędzy interesem narodowym pojedyńczych ludów, a interesem całego Państwa. Pokój, a za pokojem potęga, byłyby zapewnione. Ta jest jedyna droga pokoju i sprawiedliwości; kto téj drogi nie chce, ten nie chce równouprawnienia, ale prawa pięści i przemocy pomiędzy narodami. Ale jeżeliby zasada ta weszła w życie i miała stworzyć pośród Europy wielką konfederacyę narodów, natenczas byłby zrobiony krok olbrzymi ku powszechnemu uspokojeniu świata, ku postępowi i szczęściu ludzkości.

„Jakiż bowiem", tłómaczymy dosłownie, „jaki jest po„wód dzikich wojen we wszystkich krajach i czasach, jeżeli nie „najczęściéj żądza panowania jednego narodu nad drugim, je„dnego nad drugiém wyznania religijnego. Od dziewiętnastu „wieków pracuje ludzkość, żeby wykorzenić ze siebie pogań„stwo, a nikt nie pomyślał o tem, by znieść pogaństwo gor„sze podniesione do potęgi, pogaństwo w stosunkach narodu „do narodu. Ale od chwili jak narody przyjdą do pojęcia téj „idei, wojny i inne międzynarodowe zbrodnie nie będą już tak „łatwe jak dotąd.

„W Austryi możliwą jest forma związkowa, która przy „naturalném organiczném urządzeniu wewnętrznych narodowych „stosunków, nie tylko nie naraziłaby jedności Państwa na nie„bezpieczeństwo, ale przeciwnie tchnęłaby w nie życie nowe, „nieznane dotąd, a od dotychczasowego nierównie silniejsze „i jędrniejsze. Forma ta mogłaby zrobić z Austryi centrum „wielkiéj konfederacyi środkowéj Europy. Czego duch i system „absolutyzmu nigdy nie dokazał i nie dokaże, to staćby się „mogło na drodze dobrowolnego połączenia, gdyby w Austryi

„nastały rządy prawdziwie wolnomyślne, wolnomyślne i spra-
„wiedliwe nie dla człowieka tylko, ale dla narodów.“

Przy takiéj konstytucyi, mówi daléj autor, byłoby rzeczą zupełnie obojętną, czy ministrami byliby Niemcy, Węgrzy lub Słowianie, czy komenda wojskowa byłaby niemiecką, i czy językiem obradowym na kongresie i sejmie centralnym byłby język niemiecki. Z góry nawet gotów jest autor przyznać mu to prawo, jako najbardziéj wyrobionemu i rozpowszechnionemu.

Myliłby się zaś ktoby chciał twierdzić, że związek tu projektowany jest słaby i dla jedności Państwa niebezpieczny, bo wszystkie węzły które Państwo trzymają w całości i wszystkie sprężyny które je poruszają, skupione są w ręku władzy centralnéj. To zaś, co projekt pozostawia autonomicznemu zarządowi pojedyńczych krajów, to nie jest władzy centralnéj niezbędném do sprawowania rządów, a krajom koronnym jest niezbędném do zachowania autonomii i do zabezpieczenia narodowości. Gdzie zaś nie ma politycznego ucisku ani narodowéj przemocy, tam żadna składowa część całości Państwa nie będzie miała potrzeby ani interesu oderwać się od téj całości.

Oto w streszczeniu projekt konstytucyi federalnéj i jego motywa. Gdyby chodziło tu o studyum nad tym projektem i o jego krytykę, możnaby z jednéj strony wytknąć mu niektóre pomysły, które w praktyce byłyby się okazały zawiłymi lub niepraktycznymi, możnaby naprzykład żądać od autora, żeby wytłomaczył potrzebę i zalety dwóch ciał prawodawczych centralnych, jakiemi są kongres i wspólny sejm państwa. Z drugiéj znowu strony możnaby wydobyć z jego programu wiele pięknych i zdrowych prawd politycznych i moralnych. Nie idzie nam atoli o sąd, ale tylko o zaznajomienie czytelników naszych z jednym z głównych i silnych objawów prądu federacyjnego w Austryi. To uczyniwszy, pozwolimy sobie przytoczyć tę jeszcze okoliczność, że program pana Ostrożińskiego tak samo mniéj więcéj rozgranicza atrybucye władzy centralnéj i władz narodowych, jak je dzieli konstytucya amerykańska z roku 1789 pomiędzy Unię a pojedyńcze Stany.

„Unia sama“, mówi Tocqueville, „ma prawo wydawania
„wojny i zawierania pokoju. Ona zawiéra traktaty handlowe,
„stawia wojska i uzbraja floty.

„W sprawach wewnętrznych potrzeba rządu centralnego „jest nie równie mniejszą; wszelako są pewne interesa ogólne, „które tylko władza centralna może dobrze sprawować. I ztąd „to poszło, że Unii tylko przysłuża prawo stanowienia o war„tości monety, że jéj powierzono dyrekcyę poczt i że jéj na„dano prawo otwierania nowych dróg komunikacyjnych.

„Obowiązki i prawa rządu federalnego dały się łatwo „określić, bo utworzenie Unii miało na celu pewne dobrze znane „ogólne potrzeby, którym rząd centralny miał odpowiadać. Ale „prawa i obowiązki rządów krajowych (każdego Stanu) musiały „być różnorodne i zawikłane, bo te rządy musiały się spotykać „nieustannie z wszystkimi szczegółami życia, a któż zdoła prze„widzieć wszystkie szczegóły życia narodu. Określono więc sta„rannie atrybucye rządu federalnego, i oświadczono, że wszyst„ko co nie jest objęte tą definicyą, należy do kompetencyi „rządów centralnych“ *).

Definicya ta, jak widzieliśmy wyżéj, obejmuje tylko, równie jak atrybucye władzy centralnéj w naszym programie, sprawy zagraniczne, wojskowość, skarb i handel.

A kiedy nam już przyszło odwołać się do powagi jednego z najznakomitszych dzieł, jakie wydała literatura polityczna naszego wieku, nie możemy oprzeć się pokusie, i pozwolimy sobie przytoczyć ustęp, w którym autor „Demokracyi Amerykańskiéj“ tłomaczy korzyści systemu federacyjnego, a który złotemi literami powinienby być wypisanym na murach téj Izby, w któréj toczyć się będą obrady nad reorganizacyą Austryi:

„System federacyjny **) był jak żeby na to wynaleziony, „żeby połączył w sobie te korzyści właściwe wielkim państwom, „i te które są właściwe państwom małym.

„U wielkich narodów żyjących pod rządem scentralizowa„nym, prawodawca zmuszony jest nadawać prawom charakter „jednostajny, niezgodny z rozmaitością obyczajów i stosunków; „nieświadomy poszczególnych przypadków, trzymać on się musi „samych ogólnych pojęć i ogólnych reguł; ludzie muszą się „naginać do potrzeb prawodawstwa, bo prawodawstwo nie umié

---

*) *Tocqueville, de la Démocratie en Amerique. Tome I. Chapitre VIII de la Constitution Fédérale.*

**) *Ibidem.*

„się zastósować do potrzeb i obyczajów ludzi, co jest zawsze „potężną przyczyną nieszczęść i zamieszek.“

„Federacye wolne są od tego złego. Kongres stanowi tam „o głównych sprawach społecznego życia; szczegóły wszystkie „pozostawione są prawodawstwom prowincyonalnym.

„Trudno sobie wyobrazić jak ten podział władzy przy„czynia się do pomyślności tych krajów, z których składa się „Unia. W tych małych społeczeństwach, które nie myślą ani „o obronie ani o zdobyczach, cały zasób potęgi publicznéj i in„dywidualnéj energii zwrócony jest na wewnętrzny postęp i roz„wój. Władza krajowa, rząd każdego Stanu, zbliżony do rzą„dzonych, wié co dnia o ich potrzebach w miarę jak się te „zjawiają.... a każdy obywatel Stanów Zjednoczonych przenosi „na wspólną ojczyznę to przywiązanie, które ma dla swojej ma„łéj Rzeczypospolitéj. Broniąc Unii — broni on pomyślności „swojéj okolicy, swojego kraiku, broni swojego prawa kierowa„nia sprawami tego kraju, broni nadziei coraz większéj pomyśl„ności, coraz większych ulepszeń, coraz lepszego bytu.“

Takie są skutki federacyi w Ameryce, gdzie nie ma narodowych różnic i zawiści. Jakież byłyby w Austryi, gdzie oprócz nabytków pomienionych każdy kraj broniłby jeszcze najdroższego ze wszystkich — narodowości, gdyby w tém państwie widział rękojmię, warunek i pewność swojego narodowego życia?

(Dok. nast.)

St. Tarnowski.

O kwestyi ruskiéj.

II.

Sprawa ruska w Galicyi wyszła z łona i spoczęła głównie w rękach duchowieństwa. Jest to jedna z głównych jéj różnic od małoruskiéj czyli zakordonowéj.

Samo w sobie niezwykłe, jest zjawisko to zresztą wcale naturalnym wynikiem przeszłości i obecnego stanu społecznego.

W prowincyach zabranych, mianowicie na Ukrainie zadnieprskiéj, pozostało z téj przeszłości prócz ludu jeszcze dość dużo czysto ruskich żywiołów. Część jakaś szlachty wcale się nie spolszczyła, a potomkowie kozackiéj niegdyś starszyzny wraz z nielicznem ale szczero ruskiém mieszczaństwem złożyli się razem na utworzenie pewnéj inteligencyi narodowéj, która wiele posiadała żywotności, kiedy — jak widzieliśmy — tak znacznie całą sprawę narodową rozwinąć potrafiła. Inna wcale rzecz z tameczném duchowieństwem. W prowincyach gdzie takowe było unickie, stało się i zostało po dzień dzisiejszy przedmiotem najzagorzalszego prześladowania Moskali; a szyzmatyckie popadło wraz z całém duchowieństwem moskiewskiém tak opłakanemu znikczemnieniu, jakiego wzoru trudnoby się było doczekać w dziejach jakiegokolwiek duchowieństwa. Wiadomo że pop prawosławny, dla którego car-papież większym jest panem od samego Boga, i który inteligencyą rzadko kiedy przewyższa ciemną czerń, duchowne swoje owieczki, należy w całém carstwie do istót najmniéj poważanych i uwzględnianych. Zajmujący się nierzadko prócz obowiązków duchownych szynkarstwem i t. p., poniewierany najdotkliwiéj przez pijane chłopstwo, pogardzany przez rząd i wszystkich ludzi oświeceńszych, pop prawosławny nie marzy nawet nigdy o jakimkolwiek wpływie, a tém mniéj o jakiéjkolwiek roli politycznéj. Do tego stanu doprowadził go

wreszcie i utrzymuje w nim starannie rząd moskiewski, który od dawna postawił sobie za zadanie, aby wpływ duchowieństwa na lud, zawsze i wszędzie potężny, zniszczyć z gruntu i do szczętu.

Jakoż w całym narodowym ruchu Małorusi nie ma śladu wpływu i czynności ruskiego duchowieństwa szyzmatyckiego.

Jak ziemia od nieba, tak różne pod tym względem stostosunki galicyjskie od małoruskich.

Galicya wschodnia, jak wiadomo, znacznie wcześniéj od prowincyj zakordonowych weszła w skład dawnéj Rzeczypospolitéj polskiej, i daleko znaczniejszemu téż uległa przenarodowieniu. Owszem za czasów téjże Rzeczypospolitéj jeszcze, kiedy narodowościową odrębność Małorusi zawsze najzupełniéj uwzględniano, Galicyę wschodnią, mimo nazwy województwa ruskiego, uważano za czysto polską prowincyę. Taką wreszcie była ona rzeczywiście. W czasach bowiem kiedy na całym świecie lud był jeszcze niczém, kiedy wyłączną reprezentacyę narodów stanowiły tylko pewne klasy uprzywilejowane — w owych czasach można było rzeczywiście Galicyę wschodnią nazwać czysto polską prowincyą. Cała jéj szlachta spolszczała nietylko sercem i obyczajami, ale nawet, że tak powiem, obrządkiem, mieszczaństwa ruskiego, które zresztą niewiele znaczyć mogło, nie było tutaj jak wiadomo nigdy, bo nawet za Lwa i Daniela składało się mieszczaństwo Lwowa i innych miast z Polaków, Niemców, Ormian, Żydów i z najmniejszéj cząstki Rusinów — a za szlachtą poszło wszystko, cokolwiek w owych czasach zdolne było jeszcze reprezentować naród. Poszło za nią nawet duchowieństwo ruskie, które po rusku mówiło tylko w cerkwi i z ludem, które zresztą czuło się szczéro polskiém, walczyło i cierpiało za sprawę polską, a Ruś i Ruśczyznę uważało samo najczęściéj za prowincyonalizm polski. Jak dalece duchowieństwo to spolszczało, dowodzą najlepiéj dzisiejsi jego przewódzcy polityczni, którzy nienawidząc Polaków i Polszczyznę, daleko lepiéj po polsku aniżeli po rusku mówią i piszą.

Stan taki zachował się niemal do roku 1848. Wypadki ówczesne wpłynęły rzeczywiście na silne rozbudzenie się uśpionego poczucia narodowości ruskiéj, ale wpłynęły tylko o tyle, o ile stosunki społeczne zdawna już całą przysposobiły katastrofę. W tych bowiem stosunkach społecznych szukać głównie

wypada nietylko wątku galicyjskiéj kwestyi ruskiéj, ale nadto powodów szczególniejszego jéj kierunku, a przeto zastanowienie się nad niemi jest pierwszym warunkiem zbadania i poznania całéj kwestyi.

Lud wschodnio-galicyjski, aczkolwiek ruskiéj narodowości i ruskiego obrządku, żadną miarą pod względem poczucia narodowego równać się nie może z ludem małoruskim. Spolszczał on poniekąd tak samo, jak jego księża i szlachta. Pogrążony w zupełnéj ciemnocie, tradycyjnie przywykły uważać szlachtę za swoich panów w całém tego słowa znaczeniu, tradycyjnie również przywykły uważać się za „pański“ — zwał się téż sam bezwarunkowo „pańskim“, a ponieważ pan był Polakiem, więc i lud ruski zwał się sam zazwyczaj „polskim“. Ztąd pochodzi, że dziś jeszcze wieśniak ruski, wzięty w rekruty i popędzony do Niemiec lub Włoch, zapytany o swą narodowość, zawsze prawie odpowiada że jest Polakiem, z Polski. Ztąd wreszcie pochodzi, że dziś jeszcze lud ten uznaje polszczyznę za właściwą swoją inteligencyę, że się nadzwyczaj chętnie polonizuje, że posłużywszy czas jakiś przy dworze lub w mieście, przyswaja sobie gorliwie język polski.

Wyborną ilustracyę temu twierdzeniu dostarczył ruski włościanin, znany poseł z obwodu kołomyjskiego, który uważał za rzecz zupełnie stosowną przyjąć do przedłożenia sejmowi petycyę swoich wyborców, domagającą się udzielenia im ustawy gminnéj w języku polskim a nie ruskim. Paroletnie poselstwo, obsłuchanie się w sejmie i po za sejmem szumnych frazesów o Ruśczyznie, głosowanie z partyą świętojurską nie zdołały go jeszcze przerobić na sprawiedliwego Rusina. W r. 1859, kiedy zapytano gminy urzędownie, w jakim języku życzą sobie mieć nadsyłane dzienniki ustaw i rozporządzeń krajowych, zażądała większa połowa gmin ruskich dziennika w języku polskim.

Nie wynika ztąd jednakowoż bynajmniéj, aby w Galicyi kwestya ruska zupełnie nie istniała. Owszem istnieje ona między ludem, ale istnieje w postaci kwestyi socyalnéj a nie narodowościowéj.

Jak wiadomo jest to dziełem dawniejszego systemu rządowego, któremu w Galicyi tylko o jedno chodziło, mianowicie o wytępienie polszczyzny. Z początku starano się nas wynarodowić. Skoro się przekonano że najusilniejsze w tym względzie

starania na nic się nie przydają, chwycono się wszelkich środków, które zdawały się prowadzić do rozkładu polskiéj narodowości. Do takich środków zaliczyła biórokracya austryacka także kwestyę ruską. Zaczęto ją popierać wszelkiemi siłami. Poparcie to jednakowoż, udzielane tylko w celu pobocznym, jakiego sama sprawa za główny żadną miarą mieć nie mogła, wyszło Rusczyznie na najgorsze. Zaszczepiono jéj bowiem tym sposobem nie soki żywotne, ale jad i truciznę.

Wiadomo, że duszą każdéj sprawy, cechą jéj żywotności, są dwie zwłaszcza strony dodatnie: sprawiedliwość i miłość. Na bezprawiu i nienawiści nikt jeszcze niczego nie zbudował.

Owóż poparcie, narzucone sprawie ruskiéj przez biórokracyę, za cel jedyny i wyłączny miało zaszczepienie w niéj uczucia nienawiści i bezprawia. Pierwsze zaszczepiano głównie w klasie inteligentniejszéj, w księżach — drugie w masach ludu.

Historya tych ostatnich dążności znaną jest aż nadto dobrze. Przybrały one rozmiary ogromne zwłaszcza po roku 1848, po zniesieniu pańszczyzny. Wówczas to stworzono kwestyę „lisów i pasowysk“, wówczas pobudzono w ludzie zachcianki komunistyczne, do których każden mniéj oświecony lud zawsze nadzwyczaj jest skłonnym, wówczas sprowadzono go samowolnie na drogę najbezprawniejszych pojęć, przed któremi chronić powierzone swéj pieczy narody jest głównem zadaniem każdego uczciwego rządu.

Usiłowania te wydały oczywiście aż nadto bujne owoce. Całą naukę biórokracyi wytłomaczył sobie lud w ten sposób, że każden właściciel jest jego wrogiem i że każden nazywa się Lachem. O pojęciu odrębności narodowéj mowy oczywiście nie było i nie ma do dziś dnia — pozostało jedynie pojęcie odrębności stanowiska społecznego. Do dziś dnia Polak, Rusin czy Niemiec, byle posiadacz lasów i pastwisk, uważany jest przez lud za wroga i Lacha.

Taki charakter ma rzeczywiście sprawa ruska między ludem wschodnio-galicyjskim. Zupełnie inny przybrała ona między spolszczałymi niedawno jeszcze księżmi.

Rok 1848, echo wypadków małoruskich, obudziły w klasie téj rzeczywiście do znacznego stopnia poczucie narodowości ruskiéj. Najwięcéj jednak wpłynęły na to obudzenie stosunki społeczne, z małemi zmianami do téj chwili jeszcze istniejące.

Duchowieństwo ruskie, jak wiadomo, jest znacznie gorzéj dotowane od duchowieństwa łacińskiego, a posiada przytém znacznie więcéj potrzeb od tego ostatniego. Ztąd pochodzi, że duchowieństwo ruskie z małymi wyjątkami pozostaje w bardzo przykrém, poniżającém, rzec można, położeniu materyalném, co, jak również wiadomo, znacznie dotkliwszém bywa dla ludzi wykształceńszych niżeli mniéj wykształconych.

Toż samo ruskie duchowieństwo wiejskie, konfinowane w odległych nieraz wioskach, znajduje jedyne, odpowiednie towarzystwo w miejscowéj szlachcie polskiéj, zawsze prawie znacznie bogatszéj, a często znacznie ograniczeńszéj.

Stosunki między szlachcicem i księdzem są ostatecznie nieuniknione. Prócz spraw, w których jeden bez drugiego obejść się nie może, sama potrzeba towarzystwa zmusza ich do zbliżenia się, do wspólnego pożycia.

Przy zbliżeniu takiém stają wobec siebie dwie zupełnie różne istoty.

Ksiądz, zwłaszcza w początkach swego zawodu, kiedy jeszcze nie jest strawiony niedostatkiem i codziennemi stósunkami — góruje zazwyczaj inteligencyą. Zyskał on ją już samym dłuższym pobytem w szkołach, samém ukończeniem nauk. Zdobył ją wreszcie ciężką pracą i twardemi nieraz kolejami życia.

Szlachcic przeciwnie jest najczęściéj nieukiem. Edukacyę właściwą zakończył wcale nie świetnemi postępami w niższém gimnazyum, poczém wróciwszy do domu, wykierował się na obywatela. Oczytany zato nieco w lekkiéj literaturze, otarty między ludźmi i poduczony niezbyt poprawnéj francuzczyzny, góruje nad księdzem wychowaniem domowém, światową politurą, majątkiem i stanowiskiem.

Obaj oczywiście nie są ludźmi zupełnie wyrobionymi; ksiądz jest za mało filozofem, szlachcic za mało dobrze wychowanym. Pierwszy uważa swoje podrzędniejsze spółeczne i materyalne stanowisko za krzywdę, drugi utwierdza się w zarozumieniu. W pierwszym budzi się gorycz, w drugim lekceważenie.

Nie przeczymy, że reguła ta wiele posiada wyjątków. Że jednakowoż w obec tych wypadków uważać ją należy za regułę, przekonuje nas właśnie to, iż uczucie pomienionych

wyżéj jednostek, stały się obecnie charakterystyczną cechą całych stronnictw. Po stronie ruskiéj góruje gorycz, po stronie polskiéj lekceważenie.

Księża ruscy czuli się jak gdyby wytrąconymi ze społeczeństwa polskiego, i szukali wszelkimi sposobami wyjścia z téj nie miłéj sytuacyi.

Nadszedł wreszcie rok 1848, rok idei narodowościowych, idei równości. Jednéj i drugiéj zażądali księża ruscy. Polacy ofiarując równość, zaprzeczyli im narodowéj odrębności. Rusini nie wierzyli w równość pod dawnemi stósunkami społecznemi i narodowemi. Rozpoczęła się walka.

Stanąć w obec Polaków jako narodowość odrębna, stanąć jako czoło téj narodowości — było dla ruskich księży zbyt wielką pokusą. Paktować z Polakami nie jako upośledzona cząstka społeczeństwa polskiego, ale jako klasa naczelna narodu ruskiego — było dla tychże księży aż nazbyt ponętnym widokiem. Pobudki te zdaniem naszem, były jednym z głównych środków, które wpłynęły na rozbudzenie ruskiego poczucia narodowego w Galicyi.

Poczucie to oparło się na opozycyi przeciw Polakom i polskości, która jednakowoż z natury rzeczy nie potrzebowała bynajmniéj stać się główną cechą całego ruchu. Najlepszym tego dowodem przebieg sprawy ruskiéj za kordonem, która opozycyę przeciw polszczyznie za drugorzędne przybrała znamię. Ale za kordonem rzucili się na Ruś Moskale, usiłujący zniszczyć ją i wytępić, wywołujący tym sposobem walkę najważniejszą, bo walkę o życie, w obec któréj wszelkie drugorzędne kwestye nad miarę rozwinąć się nie mogły. W Galicyi tymczasem nie było Moskali, ale była austryacka biórokracya, która nie omieszkała poprzeć dzieła w przyjaznych wprawdzie ale zgubnych dla saméjże sprawy zamiarach.

Biórokracyi téj bowiem nie chodziło o poparcie Rusi, ale o wspomożenie nieprzyjaciół Polski. Cały jéj wpływ przeto nie przyniósł sprawie ruskiéj nic dodatniego.

Jak w chłopach komunizm, tak starano się jątrzyć niechęć i obudzać w księżach nienawiść do Polaków. Wiadome są powszechne niemal w tym celu agitacye, znaną jest dobrze bezwzględna protekcya, jakiéj księża zarówno z chłopami doznawali u rządu przeciw Polakom.

Postępowanie takie musiało oczywiście odpowiednie wydać owoce. Owe zarodki goryczy ruskiéj, pobudzone wszelkiemi sposobami, nie łagodzone niczém, przerosły niebawem wszelkie inne uczucie.

Tak się wywinęła sprawa ruska w Galicyi zachodniéj, tylko w części oparta na prawdziwém poczuciu narodowości, a głównie na najujemniejszych czynnikach, bo na nienawiści i bezprawiu.

Charakter ludzki, jak wiadomo, urabia się dopiero w przeciwnościach, w walce życia. Taką walkę, taki chrzest krwawszy lub mniéj krwawy przejść musi każda sprawa, zanim zyszcze uznanie i obywatelstwo w świecie. Bez walki bowiem nie ma zwycięztwa, a bez zwycięztwa nie ma tryumfu. Bez walki również nie ma ofiar, a ofiary tylko nadają każdéj sprawie ów urok świętości, który ją podnosi i podtrzymuje. Taka walka uszlachetniła i uświęciła sprawę ruską za kordonem, — brak takiéj walki zwichnął ją w Galicyi wschodniéj.

Ruś w Galicyi nieprzyjaciół nie miała żadnych, a protektorów bez liku. Polacy, sami uciśnieni, szkodzić jéj nie mogli, a rząd nie myślał. Wzrastała jak dziecko pieszczone i psute zarazem.

Jak dla ludzi pojedynczych tak i dla narodów położenie takie ma zawsze dużo niebezpieczeństwa. Prawda ta ziściła się także w obecnym wypadku.

Tak Polacy bowiem jak i sami Rusini dostrzegli niebawem, że kwestyi ruskiéj w Galicyi zbywa na sile wewnętrznéj wartości, któraby ją do właściwego znaczenia pewnéj sprawy podnieść zdołała. O cóż wreszcie chodziło? Polacy aczkolwiek niechętni, z Rusią walczyć na seryo nie myśleli i nie mogli. Od początku do końca lekceważono ją tylko, tém bardziéj, że nie mało ku temu nastręczało się powodów. Śladem protektorki swéj, biórokracyi, odznaczała się Ruś galicyjska zupełną jałowością. Nie wpłynęła ona ani na lud, ani na rozwinięcie się literatury lub jakichkolwiek innych znamion życia narodowego. Nie wydała żadnych talentów, żadnych znakomitszych ludzi. Rozpłynęła się w coraz elegijniejszych żalach na ucisk polski, które wszyscy, wraz z ich autorami, uważali z góry za fałsze i kłamstwa, strwoniła się na podsycaniu niechęci, opartéj jak wskazaliśmy, na niezbyt czystych i prawych pobudkach.

Ale najżałośniejsze nawet elegie i najwścieklejsza nienawiść niczego jeszcze stworzyć nie zdołają. Chcąc żyć, przyszło szukać gdzieindziéj soków żywotnych.

Aż dwa źródła takich soków otwarły się na raz dla Rusi galicyjskiéj, t. j. Małoruś i Moskwa. Pierwsza, oddzielona kordonem jakby murem chińskim, przynosiła trupieszejącemu organizmowi zupełnie nowe arterye żywotne; druga, mająca na oścież otwarte do Galicyi wrota, podsycała dotychczasowe tętna ruskiego żywota nadzwyczajnie ważnym czynnikiem, bo siłą.

Cały szlachetniejszy ogół ruski przylgnął do Małorusi — właściwe naczelnictwo tego ogółu — do Moskwy. A ponieważ stósunki miejscowe tego były i są rodzaju, że ogół, chociaż najprzeciwniéjszy kierunkowi swego sztabu jeneralnego, ulegać mu musi bezwarunkowo i ślepo — zdarzył się ów trudny do pojęcia na pierwszy rzut oka wypadek, iż Ruś galicyjska, zruśczawszy z jednéj strony stanowczo, stała się mimowoli, dzięki swoim politycznym przywódzcom — ajencyą moskiewską.

Nie wtajemniczonych bliżéj w całą sprawę uderza jedynie fakt ostatni. Na jego podstawie potępiamy codzień i słusznie kierowników sprawy, ale potępiamy zarazem niewinny ogół, który odgrywa rolę jedynie biernego i niechętnego narzędzia. Ustawicznéj, chociaż niezbyt głośnéj walki, jaka toczy się w łonie samegoż obozu ruskiego, nie dostrzegamy wcale, nie słyszymy rozpacznych jęków, które nieraz rozrywają piersi ruskie pod katowaniem Świętojurców.

Zanim przejdziemy do skreślenia téj zaciętéj walki dwóch wręcz przeciwnych sobie kierunków, moskiewskiego i ruskiego, niech nam wolno będzie naszkicować w rysach ogólnych najgłówniejsze, zbiorowe, że tak powiemy, charaktery. Ludzi bowiem pojedyńczych, najgorszych czy najlepszych, tykać nie myślimy, ponieważ sprawę samą uważamy za nadto ważną i doniosłą, iżby takowa zawisać mogła stanowczo od jednostek. Jeżeli zaś ktokolwiek dostrzeże własnych rysów w naszych ogólnikach, to niech mu służy zapewnienie, iż rysunki nasze braliśmy nie z fantazyi, ale z najfaktyczniejszéj niestety rzeczywistości.

Ogół księży ruskich, zwłaszcza niekonsystoryalnych, można dzisiaj nazwać szczerze ruskim. Można również powiedzieć, iż Ruśczyznę swoją kocha on żywo i serdecznie. Jéj bowiem zawdzięcza ten ogół dzisiejsze, znacznie wybitniejsze stanowisko swoje od położenia w latach poprzednich. Szlachta nasza, nie spiesząca się z uznaniem narodowości ruskiéj, musi uznawać i uznaje rzeczywiście choć pomimowoli fakta dokonane. t. j. Rusinów. Nie odwykłszy przeto od dawniejszego lekceważenia księży ruskich, szlachta rachuje się z nimi jako z pewnym rodzajem oddzielnéj siły. Wpływać to zaczyna powoli na skreślone wyżéj stósunki sąsiedzkie, a wpływa zawsze w takim kierunku, który wielce ambicyi ruskich księży odpowiada.

Prócz tego zaprzeczyć się nie da, iż na tych księży oddziaływa dużo cały ruch małoruski. Wszystkie jego dążenia i myśli kierownicze, znajdują w ich umysłach coraz żywsze uznanie. Lgną oni coraz więcéj do marzeń o świetnéj ruskiéj przyszłości, podchwytują z coraz większym zapałem ponętne ideje małoruskie, którym zresztą uroku atrakcyjnego odmówić nie można.

Zruściawszy tym sposobem, księża ci, prócz wyjątków, nie żywią ku Polakom nieubłaganéj nienawiści. Niechęć ku szlachcie, wypływająca z poszczególnionych wyżéj stósunków, jest niemal powszechną, ale jest rzeczywiście tylko niechęcią osobistą, a nie narodową. Również jest rzeczą niezaprzeczoną, iż całe obywatelstwo zamożniejsze, wykształceńsze i rozsądniejsze, powszechnego szacunku ze strony ruskich księży doznaje. Do bardzo rzadkich wyjątków należą nieporozumienia między proboszczami ruskimi a majętniejszymi i wykształceńszymi kolatorami, których postępowaniem kieruje pewien takt i rozsądek. Najgorętsza przeciwnie i najgłośniejsza walka toczy się właśnie z ową klasą polskiéj ludności, która stósunkami i położeniem majątkowém najwięcéj do siebie zbliżona, stoi od nich najdaléj pod względem inteligencyi. Mamy tu na myśli ekonomów, leśniczych, innych oficyalistów prywatnych i mniejszych dzierżawców, lekceważących w ogóle Rusinów za ogonem swych chlebodawców. Lekceważenie to oczywiście, pochodzące od ludzi mniéj oświeconych, objawia się w sposobach jaskrawszych i tém dotkliwiéj dotykać musi księży.

Ale i w tym wypadku redukuje się niechęć księży do osób. Dla Polaków w ogóle, dla polskości prędzéj sympatyę znaleść u nich można jak nienawiść. W głębi serca leży zawsze pamięć wspólnéj i lepszéj przeszłości, żyje zawsze wspomnienie tych czasów, kiedy Ruś i Polska jeden tylko cel miały i jedną szły drogą, kiedy ruskie klasztory bazyliańskie stały się głównym skarbcem polskiego patryotyzmu, kiedy ruscy mnisi wychowywali w szkołach swoich całą generacyę polskich bohaterów.

Ruscy księża wiedzą o tém dobrze, że Polacy, aczkolwiek ułomni nieraz, nie są bynajmniéj złymi ludźmi, że nietylko wyżyć z nimi w ogóle można dość znośnie, ale że często trudno się nawet bez nich obejść. Nasze obyczaje i zwyczaje są prawie zupełnie też same, a w usposobieniach i charakterach nie ma takich różnic, któreby się żadną miarą pogodzić nie dały. Bądź to z przekonania wreszcie, bądź instynktowo uznają Rusini, że Ruś w obec Moskwy o własnych siłach ostać się nie może, że tylko w najściślejszém z Polską przymierzu upragnionéj dojdzie przyszłości. Dzielą oni przekonanie, że czas i rozsądek zwyciężą dzisiejsze uprzedzenia, że Polacy nie wytrwają długo przy zasadach, zupełnie z usposobieniem i naturą polską niezgodnych, że odstąpią polityki negacyjnéj, że nawet w chwili, kiedyby istotnie byli w stanie decydować o czémś, nie potrafią odmówić nikomu jego praw słusznych. Równie jak my wierzą księża ruscy w przyszłość wspólną, świetną jak wspólna przeszłość, opromienioną hasłem rzeczywistego braterstwa i równości.

Moskalami bowiem, także prócz wyjątków, księża ruscy pod żadnym względem nie mogą być zwani. Prześladowania duchowieństwa unickiego, prześladowania Małorusi, prześladowania Polski, do najwyszukańszego posunięte barbarzyństwa, nie mogą przecież na serca uczciwsze żadnego pociągającego wywierać wpływu. Jestto tém naturalniejszém, ileże duchowieństwo galicyjskie czuć się musi samo zagrożoném przez Moskwę. Zna ono stan duchowieństwa pod panowaniem moskiewskiém. Pojmuje ono również, iż położenie jego obecne, aczkolwiek wiele do życzenia pozostawia, jest nieporównanie pomyślniejszém od położenia duchowieństwa tamecznego. Każden prawie ksiądz ruski w Galicyi zmuszony iść pozornie ze Świętojurca-

mi, ma chwile bardzo przykrego zastanowienia. Każdego dręczą jak widma możliwe następstwa obecnéj polityki świętojurskiéj, zabór moskiewski. I cóż się wówczas stanie. Wolny i poważany obecnie ksiądz obywatel, na którego prócz konsystorza nikt palcem nie śmie zakrzywić, który acz w niedostatku czasami, zawsze jednak ma możność zadośćuczynienia najżywszym serca życzeniom, utrzymania się na powszechnie poważaném stanowisku i wychowania ukochanych przez się dzieci — w razie moskiewskiego zaboru ksiądz ten staćby się musiał niewolnikiem barbarzyńskich kaprysów, pomiotłem barbarzyńskiéj swawoli. Kiedy wreszcie pomyśli, że Moskale mogliby, po praktykowanym obyczaju, każdéj chwili kazać go ostrzydz w czernice a synów i córki zabrać do zakładów rządowych — wówczas z ust tych księży wydziera się mimowoli namiętne dla Świętojurców złorzeczenie, wówczas otwiera się przed z rozpaczonymi widok téj okropnéj przepaści, do któréj sami, żelazną wiedzeni ręką, zdążają. A jednak cofnąć się im nie wolno.

Czém jest bowiem ksiądz ruski mimo wszelkich pozorów wolności? Oto ślepem narzędziem przełożonéj swéj władzy duchownéj, władzy nieubłaganéj, nieludzkiéj, a niesłychanie potężnéj. Mimo zniesienia terny, mimo przywileju prezenty w innych pozostającego rękach, posiada władza ta tysiączne sposoby utrzymania księży w bezpośredniéj od siebie zawisłości. W sprawach dyscyplinarnych jest ona sędzią nieograniczonym, a jakkolwiek stolica rzymska ma prawo potwierdzania wyroków konsystoryalnych, posiada natomiast konsystorz możność nieuwzględniania interwencyi rzymskiéj. Znany wypadek z czasów najbliższych, w którym papież odsyłając nie aprobowany wyrok w sprawie zasuspendowanego duchownego, własnoręczném pismem domagał się jego uniewinnienia. Czwarty czy piąty rok mija od nadejścia tego pisma, a ksiądz wspomniany pozostaje bez przerwy na rekolekcyach.

Opieka Rzymu w obec konsystorza jest faktycznie tylko złudzeniem. Z powyższego zresztą wypadku powziąść można wyobrażenie, jak odległe pozory dostatecznemi są dla konsystorza, aby upatrzonéj ofierze dać uczuć całą srogość swojéj władzy.

Same bowiem rekolekcye są jeszcze niczém. Ale ksiądz ruski jest zazwyczaj ojcem rodziny, nieraz nawet bardzo licz-

néj. Serdeczne przywiązanie do téj rodziny jest charakterystycznem rysem całego duchowieństwa. Jako ojciec nie ma ksiądz ruski gorętszego życzenia nad zabezpieczenie dzieciom przyszłości, tém bardziéj, ponieważ tę przyszłość często niezbyt ponętne otaczają widoki. Zaś w razach popadnięcia w niełaskę u władzy przełożonéj, zagraża rodzinie księżéj najtwardsza i najokropniejsza nędza. Prócz żebractwa nie ma ratunku, bo któż ją wesprze? Ksiądz ruski zasuspendowany należy do najbiedniejszych i najnieszczęśliwszych istót. Córki za mąż nie wyda, a syn choćby najpilniejszy i najzdolniejszy nie znajdzie umieszczenia w seminaryum lub w urzędzie, bo ścisły sojusz biórokracyi z Świętojurcami zaparł mu wszelkie drogi. W razie śmierci księdza dysgracyonowanego, wdowa i sieroty nadaremnie kołatać będą o zaopatrzenie. Owa bowiem żelazna ręka władzy niezadawalnia się ofiarą samegoż winnego, ale niczém nieubłagana, z równą srogością całe jego ściga pokolenie.

Trudno znaleść porównania dla téj obawy, jaką w ruskich księży wzbudza konsystorz, trudno określić dokładnie rozciągłość jego władzy. Do niedawnych miesięcy władza ta czuć się dawała całkiem jawnie w szkołach, urzędach i całéj administracyi, do téj chwili zresztą podlega jéj bezwarunkowo całe duchowieństwo.

Czyż można się dziwić, że w takim składzie rzeczy duchowieństwo to idzie wbrew własnemu przekonaniu, że popiera usilnie politykę, jaką dla siebie i dla sprawy ruskiéj za najzgubniejszą uważa? Nie przeczymy bynajmniéj, że nawet w takich warunkach opozycya jest możliwą, że opozycya ogólna mogłaby być nawet skuteczną. Zaprzeczyć się jednakowoż nie da, że opozycyę w takich warunkach zdolni są podnieść tylko ludzie niepowszechni, i że tacy tylko ludzie mogliby pociągnąć za sobą ogół.

Tymczasem tacy ludzie stanęli właśnie po stronie przeciwnéj, po stronie Świętojurców. Zdanie to nie ma bynajmniéj na celu uszlachetnienia ich sprawy, ta sprawa zła sama w sobie, niczém uszlachetnić się nie da. Owszem przeciwnie będziemy mogli wykazać, że partya świętojurska, aczkolwiek energiczna i w środkach nie przebierająca, aczkolwiek zaopatrzona w znakomitą władzę, nie zdołała zapuścić korzeni, nie zdołała ująć sobie przekonań ogółu, ale nosi do dziś dnia i nosić

będzie do końca swego istnienia charakter uzurpatora, którego naród cierpi, bo oprzeć mu się nie jest w stanie, ale którego zawsze nienawidzi, owszem stara się go podminować i w chwili upadku z zaciętością wszelkie ślady dzieł jego niszczyć będzie.

W Świętojurcach odzwierciadla się najwyraźniéj ów ujemny charakter tak zwanéj galicyjskiéj sprawy ruskiéj, który powyżéj staraliśmy się określić. Z początku nie byli oni Moskalami, ale nie umieli także natchnąć się rzeczywiście ruskim duchem. Za cel główny postawili sobie nienawiść do Polaków i sprawy osobiste. Okrywszy te uczucia płaszczykiem sprawy narodowéj, sprawy ruskiéj, zwichnęli ją, uczynili z niéj dziwoląga, który nie mógł znaleść żadnych warunków życia. Ponieważ jednak żyć musiał, natchniono go duchem moskiewskim. Takim sposobem Świętojurcy, często bardzo mimowoli, stali się Moskalami.

Jużci eksperymenta takie nie dadzą się uskutecznić na każdéj zwykłéj naturze ludzkiéj. Wymagają one koniecznie szczegółowych ku temu usposobień. Usposobienia Świętojurców nie są także powszedniemi.

Spostrzegamy tam charaktery, którym najmniéj do twarzy jest właśnie sukienka duchowna. Duszą takiego charakteru jest nieubłagana nienawiść, którą wywołała częstokroć jakaś istotna, acz bardzo dawna krzywda osobista, któréj rodzicielką było w pierwszéj chwili szlachetne nawet oburzenie, ale któréj opiekunami i wychowawcami stały się wyłącznie niczém nie krępowane złe skłonności. Nienawiść ta, urosłszy do potwornych rozmiarów, postawiła sobie za cel jedyny zemstę, zemstę na całém pokoleniu, na całym narodzie. Do tego celu zdąża ona ustawicznie i wszelkiemi środkami, poświęca mu wszystkie uczucia i przekonania, poświęca mu nawet owo uczucie, które zazwyczaj nazywamy ambicyą osobistą.

Osobistości o podobnych charakterach łudzą w sposób kilkoraki. Jednym bliżéj acz zawsze tylko pozornie z ich czynnościami obeznanym, wydają się nad zasługę szlachetniejszymi — innym znowu przeciwnie. Pierwszych bałamuci okoliczność, iż ludzie tacy wolni są zwyczajnie od wad pomniejszych, jak małoduszna złośliwość i t. p., że ambicya ich, podporządkowana innemu uczuciu, nie objawia się zbyt jaskrawo, że wreszcie mówiąc całkiem otwarcie, nie są przekupni i nie bio-

rą rubli dla siebie. Pozory te nadają im w oczach wielu ludzi pewne cechy wyższości, w któréj głębi nie można się wprawdzie przejrzeć, ale która samą niezwykłością swoją wywiera wpływ magiczny na umysły ludzkie. Drudzy znowu, sądzący takie osobistości jedynie z czynów, tłomaczą sobie zupełnie na opak ich naturę, przypisują jéj w głównéj mierze właśnie tego rodzaju błędy i zdrożności, które tam w obec głównéj namiętności nikną prawie zupełnie.

W innych charakterach odgrywa naczelną rolę ambicya. Nadzieja kanonii lub biskupstwa, unickiego czy szyzmatyckiego, nadzieja urzędu znaczniejszego lub w ogóle karyery, była ową syreną, która ich zawiodła w szeregi Świętojurców. Dotąd bowiem, jak wiadomo, tylko gorliwy Świętojurzec może zostać kanonikiem czy biskupem, tylko Świętojurzec mógł do niedawna mieć nadzieję i widoki na promocyę w urzędach. Zaprzedanie się Świętojurcom jest przeto dla Rusinów galicyjskich jedyną drogą karyery, nie rzadko jedynym sposobem egzystencyi.

Trzeci zastęp stanowią Moskale z przekonania. Należą do nich mianowicie uczeni, których wzorem był i pozostał Dyonizy Zubrzycki, początkowo Polak, późniéj przez krótki czas Rusin, a wreszcie Moskal. Też same metamorfozy przeszli wszyscy ruscy uczeni. Zostawszy Rusinami, nie w skutek przekonania ale jedynie w skutek zbiegu okoliczności, nie zdołali wżyć się w nowe swoje położenie. Podzielają oni bowiem jak najzupełniéj przekonanie niektórych Polaków, iż Ruś w pojęciu osobnéj całości jest anomalią, że takowa tylko jako Polska lub jako Moskwa istnieć może. Wspomnieni Polacy i Świętojurcy opierają zarówno twierdzenia swoje na dedukcyi historycznéj, na faktach przeszłości; rozumowanie ich jest zazwyczaj bardzo loiczne, uwzględniające wszystkie okoliczności prócz jednéj tylko, t. j. prócz faktów dokonanych w czasach najnowszych, które znowu zdaniem naszém najwięcéj w takich razach, owszem powiedzielibyśmy nawet jedynie na uwzględnienie zasługują. Panowie ci uważają n. p. bardzo słusznie, że wszystkie ruchy ludu małoruskiego, wszystkie Kozaczyzny i Hajdamaczyzny nie miały bynajmniéj cechy ruchów narodowościowych, że były po prostu zawieruchami socyalnemi, buntami. Piszemy się najzupełniéj na to zdanie, ale podpisać nie możemy twierdzenia, iż

ruch małoruski czasów ostatnich do téjże saméj należy kategoryi, że przeto fakta, poszczególnione w pierwszéj części naszéj pracy, są tylko złudzeniem, ponieważ nie dadzą się loicznie wydedukować z danych przeszłości.

Mamy największy szacunek dla wszystkich danych przeszłości, dla logicznych konsekwencyi, dla dedukcyi historycznych i t. p. bardzo szacownych pojęć. Sądzimy jednakowoż, że tak zwana ciągłość wypadków historycznych ma pewne swoje zboczenia, które przynajmniéj w pierwszych chwilach swego pojawu wydają się zboczeniami, a których dziejową i loiczną konsekwencyę dopiéro późniejszy przebieg wyświeca. Przekonuje nas o tém zwłaszcza okoliczność, iż każda nowo pojawiająca się prawda, każda myśl nowa największą zazwyczaj spotyka opozycyę, że dopiéro po długiéj i ciężkiéj walce zyskuje sobie obywatelstwo, i że walkę tę staczać musi najczęściéj z bardzo uczonymi i loicznymi ludźmi, którzy spostrzegają w niéj zwykłą aberracyę. A przecież każda taka prawda, każda myśl taka jest loiczną acz nieprzewidzianą konsekwencyą postępu ludzkości.

Wspomnieni panowie jednakowoż są jak widać zdania przeciwnego, a na to już rady żadnéj nie mamy. Na szczególniejszą zresztą uwagę zasługuje jednomyślność uczonych Świętojurców i pewnéj części Polaków, mianowicie pewnego odcienia tak zwanéj demokracyi polskiéj w zapatrywaniu się na kwestyę ruską. Zgodni we wszystkich punktach, różnią się jedynie co do ostatecznego wywodu, gdyż pierwsi utrzymują, że Rusini muszą i powinni stać się Moskalami, a drudzy, iż ci sami Rusini powinni zostać Polakami. Pierwsi jednak, postępując konsekwentnie według swego przekonania, otwarcie i publicznie nigdy prawie z nim nie występują, kiedy drudzy bardzo głośno i wrzaskliwie propagując swoje, jak zwykle nic a nic dla urzeczywistnienia go nie czynią. Pierwsi przeto propagują faktycznie w Galicyi Moskiewszczyznę — drudzy jątrzą tylko Rusinów przeciw Polszczyźnie.

Prócz wyżéj poszczególnionych jest jeszcze jeden rodzaj Świętojurców, w każdym razie najnikczemniejszy, bo wprost zaprzedany i płatny przez Moskwę. O charakterze tych ludzi nic powiedzieć nie można, ponieważ żadnego zgoła nie mają.

Takito zastęp przoduje ruskiéj sprawie w Galicyi. Z kolei wypada nam przystąpić do skreślenia przebiegu samychże wypadków.

Czas powstania ruskiéj kwestyi w Galicyi datują zwykle od r. 1848. Dzieje się to dość słusznie, gdyż dopiéro wówczas ozwała się ta sprawa jawnie i głośno, dopiéro wówczas przybrała znaczniejsze rozmiary, które nie pozwoliły się dłużéj pomijać milczeniem. Jednakowoż prognostyki, że tak powiemy, téj sprawy pojawiały się już znacznie przed rokiem wspomnianym. Rząd mianowicie austryacki, od pierwszéj niemal chwili zajęcia Galicyi, dostrzegł jéj zarodków. Pierwsi zdolniejsi urzędnicy austryaccy zauważali już wówczas, że sprawa ruska w Galicyi da się bardzo skutecznie przeciw polskiemu użyć żywiołowi, ale ostrzegali równocześnie, iż sprawa ta może bardzo łatwo stać się mieczem obosiecznym. Byli to ludzie zdolni, bystrym obdarzeni wźrokiem — rząd uznawał słuszność ich uwag i przez długi czas z największą ostrożnością obchodził się z Rusinami.

Z latami zmieniły się jednak czasy, rozsądki, przezorności, ludzie i t. p. W objęciach świętego przymierza zapomniano o obosieczności ruskich mieczów. Wzrastający biórokratyzm, który jak wiadomo, nigdy bystrością wźroku nie celował, któremu, jak również wiadome, jedynie o przygnębienie Polszczyzny chodziło, wpadł na trop dawnych o ruskiéj sprawie skazówek. W skuteczność jéj przeciw Polakom uwierzono natychmiast — o niebezpieczeństwach jednakowoż przepomniano zupełnie.

Już około r. 1820 rozpoczęły figury urzędowe agitacyę w sprawie ruskiéj. Rzecz szła nadzwyczaj oporem, gdyż właściwie z Polaków wypadało robić Rusinów. Piérwsze zawiązki w téj mierze wychodziły głównie z biór urzędników austryackich. Niemcy z rodu, z nazwiska i z serca zaledwie nieco poduczeni języka krajowego, urządzali konsyliarze austryaccy w domach swoich piérwsze wieczory rusko-literackie, spraszali na nie młodzież ruską, która dopiéro za popędem i w domu Niemców przypominała sobie o istnieniu ruskiéj literatury i ruskiego języka. Uczestnikami takich muzykalno-deklamacyjnych wieczorków, odbywanych w ścisłéj tajemnicy, byli ponajwiększéj

części ludzie, którzy dopiéro w r. 1848 wpłynęli na ruską widownię polityczną.

Przed tym bowiem rokiem wszelkie usiłowania niemieckich urzędników i przejednanych dla Ruśczyzny Rusinów żadnego prawie nie wywierały skutku. Spełzały one zarówno w skutek ogólnego usposobienia, jak i w skutek braku wszelkich rzeczywistych sprężyn moralnych. Jedynie w obec ważniejszych niecodziennych wypadków, przybierały agitacye takie pewne znaczenie. W r. 1830 np. kiedy cała uniwersytecka młodzież lwowska wyruszyć miała do powstania, podniosła się nagle na akademii partya, która postanowiła żadnego nie brać udziału i która z powszechném zdumieniem przezwała się ruską. Ale wraz z upadkiem powstania przycichło wszystko, zniknęli Rusini.

W ośmnaście lat późniéj powołał znowu kwestyę ruską do życia adres Polaków, żądających uznania polskiéj narodowości. Również niespodzianie jak w r. 1830 zażądano uznania narodowości ruskiéj. Polacy oparli się temu żądaniu, a podejrzywając jego źródło wystąpili z twierdzeniem, że Rusi nie ma wcale, że Ruś oddawna spolszczała, że podnoszące się głosy są jedynie owocem intryg wrogiéj Polsce biórokracyi.

Twierdzenia te zawierały wiele prawdy, gdyż Galicya istotnie od dawna spolszczała i Rusinów trudno było doszukać się na niéj. Prawdą było również, że piérwsze popędy celem obudzenia kwestyi ruskiéj w téj prowincyi, nie z łona saméjże Rusi ale od Niemców wychodziły. Obok tych prawd jednakowoż zawierały twierdzenia polskie także niemało złego, mianowicie nieuwzględnienie zmiany stósunków spółecznych i odstąpienie od historycznéj, mądréj polityki polskiéj względem Rusi.

Co do piérwszego wypadało pamiętać, że po zniesieniu pańszczyzny, po oświadczeniu się za zasadą wolności dla wszystkich, cała masa ludu, bierna dotąd, przybierze niebawem charakter czynnéj warstwy spółecznéj, z którą dokładnie liczyć się trzeba będzie; wypadało pamiętać, że masy te prawdopodobnie o innéj będą marzyć przyszłości, do innych zdążać celów, niżeli dotychczasowa, szlachecka reprezentacya narodu, słowem wypadało téj reprezentacyi pamiętać, że przyznawszy wolność innym warstwom spółecznym, stawała się sama już tylko cząstką a nie jedynym przedstawicielem ogółu narodowego. Niepamięć o tém wszystkiém stała się piérwszym błędem ze strony polskiéj.

Drugim błędem było jak powiedzieliśmy, odstąpienie od historycznéj, mądréj polityki polskiéj względem Rusi. Spolszczenie bowiem Rusi nie było dziełem jednéj chwili, ale długiego przeciągu czasu. Zanim takowe dokonanem zostało, odzywały się niejednokrotnie głosy, żądające uznania i uszanowania ruskiéj odrębności narodowéj. Wówczas zachowywała Rzeczpospolita stale mądrą swoją politykę, przyznawała wszelkie słuszne żądania Rusi. Ztądto pochodziły konstytucye, gwarantujące językowi ruskiemu równe z polskim prawa i używanie urzędowe ztąd wypływały wszelkiego rodzaju zabezpieczenia ruskiéj narodowości. Wiadomo że we wszystkich urzędowych i nieurzędowych aktach dawnéj rzeczypospolitéj używano stale nazwy narodu ruskiego jako części całego państwa, a używano nawet wówczas, kiedy właściwie już nie było tego narodu ruskiego. Skutkiem téj mądréj polityki było spolszczenie Rusi. Dozwolona uprawa języka narodowego przestała nęcić Rusinów, zagwarantowana odrębność narodowa wszelki straciła urok. Tém silniéj owszem pociągnęła ich ku sobie owa wyższość liberalnéj cywilizacyi polskiéj, a każdorazowe odezwanie się ze strony ruskiéj o przyznanie jakiéjś nowéj swobody lub opieki, zaspokojone bezzwłocznie, usypiało bez rozgłosu w miękkiém objęciu polskiéj tolerancyi.

Inaczéj poszły rzeczy w r. 1848. Negacya polska wzbudziła w Rusinach nieznaną dotąd energię — któréj bezpośrednim wynikiem była niechęć ku negatorom. Nie myślimy bynajmniéj twierdzić, ażeby odmienne postąpienie Polaków zdołało było wówczas uspić rozbudzoną kwestyę ruską. Bynajmniéj; kwestya ta, poczęta w zupełnie odmiennych okolicznościach, musiała zdaniem naszém rozwinąć się koniecznie, i to w takich rozmiarach jak na Małorusi; jednakowoż odmienne postępowanie ze strony polskiéj nie byłoby się przyczyniło do popchnięcia jéj w najniewłaściwsze tory. Brak polskiéj negacyi byłby uniemożebnił nienawiść ku Polsce, byłby mimo agitacyi biórokratycznych i moskiewskich zmusił kwestyę ruską do oparcia się na innych podstawach, do rozwoju powolniejszego ale narodowego. Tymczasem stało się inaczéj.

Nieprzychylne postąpienie Polaków wywołało walkę, któréj piérwszym owocem ze strony ruskiéj był manifest, napisany w języku niemieckim. W ślady za nim posypały się broszury

polemiczne z obojéj strony, niemal wyłącznie w języku polskim pisane. W ślady za polemiką literacką ocknęły się w pełnéj sile owe zarodki nieporozumień, wypływające ze stósunków społecznych, które stopniowo w namiętną rozpłomieniły się nienawiść.

Dziwna to zaiste walka — o słowa. Cóż bowiem znaczyć mogły i znaczą po dziśdzień wszelkie negacye Polaków bezsilnych, uciśnionych? Ale najgołosłowniejsza nawet negacya zdolną jest wywołać zaciętą opozycyę, co tém więcéj tyczyć się mogło sprawy ruskiéj, ile że negacya taka poddawała jéj bogdaj jaką taką podstawę istnienia. W każdym razie stosunek ten wpłynął na rozwinięcie się kwestyi ruskiéj nie tyle w duchu rozbudzonego poczucia narodowego, ile raczéj w duchu bierno-opozycyjnym, w duchu negacyi na negacyę polską, w duchu rodzicielki piérwszych jéj objawów, biórokracyi niemieckiéj i w duchu najpotężniejszego opiekuna, moskiewskiego panślawizmu.

Agitacya bowiem moskiewska nie od dzisiaj nurtuje między Świętojurcami. Piérwszy zmoskwiczony Rusin galicyjski, Dyonizy Zubrzycki, zostawał jak wiadomo w ścisłych z Petersburgiem stosunkach, przestawszy pisać po polsku zaczął pisywać tymsamym zmoskwiconym językiem, jakim obecnie na zgorszenie całéj Rusi redagują Świętojurcy Zbornik naukowy, i starał się zaszczepić w Rusinach galicyjskich owo zamiłowanie do literatury moskiewskiéj, które jest celem dzisiejszych wykładów o literaturze ruskiéj na uniwersytecie lwowskim. — W r. 1847 znalazł jednak Zubrzycki poparcie tylko u jednego z uczonych ruskich, i wraz z nim doznał zupełnego upadku na piérwszém zgromadzeniu narodowém we Lwowie.

W tém opozycyjném względem Moskwy usposobieniu, któremu ogół ruski do dziśdnia pozostał wiernym, nie wytrwali długo Świętojurcy. Imponujące z jednéj strony poparcie siły, jaką Moskwa przedstawiała, łechcący z drugiéj strony widok najrozmaitszych korzyści, których taż sama Moskwa nie skąpiła, pobłażliwość w tym względzie biórokracyi, któréj wyłącznie o wzmożenie nieprzychylnego Polsce żywiołu chodziło, brak sił własnych, z jakim trudno było kusić się o skuteczne prowadzenie rozpoczętéj walki — wszystko to razem, obok zupełnéj obojętności na uczucia i idee narodowe przerabiało w mgnieniu

33.

oka przewodników świętojurskich na narzędzia agitacyi moskiewskiéj.

Jako ludzie przezorni postępowali oni jednak aż do najnowszych czasów z nadzwyczajną ostrożnością. Wszystko dział się w imieniu ruskiéj narodowości. Moskiewszczyzny zapieran się nawet uroczyście, dążąc do niéj wszelkiemi drogami.

Zaś głównymi z tych dróg były i są: język i szyzma Piérwszy zaczęto już od dawna moskwicić w Galicyi, co tén łatwiéj przychodziło, ile że Rusini tutejsi ani po rusku ani po moskiewsku nie umieli. Odgraniczeni jak najściśléj od Małorus utrzymywani w zupełnéj niewiadomości o wypadkach tamecznych, o rozwoju politycznym i literackim, przyjmowali w najlepszéj wierze mnóstwo wyrazów i form gramatycznych moskiewskich jako wyrobione, książkowe czysto-ruskie wyrazy i formy. Zdarzało się przeto i zdarza po dziśdzień, że ludzie którym jak najmocniéj o zachowanie czystości języka ruskiego chodzi, którzy z głębi serca nie nawidzą Moskwy, przemawiają w języku rzeczywiście zmoskwiconym. Jeżeli wypadki takie dziwnemi się wydadzą, to zwracamy uwagę czytelników na okoliczność, iż w Galicyi do dziśdnia jeszcze jest nadzwyczajnie trudném obznajomienie się z literaturą małoruską, owszem nabycie jakiéjkolwiek książki ruskiéj jest prawie niemożebném. Księgarnie polskie nie trudnią się zupełnie takim handlem, a bardzo nieliczne ruskie, zostające pod bezpośrednim zarządem Świętojurców, innych prócz czysto-moskiewskich i galicyjsko-zmoskwiconych książek i pism wcale nie utrzymują. Chcący przeto nabyć jakiekolwiek książki ruskie, otrzymuje wyłącznie książki moskiewskie, którym cała hierarhia duchowna i cały uczony świat świętojurski przyznaje czysto-ruski charakter. Bezwiednie przeto i mimowoli zmoskwiciła znaczna część galicyjskiego ogółu ruskiego swój język narodowy.

Co się tyczy szyzmy, zmuszeni jesteśmy uczynić pod tym względem ciężki zarzut całemu niemal duchowieństwu ruskiemu, dla którego, prócz wyjątków, rzeczywisty posiadamy szacunek i szczerą życzliwość. Ciąży na niém w ogóle wina niesłychanéj obojętności pod względem religijnym. Duchowieństwo to liczy tylko w najmniejszéj części swéj rzeczywiście gorliwych kapłanów katolickich, w drugiéj zwolenników tak zwanego kościoła narodowego, którego pomysł zwłaszcza na Mało-

rusi mocno zajmuje umysły, w trzeciéj i najliczniejszéj wreszcie ludzi nie tylko bez powołania kapłańskiego ale nawet bez poczucia religijnego.

O pomyśle narodowego kościoła ruskiego zauważyć musimy, iż co pod tym względem jest za kordonem krokiem przeciw Moskwie, toż samo staje się w Galicyi krokiem ku Moskwie. Osobiście mamy przekonanie, iż wszelkie kościoły i religie narodowe sprzeciwiają się właściwym pojęciom kościoła i religii, są przeto, co najmniéj, niewłaściwymi. Pojmujemy jednakowoż najzupełniéj, iż pojęcia takie na Małorusi, zgorszonéj upadkiem moskiewsko-szyzmatyckiego kościoła, mogą mieć nawet szlachetną swoją doniosłość, mogą być nieuniknionem następstwem postępu ludzkości, która nie jest w stanie ścierpieć dłużéj prawdziwie średniowiecznego, moskiewsko-kościelnego ustroju. Ale takiéj postępowéj konieczności nie mają podobne pomysły w Galicyi, gdzie téż, w braku wszelkich rzeczywistych powodów, przybierają cechę nie dążenia do jakiegoś kościoła narodowego, ale wprost do szyzmy. Jaśniéj powiedziawszy, łatwo da się pojąć, iż Małorusini życzą sobie doskonalszego kościoła od szyzmy moskiewskiéj, ponieważ szyzma ta stoi, jak wiadomo, najniżéj ze wszystkich wyznań chrześciańskich; trudno jednakowoż pojąć dążenie katolickich Rusinów, stojących najbliżéj najdoskonalszego wyrazu religii chrześciańskiéj, do utworzenia czegoś, coby miało być stopniem pośrednim między katolicyzmem a szyzmą. Nie złośliwością przeto, ale szczérém powodowani przekonaniem ośmielamy się twierdzić, że ruscy księża galicyjscy, acz inteligentni i zdolni ludzie, nic mądrzejszego nad katolicyzm wymyśleć nie potrafią, a zerwawszy z nim raz stanowczo, nie pozostanie im nic innego nad szyzmę, do której ostatecznie świadomo czy nieświadomo, ale konsekwentnie i wprost zdążają.

Tyle uwag co do domniemanych nieświadomych szyzmatyków *in futuro* — a teraz jeszcze słów kilka o szyzmatykach świadomych i *de facto*.

Zasadą naszą osobistą pod względem religijnym jest jak najrozciąglejsza tolerancya. W sercu i w pamięci mamy ustawicznie słowa jednego z najznakomitszych królów naszych: „Nie chcę być sędzią sumienia“ — słowa tém wspanialsze i szlachetniejsze, ponieważ wyrzeczone były w czasach, kiedy

świat cały kąpał się we krwi własnéj za wolność i niewolę religijną. Mimo to czujemy wstręt do księży, którzy przekonaniem i czynami kłam zadają duchowéj swéj sukience, ponieważ księża tacy wydają nam się, co najmniéj, uosobioną obłudą.

Wolno każdemu człowiekowi nie być księdzem, jak wolno mu nie żenić się i nie być ojcem. Skoro jednakowoż kto księdzem zostanie, winien tak samo sumiennie wypełniać swoje obowiązki jak ten, który został mężem i ojcem. Złego ojca i męża uważamy powszechnie za złego człowieka. W oczach naszych nie uniewinniają go żadne wymówki, a najmniéj taka, iż realność pożycia małżeńskiego rozczarowała go, iż takowe nie zgadza się z jego powołaniem i t. p. Odpowiadamy, iż na podobne uwagi i zastanowienia się dość było czasu przed ślubem, i że skoro raz klamka zapadła, nie wypada jak usiłować zadość uczynić swym zobowiązaniom czy to z przyjemnością czy bez takowéj. Nie jest bowiem przeznaczeniem człowieka dogadzać jedynie swoim upodobaniom i zachciankom. Jeżeli kolej życia, na którą się weszło, nie dozwala tego, ustać mimo to niewolno, ale trzeba iść choćby przebojem, choćby z ofiarą przyjemności i rozkoszy. Poświęcenie w takich wypadkach jest najzwyklejszym obowiązkiem.

Twierdzenie to tyczy się zdaniem naszém dosłownie zwłaszcza stanu duchownego. Kto raz przywdział sukienkę kapłańską, winien pozostać jéj wiernym do grobu, winien mianowicie chronić się wszystkiego, coby takową splamić mogło. Zgorszenie bowiem, jakie niegodni swego stanu duchowni wywołują, z żadném inném porównać się nie da. Dość powiedzieć, iż w masach ludu, którego jedyną dźwignią moralną jest religia, podkopuje takowe wszelką wiarę, czyni z tych mas istoty najnieszczęśliwsze, bo wszelkiéj moralności pozbawione.

Ta obojętność religijna wiedzie zresztą tak łatwo ruskich księży galicyjskich do szyzmy. Bez przywiązania do swego obrządku, uważają oni zmienienie go na inny za rzecz zupełnie obojętną moralnie, a wielce korzystną materyalnie. Dążenie bowiem do szyzmy, zaprowadzanie jéj w najpodrzędniejszych nawet obrzędach kościelnych, jest jak najlepiéj przez świętojurców widzianém i jak najszczodrzéj wynagradzaném. W ich oczach równoważy ono wszelkie inne niedoskonałości księdza

ruskiego, równoważy nawet nienawiść do Moskali i niechęć do moskiewszczyzny. Ztąd pochodzi, że nieraz bardzo porządni i patryotyczni księża, którzy z głębi serca przeciwni są świętojurcom, doznają od nich za takie słabostki szyzmatyckie wcale przychylnéj opieki.

A pod tym względem mają świętojurcy zupełną racyę. Szyzma — to nieochybnie pierwszy krok do moskiewszczyzny i to krok stanowczy.

Zgadzamy się najzupełniéj na zasadę, iż polityka z religią nigdy w parze chodzić nie powinny. Ale cóż my temu winni, że piękna ta zasada wobec niejednokrotnych, i to bardzo ważnych faktów, na nic się nie przyda. Wobec sprawy ruskiéj na przykład, gdzie religia jest niesłychanie ważnym czynnikiem politycznym, trzymanie się téj zasady byłoby więcéj niż niebezpieczném. Wielce pouczającém w téj mierze jest wspomniane wyżéj dążenie Małorusinów do utworzenia kościoła narodowego, które umiemy uszanować mimo różnego pod tym względem osobistego przekonania; jeszcze bardziéj pouczającém jest zachowanie się ruskiego duchowieństwa unickiego w prowincyach zabranych, jego prawdziwie męczeńskie i prawdziwie wzniosłe apostolstwo. Prześladowane przez Moskwę w sposób najokrutniejszy, duchowieństwo to, przyświecające całemu światu wzorem ducha chrześciańskiego, jest zarazem najskuteczniejszą teoryą ruskiéj narodowości. Gdyby Ukraina, gdyby serce Małorusi miało dziś unię a nie szyzmę, to z pewnością cały ruch małoruski nieskończenie większe przybrałby był rozmiary; a jeżeliby przeciwnie wzgląd religijny nie był w téj sprawie tak ważnym czynnikiem, to z pewnością myśl kościoła narodowego nie byłaby się stała jedném z najdobitniejszych znamion patryotyzmu małoruskiego.

Z czysto politycznego przeto stanowiska uważamy unię dla Rusi galicyjskiéj za sprawę wielce patryotyczną, a szyzmę za równie zgubną dla narodowości ruskiéj. Prócz tego przemawia za unią jeszcze ogromne przywiązanie ludu, który, jak wiadomo, jest pod względem obrządków religijnych niesłychanie konserwatywnym. Wiadomo, iż wiele pobliskich wsi zakordonowych, gdzie już od dawna zaprowadzono szyzmę, unika po dziś dzień jak najstaranniéj cerkwi szyzmatyckich, i przynajmniéj raz w rok, mianowicie na Wielkanoc, przychodzi na mszę

i spowiedź do pogranicznych, unickich cerkwi galicyjskich. Wiadomo również, iż cały lud galicyjski, fanatycznie do dawnych obrządków przywiązany, jak najnieprzychylniéj na wprowadzanie prawosławia spogląda. Zdarzały się wypadki, iż gminy żądały wprost od księży ogolenia brody, używania dzwonków i t. p., a niebrakło na daleko wymowniejszych objawach nieukontentowania i opozycyi. Skutkiem tego oporu ludowego idzie także oporem faktyczne wprowadzanie szyzmy, aczkolwiek świętojurcy za jedno z głównych zadań poczytują sobie takowe, i aczkolwiek ze strony księży na nieliczne stosunkowo trafiają trudności. Życzymy serdecznie, aby zdrowy zmysł ludu, kierujący jego opozycyą, stał się dla księży zbawczéj przestrogi skazówką.

Tymi dwoma środkami, językiem i szyzmą, moskwicili i moskwicą świętojurcy Galicyę. W przeprowadzeniu dzieła tego posiadali oni zupełną swododę i wszelką możliwą pomoc. Policyjny rząd austryacki udzielił im przywileju wydawania ruskich książek szkolnych i kontroli nad nauką tegoż języka. Oczywiście pod pozorem wykształcania, moskwicono go w sposób niesłychany. Uwagi w tym względzie niektórych urzędników galicyjskich pozostawały w Wiedniu bez skutku. Rząd bowiem policyjny nie widział najmniejszego dla Austryi niebezpieczeństwa w moskwiceniu Rusinów; a przeciwnie poczytywał im za największą zasługę coraz wybitniejszą ku Polakom nienawiść. Pocieszano się uwagą, że Polacy są uosobioną rewolucyą, a Rusini lojalnością. Owóż sądził rząd, iż prześladowanie rewolucyi nigdy zbyteczném, a popieranie lojalności nigdy zgubném stać się nie może. Dla tego popierano Rusinów bezwzględnie i równie bezwzględnie prześladowano Polaków.

W krótkim czasie wzrosła ogromnie liczba urzędników, protegowanych przez Świętojurców. Zwłaszcza władze szkolne zaroiły się Rusinami, którzy podniesieni opieką świętojurską, nie chcieli i nie umieli stawiać tamy urzędowemu moskwiceniu języka. Bojaźń utraty opieki téj działała na urzędników równie silnie jak obawa niełaski konsystorza na księży. Wszechwładztwo bowiem świętojurców nie miało faktycznie żadnych granic.

W Wiedniu popierała ich Moskwa, przez Wiedeń wpływał na nich Petersburg. Wpływ ambasady moskiewskiéj na

ruskie seminaryum wiedeńskie był stanowczym. Wychowywano w niém nie Rusinów ale Moskali, którzy wracając do kraju stawali się filarami partyi świętojurskiéj i propagandy szyzmatyckiéj. Istniejące również w Wiedniu pod opieką ambasady moskiewskiéj stowarzyszenie religijne pod nazwą św. Cyryla i Metodego przybrało charakter jawnego polityczno-moskiewskiego spisku. Jedno z pism ruskich zapewnia, iż członkowie tego towarzystwa, wracający do Galicyi, składali formalną przysięgę, że wszelkiemi siłami propagować będą moskwicyzm. Dopiéro w r. 1865 ujrzał się rząd austryacki spowodowanym rozwiązać wspomniane towarzystwo.

Przedtém jednakowoż, mianowicie aż do roku 1860, nie spotkały propagandę świętojurską żadne trudności. Odzywający się czasami ze strony polskiéj głos bezwzględnéj negacyi, bezwzględnego potępienia, wzmacniał tylko i uzasadniał wpływ świętojurców. Wówczas bowiem, wypierając się Moskwy, podnosili oni głos w obronie i w imieniu ruskiego narodu, pociągali tym sposobem za sobą całe duchowieństwo i całą resztę inteligencyi ruskiéj, mianowicie rzeszę urzędników. Szli za nimi jedni i drudzy, zmuszeni bądźto zależnością i stosunkami, bądźto nie widząc innéj reprezentacyi narodowéj, innych szermierzy w obronie praw ruskich.

Był przeto czas, kiedy rzeczywiście można było w Galicyi Rusinów identyfikować z świętojurcami, bo tylko ci ostatni byli czynnymi, a cała masa ruska bierną. Świętojurcy zresztą, aczkolwiek zasilający się żywiołami moskiewskiemi, aczkolwiek dążący do zmoskwicenia, osłaniali się jak największą obłudą, nadużywali jak najbezczelniéj hasła Rusi i Ruśczyzny. Ogół ruski, obojętny pod względem religijnym, niekompetentny pod względem językowym, tém łatwiéj uległ zbałamuceniu.

Ale na długo stosunki takie utrzymać się nie mogły. Około roku 1860 zaczęły się przedzierać do Galicyi coraz dokładniejsze o Rusi zakordonowéj wiadomości, zaczęli się zjawiać ludzie głębsi i dokładniéj ze sprawą obeznani. Podniesiono niebawem kwestyę językową, zarzucono świętojurcom moskwicenie. Niezdolni obronić się przed zarzutem, rzucili świętojurcy anatema na opozycyę, a tém samém podnieśli ją i nadali jéj rozgłosu. W krótkim czasie wyrosła ona w obóz silny, z którym koniecznie liczyć się wypadło. Czas jakiś walczyli

świętojurcy okrywając się płaszczykiem Ruśczyzny. Kiedy jednak opozycya zdarła im z oblicza obłudną tę zasłonę, wystąpili jawnie i otwarcie z ukrywaną dotąd dążnością moskiewską.

Przystępujemy obecnie do skreślenia obrazu téj walki, tém ciekawszéj i ważniejszéj, ponieważ nieukończonéj jeszcze, ale w całém roznamiętnieniu trwającéj.

(Dok. nast.)

Bernard Kalicki

Lepiéj późno jak nigdy.

Przysłowie.

Osoby: Honoryna — Pułkownik.

Rzecz dzieje się u wód.

SCENA I.

Teatr przedstawia salonik z dwojgiem drzwi. Na przodzie sceny stół ze śniadaniem, służący przy samowarze, środkowymi drzwiami wchodzi Honoryna, ubiór bardzo elegancki, trochę przesadzony.

HONORYNA.

Janie! Proszę dać drugie nakrycie. (służący wychodzi) Szczególne spotkanie! Doprawdy nic ciekawszego, jak przypatrywać się człowiekowi, który się w nas kochał. Jak to dawno! Od owéj dziewczyny, w którą on się patrzał jak w tęczę, oddziela mnie tyle lat, tyle..... doświadczenia, że trudno mi czasem uwierzyć, czy to ta sama. Ach, dobre to były czasy i gdyby to spotkanie nie było tak zabawne, byłoby mnie może rozrzewniło. Wspomnienie zawsze rozrzewnia, a z jego figurą stanęło mi przed oczyma tyle rzeczy. Poczciwy Kaźmierz; doprawdy nie znam lepszego serca. A jak on się zmienił, co za wąsy, co za marsowata postawa, znać na nim, że szarżował na baterye.... z większą determinacyą niż.... A może to i nie prawda, bo gdyby się był we mnie kochał, byłby przecież coś mówił.... Tak, to bajka, byłby mówił z pewnością, a nie mówił, nie (z westchnieniem) to bajka....

Ale jakże miał mówić.... ja byłam gorzéj jak baterya, bo jak forteca uzbrojona działami i to w ręku nieprzyjaciela. Biedny żołnierz, żal mi go; bił się potém, dobił się szlifów, orderów i wzmianek w rozkazach dziennych; inny byłby płakał

więcéj a za rok byłby się ożenił..... tymczasem to już siedem lat....

(Patrząc w zwierciadło) Boże! jak ja wyglądam! istna czwarta panna Benoiton. Ta nieznośna Matylda nie rozumie, że powinna być miara we wszystkiem. Może być ładnie, może być nawet cokolwiek widocznie, ale znowu nie tak. Co ona mi przysłała? Suknia na czerwonéj spodnicy, czerwone kutasy u bucików.... aj, aj, aj — widać, doprawdy że widać, troszeczkę widać czerwone pończochy; jak się samemu wszystkiego nie dojrzy, zawsze zrobią coś okropnego. A ten kapelusz o trzech rogach.... co za ekstrawagancya.... nie mogę przecież tak zostać, pułkownik gotówby mnie wziąść za markietankę....

(do służącego, który wchodzi)

Proś tego pana co tu przyjdzie, żeby poczekał, ja zaraz wrócę.

SCENA II.

Pauza — słychać dzwonek, służący wchodzi.

PUŁKOWNIK (we drzwiach).

Dobrze! czekam.

A więc to ona? Ta sama, w któréj się kochałem jak student, dla któréj wzdychałem po nocach, obrywałem kwiatki z listków i dla któréj o mało żem nie pisał wierszy. Hm! Miałem dobry gust, bardzo ładna; dziś kiedy na nią patrzę tak trzeźwo jak na wszystkie głupstwa młodości, muszę przecież przyznać, że ładna, bodaj czy nie ładniejsza jak wtedy. I dobra, poczciwa, przywitała się ze mną jak ze starym kolegą. Ciekawa rzecz, czy ona wie, ile mnie zdrowia kosztowała. Ba — musi wiedzieć, kobiety zawsze wiedzą, wiedzą nawet kiedy nic nie ma, cóż dopiéro....

A ty stary wojaku? Powiedz, nie odzywa się pod twojemi orderami dawne serce rotmistrza? O nie! Z pewnością? Ani trochę? Nic a nic. *Tempi passati.* Dawniéj, kiedy myślałem o tém, że ją mogę spotkać, to mnie czasem dreszcz przechodził — kiedym się dowiedział, że Pan Bóg powołał do swojéj chwały swojego najnieużyteczniejszego sługę, jéj męża, to mi jeszcze zrobiło pewne wrażenie, ale późniéj.... ba.... miłość Romea nie byłaby wytrzymała krymskich mrozów i niewygód, cóż dopiéro moja. Jestem kontent z siebie, jestem tęgi, dali-

bóg jestem tęgi; zobaczyłem ją zupełnie niespodzianie i ani drgnąłem. Miłość stanowczo przeszła w pamiątek kolor.

Licho mi nadało w niéj się zakochać; inna, kto wie, możeby mnie była zachciała, a teraz z téj pięknéj rzeczy, która się zowie miłością, znowu tylko kwasy.... A mniejsza o to; nie można mieć wszystkiego na tym świecie, a ja mam jeszcze wiele dobrego. Ale ktoby był powiedział, że jéj mąż tak prędko umrze? Takie było chłopisko zdrowe; na co on mógł umrzeć? Hm, pewnie nie na głowę, a zresztą wszystko mi jedno. A ona go kochała; kobiety zawsze durniów kochają. Żeby im się podobać, trzeba być głupim i nie dbać o nic. Głupim, bo tylko głupi ma tę błogosławioną pewność siebie, która im imponuje; nie kochać ich, to wtedy one dopóty próbują zwyciężyć tę obojętność, aż się w końcu same zakochają na zabój. Tytania zakochana w ośle jest po matce Ewie najdoskonalszym typem niewieściéj natury, typem mniéj ogólnym, bo w odniesieniu do jednego tylko stosunku życia, do jednego uczucia, ale jest.... brrr! jak się nad tém zastanowię, to mnie moja filozofia opuszcza i gotówbym się gniewać. Gdybym był głupi, byłbym sobie robił nadzieję, byłbym się narzucał; gdybym nie był kochał, byłbym jéj gadał prześliczne rzeczy, sto razy ładniejsze od tego wszystkiego, co mogła słyszeć od tego bałwana Augusta. A tak jestem do końca życia starym kawalerem.... Ba! albo mi to tak źle — stary kawaler może być jeszcze nie bardzo starym pułkownikiem i mieć przed sobą kilka lat przyjemnego życia.

SCENA III.

Pułkownik — Honoryna (ubrana bardzo po prostu).

HONORYNA.

Przepraszam pana, po wodach musiałam chodzić i wróciłam w okropnym stanie. Wyglądałam jak powóz obryzgany błotem po całodziennéj podróży. Musiałam się przebrać.

PUŁKOWNIK.

Jak powóz obryzgany błotem? Gdzież pani znalazła błoto? Wszędzie sucho aż ziemia pęka.

HONORYNA.

Przy źródle i na spacerach, zapewnie: ale ja chodziłam daleko po lasach, po górach.

PUŁKOWNIK.

I na górach było błoto?

HONORYNA.

To jest rosa; a oprócz tego byłam na łąkach, oprócz tego przechodziłam strumyk po kamieniach i wpadłam jedną nogą w wodę.

PUŁKOWNIK.

Żałuję, żem tam nie był, byłbym panią ratował. (na stronie) Nie przypominam sobie, żeby była zmoczona.

HONORYNA (na stronie).

Nie mogę mu przecież powiedzieć, żem się przebrała dla tego, żeby jego purytańskich oczów nie razić moją czerwoną spodnicą. (głośno) Byłby mnie pan ratował tak heroicznie, jak tego rannego Żuawa pod Inkermanem?

PUŁKOWNIK.

O! nie tak heroicznie, ale z dużo większą przyjemnością...

HONORYNA.

Tylko z mniejszém niebezpieczeństwem?

PUŁKOWNIK.

Może z większém. Ratować damy nie jest wcale bezpiecznie, mamy na to mnóstwo przykładów w historyi.

HONORYNA (na stronie).

Aj, niepotrzebnie mi się to wymknęło, zapomniałam, że on tego Żuawa niósł na plecach. (głośno) Doprawdy? ja tak mało znam historyą....

PUŁKOWNIK.

Ale pani zna wiele poezyi, a przynajmniéj znała ich pani wiele dawniéj. Niech sobie pani przypomni, czy cała karyera Orlanda nie dowodzi tego niebezpieczeństwa. Ratował damy tak długo, aż w końcu oszalał. A żeby przykładów nie szukać tak daleko, sam pan Tadeusz.

HONORYNA.

Pan Tadeusz? kogóż ten ratował?

PUŁKOWNIK.

Telimenę. Telimenę od mrówek.

HONORYNA.

O! to nie dobry przykład, bo pan Tadeusz wyszedł z niebezpieczeństwa nietylko cały, ale radykalnie wyleczony; a je-

żeli kto stracił to Telimena, bo i mrówki ją pokąsały i starł się róż, a z różem i gorąca miłość Tadeusza.

PUŁKOWNIK.

Ale gdzie różu nie ma....

HONORYNA.

Gdzie nie ma różu .... gdzie nie ma różu.... tam może być głód. Nie wiem czy pan wyróżowany i czy pan głodny, ale ja jestem niewyróżowana i bardzo głodna po moim ogromnym spacerze. Niech pan siada bo herbata przeciągnie.

(siadają.)

Zrobiłam śliczny spacer. Zobaczy pan, jakie tu są ładne widoki. Muszę panu robić honory gór; pojedziemy razem do Zbójeckiéj Groty, do Zielonego Jeziora, do Marysinéj Skały.

PUŁKOWNIK.

Wierzę z góry że to wszystko prześliczne, ale wątpię żebym mógł to widzieć; jestem tu na bardzo krótko.

HONORYNA.

Na krótko? Pocóż pan tu mógł przyjeżdzać na krótko? Czy pan myśli że te wody uzdrowią pana w jednym dniu?

PUŁKOWNIK.

Wcale tego od nich nie żądam, i nie potrzebuję. Mam się doskonale, a przyjechałem nie dla wód... ale

HONORYNA.

Ale?

PUŁKOWNIK.

Ale dla widzenia kogoś bardzo mi drogiego.

HONORYNA.

Ah?

PUŁKOWNIK.

Mojego przyjaciela Feliksa który tu jest dla zdrowia.

HONORYNA.

A tak, dla pana Feliksa.... Biedny, wie pan że doktór o niego nie jest spokojny, taki przybity, taki nerwowy, może go pan trochę uspokoi i pokrzepi. Ale niech mi pan wierzy, jeżeli pan przyjechał dla niego, to trzeba zostać dłużéj. Takie widzenie z panem krótkie: jak się masz, bądź zdrów, może go jeszcze bardziéj rozdraźnić, rozstroić, może mu zaszkodzić. Dłuższe może mu bardzo pomódz i na usposobienie i na zdrowie. Powinien pan zostać.

PUŁKOWNIK (na stronie.)

Co to znaczy? (głośno) On mi się nie wydał tak bardzo chorym, owszem znalazłem go ożywionym, wesołym...

HONORYNA.

Może dziś, bo się panem ucieszył, ale żeby go pan widywał częściéj i dłużéj, przekonałby się pan że jest w okropnym stanie. — Zaręczam panu, że doktór nie jest spokojny, i że sam namówiłby pana na zostanie. Wczoraj jeszcze mówił mi że towarzystwo kogoś, kogo pan Feliks prawdziwie lubi, mogłoby mieć najlepsze skutki dla jego nerwów i zdrowia.

PUŁKOWNIK (na stronie.)

Może to prawda; istotnie Feliks źle wygląda, jest rozstrojony...... (głośno) Gdyby się pokazało konieczna potrzeba to może.....

HONORYNA.

Możebyś pan został? Zostań pan. Czyż tu tak źle? Czyż pan tu nie ma przyjaciół? widziałam pana przy źródle otoczonego zgrają różnych młodych panów i paniczów którzy na wyścigi sławnemn pułkownikowi podawali wodę, cygareta, zapałki, lornetki.....

PUŁKOWNIK.

O — ci mnie nie skuszą do zostania.

HONORYNA.

Nie zabawni? Jak pana znudzą to pan przyjdzie do mnie, będziemy mówić o naszéj młodości i chodzić po górach. Pokażę panu Marysiną Skałę.

PUŁKOWNIK.

Cóż to za Skała i co za Marysia? już je pani drugi raz wspomina.

HONORYNA.

Skała, jest taka skała jak wszystkie inne — a Marysia...

PUŁKOWNIK.

Jest taka Marysia jak wszystkie inne?

HONORYNA.

Nie zupełnie. Może była taka jak wszystkie, ale już jéj dawno nie ma; przeszła w legendę i naturalnie nabrała pewnego poetycznego uroku.

PUŁKOWNIK.

Więc jest i legenda?

HONORYNA.

Naturalnie że jest. Marysia była jak się zdaje wielka kokietka. Miała mnóstwo adoratorów, a pomiędzy innymi jednego cichego, skromnego, nieśmiałego, zakochanego na zabój....

PUŁKOWNIK.

O.... o.... — znam ten rodzaj —

HONORYNA.

A? doprawdy?

PUŁKOWNIK.

Nie pamięta pani biednego Nemorina z Elisir d' ammore jak śpiewa: „Jo non soń, che un idiota, io non so che sospirar, a tymczasem kapral.“

HONORYNA.

Kapral odchodzi z kwitkiem a Nemorino zwycięża.

PUŁKOWNIK.

Tak; zwyciężył, bo wziął na kieł, upił się i udawał że nie dba o Adieu. Zresztą był pewny swego, miał napój miłosny. Nie każdy go ma.

HONORYNA.

Ale każdy może się o niego starać. Adorator Marysi go znalazł.

PUŁKOWNIK.

Ba? Gdzie i jak? wartoby wiedzieć.

HONORYNA.

Czy pan potrzebuje tego preparatu?

PUŁKOWNIK.

W téj chwili nie, ale zawsze dobrze go mieć pod ręką w swojéj homeopatycznéj apteczce na wszelki wypadek.

HONORYNA.

Otóż kochanek Marysi znalazł go w dwóch rzeczach: w oddaleniu i w porównaniu.

PUŁKOWNIK.

Pewnie w porównaniu z mężem?

HONORYNA.

Niestety! wzgardzony młodzieniec poszedł gdzieś w świat z drutami, a tymczasem mąż bił biedną Marysię. Za każdém uderzeniem budziło się wspomnienie dawnego adoratora, który był czuły i dobry, aż w końcu.....

PUŁKOWNIK.

Po kilku latach bicia wspomnienie przeszło w miłość?

HONORYNA.

Właśnie. Po jakimś czasie wrócił ten dowód oczywisty *que les absents n' ont pas toujours tort*, ale o Marysi zapomniał i ożenił się z inną.

PUŁKOWNIK.

O Marysia?

HONORYNA.

Marysia go spotkała raz wieczorem właśnie na téj skale powiedziała mu, że go kocha, że ją Pan Bóg za niego skarał, rzuciła mu się na szyję i prosiła żeby jéj się pozwolił wypłakać na swoich piersiach, potém się uspokoiła, kazała mu wracać do żony, do domu, a sama skoczyła ze Skały w rzekę i utonęła....

PUŁKOWNIK.

Prawda, to nie była taka Marysia jak wszystkie; ale to musiało być bardzo dawno.

HONORYNA.

Nie wiem; mówiłam panu, że nie umiem historyi. Ale dla czego to miało być dawno?

PUŁKOWNIK.

Czy pani słyszała, żeby teraz kto miał takie wyrzuty sumienia? Przypuszczam, że i teraz pęknie czasem jakie serce, ale jego pęknięcie nie budzi nic prócz ciekawości. Jak on cierpi? to ciekawe! Śledzi się ten ciekawy fenomen przez pięć minut, a potém myśli się o czém innném.

HONORYNA.

Nie zawsze można się rzucić ze skały; a potém serca jeżeli jeszcze czasem pękają, to łatwiéj jak dawniéj dają się zdrutować lub skleić. Zupełnie jak porcelana.

PUŁKOWNIK.

Z tą różnicą, że sklejona porcelana jest zawsze kruchsza, niż była przedtém, a sklejone serce robi się twarde jak kamień i drugi raz już się nie stłucze.

HONORYNA.

Tém lepiéj dla jego właściciela.

PUŁKOWNIK.

Tém lepiéj. Wprawdzie jest chwila bardzo przykra, kiedy się odbywa ten proces drutowania czy klejenia, ale skutek jest bardzo szczęśliwy.

HONORYNA.

Pan mówi jak żeby ze znajomością rzeczy.

PUŁKOWNIK.

Mówię z doświadczenia.... cudzego. Widziałem takich wypadków wiele.

HONORYNA.

I próba zawsze się udała?

PUŁKOWNIK.

Ile razy pacyent poddał się jéj odważnie i z determinacyą.

HONORYNA.

Pan musiałeś nieraz asystować swoim przyjaciołom przy takich operacyach. Ze swoją zimną krwią i trzeźwą głową jesteś pan stworzony na chirurga.

PUŁKOWNIK.

Istotnie; trzymałem nie jednę głowę mdlejącą, wspierałem nie jednę rękę, która nie miała odwagi przyłożyć noża do serca i zrobić operacyi.

HONORYNA.

Więc tę operacyę musi człowiek sam zrobić?

PUŁKOWNIK.

Koniecznie sam, musi własną ręką wyciąć z serca zaród złego — inaczéj choroba powróci gorsza i niebezpieczniejsza jak przedtém.

HONORYNA.

A jeżeli sam robi amputacyę?

PUŁKOWNIK.

To zawsze wyzdrowieje.

HONORYNA (na stronie).

On pamięta; trzeba się o tém lepiéj zapewnić. (dzwoni, służący wchodzi. H. głośno) Proszę sprzątnąć śniadanie. Panie pułkowniku niech pan zapali cygaro; bardzo proszę, może pan pamięta, że jestem przyzwyczajona do dymu tytuniowego jak pan do armatniego. Tu są zapałki.

PUŁKOWNIK.

Dziękuję.

HONORYNA.

Ale wie pan, że mnie to martwi co pan mówił o tych kuracyach. Jak to? każdy może się wyleczyć, każdy? Nie ma takiego, coby kochał tylko raz w życiu i pamiętał zawsze?

PUŁKOWNIK.

To panią martwi? rozumiem to szlachetne uczucie, ale przyzna pani, że dla ofiar tém lepiéj im prędzéj przestają cierpieć.

HONORYNA.

Dla ofiar może; dla pana X. G. albo Z. lepiéj, ale dla człowieka, dla honoru ludzkiéj natury byłoby lepiéj, żeby choć czasem trafiały się serca prawdziwie wielkie, uczucia prawdziwie głębokie.

PUŁKOWNIK.

Wszystkie kobiety tak mówią. Paniom się zdaje, że tylko to serce coś warte, które się wam da na śmierć zamęczyć. Tymczasem każde daje się z czasem uzdrowić i wygoić. Poeci mówią, że miłość żyje cierpieniem i tęsknotą, ale to nie prawda; ona żyje wzajemnością i szczęściem, a bez nich umiera. Obojętność zabija miłość, a czas sprawia jéj pogrzeb. Zaręczam pani, że Romeo nie byłby się otruł, gdyby zamiast znaleść aptekarza pod ręką, był musiał go szukać choćby tylko przez jednę godzinę, a Dydona gdyby była chciała czekać, byłaby się uspokoiła po pierwszéj dobrze przespanéj nocy. (na stronie) Jeżeli ona myślała, że ją jeszcze kocham, pamiętam, to spodziewam się, żem jéj to dobrze wyperswadował.

HONORYNA (na stronie)

Kto z takim zapałem mówi o zapomnieniu, ten pamięta (głośno) Ależ pan rezonuje ze znajomością przedmiotu, jak książka.

PUŁKOWNIK.

O — z wiekiem uczy się człowiek tylu rzeczy, jeżeli nie na sobie, to na innych.

HONORYNA.

Posądzam że pan musiałeś uczyć się na sobie, praktycznie. Na drugich trudno się tak dobrze nauczyć. Te kilka lat służby wojskowéj pana muszą mieć jakieś epizody romansowe, bo przedtém, wiadomo całemu światu, że Cupido na próżno do pana strzelał z najpiękniejszych czarnych i niebieskich

oczów, wszystkie pociski odbijały się od pana jak groch od ściany. Rozpowie mi pan kiedyś swój romans na jakim ładnym spacerze. Dobrze?

PUŁKOWNIK. (na stronie)

Niech ją — (głośno) Romanse mego życia mają charakter tak żołnierski, że trudno je pani rozpowiadać; a nawet gdyby i można, to nie miałbym na to czasu, bo rad nie rad muszę się wyrzec tych pięknych spacerów.

HONORYNA.

Jakto — pan chcesz wyjeżdżać, na prawdę?

PUŁKOWNIK.

Tak pani, dziś, bardzo wkrótce.

HONORYNA.

Ale to być nie może. Czyż urlop tak krótki?

PUŁKOWNIK.

Nie — ale mam interes, bardzo ważny.

HONORYNA.

Interes romansowy?

PUŁKOWNIK. (na stronie)

Interes własnego bezpieczeństwa. (głośno) Mniejsza o to jaki; zaręczam pani że nie ciekawy i nie zabawny. Dość że muszę jechać; ale zanim wyjadę, czy mogę pani przypomnieć, że mam u pani jeden dawny dług niezapłacony?

HONORYNA

Dług honorowy? Mów pan, zaraz zapłacę.

PUŁKOWNIK.

Pamięta pani, że przed laty byliśmy się założyli nie wiem już o co. Ja wygrałem dyskrecyę, i z prawdziwą dyskrecyą prosiłem pani tylko o fotografię.

HONORYNA

Prawda. Jak pan pamięta.

PUŁKOWNIK.

Było to nasze ostatnie widzenie; wieczór pod gankiem. Pani siedziała na schodach, a ja stałem oparty o słup i.... Nazajutrz rano wyjechałem, bez fotografii. Od tego czasu nie spotkałem pani aż dziś rano przy źródle.

HONORYNA.

Zaraz panu oddam zakład, (na stronie) o trzeba żeby został, musi zostać. (wychodzi)

SCENA IV.

PUŁKOWNIK.

Co się z niéj stało! Mój Boże! O nasze dwudziestoletnie uczucia, nasza dziecinna, naiwna wiara w kobiety! Kochasz, czcisz jak świętość, jak anioła, odepchnie cię bez miłosierdzia. Zobojętniejesz, zapomnisz, a gotowa rzucić ci się na szyję byle rozdmuchać w twojem biednem sercu tę iskrę, która nigdy na prawdę nie gaśnie.

Kokietka! kokietka ze mną! Dalibóg to smutno. Gdyby była tylko dobra i przyjacielska, byłaby została w mojéj pamięci taką samą jak była w niéj przez lat siedem, byłoby mi po niéj zostało uczucie jakieś smutne, tęskne, ale nie gorzkie, nie suche; a teraz....

To zatrzymywanie, ta nieustająca rozmowa o mojem sercu, ta historya Marysi, prawdziwa lub zmyślona, ale rozpowiedziana tak *à bout portant...* nie mogę przecież myśleć że to naiwność.

A jeżeli... jeżeli to naiwność, albo... jeżeli się w niéj odzywa to co przed laty widziałem czasem w jéj spojrzeniu surowém, w jéj obejściu ze mną tak z umysłu chłodném i sztywném... jeżeli tak... Jeżeli tak to co? To ty stary wróblu dopiero uciekaj, bo ci drugi raz mogą skrzydła podciąć, tak, że się już nigdy z sobą nie poznasz. Wyjadę — wezmę tę fotografię na pamiątkę dawnych czasów i dzisiejszego rozczarowania, i wyjadę. A, wraca.

SCENA V.

Pułkownik i Honoryna.

HONORYNA.

Dotrzymuję zakładu nie bardzo uczciwie. Pan wygrałeś fotografię młodéj dziewczyny, a ja panu daję niepochlebiony wizerunek staréj mężatki, a nawet wdowy. Musisz pan wybaczyć; innych nie posiadam. Niech pan to weźmie jako pamiątkę dawnych czasów i dawnéj przyjaźni.

PUŁKOWNIK

Doprawdy? Przyjaźni? Nie wiedziałem, zdawało mi się że jeżeli pani miała dla mnie wtedy jakie uczucie, to chyba tylko uczucie pewnéj antypatyi. Dziękuję.

HONORYNA.

Antypatyi? O nie, doprawdy że nie; przeciwnie. Z czegóż pan to wnosił?

PUŁKOWNIK.

Z tego że mi pani zawsze odpowiadała najkrótszemi słowami, że bez koniecznéj potrzeby nigdy pani do mnie pierwsza nie przemówiła, z tysiąca drobnych symptomów, które mi się zdawały wyraźne.

HONORYNA.

A które pan sobie fałszywie tłómaczył. Mnie się wtedy zdawało...

PUŁKOWNIK.

Co proszę pani?

HONORYNA.

Nic; zdawało mi się, że inaczéj robić byłoby nie dobrze.

PUŁKOWNIK. (na stronie)

Hm; coraz bliżéj i coraz wyraźniéj. Trzeba to przerwać. (głośno patrząc na fotografię) Doskonała, śliczna! i podpis... co za dobroć! Lepiéj późno jak nigdy! Ah! co za kłamliwe przysłowie!

HONORYNA. (na stronie)

Jakto? co on mówi? (głośno) Ale to bardzo niegrzeczne co pan powiedział; to znaczy, że byłbyś pan wolał téj fotografii nie dostać...

PUŁKOWNIK.

O nie. Gdzie chodzi o prezenta, a zwłaszcza takie jak ten, tam przysłowie ma racyę, ale w ogóle.

(Kładzie fotografię na stole).

HONORYNA.

W ogóle także. Spytaj pan ubogiego czy woli nie mieć majątku nigdy, czy mieć go późno? Spytaj pan artysty czy woli doczekać się sławy późno, czy wcale nie? Więźnia czy wolność choć spóźniona nie lepsza od niewoli? Spytaj się pan wszystkich ludzi razem i każdego z osobna, czy nie lepiéj znaleźć szczęście późno jak nie znaleźć go wcale?

PUŁKOWNIK. (na stronie)

To już wyraźnie czas odpowiedzieć stanowczo. (głośno) Zapewne ale są rodzaje szczęścia, które mają swoją właściwą

porę, a jak ta przejdzie, próżno je wołać, nie wrócą. Drzewo nie kwitnie dwa razy do roku, człowiek dwa razy nie kocha. Kiedy Aldona nie chciała pokazać się Konradowi z wieży, mówiła mu innemi słowami że „lepiéj nigdy jak późno“ — i miała racyę.

HONORYNA.

To było po dwudziestu latach, ona to mówiła czysto przez miłość własną.

PUŁKOWNIK.

A! więc jest pewien okres, pewien termin, przed którym nie jest za późno? Jakiż to proszę pani?

HONORYNA. (zmieszana)

Tego nie mówiłam, nie wiem.

PUŁKOWNIK.

Nie pani; nie ma w tych rzeczach terminu przedawnienia. Wszystko się kończy od razu. Mówiłem pani, że serca się dają leczyć. To nie prawda, serca tylko zamierają, zamierają przynajmniéj dla pewnych uczuć. Ale jak raz zamarły, próżno je galwanizować, bo odżyć nie potrafią.

HONORYNA.

Co za ton ponury? Możnaby myśleć doprawdy, że pan przeszedł przez jakąś historyę bardzo smutną.

PUŁKOWNIK.

Moja historya jest bardzo prosta i krótka. Kochałem nie byłem kochany, cierpiałem i cierpieć przestałem. W mojéj młodości spotkałem jednę pannę.

HONORYNA.

Jakto? pan się kochał w pannie? to godne złotego wieku.

PUŁKOWNIK.

Tak pani, kochałem się w pannie. Byłem nie bogaty, nie znany, bez pozycyi, słowem najgorsza w świecie partya. Cóż miałem robić? ofiarować jéj swoją osobę i serce? Nie śmiałem wystąpić z takim lichym podarunkiem...

HONORYNA. (na stronie)

Biedny chłopiec. (głośno) Ale ona mogła pana kochać, czy się pan o to pytał, czy się pan o to starał?

PUŁKOWNIK.

Ona mogłaby była mnie kochać, może nawet była tego blizką, ale nie chciała. Broniła się od tego wszelkiemi siłami, w końcu wyobraziła sobie że kocha innego.

HONORYNA.

Może go kochała na prawdę, przyzna pan że dwóch na raz kochać nie mogła.

PUŁKOWNIK.

Nie wątpię że w to wierzyła. Zresztą kochała czy nie, dla mnie było to wszystko jedno, dla mnie była straconą. Przekonawszy się o tém dostatecznie, za dumny żeby się skarżyć i kwilić, odjechałem z kwitkiem.

HONORYNA.

Czy pan istotnie nie byłeś za dumny?

PUŁKOWNIK.

Nie; mówiłem wprawdzie nie wiele, ale wyraźnie dałem do poznania co się we mnie działo, i moja okrutna wiedziała o tém doskonale.

HONORYNA.

A potém? cóż się potém stało?

PUŁKOWNIK.

Potém włóczyłem się po świecie, biłem się, i zapomniałem.

HONORYNA.

A ona?

PUŁKOWNIK.

Ona poszła za mąż.

HONORYNA.

I już się pan nigdy nie spotkał?

PUŁKOWNIK.

Owszem pani, spotkałem ją w kilka lat późniéj i to wolną. Jéj mąż umarł tymczasem. Ona była piękniejsza, pełniejsza wdzięku niż kiedykolwiek.

HONORYNA.

I cóż?

PUŁKOWNIK.

Nie. Ja byłem obojętny. Powiadają że dawna miłość nie rdzewieje. Gdzietam; to nie prawda. Czy pani uwierzysz, że ta pierwsza i jedyna kochanka mojéj młodości zadawała sobie

pracę, żeby téj miłości przywrócić dawny połysk i świeżość, i na próżno. Tak jest; próbowała odgrzebać iskrę w popiołach mego serca, ale iskry nie było.

HONORYNA. (na stronie)

O! co ja zrobiłam! zapomniał, i żartuje, mści się. (głośno) Wie pan że to na prawdę smutna historya; nie wiedziałam że pan przeszedł przez taką próbę. Ale któż przez podobne nie przechodził. Ja sama mogłabym panu rozpowiedzieć rzecz trochę odmienną, a jednak w tym samym rodzaju.

PUŁKOWNIK.

Pani! myślałem że pani jak szczęśliwe narody nie ma żadnéj historyi, że oprócz najszczęśliwszéj wzajemnéj miłości i niczém nie zachmurzonego małżeńskiego pożycia...

HONORYNA.

O — moja historya jest jeszcze krótsza od pańskiéj, i proszę wierzyć, że grałam w niéj co najwięcéj rolę bierną.

PUŁKOWNIK.

Nie wątpię...

HONORYNA.

Byłam wtedy młodą dziewczyną, bawiłam się doskonale, tańcowałam do upadłego. Pomiędzy ówczesną młodzieżą było dwóch, którym wpadłam w oko, a przez oko i głębiéj.

PUŁKOWNIK.

A!

HONORYNA.

Jednym był mój późniejszy mąż. Kochał mnie z całego serca i swoję miłość pokazywał mi jak tylko mógł, wszelkimi sposobami. Często źle przyjęty przez moją matkę, wracał przecież, narażał się na prawdziwe przykrości, prawie upokorzenia, byle mnie widzieć, byle ze mną mówić. Drugi.

PUŁKOWNIK.

Ciekawym jaki był drugi?

HONORYNA.

Drugi mnie kochał także, może nawet więcéj, ale siebie przecież jeszcze więcéj jak mnie. Nie pewny czy za niego pójdę, lub nie, nie starał się o mnie wcale; wolał wyrzec się tego, co nazywał swojem szczęściem, jak narazić się na odmowę.

PUŁKOWNIK.

Taki był dumny?

HONORYNA.

Miał więcéj miłości własnéj jak miłości... Kochał mnie swoim sposobem, ale chciał żebym mu się pierwsza rzuciła na szyję. Tego oczywiście doczekać się nie mógł, a tymczasem tamten ujął mnie swoim przywiązaniem i zapomnieniem o sobie.

PUŁKOWNIK.

A ten hardy? cóż zrobił?

HONORYNA.

Odjechał, zapewne wielce obrażony żem się na nim poznać nie umiała.

PUŁKOWNIK.

I już go pani potém nigdy nie spotkała?

HONORYNA.

Owszem spotkałam go w kilka lat późniéj; byłam już wdową. Przyznaję żem się do niego bardzo przywiązała. Przez siedem lat myślałam o nim z żalem, prawie z wyrzutem.

PUŁKOWNIK.

Siedem lat?

HONORYNA.

Tak panie; siedem. Mogę powiedzieć, że nawet kiedy byłam najszczęśliwszą, myśl że on cierpi przezemnie, była mi bardzo przykrą. Lubiłam go bardzo, miałam go za zacne serce, za naturę szlachetną i sympatyczną. Zobaczywszy go po tylu latach, chciałam mu to pokazać, chciałam być dla niego przyjacielską, serdeczną... i tym sposobem wynadgrodzić mu po części to złe, które nie ja mu wyrządziłam.

PUŁKOWNIK.

A on?

HONORYNA.

On, muszę wyznać z żalem, nie zrozumiał tego wcale. Jak za młodu stracił mnie przez wygórowaną miłość własną, przez to, że czekał, aż mu się sama oświadczę, tak przy tém drugiém spotkaniu wziął moją serdeczność za kokieteryę a moją sympatyę za natrętną, obcesową miłość. Nie potrzebuję panu mówić tę sympatyę stracił zupełnie.

PUŁKOWNIK.

Naturalnie. Nie mogło być inaczéj. Wychodzę od pani bogatszy o jednę historyą, z któréj Feuillet zrobiłby ładne studium serca ludzkiego w formie dramaciku lub powieści. Żegnam panią; niech pani wierzy, że tego spotkania nie zapomnę.

HONORYNA.

Nie śmiem pana zatrzymywać kiedy pan ma taką potrzebę jechania. O pana Feliksa niech pan będzie spokojny; doktór ma wcale dobre o nim nadzieje, a my go tu będziemy bronić, pielęgnować, rozrywać — do widzenia kochany pułkowniku.

PUŁKOWNIK.

Żegnam panią. (wychodzi.)

SCENA VI.

HONORYNA.

Otóż to mężczyzni! Nie kochaj go, będzie płakał jak bóbr, będzie wzdychał dopóki mu piersi stanie, będzie się starał siedem lat jak Jakób o Rachelę. Pokaż mu trochę sympatyi, trochę serca, już myśli że mu się narzucasz, już gardzi, jużeś niegodna jego wielkości, jużeś kokietka..... Kokietka? ja? Mój Boże! i dla czego? Czy dla tego żem nad nim tyle razy płakała? Że przed siedmiu laty kiedym już o nim myśleć nie mogła, a jego oczy takie smutne nieraz i przez sen widziałam, tom odmawiała wszystkie moje pacierze, żeby go Pan Bóg pocieszył, żeby mu dał jaką inną żonę, lepszą, ładniejszą. Czy dla tego że teraz kiedy mi się pokazał w tym jakimś odblasku swoich bitew i niebezpieczeństw, to mi się dawny czas tak jakoś żywo przypomniał. Czy on myśli że ja go kocham? O! spodziewam się żem mu to z głowy wybiła. Tyle dobrego, przynajmniéj że ostatnie słowo zostało przy mnie. Nie będzie mógł ani mówić, ani nawet myśleć, że mnie słusznie posądzał o sentyment dla jego szanownéj osoby. Byłam nieuważna, byłam zanadto dobra, ale przynajmniéj w ostatniéj chwili pomściłam się tak, że żaden pułkownik lepiéj nie potrafi; odbyłam pojedynek i wyszłam z niego z honorem, zwycięzko. A nie ma o czém myśleć; trzeba się wziąść do roboty; nic tak nie pomaga na nieprzyjemne wrażenia (siada przy oknie z robotą). Ranek był

taki piękny, a teraz jakoś pochmurno, wietrzno, zimno. Gdybym miała usposobienie do filozofii, mogłabym zrobić tę nową uwagę, że to obraz życia. Godzina radości, nadziei, marzenia, a za to miesiące niesmaków i przykrości. Tak i dziś było. Jaka ja mu byłam rada! jak mi z nim było dobrze, swobodnie, wesoło..... może téż on mógł mnie słusznie posądzić.... tako mało na siebie uważałam, byłam tak bez przymusu, tak po prostu jak z bratem, jak z ..... *Oui, j' ai été horriblement coquette;* ale nie chciałam, do prawdy że nie chciałam....... (patrzy w okno) — co tam za powóz przed hotelem? pocztowe konie, pakują jakieś rzeczy...... a! to on, Kaźmierz rozmawia z pocztylionem; więc jedzie, jedzie na prawdę.... (odsuwa się od okna) — dzięki Bogu! nasz stosunek byłby nieznośny — lepiéj że pojedzie, że go nie będę widziała, daleko lepiéj... (płacze).

SCENA VII.

Honoryna — Pułkownik.

PUŁKOWNIK (wchodząc na stronie).

Płacze? Ach dzięki Bogu! jeszcze nie wszystko stracone. (głośno) Przepraszam panią.....

HONORYNA.

Co to pan! Przepraszam pana zasnęłam jak pan odszedł, mój ranny spacer mnie zmęczył.

PUŁKOWNIK.

Ja przepraszam żem panią przebudził, ale niech pani daruje odjeżdżającemu że nie chciał się wybrać w podróż bez swoich rzeczy, a tu zostawiłem jedną własność o którą bardzo stoję.

HONORYNA.

Tu? cóż pan tu zostawił?

PUŁKOWNIK.

Tę fotografię którą mi pani dała przed godziną; oto jeszcze leży na stole. Kto wié ile lat upłynie zanim panią znowu zobaczę; chciałbym ją wziąść na pamiątkę dawnych czasów i tego dnia, który się tak dobrze zaczął, a — (chce wziąść fotografię).

HONORYNA.

Nie — niech pan zaczeka przyniosę panu inną.

PUŁKOWNIK.

Dla czego inną?

HONORYNA.

Przekonałeś mnie pan, ten napis nie ma sensu; dam panu inną.

PUŁKOWNIK.

A jeżelibym ja prosił koniecznie o tę, nie o inną; jeżeli o nią proszę właśnie dla napisu; jeżeli ten napis będzie dla mnie pamiątką gorzką, ale jeszcze najlepszą jaką mam w życiu?

HONORYNA.

Jeżeli się panu tak podoba, niech ją pan weźmie; skoro już raz była panu daną.— Ale zdaje mi się, że tam postylion na pana trąbi. Nie chcę pana zatrzymywać. Do widzenia.....

(odchodzi ku bocznym drzwiom).

PUŁKOWNIK.

Nawet mi pani ręki nie poda na pożegnanie?

HONORYNA.

Czemu nie. I owszem. Szczęśliwéj drogi, do widzenia.

PUŁKOWNIK.

Nie pani! Tak nie mogę; nie odejdę ztąd dopóki mi pani nie powie, że mi pani przebacza. O więcéj nie proszę, o nic więcéj, ale bez tego, doprawdy nie mogę się obejść. Ja wiem, wtedy, dawniéj byłem dumny, dziś byłem niesprawiedliwy, zły, byłem ohydny. Ale gdyby pani wiedziała, co się dzieje w sercu które przez siedem lat kocha, cierpi, schnie; ile tam żółci, ile tam krwi zepsutéj, toby pani zapomniała o mojéj złości, a widziałaby pani tylko to, że panią kocham, kocham tak, że aż mi głowa pęka.

HONORYNA.

Mój pułkowniku, jeżeli chodzi o zapomnienie, o przebaczenie, to całém sercem; nie mam do pana żadnéj urazy i zostanę panu zawsze prawdziwą przyjaciołką. Ale jeżeli pan masz na myśli....

PUŁKOWNIK.

Mam!

HONORYNA.

To nie.

PUŁKOWNIK.

Nie? Dla czego?

HONORYNA.

Przekonałeś mnie pan, lepiéj nigdy jak późno.

PUŁKOWNIK.

Honoryno, przez litość, nie karz mnie za jedno słowo goryczy. Mówiłaś sama, że nigdy za późno na szczęście. Tak jest; i gdybym miał umrzeć za godzinę, jeszczebym teraz klęczał przed tobą, bo i wtedy, w téj jednéj ostatniéj godzinie życia, jeszcze i wtedy lepiéj jak nigdy.

HONORYNA.

Doprawdy? Odprawże pan tego postyliona; pójdziemy potém razem do Marysinéj skały, a tam panu powiem, że i pan znalazłeś ów napój.

PUŁKOWNIK.

Dopiéro tam? Tak późno?

HONORYNA.

Lepiéj późno jak nigdy.

Alfred Werner.

Do młodych poetek polskich. *)

Dum spiro, spero.

Wielka, królewska PIEŚŃ nasza, dziś wdowia.
W ciennik lutnista schodzi po lutniście —
W katakumb ciennik — i wnętrzem pustkowia
Głos w głosie ku nam wieszczą uroczyście.

Na mogilniku swojskim — w gruzach, łomach,
Starce głowami jeno chwieją smutnie....
A w opróżnionych srodze sielskich domach,
Patrzcie! dziewice polskie stroją lutnie.

Córy i siostry tych co w mogilniku
Grzebały wczoraj i ojców i braci;
Córy i siostry onych tam bez liku,
Co mrą w Sybirze i na emigracyi.

Chór wajdelotek, długowłosych płaczek,
Chór rozśpiewany dziwnie, rozmodlony —
Któremu wtórzy dziecię i prostaczek,
Niżąc te słodkie na różaniec tony.

Siostry! słuchaczów macie tam nie wielu:
Młodziuchna bracia podnosi krzyż nowy;
W moskiewskiéj knidze, w moskiewskim szynielu,
Musi rodzinnéj oduczać się mowy.

*) Autorowi tego wiersza zdarzyło się niedawno czytać w rękopisie dużo patryotycznych pieśni młodych Polek, z różnych stron kraju. Ku zachęcie i ku dobréj nawzajem otusze, niech przyjmą niniejsze upomnienie od starego spółpiewcy. *B. Z.*

Środkiem przepaści strasznéj młodzież krąży;
Cios prawosławia groźniejszy niż miecza;
Car, Antychrysta zastępów chorąży,
Wynaradawia ją i odczłowiecza.

Pełne katorżnych ostrogi, kopalnie,
Poślednich czasów katownia się iści;
Krew i łzy Moskal pije tryumfalnie....
Cieszcież się z całém piekłem Panslawiści!

Siostry lutnistki! Wieszczowie boleśni,
Przeczuli ongi ten zgiełk różnowzory,....
Już woń modlitwy po nich wieje z PIEŚNI —
Lecz jeszcze brak jéj skruchy i pokory.

Nie podrzeźniajcież „Odzie do Młodości"
Ni górnym dźwiękom co marnie przebrzmiały!....
Słuchacze wasi maluczcy i prości,
To dość im na dziś kantyczkowéj chwały.

W kościołach polskich milczą kaznodzieje;
Klaszcze radośnie kusiciel — wąż stary,
Że od ołtarzy Pańskich czadem zieje.....
Toż w domach uczcie Polskości i wiary!

Wiara i Polskość toć samo i jedno:
Stójcie na straży obojego Znicza!
W modlitwie polskiéj łask bożych bezedno —
A cudotworna modłitwa dziewicza.

Po nad Koroną, Ukrainą, Litwą,
Opustoszenie — bezludzie — bezchlebie —
Módlcież się pieśnią, śpiewajcie modlitwą,
Na wzór rodaków świętych którzy w niebie.

Ta, co się w duchu najwyżéj nastroi,
Nasyci mlekiem wiary choćby pięciu —
Ujrzy najpierwéj archanioła w zbroi
Kiedy łeb zetrze w miazgę Piekieł-księciu.

Paryż d. 25 stycznia 1867 r.

Bohdan Zaleski.

List z Meksyku
LEGIONISTY AUSTRYACKIEGO.

(Ciąg dalszy. *)
(Patrz *Przegląd Polski* Zeszyt styczniowy.)

Zacapoxtla 14 października 1866.

Nic nowego nie zaszło. Wiadomości o cesarzu potwierdzają się. Dzisiaj umarł jeden z naszych ludzi. Pogrzebaliśmy go przed kościołem. Ksiądz nie chciał go poświęcić, gdyż umarł nie spowiadawszy się. Kazaliśmy dół wykopać i biednego nieboszczyka weń wrzucili. Smutny pogrzeb ale nie pierwszy, który w ten sposób urządzić musiałem.

15go paździer. 1866. W nocy o 3ciéj z rana padło kilka strzałów, rozruch po ulicach, nawet słyszeliśmy turkot armatni. Hałas ten obudził nas około piątéj, weszło kilku oficerów, jakby na przegląd, który zdaje się wypadł pomyślnie, bo odeszli nic nie mówiąc. Rano chcieliśmy się dowiedzieć co ten hałas w nocy znaczył, jeden z oficerów służbowych jenerała przyszedł i rozkazał nam wrócić do dawnego więzienia. Nie było co gadać, każdy wziął

---

*) Podajemy ciąg dalszy dziennika p. Ludwika Łempickiego przesłany z Meksyku. Nic zapewne nie może w prawdziwszém świetle przedstawiać koleje, jakie przechodzi ochotnik w służbie nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana, jak dziennik spisywany codziennie przez oficera legionu; echo prowadzonéj wojny i charakter mieszkańców odbija się w mnóstwie drobnych na pozór szczegółów. Dla tego téż aby zachować nietkniętą barwę miejscową, którą tak wybitnie noszą listy pana Łempickiego, nie pozwalamy sobie zmieniać usterków nieuchronnych w piśmie przerywaném służbą, więzieniem, marszami i oblężeniem. — (Przyp. Red.)

z sobą płaszcz albo kołdrę, co miał niektóre drobiazgi i marsz do więzienia. Zaledwieśmy weszli, gdy nam powiedzieli, że cała kompania czerwonych (tak ich nazywają z powodu czerwonych mundurów) z pięćdziesięciu ludzi złożona uciekła, i myślą że my do tego spisku należeli, dla tego wpakowali nas do kozy. Proszę sobie wystawić nasze położenie. Nie dosyć żeśmy wojennymi jeńcami, życie na włosku wisi, ale jeszcze podejrzywają nas o udział w ucieczce i przejście do Imperyalistów.

Cała ta historya może być bardzo nieprzyjemna, sądzą bowiem, że dostawszy pieniędzy z Los-Slanos, przekupiliśmy tę kompanię. Gdy nas do więzienia wprowadzili, spostrzegłem siedzącego na uboczu jenerała z całym jego Guatakomackim sztabem (Indianie koło Zakapoxtli nazywają się Guatakomakami), spojrzał się na nas lisim swoim wzrokiem i na ukłon nie odpowiedział. Złe wrażenie to na nas zrobiło, bo wczoraj byłem u niego wieczorem z Delinschem i prosiliśmy go o pieniądze, których nam wprawdzie nie dał, mówiąc, że sam ich nie ma, wszelako był bardzo grzeczny. Wpakowali nas znowu do tego samego pokoju, raczéj dziury, w któréj już poprzednio kilka dni spędziliśmy. Ośm dni używaliśmy trochę wolności, teraz znowu nadzwyczajnie się surowo z nami obchodzą, a Bóg widzi, że do niczego nie chcieliśmy i nie chcemy się mięszać, bo się zawsze spodziewamy wymiany. Nikomu do nas wchodzić nie wolno, ani téż pod żadnym pozorem nie wypuszczają. Przy dwóch drzwiach pięć wart stoi. W więzieniu, w którém żołnierze nasi wody do prania bielizny nie mają, przeróżne zwierzątka zagnieżdżają się. Mięso dostajemy na ośm dni naraz, naturalnie że czwartego dnia zupełnie popsute, masa w niém robaków z powodu gorąca się znajduje; jedynym naszym posiłkiem jest chleb.

16go paździer. 1866. Kompania która uciekła, została w górach złapaną, oficera i dwóch podoficerów na miejscu rozstrzelano, a żołnierzy do naszego więzienia przyprowadzono.

Wciąż nas mają w podejrzeniu; wszyscy więźniowie zamknięci są w sali, z rana drzwi otwierają, żołnierzy wypuszczają, a potém drzwi są zamknięte i żadnemu z czerwonych wyjść niewolno. Żadnych naczyń nie dają. Biedni nasi żołnierze wracać muszą do sali w któréj okropne jest powietrze, bo okien nie ma, zaduch i nieporządek nie do wyobrażenia, a nie mo-

żna widzieć na jakie miejsce człowiek się kładzie. Nikomu nie życzę być więźniem meksykańskim; jednak spotkać się z Meksykaninem, to o niczém inném nie mówi jak o wolności i cywilizacyi. Ta ich meksykańska wolność zależy na wolności kradzieży, rabunku i gwałtach.

17go października. Wielką miałem radość. Doszedł mnie bowiem mały liścik od doktora Neüssera, którego w Los-Slanos poznałem, on to mi z Krakowa przywiózł bieliznę, a która dotąd w kancelaryi korpusowéj się znajduje. Pyta się, jak nam się powodzi i w jaki sposób pieniądze przysłać nam może. Odpisałem mu z podziękowaniem za pamięć i kazałem mu do jenerała Mendez nasze listy adresować.

18go paźdz. Chłód i głód prawdziwy nam dokucza, ale jak tu poradzić? Podpułkownik przyszedł do nas i przyniósł parę książek do czytania, same głupie historyjki, innych dzieł nie mają. Powiedział nam, że za parę dni będziemy wymienieni, gdyż posłali jednego oficera do Puebli z zapytaniem o punkta wymiany. Nadzwyczajnie nas to cieszy, ale jednak niezupełnie wierzymy. Wznowiliśmy znowu nasze prośby o pieniądze, jenerał nam odpowiedział, że sam się znajduje w bardzo złym finansowym stanie. Ja mam dostać moją gażę w Puebli za miesiąc zeszły, jenerał a conto tego nie chce mi pożyczyć, obawia się abyśmy żołnierzy jego na naszą stronę nie przekupowali, dla tego musimy głód znosić, bo chlebem samym najeść się rzeczywiście nie można, ile że i tego bardzo mało dają.

19go października. Posłaliśmy wachmistrza do Jenerała, aby nam po placu chodzić dozwolił i aby inne mięso nam dali, Jenerał grzecznie go przyjął, wszystko obiecał i zaprosił go do siebie na obiad. Czekaliśmy niecierpliwie jego powrotu, nareszcie wrócił z bardzo wesołą miną, doniósł nam że zaraz wyjść będziemy mogli, że inne mięso dostaniemy, ale że poczekać musimy na adjutanta Jenerała. Czekaliśmy od drugiéj aż do wieczora z wielką niecierpliwością, aż nareszcie ciemno się zrobiło i skończyło na niczém.

20go października. Boże drogi! co za noc! Oka nie zmrużyłem, spać nie można, pcheł i innych zwierzątek masa, nas siedmiu w tak małéj przestrzeni. Każden naturalnie przyzwyczajony do ruchu, teraz zaś przeszło dni dwadzieścia zamknięci

jesteśmy, świeżego powietrza nam brakuje, co za przeróżne myśli przechodzą podczas tak bezsennéj nocy, ale wyznać muszę, że spokojniéj mi jest jak wówczas kiedy byłem więziony we Lwowie, gdzie się rzucałem ze złości. Mięso nasze, to jest oficerów, ciągle zepsute, więc dziś nic w ustach nie miałem oprócz chleba, a w téj chwili, gdy to piszę, potężny apetyt mnie bierze. Połowę chleba wczoraj spożyłem, a na nieszczęście pies w nocy się zakradł i resztę chleba pożarł.

Mój kolega Delintsch napisał do jednego kupca kartkę z prośbą aby mu co pieniędzy pożyczył, gdyż będąc przed kilkoma miesiącami plackomendantem w Zacapoaxtli, znał wszystkich tutejszych mieszkańców, kupiec przysłał mu dwa reale, co tutaj tyle znaczy jak u nas 10 centów. Meksykanin, gdy się go widzi, jest grzeczny, umie się łasić jak czego potrzebuje, ale od niego niczego nie żądaj, bo nie zrobi. Kazał powiedzieć, że nie ma pieniędzy, a jest jednym z najbogatszych tutejszych kupców. Prosiłem oficera od warty aby mi pozwolił pójść do Jenerała, spodziewając się że obietnicy dotrzyma. Jenerała nie zastałem, pojechał do Testilla-del-Oro i wydał rozkaz, aby żadnego z nas nie wypuszczać; tak są oni za każdym krokiem fałszywi.

Prefekt powiedział mi: „Panowie nie wyjdą z więzienia póki wymiana nie nastąpi, a ponieważ w przeciągu czterech dni wszystko się urządzi, a zatém musicie panowie jeszcze parę dni czekać.“ Z gniewem mowy téj wysłuchałem, ale cóż robić, trzeba cicho siedzieć! Do tego dodać należy, że zauważałem na twarzach oficerów pewien przymus i grzeczność ale z daleka, tak że nie wiem co prognostykować. Wyrobiłem tyle tylko, że nasi żołnierze po 20tu do kąpieli idą, gdyż przeszło dziesięć dni zupełnie się nie myli, nie mając wody w więzieniu.

Przekonany jestem, że z Puebli i z Perote do nas pisali i zapewne pieniądze nam także posłali, ale z pewnością listy i pieniądze zatrzymali, nie dbając że nas w biedzie i głodzie widzą. Mięso dopiéro jutro dostaniemy, a chleb dopiéro jutro o szóstéj rozdają, a zatém mam siedm godzin nudnych i głodnych do czekania. Delintsch napisał do prefekta, aby nam pieniędzy pożyczył. Odpowiedział że jutro da odpowiedź.

21go października. Czekamy na odpowiedź która nie przychodzi i zapewne nie przyjdzie. Dzień bardzo spokojnie i nudno schodzi, wieczór zaproponowałem grę w kotka i myszkę, która ogólnie przyjętą była i wprawdzie niedelikatnie grana, ale pomiędzy żołnierzami nie można się nic lepszego spodziewać. Odpowiedź od prefekta nie przyszła, a zatém trzeba głód cierpieć. O szóstéj wieczór przynoszą chleb, po rozdaniu chleba nadzwyczajna cisza na podwórku, która kwadrans trwa. W przeciągu tego czasu cały bochenek chleba jest zjedzonym. Przed jego rozdaniem wszyscy żołnierze z bardzo złą miną spacerują, a po zjedzeniu już same wesołe widać twarze. Teraz piszę wciąż o jedzeniu, i jeżeli kto kiedy czytać będzie ten dziennik, powié: „co za żarłok". Ale darmo, gdzie głód żołądek ściska, o czém inném myśleć nie można. Tu imaginacya nie pomoże. Niektóre osoby utrzymywały, przypominam sobie, iż nie mogąc otrzymać czego żądają, zastępują swoją imaginacyą, tym sposobem znajdują pociechę. Ale niech im przez dziesięć dni tylko przy zupełném zdrowiu prawie nic do jedzenia nie dadzą, postrzegą czy wyobraźnia pomoże.

22go października. Nic nowego nie zaszło.

23 paźdz. Oficer od warty oświadczył nam, iż ma najpewniejszą wiadomość, że jutro albo pojutrze będziemy wymienieni. Radość do szału nas doprowadzała, wieczór nadzwyczajnie wesoło spędziliśmy. Gdyby kto z naszych znajomych wszedł do więzienia, cofnąłby się na sam widok brudu i złego powietrza, a nie pojmowałby zapewne co się nam stało, że tak się śmiejemy i różne rzeczy dokazujemy.

24go października. Nie wiem czy ten dziennik będzie mógł po niejakim czasie być odczytanym, gdyż nie mając papieru ni pióra, piszę ołówkiem na każdym świstku papieru, który mi w ręce wpadnie. Wprawdzie wierzyć nie trzeba co się tutaj słyszy, ale któż zatrzymać może ten strumień nowin, co aż do naszego więzienia się wkrada. Zawsze dobrym wiadomościom prędzéj się wiarę daje. Dzisiaj cała nasza radość znikła. Powiedzieli nam bowiem, że komisarz tutejszy względem nas do Puebli posłany dostał się w ręce pułkownika Dupin, przebywającego w tych stronach w 300 ludzi. Pułkownik Dupin znanym jest, że nikomu nie daruje i bardzo często niewinnych wiesza, mówią przeto że komisarza powiesił. Chociaż tym

wiadomościom nie bardzo lubię wierzyć, jednakowoż przyznać trzeba, że takie wiadomości w naszém położeniu mocne wrażenie wywierają.

O wymianie więc nic pewnego, chociaż kilka osób cywilnych powiedziało mi, że widzieli korespondencyę, która z Puebli przyszła i w któréj nasza zamiana zupełnie jest urządzoną.

25go października. Okropne noce spędzamy, już przeszło pięć dni jak oka nie zamknąłem! Ledwo świécę zgaszę albo sama zgaśnie (gdyż małą świeczkę łojową dostajemy), aż tu wszystkie podziemne zwierzątka wyłażą i po nas spacerują. Jedne gryzą, drugie łażą, trzecie galopują, a ja jak waryat na łóżku się przewracam. Co do mojego łóżka muszę opowiedzieć z czego się składa. Czaprak barani naturalnie bardzo krótki na którym leżę, mantelzak także ze skóry baraniéj pod głowę i kołdra którą mam z Krakowa i nią się przykrywam. Ta kołdra była już w rękach żołnierzy Rodrigueza i myślałem że się już z nią nie zobaczę. Oficerowie zawsze się ze mnie wyśmiewali kiedy ją na siebie brałem, i moja kołdra od wszystkich znana dostała nazwisko *die wandernde Bettdecke*. Kiedy nas do Carmen eskortowali po dezarmowaniu, spostrzegłem tę kołdrę na jednym z kawalerzystów Rodrigueza, który nie wiedząc co się stało że ja tak krzyczę, natychmiast do mnie galopem przyjechał. Ja mu powiedziałem: „panie pułkowniku, spodziewam się że mnie nie będziecie rabowali“. On się na mnie spojrzał gniewnie, ale gdy mu pokazałem kołdrę moją, kazał sobie ją przynieść i sam mi ją do rąk oddał. Łóżko moje w tém więzieniu jest podłoga kamienna, która w nocy lodową się staje. W pierwszych chwilach było mi zimno i twardo, ale człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może. Dotąd na kamieniach nigdy nie leżałem, bo w czasie marszu w stajni lub pod gołém niebem się spało. Tam co innego, ale tutaj będąc w mieścinie, gdzie wszystkiego dostać można, ta niewygoda nadzwyczaj czuć mi się dała. Onegdaj prosiłem oficera aby mi dał dwie armatnie kule; przyniósł dwa granaty sześciofuntowe, któremi robię dla ruchu gimnastyczne ćwiczenia. Za moim przykładem poszli i inni, tém, brak przechadzki zastępujemy.

Przeczytawszy wszystkie książki, jakie tu dostać można było, nie wiedziałem czém się zatrudnić. W tém dowiaduję się od jednego z tutejszych oficerów, że w pewnym domu są dwa kufry książek po naszych oficerach, którzy ztąd podczas rewolucyi miejscowéj uchodzić musieli i wszystkie rzeczy swoje pozostawiali, udałem się przeto do komendanta z prośbą aby mi pozwolił te kufry odszukać; w rzeczy saméj pomiędzy masą dzieł wojskowych znalazłem następujące: *Oeuvres de Molière; Etudes Françaises de la litérature militaire par Bauvais; les Confessions et la Nouvelle Heloise de J. J, Rousseau.* Wieczorem nasi żołnierze zabawiają nas śpiewami swojemi.

26go października. Ponieważ mięso zupełnie do użycia niezdatne, na zupie saméj ograniczyć się przyszło. Kilku z nas po niéj złych doznało skutków. Okoliczność ta przypomniała nam pobyt na okręcie, gdzie podobne sceny wielką odgrywały rolę. Mój wachmistrz Wischinka sprzedał pierścionek, a dostawszy pozwolenie wyjścia na miasto, powrócił pijany. Nie wdawałem się z nim w rozmowę, lecz widząc, że zaczął do mnie w sposób tak niesubordynacyjny przemawiać, zniecierpliwiony skarcić go musiałem, a lubo byłem z nim pierwéj na dobrym stopniu, musiałem mu zakazać per ty do mnie mówić, co jak wiadomo koleżeństwo oznacza.

27go października. Historya ta z wachmistrzem była dobrą nauką, aby grzecznie ze wszystkimi podwładnymi się obchodzić, ale zawsze bacząc na stopień, surowo ich traktować. Zuchwalstwo u niektórych ludzi zwykle uczucie honoru zastępuje. Kapitan Fünfkirchen, komendant szwadronu, chciał tego wachmistrza podać na oficera, byłby się bardzo na nim zawiódł. Położenie oficera będącego w więzieniu ludzi na wpółcywilizowanych ma tę jeszcze nader przykrą stronę, że żołnierze czekają na okazyą aby się od subordynacyi uwolnić.

W takiém położeniu najwięcéj się rachuje na podoficerów, jeżeli więc ci przeciw oficerom się oświadczą, nie ma żadnego sposobu utrzymania karności; takich podoficerów nie powinno się do awansu podawać. Na nieszczęście żołnierze nasi mają wiadomości przez osoby cywilne z miasta, domyślają się, że nie będą wymienieni za innych, a jeżeli wymiana oficerów nastąpi, sądzą że niedługo pod rozkazami naszemi zostaną. Być może, że się nie mylą, my sami często

o tém rozmawiamy, co wtenczas stać się może. Wachmistrz, człowiek bez żadnego wychowania, wystąpił z niesubordynacyą pierwszy; służąc z nim w jednym szwadronie przeszło dwa lata, nie sądziłem, żeby kiedy do takiéj historyi z nim przyszło. On sam będąc moim przełożonym przed moim awansem, zawsze sobie dobrze ze mną postępował. Ale dziś właśnie już jest miesiąc jak jesteśmy w więzieniu, a któż wié jak długo w niém zostawać będziemy.

Byłem znowu u prefekta aby mu pokazać nasze mięso, namyślił się przecie i przysłał świeżego, tudzież nieco mydła aby uprać bieliznę. Obiecał także że nam dwom oficerom i kilku podoficerom od dzisiejszego dnia po 3 reale wypłacać będzie i z tych pieniędzy utrzymać się musimy. Trzy reale nie wielka suma, zawsze to jest lepiéj jak ta podła strawa. Zaproponowałem mu sam tę summę dając za przykład oficerów meksykańskich, którzy w Puebli od kilku miesięcy są zamknięci, a którym rząd nasz taką samą płacę daje. Żołnierze moi mieli psa w więzieniu, który z głodu jak pisałem do chleba naszego się zakradł, tego psa dzisiaj żołnierze nasi zabili i ugotowali. Spróbowałem téj zupy, która wcale tak zła nie jest jakby sądzić należało. Do czegóż to głód nie doprowadzi! Przekonany jestem, że jedliby szczury, gdyby tylko do nas zawitać chciały.

28 października. Dziś wstałem późniéj, dostałem bowiem dykcyonarz francusko-hiszpański, którego kartki w druku pomylone były, chciałem go więc uporządkować, ale trudno do ładu dojść było, gdyż wiele stronnic brakuje. Wyszedłem na miasto do administratora dochodów, aby nam na dzisiaj żołd wypłacił przez pretekta wczoraj obiecany. Nic mi nie dał i rzekł, że z prefektem jutro względem nas się rozmówi. Wracając od niego do więzienia spotkałem pułkownika mającego sklep w tém mieście i prowadzącego handel różnemi rzeczami; tu nic dziwnego, gdy jenerał cygara, wódki, nici i bułki sprzedaje. Wielu bardzo co do wojska należą, wszystkiém tu jak żydy handlują. Od niego się dowiedziałem pocieszającéj nowiny, że komisarz wrócił w nocy z Puebli i przywiózł z sobą zamianę naszą zupełnie urządzoną. Mamy być zamienieni koło naszéj fortecy Perote. Nie bardzo jednak temu wierzę, lubo kilka spotkałem osób, które tę nowinę potwierdziły.

29go października. Wczoraj oficer od warty wielu z naszych żołnierzy wypuścił, a nam wyjść nie pozwolił. Ludzie nasi popili się i wielkie skandale w mieście wyprawiali. Podoficerowie, którym pozwoliliśmy mieszkać z nami, pijani także powrócili i w obecności naszéj bić się zaczęli. Oficer od warty chciał aresztować jednego, uprosiłem go, aby tego nie czynił, na co zezwolił. Pomiędzy tymi podoficerami jest pewien stary artylerzysta nazwiskiem Bracher, któregoby każdy miał za tęgiego wojskowego, a to tchórz jakiego dawno nie widziałem; nasza dobroć to jest moja i Delintscha naraziła nas na nieprzyjemności niepodobne, gdybyśmy byli przy korpusie. Nas samych lepiéjby daleko traktowano, gdybyśmy osobno mieszkali i tych grubijanów do naszego towarzystwa nie przypuczczali. Ów stary podoficer Bracher opowiada sny swoje z rana i z nich wnioski czyni co się dziać będzie. Dziś miał sen niedorzeczny i z niego prorokował niepomyślne dla nas rzeczy.

W południe przyszedł oficer i oznajmił nam, że zamiana zupełnie zerwana i że o tém już więcéj myśleć nie powinniśmy. Bracher na to zaraz wykrzyknął: oto widzicie panowie, że mi się wyśniło. Ja się z niego wyśmiałem, ztąd przeciwko mnie był oburzony.

30go października. O zamianie znów nic nie słychać, wszystko ucichło. Osoby cywilne są przekonane, że nas do Terra Caliente poszlą, gdzie zupełną dadzą nam wolność, pod warunkiem niewracania do swoich, co jest niepodobném. Terra Caliente jest u nich to samo co u nas Yucatan, tam my posyłamy rozbójników i złodziei. Obie te prowincye leżą nad morzem nisko bardzo, klimat nadzwyczaj niezdrowy, febra żółta corocznie w gorącéj porze panuje. Tyle razy myślałem o tém patrząc na dezerterów naszych wracających w opłakanym stanie zdrowia z Terra Caliente. Wzdrygam się na samą myśl dostania się tamże; bo cóż zresztą pocznę, rzemiosła żadnego nie umiem, a tam się tylko pracą fizyczną utrzymać można.

Pieniędzy już przeszło trzy tygodnie nie mam, położenie zaprawdę arcytrudne; spodziewam się jednak, że gwiazda która mi dotąd przyświecała i tu nie zgaśnie, chociaż przyznać muszę, że bardzo się zaćmiła. Nie mając już parę dni nic do palenia, posłałem jednego z naszych żołnierzy do tego samego

kupca Gonzales, o którym już wprzódy wspomniałem. Oficer od warty nie chciał żołnierza wypuścić na miasto, gdyż za te breweryę jakie w niedzielę robili, zakazano udzielać pozwolenia do wyjścia. Musiałem sam iść do oficera, aby go wypuścić zezwolił. Napisałem do kupca małą kartkę z prośbą, aby mi przysłał paczkę papierosów, za którą mu zapłacę późniéj, bo teraz pieniędzy nie mam. Przysłał mi przecie papierosów i jednego reala, odpisując że sam się znajduje w bardzo złym finansowym stanie. Odesłałem mu natychmiast reala z małym bilecikiem, którym jak Niemcy mówią: *ich habe ihm den Standtpunkt klaar gemacht.* Dziś we wtorek wieczór przyszedł z rozkazu Jenerała jeden z pisarzy i oświadczył, że wymiana nastąpi we czwartek albo w piątek, dosyć że w sobotę będziemy u naszych. Z tą nadzieją i radością spać się kładę!

31go paźdz. Dawno tak smaczno nie spałem; ani zimna ani żadnych zwierzątek nie czułem.

Napisałem list do Jenerała mojém i Delintscha imieniem prosząc go, aby nam konie wrócić kazał, niemniéj siodła i broń, gdyż wszystkie te przedmioty są naszą prywatną własnością a nie rządową. Przypomniałem, że pułkownik Rodriguez dał nam słowo honoru, jako wszystkie te rekwizyta oddane nam będą, co téż rzeczywiście wtedy się stało. Dodałem przeto, że spodziewamy się a nawet przekonani jesteśmy, iż ludzie honorowi w téj szlachetnéj sprawie wolności walczący, nie chcieliby i nie pozwolą, abyśmy ich rabusiami nazwali i byli przymuszeni zeznać, ze słowa honoru danego przez pułkownika Rodriguez nie dotrzymują. Darmo! jakże tu zrobić nic nie można bez frazesów. Zresztą z wielką łatwością przychodzi mi mówić i pisać po hiszpańsku, a znam ich zanadto dobrze, abym w tych razach nie umiał wmawiać w nich jak są szlachetni i bezinteresowni. A tymczasem szukać trzeba po świecie z latarnią ludzi więcéj fałszywych i bardziéj chciwych.

Nasi żołnierze aż się pokłócili z wielkiéj radości dowiedziawszy się o wymianie, i jeden drugiego nożem ukłół, co zresztą nie pierwszy raz się zdarza.

Pisarz przyniósł od Jenerała odpowiedź wieczorem. List mój przeszle do pułkownika Rodriguez, gdyż on żądaniom naszym zadość uczynić nie jest w stanie.

Jutro maszerujemy. Boże co za roskosz wyjść z takiéj niewoli! Będzie to ostatnia noc w Zacapoxtli.

1go listopada 1866. Forteca Perote.

Wymaszerowaliśmy zrana z Zacapoaxtli. Przyjemny i wesoły ranek, okolica bardzo piękna, góry i zieloność ciągła. Chociaż tę okolicę dawniéj znałem, jednakowoż po tak długiem więzieniu wolność, świeże powietrze i tak piękna natura niewypowiedzianą sprawiały mi roskosz. O godzinie 2éj wymaszerowaliśmy do Taflanke, gdzie komendant tego miasta bardzo nas grzecznie przyjął. Oficerom wyjść pozwolił, mówiąc: „możecie panowie iść na obiad, gdzie wam się podoba.“ Łatwo to powiedzieć, ale nie łatwo jest pójść na obiad, skoro kieszeń pusta. Nie było rady z głodnym żołądkiem zrobiwszy cztery mile po górach, poszliśmy spacerować na los szczęścia. Kolega Delinsch znał kilka osób w téj mieścinie, zaprowadził mnie do prefekta, gdzie nie jadłem wprawdzie obiadu, ale widziałem jednę z najpiękniejszych Meksykanek. Prawdziwie piękną była bardzo, może i to, że tak długi czas nie widziałem płci pięknéj, przyczyniło się to do wrażenia; ale przyznać muszę, że jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jaką w tym kraju spotkałem.

Wyszedłszy od prefekta spotkałem aptekarza z Fezuittan znajomość moją przeszłoroczną. Okoliczność wyborna! gwiazda znów świeci po przywitaniu. Kilka perów od niego pożyczyłem. Poszliśmy na obiad, a o czwartéj byliśmy w drodze do Fezuittan.

Stanęliśmy w téj mieścinie dopiéro o 10éj w nocy. Bagatela! zrobiłem tego dnia dziesięć mil piechotą, do czego jako kawalerzysta przyzwyczajony nie byłem, a to jeszcze po 36 dniach zamknięcia.

Jak ten gwałtowny marsz zmęczyć nas musiał, domyślić się łatwo. Mając tu mnóstwo znajomych, dostałem pokój i łóżko, na którém z przyjemnością noc przepędziłem.

2 listopada, Fezuittan. Jutro ma nastąpić wymiana jeńców na drodze z Fezuittan do Perote; dziś więc spoczynek. Znam kilka familii francuskich tu mieszkających, mogłem je odwiedzić, bo jesteśmy na wolnéj nodze, tylko żołnierze nasi są zamknięci.

3go listopada. Maszerujemy do Perote, dali mi konia. Jakaż niecierpliwość widzenia naszych! Nareszcie na wzgórzu

ukazały się lance i błyskały od słońca. Gdyśmy się zbliżyli, kazano nam stanąć, a w kwandrans przyjechał mój kapitan Fünfkirchen. Pierwsze słowa moje były zapytaniem: jak się z nami obchodzić będą? Gdyż jak wprzód powiedziałem, obawialiśmy się z Delinschem, że nas pod sąd wojenny oddadzą. Odpowiedział mi, że okoliczności, w jakiéj dostaliśmy się do niewoli, są zanadto znane, aby wątpliwość być mogła co do naszéj zupełnéj niewinności. Cały szwadron i ludzie mojego plutonu nadzwyczaj radośnie się przywitali. Nie można sobie tego wystawić, jak waryaty biegaliśmy i wypytywaliśmy się o wszystko. Porucznik Wurmbrandt, o którym wprzód wspomniałem, że był ranny, już zdrów zupełnie. Dostał trzy pchnięcia lancą, kapitan Fünfkirchen stracił konia, kilku ludzi rannych, zresztą wszyscy wyszli bez szwanku z potyczki, którą z Rodriguezem stoczyli. Pułk jego stracił 27 ludzi, 13 koni i mnóstwo rekwizytów.

4go listopada Perote. Pisałem do domu i posłałem dwa pierwsze arkusze dziennika mojego. Położenie tutaj nasze wcale nie jest przyjemne, oddaleni tylko o mil 20 od Puebli, przeszło sześć dni komunikacyi żadnéj. Z drugiéj strony leży Jalapa, od miesiąca przeszło oblężona przez sześć tysięcy Indyan a w niéj nasz major Hammerstein z austryacką kolumną z 800 ludzi złożoną. Co dzień więc spodziewamy się sukursu albo jakiéjbądź wiadomości.

5go listopada. Ledwom odpoczął przez te dwa dni, gdy kapitan Findeis komendant fortecy odkomenderował mnie jako plackomendanta do miasta. Miasto odległe o 1000 kroków od fortecy, leży podobnie jak ona na ogromnéj równinie, dosyć duże ale mieszkańcy są bardze źle dla nas usposobieni; jest więc bardzo nieprzyjemném być plackomendantem w takiém mieście. Tegoż dnia kapitan Findeis chciał zrobić pożyczkę w mieście na wypłacenie żołdu żołnierzom i oficerom. Byłem z kapitanem w tym interesie, a gdy miasto nic dać nie chciało, przyaresztowano ośm osób i to samych bogatych kupców, których do fortecy odprowadzono.

6 listopada. Więźnie nasi oświadczyli, że nam summę żądaną 4000 perów złożą. Zapomniałem powiedzieć, że kapitan Findeis dniem wprzódy stan oblężenia ogłosił. Dziś otworzyłem kancelaryę, obsadziłem kościół strzelcami a 30 kawale-

rzystów ciągle mamy w gotowości. Wieczorem o godzinie 6éj wracamy do fortecy. Plackomendant w czasie oblężenia jest tém, co u nas burmistrz, tylko że władzę ma większą. Tak sześć dni przeszło.

12 listopada. Wieczorem przyjechał oficer z wiadomością, że Jalapa się poddała. Jeneral Calderon także przyjechał. Nasz komendant Findeis na wiadomość o kapitulacyi Jalapy zasłabł; a mnie posłał do miasta o północy do jenerała z prośbą, aby list do Puebli w jakibądź sposób odesłał.

13 listopada. Zrana o 6éj posłał mnie Findeis z pół kompanią strzelców do miasta, gdzie musiałem rekwirować żywności tyle, ile się tylko znaleść dało. Naturalnie wziąłem się do roboty szybko: ośm wozów na drodze spotkanych zabrałem i temi od 6éj do 12éj żywność do fortecy odsyłałem. Kapitan mój Fünfkirchen udał się w drugą stronę z całym szwadronem i rekwirował co mógł krów, świn i owiec — dosyć, że o 12éj w południe forteca nasza na sześć tygodni zaprowiantowaną została. Wystarczającém się wydaje, bo nie można przewidzieć, jakie będą losy cesarstwa w przeciągu tego czasu.

14 listopada. Wozy wczoraj przezemnie zajęte zwoziły po południu słomę i jęczmień dla koni naszych. Kapitan Findeis tak był nieostrożny, że je wczoraj z fortecy wypuścił, a dziś zrana musieliśmy z całym szwadronem do haciendy pobliskiéj się udać, aby inne wozy rekwirować. Nie chcieliśmy jechać prostą drogą, gdyż nieprzyjaciel mógł haciendę obsadzić i plan nasz udaremnić.

O milę od fortecy spostrzegliśmy ogromną kolumnę wojska, do któréj zbliżywszy się na pare tysięcy kroków, poznaliśmy, że to tą nasi z Jalapy, których do Puebli prowadzą. Prowadzili ich pod eskortą, a ponieważ kapitan Fünfkirchen nie mógł wiedzieć z pewnością, czy to przypadkiem nie jest nieprzyjaciel, posłał mnie z trębaczem, aby się dowiedzieć, co to znaczy. Wziąłem białą chustkę i powiewając nią, dojechałem na tysiąc kroków od kolumny, z któréj także jeden na siwym koniu wyjechał. Był to major Hammerstein, który kazał mi się wrócić i kapitanowi dać rozkaz, aby do fortecy wracał, gdyż cała koluma austryacka ma tamtędy maszerować. Wróciliśmy zatém do fortecy, każdy wziął z sobą wódki i cokolwiek jadła, aby przybywających poczęstować. Smutno ma-

szerowali. Popołudniu kazałem słomę wozić. Wyjechałem z moim plutonem dla eskortowania wozów. Dostrzegłszy patrol nieprzyjacielski, uderzyłem na niego, a skoro kilka strzałów padło, patrol się cofnął.

15 listopada. Wciąż słomę i jęczmień wożą. Na małém wzgórzu o pół mili od miasta stanął nieprzyjaciel i obóz założył. Do miasta więc nie możemy już chodzić, a chociaż i dawniéj trzeba było brać eskortę, teraz z nią nikt iść nie może, gdyż nieprzyjaciel w wielkiéj liczbie. O 10téj w nocy kilka strzałów padło; bardzo wiele wart rozstawionych; oficerowie inspekcyę na wałach i bastionach trzymają.

16. listopada. Ruszać się nie możemy z fortecy. Parlamentarz przyszedł z żądaniem, abyśmy się poddali, tak jak w Jalapie, to jest opuścili fortecę bez broni. Naturalnie żeśmy mu odpowiedzieli odmownie.

17 listopada. Nowy parlamentarz przybył, ale bez żadnego pisma, tylko miał zrobić propozycyą ustną ale był pijany. Nie puściliśmy go nawet do fortecy i oświadczyli „że od dziś dnia nie przyjmujemy żadnych parlamentarzy.“ Zapomniałem napisać, że nazajutrz w dniu w którym strzały na fortecę padły, widzieliśmy w ulicy miasta zbudowaną barykadę i wartę przy niéj, a zatém miasto nieprzyjaciel obsadził.

18 listopada. Ledwo dnieć zaczęło, gdy z miasta dano kilka razy ognia do fortecy silnemi kulami, a kaliber dział ośmiofuntowy. Odpowiedziano im także kilku strzałami z naszéj strony doskonale.

19 listopada. Z Jalapy prowadzi droga do miasta Perote blisko od fortecy. Dzisiaj maszerował nieprzyjaciel kolumnami do miasta, znów strzelano do niego z wałów, a sądząc z tego, że kilku jeźdźców z koni spadło, wielu rannych być musi. Forteca posiada trzy haubice wielkiego kalibru, jednę armatę ośmiofuntową i trzy górne haubice. Prócz tego znaleźliśmy w fortecy trzy żelazne armaty zagwożdzone. Zaraz się wzięto do roboty, i już jedna armata gotowa razem z lawetą. Załoga liczy koło 400 ludzi. Wielu mamy rzemieślników, skoro więc czego potrzeba, natychmiast się zrobi. Forteca nazywa się San-Carlos, zbudowana prześlicznie, jak cyrklem odmierzona, składa się z czworoboku, a na każdym bastion. Otoczona ogromną fossą, 80 kroków szeroką, a 30 stóp wysokim wałem. Wodociąg do

fosy prowadzi wodę; ale przeszło pięć dni jak wody nie ma, gdyż ją zatrzymali. Na szczęście pod całym kwadratem ogromna cysterna na dwa sążnie ma głębokości wody, a zatém nie braknie jéj przez dwa miesiące.

19 listopada. Przechodził transport amunicyi do miasta. Nr I. strzelił granatem, i kilka mułów zdaje się ubili, gdyż późniéj lilku ludzi z miasta wyszło i amunicyę zbierało.

20. listopada. Nic nowego dotąd, wciąż siły nieprzyjacielskie sciągają do miasta, ale nie maszerują kolumnami, tylko jak tu nazywamy „Gänsenmarsch“ czyli gęsiego. Z kapitanem Findeis rozmawiałem wieczorem na wałach. Pokazałem mu małą ilość słomy jaką mamy; zdecydował się jutro szwadron po słomę posłać, która o 800 kroków na polu leży. Zdaje mi się, że jutro lub pojutrze będziemy miasto bombardować.

Nie mając nic do czynienia wziąłem od naszego doktora dwie flaszki spirytusu i wódkę dla moich kolegów oficerów fabrykuję, wciąż wstaję od mojego dziennika aby się filtrowaniu przypatrzyć i dolewać gdy potrzeba. Co kwandrans przychodzą oficerowie i kosztują mojéj wódki; w ten sposób już flaszkę jednę wypili.

Ogromne zimno szczególniéj wieczór, dla tego nie trzeba się dziwić, że wszyscy wiele wódki pijemy. Zdaje się że klimat tego potrzebuje, a moja pieprzówka prawdziwy ogień.

21 listopada. Nic nowego. Po południu strzelcy poszli po słomę. Cały szwadron był w fosie na wszelki wypadek. Drzwi do fosy zamurowane, zostały otwarte, brama frontowa zabarykadowana. Nieprzyjaciel nie może widzieć kiedy wychodzimy. O piątéj wieczór umarł jeden huzar na dysenteryę, należał on do szwadronu, który w Jalepie był z Hamersteinem.

Od 6téj wieczór do 1éj w nocy mam inspekcyę na wałach, a ten dziennik piszę w pokoiku dwa łokcie szerokim, a trzy długim. Jest w nim kruciutkie łóżko obozowe, stołek, stolik, i dwie świece, — jest to pokój dla oficera od inspekcyi, obity kocami dla ciepła.

22 listopada. Jutro będziemy miasto bombardować: żelazna armata skończona. Z rana mamy znowu wozić słomę. Moja fabryka wódki prosperuje. Nic nie ma do roboty, książek

mało, a zatém większą część dnia spacerujemy. Po południu wyśliśmy po słomę, wróciwszy wieczorem próbowaliśmy żelaznéj armaty, jeden strzał nie dobrze poszedł i kuła o tysiąc kroków w ziemię się wbiła. Kazaliśmy kilka koni osiodłać i po kulę ruszyliśmy na pole. Ledwie 700 kroków zrobiłem, gdy zaraz kilkanaście strzałów na mnie padło z kaktusów bardzo gęstych nie daleko od pola będących. To nam nie przeszkadzało do naszego poszukiwania. Wtém wypadł strzał armatni z fortecy, poznaliśmy że strzelają armatą 8mio funtową, co naszą uwagę zwróciło w stronę gdzie kula w powietrzu szumiała. Spostrzegliśmy blisko lasu ogromną kolumnę piechoty ciągnącą z miasta. Zaraz potém jeszcze kilka strzałów armatnich dano z naszéj strony, wyznaję że nie rozumiałem co znaczyć może wyjście nieprzyjaciela z miasta. O 6téj wieczór komendant warty zameldował, że szyldwach stojący na bastionie Nr II. strzały trzy armatnie słyszał od strony Puebli. Widoczném było że muszą to być nasi, którzy ku Perote maszerują. O 8éj wieczorem widać było wiele ogni razem, ale bardzo daleko, domyślaliśmy się że to musi być obóz, ale czyj? to pytanie. Nie można się było ruszać z fortecy, gdyż bardzo łatwo nieprzyjaciel na to opuści miasto, abyśmy do niego weszli, a on w ten czas z dwóch stron by nas zaatakował. Czekaliśmy więc do rana, ogni obozowe wciąż widać było.

O 6éj z rana wyruszyliśmy ze szwadronem, aby się przekonać co to znaczy. Wtem koło fortecy spostrzegliśmy człowieka z listem, z którego dowiedzieliśmy się iż to kolumna francuska maszeruje do Perote aby nas z fortecy wydobyć. Pojechaliśmy naprzeciwko. Jenerał Aymar komenderował tą kolumną. Byli w liczbie 1000 piechoty i 500 jazdy. *Chasseurs de Vincenne, Infanterie de ligne, Zouaves, Artillerie, Husards, Chasseurs d' Afrique*, i dwa szwadrony naszych ułanów.

Bardzośmy byli kontenci że przecie z fortecy wyjdziemy. Jenerał Aymar myślał, że już z głodu poumieraliśmy dla tego w forsownych marszach do Perote przybył.

24 listopada. Mieliśmy kilku oficerów *des Chasseurs d' Afrique* u nas na obiedzie, przyjemni i pełni wesołości

ludzi. Kapitan mój Fünfkirchen prosi się na wszystkie strony abyśmy z jenerałem maszerowali dalej.

25 listopada. Jenerał dał rozkaz komendantowi fortecy, aby na nowo żywność rekwirował, gdyż nazajutrz z Perote że swoją kolumną daléj maszeruje, a ponieważ Perote musi być obsadzona, przeto Findeis w fortecy na dal zostanie. Kapitan Fünfkirchen dostał rozkaz być gotowym nazajutrz do wymarszu; nasza a szczególniéj moja radość z téj wiadomości nie do wypowiedzenia. Gdyż zawsze myślę o pomszczeniu się na pułkowniku Rodriguez.

26 listopada. Wymaszerowaliśmy nareszcie z Perote. Jeden z naszych szwadronów pozostał się a smutny bardzo, bo się obawia, że ich w téj fortecy żadna kolumna cesarska nie odwiedzi. Trzeba przyznać że nie jest to rzecz przyjemna, być na wszystkie strony przez nieprzyjaciela zamkniętym i oddalonym od swoich o 35 Leguas.

27 listopada. Stanęliśmy obozem w małéj wiosce, z moim plutonem byłem przydzielony do ariergardy i bardzo późno do obozu przymaszerowałem bo o 2éj godz. w nocy. Mieliśmy 12 ogromnych wozów do eskortowania, a do tego złą drogą. Każdy wóz był ciągnięty przez 20 mułów i co chwila trzeba było stawać i muły od jednych do drugich wozów zaprzęgać. Długo tę noc popamiętam. Po obu stronach drogi była wielka trawa i kaktusy wysokie na trzy stopy, a wszystko nadzwyczajnie suche. Żołnierze w kilku miejscach tę trawę zapalili, wiatr coraz daléj ogień popędzał i wkrótce cała przestrzeń stały w płomieniach, jasno było jak we dnie, a widok śliczny. Dwa bataliony *Chasseurs de Vincenne*, wozy i mój pluton konny wybornie się wydawały. Wszedłszy do obozu napiłem się trochę koniaku, gdyż nadzwyczajnie zimno było, i chciałem się koło konia położyć, bo lubo mam swój namiot, nie chciałem go rozbijać, gdyż o piątéj rano maszerować mieliśmy. Wtém przyszedł kapitan od *Chasseurs* i zaprosił mnie do siebie na obiad. Służący jego pomaszerował z kolumną naprzód, postawił jego namiot i wyborne jedzenie zgotował. Było nas czterech przy stole w namiocie, każden bardzo wygodnie siedział; obiad był wyborny i wina doskonałe. Każden z oficerów ma taki namiot, w którym łóżko obozowe, stół i pare stołków się znajduje, nawet są okna na sposób

okrętowy. Nie ma na świecie praktyczniejszego wojska jak francuskie. Wciąż maszerują, dla tego przyzwyczajeni są do wszystkiego i urządzeni doskonale. Każden z nas ma także swój namiot, ale tak niski, że siedzieć nie można.

28 listopada. Tepetitlau. Nic nowego, nieprzyjaciel nie chce się z nami spotkać.

29 listopada. San-Andres. Ładne miasteczko, dosyć porządne ale mieszkańcy nas nie cierpią.

30 listopada. Ja zwykle zarządzam kuchnią, jest nas 10 oficerów, nie bardzo to przyjemnie, gdyż każden co innego pragnie mieć do jedzenia.

1 grudnia. Zaprosiliśmy dzisiaj na obiad oficerów *des Chasseurs d' Afrique*, w ich towarzystwie nie można być smutnym. Dziś przemaszerowała przez San-Adres kolumna austryacka do Perote pod dowództwem naszego pułkownika, aby garnizon téj fortecy zluzować. Kolumna ta dosyć jest mocna, mająca 800 piechoty i jeden szwadron ułanów.

Łempicki

Przegląd polityczny.

28 lutego.

Jeżeli co pocieszać może w obecnéj chwili w któréj społeczeństwo polskie tak ze wszech stron jest zagrożone, w któréj wrogi i okoliczności spiknęły się przeciw niemu, a własne błędy, przychodzą im w pomoc, to myśl, iż podstawa naszego społeczeństwa jest silna, zdrowa i pomimo tylu usiłowań nie zepsuta: podstawą tą zowiemy lud wiejski, który u nas stanowi najważniejszą, szczególniéj z uwagi na przyszłość, część społeczeństwa. Kiedy zwracamy myśl naszą w tę stronę, wtedy wątpić o sobie przestajemy, pełni przeciwnie jesteśmy otuchy i wiary, iż chociażby zawziętość wrogów chwilowo dopięła celu, ideja polska przecież odżyje i wyrośnie jak cedr z ziarna, z ludu wiejskiego, i lud ten najsilniejszą stanowić będzie zaporę zamierzonemm dziełu zatarcia nawet śladu narodowości polskiéj. Nowy dowód zdrowia i żywotności ludu wiejskiego mamy co dopiero w odbytych wyborach do sejmu lwowskiego.

Skoro tylko usuniętemi lub zneutralizowanemi zostały złowrogie wpływy, skoro włościanin zostawiony został sam sobie i własnemu zdrowemu rozumowi, okazał się ten rozum w całéj swéj pełni, i w ogóle wybory włościańskie wypadły tak, że kraj najwięcéj niemi poszczycić się może. W znacznéj części padły one na ludzi światłych, na patryotów, nawet na znakomitości polityczne; włościanie zaś, którzy obrani zostali, są jak nas zapewniano w większéj części prawymi, uczciwymi i rozsądnymi ludźmi. Pocieszający to ze wszech miar fakt i wynadgradzający sowicie w naszém przekonaniu tyle ujemnych stron naszego społeczeństwa, które przy każdéj sposobności na jaw wychodzą, lecz zarazem fakt ten powinien być dla nas wskazówką, iż pierwszym naszym obowiązkiem, największém zadaniem jest, obrócenie wszystkich naszych usiłowań w tę

stronę, aby te dobre zarody rozwijać, kształcić, do równowagi doprowadzić.

Wolna, swobodna i niekrępowana żadnemi przeważnemi wpływami przy akcyi wyborczéj ludu wiejskiego miała i ten skutek, że owa frakcya świętojurska tak wielce ze wszech miar skompromitowana w ostatniéj sesyi, stopniała prawie zupełnie w obecnéj kadencyi. Zredukowana do nieznacznéj liczby, nie może ona już być przeszkodą w obradach sejmowych ani ambarasem tak dla rządu jak dla większości. Spuszczać jéj z oka ani w sejmie, ani szczególniéj poza sejmem nie można, jak w ogóle nie można lekceważyć sobie niebezpiecznych w społeczeństwie żywiołów, lecz rachować się z nią już potrzeba. Cóż się stało teraz z owymi reprezentantami Rusi i uciśnionych Rusinów? Jawném jest teraz, iż nie byli oni reprezentantami Rusi, lecz tylko sztuczną kreacyą biurokratyczno-moskiewską. Ale teraz właśnie jest chwila bezstronnego rozpoznania i rozpatrzenia się w prawdziwych i rzeczywistych potrzebach Rusinów, i rozwiązania na zasadzie wolności tego, co słusznie rozwiązaném i uwzględnioném być może i musi w sprawie ruskiéj. Teraz nareszcie ostatnia wybiła godzina dla tych, którzy nie przez złą wiarę, lecz przez błąd lub zaślepienie dali się uwikłać w sidła Świętojurców, aby na prawdziwą zwrócili się drogę, na drogę unii i na drogę prowadzącą do rzeczywistego silnego ukonstytuowania się społeczeństwa w Galicyi, a zeszli z téj, która tylko do rozstroju i zamętu prowadzi, i która może przynieść korzyści tylko obcym i wrogom. Z radością powitalibyśmy nawróconych, a zapominając przeszłość, serdecznie byśmy im dłoń ścisnęli.

Kiedy wybory odbywały się do sejmu lwowskiego, jednocześnie w innéj dzielnicy polskiéj w W. Ks. Poznańskiem ludność polska powołaną została także do walki wyborczéj, do walki z przeważnym wpływem rządowym i z wpływem ludności niemieckiéj. Odbywały się tam wybory do północnego parlamentu niemieckiego. Walka była zacięta. Polakom szło o okazanie całego fałszu i niesprawiedliwości włączenia prowincyi polskiéj do związku niemieckiego, rządowi szło o okazanie, iż ta prowincya o tyle już jest zniemczałą, iż nie ma niesprawiedliwości w złączeniu jéj z północną ojczyzną niemiecką. W tym celu tak rząd jak Niemcy używali wszelkich dozwolonych i niedozwolonych środków, a szczególniéj jak nas zapewniano, niedozwolonych; nacisk wywierany na włościan miał być niesłychany, używano postrachu, groźb, słowem wszystkiego, co mogło zachwiać wyborców, a jednak wyszedł stosunkowo dość liczny i poważny z tych wyborów zastęp posłów polskich, aby mógł z pewną siłą zaprotestować przeciw temu nowemu gwałtowi, dokonanemu na narodowości i prawach Po-

laków. I to zwycięstwo zawdzięczamy głównie ludowi wiejskiemu, temu ludowi W. Ks. Poznańskiego, który pierwéj jak gdzieindziéj przyszedł do samopoznania narodowego. A jednak tą razą z żalem wyznać musimy, pozbawiony był ten lud kierownictwa, do którego od dawna nawykł, kierownictwa duchowieństwa w walce z giermanizmem i pretestantyzmem. I zdarzyło się, że jednocześnie gdy wniosek hr. Potockiego zamierzający wyłączyć dusz pasterzy z sejmu, tak gwałtowną wywołał dyskusyę w dziennikach galicyjskich ze strony duchowieństwa; arcybiskup poznański nakazał duchowieństwu W. Ks. Poznańskiego wstrzymania się od wszelkiego działania politycznego. Zdaje nam się, iż prawda leży pośrodku między temi dwoma sprzecznościami, i że jeżeli sprawy polityczne nie powinny odrywać duchowieństwa od jego obowiązków, to jednak są chwile i okoliczności, w których kapłan winien także obywatelskie wypełniać obowiązki.

W chwili, kiedy kraj zajęty był wyborami i kiedy powstały z nich sejm miał poprzeć politykę inaugurowaną manifestem wrześniowym a reprezentowaną przez hr. Belcredego, ważne w Wiedniu zaszły zmiany i hr. Belcredi wystąpił z ministeryum. Nie może być naszém zadaniem pisanie nekrologów. Niepodobna nam jednak nie wypowiedzieć, iż hr. Belcredi był ministrem austryackim nad którego ustąpieniem Galicya najwięcéj ubolewała, nie dlatego tylko co w pewnéj mierze i dość skąpo zrobił dla niéj, ale głównie dla jego prawdziwie liberalnego szerokiego sposobu zapatrywania się na sztukę rządzenia, a przedewszystkiém iż zdawał się być domniemanym apostołem zasady, w któréj Galicya od dawna upatruje prawdziwą potęgę państwa i rękojmię własnego rozwoju narodowego. Wielkim błędem hr. Belcredego było, iż nigdy śmiało i otwarcie nie postawił tego programu, z usunięciem którego sam się usunął. Nieraz ubolewaliśmy nad tym brakiem stanowczości i incyatywy, a kiedyśmy w patencie z 2 Stycznia dostrzegli widoczne symptomata niepewności i wachania się, kiedyśmy dostrzegli w nim dwa sprzeczne kierunki sztucznie pogodzone, nie mogliśmy taić przed sobą, iż dnie ministeryum hr. Belcredego są porachowane. Widoczném jest, iż hr. Belcredi miał swoje zasady i swój program, skoro w obec innego programu wystąpił z ministeryum, żałujemy tylko iż przed wystąpieniem jasno i dobitnie niesformułował go, iż patent z 2 Stycznia zamiast być kompromisem między bar. Beustem a hr. Belcredim — nie stał się programem hr. Belcredego i wyrazem tych zasad, w których przyszłość nie przestajemy wierzyć. Tym sposobem byłby się hr. Belcredi zachował dla téj przyszłości. Bądź co bądź przekonani jesteśmy, iż droga którą szedł hr. Belcredi acz dłuższa, prędzéj byłaby do pożądanego celu doprowadziła, niż inne, które krótszemi na pozór się wydają. Hr. Belcredi

nie był geniuszem ale był prawym mężem stanu, który prawdą i dobrą wiarą a na podstawie wolności usiłował pojednać sprzeczne interesa, ułagodzić zwaśnione namiętności i zapewnić spokój i potęgę państwa — nie zapoznając praw poszczególnych krajów i narodowości. Lecz właśnie hr. Belcredi nie miał potrzebnych w dzisiejszych czasach warunków do odegrania wielkiéj roli i wzbudzenia zaufania. Nie miał ani dość śmiałości, ani dość zarozumiałości, aby jedném pociągnięciem pióra rozstrzygnąć najzawilszą sprawę i stanowić o losach milionów, tylu krajów i różnych narodów.— Nie wsławił się on żadną katastrofą, nie chciał czy nie umiał dla odegrania chwilowo świetnéj olśniewającéj roli poświęcić ani swoich przekonań ani przyszłości ojczyzny, za nadto na dzisiejsze czasy był sumiennym, za mało myślał o sobie za wiele o sprawie któréj służył, nie miał daru ani szumnych frazesów, ani nie posiadał sztuki *des coups de théatre.* Słowem należał raczéj do téj dawnéj szkoły mężów stanu, którzy nie o sobie lecz o sprawie przedewszystkiém myśleli, a którzy własną wielkość widzieli nie w własném wywyższeniu, lecz w powodzeniu interesów którym służyli i przeprowadzeniu idei w którą wierzyli. Hr. Belcredi był więc poniekąd w naszych czasach anachronizmem, nie miał więc w sobie potrzebnych warunków do powodzenia i dlatego téż upadł. Lecz jeżeli nie mógł cieszyć się tryumfem, to przynajmniéj będzie może miał tę pociechę, iż nie on przyspieszy lub wywoła katastrofę, iż nie on jak drugi Faeton zdruzgocze rydwan państwa.

Jeżeli jednak wystąpienie hr. Belcredego nie mogło jak tylko nader przykre wywrzeć u nas wrażenie, to przecież chwila jest tak ważna iż czujemy się w obowiązku odłożyć na bok wszelkie kwestye osobiste a jedynie oceniać nową sytuacyę według faktów które ją stworzyły. Pod tym względem największą zmianę w sytuacyi stanowią pomyślne zakończenie układów między koroną a sejmem peszteńskim, oraz projekt komitetu tegoż sejmu o sposobie traktowania spraw wspólnych. Przedewszystkiém nacisk położyć winniśmy na różnicę zachodzącą między temi dwoma punktami sprawy węgierskiéj; co się tyczy pierwszego, to jest ugody między koroną a sejmem peszteńskim i wypływającego z niéj zamianowania ministeryum węgierskiego i uznania autonomii węgierskiéj, uważać musimy sprawę tę za zamkniętą, za fakt dokonany a pomyślny równie dlatego, iż korona uznała przecież w końcu historyczne i narodowe prawa Węgrów, jak i dlatego, iż zgoda korony z Węgrami była zawsze pierwszym warunkiem odrodzenia się potęgi i pomyślności monarchii i pierwszym niezbędnym krokiem do reorganizacyi całéj monarchii. Przeciwnie nie możemy wcale uważać za skończoną ani zamkniętą kwestyę, którą właśnie dopiéro projekt komitetu do spraw wspólnych otwiera.

Projekt ten nie tyczy się już samych Węgrów i ich spraw autonomicznych, nie tyczy się także tylko stosunku Węgier do korony, lecz tyczy się przedewszystkiém stosunku Węgier do innych krajów koronnych i dlatego niepodobna aby ta sprawa mogła być jednostronnie rozstrzygnięta, aby pod tym względem sejm peszteński postawił się na stanowisku jakiegoś urojonego *non possumus*, które byłoby zarówno dziwaczném jak niebezpieczném. Kwestya spraw wspólnych jest kwestyą otwartą, kwestyą, która dziś właśnie agituje się we wszystkich sejmach krajowych, a jutro może roztrząsaną będzie w Wiedniu; projekt komitetu sejmu peszteńskiego jest tylko projektem, który zmienionym być może i zmienionym być powinien w wspólnych naradach i układach między sejmem peszteńskim, koroną i reprezentantami innych krajów koronnych; projekt bowiem ten nie jest żadną jeszcze uchwałą, tém mniéj bullą, pod któréj wyroki z pokorą i skruchą winny się poddać tak korona jak inne kraje koronne, wespół z Węgrami stanowiące monarchię austryacką. Projekt ten tém bardziéj zmienionym być winien, iż taki, jaki wyszedł z obrad komitetu jest utworem monstrualnym, przesądzającym z góry nie tylko o losach Węgier ale także o losach monarchii, a nawet poszczególnych krajów koronnych. Z góry skazuje on monarchię na najjaskrawszy dualizm, z góry przesądza i uznaje dwie tylko w monarchii indywidualności polityczne: jednę złożoną z krajów należących do korony Ś. Szczepana, drugą z krajów po téj stronie Litawy. Tym sposobem sejm peszteński tak dalece posunąłby swoją namiętność prawniczą, iż nietylko o legislaturze i konstytucyi własnego kraju stanowiłby, ale narzucałby ją także innym. Zkąd takie prawo? wolno się zapytać i zapytać się także można, czy pod tym względem podobna rachować na powolność innych krajów koronnych i na tak wielką z ich strony pokorę wobec szczęśliwych Madziarów.

Projekt rzeczony nietylko określa stanowisko Węgrów do monarchii i spraw wspólnych, nietylko orzeka w nich najzupełniejszy dualizm, do czego Węgrzy prawa nie mają, ale nawet naznacza dla innych krajów koronnych parlamentarną centralizacyę, co już jest nietylko nieprawném ale nawet oburzającém. Ktoby znalazł nasze wyrażenie zbyt energiczne, niech z uwagą przeczyta §§. 19, 20, 21, 26, 29, 39 elaboratu. Paragrafy te dzielą dowolnie monarchię na dwie części, narzucają drugiéj formę konstytucyjną, wspólny parlament i nietylko mają na celu zawarowanie praw Węgier, ale zarazem zagrażają prawom i autonomii innych krajów. Gdyby projekt w całości został przyjęty i nabrał prawomocności, dualizm w monarchii, centralizacya parlamentarna po téj stronie Litawy stałyby się faktami.

Tu więc zdaniem naszém znajduje się dziś węzeł kwestyi; zmiana projektu podkomitetu, określenie sposobu traktowania spraw wspólnych w sposób nienarażający praw innych krajów koronnych — oto obecne zadanie, oto cel ku któremu winny być skierowane usiłowania autonomiczno-federalistycznego stronnictwa w Austryi. Do wewnętrznych spraw węgierskich nikt nie ma prawa się mięszać, lecz tam gdzie idzie o wspólne traktowsnie spraw wspólnych, tam każdy kraj koronny winien mieć taki sam głos jak Węgrzy. A nigdy nie pojmiemy i nie przyznamy, aby uznanie historycznych i narodowych praw Węgier, aby szeroka autonomia dana temu krajowi, szersza nawet od téj, którą cieszyć mogą inne kraje, miały pociągnąć za sobą zapoznanie i podeptanie praw, autonomij, indywidualności innych krajów i odsądzenie ich od słusznego a równego wpływu na sprawy wspólne. Tam gdzie idzie o Węgrów tylko, niech sami stanowią, lecz tam gdzie idzie o nas wszystkich, stanówmy wszyscy razem z równym głosem.

Odrębne stanowisko Węgier wypływające z ich praw historycznych, przyjąć wypada jako fakt, lecz ono bynajmniéj nie powinno pociągać za sobą zapoznania praw innych krajów i wpływu ich na wspólne sprawy państwa. Wiemy, iż błędy przeszłości uczyniły ugodę z Węgrami nader uciążliwą, iż ona dziś komplikuje i utrudnia położenie, że poniekąd porównać ją można do zbyt późnego i bezowocnego odstąpienia Wenecyi, jednak niepodobna nam nie uznać całéj wagi i ważności pogodzenia się korony z Węgrami, a zarazem niepodobna przyznać, iż to pogodzenie musi koniecznie pociągnąć za sobą zapoznanie praw innych krajów koronnych i centralizacyę po téj stronie Litawy. W naszych oczach jest to tylko teorya jak tyle innych, a w obecnéj chwili jest jakby febrą, przez którą przechodzi monarchia. Trochę tylko czasu, a febra minie i organizm dojść musi do normalnego stanu, do zdrowia.

I niech nam tu wolno będzie odeprzeć ostre zarzuty uczynione nam w Nrze 37 *Czasu* przez autora broszury Austrya monarchia federalna. Gdybyśmy byli doktrynerami, niezawodnie wołalibyśmy dziś już z pedantami całego świata *fiat justitia percat mundus*, lecz że nam nie idzie wcale o zwycięztwo téj lub owéj doktryny, lecz o cel, o praktyczny rezultat, niepodobna nam, nie możemy pomijać faktycznego stanu rzeczy.

Nikt nas nie posądzi o słabostkę dla Węgier, o schlebianie Węgrom, jedném słowem o magiaromanię, daliśmy tego dowody i to jasne w chwili gdy powstawać na upór Węgrów nie było zbyt popularném; ale z drugiéj strony byliśmy zawsze i jesteśmy silnie przekonani, iż jedynie zgoda korony z Węgrami może zapewnić siłę, potęgę i trwałość monarchii austryackiéj, co jest i musi być dziś naszym pierwszym celem; otóż doczekaliśmy się téj chwili i mamyż z tego powodu roz-

paczać? mamyż rozpaczać dlatego, iż sposób w jaki zawartą została, pociągnął za sobą chwilowe zmiany nieodpowiadające naszym życzeniom? Niech nam autor broszury wskaże możliwość jakiéjkolwiek budowy konstytucyjnéj w Austryi bez zgody z sejmem peszteńskim, a wtedy przyznamy mu słuszność. Lecz przed tém niech nas nie oskarża o brak stanowczości w pojęciu i o bałamucenie tych, którymi kierować mamy, bo przyznać nam musi, że zgoda z Węgrami jest pierwszym warunkiem, *conditio sine qua non* ukonstytuowania się monarchii, że zgoda ta dziś nastąpić tylko mogła na podstawie pragmatycznéj sankcyi, a zarazem przyznać musi, że ta podstawa stwarza Węgrom odrębne nieco w monarchii stanowisko tak historycznie jak faktycznie, że przeczyć temu byłoby właśnie tylko bałamuceniem umysłów. I cóż pomoże, że autor broszury zaprzecza koronie Ś. Szczepana przywilejów, kiedy one w pragmatycznéj sankcyi są zapisane, kiedy o nie Węgrzy od roku 1848 ciągłą prowadzą walkę, kiedy bez ich uznania nie może być mowy o zgodzie z koroną i o ukonstytuowaniu się państwa; taka negacya nic zapewne nie zmieni, lecz powtarzamy, obałamuca umysły, bo zaciemnia doktryną faktyczny stan rzeczy. Niech autor broszury powié, czy inne kraje koronne mają takie same stanowisko historyczne i faktyczne, czy szczególniéj zdobyły je już równie wytrwałą i zaciętą walką? Nie, a więc po cóż kłamać przed samymi sobą, po co taić, że Węgrzy muszą nieco odrębne w monarchii zająć stanowisko, z początku szczególniéj, nim same nie uznają potrzeby zmodyfikowania go na korzyść dobra ogólnéj federacyi, lub téż dopóki inne kraje koronne nie zdobędą podobnego stanowiska. To zaś jedynie w ostatnim *Przeglądzie* powiedzieliśmy i nic innego.

Jeden przykład: czy autor broszury odważyłby się w dzisiejszych okolicznościach odradzać koronie mianowania ministeryum węgierskiego? a czyż myśli autor, iż możliwém, iż praktycznémby było, aby dziś takie ministerya mianowane zostały dla każdego kraju koronnego z osobna? Federacya nie jest bynajmniéj zrównaniem, lecz tylko uznaniem praw wszystkich. Niechże więc autor nie gorszy się naszemi niemal, nieco, bo bez uwzględnienia wszystkiego i idąc tylko naprzód z sztywną doktryną, idzie się ku katastrofie lub popycha się do niéj; nie można być absolutnym i bezwzględnym w polityce. W polityce bezwzględność zwykle kompromituje tylko sprawy, zawsze udaremnia ludzi, którzy się w nią uzbrajają. My nie chcemy przez miłość dla doktryny udaremnić się, bo my nie żadnéj doktrynie lecz krajowi służymy. Powtarzamy, uznanie praw Węgier i odrębnego ich stanowiska, w niczém nie sprzeciwia się federacyjnemu ukonstytuowaniu się Austryi, przeciwnie jest ono pierwszym do tego krokiem; że dziś rzeczy zdają się brać inny

obrót, nic to nie dowodzi, jest to paroksyzm który minie, lecz co pozostanie oto zarówne prawo Węgier jak innych krajów i narodowości z których się składa Austrya. Przykro nam bardzo, iż w tym punkcie przeciwnego jesteśmy zdania z autorem broszury Austrya monarchia federalna; przykrzéj jeszcze iż zmusił nas do polemiki, gdyż czytając jego broszurę, dostrzegliśmy tego prawdziwie wyższego na sprawy publiczne poglądu który zawsze zasługuje na uznanie i wzbudza uszanowanie. Ileż w tych kilkunastu kartkach jest wypowiedzianych prawd, ile zdrowych rad i słusznych nauk tak dla kraju jak dla monarchii, z któréj losami jego losy są złączone. Wzniosłe myśli krzyżują się tam z szlachetnemi uczuciami, a w téj tak ważnéj chwili wśród tak ciemnéj sytuacyi nie możemy jak tylko zalecić czytelnikom naszym tę broszurę, w któréj zawarty program, gdyby mógł być natychmiast przeprowadzony, stałby się niezawodnie początkiem nowéj i pomyślnéj dla wszystkich ery.

Drugim z rzędu ważnym faktem nad którym zastanowić nam się wypada, jest pismo ministeryalne z 4 lutego, wystósowane do sejmów i odczytane na pierwszém posiedzeniu sejmu lwowskiego. Komentarzem zaś mesażu było owo pismo bar. Beusta do namiestników z 11go lutego. Dwa te dokumenta są pierwszemi urzędowemi oświadczeniami, wyjaśniającemi zaszłą zmianę w sytuacyi od wystąpienia z ministerium hr. Belcredego. Przedewszystkiém co nas uderzyło, oto iż tą razą nie przemówił sam monarcha reskryptem do sejmów krajowych, lecz pozostawił to zadanie swoim ministrom. Nie jest to obojętna okoliczność, która pozwala zarówno publicystyce jak sejmom krajowym tém śmieléj swe zdanie o owém piśmie wypowiedzieć. Pismo to o ile z jednéj strony jest widocznym skutkiem zaszłéj zmiany o tyle zarazem pozwala ocenić doniosłość wystąpienia z ministerium hr. Belcredego i odstąpienia od drogi wskazanéj manifestem z 20go września względem krajów koronnych.

Trudno bardzo trudno rozpatrzeć się w dokumencie napełnionym tyloma niekonsekwencyami, podnosić ich nie będziemy, gdyż nie dyalektyczna lub loiczna strona mesażu nas obchodzi, lecz jego strona polityczna. Otóż pod tym względem łudzić nam się nie wolno, dla nas jako dla federalistów, dla Galicyi jako dla kraju koronnego mesaż jest nader zasmucającym dokumentem, nader złowrogim faktem. Jest on nietylko odstąpieniem od polityki inaugurowanéj manifestem 20 września, ale nawet zaparciem się świeższego patentu z 2 stycznia. Równie jak elaborat podkomitetu sejmu peszteńskiego dzieli on z góry monarchią na dwie części i co najgorsze, wychodzi z tego punktu, iż nietylko ugoda korony z Węgrami jest faktem dokonanym, ale że sam elaborat o sprawach wspólnych

jest już nieodwołalném postanowieniem. Tym sposobem z góry przesądza na rzecz owego elaboratu ukonstytuowanie się monarchii i dla tego naznacza już przyszłéj Radzie Państwa jako jedno z zadań wybór delegacyi do traktowania spraw wspólnych. Z drugiéj strony orzeka i naznacza dla krajów po téj stronie Litawy powrót do centralistyczno-szmerlingowskiéj formy tak sprzecznéj z ideą federacyjną, tak groźnéj dla autonomii krajów koronnych. Z szmerlingowskiéj konstytucyi zachowuje to tylko, co było największą negacyą wszelkiéj wolnéj federacyi ludów Austryi, bo tylko radę szczuplejszą. Uznaje zaś tylko prawa Węgier, zapoznaje prawa innych krajów koronnych. Owa Rada Państwa zapowiedziana mesażem nie będzie już tą Radą nadzwyczajną zwołaną patentem 2 stycznia, w któréj legalni reprezentanci krajów koronnych swobodnie mieli się naradzać nad przyszłem ukonstytuowaniem się Państwa, lecz będzie po prostu Reichsratem mającym parlamentarno-centralistycznie orzekać o sprawach i interesach po téj stronie Litawy, jedném słowem ściślejszą Radą Państwa bez żadnéj już nadziei przemienienia się w pełną za możliwém przybyciem Węgrów. Co więcéj ta konstytucyjna (?) Rada Państwa ma orzekać o stanowisku każdego kraju koronnego. Więc kraje koronne, które same tylko winny stanowić o sobie, zdać muszą przyszłe swe losy i swe prawne stanowisko na łaskę większości zapewnionéj lutową ustawą wyborczą, zamiast je czynić zawisłém od własnych sejmów! A tu właśnie leży sama istota, sam rdzeń federacyjnego i autonomicznego programu, w którym my widzimy jedyną przyszłość dla państwa i dla nas samych. Wierni zasadzie autonomicznéj i federalistycznéj, nie możemy przyznawać żadnéj radzie państwa prawa określenia stanowiska krajów koronnych, ale tylko prawo stanowienia w sprawach wspólnych (§. 2 dyplomu październikowego). A jednak mesaż z 4go lutego nadaje właśnie radzie państwa prawo orzekania o losach krajów koronnych a odejmuje im prawo stanowienia o sprawach wspólnych. Powtarzamy trudno się łudzić, mesaż z 4go lutego wprowadza nas na drogę, którą zawsze uważaliśmy za zgubną dla monarchii, za szkodliwą dla nas, i prowadzi do owéj Rady szczuplejszéj potępionéj doświadczeniem, a do któréj tak słusznie w tylu okolicznościach zarzekaliśmy się wstąpić powtórnie. A jednak w obec tak trudnego i zmienionego raptem położenia, mesaż wzywa sejm galicyjski aby wysłał delegacyę do Rady państwa.

Położenie arcyskomplikowane i trudne. Szczerze i sumiennie wypowiemy o niém zdanie, lecz niech nam pierwéj wolno będzie przytoczyć ustęp z listu, który właśnie w téj chwili odbieramy ze Lwowa od jednego z posłów a współpracownika naszego. List ten zdaniem naszém tak jasno zdaje sprawę

z obecnego trudnego położenia naszego, tak ze wszeah miar zgodnym jest z naszem zapatrywaniem i przekonaniem, iż przytaczając go, spełniamy większą część naszego zadania. Oto co nam piszą:

„Należę do tych, którzy byli za niewysłaniem do Rady Państwa, skoro jednak większość jest przeciwko temu, jestem zdania, iż koniecznym jest adres, którenby przynajmniéj jasno określił stanowisko nasze. Wielu tu upiera się przy powodach które zdają im się utylitarne a zdaniem moim wcale utylitarne nie są, bo jeżeli utrzyma się system bar. Beusta centralistycznego dualizmu wewnątrz, a przymierza rosyjskiego na zewnątrz, żadnych koncesyj mimo przyrzeczeń nie otrzymamy ani otrzymać możemy, a i te słabe nabytki, które dotąd mamy, a które tylko przy sumiennném przeprowadzeniu znaczą, stracimy. — Tylko przy zespoleniu sił obozu federalistów, możemy mieć nadzieję przeszkodzenia dzisiejszemu niebezpiecznemu dla Monarchii i dla nas zwrotowi, któren jest tylko nową próbą. — W reskrypcie ministeryalnym pisze p. Beust że jednym z powodów odstąpienia od Rady Nadzwyczajnéj było, że część ludów Monarchii przeciw niéj oświadczyła się, czyż nie jasno że Rada szczuplejsza z atrybucyami pełnéj stanie się niemożebną, jeżeli daleko więcéj prowincyj przeciw niéj się oświadczy. My nie dbamy o żadne *Rechtscontinuität.* Trzymamy się oświadczenia październikowego, że ustawy lutowe Monarchii do ładu nie doprowadzą. Od nich odstąpiono, gdy Węgrzy oświadczyli, że do Rady pełnéj stanowczo nie wejdą, a raz z Węgrami przyszedłszy do porozumienia, próbują dawny system pod inną formą wprowadzić. Ale my w żaden sposób przyjąć nie możemy konstytuanty, którąby o nas a nie o sprawach wspólnych stanowiła, ani też ciała któreby stało pomiędzy sejmami prowincyonalnemi a delegacyami, mającymi stanowić o kwestyach wyłącznie państwowych, o sprawach wspólnych. To zastrzeżenie zrobił sejm w r. 1861. Skończyło się na słowach, dziś musimy to postawić jako warunek *sine qua non* inaczéj przestaniamy reprezentować cokolwiek w Austryi. Nie mówię o żadnych mrzonkach polityki słowiańskiéj, ale po prostu o stanowisku federalistyczném raz określoném występującym jako afirmacya. A zatém sprawy krajowe załatwiane wyłącznie przez sejmy krajowe za sankcyą cesarską, sprawy państwowe przez zgromadzenie delegacyi, w którém te delegacye stanowią każda reprezentacyę swéj prowincyi, nie zaś głosy pojedyncze jako luźne jednostki.

Aby rozprzężoną maszynę wprowadzić w ład, potrzeba zebrać reprezentantów wszystkich krajów, ale zadaniem tego ciała powinno być, nie uchwalanie ale porozumienie się pojedynczych żywiołów pomiędzy sobą i z koroną, aby wynaleźć podstawę odpowiedniego ustroju. Tak pojmowaliśmy Radę

nadzwyczajną hr. Belcredego i na nią chętnie jechać byliśmy gotowi.“

A teraz powiemy, iż rzeczywiście zdaniem naszém sejm galicyjski przedewszystkiém nie może, nie powinien zostawić bez odpowiedzi ów mesaż z 4go lutego, iż w tak ważnéj chwili winien śmiało i odważnie przemówić adresem do tronu. Trzeba koniecznie w téj chwili inaczéj jak tylko negacyą przemówić za systemem federacyjnym, trzeba jasno i dobitnie nakreślić go, słowem potrzebna jest ze strony federalistów afirmacya, trzeba koniecznie abyśmy w obec tego co nam przedstawiają jako zbawienie, powiedzieli co w naszém przekonaniu monarchię uratować i ustalić może.

W tak ważnéj chwili, wśród tylu niebezpieczeństw, wyznajemy, iż kładziemy na bok wszelkie prowincyonalne względy, wszelkie obawy o zniesienie autonomii lub o podrzędniejsze naszéj prowincyi stanowisko, a jedynie mamy na uwadze spieszne i silne ukonstytuowanie się monarchii, zapewnienie jéj całości i potęgi. Otóż pytamy się: czy my, czy kraj, czy sejm lwowski mogą widzieć jakąkolwiek rękojmię pomyślnego dla monarchii skutku w polityce, któréj wyrazem mesaż 4go lutego? Czy sumiennie i jako ludzie dobréj wiary posłowie nasi mogą popychać i przyspieszać wypadki w tym kierunku i na téj drodze, którą z doświadczenia znają jako zgubną dla Austryi? Nie, stokroć nie. Gdyby sejm tak sobie postąpił, słusznie możnaby go posądzić o złą wiarę i jakieś ukryte myśli, już sama niekonsekwencya jego postępowania byłaby czemś monstrualném, dla nas zupełnie nie zrozumiałém. Jeżeli centralistyczno-świętojurski projekt adresu ks. Pawlikowa tak wielką wyraża radość z mesażu 4go lutego, to adres większości autonomicznéj musi równie silnie wypowiedzieć swoje o nim zdanie.

Podług nas nie należy, nie można dla żadnych względów utylitarnych po części urojonych odstępować chorągwi federacyjnéj, którą się przez sześć lat głosiło za swoją. Uległość i powolność w tym wypadku nie byłyby lojalnością lecz słabością. Oto mała ze wszech stron od Niemców zagrożona większość sejmu Morawskiego, nie wahała się przecież wypowiedzieć w adresie swoich zasad. A adres sejmu czeskiego jest pełném doniosłości aktem tak w obecnéj chwili jako téż na przyszłość.

Czy mniema kto, że uległość w polityce jest tak dobrą bronią? czy nie jest widoczném, że opozycya sejmu legalna, ale otwarta, śmiała i silna, doda nawet w obec ministeryum przyszłéj delegacyi wartości i powagi, że wielce ułatwi stanowisko delegacyi saméj w Wiedniu? Więcéj się dba o takich, którzy przychodzą po zaciętéj walce, jak tych, którzy na pierwsze wezwanie stawiają się zgodnie, ulegle, posłusznie. I na

odwrót; łatwiejsza będzie postawa delegacyi w Wiedniu, łatwiejsze nawet te mizerne targi o drobne korzyści, które nam tak leżą na sercu, jeżeli delegacya każdéj chwili będzie mogła odwołać się na opozycyę i rzec: „oto patrzcie, ledwie że nas tu wysłano; jeżeli nam w tém i w tém nie ustąpicie, będziemy musieli wyjść, bo inaczéj opinija wyprze się nas stanowczo.“ Czy dla przyszłych Radców Państwa nie będzie rzeczą wygodną przygotować sobie takie stanowisko obronne, taką z miejscowéj opozycyi broń przeciw centralizacyi, przeciw któréj przecież chcą i myślą walczyć?

Wstrętne nam jest każde poświęcenie zasad dla celów utylitarnych, ale w naszéj nędzy gotowibyśmy zgodzić się i na to, gdybyśmy mogli spodziewać się jakichkolwiek korzyści w sensie autonomii narodowéj, od niemieckiéj większości w Reichsracie, od ministra, któremu się zdaje, że potrafi zerwać przymierze pomiędzy Prusami i Rosyą! Tych atoli spodziewać się nie możemy, a natomiast widzimy wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie złe skutki poddania się bezwarunkowego pod wyroki Rady Państwa; boimy się, że raz się jéj poddawszy, kraj nasz zawsze poddanym jéj zostanie, nawet jeżeliby z innym gabinetem inna w przyszłości miała nastać polityka. Wyobraźmy sobie, że będzie kiedyś minister, któryby rozumiał i chciał uznać nasze prawo i chciał nas wypuścić z Reichsratu? Jakże onby to zrobił, gdybyśmy ten Reichsrath uznali, gdybyśmy do niego poszli tak potulnie, jak grono zastraszonych żaków do klasy? Boimy się zwłaszcza, że stanowisko nasze w obec rządu, w obec krajów niemieckich, w obec krajów słowiańskich, byłoby tą uległością bardzo skompromitowane. Rząd i Niemcy wiedząc, żeśmy się zawsze za federalistów mieli i głosili, a widząc, że dziś tak spokojnie i bez oporu poddajemy się centralizacyi, będą nas mieli za takich, z którymi można zrobić wszystko i nie będą zważać ani na nasze żądania, ani nasze protesta. Słowianie widząc, że Polacy nie opierają się centralizacyi, uważać nas będą za odstępców od idei federalnéj; a wtedy utrata ich szacunku będzie jeszcze najmniejszém złém, jakie sobie sami będziemy musieli przypisać.

Dłatego téż powtarzamy wybiła ostatnia godzina postawienia jasno, śmiało i szczerze programu federacyjnego. Program taki w oczach naszych byłby już drogocennym skutkiem owego porozumiewania się nie Słowian jak utrzymują centralistyczne dzienniki ale federalistów, owego porozumiewania się za którém wciąż przemawialiśmy i które w końcu w konferencyach wiedeńskich przyszło do skutku.

Chcąc obalić to co nam się zgubném wydaje, chcąc wstrzymać rydwan państwa na niebezpiecznéj drodze nie dość zaprzeczać temu co się w obecnéj chwili robi, nie dość potę-

piać ludzi którzy to robią, trzeba jeszcze powiedzieć dobitnie co w miejscu tego chcemy a nawet wskazać poniekąd ludzi; którzyby nasz program umieli, chcieli i mogli przeprowadzić. Z adresów sejmów federacyjnych musi wyjść jasny program przyszłego federacyjnego ustroju Austryi z uwzględnieniem sprawy węgierskiéj, inaczéj, to co się dziś robi acz nader wątłe będzie miało wyższość nad tém, co tylko pozostanie aspiracyą i nie przywlecze form i ciała. Właśnie adres sejmu lwowskiego powinien się stać najbardziéj znaczącą kartą w tém dziele, odmienny od adresu czeskiego o tyle o ile stanowisko tego kraju odmienném jest od Czech, powinien on silnie i śmiało wskazać te warunki, które w jego sumieniu jedynie mogą zbawić Monarchię, powinien wskazać i zastrzedz się przeciw wszystkim niebezpieczeństwom które zagrażają i Monarchi i prowincyi na drodze obranéj pismem z 4 Lutego.

Takie wypowiedzenie, taki program choćby miał na dzisiaj pozostać bezowocnym, będzie niezawodnie miał w przyszłości i to niedalekiéj wielką doniosłość, wielkie znaczenie; tém większe, iż postawi zasadę federacyjną nie jako ideę słowiańską, lecz jako ideę zbawczą dla Austryi i dla wolności w Austryi. Lecz z wystósowaniem adresu nie skończy się zadanie. Jeżeli następnie delegacya sejmu naszego uda się do Wiednia, wszystko teraz zależeć będzie od jéj postępowania i od stanowiska które zajmie. W mocy będzie poniekąd delegacyi ratować tę smutną sytuacyę w którą wchodzimy, będzie to jéj obowiązkiem, na nią spadnie odpowiedzialność. Delegacya znajdzie w Wiedniu zastęp federalistów nieliczny wprawdzie — jeżeli jak to jest więcéj jak prawdopodobném, Czesi nie będą mogli przybyć — i skazany z góry na to by zawsze pozostał mniejszością, ale jako mniejszość poważny, pomiędzy sobą zwarty i wierny swoim zasadom. Jeżeli nasza delegacya do niego się przyłączy, pomoże do nadania idei federalnéj znaczenia a sobie do naprawy zagrożonego w Państwie stanowiska. Ale jeżeli broń Boże chwiać by się miała pomiędzy autonomistami a centralistami lub dualistami, jeżeliby miała w tym wstydliwym przeciwnym naturze związku odbierać atrybucye koronie na to, żeby je dać nie sejmom krajowym ale jakiemuś centralnemu parlamentowi, jeżeliby zapomniała o tém, że dla Polaków wolność narodowa ma być piérwszą a wolność polityczna niemożliwą bez téj pierwszéj, natenczas poświęciłaby rozwój, postęp i samoistność naszego narodowego życia w Galicyi tak zwanym liberalnym teoryom i doktrynom, mówiemy tak zwanym, bo nie ma liberalizmu bez narodowéj wolności a przytém propagandzie rosyjskiéj na Słowiańszczyznę austryacką otworzyłaby już teraz na oścież wrota.

Zresztą położenie w obecnéj chwili wydaje nam się tak anormalném, iż nie wierzemy w jego trwałość, a w dalsze przy-

puszczenia ani chcemy ani możemy się wdawać. Na każdy wypadek żywimy nadzieję, że adres sejmu lwowskiego o wystósowaniu którego nie wątpimy, wytknie jasno dla kraju i jego reprezentacyi dalszą drogę postępowania. Nadmienimy tylko, że skoro delegacya nasza uda się do Wiednia, nikt nie może i nie powinien uchylać się od wejścia do jéj składu, choćby nawet był przemawiał za niewysłaniem. Wśród tylu niekonsekwencyi, byłoby może największą chcieć być zanadto konsekwentnym. Cóż może być dziś rękojmią postępowania delegacyi, jeżeli nie jéj skład.

Nie wątpimy iż wśród tak trudnych i ważnych okoliczności postawa kraju będzie godna, poważna i rozstropna, że kraj pojmie, iż smutny epizod którego doczekaliśmy się, iż ta nowa próba w niczém nie zmienia gruntu rzeczy, podstawy na któréj opieramy od lat trzech naszą narodową politykę, że bynajmniéj nie może i nie powinna osłabiać tych węzłów, które łączą nasze interesa z interesami Austryi, które tém samém łączą ten kraj z dynastyą i koroną. Możemy ubolewać, nie powinniśmy ani rozpaczać ani wątpić, ani odstępować od tego, co za zbawienne uznaliśmy. Przytém winien kraj zwrócić się więcéj jak kiedykolwiek do wewnętrznéj pracy, do téj pracy którą zawsze sam własnemi siłami podjąć może, a zaprawdę na tém polu bardzo dużo jeszcze jest do zrobienia. W jakim głównie kierunku ma być ta praca zwrócona wskazaliśmy na początku tego Przeglądu. Wychowanie ludu wiejskiego, szkoły wiejskie, oto ważne zadanie które wielce ułatwionem będzie przez przyznanie sejmowi i władzom autonomicznym kierunku i zarządu nad niemi.

Lecz są także ważne życzenia i żądania kraju, są uchwały sejmowe nie sankcyonowane jeszcze, za któremi kraj winien wszelkiemi środkami i sposobami, przez wszystkie swoje organa i wpływy obstawać i o nie upominać się bez zwątpienia i znużenia z tą wytrałością, która widzimy jak wielkie osięga skutki.

Dziś na pierwszém miejscu stawiać musimy sankcyonowanie i przyznanie nam Rady szkolnéj. Niemniéj gorąco obstawalibyśmy i dziś jak zawsze za kanclerstwem, gdybyśmy nie wiedzieli, iż sprawa ta złączoną jest z sprawą konstytucyjną i reorganizacyi monarchii, która właśnie się w téj chwili waży i któréj obecne stadium staraliśmy się powyżéj przedstawić. Słowem obstajemy i obstawać wciąż będziemy za owemi naszemi nieprzedawnionemi prawami narodowemi i swobodami, które jak rzekł przy otwarciu sejmu p. Namiestnik „w zasadzie uroczyście nam poręczone, dotąd jeszcze niestety w zupełności urzeczywistnionemi nie zostały.“

Jeżeli odwrócimy oczy od naszych własnych spraw, aby je zwrócić ku ogólnym sprawom europejskim, nic tam równie pocieszającego dopatrzyć się nie możemy. Z jednéj strony widzimy pewną ociężałość i ospałość, którą zwykle dostrzedz można w naturze przed burzą, z drugiéj nieomylne oznaki zbliżającéj się téj strasznéj burzy.

Jedną z najbardziéj uderzających wskazówek owéj ospałości i apatyi jest mowa tronowa cesarza Napoleona przy otwarciu Izb francuzkich. Z godną podziwienia rezygnacyą przyjmuje ona wszystkie dokonane fakta ubiegłego roku, aczkolwiek żadnego pomyślnego dla Francyi podnieść nie mogła; przyjmuje więc z równą obojętnością niesłychane powiększenie się Prus, odstąpienie od tak ze wszech miar kosztownego przedsięwzięcia meksykańskiego, jak i zgodzenie się na widoki Rosyi w kwestyi wschodniéj; jedyną pociechę czerpie w jakiéjś oderwanéj karcie napisanéj przez wielkiego cesarza na ś. Helenie, którą nakręca do tegorocznych wypadków. Użycie téj karty za parawan jest najlepszym dowodem, że sam cesarz czuje, iż postępowanie jego rządu, iż polityka francuska potrzebuje być zasłoniętą, iż jéj ujemne strony muszą być zakryte. Smutne, nader smutne jest to poddanie się „fatalności„ naczelnika wielkiego narodu, jeszcze smutniejsze owo odwołanie się do słów Napoleona I., którego wielka dusza byłaby zadrzała ze zgrozy i oburzenia na widok wypadków zaszłych w tym roku.

Jakżeż nareszcie mamy rozumieć wobec tego poddania się owéj fatalności pchającéj Europę do ukonstytuowania się w wielkie aglomerata, frazes o potrzebie dla równowagi, silnéj i potężnéj Austryi, która przecież jest żywą anititezą „zespolenia i skupienia bliźnich sobie i geograficznie do siebie należnych ludów.“ Byłbyż to tylko frazes? Lecz w takim razie oklaski, któremi zgromadzenie przyjęło ten frazes, winny być dla rządu francuskiego nauką, że naród nie da się oszołomić sofizmatami, że czuje doskonale, gdzie jest klucz bezpieczeństwa Europy i wpływu Francyi.

Nareszcie niepodobna nam pominąć, iż mowa tronowa usuwa poniekąd opiekę, którą miała zasłaniać Ojca Świętego, mówiąc, iż w razie spisków demagogicznych Europa nie dopuściłaby upadku władzy świeckiéj Papieża, i to wtedy, gdy Francya bynajmniéj nie zapewniła Ojcu Świętemu owéj opieki Europy.

W sprawie wschodniéj zaszły zwrot, o ile o nim sądzić można z „księgi niebieskiéj“ i z tego co dzienniki podały o okólniku bar. Beusta, nie jest także czém inném jak skutkiem owéj apatyi, która ogarnęła jednę część świata politycznego. Utrzymanie pokoju, zażegnanie zawikłań, może nawet myśl, aby żadne wypadki nie zakłóciły wystawy powszechnéj,

oto jedyne pobudki, których dopatrzeć się możemy w téj nagłéj zgodzie z widokami Rosyi na Wschodzie mocarstw, których interesa i zadanie tak tam sprzeczne jest z dążeniami państwa carów. Zwrot ten uważać musimy tylko jako wybieg mający na celu zażegnanie burzy, na serio brać go nam nie podobna, tak sprzeczny jest z naturą rzeczy i loiką. Lecz w tak wielkich sprawach podobne wybiegi są nader niebezpieczną grą, a widzimy już, że żądania Rosyi stają się coraz większemi i natarczywszemi.

Tymczasem z drugiéj strony widzimy wielką stanowczość, rozwinięcie wielkich sił i potęgi, dążenie śmiałe do pozyskania nowych. Otwarcie parlamentu północno-niemieckiego jest usankcyonowaniem zdobyczy i wzrostu potęgi pruskiéj. Mowa zaś króla pruskiego świadczy najlepiéj, że w widokach Prus jest to dopiéro początek, że ów parlament nie ma tylko za zadanie ukonstytuowanie północnego związku, ale ma być także Syreną wabiącą wszystkie od Alp ludy giermańskie, któréj one przysłuchiwać się będą. Prusy idą „fatalnie" po drodze, na którą tak śmiało weszły, na któréj tak mało znalazły przeszkód. Z drugiéj strony Rosya wstępuje w sprawie wschodniéj na podobną drogę, z któréj zdają się jéj Austrya i Francya wszelkie usuwać przeszkody.

Budujący to zaiste stan Europy, położenie tak złe i groźne, iż pytać się można ażali jest jeszcze na nie lekarstwo. Skutek to błędów polityki francuskiéj i austryackiéj, błędów szczególniéj niezbyt dawnych, skutek, nie przestaniemy powtarzać, tego zaślepienia i nieudolności, które w 1863 r. nie dozwoliły tym dwom mocarstwom uchwycić ostatniéj może chwili, w któréj można było Europę ukonstytuować i zasłonić się przed wzrostem Rosyi i przewagą Prus. Obecny stan Europy, dzisiejsze położenie Austryi i Francyi, są najlepszą obroną tych, którzy jak my w 1863 r. nie chcieli przypuścić, iż mocarstwa te pozostaną do tego stopnia, jak się późniéj okazało, obojętnemi na własne interesa i na bezpieczeństwo Europy, najlepszą odpowiedzią tym, którzy nas z tego powodu potępiają.

St. Koźmian.

(P. S.) Kiedy kończyliśmy ten *Przegląd* miesięczny, doszła nas wiadomość o rozwiązaniu sejmu czeskiego i rozpisaniu nowych wyborów. Fakt ten bynajmniéj nie zmienia naszego

przekonania wyżéj wyrażonego o zadaniu sejmu lwowskiego, lecz raczéj utwierdza nas w niém. Sejm prażski wysyłając adres do korony, użył przysługującego mu prawa, monarcha rozwiązując go użył swojego prawa, powtórne wybory rozstrzygną. Nic w tém nie widzimy ani złowrogiego ani niebezpiecznego; lecz przeciwnie upatrujemy w postępowaniu sejmu czeskiego rękojmię, że wielka sprawa, która dziś się waży, sprawa reorganizacyi monarchii, nie będzie lekko i jednostronnie rozstrzygnięta, że nie wejdziemy w żadnym razie stanowczo i nieodwołalnie na zgubną drogę. Wobec tego położenia rzeczy sejm lwowski więcéj niż kiedykolwiek ma obowiązek pozostania wiernym chorągwi federalistycznéj. Jeżeli wierzymy w tę ideę, jeżeli ją uważamy za zbawczą dla monarchii, to trzeba koniecznie, aby dziś równie korona jak nasi przyjaciele polityczni i przeciwnicy mogli porachować siły obozu federalistycznego. Adres więc sejmu lwowskiego, przemawiający za autonomią krajów koronnych a za formą federacyjną dla monarchii, jest dziś w naszém przekonaniu niezbędnym, jeżeli sejm chce wypełnić swe obowiązki równie względem monarchii jak względem prowincyi. Kto zaś sumiennie te obowiązki spełni, ten nie powinien, nie może się następstw obawiać.

OMYŁKI

w artykule: Konstanty Gaszyński, wydrukowanym w zeszycie lutowym „Przeglądu Polskiego"

I tak: na karcie 284 Gaszyński urodził się roku 1809, a nie 1808, jak wydrukowano.

Daléj na karcie 287: nie Gaszyński, ale Seweryn Goszczyński jest autorem pieśni: Za Bug! Za Bug!

Nakoniec na karcie 301: Muza Gaszyńskiego możeby miała familijne podobieństwo z muzą Krasickiego, nie zaś Krasińskiego, jak mylnie położono, a co daje fałszywe porównanie, i myśl zmienia.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawierać będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	. . . .	12 Złr. w. a.
„ półrocznie	. . . .	6 „ „
„ kwartalnie	. . . .	3 „ „
W Prusach	. . . .	8 Talarów.
We Francyi	. . . .	25 Franków.
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	. . . .	1 Złr. 50 c.

Od Administracyi „Przeglądu Polskiego“.

Uprasza się P. P. Prenumeratorów o wczesne odnowienie abonentu na czwarty kwartał rozpoczynający się z dniem 1go kwietnia, również przypominamy tym Panom, którzy dotąd należytości za trzeci kwartał nie uiścili, aby takową jak najprędzéj odesłać raczyli.

PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT X.

1go Kwietnia 1867.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.



PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT X.

Miesiąc Kwiecień 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.

O kwestyi ruskiéj.

III.

W r. 1861 spostrzegli świętojurcy z najwyższém nieukontentowaniem, iż między ruską młodzieżą galicyjską, mianowicie lwowską, szerzyć się zaczęła agitacya, wręcz przeciwna zamiarom konsystoryalnym. Zaczęły się pojawiać pisma Szewczeńki i innych pisarzy małoruskich, zaczęto sprowadzać Osnowę i inne czasopisma, czytane z największym zapałem. Powtarzano sobie coraz częstsze wiadomości o braciach zakordonowych, rozprawiano z coraz żywszém ubolewaniem o ich prześladowaniu przez Moskali. Słowem pojęcia o sprawie czysto ruskiéj, serdeczna dla niéj sympatya, szerzyły się i wzrastały niesłychanie.

Niebawem na wzór małoruskich zawiązała młodzież lwowska ruską gromadę we Lwowie, zaś nieco późniéj potworzyły się takie gromady w Przemyślu, Kołomyi i innych miastach. Za cel główny postawiono sobie rozwój czysto ruskiéj narodowości, wolnéj zarówno od wpływów polszczyzny jak i moskiewszczyzny. Stowarzyszenia te doznawały żywéj sympatyi i poparcia ze strony całego ogółu ruskiego, mianowicie księży i urzędników.

Z początku zachowywali się świętojurcy, przynajmniéj na pozór, obojętnie. Występując ustawicznie w imieniu i w obronie narodu i narodowości ruskiéj, nie mogli na prędce znaleść powodu uderzenia na stronnictwo, które pod takimże samym grupowało się sztandarem.

Spokój ten jednakowoż trwał niedługo. W r. 1862 zaczęła Młoda Ruś wydawać literackie, czysto ruskie czasopismo „Weczernyci". Charakter i kierunek tego pisma był oczywiście wręcz różny od wychodzącego już podówczas świętojurskiego

„Słowa“. Z tego właśnie powodu znalazło ono poparcie nawet ze strony niektórych świeczników partyi świętojurskiéj, mianowicie niektórych wysokich urzędników. Świętojurcy przeto ujrzeli się spowodowanymi rozpocząć walkę.

Weczernyciom i całemu stronnictwu Młodéj Rusi zarzucono jako grzech pierworodny rewolucyjność. Stronnictwo to, tłomaczyli świętojurcy, uwielbia katorżników i zesłańców jak Szewczeńko i inni, stronnictwo to wraz z Polakami dąży do przewrotu społecznego, i z tego powodu wraz z Polakami zmusza ojcowski rząd rosyjski do środków represyjnych.

Twierdzenia te wystarczyły, aby dla zapatrywania się świętojurców zjednać cały ówczesny policyjny rząd austryacki, który jak wiadomo niczego więcéj nie lękał się i nie nienawidził jak rewolucyjności. Chłodziły one zresztą sympatyę wielu Rusinów dla Młodéj Rusi, zwłaszcza urzędników, wychowanych w zasadach najuniżeńszéj lojalności.

Oczywiście winném temu było jedynie fałszywe przedstawianie owéj okrzyczanéj rewolucyjności małoruskiéj, którą świętojurcy w takiż sam sposób prześladowali Małoruś, w jaki nas Polaków prześladują wszystkie nieprzychylne nam rządy.

Z góry musimy oświadczyć, że pojęcie rewolucyi jako zasady uważamy niedorzecznem w całém tego słowa znaczeniu, a samą rewolucyę uznajemy w najbardziéj nawet usprawiedliwionych wypadkach za *malum necessarium.* Rewolucya bowiem jest i musi być wstrętną wszelkim usposobieniom uczciwszym i humanitarniejszym, a jak wiadomo, pociąga ku sobie z pomiędzy ludzi szlachetniejszych tylko umysły w niewłaściwym kierunku wyegzaltowane. Że zresztą rewolucya usposobieniu Polaków jest nadzwyczajnie daleką i obcą, dowodzi najlepiéj przebieg dawniejszéj naszéj historyi. Przez kilka wieków czuł cały naród potrzebę zmiany politycznych i społecznych stosunków, przez kilka wieków gadał o tém głośno, odgrażał się, bawił w konfederacye i zamieszki — a nie zdobył się mimo to na rewolucyę.

Dopiéro po podziale Polski wmówiono w nas usposobienie rewolucyjne *quand même.* I na jakichże podstawach? Oto Moskale i wszelkiego gatunku Niemcy gnębili nas i uciskali wszelkiemi sposobami, odmawiali nam praw najświętszych, każdemu narodowi przyznanych, prześladowaniem ścigali nas od

kolebki do grobu — a ponieważ ośmieliliśmy się nie uwielbiać tego postępowania, ponieważ usiłowaliśmy uwolnić się od tak niesłychanego ucisku, okrzyczano nas rewolucyonistami, t. j. ludźmi dążącymi ustawicznie do wywrotu wszelkiego porządku i prawa. Tymczasem zamiary nasze są i były zawsze wręcz przeciwne, bo myśmy dążyli właśnie do przywrócenia porządku i prawa, do usunięcia gwałtów i bezprawia.

Rewolucyjność polska, twierdzą nasi nieprzyjaciele, jest niepoprawną, nie do wykorzenienia. Z mlekiem matki przejmują ją dzieci, w wyrostkach przybiera ona już nadzwyczaj niebezpieczne rozmiary, a młodzież jest z reguły czysto rewolucyjnym elementem.

To prawda, ale któż temu winien? Któż winien, że natura obdarzyła nas większą ilością poczucia honoru i sprawiedliwości jak naszych ciemięzców? Któż winien że w polskiém dziecięciu, patrzącém na prześladowanie i katusze rodziców, budzi się szlachetne oburzenie, które przez całe życie już go nie opuszcza? Któż winien że w ambitném chłopięciu polskiém, prześladowaném za narodowość, za język ojczysty, słuszne to oburzenie potęguje się w opór, którego siła zdumiewa nieraz oprawców? Któż winien że młodzież nasza, widząc najczęściéj wszelkie dla siebie drogi zaparte, wszędzie odpychana, wszelkimi sposobami uciskana, wyrosła w żywioł bezwzględnie istniejącemu nieporządkowi rzeczy opozycyjny?

Ale tego nazwać nie można usposobieniem rewolucyjném. To tylko instynktowy popęd obrończy, każdemu właściwy zwierzęciu. Niech ustaną powody, a skutki znikną same z siebie. Wróćcie nam nasze prawa, wróćcie nam wolność — a rewolucyoniści będą między nami takimiż samymi wyjątkami jak w każdém inném społeczeństwie.

Otóż i rewolucyjność Młodéj Rusi zupełnie takiéj saméj jest natury. Prześladowana ze wszech stron, prześladowana w sposób najwyszukańszy, musi ona rzeczywiście życzyć sobie zmiany istniejących stosunków, musi dążyć do niéj, musi *ipso facto* wobec niewłaściwego rozumienia rzeczy przybierać cechy rewolucyjności. Moskale i świętojurcy nie poniechali oczywiście przedstawiać ją za żywioł czysto i wyłącznie rewolucyjny.

Organ Młodéj Rusi w Galicyi, Weczernyci, postępując ile możności w kierunku małoruskim, przyswoił sobie także piso-

wnię fonetyczną, tak zwaną kuliszówkę. Podało to nowy powód agitacyom świętojurskim.

Znamy już wpływ wszechwładnéj hierarchii duchownéj na urobienie tak zwanego rusko-galicyjskiego języka. Języka tego wyuczono całą niemal generacyę, wykształcono na nim mianowicie cały zastęp szkolnych urzędników ruskich, którzy, jak mówiliśmy, nieraz w dobréj wierze uważali go za czysto ruski. Zawiłość etymologicznych badań i wywodów czyniła go w oczach wielu tym cenniejszym i droższym owocem rozwoju ruskiéj narodowości. Wystąpienie Młodéj Rusi z pisownią fonetyczną okrzyczeli świętojurcy nowym dowodem zgubnéj rewolucyjności, która nie umie uszanować najświętszych skarbów narodowych, jakim jest język. Przyjęcie pisowni fonetycznéj, przedstawiono za sposób degeneracyi wykształconego języka, za powrót do narzecza chłopskiego. Wielu z pomiędzy Rusinów, najgorliwszych zresztą patryotów, ale wykształconych w owym książkowo galicyjskim języku, poczytywało rzeczywiście wprowadzanie nieznanego bliżéj języka i pisowni małoruskiéj za herezyę, za rewolucyonizm; inni znowu, mianowicie urzędnicy szkolni, którzy swoje urzęda i karyery zawdzięczali protekcyi świętojurskiéj za propagowanie zmoskwiconego języka, stawali w obronie jego z obawy narażenia się swoim dotychczasowym protektorom.

Nie było zresztą środków agitacyjnych, którychby świętojurcy przeciw Młodéj Rusi i organowi jéj, Weczernyciom, nie używali. Wysyłano na prowincyę ajentów, którzy jeżdżąc od parafii do parafii, uczęszczając mianowicie na praźniki, oczerniali przed księżami w najrozmaitszy sposób narodowe stronnictwo. Z takiemiż oszczerstwami obiegało po księżach mnóstwo listów. Jeden z agitatorów wyznał w czasach późniejszych, iż sam z polecenia konsystorza przeszło 100 listów podobnych przeciwko Weczernyciom do różnych księży rozpisał.

Zdyskredytowane wobec rządu jako organ stronnictwa rewolucyjnego, podminowywane w opinii publicznéj przez świętojurców, musiały Weczernyci niebawem zawiesić wydawnictwo.

Porażka ta jednakowoż nie przygniotła stronnictwa narodowego, ale rozpłomieniła tylko nienawiść jego dla świętojurców. Na to roznamiętnienie wpływało zresztą wiele innych pomniejszych okoliczności. Między innemi np. w roku 1862, w rocznicę śmierci Szewczeńki, chciała młodzież ruska we

Lwowie odprawić nabożeństwo za jego duszę. Świętojurcy, zasłaniając się kanonami, które wzbraniają odprawiania nabożeństwa za szyzmatyków, odmówili swego współudziału i swoich cerkwi. Młodzież zaś, nie uwzględniając powodów kanonicznych, przypisała wszystko jedynie niechęci świętojurców, i nieomieszkała wypominać im tego gorzko. Do tego, prawdopodobnie niesłusznego obwinienia, przyczyniły się jednakowoż także bardzo słuszne i prawdziwe. Nie mogąc uzyskać nabożeństwa w cerkwiach unickich, postarała się młodzież o takowe w cerkwi nieunickiéj, w któréj téż od tego czasu corocznie rocznica śmierci Szewczeńki uroczyście obchodzoną bywa. Oprócz narodowych pieśni ruskich, śpiewanych przy téj sposobności, rozdają bezpłatnie drukowane broszurki, poświęcone pamięci Szewczeńki, pełne czysto ruskich patryotycznych uczuć. Koszt całego wydawnictwa i nabożeństwa zaspakajają dobrowolne składki ubogiéj młodzieży ruskiéj. Owóż faktem jest, że świętojurcy udawali się wprost acz bezskutecznie do dyrekcyi policyi z prośbą, aby nabożeństwa te zakazanemi zostały.

W samych początkach tworzenia się galicyjskiego stronnictwa Młodéj Rusi ofiarowała młodzież portret Szewczeńki do wielkiéj sali domu narodowego. W czasie rozgorzenia wspomnionéj walki świętojurcy usunęli portret ten ze sali pod pozorem, że Szewczeńko był religii prawosławnéj. Zaniosło się z tego powodu na ogromną burzę; młodzież, wyprawiając groźne manifestacye, dopominała się z taką gwałtownością umieszczenia portretu na dawném miejscu, że świętojurcy radzi nie radzi, unikając większych kompromitacyi, żądaniu temu zadość uczynić musieli.

We wszystkich tych wypadkach była oczywiście głównie czynną ruska gromada lwowska. Za jéj wzorem postępowały w takiż sam sposób gromady prowincyonalne. Nie mogąc zaś w braku cerkwi prawosławnéj odprawiać żałobnego nabożeństwa za duszę Szewczeńki, urządzano w doroczną cześć jego pamięci, zwłaszcza w Przemyślu, wieczory deklamacyjno-muzyczne. Doświadczywszy, że wieczory takie niemały wpływ wywierają, postanowiła również gromada lwowska urządzać takowe prócz nabożeństwa. W roku 1865 został zapowiedziany pierwszy taki wieczór, który jednakowoż nie doszedł do skutku, ponieważ wydział „Ruskiej Besidy“ nie pozwolił użyć w tym

celu wielkiéj sali domu narodniego. Przypomniawszy sobie, że właśnie przed rokiem tenże sam wydział ofiarował wspomnioną salę bezpłatnie niemieckiemu towarzystwu muzycznemu Harmonia, wystąpiła Młoda Ruś z namiętną przeciw świętojurcom polemiką.

Główny wyraz téj polemice nadał powstały w roku 1863 polityczno-literacki dwutygodnik pod tytułem „Meta". Czasopismo to, redagowane w czysto małoruskim języku i pisownią fonetyczną, liczące w gronie współpracowników wielu Małorusinów, wystąpiło z góry z dowodzeniem odrębności narodowości ruskiéj od moskiewskiéj pod wszelkimi możliwymi względami, jako téż z tendencyą ruskiego rozwoju na czysto narodowych podstawach. Od początku téż wywołała Meta niesłychane ze strony świętojurców inwektywy i prześladowania. A ponieważ około redakcyi Mety ugrupowało się i skonsolidowało stronnictwo, które zdaniem naszém musi wpłynąć przeważnie na losy ruskiéj kwestyi w Galicyi, ponieważ zresztą zasady tego stronnictwa i redakcyi niemały już wpływ na ogół ruski wywarły, czujemy się obowiązanymi podać w dosłownem tłomaczeniu ustępy, które jako właściwy program Mety i jéj stronnictwa uważać należy.

W jednym z pierwszych numerów oświadcza redakcya: „iż słowa Ruś, ruskie, będziemy używać w znaczeniu narodowém, t. j. zastosowując tę nazwę tylko do tego ludu, którego etnografia i zagraniczny zwyczaj nazywa ludem małoruskim, i że używanie tych słów w obszerniejszém znaczeniu, t. j. obejmującém także Moskwę i naród moskiewski — poczytywać będziemy za tendencyjne zatracenie naszéj ruskiéj narodowéj niepodległości".... „Czas już bowiem objawić przed Bogiem i ludźmi, że żaden życzliwy narodowi swemu Rusin nie przyznaje się do narodowéj jedności z Moskalami, tak samo jak do polskiéj narodowości nigdy się nie przyznawał, a powtóre że każden szczery, narodowości swéj świadomy Rusin, w sojuszu z taką Rosyą, jaką ona dzisiaj się przedstawia, nie widzi żadnéj korzyści dla swego narodu."

Co się tyczy świętojurców oświadcza Meta: „*primo* że moskiewska ich agitacya dąży do tém prędszego zprawosławienia i zmoskalenia całéj Rusi galicyjskiéj, i *secundo* że téj moskiewskiéj partyi nie idzie bynajmniéj ani o dobro kraju

naszego, ani o dobro państwa, gdyż celów swoich patrzy ona gdzieindziéj, t. j. za granicą. Interesem jéj jest utrzymywanie narodu naszego w nędzy i ciemnocie, a państwa bogdaj w czasowym kłopocie. Będąc narzędziem obcéj polityki, nie sprzyja ona ani oświacie narodowéj, ani dobru państwa. Przeto czuliśmy się obowiązanymi wypowiedzieć o niéj nasze zdanie, a walkę z nimi poczytujemy sobie za najświętszy nasz obowiązek, jako walkę z wrogami, którzy usiłują wydrzeć dane nam przez Boga nasze życie narodowe."

Co do własnych zasad oświadcza redakcya:

„1) Meta głosi jedność i niepodległość ruskiego narodu, Meta głosi patryotyzm narodowy zgodny z zasadą prawa, Meta nie występuje w interesie politycznego separatyzmu, Meta nie jest rewolucyjną."

„2) Meta głosi całość, potęgę, konstytucyjny rozwój i missyjne posłannictwo Austryi w interesie wszystkich jéj ludów, w interesie Słowiańszczyzny, w interesie ruskiego narodu. Meta więc głosi patryotyzm państwowy; Meta chociaż jest przeciwną zaoktrojowanemu rządowemu systemowi (ustawie lutowéj), któren okazał się niepraktycznym tak dla państwa jak i dla narodów, wychodząc jednak z zasady październikowego dyplomu, nie jest nielojalną."

„3) Meta jest za unią z Rzymem, i idzie jéj tylko o autonomię kościelną, bo w tém widzimy większą gwarancyę dla narodowości ruskiej, niżeli w zwróceniu się do prawosławia, które będąc zcentralizowaném w petersburgskim synodzie, zatraciło główną charakterystykę pierwotnego wschodniego kościoła, a stawszy się narzędziem rządu moskiewskiego, staje się dla narodowości ruskiéj pod panowaniem moskiewskiém nie równie niebezpieczniejszém, niżeli unia z Rzymem dla Rusinów austryackich nawet przy dotychczasowém sponiewieraniu autonomii naszego kościoła. Meta więc żąda jedynie reformy zewnętrznych stosunków kościoła ruskiego do Rzymu, Meta nie występuje w interesie dogmatycznym separatyzmu — Meta nie jest heretycką."

W taki sposób odpowiadała Meta na insynuacye i oszczerstwa świętojurców. Kiedy zaś podnosić zaczęto jeszcze jeden przeciwko niéj zarzut, dotyczący ważnych na przyszłość zamiarów — stronnictwo Młodéj Rusi odpowiedziało niżéj powołanym

artykułem, który jakkolwiek w części tylko właściwe jego odsłania zamysły, w każdym jednak razie dość ważne skazówki o całym patryotycznym kierunku ruskim podaje.

„Świętojurcy utrzymują — powiada Meta — że największym zarzutem, jaki nam uczynić można jest, iż chcielibyśmy oderwać Ukrainę od Rosyi i przyłączyć ją do Austryi. Z tego dosłownego powiedzenia jednego z naszych moskalofilów jest oczywistém, że naszéj staréj partyi nie podoba się trzeci punkt naszego wyznania politycznego, który brzmi następnie: Wierzymy, że wyrzeczone w konstytucyjnéj Austryi narodowe uprawnienie Rusinów, przy odpowiedniém postępowaniu i sumienném korzystaniu z przyznanego sobie zasadniczego prawa, musi pociągnąć za sobą równouprawnienie narodowości ruskiéj w państwie rosyjskiém, rządzoném dotąd absolutnie, i dlatego téż szukać należy punktu grawitacyjnego dla narodowości ruskiéj nie w Rosyi lecz w Austryi. — W punkcie tym nie mówi się nic wprawdzie o oderwaniu Ukrainy od Rosyi i przyłączeniu jéj do Austryi, lecz podaje się tylko środek do wyjednania autonomii dla ruskich ziem pod berłem moskiewskiém zostających, środek zupełnie prawny, polegający na taktowném postępowaniu Rusinów w Austryi, gdzie korzystając z nadanego nam równouprawnienia narodowego, już tém samém stajemy się punktem grawitacyjnym dla téj części narodu ruskiego, która dotąd z praw takich nie korzysta. Twierdzimy, że póki Rusini w Austryi, korzystając z równouprawnienia, rozwijają swoją własną narodowość, t. j. póki nie dążą do zlania się z moskiewską narodowością, mianowicie przez przyjęcie moskiewskiéj literatury, póty stają się oni potężnym przymusem dla rządu moskiewskiego do pójścia w ślady Austryi, t. j. do przyznania Rusinom wolności i autonomii. Lecz cóż, starania o równouprawnienie, o autonomię dla narodu ruskiego, rząd moskiewski poczytuje za występek, za separatyzm polityczny, za rewolucyę. Oto co pisze organ rządowy moskiewski, Wiestnik południowo-zachodniéj i zachodniéj Rosyi, założony specyalnie dla zwalczania ruskiego narodowego ruchu na Ukrainie. Autor tego artykułu dowodzi, że w masach ruskiego ludu na Ukrainie tleją już iskry separatyzmu, z których przy pierwszéj burzy politycznéj, przy rozdmuchiwaniu ruskich patryotów, powstać może pożar. Daléj zaś mówi: Oprócz wielu danych

dowodzących, że obawy te nie są wybrykiem rozbujałéj fantazyi lub indywidualnego pesymizmu, przeczucia nasze opierają się na okolicznościach i charakterze chachłomańskiego organu, o którym mamy zamiar teraz pomówić. Meta ukazała się światu w sąsiedniéj, staréj prowincyi rosyjskiéj, w Galicyi, zkąd polska rewolucya czerpała i czerpie największe poparcie. Jak to widać z głównych i pomniejszych artykułów, przesyłanych Mecie z rozmaitych miejsc Małorosyi i podpisywanych często rzeczywistemi imionami, często zaś pseudonimami, zawdzięcza Meta egzystencyę swoją moralnemu i materyalnemu poparciu Małorosyi. Meta jest więc rzeczywistym organem naszych spiskowców, jest proklamacyą rewolucyjną nie w Austryi, z któréj galicyjscy Rusini są zadowoleni, i dla któréj Meta jest więcéj niż uprzedzającą i przyjacielską, lecz u nas. Ona to więc pobudza naród małoruski do oddzielenia się od Moskwy i do zdobycia sobie autonomii. Około Mety więc grupują się rewolucyoniści chachłomańskiego komitetu, stworzywszy z Mety coś nakształt Gazety narodowéj, a ze Lwowa Warszawę lub Paryż. Meta więc jest organem separatystycznym, a protegująca ją narodowość nieprzyjazną sąsiadką. Jeżeli więc Austrya na żądanie rządu moskiewskiego nie zabroni wydawania Mety, Rosya ma zupełne prawo uważać za *casus belli* protegowanie nieprzyjaznego sobie i rewolucyjnego pisma."

Jeszcze żywsze nieukontentowanie obudzał między Moskalami i świętojurcami następny ustęp Mety:

„Niech się nie zdaje Moskalom, że ruska narodowość osłabła do tyla, by kiedyś nie mogła dojść do pewnego znaczenia w świecie politycznym, i że pamiętne słowa czeskiego patryoty Hawliczka o potrzebie dla słowiańskich ludów takiego państwa, jakiém jest Austrya — są tylko czczą frazeologią. Austrya jest, i trzeba jéj jednego tylko bystrego polityka, któryby pojąwszy słowiańskie jéj posłannictwo, kierując się zasadą narodowości i federacyjnéj autonomii, usunął centralistyczny system polityki niemieckiéj, tak przeciwnéj Słowianom — i w stósownéj porze stworzył w Austryi, na zachodzie, centrum Słowiańszczyzny, którego Moskale napróżno szukają w Rosyi, na wschodzie. Taka stósowna pora nadarzyłaby się przy pierwszym ruchu ludu ruskiego, który przy nieustającém i tendencyjném gnębieniu może powstać i pociągnąć za sobą całą

Słowiańszczyznę przeciw Rosyi; a wówczas, dodawszy do potęgi Słowiańszczyzny 15 milionów ludu ruskiego, śmiało liczyć można na pomyślny skutek wojny z władcą północy, i odjąwszy mu posłannictwo słowiańskie, zwalczonego odprawić z jego posłannictwem moskiewskiém na wschód — lecz nie do Carogrodu — a do Pekinu."

Dodać tu musimy, iż jeżeli w zamiarach Młodéj Rusi było i jest dążenie do połączenia ziem ruskich pod opieką berła austryackiego, o czém oczywiście trudno rozprawiać zbyt jawnie i otwarcie — tak znowu z drugiéj strony dążenie takie uważane i przedstawiane było przez świętojurców na seryo jako zbrodnia stanu. Nie śmiejąc ze zdaniem tém wystąpić otwarcie, aby tym sposobem nie odstręczyć wielu stronników, niewtajemniczonych w właściwe plany świętojurskie, ograniczono się na przedrukowywaniu moskiewskich w tym względzie rozumowań w „Słowie", i na sprowadzaniu broszur moskiewskich takiéjże treści, które mianowicie za pomocą lwowskiéj księgarni ruskiéj jak najskrzętniéj upowszechniano. Meta oczywiście nie zaniedbała podnieść i należycie ocenić takiego postępowania. Tym sposobem wywiązywała się coraz namiętniejsza między obu stronnictwami polemika. Świętojurcy chwycili się środków represyjnych. W początkach roku 1865 zwierzchność ruskiego seminaryum duchownego ogłosiła rozporządzenie konsystoryalne, zabraniające uczniom tegoż seminaryum prenumerować i czytać Metę. Ktoby już zaprenumerował, ma niezwłocznie odebrać przedpłatę; zaś kogoby złapano na czytaniu tego pisma zakazanego: będzie zawezwanym do tłomaczenia się przed świętojurski konsystorz i do odpowiedzialności pociągniętym zostanie.

Skutkiem tego zakazu było oczywiście, że seminarzyści ruscy z tém większym zapałem zaczęli czytać, prenumerować i wspierać Metę, która nieomieszkała odpowiedzieć konsystorzowi namiętnym artykułem i bezwarunkowém odsłonięciem wszystkich grzechów świętojurskich. Nieposiadający się ze złości konsystorz nad nowym przemyśliwał odwetem. Niebawem otrzymał zarządca drukarni stauropigialnéj, zależnéj od konsystorza, zakaz drukowania Mety, pomimo że wydawnictwo za każden numer pisma gotówką płaciło. Zakaz ten, okrywający konsystorz śmiesznością, został wprawdzie na czas jakiś odro-

czony, ale wraz z ustawicznemi szykanami zmusił redakcyę do przeniesienia się do innéj drukarni.

Oczywiście nietylko seminarzyści lecz i księża ruscy, unikając prześladowania, tylko w największéj tajemnicy przed swą duchowną zwierzchnością mogli prenumerować i czytywać Metę. Faktem jest zresztą, że prócz współpracowników Mety, którzy wobec świętojurców byli ludźmi z pod wszelkiego wyjętymi prawa, doznawali najdotkliwszego prześladowania wszyscy ich krewni, mianowicie księża i urzędnicy, których bezpośrednio i pośrednio przez rząd, zawsze mściwa ręka konsystorza dosięgnąć była w stanie.

Prócz w dziennikarstwie toczyła się walka wspomniana także na wszystkich innych punktach narodowego życia ruskiego, mianowicie w instytucie tak zwanéj halicko-ruskiéj Matycy i w teatrze.

Pierwsza powstała jeszcze w r. 1848 na zjeździe uczonych ruskich, postawiwszy sobie za cel rozwój literatury i oświaty ludu ruskiego. Przedłożone rządowi jeszcze w r. 1849 statuta, otrzymały zatwierdzenie dopiéro w r. 1864. Mimo to istniała instytucya od pierwszéj chwili zawiązania, podtrzymywana wkładkami członków oraz dobrowolnemi darami, a zatrudniając się uprzywilejowaném wydawnictwem książek elementarnych w języku zmoskwiconym. Zatwierdzenie statutów umożebniło jedynie coroczne ogólne posiedzenia członków i wydawnictwo peryodycznego pisma literackiego.

Jeszcze w r. 1864 odbyło się pierwsze ogólne zgromadzenie członków Matycy. Na zebraniu tém wystąpili stronnicy Młodéj Rusi z oskarżeniem, iż wydawanie książek elementarnych w zepsutym języku prowadzi wprost do moskwicyzmu, a powołując się na mnóstwo przykładów, uderzali mianowicie na wprowadzaną przez wydział językowy zmianę nazwy ruski na russki. Poparcie interpelujących było nadzwyczajnie silném; po stronie ich stanęła ogromna większość zgromadzonych, prócz całéj młodzieży mnóstwo księży z prowincyi i kilku znanych w literaturze ruskiéj profesorów. Wydział Matycy uniewinniał się zaprzeczając, jakoby pisownia etymologiczna, oparta na starym języku cerkiewnym, prowadziła do moskwicenia języka ruskiego. Posiedzenie zamknięto dość nagle, pozostawiając rozstrzygnięcie sprawy na rok następny.

Wnet po zamknięciu posiedzenia zaczęła Matyca wydawać pismo peryodyczne pod tytułem „Zbornik naukowyj“, redagowany w czysto moskiewskim języku, a z małemi tylko różnicami co do pisowni. Moskiewska propaganda świętojurców stawała się coraz wyraźniejszą. Nazywając literaturę moskiewską „obszczoruską“, t. j. ogólnie ruską, twierdzili zarazem bez ogródki, że na polu językowém język ruski zlać się musi z moskiewskim. Twierdzenia takie wywołały ogromne oburzenie w samychże szeregach świętojurskich. Jeden z księży i założycieli Matycy w r. 1848, były poseł sejmowy i gorliwy stronnik ruskiéj frakcyi sejmowéj, wystąpił z tego powodu w roku 1865 z obszerną w Mecie rozprawą, wykazującą iż na zebraniu Matycy w r. 1848 wskazane były zasady pisowni języka ruskiego, które uwzględniając pisownię etymologiczną, zupełnie różne jednak były od zasad, których się obecnie w wydawnictwach swoich trzyma Matyca. „Nie wiedzieć, czy to jest język czysto narodowy, jakim pisano Wezwanie i Zbornik — zapytuje powołany autor — i czy w ten sposób pisownię w duchu narodowego języka poprawiać należy? Zdaje się co do tego języka i pisowni, że niewiele potrzebowaliby go poprawiać w Moskwie..... Mimowoli przeto nasuwa się pytanie, jaki cel postawiła sobie halicko-ruska Matyca? Jestże tym celem oświata narodu za pośrednictwem dobrych książek, któreby naród czytał i z nich się uczył? Czyż można wzbudzić ochotę do czytania w języku którego się nie rozumie? Czy sądzi kto, że tą drogą naród prędzéj przyjdzie do oświaty?“ Można sobie wyobrazić o ile namiętniéj przeciw temu kierunkowi Matycy występowali młodzi stronnicy Młodéj Rusi.

Z obu stron przygotowywano się do zaciętéj walki na ogólne posiedzenie r. 1865.

Według statutów Matycy wolno na naradach pojedyńczych wydziałów bywać także osobom obcym, nienależącym do stowarzyszenia. Taki obcy, zapisując się na tymczasowego członka wydziału, zyskuje prawo głosowania porówno z rzeczywistymi członkami. Uchwały wydziałowe jednakowoż idą pod decyzyę ogólnego zebrania Matycy, gdzie już tylko sami członkowie mogą głosować. Z tego powodu stronnicy Młodéj Rusi zebrali się bardzo licznie na posiedzenia wydziału językowego, i większością głosów uchwalili: votum nieufności dla wydziału

wykonawczego Matycy za wydawanie dzieł w języku zmoskwiconym, oraz powrót do prawideł pisowni czysto ruskiéj.

Ale ogólne zebranie w r. 1865. było nadzwyczaj nieliczne. Ze 172 członków przybyło tylko 27, a z tych 19 we Lwowie zamieszkałych. Powodem nieprzybycia było ogólne zniechęcenie się członków dla propagowanéj przez Matycę moskiewszczyzny, któréj zależni od konsystorza księża bez dotkliwego narażenia się na prześladowanie zapobiedz nie mogli. Usunięciem się zamanifestowano powszechną niechęć i nieufność.

Kiedy przeto uchwały wydziału językowego przyszły pod obradę ogólnego zgromadzenia, świętojurcy większością głosów orzekli, iż uchwały te biorą się do wiadomości. Na tém zakończyła się sprawa, a Matyca bez najmniejszéj zmiany wydaje nadal książki w tymże samym moskiewskim języku.

Mimo wszelkiéj opozycyi postępowała propaganda moskiewska olbrzymim krokiem. Profesor literatury ruskiéj na uniwersytecie lwowskim miewa po dziś dzień prelekcye jedynie o literaturze moskiewskiéj „obszczeruskiéj“, a o ukraińskiéj, prawdziwie ruskiéj, nigdy ani słowem nie wspomni. Wydawany przez Matycę Zbornik naukowy posiada takie wzięcie u Moskali, że Rusini galicyjscy, chcący otrzymać posady w Moskwie, za najlepszą rekomendacyę używają drukowanie artykułów swoich w tymże Zborniku. Co się zaś tyczy innych wydawnictw Matycy, mianowicie uprzywilejowanych książek elementarnych, wielce pouczającą jest okoliczność następna. Rząd moskiewski zaprowadzając niedawno reformę szkół w Królestwie Polskiém, nakazał dla szkół południowo-wschodniéj, t. j. ruskiéj części gubernii lubelskiéj, używanie austryacko-ruskich dzieł elementarnych, i takowe ustawicznie z Galicyi sprowadza.

Odwdzięczając się za te względy, strzegli świętojurcy jak najstaranniéj, aby uniemożliwić handel książkami ruskiemi. Księgarnie lwowskie, zostające pod ich nadzorem, innych nad zmoskwicone i moskiewskie książki utrzymywać nie śmiały i nie śmieją; księgarnie polskie, jak mówiliśmy, zupełnie takim handlem się nie trudnią, a wszelkim innym przedsiębiorstwom umiano zawsze skutecznie zaradzić. Jeden np. z obywateli i kupców lwowskich, Rusin, starał się przez długi czas o pozwolenie otworzenia handlu ruskiemi książkami — ale nadaremnie. Przed kilku miesiącami, w skutek intryg święto-

jurców, odmówiło mu Namiestnictwo ponownie potrzebnego pozwolenia.

Meta oczywiście wraz z całém swojém stronnictwem nie przepuszczała płazem podobnych faktów. A jeżeli świętojurcy, popierani przez organa rządowe, zbrojni rzeczywistą władzą, bo w ręku swym dzierżący losy całego duchowieństwa i urzędników, mimo wszelkiéj opozycyi z dawnego toru zwrócić się nie dali, zaprzeczyć się także nie da, iż opozycya Młodéj Rusi na cały ogół ruski ogromny wpływ wywarła. I tak mimo formalnego przymusu ze strony konsystorza, wyłamują się księża ruscy wszelkiemi sposobami od prenumeraty Zbornika, który licząc początkowo do 1000 prenumeratorów, obecnie zaledwie 500 egzemplarzy drukuje, z których tylko część mała w Galicyi się rozchodzi.

Zwrot ten w ogólném usposobieniu nie ukrył się przed okiem świętojurców. Obawiając się wszelkiéj klęski rozgłośnéj, nie zwołali już w r. 1866 ogólnego zebrania członków Matycy, zasłaniając się pozorem niebezpieczeństwa cholery, któréj jak wiadomo zgoła we Lwowie nie było.

Podobnie miała się także sprawa z ruskim teatrem we Lwowie. Koncesyę na jego założenie otrzymał jeden z wyższych urzędników austryackich, który przez długi czas zostastawał w ścisłych z Młodą Rusią stosunkach, był jednym z głównych założycieli pisma „Weczernyci“, a uzyskawszy w r. 1864 wspomnianą koncesyę, utworzył komitet teatralny z samych stronników partyi narodowéj. Świętojurcy niechętni w ogóle otworzeniu teatru ruskiego, obawiający się entuzyazmowania przezeń publiczności w czysto ruskim kierunku, zachowywali się początkowo obojętnie przez wzgląd na założyciela, który za główne zadanie postawił sobie przejednanie i połączenie obu wrogich stronnictw.

Jakoż był teatr ruski przez czas pewien rzeczywiście czysto narodowym. W ogłoszeniach konkursu na napisanie sztuk teatralnych zastrzegano wyraźnie, iż sztuki mają być pisane w czysto ruskim języku. Afisze drukowano pisownią fonetyczną, a na scenie nie używano innego jak tylko czysto małoruskiego narzecza. Dobór sztuk odpowiadał zupełnie temu kierunkowi, co się mianowicie w tém przebijało, iż charaktery czarne, złe i podłe, wcielano prawie bezwyjątkowo w Moskali.

Przedstawienia te obudziły zaraz z początku ogromny entuzyazm zwłaszcza między młodzieżą ruską. Tego było zanadto świętojurcom. Niebawem zagrozili dyrekcyi odebraniem sali w domu narodnim, w któréj odbywały się przedstawienia. Przelękniony założyciel teatru, od którego jako *conditio sine qua non* żądano zmienienia pisowni fonetycznéj na etymologiczną, kazał wydrukować afisze własnego wynalazku pisownią, t. j. na pół fonetyczną a na pół etymologiczną, którą wszystkie stronnictwa wyśmiały — i odsunął z komitetu jednego z najznaczniejszych członków, redaktora Mety. W krótkim czasie zastąpiono resztę członków figurami świętojurskiemi, zaprowadzono nie tylko etymologiczną ale wręcz moskiewską pisownię i język, ulubione antimoskiewskie sztuki jak: Marusia, Moskal i inne wyrzucono z repertoarza teatralnego, i zdepopularyzowano teatr do tego stopnia, że dziś nikt prawie nań nie uczęszcza.

O przebiegu téj sprawy wyraża się następnie jedno z pism ruskich:

„Ważność ruskiego teatru narodowego umieli najlepiéj ocenić ci, którzy nie pragną samoistnego rozwoju ruskiéj narodowości, a mianowicie ta klika staréj partyi (świętojurców), która nosi się z ideą panrusizmu. Ludzie ci silnie są przekonanymi, że idea samoistności narodowéj stanowi nieprzezwyciężoną zawadę dla panrusizmu. Idea narodowa jest zawsze wielką potęgą, a posiawszy raz na ruskiéj niwie ziarno ruskie, nie łatwo stłumić go przyjdzie kąkolem moskiewskim. Na wypadek pewnych, spodziewynych ewentualności sądzą apostołowie panrusizmu, że polonizm w ostateczności da się wyprzeć bagnetami za San, jak się to już praktykuje w ruskich prowincyach pod panowaniem moskiewskiém po téj stronie Dniepru, a natomiast będzie można niewyrobioną niwę zasiać moskwicyzmem, który pod imieniem r u s s k i bogdaj o tyle się przyjmie, o ile się przyjął w kraju zadnieprzańskim i o ile w ruskich prowincyach po téj stronie Dniepru przyjął się polonizm. Moskalofilska klika nie chce mieć w Galicyi prawdziwego ruskiego teatru, któryby był towarzyską szkołą prawdziwego, jednolitego języka ruskiego, wspólnego wszystkim Rusinom tak pod panowaniem austryackiém jak i moskiewskiém, jako téż dźwignią poczucia samoistności narodowéj. Chciałaby ona mieć tu teatr moskiewski, a przynajmniéj taki, jaką jest

ich halicko-ruska literatura, t. j. teatr któryby propagował tendencye panrusizmu i przysposabiał narodowi naszemu drugi peryod wynarodowienia, t. j. zmoskalenie.... Zastanowiwszy się nad tém łatwo zrozumieć można, dla czego moskalofilska klika przeciw założeniu ruskiego teatru we Lwowie agitowała. Fakt ten znanym jest dobrze nawet samym założycielom teatru. Obecnie taż sama moskalofilska klika nie oponuje teatrowi, lecz przeciwnie potakuje we wszystkiém teatralnemu zarządowi, bo wie dobrze, że przy obecnym zarządzie, narodowy teatr ruski koniecznie upaść musi.... Wiadomo wszystkim, że narodowa partya wtedy, kiedy moskalofile sprzeciwiali się ruskiemu teatrowi, z zapałem przychylną była téj instytucyi, bo widziała pewien porządek w jéj kierownictwie, niepoddawanie się wpływom moskiewskiéj kliki, dogadzanie myśli narodowéj i nadzieję przyszłego postępu instytucyi. Narodowe stronnictwo stanęło w opozycyi dopiero wtedy, kiedy obaczyło, że tak ważna instytucya zaczyna się koszlawić, że poddała się wpływom moskiewskiéj kliki, że jéj zabrakło technicznego postępu i ekonomicznego porządku, i że przez to kłoni się ku upadkowi. Z tego każdy wnosić może, że pierwotna zgoda i obecna opozycya narodowego stronnictwa z pierwotną opozycyą i obecną zgodą moskiewskiéj kliki w żywotnéj sprawie ruskiego teatru nic identycznego ze sobą nie mają, że więc opozycya, którą dzisiaj publicznie stawiać zmuszeni jesteśmy, nie pochodzi ze złych pobudek, z jakich właśnie wypływa teraźniejsza zgoda nienarodowéj kliki z postępowaniem teatralnego wydziału, lecz ze szczerego patryotyzmu, mającego na celu niedopuszczenie upadku jednéj z najważniejszych instytucyi."

Świętojurcy, jak widzieliśmy, odnieśli na wszystkich niemal punktach walki zwycięztwo materyalne. Zwycięztwa te jednakowoż, łatwe do zrozumienia w obec znanych nam stósunków spółecznych, pociągnęły za sobą tém dotkliwsze klęski moralne. Odsłonięcie przez Młodą Ruś starannie dotąd ukrywanych a rzeczywistych zamiarów świętojurskich, zniechęciło przeciwko nim cały ogół ruski. Niezadowolenie w ogromnych szerzyło się rozmiarach. Obłudne występowanie świętojurców w imieniu narodu ruskiego coraz mniéj znajdowało wiary. Organ ich „Słowo“ tracił abonentów, i tak jak do dziś dnia jedynie za pomocą moskiewskiéj subwencyi mógł się utrzymy-

wać. Inne pisma świętojurskie, jak Nedila, Piśmo do Hromady, Hołos narodnyj, Wiestnik i inne, z każdym dniem traciły na wpływie i czytelnikach. Owszem w głównym mateczniku moskiewszczyzny dla Galicyi, w ruskiém seminarium wiedeńskiém ogromne zaszły zmiany. W krótkim przeciągu czasu młodzież tameczna przerzuciła się w małoruśczyznę tak stanowczo, że o dalszém moskaleniu jéj mowy być nie mogło. Na wzór gromad galicyjskich obchodzono tam nabożeństwa i wieczory na uczczenie pamięci Szewczeńki, chwytano się literatury i pisowni małoruskiéj, wydawano w tymże duchu wiersze i broszury. Dodać wreszcie należy, iż cały ten kierunek zwłaszcza ze strony duchowieństwa galicyjskiego, jak najżywszéj doznawał sympatyi.

Największy cios zadała świętojurcom zmiana ministeryalna. Po oświadczeniu p. Belcredego, iż zrywa stanowczo z biórokracyą, po niektórych krokach, które za dowody powyższemu oświadczeniu służyć mogły — świętojurcy uczuli usuwający się grunt pod nogami. Biórokracya była zawsze największą ich podporą, tylko w sojuszu z biórokracyą doszli oni swéj wszechwładzy i ogromnych wpływów. Jedno i drugie ujrzały się z gruntu zagrożonemi.

Młoda Ruś podniosła natomiast głowę. Zmiana stósunków wróżyła im zmianę położenia, uśmiechała się możliwością zwycięztwa. Ogół ruski, od lat tylu przywykły drzeć przed nieubłaganą władzą dotychczasowych swoich przewodników z głębi serca pragnący ich upadku, zajął stanowisko wyczekujące, gotów każdéj chwili, przy wyjaśnieniu się sytuacyi, znienawidzone porzucić sztandary.

Tak stały rzeczy w chwili otwarcia sejmu galicyjskiego w listopadzie r. 1865. Na poparcie tego sejmu liczyła Młoda Ruś i jéj przyjaciele, poparcia tego wyglądano jak zbawienia. Tymczasem pierwszy głos, jaki ze strony polskiéj ozwał się o kwestyi ruskiéj, był tym samym, jakim całe niemal dziennikarstwo polskie w Galicyi oddawna tylko jątrzyło stósunki między Polską a Rusią, był tym samym niebacznym głosem bezwarunkowéj negacyi, jaki już w r. 1848 przyczynił się do popchnięcia sprawy ruskiéj na najniewłaściwsze tory. Jeden z mowców sejmowych oświadczył, że Rusi nie ma wcale, że Ruś to Polska, a co nie jest Polską, to Moskwa. Przeciw

2.

temu orzeczeniu nie podniósł się ze strony polskiéj ani jeden głos w obronie słuszności, w obronie prawdy.

Oznaczenie to, poparte przez polskie dziennikarstwo galicyjskie, musieli Rusini przyjąć za jednomyślny wyraz całéj polskiéj opinii publicznéj. „Sądziliśmy z początku — oświadczały z głębokim żalem organa Młodéj Rusi — że po téj pamiętnéj mowie podniosą swe głosy protestujące niektórzy ze sprawiedliwszych Polaków; głosu jednak tego nikt nie podniósł, ale słychać było rzęsiste i huczne oklaski. Niema Rusi — jest teraz hasłem tych samych Polaków, którzy przed trzema laty walczyli o swoją wolność i niepodległość, krwią swoją zlewali pole walki, a przez organa ówczesnéj rewolucyjnéj władzy swojéj, rządu narodowego, głosili światu równouprawnienie Rusi!“

Głos ten podnieśli dopiero świętojurcy. W sejmie wystąpili przeciw twierdzeniom Polaków jako reprezentanci narodu ruskiego — poza sejmem wskazywali z tryumfem, czém są Polacy w obec narodowości ruskiéj, jak wszelkimi sposobami walczyć z nimi wypada. Ukrywszy zresztą jak najstaranniéj wszelką moskiewszczyznę, przemawiając znowu tylko w imieniu Rusi, poważni władzą i silną organizacyą, która sama jedna dawała im możność skutecznego opierania się nieprzyjaciołom — świętojurcy odzyskali niebawem dawny, chylący się do upadku wpływ swój, odnieśli jedno z najświetniejszych zwycięstw.

Takie były skutki owych czczych oracyj sejmowych.

Korzystając z pierwszych chwil pomyślniejszych gruntowali się świętojurcy do zupełnego przygnębienia swoich przeciwników. My wszyscy Rusini — tłomaczyli — i różnią nas głównie spory gramatyczne. Teraz, kiedy nad nami zawisła kwestya życia i śmierci, nie czas okazywać Polakom rozdwojenie w ruskim obozie.

Twierdzenia te, poparte zręcznem exagerowaniem niebezpieczeństwa, poparte władzą, organizacyą, wszelkimi wpływami, nie mogły nie wywrzeć odpowiednich skutków. Ogół ruski zgorszony postępowaniem Polaków, widząc świętojurców występujących jedynie w obronie ruskiéj narodowości, słysząc z ust ich twierdzenia, że Ruś a Moskwa to nie jedno, lecz dwa różne narody; ogół ten, szlachetny, prawdomowny i nie

oswojony z dyplomatyczną przewrotnością, przyjmował w dobréj wierze powyższe twierdzenia. Z drugiéj strony stronnictwo narodowe, prześladowane i ubogie, pozbawione najniezbędniejszych środków, nie zdołało oprzeć się wszechstronnemu uciskowi. Skutkiem tego było, że wydawnictwo Mety i innych pism narodowych, jak: Niwy, Czytelni, Duli, zawieszono niebawem, a stronnictwo samo ujrzało się zmuszoném przycichnąć na czas jakiś.

Wszechwładni znowu świętojurcy, nauczeni doświadczeniem, kryli się starannie poza obłudną maską ruszczyzny. W przeciągu kilku miesięcy nie zdradzili nigdy swoich sympatyj i dążności moskiewskich.

Polacy tymczasem popierali mimowolnie świętojurców całém zachowaniem się swojém w obec kwestyi ruskiéj. Wpadając na coraz niefortunniejsze pomysły, wywołali między innemi gorszącą komedyą tak zwanych historycznych Rusinów, która tylko do rozjątrzenia niechęci całego ogółu ruskiego się przyczyniła. Zdaniem tego ogółu odgrywanie takiéj komedyi uważać należało za loiczną konsekwencyę zaprzeczenia istnienia ruskiéj narodowości i możności jéj rozwoju. Miała ona bowiem dowodzić, że narodowość ruska z postępem cywilizacyjnym staje się polską, że przeto o właściwéj cywilizacyi ruskiéj i o rozwoju ruskiéj narodowości mowy być nie może. Jeżeli obecnie, w niewoli, zdolni są Polacy z wyszukaną obłudą upierać się przy takich twierdzeniach, czegóż nie będą zdolni w okolicznościach zmienionych, np. jako władcy prowincyi ruskich?— zapytywano się ze wstrętem.

Co do nas, głęboko jesteśmy przekonani o płonności podobnych obaw. W inném położeniu, tj. posiadając wolność i władzę, postępowanie Polaków względem Rusi byłoby i musiałoby być zupełnie różném. Obecnie Polacy i Rusini, jesteśmy zarówno jak ludzie chorzy, z nadzwyczaj rozdrażnionemi nerwami. Każda drobnostka przybiera w oczach naszych ogromne rozmiary, najniewinniejsza okoliczność budzi w nas niesłychane obawy. Gdyby nie nasze anormalne położenie, uważalibyśmy wszyscy ocknienie się Rusi za rzecz zupełnie naturalną i prostą; gdyby nie to anormalne położenie, Rusini nie straszyliby się upiorem, który żadnéj racyonalnéj nie posiada podstawy — upiorem spolszczenia Rusi.

Nie myślimy wreszcie uniewinniać takich obaw ani jednéj ani drugiéj strony. Jednym i drugim ganimy je zarówno, a sobie samym, Polakom, ganimy je więcéj jeszcze jak Rusinom. Wyższość bowiem cywilizacyi, wyższość inteligencyi, jaką nam ciż Rusini przyznają, winna nas tém silniéj przed podobnemi chronić słabostkami. Nam wreszcie męczennikom wolności, przodownikom Słowiańszczyzny, chorążym wielkiéj idei, mniéj niż komukolwiek innemu szeptają takie poziome, małoduszne obawy.

Świętojurcy umieli korzystać ze wszystkiego i korzystali rzeczywiście. Stanąwszy raz na stanowisku reprezentantów Rusi, jéj obrońców, skierowali całą usilność swoją ku rozszerzeniu téj przepaści, jaka nas z Rusią dzieliła, ku rozjątrzeniu wzajemnych niechęci i nienawiści. Im dalszy bowiem odstęp między obu narodami, tém większa i pewniejsza potęga świętojurców.

Zdało im się wreszcie, że już najzupełniejsze odnieśli zwycięztwo. Kiedy wreszcie zaszły bardzo niepomyślne dla monarchii austryackiéj wypadki, kiedy po klęsce königreckiéj przewidywano nawet możliwość zupełnego Austryi rozbicia, osądzili świętojurcy, iż w obec pradopodobieństwa rychłego zaboru moskiewskiego czas odrzucić maskę obłudną. Wówczas wystąpili w organie swym, w „Słowie“, ze znanym programem moskiewskim, orzekającym, że Ruś a Moskwa to jedno, to jeden i ten sam naród russki.

Rozproszone stronnictwo Młodéj Rusi nie miało sposobności wystąpienia do walki z tém oświadczeniem. Ale bez skutku reakcyjnego nie pozostało ono bynajmniéj. Powszechne oburzenie i niechęć, zmuszone do milczenia, spotęgowały się tylko, otworzyły oczy łatwowiernym, zaszczepiły najtrwalszą i najniebezpieczniejszą dla świętojurców opozycyę.

Opowiedziane tu wypadki nie są bynajmniej złudzeniem wyobraźni. Najmniéj należy doń poszczególna zmienność w postępowaniu świętojurców. Jako jeden z niezliczonych dowodów przypominamy czytelnikom dwa charakterystyczne ustępy z oracyi jednego i tegożsamego mowcy świętojurskiego. Dnia 12 kwietnia 1866 r., w chwilach kiedy świętojurcy wszelkiemi siłami dążyli do zyskania stanowiska reprezentacyi ruskiéj, kiedy jeszcze wiedli o to walkę z Młodą Rusią, oświadczył

ksiądz Naumowicz w izbie sejmowéj: „Jak ne możem buty Polakamy, tak ne jeśmo Wełykorussamy; wsehda byłyśmo, jeśmo i budemo Małorusamy; ani polskij ani wełykoruskij jazyk ne stane sia nikoły naszym, bo tak toj jak sej ne jest nam pytomyj narodnyj. Buły u nas w kraju usyłyja ku pryniotiju w knyżnu literaturu wełykoruszczynu, no usyłyja tyji ne pokazati praktycznych owoszczej, tak samo jak i polskij jazyk i literatura buły, sut i budut dla nas jazykom i literaturoju bratnioho, słowiańskoho naroda, no ne naszoju pytamoju. U nas wyrobyło sia wże czuwstwo połnoje małoruskoje, kotoroje nikomu ne wrażdebnoje, no stremył do swojej narodnoj siły, i duch sej roste, i czysło naszych pohornykiw szczo deń hobilszaje sia w perekonaniju, że my wsi ne czyim ne jeśmo łysz Rusynamy."

Zaś na dniu 27 grudnia tegożsamego roku 1866, po zgnieceniu Młodéj Rusi, po upojeniu się szałem zupełnego zwycięztwa, tenże sam ksiądz Naumowicz oświadczył w téjże saméj izbie sejmowéj:

„Że jest schodstwo meży jazykami wsich Sławian, że jazyk nasz zhidnyj jest z jazykom, kotoryj nyni upotreblaje sia w samoj Moskwi, za toje my szej ne wynny!... Zhadstwo naszoho jazyka z rosyjskim jest oczewydne, bo na tych samych żerełach, na tych samych prawyłach opyraje sia; a jesły historya wam izwistna, to znajdete, szczo meże Sławianamy najsampered proświszczenie buło u nas na Rusy, buło w Kijewi, a potomu nastały neszczasływi czasy, o kotorych pysze historya, koły perenesło sia proświszczenie, wsi monumenta starynnoj naszoj knyżnoj literatury z Kijewa na Siwer. Szczoż to takoho złoho panowe, szczo my teper z widłam widberajem to, szczo buło i jest naszym pytomym." A ponieważ to się działo w izbie sejmowéj, odpiera mowca jedynie zarzut: „jakoby wspilnost naszoj literatury z wełykoruskoju mała jakoje znaczenje politycznoje."

Tymczasem, jak wiadomo, więcej niżeli o „wspilnost" literatury chodzi świętojurcom o owe „znaczenije politycznoje". Temu „znaczeniju" gwoli stała się Galicya coraz obszerniejszą areną moskiewskich agitacyj. Lwów i cała prowincya zaroiły się moskiewskimi agentami, jak Mezero, Kokoszkin, Łe-

bedińcew, Kryżanowski i inni, którzy zawsze w najściślejszych ze świętym Jurem zostają stosunkach, których z wielką atencyą przyjmuje się w ruskiém kasynie w Domu narodnim, gdzie wysłańcy moskiewskiego despotyzmu udają zazwyczaj ludzi bardzo liberalnych.

Cóż powiedzieć o hojnych stypendyach, otwieranych przez rząd moskiewski dla russko galicyjskiéj młodzieży, o składkach zbiorowych w Moskwie i Petersburgu na poparcie russko-galicyjskiéj literatury, o żeńskim zakładzie wychowawczym w Chełmie, z którego, jak to z ogromną pociechą ogłaszają świętojurcy, wolno korzystać także russkim dziewczętom galicyjskim, o ściąganiu za pośrednictwem „Słowa“ młodych profesorów galicyjskich do Kongresówki, których Wite, kurator warszawskiego okręgu naukowego najpierw zapytuje: „Czy macie rekomendacyą od księdza G. profesora ruskiéj literatury na uniwersytecie lwowskim?“

Ostatecznie wszystko to wpłynęło na obudzenie się tém zaciętszéj niechęci i nienawiści w Rusinach, na gotowanie się stronnictwa Młodéj Rusi do tém zacieklejszéj walki. W przededniu jéj wybuchnięcia czuliśmy się obowiązanymi do podjęcia pracy niniejszéj, aby współrodakom naszym dać ile możności prawdziwe i sprawiedliwe przedstawienie całéj sprawy.

Kończyć tę pracę morałami, wydaje nam się zbytecznêm. Kto bowiem uzna i uwzględni przytoczone fakta, temu każden fakt taki dostarczy odpowiedniéj nauki moralnéj; i przeciwnie, na czyje przekonanie same fakta wpłynąć nie potrafią, temu nie pomogą najpiękniejsze nawet morały. Daj Boże, aby ten ostatni wypadek nie spotykał ani sprawy ruskiéj, ani niniejszéj pracy naszéj.

Ostatecznie winniśmy zastrzedz się przeciwko podejrzeniom o egzagerowane Rusinofilstwo. W sercu, w duszy, w całéj istocie mamy tylko jedno uczucie, tj. polskie, mamy tylko jednę narodową namiętność i miłość, tj. polską.

Wyznajemy otwarcie, że gdyby można jakim cudem zmienić Ruszczyznę w Polszczyznę — odpowiedziałoby to najmocniéj naszym życzeniom. Ponieważ jednak cuda takiego rodzaju są niemożliwemi, ponieważ Ruś istnieje i wszelkie do tego posiada prawa — życzymy z głębi serca jéj rozwoju i spotężnienia.

Życzymy tego zarówno tak dla Rusi jak dla Polski, owszem najgoręcéj życzymy sobie tego właśnie ze względu na Polskę.

Z tych wreszcie powodów hasłem naszém, które według głębokiego przekonania stać się winno hasłem wszystkich Polaków, jest: Pohybel Moskwie i świętojurcom — zwycięstwo Rusi!

Bernard Kalicki

NOTATY
o edukacyi w Królestwie Polskiém.

W obec tak szeroko traktowanéj kwestyi edukacyjnéj w Galicyi — nie obojętnemi są zapewne wiadomości o stanie edukacyi szkolnéj w innych częściach Polski.

Zeszłoroczny raport dyrektora głównego komisyi rządowéj oświecenia publicznego w Król. Polskiém daje nam możność choć powierzchownego poglądu na tyle ważną sprawę, a zarazem i na los młodych pokoleń, w téj tak długo przewodniczącéj części kraju naszego.

I.

Edukacyę młodzieży w Królestwie oddawna sam Bóg prowadzi. W r. 1832 w czasie wielkiéj reakcyi po powstaniu 1830 r. wszystkie szkoły publiczne były zamknięte a funkcya edukacyjna życia społecznego rozpoczęła się dopiero w r. 1833. Miejsce uniwersytetu warszawskiego zajęły kursa pedagogiczne i kursa prawne. Poważna władza edukacyjna jaką była komisya oświecenia, czyli właściwie ministerium, została zniesioną, jéj miejsce zajęła kuratorya okręgu naukowego warszawskiego, podporządkowana wraz z kuratoryami okręgów naukowych w Imperium, centralnemu ministerium narodowéj oświaty w Petersburgu. Na szkołach średnich rozpoczęły się experymenta ponawiane corocznie, radykalnéj zmiany programatów naukowych, z jedną dążnością stałą rozszerzenia języka rosyjskiego. Szkół ludowych pod surowemi karami zabroniono zakładać.

Zanim powiał po Europie duch rewolucyjny, już rządy mikołajowskie zazdrosne wówczas równie silnie o protektorski tytuł względem legitymizmu, jak dzisiejsze Aleksandra wzglę-

dem pseudo-liberalizmu, rozpoczęły antirewolucyjną reakcyę;— a że nauka i szkoła miały podług cara Mikołaja być głównemi źródłami zapsucia, zaczęły więc znikać powoli, najprzód wyższe zakłady naukowe — następnie wyższe klasy gimnazyum, tak że jeżeli nas nie zawodzi pamięć, już w roku 1849 Warszawa nie posiadała żadnego wyższego kursu naukowego po nad czwartą klasę gimnazyalną, — a w całym kraju liczącym wówczas 4,500.000 mieszkańców, nie ostało się jak 5 kompletnych, 7 klasowych gimnazyów*), to jest jedno gimnazyum na 900.000 mieszkańców — w tych liczba uczni ograniczona do 50ciu na każdą klasę, a język wykładowy rosyjski.

Już przecież w r. 1850 rządowy prąd obskurantyzmu dotychczas li negujący wszelkie światło, zaczyna przyjmować arcy-racyonalny kierunek.

U steru wychowania w Królestwie stanął Paweł Muchanów głowa nader organiczna, o ile tylko rosyjska nią być może — mąż stanu z pełną tradycyą bizantyńskiéj chytrości i petersburskiéj nieugiętości, — godny poprzednik Milutynów i Czerkaskich. Obszerne są zasługi jego na polu destrukcyi polskiego organizmu społecznego. W edukacyi, systematem jego było utopić Polaka, utopić człowieka w chaosie specyalnych wiadomości, zatracić go w chaosie umiejętnych fałszów, zbyt bujne poloty młodego umysłu przytępić rutyną, a ład i porządek zaszczepić moskiewski.

Pod jego kierunkiem zaczęły powstawać, tyle gdzieindziéj pożyteczne szkoły realne — lecz z których starannie usuwano wszelką wiedzę mogącą obznajamiać młodzieńca z rozwojem ducha ludzkiego — a do których uczęszczania zmuszano, nie przyjmując do innych szkół dzieci nie szlachty (legitymowanéj).

Przez założenie szkół realnych pięć istniejących gimnazyów stało się gimnazyami filologicznemi**); lecz i do nich rozciągnęła się persekucya tak zwanych humaniorów.

Od 4téj klasy rozdzielano w nich edukacyę na dwa oddziały: prawny i filologiczny. — Chłopcy 12to letni uczyli się prawa — nie ucząc się za to języków klasycznych — filologom,

---

*) Płock, Suwałki, Lublin, Radom i Piotrków — miały szczęście mieć gimnazyalną szkołę.

**) Do nich przyjmowano li szlachtę wylegitymowaną.

nie udzielano znów żadnych wiadomości z historyi naturalnéj a języki klasyczne miały być wykładane w kierunku praktycznym.

Zaprowadzono wszędzie nad młodzieżą opiekę tak zwanych diadków, to jest odkomenderowanych z armii podoficerów. Zaprowadzono naukę maszerowania. Scisłe zachowanie przepisanego munduru postawiono po nad wszystkie obowiązki moralności, a zachętą do nauki miały być co miesiąc ponawiane usadzania uczniów podług starszeństwa w nauce, to jest podług wyższego przeciętnego stopnia, wyciągniętego ze stopni dawanych przez nauczycieli wszystkich przedmiotów w miesięcznych raportach. Rozumie się, że ów przeciętny stopień musiał być obliczony na ułamki setne, a uczeń co miał o $^5/_{00}$ wyższy od drugiego, zasiadał jako dostojniejszy jednym miejscem wyżéj (teorya czinów).

Szczytem maszyny do przytępienia polskiej bystrości i zaciemniania polskich umysłów — miała być zaprowadzona przy wszystkich gimnazyach 8 klasa czysto prawna — dla prawników od pieluch — w Warszawie zaś, która przy téj sposobności po latach dziesięciu pierwszy raz zasłyszała o średnich zakładach naukowych zaprowadzono dwie inne jeszcze instytucye: instytut szlachecki i 8-klasowe gimnazyum realne. Pierwsza instytucya zakład zamknięty — ze staranną a bardzo tanią edukacyą powierzchowną, miała się stać głównym wzorem prawdziwie rosyjskiego wychowania, druga dostarczać najwyżéj ukwalifikowanych techników, bez znajomości przecież zasad wyższego rachunku, i bez wszelkiéj świadomości o tém, co po za obrębem fabryk i warsztatów dziać się może, a tak starannie przeciw téj niepotrzebnéj dywersyi w nauce zabezpieczona, że nawet sakramentalny wykład historyi rosyjskiéj opuszczonym został. Na lep pierwszéj instytucyi złapało się wiele rodziców z klasy wyższych urzędników, zubożałéj szlachty, lub zbogaconych parweniuszów. Druga we wszelkich stanach stała się instytucyą najmodniejszą czy najpopularniejszą. W pierwszéj, zamknięcie razem kilkuset polskich chłopców — wyrobiło ducha swawoli i kamraderyi, który w szlachetnych polskich uczuciach i w patryotyzmie szukał podniety — a zakład zamknięty w celu ryczałtowéj russifikacyi młodzieży, stał się propagatorem polonizmu dla dzieci rosyjskich urzędników. Druga, przez zetknięcie się młodzieży wszelkich stanów, rozbudziła syste-

matycznie przygniatane umysły, — a będąc nie wiele lepszym od innych zakładem wychowawczym w Królestwie, stała się dla młodzieży szkołą narodowéj solidarności.

Nadchodziły téż czasy przebudzenia się ducha narodowego w kraju. Żelazna ręka Mikołaja przestała ciężyć nad Polską i jedna chwila w któréj nie stało gniotącéj dłoni wystarczyła na zaczerpnięcie z głębi piersi oddechu. Na próżno cesarz Aleksander aż do Warszawy przyjechał aby oświadczyć, *que tout ce que mon pére a fait, il a bien fait*," nie powstrzymało to już tu swobodniejszego ruchu, nie wierzono carskim zapowiedziom, i trzeba było morza krwi i otchłani cierpień aby zrozumiano carskie *„point de rêveries"* i zaniechano złudzeń.

W téj to pięknéj epoce przebudzenia, wynalazły się i drogi obejścia zakazu szkół ludowych. Pod wpływem szczególniéj Tow. rolniczego — rozpoczęło się na wielką skalę zakładanie po wsiach ochronek, — które jako takie wolnemi były od kontroli rządowéj, a stawały się prawdziwemi szkołami ludowemi; — lat pare zaledwie minęło, gdy już każdy majętniejszy obywatel wstydził się przyznać, że w dobrach swoich nie zaprowadził jeszcze ochronki, a posiadacz wsi pojedyńczéj, że nie wynalazł kogoś ze swojéj rodziny lub zarządu prowentowego, do nauczania wiejskich dzieci we dworze. W szkołach średnich wykłady w języku moskiewskim, którego nie rozumiało $^{3}/_{4}$ nauczycieli a ani jeden uczeń, same przez się zredukowały się do czystéj formy, — właściwy wykład odbywał się po polsku.

Na długo, bo na rok lub dwa przed pierwszemi ruchami w Królestwie — stało się już rzeczą niezawodną, że cele edukacyi jakie sobie rząd założył w znacznéj części chybionemi zostały.

Lecz Muchanów nie był człowiekiem, któryby tak łatwo od dzieła odstąpił, rozpoczęły się na nowo reformy szkół, które wznośniejszéj formie od poprzedniéj organizacyi, miały za główny cel wszelki naukowy związek pomiędzy oddzielnemi zakładami poprzerywać, tak aby uczeń, który kończył 5 klasę we Włocławku, nie był zdolny przejść do 6téj lub nawet do 5téj klasy, szkoły istniejącéj w innem miejscu, ba, nawet uczeń szkoły z jednaką rodzajową nazwą na jednéj ulicy Warszawy,

do szkoły na drugiéj ulicy. Każda prawie szkoła miała stanowić zupełną, odrębną od innych całość, i wypuszczać zupełnie skończonego człowieka — zdatnego do *niczego*.

Chcąc zaś jeszcze radykalniéj dzieło zepsucia przeprowadzić, kurator zakładał żeńskie gimnazya i zamknięte pensye rządowe. Dla młodych ludzi pragnących zaś oświaty wyższéj została założoną akademia medyczna w Warszawie, jako jedyne ujście dla ich zapału naukowego, — cesarz Mikołaj powiedział bowiem: „że z uoczonych kto chce dobrze służyć ojczyźnie powinien być medykiem *).

Nowe programata nie miały czasu wejść jeszcze w życie, gdy prąd ducha narodowego przybrał rozmiary tak zwanéj od Moskali moralnéj rewolucyi, a pierwszy padł jéj ofiarą wojujący moralnemi środkami Muchanów. Ustąpił więc zużyty do ostatka — lecz ustąpił zostawiwszy wprzódy jad trucizny w organizmie polskim. Ducha narodowego nie zabił — przeciwnie, duch ten szeroko się rozbudził, lecz na spółecznóm polu działalności zabrakło obszernego poglądu, zabrakło siły charakteru — że święte uczucia i zdrowe poczucia następnie zgubnym poszły torem, nie mała w tém zasługa spolaczonego Muchanowa.

W dziele wychowania a następnie całego zarządu krajem, miejsce jego zajął margrabia Wielopolski. Zasadniczą zasługą jego polityczną, pomnikiem rządów jego trwalszym od spiżu, — główną dźwignią dla urzeczywistnienia jego idei miał się stać racyonalny i polski systemat edukacyjny. A ponieważ szło właściwie nie o reformę, lecz o stworzenie rzeczy nie istniejącéj — na bok i na późniéj więc odłożywszy zaspokojenie oddzielnych potrzeb edukacyi, zajął się przedewszystkiém zaprowadzeniem jednolitego programatu naukowego, opartego na wszechstronném ludzkiém wykształceniu, — i rozszerzeniem środków téj edukacyi, przez pootwieranie szkół pozamykanych. Koroną jéj miała być szkoła główna (uniwersytet) w Warszawie i szkoła politechniczna i agronomiczna w Puławach. Koroną zaś systematu, niezawisła od Petersburga, wznowiona komisya

*) Niesłusznie przypisują Aleksandrowi założenie akademii. Przed śmiercią Mikołaja projekta już były gotowe, a nawet ukaz podpisany.

rządowa oświecenia — do któréj i sprawy duchowne przyłączono. Duszą, rada edukacyjna przy boku dyrektora komisyi.

Fatalizm ciążący nad dwuletnią karyerą tego męża stanu, który mu w niedoktrynerskich nawet pomysłach podsuwał zawsze jakieś wzięcie się niepraktyczne i formy wstrętne dla ogółu — nie dopuścił i na téj drodze, gdzie z powszechnym entuzyazmem pomysły jego witano — aby markiz Wielopolski nie doznał najboleśniejszego zawodu, jakim jest popadnięcie z sobą samym w sprzeczność. Poważny mąż stanu brnął w walkę z dziećmi, — krzewiciel oświaty rozpędzał uczni, a w rok zaledwie po świetnych zapowiedziach — wskrzesiciel narodowego systematu edukacyi, sięgnął świętokradzką ręką na szkoły niedzielne staraniem Towarzystwa dobroczynności pootwierane do których żądzą nauki powodowane, kilkanaście tysięcy zaniedbanéj młodzieży rzemieślniczéj chciwie się garnęło.

Wypadki 1863 i 1864 r. zawiesiły funkcyonowanie nowego systematu, a po Wielopolskim i po powstaniu pozostała tylko komisya oświecenia, jako jedna z potężnych dźwigni w ręku Komitetu urządzającego — to jest takiego organu, który podług słów prasy rosyjskiéj, ma ocalić rosyjską sprawę w Królestwie od zaguby zaprzysiężonéj jéj przez konserwatywno-katolicką intrygę.

II.

Gdyby ostateczny bilans wylanéj krwi ludzkiéj nie znajdował się li w Bożéj świadomosci, niepodobna byłoby sobie straszniejszych klęsk dla narodu naszego wyobrazić, jak te, które go spotkały w zaborze rosyjskim po powstaniu 1864 r. Gdy wojsko moskiewskie uganiało się jeszcze po kraju za resztkami polskich patryotów, a komisye śledcze ryczałtowo amputowały zarażonych powstaniem członków naszego społeczeństwa, „państwowi ludzie“ Rosyi zajmowali się z całym spokojem dyletanckiego umysłu uzupełnieniem studyi nad naturą tego społeczeństwa. Powstanie narodowe wprowadzając w ruch wszystkie sprężyny naszéj działalności, wynosząc na wielkie światło tajniki narodowego żywota, dozwoliło spokojnym diletantom zajrzeć do głębi bytu naszego, dokończyć gruntownych studyi, pierwszy raz przez Muchanowa rozpoczętych. Praktycznym zaś

ich kursem stać się miało samo Królestwo, komitetowi urządzającemu dla wszelkich experymentów oddane.

Wielkiém słowem rozwiązanéj zagadki, jak raz skończyć ze sprawą polską w Rosyi, stał się rozkład polskiego społeczeństwa, z proskrypcyą posuniętą do ostatniego stopnia możliwości polskiéj inteligencyi i katolicyzmu. Rozkład — na stany, na narodowości, na wyznania, na języki, na wszelkie wreszcie elementa, na jakie się da tylko rozłożyć. Na tak dopiero przygotowanym gruncie miało się udać dzieło rusyfikacyi ziemi.

Ludzi rozkładowych nie brakło po wszelkie czasy w Rosyi wielekroć nie spajał ją dziki fanatyzm negacyi, wykonawców więc umiejętnych tą razą zabraknąć nie powinno było. Na czele ich stanął utalentowany „państwowy człowiek“ Mikołaj Aleksejewicz Milutin, wynalazca rozwiązania zagadki, „który bez armat i kozackich nahajek, mocą swojego ministeryalnego portefelu potrafił kraj uspokoić i bronić rosyjską sprawę od napaści katolicko-arystokratycznych knowań.“

Poprzedziły go słynne ukazy marcowe uwłaszczenia. — W sierpniu stanął w Warszawie. — Czém zaś dla systematu, który pozyskał jego imię, stać się musiała edukacya, dowodził pośpiech, z jakim wzięto się do jéj organizowania.

Już dnia 30 sierpnia r. s. pojawił się edukacyjny ukaz carski, a myśl milutynowskiego systematu, postawiona za zasadę ukazu, tak w nim brzmiała: „każda z ludności (населений) Królestwa powinna być zabespieczona od wszelkiego gwałcącego wdzierstwa.“

Na téj więc arcysłusznéj zasadzie musiała rozprysnąć się całość polskiéj edukacyi, służąc sama znowu za główny środek do rozpadnięcia się społeczeństwa. Przedewszystkiem więc szkoły, rozpoczynając od ludowych, rozdzieliły się na główne 4 działy: ruskie uniackie (dla polskich unitów), ruskie prawosławne, ewangielickie czyli niemieckie i polskie. Nie wykluczyło to i drobniejszych poddziałów, jak np. szkół litewskich. Każdy mieszkaniec, a raczéj każde dziecko miało z góry przeznaczoną dla siebie kategoryę, od któréj pod żadnym pretekstem uchylić się nie mogło. Straszną i okropną męką jest ten osobliwszego rodzaju przymus szkolny podług miliutynowskiego systematu, nie małém ducha więzieniem to zamknięcie w na-

przód przeznaczonéj sferze — bo jeźliś się urodził nieszczęsny chłopcze ewangelikiem, to choćby rodzina twoja 300 lat na polskiéj mieszkała ziemi, choćby żaden z przodków twoich i słowa niemieckiego nigdy nie wymówił, pierwszy rozwój twéj myśli ma być niemiecki, pierwsze owoce wiedzy prawdziwie niemą dła ciebie mową podawane — a takich nieszczęsnych dzieci liczy się w Królestwie przy opłakanym stanie wychowania około 10.000 *). Jeźliś się urodził uniatem, to choć serce twoje instynktowo się wzdryga na dźwięk moskiewskiéj mowy i nazwę Moskala, musisz po rosyjsku przyjmować brzaski światła, które dla ciebie są ciemnością, po rosyjsku dowiadywać się prawd pierwszych, których szereg rozpoczyna się fałszem dotyczącym ciebie samego a obrażającym twoje najdroższe uczucia, że ty sam jesteś Moskalem, — takich znowu młodocianych męczenników znajdowało się w 1865 r. 2739 (podług raportu).

Dla dzieci prawosławnych, to jest synów oficerskich lub ofiar małżeństw mięszanych, które pod karą Sybiru dla rodziców prawosławnemi być muszą, pootwierano szkoły russkie prawosławne, a to „aby Rosyanie prawosławui mogli dać dzieciom swoim początkowe wychowanie w duchu ich wiary i narodowości.“ Do takich szkół, a jest ich 10, wynaleziono w Królestwie aż 361 dzieci.

Tak więc charakter konfesyjny w trzech powyższych kategoryach został uznany i zachowany jako środek oddzielenia od polskiéj całości częstokroć najlepszych jéj cząstek; — duchownym tych wyznań poruczono ochronę jego. W czwartym polskim dziale — charakter ten nie egzystuje, — dla wpływu duchowieństwa katolickiego niema miejsca w edukacyi ludowéj.

Jakie zaś inne jeszcze pożytki dadzą się wyciągnąć z charakteru wyznaniowego szkół, poucza nas rapport, głównego dyrektora komisyi oświecenia: „Do zarządu szkołami elementarnemi grecko-uniackiemi komitet urządzający postanowił nie tylko dopuszczać, lecz przyciągać tych z greko-uniackich duchownych, którzy niezależnie od ich umysłowego wykształcenia i moralnego życia, będą zasługiwać na pełne zaufanie

*) Ogólna cyfra protestantów i reformowanych, wynosiła w 1859 r. w Królestwie Polskiém 278.896. Z téj liczby wypada przynajmniéj $^2/_3$ liczyć takich, którzy od przodków są Polakami, lub téż w bardziéj lub mniéj odległych pokoleniach zostali spolszczonemi.

przez ich religijne i polityczne przekonania, jako ludzie całkowicie oddani interesom rządu, czystości swojego wyznania i korzyściom narodowości." Komentarz jasny zupełnie, w jakim duchu mają i mogą funkcyonować greko-uniackie szkoły. Taki język nieznanym jest nawet w zwykle ciemnych rosyjskich rozporządzeniach i rapportach.

Na tym punkcie jednak raport stara się być jeszcze wiele szczerszy, mimo że był przeznaczony do ogłoszenia. Mówiąc o środkach dla wypełnienia powyższego zadania objaśnia bez ogródek to „oddanie się czystości uniackiego wyznania i korzyściom narodowości", i mówi: „W braku miejscowych kandydatów dla zajęcia nauczycielskich posad, komisya rządowa przedstawiła Radzie administracyjnéj potrzebę przywołania z cesarstwa rosyjskich narodowców, którzy otrzymali edukacyę w prawosławnych duchownych seminaryach, na elementarnych nauczycieli w elementarnych szkołach greko-uniackich. Rada przyjęła to przedstawienie."

Tyle zrobiono za pośrednictwem Rady administracyjnéj — normalnego organu rządu w Królestwie, tyle jako środek stały raz na zawsze obmyślany — „komitet zaś urządzający, na przedstawienie głównego dyrektora, jako środek czasowy, lecz skuteczniejszy, postanowił do szkół elementarnych greko-uniackich ściągnąć oprócz miejscowych greko-uniackich parafialnych diaków i przywołanych z Rosyi nauczycieli od 10 do 15 osób z pomiędzy galicyjskich greko-uniatów, z obowiązkiem odbywania wykładu podług ogólnie-rosyjskich podręczników.

„Na zasadzie powyższego postanowienia przywołano z Galicyi w 1865 r. 7 kandydatów."

„Wykład we wszystkich greko-uniackich szkołach elementarnych został zaprowadzony w języku rosyjskim."

Nie ograniczono się jednak li tylko na tém, dla dopięcia celu „wskazanego dla szkół greko-uniackich w najwyższym ukazie z 30 sierpnia." Najważniejszą rzeczą była dobra instrukcya. Jeden więc z 10 zwierzchników, jakich ma polska edukacya, dygnitarz moskiewski zwołał do Białéj nauczycieli greko-uniackich szkół elementarnych, a także i wiele osób, z życzących sobie zająć w nich nauczycielskie obowiązki." Na tym zjezdzie podług słów rapportu pan dyrektor Siedleckiéj dyrekcyi zajmował się praktycznemi ćwiczeniami nauczycieli

w rosyjskim języku, oznajomieniem ich ze sposobem elementarnéj edukacyi, a również z ważniejszemi wypadkami kraju i z tym stosunkiem, w jaki historycznie jest postawiona tutejsza ludność rosyjska do reszty jéj pobratymczéj ludności.“ Oto właściwy styl rosyjskiego raportu — ma zaś znaczyć to tylko, że instrukcya w duchu ukazu z 30 sierpnia została obszernie i surowo udzielana. Dalszy ciąg raportu zapewnia, „że cel zebrania nauczycieli został osiągnięty, o ile tylko na raz pierwszy to możliwém było, a większa część tych nauczycieli wypełnia swoje nauczycielskie obowiązki z dobrą znajomością sprawy i z większym pożytkiem.“

Ognisk tak zrozumianéj cywilizacyi jest w Królestwie podostatkiem, bo w Rosyi, gdy idzie o dopięcie celu, środki znaleść się muszą. Dla tego téż, na ludność przeznaczoną do umieszczenia dzieci w tych trzech kategoryach szkół, znajdujem szkół elementarnych 353 -- gdy ludność katolicka więcéj, niż 8 razy przewyższająca ludność trzech wyznań, uniackiego, prawosławnego i ewangielickiego, posiada szkół zaledwie 929.

Jakim zaś sposobem osiągnął rząd ten pożądany dla niego rezultat, to pokazuje się samo z siebie, i może służyć w szczęśliwszych społecznościach za przestrogę dla zwolenników zasady *laisser faire*, *laisser aller*. Jak powiedziałem, nie szczędzono nakładu dla założenia szkół prawosławnych i unicko-rosyjskich, gdy przeciwnie co do szkół dla rzymsko-katolickiego wyznania zniesiono tak zwaną składkę szkolną, pobieraną od mieszkańców całego kraju na utrzymanie szkół elementarnych. W tym względzie od czasu ukazu z 30 sierpnia zapanowała zupełna gminna autonomia — co która gmina zbierze na szkołę, to będzie miała i utrzyma lub nie utrzyma szkołę. Wolno wprawdzie gminie prosić rządu o pomoc i on przyzna takową, lecz gdy pewnym będzie z nowéj szkoły pożytku.

Komisya oświecenia w raporcie swoim inaczéj przecież objaśnia ten rezultat. Przypisuje go b a r b a r z y ń s t w u i n ę d z y wiejskiéj ludności w Polsce i powołuje się na bezowocne przez samych dyrektorów oświaty namawiania wójtów i sołtysów do zakładania szkół po gminach i na prelekcye miewane do zgromadzonych włościan o pożyteczności oświaty. O ile tłomaczenie to słuszne, o ile nie jest czczym wyrazem zniewagi i głębokiéj pogardy dla polskiéj ludności, o ile nie były gwałcone naturalne potrzeby mieszkańców, wykazuje najlepiéj

przeciętna cyfra dzieci wypadająca na jednę szkołę w każdéj kategoryi. Gdy w uniackich zaledwie dochodzi ona do 22_4, w prawosławnych 36_1, dochodzi ona w ewangielickich do 63_5, a w rzymsko-katolickich 63_6 *).

Raport uspokaja cesarza, że chociaż mało szkół katolickich, „lecz za to jak można najlepiéj je urządzono“, a w dawnych edukacya w czasie nieładu kraju skrzywiona „wskutek więc nauczycieli niewypełniających swoich obowiązków lub przeniewierzenia się ich powołaniu doprowadzona „do normalnego stanu.“

Komisya chwali się daléj, że postarała się o należyte dla szkół elementarnych podręczniki, i tak wydała polsko-rosyjski elementarz dla szkół polskich w 50 tysiącach egzemplarzy, dla szkół litewskich (w Augustowskiéj gubernii) litewsko-rosyjski w 10.000 egz., dla szkół ewangielickich w niemieckim i rosyjskim języku również w 10.000 egz., a dla szkół rosyjskich prawosławnych i uniackich w języku rosyjskim z zamieszczeniem alfabatu słowiańskiego i niektórych artykułów w cerkiewno-słowiańskim języku także w liczbie 10 tysięcy egz. Obok tego wydano kilka innych w duchu prawowiernym elementarnych podręczników głównie dla szkół polskich. Zarazem także zostało surowo zapowiedziane wszystkim nauczycielom, pod najsroższą odpowiedzialnością, aby nie używali żadnych innych niepozwolonych przez władzę wyższą książek.

Ponieważ zaś, jak powiada raport, dyrektorowie przekonali się, że po szkołach uczono wielu niepotrzebnych przedmiotów zamiast rosyjskiego czytania, więc plan wykładów i sposób wykładu zostały z góry określone i na krok od nich odstępować nauczycielom wzbroniono! „Główna zaś uwaga została przez nich zwróconą na język rosyjski (mówiąc tu tylko o szkołach polskich), który do obecnéj chwili pozostawał w wielkiém zaniedbaniu, a to zarówno u uczniów jak i nauczycieli szkół elementarnych. Teraz pod kierownictwem dyrektorów i wskutek ich stanowczych wymagań, nauczyciele zaczęli uczyć dzieci tego języka i sami się go uczą. Wprawdzie znajomość

*) Ostatnia cyfra wydaje nam się za małą, a to wskutek umyślnego zamiaru zmniejszenia liczby uczniów katolickich, a powiększenia liczby szkół, do czego dawało doskonałą sposobność zniesienia wraz z klasztorami 30 szkół klasztornych.

rosyjskiego języka jak u jednych tak i u drugich bardzo jest jeszcze niedostateczną, lecz widoczne już są rezultaty tych usiłowań, dające nadzieję na dokładne wyuczenie się przez tutejszą ludność mowy, do której z gorliwością zabrali się obecnie w wielu elementarnych szkołach tak uczniowie jak i nauczający." Takie korzyści obiecuje carowi pan dyrektor główny z upośledzonéj kategoryi szkół ludowych polskich.

III.

Jeden i tenże sam system konsekwentnie jest przeprowadzony we wszystkich gałęziach zarządu Królestwa, cóż więc dziwnego, że i w edukacyi wszystko ku jednéj myśli zwrócone? Rozkładowy dla narodu podział rozciąga się i do zakładów średnich, to jest gimnazyów i szkół powiatowych. Wobec niego zniknęły wszelkie inne podziały na specyalnych celach saméj edukacyi oparte. Przeprowadzenie tylko zasady w szkołach średnich o wiele było trudniejszém niż w elementarnych, ponieważ nigdzie prawie ludność poczytana za niepolską nie jest dosyć liczną, dosyć gęstą, mówiąc językiem statystycznym, aby dostarczyć jakkolwiek dostateczną liczbę kandydatów dla szkół nie polskich.

I gdyby nie duch odwiecznych już względem polskiéj edukacyi usiłowań, gdyby nie czujna żarliwość „miliutyńskiego systemu", aż do ostatnich miesięcy możnaby było mniemać, że przy podziale tych szkół na takież same kategorye szło więcéj o architektoniczną symetryę, niż o praktyczne korzyści, tak nielicznemi bowiem były te niepolskie zakłady średnie. A mianowicie, „dla Rosyan prawosławnych" jedno gimnazyum i jedno żeńskie gimnazyum; „dla Rosyan uniatów" jedno gimnazyum w Chełmie, jedno progimnazyum w Biały; dla ewangielików jedno gimnazyum niemieckie w Łodzi. Oto był dotychczas cały zasób tych szkół niepolskich, a i przy takim nawet na szkoły prawosławne średnio wypada tylko po 198 uczni, na ewangielickie po 152, gdy na nazwane polskiemi po 280.

Wszystkich szkół polskich czy niepolskich z nazwiska, jedno zadanie główne, dominujące po nad wszelkiemi pedagogicznemi względami, a tém jest russyfikacya i zgnębienie, wszystkiego co polskie. Dlatego téż mówiąc o szkołach

polskich raport wspomina jedynie, że ponieważ wykład języka rosyjskiego i literatury okazał się zaniedbanym, przeto wydano rozporządzenie, aby uczniowie nie okazujący dostatecznych postępów w tym przedmiocie, pod żadnym pozorem do klas wyższych nie byli przepuszczani,— kończący zaś, którzy na egzaminie nie wykazali się zadawalniającą znajomością rosyjskiego języka i literatury, aby nie otrzymywali świadectw. W tym celu i programat szkolny właściwie został ułożony.

Nie dosyć przecież było wydać programata i rozporządzenia, trzeba było postarać się i o ludzi, którzyby je wykonywali, otóż powiada raport, „dla ściągnięcia lepszych sił z cesarstwa“, osobom przywołanym ztamtąd na służbę do Królestwa, dawano po 200 rubli na drogę, pensye dla nauczycieli rosyjskiego języka podniesiono, w gimnazyach do 1500 rsr., a w szkołach powiatowych do 1000 rubli rocznie. Zwykła nauczycielska płaca wynosi w Królestwie 600 rubli (1000 złr.). Do przywilejów także tych sprowadzonych z Rosyi pedagogów należy zaliczenie im lat służby w cesarstwie do emerytury, którą skarb Królestwa obowiązany im będzie wypłacać.

O programat naukowy najmniéj się troszczono. Jest on poprawioną na Muchanowski sposób edycyą tyle obiecującego programatu Wielopolskiego, a więc napowrót wprowadzony kierunek praktyczny w językach starożytnych, usuwanie historyi, wreszcie mięszanina wszystkiego z niczem na lat 4 lub 7 rozdzielona.

Tak programat jak i same rozporządzenia, są dla wszystkich szkół średnich prawie jednakowe, nie wglądającemu więc baczniéj w szczegóły nowego systematu moskiewskiego, egzystowanie oddzielnych szkół niepolskich wydawać się będzie, powtarzam to raz jeszcze, rzeczą symetrycznéj architektoniki. Tak przecież nie jest i nigdy nie było. Prawosławna szkoła powinna była zawsze zapobiegać polonizowaniu się osiadłych Moskali, których liczba z dnia na dzień się zwiększa, zmoskwicić zupełnie dzieci pochodzące z małżeństw mięszanych z prawosławnemi; uniacka zaś szkoła przygotować prawosławnych.

Aby dopiąć tego celu w szkołach prawosławnych, może być nauczycielem tylko świeżo do tych obowiązków sprowadzony z Rosyi. Wyłączna uwaga i tutaj zwrócona na język rosyjski, „bo dzieci z małżeństw mięszanych,“ powiada raport,

„stanowią większość uczących się.“ Zabroniono więc stanowczo używać, w rozmowie nawet, języka polskiego. Polecono nauczycielom wszelkich przedmiotów zwracać najgłówniéj uwagę na mowę rosyjską. W godzinach pozaklasowych nauczyciele rosyjskiego języka winni pracować z uczniami niedosyć przygotowanymi w moskiewskim języku; w niedziele i święta uczniowie się zbierają dla czytania lepszych dzieł rosyjskich autorów. Przy gimnazyum zaś został otworzony rosyjski pensyonat dla pomieszczenia dzieci rodziców poza Warszawą mieszkających. Dzieci bowiem takie „żyjąc przy polskiéj familii, wystawioneby były niechybnie na wpływ otaczającego ich elementu, który niezawodnie kładłby na nich cechę właściwéj mu narodowości.“

Tyle co do prawasławnych szkół. Dla „rosyjskich uniatów“ otwarto w 1865 r. gimnazyum w Chełmie, i progimnazyum w Białéj; to ostatnie liczniejsze od pierwszego. W nich nauczycielami powinni być głównie kandydaci z cesarstwa; a ponieważ takowych zabrakło, więc dyrektor główny komisyi oświecenia, na zasadzie postanowienia komitetu urządzającego, przywołał do Chełmskiego gimnazyum 3 nauczycieli z Galicyi. Aby zaś na przyszłość podobnemu zapobiedz brakowi, w Chełmie założonemi zostały klasy pedagogiczne, do których wstąpiło 38 uczni.

Nie na tém się kończy historya średniéj edukacyi w Królestwie. Od 6 lat sączącą się tam raną są rządowe zakłady dla panien. Muchanow staczając ostatnią walkę z budzącym się duchem narodowym, zaprowadził je w każdém gubernialném mieście, były to jego ulubione dzieci.

Wykończenie powierzchownéj ogłady i taniość edukacyi i tu, jak niegdyś w Instytucie szlacheckim głównemi są przynętami dla rodziców. O prowincyonalnych tych zakładach raport dyrektora milczy; mówi tylko, że „Warszawska rządowa szkoła żeńska na zasadzie najwyższego ukazu została zamienioną w 6klasowe żeńskie gimnazyum i podaje przerażające cyfry tych ofiar rodzicielskiéj prostoduszności, — i tak w Aleksandryjsko-Maryińskim dziewiczym instytucie (w Warszawie, zakład wyższy zamknięty) miało być uczennic w 1864-65 roku 247, w szkole zaś rządowéj 385. Cyfry przerażające swoją nieszczęsną wielkością. Odrzuciwszy bowiem nawet tajemniczo-

romansowe podania o instytucie Puławskim, stanowiącym tę pierwszą u nas próbę rządowych zakładów żeńskich, tuż obok słynnego Smolnego Monasteru, los nieszczęsnych ofiar niemniéj jest przecież zagrożonym. Nie kalając pojęć o polskiéj naturze badaniem, jak na niéj szczepić się może moskiewska zgnilizna, przypuśćmy, że nie zagrozi im czuła carska ani wielkoksiążęca opieka, uspokójmy się nawet, że nie zagrozi zamierzone zmoskwicenie, to i tak, jakież dla takiego wychowania są widoki? Kiedyś od zmoskwicenia wybawił wyrabiający się w wychowanicach duch buntu, na którym cierpiał charakter polskich niewiast, nauka i wychowanie, dziś na niego nie ma miejsca w Królestwie, lecz pod wpływem młokosów sprowadzonych z cesarstwa na profesorów, pod wpływem ludzi bez czci i wiary, po katolickim księdzu najbardziéj polską kobietę nienawidzących, wśród próżni otaczającéj młodą duszę, wyrobi się kierunek emancypacyi niewieściéj i wiedzy pełnéj rozczarowania, i niezadługo może, gdyby ten stan potrwał, usłyszelibyśmy od Rosyan, że od polskich patryotek, nihilistek, począł się nihilizm, który groził zamordowaniem cara moskiewskiego; i byłoby to, a nie daj Boże, tylko anachronizmem, tylko chronologiczną złą wiarą.

Mąż wojujący portfelem nie od razu jednak obmyślał wszystkie sposoby walki, nie od razu zbadał wszystkie zasoby swojego systematu — właściwe uzupełnienie szkolnego porządku stanowią dopiéro ukazy carskie z października 1866 r. Przez dwuletnią praktykę wpadł dopiéro gienialny Mikołaj Alexejewicz na pomysł gimnazyów tak zwanych mięszanych. Ukazy z października zaprowadzają więc najprzód w centrach uniackiéj ludności gimnazya i szkoły powiatowe zwane poprostu rossyjskiemi, już bez dodatku prawosławne czy uniackie, i mają one być urządzonemi na wzór rossyjskiego gimnazyum w Warszawie — i zarazem kilka instytutów mięszanych, które sądząc podług słów ukazu tém chyba odróżniać się będą od rossyjskich, że uczniowie nie będą może karani za używanie w rozmowie między sobą innego jak moskiewskiego języka, i że będzie dopuszczony w nich wykład innych religii oprócz prawosławnéj. Aby wynaleść zaś uczni dla gimnazyów mięszanych, zniesiono kilka szkół polskich, na których miejscu zaprowadzono owe mięszane.

Ludzie bawiący się w szerokie kombinacye polityczne, widzieli przed laty dwoma w nakazaniu języka niemieckiego po szkołach elementarnych ewangielickich, w zaprowadzeniu gimnazyum w Łodzi, głębokie i mądre w naszém lecz nie w rosyjskiém pojmowaniu, plany ustąpienia zachodniéj części Królestwa Prusom. Taka szczodrość nie leży w naturze rosyjskiéj, a do tradycyi moskiewskiéj polityki nie należy wcale wypuszczanie polskiego elementu z pod bezpośredniego wpływu swojego, choćby nawet w ręce poprzyjaźnionych z Rosyą Prus. Wydanie elementarza niemiecko-rosyjskiego dla szkół ewangielickich i wspólność wszelkich instrukcyi z innemi russofikującemi szkołami dostatecznie pokazuje, na czyją w końcu korzyść mają wyjść te dążności niemieckie, separatystyczne lecz tylko względem polskiego elementu.

W fakcie, że październikowy ukaz nowe szkoły rosyjskie i mięszane zaprowadza po prawéj stronie Wisły, politycy znów może zechcą dopatrywać tęż samą myśl daleką, wyrzeczenia się najbogatszéj i strategicznie najsilniejszéj połowy kraju. Niech nie zapominają przecież, że w rzeczy wszystkie szkoły w Królestwie różnią się tylko nazwą i jakiemiś dodatkowemi celami, lecz główny cel jest wszędzie jeden i jeden programat, a jeźli z powodu najgęstszego rozrzucenia uniatów w gubernii lubelskiéj wypada tam najprzód i żwawiéj dzieło sprawosławienia i russyfikacyi przeprowadzić, to czemużby do tego tam najprzód użyć nie mieli nazwy szkół mięszanych? Zresztą ukaz jest wydany dla całego Królestwa, zaprowadzone szkoły mięszane i prawosławne są dopiéro pierwszemi, z zastrzeżeniem na pierwszy raz, i nic nie przeszkadza, aby z powodu znowu, dajmy na to ludności żydowskiéj, nie miały być zaprowadzonemi w całym kraju. Dziś ten tylko wniosek można wyciągnąć, że dla wielu przyczyn komitet urządzający musiał się ograniczyć, a ograniczyć nie prawym brzegiem Wisły, lecz li na gubernii wileńskiéj.

IV.

Tak przygotowana w szkołach średnich młodzież męzka ma przed sobą otwartą wyższą sferę nauki w szkole głównéj warszawskiéj. Egzystencya szkoły datuje się od 1862 r. Programat trwa niezmieniony od czasu założenia, lecz rzecz naj-

ważniejsza w nowym uniwersytecie — dobór ludzi, który miał się odbywać pod wpływami zakochanego w swojém dziele markiza, i głęboko znającego warunki uniwersyteckiéj edukacyi byłego dyrektora oświaty p. Krzywickiego — dziś, puszczona na ręce niechętnych dla szkoły nowych rządców, odkomenderowanych do służby „po części uczonéj“ jak mówią Moskale.

Szkoła główna dzieli się na cztéry wydziały: prawny, historyczno-filologiczny, matematyczny i medyczny. Od wszelkiéj oceny tego zakładu powinniśmy się jednak powstrzymać, bo jeźli gdzie owoce wpływać muszą na sąd o drzewach, to niezawodnie mówiąc o uniwersytetach, a drzewo warszawskiéj wszechnicy dotąd żadnych owoców nie dało. To tylko jedno powiedzieć wypada, że w sferze publicznéj edukacyi w Królestwie, li w szkole głównéj warszawskiéj najbardziéj od siebie samych zależymy.

Milutyński systemat długo nie tykał szkoły głównéj. Zajrzał do niéj dopiéro rozporządzeniem wydaném w roku zeszłym, aby wszyscy studenci zdali egzamen z wystarczającéj znajomości rosyjskiego języka. Ci którzyby egzaminu takiego nie złożyli lub złożyli niedostatecznie, jeźli są kończącymi, nie będą dopuszczeni do składania ostatecznych egzaminów, jeźli zaś są w połowie kursów, nie będą dopuszczeni do słuchania drugiéj połowy.

Zresztą ważniejszych zmian w szkole głównéj nie zaprowadzano i usłyszym dopiéro o nich przy zapowiadanéj oddawna, jak gdyby łaska jaka, zamianie szkoły głównéj na uniwersytet. W sensie naukowym będzie to czcza zmiana nazwy, która jednak zamykać w sobie będzie pewną ilośc reform dopasowujących tę wszechnicę do całości systematu, pewną ilość zwolna i oddawna obmyślanych środków dla ułatwienia głównych celów rządowych. Cóż więc dziwnego, że publiczność i świat naukowy warszawski z obawą wygląda tego podług pojęć rosyjskich podniesienia w randze jedynéj szkoły głównéj w Królestwie?

Drugim zakładem wyższym polskim jest, a raczéj liczy się instytut politechniczny i agronomiczny w Nowéj Aleksandryi, właściwie mówiąć w Puławach. Jestto w swoim rodzaju jedyny instytut, bo od lat czterech nie egzystuje wcale, mimo

że zawsze figuruje w raportach i budżecie, a całego swojego istnienia początkowego liczy miesięcy trzy.

Wielkie nadzieje pokładał kraj i w tym zakładzie, gdy został zapowiedziany w systemacie edukacyjnym markiza. Bogate zasoby w ludziach i środkach naukowych byłego gimnazyum realnego i byłego instytutu agronomicznego w Marymoncie, mnóztwo młodzieży majętniejszéj i biedniejszéj kształcącéj się za granicą w zakładach specyalnych były niejako gwarancyą spełnienia się tych nadziei. Kraj rozbudzony, podnoszące się rolnictwo, przemysł poczynający się ożywiać, konieczność związku pomiędzy przemysłem a rolnictwem, wszystko to przyczyniało się do wyrobienia przekonania, że instytut politechniczno - agronomiczny jest jedną z tych kreacyi, które potrzebują być tylko stworzone i nazwane, aby same siłą rzeczy prosperowały. Sarkano na markiza, że zakład taki wyprowadził z Warszawy, że w doborze ludzi pomijał zdolności wybitniejsze i niezawisłe, imiona otoczone zaufaniem kraju i młodzieży — lecz nie tracono nadziei. Nadeszła tymczasem zima 1863 r. — kursa prawie się rozpoczęły, władza żadnego wpływu na młodzież nie miała, — nagle wrzód się zebrał, i młodzież *in gremio* wyszła do powstania. Po dwóch tygodniach powróciła wprawdzie do Puław, lecz rząd już do nauk jéj nie przyjął, i instytut od téj pory jest zamkniętym niby dla zaprowadzenia reformy.

Potrzeba wyższego zakładu technicznego a zwłaszcza agronomicznego w Królestwie jest gwałtowna, lecz mniejsza o to — kraj może czekać, póki „Milutynoski system“ nie wytworzy korony dla swojego dzieła edukacyjnego w Królestwie. Od lat dwóch już mówią o przeniesieniu oddziału technicznego do fabrycznéj Łodzi, a pozostawieniu agronomicznego w Puławach. Gdyby tak było, zakład wyższy prawdziwie i jedynie dla kraju właściwy, zniknie bez wątpienia, a miejsce jego zajmie jakiś potwór techniczno - narodowościowy.

Pod bezpośrednim zarządem politechnicznego instytutu znajdują się w Królestwie cztery szkoły rolnicze niższe, kształcące na niższych oficyalistów. W nich było razem 71 uczniów, co zdaje się nie zapowiadać szybkiego podniesienia się rolnictwa.

Warszawska szkoła sztuk pięknych — utwór Muchanowski, która głównie dostarczyła kontyngensu młodzieży bawiącéj się w patryotyzm, jak zawsze takiéj dostarczy każda szkoła specyalna nieopierająca się na uprzedniéj gruntownéj edukacyi, została jeszcze w roku 1861 zamkniętą czasowo. W marcu 1866 zniósł ją car stanowczo, pozostawiając nadal li tylko znajdujące się przy niéj szkoły rysunkowe.

Dla całości wypada wspomnieć, że istnieją w Warszawie: szkoła weterynaryjna, która w 1865 r. miała 12 uczniów i która ulegnie reformie, — konserwatoryum muzyczne pod dyrekcyą p. Apolinarego Kątskiego — i nazawsze świetny pomnik polskiéj dobroczynności i żywego chrześcianizmu instytut głuchoniemych i ociemniałych, urządzony na najlepszą stopę tego rodzaju zakładów za granicą, liczący około 150 wychowańców i wychowanek.

Dla młodzieży rzemieślniczéj i kupieckiéj istnieje oddawna szkoła handlowa w Warszawie jako zakład niższy i szkoły niedzielne rzemieślnicze. Szkoła handlowa miała w r. 1864/65 362 uczniów, a do szkół niedzielnych uczęszczało 7762. Serce się ściska podając tę znaczną na pozór cyfrę, a świadczącą jednak o upadku, w jakim się znajduje ta najważniejsza dziś sprawa w Królestwie. Najważniejsza bo obchodząca bezpośrednio los przyszłych pokoleń, klasy już wprowadzonéj siłą wypadków na pole dziejowe, a mającéj się stać może jądrem ludu naszego.

Edukacya niedzielno-rzemieślnicza odbywała się w Królestwie Polskiém w ten sposób, że pod patronatem zwierzchnika istniejącéj w mieście szkoły średniéj, zbierała się w niedzielę młodzież rzemieślnicza, to jest chłopcy terminatorzy do gmachu szkolnego i tam niektórzy z nauczycieli lub starszych uczniów wykładali im co umieli i jak mogli, a rzecz się odbywała bez najmniejszego porządku na los puszczana, tak iż powiedzieć można, że nawet imiennie niewiadomem było kto i czego się uczy.

Pod zbawienném tchnieniem samodzielnego radzenia sobie i za wpływem żywego uczucia dobroczynności i miłości, sprawa ta przy wdaniu się w nią warszawskiego towarzystwa dobroczynności przybrała inny zupełnie kierunek w stolicy. Jeźli nie chłopcy, to nauczyciele zostali podciągnięci pod kontrolę zobo-

wiązań do wykładów sumiennych i systematycznych, do poznania swoich uczniów i zajmowania się każdym z osobna. Przedmioty naukowe zostały urozmaicone. Wykłady szły ochoczo, bo nauczyciele byli niepłatni, podejmowali się dobrowolnie obowiązku, a ściśle byli kontrolowani; starszym uczniom gimnazyalnym rozdawano te zajęcia jako drogocenną nagrodę. Młodzież rzemieślnicza cisnęła się do tych szkół przedtém opuszczonych i w saméj Warszawie więcéj było uczęszczających niż dziś raport w kraju całym podaje. Dla starszéj czeladzi pootwierano bezpłatne, kosztem dobroczynności założone czytelnie.

Ubliżyłbym prawdziwym pracownikom narodowym, gdybym w tém miejscu nie wspomniał o człowieku niezmordowanéj pracy i cichéj, skromnéj zasługi, który bez urzędowego znaczenia, poświęciwszy się temu szlachetnemu dziełu, oddał się na usługę tak towarzystwu dobroczynności jak tym z władz szkolnych, które chciały się o szkoły rzemieślnicze, samopas puszczone, troszczyć. Stał się on prawdziwym ich kierownikiem, dobierał nauczycieli, kontrolował, pomagał sam, aż rzeczywiście gorąca inicyatywa jego, prawdziwy zapał do nauki w klasie i szkołach rzemieślniczych przebudziła. Człowiekiem tym był nauczyciel szkół publicznych ś. p. Roman Żuliński, który następnie skompromitowany w sprawie powstania, na stokach aleksandryjskiéj cytadeli powieszonym został. Wszędzie widać znaleźli się ludzie szczerego poświęcenia, co ciężko na niwie narodowéj pracowali, choć świat ich imienia nie zasłyszał, skoro za przykładem Warszawy wszędzie się szkoły rzemieślnicze ożywiły i przybrały niekłamane znaczenie.

Markiz Wielopolski straciwszy już widać zimną krew męża stanu, w jednéj z chwil swojego rozdrażnienia, przyczyn którego Bóg wié w jakiéj nierównowadze duszy jego szukać wypada, położył na szkołach niedzielnych ciężką rękę i takowe pozamykał. Było to w pół roku przed powstaniem. Moskiewskim cywilizatorom na szczęście brak rąk i czasu, aby i na tém polu przeprowadzić ulubiony Miliutynoski system, więc szkoły wróciły do dawnéj nicości, egzystują opustoszałe, pod odpowiedzialnością inspektora istniejącego w mieście zakładu naukowego, a cyfra w raporcie podana jest właściwie fikcyjną.

Zakrwawionym cieniom czy stroskanym sercom tych którzy téj pracy się poświęcali, pozostała ta najżywsza pociecha,

że jeźli naród, jeźli klasy mniéj oświecone, z taką rezygnacyą znoszą klęski bez nazwy i głuchemi pozostają na podszepty grubych namiętności, jestto w znacznéj części owocem ich pracy, a ziarno przez nich we wdzięczną rolę rzucone, nie mogąc kłosować na powierzchni, krzewi się pod ziemią.

Wobec takiego stanu edukacyi rządowéj ciekawymi zapewne będą czytelnicy, jak się ma rzecz z edukacyą prywatną. Zakładów wychowawczych prywatnych tak męzkich jak żeńskich znajduje się w Królestwie 210, a w nich uczących się 6704. Cyfra dosyć znaczna. Zważywszy przecież, że w nią wchodzą równie szkółki elementarne jak zakłady wyższe, zważywszy że i jedne i drugie znajdują się pod taką kontrolą, że nietylko programat lecz rozkład tygodniowy nauk potrzebują rządowego zatwierdzenia, że dyrektorom takich zakładów i zakładzików koncessya w każdéj chwili może być odjętą, a dla rozmaitych przyczyn szkoły te w najlepszych czasach doświadczały z urzędu tysiącznych codziennie udręczeń, od których niezmierna tylko dla władzy uprzejmość wybawiała. Cały pożytek z nich redukuje się w zakładach męzkich do dowolnego wyboru nauczyczycieli z nauczycielskiego gremium. Pożytek bez zaprzeczenia wielki, lecz nie ochłoda na rany. O żeńskich instytucyach prywatnych tego nie powiemy, mimo ściślejszéj jeszcze nad niemi kontroli, jakikolwiek bowiem byłby ich stan, którego nie znamy, wypada ubolewać że tak małą robią konkurencyę pensyom rządowym.

V.

Oto przedstawiliśmy całkowity choć bardzo niedokładny obraz machiny edukacyjnéj w Królestwie. Steruje i czuwa nad nią komisya rządowa oświecenia publicznego, od któréj odłączono napowrót sprawy duchowne do komisyi spraw wewn. uważając widać, że lepiéj czy wygodniéj sprawy religii traktować wraz z innemi kwestyami administracyjnemi, niż z oświatą publiczną. Tak od zbytniego ciężaru oswobodzonym dyrektorem głównym komisyi jest jenerał Witte.

Kraj cały podzielonym został na 10 okręgów naukowych (Warszawa, Płock, Łodź, Radom, Kielce, Lublin, Chełm, Siedlce, Suwałki, Łomża). Okręgi te nazwane są naukowemi dyrekcyami. Naczelnicy ich czyli dyrektorowie samowła-

dnie zarządzają wszystkiemi zakładami rządowemi w okręgu tak niższemi jak wyższemi i średniemi, a również i zakładami prywatnemi męzkiemi i żeńskiemi. W jednéj tylko Warszawie szkoły prywatne i elementarne są powierzone oddzielnemu inspektorowi. Wszyscy dyrektorowie bez wyjątku są świeżo z Rosyi sprowadzeni.

O właściwym zarządzie i administracyi niewiele da się powiedzieć. Miejsce rady edukacyjnéj w komisyi zajęli *de facto* dyrektorowie dyrekcyi. Raport wspomina o dwóch zjazdach tych panów dla ułożenia programatu i planu szkół ludowych również dla zaprowadzenia nowych podręczników w szkołach średnich.

Co się tyczy załatwienia interesów, zapewne takiegoż jak po innych biurach moskiewskich, raport poucza, że „dla powiększenia w polskiéj ludności potrzeby rosyjskiego języka i dla ułatwienia naukowo - administracyjnéj działalności naczelników dyrekcyi naukowych, z których wszyscy na zasadzie ukazu 1864 r. przywołani z cesarstwa i jako Rosyanie z urodzenia, muszą spotykać trudności w sprawowaniu interesów po polsku, komisya rządowa wprowadziła język rosyjski do użycia w stosunkach z podwładnemi jéj dyrekcyami i zaczęła wymagać, aby wszystkie przedstawienia inspektorów gimnazyów i szkół, jak do dyrekcyi tak téż i do komisyi, szczególniéj zaś w sprawach naukowych czynione były po rosyjsku. Za pomocą tego postanowienia osiągnięto, że większa część inspektorów gimnazyalnych i szkół powiatowych i wielu urzędników z urodzenia Polaków obecnie piszą i mówią po rosyjsku dosyć poprawnie.“

Jakkolwiek potworną jest cała machina edukacyjna, jakkolwiek ster jéj mało na przewodników wychowania młodzieży przydatny; a cele inne niż wychowawcze są ich przeznaczeniem, to jednak nieszczęśliwe społeczeństwo nasze potrzebując żywotną funkcyę edukacyi załatwiać, musi poddać młode swe pokolenie pod cisnące, łamiące i wykrzywiające działania machiny, aby kosztem tych tortur zdobyć choć szczyptę środków na drogę życia potrzebnych. Rozpatrzmy się więc podług skąpych cyfr jakich nam raport udziela w rezultatach, lub właściwiéj mówiąc terminem mechaniki, w ilości roboty przez ten systemat dokonywanéj.

Mając pod tym względem raport moskiewski za jedyny materyał, ostrzedz musimy czytelników, że wiary absolutnéj do cyfr jego przywiązywać nie można. Raporta moskiewskie się piszą, bo tak naczalstwo każe i tak trzeba robić, lecz nikomu bynajmniéj o ich akuratność nie chodzi; obok tego muszą być ułożone isprawno, to jest co potrzeba, dowieść. W tym stanie rzeczy nie do cyfr lecz do stosunków, których te cyfry nie są w stanie z gruntu wykrzywić, można mieć jakąś ufność, nie zapominając nigdy, że gdzie idzie o działanie władzy, tam podług raportu wszystko dzieje się jak najlepiéj.

Po takiém zastrzeżeniu przejdźmy do pierwszéj i najciekawszéj cyfry raportu, jaką jest liczba uczących się w Królestwie Polskiém, którą podaje na 108,436. Mieści się w niéj niezawodnie wszystko co tylko zaliczyć się dało, w każdym zaś razie i owe 7000 chłopców rzemieślniczych, jakoby uczęszczających do szkół niedzielnych. Ponieważ raport podaje ludność Królestwa na 5,336,210 mieszkańców, więc wypada 2 uczących się na 100 mieszkańców. Włochy liczyły w 1864 r. *) 1,561,450 na niespełna 22 miliony mieszkańców czyli 4 razy tyle. Włochy nie celują pod względem rozprzestrzenienia oświaty.

Z téj podanéj cyfry, na szkoły elementarne i ludowe wypada 79,447, a właściwie zbierając cyfry samemu podług dat szczegółowych raportu, wypadnie tylko 71,323. Niespełna półtora milionowa Grecya **) liczy dzieci pobierających edukacyę 70 tysięcy — więc Grecya uważana w Europie za barbarzyńską, kroczy cztery razy prędzéj od Królestwa Polskiego po drodze oświaty.

Statystyka Królestwa właściwie mówiąc nie istnieje, nie umiemy więc powiedzieć, wiele znajduje się tam dzieci w wieku, który gdzieindziéj liczonym jest za obowiązujący do uczęszczania do szkoły — lecz obliczając podług stósunku przeciętnego z innych krajów, wypadłoby że Królestwo ma 667.000 takich dzieci. Z téj ogólnéj sumy pobiera naukę 71.323 czyli na 100 — 10. Zbyt boleśnie jest porównywać stan taki ze $^{7}/_{10}$

*) Daty tyczące Włoch wyciągnięte z świeżo ogłoszonego raportu ministra oświaty za r. 1864.

**) Daty dotyczące Grecyi zaczerpnięte są z dzieła p. Sarispolos: *Le Passè, le Prèsent et l'Avenir de la Grèce — Trieste 1866.*

stanem we Francyi czy Austryi, nie mówię już o krajach gdzie egzystuje przymusowa edukacya — we Francyi uczy się 76 dzieci na 100 — lecz w Turcyi, którą za ciemnotę i złe gospodarstwo chcą z Europy wydalić, 16 dzieci na sto uczęszcza do szkoły, gdy w Polsce tymczasem demokratycznéj i demokratyzowanéj, z tysiącletnią cywilizacyą, w Polsce która 300 lat temu do przodujących się liczyła, 10 tylko na 100 do pierwszych zaczątków cywilizacyi są dopuszczonemi. Galicya znajdująca się od dawien dawna w fatalnych stósunkach, na ludność cośkolwiek mniejszą od Królestwa, liczy przecież dwa razy tyle dzieci pobierających naukę, bo 142.619.

Oceniając liczbę szkół w Galicyi cyfrą najniższą, mamy ich 1871, — w Królestwie, przyjmując cyfrę raportu, a zatém najwyższą 1312. Rysem charakterystycznym téj liczby nie jest jednak jéj mizerna ilość, lecz rozdział na kategorye odpowiednie przyjętemu systematowi. Z cyfry téj na szkoły katolickie przypada 929, na prawosławne 10, na niemieckie i ewangelickie 122, a na grecko-uniackie 221. Przyjmując za podstawę tę ostatnią cyfrę, to jest liczbę szkół uniackich — podług stósunku ludności wypadałoby, aby tak zwanych polskich było 17 razy 221 czyli 3757*) jest ich tymczasem stósownie do do moskiewskiego raportu 929 czyli część czwarta tylko; przyjmując znowu liczbę szkół ewangelickich za normalną w tym kraju, wypadałoby 13 razy 122 a zatém 1586 — a zaledwie połowa tego egzystuje. Takie stósunki rzucają rażące światło na sprawę edukacyjną w Królestwie. Dla nas nie potrzeba przedmiotu tego oświecać, my go znamy, wiemy czego się polskość od opiekunów Królestwa spodziewać może, lecz przy takiéj cyfr pochodni zacząwszy troskliwiéj rozpatrywać przyczyny, lepiéj się widzi szczegóły zamysłów w ciemności knutych i przyznać trzeba, że mimowolnie trwoga zdejmuje a w duszy zradza się trwożliwe pytanie o przyszłość.

Wykazaliśmy mówiąc o szkołach ludowych, że ludność katolicka nie mniejszą okazuje chęć do nauki jak ludność innych wyznań; — tyle razy zatém liczniejsze zaprowadzenie szkół uniackich, liczniejszych dwa razy od ewangelickich nawet,

*) Stósunki ludności co do wyznań, pochodzą z dat byłego Sekretariatu królestwa zamieszczone w St. Ptoger kal. 1863.

ma za powód nie większą ich potrzebę w ludności saméj, lecz odpowiada innym rządowym zamysłom. Nieszczęsne te zamysły okazują się zresztą z pełnym cynizmem w raporcie, gdy raport mówi, że na nauczycieli nie dopuszczano jak tylko prawosławnych z Rosyi sprowadzonych, albo lepszych od Moskali kandydatów świętojurskich, w najgorszym zaś razie djaków miejscowych odznaczajacych się zdrowym poglądem na czystość obrządku. Tak, darmo się łudzić, dla uniatów Królestwa wybiła ta godzina, która na Litwie i Rusi uderzyła przed 30 laty. Te dwieście kilkadziesiąt tysięcy uniatów w Królestwie są już z góry na prawosławie osądzeni, a rozsadnikiem téj religii czy tego środka państwowego mają być szkoły uniackie. Oto przyczyna ich stósunkowéj mnogości.

Zresztą środki ku temu celowi nie ograniczają się na szkołach, przeciwnie, obmyślano je we wszelakim kierunku. Raport prokurora przenajś. Synodu donosi carowi, że zostały użyte pewne sumy z kasy cesarstwa na zakładanie prawosławnych cerkwi w Królestwie, w miejscach gdzie uniacka ludność jest liczniejszą; — wychowańcy seminaryum uniackiego kończą swoją teologiczną edukacyę w prawosławnych akademiach, dokąd siłą bywają sprowadzani lecz następnie sowicie wynadgradzani; — niedawne gwałty popełnione w dyecezyi chełmskiéj, obsadzenie na jéj administratorstwie ks. Wójcickiego, oddawna słynnego odszczepieńca; reorganizacya seminaryum w duchu prawosławnym dokonana i z wyraźném przyznaniem téj tendencyi, rozkaz zabraniający uczniom seminaryum mówienia między sobą po polsku, rozkaz miewania kazań do ludu uniackiego li w języku moskiewskim, chociaż tenże go wcale nie rozumie, są to niestety wskazówki nie dopuszczające żadnego powątpiewania. Szkoły zaś uniackie mają być tylko potężnym współdziałaczem, może następnie główną pepinierą prawosławia.

Raz jeszcze powrócim do smutnych wyjawień cyfr tyczących się szkół uniackich, a teraz spojrzyjmy na średnią edukacyę.

Młodzieży pobierającéj edukacyę średnią w Królestwie liczy raport 10.832. Cyfrę tę być może zaciemnia zaliczenie do niéj wychowanie zakładów rządowych żeńskich, lecz ponie-

waż za to z pewnością nie są do niéj zaliczone prywatne zakłady średnie, których uczniowie za liczbę wychowanic wystarczą, mamy więc możność porównania o ile się ludność w Królestwie garnie do średniéj edukacyi, z rozszerzeniem jéj po krajach europejskich. Porównanie takie pokazuje nam, że potrzebę wyższéj edukacyi żywo w królestwie czują, i chociaż szkoły same przez się nie są przynęcającemi, — to jednak wypada tam uczniów zakładów średnich w stósunku do liczby mieszkańców mało co mniéj niż w Austryi, o ćwierć zaledwie mniéj niż we Włoszech, a tylko w Prusach i Szwajcaryi dwa razy silniéj zakłady te są nawiedzane*).

Wiemy już jak i czém rząd stara się téj potrzebie odpowiedzieć i z jaką przyprawą pokarm ten duchowy podaje, lecz cyfry dopiero uczą, że rząd moskiewski idąc za wyrafinowanemi wskazówkami Miliutina, nie zapomina i o dawnych tradycyjnych drogach zamykania przystępu do wszelkiéj nauki, a używając edukacyi jako właściwego środka politycznego, nie rad jednak przez zbytnie rozszerzenie pozbawiać się nad nią łatwéj kontroli. Gdyby skandal nieprzyjmowania dzieci do szkół pod najrozmaitszemi pozorami nie doszedł był do tego stopnia, że publicystyka europejska się nim zajmowała, to cyfry raportu stan ten rzeczy równie jasnoby nam odkryły — na liczbę bowiem uczni stósunkowo półtora raza mniejszéj od liczby w innych krajach Europy, liczba wszystkich razem szkół średnich w Królestwie wynosi 37, czyli przeciętnie trzy razy jest mniejszą od liczby ich w innych krajach, jedna bowiem szkoła bądź powiatowa, bądź gimnazyalna, wypada na 144 tysiące mieszkańców, wspomnieć tu muszę, że $^3/_4$ tych szkół są to szkoły 4klasowe.

Zapewne, że przy środkach jakiemi uposażono edukacyę w Królestwie, nie podobném jest więcéj ich utrzymywać. Budżet edukacyjny Królestwa za r. 1865 wynosił 894.407 rubli i 81 kopiejek; po odtrąceniu ogromnéj sumy 115.610 rub. na opłatę naczelnéj administracyi, pozostaje tylko niespełna 780 tysięcy na wydatki narodowéj oświaty (tak się ona nazywa urzędownie i w budżecie). Z téj sumy jeszcze potrącić wy-

*) Wypada podobno w Szwajcaryi jeden uczeń szkół średnich na 229; w Prusach na 259, we Włoszech na 380, w Austryi na 510.

pada pensye kilkunastu dyrektorów i inspektorów, dygnitarzy moskiewskich, z których każdy dorównywa w dostojeństwie dawnemu kuratorowi, koszta ich objazdów po podwładnych im okręgach, utrzymanie ich biór, nareszcie ogromne pensye nauczycieli z Rosyi sprowadzonych, a suma wydawana na właściwe szkół utrzymanie zmaleje prawie do połowy.

Trwoga przejmuje pomyśleć, że to jest cały nakład materyalny na oświatę prawie półszosta milionowéj ludności — cały, bo wszelkie usiłowania poza rządowe przyjścia z pomocą dla edukacyi narodowéj, które wszędzie znakomitą a częstokroć główną rubrykę wydatków pokrywają, w Królestwie zniknęły i jako działania katolickiéj lub konserwatywnéj intrygi są surowo zabronione.

Tą więc tylko kwotą ma się żywić cała edukacya publiczna, gdy przy tém i ta kwota jest tak używaną jak rządowe cele edukacyi wymagają. Więc żywić nią się muszą rosyjskie, i jeszcze raz rosyjskie zwane mieszanemi, gimnazya i progimnazya i różne opusztoszałe szkoły — obok których żyje ludność szkół pozbawiona. Spojrzmy bowiem na rezultata rozkładowego systemu edukacyi, nie na moralne, zbyt bowiem bolesne, a bez celu byłoby wdawać się na tém polu we wnioski i domysły, lecz na materyalne cyfr okazy. — Ludność uniacka wynosi 20tą część całéj ludności Królestwa, szkół ludowych rosyjsko-uniackich była część dziesiąta — gdy tymczasem uczęszczających do nich zaledwie część trzydziesta całości*). Zkądże więc ten stósunek odwrotny, gdzie się podziewają te dzieci uniackie, dla czego mimo zachęty rządowéj mniéj są pochopne do szkoły, wszak ludność uniacka w Królestwie wcale od katolickiéj się nie różni, wszak strony przez nią zamieszkałe nie są wcale mniéj zamożnemi od innych — szkoły w nich jednak pustką stanęły! Pustką straszniejszą jeszcze niż z powyższych nawet stósunków wypada, bo tam gdzie istnieje szkoła uniacka, tam nie istnieje polska, a ludnośś jest na wśkróś przemieszana; — więc obliczając nie podług wyznania, lecz podług zaludnienia terytoryów uszczęśliwionych

*) Budżet rządowy wydatków na edukacyę wynosi we Francyi 90 centimów na głowę (1863 r.); w Bawaryi 14½ połud. krajcarów (1863 r.); we Włoszech 74 cent. (1864 r.); w Królestwie Polskiém całkowity nie wynosi 16 kop. (1865 r.

rosyjsko-uniackiemi szkołami, jeszcze bardziéj rażący stósunek opuszczenia szkół mieć będziemy. Cóż to za stan okropny, co za warunki naszéj egzystencyi, gdy być może dziękować jeszcze Bogu potrzeba, że całemi szmatami kraju do stanu dzikości nie wracamy!

Szkoły średnie, mimo wykrzywionéj lub żadnéj nauki, są zapchane, to prawda, lecz zato, by dojść do wyższéj edukacyi już brak sił mieszkańcom. Szkoła główna warszawska, poza którą nie istnieje żaden wyższy zakład, liczyła w roku 1866 niespełna 900 studentów, z których połowa uczęszcza na prawo dla kwalifikacyi urzędniczo-sądowych. W Atenach, że się znowu na Grecyę powołamy, przy cztery razy mniejszéj ludności i istnieniu zakładów wyższych technicznych, było 1100 słuchaczy.

Pod względem więc liczbowych stósunków wychowania, stanęliśmy w Królestwie na stanowisku, jakie najbardziéj zacofane państwa już oddawna opuściły; pod względem zaś jego wewnętrznéj wartości, przyjmujem w siebie truciznę z usiłowań, programatów i książek rządowych płynącą, lub zbawiając się od niéj, życzyć musimy, aby dzieci polskie wchodziły na stanowisko wandalskie, negujące światło i naukę, lub zgoła powagę skarbów wiedzy i przewodnictwa — w najlepszym zaś razie tam gdzie inni zdobywają skarby ducha i wiedzy, mające wystarczyć na życie, my zaopatrzyć się zaledwie możemy w formułki umysł przyciemniające.

Wśród bólów jednak udręczonéj ze wszech stron egzystencyi, rozpaczy się nie poddajemy. Oglądając się po za siebie czerpać możemy przekonanie, że niespożyta natura, jak wytrzymała ciosy i gromy, tak téż przetrzyma trucizny i torturę ducha, wydzierająca się dusza polska do ideałów chrześciańskiéj cywilizacyi, zaczerpnie zawsze ożywczego powietrza, religia aż do głębin wewnętrznych wkorzeniona, w ścisłym spełnieniu osobistych obowiązków poda sposoby przetrwania i przeniesienia na młode pokolenia nabytków przeszłości, a żywotność i życiowość naszéj natury pozapełnia szczeliny poczynione rozrywaniem spółeczeństwa.

Prawda, téj sumy nauki i wykształcenia, która jest niezbędną dla utrzymania egzystencyi narodu, może zabraknąć

w Królestwie, pozbawioném przytem wszelkiéj praktycznéj szkoły zawiadywania zbiorowemi interesami, — lecz za to Bóg w nieprzeniknionych rozporządzeniach swoich zrządził, że inna część Polski, ma tę szkołę praktyczną a właściwie mieć ją może, i tak urządzoną, aby odpowiadała wszechstronnym potrzebom narodu. Poruszenie tak wszechstronne kwestyi edukacyjnéj w sejmie i kraju, świadczy o instynktowém poczuciu naszego w Galicyi stanowiska, i każe tuszyć, że w sprawie tak bardzo los całego narodu obchodzącéj, nie zabraknie nam ani wytrwania, ani energii na polu wykonania, choćby tylko takiéj, jakąśmy na polu roztrząsania rozwinęli.

Władysław Gołemberski.

MEMORYAŁ

o stanowisku Galicyi pod względem liczby deputowanych w ścieśnionéj Radzie Państwa.

Przy zbliżającéj się radzie Państwa nie od rzeczy może będzie zastanowić się, jakie w niéj pod względem ilości posłów przypaść winno Galicyi stanowisko.

Wprawdzie głośne były już na ostatnich posiedzeniach ze strony polskiéj na niedostateczną Galicyi reprezentacyą narzekania, ale nigdzie nie spotkałem się z wywodem opartym na liczbach i formułującym dokładnie życzenia naszego kraju. Jak na teraz Cesarski patent z dnia 2go Stycznia 1867 roku zwołujący na 25 Lutego b. r. nadzwyczajną Radę Państwa na podstawie Patentu lutowego przesadził kwestyę liczebnego stósunku deputowanych przez pojedyńcze kraje koronne wysyłanych: ale to nie przeszkadza, aby Galicya już na tém posiedzeniu nie miała się upomnieć o swoje prawa, zwłaszcza, że konstytucya w Austryi nie stała się jeszcze sprawą zamkniętą a nawet przeciwnie po ukończoném porozumieniu się z Węgrami, przyjdzie może jeszcze na stół przed zwołaną obecnie Radą Państwa.

Komentarz urzędowy ogłoszony w gazecie wiedeńskiéj równocześnie z ustawą lutową poucza nas, iż przy rozrachowaniu ilości deputowanych do Rady Państwa na pojedyńcze kraje koronne, wzięto pod uwagę wielkość terytoryalną, ludność i podatki przez kraje koronne opłacane.

Wszystkie te czynniki bardzo ważne do poświadczenia o potędze jakiegoś kraju i o stanowisku jakie mu przysłużać winno w obec innych krajów koronnych, ale brakuje tu jeszcze jednego równie ważnego a może ważniejszego od tamtych stanu majątku narodowego krajów koronnych w skapitalizowanéj wartości według dochodu jaki przynoszą. Na nieszczęście staty-

styka urzędowa austryacka nie daje potrzebnych wyjaśnień co do stanu majątku narodowego a jéj szacunki własności ziemskiéj lub fabryk i rękodzieł oparte są na czystych przypuszczeniach tak dalece, że stan majątku zupełnie z rachunku wypuścić trzeba było. I my także nie chcąc opierać się na hypotezach, poprzestaniemy na trzech wyliczonych czynnikach i biorąc pod rozbiór najprzód każdy z nich osobno a potém wszystkie razem, będziemy się starali co do ilości deputowanych pewniejsze z nich wyprowadzić wnioski.

Prowincye niemiecko-słowiańskie Monarchii austryackiéj, wysyłające według konstytucyi lutowéj 198 posłów do cieśniejszéj Rady Państwa, reprezentują obszar 4,993 mil kwadratowych austryackich. Porównywując wielkość terytoryum z ilością posłów pokazuje się, iż w prowincyach tych wypada jeden deputowany do Rady Państwa na 25 mil kwadr. austr. a jeden deputowany na sejm krajowy na 5 mil kwadr. austr. Przypuśćmy teraz, iż sam tylko terytoryalny obszar ma stanowić o ilości deputowanych na pojedyńcze kraje koronne wypadających, to ilość deputowanych oznaczona dla łatwości rachunku na 200 do Rady Państwa, a na 1000 do sejmów krajowych, rozdzieli się na pojedyńcze kraje koronne, jak następuje:

	Obszar w milach kwadr. austr.	Wysełają według statutu lutowego: do R. P.	do Sejm.	Powinny wysełać odnośnie do wielkości terytoryum do R. P.	do Sejm.
Austrya niższa .	344.49	18	66	16	80
Austrya wyższa .	208.47	10	50	8	40
Salcburg . . .	124.52	3	26	5	25
Styrya	390.19	13	63	16	80
Karyntya . . .	180.26	2	37	7	35
Kraina	173.57	6	37	7	35
Gor. Grad. Istrya	138.82	6	52	5	25
Tyrol i Vorarlberg	509.00	12	88	20	100
Czechy	902.85	54	241	36	180
Morawa . . .	386.29	22	100	15	75
Szląsk	89.45	6	31	4	20
Galicya	1.364.06	38	150	54	270
Bukowina . . .	181.69	5	30	7	35
	4.993.66	198	971	200	1000

Przy takim rozkładzie deputowanych, straciłyby naturalnie kraje najludniejsze i najbogatsze, ale co do absolutnéj wielkości terytoryalnéj za innemi stojące jako to: Niższa i wyższa Austrya, Czechy, Morawa i Szląsk; zyskałyby zaś kraje uboższe jak Galicya, lub gorzéj zaludnione, jak prowincye alpejskie. Galicya z Czechami zamieniłyby prawie ze sobą ilość deputowanych.

Według popisu ludności z r. 1857 na którym oparła konstytucya lutowa swe wnioski, liczyły prowincye niemiecko-słowiańskie 17,820.001 dusz.

Porównywając tę ludność z ilością deputowanych do rady państwa i do sejmów krajowych, wypada jeden deputowany do rajchsratu na 90.000 a do sejmu krajowege na 18000 ludności. Od r. 1857 aż do końca 1864 r. stósownie do obliczeń opartych na przewyżce urodzonych nad zmarłych, przybyło blisko półtora miliona ludności tak, że teraz wypadałby jeden deputowany do rejchsratu na 97.000 a jeden deputowany do sejmu krajowego na 19.400 dusz.

Że jednak przyrost ludności nastąpił prawie we wszystkich krajach koronnych w tym samym stósunku, przeto względna ilość deputowanych prawie nim niedotkniętą została. Biorąc ilość ludności (najprzód z r. 1857 a potém z r. 1864) za jedyną podstawę ilość deputowanych na pojedyncze kraje koronne wypaść mających, ilość 200 deputowanych do rejchsratu a 1000 na sejmy krajowe, rozdzieli się, jak następuje:

		Ilość posłów według statutu lutowego:		Ilość posłów według stósunku lud.	
	Ludność z r. 1857.	do rajchs.	Sejm. kr.	do reichs.	Sejmy kr.
Austrya n.	1,681.697	18	66	18	90
Austrya w.	707.450	10	50	8	40
Salcburg	146.769	3	26	2	10
Styrya	1,056.773	13	63	12	60
Karyntya	332.456	5	37	4	20
Kraina	451.941	6	37	5	25
Gor. Grad. Istr.	520.978	6	52	6	30
Tyrol i Vorarlberg	851.016	12	88	9	45
Czechy	4,705.525	54	241	52	260
Morawa	1,867.094	22	100	22	110
Szląsk	443.912	6	31	5	25
Galicya	4,597.470	38	150	51	251
Bukowina	456.920	5	30	6	30
	17,820.001	198	971	200	1000,

Rubryka 4 i 5 nieznacznie tylko się zmienia, jeżeli za podstawę rozdziału posłów weźmiemy ludność z r. 1864 jaką nam daje świeżo wydrukowany rocznik statystyczny *(das statistische Jahrbuch der österr. Monarchie. Wien 1867)*

		Ilość posłów według statutu lutowego		według ludności powinna być:	
	Ludność w r. 1864	do rajchs.	do sejm. k.	do rajchs.	do sejm. k.
Austrya n.	1,753.816	18	66	18	90
Austrya w.	719.228	10	50	7	35
Salcburg	147.191	3	26	2	10
Styrya	1,087.508	13	63	11	55
Karyntya	342.469	5	37	4	20
Kraina	473.393	6	37	5	25
Tryest Grad. Gor.	562.875	6	52	6	30
Tyrol i Vorarl.	876.890	12	88	9	45
Czechy	5,107.313	54	241	53	265
Morawa	1,990.755	22	100	21	105
Szląsk	487.885	6	31	5	25
Galicya	5,102.074	38	150	53	265
Bukowina	510.634	5	30	6	30
	19,162.031	198	971	200	1000.

Przy takim rozkładzie deputowanych wszystkie prowincye niemiecko-słowiańskie z wyjątkiem Niższéj Austryi i Wybrzeża, mieszczące w sobie dwa największe miasta monarchii, straciłyby po jednym lub po kilku posłów, zyskałaby zaś Galicya i Bukowina kraje stósunkowo dosyć dobrze zaludnione.

Trzeci czynnik na którym konstytucya lutowa oparła rozdział deputowanych na pojedyńcze kraje koronne, stanowią podatki. Pod podatkami rozumiemy zaś cały ciężar, który bezpośrednio lub pośrednio pod jakimkolwiek tytułem ponoszą poddani na korzyść Państwa. Obojętną jest bowiem dla opodatkowanych rzeczą jaka ilość z opłacanych przez nich sum odpada na koszta administracyi, a jaka dostaje się jako czysty dochód do Skarbu Państwa. Dlatego wzięliśmy podatki niestałe brutto, gdyż zdaniem naszém one dopiéro dają wierny obraz opodatkowania, podatki niestałe netto zaś dają raczéj obraz administracyi rządowéj, aniżeli pomyślności gospodarskiéj kraju. Dołączyliśmy jeszcze do tego dochód z dóbr, lasów i budyn-

ków, tudzież z kopalń rządowych i z opłat górniczych pochodzący. Wszystkie te rubryki razem wzięte, dają nam na rok administr. 1864 (t. j. od 1 Listopada 1863 r. do 1 Listopada 1864) ogólny dochód prowincyi niemiecko-słowiańskich w sumie 257,056,842 zł. w. a. Porównawszy tę sumę z ilością deputowanych wysyłanych według konstytucyi lutowéj do Rady Państwa i do Sejmów kraj. pokaże się że na 1,300,000 zł. w. a. wypadnie jeden deputowany do reichsratu a na 260,000 zł. w. a. jeden poseł na Sejm krajowy. Gdyby więc wysokość opłacanych podatków miała sama stanowić o ilości deputowanych, toby 200 posłów do reichsratu a 1000 posłów na sejm krajowy rozdzielało się na pojedyńcze kraje koronne jak następuje:

	Podatki płacone w r. 1864	ilość posłów według statutu lutowego: do rajchsr.	do S. k.	ilość posłów według opłacanych podatk. do rajchsr.	do S. k.
Austrya niższa	65,069,558	18	66	50	250
Austrya wyższa	12,695,170	10	50	10	50
Styrya . . .	17,449,234	13	63	14	70
Salcburg . .	3,808,944	3	26	3	15
Karyntya . .	3,565,515	5	37	3	15
Kraina . . .	4,920,141	6	37	4	20
Tryest, Grad.	8,513,313	6	88	7	35
Tyrol	9,839,691	12	52	8	40
Czechy . . .	67,340,093	54	241	52	260
Morawa . .	22,969,720	22	100	18	90
Szląsk . . .	5,569,082	6	31	4	20
Galicya . .	32,427,954	38	150	25	125
Bukowina . .	2,888,427	5	30	2	10
	257,056,842	198	971	200	1000

Szczególniéj uderzającém jest przy takim rozkładzie niesłychany wzrost ilości deputowanych w Niższéj Austryi, wszystkie inne prowincye z wyjątkiem Styryi i Wybrzeża z Tryestem straciłyby po kilka deputowanych, a bardzo znaczną byłaby strata Galicyi i Bukowiny, krajów ubogich, gdzie produkcya jeszcze się nie rozwinęła, gdzie zatém i podatki stosunkowo niskie. Trzeba tu jednak wciągnąć w rachubę, że w niższéj Austryi, a mianowicie Wiedniu nie opłaca tylko podatków niestałych produkcya niższo-austryacka, lecz także inne prowincye wskutek szczególnych urządzeń w Wiedniu opłacają podatki,

Ma to miejsce np. z przedsiębiorstwami, których główna siedziba jest w Wiedniu, chociaż ich czynność rozgałęzia się po różnych krajach koronnych, a które pomimo tego płacą podatki dochodowe w Wiedniu. Gdy w stolicy gromadzą się wszystkie władze i urzęda, gdy w stolicy przebywać muszą dla interesów przez dłuższy lub krótszy czas obywatele różnych prowincyj, przeto podatek konsumcyjny płacony w Wiedniu jest niejako trybutem niesionym mu przez inne kraje koronne. Strąciwszy dla tych wszystkich powodów jednę ósmą część podatków płaconych w niższéj Austryi na rzecz innych prowincyj, stosunek ilości deputowanych według podatku przemieni się na następujący:

	dep. do rady pańs.	do sejmu
Niższa Austrya . .	44	220
Wyższa Austrya . .	10	50
Salcburg . . .	3	15
Styrya . . .	14	70
Karyntya . . .	4	20
Kraina . . .	5	25
Tryest Istr. Gradis. .	7	35
Tyrol	8	40
Czechy . . .	53	265
Morawa . . .	19	95
Galicya . . .	27	135
Szląsk . . .	4	20
Bnkowina . . .	2	10
	200	1000

Dotąd uważaliśmy trzy czynniki mające wpływać na rozdział deputowanych pomiędzy różne kraje koronne osobno, to jest zastanawialiśmy się, jaką ilość deputowanych wysyłałby każdy z krajów koronnych do rady państwa i do sejmów krajowych, gdyby samo terytoryum, sama ludność lub sama kwota opłacanych podatków o tém stanowić miała. Ale ponieważ wszystkie te trzy czynniki razem wzięte dają nam dopiero obraz potęgi jednego kraju koronnego w stosunku do innych, przeto ostatecznie chodzić nam będzie o wynalezienie takiéj cyfry deputowanych dla każdego kraju koronnego, którąby tym trzem czynnikom odpowiedziała. Tę cyfrę otrzymamy za pomocą metody użytéj przez br. Czörniga przy innéj sposobności, a

która się zasadza na tém, iż trzy różne ilości sumują się w jednę, a suma dzieli się przez trzy. Iloraz, jak łatwo pojąć, reprezentuje wynik wszystkich trzech czynników, czyli ostateczny rezultat całego poprzedniego rachunku. Tak więc ilość deputowanych do Rady państwa i do sejmów krajowych rozrachowana na podstawie wielkości terytoryalnéj, ludności i podatków razem wziętych, rozdzieliłaby się pomiędzy pojedyncze kraje koronne jak następuje:

	Ilość dep. w. patentu lutego		Według naszego rachunku		
Niż. Austrya	18	16	$\frac{16+18+44}{3}$	= 26	130
Wyż. Austrya	10	50	$\frac{8+7+10}{3}$	= 8	40
Salcburg	3	26	$\frac{5+2+3}{3}$	= 3	15
Styrya	13	63	$\frac{16+11+14}{3}$	= 14	70
Karyntya	5	37	$\frac{7+4+4}{3}$	= 5	25
Kraina	6	37	$\frac{7+5+5}{3}$	= 6	30
Tryest Wybrz. Gr. Gor.	6	88	$\frac{5+6+7}{3}$	= 6	30
Tyrol	12	52	$\frac{20+9+8}{3}$	= 12	60
Czechy	54	241	$\frac{36+53+53}{3}$	= 47	235
Morawa	22	100	$\frac{15+21+19}{3}$	= 18	90
Szląsk	6	31	$\frac{4+5+4}{3}$	= 5	25
Galicya	38	150	$\frac{54+53+27}{3}$	= 45	225
Bukowina	5	30	$\frac{7+6+2}{3}$	= 5	25
	198	271		200	1000

Porównajmy wynik naszych badań z rozporządzeniami patentów lutowych.:

a) kraje koronne: Salcburg, Karyntya, Kraina, Tryest z Wybrzeżem i Gradyska, Tyrol i Bukowina otrzymały w konstytucyi lutowéj przynależącą się im ilość deputowanych do

rady państwa. Ilość deputowanych na sejmy krajowe nie odpowiada przyjętemu stosunkowi, zbaczając raz na mniéj, drugi raz na więcéj, co się stosunkami miejscowemi da po części usprawiedliwić.

b) Styrya, Niższa Austrya a szczególniéj Galicya, otrzymały znacznie mniejszą ilość deputowanych, aniżeli ze względu na obszar terytoryalny, ludność i opłacane podatki otrzymać były winny.

c) Natomiast dostały więcéj deputowanych Wyższa Austrya, Czechy, Morawa i Szląsk.

Znając ducha konstytucyi lutowéj, nie trudno jest wynaleźć przyczynę tak nierównego rozdziału deputowanych do rady państwa. Odpowiednią im ilość posłów dostały kraje koronne jednolitéj narodowości, mniejszą niż się im należało dostała w szczególności Galicya, gdzie jedna narodowość pod względem materyalnym i moralnym niesłychanie stoi wyżéj ponad drugą, większą ilość deputowanych nareszcie dostały kraje, w których narodowości prawie się równoważą.

Jeżeli jaśniéj jeszcze mam się wyrazić, to Czechy, Morawa i Szląsk dla tego tak wielu wysyłają deputowanych do rady państwa, aby w większéj liczbie sztuczną protekcyę żywiołu niemieckiego łatwéj ukryć można było, Galicya zaś wysyła ich tak mało, aby stosunek obu narodowości mniéj niekorzystnym do siebie się okazał.

Jakiekolwiek zresztą przyczyny spowodowały autorów konstytucyi lutowéj do przyjęcia przytoczonego wyżéj rozdziału deputowanych pomiędzy różne kraje koronne: dzisiaj gdy konstytucya ta od półtora roku zawieszona ma się stać przedmiotem dyskusyi zgromadzonéj rady państwa, obowiązkiem jest reprezentantów Galicyi upomnieć się o prawa kraju, który ich wysłał. Siedmiu deputowanych powinna Galicya więcéj wysyłać do rady państwa a 75 posłów na sejm krajowy: pierwsi mają zapewnić w wspólném ciele prawodawczém przynależne tak wielkiemu krajowi koronnemu, jakim jest Galicya, stanowisko, drudzy wzmocnią w sejmie prowicyonalnym żywioły oświecone i przyłożą rękę do podniesienia kraju. Inną razą wyłożę moje myśli, w jaki sposób owa nadwyżka posłów na sejm krajowy ma być wybieraną i jakie jeszcze inne reformy w statucie wyborczym byłyby do życzenia.

Mieczysław Marassé.

Siedm projektów
konstytucyi w Austryi.

(Dokończenie.)

III.

Następuje z kolei projekt konstytucyi ułożony przez komisyę sejmu wiedeńsko-kromieryskiego. Dwa poprzednie wychodzące z krajów słowiańskich były poniekąd zaprzeczeniem ówczesnego prądu historycznego, chciały się zastrzedz, zawarować przeciw wszechwładnemu porywającemu ruchowi roku czterdziestego ósmego, chciały go nie zwichnąć, ale nakierować i wprowadzić na inne tory. Ten projekt, który teraz przypomnieć chcemy, jest jak żeby samą treścią roku czterdziestego ósmego, jest wcielonym duchem téj epoki. Zgromadzenie posłów zwołanych do Wiednia na mocy oktrojowanéj konstytucyi cesarza Ferdynanda, przejęte na wskróś demokratycznemi i liberalnemi zasadami, wyznające fanatycznie ideę wszechwładztwa tego ludu, którego było pierwszą w Austryi reprezentacyą, nie mogło z natury swojéj poprzestać na konstytucyi nadanéj, ale uznając ją tylko za tymczasową podstawę swego istnienia i swego prawa do działania, musiało wziąść się do napisania innéj ustawy. Z tego uczucia, z tego naturalnego popędu począł się rzeczony projekt... Fizyologia przypuszcza, że warunki, że okoliczności pośród których człowiek został poczętym, wpływają przeważnie na jego materyę i dadzą się wyśledzić i odszukać w jego późniejszym charakterze. Podobnie i tutaj, w każdym niemal paragrafie projektowanéj ustawy, znać wpływ tego ducha, z którego się ona poczęła. Rok czterdziesty ósmy był w Austryi nie pierwszém przebu-

dzeniem demokratycznych idei, ale pierwszym ich wolnym, jawnym wyrazem, pierwszą ich afirmacyą śmiałą, stanowczą, i, należy mu się ta sprawiedliwość, zwycięzką. Wszystkie te idee i zasady, które na zachodzie żyły od r. 1789, nie już w poczuciu i świadomości ludzi, ale w prawie publiczném i w całém ustroju społeczeństwa, tutaj, tłumione prawem z Bożéj łaski, legitymizmem i wszystkiemi siłami świętego przymierza, dopiero po upływie lat sześciudziesiąt zdołały wydobyć się na wierzch z tych ciemnic, w których ukrywały się przed śledczém okiem absolutyzmu i jego policyi. Dotychczas żyły one tylko pod ziemią, silnie, ale jako pragnienia tylko, jako namiętności, które w Austryi o ile wiemy, nawet w spiski się nie wcielały; spiski galicyjskie bowiem od roku 1830 do roku 1846 miały charakter mięszany, obok idei demokratycznych kierowała nimi idea niepodległości narodowéj; w innych zaś krajach tego cesarstwa zasady rewolucyi francuskiéj oblekły się co najwięcéj w kształt doktryn i teoryi.

Naraz ujrzały się wolnemi; ujrzały, że sam rząd austryacki uznał nietylko ich słuszne prawa, ale ich konieczność. Rzecz prosta, że pierwszém ich staraniem, pierwszą czynnością było zapewnić sobie byt, rozwój i panowanie. Duchem i charakterem ówczesnego ruchu, którego rdzeniem i najdoskonalszym wyrazem był Reichstag wiedeńsko-kromieryzki, była demokracya, wolność i równość polityczna; wolność narodowa, zepchnięta przezeń na drugie dopiero miejsce, szukała dla siebie uznania na innych drogach, szukała go w zjezdzie Słowian w Pradze, szukała go nawet i nie znalazła w aliansie Kroatów z rządem. Inaczéj być nie mogło. Demokracya tłumiona przez całą pierwszą połowę 19 wieku, a zakorzeniona w świadomości wszystkich nieuprzywilejowanych warstw społeczeństwa, skoro raz wybuchnąć mogła, musiała z tém większą siłą prężenia, z tém większym impetem dążyć do tego, żeby siebie zabezpieczyć, nie oglądając się na nic innego, nie widząc przed sobą nic prócz siebie. Skutek konieczny i zawsze się powtarzający uporczywego a nie uprawnionego oporu stawianego przez rządy wielkim prądom dziejowym.

Ztąd to poszło, że projekt konstytucyi, o którym mówimy, może, z małemi zmianami, odpowiedzieć wszystkim potrzebom i wszystkim rozsądnym wymaganiom społeczeństwa,

opartego na zasadach roku 89go, ale nie zaspokoi Polaków lub Czechów troskliwych o prawa i los swojéj narodowości w państwie austryackiém. Gdyby to państwo było jednoplemienném, natenczas sumiennie możnaby mu doradzać przyjęcie téj ustawy konstytucyjnéj, jako odpowiedniéj dzisiejszym poczuciom i potrzebom społeczeństw europejskich, a ułożonéj z tak szerokiém i liberalném pojęciem tych potrzeb, że na długie lata mogłaby takiemu państwu i takiemu narodowi wystarczyć. Ale zapytać można, czy przy téj wolności człowieka ograniczonéj o tyle tylko, o ile koniecznie ograniczoną być musi, czy przy téj równości ludzi pomiędzy sobą, pojedyncze kraje i narody miałyby tyle narodowego życia, ile go po sprawiedliwości mieć powinny? Lud miałby wolność zupełną, przed nim wszystko otworem, byłby mógł róść, rozwijać się, wzmagać, rozprężać się i wywierać czynność swoję we wszystkich kierunkach, ileby mu się podobało; narody byłyby rychło uderzyły się o szranki swojéj wolności, pozwolonego sobie rozwoju i postępu. A w Austryi niema jednego ludu, lecz jest kilka narodów. Wiem że nasz projekt ustawy przyznaje tym wszystkim narodom równouprawnienie pomiędzy sobą, autonomię, sejmy, samorząd w gminie i wszystko, co uchodzi za warunek i rękojmię narodowego życia i rozwoju, ale nie widzę, żeby im dostatecznie poręczał te przyznane prawa i ich rzeczywiste wykonywanie w słusznym, należnym zakresie.

Z głównych zarysów, które tu podamy, czytelnik sam najlepiéj rzecz osądzi.

Nie wiemy, czy w owym czasie już był wynalezionym ów nam dziś tak nienawistny wyraz „dualizm“, ale to pewna, że na pierwszéj karcie owéj konstytucyi, jego istota jest w zupełności zatwierdzoną i obwarowaną. Wiadomo że kiedy się ten projekt układał, królestwo węgierskie było z Austryą w wojnie o swoją konstytucyę z roku 1848. Czy że wypadek wojny zdawał się niepewnym, a oderwanie Węgier od cesarstwa możliwém, czy téż, co zaszczytniejsze, że Reichstag nie czuł się uprawnionym do narzucania swojéj konstytucyi krajowi, który sobie inną był uchwalił, a w łonie tego ciała prawodawczego reprezentowanym nie był, dość, że drugi zaraz paragraf projektu, wyliczając kraje koronne, w których ustawa

ta ma obowiązywać, nie wspomina ani Włoch, ani Węgier. Możnaby myśleć, że ten paragraf ułożony przez przyszłą, konstytucyjną czy nadzwyczajną radę państwa, po stracie Lombardyi, po odstąpieniu Wenecyi, i po przyjęciu elaboratu 67 węgierskich legislatorów. Faktycznie, przez samo to wyliczenie krajów, uznał Reichstag dwie połowy monarchii i ułożył konstytucyę dla jednéj, dla téj, która dziś sarkastycznie nazywa się Cisleitaniją, urzędownie połową zachodnią, a w któréj to zachodniéj połowie monarchi leży Lwów, Tarnopol i Czerniowce.

Mimowolnie staje tu na myśli ów system grup z projektu p. Ostrozińskiego, tak odpowiedni składowi monarchii i naturalnym warunkom jéj ustroju. Tutaj, mamy dwie połowy równe, a w jednéj z dwóch zneutralizowane w jednym parlamencie całe różnorodne życie polityczne trzynastu krajów odrębnych narodowością, językiem i historyą; mamy to samo, co dziś zrobić chce minister oparty na centralizatorskich namiętnościach Niemców, a czemu opierają się odważnie Czechy, Morawy i Kraina.

Zaraz po tém wyliczeniu wprawdzie zastrzega projekt, że wszystkie te kraje stoją do siebie w stosunku zupełnego równouprawnienia, i że każdemu zapewnia się autonomia w obrębie granic oznaczonych niniejszą ustawą, ale cóż kiedy granice są tak ciasne, że trudnoby wolne własne narodowe życie mogło rozwinąć się u nich swobodnie.

Nie możemy wdawać się choćby w pobieżny tylko rozbiór tego oddziału w projekcie, który mówi o kardynalnych prawach obywateli państwa *(Staatsbürgerliche Grundrechte)*. Oddział ten jest niezaprzeczenie chlubą całego działu. Znać w nim wprawdzie rękę demokracyi młodéj, działającéj po raz pierwszy, a przeto zbyt może niekiedy zazdrosnéj o władzę i o zwycięztwo; znać że autorowie projektu przedewszystkiem mieli na myśli zostawić władzy wykonawczéj jak najmniéj atrybucyi a przenieść ich jak najwięcéj na władzę prawodawczą, na parlament; naturalny skutek rządów absolutnych, a którzy pod niemi żyli i przez nie tak długo cierpieli, musieli mniemać, że im mniéj władzy zostawią monarsze, tém więcéj zabezpieczą się od możliwego samowładztwa. Widoczna jest także właściwa ciałom prawodawczym a zwłaszcza konstytuantom chęć

zdobycia dla siebie prawa stanowienia ostatecznie o wszystkiem i wybicia się zpod wszelkiéj kontroli; nie ma na przykład senatu, któryby miał prawo powstrzymywać choćby do czasu uchwały wszechwładnego zgromadzenia. Jest wprawdzie Izba krajów *(Länderkammer)* zebrana z delegatów sejmów krajowych, ale atrybucye jéj i stosunek do Izby Pierwszéj, Izby Ludu *(Volkskammer)*, nie są określone i nie można dojść, jaka rola była jéj przeznaczoną.

Jest strach i nienawiść przywileju posunięte aż do drobnostek, rzeklibyśmy niemal do dziecińistwa, w paragrafie trzecim ustaw kardynalnych, który znosi szlachectwo. Jak żeby szlachectwo bez przywileju nie było nazwą bez rzeczy i treści, jak żeby mogło jeszcze wtedy być niebezpiecznem dla równości obywatelskiéj, lub jak żeby zniesieniem téj już tylko urojonéj różnicy znieść się dały wszystkie rzeczywiste i nieuniknione różnice w społeczeństwie, różnice stanowiska, wpływu, majątku i t. d. Takie zastrzeganie się przeciw czerwonym i niebieskim znaczkom, które się zowią herbem w języku umarłych, uważałaby demokracya dojrzała i wyrobiona za rzecz zupełnie zbyteczną, za stanowisko przedawnione; tutaj, były to obawy płonne, może dziecinne, ale naturalne, demokracyi młodéj, która długo znosić musiała niesprawiedliwość, przykrości i upokorzenia uznanego prawem przywileju. Poza temi zaś postanowieniami, w których znać ostatnie kwasy przeszłości i pierwsze upojenie zwycięztwa, mieszczą się pomiędzy temi „prawami kardynalnemi“, rzeczywiście kardynalne warunki i zasady wolności, w pojęciu ich najszerszém i najtrafniejszém. Tu i owdzie zapewne dałyby się zrobić niejakie zarzuty; możnaby podnieść naprzykład, że obok uznanéj w zupełności równości wyznań wobec państwa, obok orzeczenia, że żadne wyznanie nie jest panującém, źle wygląda zniesienie pewnych zakonów; że jeżeli postanowienia owe posuwają z jednéj strony tolerancyę religijną do ostatecznych granic, to z drugiéj ścieśniają stronniczo tę tolerancyą na niekorzyść jednego wyznania i na niekorzyść osobistéj wolności ludzi, którzyby do takiego zakonu wstąpić chcieli (§ 15 i poprawki). Ale pomimo tych usterków, które słuszność położyć każe na karb chwilowych wpływów i dotkliwych wspomnień z czasów przedmarcowych, ogółem wziąwszy, można się pisać na te „prawa kardynalne“

i przyznać, że obejmują one wszystko to, co zabezpiecza prawdziwą wolność osobistą i polityczną w państwie. Z tego to względu rzekliśmy wyżéj, że gdyby Austrya była państwem jednolitém, gdyby zamiast składać się z kilku narodów, składała się z jednego ludu, lud ten mógłby na owéj konstytucyi poprzestać.

Dla czegóż nie może ona zaspokoić każdego z osobna narodu w Austryi? Wszak orzeka, że wszystkie są między sobą równouprawnione, że każdy ma prawo zachować i rozwijać swoją narodowość i mowę, że państwo poręcza równouprawnienie wszystkich języków w szkole i w urzędzie? (§ 21).

Wszak każdemu osobnemu narodowi przyznaje ten projekt nie tylko sejm krajowy, ale nawet sejmy obwodowe; wszak nadaje instytucye gminne, wszak uszanowanie dla prawa ludu do rządzenia sobą posuwa tak daleko, że każdego naczelnika robi odpowiedzialnym właściwemu sejmowi? (§ 104), i przyznaje temuż sejmowi moc oskarzenia namiestnika przed najwyższym Trybunałem państwa? Trudno nadać sejmom większą władzę i większą powagę.

Cóż z tego, kiedy z jednéj strony bardzo wiele, prawie za wiele, a z drugiéj za mało. O ile cenilibyśmy bardzo wysoko prawo oskarzenia namiestnika, o tyle odpowiedzialność jego przed sejmem wydaje nam się mniéj właściwą. Namiestnik jest urzędnikiem administracyjnym; wykonywa rozkazy wyższéj władzy. Nie on zatém, ale ta wyższa władza, minister, winien być odpowiedzialnym. Do ministrów zaś sejmy krajowe podług projektu nie mają żadnego regresu; mieć go nie mogą, skoro jedno ministeryum razem załatwia sprawy wszystkich krajów, skoro żaden z tych krajów nie ma osobnéj dla swoich spraw kancelaryi w Wiedniu. Odpowiedzialność kanclerza przed sejmem krajowym byłaby skuteczną i zrozumiałą, odpowiedzialność namiestnika jest trudną do pojęcia, chyba że ją pojmować zechcemy jako bezwzględne zastosowanie zasady odpowiedzialności, jako dążność do poddania wszystkich organów władzy wykonawczéj pod moc władzy prawodawczéj. To prawo pociągania namiestników do odpowiedzialności, daje sejmom na pozór ogromną władzę, ale w rzeczy nie rozszerza ich atrybucyi, ani zabezpiecza ich niezależności, jest osłabieniem korony i machiny administracyjnéj, a nie jest wzmo-

cnieniem reprezentacyi krajowych. Wyobraźmy sobie natomiast, że każda z nich ma w Wiedniu swojego ministra lub kanclerza, wyszłego z łona większości sejmu krajowego, służącego za łącznik pomiędzy krajem a koroną, i wyobraźmy sobie, że ten jest odpowiedzialny przed swoim sejmem, natenczas cała rzecz się zmienia; votum nieufności dane kanclerzowi, któryby źle prowadził sprawy kraju, więcéjby zrobiło wrażenia w Wiedniu i silniejby poparło politykę krajową, niż namiestnik pociągnięty do odpowiedzialności za administracyjne nadużycia. Jedno byłoby środkiem do przeprowadzenia swojéj polityki, drugie jest tylko środkiem do upokorzenia lub ukarania namiestnika; różnica wielka. Postanowieniem takiém ówczesny parlament dawał uczuć swoje zwycięztwo koronie i jéj sługom, ale nie dawał rzeczywistéj władzy ani rzeczywistéj wolności pojedynczym krajom i ich sejmom.

Przy bliższém zastanowieniu nad tą projektowaną ustawą znajdujemy się nieraz w niepewności, nie wiemy jak, ani podług czego ją sądzić. Zamiar tych, którzy ją układali, zdaje się za bardzo daleko iść w sensie autonomii i niezawisłości sejmów, a potém zatrzymuje się w pół drogi i nie przyznaje tym sejmom dostatecznych atrybucyj. Jeżeli wolno postawić hipotezę, osobisty domysł, może nietrafny na wytłomaczenie téj sprzeczności, to ową szczodrość względem sejmów krajowych spróbowalibyśmy wytłómaczyć panującą w owym czasie demokratyczno-liberalną doktryną, która wychodząc z zasady wszechwładztwa ludu, nie śmiała i nie mogła odmówić reprezentacyom krajów praw, które wedle téj zasady są istotą konstytucyjnéj wolności. I dlatego pod formą odpowiedzialności namiestnika, dostały sejmy prawo i sposób kontrolowania władzy wykonawczéj. Cenniejsze nierównie i pożyteczniejsze w praktyce jest to prawo, które sejmom pozwala konstytuować siebie i kraje. Artykuł drugi Rozporządzeń tymczasowych stanowi, że: „Sejmy krajowe do ukonstytuowania pojedynczych krajów *(die constituirenden Landtage)* zebrać się mają zaraz po zamknięciu konstytuującego Reichstagu, i trudnić się mają wyłącznie ułożeniem konstytucyi dla swoich krajów; *haben sich ausschliessend mit der Feststellung der Landesverfassung zu beschäftigen.*“ Paragraf 112 oznacza warunki, których statuta te trzymać się muszą, jako to: że wybory do sejmów mają

być bezpośrednie, że prawo wybierania i wybieralności do sejmów może być bardziéj ograniczoném, jak jest prawo wybierania i wybieralności do Reichstagu; że wreszcie nie wolno jest przekraczać opisanego niniejszą ustawą zakresu autonomii. Paragraf zaś 111 stanowi, że statuta wypracowane przez sejmy dla pojedynczych krajów koronnych, mają być podane do potwierdzenia Reichstagu, który jednak potwierdzenia tego odmówić nie może, tylko w razie, jeżeli statuta sprzeciwiają się prawom ustanowionym ogólną konstytucyą państwa.

Jakkolwiek to ostatnie postanowienie ścieśnia znacznie doniosłość praktyczną przyznanego sejmom prawa, „bo sprzeczność z ogólną konstytucyą państwa“ jest elastyczna i na wszystko dałaby się rozciągnąć, ile razy Reichstag uznałby za dobre zatwierdzenia swego odmówić, to przecież samo uznanie zasady uważać trzeba za rzecz wielkiéj wagi i pomyślnych skutków. Przy takiém prawie niepodobną byłaby naprzykład, nasza dzisiejsza na szkodę kraju wyrachowana ordynacya wyborcza, bo sejm byłby ją sam dla siebie ułożył.

Tém dziwniéj téż odbija od tych praw wielkich sejmom przyznanych, ciasny i ograniczony zakres działania przepisany im przez projektowaną ustawę. Tamte nadano im, domyślamy się pod wpływem doktryny, ten; ograniczyła dążność i namiętność Niemców do skupiania najżywotniejszych spraw w swojém ręku, w ręku jednego centralnego parlamentu. Przejrzyjmy atrybucye tych sejmów. Mają one pełną moc stanowienia o krajowych finansach (§ 114), (budżet, długi krajowe, krajowe podatki na krajowe potrzeby etc.); o sprawach ekonomicznych kraju, pod którémi projekt rozumie rozwój handlu przemysłu, wzrost produkcyi, komunikacyi (drogi, kanały etc.), zakładanie kas oszczędności, banków hipotecznych etc., wreszcie: o sprawach politycznych kraju. Zdawałoby się, że to zupełnie wystarczające; nieszczęściem sprawy polityczne spisane są kategorycznie i redukują się do następujących: *a)* Rozwój sztuk i umiejętności. *b)* Dozór nad pobożnemi fundacyami. *c)* Zakłady dobroczynne i ubóztwo. *d)* Zaprowadzenie stałego porządku dla stosunków służebnych i czeladnich, dla obrony od ognia, i dla policyi budowniczéj. Słowem, należałoby zmienić tytuł tego ustępu, i zamiast „sprawy polityczne“ napisać „sprawy policyjne“. Położony na pierwszém miejscu *a)*

rozwój *(Beförderung)* sztuk i umiejętności, tyczy się co najwięcéj towarzystw naukowych lub tym podobnych pośrednich środków rozszerzania oświaty, nie zaś urządzenia szkół i zawiadywania onemi. Następny bowiem paragraf (115) mówi, że: „w zakresie ograniczeń prawem postanowionych należą do kompetencyj sejmów sprawy wyznań i sprawy kościelne, tudzież sprawy oświecenia *(Unterrichts- und Volkserziehungswesen)*.“ Czy to postanowienie rzeczywiście oddaje sejmom jakikolwiek wpływ na wychowanie publiczne, i w jakiéj go mierze oddaje, to zależy naturalnie od owego niejasnego elastycznego „prawem przepisanego zakresu“, o którym w projekcie napróżno chcieliśmy dowiedzieć się czegoś pewnego. Jasność i kategoryczność są pierwszemi zaletami każdéj ustawy, cóż dopiero ustawy, która ma rozgraniczać atrybucye różnych władz lub róznych ciał prawodawczych. Tutaj jéj nie ma; i wyznać musimy, że ów „zakres prawem przepisany“ budzi w nas niejakie podejrzenia. Czytamy zaś w paragrafie 19, że „nauka udzielaną być ma wszystkim bezpłatnie na koszt państwa“ (nie kraju), ale z poprawką do tegoż paragrafu, że: „oświata i wychowanie publiczne stoją pod dozorem państwa, i że dozór ten rozciąga się na wszystkie zakłady naukowe i wychowawcze. Wyznajemy, że to słowo państwo w tém miejscu, przejmuje nas niedowierzaniem; może wniosek zbyt śmiały i nieuzasadniony, ale czujemy pod tém słowem pewną jednostajność, pewną z góry nałożoną normę wychowania publicznego, która wpływ pojedynczych krajów na to wychowanie zredukowałaby do minimum.

Przypomnijmy sobie, że projekt kroacki oznacza jako sprawy wspólne: sprawy zagraniczne, wojskowości, skarb i handel, i dla tych spraw stanowi wspólny sejm państwa, wszystkie inne pozostawiając sejmom krajowym. Taki sam podział przyjmuje dyplom październikowy. Niniejszy zaś projekt nigdy wyraźnie téj granicy nie pociągnął. Autorowie jego, możnaby mniemać, musieli czuć, że tylko pomienione sprawy są i mogą być wspólnemi, skoro postanowili (§ 107), że „sprawy należące do zakresu ministerstwa spraw wewnętrznych i oświecenia, namiestnicy krajowi sami mają załatwiać, w imieniu tylko dotyczącego ministra.“ Jest to może dowodem, że uznawali potrzebę odrębności krajów koronnych co do tych rzeczy, ale

nie można zaprzeczyć, że odrębności téj nadali formę najbardziéj jak być może zależną od władzy centralnéj. Pomiędzy namiestnikiem załatwiającym rzeczone sprawy w imieniu ministra, a osobnym do ich załatwienia krajowym ministrem lub kanclerzem różnica jest ogromna.

Podniesiemy jeszcze inną. Podług projektu p. Ostrozińskiego sejm wspólny składać się miał z delegatów wszystkich sejmów krajowych. Tutaj, Reichstag, powstaje z bezpośrednich wyborów ludu, jak żeby był jeden lud w Austryi; a tylko druga jego Izba *(Länderkammer)* składa się z (sześciu) delegatów każdego sejmu krajowego, i z delegatów sejmów obwodowych (Kreistagów), z których każdy wybiera jednego posła do téj Izby. Czem właściwie jest ta Izba, jaki jéj stosunek do Izby ludu *(Volkskammer)*, jaka jéj rola i jéj atrybucye, tego z projektu nie mogliśmy się dowiedzieć. Wiemy tylko, że obie te Izby razem stanowią Reichstag, że zgoda obu jest potrzebna, aby wniosek został uchwałą Reichstagu, że wybiera sobie prezydenta i że członkowie jéj wybierani są na lat sześć. Ale czy względem Izby ludu zajmuje ona takie stanowisko, jakie zajmują Izby wyższe (senaty) względem niższych, czy się składa z delegacyi sejmów, czy téż z luźnych delegatów; czy jest po prostu senatem zredukowanym *ad minimum*, czy téż jakimś pomysłem nowym, jak to poniekąd wskazuje jéj skład i nazwa, tego dociec nie możemy, bo projekt nie mówi nic o jéj przeznaczeniu i kompetencyi.

Niemniéj jak owa Izba są dla nas niezrozumiałymi sejmy obwodowe (Kreistagi). W krajach złożonych z więcéj jak z jednego obwodu, mają się odbywać równoczesnie z wyborami do sejmu krajowego, wybory i do tych sejmików, z tą różnicą, że do tych ostatnich wybiera ludność podwójną liczbę posłów. Sejmiki te mają poruczony dozór nad majątkiem gmin w obwodzie położonych, mają rozstrzygać spory pomiędzy gminami lub członkami a przełożonymi gmin pojedynczych, mają dozór nad obwodowemi drogami i komunikacyami, nad miejscowemi zakładami dobroczynnemi, nad chorymi, ubogimi etc. etc. Wreszcie nad szkołami ludowemi, a mogą nakładać podatki obwodowe na potrzeby obwodu. Dotychczas byłoby wszystko dobrze; sejmiki takie odpowiadałyby mniéj więcéj radom departamentowym francuzkim lub tym radom powiatowym, które

u nas niebawem mają wejść w życie; aż dotąd jesteśmy najmocniéj przekonani o ich konieczném potrzebie, i z całą gotowością oddajemy projektowi sprawiedliwość, że nie pominął tego najważniejszego czynnika samorządu. Ale zdaniem naszém poszedł on za daleko, kiedy tym sejmikom nadał prawo układania projektów do ordynacyi gminnéj i prawo zatwierdzenia statutów dla gmin pojedynczych. Pomijamy już, że projekt nie mówi, komu taki sejmik ma podać do zatwierdzenia ułożoną przez siebie ustawę gminną, czy sejmowi krajowemu, czy Reichstagowi, czy wprost koronie? Niezawodnie było to potrzebne do powiedzenia, ale są zarzuty ważniejsze od tego, a mianowicie: że w takim razie powstałaby prawdopodobnie wielka mnogość i rozmaitość ordynacyj gminnych, któréj pomimo całego poszanowania dla autonomii, samorządu i miejscowych potrzeb, trudno uznać za dobrą dla kraju, a powtóre: że powierzać ułożenie prawa gminnego w dzisiejszym stanie oświaty, tym elementom, z których sejmiki składaćby się musiały, jest to posuwać za daleko uszanowanie dla wszechwładztwa ludu, i dla doktryny narażać na szwank samą podstawę organizacyi kraju. Elementa te w krajach najbardziéj cywilizowanych, we Francyi lub w Belgii nie byłyby w stanie ułożyć prawdziwéj ustawy gminnéj, cóż dopiero u nas. Lepiéj było ograniczyć sejmiki obwodowe do czynności czysto administracyjnych, a za to rozszerzyć atrybucye prawodawcze sejmów krajowych.

W ogóle powiedzieć można o tym projekcie, że jest bardzo wolnomyślnym, że bardzo dbałym o prawa ludu. Praw tych tak broni, tak je waruje, że nadużycia władzy wykonawczéj stają się przy nim prawie niepodobne. Czy w praktyce władza prawodawcza, Reichstag na téj ustawie oparty nie byłby przekroczył swojego zakresu i czy nie byłby się posunął do nadużyć, próżno się chcieć domyślać. Przekroczenia i nadużycia tego rodzaju trafiają się często, ale są zawsze skutkiem politycznych wypadków i politycznych namiętności, nie zaś ustawy. W téj zaś projektowanéj ustawie władza zdaje nam się w słusznéj i sprawiedliwéj mierze podzieloną pomiędzy rząd a ciało prawodawcze; i gdyby ona przeznaczoną była dla jednego ludu dla państwa jednoplemiennego, przyjęlibyśmy ją z niejakiemi może zastrzeżeniami, ale w ogóle z wdzięcznością,

a może z zapałem. Czy atoli uwzględnia ona dostatecznie prawa i potrzeby różnych narodów w Austryi, czy im zapewnia swobodny rozwój, swobodne życie narodowe, czy ten reichstag opatrzony ogromnemi atrybucyami, niemal wszechwładny, nie pochłonąłby tych wszystkich narodowych osobistości, czyby ich nie naraził na powolny rozkład gdyby go szczerze i prawdziwie za swój parlament przyjęły, a w przeciwnym razie na despotyzm pierwszéj lepszéj przypadkowéj większości, to rzecz inna. Sejm wspólny, jeżeli nie jest ograniczony do najmniejszéj, koniecznéj liczby sciśle oznaczonych spraw wspólnych, musi prowadzić albo do nieustannych sporów i zatargów, albo do idei wielko-austryackiéj, do rozkładu narodowych różnic i odrębności w kosmopolitycznych czysto liberalnych doktrynach.

Dla owoczesnych sfer rządowych był ów projekt stanowczo zbyt liberalnym; komisya jeszcze nad nim pracowała, kiedy zaczajona reakcya czychała już z gotową, ułożoną inną konstytucyą, i czekała tylko dobréj pory, żeby udaremnić kromieryzki projekt ustawy. Sposobność nadarzyła się niebawem z pierwszém rzeczywistém czy urojoném zwycięztwem odniesioném nad Węgrami; rząd uczuł się po tém dość silnym żeby sobie dać radę z burzliwą demokratyczną Izbą; u drzwi sali stanęli żołnierze, sejm kromieryzki został rozwiązanym, a na gruzach tylko co opisanego projektu konstytucyi, który był najważniejszém tego sejmu dziełem, zatknęli pp. Stadion, Schwarzenberg i Bach nowy sztandar, na którym stało napisane konstytucya z 4go marca 1849 r.

O téj można powiedzieć, że miała ze wszystkich los najsmutniejszy. Przyjęta z oburzeniem przez ludność jako akt samowładzy, przez sprawców swoich zarzucona i nigdy w życie nie wprowadzona, istniała ona tylko na papierze. Zrazu wojna węgierska nie pozwalała rządowi trudnić się konstytucyjnemi sprawami, następnie zwycięztwo uwolniło go od téj potrzeby. Konstytucya ołomuniecka została taką konstytucyą jakimi detronizowani królowie są królami. Opinia była jéj niechętną, bo widziała w niéj dzieło i powrót reakcyi — rząd był jéj niechętnym, bo taka jak była, jeszcze mu się zbyt wolnomyślną wydawała; uważał ją za złe konieczne, — a jeżeli przyszłość pozwoli obejść się bez tego złego, tem lepiéj.

Rzeczywiście była ona w wysokim stopniu reakcyjną; próbowała odrobić co się było zbrobiło, odwołać cały rok czterdziesty ósmy i naprawić jego skutki. A jednak wpływ owego czasu był przecież tak silnym, że ta konstytucya na wskróś wsteczna, poczęta w duchu reakcyi, nie śmiała mimo to targnąć się na pewne prawa i pewne uznane zasady wolności, i wolnomyślniejszą jest o wiele od téj, która w dwanaście lat późniéj obwieścić miała wolność ludom przywykłym do dziesięcioletnich absolutnych rządów i która dziś nam szczęśliwie panuje. Instrument reakcyi użyty przez pp. Stadiona i Bacha, jest ze stanowiska liberalnego, więcéj wart jak fundament wolności założony przez pana Schmerlinga. Na dowód przytoczymy tylko, że nie odbiera ona Izbom prawa wybierania prezydenta, że zatrzymuje, raczéj obiecuje sądy przysięgłych, i że do kompetencyi tych sądów przydziela nawet przestępstwa polityczne; o odpowiedzialności ministrów wyraża się wprawdzie nie jasno, mówi, że osobne prawo postawi w tym względzie, wszelako samą tą wzmianką uznaje zasadę, choć zastrzega sobie jak najmniéj zostósować się do téj zasady w praktyce. Jakakolwiek jest, zyskuje jeszcze na porównaniu z ustawą lutową.

I nie można powiedzieć, żeby reakcya była jedynym jéj celem; nie; pisali ją ludzie, a między nimi jeden znakomity podobno mąż stanu, którym nie wystarczało wrócić wprost do dawnego, i zwolna krok za krokiem cofnąć się aż do tego sposobu rządzenia którym kże Meternich uszczęśliwiał Austryę przez tak długie lata. Konstytucya ta nosi w sobie nową ideę, zarody nowéj polityki. „Cesarz, mówi paragraf 12 téj ustawy, koronuje się na cesarza austryackiego.“ Postanowienie obojętne na pozór, ale charakterystyczne, bo w niém odbija się owa dążność, owa idea zbawcza która miała zrodzić lepszą przyszłość. Wiadomo, że jeszcze cesarz Ferdynand koronował się osobno na króla węgierskiego, osobno na czeskiego, osobno wreszcie żelazną koroną w Padwie czy w Medyolanie. Teraz precz z tém wszystkiém, precz z odrębną koroną ś. Szczepana, ś. Wacława, i lombardzką; jedna jest tylko korona, wspólna, austryacka; oto znaczenie tego paragrafu, oto wskazówka nowéj polityki, znaczenie proroctw złowrogie, wskazówka praw-

dziwéj utraty korony lombardzkiéj, i długich fatalnych zatargów z koroną śgo Szczepana.

Wyszła więc na jaw idea wielko-austryacka; rządy bar. Bacha były jéj zastósowaniem praktycznêm, a konstytucya ołomuniecka jéj zapowiedzią, jutrzenką poprzedzającą wschód słońca, które w dziesięć lat późniéj doczekało się pod Solferino tak posępnego zachodu. „Zwycięskie postępy naszego wojska“ mówi manifest podpisany przez casarza ale natchniony oczywiście duchem kcia Schwarzenberga i p. Bacha, „ułatwiły nam dzieło odrodzenia jednolitéj Austryi, któreśmy sobie za zadanie życia obrali.“ Jednolitość Austryi stała się hasłem i celem owego systemu; dojść do téj jednolitości miało być zbawieniem dynastyi i utrwaleniem potęgi państwa na wieki. Rzecz prosta, że obok takiego celu konstytucya wolności, jako środek ostać się nie mogła, bo ją ta jednolitość obsolutnie wyklucza. Konstytucya ołomuniecka była zatém z góry na śmierć skazana, a to że nigdy w wykonanie nie weszła, uważać tylko trzeba za naturalne następstwo ministeryalnych celów i idei. Jednolitość w teoryi, to w praktyce gwałt i despotyzm; ówcześni ministrowie byli tak silni, że mogli być otwartymi, i swoje dzieło assymilacyi prowadzić najprostszemi naturalnemi środkami. Abzolutyzm powrócił, konstytucya poszła na bok, ale na jéj nagrobku można przynajmniéj wypisać, że nie była nigdy nadużytą i że nie stała się konstytucyjną komedyą. Nie każda ustawa zasługuje na takie wspomnienie pośmiertne.

Przeznaczona do zjednoczenia wszystkich krajów koronnych i do zatarcia ich narodowéj odrębności, a wydana w chwili kiedy zwycięztwo nad najpotężniejszym z tych krajów zdawało się rządowi i łatwém i bliskiém, musiała naturalnie konstytucya owa zacząć od tego, żeby zaprzeczyć Węgrom wszelkiéj odrębności i wszelkich praw, na których oparci doszli stopniowo aż do swojéj ustawy z r. 1848. Jednym téż zamachem, jednym pociągiem pióra, kasuje ona całą przeszłość Węgier i wszystkie ich historyczne prawa, niweluje je i równa z innymi krajami, w nadziei że tym sposobem dojdzie do jednolitości, do téj wymarzonéj wspólnéj wielko-austryackiéj ojczyzny, którą stworzyć założyli sobie ówcześni mężowie stanu. Jak się ta próba udała, to po latach ośmnastu pokazuje dostatecznie przyjęty przez rząd dzisiejszy elaborat komisyi 67. Zostawiając

atoli czytającym wnioski i refleksye, ograniczymy się na przytoczeniu tych paragrafów, które dotyczą wprost korony śgo Szczepana.

„Konstytucya Królestwa węgierskiego, mówi paragraf 71, „zostaje o tyle w mocy utrzymaną, o ile się zgodzi z niniej-„szą ustawą. Osobny statut orzecze bliżéj w téj mierze i upo-„rządkuje te stósunki.“ Z niniejszą zaś ustawą nie mogło się zgodzić ani osobne ministerium, ani instytucye komitatowe, ani szeroka kompetencya sejmu węgierskiego, a kraj który w początkach roku 48 określił swój stósunek do reszty monarchii jako unię czysto personalną, oddany został powyższemi słowami na łaskę: „osobnego nadać się mającego statutu,“ który nigdy nadanym nie został, ale, o ile można się domyślać, byłby wypadł podobnie do statutów, którymi patenta lutowe uszczęśliwiły kraje korony austryackiéj.

W obrębie zaś krajów węgierskich, stanowi tenże sam paragraf, mają wszystkie narodowości i języki być równo uprawnionemi. Sprawiedliwość sama nie mogłaby nic piękniejszego napisać, a jednak, kto zna ówczesne stósunki i ówczesny sposób rządzenia, ten wie, ile w tych słowach kryje się zdradliwych podszczuwań, jednych przeciwko drugim, jaki gęsty zasiew narodowych i spółecznych zawiści. Równouprawnienie w teoryi, tłómaczyło się podówczas w praktyce przez najszersze zastósowanie zasady *„divide et impera.“* Zabijać, rozkładać na atomy żywe organizmy żeby z tych atomów złożyć potém nowe ciało, żeby z ich rozczynu wydobyć złoto jednolitéj Austryi, taka była mądrość ówczesnych alchemików i taki ich sposób postępowania.

Paragraf 73 odrywa bez namysłu Kroacyę i Sławonię od korony węgierskiéj. „W krajach tych utrzymują się właści-„we miejscowe instytucye o ile się zgadzają z niniejszą ustawą „i o ile nie stoją na zawadzie postanowionemu tąż ustawą „związkowi rzeczonych krajów z państwem; przy zupełnéj „ich niezależności *(Unabhängigkeit)* od Królestwa węgierskiego.“ Że Kroacya téj niezależności pragnęła, to nie podlega najmniejszéj wątpliwości; dowiodła tego w owym właśnie czasie aż nadto. Czy atoli autorom konstytucyi chodziło o wyzwolenie jéj z pod przemocy Węgrów, czy o osłabienie i złamanie tych

ostatnich, to inne pytanie, na które późniejsze obejście rządu z Kroacyą wyraźną dało odpowiedź.

„Wielkie Księstwo siedmiogrodzkie, (§. 74.) urządzoném „będzie na podstawie zupełnéj niezależności od Węgier, „i równouprawnienia wszystkich zamieszkujących ten kraj na„rodowości.“ W ten sposób mamy Węgry rozłożone z jednego na trzy osobne jednostki polityczne, z których każda osobno łatwiéj da się pokonać niż kiedy były jedną całością. W domu sabaudzkim oddawna z ojca na syna przechodziła przypowieść o karczochu, którego nie można zjeść odrazu ale po jednym listku; ministrowie austryaccy tradycyjnie przekazywali jeden drugiemu apolog o rózdze, która związana w pęk nie dała się złamać, ale rozdzielona na pojedyncze pręciki nie oparła się sile ani dziecinnéj nawet ręki. Teoryę pręcików widzieliśmy wszędzie a najwidoczniéj u nas w Galicyi; podział korony węgierskiéj na trzy kraje jest jedném więcéj praktyczném zastósowaniem téj teoryi.

Jest to atoli środek tylko do zatarcia odrębności pojedynczych krajów, to dopiero połowa dzieła; jakim sposobem spróbuje konstytucya ołomuniecka dojść do téj jednolitości austryackiéj, która była jéj założeniem i celem? Sposób jeżeli jest, jest oczywiście tylko jeden, a tym jest tylko centralizacya — skupienie jak największéj liczby spraw, jak największéj miary władzy wykonawczéj w ręku jednego centralnego ministerstwa, jak najobszerniejszego zakresu władzy prawodawczéj w ręku jednego wspólnego parlamentu. Czy to ministerium będzie mniéj lub więcéj odpowiedzialne, czy ten parlament będzie w obec rządu trochę potężniejszym lub trochę słabszym, o to mniejsza, pierwszy, główny cel, zawsze będzie dopiętym; jedno wspólne ministerium i jedno wspólne ciało prawodawcze potrafią z biegiem czasu i pomocą okoliczności zlać wszystkie kraje w jedno państwo, w którém już nikt nie rozezna jego pierwotnych składowych żywiołów.

Stósownie do tego więc, mamy „Reichstag“ którego Izba niższa (najważniejsza), powstaje z wyborów bezpośrednich. Izba wyższa, składa się z członków wybieranych przez sejmy. Każdy sejm w liczbie swoich delegatów musi wybrać dwóch posłów sejmowych, resztę zaś przypadających

na siebie delegatów, z pomiędzy obywateli kraju opłacających co najmniéj 500 fl. podatków bezpośrednich.

Ustawa nie oznacza bliżéj attrybucyi téj Izby wyższéj; wszelako wnieść można nie bez podstawy, że władza jéj byłaby się rozciągała co najdaléj do powstrzymywania uchwał Izby niższéj. Przy wielkim zaś zawsze wpływie rządu na wszystkie Izby wyższe, można przypuścić, że ta byłaby się zgodziła na każdą uchwałę Izby niższéj, odpowiednią myśli rządowéj. — Myślą rządową była podówczas germanizacya i przenarodowienie krajów koronnych; łatwo więc wyobrazić sobie, że delegaci sejmu galicyjskiego naprzykład nie byliby w téj Izbie wyższéj zdołali czegoś uczynić dla obrony narodowych praw naszego kraju.

Nadmieniliśmy wyżéj, że pod względem praw przyznanych Parlamentowi centralnemu, konstytucya ołomuniecka liberalniejszą jest od konstytucyi lutowéj. Tak jest, na dowód przytoczę tylko, że piérwsza pozwala Izbom wybierać Prezydentów, a posłowi któryby podczas swojego urzędowania poselskiego został urzędnikiem Państwa, nakazuje poddać się ponownemu wyborowi. Gdyby te dwie ustawy służyć miały dla Państwa rzeczywiście jednolitego, mając wybór pomiędzy niemi, możebyśmy jeszcze woleli konstytucyę Stadiona jak konstytucyę Schmerlinga, bo stanowisko jakie nadaje reprezentacyi ludu, jest przecież cokolwiek lepsze. Z naszego stanowiska atoli, musimy obydwie zarówno za złe uważać, a szerszy zakres kompetencyi centralnego Parlamentu nie zdoła naszego sądu przekupić. Przeciwnie im zakres tam szerszy, tém naturalnie mniejsze atrybucye sejmów krajowych, tém mniejsza autonomia, tém mniejszy rozwój i tém mniejsza swoboda życia narodowego w pojedyńczych krajach. Konstytucya ołomuniecka oznacza zaś jako sprawy wspólne Państwa, dla których właściwą władzą prawodawczą jest Reichstag, następujące sprawy:

1. Wszystkie które się tyczą domu cesarskiego i praw korony, stosunków międzynarodowych i zagranicznych, stósunków Państwa do kościoła; wojsko i marynarka; handel i skarb; poczty, telegrafy, i t. d.
2. Wszystko co się tyczy utrzymania wewnętrznego porządku i bezpieczeństwa.
3. Kodeks cywilny, kodeks karny, procedura sądowa i organizacya sądownictwa.

4. Oświecenie, a mianowicie wyższe zakłady naukowe; w końcu
5. Wszystkie sprawy które w téj ustawie lub w prawach Państwa nie są wyraźnie oznaczone jako sprawy krajowe. (V oddział— O sprawach Państwa).

Cóż więc zostanie dla sejmów? co? zaraz zobaczymy:

1. Budowle (z funduszów krajowych stawiane lub restaurowane).
2. Zakłady dobroczynne.
3. Bilans krajowych dochodów i wydatków.
4. Podwody, kwaterunki dla wojska i t. d. w końcu
5. W granicach opisanych prawami Państwa szczegółowe postanowienia w sprawach gminnych, kościelnych i szkolnych.

Jeżelibyśmy nawet rozumieć przez to chcieli bardzo przeważny wpływ sejmu na urządzenia gminne lub na szkoły niższe i średnie, czego przy owém zastrzeżeniu „w granicach opisanych prawami Państwa“ przypuścić tak łatwo nie możemy to jeszcze i wtedy musimy przyznać, że kompetencya tych sejmów byłaby nader ograniczoną. Cóż dopiéro jeżeli sobie przypomnimy, że ten sejm postawiony jest prawie zupełnie poza obrębem właściwego życia konstytucyjnego w Państwie. Życie to bowiem skoncentrownane być miało w Reichstagu, z którym sejmy związane były węzłem nader luźnym (owymi delegatami do Izby wyższéj) i na którego uchwały mogły co najwięcéj wywierać słabiutki wpływ negatywny. A jak z jednéj strony w Wiedniu uchwały wydawane dla całego Państwa byłyby zapadały bez słusznego wpływu reprezentacyi krajowych, tak z drugiéj strony w kraju samym każdy z tych sejmów byłby stał sam jeden niezwiązany z samorządnemi instytucyami i na nich nieoparty. „Wszystkie kraje koronne“ mówi §. 77 „dostaną osobne statuta“— „dostaną“ — nie „uchwalą sobie. — Jeżeli się nie mylimy, to to właśnie, pod zastrzeżeniem sankcyi cesarskiéj naturalnie i bez uszczerbku dla praw i stanowiska Reichstagu powinno być fundamentem wolności i współudziału ludu w rządzie. Statut krajowy oktrojowany może być podług słuszności, tylko czasowym, potrzebnym dla piérwszego sejmu lub dla późniejszych dopókąd nie ułożyłyby same dla siebie statutu; ale ułożenie onego powinnoby jeżeli konstytucya ma być prawdą, być piérwszém zadaniem sejmów krajowych, piérwszym warunkiem ich swobody, i piérwszą rękojmią konstytucyjnéj wolności.

Łatwo zrozumieć dlaczego nie przyznał im tego prawa ani pan Stadion ani późniéj pan Schmerling. Centralizacya, jednolitość, była głównym celem obudwóch. Ze względu na tę centralizacyę także bała się konstytucya ołomuniecka wypuścić z rąk Państwa choćby najmniejszéj części administracyi krajów koronnych. Gminie wprawdzie poręcza ta ustawa samodzielne sprawowanie interesów gminnych, wybór przełożonych i t. d., ale ponad gminą nie zaprowadza już żadnych konstytucyi samorzędnych. Obiecuje wprawdzie, że osobne prawo postanowi o urządzeniu gmin powiatowych i obwodowych, ale to „osobne prawo które w przyszłości ma orzekać“ jest w ustawie tylko wygodną zasłoną a w rzeczywistości niczém. Czém zaś mogą być instytucye gminne, fundament samorządu, bez opartego na tym fundamencie budynku? Oczywiście niczém innėm jak rzeczą niekompletną, niedokończoną, bez użytku i bez właściwego powodu istnienia, jak jedno ogniwo łańcucha które nawet najdoskonaléj zrobione i jako takie skończone, jeszcze do niczego służyć nie może.

Przy takiém stanowisku sejmów, przy takiém odsądzeniu krajów od zarządu własnemi sprawami czy to politycznemi czy administracyjnemi, choćby parlament centralny opartym był na najliberalniejszych zasadach, konstytucya zostanie zawsze fałszem i komedyą, a wolność niepodobieństwem. W obec tego na cóż się przydały owe na czele wszystkich ustaw konstytucyjnych umieszczane obietnice, że wszystkie kraje będą równo uprawnione, a każdy w całéj pełni używać będzie swoich praw narodowych? Co mogły mieć za znaczenie i w co się obrócić musiały? Ostatecznie, wtedy jak za rządów pana Schmerlinga konstytucya musiała się obrócić w stan oblężenia, uszanowanie praw narodowych w systematyczne wynarodowianie, samorząd w rządy biurokratyczne, a wolność w ucisk policyjny.

IV.

Przez dziesięć lat krzewiły się te chwasty po naszych ziemiach bujnie i rozkosznie, przez dziesięć lat praca nad jednolitością Austryi szła swoim trybem z nieprzerwaną i nieubłaganą energią, aż w końcu wydała swój plon w r. 1859. Najpiękniejsza prowincya stracona, dług Państwa podniesiony do niepraktykowanéj wysokości, zasoby materyalne tak wyczer-

pane, że najkonieczniejsze wydatki nie dały się pokryć bez użycia coraz trudniejszego, coraz droższego kredytu, kraje węgierskie wprawione w niepokój wojną włoską i przysłuchujące się ze drżeniem każdemu odgłosowi strzałów armatnich z nad Ticinu, w innych krajach obojętności na klęski armii i państwa, wojsko wreszcie, to wojsko które obok policyi było przez cały ten przeciąg lat jedynym celem Państwa, źle prowadzone, źle żywione, zdemoralizowane i pobite, oto skutki téj polityki, oto dowody ile żywotności, ile prawdy miała w sobie wielkoaustryacka idea. Po ciężkiéj nauce opatrzono się, że daléj tak iść nie mogło.

Rzecz charakterystyczna, a w dziejach świata sto razy przykładami stwierdzona, że ile razy rząd despotyczny własną swoją polityką postawi siebie i Państwo na brzegu przepaści, tyle razy szuka ratunku w wolności, tyle razy odwołuje się do niéj, żeby Państwo i jego wywiodła na miejsce bezpieczne. „Ja zepsułem, ty napraw i ratuj“ — a jak człowiek podług przysłowia w trwodze udaje się do Boga, tak rząd absolutny, kiedy trwoga, próbuje się ratować ustępstwami na rzecz ludu, wolnością. Od angielskich Stuartów aż do ostatniego króla neapolitańskiego, powtarzał się ten fakt ciekawy wielokrotnie w różnych czasach i krajach, a po wojnie włoskiéj powtórzył się i w Austryi.

Dlaczego skutek tak mało odpowiedział nadziei? Dlaczego pomimo systemu konstytucyjnego, nastąpiła w siedem lat po kampanii włoskiéj gorsza nieszczęśliwsza nierównie wojna pruska? Czy że nie ma w wolności siły i warunków odrodzenia Państwa, czy że jak w Neapolu, obietnica wolności przyszła „za późno?“ Ani jedno ani drugie. Wolność mogła była odrodzić Austryę i zachować ją od nowych nieszczęść gdyby była prawdziwą wolnością; ta zaś którą nadano była tylko formą i pozorem, i jako taka musiała prowadzić do większego niż przedtém wewnętrznego rozstroju, do zatargów, draźniła tylko i oburzała podległe berłu austryackiemu narody, nie mogła ani ich zaspokoić ani do Monarchii przywiązać; a jeżeli one pomimo wszystkiego zachowują się spokojnie i wiernie, to dlatego że widzą w tém swój interes i potrzebę, to nie dla stworzonego konstytucyą lutową stanu rzeczy ale pomimo niego.

A jednak zaprzeczyć się nie da, że rząd trafił na właściwą drogę ratunku, i że powzięta przez cesarza inicyatywa była i śmiałą i mądrą; nie da się téż zaprzeczyć, że akt zapowiadający konstytucyę przyjętym był z zapałem we wszystkich krajach koronnych, nawet w tych które przywykły z dawna z niedowierzaniem tylko przyjmować wszystkie akta od rządu wychodzące. Zdawało się bowiem początkowo, że przyrzeczona wolność nie ograniczy się na samém tylko wystawieniu trybuny dla pochopnych do mówienia parlamentarnych oratorów, ale że będzie rzeczywistą i prawdziwą, że przejdzie w życie każdego kraju, że nie będzie tylko tą abstrakcyjną, teoretyczną, platoniczną wolnością w obrębie sali parlamentu, ale że stanie się w Galicyi wolnością dla Polaków, w Czechach dla Czechów, w Węgrzech dla Węgrów, w prowincyach niemieckich dla Niemców.

Pogodzić wolność narodową krajów koronnych z jednością Państwa i z potrzebną siłą rządu centralnego, jest w Austryi zadaniem nie łatwem. Tylko ten kto je rozwiąże, zdoła zapewnić potęgę a może i byt Monarchii. To pewna, że idąc za daleko w kierunku odrębności pojedyńczych krajów i rozciągając autonomię ich do znaczenia prostéj tylko unii osobistéj, można narazić całość i jedność Państwa; a z drugiéj strony, jest rzeczą niemniéj pewną, że nie uznając téj odrębności i stawiając zapory narodowéj wolności ludów, łączy się je wprawdzie mechanicznie w jednę skupioną całość, ale chemicznie rozkłada się tę całość na piérwiastki sprzeczne czekające tylko sposobnéj pory, żeby się z téj całości wywiązać i wydzielić. Droga prawdziwa zatém i prawdziwy środek ratunku musi leżeć gdzieś po środku; musi być jakaś wyraźna granica pomiędzy tém czego wymaga jedność i całość Państwa, a tém czego żąda dla siebie wolność pojedyńczych krajów; jeżeli téj granicy nie ma, jeżeli te dwie zasady żadnym sposobem nie mogą się z sobą pogodzić, ale zawsze tylko muszą się krzyżować i wzajemnie jedna drugą zaprzeczać, to w takim razie nie ma co mówić o prawdziwym ratunku Monarchii, w takim razie choroba jego jest chroniczną; da się tylko przez pewien czas uśmierzać i łagodzić, ale wyleczyć się nie da.

Jednak tak nie jest. Granica taka istnieje, da się pociągnąć, a tym, który dotąd najbliższym był ścisłego i trafnego

6.

jéj oznaczenia, był cesarz Franciszek Józef i ci z jego ministrów, którzy podpisani są na Jego dyplomie z 20 października 1860 r. Nie chcemy bynajmniéj utrzymywać, jakoby ów dyplom był tym kamieniem filozoficznym, którego Austrya szuka od tak dawna, jakoby był bezwzględnie i wszechstronnie doskonałym, jakoby po jego ogłoszeniu nie pozostawało nam jak wykrzyknąć naprzód Eureka a potém Hosannah, i na tém poprzestać. Nie — nie mamy go za ewangielię prawa publicznego w Austryi, ale go mamy za pomysł bliski prawdy, a do tyla przynajmniéj odpowiedni i potrzebom państwa i prawom pojedyńczych narodów, że i rząd i wszystkie kraje koronne mogą go przyjąć za podstawę porozumienia, za punkt wyjścia do ostatecznego urządzenia swoich wzajemnych prawno-politycznych stosunków.

Od chwili bowiem kiedy rząd jako władza centralna, jako reprezentant jedności państwa oświadcza, że gotów jest oddać pod zarząd krajów samych te wszystkie sprawy, które nie są mu konieczne do utrzymania téj jedności, od téj chwili kraje gotowe są uznać ze swojéj strony, że pewne sprawy jako obchodzące całe państwo, muszą być uważane za wspólne i wspólnie załatwiane przez centralny parlament jako władzę prawodawczą i przez centralne ministeryum jako władzę wykonawczą. Nie ma tego kraju koronnego, któryby zaprzeczał, że sprawy zagraniczne, sprawy wojskowe, monetarne i t. d. mogą i muszą być prowadzone razem za wszystkie kraje i dla wszystkich krajów; nie przeczy temu nawet węgierski elaborat 67miu, i takiéj wspólności wszystkie kraje poddać się gotowe bez oporu. Nienawiść ich do byłego i nieufność do przyszłego Reichsrathu nie ztąd pochodzi, że są one ogólnemi parlamentami państwa, ale ztąd, że jeden rzeczywiście wdzierał się w ich sprawy wewnętrzne i przywłaszczał sobie wyłączne prawo stanowienia o ich losach, i że drugi o takie samo wdzierstwo podejrzywają. Nie chodzi im o zniesienie wszelkiéj wspólności, ale tylko o wynalezienie słusznéj miary i o nakreślenie granic téj wspólności.

Dyplom październikowy mówi w tym względzie co następuje:

„Takie tylko instytucye i stosunki prawne, które odpo-„wiadają historycznemu poczuciu prawnemu i faktycznéj roz-

„maitości naszych królestw i krajów, a oraz potrzebie ich nie-„rozdzielnego, nierozłącznego związku, mogą w pełnéj mierze „dostarczyć rękojmi potędze i bezpieczeństwu monarchii.“ W ten zaś sposób ogólnie postawiona zasada, określona jest bliżéj, praktycznie, w dalszych artykułach dyplomu. „Prawo wyda-„wania, znoszenia lub zmieniania ustaw, wykonywaném będzie „przez Nas i naszych następców jedynie ze współudziałem sej-„mów prawnie zgromadzonych, a względnie ze współudziałem „Rady państwa.“ Mamy więc Reichsrath i w dyplomie październikowym, Reichsrath przeznaczony do obradowania nad wspólnemi sprawami, tak samo jak mieliśmy go w praktyce. Ale różnica pomiędzy dyplomem i praktyką i zaleta dyplomu, polega właśnie w definicyi tych spraw wspólnych. Z współ-udziałem i przyzwoleniem Rady państwa mają się załatwiać lub zapadać: „ustawy (art. II) względem monet, pieniędzy, „kredytu, względem cła i handlu, następnie co do zasad ban-„ków wypuszczających w obieg bilety; co do poczt, telegrafów „i kolei żelaznych, co do sposobu i porządku powinności służby „wojskowéj. Następnie nakładanie nowych podatków i opłat „lub podnoszenie istniejących, szczególnie zaś podwyższenie „ceny soli; podejmowanie nowych pożyczek, konwersya istnie-„jących długów państwa, i sprzedaż, zamiana lub odłużenie „nieruchomego majątku skarbowego. Wreszcie sprawdzenie „i zamknięcie rachunków państwa i rezultatów rocznego obrotu „finansowego, oraz ustanowienie budżetu państwa na rok „przyszły.“

„Wszystkie zaś inne przedmioty ustawodawstwa (art. III) „załatwiane będą zgodnie z konstytucyą we właściwych sej-„mach i wraz z takowymi; a to: w królestwach i krajach na-„leżących do korony węgierskiéj w duchu dawniejszych ich „konstytucyi, w innych zaś naszych królestwach i krajach „w duchu ich ordynacyi krajowych i stósownie do takowych.“

Gdybyż było przy tém zostało! O ile prędzéj, o ile łatwiéj byłoby przyszło do skutku porozumienie z Węgrami, o ile mniéj groźnie i niebezpiecznie byłby wypadł ich opór tak długi, jeden z głównych powodów ostatnich klęsk monarchii. Gdyby było przy tém zostało, Rada państwa zamiast zmieniać się po kuglarsku z ciaśniejszéj w zupełną i z zupełnéj w niezupełną, zamiast być smutnym teatrem nadużyć większości i protestów

mniejszości, byłaby spokojnie i normalnie załatwiała oznaczone powyżéj sprawy wspólne, bez niechęci i oporu, przeciwnie z uznaniem jéj potrzeby i gotowością udziału ze strony krajów koronnych. W krajach zaś samych życie samorządne, konstytucyjne i narodowe, zamiast co było ile możności ukrócaném i gnębioném, byłoby się rozwinęło znacznie, a przez to samo byłoby przywiązało te kraje do istniejącego porządku rzeczy, do obowiązującéj konstytucyi i do monarchii, i dziś po latach siedmiu, państwo byłoby stale i silnie zorganizowaném, zamiast co musi organizować się na nowo, tylko co po świeżo poniesionych klęskach, w pośpiechu i w obawie czy nam nowe klęski nie grożą, w nałożonych przez butny naród węgierski warunkach, i przy zbyt wyraźnéj nieufności wszystkich krajów słowiańskich.

Nieszczęściem, dyplom październikowy pozostał także tylko projektem konstytucyi, jak wszystkie te o których mówiliśmy dotąd. Rzeczywistością była tylko jedna, najgorsza ze wszystkich, konstytucya lutowa.

Jakim sposobem zasada inaugurowana tak pięknie i tak mądrze pojęta w dyplomie październikowym, mogła w swojém uzupełnieniu, bo tém są właściwie patenta lutowe, tak się wykrzywić i wypaczyć, że z konstytucyi została tylko forma i nazwa, że zamiast wolności mieliśmy tylko bezwzględną centralizacyę? Rzeczy te są tak świeże, że wpływy które przemianę tę sprowadziły, muszą być po większéj części do dziś dnia osobistą tajemnicą działających podówczas ludzi. Widzowie mieli przed oczyma same tylko rezultaty tego procesu; sposób w jaki się on odbywał, został przed ich oczyma zakrytym. Widzieli, że hr. Gołuchowski ustąpił z ministerstwa i że miejsce jego zajął pan Schmerling; domyślali się znaczenia téj zmiany, nie wiedzieli co ją ostatecznie sprowadziło. A gdy organa „liberalnéj“ niemieckiéj opinii winszowały sobie, że teraz dopiéro konstytucya stanie się prawdziwą i wolnomyślną, kiedy nienawistny im „a r y s t o k r a t a“ ustąpił miejsca mężowi najczystszego, niepodejrzanego liberalizmu, opinia krajów koronnych zatrwożyła się, zaniepokoiła; bała się, przewidywała, że z dawnym Frankfurtczykiem u steru rządu powrócą dawne czasy, i ten sam co był dawniéj ucisk ich narodowości, tylko tym razem nie przez biurokracyę i policyę, ale przez więk-

szość parlamentarną. Opinija ta pomyliła się tylko o tyle, że ucisk odbywał się i przez biurokracyę, i przez policyę, i przez większość parlamentarną.

Nie brakło na wskazówkach do usprawiedliwienia tych obaw. Jedną z bardzo wyraźnych było przyjęcie jakiego doznała deputacya galicyjska wysłana do Wiednia w pierwszych dniach stycznia 1861, i odpowiedź ministra Stanu na przedstawiony mu wyraz potrzeb i żądań tego kraju; odpowiedź tak wymijająca, powiedzmy raczéj poprostu, zbywająca. Po téj odpowiedzi można się było spodziewać, że przyszła fundamentalna ustawa państwa nie po naszéj myśli wypadnie, a patent lutowy niebawem sprawdził te przeczucia.

Przypatrując się tym patentom dochodzi się logicznie do wniosku, że powstały one pod wpływem dwóch działających czynników: niemieckiéj namiętności panowania nad innemi (pośledniejszemi) plemionami, która w Austryi wcieliła się w wielko-austryacką ideę, i wstecznych dążności, reakcyjnych strachów przed wolnością. Pan Schmerling, tak samo jak na dziesięć lat przed nim inny niemiecki liberał, pan Bach, pogodził się z dążnością reakcyjną i przyjął wszystkie jéj warunki, byle dogodzić swojéj i swoich centralizatorskiéj namiętności i doktrynie. Wynikło z tego, że konstytucya lutowa, ze stanowiska czysto-liberalnego nawet, jest niczém więcéj jak parodyą konstytucyi, zdolną tylko oburzyć ale nie zaspokoić lud prawdziwie domagający się udziału w rządzie, prawdziwie czujący się w swoich prawach, z drugiéj zaś strony wyrachowaną jest na to, żeby pod pozorami konstytucyjnéj wolności, tłumić i paraliżować narodowe życie ludów podległych berłu austryackiemu.

Nie możemy rozwodzić się obszernie nad pierwszym z tych zarzutów, a prawdziwości jego dowodzić nie potrzebujemy. Dowiedli jéj sto razy w saméj sali posiedzeń ściślejszego Reichsrathu, sami najgorliwsi i jedyni przyjaciele i zwolennicy téj konstytucyi, Niemcy centraliści. Dość nam będzie przypomnieć, że konstytucya ta nie daje nawet tych rękojmi wolności, które teorya od wieków uważa za najistotniejsze, bez których system reprezentacyjny jest fikcyą nie rzeczywistością, a które każda ustawa zapewnia i waruje choćby dla pozoru, dla oka świata, dla saméj przyzwoitości. Konstytucya ołomuniecka miała więcéj tego pudoru, i można o niéj powiedzieć co powiedziano o hi-

pokryzyi, że była przecież jakim takim hołdem uszanowania złożonym wolności przez despotyzm. Tutaj napróżno szukać choćby nawet pozorów, choćby hipokryzyi; jest to absolutyzm pod zmienioną formą, zmienioną o tyle tylko, ile koniecznie było potrzeba, żeby zrobić pewne wrażenie za granicą i podeprzeć zachwiany kredyt.

Szukajmy choćby najlżejszéj obietnicy, najwątlejszéj wskazówki niezależności sądownictwa od władz politycznych; nie znajdziemy, nie ma jéj. Konstytucya ołomuniecka przyrzekała przynajmniéj tę niezależność, przyrzekała nadto sądy przysięgłych w sprawach karnych, politycznych i prasowych. Szukajmy poręczenia wolności osobistéj, wolności pisma i druku, wolności stowarzyszeń; nie ma i tego; Izby nie mają nawet prawa wybierania swoich prezydentów; Izba wyższa, z parostwem dziedzicznem, łatwa do pojęcia tam gdzie jak w Anglii jest instytucyą opartą na wiekowéj tradycyi i gdzie odpowiada rzeczywistym stosunkom społecznym, w konstytucyi świeżo w naszych czasach oktrojowanéj, byłaby tylko anomalią, gdyby nie była instrumentem do unieważnienia uchwał Izby niższéj, instrumentem powolnym rządowi i pewnym. Usterków takich przeciw rzeczywistéj konstytucyjnéj wolności moglibyśmy wytknąć bez liku, gdyby nam chodziło o analizę téj strony ustawy lutowéj; musimy atoli pominąć je i ograniczyć się do przypomnienia jednego jeszcze tylko charakterystycznego niedostatku. Ani słowa o odpowiedzialności ministrów. To samo jedno wystarcza żeby obalić nietylko całą rzeczywistość, ale nawet sam pozór fikcyi konstytucyjnéj. Natomiast jest znany paragraf trzynasty, który stanowi, że jeżeli „podczas wakancyi „rady państwa zajdzie potrzeba pilnych zarządzeń w przedmio- „cie jakim do zakresu jéj działalności należącym, ministeryum „obowiązaném będzie na najbliższéj radzie państwa przedsta- „wić powody rozporządzenia i rezultaty tegoż.“ Brakuje tylko postanowienia, „że rada państwa ma tego przedstawienia wysłuchać, wziąść do wiadomości, i..... ukłonić się.“

Oto mniéj więcéj co w ustawie téj zrobił wpływ ducha reakcyjnego. Wpływ zaś idei wielko-austryackiéj i centralistycznéj namiętności zrobił dwie rzeczy: ściślejszą radę państwa i statuta dla krajów koronnych.

Dyplom październikowy znał jak wiadomo jednę tylko, zupełną radę państwa, a oprócz niéj sejmy krajowe; zawierał atoli w artykule trzecim pewien punkt niejasny i niedostatecznie określony, z którego późniéj, pod skrzydłami pana Schmerlinga wylęgła się ciaśniejsza rada państwa. Ustęp ten brzmi jak następuje: „Gdy pod względem takich przedmiotów, które „nie należą do wyłącznéj kompetencyi całéj rady państwa, „przez długi szereg lat wspólne dla wszystkich krajów oprócz „węgierskich odbywało się traktowanie i rozstrzyganie *), „przeto zastrzegamy sobie, aby podobne również przedmioty „traktowane były z współudziałem rady państwa, obok za- „wezwania radców państwa z tychże krajów.“ Co znaczy „udział rady państwa obok zawezwania radców państwa“, i jak sobie wyobrazić radę państwa bez tego zawezwania, tego wytłumaczyć nie umiemy. Pan Schmerling atoli znalazł tłómaczenie, i do ustępu tego nawiązał następujące rozporządzenie: „Przedmioty prawodawcze, wspólne wszystkim krajom z wy- „jątkiem krajów korony węgierskiéj, należą wedle artykułu III „dyplomu z dn. 20go października 1860, do zakresu działal- „ności rady państwa urządzenia odpowiednego bez uczestnictwa „w niéj członków z krajów korony węgierskiéj.“

„Do téj przeto ściślejszéj rady państwa należą, wyjąwszy „wymienione w §. 10 sprawy (t. j. sprawy objęte artykułem II. dyplomu październ.), „wszystkie przedmioty prawodawstwa, „które nie są wyraźnie przekazane statutami krajowemi poje- „dyńczym sejmom krajowym w ściślejszéj radzie państwa re- „prezentowanym.“

Jakież więc będą owe przedmioty prawodawstwa przekazane wyraźnie sejmom krajowym? Od tego wymiaru zależeć będzie oczywiście doniosłość i znaczenie sejmów, zakres autonomii i narodowéj wolności każdego kraju. Pod tym względem konstytucya lutowa zgadza się co do słowa z konstytucyą ołomuniecką. Do kompetencyi sejmów krajowych należeć mają podług obu tych ustaw:

„1. kultura (nie oświata, ale kultura) krajowa.

„2. budowle publiczne kosztem kraju podejmowane.

---

*) Wszystkie wyjątki podajemy podług urzędowych tłumaczeń, a przeto nie bierzemy odpowiedzialności za polszczyznę.

„3. zakłady dobroczynne dotowane z funduszów krajowych.
„4. budżet i składanie rachunków krajowych.
„wreszcie bliższe rozporządzenia w obrębie ustaw powsze-
„chnych względem:
1. spraw gminnych.
2. spraw kościelnych i szkolnych.
3. dostarczania podwód tudzież prowidowania i kwaterowania wojska.

Oto zakres działalności sejmu. A nie zapominajmy, że trzeba było aż przewrotu ministeryum, zmiany systemu i zawieszenia konstytucyi, na to by sejm wyposażony tak szerokiemi atrybucyami mógł odbyć sesyą dłuższą nad dziewięć posiedzeń; że ów nieszczęśliwy wydział sejmowy, pozbawiony wszelkiéj egzekutywy, skrępowany i z góry zaraz sparaliżowany ustawą, dopiéro po owym przewrocie i po owém zawieszeniu, mógł odebrać zarząd funduszów krajowych i „zakładów dobroczynnych“, że kraj w takim stanie społecznéj dezorganizacyi jak Galicya, musiał czekać pięć lat zanim mu dano wolność urządzenia „w obrębie ustaw powszechnych“ sprawy gminnéj, którą ustawa w tym obrębie poddaje jego kompetencyi, że trzeba było tego przewrotu i zawieszenia, żeby kraj tak mało oświecony a tak boleśnie i głęboko czujący swoją niższość w tym względzie, mógł niezałatwić, ale tknąć się swoich spraw szkolnych — przypomnijmy sobie to wszystko, zwalmy połowę tego (hojnie i szeroko) na karb zamieszek 63go roku, uniewinnijmy z połowy system lutowy i jego reprezentantów, a jeszcze się pokaże, że ten system nie dotrzymał nam nic z tego co sam tak skąpo nam przyrzekł.

Ale i to jeszcze nie wystarczało. Kto wprowadza system reprezentacyjny, kto nadaje konstytucyę, ten zawsze sieje ziarno wolności, a to ziarno błogosławione, bądź co bądź jakiś plon zawsze wydać musi. Wiedział o tém ówczesny minister, a chcąc się zabezpieczyć, aby plon był jak najlichszy i jak najskąpszy, rozrzucił ziarno tak, żeby największa jego część padła to na skałę, to na drogi, to między ciernie, a w dobrą ziemię część tylko najmniejsza. Ażeby te sejmy, tak skrępowane, tak ograniczone, raz na zawsze ubezwładnić i nie dopuścić by się stały środkiem jakiego takiego rozwoju wewnętrznego narodowego życia, potrzeba było złożyć je dla każdego kraju tak,

żeby dać przewagę ludności niemieckiéj tam, gdzie się ona znajduje, a tam gdzie jéj nie ma, tam przynajmniéj dać przewagę najmniéj oświeconym warstwom społeczeństwa. Ztąd to poszło, że ordynacya wyborcza dla Czech i dla Morawy fawoByzuje miasta przed ludnością wiejską, ztąd poszło, że ordynacya wyborcza galicyjska dzieli starannie wyborców na grupy, odsądza od prawa reprezentacyi większą część miast, wszystkich bez wyjątku dzierżawców, urzędników prywatnych i tym podobnych pariasów, a z uwielbienia godną sprawiedliwością i wolnomyślnością nadaje prawo wyborcze czynne i prawo wybieralności całéj masie nieoświeconego ludu, czyniąc je zależném jedynie od bardzo niskiéj cyfry podatków; i połowę całéj liczby posłów wyprowadza z wyborów tych mas nieoświeconych. Zasada, że sejm winien być reprezentacyą ludu, całego ludu, została tutaj nadużytą, została użytą za środek do tego, żeby ten sejm stał się jak najsłabszą reprezentacyą narodowéj myśli i jak najniedołężniejszym rzecznikiem narodowych potrzeb. Doktryna na pozór liberalna tak samo tu posłużyła do skrępowania prawdziwéj wolności, jak gdzieindziéj głosowanie powszechne służyło nieraz i służy za podporę i za maskę absolutyzmu.

Ale i taki sejm ubezwładniony w zarodzie, jeszcze mógł stać się niewygodnym, jeszcze pomimo wszystkiego mogło owo ziarno wydać plon jeżeli nie dodatni, to przynajmniéj ujemny, plon protestów i opozycyi w saméj już téj ściślejszéj radzie państwa. Trzeba było zabezpieczyć się od tego. Cóż się więc robi — oto stanowi się, że skoro w téj radzie reprezentowanym być ma cały lud każego kraju, przeto delegacya tego kraju składać się ma z pewnéj liczby posłów miejskich, z pewnéj liczby posłów większéj własności, wreszcie z pewnéj liczby posłów włościańskich, i to wybieranych nie z całego gremium tych posłów włościańskich, bo tym sposobem jeszcze mogłaby wejść do rady państwa znaczniejsza liczba delegatów niewygodnych, ale po jednym lub po dwóch z pewnych wskazanych okręgów. Tym sposobem uniknie się o ile tylko można niemiłych wyborów, a choć radca państwa może nie będzie rozumiał ani jednego słowa obrad, choć może nie będzie umiał czytać ani pisać, to nic nie szkodzi, będzie on tém lepszym, tém wierniejszym reprezentantem swego ludu.

I trwał ten fałsz konstytucyjny przez lat pięć, i był przez ten cały przeciąg czasu fałszem w krajach koronnych rządzonych jak dawniéj biurokratycznie i policyjnie, fałszem w sejmach, którym nie dano trudnić się nawet temi sprawami, jakie im ustawa przydzieliła, fałszem wreszcie w téj radzie państwa, która napróżno przez lat pięć spierała się z ministrem Stanu o rozszerzenie swoich atrybucyi, i która nie miała nawet tyle rzeczywistéj siły i powagi, żeby przed jéj wyraźnie objawioną nieufnością i wolą ten konstytucyjny minister ustąpił. Ustąpił on, równie jak cała rada państwa, przed niepodobieństwem pogodzenia Węgrów z konstytucyą lutową, a pierwszą od roku 1861 chwilą prawdziwéj wolności w Austryi; byłato chwila zawieszenia téj konstytucyi.

Dziś, po upływie półtora roku, słyszymy znowu o jéj powrocie i o jéj nieprzerwalności prawnéj. Nieprzerwalność ta, tak stanowczo przerwana ugodą z Węgrami, jest dla umysłów nieuprzedzonych pustym frazesem, a ten powrót niepodobieństwem. Stosunki wewnętrzne w monarchii tak się w skutku téj dokonanéj ugody zmieniły, że jedna, wspólna konstytucya dla całego państwa nie jest możliwą, a ta nieprzerwalna, nietykalna ustawa lutowa, upadła *de facto*. Jednak pozostało po niéj to, co w niéj było najgorszém, duch i tendencya, a ta sama namiętność Niemców do panowania nad innymi ludami Austryi, która ją w swoim czasie zrodziła, ta sama odwołuje się do niéj teraz i zabiera się do walki tą samą bronią, radą państwa zwołaną na podstawie lutowych ordynacyi wyborczych. Pismo ministeryalne z dnia 4go lutego b. r. nazywa tę radę „konstytucyjną“ — konstytucyjną ona nie będzie, bo podług ustawy tylko rada zupełna ma prawo przedsiębrać rewizyę i zmiany konstytucyi państwa. Bez Węgrów rada ta nie będzie radą zupełną jak ją ustawa lutowa pojmowała, a pomimo to ma się trudnić zmianą konstytucyi i urządzeniem stosunków „zachodniéj połowy monarchii“. Czémże więc ona będzie? Co do swojego składu będzie dawną ciaśniejszą radą państwa, co do zakresu działania, będzie konstytuantą. Ciało prawodawcze złożone na podstawie ustaw wyborczych pana Schmerlinga, wyrachowanych na to by Niemcom zawsze większość zapewniły, ma orzekać o stosunku Galicyi, Czech i innych krajów do monarchii i o ich w téj monarchii stanowisku; to ciało ma ułożyć

podstawy prawa publicznego, które nas ma wiązać w przyszłości i tę naszą przyszłość regulować.

Jeżeli zła nam była ciasna rada państwa dopokąd pozwalała sobie rozstrzygać o wewnętrznych sprawach naszego kraju, nie wiem czy lepszą będzie kiedy w dawnym swoim składzie i swoją dawną większością zawotuje nam takie stanowisko w państwie i taki zakres narodowéj wolności, jaki nam dać będzie się jéj podobało. Jesteśmy w przededniu ułożenia ósméj z rzędu konstytucyi dla Austryi. Dla siebie, dla państwa, dla cywilizacyi do któréj należymy, a od któréj zależy postęp i szczęście ludzkości, pragniemy żeby ów ósmy cud był prawdziwie cudem, żeby przyszła konstytucya uzdrowiła to państwo, żeby wzmocniła sparaliżowane jego stawy i muszkuły, a zepsutym jego sokom dodała zdrowych i żywych pierwiastków. *Theze is something rotten in Denmark*, to się nie da zaprzeczyć; trzeba tę zgniliznę usunąć zanim będzie po czasie. Czy powołane dziś zgromadzenie konstytuujące to potrafi? „Swar jest początkiem i niezgoda — nie śmiem złe tuszyć, nie „śmiem, ale koniec zaliż nie taki będzie.“ Ażeby takim nie był, trzeba żeby przyszła rada państwa pamiętała, że dwa są tylko środki którymi jedność państwa da się na długo upewnić. Trzeba albo trzymać lud, czy téż ludy, siłą materyalną, wielką siłą, skupioną w ręku samowładnego rządu, albo je uszczęśliwić i zaspokoić tak, żeby nie pragnęły zmiany swojego losu. Trzeciego środka nie ma; gdzie zaś pierwszy nie jest podobnym, a podobnym nie jest na długo nigdy i nigdzie, w Austryi zaś mniéj jak gdziekolwiek, tam w drugim tylko ratunek i zbawienie. Trzeba żeby rada państwa tak była o tém przekonaną, jak są przekonane Czechy, Morawa i Galicya, że jedność i potęga państwa jest nie dla ich własnego dobra niezbędną.

St. Tarnowski.

Kto wynalazł pismo sławiańskie? i gdzie się wynalazek ten przechowuje?

Powszechnie przypisują wynalazek pisma sławiańskiego świętemu Cyrylemu, a pismem tém cyrylicę, którą unickie księgi kościelne są pisane, być mienią. Dzisiaj, gdy kwestya ruska słusznie czy niesłusznie stanęła na porządku dziennym, nie od rzeczy będzie na powyższe pytanie odpowiedzieć!

Piérwszymi apostołami Sławian byli święci Cyryl i Metody. Za panowania Michała, cesarza greckiego, udali się oni około roku 855 do Bułgaryi, będącéj wtedy pod panowaniem Borysa, który przyjąwszy chrzest święty, wspierał apostołów nowéj wiary, a ta prędko w całéj Bułgaryi i w przyległéj Sławiańszczyznie krzewić się zaczęła.

Apostołowie w chęci niesienia duchownego pokarmu nowo-nawróconym Sławianom, nieświadomym języka greckiego i łacińskiego, wynaleźli nowe głoski pismienne i wygotowali przekład pism kościelnych w języku sławiańskim, także i mszę świętą i inne obrządki w tym języku odprawiać poczęli. Wnet sława ich po wszystkich przyległych rozniosła się krajach. — Wielkiemu państwu morawskiemu panował wtedy Rostyc czyli Rościsław na Welchradzie. W krajach panowaniu jego podległych już o tym czasie nauka chrześciańska zabłysła była, lecz ponieważ ją głosili księża niemieccy, a msza święta i kościelne obrządki po łacinie się odmawiały, a tém samém niezrozumiałe dla ludu były; nie mogła w narodzie głębokich zapuścić korzeni. Widząc to Rościsław powołał około roku 863 świętych mężów do Welchradu, którzy wszędzie sławiański zaprowadzając obrządek, w krótkim czasie całą krainę chrześciaństwu po-

zyskali. W czasie okropnych wojen domowych, które po śmierci Rościsława nastąpiły, udał się około roku 870 św. Metody do Panonii i Dalmacyę i Piryę nawrócił i ochrzcił.

Tymczasem księża niemieccy zazdrośni wpływu apostołów sławiańskich, przeciw nim w Rzymie występować zaczęli i oskarżać o zaprowadzanie nowych zwyczajów i nowego obrządku. Papież Mikołaj I. wezwał obydwóch do Rzymu dla doświadczenia ich nauki. Udali się w podróż święci mężowie, nim jednakże doszli do kresu, umarł Mikołaj I. Następujący po nim Adrian II. wybadał ich otoczony prałatami i duchowieństwem, a nie znalazłszy w nauce nic nagannego, Cyryla arcybiskupem morawskim mianował, księgi sławiańskie potwierdził, i do używania pozwolił osobliwie we mszy świętéj. — Wkrótce potém nowy arcybiskup zrezygnował z urzędu swego, a opróżnioną stolicę arcybiskupią zajął po nim święty Metody. Jeszcze za życia jego następca Adryana II. Jan VIII. w r. 886 w liście pisanym do Światopułka czyli Świętopełka książęcia na Morawie potwierdza wyroki poprzednika swego mówiąc: *Litteras denique Slavonicas a Constantino quodam philosopho repertas, quibus Deo laudes debitae manent, jure laudamus* (p. Szafarzyk Starożytności sławiańskie, przekład Bonkowskiego T. II. p. 585). Ten *Constantinus* nikt inny nie jest jak św. Cyryl, któren, jak wszystkie źródła dowodzą, za życia tego nazwiska używał, a dopiéro krótko przed śmiercią Cyrylem się przezwał. *Quinquagesimo die ante obitum imposuit sibi nomen Cyrillus ex licentia summi Pontificis, asserens nomen hoc sibi divinitus fuisse revelatum. (Acta SS. ad d. IX. Mart.).* — Prócz listu Jana VIII. do Świętopełka liczne inne są dowody, iż święci Cyryl i Metody przełożyli pisma święte, i wynaleźli głoski sławiańskie. Między innymi mówi Monach: *Sacav. in Petzel et Dobr. supr. res. Bohem. I. 90. Procopius natione Bohemicus de villa Chołun Slavonicis litteris a sanctissimo Quirillo episcopo quondam inventis et statutis, canonice admodum imbutus.* Daléj anonim Saliburski w dziele *de conversione Bojariorium et Carentanorum. Usque dum quidam Graecus Methodius nomine noviter inventis Slavinis litteris etc.* Daléj jeszcze legenda S. Ludnicki: *Quirillus quidam graecus apices vel characteres novos comperit.* Nareszcie archidyakon Tomasz: *Dicebant enim gothicas litteras a quodam Methodio haeretico*

fuisse repertas. (Szafar. *ibid. p. 586*). Dlaczego zaś archidyakon Tomasz św. Metodego nazywa heretykiem, przekonamy się późniéj, gdy o soborze splitskim mowa będzie.

Że św. Cyryl i Metody apostołowali i na Rusi, jest rzeczy bardzo prawdopodobną, niepewno jednakże, czy to przed czy podczas swego pobytu w Bułgaryi. Jak daleko zaszli w głąb kraju, trudno oznaczyć nie mając dostatecznych źródeł ruskich, te bowiem które istnieją, widocznie z prawdą nie są zgodne, i tak np. twierdzi Nestor, iż św. Cyryl nawrócił i ochrzcił ruskiego księcia Włodzimierza, gdy tymczasem wiadomo zkąd innąd, iż Włodzimierz dopiéro roku 988 a zatém około stu lat po świętym Cyrylu chrzest święty przyjął, namówiony przez żonę księżniczkę bizantyńską.

Po tém, co wyżéj powiedziano, jasném jest, że święci apostołowie Sławian Cyryl i Metody przełożyli pisma kościelne na język sławiański, iż także wynaleźli nowe głoski sławiańskie i niemi dzieła swe pisali — gdzież się jednakowoż dzieła te przechowują, i które są głoski przez nich wynalezione? — To pytanie, na które w krótkości odpowiedzieć wypada.

Dwa są sławiańskie przekłady pism świętych, obydwa innemi głoskami pisane, obydwa przez stolicę świętą do użytku w kościele potwierdzone; piérwsze ostatecznie przez Benedykta XIV. w r. 1754 dla użytku Sławian piryjskich, pisane głoskami tak nazwanemi głagolskiemi lub głagolickiemi czyli głagolicą, w których wynalazek przypisywano dotychczas świętemu Hieronimowi: *In Slavonia est littera specialis, quam illius terrae clerici se habere a B. Hieronymo asserentes eam observant in divinis officiis celebrandis.* (*Epist. Inocent. IV. Lib. V. epist. 753*) drugie potwierdzone bullą zjednoczenia *Benedictus sit pastor* z roku 1596 i do użytku we mszy jako i we wszystkiém innném nabożeństwie cerkiewném nakazane, i w całym unickim kościele zaprowadzone. Księgi te drugiém abecadłem sławiańskiém są pisane; to jest cyrylicą *Linguae Boge duplices characteres sunt Rutenici seu Moscovitici, a Graecis depravati totidem numero et figura pene similes (graecis) adjunctis pauculis barbaris. Item Dalmativi qui et Heronymiani eadem potestate, totidem numero sed figura longe dissimillimi. (Merula cosmogr. gener. P. II. l. I. c. 8).*

Że wynalazek głagolicy dawniejszym jest, niż cyrylicy powszechném uczonych jest mniemaniem. Merula mówi *loco citato: „Duplex librorum Slavicorum est translatio Ruthenica recentior, et Hieronymi vetustior.“* — Iż tak jest, to za tém mówi, że wynalazek cyrylicy świętemu Cyrylemu, głagolicy zaś świętemu Hieronimowi przypisują, ten ostatni zaś żył kilkaset lat przed piérwszym.— Mogłoby i to być poparciem dowodu, iż głagolickie pismo dawniejszém jest od cyrylicy, iż nie posiadamy, o ile wiadomo, żadnego cyrylicą pisanego pomnika lub pisma sięgającego czasów świętych apostołów sławiańskich. Gdy tymczasem bibliotekarz watykański Asseman w *Calendi ecclesiae T. IV. p. II. 14* cytuje psałterz głoskami głagolickiemi pisany przez kapłana imieniem Mikołaja w r. 1222, w przedmowie kapłan ten powiada, iż to jest odpis innego psałterza z czasów ostatniego arcybiskupa Solińskiego Teodora a papieża Jana VIII., a zatém z czasów św. Cyryla. — Prócz tego przechowuje się w cesarskiéj bibliotece w Paryżu pod N. 2346 psałterz z dziewiątego wieku, również głagolicą pisany.

Pismo głagolickie przechowane w dawnych mszałach i księgach kościelnych wydawanych z rozkazu papieży w drukarni propagandy w Rzymie, przeznaczonych dla Sławian iliryjskich, składa się z czterdziestu głosek. Głoski te noszą na sobie cechę zupełnie odrębną do żadnego innego alfabetu nie podobną. Jakób Grimm upatruje w nich wprawdzie podobieństwo do run; musiał ich jednakowoż nigdy sam nie widzieć, gdyż najmniejszego śladu nawet tego podobieństwa upatrzeć niepodobna. Może to téż u niego tylko chętka niemiecka, źródło każdego wynalazku i każdego postępu w niemieckim szukająca narodzie.

Inaczéj jest z cyrylicą. Składa się ona z trzydziestu dziewięciu głosek, z tych siedem zupełnie podobnych do odpowiednich głagolickich, reszta zaś widocznie pochodzenia greckiego z domieszaniem koptyczyzny i hebrajszczyzny.

Jak wyżéj powiedziano śś. Cyryl i Metody wynaleźli *(invenerunt)* nowe zupełnie pismo, i nim księgi kościelne przetłómaczyli. Gdyby głagolica, dotychczas ś. Hieronimowi przypisywana za ich życia już była znaną, zupełnie niepotrzebnie nowe głoski, a to jeszcze mniéj liczne i mniéj dokładne od już znanych, byliby wynajdywali, i z pewnością już zna-

nemi przez Słowian głoskami pisma swe byliby spisywali. Już to samo mówi za wnioskiem, iż głagolica nie była znaną przed ś. Cyrylem, a zatém nie jest wynalazku ś. Hieronima. Daléj, czyż można nazwać cyrylicę, zbieraninę z różnych już znanych alfabetów, nowym wynalazkiem? Przeciwnie zaś głagolica ze wszech miar na miano to zasługuje.

We wszystkich bullach papieskich 12go stólecia i późniejszych wieków, i w różnych pisarzach z tych czasów, wszędzie wprawdzie głagolicę pismem ś. Hieronima nazywają. W dawniejszych jednakże autorach nigdzie nazwy téj nie znajdujemy. Mało jest ojców kościoła, o którychby tyle pisano, jak właśnie o ś. Hieronimie, nigdzie atoli za życia jego, lub w pierwszych wiekach po śmierci wzmianki znaleźć nie można, że nowe głoski słowiańskie wynalazł. Jak to mniemanie w późniejszych ustaliło się wiekach, da się wytłómaczyć.

W r. 1059 odbył się sobór w Splicie, wtedy niezgodą synów Swiętopełka i napadami Węgrów osłabione, runęło było wielkie państwo morawskie. Dalmacya i Ilirya oderwane od arcybiskupstwa na Welchradzie, podlegały arcybiskupom bawarskim. Niemieccy księża powstawać zaczęli przeciw wszystkiemu co było sławiańskie. „*Fictitia venenosa detractionum conspirantes atque aures principis compositis mendaciis obfuscantes per Slavonicas litteras haeresis secta, hypocrisique esse aperte irretitos ac omnino perversos.*“

(*Monachus Sacar apud Menken T. III. p. 1786*).

Na tym więc soborze zebrani biskupi gwałtownie przeciw obrządkowi słowiańskiemu wystąpili. Nie mogąc nic mu zarzucić, chwycili się oszczerstwa, i oświadczyli, iż księgi kościelne spisane, jak się wyrażają, gockiemi literami przez kacerza Metodego zawierają pełno błędów aryańskich. „*Fuerat tempore Alexandri Papae a Domino Maynardo Cardinali quaedam synodus omnium Praelatorum Dalmatiae et Croatiae multum solemniter celebrata, in qua multa fuerunt composita capitula, inter quae siquidem firmatum est, ut nullus de caetero in lingua Slavonica praesumeret, divina mysteria celebrare, nisi tantum in latina et graeca, nec aliquis ejusdem linguae promoveretur ad sacros ordines. Dicebant enim gothicas litteras a quodam Methodio fuisse repertas, qui multa contra catholicae*

fidei normam in eadem Slavonica lingua mentiendo conscripsit". (*Thom. Archid. Spolat*).

W Rzymie potwierdzono wyroki soboru, a gdy duchowieństwo słowiańskie przy prawach swych obstawać poczęło, rzucono interdykt na kraj cały, i wszystkie kościoły pozamykano. Duchowieństwo ze swéj strony posłów do Rzymu wyprawiło. Papież dokładniéj rzeczy zbadać i księgi kościelne zrewidować kazał. Przy téj rewizyi nie znaleziono wprawdzie żadnych herezyi i błędów, lecz się pokazało, iż biblia w wielu miejscach nie zgadzała się z wulgatą, która jak wiadomo jest przekładu ś. Hieronima. Papież więc zdjął interdykt, kościoły pozamykane otworzyć dozwolił, potwierdził wszystkie pisma kościelne, i do użytku zalecił, lecz biblią z wulgatą porównać, i do niéj zastósować kazał. Duchowieństwo dalmackie pospieszyło się rozkazowi Stolicy świętéj zadosyćuczynić i zaprowadziło do użytku Pismo święte jak dawniéj głagolicą pisane, lecz podług wulgaty św. Hieronima ułożone. Ponieważ zaś Bulgarzy i Rusini w odszczepieństwie z Rzymem wtedy zostający, dawny swój przekład śgo Cyryla zatrzymali; powstały dwa przekłady biblii słowiańskie, dawny Cyrylski, i nowy, który dla odróżnienia od tamtego Hieronimskim nazywać poczęto. Z biegiem czasów przeniesiono nazwę tę i na głoski, którémi biblie te pisane były.

Z tego krótkiego wystawienia rzeczy, pokazuje się najprzód, iż śś. Cyryl i Metody wynaleźli pismo słowiańskie. Daléj, iż z początku prawdopodobnie jedno tylko było pismo, a tém pismem głagolica, jak ją w księgach kościelnych iliryjskich znajdujemy.

Przypuścić można, iż bułgarskie i ruskie księgi cerkiewne w pierwszych wiekach także głagolicą pisane były. Gdy zaś kraje te od Rzymu się oderwały, a patryarsze carogrodzkiemu się oddały, powoli alfabet słowiański różnym zmianom podlegać zaczął. Księża i mnisi greccy, którzy kraj cały zalegali, zamiast słowiańskich, greckie głoski pisać zaczęli, a po kilku wiekach do tego przyszło, iż z pierwotnego pisma śgo Cyryla, siedm tylko głosek słowiańskich zostało, a tém samém piętno słowiańskie w cyrylicy się zatarło.

M. Poniecki.

JAN MAZEPA.

Od układu perejasławskiego r. 1654, mocą którego Bogdan Chmielnicki poddał się Moskwie, warując sobie i Ukrainie prawie połowiczą niepodległość, zaledwie 33 lat upłynęło, a z zagwarantowanych wolności kozaczych mało już co pozostało. W przeciągu tego czasu 6 hetmanów z ramienia carskiego przewinęło się na scenie dziejowéj, każden z nich utracił władzę wskutek gwałtownego ruchu, pochodzącego częścią z niesfornego i skorego do buntu usposobienia Kozaków, częścią przez skryte machinacye i intrygi ukute na dworze kremlińskim; wszelka zaś zmiana osób pociągała za sobą ograniczenie swobód perejesławską umową stypulowanych. Sądownictwo dawniéj niepodległe ogłaszało teraz wyroki w imieniu i po ukazie carskim, hetman nieograniczony pan w wojsku, który według upodobania mianował lub usuwał starszyznę, zbierał rozpuszczał i dyslokował pułki, teraz bez zezwolenia carskiego nic na własną rękę uczynić nie mógł. Nietylko władza hetmańska została uszczuplona, ale i Kozacy ponosić musieli rozmaite ciężary dawniéj nieznane. Nałożono na nich podatki, ograniczono w wolności osobistéj, rujnowano wymaganiem podwód i dostawą żywności dla wojsk wielkorosyjskich, nakoniec obarczono ich garnizonami i postojami moskiewskiego wojska, krok jeszcze jeden a Kozaczyzna miała stracić wszelką narodową i polityczną egzystencyą; w kołach rządowych, z planu takiego nie robiono nawet wielkiéj tajemicy, chodziło tylko o wyszukanie na godność hetmańską osobistość zręczną i Moskwie zupełnie oddaną, którаby zamysły te potrafiła i chciała uskutecznić. Wśród takiego składu rzeczy, przypadło hetmaństwo Mazepy i wśród takich okoliczności powziął on zamiar ratowania Ukrainy od ostatecznéj zagłady.

Aby cel ten osiągnąć, potrzebował przedewszystkiem pozyskać zaufanie moskiewskiego dworu i rządu. Tak Golicyan, faworyt i wszechwładny minister wielkiéj księżniczki Zofii, sprawującéj rządy w imieniu małoletnich braci Piotra i Iwana, jak i Piotr Wielki, który niebawem sam rządy objął, nienawidzili Kozaków, Mazepa u obydwóch umiał sobie pozyskać najwyższe względy; udaną przychylnością dla Moskwy równie jak zmyśloną niechęcią do swobód i instytucyj kozackich umiał wydobyć z nich najtajniejsze zamysły przeciwko Kozakom; zapytany o radę tak potrafił się zastosować do ich widoków i zamiarów na przyszłość, że sami musieli zapał jego hamować, aby niewczesném i gwałtowném działaniem wytkniętéj sprawy nie popsuć. On to w poufnych rozmowach z Piotrem o swoich poprzednikach i oporze kozackim, na jaki natrafiał car Aleksy w usiłowaniach zlania Małorosyi z Wielkorosyą nazwał zachowaną dotąd politykę niezgrabną i nieodpowiednią. „Poprzednicy moi, mawiał, byli to ludzie albo nieudolni, albo zbyt do dawnych tradycyj i obyczajów przywiązani, rząd także wymagając po nich za wiele naraz, dyskredytował ich w opinii kozackiéj; hetman tak działać powinien, aby zamiary carskie przeprowadził, a jednak ufności u swoich nie stracił. To się da wtedy osiągnąć, gdy w drobniejszyzh sprawach stanie po stronie kozaczéj tak, żeby oni widzieli w nim ustawicznego opiekuna i orędownika przed carem. Pozyskawszy takim sposobem ich życzliwość, nie będą mieli żadnéj przed nim tajemnicy, z łatwością przyjdzie mu wtedy znając ich wszystkie nadzieje i obawy, ich sympatye i wstręty, stosownie działać i rząd każdéj chwili poinformować, co w danym razie da się przeprowadzić, a co zaniechać wypadnie. Tak bez gwałtownego wzburzenia, będzie można wszystko przeprowadzić.“

Taki człowiek musiał się Piotrowi podobać, a raz zaszczyciwszy go ufnością wierzył, że nawet zagadkowém postępowaniem działał w interesie z góry ułożonego planu. Gdyby Piotr Wielki znał był lepiéj przeszłość Mazepy, nie pozwoliłby mu się był tak łatwo osiedlić, zobaczymy bowiem niżéj, jak tę samą politykę kilkunastu latami pierwéj, będąc wówczas przyjacielem i *fac totum* Doroszeńki, doradzał temu hetmanowi względem Polski, a doradzał ją w dobréj wierze, gdyż do Polski ciągnęły go

zawsze młodociane wrażenia, polskie wychowanie i rodzinne stosunki.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, każdy się już domyśli, jaką drogą Mazepa postępować będzie: była to droga, jaką Wallenrod postępował w poemacie Mićkiewicza, droga jaką w 100 lat późniéj zdefiniował ks. Talleyrand, mówiąc: mowa na to jest dana człowiekowi, aby nią pokrywać mógł swoje myśli.

Pod okiem czynnego, bacznego i podejrzliwego cara musiał Mazepa ukrywać się z każdą myślą i z każdym krokiem, któreby prawdziwe jego usposobienie i zamiary zdradzały, ztąd to między urzędowemi jego oświadczeniami i czynnościami tajemnemi ustawiczna sprzeczność. W listach do cara i uniwersałach hetmańskich widać ślepą uległość dla Piotra, przywiązanie i poświęcenie do Moskwy bez granic, w prywatnych rozmowach zaś żal za przeszłością, obawa przyszłości, czasami głęboką nienawiść do obecnych stosunków. Prokopowicz, Moskal, arcybiskup Nowgrodzki i Erazm Otwinowski, Polak, zaręczają, że Mazepa był duszą i ciałem oddany Polakom. Pierwszy o nim powiada: udawał miłość do Rosyan, a nienawidził ich będąc w duszy Polakiem i katolikiem; ten ostatni pisze p. r. 1702: hetman jako rodowity Polak był nam *adicitissimus.* Prokopowicz przez nienawiść do Mazepy, Otfinowski przez patryotyczne uczucie za zbyt absolutnie przywiązanie Mazepy do Polski pojmowali.

Hetman, człowiek bystry i politycznie wykształcony w interesie własnym i Ukrainy był za połączeniem z Polską. Szlachecka i katolicka Rzeczpospolita jakkolwiek nie mogła wzbudzić sympatyi w Kozakach, przy wielkiéj jednak wolności politycznéj i osobistéj nie zdawała mu się niebezpieczną; zamach na swobody kozackie i osobiste bezpieczeństwo hetmańskie nie dałby się skrycie i podstępnie przeprowadzić; zawsze był czas do obrony, a mając na swoje rozkazy 60tysięczne wojsko i przychylną ludność miejscową, los Ukrainy był zapewniony. Zresztą hetman z doświadczenia wiedział, że Rzeczpospolita raz fakt spełniony uznawszy, wiernie dotrzymywała ugody, mianowicie, gdy nią przesądy religijne i kastowe nie miotały, a te namiętności stopniały już i zwietrzały w ciągu 50letniéj wojny i wobec następstw, jakie sprowadziły.

Wiążąc się z Polską ubezpieczał tylko los swój Ukrainy.

Przywiązanie jego do Polski było zatém więcéj następstwem politycznych jego przekonań, niż osobistych skłonności, chociaż i te oddziaływać na niego mogły i zapewnie oddziaływały. Przeciwnie było z Moskwą; nieograniczona wola carska, dzikie namiętności Piotra, wstręt jego do urządzeń Kozaczyzny, osobista obraza wyrządzona hetmanowi, przykłady pod okiem Mazepy spełnione na osobach Samujłowicza, poprzednika na hetmańswie i Golicyna, wszechmocnego ministra moskiewskiego, których bez procesu pozbawiono wolności i mienia, nie dawały żadnéj rękojmi bezpieczeństwa ani dla kraju, któremu przewodniczył, ani dla niego samego.

Wśród takich stosunków potrzeba było działać z największą ostrożnością; każdy krok fałszywy mógł go pozbawić życia i władzy, a naturalnym wynikiem takiego położenia było, że wszystkie jego czynności noszą na sobie piętno podstępu, chytrości i przebiegłości, dochodzących do ostatecznego krańca możebności. Co mu nakazywała z początku konieczność, to wprawą stało się mu drugą naturą. Nikt téż może ze śmiertelnych sztuki udawania nie doprowadził tak wysoko, jak on, zawsze u niego było co innego w sercu i głowie, a co innego w słowach i czynach. Zapuszczając się w grę, w któréj tak wysoka była stawka, trzeba było przebiegłości nie lada, Mazepa miał ją, a jednak od czasu do czasu pojawiały się pogłoski, że hetman myśli o oderwaniu się od Moskwy, że ma tajemne porozumienia z Polakami i Tatarami, chociaż publicznie namiętnie się przeciwko nim oświadczał. Takie pogłoski jakiéj to trwogi nabawić go musiały i naprowadzać na coraz nowe pomysły hipokryzyi, któremi osłaniać się musiał. Wybiegi te były tém potrzebniejsze, że w razie danym na nikim oprzeć się nie mógł, a najmniéj na Kozakach, ludziach bez politycznego wykształcenia, których starszyzna skorumpowana, gotowa była dla chwilowéj osobistéj korzyści poświęcić kraj i przyjaciół, a czerń zmiany chciwe zawsze skora do buntu, spodziewając się z zamieszania nowych dla siebie zysków i korzyści, z równą gotowością stanęłaby na rozkazy hetmana przeciwko carowi, jak na rozkazy cara przeciwko hetmanowi, opuszczając w końcu według zwyczaju słabszego i uda-

jąc się do zwycięzcy. Takiemu usposobieniu Kozaczyzny przypisać należy upadek Wychowskiego, Brzuchowieckiego, Mnogogrzesznego, Samujłowicza. Czerń pchała ich do zdrady, oburzając się na uszczuplenie swoich swobód, a potém opuszczała ich sromotnie, przyklaskiwała nawet ich upadkowi, szczególnie jeżeli ich przypuszczono do współudziału w rozgrabieniu prywatnéj fortuny nieszczęśliwego, który ich i siebie pragnął od jarzma wyratować. Zbawić Kozaczyznę nie gubiąc siebie, nie dopuszczać do wojny domowéj i fakcyi stronniczych w razie stanowczego działania, to musiał być cel jego polityki, a to otwartém i dobroduszném działaniem osiągnąć było czystém niepodobieństwem. Rzeczpospolita szarpana także wewnętrznemi fakcyami skutecznéj i pewnéj podstawy działania nie przedstawiała.

Te smutne stosunki polityczne i społeczne ówczesnéj Kozaczyzny czyniły z dysymulacyi kardynalny warunek w utrzymaniu się na hetmaństwie. Zarody dysymulacyi wynieść jednak musiał już zkądinąd, na hetmaństwie widzimy go już mistrzem w tym zawodzie. Przyczyn pierwotnych potrzeba szukać w narodowych familijnych i osobistych jego stosunkach. Lud ruski zamknięty z jednéj strony Polską, z drugiéj strony Moskwą, z trzeciéj Tatarszczyzną, bez warunków utrzymania swéj niepodległości, a jednak niechcący zacierać swéj indywidualności, ustawicznie musiał lawirować między sąsiadami w ten sposób, aby przez nich pochłonięty nie był, ani w ustawicznych wojnach z nimi zostawał; ztąd to na całéj Rusi wyrobił się charakter ludowy podejrzliwy, chytry i podstępny. Co rodzinne tradycye i wychowanie zaszczepiły w młodym umyśle Mazepy, to późniejsze stanowisko jeszcze bardziéj musiało rozwinąć i spotęgować. Zdawna to już o Rusinach mawiano: jeżeli Rusin jest serdeczny, to niezawodnie myśli ci nóż w gardło wpakować. Nie cytujemy tutaj tego, ażeby skonstatować ułomności charakteru ich szczepowego, a tém mniéj, ażeby wyciągnąć ztąd wniosek potępiający ich narodowo-polityczne dążności, my w tych objawach widzimy tylko konieczne następstwo stosunków, wśród jakich żyć i rozwijać się musieli. Tak jak faktyczne stosunki urabiają charakter indywiduów, tak samo oddziaływają na naturę całéj społeczności.

Przypatrzmy się teraz jego stosunkom familijnym i osobistym. Z rodu kozackiego, ale oddawna posiadłość ziemską dziedziczną mającego, dom jego ani do szlachty ani do Kozaków zaliczonym nie był. Listów królewskich na dziedzictwo nie mieli Mazepowie, a chociaż unia lubelska orzekła, że dawni posiadacze ziemi dziedzicznéj, chociażby nie zdołali się wykazać przywilejami książąt Ruskich, nie będą niepokojeni w swych posiadłościach, to możni panowie umieli to zastrzeżenie omijać, a nawet gwałtów na takich posiadaczach się dopuszczali. Zawsze więc Mazepowie w posiadaniu byli niepewni. Przy lustracyi starostwa biało-cerkiewskiego w r. 1616 grożono im nawet wywłaszczeniem, mimo że powoływali się na przywilej wydany im przez ks. Pruńskiego w r. 1554, a potwierdzony przez króla Stefana w r. 1587, który jednak miał zaginąć, starać się więc zawsze musieli o protekcyą u któregoś z możnych ukraińskich panów polskich, co obrażać w nich musiało poczucie godności własnéj, z drugiéj strony nie mogli także zrywać z Kozakami, bo właśnie dla związków z nimi, przyjaźń Mazepów przez Polaków była poszukiwaną, aby w razie zaburzeń i buntów kozackich za ich pośrednictwem od rabunku i pożogi swoje mienie uchronić. Zachować ufność obydwóch stron, których interesa wprost były przeciwne, musiało być tradycyjném ich zadaniem. Dopiero Władysław IV stanowisko ich uregulował i uprawnił, dając im w lenno Kamionkę, inaczéj jeszcze nazwaną Mazepince pod Białą cerkwią i nobilitując Adama Mazepę, stryja naszego Jana, która to nobilitacya i ojcu jego Stefanowi przysłużać musiała, chociaż konstytucye o tém nie wspominają. Akt nobilitacyi i nadania w lenność Mazepiniec potwierdził sejm w r. 1659 (*Vol. leg.* t. IV). Już sam fakt, że król nadał im Mazepince prawem lennéem, które oni dziedzicznie od sto lat trzymali, pokazuje, jak dalece ta ich własność była zakwestyonowana i niepewna.

Ten stosunek ich do Rzeczypospolitéj i do sąsiadów, tak Polaków jak Kozaków, musiał w całéj rodzinie wyrobić ducha obłudy i w tych tradycyach Jan się wychował.

Stosunek Mazepy osobisty, jako nobilitowanego Kozaka na dworze królewskim, gdzie do dawnych pergaminów tyle przywiązywano wartości i gdzie jednak potrzeba było żyć z kolegami na stopie równości, którą oni nie koniecznie uznawali, jak to już

widzieć i czuć się daje w postąpieniu z nim Paska, wymierzającego mu policzek za żart niewczesny, a o co nikt z kolegów za nim się nie ujął, musiały od pierwszéj młodości, jak tylko opuścił dom rodzicielski, przyzwyczaić go do chytrości, dysymulacyi i obłudy, obudzić w nim żądzę wywyższenia się jakimbądź sposobem, aby, jeżeli się nie mścić, to imponować tym, którzy go za niższego od siebie uważali.

Uwagi te są konieczne, jeżeli należycie chcemy ocenić charakter i działalność tego niepospolitego na widowni politycznéj człowieka.

I.

Rok i miejsce urodzenia Jana Mazepy nie są dokładnie znajome. Jedni utrzymują, że rodził się w r. 1629, drudzy w r. 1642 lub w r. 1644. P. A. B. podaje rok 1632, a nawet dzień miesiąca, 20ty maja, naoczni zaś świadkowie jego śmierci piszą, że umarł mając blisko 70 lat, kiedy przyjąwszy pierwszą datę, miałby lat 80. Trudno także przypuszczać, aby w tak wysokim wieku można było z jakiém takiém prawdopodobieństwem pomawiać go o zamiary matrymonialne, czy to z księżniczką Dolską, czy to z Motroną Koczubejowną, o czém będzie niżéj; tém mniéj w takim wieku ma się chęci i odwagę do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia, jakiém było odstąpienie Piotra W., tak że rok 1638 lub 39 zdaje nam się najwłaściwszy i mający za sobą najwięcéj prawdopodobieństwa. Taka sama niepewność panuje co do miejsca jego urodzenia. Według jednych rodził się w Mazepińcach pod Białącerkwią, będących własnością stryja jego Adama podczaszego czernichowskiego, według drugich na Podolu, gdzie także jest wioska Mazepińce w powiecie Latyczowskim w bliskości Starego Konstantynowa tuż na pograniczu Wołynia i tu prawdopodobnie zaszła awantura między nim a Folbowskim. Jeszcze inni samą Białocerkiew przeznaczają mu za miejsce urodzenia.

O przodkach jego wiemy nie wiele. Według jednych imię Mazepów miało być imioniskiem daném jednemu z jego protoplastów, które późniéj następcy zatrzymali jako rodowe nazwisko, ku czemu tutaj za przykład posłużyć mają: Puzynowie pochodzący od przezwanego tak jednego z Ogińskich, Skarga, który się zwał Pawęckim, i wielu innych; właściwe ich imię było Kołodyńscy herbu Kurcz, ale Kołodyńscy mieli herb własny

Kołodyń, Kurczem zupełnie różnym od Kołodynu pieczętowali się kniaziowie Korczewicze Bułhy, których znowu niektórzy jako wspólny dom z Mazepami uważają, a do którego domu Bułhow przyznawał się za Jana Kazimierza Kozak Bułyha, nobilitowany r. 1659. Najprawdopodobniéj po upadku niektórych znaczniejszych domów ruskich, dorobkowicze podszywali się pod ich herb i parentele, co przy niepewnych stosunkach ukraińskich rzeczą było łatwą, zwłaszcza że większa część aktów w ustawicznych najazdach i pożogach okolic tamecznym poszła z dymem, lub w inny sposób zaginęła. O Mazepach czytamy tylko, że Wasyl Mazepa za króla Stefana brał udział na czele chorągwi kozackiéj ks. Zbaraskiego udział w wojnie moskiewskiéj, a za Zygmunta III wysłał na wojnę mołdawską w 1595 sto ludzi pod wodzą swego siostrzeńca Bohowityna do obozu Zamojskiego, w tym samym prawie czasie imiennik jego, a może nawet bliski krewny jako uczestnik w buncie Nalewajki i Łobody karany był gardłem w Warszawie; o Stefanie ojcu jego milczą wszystkie ówczesne świadectwa, wiemy tylko, że ożeniony był z Mokijowska szlachcianką wołyńską, która późniéj po śmierci męża była ihumeną dziewiczego monasteru w Kijowie i umarła około r. 1707, na dwa lata przed synem, coby także mogło służyć za świadectwo, iż hetman tak wiekowym nie był, jak niektórzy utrzymują.

Jan obyczajem ówczesnym musiał odebrać pierwsze początki nauk w domu rodzicielskim, następnie uczył się u Jezuitów w Połocku i w akademii kijowskiéj, gdzie skończył retorykę, poczém udał się do Warszawy i tam w kolegium jezuickiém słuchał wykładów filozoficznych.

W tym czasie miał przejść na łono kościoła rzymskiego, lecz o tém nie ma żadnéj pewności, to jest tylko faktem, że hetman dla dawnych swych nauczycieli jezuitów zachował względy i życzliwość do końca życia.

W kolegium warszawskiém zapewnie Mazepa należał do najcelniejszych uczniów, kiedy zaraz po ukończeniu kursu wysłany został kosztem królewskim, albo jak chce p. A. B., autor artykułu o Mazepie w Bibliotece Ossolińskich, kosztem fundacyi Bartłomieja Nowodworskiego, na zwiedzenie cudzych krajów, w któréj to podróży zabawił lat trzy wraz z Marcinem Kątskim. Za powrotem został paziem królewskim, tj. r. 1661,

Młody, przystojny, wykształcony Ukrainiec, pełen werwy i swobody podobał się kobietom, za to koledzy i starsi męczyzni nie bardzo go lubili. Pierwszych obrażała niepewność rodu i wyższość wykształcenia, drugich śmiałość postępowania z ich żonami i córkami, przytém częste i trafne sarkazmy, których sobie pozwalał w kole rówienników, a które przez złośliwość kolegów dochodziły do uszów interesowanych, nie rzadko wysoką w Rzeczypospolitéj lub na dworze piastujących. Nie wszystkie nawet czynności Mazepy uważać można było za wyskok młodzieńczéj pustoty, często trąciły one intrygą, do czego może przyczyniał się napięty stosunek z otaczającym go światem, a co skłonić go mogło do szczególnéj gorliwości przypodobania się królowi, skarbiąc sobie takowe rozmaitemi donosami może nawet w dobréj wierze uczynionemi, ale nie zawsze prawdziwemi i rzucającemi przykre światło na charakter donosiciela.

Tą drogą miłości i szacunku zjednać sobie było niepodobna, a smutne następstwa dla donosiciela prędzéj czy późniéj musiały się objawić.

Autor artykułu o Mazepie w Bibliotece Ossolińskich cytuje dowcip Mazepy, wymierzony na chorążego koronnego Jana Sobieskiego, którego w domu prymasa Leszczyńskiego w przytomności marszałka Opalińskiego nazwał planistą pani wojewodziny sandomirskiéj, późniejszéj jego żony, a z którą utrzymywał stosunek miłosny jeszcze za życia męża ordynata Zamojskiego. Według tego autora awantura z Falboskim miała być skutkiem tego niewczesnego żartu, a więcéj jeszcze skutkiem paraliżowania przez Mazepę polityki Sobieskiego, stronnika dworu w kwestyi elekcyi nowego króla jeszcze za życia Jana Kazimierza. Nie chcemy jednak wyprzedzać wypadków.

Pierwszą głośniejszą a nieprzyjemną dla Mazepy sprawą było oskarzenie Paska przed królem. Działo się to w r. 1661. Wojsko litewskie niepłatne zawiązało konfederacyę pod laską Żeromskiego. Związkowi chcieli koniecznie Paska przyciągnąć do siebie, tak że ledwie fortelem zdołał im się wymknąć mając zamiar, jak sam powiada, udać się pod chorągiew wojewody ruskiego Stefana Czarneckiego, pod którym służył już w Danii i w wojnie kozacko-moskiewskiéj.

W drodze dał się zaprosić p. Stanisławskiemu, byłemu dworzaninowi królewskiemu i wstąpił do niego z wizytą. Ledwie u niego kilka godzin zabawił, przybył tamże Mazepa, który jechał do króla bawiącego w Grodnie. Rozmowa toczyła się o najważniejszym wypadku chwili, tj. o związku wojskowym.

Pasek jako wojskowy, przyznawał poniekąd słuszność związkowym, którzy za krwawe swe prace wynagrodzenia nie mają, kiedy inni, co pod pierzyną siedzą, łapią bogate starostwa i najznakomitsze w kraju urzędy; słowem, występował tam jako malkontent i rzecznik konfederatów.

Gdy jeszcze powiedział że jedzie wprost z obozu związkowych i udaje się do wojska koronnego na Ruś, zrodziło się w umyśle Mazepy przekonanie, że Pasek jedzie w poselstwie od wojska litewskiego do koronnego, które także pod Swiderskim związek uczyniło i wszelkich posług Rzeczypospolitéj odmówiło. Z tym domysłem udał się w dalszą podróż, a za przybyciem swém do Grodna, króla o tém uwiadomił. Ponieważ wiele zależało na tém, aby między obydwoma wojskami zkonfederowanemi do porozumienia nie przyszło, zwłaszcza że koronne pokazało się krnąbniejsze, co mogło oddziaływać i na litewskie, którego marszałek chętnie wchodził w tranzakcye z wysłannikami królewskimi i hetmańskimi a nawet do końca w tegoroczném kampanii przyobiecywał uczestniczyć, król wydał rozkaz do ujęcia Paska gdziekolwiekby się znajdował i do odprowadzenia go pod strażą do Grodna. Sprawa była nie lada, mogła się bowiem skończyć wyrokiem na gardło.

Przytomny i obrotny Pasek zdołał się jednak z podejrzenia oczyścić, król nawet chcąc mu wynadgrodzić przykrość i kłopoty, darował mu 500 czerwonych złotych i polecił go jak najusilniéj względom Czarnieckiego. Sprawa wzięła bardzo szczęśliwy obrót, w sercu atoli Paska zostawiła niechęć do oskarżyciela. Niechęć tę już w roku następnym na czynną zniewagę Mazepy zamienił.

Pasek wysłany został od wojewody do eskortowania poselstwa moskiewskiego, które właśnie udawało się do Warszawy z propozycyami pokoju. Z zadania tego wywiązał się jak najlepiéj, co mu nie tylko nowe względy króla zjednało, ale jeszcze dało sposobność do częstego bywania na

pokojach królewskich. Raz dobrze podchmielony, jak sam o tém w swoich pamiętnikach zapisał, wchodzi do antykamery królewskiéj, gdzie zastaje Mazepę wraz z kilkoma tylko dworzaninami. Przystępuje więc do niego i z urąganiem wita go: Czołem panie asawuło. Mazepa mu na to: czołem panie kapral. Pasek nie zważając, że tuż za drzwiami sam król się znajduje, daje mu policzek i spiesznie uchodzi. Rzecz skończyła się, że król w kilka dni późniéj zwaśnionych pogodził, kazawszy im uścisnąć się wzajemnie w obec siebie. Aby zupełnie żal Mazepy załagodzić i dać mu dowód królewskiego zaufania i przychylności, wysłał go Jan Kazimierz 1663 r. z insigniami hetmańskiemi dla Tetery, w ktorego ręce Jerzy Chmielnicki syn Bogdana, złożył buławę ukraińską. W roku tym i następnym był Mazepa przy królu na kampanii kozackiéj, i najczęściéj się Jan Kazimierz za jego pośrednictwem z hetmanem Teterą znosił. Gdy król powracał do Warszawy, Mazepa pozostał na Rusi przy ojcu.

Co było powodem do tego, czy wiek rodziców, czy pretekst skuteczniejszéj służby królowi i Rzptéj w rodzinnéj stronie wśród groźnego położenia na złagodzenie którego mógł wpływać familijnemi swymi stósunkami; czy mu się sprzykszyła służba dworska, gdzie go nie jeden afront spotkał; być także może, iż ojciec przewidując możliwość zawojowania Ukrainy przez Moskali, nie chciał synowi utrudniać stanowiska tak do nowego rządu, jak i do współbraci, którzy nie raz ojcu musieli robić wyrzuty, że kiedy krew braci się leje, syn wysługuje się nieprzyjacielom Rusi — wszystko to nie jest wyjaśnionėm. To jednak pewna, że sam pociągu do życia kozackiego nie miał, ani ich namiętności i pretensyi nie podzielał.

Przyzwyczajony do życia dworskiego, elegant i człowiek wykształcony w prostych, dzikich i ponurych kozackich postaciach nie mógł zasmakować. Trzeba było bardzo silnego bodźca któryby go mógł był z kozakami zbliżyć, oswoić i na ich stronę przerzucić. Bardzo łatwo dający się pojąć wstręt Mazepy do życia kozackiego przełamany dopiero został bolesnym i upokarzającym go wypadkiem, który go zmusił do szukania przytułku wśród kozactwa. Stało się to dopiero w r. 1666 po dwóch latach zamieszkania na Rusi. Przez ten czas Mazepa w politykę się nie wdawał, siedział u siebie na

wsi w Mazepincach podolskich, już to trudniąc się gospodarstwem, już to goniąc za gładkiemi twarzyczkami.

W sąsiedztwie mieszkał niejaki Falbowski, czy Chwalbowski, w którego domu Mazepa bywał częstym gościem. Żona tego Falbowskiego wpadła mu w oczy, a Mazepa także przypadł jéj jakoś do serca.

Odtąd zaczęli się widywać potajemnie, mianowicie kiedy męża nie było w domu. Służący ułatwiający im korespondencyą, zdradził tajemnicę mężowi. Ten w strasznym gniewie zasadził się na niego z ludźmi i ujął kiedy Mazepa bilecikiem uprzedzony o wyjeździe z domu Falbowskiego, do żony jego spieszył. Przejęte karteczki udaremniły wszystkie wybiegi. Obrażony mąż kazał go obnażyć, przywiązać do własnego konia, jeźdzca i wierzchowca wysmagać rózgami, potém jeszcze strzelić nad uchem koniowi, i dopiero puścić.

Koń przerażony niósł go przez pola i zarośle do domu, od miejsca egzekucyi na dwie mile odległego. Mazepa ledwo żywy powrócił, długo chorował, a wyzdrowiawszy opuścił Polskę na zawsze. Po takich tarapatach pobyt jego w obrębie granic Rzeczypospolitéj był niepodobieństwem.

Tak cały ten wypadek opisuje współczesny Pasek i Otwinowski; ostatni z tą tylko różnicą, że się to stało w Bełzkiém. Inaczéj rzecz całą opowiada p. A. B. w bibliotece Ossolińskich t. IV. rok 1864.

Według niego Mazepa miał być jednym z najczynniejszych ajentów Lubomirskiego na Rusi. Za pośrednictwem pani Falbowskiéj siostrzenicy podkomorzego lwowskiego, Piotra Ożgi stronnika Lubomirskiego w sprawie wyboru nowego pana za życia panującego króla, utrzymywał Mazepa z podkomorzym ożywioną korespondencyę, donosząc o wszystkich czynnościach przeciwników politycznych. Jeden taki list Falbowski miał przejąć i zakomunikować Sobieskiemu, mieszkającemu na ówczas w Żółkwi. Tamto postanowiono Mazepę wsposób wyżéj opisany ukarać i w tym celu sam Falbowski zaprosić go miał listownie do siebie, gdzie ostatecznie okrucieństwo spełnione zostało, a Falbowski żeby zatrzeć przyczynę zbrodni pachnącéj gardłem, rozgłosił przed światem hańbę swéj żony i swoją. Wszystko to być mogło, na słowo jednak autorowi wierzyć nie można wbrew świadectwa współczesnych, kiedy

żadnych przeciwnych nie stawia dowodów, ani cytuje źródła zkąd fakt ten zaczerpnął.

Cała ta zresztą historya tak jak ją A. B. opowiada, nie zdaje się być do prawdy podobną.

Ani Mazepa ani Ożga nie byliby téj sprawy zaspali, ale pierwszy pociągnąłby był tych gwałtowników przed trybunał, tém bardziéj, że sprawa elekcyi za życia króla była niepopularną, obrażony mógł zatém liczyć na silne wsparcie ziemian, drugi stanąłby w obronie pokrzywdzonego niewinnie honoru siostrzenicy. Obaj jednak całe życie kwestyi téj nie poruszyli, znać że słuszność była po stronie Falbowskiego, i że ten miał w ręku dowody niewierności żony. Gdyby był cień prawdy w tém co autor utrzymuje, opozycya szlachecka niezaniedbałaby wyzyskać tego wypadku na szkodę znienawidzonego w ówczas Sobieskiego, Mazepa nie miałby potrzeby kryć się z swym wstydem wpośród Kozaczyzny, przeciwnie zostałby od razu popularnym w ojczyznie, a wstyd i hańba spadłyby na głowy oprawców. Pan A. B. powiada, że Mazepa od wypadku z Paskiem w antykamerze, całe życie mścił się na Janie Kaźmierzu i Sobieskim. Na poparcie tego twierdzenia przytacza fakta: tak on na polach Hańczarychy, (uroczysko między Konstantynowem a Chmielnikiem) miał skłonić wojsko koronne do zawiązania konfederacyi w czasie zbrojnego rokoszu Lubomirskiego i silne stronnictwo zjednać na Rusi dla tego ostatniego. Pozwalamy sobie mocno wątpić, aby akt zawiązania konfederacyi wojskowéj mógł być dziełem Mazepy, i żeby on miał być głównym ajentem marszałka wielkiego. Mazepa z wojskiem żadnych nie miał stósunków, a społecznέm swém stanowiskiem nie mógł szlachty pociągnąć za sobą, która o ile znanéj firmie chętnie się poddawała nawet z ujmą godności osobistéj, i poświęceniem własnego przekonania; tyle dla ludzi nowych i nieznanych czuła niechęć i lekko ich traktowała.

Nie trzeba zapominać, że Mazepa był szlachcicem świeżéj daty, zasług w kraju nie miał żadnych, od młodości służył dworsko królowi, tak, że nawet w powiecie swoim znajomym być nie mógł, tém mniéj jeszcze w wojsku. Twierdzenie także tegoż autora, że mając stósunki z Tatarami, podmówił ich do pustoszenia włości Sobieskiego za poddanie Kamieńca Podolskiego Turkom, nie zdaje się również ze wszystkiém

prawdziwe; Mazepa był wprawdzie wtenczas ajentem Doroszeńki i często używany był przez tego hetmana do rokowań z hordami, nie trzeba jednak zapominać, że w ówczas Doroszeńko wspólnie działał z Turkami i Tatarami, Mazepa sklecił sojusz między tymi ostatnimi i swoim pryncypałem, upadek więc Kamieńca nie mógł być nieprzyjemnym tym, którzy właśnie Turkom poddaństwo swe ofiarowali. Wprawdzie Doroszeńko i Han nie koniecznie z dobréj woli robili politykę turecką, ale za to z drugiéj strony uwzględnić potrzeba, że hetman wielki był najgorliwszym zwolennikiem wojny, a wzięcie Kamieńca przez Turków nie jego winie przypisać należy. Przytoczone przez p. A. B. twierdzenia systematycznie są podnoszone przez niego, aby uwydatnić nienawiść Mazepy do Jana Kazimierza i Sobieskiego, znane jednakowoż ówczesne źródła historyczne nic podobnego nie wskazują, a autor żadnych dokumentów nie cytuje zkąd swoje wiadomości zaczerpnął. Wspomniany nawiasem rękopis z r. 1716 którego nikt nie zna i nie wie gdzie takowy się znajduje, wielkiéj wiary obudzić nie może.

Porzucimy teraz polemikę, aby wrócié do właściwego opowiadania.

Po znanéj już awanturze z Falbowskim, Mazepa wyniósł się na Ukrainę. Ojczyzna Kozacka szarpana była wówczas wewnętrznemi niezgodami. Na Zadnieprzu z ramienia Moskwy po upadku Wychowskiego hetmanił Brzuchowiecki, z téj strony Dniepru Chmielnicki Jerzy i następca jego Tetera, uznawali władzę Rzeczypospolitéj. Między hetmanami tego i tamtego boku Ukrainy, toczyła się zacięta walka, wspierana z jednéj strony przez Polaków, z drugiéj przez Moskali. Po świetnéj kampanii dla oręża polskiego w r. 1664 nastąpiły zawieruchy wewnętrzne, t. j. bunt Lubomirskiego, król musiał znaczną część wojska odwołać, Tetera z słabemi posiłkami polskiemi całemu ciężarowi wojny wydołać nie mógł, zabrał więc w sobą insygnia hetmańskie i uciekł do Polski. W jego miejsce obrany został Piotr Doroszeńko, człowiek nadzwyczajnie przedsiebiorczy a w środkach nieprzebierający. Do niego to więc udał się Mazepa. Było to pod koniec r. 1666, lub na początku 1667. Pierwszym zamiarem Doroszeńki było podobno owładnąć całą Ukrainę i na podstawie ugody hadziackiéj zostać przy Polsce.

Memoryał jego przesłany królowi do Warszawy o stanie Ukrainy, był ponajwiększéj części dziełem Mazepy: „Najjaśniejszy królu, najmiłościwszy panie, pisze do Jana Kazimierza, rozdraźnienie umysłów kozackich jest tak wielkie, że głośno o przywiązaniu mojém do osoby Waszéj królewskiéj mości i do Rzeczypospolitéj mówić nie mogę, boby mnie okrzyczano za zaprzedanego Polsce, miéj Wasza królewska mość ufność do mnie nawet wtenczas, gdyby czyny moje niepodobały się Rzeczypospolitéj. Pierwéj muszę uspokoić Ukrainę, pozbyć się pretendenta moskiewskiego, a dopiero potém będę mógł uznać Waszą królewską mość za mojego pana."

O ile te słowa zgadzały się z prawdziwemi zamiarami Doroszeńki, trudno stanowczo rozstrzygnąć. Dosyć, że na niejakiś czas Polska miała wolne ręce od Kozaków, którzy z całą energią rzucili się na Brzuchowieckiego i Moskwę. Uniwersał Doroszeńki do Zaniednierpców wzywał tamecznych Kozaków do opuszczenie Brzuchowieckiego który wraz z Moskalami spiknął się na zagładę imienia kozaczego. Uniwersał ten z radością został przyjęty. Brzuchowiecki popełniał błąd po błędzie co go zupełnie zdyskredytować i zdepopularyzować musiało. Będąc rok przedtém w Moskwie przyjął z rąk cara godność bojarską, ożenił się z Moskiewką, zezwolił na zaprowadzenie załóg moskiewskich w znakomitszych miastach zadnierpskich i ustanowienie podatków na rzecz skarbu moskiewskiego. Zaledwo Doroszeńko pokazał się na Zadnieprzu, wszystkie pułki tameczne oświadczyły się za nim. Sczerbatow wódz moskiewski został na głowę pobity pod Złotonoszą. Niczyn, Przyłuki, Perejesław poddały się zwycięzcy. Polska we wszystkich tych zapasów nie brała udziału, chociaż wojna wrzała w obrębie jéj granic; przyczynę téj obojętności trzeba szukać poczęści w buncie Lubomirskiego, który siłę Rzeczypospolitéj gdzieindziéj zatrudnił, poczęści w milczącém przyzwoleniu na żądanie Doroszeńki. — Niedługo jednak rząd polski zdołał wytrwać w téj polityce abstynencyi; Doroszeńko aby sprostać okolicznościom, chwycił się środków które całą draźliwość i nieufność Polski wzbudzić musiały, a o których w wyżéj wspomnianym memoryale króla niejako uprzedzał. Środkami temi były zabiegi Doroszeńki w Stambule i Krymie o posiłki turecko-tatarskie z ofiarowaniem

sułtanowi protektoratu nad Kozakami. W sprawie téj znowu czynny był Mazepa. Jak daleko w téj mierze układy zaszły i czy na seryo były prowadzone, pozostanie na zawsze wątpliwém, to jednak pewno, że Moskwa z tego kroku Doroszeńki skorzystać umiała. Zaledwie dowiedziała się o ajentach Doroszeńki w Konstantynopolu zaraz uwiadomiła o tém dwór warszawski i kazała oświadczyć, iż w obec wspólnego nieprzyjaciela mającego zamiar całą Ruś poddać pod jarzmo bisurmanów, wspólnie działać potrzeba. Propozycya ta trafiła do przekonania polskiego, zwłaszcza że Rzeczpospolita moralnie i fizycznie była wyczerpniętą i w Warszawie stracono już nadzieję zachowania całéj Ukrainy. Praktyczném zdawało się ratować co można, niż utracić wszystko. Wśród takich okoliczności przyszło w Andraszowie r. 1667 do zawieszenia broni na lat 13 pod następnemi warunkami: Moskale zatrzymają Zadnieprze aż do stanowczego pokoju, oraz Kijow z okręgiem na lat 2, wszystkie zaś zabory na Litwie natychmiast zwrócą; obaj monarchowie zrzekają się wszelkiéj protekcyi nad Kozakami w ich dzierżawach niezostającemi, i przyrzekają sobie pomoc w uśmierzeniu buntów, mianowicie gdyby Turcy w sprawy kozackie mieszać się chcieli.

Układ ten dzielący Ukrainę na dwie części wywołał wśród Kozaków powszechne oburzenie tak przeciwko Moskalom jak przeciwko Polakom. Po obu stronach Dniepru zaczęto przysposabiać się do obrony całości ojczyzny kozaczéj. Doroszeńko z ligowawszy się z Tatarami, napadł na oddział polski pod Machowskim i zniósł go zupełnie między Brahiłowem i Ladyżynem, samego dowódzcę zabrał do niewoli. Na wieść tę hetman koronny Jan Sobieski pospieszył na obronę Ukrainy polskiéj. Siły Rzeczypospolitéj były szczupłe, dochodziły zaledwie 12 tysięcy ludzi, stanowczém więc rozstrzygnięciem sprawy trudno się było łudzić. Hetman podstąpił pod Podhajce gdzie zaledwie jako tako okopać się zdołał, gdy zewsząd obskoczony został przez 100-tysięczne wojsko kozacko-tatarskie. Oblężenie trwało dni 17. Wojsko polskie pod rozkazami bohaterskiego swego wodza we wszystkich szturmach i napadach okryło się nieśmiertelną sławą; ruchome kolumny pułkowników Piwa i Ruszczyca śmiałemi i dobrze obmyślanemi ruchami, wspierali skutecznie działania naczelnego wodza, trapili i rozrywali uwagę nieprzyjacioł

na wszystkie strony, co pozwoliło Sobieskiemu skoncentrować wszystkie swoje siły w jednym punkcie, tamże zegnać nieprzyjaciela z pola a sobie zabezpieczyć drogę do odwrotu. Boleśniejszém jeszcze ciosem dla Tatarów niżeli częściowe zwycięztwo Polaków była otrzymana dnia tego wiadomość o napadzie Sierki atamana koszowego na Krym i straszne jego tam gospodarowanie. Dywersya ta, obawa o żony i dzieci skłoniła Tatarów do żądania pokoju. Han własnoręcznie napisał list do hetmana koronnego, żaląc się na postępowanie Polaków. Wyliczał wszystkie zasługi jakie Tatarzy oddali Polsce w czasie wojny moskiewsko-kozackiéj i szwedzkiéj, za to jakąż nagrodę otrzymali? oto wykluczono ich z uczestnictwa w rozejmie andruszowskim, zatrzymano roczną donatywę, a nawet teraz kiedy przyszli po rozkazy królewskie i połączyli się z poddanym Rzeczypospolitéj hetmanem kozackim Doroszeńką w celu działania przeciwko Moskwie, napadł na nich pod Batohem Machowski i tym sposobem wojnę sprowadził, chociaż oni niczego sobie bardziéj nie życzą, jak zachowania przyjaznych stosunków z Polską. W liście tym wszystkiego można się dopatrzyć oprócz dobréj wiary, okoliczności jednak nie były po temu, aby wchodzić w merytoryczną stronę pisma hańskiego, trzeba było zadowolnić się formą, zwłaszcza że instrukcye królewskie polecały hetmanowi unikania wojny. Bez trudności téż przyszedł wieczysty traktat do skutku między Hanem a Rzecząpospolitą. Akt ten spisany. 16 Października 1667 r. osnuty był na następujących warunkach.

a) „Cokolwiek się stało, tak na wiosnę, jak i teraz, ma być w niepamięć puszczone.

b) Han obiecuje być zawsze nieprzyjacielem nieprzyjacioł Polski, i na każdą potrzebę z wojskami się stawić, za co zwykła roczna donatywa ma mu być doręczoną.

c) Kozaków na instancyę hana król do łask przyjmuje.

d) Więzniowie, wzięci pod Batowem, mianowicie Machowski mają być zwróceni.

e) Han bez żądania królewskiego, w granicę Rzeczypospolitéj nie wkroczy.

f) W odwrocie przestrzegać będzie, aby Tatarowie krymscy, budziaccy i białogrodzcy zagonów nie rozpuszczali, a swawolnych ukarze.“

Doroszeńko, opuszczony od Tatarów, zawarł także ze swojéj strony układ z Sobieskim. Brzmi on następnie:

„Ponieważ Jaśnie Wielmożny marszałek i hetman przekonał się, że pan Piotr Doroszeńko, hetman Jego Królewskiéj Mości, wojsk zaporoskich, nie z wojną ale z prośbą łaski Jego Królewskiéj Mości żebrze, obiecujemy pomienionemu hetmanowi wnieść instancye nasze do Jego Królewskiéj Mości i Rzeczypospolitéj, aby wszystko puścili w niepamięć.

Pan hetman zaporoski obiecuje na przyszłość wierne poddaństwo, na wszelką usługę ochotą szczerą. Wyrzeka się wszystkich postronnych protekcyj, pokładając tylko na łasce króla i Rzeczypospolitéj swoje bezpieczeństwo.

Obowięzuje się wszystkim właścicielom dziedzicznym, ich dzierżawcom lub namiestnikom, dać pomoc do swobodnego przemieszkiwania, warując sobie tylko wolność dla Kozaków i ich futorów.

Resztę życzeń hetmana zaporoskiego sejm rozstrzygnie: do tego czasu Jaśnie wielmożny marszałek żadnych załóg do miast kozackich nie wprowadzi, ani téż Kozacy interesować się będą miastami do nich nie należącemi. Garnizon w Białocerkwi uciążliwy mieszkańcom dla wielkiéj liczby, ma być zmniejszony, a krzywdy przez niego uczynione, wynagrodzone."

Akt ten nosi na sobie datę 19 Października 1667 roku. Doroszeńko, starszyzna jeneralna, pułkownicy i setnicy stwierdzili układ przysięgą, poczém Sobieski wręczył hetmanowi kozackiemu insignia królewskie z Warszawy nadesłane, i wojska rozpuścił.

Powstanie Brzuchowieckiego przeciwko Moskwie, przez które hetman zadnieprski spodziewał się odzyskać dawną popularność u rodaków, było tylko dla niego fatalne, losu Ukrainy jednak zmienić nie mogło. Brzuchowiecki napróżno kołatał do Warszawy, Rzeczpospolita wysilona, związana rozejmem andruszowskim z Moskwą, zgodą podhajecką z Doroszeńką, posiłkować go nie mogła i nie chciała; próżne były także jego zabiegi w Konstantynopolu i Krymie, już go tam uprzedził Mazepa ajent Doroszeńki.

Brzuchowiecki znienawidzony od swoich, mający za sobą armię moskiewską pod Romadanowskim, przed sobą chciwego władzy współzawodnika, dla którego najbliżsi sąsiedzi Polacy i Bisur-

manie zdają się być życzliwsi, nie wiedział biedak co począć i jak z kłopotu wybrnąć. Ta jego bezradność i bezczynność musiała skończyć się katastrofą; w własnym obozie duch nieukontentowania jawnie szerzyć się zaczął, starszyzna wymawiała głośno imie Doroszeńki jako człowieka jedynie mogącego ratować ojczyznę i wolność kozaczą. Niebawem wkroczył téż Doroszeńko na Zadnieprze i szedł prosto na Srebrzyn gdzie stał obozem Brzuchowiecki.

Ten bez punktu oparcia, w własnym obozie niepewny życia, postanowił w końcu złożyć insignia hetmańskte w ręce szczęśliwego rywala, z tym zamiarem pospieszył ku Doroszeńce. Zaledwie jednak z swego postępowania tłomaczyć się począł, starszyzna przy nim będąca hurmem krzyknęła „łżesz psia wiaro“ i kijami go zabito tuż pod okiem Doroszeńki, który całéj téj scenie obojętnie się przypatrywał.

Połączone wojska za- i przeddnierpskie okrzyknęły Doroszeńkę jeneralnym hetmanem. Na chwilę Ukraina została znowu połączona, ale aby to zjednoczenie utrwalić brakło środków i warunków. Zaledwie hetman powrócił do Czehrynia, już na Zadnieprzu stronnictwo moskiewskie wichrzyć poczęło. Nastąpienie Romadanowskiego z silném wojskiem na pułk czernihowski którem dowodził Mnogogrzeszny, zniewoliło tego pułkownika do zawarcia dla swego pułku zawieszenia broni, które w krótce zamieniło się na zupełne poddanie się carowi. Za tym przykładem poszli inni dowódzcy; niebawem za pozwoleniem carskiém obrali sobie Zadnieprzanie nowego hetmana w osobie Mnogogrzesznego.

Rozjątrzony tym zwrotem rzeczy Doroszeńko wysilał się na pomysły, któreby mu szczęście nazad sprowadzić mogły. Za słaby aby oprzeć się potędze moskiewskiéj, znowu zwrócił swe oczy na Warszawę i Konstantynopol. Za ścisłém związkiem z Polską był Mazepa, z aliansem i protektoratem Turcyi przemawiał Tukalski pretendent do metropolii kijawskiéj, zarówno Polaków jak Moskali nienawidzący. Obaj ci ludzie byli najczynniejszymi ajentami Doroszeńki.

W Polsce panował już Michał Wiśniowiecki dla którego Mazepa czuł się osobiście do wdzięczności obowiązanym za łaski i dobrodziejstwa jakie od tego domu w młodości odbierał. Położenie było atoli takie, że dobre chęci Mazepy nie wystar-

czały. Doroszeńko potrzebował natychmiastowéj pomocy, téj mu Reczpospolita ze względu na rozejm andruszowski dać nie mogła; dla przynęcenia do siebie Zadniedrpców musiał przy układach z Rzecząpospolitą takie stawiać warunki, któreby najdaléj idące koncesye moskiewskie przechodziły, a które uwzględnić było niepodobieństwem. Jakiego rodzaju były wymagania Doroszeńki, najlepiéj oceniemy z instrukcyi danych posłom kozackim wysłanym do Warszawy w celu ostatecznego uregulowania sprawy ukraińskiéj. Brzmią one: 1) W bracławskim, kijowskim i czernichowskim województwie wolno Kozakom stać w majątkach prywatnych i kościelnych. 2) Wojska koronne nigdy na Ukrainie nie postoją. 3) Panowie, ani dzierżawcy, ani sługi ich na Ukrainie mieszkać nie mają, ale chłopów swych powinni oczynszować, i tylko raz w roku przyjeżdżać po odebranie tych czynszów. 4) Kozacy ani z roli ani przemysłu podatków opłacać nie będą. 5) Posiłkowe wojska koronne działające na Ukrainie pójdą pod zarząd ukraińskiego hetmana. 6) Wojsko kozackie będzie utrzymywane z podatków nałożonych na dobra królewskie i duchowne leżące w tych trzech województwach. 7) Buławie hetmańskiéj przeznaczyć starostwo czechryńskie i wszystkie cła wymienionych wyżéj województw. 8) Na armatę kozacką wyznaczyć starostwa: humańskie, korsuńskie i bohusławskie. 9) Starszyznie inne starostwa na dochód obmyśleć. 10) Rozkazy odbiera hetman od samego króla. 11) Kijów odebrany nie ma mieć innéj załogi prócz kozackiéj. 12) Gdyby Kozacy mieli służyć poza granicami Ukrainy, Rzeczypospolita winna im płacić żołd ze swego skarbu. 13) Na obiór Metropolity kijowskiego król wpływać nie ma.

Jak widzimy Doroszenko żądał dla Ukrainy unii personalnéj, połowicznéj jakiejś niezależności, na co jeszcze w ostatecznym razie mógł się zgodzić król ale nigdy szlachta, któréj przyjęcie podobnych warunków groziło nietylko stratą materyalną, bo ta na małą liczbę szlachty ukraińskiéj ograniczona, dla ogółu mogła być obojętną, ale co więcéj narażeniem na wielkie niebezpieczeństwo jéj przywilejów politycznych, gdyż król łatwo mógł się znieść z hetmanem ukraińskim stojącym po za kontrolą organów Rzeczypospolitéj, w utrzymaniu istniejącego stanu zupełnie nieinteresowanym i za jego pomocą obalić republikanckie urządzenia, a szlachtę podciągnąć pod wspólne

prawo z innymi mieszkańcami Polski. Szlachta, któréj całość i niepodległość ojczyzny niczem się wydawała w porównaniu z utrzymaniem swych przywilejów, prędzéjby się zgodziła na utratę Ukrainy, ba nawet całéj Rusi, niż na podobne warunki.

Król dał téż deputacyi odpowiedź wymijającą, odsyłając Kozaków do komisyi, która najdaléj w pierwszych miesiącach 1670 r. ma się zebrać w Ostrogu i gdzie komisarze polscy i kozaccy po wzajemném porozumieniu się wszystkie punkta sporne załagodzą. Nie wierzył téż sam hetman kozacki, aby jego propozycye przyjęte być mogły; główném jego zadaniem było wykazać tym sposobem swoją gorliwość o dobro i pomyślność Kozacczyzzny, powodując się przekonaniem, iż niczém tak łatwo ciemnych mas pozyskać nie można, jak przesadnemi na ich korzyść żądaniami. Wychodziło to coś na „lisy i pasowiska“ naszych czasów. Nie stawiał ich téż w dobréj wierze i na seryo lecz dla efektu, *ad captandam benevolentiam* rzeszy kozackiéj, niemniéj jednak w Polsce wywołał ogromne oburzenie, tém niebezpieczniejsze dla niego, iż niektóre półki szczerze sobie życzyły pozostać przy Polsce i łatwo można je było przeciwko Doroszeńce poruszyć, gdyby coś nieprzyjaznego względem Rzeczypospolitéj przedsiębrał.

Prawdziwym jego zamiarem było otrzymać od Polski neutralność w wojnie moskiewskiéj, do któréj się gotował. Z temi tylko warunkami przybyli jego posłowie na komisyę otworzoną w Ostrogu 4go marca 1670 r. Stanowcze uregulowanie kozaczyzny radził odroczyć aż do uspokojenia całéj Ukrainy. Być może, iż Polska byłaby się zdecydowała na ten warunek, gdyby Doroszeńko pragnąc wszystkie strony w pole wyprowadzić, nie był takich samych propozycyi czynił w Moskwie i nie był Turcyi ofiarował poddaństwa w zamian za posiłki w ludziach i pieniądzach. Taka polityka oparta na wybiegach, bez dobréj wiary względem stron z któremi się układa, jeżeli nie jest poparta znaczną siłą fizyczną, zwykle źle się kończy dla jéj twórcy. Moskwa odepchnęła insynuacye Doroszeńki nie chcąc odnawiać wojny z Polską, a prawdopodobnie narażać się na wojnę z Turcyą, któréj takie powiększenie carstwa obojętném być nie mogło, a pułki: humański, bracławski, niemirowski i podolski na samą wieść o konszachtach Doroszeńki z Turkami wybrały sobie hetmanem Haneńkę pułko-

wnika humańskiego, który też zaraz swoich pełnomocników do Ostroga wysłał i tam ugodę zawarł na podstawie punktów Hadziackich. Sobieskiemu zaś król Michał polecił ścigać i znosić bandy Doroszeńki. Większa część miast ukraińskich dobrowolnie otworzyła swe bramy polskiemu hetmanowi. Taki zwrot niespodziewany rzucił Doroszeńkę zupełnie w objęcia Turcyi, która też zaraz posiłki mu przyobiecała i tymczasem nakazała hanowi wspierać go wszystkiemi siłami. Odzyskać Przednieprze było teraz najpilniejszém staraniem Doroszeńki, a liga z Turkami zawiązana głównie przeciwko Moskwie, obróciła się na Polskę. Nie piszemy historyi wojny turecko-kozackiéj, aby tutaj cały jéj przebieg skreślić, dosyć będzie tylko powiedzieć, że Rzeczpospolita zmuszoną została do zawarcia pokoju w Buczaczu r. 1671, mocą którego część Ukrainy i prawie całe Podole zostało przy Turcyi. W odstąpionéj przez Polaków Ukrainie utrzymał się Doroszeńko na hetmaństwie.

Pokój buczacki nie trwał długo, za staraniem bowiem Jana Sobieskiego już w rok po zawarciu został zerwany. Świetne zwycięztwo hetmana koronnego pod Chocimem r. 1673, nie zdołało zabezpieczyć Polsce zwrotu odstąpionych ziem, gdyż Sobieski dowiedziawszy się o śmierci królewskiéj we Lwowie w wilię bitwy, spiesznie wraz z wojskiem udał się na elekcyę do Warszawy, zostawiając wszystko na Ukrainie *in statu quo.*

Po odejściu wojsk polskich wystąpili do boju z Turkami Moskale, niby to sprzymierzeńcy Rzeczypospolitéj, traktatem andruszowskim do wspólnego działania obowiązani, w rzeczywistości zaś próbowali wojnę prowadzić na własny rachunek. W tym celu Samujlowicz, następca Mnogogrzesznego gwałtownie pozbawionego buławy, otrzymał rozkaz wkroczenia na tę stronę Dniepru, zajęcia i zatrzymania wszystkich grodów ukraińskich pod pozorem, że są zdobytemi na Turkach i stanowią ich własność.

Świeże wojska tureckie udaremniły zamiary Samujłowicza; zimowa zaś kampania polska r. 1674 i wiosenna r. 1675 znowu oswobodziła Ukrainę od wojsk tureckich, na nieszczęście i teraz jéj ubezpieczyć nie zdołała, i znowu cały ciężar wojny spadł na Moskwę za poradą Doroszeńki, którym powodował Mazepa, tajny stronnik polityki polsko-kozackiéj.

Król wyjechał do Żółkwi dla obmyślenia nowych zaciągów, a Samujlowicz do ogołoconéj z wojsk polskich i tureckich Ukrainy powtórnie wkroczył i obległ Doroszeńkę w Czechrynie. Stary intrygant chciał się jeszcze ratować sojuszem z Tatarami; aby tych sobie zniewolić, kazał w nieprzyjaznych sobie okolicach nałapać mnóstwo wiejskiego ludu i posyłał takowy przez Mazepę w darze hanowi. Podarki takie praktykowali często hetmani kozaccy. Opatrzność nie pozwoliła mu jednak spełnić tego ostatniego zbrodniczego czynu. Na ciągnący tabor napadli siczowi Kozacy i cały zabrali. Doroszeńko nie zdołał sobie kupić przyjaźni hańskiéj, a cała Ukraina wydała na niego wyrok potępienia za takie niepatryotyczne postępowanie. Wśród takich okoliczności nie pozostało mu nic innego jak poddać się na łaskę Moskwy, co téż uczynił r. 1675.

Mazepa tę ostatnią przysługę oddaną swemu pryncypałowi o mało śmiercią nie przypłacił. Oburzeni Niżowcy, że ktoś się znalazł co do tego obrzydliwego handlu ludźmi rękę podawał, chcieli go w sztuki porąbać. Ledwie udało się ówczesnemu atamanowi Janowi Sierce uratować mu życie, zakuto go jednak w kajdany i kilka lat trzymano w więzieniu, mimo że Mazepa zaprzysięgał, iż takiéj trafiki nie doradzał, ani aliansu turecko-tatarskiego nie popierał i tylko będąc podkomendnym musiał wbrew swemu osobistemu przekonaniu wykonać wolę przełożonego.

Dopiéro na instancyę zadnieprskiego hetmana, który znał rodziców jego, był bowiem synem popa z pod Białocerkwi, odzyskał wolnośc około r. 1679. Uwolniony nasz Jan pojechał natychmiast do Baturyna podziękować Samujłowiczowi za instancyę i opiekę.

Młody człowiek przypadł hetmanowi do serca. Zrobił mu téż zaraz propozycyę zajęcia się wychowaniem jego dzieci z widokami umieszczenia i promowania go późniéj w wojsku zaporożskim. Propozycye nie były do odrzucenia, zwłaszcza że Mazepa do Polski, gdzie był jego familijny majątek powracać nie chciał i nie mógł. Prywatny ten obowiązek nie musiał trwać długo, bo już w roku 1682 widzimy Mazepę asaułem jeneralnym, po hetmanie i oboźnym jedna z najwyższych rang wojskowych.

Od tego czasu aż do wyniesienia na hetmaństwo ustawicznie był używany do pośredniczenia między carem a Kozaczy-

żną. Układny, dobrze wychowany, w naukach i polityce biegły, potrafił sobie Mazepa zaskarbić życzliwość najwyższych czynowników na dworze moskiewskim.

Mimo łask i faworów pańskich doznawanych w Moskwie i Baturynie, Mazepa zachował jednak pewną niepodległość w zdaniach i czynach, co go nawet popularnym u czerni robiło a protektorom nakazywało oszczędzać go nawet wtenczas, gdy niezupełnie był im dogodnym. Wymawiał Samujłowiczowi jego zbytnią uległość dla cara, w Moskwie doradzał, aby Kozaków zbytnie nie drażnić, bo to może bunt wywołać, którego następstwa obliczyć się nie dadzą. Car Aleksy tak nawet śmiałém jego wystąpieniem uczuł się pewnego razu dotknięty, że go nawet kazał uwięzić i dopiéro za instancyą hetmana powtórnie uwolnionym został. Ta nauczka zrobiła go wprawdzie ostrożniejszym, atoli sposobu jego zapatrywania nie zmieniła wcale.

Zadnieprze za hetmaństwa Samujłowicza spiesznym krokiem dążyło do upadku. Hetman przestał być politycznym naczelnikiem kraju, był tylko dowódzcą wojskowym, którego atrybucye ściśle zostały ograniczone. Odjęto mu wpływ na wybór starszyzny, wojska niewolno mu było zgromadzić i dyslokować. Podatki za Brzuchowieckiego zaprowadzone, potém cofnięte, zostały napowrót odnowione. Nieukontentowanie z hetmana było ogólne na Ukrainie. Ponieważ car pozwolił zanosić przed siebie zażalenia na hetmana, zażaleń tych przy niesfornym duchu kozactwa było bez końca. Rząd moskiewski dawał mu uczuć, jak łaskawie z nim postępuje, broniąc go przeciw własnym podwładnym; miało to hetmana zrobić jeszcze uleglejszym, co istotnie się stało. Ale miarka we wszystkiém się przebierze; zbytnie wymagania nawet potulnego hetmana uraziły; uraz tych nie taił, a to znowu ośmieliło jego nieprzyjaciół do gwałtowniejszego przeciwko nim wystąpienia, donosząc go przed carem, iż o zdradzie zamyśla, że w tym celu kazał sobie odczytywać układy hadziackie, zamyślając zapewnie powrócić pod panowanie Polski. Donosy te nabrały prawdopobieństwa, gdy hetman usilnie zaczął się starać w Moskwie o pozwolenie wydania córki za księcia Czertwertyńskiego, a synów miał zamiar pożenić z Polkami.

Dni jego hetmaństwa od tego czasu były już policzone, potrzeba było pierwszego lepszego wypadku, aby katastrofę

wywołać. W r. 1685 sprawa jego już tak źle stała u dworu i w Kozaczyznie, że oględny Mazepa przyłączył się do skargi na niego zaniesionéj i jako asauł jeneralny pierwszy ją podpisał. Była to bez wątpienia niewdzięczność, ale konieczność polityczna jeżeli takowéj nie uniewinnia, to przynajmniéj tłomaczy. Interes Zadnieprza i Kozaczyzny tego wymagał. Jeżeli Kozaczyzna miała istnieć, potrzebowała człowieka bystrego, giętkiego i przenikliwego; wszystkich tych zalet Samujłowiczowi niedostawało. Gdyby mu był Mazepa wierność i wdzięczność dochował, uratowaćby go nie mógł, a zraziłby sobie dwór i czerń zarówno hetmanowi teraz nieprzychylne. Czując się na siłach sprostać okolicznościom, musiał unikać narażenia własnéj przyszłości. Gdzie idzie o ojczyznę i wyższe polityczne cele, tam osobiste uczucia milczeć muszą. Wielkich rzeczy zwykli ludzie i zwykłemi środkami nie osiągają. W polityce dzisiaj jeszcze, prostą i uczciwą drogą iść trudno, tém mniéj wówczas było to podobieństwem. Chcąc działać na ludzi i z ludźmi, trzeba się rachować z ich instynktami, wyobrażeniami, uwzględniać okoliczności wśród których się żyje; smutna to konieczność ale nieunikniona.

Skargi i donosy kozacze tą razą nie skutkowały jeszcze, potrzeba było ważniejszych powodów, aby się pozbyć zużytego narzędzia, którego całą winą wobec Moskwy było to, że nie umiał rozkazów carskich przeprowadzić bez wzbudzenia nienawiści u tych, przeciwko którym były wymierzone. Dworny i układny Mazepa zdawał się już wtenczas sposobniejszym do przeprowadzenia zamierzonych przez Moskwę reform. Przewidzieć też można było, iż w razie upadku Samujłowicza, Moskwa wszystkiemi siłami popierać będzie wybór Mazepy na hetmaństwo.

Upadek ten nastąpił w r. 1687. Golicyn, ówczesny wszechwładny minister carowny Zofii, rządzącéj w imieniu młodszych swych braci Piotra i Iwana Aleksiewiczów, chciał okryć się niespożytą sławą przez zawojowanie Krymu. Samujłowiczowi z całém wojskiem kozackiém nakazano wziąść udział w téj wyprawie.

Kampania nad wszelkie oczekiwanie źle poszła. Gdy wojska kozacko - moskiewskie wkroczyły na dzikie pola, Tatarzy pozapalali na około trawy, co zmusiło Golicyna do nakazania odwrotu. Trzeba było winę na kogoś złożyć, ofiara sama się

nasuwała — był nią na dworze i wśród kozactwa niemile widziany hetman Samujłowicz. On to miał Tatarów o najściu na nich uprzedzić i poddać im środki obrony. Podobno Mazepa miał pierwszy tę myśl podsunąć Golicynowi. Natychmiast poszły skargi na Samujłowicza do Moskwy, a ztamtąd przyszedł rozkaz oddania go pod śledztwo. Hetman poddał się losowi, nie stawiając żadnego oporu. Podburzona czerń gwałtem domagała się jego śmierci; zaraz w dzień aresztowania zebrana starszyzna w oczy zaczęła mu dowodzić o jego zamiarze zdradzenia Moskwy i zaprzedania Kozaków Polsce. Spisany protokół wysłano księżniczce Zofii, a ta skazała go na wygnanie do Sybiru i skonfiskowanie majątku. Obaj synowie hetmańscy, z których jeden ożeniony był z Swiejkowską, drugi z Tołstowną, wmieszani zostali w proces ojcowcki. Jakób podzielił z nim wygnanie na Syberyi, Jerzy który na chwilę zamyślał ratować ojca z bronią w ręku, został ścięty w Siewsku.

Na miejsce Samujłowicza przy pomocy Golicyna obrany został jednogłośnie hetmanem Ukrainy Jan Stefanowicz Mazepa r. 1687. Teraz dopiéro w całém świetle poznać i ocenić będziemy mogli charakter i czyny tego niezwykłego w dziejach człowieka.

II.

Akt wyborczy Mazepy na hetmaństwo zasługuje na bliższe opisanie, przypomina bowiem żywo postępowanie późniejsze Moskali w Polsce za Augusta III i Stanisława Augusta, gdzie przywołani przez kilkunastu albo kilku nawet wichrzycieli sejmy otaczali wojskiem, a to wszystko dla lepszego zabezpieczenia wolności polskiéj, aby każdy obywatel mógł spokojnie i bezpiecznie wyrazić swoją wolę bez narażania się na prześladowanie terorystów i anachronistów. Tak było i tutaj. Golicyn zjednał sobie niektórych naczelników ofiarowaniem połowy majątku zabranego Samujłowiczom, a która wynosiła 415.000 złp. na rzecz skarbu kozackiego. Dobrodziejstwo takie niespodziewane tém silniéj działało na umysły kozacze, iż powszechnie je tylko wstawieniu i życzliwości Golicyna dla Kozaków przypisywano. Ci odwdzięczając mu się za to, oświadczyli, że nikt nie będzie wybranym tylko ten, którego sobie Golicyn życzy. Bojarzyn wymienił Mazepę, umiejącego sobie zjednać wszystkich, z którymi miał tylko stosunki.

Dzień 26 lipca 1687 był przeznaczony na wybór i to wpośród obozu rosyjskiego. Nie dosyć na tém, cerkiew i plac otoczono strzelicami, dodawszy im 800 konnych i 1200 pieszych kozaków zupełnie Mazepie oddanych. Na zapytanie, kogo chcą mieć hetmanem, wtajemniczeni w całą sprawę okrzykli Mazepę. Ci co daléj stali od centralnego punktu, wymienili Borkowskiego oboźnego jeneralnego. Borkowszczycy byli w mniejszości, większa część zaś wojska zachowała milczenie. Dopiéro za drugiém zapytaniem imię Mazepy prawie wszyscy przytomni powtórzyli, dodać to jednak potrzeba, że połowa prawie pułków znajdująca się pod rozkazami Jerzego Samujłowicza, pułkownika czernichowskiego, operującego na własną rękę przeciw Tatarom, znajdowała się wówczas w pochodzie i w wyborze udziału nie miała.

Gwałtów przy elekcyi Moskale nie robili żadnych, bo tego potrzeba nie było, ale już to rozwinięcie siły zbrojnéj świadczy, iż na wszystko byli przygotowani.

Po dokonanym wyborze przedłożono hetmanowi i starszyznie pakta do zaprzysiężenia ułożone dniem pierwéj.

Za podstawę tym paktom służyła jeszcze ugoda perejesławska, dodatki jednak zmieniały całą jéj doniosłość.

Punkta dodatkowe były następujące: *a)* Kozakom niewolno bez pozwolenia carskiego hetmana zmieniać i nowego obierać; *b)* hetman nie ma prawa karać starszyznę ani pozbawiać jéj urzędów, car w razie winy dygnitarzy kozackich prawo wyrokowania sobie waruje; *c)* hetman starać się ma wszystkiemi sposobami ułatwić zlanie Ukrainy z Wielkorosyą przez ułatwienie małżeństw mięszanych, w czém starszyzna powinna dać dobry przykład, daléj powinien ułatwiać i zachęcać do przesiedlania Ukraińców w gubernie moskiewskie i odwrotnie, nakoniec *d)* żadnych podatków bez zezwolenia carskiego nakładać nie wolno. Jako nowy punkt można także uważać włożony na hetmana obowiązek utrzymania dobrych stosunków między Polską a Moskwą i energiczne działanie przeciwko wichrzycielom i buntownikom.

Dodatkowe punkta zmieniały z gruntu stosunki Zadnieprza; hetman tracił wpływ na wojsko przez wyjęcie starszyzn zpod swojéj juryzdykcyi, czém karność wojskowa musiała zostać naruszoną, z drugiéj strony nie potrzebując się starać o

popularność i miłość swoich podwładnych, od cara jedynie oczekując wszystkiego, stawał się przedewszystkiem czynownikiem moskiewskim. Odjęciem prawa uchwalania podatków na rzecz krajową traciło Zadnieprze kardynalny warunek wszelkiéj autonomii.

Tak więc pod względem politycznym i społecznym znaczny krok naprzód do unifikacyi obydwóch narodowości uczyniono.

Mimo tak twardych warunków Mazepa aż do końca swego hetmaństwa potrafił dzierżyć swą władzę prawie z większą jeszcze powagą, niżeli sam Chmielnicki. Hetman straszył ciągle rząd moskiewski buntami kozackiemi, które wielkiéj władzy i sprężystości wymagały, aby je w każdéj chwili nieszkodliwemi uczynić, a Piotr Wielki, jakkolwiek chytry i niedowierzający tak był przekonanym o jego dobréj wierze, Mazepa tak dobrze umiał udać naiwnego, prostodusznego i przywiązanego do Moskwy, iż car prawie litował się nad jego zaślepieniem nie myśląc o niczém, jak tylko o wyzyskaniu tak dogodnego człowieka, aby go w końcu jako niepotrzebne narzędzie na bok odrzucić, pozwalał więc chętnie na przekraczanie zastrzażonych prawem atrybucyi hetmańskich, pocieszając się, że wszystkie działania Mazepy mają na celu korzyść cara i Moskwy.

Gra, jaką niebawem rozpocząć mieli, nie przynosi zaszczytu charakterowi obydwóch, obaj myśleli, jakby wzajemnie najłatwiéj w pole się wyprowadzić, Mazepa miał atoli tę wyższość nad przeciwnikiem, że go odgadł i przejrzał na wskróś, często także Piotr wśród pijatyki zdradzał swoje najtajniejsze zamysły, kiedy hetman kozacki umiał w każdéj chwili panować nad sobą, i ani słowem ani ruchem nie zdradził stanu swéj duszy.

Pierwszém działaniem Mazepy na téj nowéj godności było uśmierzenie buntu wśród kozactwa.

Gwałtowne i nieprawne postępowanie z Samujłowiczem wywołało czynną przynajmniéj częściową protestacyę ze strony pułków przyjaźniejszych usuniętemu hetmanowi. Mianowicie ta część wojska, która ostatnią kampanię odbyła pod synem hetmańskim Jerzym, zawiązała się w pewien rodzaj konfederacyi wojskowéj i w swoich pułkach za powrotem do Ojczyzny rozpoczęła represyje na stronnikach Mazepy i na carskich urzędnikach. Czas był do buntu dogodny. Mazepa zaraz po wyborze musiał ruszyć pod Smoleńsk, pułki najwięcéj na wschód

wysunięte mogły czas jakiś swobodnie dogadzać swéj fantazyi i osobistéj niechęci. Poborcy carscy zostali w znacznéj części wymordowani, majątek przyjaciół mazepińskich szedł albo z dymem, albo został rozerwany między sprzysiężonych. Wielkich jednak rozmiarów bunt ten nie przybrał.

Jedni z przemiany byli bowiem zadowoleni, drudzy obawiali się bliskości wojsk moskiewskich i hetmańskich. Zresztą bunty kozackie niekoniecznie były wynikiem politycznego niezadowolenia, po największéj części Kozacy zaprawieni do łotrowania, korzystali z każdéj sposobności; wyprawa tatarska nie przyniosła im spodziewanych łupów, zawiedzione nadzieje odbijali na własnéj Ojczyznie.

Większość nie tylko nie brała udziału w tém gospodarowaniu, ale patrzyła się z oburzeniem na spełniane okrucieństwa. Wnet téż nastąpił straszny odwet. Mazepa uniwersałami zawezwał półkowników pod ciężką odpowiedzialnością do przywrócenia porządku. Sam z wojskiem pospieszył na teatr zamieszek. Pokój bez wielkiego wytężenia został przywrócony; winni oddani w ręce sprawiedliwości. Ciężkie były kary. Najwinniejszych łamano kołem, innym kat toporem odcinał ręce i nogi, mniéj winnych wieszano lub skazywano na kary cielesne i więzienie, a wszystkim prawie zabierano majątek na wynadgrodzenie poszkodowanym. Energiczne to postąpienie przekonało Kozaków, że z takim hetmanem żartować nie można; powaga hetmańska we wszystkich pułkach została przywróconą.

Lecz nie ten był jedynie cel Mazepy, umiał on dla swoich przyszłych planów wyeksploatować ów wypadek we wszystkich kierunkach.

Do Golicyna pisał: Nienawiść do imienia moskiewskiego jest wielka, mordy popełniane na urzędnikach przysłanych z Wielkorosyi najlepszym są tego dowodem, potrzeba oszczędzać drążliwość kozacką w téj mierze, urzędnicy krajowi oddani monarsze, a takich tylko wybierać będę, znając charakter i usposobienia ludności, zdołają przeprowadzić ukazy carskie bez wywołania podejrzenia i niechęci. Wspólnéj ojczyznie lepiéj się przezto usłuży i prędzéj zupełne zlanie obydwóch narodów nastąpić będzie mogło.— Starszyznie zaś, która starała się o ułaskawienie niektórych przestępców od-

powiadał: Dobro Ukrainy wymaga, aby winni z całą przykładnością zostali ukarani; nie chodzi tutaj tylko o to, aby zapobiedz na przyszłość możliwości buntów, ale żeby Moskalom nie dać sposobności mieszania się w nasze sprawy, coby koniecznie nastąpić musiało, gdyby śmierć tylu znacznych ich ludzi nie została pomszczoną.

W dwóch tych kierunkach całe życie działał aż dopóki ostatecznie maski z siebie nie zrzucił.

W Moskwie przedstawienia hetmańskie najlepsze zrobiły wrażenia; przyznano zupełną słuszność jego uwagom. Zadowolenie starano mu się okazać wszelkiemi sposobami.

Kiedy w roku 1688 zasłabł, posłano mu do Baturyna nadwornego lekarza carów i carównéj, a matkę jego Maryę Magdalenę ksienię peczarskiego dziewiczego monasteru, która w tymże roku Moskwę odwidziła, przyjmowano z wielką czcią i honorami; za co hetman listownie carom dziękował.

Galicyn szczególnie takie zaufanie pokładał w Mazepie, iż prawie wyłącznie jego rady zaciągał co do planu powtórnéj na Krym kampanii.

Ponieważ pierwsza wyprawa nie udała się szczególnie z powodu braku żywności i paszy, Mazepa w tę się szczególnie radził zaopatrzyć, i stósowne do pułków wydał rozkazy, aby w granicznych miejscach gromadzić zapasy i zakładać magazyny. Dla zabezpieczenia zaś odwrotu, a po części dla utrzymania na wodzy Siczowych, radził założyć dwie forteczki nad Samarą i tu miał być główny skład prowiantów. Radę tę uskuteczniono natychmiast i tak powstały forteczki Nowobogarodzica i Kamienny Zaton. Ale i z Siczowymi nie chciał zrywać zupełnie, pisał więc do ówczesnego koszowego: „Warowne gródki nie są moim wymysłem, ja jestem tylko wykonawcą carskich rozkazów,— przytém tłómaczył im, że nie są one skierowane na przystłómienie ich wolności i praw oddawnych, ale przeciw nieprzyjaciołom świętéj wiary, za którą Kosz tyle krwi swojéj od wieków przelewa. Siczowi w odpowiedzi zdradzają powątpiewanie w słowa hetmańskie, budowaniu jednak nie przeszkadzali, a co więcéj bardzo uprzejmie składają mu życzenia z powodu objęcia hetmaństwa, co tém bardziéj zastanawia, że ze Samujłowiczem żyli w niezgodzie, inaczéj przez pogardę go nie

nazywając jak popowiczem; a stósunki ich dawne z Mazepą kiedy ten jeszcze służył Doroszeńce, nie bardzo były przyjemne.

Po téj drugiéj wyprawie na Krym obiecywano sobie bardzo wiele w całym chrześciańskim świecie. Między Rosyą, Polską, Austryą i Wenecyą istniało wówczas poczwórne przymierze przeciwko Turcyi. Wszystkie cztery państwa miały jednocześnie na różnych punktach zaczepić bisurmanów, aby tym sposobem siły ich rozdzielić i zwycięztwo chrześciaństwu ułatwić. Hetman w. kor. Stanisław Jabłonowski wysłał do Galicyna i Mazepy konfidenta swego Głoskowskiego, stolnika bracławskiego, który miał pośredniczyć między obydwoma wojskami w celu skombinowania odpowiednich ruchów strategicznych Polaków i Moskali. Tyle zachodów i wydanych pieniędzy nie wielki jednak otrzymały skutek. Wojska moskiewsko-kozackie połączyły się w maju roku 1689 i dotarły wśród zwycięskich utarczek aż do Czarnéj Doliny; tu na słobodzkie pułki rozstawione w nieładzie napadli Tatarzy i wielką rzeź wśród nich sprawili. Widząc to hetman posłał im kilka pułków piechoty mianowicie serdjuków, przyboczną swoją gwardyę w pomoc i ci Tatarów odegnali. Po tym wypadku posunięto się do Kołanczaku, gdzie Tatarzy powtórnie na nieostrożnych napadli i znaczną klęskę im zadali. Klęska ta jakkolwiek bolesna, nie mogła w niczém skutków kampanii przesądzać, mimo tego Galicyn wszedł w układy z Hanem i na drugi dzień nakazał odwrót. Jaki mógł być tego powód, nie wiadomo, być może że Galicyn dostał od w. księżniczki tajne wezwanie naglące go do spiesznego powrotu, co tém jest prawdopodobniejsze, iż między księżniczką a Galicynem odbywały się konszachty mające obydwóch braci jéj Piotra i Iwana od steru państwa oddalić a jéj władzę oddać. Dosyć że odwrót niespodziewany, okolicznościami nie nakazany, wywołał ogromne oburzenie i narzekania w wojsku, które inaczéj postąpienia tego wytłómaczyć sobie nie mogło jak tém, że Galicyn dał się przekupić Hanowi tatarskiemu. Bajka ta znalazła wiarę nawet u poważnych historyków z tym dodatkiem jeszcze, że Galicyn znowu sam od Tatarów oszukany został, ci bowiem zamiast beczułek z dukatami, przysłali mu z liczmanami a tylko na wierzchu tych beczułek znajdowało się złoto. W całéj téj pogłosce sam fakt jest utworem fantazyi. Człowiek który stoi na czele pań-

stwa, rozporządza bez kontroli i ograniczeń nie tylko groszem publicznym ale jak w Moskwie zwykle się dzieje i groszem prywatnym, nie potrzebuje się dać przekupywać, Galicyn był wprawdzie mimo świetnych talentów człowiekiem lekkomyślnym, zawsze stan finansów jego prywatnych był w nieładzie, ale sławy dla pieniędzy nigdyby był nie poświęcił, tém mniéj jako mąż polityczny zamyślający o zamachu stanu mógł to zrobić w chwili, gdzie tylko wielka popularność przedsięwzięciu mogła rokować pomyślny skutek; prawdziwém jest tu tylko, że duch rosyjski skorumpowany już wówczas tak jak i obecnie na wskróś, który ludzi dzieli na oszusztów i oszukanych wyczekujących chwili aż sami będą mogli zostać oszustami, żadnéj czynności ludzkiéj, żadnego wypadku bez podłych i nikczemnych motywów wyobrazić sobie nie może.

Wojsko kozackie nie mniéj od pułków wielkorosyjskich było niezadowolenie odwrotem, chociaż polityką ich starszyzny było zawsze menażować Tatarów, jako w razie ostatecznym, jedynie pewnych sprzymierzeńców. Mazepa aby czerń uspokoić, uroczyście oświadczyć musiał, iż w całéj kampanii był tylko wykonawcą wyższych rozkazów, a na odwrót swą radą bynajmniéj nie wpływał; wątpić się jednak godzi, czy hetman kozacki zdobycie Krymu przez Moskali mógł uważać za pomyślny wypadek dla Małorusi, i czy chętnie takiemu zamiarowi podawał rękę. Bez Tatarszczyzny Kozactwo nie miało racyonalnéj podstawy istnienia.

Golicyn wycofawszy się ze stepów budziackich, zdał komendę na Nieplujewa a sam pospieszył do Moskwy w celu przeprowadzenia ukartowanego zamachu stanu; osobném rozporządzeniem powołał także do stolicy Mazepę wraz z niektórymi starszyznami kozackimi. Pobyt naczelnika zadnieprskiéj Ukrainy w Moskwie trwał trzy miesiące, a przez ten czas nieraz drzeć musiał o swoją wolność i życie.

Car Piotr zdaje się został przestrzeżonym o zamiarach Golicyna, zamach uprzedził, siostrę kazał zamknąć w monasterze, Golicyna zaś i najgorliwszych jego stronników zesłał w Sybir, zabrawszy im pierwéj cały majątek. Mazepa był również mocno podejrzywany o udział w spisku, zarzucano mu iż tylko w tym celu do Moskwy przybył, aby wspierać intrygi fakcyonistów. Mazepa wykazał się jednak piśmiennym rozkazem

Golicyna, a chcąc zupełnie z wszelkiego podejrzenia się oczyścić, sam najgwałtowniéj przeciw Golicynowi wystąpił, zarzucając mu nie tylko zdradę ale i zdzierstwo, to ostatnie w najbezczelniejszy sposób na nim samym dokonane, i tu podał carowi cały rejestr rozmaitych wydartusów, w pieniądzach, klejnotach, drogich sukniach, orężach i koniach, razem na 18 tysięcy ówczesnych rubli szacowanych, jakiemi bezpieczeństwo i stanowisko swoje okupować musiał.

Piotr dał się zupełnie tém oburzeniem Mazepy przeciwko Golicynowi pozyskać, i odprawił go na Ukrainę z oznakami najwyższego swego zadowolenia. Tak przeminęła pierwsza burza zagrażająca jego egzystencyi; wypadek ten jednak musiał go zrobić jeszcze więcéj skrytym i ostrożnym. Pisarze małoruscy zarzucają mu, że w podobny sposób poswięcił i zdradził drugiego już swego dobrodzieja i opiekuna; my i w tém widzimy tylko konieczność ratowania siebie, nie mogąc już uratować swych przyjaciół. Jeden Engel powiada tylko w swojém dziele: (*Acht und vierziegster Theil der allgemeinen Weltgeschichte verfasst von* Johan Christian von Engel). Od tego czasu, t. j. od upadku Golicyna, do którego w gruncie Mazepa był przywiązanym, zrodzić się musiała w nim nienawiść do Piotra Wielkiego i chęć zemsty.

(Dokończenie nastąpi).

Ludwik Powidaj.

Uchwała sejmowa z 2 marca i delegacya do Wiednia.

Nazajutrz po wyjściu ostatniego zeszytu naszego pisma zaszedł wypadek noszący na sobie wszystkie pozory zwrotu na drodze któréj trzymaliśmy się wiernie od chwili, kiedy system konstytucyjny wprowadzony został w Austryi w r. 1861. Sejm galicyjski wysłał delegacyę do rady państwa, wysłał ją nietylko bez oporu, ale nawet bez tych słabych i błahych zastrzeżeń, które nie ratują nic prócz honoru, ale ten przecież po części ratują, a które poczynił był sejm przeszły na pierwszéj swojéj sesyi w r. 1861.

Tamten, pierwszy zebrany we Lwowie, obradujący przez dziewięć zaledwo posiedzeń, mający do walczenia z kwestyą socyalną, która wystąpiła w nim z całą namiętnością i z całym cynizmem, złożony z wyborów dokonanych pod najprzeciwniejszém działaniem organów rządowych, a zwołany na to jedynie, żeby wybrał delegacyę do rady państwa i to delegacyę jak najniedołężniejszą, wysłał ją przecież pomimo tych wszystkich niekorzystnych warunków tylko pod zastrzeżeniem całości i nietykalności praw naszego kraju. Ten, poprzedzony dwoma sesyami, podczas których polityka krajowa mogła się wyjaśnić i ustalić, złożony tak przeważnie z żywiołów polskich i oświeconych, że próżnoby w jakiémkolwiek ciele prawodawczém szukać równie wybitnéj większości, ten sejm, na pierwszéj swojéj sesyi, od pierwszego razu, schodzi z téj drogi którą poprzedni był postępował, i bez warunków, bez zastrzeżeń, wybiera delegatów swoich do Reichsrathu.

Zwrot wykonany tak raptownie, z szybkością i precyzyą, która doprowadziłaby do rozpaczy wielkiego księcia i jego żołnierzy, tak dobrze przecież wyćwiczonych i wymusztrowanych na saskim placu; *changement à vue* którego mógłby pozazdrościć którykolwiek ze sławnych zmianami dekoracyi spektaklowych teatrów paryskich.....

Miesiąc upłynął od owéj smutnéj sesyi 2go marca, opinia miała czas rozważyć ten fakt i wydać o nim sąd; drażliwości, które wywołał miały czas uspokoić się nieco. Żal pozostał, i lękamy się że trwać będzie tak długo jak skutki owego postanowienia sejmu, ale ten żal, dziś, kiedyśmy ochłonęli z pierwszego wrażenia, nie przeszkadza już patrzeć na to co się stało trzeźwo, z bezstronną i spokojną wyrozumiałością.

Pod owém zboczeniem z dotychczasowéj, dobréj drogi (dobréj nawet zdaniem tych, którzy opuścić ją uznali za konieczne), domyślamy się wielu bolesnych przejść, wahań, niepewności, wielu rozdzierających walk w sumieniach. Nikt nie abdykuje dobrowolnie i łatwo, nikt chętnie nie zaprzecza czynem temu, co w słowach wyznawał. Że bezwarunkowe wysłanie do rady państwa było taką abdykacyą i takiém zaprzeczeniem, tego niestety zataić sobie nie możemy.

Przez sześć lat, od pierwszéj sesyi zeszłego peryodu sejmowego, aż do ostatniego adresu uchwalonego w grudniu 1866 manifestowaliśmy wszystkimi dostępnymi sposobami wstręt do konstytucyi lutowéj i do ściślejszéj rady państwa; w tém uczuciu byliśmy wszyscy zgodni i jednomyślni. Siódmego roku, w chwili kiedy wybory dawały nam wszelką nadzieję ze sejm łatwo i swobodnie zdoła iść wytkniętą drogą narodowéj polityki, myśmy się poddali bezwarunkowo pod wyroki niemieckiéj większości w téj saméj radzie państwa! Gdyby tylko tyle! Ale wiedzieliśmy dobrze, że poddanie to nie zgadza się ani z naszym interesem, ani z tém wszystkiém cośmy dotychczas mówili i robili; nie chcieliśmy się więc poddać; ułożyliśmy adres i powiedzieliśmy w nim, że nie chcąc opóźnić dzieła reorganizacyi monarchii, wybieramy wprawdzie delegacyę do Reichsrathu, ale uchwał téj rady nie możemy uważać za konstytucyjne, prawomocne i obowiązujące. Najumiarkowańsze nawet odcienia opinii, ludzie najmniéj przeciwni wysłaniu delegacyi, godzili się przecież na ten adres; dnia 1go marca wieczór stała przy nim

z małymi wyjątkami cała Izba. Dnia 2go marca rano odstąpiła go cała, z małemi znowu wyjątkami.

Chcielibyśmy oszczędzić sobie tego słowa, ale jakżeż krok taki nazwać, jeżeli nie abdykacyą? Abdykacya wobec rządu który się przekonał, że nasze zasady nie wytrzymują pierwszéj pogróżki, abdykacyą wobec żywiołu niemieckiego w Reichsracie, który się przekonał, że może nas pociągnąć gdzie zechce, i zrobić z nami, co mu się podoba, abdykacyą wreszcie wobec naturalnych naszych sprzymierzeńców, federalistów wszelkiéj narodowości, którzy na naszą stateczność i konsekwencyę w postępowaniu odtąd rachować nie mogą i nie będą.

I to wszystko zrobiliśmy dobrowolnie, z zupełną świadomością rzeczy. Dobrowolnie, bo nawet owa depesza z Wiednia która zapowiadała rozwiązanie sejmu, jeżeli ten poważy się podać adres do Tronu, zostawiała nam wybór; materyalnego przymusu, materyalnego gwałtu nie było; nacisk moralny, żeby najsilniejszy, zostawia przecież wolną wolę; pomimo téj depeszy więc, pomimo téj groźby i tego nacisku, mógł sejm do woli trzymać się adresu lub go odstąpić, mógł dać się rozwiązać lub abdykować.

Wiemy co wybrał. Podług słów jednego z posłów cisnął worek żeby unieść życie w całości, podług ostrych i surowych słów *Gazety Narodowéj* poświęcił cześć, żeby ratować istnienie. Niemniéj surowo potępiły sejm wszystkie inne polskie dzienniki, z tą różnicą, że kiedy jedne nie hamowały się w wyrazach i lubowały się w swojém oburzeniu, inne z szanowném i patryotyczném umiarkowaniem dobierały dla swojego żalu takich wyrazów, które nie ubliżały powadze reprezentacyi krajowéj; ale choć ton był różny, uczucia ich były jednakie. Przyklasnęły nam za to dzienniki niemieckie, chwaląc nasz rozum praktyczny, a *Dziennik Warszawski* nieomieszkał podnieść téj sprawy i przedstawić jéj z innéj jeszcze strony: „Polacy odstępują Słowian w Austryi zostawiając ich na łasce Węgrów i Niemców“. — Oczewista, co tutaj do domysłu zostawiono, oto że ratunek dla téj Słowiańszczyzny z dwóch stron zagrożonéj, jest tylko w świętéj Rosyi! Z największą wyrozumiałością, z największém pobłażaniem osądziła krok ten opinia tych krajów, którym on bezpośrednio największą może przyniósł szkodę. Spodziewaliśmy się w dziennikach czeskich gwałtownych

przeciw nam wybuchów oburzenia, znaleźliśmy tylko wytłómaczenie naszego kroku naszém położeniem i dbałość o to, aby Polaków nie zgubić w opinii tamtych krajów, aby porozumienie i wspólne postępowanie uczynić możliwém jeżeli nie dziś to w przyszłości. Takie względem nas obejście prasy słowiańskiéj w Austryi, którego przykład dał znany i dziś już potężny dziennik *„Politik“*, jest nietylko bardzo zręczném i roztropném, jest szlachetném i zasługującém z naszéj strony na wdzięczne uznanie.

Wracać dziś, po miesiącu, do tych rzeczy dobrze znanych i powtórzonych sto razy, byłoby nadużyciem cierpliwości czytelnika. Złe się stało, i ocenioném zostało wszechstronnie; nasze zaś przekonanie czy to osobiste, czy przekonanie naszego pisma w téj mierze, tak od początku jego istnienia staraliśmy się nacechować, że kto nas łaskawie czyta, ten wie jak nam się wydaje to wysłanie do rady państwa. Pozwolimy sobie tylko rozpatrzeć się w powodach, które większość sejmową do wysłania tego skłoniły, a między tymi powodami znajdujemy wiele takich, które nawet nam, stanowczym przeciwnikom wysłania, wydają się bardzo ważnemi.

Rozwiązanie sejmu? Samo, jako takie nie jest szkodą, którąby mogła się mierzyć lub równać ze szkodą bezwarunkowego wysłania. Jeżeli nawet powtórne wybory dałyby były mniéj pomyślny rezultat, to zawsze na większość można było rachować, nie tak ogromną jak dzisiejsza, ale zawsze pewną. Gdyby zatém sejm uległ był tylko dla tego presyi ministeryalnéj, żeby się uratować od rozwiązania, trudnoby nam było wytłómaczyć go i usprawiedliwić. Ale rozwiązanie to u nas byłoby miało głębsze znaczenie i gorsze skutki jak gdziekolwiek. Wiemy że największém naszém nieszczęściem jest rozbrat pomiędzy ludem wiejskim a oświeconemi warstwami narodu. Jak długo ten rozbrat trwa, tak długo jesteśmy niedołężni i sparaliżowani. Rok ostatni, nie licząc zbyt wiele na pewne symptomy polepszenia pod tym względem, sprowadził przecież niejaką zmianę, może tylko chwilową, może tylko miejscową, ale tém bardziéj należy nam dbać o to, żeby to usposobienie lepsze i ufniejsze utrwalić, i z chwilowego przemienić w stałe. Skoro jest, trzeba je chwytać i nie dać go sobie wydrzeć. Tymczasem rozwiązanie sejmu byłoby posłużyło do roz-

jątrzenia ludu przeciw reszcie społeczeństwa. Nie ma wątpliwości, że wszystkie te namiętności, wszystkie osobiste lub zbiorowe interesa, którym zależy na utrzymaniu tego fatalnego rozdziału w naszym kraju, byłyby umiały skorzystać z rozwiązania sejmu. W jaki sposób, domyślić się łatwo; zresztą wypowiedział to śmiało i otwarcie jeden ze zwolenników wysłania, pan Zyblikiewicz. Agitacye socyalne i anti-polskie pomiędzy ludem byłyby się pojawiły niechybnie; jeżeli w ostatnich czasach zrobił się jaki krok naprzód pod tym względem, to bardzo prawdopodobnie bylibyśmy się znowu w tył cofnęli, a nieufność rozdmuchana na nowo, byłaby potrzebowała dużo czasu, zanimby się dała uśpić i uspokoić. Nie rozwiązanie więc sejmu, ale te skutki rozwiązania były niebezpieczne, niebezpieczne do tego stopnia, że mogły przeważyć szalę na stronę wstrętnego bezwarunkowego wysłania do rady państwa. Nie o to chodziło by ocalić istnienie sejmu w jego dzisiejszym składzie, ale żeby ocalić kraj od intryg socyalnych i antinarodowych; nawet kto jak my z większością sejmu się nie zgadza, przyznać musi że intrygi te były prawdopodobnie, i że argument był ważny.

Bezpośrednie wybory do rady państwa — nie wiedziano jeszcze podówczas że rozwiązane sejmy powtórnie będą zwołane — mają także swoją stronę niebezpieczną i groźną. Nie żeby tak bardzo przestraszać nas miała reprezentacya Galicyi złożona z nieoświeconych włościan, z ruskich księży i urzędników. Byłaby ona niezawodnie złą i szkodliwą, ale nie byłaby prawdziwą; co o niéj myśleć, wiedzieliby wszyscy, nawet ci którzyby przez czas jakiś udawali, że ją biorą na seryo; a przeto nie mogłyby uchwały przez nią zawotowane lub dopuszczone obowiązywać kraju, który przy pierwszéj sposobności byłby mógł zaprotestować przeciw nim uroczyście i silnie. Szkoda zatém istotna, ale chwilowa, przemijająca. Tkwi atoli inne jeszcze niebezpieczeństwo w wyborach bezpośrednich, a tém jest znana tendencya centralnych parlamentów i centralnych ministeryów do neutralizowania sejmów krajowych. Wiadomo jaką rolę przeznaczał tym sejmom liberalny zresztą ruch roku 48go; wiadomo do jakiéj ograniczył je pan Schmerling i dawna rada państwa. Że ta sama tendencya i dziś istnieje, tego chyba ślepy nie widzi. Otóż, gdyby ta tendencya raz posunęła się do

wyborów bezpośrednich z pominięciem sejmów, jużby je potém zawsze chciała pomijać; a my, ratując konsekwencyę i stanowisko sejmu, moglibyśmy narazić jego istnienie na długo.

To był argument drugi, i także, wyznać trzeba, ważny.

Trzecim była niezawodna dymisya hr. Gołuchowskiego. Stronnictwo które politykę narodową upatruje tylko w bezwzględnéj opozycyi, w bezwzględnéj negacyi, natrząsało się nieraz w ciągu ostatnich miesięcy z tych, którzy zgodę z Austryą uważają za jeden z czynników narodowéj polityki, że stanęli u celu skoro mają namiestnika rodaka, bo ich życzenia daléj nie idą, ich wzrok daléj nie sięga. Pragniemy szczerze żeby w tych którzy nas o to oskarżają było więcéj dobréj wiary niż jest prawdy w ich oskarżeniu. Namiestnik rodak jest dla wszystkich, a przed wszystkimi, sądzimy, dla hr. Gołuchowskiego, nie celem, ale środkiem. Tylko środkiem którego nie godzi się lekceważyć. Wyobraźmy sobie na miejscu dzisiejszego namiestnika, innego, przejętego nienawiścią dla kraju, a mieliśmy już i takich, cóżby się wtedy stało? Oto najżywotniejsze sprawy zalegałyby jak dotąd po kancelaryach; sprawa służebnictw wlokłaby się jak dotąd żółwim krokiem, a gdzieby doszła do rozwiązania, tam rozwiązanoby ją tak, żeby obie strony na siebie rozjątrzyć; nowa organizacya kraju stanęłaby na miejscu; do Wiednia szłyby raz po raz raporta, że należy wstrzymać się z urządzeniem rad powiatowych, bo instytucya ta w obecném usposobieniu kraju służyłaby tylko za środek do przeciwnych rządowi agitacyi; słowem ze zmianą namiestnika zmieniłby się cały wewnętrzny stan rzeczy, bo jak dobry namiestnik jest dobrym środkiem do pomyślności i rozwoju kraju, tak namiestnik zły może być najokropniejszym środkiem destrukcyi i dezorganizacyi.

Oto argument trzeci, i także ważny; a choć przekonanie nasze nie zgadza się z przekonaniem większości sejmowéj, to przecież rozumimy i nie dziwimy się, że te względy bezpośrednie i najbliższe tak silnie na nią działały, że skłoniły ją aż do téj abdykacyi bolesnéj dla wszystkich, ale najboleśniejszéj dla tych którzy ją zdecydowali, którym sumienie kazało wybrać ją raczéj, jak wskazane powyżéj niebezpieczeństwa. Bezwzględnie potępić może tu tylko człowiek uprzedzony, lub szczęśliwy że może rzucić kamień rzeczy tak poważnéj i sza-

nownéj jak sejm; człowiek bezstronny, sumienny i patryotyczny może ubolewać ale musi tłómaczyć; musi także życzyć gorąco, żeby złe zrobione w sejmie lwowskim naprawiło się choć w części w wiedeńskim parlamencie. Sposobności zapewne nie braknie, a nie braknie i podstawy; wszak sam sejm uchwalił na wniosek komisyi, że cofa adres pod naciskiem wypadków, ale uważa go za wyraz potrzeb, dążności i przekonań całego kraju.

Ale jeżeli powyższe argumenta, choć nas nie przekonały, uznać możemy za ważne i zrozumieć, to są pomiędzy stawianemi za bezwarunkowém wysłaniem inne, w których nic uznać nie możemy prócz odwagi mowców, którzy z nimi występowali. Słyszeliśmy naprzykład w łonie tego samego sejmu, który dopiéro po zawieszeniu konstytucyi lutowéj żyć zaczął, że powinniśmy bronić jéj „nieprzerwalności", bo ona jest jedyną ustawą konstytucyjną i jedyną jaką mamy rękojmią konstytucyjnéj wolności! Nieprzerwalność ta po czterech latach przerwała się gładko, a rękojmia konstytucyjnéj wolności poręczyła nam tylko rządy policyjne i stan oblężenia. Moglibyśmy pojąć takiego, kto mając do wyboru pomiędzy rządem absolutnym a konstytucyą lutową, trzymałby się téj ostatniéj jako jedynéj podstawy wolności; ale tu tego wypadku nie było. Czy cesarz cofnął system konstytucyjny? Nie — zawiesił tylko ustawę złą dla wszystkich, a dla nas najgorszą; nie do absolutyzmu powracał, ale do zasad dyplomu październikowego. Ale namiętność Niemców do panowania nad nami wymogła na rządzie zwołania ściślejszéj rady państwa, a my, przez tę radę gnębieni, prześladowani, majoryzowani, mamy się do niéj spieszyć, bo ona jest jedyném palladium naszych wolności? Kiedy przeciwnie opierając się jéj, pchaliśmy rząd całą siłą na drogę konstytucyi innéj, lepszéj dla nas, do któréj prędzéj lub późniéj przyjść by było musiało! Tego argumentu niepodobna nam zrozumieć, a gdybyśmy chcieli go tłómaczyć, musielibyśmy szukać klucza do téj zagadki albo w pięknie upozorowanéj bezwzględnéj uległości dla każdego rządu, albo w niepohamowanym pociągu do centralnego parlamentu, który wobec rządu będzie niezawodnie bardzo wolnomyślnym, ale względem nas Polaków będzie tak wolnomyślnym i tak sprawiedliwym jak parlament pruski względem Wielkopolanów. Wytłómaczyć możemy ów argument tylko w ten sposób, usprawiedliwić w żaden.

Są ludzie którzy na udziale naszym w Reichsracie zasadzają wielkie nadzieje; którzy mniemają, że większość niemiecka ujęta naszą gotowością, i minister rozczulony naszą powolnością, zsypią na nas hojnie błogosławione dary i koncesye. Są i tacy, którzy klaszczą w ręce z radości i dziękują Bogu, że nam dał odróżnić się tak szczęśliwie od wszystkich Słowian i federalistów w Austryi. Podług nich postąpiliśmy rozumnie i zręcznie; rząd, Niemcy, Węgrzy, oddadzą nam piękne za nadobne, dadzą co zechcemy, byle nas odciągnąć stanowczo od przymierza z innymi Słowianami. Nie podzielamy tych sangwinicznych nadziei; jeżeli po jakimś czasie nie zatrzyma się gwałtownie dzieło wewnętrznéj organizacyi kraju, jeżeli stanowisko hr. Gołuchowskiego nie stanie się niemożliwém, jeżeli rzeczy zostaną jak są dzisiaj a nie pójdą wstecz, będzie to dla nas miłą niespodzianką!

Nie przypuszczamy aby takie nadzieje miały stać się gwiazdą przewodnią, przyświecającą na smutnéj drodze, wiodącéj posłów, dzięki ustawie 2go marca, do wiedeńskiego reichsrathu, aby wymuszoną groźbami socyalnéj zamieszki abdykacyę polityczną pojęli inaczéj, jak w ów godny i szlachetny sposób, jaki abdykującemu jedynie przystoi. Jeżeli ratując obecny skład sejmu, rozpoczęte zaledwie około reorganizacyi społecznéj roboty, ratując stanowisko namiestnika Polaka, większość sejmu tak wiele poświęciła, jeżeli znana zaciekłość germanizatorskich żywiołów obok poczucia naszego wewnętrznego rozstroju zdecydowała ją do niekonsekwencyi poparcia tego co złe, jeżeli wybór znacznéj części opozycyi do delegacyi wiedeńskiéj i wspomnienie okoliczności, które adres zatrzymały, były objawem nie bezsilnéj jakiéjś przekory, ale cichą manifestacyą przeciw exploatowaniu długoletnich skutków macoszego gospodarstwa germanizatorskiego w celu przeprowadzenia jednego jeszcze experymentu *in anima vili:* to spodziewać się przynajmniéj należy, że owa większość w delegacyi, wychodząca z łona większości sejmowéj nie spuści ani na chwilę z oka, z kim będzie miała do czynienia w Reichsracie, jeżeli się sama wśród Niemców znajdzie, że ów ciężki cios zadany narodowemu poczuciu abdykacyą 2 marca, nie będzie chciała wystawiać na licytacyę wśród tych, którzy już dopięli głównego swego celu, a prawdopodo-

bnie bardzo mało ochoty pokażą, aby się *decursive* grzecznościami wypłacać.

Uchwałą 2 marca postąpiliśmy sobie obawiając się skutków przysłowia: Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyjé. Owém słońcem był dyplom październikowy, który w kieszeni pana Beusta nagłemu uległ zaćmieniu, gryzącą rosą zastęp zachodnich naszych cywilizatorów, gotowy na każde skinienie pana ministra ruszyć ściśnioną falangą na biedną Galicyę, zająć krzesło namiestnika, radców nadwornych i sekretarzy, zastęp wypróbowany w wieloletnich pracach przewracania społeczeństwa do góry nogami. Dzięki uchwale, nie wyjada nam dotąd owa gryząca rosa oczów, ale nie wiemy jak się koło serca robi panu Beustowi po przeczytaniu traktatów południowo-niemieckich z Prusami, które pangermańskie jego marzenia tak nieprzyjemnie z siodła wyrzuciły! Po takim mówiącym fakcie, trzebaby zaiste fatalnego zaślepienia, aby bić głową o zamkniętą bramę Germanii i rezykować dla niéj bohaterskie harce, niby o Helenę porwaną przez północnego Parysa. Nie wyobrażaliśmy sobie nigdy p. Beusta w postaci tak awanturniczéj, owszem przypuszczamy zawsze, że przekonawszy się, iż mur twardszy, pożałuje głowy, a uznawszy trafnie zgodę z Węgrami za podstawę restauracyi nadwątlonego w ostatnich wypadkach budynku państwa, zrozumie potrzebę drugiéj naturalnéj podstawy w zadosyćuczynieniu słusznym żądaniom milionów Słowian, którzy więcéj mu obiecują siły od żywiołu niemieckiego tak słabo popierającego dynastyę w boju z północnym współzawodnikiem, a tak nieszczęśliwie dezorganizującego obcoszczepowe kraje monarchii. Gdyby świeża porażka w Niemczech południowych nie była dla p. Beusta przekonywającą, zwątpićby nam przyszło o przyjaźniejszéj dla monarchii gwiaździe — przyszłoby nam się obawiać strasznych i stanowczych katastrof.— Związani z monarchią interesem naszym narodowym, jako z mocarstwem, które środek Europy przeciw wschodniemu najazdowi w pieczy trzyma, które pięciu milionom mieszkańców Galicyi powietrzem europejskiém jeszcze oddéchać pozwala, nie moglibyśmy, jak zrozpaczyć o przyszłości państwa, które z pominięciem swéj opatrznościowéj missyi w imię dawno minionych tradycyi rzuca się w najgroźniejsze niebezpieczeństwa, i żądalibyśmy wtedy całą wagą publicznego głosu od delegacyi naszéj, aby w owym improwizowanym parlamencie

austryackim wypowiedziała gromkie słowo przestrogi w imieniu narodu, który dla sprawy cywilizacyi umiał zapomnieć tyle przykrych doświadczeń poczynionych w Austryi, ale nie pojmował nigdy swego stanowiska w niéj jako biernego przedmiotu do operacyi i experymentów, narażających zarówno jego własny narodowy interes, jak państwo. Milczenie nałożone sejmowi groźbą rozwiązania uczyniło delegacyę spadkobierczynią moralną adresu sejmowego, powszechny głos kraju, przyciśniętego boleśnie uchwałą 2go marca, wpłynie niewątpliwie na nią, że się znajdzie cała na wspólnym gruncie programu wybitniejszego, niż sam ów adres galicyjski, na wspólnym gruncie polityki, któréj sejmowa mniejszość wobec większości, bacznéj jedynie na socyalny stan kraju, przeprowadzić nie mogła.

Józef Szujski.

Kronika literacka.

A. Małeckiego: Juliusz Słowacki. — Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. — M. E. Trepki: Studya ekonomiczne. — A. Zaleskiego: Poezye.

Szczęśliwi jesteśmy, że tym razem na czele naszéj kroniki literackiéj zapisać możemy ukazanie się książki, która w literaturze pozostanie jako jedno z najlepszych dzieł tego rodzaju, i będzie zawsze najbogatszym zbiorem materyałów do ocenienia jednego z największych naszych pisarzy. Oddawna chodziły wieści że prof. Ant. Małecki przygotowuje do druku Żywot Juliusza Słowackiego; jeżeli znajomością rzeczy i krytyczną bystrością nikt bardziéj od p. Małeckiego nie był uzdolnionym do podjęcia téj pracy trudnéj ale równie wdzięcznéj jak potrzebnéj, to z drugiéj strony powiedzieć można, że pan Małecki był z góry powołanym do podjęcia tego zadania. Obszerne jego wykłady poświęcone Słowackiemu, wydawnictwo jego dzieł pośmiertnych, bliższe zapoznanie się z jego korespondencyą, sprawiały że lepiéj jak ktokolwiek musiał zbadać i poznać Słowackiego jako poetę i jako człowieka. Gdyby te studya i ta praca nie były się wcieliły w książkę o której mówimy, Bóg wie jak długo byłoby nam przyszło czekać, zanim ktoś drugi znalazłby się był w równie szczęśliwém położeniu co do ocenienia Słowackiego, a wtedy nawet, kto wie czy byłby miał te warunki bystrego sądu, krytycznego zmysłu i estetycznego wykształcenia które téj książce nadają wartość tak znakomitą.

Aż do téj chwili brakowało nam danych żeby Słowackiego sądzić; mieliśmy wprawdzie dzieła, ale dzieła same rzadko kiedy wystarczają do zrozumienia poety i do trafnego o nim zdania. Najczęściéj do wyrobienia tego zdania, do utworzenia sobie wiernego obrazu pisarza, nawet do zrozumienia jego dzieł, potrzeba znać jego życie. Gdybyśmy nie znali ważniejszych zdarzeń i epok w życiu Zygmunta Krasińskiego naprzykład, ileżto rzeczy w jego poezyi pozostałoby dla nas niewytłomaczonemi. Słowacki tak zmienny,

tak wrażliwy, tak różnostronny a często trudny do pojęcia, potrzebuje takiego komentarza bardziéj jak którykolwiek z naszych poetów. Tymczasem musieliśmy się bez tego klucza obchodzić, musieliśmy nieraz sądzić go na ślepo, domyślać się wpływów które nań działały; w dziełach widzieliśmy gotowe rezultaty, przyczyny i czynniki musieliśmy odgadywać. I brak ten, zawsze szkodliwy, tyczył się właśnie tego poety, którego imie każdy śmiało i słusznie wymawia zaraz po wielkich imionach Mićkiewicza i Krasińskiego.

Dziś dzięki panu Małeckiemu, luka ta w naszéj literaturze została zapełnioną. Dziś idziemy za Słowackim krok w krok przez całe jego życie; od lat młodzieńczych aż do zgonu widzimy go jakim był każdego roku, niemal każdego dnia i każdéj godziny; widzimy jak się zmieniał i dlaczego pod jakim wpływem i w jakiem usposobieniu układał pomysł tego lub owego dzieła; widzimy wreszcie w wielu ciekawych i sympatycznych wyciągach z listów samo że tak powiem dno jego serca, łapiemy jego naturę na gorącym uczynku.

Sama treść, sam ten obfity materyał krytyczny powinienby wetknąć tę książkę w rękę każdemu kto ma choć cokolwiek zmysłu jeżeli nie serca dla naszéj poezyi, nawet gdyby książka była nudną i suchą jak często bywają żywoty. Ale .... mamyż chwalić? mamyż podnosić zalety książki, artyzm z jakim wydobyte są wszystkie charakterystyczne rysy poety, żywość opowiadania, trafność krytycznych rozbiorów, lub wreszcie tę dziwnie wdzięczną swobodę i naturalność stylu którą pan Małecki tak szczęśliwie się różni od swoich współczesnych? Nie; w ciasnych ramach kroniki literackiéj da się tylko donieść o takiéj książce, mówić o niéj nie można. Spodziewamy się, że w przyszłości pismo nasze zda z niéj sprawę obszernie, na teraz pozwolimy sobie jednę tylko uwagę.

Smutnym jest stan krytyki literackiéj w naszym kraju. Minęły czasy poważnéj dyskussyi krytycznéj takiego Mochnackiego i Grabowskiego, głębokich spostrzeżeń Mićkiewicza, filozoficzno-estetycznych rozbiorów Libelta i Kremera; rzadko tylko odzywa się głos Lucyana Siemieńskiego i K. Kaszewskiego a nieporównane pióro krytyka Krewnych na inne, polityczne rzuciło się pole. Od lat kilku wmieszał się w sąd dzienników i urzędowych recenzentów pewien, że się tak wyrazimy, kwas polityczny, nadzwyczaj szkodliwy w sądzeniu rzeczy, godnych estetycznego rozbioru. Kwas ten zabarwiał chemicznie zdania na ten lub ów kolor, prowadził do krzykliwych admiracyi i do hipokondrycznych niechęci. Zamiast wyrabiania się dobrego i wszechstronnego, wykształconego smaku w publiczności, wywołała taka spaczona krytyka bezwiedne bałwochwalstwo i bezwiedne potępianie, dusiła pojawiające się płody w dymie niezasłużonych kadzideł lub mroziła je w atmosferze uprzedzeń i obojętności.

Słowacki należy do poetów, którzy jednego i drugiego w wysokim doznali stopniu. Za życia mrożono go obojętnością, po

śmierci rzucono się ku niemu z fanatyzmem. Kult jego wygórował nad kult Mićkiewicza, same nawet jego extrawagancye stawały się jakby nowemi prawidłami smaku. Fetyszyzm tego rodzaju musi się w skutkach swoich okazać zgubnym, bo opanowuje indywidualizmem jednego jenialnego człowieka, najdelikatniejsze uczucie społeczeństwa, uczucie piękności. Jedyną nań kuracyą jest zdrowa i wyczerpująca krytyka, rozpoznanie indywidualności tego, który chwilowo wyłącznie nami owładnął. Potrzebie téj czyni w wysokim stopniu zadość książka p. Małeckiego, prowadząc nas w samą pracownią ducha poety. Nie straci na niéj Słowacki, ale my w Słowackim zatracać się przestaniemy. Pozostanie on zawsze wielkim mocarzem poetycznego słowa, wszechwładnym królem w krainie fantazyi, ale strzedz się zapewne będziemy czerpania natchnień narodowego ducha z umysłu, który w całém życiu tak mało miał chwil wewnętrznego spokoju i zgody z samym sobą a tak bardzo ulegał wrażliwości swojéj nerwowéj natury.

W Roczniku towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, redagowanego przez Bronisława Zaleskiego, witamy książkę bogatą w treść, zarówno dla większego koła czytelników, jak dla szczuplejszego koła ludzi naukowych pożądaną. Niech nam wolno będzie najprzód zwrócić uwagę na szlachetny ton, który wieje z redakcyi rocznika, podającego nam sprawozdanie z głównych instytucyi emigracyjnych w Paryżu a przy końcu biografię dziewięćdziesiątu wychodźców naszych, zmarłych od r. 1861 do 1865, między któremi znajdujemy ludzi wszelkich stronnictw i odcieni politycznych, traktowanych podług pięknéj zasady: *De mortuis nil nisi bene*, bez stronniczéj niechęci a z zachowaniem trzeźwego i samodzielnego sądu. Znajdziemy w tych nekrologiach prawdziwe arcydziełka poważnego a dosadnego stylu historycznego, znajdziemy obok treściwego i spokojnego sądu, pełne życia i barwy rysy anegdotyczne, które przyszłemu dziejopisowi naszych nieszczęść cennym staną się materyałem. Przezierając je, przyszło nam mimowoli na myśl, jak pożądaną, jak niezmiernie korzystną rzeczą byłoby zerwanie się odpowiedniego pióra na przedstawienie, bodaj częściowe, pojedyńczych epok naszego porozbiorowego życia. Nie przeoczamy wcale, że podobna praca, nie mogłaby być wolną od pewnéj stronniczości, nie przeoczamy, że dzieje, które tak blisko serce nasze obchodzą, nosiłyby w przedstawieniu swojém piętno wybitne autora, ale nie możemy przystać bezwzględnie na opinią, żeby się historya „jak tytuń“ uleżeć musiała, abyją konstruować dopiero należało z książek i dokumentów, których autorowie pomarli. Poświadczą nam dzieje historyi, że najznakomitsze jéj płody powstawały w krótkim po wielkich, wielkiéj doniosłości wypadkach, że tu wspomnę Tucididesa, Xenofona, Juliusza Cezara, Machiavellego a wśród naszych historyografów Długosza i Piaseckiego. Brak historycznych prac o wypadkach współczesnych, znamionował u nas i wszędzie osła-

bienie publicznego ducha, upadek cywilnéj odwagi i świadomości politycznéj. Dlatego to milknie historya z rozpadającą rzecząpospolitą, dlatego z wyjątkiem Mochnackiego nie mieliśmy jéj w porozbiorowéj epoce. Praca podobna, choćby z tacytowską kreślona goryczą, byle broszurowéj lub pamfletowéj nie miała cechy, byłaby niepospolitém dla nas dobrodziejstwem: zmuszałaby młode pokolenia do rachowania się z sobą, do rozwagi i rozpatrywania się w rzeczywistości. Gniewano by się na to przykre lekarstwo — ale skutków jego dobroczynnych, niedługoby oczekiwać należało.

Można w ogóle powiedzieć, że znajomość bliższych czasów naszéj przeszłości przyszła pokoleniu naszemu, późno — za późno. Przez najspokojniejsze lata naukowéj pracy grzebaliśmy w odległych wiekach, badaliśmy Słowiańszczyznę, Piastów — a dowiadywaliśmy się o najważniejszych momentach naszego dziejowego życia zaledwie z takich pamiętników Kitowicza lub drobnéj Lelewela książeczki. Przez czas ten wszystek spały najważniejsze dokumenta po zbiorach i archiwach familijnych i to dokumenta, świadczące często niezbitemi dowodami przeciw nowinom brukowym zapisywanym w pamiętnikach osób podrzędnych lub kompendyom historycznym, zaprawionym podług panującéj barwy politycznéj. Zapomniano, że wyświecenie prawdy, jest najlepszém lekarstwem na wszelkie błędy, że na tendencyjną historyografią najlepszym argumentem jest dostarczenie materyału, z którym rachując się w tendencyę popaść nie można.

Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego podaje nam znakomite przyczynki do historyi Stanisława Augusta i dziejów porozbiorowych i to większą częścią same rzeczy z wybornych źródeł. Mamy przed sobą autentyczne pamiętniki króla Stanisława Augusta z jego lat młodszych, mamy część dyaryusza jego z czasów powstania Kościuszki, mamy nareszcie kilkadziesiąt listów pani Mniszchowéj marszałkowéj w. kor. z r. 1787, które nie tylko do historyi obyczajów ale i do politycznéj owego czasu, mianowicie zaś do sławnego zjazdu kaniowskiego ciekawych dostarczają szczegółów. W pamiętniku Stanisława Augusta, niestety, także w drobnéj części tylko podanym, spotykamy się z piórem wytrawném, zdolném, pewną ręką kreślącém charaktery współczesnych, a to w sposób dosyć odmienny od utartego ich dzisiaj pojmowania. Michał i August Czartoryscy, Brühl, Fleming, Potoccy, Klemens Branicki oto główne portrety w téj galeryi malowanéj ręką króla, który sam występując tutaj w nieznanym nam dotąd charakterze pisarza historyi, nową stawia historyi i psychologii zagadkę. Powtarzaliśmy tylekroć oklepane komunały o słabości, niedołężności ba nawet moralnéj nikczemności tego króla, wystawialiśmy go sobie w teatralnéj pozyturze lichego aktora, sądziliśmy go ryczałtowo bez względu na trzydziestoletnie jego przejścia, że jeżeli co, to taki żywy pomnik jego ducha musi każdego zastanowić, musi nas przyprowadzić do przekonania, że go bardzo mało, bardzo po-

wierzchownie znamy. Część pamiętnika ogłoszona, nie może nam podać klucza do charakteru tego człowieka, zmusza ona tylko do uznania, że kto w ten sposób znał i sądził świat i ludzi, nie mógł być zerem lub maszyną, nakręcaną przez drugich ale musiał być samodzielną indywidualnością. Nie wypada nam zatém jak pragnąć najspieszniejszego ogłoszenia dalszego ciągu pamiętnika.

Pod względem ściśle historycznym ów początek pamiętnika nie podaje nam dosyć obfitego żniwa, jakiegoby się spodziewać można, a jakie do panowania Augusta III. tyle byłoby pożądaném. Królewski autor piszący tę część pamiętników swoich między r. 1771 — 1775 ma niekłamaną chęć przedstawienia czasów swego poprzednika w rażących kolorach barbarzyństwa, a nie szczędząc nam charakterystycznych obrazów wieku, malując w wzgardliwych wyrazach hulatykę szlachty, któréj „brudne, kapcańskie osoby“ dla otrzymania „lichego poselstwa ściskać należało“ — poskąpia nam przecież wglądu w plany i widoki polityczne „familii.“ Nigdzie za to nie spotkaliśmy się może z tak dobitnie występującą, tak naiwnie wypowiedzianą odrazą do staréj anarchii rzeczypospolitéj, która niestety przeszła z dziwną łatwością w zupełny wstręt do polskiego obyczaju a bałwochwalcze przywiązanie i poczucie nieskończonéj wyższości zagranicy. Jakby dla lepszego pojaśnienia tego zboczenia, podaje nam Rocznik listy pani Mniszchowéj, kobiety wykształconéj i pełnéj uczuć rodzinnych, ale myślącéj, czującéj po francuzku, kobiéty, która z przyjemnością zapisuje każde zdziwienie cudzoziemca nad wytwornością polskiego życia i cieszy się, że w owéj podróży kaniowskiéj nawet w „obrzydłych karczmach“ wołyńskich organizują się wystawne kolacyjki „jakby w Paryżu!“

Do życia Tadeusza Kościuszki znajdujemy prócz ciekawego dyaryusza królewskiego z czasów powstania, doprowadzonego niestety, tylko do 13 Maja, kilkanaście tajnych listów ambasady rosyjskiéj w Wiedniu i Berlinie do cesarza Pawła z r. 1798, donoszących z skrzętnością policyjną o pobycie Kościuszki w Paryżu i o jego zamiarach rewolucyjnych. Obawy zbyt czujnych poselstw okazały się płonnemi a ów list przesłany przez Kościuszkę na ręce hr. Razumowskiego, carowi, który tenże z oburzeniem jako od niewdzięcznego zdrajcy pochodzący, odesłał, mieścił zapewne uspokojenie zbyt podejrzliwego cara, które podobno na zawsze tajemnicą pozostanie.

Na czele historycznego działu spotykamy się z piérwszą obszerną biografią jenerała Karola Kniaziewicza, skreśloną piórem p. Bronisława Zaleskiego. Sprawozdawać z niéj, wykroczyłoby poza granice kroniki literackiéj, krytykować za granicę naszéj możności, o ile, że p. B. Zaleski korzystał z źródeł, jakich w kraju posiadać nie możemy, pomiędzy innemi z obszernych zbiorów pana Leonarda Chodźki. Przyjąć nam tylko wypada z wdzięcznością obszerną i sumienną pracę, któréj brak dotkli-

wie czuć się dawał, pracę zalecającą się godnością i wytrawnością stylu, a pełną wdzięku, który nadaje prostota i spokój w przedstawieniu rzeczy.

Biograf Karola Kniaziewicza dostarczył nadto do rocznika zajmującego artykułu o wygnańcach polskich w Orenburgu, artykułu osnutego na własnych doświadczeniach, przemawiającego całą prawdą malowanego z natury obrazu. Ale nie ubliżymy zapewne żadnéj części składowéj pięknego rocznika, jeżeli na czele postawimy „Akta męczeńskie unii“ podające nam kilkanaście nieoszacowanych, autentycznych rysów z martyrologium naszego, rysów nieznanych, których przejmującą treść polecić musimy rozpamiętywaniu naszéj prowincyi na wszelki wypadek przyszłości, w szczególności zaś czytelnikom wschodniéj Galicyi.

Niech nam tu wolno będzie przytoczyć z wstępu kilka trafnych spostrzeżeń bezimiennego autora: „Zaledwo zaczynamy przezierać ogrom poniesionéj przez naród klęski, dzisiaj, kiedy los, jaki spotkał Unią, drugiemu już obrządkowi kościoła w prowincyach naszych zagraża. Ze sprawą tą jednak, łączy się wszystko, co duszę prawdziwie polską zajmowaćby powinno. Nieprzyjaciel użył tu wszystkich środków swoich i najlepiéj poznanym być może; sami zaś w jego zwycięztwie znajdziemy owoc ciężkich grzechów naszych..... Od kilku wieków zaszczepiona w przodkującéj narodowi klasie pogarda do niższych jego warstw nie wykluczała nawet i ich wiary. Zbyt długo, na nieszczęście, obojętném okiem patrzaliśmy na los uciśnionéj rolniczéj ludności a obojętność ta, zwłaszcza téż na Rusi, zarówno jéj ciała, jak duszy tyczyła. Kiedy w ostatnich czasach dawnéj rzeczypospolitéj, jeden z senatorów poważnego imienia, spostrzegł że syn jego dorastający zaczął się zaniedbywać w obowiązkach religijnych, rzekł mu: Masz przecie na tyle zastanowienia, abyś zrozumiał, że żaden człowiek obejść się nie może bez wiary; musisz jakąś wyznawać. Otóż trzy są wiary: łacińska dla szlachty, luterska dla mieszczan, grecka dla chłopów. Jeżeli nie chcesz szlacheckiéj, to przyjmijże chłopską lub mieszczańską! Kościół grecki był w oczach jego dobrym tylko dla chłopów, a czy ten kościół był katolicki, czy téż szyzmatycki, to już go mniéj obchodziło. Co powiedział ów senator, to czuła mniéj więcéj cała wykształceńsza część narodu. Właściciel ziemski przestał się czuć w obec Boga i Ojczyzny odpowiedzialnym za duszę włościan, nad którémi jednak pełność praw posiadał *) między nim i kapłanem unitą nie było żadnego moralnego węzła. W hierarchii spółecznéj był kapłan unicki o tyle niższym od łacińskiego proboszcza, o ile kapłan od szlachcica; doświadczał wprawdzie od niego pomocy, opieki ale jako niższy i upośledzony; w naj-

*) Nie możemy tu przemilczeć, że jednym z najtroskliwszych o unię i obrządek unicki królów był Jan Sobieski znający wybornie stósunki Rusi. *P. R.*

lepszym razie był tylko klientem, istotą dość pogardzaną, potrzebną tylko dla chłopów. Wtenczas nawet, kiedy nieszczęścia rozbudziły dawną dzielność szlachty, kiedy żyła myślą o niepodległości, kiedy za nią znosiła więzienia, wygnania i prześladowanie wszelkiego rodzaju, kiedy istotnie dla Ojczyzny nie szczędziła ofiar, nie pojmowała jeszcze znaczenia téj drugiéj walki, którą rząd kraju z kościołem toczył, nie przyszła unickiemu duchowieństwu i powierzonemu sobie ludowi z moralną nawet pomocą, zostawiła ich własnym jedynie siłom a gdy nadeszły ostateczne próby, przez grzeszną obojętność, a nieraz nawet przez grzeszniejszą troskliwość o zachowanie wygodnego żywota, umyła sobie ręce jak Piłat i dała nieszczęsnego krzyżować.

Pomimo tego lud sam wydał z pomiędzy siebie zastęp prawdziwych męczenników: między niemi były tak wzniosłe i świątobliwe postacie, że może kiedyś staną na ółtarzach. W wybranych tych istotach złożył on świadectwo swego życia; cześć ogólna narodu, wyższych zarówno, jak niższych klas, powinna otoczyć tych męczenników, którzy nikomu nieznani, niczém niezasileni i niekrzepieni z zewnątrz, w wierze i sakramentach czerpali moc zadziwiającą i dla Boga jedynie ponosili okropne katusze.“ Że te słowa przesady w sobie nie mieszczą, przekona się czytelnik z powieści o włościanach porozowskich i dudakowickich, podanych w „aktach męczeńskich“ a stanowiących nowe korollaria do znanéj z Wiadomości polskich i dzieł Lescoeura i Theinera historyi d z i e r n o w i c k i é j i przejść męczeńskich matki Makryny Mieczysławskiéj.

Sunt lachrymae rerum, powiedział poeta. Możnaby tę piękną sentencyę zastósować i do książek. Któż nie zaduma się smętnie nad owemi dawnemi welinowemi edycyami naszych wielkich poetów emigracyi, któż nie spojrzy bolesném okiem na owe druki emigracyjne, któremi się żywiliśmy od lat kilkudziesiąt? Niby świadki nieme dawnych czasów wspominają one nam długoletni przebieg naszéj myśli o przyszłości narodu, nasze że się tak wyrażę, młodociane studya — młodociane zapały, młodociane marzenia. Dzisiaj to *tempi passati*: a oto książka wychodząca z instytucyi, z którą się wiążą świetne imiona ks. Adama Czartoryskiego, Niemcewicza, Kniaziewicza, Lelewela i Mickiewicza, do któréj wszystkie najznakomitsze emigracyi naszéj należały głowy, książka ta tchnąca na każdéj karcie boleścią kilkudziesięcio-letniego tułactwa — jakże różna od owych wszelkiego odcienia politycznego publikacyi wychodźczych, tak do niedawna jeszcze pełnych nadziei, przeczuć, kombinacyi, szczęśliwszéj dla nas przeszłości! Mamyż się na nią gniewać, że jest smutną, jak los nasz? Przeciwnie bądźmy jéj wdzięczni, bo jeźli czego, to brakowało nam zawsze objęcia ogromu naszéj niedoli, brakowało nam spokojnego patrzenia oko w oko sytuacyi i znalezienia się w niéj z zebraniem wewnętrzném, z gotowością na wszystko. W heroizmie śmierci nikt nam

nie dorównał — na życie w trudnych okolicznościach, pod ołowianém niebem nieszczęścia, wśród wszechstronnego ucisku, na wynalezienie sobie w takich nawet okolicznościach pola dobroczynnego działania, na przechowywanie i wzmacnianie narodowego pierwiastku w rodzinie, w czeladce, wśród koła towarzyskiego, na „rozwielokrotnianie się w drobnéj usłudze" niestać nas było!! Biegaliśmy jak owi lekkomyślni w pierwszym kole dantejskiego piekła za lada chorągwią, świecącą przed naszemi oczyma, odbiegaliśmy czynu dla nadziei pomocy świata i nieumieliśmy czekać na przyjazne okoliczności, rwąc się do przedwczesnych czynów.... Każda chwila moralnéj porażki objawia się u nas pewnym nieszczęśliwym cynizmem staropolskiego hulajduszowstwa, w którym nie jeden głos lekkomyślny dowód naszéj niepokonalności upatruje... Czyliż potrzeba jeszcze nowych klęsk, aby umysły głębsze naprowadzić na jedynie zbawczą drogę wewnętrznego zebrania, aby z tych umysłów przez długie czasy, niby z posiewu Bożego, nowa innym duchem natchniona, oczyszczona z błędów narodowych wychodzić zaczęła generacya?

Z wiadomości o towarzystwie historyczno literackiém w Paryżu, niech nam wolno będzie podać szczegóły, które, nie wątpimy, czytającą naszą zainteresują publiczność. Towarzystwo, założone w roku 1832 jest obecnie w posiadaniu biblioteki liczącéj 32.000 tomów, archiwum zawierającego 20.000 arkuszy historycznych wypisów robionych w archiwach francuzkich, w wydziałe rękopismów biblioteki cesarskiéj w Paryżu, w State-paper office w Londynie, w bibliotekach w Rzymie, Brukselli i Hadze, z 27000 rycin, ze zbioru atlasów, map i monet. Dekretem z 10 czerwca roku 1866, postawił Napoleon III. Towarzystwo w rzędzie uznanych przez rząd publicznego użytku instytucyi, co zapewnia Towarzystwu opiekę rządową. Towarzystwo utrzymuje otwartą dla publiczności czytelnią. Od roku założenia przysłużyło się Towarzystwo nie jedném znakomitém dziełem lub wydaniem cennego materyału historycznego, że tu wspomnimy żywot J. Urs, Niemcewicza, księdza Lescoeur'a: *L'eglise catholique en Pologne*, Sprawy wojenne i polityczne kcia Krzysztofa Radziwiłła, Relacye nuncyuszów (1548—1696), Listy Piotra des Noyers do panowania Jana Kazimierza.

Na stole księgarskim ubogie nas w obecnych chwilach oczekuje żniwo. Wydanie kilkudziesięcio-arkuszowéj książki stało się dzisiaj rzadkim wypadkiem. Do takich policzyć wypada wydaną w Warszawie „Księgę przyrody" tłómaczenie znanego dzieła niemieckiego Schedlera, które się kilkunastu doczekało wydań. Edycya polska jest staranną a działy zoologii, botaniki i mineralogii powiększone. Obok téj publikacyi z dziedziny świata przyrodniczego staje godnie krakowskie wydanie „Świata roślinnego" Müllera, w tłómaczeniu p. Hip. Witowskiego, wchodzące w skład „Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych."

Nie przysądzamy sobie kompetencyi w sądzeniu dzieł i tłómaczeń, za trafnością wyboru przemawia nam powszechne uznanie zagranicy, pożyteczności dowodzić byłoby rzeczą zbyteczną. Rzeczy przyrodnicze wchodziły u nas zaledwie w roczniki uczonych towarzystw — Biblioteka Bernsteina, wydanie Schedlera i Müllera po niskiéj cenie, czynią je przystępnemi ogółowi, na czém ten ogół tylko zyskać może.

Do nielicznych publikacyi warszawskich ostatnich miesięcy, należą „Studya ekonomiczne“ p. Mścisława Edgara Trepki. Studya ekonomiczne zawierają siedem artykułów, którym niepodobna odmówić nowości w naszym tak pod względem ekonomicznych rozpraw ubogim kraju. W pierwszym ocenia p. Trepka działalność trzech pierwszych „agitatorów ekonomicznych“ ostatnich kilkunastu lat, Anglika Ryszarda Cobdena, Francuza Fryd. Bastiata i Niemca Hermana Schulze-Delitsch. W prostym, zrozumiałym i wyczerpującym wykładzie rozwija nam autor przeważnie parlamentarną działalność pierwszego przeciw monopolowi zbożowemu, założenie ligi zbożowéj i genezę stronnictwa manchesterskiego, które już po ukazaniu się książki p. Trepki, nie małe dało siły swojéj i postępu dowody; trudne położenie Bastiata, występującego za wolnością handlową przeciw protekcyonizmowi pracy w centralistycznéj i „administracyjnie skrępowanéj“ Francyi, prace teoretyczne i praktyczne Schulzego około poprawy losu robotniczéj klasy, które i w naszém piśmie, w artykule p. Lud. Powidaja sprawozdawcę swego i zastósowanie do naszych stósunków znalazły. Pozwolimy sobie zacytować ustęp z pracy pana Trepki o pojęciu stowarzyszenia:

„Jest niezaprzeczoną rzeczą, iż potrzeba dla klasy robotniczéj jakiegoś nowego węzła, jakiéjś nowéj spójni. Dzisiaj jest ona niby wydmuch piaszczysty, który wiatr na wszystkie strony rozmiata. Dawniéj cechy były tym węzłem, dzisiaj tworzyć go już nie mogą. Na miejscu silnego chociaż nieruchomego systemu, nastąpiła teraz próżnia, brak wszelkich węzłów. Każda jednostka powiada w świetnym zarysie B. Hildebrand, stoi teraz osobno, każdy chodzi tylko około swoich spraw. Talent ciśnie mniéj utalentowanego, kapitalista wielki wyzyskuje małego, mały, niemającego nic. Powstaje zacięta walka wszystkich sił społecznych, która się kończy upadkiem słabszego, proletaryatem. Jedyny ratunek w zjednoczeniu cierpiących osobników, w podaniu sobie ręki. Stowarzyszenia klasy pracującéj nie mają bynajmniéj na celu wojować z kapitałem, nie mają chęci napastować go; mają być po prostu takim sposobem organizacyi, któryby na pokojowéj drodze walczyć z nim pozwolił, któryby wyrwał pracę z podrzędnego stanowiska, w jakim się dzisiaj znajduje i postawił w tym samym, co kapitał szeregu. Stowarzyszenie ma wszystkie dane do przeprowadzenia téj reformy. Jest organizacyą pracujących, jak nią były cechy, ale jest dobrowolną, gdy tamte były

przymusową; do cechów nie wszystkim należeć było wolno, do stowarzyszenia każdemu; tam trzeba było odbyć lata próby, męki, niewoli; tu dosyć jest mieć ręce i chęć do pracy, tam trzeba było drogo opłacać honór należenia do korporacyi; tu wyłożone sumki procentują się w tysiącznych postaciach.

Cały stósunek cechu do stowarzyszenia jest stósunkiem musu do wolności; cały stósunek stowarzyszenia do dzisiajszego odosobnienia robotnika, jest stósunkiem wolności do anarchii."

Obok ciekawego artykułu o Cobdenie, Bastiacie i Schulze-Delitsch'u, zajmującego połowę tomu studyów pana Trepki, znajdujemy kilka niemniéj interesujących mianowicie: O pośmiertném dziele Proudhona *(De la capacité politique des classes ouevriéres)* o operacyach finansowych Langrand-Dumonceau i ocenienie naukowego stanowiska Careya. Szanowny autor zarzucając Mohlowi zbyt ostre obejście się z tym ostatnim, nie ustępuje mu wszakże sam w traktowaniu zbyt lekko znakomitego amerykańskiego ekonomisty, który bądź, co bądź; pierwszy z wyżyn spekulacyi na goścince praktycznego życia i narodowych interesów zstępować lubił. Wyznamy szczerze, że żądalibyśmy od naszych ekonomistów tego samego, żądalibyśmy wyjścia z naszych stósunków i rady, zastósowalnéj w naszych stósunkach. I nie mylimy się może twierdząc, że nauki ekonomiczne, tak zagranicą popularne, dopóty nie staną się takiemiż u nas, dopóki nie teoryi jakiéjś narodowéj, ale praktycznego zastósowania zdrowych teoryi zagranicznych publiczności nie podadzą.

Obok studyów ekonomicznych pana E. Trepki, zapisujemy przekład przewodnika ekonomii politycznéj p. Baudrillart, jednéj z najlepszych podręcznych książek w języku francuzkim, dokonany przez kobietę p. Joannę Bolejowską, przekład odznaczający się piękną polszczyzną i jasnością. Jest to prawdziwa niespodzianka, nie dla tego, że się kobieta zajęła tłómaczeniem, ale dla tego, że większą częścią tłómaczenia nasze dzieł naukowych bezużytecznemi bo niezrozumiałemi bywają. Dodamy, że obie publikacye pochodzą z Warszawy, która po długiéj stagnacyi księgarskiéj objawia żywszy ruch — wyłącznie naukowy. Cieszymy się nim i witamy go serdecznie a pragnęlibyśmy, aby znalazł i u nas materyalne poparcie przez zakupno dzieł, zasługujacych ze wszechmiar, aby się znalazły w rękach wykształconego człowieka.

Ubogi w nowy materyał przegląd nasz literacki dzisiajszy, pozwala nam poświęcić bodaj kilka słów kwestyi zajęcia się książką w naszym kraju. Ostatnie wypadki, bieda materyalna kraju zredukowała *ad minimum* liczbę wydawanych dzieł i można prawie zaręczyć, że to, co wychodzi, ma już w przeważnéj części pewną rozsądną racyę bytu, prawo pojawienia się na widowni literackiéj a z tąd powinno mieć i pewną szansę powodzenia i pokupu. Z smutkiem dowiadywać się ze wszech stron przychodzi, że i ta szansa okazuje się mylną, że najpiękniejsze

i najznakomitsze rzeczy doznają prawie tego samego losu, co przypadkiem zjawiająca się plewa. Ba! chwytamy często za plewę przez zamiłowanie szkandalu a odsuwamy pożywny i zdrowy pokarm. Najgorszą reputacyę pod względem nabywania książek miała zawsze niestety! Galicya, *ingrata terra* księgarzy i wydawców i w téj reputacyi utrzymuje się niewzruszenie. Biblioteka Ossolińskich, roczniki towarzystw naukowych, poważniejsze i treściwsze czasopisma warszawskie doznają w niéj jednakowego smutnego losu: *nemo vates in Galicia, nemo extra Galiciam!* Czy naprawdę tak sroga nędza nas trapi? O biedzie przekonani jesteśmy, o niemożności nabywania książek nie będziemy przekonani dopóty, dopóki będziemy wierzyli, że kupowanie to jest wypływem umysłowéj potrzeby czytania, która książkę czyni niezbędną zagranicą, która łączy często kilku ludzi razem, aby ją posiadać i przeczytać. Przypiszemy zatém ową obojętność dla literatury nie czemu innemu, tylko brakowi potrzeby, poprzestawaniu na codziennym odczycie pietnastu kolumn dziennika i inseratów. Przeciw temu wymarciu instynktu oświecania się i stania *au courant* ruchu umysłowego wystąpić, zażegnać go w swojém kole czynną inicyatywą, uważalibyśmy za obowiązek obywatelski, narodowy. Cóż łatwiejszego i piękniejszego jak założenie drobnych czytelni towarzyskich, stojących pod zarządem jednego z oświeconych domów obywatelskich, czytelni, opędzanych małą wkładką a rentujących się nie tylko umysłowo, ale towarzysko, bo utrzymujących zamianę myśli, nastręczających tysiączne przedmioty rozmowy o rzeczach godnych uwagi, wyrabiających zdanie i sąd niezawisły? Czytelnie prowincyonalne przy księgarniach nie potrafią nigdy podobnéj zastąpić czytelni, bo hołdując panującemu smakowi, starają się zwykle o kontygens lżejszych książek, niedostarczają nowości a dzieł poważniejszéj treści nie sprowadzają wcale. W razie gdyby myśl nasza przychylne gdzieś echo znalazła, możemy polecić śmiało dzieła w dzisiajszéj kronice wspomniane — na dobry i szczęśliwy początek.

Kończymy naszą kronikę dzisiajszą wspomnieniem skromnéj lecz wdzięcznéj książeczki, mieszczącéj poezye ś. p. Antoniego Zaleskiego, wydane staraniem p. Hugona Zatheya we Lwowie. Ś. p. Antoni Zaleski należał do wyjątkowych młodych ludzi tak zwanego arystokratycznego świata, który umiał sobie zjednać powszechną miłość i szacunek w szerszém kole intelligentnéj młodzieży. Żal po jego tak przedwczesnéj stracie, powszechny, szczery, głęboki jest najpiękniejszym wieńcem jego cichego życia, oddanego najszlachetniejszym uczuciom i zamiłowaniom, a nie ubogiego w czynną miłość bliźniego i poświęcenie dla sprawy ojczystéj. Pomnikiem literackich jego prac, są wydane staraniem przyjaciela a poprzedzone pięknym i serdecznym opisem krótkiego jego życia poezye. W wydaniu nie stał wzgląd wartości

artystycznéj na pierwszém miejscu, ułożono je chronologicznie, wyłączając osobno obszerniejsze utwory, aby obeznać czytelnika z rozwojem i genezą poetycznéj nieboszczyka zdolności, aby podać ilustracyę do jego życia. I nieodłoży zapewne nikt skromnéj białéj książeczki na bok, bez uznania téj szlachetności serca, tego głębokiego życia duszy, które się odcisnęło w utworach, często jeszcze z trudnościami formy walczących ale płynących zawsze z szczeréj potrzeby ekspektoracyi.

Wyznamy szczerze, że w zbiorze młodego poety najmniéj nas pociągają utwory, które sam za najlepsze uznawał, jak n. p. „Namaszczony“ pojawiający się w drugiém wydaniu. Niech to nieobraża cieniów zacnego młodzieńca. Młodéj duszy wydaje się często najlepszém to, co jest sztucznego usiłowania owocem, co wyrosło w namiętnéj chęci wyniesienia się na wyżyny mistrzów. Zbyt często owa namiętna chęć przejmowania się rolą cudzą, nie pozwala młodemu poecie długie czasy być samym sobą, przemówić własnym głosem. Ś. p. Antoni przemawia zbyt często własnym, serdecznym głosem, abyśmy tym przemówieniom właśnie nie mieli oddać słuszności. Wiersze: W trzecią rocznicę śmierci matki, Lot i znużenie, do księżyca natręta, zjawisko, walki ludzkości, piosnka, sextyny, z rozdartéj piersi (1863), pozostaną na zawsze piękną ozdobą naszéj liryki, jak są pięknym pomnikiem zacnéj, szlachetnéj i głębokiéj duszy autora. Najlepiej może scharakteryzował naturę pieśni swojéj i jéj stósunek do indywidualności sam nieboszczyk w prostych a serdecznych zwrotkach: I ja śpiewam (str. 71) przypominającą sławny wiersz Kochanowskiego: „Sobie śpiewam, nie komu.“..... Dochód (brutto) z rozsprzedaży poezyi przeznaczył ś. p. Antoni Zaleski Towarzystwu bratniéj pomocy w Uniwersytecie lwowskim.

Józef Szujski.

Myśl utworzenia

funduszu rocznego około 30.000 zł. w. a. celem szerzenia oświaty *).

Praca człowieka uzacnia i wraz z oszczędnością byt jego materyalny ubezpiecza, a wtenczas szczęście utrwala, jeźli jest uczciwą a oszczędność rozsądną.

Zasady te wpaja rzetelna oświata, a najpierw wychowanie domowe; żywe bowiem słowo a jeszcze więcéj żywy przykład ojca i matki są pierwszą i najlepszą szkołą, gdyż serce dziecka i umysł młodociany są wraźliwe jak wosk ciepły, na którym najlżejszy nacisk wierne odbicie znachodzi. Ktokolwiek téż z starszych sięgnie pamięcią wstecz i w lata swe najmłodsze, przyzna niezawodnie, że częstokroć jedna powiastka, jedno nawet słowo, żywo i gorąco przez ojca lub matkę wypowiedziane, wpoić zdoła w dziecko uczucia i zasady, które nie opuszczają go młodzieńcem, wywierają wpływ na całe życie i towarzyszą mu do grobowéj deski. Czyli i jakie zasady wpaja w dziecko

*) Wszelkie projekta zmierzające do podniesienia oświaty w kraju, przysporzenia społeczności naszéj użytecznych i narodowości swéj świadomych członków chętnie zamieszczać będziemy w kolumnach naszego pisma. Projekt p. Ramulta tém bardziéj zasługuje na uwagę i względy, że nie jest on pierwszym eksperymentem tego rodzaju w Ojczyznie naszéj. Praktykowało go obywatelstwo Podola, Wołynia i Ukrainy na bardzo szeroką stopę, umieszczając swoim funduszem utworzonym z corocznych składek kilkadziesiąt młodych uczniów w gimnazyach w Równém, Niemierowie, Żytomierzu, Ostropolu, Kamieńcu Podolskim, Białéjcerkwi, również jak w gimnazyum, uniwersytecie i szkole wojskowéj w Kijowie i Petersburgu.

Wiemy, że zasoby materyalne w kraju naszym są nadzwyczajnie ograniczone, lecz znamy także z drugiéj strony wszelką gotowość do ofiar naszych współobywateli i to ich silne przekonanie: że lepiéj wszędzie indziéj się ograniczyć, byle nie tam, gdzie chodzi o powiększenie narodowéj oświaty, która w końcu do powiększenia dobrobytu materyalnego przyczynić się musi.

(Przyp. red.)

domowe wychowanie, to zawisło od wykształcenia ojca i matki, lecz gdyby wykształcenie rodziców było nawet zawsze na stopniu pożądanym, to i tacy rodzice uczują i uznają, że do utrwalenia najlepszych zasad i zarazem do zabezpieczenia przyszłego bytu na drodze uczciwéj pracy i rozsądnéj oszczędności potrzeba dziecku prócz starannego domowego wychowania jeszcze i téj oświaty, któréj strzecha rodzinna i ściany domowe udzielić nie zdołają. Uznanie to budzi pragnienia i chęci gorące dalszego kształcenia dziecka poza ściany domowemi, lecz pragnienia te pozostają tak często dla niedostatku jedynie tylko marzeniem. Zachodzi przeto niewątpliwie w takich razach potrzeba podania pomocnéj ręki znajdującym się w niedostatku rodzicom a względnie ich dziatwie, potrzebującéj i łaknącéj oświaty.

Jeżeli potrzeba oświaty zachodzi odnośnie do dzieci o tyle szczęliwych, że otrzymać mogą przynajmniéj staranne domowe wychowanie, to tém więcéj uznać musi każdy potrzebę kształcenia młodzieży, która i domowego należytego wychowania nie odbiera. W każdym przeto razie oświata pożądaną być musi i będzie dla naszego pokolenia młodszego, bo jedynie na téj drodze, na drodze oświaty lepszą przyszłość zbudować zdołamy.

Uznawali to zawsze ludzie, których serce nie zakrzepło i których czynami myśl zdrowa o przeszłości i przyszłości narodu kierowała. Cześć i uwielbienie w téj mierze w naszych czasach hr. Arturowéj z Branickich Potockiéj, hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, hr. Kazimierzowi Wodzickiemu i tylu innym, których najwyższém było i jest zadowoleniem, podawanie w szlachetny sposób pomocnéj ręki kształcącéj się biednéj młodzieży.

Lecz ponieważ poświęcenia pojedynczych ludzi chociażby i najzamożniejszych są niedostateczne, i ponieważ zatém do krzewienia oświaty ogół czyli naród cały dążyć i połączonemi siłami każden przyczyniać się winien, przeto poddaję pod rozwagę opinii publicznéj myśl następującą: Utworzenie za zezwoleniem wys. Rządu w każdym z nowych powiększonych obecnie powiatów komitetu, w celu zbierania zobowiązań subskrypcyjnych do płacenia chociażby najmniejszych kwot i utworzenia tym sposobem funduszu na stypendya dla młodzieży z powiatu dotyczącego, do szkół publicznych uczęszczającéj lub uczęszczać pragnącéj.

Gdyby w każdym z rozleglejszych dzisiaj powiatów znalazło się pomiędzy właścicielami większymi, plebanami, urzędnikami, mieszczanami i włościanami zamożniejszymi tylko czterdziestu, z których każden mniéj więcéj w przecięciu obowiązałby się płacić po 10 zł. w. a. rocznie w kwartalnych chociażby ratach, zebraćby można w każdym z powiatów około

400 zł., a razem sumę około 30.000 zł. w. a., z którój tysiące stypendyów utworzyćby się dało. Ofiary poniesione przeto przez pojedynczych byłyby prawie drobne, a rezultat tak pożądany! Na chwilę zatém wątpić nie mogę, że obywatele kraju, zawsze do ofiar gotowi w szlachetnych celach, zechcą pomimo przygniatającego ich obecnie niedostatku przyczynić się chociażby najmniejszemi datkami do dobra ogółu, do pomyślności naszego przyszłego pokolenia! A wys. Rząd w tak szlachetnych zamiarach nie zechce przecież nam być ojczymem i raczy niezawodnie zezwolić na utworzenie rzeczonych komitetów przez i pod przewodnictwem ludzi, przeszłością swą i stanowiskiem swém rękojmię dających, że komitety te dalekie będą od rozbierania kwestyj politycznych, bądź socyalnych.

Wzywam zatém każdego krajowi dobrze zasłużyć się pragnącego, aby myśl moją powyżéj wyrażoną nie tylko podjął i rozwinął, ale i w rzeczywistość zamienić usiłował, albowiem słowa, to tylko marna życia połowa, i już czas wielki, aby porzucić deklamacyę i krasomówstwo, a zdążać wprost do czynu i to na drodze najpewniejszéj i jedynie zbawiennéj — na drodze pracy i oświaty!

Gdyby myśl moja utworzenia funduszu na stypendya pomienione odgłosu w kraju i poparcia nie znalazła, a to może wskutek zarzutu, że już liczne istnieją stypendya; podaję na ten wypadek myśl nadania funduszowi innego przeznaczenia, do szerzenia oświaty zmierzającego: Albo założenie czytelni ludowych, albo uposażenie lepsze nauczyciela szkoły w powiecie dotyczącym najgłówniejszéj, albo powiększenie takiéj szkoły o jednę lub kilka klas czyli kursów. W tym ostatnim względzie przypomnieć wypada, ze w niejednéj siedzibie dzisiejszych władz powiatowych jest jedynie szkółka, na równi z szkółkami po wsiach istniejącemi stojąca.

Konstanty Ramult.

Przegląd polityczny.

31go marca.

Niezaprzeczenie do dnia dzisiejszego najważniejszym faktem politycznym na horyzoncie polskim pozostała uchwała sejmu lwowskiego, mocą której zgromadzenie to wysłało bez żadnych zastrzeżeń i z pominięciem pierwotnie przez komisyę wniesionego adresu delegacyę do rady państwa. Gdybyśmy nie zabronili sobie stanowczo wśród dzisiejszych okoliczności uczucia zdziwienia, to niezawodnie byłoby ono wzięło nad innemi górę wobec téj niespodzianki; lecz żyjemy w tak trudnych czasach, wśród takiéj ciemności i takich nadzwyczajności, iż dziwić się czemukolwiek byłoby naiwnością, zarówno ze strony publicysty jak polityka. Zbyt jasno i wyraźnie oświadczyliśmy się w ostatnim przeglądzie politycznym tego pisma, aby mogła pozostać jakakolwiek wątpliwość o zdaniu naszém w téj mierze; to co powiedzieliśmy o tém, co w naszém przekonaniu sejm winien był uczynić w téj ważnéj chwili, jest zarazem sądem o tém co uczynił. Lecz jeżeli sądzimy, nie czujemy się znów w prawie wydawania wyroków ani potępiających ani uniewinniających. Czytelnicy nasi znajdą w osobnym artykule jednego z współredaktorów tego pisma przebieg całéj sprawy wysłania delegacyi bez poprzedniego zawotowania adresu, tak jak się nam przedstawia. Wyrok ostateczny wyda dopiéro historya i przyszłość, a ta tak jest ciemną, tak niepewną, iż daremnie kusilibyśmy się wyrwać jéj tę tajemnicę.

Lecz jeżeli nie rozszerzamy się nad faktem przeszłości, to wypada nam koniecznie zastanowić się nad zmianą jaką ten fakt zaprowadził w sytuacyi, równie jak nad następstwami jego w przyszłości. Od miesiąca prasa krajowa i wiedeńska oceniała

na różne tony uchwałę sejmu lwowskiego i jéj następstwa. Co do nas przedewszystkiém stwierdzić musimy, iż jeżeli uważamy uchwałę tę za pośliznięcie się na drodze, którą szła dotąd Galicya i za którą wciąż przemawiamy, to bynajmniéj nie uważamy jéj za zejście z téj drogi. Mamy na to nie jeden dowód: sam sposób w jaki obrady nad propozycyą rządową się odbywały, pierwotne wniesienie adresu przez komisyę, odstąpienie od niego jedynie pod wiadomym naciskiem, powołanie do składu delegacyi wszystkich prawie znakomitszych członków mniejszości, nareszcie sposób w jaki kraj przyjął uchwałę sejmową. Powtarzamy więc: Galicya 2go marca pośliznęła się niezaprzeczenie na drodze federalizmu, lecz bynajmniéj nie zeszła z niéj.

Ubolewamy nad tém, lecz nietylko nie chcemy wdawać się w rekryminacye, ale przeciwnie przyjmujemy sytuacyę jak ją dla nas stworzyła owa uchwała sejmowa, a z niéj znów chcemy wyprowadzić jak największe możliwe dla interesów polskich korzyści. Wychodząc zaś z tego pewnika, iż uchwała 2 marca była tylko pośliznięciem się na wiadoméj drodze, nie zaś odstępstwem, chcielibyśmy aby dalszém postępowaniem usiłowano zapobiedz złym skutkom tego fałszywego kroku i aby posuwano się daléj na drodze jedynie w przekonaniu naszém zbawiennéj. Sposób w jaki uchwała zapadła, okoliczności wśród których zapadła, wkładają także na delegacyę obowiązki, są wskazówką która może i powinna zastąpić adres lub instrukcye.

Przedewszystkiém widzimy i wiemy, iż tak w kraju jak pomiędzy posłami i w łonie saméj delegacyi dwa ścierają się zdania, dwa niejako wyrastają systemata. Pierwszy mieni się utylitarnym i polega na wyzyskaniu jak najwięcéj lokalnych, prowincyonalnych korzyści z pominięciem wszelkich kwestyj państwowych, wszelkiéj przyszłości; drugi wprost mu przeciwny myśli pierwéj o zabezpieczeniu domu niż o urządzeniu pokoju. Między temi dwoma systemami wybór dla nas nie może być wątpliwym. Nie chcemy tu przemawiać z wyżyn zasad, lecz właśnie my stajemy na stanowisku utylitarném i twierdzimy, że dopóki byt monarchii nie zostanie zapewnionym, wszelkie urządzenie Galicyi jest niemal dziecinną zabawką, że dopóki system ogólno-państwowy grozić będzie autonomii krajów koronnych, wyżebrana czy wyzyskana autonomia Galicyi będzie tylko fikcyą, lub stanie się rzeczywistością tylko na dzień jeden. Rozumiemy politykę z dnia na dzień, tam, gdzie się wyczekuje pomyślnych wypadków, pojąć jéj nie możemy tam gdzie ze wszech stron grożą tylko katastrofy. Przedewszystkiem więc nie pomijanie, nie ignorowanie lecz zajęcie się kwestyami ogólno-państwowemi jest dziś jak przed 2 Marca zadaniem Galicyi i jéj reprezentantów. —

Ztąd wypływa obowiązek, działania i przemawiania za rozstrzygnięciem tych kwestyi w duchu i w myśli tych zasad, które za jedynie zbawienne dla Monarchii uważamy; inne postępowanie byłoby prawdziwém odstępstwem, prawdziwém zaparciem się nie tylko Austryi ale także ostatecznie interesów polskich. Nie poświęcajmy kapitału dla procentów choćby ten kapitał był zagrożony i chćby nam chciano procent srebrem wypłacić; procentem zaledwie żyć możemy rok jeden.

Gdyby sejm uchwalił był adres w naszéj myśli, celem jego byłoby było sprowadzenie rządu z drogi, która się nam zgubną i dla Monarchii i dla nas zdaje, skoro inaczéj się stało, cel się nie zmienił lecz tylko środki. Dążmy więc do tego samego celu ale innemi środkami. Dla nas jednym z tych nowych środków jest dziś delegacya. Ona to otwarcie i odważnie powinna głośno wypowiedzieć swoje zdanie o organizacyi Monarchii, ona bez względu na to kogo zastanie w Radzie Państwa, powinna postawić ów program którego sejm nie postawił, i obstawać przy nim, w brew wszelkim groźbom a szczególniéj wszelkim obietnicom.

Powtarzamy dwie były drogi do zapobieżenia złemu które Monarchii i nam grozi, piérwszą wskazaliśmy w ostatnim Przeglądzie, była to ta, którą poszły sejmy rozwiązanie a do których właśnie powtórne odbywają się wybory, tą drogą nie poszedł sejm Galicyjski. Dziś więc druga się otwiera, oto uczynić w Wiedniu to, czego nie zrobiono we Lwowie. Lecz dziś, aby głos delegacyi galicyjskiéj nie był tylko protestem, trzeba aby cały obóz federalistów wzmocnił ją swoją obecnością w Wiedniu, i był w sile w dniu stanowczym. Niepomyślny rezultat nowych wyborów do sejmów czeskiego i morawskiego odbytych pod pressyą, nie zrazi w tych krajach stronnictwa federalistycznego, lecz stronnictwo to przybywając do Wiednia mogłoby może zażegnać niebezpieczeństwo i stoczyć skuteczną walkę, a w każdym razie nikt nie jest w stanie odciąć mu odwrotu. Tak jest, dziś punktem zbornym dla federalistów winien być Wiedeń, tam winni oni otoczyć silnym zastępem chorągiew pod którą wszyscy stojémy. Im silniejszy będzie zastęp federalistów, tem nie tylko zwycięstwo prawdopodobniejsze ale tém łatwiejszy odwrót.

Czy życzenie nasze spełnioném zostanie nie wiemy, w każdym razie nie wątpimy i pomimo świéżego doświadczenia pewni jesteśmy, iż delegacya nasza nie odstąpi od chorągwi federalistycznéj i atonomicznéj, iż nie zapozna swojego wysokiego powołania politycznego, że nie poświęci interesów państwa i interesów polskich dla interesów galicyjskich, ani téż zejdzie ze stanowiska delegacyi kraju koronnego na stanowisko komisyi likwidującéj niektóre dla Galicyi korzyści.

Kiedykolwiek i jakkolwiek zbierze się Rada Państwa, zawsze tak ta Rada jako i delegacya nasza znajdzie się przedewszystkiém w obec kwestyi węgierskiéj. Dziś zaś kwestya węgierska dla nas zamyka się w elaboracie o sprawach wspólnych nad którym właśnie toczą się w sejmie peszteńskim rozprawy. Dyskusya i oświadczenia ministeryum węgierskiego nie pozostawiają żadnéj wątpliwości, iż elaborat przyjętym zostanie bez znaczących zmian. Gdyby elaborat tyczył się jedynie Węgrów, nie moglibyśmy nic przeciw temu powiedzieć, lecz skoro elaborat tyczy się także innych krajów koronnych, nie możemy przypuścić, aby uchwała o nim sejmu peszteńskiego miała być obowiązującą i dla innych części Monarchii, aby uchwała ta była ostatniém w téj sprawie słowem; gdyby tak miało się stać, wszystkie kraje koronne weszłyby niemal w lenniczy stosunek do Węgier. Przeciwnie inne kraje koronne mają prawo przemówienia w téj mierze za pośrednictwem swoich reprezentantów i prawa tego użyć powinny. Już w przeszłym Przeglądzie staraliśmy się dowieść i wskazaliśmy, że węzeł kwestyi spoczywa właśnie w elaboracie o sprawach wspólnych, elaborat bowiem z góry rozstrzyga kwestyę, nie tylko na korzyść zupełnego dualizmu, ale także na korzyść centralizacyi po téj stronie Litawy.

Opór więc przeciw temu co elaborat mieści w sobie niesłusznego i uwłaczającego tak interesom Państwa jak indywidualności poszczególnych krajów wydaje nam się koniecznym, niezbędnym, pod tą lub ową formą. Jakiekolwiek ciało i jakkolwiek ono będzie złożone obradując potéj stronie Litawy, nie może, nie powinno, nie tylko przyjąć owego elaboratu, ale także nie może się zgodzić na zmiany w jakiejkolwiek konstytucyi które z elaboratu wypłyną.

Opór ten niewątpliwie nastąpi. Delegacya nasza musi bądź co bądź sprzeciwić się wszystkiemu co w skutku elaboratu zagrażać może nie tylko autonomii krajów koronnych ale także stawać na przeszkodzie federacyjnemu ukonstytuowaniu się Monarchii. Wątpimy aby nawet Rada Państwa zwołana przez p. Beusta zgodziła się na wszystkie następstwa elaboratu o sprawach wspólnych. Od rozumu politycznego Węgrów zależeć będzie, aby nie doprowadziły rzeczy do ostateczności. Chwilowe powodzenie nie powinnoby ich zaślepiać, tryumf upajać do tyla, aby zapoznawali liczne niebezpieczeństwa które grożą Monarchii i te które sami na drodze wysłanéj dzisiaj kwiatami napotkać mogą. Nie radzibyśmy widzieć mnożących się trudności, lecz nie podobna nam zapoznawać tych które wypływają z stósunku trójkrólestwa do Węgier, a które uwydatnia postępowanie teraźniejsze Chorwacyi. Nasze życzenia są zawsze przedewszystkiém za prędkiém, spiesznémi i silném ukonstytuowaniem się Monarchii i dlatego właśnie chcielibyśmy, aby Węgrzy zrozu-

mieli, że może przyjść chwila w któréj oburzą przeciw sobie nie tylko nie węgierskie kraje korony św. Szczepana ale także kraje po téj stronie Litawy. W tém położeniu rzeczy korona i rząd mogliby bardzo skutecznie wpłynąć na położenie. Lecz do tego trzebaby zerwania stanowczego z błędami przeszłości, trzebaby przedewszystkiém wyrzec się tego nieszczęsnego zwyczaju, który polega na tém, iż z każdego systemu bierze się to tylko, co schlebia nawyknieniom, złudzeniom, zgubnym tradycyom i niemożliwym już do ziszczenia nadziejom. Pod tym względem nie brak prawie codziennych przestróg, codziennych dowodów, że na nowe wejść koniecznie trzeba tory, bo dawne drogi któremi się postępowało stanowczo zamknięte. Gdyby to przekonanie mogło ożywić raz koronę i tych którzy monarchę otaczają, niezawodnie korona stając na stanowisku bezwzględnéj sprawiedliwości dla wszystkich krajów austryackich, mogłaby niezmierny wywrzeć wpływ na ukonstytuowanie się monarchii. Dotąd jednak niestety dostrzedz tego niepodobna, a sposób jakim pan Beust kieruje rydwanem państwa, zaspakajać może tylko obojętnych lub zaślepionych. Być może, iż chwilowo pan Beust jako Niemiec może być zadowolnionym z mizernego zwycięztwa Niemców w ponownych wyborach w Morawie i w Czechach, czy zaś może być sumiennie zadowolniony jako austryacki minister, pozwalamy sobie wątpić; dla nas przynajmniéj nie może być tajném i jest to widoczném, iż wszelkie osłabienie żywiołu narodowego w Czechach i Morawie a wzmocnienie niemieckiego jest tylko przyspieszeniem i przygotowaniem tych krajów do zaboru pruskiego i do wcielenia ich do owego państwa, które kiedyś może patryoci niemieccy wszelkich odcieni nazwą wielką ojczyzną niemiecką. Podobne postępowanie rządu w tych krajach jest tylko uprzedzeniem tego, coby w nich uczynił w razie danym hr. Bismark.

Jeżeli kiedy łudził się kto myśląc iż Prusy ograniczą się na linii Menu, i że po Königgrätzu możliwą będzie walka z niemi o panowanie i wpływ w Niemczech, ten uległ niezawodnie w tym miesiącu rozczarowaniu, lub też ulega zaślepieniu pożałowania godnemu albo dobrowolnemu. Już dyskusye w parlamencie północno-niemieckim i mowy hr. Bismarka były najlepszą wskazówką, iż nie idzie tam wcale o ukonstytuowanie się Niemiec północnych, ale Niemiec — i że te Niemcy mają być pruskiemi. Ogłoszenie zaś traktatów między Prusami a południowemi państwami niemieckiemi było tym stanowczym faktem, tém uderzeniem maczugą, które najbardziéj zatopionym w złudzeniach winno przecież otworzyć oczy i przekonać zarazem świat, iż pomimo zapewnień p. Rouhera chwila ostateczna zupełnego zjednoczenia wszystkich sił niemieckich w ręku Prus bliższą jest niż przypuszczać to mogli najczarniéj a raczéj najjaśniéj widzący. Jeżeli Austrya nie skorzysta z téj osta-

tniéj nauki danéj jéj tak otwarcie przez ministra pruskiego, zwątpiéby wypadało zupełnie o przyszłości. Jak zawsze tak i teraz oczekiwać będziemy przedewszystkiém wskazówek w polityce wewnętrznéj.

Kiedy tak Prusy dążą śmiało, otwarcie, a nawet z pewném urąganiem się z innych mocarstw do niesłychanéj potęgi i siły, podniósł się — jak to łatwém było do przewidzenia — głos protestujący przeciw wcieleniu do Niemiec już nie niemieckiéj ale polskiéj ziemi. Protest posła Kantaka i towarzyszów przeciw wcieleniu Ks. Poznańskiego do związku północnego opierał się na tych wszystkich argumentach słuszności i prawa, do których dotąd zwykle odwoływali się ludzie w wzajemnych z sobą stosunkach. Odpowiedź hr. Bismarka dowiodła, że wszystkie te argumenta w dzisiejszym stanie polityki europejskiéj są przestarzałe, że jeżeli najgorsze poparte siłą mają magiczną moc — to najlepsze, którym zbywa na tém poparciu, są jałowemi i są prawie anachronizmami. Posłom polskim ta tylko została pociecha, iż spełnili swój obowiązek. Co nas uderzyło jednak w odpowiedzi hr. Bismarka — oto zarzut uczyniony protestowi polskiemu, iż winien był być wniesionym do Izby pruskiéj. Nie pojmujemy jak ten argument da się pogodzić z wywieszeniem chorągwi niemieckiéj, bo z niego znów loicznie wypływa, że nie Niemcy się konstytują lecz Prusy powiększają, skoro dość jest należeć do Prus, aby należeć bez względu na narodowość do Niemiec. To tylko z całéj téj dyskusyi jest jasném, iż jeżeli Prusy chcą się powiększać nowemi zaborami, to stanowczo nie chcą nic uronić z dawnych nabytków. Nikt nie umiał więcéj uczynić elastyczną i wygodną zasadę narodowości jak hr. Bismark. Wybornie gra on na instrumencie nastrojonym przez Napoleona IIIgo i wygrywa na nim takie wariacye, takie arye, o jakich ani marzył Napoleon III; i przyszło do tego, że dziś musi on słuchać spokojnie i z zimną krwią tego koncertu i jeszcze wypada mu chwalić i przyznawać się do nastrojenia instrumentu. Tak jest, dziś pomimo zaręczeń p. Rouhera i wszystkich not *Monitora* widocznem jest, iż owa zasada narodowości postawiona przez Napoleona IIIgo obraca się niejako sama przeciw sobie, przeciw téj zasadzie jak ją z początku rozumiał cesarz, Francya i ci wszyscy, którzy w niéj upatrywali jutrzenkę lepszéj przyszłości; łudzić się dłużéj niepodobna, zasada narodowości staje się dziś zabójczą dla wszystkich prawie narodowości i dla wpływu Francyi, a staje się podstawą na któréj tworzą się monstrualnie wielkie państwa czyli aglomerata. Bystrzejsze umysły od dawna przewidywały tak smutny skutek postawienia tak słusznéj i wspaniałéj zasady, przewidywały iż do tego doprowadzić musi, skoro w pierwotném jéj pojęciu nie zostanie przeprowadzoną wszędzie i dla wszystkich. Tu właśnie jako punkt środkowy, jako

punkt przełamania stała sprawa polska, tylko jéj rozwiązanie mogło utrzymać w całéj swéj pierwotnéj czystości zasadę narodowości, z jéj upadkiem zasada ta zamienić się musiała w system aglomeratów.

Jedynie tylko sofizmatem, koniecznym może chwilowo, wytłomaczyć można, że aglomeraty i owa polityka narodowości wywieszona podczas wojny włoskiéj i tak radośnie powitana przez wszystkie uciśnione ludy to jedno i to samo; że dzisiejsze zastosowanie zasady narodowości to właśnie rezultat, do którego od początku dążyła polityka napoleońska w celu zapewnienia wpływu Francyi. Polityka ta przerachowała się, a raczéj w stanowczéj chwili zawahała się, i ztąd téż zaczynają się wszystkie smutne, przykre, upokarzające dla niéj następstwa, które nie dadzą się zakryć nawet wymową p. Rouhera, a które nie zostałyby bynajmniéj zrównoważone nawet nabytkiem dotąd zresztą bardzo jeszcze wątpliwym Luksemburgu. Optymizm rządu francuzkiego przebijający we wszystkich przemówieniach ministrów w ciele prawodawczém, widocznie nie jest optymizmem z przekonania, lecz z konieczności. To téż z jakiegokolwiek stanowiska zapatrywać się będziemy na dyskusye ciała prawodawczego francuskiego, jakikolwiek sąd zechcemy wydać o trzechgodzinnéj mowie p. Thiersa, to zawsze przyznać musimy, iż opozycya i z nią p. Thiers łatwiejsze mieli zadanie, niż p. Olivier a szczególniéj p. Rouher. Nic bowiem łatwiejszego, jak wykazać wielkie, ogromne błędy polityki cesarskiéj, leżą one jak na dłoni; lecz bronić jéj, lecz dowodzić, że nic złego się nie stało, że nawet wszystko co się stało, stało się w myśli Francyi i cesarza, na to zaiste niepospolitéj trzeba wymowy i nauki łamanych sztuk oratorskich, trzeba szczególniéj umieć mówić wbrew własnemu przekonaniu. Nic dziwnego zresztą, jeżeli zbyt śmiała polityka doprowadza do katastrof; są błędy, które olśniewają, są cele, które acz nie dopięte, są imponującemi, lecz nic smutniejszego, nic trudniejszego do obronienia, jak błędy umiarkowania, niczém się one wytłomaczyć nie dadzą ani przed ludźmi, ani przed historyą. Kto zepsuje świetną pozycyę zbyt wielką śmiałością, to mu pozostanie chwała wielkich zamiarów, kto ją zepsuje zbytecznem umiarkowaniem, tego łatwo posądzić można o niedołęztwo. P. Thiers miał więc nader wygodne stanowisko, aby uderzyć na przeciwnika, nie powiemy aby nie skorzystał z tego z znanym mu talentem, jednak nie tyle jakby był mógł, i mowa jego chociaż mieści w sobie wiele prawd głębokich, wiele trafnych spostrzeżeń, brak w niéj jednak zadawalniającéj konkluzyi; p. Thiers widzi jasno złe, widzi grożące niebezpieczeństwa, a zapomina, że sam w chwilach stanowczych, stanowczo przemawiał za pokojem, zapomina, że właśnie dzisiejszy stan rzeczy to skutek pokojowéj polityki. Słusznie p. Thiers twier-

SPIS PRZEDMIOTÓW
w tomie III. zawartych.

dzi, iż było zawsze w interesie Francyi wspierać mniejsze państwa, aby one wstrzymywały wzrost wielkich mocarstw, lecz zapomina, że istniejące państwa były za słabe, aby temu wzrostowi przeszkodzić, że nie dość było je utrzymać, „że trzeba było dla zabezpieczenia potęgi i wpływu Francyi a równowagi europejskiéj nowe stworzyć lub dawne powołać do życia; a téj prawdy nigdy p. Thiers uznać nie chciał i zawsze ją zapoznawał. Nareszcie środek, za którym przemawia p. Thiers przymierzy między Francyą, Anglią, Austryą i innemi mniejszemi państwami, jest zapewne jedyny w téj chwili, aczkolwiek może już za późno; bądź co bądź, przymierze takie nie jest dostateczném, trzebaby jeszcze czynu i to prędkiego, stanowczego, inaczéj Europa będzie na łasce, jeżeli już nie jest, Prus i Rosyi. O odpowiedzi ministra stanu Rouhera nie wiedzielibyśmy co powiedzieć, gdyby najlepszém jéj scharakteryzowaniem, orzeczeniem i odpowiedzią na nią nie było owo ogłoszenie traktatów między Prusami a południowemi państwami niemieckiemi. Ogłoszenie pokazuje najlepiéj, jaką wagę przywiązywać możemy do słów reprezentanta rządu francuskiego.

Kwestya wschodnia jest znowu niezaprzeczenie na porządku dziennym. Cóż o niéj można powiedzieć, coby wiadomém już nie było. Rosya postępuje pewnym krokiem do dawno zamierzonego celu. Dotąd nic nie zdaje się stać jéj na przeszkodzie, chyba własne wewnętrzne kłopoty i brak przygotowania do stanowczego kroku. O ile więc wnosić możemy, my niewtajemniczeni w sekreta dyplomacyi, Rosya ograniczy się się teraz na przygotowaniu gruntu, osłabiając władzę sułtana, a wzmacniając stanowisko swoich współwyznawców i sprzymierzeńców w państwie otomańskiém. Do tego pierwszego celu dąży ona śmiało i stanowczo, mamy na to dowody równie w przemówieniu W. Ks. Mikołaja w Sebastopolu, jak w ogłoszeniu przez *Journ. de S. Petersburg* dawnych depesz ks. Gorczakowa i w artykułach dzienników rosyjskich. Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak obszerne są koncesye, na które zgodzić się będzie musiała W. Porta; nie wiemy także, jak dalece pod tym względem zaszło porozumienie między mocarstwami; nam się zdaje, iż Francya i Austrya poczyniły tylko Rosyi koncesye, lecz że porozumienia między mocarstwami niema jeszcze; tyle tylko wiemy z pewnością z oświadczeń lorda Derby, iż sułtan zgodził się na wyprowadzenie wojsk tureckich z Belgradu i na zaprowadzenie w sprawie chrześcian reform od tak dawna obiecanych. O losie Kandyi nie ma jeszcze nic stanowczego. Tymczasem pojawiają się pogłoski o nowém ugrupowaniu się mocarstw i o przymierzu to austryacko-francuskiém, to austryacko-pruskiém. Pierwsze uważamy zawsze za

jedynie zbawiennne, drugie byłoby tylko paliatywem chwilowym, lub gdyby było szczere z jednéj i drugiéj strony, musiałoby pociągnąć zupełnie całkowitą zmianę systemów i położenia politycznego Europy.

Wśród tak naprężonéj sytuacyi i tak groźnego położenia cesarz Francuzów otwiera jutro milcząco powszechną wystawę. Ostatnią otwierał wśród nieco świetniejszych okoliczności tak dla siebie jak dla Francyi.

St. Koźmian.

TOWARZYSTWO

historyczno-literackie w Paryżu.

Bezimienny dawca złożył w r. 1850 w Bibliotece Polskiéj w Paryżu, summę złp. 30,000 z warunkiem, aby dochód z niéj wypłacany był aż do śmierci, panu Karolowi Ursynowi Niemcewiczowi, jako znak wdzięczności narodowéj dla stryja jego ś. p. Juliana Ursyna Niemcewicza, a następnie, aby oddawany był, co lat dwa, w nagrodę za najlepszą pracę historyczną, polską, napisaną w myśl programu ogłoszonego przez Radę Towarzystwa.

W wykonaniu tego zapisu, Rada Towarzystwa kupiła w r. 1850 rentę trzechprocentową francuską wynoszącą fr. 885 i takową wedle przeznaczenia, przez lat szesnaście wypłacała.

Gdy obecnie, ze śmiercią Karola Ursyna Niemcewicza, fundusz ten przechodzi pod zarząd Towarzystwa, Rada, chcąc dopełnić włożonego na nią obowiązku, ogłasza na piérwsze dwulecie konkurs następujący:

ROZPRAWA HISTORYCZNA

O przyczynach słabości Rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach (XVII. i XVIII.) z ocenieniem krytycznêm przykładów historycznych, instytucyi i charekteru narodowego.

Rozprawa ta ma wynosić od sześciu do dziesięciu arkuszy druku. Autor pracy najlepszéj otrzyma nagrody fr. 1200; za pracę drugą z rzędu Rada przyzna fr. 600.

Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopiśmie pod adresem sekretarza Towarzystwa, najpóźniéj do dnia 1 Marca 1869 r.

Rękopism powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybraném przez autora; a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, który autor do rękopismu dołączy.

Na posiedzeniu publiczném dnia 3 Maja 1869 r. Rada Towarzystwa przyzna obie nagrody; zarazem odpieczętowane będą listy noszące odpowiednie godła i ogłoszone nazwiska autorów. Inne listy zostaną spalone.

Gdyby do dnia 1 Marca 1869 r. nie była przysłaną żadna praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie cała summa 1800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu tych dwu lat wyjdzie z druku i które Rada za najlepsze osądzi.

Stanisław Zaleski.
Sekretarz Towarzystwa.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawierać będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	12	Złr. w. a.
„ półrocznie	6	„ „
„ kwartalnie	3	„ „
W Prusach	8	Talarów.
We Francyi	25	Franków.
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	1	Złr. 50 c.

OZNAJMIENIE.

Administracya Przeglądu Polskiego przyjmować będzie wszelkiego rodzaju inseraty za cenę 6 centów od wiersza. Stępel w ilości 30 centów za każde pojedyńcze ogłoszenie płaci się osobno. Interesowani w téj mierze zechcą się zgłosić osobiście lub pisemnie do bióra Redakcyi przy ulicy Gołębiéj pod L. 173.

PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT XI.

1go Maja 1867.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.



PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT XI.

Miesiąc Maj 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW

W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

pod zarządem Konst. Mańkowskiego.

1867.

O parcelowaniu gruntów *).

Les pays ou la culture est la plus avancée, sont en général ceux, où dominent les petites propriètés.
de Lavergue.

I.

Dążnością i celem pracy społecznéj nowszych czasów jest oddanie człowiekowi wszystkich praw, które mu się wobec całego społeczeństwa należą, usamowolnienie jednostki, aby się swobodniéj rozrastać i rozwijać mogła, a przeto ludzkość coraz dzielniejszych zyskiwała zastępców. Im daléj postępujemy w dziejach, tém jednostka bardziéj występuje na widownię, tém silniejsze jest dążenie do naginania i stósowania wszelkiéj pracy spółecznéj w kierunku osobistéj wolności człowieka, a wszelkie prawa i urządzenia kornie się zbiegają, aby człowiekowi utorować drogę, na któréjby do zupełnego rozwinięcia naturalnych swych zdolności najprędzéj dojść zdołał. Dążenie to przebija się we wszystkich instytucyach ludzkich i jest tak konsekwentném i niezłomném, że natrafiając na przeszkody, może się tylko odwlec lub zatamować, nic jednak biegu jego powstrzymać nie zdoła.

Spojrzyjmy na szeroki zakres ekonomicznych i prawniczych stosunków, a prawda powyższa w świetnym przed nami zajaśnieje blasku. Wszystkie kraje Europy przechodziły dotąd przez jeden z najważniejszych a najpierwszych procesów zdążających do podniesienia indywidualności przez usamowolnienie klasy poddańczéj, pod jakąkolwiek się ona kryła historyczną skorupą. Usamowolnienie to bywało zawsze pierwszém hasłem, po którém szybcéj inne następowały instytucye. Widzieliśmy

*) W kwestyi skupiania i dzielenia gruntów podaliśmy już zeszłego półrocza znakomitą rozprawę profesora Koczyńskiego, obecnie otwieramy kolumny naszego pisma dla młodego pracownika na polu ekonomii politycznéj, pragnąc wszechstronnie sprawę tę rozświecić. Spodziewamy się nawet, że na tém koniec nie będzie. Gdzie idzie o tak radykalną przemianę stosunków gospodarskich, tam żaden głos sumienny i kompetentny zbytecznym być nie może.

zniesienie cechów, zmienienie praw o lichwie — zobaczymy zniweczenie aresztu za długi, albowiem wolny rozwój człowieka wymaga usunięcia wszelkich z dawniejszą ideą państwa połączonych instytucyi, które obecnie jeszcze jako przejściowe tu i ówdzie istnieją. Aby człowiek rozwinąć zdołał swą indywidualność, aby się mógł stać prawdziwie pożytecznym członkiem społeczeństwa i przyrodzone zdolności do najwyższéj wynieść potęgi, musi mieć wszelką wolność, o ile tą wolnością drugim i społeczeństwu szkodzić nie może. Kardynalną téj wolności podstawą jest zabezpieczenie człowiekowi własności i nadanie mu prawa zupełnego tą własnością rozporządzania. Z tém prawem łączy się nadzwyczaj ważna, a dzisiaj u nas poruszona kwestya parcelowania gruntów, która ma nadać obywatelowi wolność rozporządzania swym kawałkiem ziemi według możności, woli i interesu.

Większa część zachodnich narodów przeszła już ową kryzys, w któréj się kwestya parcelowania gruntów zdecydować musiała, a ponieważ kwestya ta nader ważna i pozornie wielkie wzbudzająca obawy, więc wszędzie, gdzie ją roztrząsano, działo się to z całym zasobem społecznéj wiedzy i miłości kraju. Mimo najsilniejszych gdzieniegdzie opozycyi — parcelowanie gruntów, mobilizacya ziemi stała się prawem, bo prąd ekonomicznych stosunków jest silniejszy, aniżeli najwytrwalsze ustawy na papierze. Co jest ugruntowane w naturze rzeczy, to się zmienić nie da. U nas pora do mobilizacyi ziemi także już nadeszła, ważnym jéj sygnałem jest projekt posła Smarzewskiego na sesyi sejmu galicyjskiego 5 grudnia 1865, a chociaż wniosek chwilowo na nadzwyczaj silny napotkał opór, w końcu w życie wejść musi, bo oparty na ekonomicznem niezłomném prawie.

Ponieważ kwestya ta nieraz przyjdzie pod dyskusyę, nie odrzeczy będzię teoryę parcelowania gruntów cokolwiek szerzéj rozwinąć.

II.

Powiedzieliśmy, że dążnością postępu jest usamowolnienie indywidualności człowieka, a więc i uzyskanie wszelkich sprężyn, które tę dążność wspierają; najważniejszą taką sprężyną są materyalne środki, którémi człowiek rozporządzać może, bo one nadają mu siłę i panowanie nad przyrodą.

Pierwszém więc dla nas pytaniem będzie, w jaki sposób podzielona ziemia najwięcéj owych środków materyalnych wydać nam może, dalszém zaś: kiedy plon ten największą społeczeństwu przyniesie korzyść, czy jako dochód ryczałtowy, czy téż jako dochód czysty.

Na pierwsze odpowiadając pytanie, musimy przedewszystkiem małe i wielkie własności ziemskie wziąść pod rozwagę i zbadać, które większy właścicielowi przynoszą dochód. Sądzę, że własności małe, a więc takie, w których właściciel sam bierze udział w bezpośredniém uprawianiu ziemi, większy przynoszą dochód..

Nie potrzeba, jak tylko przypatrzyć się małym a starannie obrobionym gruntom w okolicy miast i porównać je z wielkiemi dobrami, aby fakt ten uznać najzupełniéj. Właściciel niewielkiéj roli może z najmniejszego korzystać kawałka, może lepiéj ziemię swą obrobić, staranniéj zasiać, ziarno oplewić i z całą pieczołowitością dbać o swą glebę, a nadewszystko jest panem pory i łatwiéj mu daleko zebrać, aniżeli właścicielowi większemu. W tym względzie dziś smutna nas uczy praktyka: w słotny dzień sierpniowy, gdzie deszcz kopki żyta i pszenicy na pościółkach moczy, nie znajdziesz większego właściciela w dobrym humorze, będzie on co chwila spoglądał na barometr i desperował nad każdą nowo się przybliżającą chmurą. Tysiące pościółek leży i zrasta, a jeżeli jeszcze ciepłe słońce chwilami przyświeca, to nasz gospodarz żegna się z pszeniczką, a natomiast myśli zbierać krochmal. Chłop częściéj w takiéj porze się rozśmieje, bo jemu łatwiéj kilkadziesiąt kóp zwieźć do stodoły, łatwiéj wybrać sprzyjającą chwilę, łatwiéj snopek rozwiązać i kłosy wysuszyć. Na ogólną produkcyę ma to wpływ znakomity, bo gdy na wielkiéj własności dużo się ziarna zepsuje, wiele w inny sposób np. dla braku robotników w stósownéj porze na marność idzie, na małéj własności niedogodności te nikną, a przeto ziarna przybywa.

Powiadają, że gospodarz na znacznym obszarze równie wiele może produkować, że ma on do pomocy nietylko umiejętność rolniczą, lecz ma maszyny, których właściciel mniejszy zaprowadzić nie jest w stanie — nie przeczę, że zdarzyć się może, iż ten lub ów na wielkiéj własności równie tyle zbierze, ileby zebrali mniejsi właściciele, gdyby ta własność

na części podzieloną była, ale fakt ten liczyć można tylko do wyjątków. Istnieje wprawdzie w każdéj okolicy kilka wzorowych gospodarstw, korzyść z nich jednakże wynika z szczególnego uzdolnienia lub staranności gospodarza, a nie z téj właściwości, że są wielkimi; proszę sobie przypomnieć opis sławnego gospodarstwa w Niemczech przez p. K. Langiego w kalendarzu naukowym z r. 1865, gdzie nam sprawozdawca prawdziwe opowiada cuda: Niemiec ów nietylko że sam swe zboże miele w parowych młynach, sam przerabia wszystkie surowe produkta, ale buduje nawet kanały, aby swój towar daléj przesyłać; czyż jednak takie gospodarstwo może być dowodem, że gospodarstwa większe również tyle niosą dochodu co mniejsze? bynajmniéj, są to wyjątki, które w ogólnéj liczbie nikną najzupełniéj.

Przytoczymy tutaj kilka przykładów, które nam wykażą, że z postępem rolnictwa wielkie własności o wiele mniéj niosą, aniżeli gospodarstwa mniejsze, i że byłoby z największą szkodą kraju upierać się dłużéj przy zakazach parcelowania gruntów.

Pan J. L. z Karniowa umieścił w „Dzienniku rolniczym“ krakowskim bardzo dobry przykład:

„Majętność do 800 morgów obszaru dworskiego mająca, w średnio urodzajnéj glebie położona, przy któréj 40 włościańskich osadników mieszka, przed 20 laty sposobem polowym zagospodarowana, z 500 około morgów gruntu folwarcznego, zbożem obsiewanego, produkowała mniéj więcéj rocznie kóp 1200, które dawały od 1500 do 2000 korcy zboża, to zaś po odtrąceniu zasiewów, ordynaryi, domowéj potrzeby itp. spieniężone, czyniło brutto wraz z niewiele czyniącym dochodem z nabiału, propinacyi, sadu itp. 24 do 32 tysięcy złp. czyli złr. 6 do 8000.

	Z tego odtrącić trzeba było:	złr.
1.	Podatek, ofiary, dymowe, szarwarkowe, dziesięciny .	200
2.	Koszta administr. gospod. i dozoru gotówką . .	125
3.	Najem miejscowy do pańszczyzny najwyżéj . . .	400
4.	Zasługi służących gosp.	100
5.	Potrzeby gosp., żelazo, skóry itp. oraz narzędzia .	500
6.	Reparacya budowli dworskich i włościańskich . .	750
7.	Przykupno inwentarza	250
	Razem wydatki .	2325

Co odliczone od przychodu, wykazuje czysty dochód od 4 do 6000 złr. rocznie.

Obecnie ten majątek w tém samém ręku dotąd będący, na płodozmian urządzony, obsiewa zbożem tylko około 250 morgów, z tego w roku 1864 zebrano kóp 1700. Omłotu korcy 3500 (rok nienajurodzajniejszy). Co po sprzedaży zbywającego od miejscowéj potrzeby uczyni najwyżéj

około	złr.	9000
Nabiał i sprzedaż inwentarza	„	4000
Propinacya, drobne dochody	„	1000
Razem przychodu brutto .	złr.	14000

Z tego wszakże wydać trzeba:

1.	Podatki, dodatki, spłata dziesięcin, konkurencye i w. i. około (stałéj cyfry trudno oznaczyć	„	1800
2.	Administracya i dozór dziś gotówką . . .	„	500
3.	Najem (najwięcéj obcy, bo miejscowa robocizna już dziś nie wystarcza)	„	3500
4.	Służących zasługi (bo ich dużo więcéj, trzy razy drożéj płatni a dwa razy mniéj robią) .	„	2500
5.	Asekuracya (w ciągu 20 ostatnich lat 4 znaczniejsze szkody wyniosły przeszło 100.000 złr.	„	750
6.	Utrzymanie maszyn, sprzętów gospod. itd. .	„	1500
7.	Kupno materyału budowlan. na reparacye (nie nowe), majstrów (wszystko niemal droższe 4 droższe jak dawniéj)	„	1500
	Razem zwykłego rocznie wydatku .	złr.	12050

Powinnoby zostać, jeżeli coś nadzwyczajnego nie wypadnie . . . . złr. 1950

„Zważywszy wszakże, że obecnie wszystkie potrzeby domowe dwa razy drożéj się płacą, a pomimo tego wszelkie przedmioty do użytku codziennego służące dwakroć mniejszą mają trwałość, przychodzi się do jasnego rezultatu, że jakkolwiek gospodarstwo nie upadło, bo produkcya znakomicie się podniosła (nigdy wszakże w tym stosunku, co konieczne wydatki, potrzeby i ciężary gruntowe), wyjaśnia się przyczyna, dlaczego przed 20 laty, przy gorszym sposobie gospodarowania i potrzeby gospodarskie opędzić i wygodniejsze życie prowadzić można było, i jeszcze coś oszczędzić, a dziś przeciwnie,

do pokrycia najkonieczniejszych, *ad minimum* zredukowanych potrzeb, braknąć musi, a zatém otwarta do bankructwa droga.“

Z mniejszą własnością zupełnie się przeciwnie stało, rentuje się ona dzisiaj doskonale, dobry byt chłopów się podnosi, osobliwie w miejscowościach, gdzie mają gospodarze wyżéj 10 morgów zagrody. Pod miastem nawet drobna własność uczciwe daje utrzymanie; koło Krakowa na Krowodrży, Czarnéj wsi, mórg wystarcza do porządnego wyżywienia i okrycia rodziny, to samo bywa i pod małemi miasteczkami, jeżeli lud nie zdemoralizowany pijaństwem.

Przytoczę teraz inny przykład z zagranicy:

Gdy kwestya parcelowania poruszoną była w prowincyach nadreńskich, jedno z tamtejszych towarzystw rolniczych ogłosiło nader dokładne sprawozdanie burmistrza w Lambsheim, dotyczące produkcyi rolnéj małych własności.

Wioska ta liczy 436 właścicieli ziemskich, z których

202	posiada	5	morgów lub mniéj,		
88	między	5	a	10	morgów
71	„	10	a	20	„
31	„	20	a	30	„
22	„	30	a	40	„
6	„	40	a	50	„
5	„	50	a	60	„
3	„	60	a	70	„
2	„	80	a	90	„
1	„	90	a	100	„
2	„	120	a	130	„
1	około .	.	.	300	morgów.

Z tych własności produkowano w przecięciu rocznie 4130 m. pszenicy ozimėj, 760 m. letniéj, 6100 żyta, 2030 jęczmienia, 4050 owsa, 125 kukurudzy, 9000 ctn. lucerny, 7920 ctn. esparcety i 200 ctn. koniczyny, za 800 fl. wyki i owsa (paszy zielonéj), 14600 siana, 29400 m. ziemniaków, 44100 ctn. buraków pastewnych, 24600 ctn. rzepy, 1700 taczek karpieli, 400 m. rzepaku, 96 m. grochu, 140 m. soczewicy, 135 ctn. konopi, 90 m. siemienia, 182 ctn. tytoniu, 2100 ctn. korzeni cykoryi, 2400 buraków cukrowych i 198 wiader wina — czysty dochód téj produkcyi wynosił 140—150000 fl. Dochód ten porównany z dochodem trzech wielkich własności

w Prusiech, należących do jednego właściciela, zajmujących obszar ziemi wyrównywający obszarowi Lambsheim, o téj saméj glebie, nader wielką przedstawia nam cyfrę, ostatnie bowiem trzy własności przynosiły rocznie w przecięciu z lat dziesięciu 40872 talarów mimo znacznéj pańszczyzny, która właściciela nic nie kosztowała. Przykład ten przytoczyłem dlatego, że w swoim czasie posługiwały się nim pruskie pisma, jako nader autentycznym; mniejsza zresztą o to, ile ten przykład dowodzi, nam nie potrzeba jak spojrzeć na niejeden majątek wielki na Podolu, Wołyniu, lub na taką Pińszczyznę i porównać ją z równą ilością ziemi podzielonéj na drobniejsze własności, a bez dat statystycznych „na oko", że się tak wyrażę, przekonamy się, o ile większy dochód w przecięciu przynoszą drobniejsze własności.

Są jednak korzyści w ekonomii spółecznéj, które li tylko większym zawdzięczamy własnościom. tutaj przedewszystkiem należą lasy. Leśnictwo tylko na większéj własnosci kwitnąć może, gdyby lasy do mniejszych własności poprzydzielane zostały, to z pewnością za lat kilkadziesiąt bardzo smutna wkradłaby się gospodarka, a góry nasze zamiast poważną czupryną świeciłyby jasno łysinami. Regularnie po sobie następujące wręby w wielkim tylko obszarze utrzymać się dadzą, zresztą mniejszego właściciela zawszeby brała pokusa las sprzedać, wykarczować, a natomiast kawałek ziemi uprawiać. Hodowla koni także z lepszą korzyścią na większéj da się utrzymać własności, chociaż w Prusach po wprowadzeniu wolności parcelowania gruntów liczba koni także się zwiększyła, i tak w r. 1816 liczono 1,243.261 koni, w roku zaś 1837, 1,472.901, a więc o 129.640 koni więcéj (*S. Hoffmann*, *die Bevölkerung des preussischen Staates)*, co się znów tém da wytłómaczyć, że niekoniecznie dlatego liczba koni się powiększyła, aby ich hodowla na małéj własności większą przynosiła korzyść, ale dlatego, że przy zwiększaniu się stosunków handlowych więcéj koni było potrzeba, ilość koni więc tutaj nie dowodzi korzyści, ale zwiększonéj potrzeby. Co do mniemania, jakoby wielkie własności dlatego były korzystne, że na nich wprowadzać można machiny, to mniemanie takie zupełnie nieuzasadnioném mi się być zdaje, pytam się bowiem, czy machiny istnieją dla większéj własności, czy większa własność dla ma-

chin? Smutnoby było, gdyby zadaniem większéj własności było li udoskonalenie machin; zresztą do użycia machin przy większych gospodarstwach doprowadził tylko ów deficyt, który im zawsze brakuje, aby dorównać w ryczałtowéj produkcyi własnościom mniejszym, pomimo jednak użycia machin deficytu tego pokryć się nie udało.

Jedną z największych niekorzyści, jakie wielkie własności za sobą pociągają, jest to, że muszą utrzymać znaczną ilość rodzin wyrobniczych, albo przynajmniéj bardzo wiele sług. Wiadomo zaś, o ile gorszą jest praca sługi od pracy właściciela, i w téj to różnicy pracy musimy szukać jednéj z głównych przyczyn, dlaczego własności mniejsze większy przynoszą dochód. Pospolicie rachują, że jeden właściciel w czterech dniach tyle zrobi, co najemnik w sześciu, im mniejsze zaś własności w jakiéjś okolicy, tém więcéj właścicieli trudni się uprawą ziemi, tém mniéj obcéj potrzeba pomocy. Małemu gospodarzowi więcéj chodzi o ziemię, wielkiemu zaś o użytą pracę, dlatego pierwszemu najkorzystniéj zaprowadzić gospodarstwo jak najbardziéj intenzywne, przeciwnie gdy ostatni często w gospodarstwie obszarowém większą korzyść znajdzie. Tutaj wprawdzie łatwiejszy jest podział pracy, tam jednak o pracę i czas nie tyle chodzi, bo te małego właściciela nie kosztują. Wszystko, co on zyska, jest dla niego czystym dochodem, tymczasem właściciel większy bardzo oględnie z nakładem pracy obchodzić się musi, bo praca u niego to znaczy gotówka.

Małe własności znowu specyalne przynoszą korzyści w gospodarstwie narodowém, najważniejszą jest tutaj uprawa roślin handlowych, ogrodowizn, owoców potrzebujących wiele zachodu, pielęgnowania, częstego okopywania, plewienia itd. Rośliny podobne nieraz bardzo ważne i konieczne ze stratą tylko na większéj własności dałyby się produkować. Daléj własności małe żywią więcéj bydła aniżeli własności większe, pochodzi to bowiem z możności zużytkowania wszystkich rodzajów paszy i okrawków w małém gospodarstwie.

Tak więc widzimy, że i jedne i drugie własności mają dobre strony i jedne i drugie są potrzebne w ekonomii rolniczéj, za przewagą małych gospodarstw przemawia jednak, jak dotąd widzimy, bardzo ważna rzecz — większy dochód ryczałtowy.

Powiecie jednak, co to dochód ryczałtowy? o dochód czysty chodzi, a ten dochód z mniejszych własności jest daleko mniejszy. Proszę o chwilkę cierpliwości. Zdanie to zresztą bardzo utarte i najczęściéj zarzucają go obrońcom podzielenia większych własności — jest ono jednak zupełnie fałszywém, albowiem mniejsze własności niosą nietylko większy dochód ryczałtowy, ale większy dochód czysty, większą rentę. Dowodem tego jest nie w porównaniu wyższy czynsz, jaki dzierżawcy mniejszych własności płacą, a nadto cena, za jaką mniejsze własności stosunkowo nabywać trzeba. Mórg pola mniejszéj własności idzie daleko wyżéj w targu, aniżeli odpowiedni mórg w kompleksie znacznego terytoryum. Prawdy téj i u nas w Galicyi nieraz doświadczono, a każdy z większych właścicieli jest przekonany, że gdyby wioskę swą na mniejsze porozdzielał parcele, toby na tém dobry zrobił interes. Wprawdzie na to podwyższenienie ceny kupna nietylko renta wpływ wywiera, ale i znaczna konkurencya knpujących. Osobliwie w okolicach miast i miasteczek współzawodnictwo to ogromnie podnosi cenę mniejszych własności, mnóstwo bowiem rzemieślników, emerytów, mniejszych kapitalistów wzdycha do posiadania kawałka ziemi, sądząc, że tym sposobem egzystencya ich daleko pewniejszą się stanie. Cena ta jest tutaj raczéj *praetium affectionis*, któréj jako ekonomicznéj reguły przyjąć nie można. Przytaczamy np. okolicę miasteczka Brzozowa, gdzie cena morga gruntu przechodzi często 250 fl., a to z téj przyczyny, że naokoło miasteczka jest wiele pomniejszych folwarków, które dla zamożnych rzemieślników, wysłużonych oficyalistów są marzeniem długiego żywota, eldoradem, do którego wzdychają.

Konkurencya ta jednak nie jest zjawiskiem stałém, bo na czas dłuższy narażałaby kupujących na wielkie straty, gdyby rzeczywiście renta ziemska nie była odpowiednią; podstawą więc wysokich cen mniejszych posiadłości musi być ostatecznie wyższy dochód czysty.

Przypuśćmy nawet, że dochód czysty bywa mniejszy, a li tylko dochód ryczałtowy do wyższéej dochodzi potęgi, to i w tym razie jeszcze musielibyśmy być za mniejszemi posiadłościami, albowiem w każdym razie trzebaby przypuścić, że na mniejszych posiadłościach więcéj wolnych niezawisłych mie-

szka obywateli, aniżeli na posiadłościach większych, a chociaż ostatni będą mieli więcéj wpływu i siły, w pierwszym razie przeważy liczba, a przecież zadaniem stosunków ekonomicznych winno być jak najwięcéj ludzi postawić w możności stania się niezawisłymi. Ztąd też powiada Sismondi (*Etudes sur l' économie politique*, *Bruxelles 1837.* T. I. str. 250), że ten stan społeczeństwa jest najpożądańszy, gdzie całe staranie obraca się na pozyskanie jak największego dochodu ryczałtowego, gdzie produkcya jak największéj ilości pracy potrzebuje, którą hojnie wynagradza.

Rozpatrując się w korzyściach, jakie przynoszą z jednéj strony dobra mniejsze, z drugiéj zaś większe posiadłości, zgodziliśmy się, że jedne i drugie w harmonii gospodarczéj są potrzebne, chodzi tylko o znalezienie ich liczebnego do siebie stosunku. Szukać zaś tego stosunku byłoby to samo, co szukać kamienia mądrości lub uniwersalnego lekarstwa; stosunek ten sam najlepiéj się znajdzie, potrzeba tylko parcelom pozwolić łączyć się ze sobą według stosunków i skłonności ekonomicznéj. Skoro nie będziemy stawiać zakazów rozdzielania gruntów, to w okolicach urodzajnych, gdzie każdy kawałeczek ziemi z korzyścią użytym być może, tudzież w pobliżu miast, kolei itd., ziemia się rozpadnie na drobne parcele, a liczna, pracowita okryje ją ludność, przeciwnie w gorszéj glebie, w okolicach lesistych, posiadających znaczne łąki, lub oddalonych od ognisk konsumpcyi będą się tworzyć większe własności, choćby tam teraz nawet nie istniały, albowiem w tych okolicach największą korzyść będzie można osiągnąć z pomocą machin rolniczych, lub przez hodowlę koni, poprawnych ras bydła, stad owiec itd. Naturalną bowiem jest rzeczą, że wolność parcelowania gruntów sprzyja tak dobrze łączeniu się jak i rozdrabnianiu własności ziemskich, ekonomiczna potrzeba jest najlepszą wskazówką, czy łączenie czy rozdrabnianie nastąpi. Dlatego jesteśmy najzupełniéj przeciwnymi proponowanemu nieraz półśrodkowi zaprowadzenia wolności podziału gruntów, z zastrzeżeniem jednak prawnego *minimum*, niżéj którego własności ziemskiéj rozdrabniać nie wolno. Jako normę przyjmują tutaj zwykle, że żadna własność nie może być mniejszą, jak tylko taką, aby właściciel z niéj niezawiśle żyć zdołał. Pytamy się jednak, któż to tę normę sumiennie ustanowić

potrafi? a czy zresztą w każdym razie ona korzystną będzie? dajmy na to w okolicach fabrycznych, tam własność najmniejsza, ogródek około domu nadzwyczaj ważną odgrywać może rolę w życiu wyrobnika, jemu nie potrzeba utrzymania, bo to mu fabryczna dostarcza praca, potrzeba mu tylko małéj zapomogi w ziemi, którąby go na czas stagnacyi fabrycznéj, na czas choroby zabezpieczyć mogła, którąby nareszcie wlała w niego ową miłość i przywiązanie do kraju, którą rozbudza najmniejszy kawałek ziemi. Jestem najmocniéj przekonany, że to niemożebność oznaczyć prawnie wszystkie lokalne i osobiste stosunki, któreby przy ustanowieniu większego lub mniejszego minimum rozstrzygającemi być mogły. Wszakże rzecz naturalna, że minimum musiałoby być mniejszém na urodzajnéj nizinie lub nad korytem rzeki, niż na karpackiéj połoninie lub w jałowéj glince. Gdzież jednak znajdziemy granicę tylu różnorodnych odcieni, kto oznaczy nam wpływ, jaki w jednym lub w drugim razie wywiera ziemia, klimat, osobista zdolność gospodarza, stosunki familijne, nareszcie jego kapitał lub długi! Chcielibyśmy, aby tych, co owe minimum projektują, zasadzić za zielonym stolikiem i polecić im pisać projekt do prawa w tym względzie, zaręczam, że wyrzekliby się propozycyi.

Że wolny podział gruntów rzeczywiście sprzyja ugrupowaniu się ziemskich posiadłości w sposób najkorzystniejszy i najodpowiedniejszy naturze rzeczy, we wszystkich to widzimy krajach, gdzie wolność ta rychło zaprowadzoną została i gdzie inne historyczne stosunki rozwojowi gruntowych posiadłości na przeszkodzie nie stały. W tym celu przejdziemy kraje, których stosunki rolnicze na szczególną zasługują uwagę.

III.

Według dawnego zwyczaju zaczynamy od starożytnych ludów. Choć zwyczaj to niemiecki i tchnie cokolwiek pedantyzmem, ma przecież za sobą wiele dobrego. Już starożytni bowiem badali kwestyę, czy mniejsze czy większe ziemskie posiadłości większą przynoszą korzyść. Przytaczamy w téj mierze zdania i doświadczenia wypowiedziane ustami czterech pisarzy, które nam dowodzą, że sąd ich w téj mierze był ten sam od czasów, gdzie rolnictwo najbardziéj kwitło aż do epoki jego zupełnego upadku:

Laudate ingentia rura, exiguum colito.

Wirgiliusz.

Nec dubium quin minus reddet laxus ager non recte cultus, quam augustus eximie.

Columella.

Latifundia perdidere Italiam, jam vero et provincias.

Pliniusz.

Faecundior est culta exiguitas, quam magnitudo neglecta.

Palladiusz.

Czasy Peryklesa były najświetniejazą Aten epoką, ale blask ten był zwiastunem moralnéj i politycznéj śmierci, bo małe własności już wtedy bardzo się pomniejszyły co do liczby, a ziemia zaczęła być coraz bardziéj monopolizowaną. Toż samo w Rzymie najpiękniejsze były czasy Antoninów, a po tych bezpośrednio następuje upadek, bo drobny ziemski właściciel zniknął, a własność wielka stała się podstawą gospodarstwa. Zakazy dzielenia gruntów także w starożytności często spotykamy. Likurg jak we wszystkiém absolutny i sądzący że do chwilowych potrzeb zastósowana organizacya społeczeństwa wieki niewzruszona stać potrafi, podzielił w Sparcie ziemię na 39,000 części, z nakazem aby te części nigdy podzielonemi nie zostały. Późniéj gdy się maszyna raz nakręcona psuć zaczynała, starano się znów prawo to naprawić, ale natura rzeczy pokazała się silniejszą od prawodawców, a próby pozostały bez żadnych rezultatów.

W ogóle w starożytnych rzeczachpospolitych surowe bywały zakazy przeciw podzielności gruntów, mimo zakazów jednak parcelowanie się odbywało, a zakaz prawny sprowadzał tylko szkodliwe następstwa, z których późniéj podobne co w Irlandyi (patrz niżéj) wyradzały się skutki.

Latifundia perdidere Italiam powiada Pliniusz, a zdanie to jest wielką prawdą i niejednemu winno utkwić w pamięci. Dlaczego Kampania rzymska dziś jeszcze w tak nędznym znajduje się stanie? Notoryczną wielu starannemi badaniami i papieskiemi nawet rozporządzeniami stwierdzoną jest rzeczą, że owe *latifundia* są przyczyną złego i że dopóty nie można myśleć o radykalném zapobieżeniu złemu, dopóki ze zmianą systemu obrabiania ziemi w Kampanii nie utworzy się stan czerstwy i zdrowy drobnych rolników (doskonałe w téj mierze

spostrzeżenia w dziele: *Della Campagna di Roma Memoria di Alfredo Reumont*).

IV.

Jest u nas zwyczaj odwoływania się w każdéj kwestyi do Anglii, pomimo że niezawsze dokładnie znamy tamtejsze stosunki. W kwestyach handlowych i fabrycznych odwoływanie się takie nie może być jak tylko nadzwyczajnie korzystném, w kwestyi jednak praw rolniczych apelacya do Anglii najzupełniéj się mi fałszywą być zdaje. Stosunki rolnicze angielskie na zupełnie odmiennych tradycyjnych i historycznych stanęły podstawach aniżeli na kontynencie, a zresztą iść torem Anglii pod względem urządzeń agraryjnych, byłaby to bardzo śliska droga. Każde prawodawstwo rolnicze do tego zmierzać powinno, aby w narodzie rozwinąć jak najwięcéj organicznéj i żywotnéj siły; pytamy się czy Anglia ma tę siłę rzeczywiście? Anglia względnie jest jednym z najuboższych krajów Europy, ona sama o sobie ostać się nie może, niech Rosya weźmie kiedyś Anglii Indye, a Ameryka resztę kolonii, to Anglia w jednéj chwili staje się państwem bez znaczenia, narażoném na najmonstrualniejsze socyalne przewroty. Większą część utrzymania swego narodu i środków do egzystencyi rządu ciągnie Anglia z zysku handlowego, z zakupna bawełny, wełny, zboża i innych surowych produktów za tanie pieniądze i ze sprzedaży tychże w kształcie materyi i żeleziw za wysokie ceny. Od chwili gdzieby Anglia zysk ten utraciła, postradałaby swoją siłę, nie zdołałaby wyżywić i okryć swoich mieszkańców. Nowsi angielscy ekonomiści po większéj części są za wielkiemi własnościami, aleź to rzecz bardzo naturalna, bo oni zaślepieni w swym systemie handlowym, nie mogą być za własnością małą, bo w tym razie utraciliby najważniejszą sprężynę w systemie handlowym, t. j. głodny proletaryat fabryczny. Ze zniszczeniem większéj własności rozmnożyłby się zdrowy stan drobnych rolników, napływ ludności ubogiéj do miast fabrycznych zmniejszyłby się, zarobek poszedłby w górę, a Anglia nie zdołałaby wytrzymać konkurencyi z obcemi wyrobami na kontynencie. Każdy kto chce wielkość Anglii na drodze na któréj dotąd rosła utrzymać, musi być za wielką własnością — bo mu nie chodzi o rolę ale o pracę, celem przerabiania cudzych

płodów surowych. Anglia w swoim rodzaju ciągnie z kolonii i kontynentu korzyści nielada: kontynent daje jéj pożywienie, okrycie i mieszkanie dla 4 milionów robotników, daje jéj cukier, herbatę, kawę, tytoń, owoce i inne produkta dla 28 milionów ludzi, daje jéj bawełnę, len, konopie, jedwab, drzewo budulcowe i inne surowe materyały potrzebne jéj dla zaspokojenia potrzeb własnych i na wywóz, a odbiera natomiast pracę pół miliona ludzi — motłochu fabrycznego zajętego najniższą pracą, i małą część danych jéj płodów surowych. Anglia nie może inaczéj egzystować jak pomnażając u siebie tłumy żebraków, a te tylko przy wielkich własnościach istnieć mogą. Handel zagraniczny zaczyna konkurować z Anglią na europejskich i amerykańskich targach, więc jakimże sposobem ona się jeszcze utrzymać zdoła? — przez tańszą pracę fabryczną, przez pomniejszenie zarobku. Anglia dopóty wytrzyma konkurencyę, dopóki zniżanie zarobku fabrycznego nie dojdzie tam do takiego *minimum*, że istoty ludzkie przy angielskich fabrykach użyte z tego *minimum* zarobku ruszać się i żyć nie będą w stanie. Anglia spróbuje automatami pracować, ale i machiny tylko do pewnego stopnia wykształcić się dadzą. Anglia aby istniała musi mieć więcéj pracy niż jéj potrzebuje — a zkąd jéj dostanie? oczywiście przez monopolizacyę własności ziemskiéj, w skutek czego więcéj robotnków idzie do fabryk jak ich potrzeba, przez monopolizacyę maszyn, w skutek czego robotników fabrykanci na ulicę wyrzucają, przez ciężką pracę kobiet i dzieci. Na tych to woła Anglik: „zgłodniali, chcecie pracować? — dam wam pół bochenka chleba!“ — a nieszczęśliwi współrodacy cisną się do niego by zaspokoić głód.

Oto gospodarstwo angielskie, oto wielkie tamtejsze własności. Powiecie że przesadzam, że proletaryat angielski z innych powstał przyczyn? — wielka własność i tania praca, a więc wielka własność i nędza zawsze idą w parze. Najlepszym na to dowodem jest pańszczyzna. Gdziekolwiek była wielka własność — tam panowała pańszczyzna lub niewola i naodwrót. Wyzyskując tylko i zniżając cenę pracy robotników, wielki właściciel z korzyścią wyjść może. Im bardziéj w Polsce dominowała szlachta i wielkie wzmagały się majątki, tém bardziéj pomnażano dni robocze chłopom. W wieku XV system czynszowy jeszcze powszechnym był w Polsce, chłop

miał się dobrze, rolnictwo kwitło; w wieku XVItym zaczęto zaprowadzać pańszczyznę, bo szlachta nie mogła w inny sposób obrobić większych folwarków. Nawet prawo już większéj własności i szlachcie przychodzi w pomoc, a statut toruński (1521) oznacza liczbę dni roboczych, którą potém panowie samowładnie podnoszą. W XVIItym wieku stan pańszczyźniany posunięto do ostateczności, wtedy Polska była najsłabszą. Czyż potrzeba nam jednak lepszego dowodu jak świeża pamięć stosunków w Galicyi? — pókiśmy mieli pańszczyznę, a więc tanią pracę, dopóki szlachta miała w ręku siłę monopolizowania zarobku, dopóty byliśmy panami, dopóty większa własność grube przynosiła dochody — dochody te jednak nie były renta z ziemi, ale podatkiem z cudzéj pracy; skorośmy postradali pańszczyznę, ruina większych majątków szybko nastąpiła, bo wielka własność dając mały dochód, nie mogła się dłużéj utrzymać, a walące się na większą własność długi coraz bardziéj nas napominają, aby przemienić zgubne ekonomiczne stosunki, pozwalając rozdrabniać dworskie obszary.

Jako główny argument przeciw parcelowaniu gruntu służą stosunki w Irlandyi; każda opozycya tego ekonomicznego postępu stawia Irlandyą jak stracha w konopiach, odstraszając tym sposobem łatwowierne wróble; ależ trzeba rozważyć tylko cokolwiek historyczne stosunki Irlandyi, aby się przekonać, że stracha tego nie ma się co obawiać, że smutny stan irlandzkiego gospodarstwa ma raczéj swą przyczynę w wielkich posiadłościach, w majoratach, aniżeli w posiadłościach małych.

Faktem jest niezaprzeczonym, że w Irlandyi uprawiają ziemię w nadzwyczaj rozdrobnionych częściach, są to okruchy roli, z których wyżywić się często niepodobna. Mały wykaz posiadłości tamtejszych smutny ten nam okaże stosunek. Ażeby rodzina uczciwie wyżyć mogła, potrzeba tam mniéj więcéj 8 akrów ziemi, tymczasem wielkość dzierżaw irlandzkich jest następująca:

dzierżawy	do 1 akra	rozciągłości,	posiada	135,314	osób
„	od 1 — 5 akrów	„	„	181,950	„
„	„ 5 — 10 „	„	„	187,909	„
„	„ 10 — 20 „	„	„	187,582	„
„	„ 20—100 „	„	„	187,213	„
„	nad 100 „	„	„	25,047	„
			ilość dzierżawców	905,015	

Nadto istnieje tam jeszcze 25,789 takich, którzy na spółkę z innymi dzierżawy trzymają, 4,431 niepodciągniętych do żadnéj z powyższych klas, ogólna więc suma dzierżawców w Irlandyi 935,235 na 19 $^1/_4$ miliona akrów. Ilość rzeczywiście ogromna! a nędza przechodzi granice cierpień ludzkich.

Jeden z dzienników angielskich z czerwca 1842 r. powiada: „nędza która się od wieków w Irlandyi rozgęściła, nie wynika z istnienia wielkich zakładów fabrycznych, ale z wysysania kraju przez trzydziestu może wielkich właścicieli (a więc ilość właścicieli niewielka!). Miasto Limerick, w którego okolicy wybuchły niepokoje, jest jedném z najnędzniejszych w Irlandyi, albowiem tam pracę mieszkańców w najbardziéj nieludzki wyzyskują sposób. Większa część ziemi należy do hr. Limerick, który się nigdy w Irlandyi nie pokazuje. Jest on godnym współzawodnikiem lorda Clifden właściciela miasta Callen.

Jeden jak drugi żądają od mieszkańców swych dóbr nadzwyczajnych czynszów i pobierają z ich nędzy podatki. Lord Clifden zaprowadził urząd celny u bram miasta Callen, pobierający opłatę od wszystkich rodzajów żywności. W mieście żyje 4 — 5000 ludzi, 1000 z tych nieszczęśliwych zwykle jest bez zatrudnienia, 6—700 pozbawionych wszelkich dochodów, a kilkuset żebraków niezdatnych do pracy z przyczyny chorób i osłabienia. Za pozór do pobierania ceł służyło lordowi utrzymywanie dróg, pomimo to grosza nigdy na nie nie wydał i nie można sobie gorszych dróg pomyśleć jak te, na których utrzymanie lord tak wielkie pobiera opłaty. W hrabstwach Limerick, Waterford, Kickenny etc. ziemniaki jedyném są pożywieniem; wszystkie inne produkta i mięso wyprowadzają na rachunek wielkich właścicieli. W pobliżu téj nędzy wszelkie przechodzącéj pojęcie, lśni najokazalszy zbytek: np. park markiza de Waterford obejmuje 4600 morgów, a drugi najpiękniejszy w Anglii lorda Besborough także koło Waterford w niczém tamtemu nie ustępuje.“

Nędza więc irlandzkich dzierżawców ogromna, ażeby zaś jéj przyczynę zbadać, w dawniejsze się trzeba cofnąć dzieje.

Po upadku rzymskiego państwa przechodziła Irlandya przez te same przewroty co cała zachodnia Europa, w któréj po zniesieniu niewoli poddańcze nastąpiły stosunki. Wtedy pra-

wo polegało na zwyczaju, ale zwyczaj był świętym. Pod opieką też zwyczaju wzmacniała się przytłumiona ludność, i szybko się rozwijać zaczęła. W miejsce moczarów i lasów nastąpiło rolnictwo i budowle. Pan który okolicę odziedziczył lub uzyskał, dawał każdemu, kogo do siebie chciał przywiązać, kawał ziemi pustką stojącéj i nic z téj ziemi nie żądał; tym sposobem jednak gromadził pod swój sztandar liczną drużynę i zyskał potęgę i znaczenie. Czasem żądano jako znak poddaństwa produkta rolnicze, zwykłą jednak zapłatą było świadczenie pewnych usług panu, które nigdy nie stały w stosunku do wartości danego gruntu. Według mniemania ówczesnego korzyść z owych obszarów wypływała z nabycia ludzi. Za pana bił się chłop na wojnie, jemu był we wszystkiém posłuszny, jemu się oddał duszą i ciałem. Prócz pana nie znał on żadnego innego sędziego, prawodawcy, wodza i obrońcy, a chociaż potęga pana wyradzała się czasem w uciążliwą przemoc, to przecież własny jego interes żądał, aby sobie zasłużył na przywiązanie, miłość i uległość wazali.

Feudalne te stosunki Irlandyi ciągnęły się aż po nasze czasy: ludność wystarczała dla kraju, nigdzie jednak nie było przeludnienia. Wprawdzie Anglicy zdobyli Irlandyę już w r. 1172 za Henryka IIgo, ale właściwe podbicie miejsca mieć nie mogło, bo nie zdołano chłopa rozłączyć z panem, i chłop zawsze sprzeciwiał się rozporządzeniom z Anglii nadchodzącym, jeżeli mu to pan przykazał. Codzienne te zatargi na wszystkich punktach kraju stały się przyczyną krwawych angielskich praw przeciw Irlandczykom i były zarodem nienawiści między Anglią a Irlandyą, która to nienawiść rozkrzewiła się już kilka wieków przed reformacyą.

Reformacya nareszcie gwałtownie zatrzęsła temi stosunkami. Irlandczycy potępili nową naukę, Anglicy jednak siłą narzucali protestantyzm, a tym sposobem przyprowadzili do wielkiego powstania, które Cromwel stłumił i Irlandyę zdobył. Znaczna część dóbr należących do Irlandczyków została skonfiskowaną i rozdzieloną pomiędzy angielską szlachtę. Nietylko jednak terytorya zamków warownych jako specyalna własność irlandzkich panów przeszła w nowe posiadanie, ale nadto wszystkie posiadłości dawniejszych wazali musiały nowym uledz warunkom. Według tytułu posiadania i ścisłego prawa, ziemie

te należały panu, według zwyczaju jednak były własnością chłopa, który je za małą zaledwie z nazwiska istniejącą zapłatę posiadał. Anglicy nie uszanowali tego zwyczaju, a przywiązanie chłopów do dawniejszych irlandzkich rodzin było tylko powodem aby ich z gruntów wypędzać; całém staraniem centralnéj władzy było, rozdzielić chłopa z panem nieprzebytą przepaścią i zniszczyć tym sposobem dotychczasowe państwo w państwie.

W ten sposób skonfiskowano dobra nietylko znaczniejszych przewódców ruchu, ale i posiadłości całéj rolniczéj ludności. Anglicy przemienili służebności na rentę, którą od gwałtownego zdzierstwa *rackrent* — rentą torturową zwano. Naturalną było rzeczą, że ludność chcąc w jakikolwiek sposób zyskać utrzymanie, przystawała na wszystkie warunki stawiane przez nowych gnębicieli, zwłaszcza gdy prócz rolnictwa innego sposobu zatrudnienia nie miała. Chłopi płacili dotąd tak zwaną *quitrent*, nieodpowiadającą bynajmniéj dochodowi z ziemi, teraz zaś wymierzono rentę według najwyższego możliwego dochodu i wymuszano ją torturą nędzy i głodu.

A tak skoro los irlandzkich chłopów raz utracił materyalną swego bytu podstawę, nędza od generacyi do generacyi coraz się bardziéj zwiększała. Odtąd nie znali oni zbytku w ubiorach i mieszkaniach, nie znali nawet co to jest czystość, wystarczało im żyć — a życie to starali się najmniejszemi opędzić potrzebami. Wśród téj nędzy ludność się jeszcze powiększała, co przypisać należy wpływowi katolickiego duchowieństwa, które ograniczone tam tylko na przypadkowe dochody z chrztów, ślubów i pogrzebów, miało w tém interes, aby niewykształcony lud do małżeństw nakłaniać, i tym sposobem dochody swe mnożyć.

Zaprowadzone w Irlandyi majoraty i fideikomisy są najnaturalniejszemi przeszkodami podziału gruntów. Nadto prawa wykluczały katolików od nabywania ziemskiéj własności. Ludność więc z braku ciągłego i korzystnego zatrudnienia musiała się rzucać do rolnictwa i tylko w dzierżawach i poddzierżawach utrzymanie znaleść zdołała. Właściciel ziemi nie wdaje się w bezpośredni stosunek z tymi nędzarzami; wypuszcza więc dobra generalnemu dzierżawcy, ten dzieli swą dzierżawę na trzy lub cztery mniejszych dzierżaw, każdy zaś z mniejszych

dzierżawców ma swoich poddzierżawców i ci dopiéro ziemię uprawiają. Często więc biedny wieśniak swą dzierżawę z czwartéj lub piątéj ręki posiada, a każda ręka zatrzymuje znaczny zysk z przedsiębiorstwa, tak, że pracującéj klasie pozostaje zaledwie najkonieczniejsze utrzymanie.

Oto są przeszkody tamujące naturalny bieg stosunków i ugrupowanie się posiadłości gruntowych, wyradzające ów potworny stosunek w Irlandyi. A chociaż ziemia na pozór podzieloną się zdaje, to bynajmniéj parcelowanie tam zaprowadzoném nie było, i owszem własność gruntowa jest niepodzielną spuścizną kilkudziesięciu rodzin. Niepodzielność więc gruntów jest główną przyczyną irlandzkiéj nędzy, a mniemanie rozpowszechnione u nas o tamtejszych stosunkach gruntowych pochodzi z nieuwzględnienia historycznéj przeszłości.

Anglicy zresztą sami uznają wartość małéj posiadłości, a najzagorzalsi obrońcy wielkiéj własności np. Artur Young i Arburthnot nie mogli się przecież wstrzymać od podziwu nad produkcyjnością małego kawałka ziemi w ręku drobnego właściciela.

„Byłoby to wielkiém złudzeniem sądzić — powiada Arburthnot — że mojém zdaniem jest, aby dla Anglii najkorzystniéj było wielkie tylko mieć posiadłości, ja tylko utrzymuję, że wielkie posiadłości nie mogą być u nas przyczyną, któraby sprowadziła upadek rolnictwa, jako téż nie zgadzam się ze zdaniem, jakoby jedyném dla nas lekarstwem było zaprowadzenie małych posiadłości.

„Sądzę że dla państwa najlepiéj jest, mieć posiadłości różnéj wielkości i że jest rzeczą konieczną, aby rozmiar tychże odpowiadał kapitałom gospodarzy.

„Aby ziemia mogła być w najlepszym stanie kultury, powinna zawsze stać w harmonii z kapitałem, którego używamy do jéj eksploatowania.

„Żałuję bardzo znikania u nas małych posiadłości, które tworzyły zdrowy stan wieśniaczy.“

Tak mówią obrońcy wielkich posiadłości w Anglii.

V.

Journal des Débats z maja roku 1839 wołał w niebogłosy: *La division du sol a été poussée a l'infini. La France semble*

tomber en poussière, a przecież dotychczas nietylko że się Francya nie rozpadła, lecz owszem istnieje silna i innym narodom przewodzi.

Kodeks napoleoński zaprowadził w skutek swego sławnego *loi des successions* zupełną wolność dzielenia gruntów. Prawo to dzieli bowiem dobra jakiegokolwiek rodzaju pomiędzy dzieci tego samego ojca, bez różnicy płci i prymogenitury. Partya arystokratyczna francuska i ekonomiści angielscy (Malthus) przepowiadali ztąd ogromne klęski dla francuskiego narodu. Malthus nawet powiedział, że za lat 100 we Francyi nikt nie będzie bogatym tylko ten, kto od rządu pobierać będzie swą pensyę — zresztą cały naród doprowadzony będzie do nędznéj egzystencyi na okruszynie ziemi. Tymczasem okazało się, że przepowiednie były stronnicze i wypływały z fałszywego punktu widzenia. Trzeba wiedzieć, że Francya jeszcze przed rokiem 1789 bardzo wiele już posiadała małych własności, pochodziło to ztąd, że szlachta francuska ogromnie zadłużona po angielskich wojnach wyrobiła sobie u królów wolność sprzedawania swéj ziemi w drobnych parcelach, by tym sposobem wybrnąć ze złych interesów. Artur Young bardzo kompetentny angielski pisarz z końca 18. wieku powiada: „w całéj Francyi jest zupełnie inny rodzaj drobnych gospodarstw o których my nie mamy wyobrażenia. Liczba tych własności jest tak wielka, że zajmuje zapewne trzecią część królestwa.

Liczba ta ogromnie się powiększyła w skutek sprzedaży 1,000,000 hektarów dóbr szlacheckich i 2,000,000 dóbr duchownych. Francya więc przed kodeksem napoleońskim już bardzo była rozparcelowaną, kodeks zupełnie nie przyniósł owych skutków, których się Malthus obawiał. Stan bowiem późniejszy posiadłości był następujący:

Według dat p. Rossi terytoryum Francyi obejmuje 53 milionów hektarów po $3^{9}/_{10}$ morga. Jeśli od tego odejmiemy nieużytki, pastwiska, drogi i miejsca pod budowle zajęte, to pozostanie około 40 — 42 milionów hektarów użytecznéj roli. Wykazy podatkowe dowodzą, że w latach poniżéj oznaczonych następująca była ilość części gruntowych:

w roku	1815	10,083,751	części
„	1826	10,296,693	„

w roku 1833 10,750,000 części
„ 1835 10,893,528 „

Widzimy więc niewielkie powiększenie się ilości właścicieli; nie można jednak przyjąć, aby liczba właścicieli była równą liczbie parceli gruntowych, właścicieli bowiem nie ma w rzeczywistości jak 5,550,000, z tych 50,000 wielkich własności w przecięciu po 300 hektarów, 50,000 średnich po 30 hektarów, a 5 milionów małych po 3 hekt: (*de Laverque Econ. de la France* str. 53). Większa ilość parceli niżeli właścicieli ztąd pochodzi, że jeden i ten sam właściciel posiada grunta w różnych okręgach podatkowych, w skutek czego cyfry własności cokolwiek mylnie podanemi zostały. Cyfry powyższe są z czasów gdzie parcelowanie gruntów niedawno zaprowadzone najsilniéj działało, a mimo to cyfry zupełnie nie są przestraszającemi.

Wszystkie téż głosy ówczesne we Francyi powstające na rozdrabnianie ziemi, pochodzą z obozu partyi restauracyjnéj i arystokratycznéj, która w zniesieniu przywilei widziała najszkodliwsze skutki. Wielkość ziemskich posiadłości ugrupowała się wkrótce według potrzeb i stosunków miejscowych, a to potwierdza powyż wypowiedziane zdanie, że wolność dzielenia gruntów jest najpewniejszym środkiem, aby zapanowała harmonia pomiędzy wielkiemi i małemi własnościami. O stosunku tym powiada p. Morel de Vindé, nader kompetentny pisarz w téj mierze: „Proszę się przypatrzyć, czy straszne to rozdrobnienie gruntów istnieje gdzieindziéj jeśli nie w okolicach gdzie korzyść przynosi, i pytam się gdzie znajdą przeciwnicy parcelowania okolice, w którychby pomoc przeciwko złemu potrzebną była. Napróżno takich miejsc szukałem, i śmiem utrzymywać, że nikt mi nie zdoła we Francyi wymienić okolicy, gdzieby się parcelowanie przyjęło, wyjąwszy tam, gdzie jest z oczywistą dla rolnictwa korzyścią.“

Jeden z nowszych francuskich agronomów p. Dezeimeris powiada, że cztery departamenta, w których podział ziemi najmniéj się rozszerzył, gdzie obszary przeciętne własności dosyć są znaczne, zwłaszcza dep. Landes, Korsyka, Niższych Alp i Lozère, figurują pomiędzy najbiedniejszemi departamentami kraju, przeciwnie gdy najbogatsze departamenta są te, w których ziemia najbardziéj rozdrobnioną została jak np. dep. Se-

kwany, niższego i wyższego Renu. W tych zaś okolicach, te włości najbogatsze, gdzie ziemia do najwyższego stopnia pokawałkowana, rozproszona, pozaokrąglana.

Zarzucano we Francyi parcelowaniu gruntów, że zmniejsza liczbę pastwisk, a tém samém ilość bydła; zarzut ten jednak zbijają jak najzupełniéj administracyjne data statystyczne, które powiadają, że teraz istnieje o milion hektarów więcéj łąk sztucznych aniżeli przed rokiem 1789, a zatém istnieje o 2 miliony sztuk bydła więcéj, rachując na wyżywienie jednéj sztuki pół hektara sztucznéj łąki.

Dobrobyt w skutek parcelowania gruntów i stósowniejszéj z téj przyczyny uprawy, tak się poprawił we Francyi, że gdy w roku 1760 tylko 7,000,000 ludzi żyło twardém zbożem, w roku 1843 centralny kongres rolniczy w Paryżu obliczył, że pożywienie tak dalece się polepszyło, iż najmniéj 20,000,000 ludzi żyje teraz żytem i pszenicą (*Journal des Débats* 30go marca 1847).

Własną produkcyą żywi Francya obecnie 36 milionów ludzi, co dowodzi, że skutki rozdrabniania ziemskiéj własności nie do najgorszych należą.

VI.

Żadne z państw nowożytnych nie rozwinęło tyle organicznéj siły, tyle żywotności, ile północna Krzyżaków spuścizna. Najważniejszą sprężyną, która działała na postęp tego państwa, była stanowczość w postanowieniach, używanie tych środków, które w danéj chwili największą przynosiły korzyść. To téż gdy grzmot armat z pod Jena zatrząsł całém państwem i znacznie go osłabić musiał, statyści pruscy całą siłą się rzucili, aby na drodze spokojnego wewnętrznego rozwoju i poprawnych ustaw lepszą zgotować przyszłość, a jako dobry budowniczy zaczęli od fundamentów stéraną naprawiać budowę.

Zasadnicze ustawodawstwo z roku 1807 i 1813 powaliło prawa feudalnéj szlachty, a wzięło sobie za cel utworzenie dzielnéj ludności rolniczéj. Zaprowadzono zupełną wolność parcelowania gruntów; wielki plan tego prawodawstwa skreślony był ręką Steina.

Wkrótce jednak zaczęto sarkać na zbytnie rozdrabnianie gruntów i działo się tu to samo co we Francyi, tak dalece,

że rząd party opinią znacznéj części ludzi wpływowych, w r. 1826 rozpoczął prace nad prawem ograniczającém wolny podział gruntów, a prace te znów zawieszone, w roku 1834 w ministeryum stanu na nowo podjęte zostały. Chodziło najwięcéj o prowincye nadreńskie, bo gdzieindziéj w Prusiech rozdrabnianie zupełnie w umiarkowanych trzymało się granicach. Przytaczamy tutaj trochę obszerniéj traktowanie téj kwestyi, mając przed sobą dokładną w tym względzie rozprawę, opartą na urzędowych źródłach król. pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych:

W prowincyi nadreńskiéj jako najludniejszéj i najwięcéj przemysłowéj części monarchii, zgodnie z naturą rzeczy rozdrabnianie gruntów najbardziéj się rozszerzyło i dlatego też tam rząd rezultat tego rozdrobnienia zbadać zamierzył. Radca rządowy p. Bethe otrzymał polecenie w sprawie téj na miejscu się rozpatrzeć, w skutek czego objechał prowincye w r. 1836 i zdał o tém sprawozdanie 15 Marca 1837 r.

Wielkie własności (*Rittergüter*) od dawna były rzadkie w prowincyach nadreńskich, a gdzie jeszcze istnieją tam w małych częściach w dzierżawę puszczone zostały. Tak samo też i wielkie grunta chłopskie zmniejszyły się od lat wielu w skutek rozsprzedawania lub wydzierżawiania parcel. Przeciwnie małe własności, takie które z pomocą jednego konia lub ręką tylko uprawić można, coraz się bardziéj pomnażają.

Ze zmniejszeniem się rozległości gospodarstw, rozszerzyło się ogromnie wydzierżawianie pojedyńczych parcel. Nie tylko więksi właściciele lecz nawet i chłopi w ten sposób znaczną część swych dóbr wypuszczają. W okolicy Kolonii np. wysoki czynsz dzierżawny od 6—8 talarów z morga wielką jest do podobnéj spekulacyi podnietą.

Wprawdzie ludziom bez majątku dzierżawy takie ułatwiają zatrudnienie rolnicze, bo nie potrzebują na własność kupować parceli, ale w skutek tego czynsz gruntowy nadzwyczaj się powiększa i parcelowanie wzrasta. Na miejsce pana który z chłopem wzrósł i udział brał w jego losie, wstąpił pan czynszowy. który może daleko większy czynsz nakładać aniżeli pan dawniejszy, bo wydzierżawiającemu zamieszkałemu gdzieindziéj, dola dzierżawców zupełnie obojętną bywa.

Ciemne strony parcelowania posiadłości modyfikują się w skutek innych prowincyom nadreńskim właściwych stosunków. Nieuwzględniając nawet winnic które ręcznéj tylko wymagają uprawy, stosunki te łagodzą się najzupełniéj w miejscach fabrycznych i w pobliżu zakładów górniczych, w skutek połączenia i oddziaływania na siebie pracy industryalnéj i pracy około zagonu. W takich miejscach targ na produkta rolnicze jest doskonały, a osobliwie na jarzyny i ogrodowizny. Liczne zaś resztki z fabryk nawzajem przyczyniają się do podniesienia ogrodniczéj kultury. W ten sposób jest możebném, że ziemia wydaje znaczny pożytek z którego rolnik i siebie wyżywić i czynsz zapłacić zdoła, tak że gospodarstwa które jednym koniem obrobić można, liczą się tutaj do wcale korzystnéj intraty. Koń nie mając co robić w domu, łatwo za domem zarabia— bo zwierząt pociągowych tam bardzo potrzeba. Rozdrobnienie ziemi w tych okolicach jest nie tylko naturalném lecz nawet potrzebném. Przy fabrykach i górnictwie zajęci robotnicy żyć mogą wygodnie, zaopatrując z małéj dzierżawy kuchnię w jarzyny i nabiał. Żony i dzieci biorą udział w utrzymaniu rodziny pracując w domu, a tym sposobem ochraniają się od smutnych następstw jakie za sobą prowadzi życie fabryczne w Anglii.

Właściciele roli niemający dostatecznego zatrudnienia dla swego zaprzęgu, trzymają parobka robiącego w roli i wynajmującego się z zaprzęgiem. Gospodarz ogranicza się na robocie około domu i pomaga w polu. Najmniejsze rodziny trzymają sobie jednę lub dwie krowy i dzierżawią grunt na ich wyżywienie. Wynajęty grunt żywi rodzinę, a wysoki czynsz 6 — 8 talarów łatwo jéj pozyskać z ubocznego zarobku.

Stan ten powszechny w okolicah Kolonii. W jednéj wiosce jest kilkuset takich drobnych właścicieli, wszyscy wcale dobrze żyją, dzieci starannie wychowują i do szkół posełają. W ten sposób wytłomaczyć sobie można to, co Dr. Günther o mieście Düren powiada, że tam dobra uprawa gruntów odtąd się datuje, odkąd zaprowadzone w okolicy fabryki dały powód i sposobność do wielkiego rozdrobnienia grnntów. Dobrobyt okolicy tak dalece się powiększył, że najmniejszéj zmiany życzyć sobie nie można.

Nawet tam gdzie podział gruntów nie odpowiada gospodarskim interesom, schodzą się inne okoliczności które stan ten znośnym czynią, tutaj np. należy rozpowszechnione zatrudnienie brykarzy. Tak np. znajdziemy w okolicy Koblencyi małe własności niżéj pięciu morgów utrzymujące zaprzęg.

Ztąd widzimy jak harmonijnie tam życie fabryczne na podział gruntów, a podział gruntów na życie fabryczne oddziaływa, ztąd nareszcie jasno się okazuje, że parcelowanie w prowincyach nadreńskich bynajmniéj zadaleko się nie posunęło, a porównanie stosunku tego z Irlandyą najlepiéj nas poucza, że gdzie w drodze prawne niestały przeszkody, tam się stósunki wykształciły na ogólną korzyść rolników. Dbałość o własne dobro tkwiąca w każdym człowieku jest daleko lepszym sternikiem, aniżeli prawa które mu obcy narzucić mogą. Gdzie jest wolność tam panują rzeczywiste ekonomiczne prawa, tam bieg stosunków niczém nieprzerwany w silne i zdrowe rozrośnie się drzewo.

Na ocenienie pruskich stosunków co do parcelowania, niech nam służą nareszcie słowa radcy rządowego Doenigera, w znakomitém piśmie: *Zusammenstellung und Erläuteruny der seit 1807 in Preussen ergangenen Gesetze über den Grundbesitz.* — Autor powiada: „Tylu przeciwników mająca zasada podzielności gruntów doprowadziła do prawdziwie pocieszających rezultatów. Przyczyniła się ona do zmniejszenia, powiększenia tudzież zaokrąglenia dóbr, do utworzenia harmonii między mniejszemi i większemi posiadłościami.

Mimo to jednak w rządzie pruskim było kilku przeciwników parcelowania, a rząd widział się spowodowanym do wydania prawa dla sześciu prowincyj wschodnich z dnia 3 Stycznia 1845 roku, mającego na celu usunięcie złych skutków które z rozdrobnienia gruntów i z formowania nowych osad powstają jeżeli równocześnie podatki i gminne stosunki regulacyi nie ulegną. Prawo to jednak pozostawia jeszcze dość szerokie pole wolności parcelowania i nie może nam służyć za dowód, że dzisiejsze dobre stosunki rolnicze Prus w skutek ograniczenia parcelowania powstały, jeżeli bowiem zważymy, że przed tém przez czas długi zupełna wolność parcelowania istniała, późniéj zaś mimo tego ograniczenia parcelowanie dość silnie wzrastało, to zupełnie to nie odmieni naszego zdania że

Prusy w skutek rozdrobnienia gruntów nadzwyczaj wiele zyskały.

W ogóle przyznać musimy, że wyższa cywilizacya łączy się z małemi własnościami, co nam północna dowodzi Europa. Weźmy przykład z Danii: kraj mały nieposiadający minerałów, lasów, rzek, nader skromnie od natury uposażony, a przecież ma wysoką kulturę, bo system duńskiego rządu zmierza do dzielenia gruntów i poprawy rolnictwa. Większych dóbr też tam bardzo mało. W Holsztynie i Szlezwiku na 662500 ludności jest 125,150 małych właścicieli. Najubożsi wyrobnicy mają ogródek, kawałek roli i krowę, podczas gdy więksi gospodarze znają wszelkie gospodarskie ulepszenia, zawiązują towarzystwa rolnicze, i biorą udział w publicznych sprawach. To też w Danii każda wioska ma swoją szkołę, swoją czytelnię i bibliotekę, a ogólna oświata może nigdzie na wyższym nie stoi stopniu.

Spojrzyjmy na Szwajcaryę — tam także przeważają własności mniejsze. Kanton Vaud np. cały jest kraikiem z małych własności, parcele gruntowe coraz się tam więcéj mnożą, a przecież nigdy nie był tak bogatym i szczęśliwym. Ludność z każdym dniem się zwiększa, ale zwiększenie to nic nie ma w sobie zastraszającego, albowiem majątek narodowy zarówno wzrasta, a zarobek tak wysoki jak dawniéj. Od czasu rozdrobnienia własności, ludność kantonu daleko lepiéj żyje, ubiera się i mieszka niż to za dawnych bywało czasów. (*Biblioth. uniren. Agricult.* XI. 95. Maj 1826).

VII.

Zastanawiając się nad parcelowaniem gruntów, nasuwa nam się kilka kwestyj, które chociaż w powyższych dowodach dostateczne znajdują rozwiązanie, mimo to ulubionemi są w ustach przeciwników. I tak zachodzi pytanie czy rozdrabnianie gruntów w całości nie sprowadza zubożenia narodu? — Wykazaliśmy powyżéj że dochód z większych własności jest stósunkowo mniejszy aniżeli z własności małych, pytanie się więc samo z siebie rozwiązuje. Dalszym na to dowodem jest jeszcze i to: że dobra wielkie zwykle mniejszy przynoszą procent, aniżeli kapitał równéj wartości. U nas np. ziemia (większa własność) 3 — 4% niższą, przeciwnie kapitał nierównie wyższą

daje rentę. Własność mała często wyższy procent niesie aniżeli kapitał równéj wartości. Weźmy np. w okolicy Krakowa na Czarnéj wsi, Krowodrzy, mórg pola kosztuje 200—300 fl., z kapitału takiego nikt przecież wyżyć nie potrafi, a przeciwnie z morga gruntu żyją tutaj wieśniacy o wiele lepiéj aniżeli w innych zamożnych nawet okolicach. Z dochodem większéj własności tak źle zwykle u nas stoi, że jedna właścicielka w Galicyi niemka zapytana dlaczego trapi się tutejszemi dobrami skoro w Wiedniu mieszka i nigdy nie gospodaruje, odpowiedziała charakterystycznie: „wolę mieć kapitał bez procentu, aniżeli procent bez kapitału; ostatnie wyrażenie tyczyło się papierów publicznych. Więc dobra większe u nas to kapitał bez procentu, o mniejszych nikt tego powiedzieć nie może.

Utrzymują daléj że podział gruntów sprowadza przeludnienie. W tym względzie bardzo przesadzone panują wyobrażenia, bo w skutek wolności parcelowania ludność bardzo się wolno powiększa, a jeźli się powiększa to o tyle, o ile środki materyalne do utrzymania przyrastającéj nadwyżki się pomnażają— w tym razie zaś nie możemy widzieć w zwiększonéj liczbie mieszkańców nic innego jak tylko błogosławieństwo dla kraju. Ludność rolnicza w ogólności jest daleko rozważniejsza aniżeli ludność fabryczna lub miejska, i gdy ostatnia lekkomyślnie pomnaża liczbę dzieci nie myślac bynajmniéj czém je wychować i wyżywić zdoła, ludność wiejska przyzwyczajona do oględności daléj w przyszłość patrzy. Z natury rzeczy więc wypływa, że ludność osiadła na gruncie bynajmniéj nie stwarza żywiołu do wychodźtwa skłonnego, a jeżeli w którym z krajów gdzie istnieje parcelowanie gruntów, przypadkiem tak zwane przeludnienie powstało, to z pewnością nie z przyczyny rozdrobniania własności ziemskich, lecz inne spółeczne tam były błędy. Ślusarz zawinił a kowala powiesili!— Owszem niepodzielne własności mnożą proletaryat, albowiem zostawiając ogromną część źle uposażonych rzec można wydziedziczonych dzieci, zaludniają niemi miasta i fabryki, czego w Anglii rażące spostrzedz można dowody. Wiadomo jak okropne są skutki angielskich majoratów: jeden ze znanych naszych podróżnych do Australii opowiadał mi że na okręcie na który wsiadł z Anglii do Australii spotkał kilka młodych kobiet wyższego społeczeństwa— córki lordów— które pozbawione majątku, nie-

nauczone zaś w domu pracować jechały zaludniać australskie miasta. Tem gorzéj jeszcze z rodzeństwem właścicieli małych majoratów, ci za młodu często przywykli do pracy około roli, ani wykształcenia nie mają ani téż innéj nie znają pracy. Wypędzeni z rodzinnego zagona szukają zarobku we wsi, a gdy tam go nie ma, muszą iść do miasta, a nie przywykli do miastowego życia, tudzież nie znając miastowych i fabrycznych zatrudnień, muszą ciężkie przechodzić chwile jeżeli nawet zupełnie nie ulegną pod brzemieniem nędzy lub nie zaludnią więzień i domów poprawy. Zresztą majoraty są największą spółeczną niekonsekwencyą, bo jeźli zaprowadzamy majoraty dla chłopów, to pytamy się dlaczego tylko ta jedna klasa ma być uprzywilejowaną, dlaczego ich najstarsi synowie mają się dobrze mieć? postępując konsekwentnie trzebaby tę samą zasadę i w innych warstwach spółeczeństwa przeprowadzić. Bogactwo narodowe zwłaszcza w nowszych czasach nie tylko się na ziemi opiera, należy tutaj przecież praca i kapitał, gdybyśmy więc chcieli koniecznie majoraty utrzymywać w nowszém spółeczeństwie, to kto wie czyby nie znalazł się jaki prawodawca któryby radził aby tylko pierworodni synowie pracowitość i zdolność po ojcach dziedziczyli — a inni aby się rodzili głupcami!

VIII.

Przejdźmy nareszcie do naszych stosunków w Galicyi. — Rząd austryacki regulując stosunki poddańcze w Galicyi wydał jeszcze 16 Czerwca 1786 r. patent którego §. 41 najostrzéj dzielenia gruntów poddańczych z jakichkolwiekbądź przyczyn zakazuje. Patentem zaś z 10 Maja 1783 r. §. 3 uznano wszystkie do domostwa opodatkowanego bezpośrednio należące grunta jako nie dające się od domostwa oddzielić. Cały szereg późniejszych przepisów nadwornych i gubernialnych znów podział poddańczych gruntów zakazuje (4 Stycznia 1805 r. L. gubern. 52771 — d. 26 Czerwca 1806 r. d. 29 Sierpnia 1606 r., d. 16 Stycznia 1807 r., d. 9 Listopada 1812 r. L. gub. 20148, 34951, 906, 35897 i t. d.), tudzież poleca sądom czuwać nad dokładném przeprowadzeniem i wykonywaniem powyższych przepisów; w tym celu nie powinien sąd dopuszczać intabulowania podobnych prawu przeciwnych kontraktów i aktów prawnych,

lecz w każdym razie fakt podobny donieść politycznym władzom. (Dekr. nadw. d. 25 Czerwca 1806 r.). Gdyby zaś przeciw prawu podział własności gruntowéj miał miejsce, staraniem władzy winno być przywrócenie dawnego stanu i reintegracya chłopskiego gruntu. (Dekr. nadw. z w. Rozp. gub. z d. 24 Grudnia 1813 r. L. 46660). Od praw tych kilka było wyjątków które jednak nie zmieniały istoty rzeczy.

Co do ograniczeń podzielności dóbr większych, tabularnych istnieje patent z d. 1 Września 1798 r. który postanawia, jak postępować należy jeżeli właściciel wszystkie lub część gruntów do wsi należących między poddanych rozdzielić chce, tudzież dekret kancelaryi nadwornéj z dnia 3 Grudnia 1814 r. Później dekretem kanc. nadw. z d. 5 Maja 1827 r. orzeczono, że rozdział dóbr dominikalnych tylko wtenczas dozwolony być ma, jeżeli przy takim podziale na każdego udział biorącego nie mniejszy dominikalny podatek jak 300 złr. bez dodatku wypadnie.

Widzimy więc że rządowi bardzo o to chodziło, aby jak najmniéj ustępować konieczności dzielenia gruntów, ba nawet w najnowszych czasach rząd wytrwale w tém dążeniu pozostał.

Dalszy przebieg tych stosunków skreślił poseł Smarzewski na 3 sesyi sejmowéj r. 1865 w następujący sposób:

„Stan ten (powyższych patentów) trwał aż do r. 1848. Nie zapoznaję wcale, iż aż do roku 1848 t. j. do zniesienia stosunku poddańczego, przepisy te miały przyczynę swego istnienia, i były zupełnie usprawiedliwione. Póki istniał stosunek poddańczy, ciężyły tak na dworach, jak na posiadłościach włościańskich pewne wzajemne powinności i prawa; powinności te i prawa były ustawami uregulowane. A gdyby była wtenczas już dopuszczona podzielność posiadłości, musiałaby za każdym faktem podziału gruntów nastąpić nowa regulacya powinności przywiązanych do gruntu. Ztąd namnożyłoby się tyle czynności urzędowych, że urzędnicy nie byliby w stanie im podołać, a z tego późniéj wyniknęłyby spory, któreby się przeciągnęły w długie lata i wzbudzały nieustanną rozterkę w kraju. Wszelako w r. 1848 ustał stosunek poddańczy i można było mniemać, iż po zupełném uwłaszczeniu włościan zniesione zostaną także te zakazy, które tamują dowolne rozrządzanie własnością. Ale stało się inaczéj, bo w r. 1850 został dawny zakaz

wznowiony, nawet późniéj zaostrzono takowy i nakazano władzom jak najpilniéj czuwać i przestrzegać tych zakazów i przystępowano nawet do reintegracyi, do łączenia napowrót podzielonych gruntów, co dało powód do licznych zażaleń i spowodowało od komitetu Towarzystwa rolniczego w Krakowie do podania do Ministerstwa w tym kierunku, aby Ministerstwo zechciało powstrzymać reintegracyę; ale pismo to zostało bez skutku.

Zakazy te, póki trwał stosunek poddańczy, były mniéj uciążliwe. Stosunek, który w moich oczach zawsze był potwornym, oczywiście musiał mieć konsekwencye potworne, ztąd to poszło, że u nas co do gruntów włościańskich własność była podzieloną i nie istniała w czystem swojem pojęciu, włościanie mieli własność użytkową, dwory własność zwierzchniczą. Znośniejszém więc było ograniczenie prawa które w istocie nie było już i tak całkowitém.

Dzisiaj jest ograniczenie takie nierównie więcéj dolegliwem, bo nadweręża oczyszczone pojęcie prawne własności, które weszło w życie wraz ze zniesieniem poddaństwa.

Wiem bardzo dobrze, że każda własność musi ulegać pewnemu ograniczeniu przez względy wyższego rzędu, przez wzgląd na potrzeby ogółu. Z tego idzie wywłaszczenie; ale ograniczenie prawa własności przez wywłaszczenie, przecież jest daleko mniéj rażące w pojęciu i mniéj dolegliwe w praktyce. Przy wywłaszczeniu, kiedy się odbiera część własności, to się za to daje równéj wartości wynagrodzenie. Przez zakazy w mowie będące, ograniczono prawo własności bez żadnego wynagrodzenia.

Zakaz jak powiadam został utrzymany w swéj dawnéj mocy, ale popatrzmy co się działo i co się dzieje w rzeczywistości.

W okolicy w któréj mieszkam, mogę śmiało powiedzieć, iż najmniéj trzecia część z wszystkich gruntów włościańskich od roku 1848 została już podzieloną, a teraz w skutek przejścia własności z rąk do rąk, następuje powtórny podział tych części, na które się grunta rozpadły. Z tego stanu rzeczy wynika najprzód, iż istnieje ustawa, która wykonywaną nie jest i wykonywaną być nie może. Ludność przeto przyzwyczaja się

do lekceważenia ustawy, do nieposłuszeństwa prawu, a taki stan rzeczy nie może być obojętnym.

Daléj, gdy orzeczono reskryptem ministeryalnym, iż wszelki podział gruntu jest nieprawnym, więc co roku, co dnia, przybywa w kraju takich posiadaczy, których posiadanie nie ma żadnéj prawnéj podstawy i którzy są pod nieustanną groźbą, że będą z téj swojéj dobrze nabytéj własności wyrugowani i te grunta będą na nowo łączone. Gdyby to nastąpiło dałoby to powód do niezliczonych, nigdy niekończących się procesów. — Nakoniec fakt, że ten podział mimo ustaw ciągle się odbywa, pokazuje, że dzielenie gruntów jest rzeczywiście ekonomiczną potrzebą.

Dotąd poseł Smarzewski.

Komentując tutaj słowa szanownego posła zwracam uwagę że nie potrzeba jak tylko zajrzeć do któréjkolwiek kancelaryi notaryalnéj, aby się przekonać ile zawikłań prawnych ograniczenie dzielenia gruntów z sobą przynosi i że mimo surowego przeprowadzenia ich, interesowani w tysiączny sposób codziennie je pomijają. Mnóstwo gruntów chłopskich faktycznie jest podzielonych, a kupujący część, różnych używa sposobów aby się zapewnić w obec prawnego właściciela. Zresztą wiemy że faktyczne złe skutki powyższego stosunku niemal już wszyscy u nas uznali, chodzi tylko zawsze o skutki gorsze w przyszłości, a to ze względu na to: że chłopi lekkomyślnie dzielić będą swe grunta, a powtóre że Żydzi będą czyhać aby chłopów wydziedziczyć odkupując od nich po kawałku ziemi — po zagonie.

Kto zna przywiązanie ludu naszego do ziemi i religijny prawie dla niéj szacunek, ten lekkomyślności takiéj właśnie u nas przypuścić nie może. Chłop sprzeda kawałek swego gruntu w razie ostatecznym, gdy już inaczéj radzić sobie nie potrafi, a więc wtedy, gdy obarczony długami innéj drogi do wybrnięcia z nich przed sobą widzieć nie będzie. Ależ pytamy się czy teraz w podobnym razie lepszy bywa stosunek? — Znam wieś w któréj dużo gospodarzy pijaków i wszyscy u arendarza grube mają konto. Większą część z nich już arendarz faktycznie do połowy wydziedziczył, pomimo że dzielić gruntów nie wolno. Sposób ku temu bardzo łatwy: chłop za wódkę winien arendarzowi 10 fl., żyd powiada mu daj krowę — chłop ma

krowę jedyną, ona stanowi najdroższy skarb dla niego, z nią w ostatecznym razie się tylko rozstaje, więc żyd proponuje: dajcie mi zagon pod ziemniaki — chłop przystaje bo to jakoś łatwiéj, a na długo? — no co wam o to chodzi, na lat 2o; chłop nie chce przystać, żyd grozi że sprzeda krowę a na domiar perswaduje że za lat 20 może obydwa żyć nie będą, to im o to chodzić nie powinno. Chłop party okolicznościami przystaje. Żyd naturalnie bierze zagon najlepszy, na drugi rok dostaje w ten sposób dalszy zagon, a za lat kilka pół chłopskiego majątku jest w rękach żyda. Chłop ubożeje, pije bardziéj, bo na frasunek dobry trunek i wkrótce idzie na dziady, a dzieci w służbę często do tego samego żyda który w ich rodzinnéj chacie obsadził swego syna. Biedne chłopskie dzieci wyzute z mienia pracują dla nowego właściciela. Powiecie: majątek nabyty nieprawnie, dzieci mogą żyda wypędzić, grunt wyprocesować! — nie wielu ludzi w kraju co majątek na procesach zrobili; biedny chłop jeźli reszty nie utraci, to nigdy nie zyska, a zresztą dajmy na to że i proces wytoczy, to czyż żyd nie ma rady? kupi grunt za kilkanaście guldenów od chłopa, który wszystko za stracone uważa, a że sam czterech klas nie skończył, więc podstawi trzeciego katoliką — złoży akt u notaryusza i jest sobie najspokojniejszym dziedzicem. Czyż więc zakaz parcelowania gruntów pomógł co w tym razie? owszem pogorszył stosunek, bo gdyby chłop zrazu odsprzedał był żydowi ów zagon na ziemniaki, zostałby przynajmniéj co do reszty niezawisłym, i gdyby widział że grunt się pomniejsza, przyszłaby może refleksya choć zapóźno, tymczasem w piérwszym razie znajduje się w ciągłéj zawisłości od żyda i w panicznym strachu. Złemu które po wsiach naszych z przyczyny żydów istnieje zakaz parcelowania gruntów nic nie pomaga — owszem jeszcze bardziéj szkodzi, bo przy wolności parcelowania będzie lud miał z otwartym nieprzyjacielem do czynienia, dzisiaj zaś musi się bronić przeciw chytremu a ukrytemu nieprzyjacielowi; chłop teraz łudzony owemi prawami które majątku jego dzielić nie dają, nie postrzeże się nawet kiedy mienie utraci, późniéj przynajmniéj będzie się miał na baczności.

W harmonii ze zniesieniem majoratów chłopskich w Galicyi, stoi naturalnie wolność rozdzielenia własności większych, tabularnych; jest to jedna i ta sama kwestya. Dowodzi ona

nam, jak wiele potrzeba pracy i zachodów, aby dawne obalić przyzwyczajenia, zabobony i nieusprawiedliwione obawy. Najświatlejsi obywatale kraju podnosili te kwestye, rząd nawet w téj mierze czynił poszukiwania, a mimo to obszary dworskie do dziśdnia przeciw naturze nowszego gospodarstwa i ekonomicznego postępu stoją jak stały niepodzielne. Najpiękniejszém w téj mierze usiłowaniem było podniesienie tego pytania przez komitet Towarzystwa rolniczego krakowskiego na ogólném zebraniu w dniach 6 i 7 Marca 1865 r. P. St. Starowiejski ze stanowiska ekonomicznego, Dr. Szlachtowski ze stanowiska prawniczego rzecz tę jasno i obszernie przedkładali. Pan Siegler członek Towarzystwa odczytał także wtedy swe uwagi które szczególnie zdrowém zapatrywaniem się na stósunki Galicyi były nacechowane. Inni obawiali się znowu wtedy wolności parcelowania, upatrując w grożącym ztąd upadku większych własności degradacyę kraju do chłopizmu, w większych posiadłościach widzieli jedyną siłę cywilizacyjną, jedyną dźwignię do podniesienia materyalnego i moralnego stanu. Utrzymywać coś podobnego znaczy zapoznawać zupełnie przebieg historyczny rozwoju nowoczesnych narodów, nie widzieć sprężyn którą cywilizacya najsilniéj się posługuje.

Jako zaporę do nieprzebycia w parcelowaniu gruntów, stawiają u nas owe długi hipoteczne. Ależ przecież „po ukazie“ nikt własności dzielić nie będzie, najprzód podzieli ten kto nie ma długów, późniéj ten kto zdoła w tym względzie ułożyć się ze swymi wierzycielami i ci przystaną na rozdzielenie hipoteki, a wreszcie sami wierzyciele się przekonają, że sposobem parcelowania gruntów i wolną wypłatą daleko prędzéj przyjdą do odebrania pieniędzy aniżeli drogą procesów i sądowych licytacyi.

Do nadzwyczajnego ułatwienia układania się z wierzycielami przyczyniłoby się według wniosku p. Szlachtowskiego to, aby tabula krajowa połączoną była z kadastrem, to jest aby z tabuli widoczném było co całość dóbr stanowi, natenczas bowiem spór o własności gruntu z odwołaniem się do tabuli krajowéj byłby nader łatwy, teraz zaś z tabuli krajowéj niedowie się czyli ten majątek jest wielki lub mały, ile pola łąk, lasów i t. d. do tego majątku należy.

Jedną z ważniejszych sprężyn które winny pobudzać do spiesznego zaprowadzenia wolności parcelowania obszarów dworskich jest wzgląd który podniósł p. Starowiejski motywując swój wniosek: „Spekulacya zachodu, bogata w kapitały a czujna na wszystko co jéj jakiekolwiek zyski nastręczyć może, jest skierowaną ku temu, aby na swą korzyść trudne położenie wielkiéj własności ziemskiéj wschodnich krajów Europy wyzyskać. Zawiązało się towarzystwo belgijskie z wielkiemi kapitałami, którego zadaniem jest, kupować wielkie posiadłości ziemskie w celu dzielenia ich na parcele i sprzedawania potém zakupionéj ziemi parcelami po wyższych cenach. W obec tych zabiegów powinnoby być naszém staraniem, aby zysk który w naszych rękach leży, nie obrócił się na korzyść obcych."— Pomimo że towarzystwo to do dziśdnia czynności swéj na Galicyę nie rozciągnęło, spodziewać się jednak należy, że spekulacya podobna w najbliższym mogłaby powstać czasie, cudzoziemcy bowiem bardzo dawno nader jasno widzą to czego my dotychczas osłonięci mgłą zabobonów, nie widzimy lub widzieć nie chcemy.

Gdy parcelowanie gruntów przyjdzie znów u nas pod obrady z pewnością odezwą się głosy, chcące półśrodkami przeciągnąć drażliwą kwestyę, zechcą zapewne zaprowadzić minimum poza które gruntów dzielić nie wolno. O bezzasadności takiego minimum powiedzieliśmy wyżéj, tutaj tylko dodać musimy, że w Galicyi tyle mamy już rzeczy tymczasowych i praw przejściowych, zacząwszy od mostów tymczasowych (*Interimsbrücken*) a skończywszy na najnowszém prawie o lichwie, że gdyby jeszcze nowe jakie interim przybyło, to obawiaćby się należało, by nasze stosunki zupełnie interimalnemi się nie stały.

Kazimierz Chłędowski.

Frycz Modrzewski.
O poprawie Rzeczypospolitéj.

Gdyby w naszych czasach ukazała się książka podobnym opatrzona tytułem, mniemalibyśmy, że znajdziemy w niéj wierny wizerunek instytucyi państwa, a żądalibyśmy od niéj, żeby wykazawszy nam jasno w czém instytucye te na dziś niedostatecznemi lub na przyszłość groźnemi być mogą, stawiła równie dokładny i systematyczny projekt całkowitéj lub częściowéj reformy. Żądalibyśmy od pisarza, aby jak lekarz zrobił porządną dyagnozę, żeby wypukawszy wszystkie miejsca niezdrowe, powiedział nam, gdzie cierpienie jest tylko przypadłością i skutkiem, a gdzie leży sam rdzeń i przyczyna złego. Potém chcielibyśmy rady, zwięzłéj, stanowczéj, kategorycznéj; chcielibyśmy, żeby dawszy nam namacać palcem istotę choroby, autor równie wyraźnie wskazał nam lekarstwo. Trzy wieki pełne zmian i wypadków, trzy wieki, w ciągu których myśl ludzka nie jedno odbyła przeobrażenie, z których każde niemal wcieliło się w odpowiednie ustawy polityczne i spółeczne, a z których każde także starannie zostało zbadane, opisane i skonsygnowane, wzbogaciły nas takim zasobem powierzchownego przynajmniéj doświadczenia, że dziś każdy mniéj więcéj poznać się zdoła na chorobie politycznego ciała, i doradzać mu czy to reformę wyborczą, czy ustawienie finansów do równowagi, czy wreszcie bolesną amputacyę chorego członka dla uratowania całego organizmu. Nie idzie zatém koniecznie, żebyśmy lepiéj rządzić się umieli, jak ludzie ubiegłych wieków, ale to pewna, że przez owe trzy wieki tyle razy widzieliśmy skład i rozkład niejednéj maszyny państwa, wy-

padki i pisma tyle razy tłómaczyły nam przeznaczenie i wzajemny stosunek wszystkich składowych części téj maszyny, że choć w praktyce nie zawsze umiemy puszczać ją w obieg i smarować, choć nie jeden maszynista pogruchotany został jéj kołami, lub zmiażdżony w potężnych jéj walcach, w teoryi przecież wiemy, jakie i kiedy otwierać klapy bezpieczeństwa, aby kocioł nie pękł, jakie w ruch wprawiać koła, aby maszyna nie stanęła.

I nic dziwnego, bo ileż to za nami nauk i przykładów. Za nami odwieczna monarchia francuska próbująca po czasie ściągnąć ankrami podkopaną budowę, zawalona jak stary budynek na głowy mieszkańców, ze straszliwym łoskotem wszystkich swoich wiązań i rusztowań. Potém wielka nauka Terroru, potém największy geniusz nowych czasów pokonany w walce z silniejszą od ludzi naturą rzeczy, potém nieszczęśliwa próba nowego gmachu ze starych materyałów, i tak daléj aż do dnia dzisiejszego. Za nami także spokojny a nieprzerwany rozwój konstytucyi angielskiéj, Ameryka uciskiem zbudzona do niepodległości, stare monarchie południowéj Europy, wielkie i małe, albo zmienione z gruntu, albo zmiecione tym prądem, któremu się poddać nie umiały — władza absolutna z każdym dniem cofająca się z Europy i wypchnięta w ostatnie swoje okopy, to wszystko za nami, i to wszystko zbadane, opisane, analizowane, wytłomaczone przez tylu filozofów, historyków, polityków i publicystów. Nic dziwnego, że zaopatrzonym w takie nauki, taką wspartym pomocą łatwiéj nam szukać przyczyn złego i łatwiéj je wynaleźć.

Ludzie szesnastego wieku w inném byli położeniu. Postawieni u samego wchodu nowszych dziejów, za sobą mieli tylko wieki średnie, prostszego nierównie organizmu politycznego, i starożytność, w któréj się tak namiętnie kochali, którą tak chciwie pragnęli sobie przyswoić, tak naiwnie niekiedy naśladowali, ale która także nie przedstawia wielkiéj rozmaitości społecznych urządzeń. Demokracya Ateńska, oligarchia Lakońska, a nadewszystko senat i cezaryzm rzymski, oto formy rządu, oto ustawy, z któremi najbardziéj byli zaznajomieni i oswojeni. Formy dość pierwotne, ustawy mniéj od naszych zawikłane. Dodajmy, że młodsi od nas mniéj analizowali, a przypatrując się faktom, mniéj może dociekali

przyczyn i powodów. Nadewszystko zaś, mniéj posiadali materyałów politycznéj nauki. W wiekach średnich państwa żyły osobno, każde dla siebie; wypadki lub przeobrażenia jednego kraju, albo nie wpływały wcale na losy drugiego, albo wpływały może tylko pośrednio, niemal przypadkowo. Do braku politycznych stosunków między państwami dodajmy brak komunikacyi, a przez to konieczny brak dokładnéj znajomości tych stosunków, brak książek i druków, i tego wszystkiego, z czego my dzisiaj uczymy się dziejów przeszłych i współczesnych, a zrozumiemy, dlaczego ludzie owego wieku jeżeli nie mniéj od nas mieli politycznéj mądrości, to teoryi téj mądrości tyle co my mieć nie mogli.

Wniosek ztąd prosty, że książka o Poprawie Rzeczypospolitéj napisana w owym czasie, nie może odpowiedzieć tym wszystkim wymaganiom, jakie stawiać mielibyśmy prawo książce współczesnéj takiéj saméj treści. Niech więc nikt się nie spodziewa, że znajdzie u Modrzewskiego kompletny jakiś system polityczny, owoc długich rozmyślań, jakiś plan rządu skrupulatnie *a priori* odważony i rozważony; jakąś idealną Republikę Platona, lub Utopię Tomasza Morusa. Niech nikt nie spodziewa się czegoś podobnego do konstytucyi Sieyèsa lub Benjamina Constant, zbudowanych podług regularnego szablonu głębokich a pedantycznych teoryj. Teorye i systemy nie były właściwe temu wiekowi, a dopieroż ówczesnéj Polsce. Wiek ten młody, lubiący żyć i używać, mało reflektował, mało analizował, a szlachta polska w samym kwiecie swojéj potęgi i politycznego zawodu, swobodna i szczęśliwa, chciwa znaczenia i wpływu, harcująca z Tatarem na Ukrainie lub zazdrośnie a gwarnie obstająca za swojemi przywilejami na sejmie w Piotrkowie albo Lublinie, niedotknięta jeszcze żadną wielką klęską publiczną, wielkością Rrzeczypospolitéj zaślepiona zupełnie na przyszłe niebezpieczeństwa, wygrzewała się w słońcu swoich swobód, czuła się szczęśliwą, i nie przypuszczała bynajmniéj, aby zmiana instytucyi mogła być potrzebną téj Rzeczypospolitéj tak szczęśliwéj wewnątrz, tak groźnéj Turkowi, tak szanowanéj w Rzymie, w Rzeszy niemieckiéj i w Paryżu. Łatwo nam dzisiaj wiedzieć, że wtedy już należało ratować zagrożoną władzę królewską, i téj władzy wykonawczéj dać w rękę środki wykonywania; że wtedy już należało my-

śleć o ukróceniu tego możnowładztwa, które nie będąc arystokracyą opartą na obyczaju ani na prawie publiczném, sławnie umiało osłaniać się równością szlachecką i wyzyskiwać ją na korzyść swoich ambicyi. Łatwo nam wiedzieć, że wtedy już należało radzić coś na tę demokracyą szlachecką, która wkrótce potém stała się wobec władzy najniesforniejszą z gawiedzi, a wobec mieszczan i włościan najzazdrośniejszą, najuciążliwszą z oligarchii. Nie sztuka, że my o tém wiemy, bośmy to wszystko poznali z owoców. Ale w owym czasie, kiedy Ojczyzna była tak potężna, tak szczęśliwa, tak świetna, kiedy na zewnątrz tyle było sławy i wielkości, kiedy wewnątrz tyle było wolności, a pomimo nadużyć i wybryków dosyć jeszcze porządku, czyż wtedy można było wiedzieć, że należało reformować Rzeczpospolitą co rychléj i z gruntu? Polak mądry po szkodzie, a wtedy, choć rosły bujnie chwasty zasiane przez komorników Ludwika na roli, którą tak dobrze sprawioną odumarł gospodarz Kazimierz, wtedy jeszcze szkody, a przynajmniéj wielkiéj szkody nie było. Zdaje się być wrodzoną ludziom własnością, że wtedy dopiero biorą się do roboty, do poprawy, do ratunku, gdy niebezpieczeństwo dojrzewające powoli, objawi się wszem wobec obfitym plonem klęsk i nieszczęść. Trzeba było, aż zgorszenia trzech papieży naraz, żeby kościół rzymski uznał się potrzebującym reformy *in capite et membris;* wielka rewolucya była już za drzwiami, kiedy Ludwik XVI zwoływał stany generalne, a sejm czteroletni ułożył konstytucyę trzeciego maja po pierwszym rozbiorze.

Nie dziwmy się zatém, jeżeli nasza Poprawa Rzeczypospolitéj nie będzie poprawą zupełną. Nie poda ona ani środków na wzmocnienie władzy królewskiéj, ani środków na ukrócenie szlacheckiéj samowoli. Nie da nawet systematycznego obrazu owoczesnych instytucyj, nie opisze ani prerogatyw korony, ani atrybucyj senatu i sejmu, ani wzajemnego ich do siebie stosunku, a tém mniéj nie powie, w czém instytucye te błądzą i jak je zmienić wypada.

Dziś zabierając się do takiego dzieła, rzeklibyśmy na wstępie: w Polsce dzieje się tak a tak, błąd leży w tém a w tém miejscu, poprawić go należy w ten a w ten sposób. Nasz autor postępuje inaczéj. Wychodzi on nie od swojego

własnego narodu, ale od wszelkiego społeczeństwa ludzkiego w ogóle, szuka jego początków, docieka celu, a dopiero ogląda się za środkami, z których pomocą cel ów dałby się urzeczywistnić i zabezpieczyć. Jest w tém niezaprzeczenie cokolwiek pedantyzmu, jest jak żeby przypomnienie tych rozumowań oderwanych, w których kochali się starożytni. Nic dziwnego; autor jest człowiekiem swojego wieku, jest wychowańcem epoki odrodzenia, i dobrym jéj wychowańcem. Przejął on cały zapał, całą cześć starożytności właściwą swojemu wiekowi, a z nią i cokolwiek tego pedantyzmu, tego ślepego bałwochwalstwa starożytności, którym odznaczają się wszyscy niemal mężowie stanu, filozofowie, pisarze i uczeni owego wieku. Odrodzenie, które tak świetnie, tak radykalnie oswobodziło myśl ludzką zpod tyranii filozofii scholastycznéj, zpod ciasnych jéj form i raz na zawsze przyjętych argumentów, wpadło samo w pedantyzm innego rodzaju, w pedantyzm starożytności. Nie znając nic głębszego nad starożytnych filozofów, nic piękniejszego nad łacińskich i greckich poetów, nic wymowniejszego od Cycerona i Demostenesa, szło za tą starożytnością ślepo i na wiarę. Machiavel w najlepszéj wierze wysławia mądrość polityczną Romulusa i Numy, Jan Zamojski nie żartem chciałby przykroić Rzeczpospolitą polską podług nieśmiertelnego wzoru rzymskiego. Podobnie i nasz Modrzewski używa nieraz sentencyi z Cycerona lub Liwiusza zamiast argumentu, a przykładów swoich szuka nietylko w historyi starożytnéj, nietylko w Tacycie i Salustiuszu, ale nawet w mitologii i w poetach i nieraz jako powagę przytoczy przykład Faetona, Herkulesa lub Odysseusza. *Minor* święty Grzegórz, *major* święty Augustyn, *conclusio* święty Paweł; w ten sposób argumentowała filozofia scholastyczna. Odrodzenie lubi także pomagać sobie podobnymi argumenty, tylko że u niego pierwszym dowodem bywa Liwiusz albo Cicero, drugim Seneka i który z poetów, a na ostatku przywala przeciwnika niezwyciężona powaga Platona lub Aristotelesa. Zresztą nie ujmuje to nic naszéj książce. Przeciwnie, nie bez przyjemności spotykamy się w niéj z powagą pobożnego Eneasza lub z nauczającym przykładem Medei. Takie drobnostki odbijają wiernie sposób myślenia owoczesnych ludzi, ich świeżą prostotę i naiwność, od któréj my odeszliśmy

już tak daleko. Podziwiamy w autorze Historyi Florenckiéj i Dyskursów o pierwszéj Dekadzie Liwiusza tę głębokość i znajomość ludzi, jakiéj nikt nigdy nie przeszedł, ale lubimy także jego szczere i gorące uwielbienie dla wielkiego monarchy Romulusa, na które przecież uśmiechnąć się musimy, my, którzyśmy czytali Niebuhra i Momsena.

Mniejsza zresztą, że nasz Frycz wykarmiony dziełami starożytnych filozofów w sposób zbyt oderwany, nie dość praktyczny, szuka celu ludzkich społeczeństw, Rzeczypospolitych, kiedy cel ten znajduje, a znajduje łatwo i od razu. Rzecz dziwna, ten szlachcic polski, który nie znał nawet imienia politycznéj filozofii, znalazł swoim zdrowym rozsądkiem słowo zagadki, nad którą tylu filozofów i polityków nadarmo łamało sobie głowy. Oto jego odpowiedź: „aby się onym wszystkim mieszczanom, abo spólnie żyjącym obywatelom, na wszem dobrze wodziło, a iżby wszyscy szczęśliwy na świecie żywot wieść mogli.“ Odpowiedź ta powtórzona raczéj za Arystotelesem niż wynaleziona, ale niemniéj dlatego dobra i prawdziwa. Są rzeczy, które się nie zmienią, pokąd stanie ludzi na ziemi; są prawdy tak samo dobre, czy je powie Arystoteles w starożytności, czy Frycz w wieku XVI, czy późniéj Bossuet, czy wreszcie w wieku dziewietnastym Macaulay lub Guizot; a ci którzy te prawdy powtarzają, zawsze jednako godni szacunku i uznania. Szukajmy jak chcemy, przewracajmy to pytanie na wszystkie strony, w końcu przecież na jeden pewnik zejść musimy, że wszelkie państwo jest środkiem do szczęścia pojedyńczych ludzi, że cywilizacya, wolność, prawo, porządek, bogactwo narodowe, wszystko co w państwie tylko da się osiągnąć, z jednego płynie źródła, i do jednego zmierza celu, a tym jest swoboda, bezpieczeństwo, spokój, dobry byt, oświata, jedném słowem szczęście ludzi. Ale jakąż drogą dojdzie Frycz do tego celu? „Aby tedy Rzeczpospolita w całości a w zacności sobie przystojnéj zawżdy zostawała, trzech rzeczy do tego potrzeba: to jest uczciwych obyczajów albo zwyczajów, srogości sądu, a biegłości w rzeczach wojennych.“ W tych słowach zawarty jest cały porządek myśli autora i cała wewnętrzna struktura jego książki. Znajomość dobrego i złego, moralność i oświata społeczeństwa, dobry obyczaj jak on to nazywa, jest najlepszym środkiem, najpierwszym wa-

runkiem i najpewniejszą rękojmią szczęścia ogółu. Gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy i sprawiedliwi, sam obyczaj wystarczyłby, żeby Rzeczpospolitą zachować w całości i pomyślności, ale że nie są, więc potrzeba: 1. Ten dobry obyczaj zaszczepiać w obywatelach. 2. Postanowić prawo, któreby tego dobrego obyczaju strzegło, tam gdzie go nie strzeże sumienie i wola. Z takiego rozumowania wypłynęły dwie pierwsze księgi naszego dzieła, o Obyczajach i o Prawie. Do nich dodana trzecia, o Wojnie, bo strzeżonego tylko pan Bóg strzeże, gotowego do obrony nieprzyjaciel nie zaczepia, a przeto porządna Rzecznospolita powinna mieć siłę zbrojną w dobrym stanie, zwłaszcza téż ta, któréj Bisurman nigdy nie daje pokoju. Przychodzi jeszcze do tego wszystkiego księga o szkołach. Na to, aby się naród cały rozmiłował w dobrym obyczaju, aby się go wiernie trzymał (w czém zawsze leży największe bezpieczeństwo i najpewniejsza obrona Rzeczypospolitéj), trzeba żeby był oświeconym, żeby się uczył. Szkoły zatém są pierwiastkiem tak ważnym w społeczeństwie, że warto im osobną księgę poświęcić.

Na téj księdze o szkole kończy się dla nas dzieło Frycza o poprawie Rzeczypospolitéj. Mówimy dla nas, bo pozostaje jeszcze księga o kościele, ale ta nie wchodzi w zakres naszego przedmiotu. Nie chodziło nam bowiem o postać Modrzewskiego w całości, nie o rolę jaką odgrywał w politycznych wypadkach lub w religijnych zawikłaniach swojego czasu, ale jedynie o zapatrywanie jego na stan owoczesnéj Polski, a zapatrywanie to złożone jest w tém jedném dziele, o naprawie Rzeczptéj. Nie mieliśmy zamiaru pisać o człowieku, ani o pisarzu, ale li o jednéj tylko książce. To co pomijamy, wyznajemy chętnie, nie jest ani mniéj ważném, ani mniéj ciekawém, nie wchodzi atoli w zakres naszego zadania.

Ktoby potrafił ze skąpych pozostałych świadectw zebrać całkowity żywot Modrzewskiego, i złożyć z rozrzuconych rysów wizerunek jego wierny i żywy, ten zrobiłby rzecz bardzo piękną. Około téj postaci bowiem musiałby skupić się obraz spółeczeństwa polskiego w wieku szesnastym a raczéj obraz całego tego uroczego wieku z tą pełnią sił i życia, z rozmaitością dążeń i kierunków, z tą wielostronną zapalczywą namiętną rzutkością, która stanowi jego wdzięk niezrównany

i jego nieśmiertelną chwałę. Rzeczywiście, z jakiéjbądź strony spojrzeć na naszego Frycza, ujrzy się go zawsze w ścisłym związku z jakimś wielkim europejskim prądem wyobrażeń. Jako człowiek oświecony, dotrzymuje on godnie kroku uczonym zagranicznym, kocha się w nauce i w starożytności, rozkoszuje w uczonych dysputach jak przystało na prawego syna Odrodzenia. Jako sekretarz królewski i uczestnik w różnych poselstwach, bierze Frycz udział pośredni w politycznych sprawach. Jako pisarz zyskuje sobie sławę w Europie, jego dzieła w przekładzie na różne języki rozchodzą się po świecie, i jak liczne świadczą dowody, stawiają go zdaniem postronnych pisarzy w rzędzie znakomitych statystów europejskich. Słowem, widzimy go w najbystrzejszym prądzie owoczesnéj cywilizacyi, a skoro tak było, rzecz naturalna że musiał wpaśdź w wir religijnych kontrowersyi. I tu dopiero odsłoniłaby się ciekawa i piękna strona jego żywota. Student zarażony nowinkami na ławach akademii krakowskiéj, późniéj przyjaciel Melanchtona (co także dowodzi że tuzinkowym człowiekiem być nie mógł), dezygnowany sekretarz poselstwa na sobór trydencki, przyjaciel Uchańskiego, źle widziany przez Karnkowskiego, cel potwarzy Orzechowskiego, cenzur kościelnych groźnego Pawła IV. i narzekań Canisiusza, ofiara wreszcie surowych upomnień Piusa V. ukazuje się Frycz w styczności ze wszystkiemi osobami które przeważnie wpłynęły na historyę reformy w Polsce i w Europie.

Gdyby ktokolwiek wziął się kiedy do pisania historyi protestantyzmu w Polsce, Frycz znalazłby w téj historyi stanowisko szanowne i znaczne; gdyby kto odsłonił zasłonę przeszłości i ukazał nam Zygmunta Augusta w poufnéj rozmowie z sekretarzem, radzącego o sposobach zaprowadzenia narodowego kościoła, ukazałby obraz niezmiernie zajmujący i ciekawy. Piszący niniejszą pracę atoli, nie podniesie téj zasłony. Z braku sił i znajomości rzeczy najprzód, a powtóre dla tego, że zajmując się Fryczem, nie szukał w nim teologa i kontrowersisty, ale tylko pisarza politycznego.

Wpatrując się w dzieje Polski i w przyczyny jéj upadku tak jak każdy z nas wpatrywać się w nie musi od chwili kiedy myśleć zaczyna, dochodzi się rychło do następnego pytania: Czy dawni Polacy a mianowicie polityczni ich pisarze widzieli że idą do zguby? czy widzieli dla czego do niéj idą?

wreszcie czy próbowali zapobiedz złemu i na jakiéj drodze. Z ciekawością, z zapałem, szuka się tego zdania dawnéj Polski o sobie saméj, i tego téż tylko szukaliśmy we Fryczu.

Dla tego pomijamy wszystkie jego dzieła treści kontrowersyjnéj, dla tego nie mówimy o ostatniéj księdze jego Poprawy, dla tego wreszcie nie wdajemy się w rozbiór jego czterech oracyi o karze na mężobójstwo. Z tego winniśmy może się usprawiedliwić, bo treść tych oracyi wchodzi właśnie w zakres naszego przedmiotu. Wszelako sądziliśmy, że to co autor mówi w téj materyi w Poprawie, dostatecznie określa jego stanowisko, argumenta zaś jego przeciwko owemu prawu przytaczać szczegółowo i podnosić ich słuszność, byłoby dzisiaj rzeczą zbyteczną, byłoby kazaniem do nawróconych. Z tego więc powodu ograniczyliśmy się na zdaniu sprawy z saméj tylko Poprawy Rzeczypospolitéj, jako z dzieła w którem mieści się całe zapatrywanie Frycza na ówczesną Polskę i niejako, żeby użyć wyrażenia naszéj epoki, jego polityczne wyznanie wiary *).

---

*) Nie mniéj także winniśmy się usprawiedliwić przed czytelnikiem z powodów, dla których pomijamy wszystkie szczegóły życia naszego pisarza. Powodem jest, że cokolwiek o żywocie jego wiadomo, zebrane i opowiedziane jest przez A. Małeckiego, (patrz Bibliot. Ossol. zeszyt VIII.) w sposób taki, że ktokolwiek chciałby wracać do tego przedmiotu, musiałby żywcem powtarzać co szan. profesor literatury polskiéj powiedział. Przypadkiem atoli natrafiliśmy na nową zupełnie wiadomość o śmierci Frycza, i tę podajemy z żalem, że nie możemy wykazać od kogo ją właściwie mamy.

Na karcie tytułowéj dzieła „*de emendanda Republica, Basileae apud Oporinum 1559,*“ (exemplarz biblioteki dzikowskiéj), znajduje się zapisana wiadomość następująca: „*Obiit Fricius* „*Volboriae anno 1572; vir fuit justae staturae, cana barba, cri*„*spanti, non admodum prolixa. Videbatur esse simplex et infa*„*cundus, sed scripta ostendunt qualis fuerit. In Malczo pago,* „*quod emerat, humatus est, prope Volboriam. In extremo actu* „*vitae confiteri voluit, sed sacerdotes metu pestis aberant; sicque* „*quasi desertus finem habuit vitae suae, in autumno. Hujus postea* „*filius unicus, dum ex ephebis excessisset, globo sclopeti transver*„*beratus, anno 1587 interiit. Haereditas ad filias devoluta, quae* „*etiam liberalius pudicitiam exponentes, ab amatoribus raptae* „*sunt, studio et cupiditate haereditatis potiundae. Mater quoque* „*in viduitate solutius vixit, demum Magnusesvio nupta.*“

I.

Ma Frycz słuszność niezaprzeczenie, kiedy mówi, że dobry obyczaj, przez który rozumie moralność i oświatę spółeczeństwa, jest pierwszym warunkiem bezpieczeństwa i pomyślnego stanu Rzeczypospolitéj; ale jakże się weźmie do tego, żeby ten obyczaj wciągnąć w swój program reformy? jakie wynajdzie środki na to, żeby państwo, żeby rząd obyczaj ten mógł wprowadzić lub utrzymać? Sam wychodzi z tego trafnego założenia, że wszystko złe w spółeczeństwach ludzkich, płynie z małéj liczby złych namiętności, jakiemi są pycha, zazdrość, chciwość, samolubstwo itd. Wielka prawda; cała historya składa się z kilku namiętności wiecznie jednych i tych samych w rozmaite ułożonych kombinacye i waryacye, jak cała muzyka składa się z niezliczonych przemian i przestawień siedmiu tonów podstawnych. I to jeszcze prawda, że na uskromienie tych namiętności, na utrzymanie ich w karbach, jeden jest tylko sposób, to jest wysokie w każdym człowieku pojęcie cnoty i moralności. Ale dla tego właśnie cały ten pierwiastek w spółeczeństwie, wymyka się z pod wpływu i dozoru państwa.

Prawda, że złe popędy ludzkie są powodem wszystkiego złego, prawda, że cnota jest jedyném na nie wędzidłem, ale żaden rząd na świecie nie zdoła ani jednych wykorzenić, ani nakazać drugiéj. Nad uczynkami ludzkimi może rząd panować. nad przekonaniami nie; człowiek zewnętrzny, działający, pod-

---

Pismo widocznie ówczesne, ale żadnego śladu ktoby był piszący. Podaje on na téjże karcie podobnie krótkie wzmianki o śmierci Łukasza Kościeleckiego bisk. poznańskiego, Wawrzyńca Goślickiego, Jakuba Ponętowskiego kaszt. brzeskiego, króla Stefana, Andrzeja Opalińskiego marsz. koronnego i innych. Najpóźniejszą z podanych jest data śmierci Goślickiego (1607). Jedyną zaś wskazówką któraby mogła naprowadzić na jakiekolwiek domysły o piszącym, jest, że zapisując dzień śmierci Marcina Leśniowolskiego kasztelana podlaskiego (1593) nazywa go swoim najbliższym od dzieciństwa przyjacielem i współuczniem na akademii krakow. pod nauczycielem Sokołowskim. Nie mogliśmy jeszcze odgadnąć z tego, ktoby on był; sądziliśmy jednak, że szczegóły które podaje o zgonie Modrzewskiego, zasługują na to, by je ogłosić, bo nawet bez poręczyciela mają przecież pewną względną wartość.

pada pod jego władzę, człowiek wewnętrzny, jego myśl i uczucie, jego sumienie i wola, nie uznaje powagi władzy wykonawczéj. A ile razy gwałtem próbowano mu ją nałożyć, tyle razy okazało się jawnie niepodobieństwo. Próbą taką były wszystkie prześladowania religijne, a przykładem świetny skutek usiłowań księcia Alby w Hollandyi, Stuartów w Szkocyi, Purytanów w Anglii. Dusza ludzka, jéj cnota, jéj doskonałość, od samego tylko zależy człowieka, od jego uczuć religijnych, od jego pojęć filozoficznych — władza wykonawcza może tylko zewnętrzne wymusić na nim uczynki, może go nagiąć do zachowywania pozorów, może go przyuczyć do niegodnéj hypokryzyi, cnotliwym go nie zrobi. Potrzebujemyż dodać, że nie powinna? że to jak od niéj nie zależy, tak i nie należy do niéj — że to nie wchodzi w zakres jéj zadań i obowiązków?

Niech rząd który reprezentuje spółeczeństwo, stara się o to, by zrobić je oświeconém, wolném, zamożném, niech dba o spokój osob, o bezpieczeństwo własności, niech każdego zasłania od krzywd i niech każdemu oddaje sprawiedliwość, oto jego cel i obowiązek. A potém niech się nie troszczy o to, by obywateli swoich kształcić na doskonałych filozofów lub chrześcian na wzór Ewangelii, bo w téj pracy napotka na takie strony uczucia i przekonania z których potrafi może wydobyć dzwięk niesforny i nieharmonijny, które potrafi targać lub zerwać, ale których nie zmusi nigdy do prawdziwego akordu.

Bezwątpienia może i powinno państwo wpływać pośrednio na rozszerzenie dobrego obyczaju i przygotowywać jego panowanie. Może i powinno dostarczyć każdemu swemu poddanemu sposobności nabycia oświaty i nauki, może gotować drogę dobremu obyczajowi, i jeżeli ten nie wyprzedził dobrych praw, wyprzedzić go dobrém prawem. To może, ale nie więcéj; nie może sumień ująć w paragrafy ani poddać obyczajów pod policyjne przepisy; historya świadczy, że mu się to nigdy nie udało, natura rzeczy mówi że się nigdy nie uda.

A gdy nikt nigdy rzeczy niemożliwéj z natury, możliwą nie uczynił, nic dziwnego, że nieudało się naszemu sekretarzowi Jego królewskiéj mości najj. Zygmunta Augusta, poddać obyczaju pod władzę rządu i wykazać jakim sposobem państwo mogłoby czuwać nad cnotą swoich obywateli.

Wymyślá on wprawdzie różne po temu środki, za przykładem pisarzy starożytnych zaleca urzędowych cenzorów obyczajów, same nawet życie domowe oddaje pod kontrolę państwa, za pośrednictwem osobnych na ten cel postanowionych dozorców małżeństw; godzi się jednak wnosić, że musiał sam czuć nieskuteczność podobnych pomysłów, i że występował z niemi przez uszanowanie dla filozofów starożytnych, którzy w podobne obfitują. Pobieżnie bowiem traktuje podobne materye, i rychło je porzuca kiedy na innych zwykł zatrzymywać się długo i obszernie o nich rozwodzić.

Uniwersalnego lekarstwa na obyczaje nie podaje autor, bo podać go nie może, ale daje za to studyum niepowszednie ówczesnych obyczajów i ich skażenia. W téj księdze o obyczajach bowiem mieści się wszystko — król, senat, szlachta, urzędnicy, ze wszystkiemi nadużyciami publicznemi, ze wszystkiemi narodowemi wadami, słowem, obraz nie politycznego może, ale moralnego stanu Rzeczypospolitéj, obraz nakreślony ręką śmiałą i pewną, w rysach energicznych i surowych, obraz szacowny i wierny, a bolesny do widzenia dla tych, którzy wiedzą że stan Rzeczypospolitéj od owego czasu nigdy się nie poprawił, ale z każdém pokoleniem coraz gorszym się stawał. Zobaczmy jednak jakimi sposobami próbuje autor utwierdzić dobry obyczaj w Rzeczpospolitéj. Nie systematyczny zazwyczaj, nie reassumuje Frycz środków tych porządnie, wszelako z przeczytania księgi wyciąga się wniosek, że środkami tymi są: 1. dobre wychowanie młodzieży; 2. roztropne postępowanie króla; 3. urzędy bezpieczeństwa i porządku. Inne środki podane przez niego są albo czysto moralne, albo też wchodzą w zakres praw, a przeto przyjść mają pod rozbiór później, gdy mówić będziemy o drugiéj księdze jego dzieła.

Pierwszą podstawą onego dobrego obyczaju jest dobre wychowanie młodzieży, „bo jeźli dzieciom póki jeszcze młode są „przymieszają co szkodliwego, nie mniéj to mocy na wieczne czasy „w nich będzie miało, jedno jakobyś młodą różdżkę gdy ją zaszczepisz jadem napoił, która potém w wielkie się drzewo rozrośnie, „a owoce z niego się rodzące szkodzić będą pożywającym.“ Zgoda na zasadę i na porównanie, ale to wytknąć się godzi, że ustęp taki o wychowaniu dzieci, w którym nie przepo-

mniano nawet co dzieci jeść mają i jak się ubierać, byłby więcéj na swojém miejscu w jakich radach dla matek jak w książce politycznéj treści. Możnaby mniemać doprawdy, że się czyta Żywot Poczciwego Człowieka pana Reja z Nagłowic; te same rady, te same zasady, te same sentencye, te same ogólniki, i ten sam wreszcie zdrowy rozsądek. Ale co to wszystko ma do poprawy Rzeczypospolitéj? — nic, prócz pedantyzmu starożytności. Wszak Platon także w swojéj „Republice“ rozprawia szeroko o wychowaniu małych dzieci; rzecz naturalna, że człowiek szesnastego wieku wysoko wykształcony i w starożytnych wzorach rozmiłowany, nie mógł odstąpić metody uświęconéj tymi wzorami.

Następuje wiek młodzieńczy, i daje powód do całego szeregu uwag i rad nie mniéj od tamtych ogólnych i oklepanych, pośród których jedna tylko odbija i zwraca na siebie uwagę, nie żeby była jakiemś nowém i oryginalném odkryciem w pedagogii, ale dla tego że jest ciekawym rysem obyczajowym. „Wielkich panów synowie niemal wszyscy w pieszczocie „a w rozpustności bywają chowani, ustawicznie pochlebce „miewają koło siebie, tak sługi jako i bakałarze, z młodu się „uczą nadętości, zbytniéj powagi, zuchwalstwa, a czego się „z mlekiem jakby mamczyném nassały, tego się przez wszystek „czas żywota swego będą trzymać.“

Tak więc chowali się młodzi Zborowscy, młodzi Zebrzydowscy, przyzwyczajeni od młodości nic nie uznawać nad sobą, i przygotowani wichrzyć w Ojczyznie jeżeli nią rządzić nie mogli. A uważajmy, że ten system wychowania datuje jeszcze z dobrych czasów, kiedy możnowładztwo polskie zaczynało zaledwo dojrzewać do późniejszéj swojéj okazałości, datuje z czasów kiedy zgubne uroszczenia i narowy tego możnowładztwa nie objawiły się jeszcze niczém więcéj, jak intrygami Kmity, drobnemi w porównaniu z późniejszymi rokoszami. Możemy być pewni, że zdrowe rady naszego autora nie wpłynęły nic wcale na wychowanie młodych panów Zborowskich — że w późniejszém pokoleniu Zebrzydowski więcéj jeszcze od nich wciągnął nadętości, pychy i zuchwalstwa, że wychowanie Jerzego Lubomirskiego nie było lepszém od wychowania Samuela i jego braci lub pana starosty krakowskiego. Przez cały ciąg ostatnich

trzech wieków historyi polskiéj nie znajdziemy ani jednego złego któreby było ustało — przeciwnie wszystkie krzewią się bujnie i coraz bujniéj, wszystkie obok siebie wydają coraz piękniejsze owoce.

Bezpośrednio po wychowaniu młodzieży, zawsze jeszcze w księdze o obyczajach, napotykamy nie bez zdziwienia rozdział o królu. To przecie przedmiot dotyczący bezpośrednio Rzeczypospolitéj i jéj poprawy, to kwestya żywotna, kamień węgielny owéj reformy, a dla autora pole jak żadne do pokazania jak pojmuje stan Rzeczypospolitéj i czy umie nań zaradzić. Tu przecież może się znajdzie jakieś słabe praeludium do wielkich pomysłów Batorego i Władysława IV., do tajnych spisków Maryi Ludwiki, jakieś choćby ciemne przeczucie przyszłości.

Z natężoną ciekawością czytaliśmy ten rozdział coraz daléj i daléj szukając czy nie dostrzeżemy w nim jakiejś myśli politycznéj. Sądziliśmy, że jeżeli autor uznawał i rozumiał potrzebę reformy w Polsce, to tu właśnie myśl swoją rozwinie; sądziliśmy, że tu natrafi na to słowo w którém zamykały się wszystkie potrzeby Polski i całe jéj bezpieczeństwo na przyszłość, a słowem tém jest: rząd. Nie żądając od niego żeby wiek swój pojmował tak jak my go dziś pojmujemy, mieliśmy nadzieję, że ujrzymy w nim poprzednika naszych wielkich reformatorów, męczenników politycznéj reformy, króla Stefana, Ossolińskiego, Władysława IV. i ludzi czteroletniego sejmu. Niestety zawiodła nas ta nadzieja. Modrzewski rozprawia o królu jak moralista nie jak polityk, wyliczając cnoty i obowiązki, nie mówi nic o jego władzy — rozprawia jak filozof lub kaznodzieja, ale nie mówi, że ten król powinien był być samym szpikiem téj poprawy Rzeczypospolitéj, o któréj pisze. Po wojnie kokoszéj, po tylu bezskutecznych i burzliwych sejmach, można było poznać na czém Rzpltéj przedewszystkiém zbywało. Machiavel nie byłby się pomylił i byłby w to ugodził od razu. Frycz zamiast wołać że król powinien mieć władzę wykonawczą, prawi doktorskim tonem, że powinien mieć roztropność, mierność, sprawiedliwość, szczodrobliwość i męztwo, i składa sobie jakiegoś idealnego abstrakcyjnego króla ze wszystkich siedmiu darów Ducha świętego. Moralista

to a nie polityk, jak nie raz jeszcze będziemy mieli sposobność się przekonać.

Pomiędzy pojęciem króla u Polaków w teoryi, a stanowiskiem jego w Rzeczypospolitéj, leżała zdaniem naszém sprzeczność niełatwa do pogodzenia. Żaden naród nie ważył swoich królów tak lekko, żaden im tyle nie uchybiał, tyle bolesnych nie zadał upokorzeń, a obok tego jakaż tam w słowach i pismach cześć dla Majestatu. Przerzućmy wszystkie z wieku XVIgo i XVIIgo kroniki, dyaryusze, mowy sejmowe, pisma politycznéj treści, cóż tam za uszanowanie dla Pana; co za protestacye wierności i posłuszeństwa. Otwórzmy na przykład Pamiętniki St. Alberta Radziwiłła. Na jednéj karcie przyznaje się naiwnie, że groził królowi buntem, jeżeli mu nie da jakiegoś starostwa, na drugiéj opłakuje śmierć jego z najszczerszego, głęboko przejętego serca. Z książek zdawałoby się, że to prawie poddani Ludwika XIVgo, na kolanach przed słońcem swojego Pana; a zajrzyjmy w dzieje, jak to one odpowiadają temu wysokiemu pojęciu o Majestacie? Nieprzerwanemu chórowi wiernopoddańczych hymnów w książkach, odpowiada nieprzerwany zgiełk rokoszów, konfederacyi wojskowych i wrzawa zrywanych sejmów. Zkąd ta sprzeczność, jakim sposobem taka forma mogła ostać się obok takiéj treści, takie wyobrażenia obok takich zwyczajów, jakim sposobem zwyczaj nie przerobił teoryi, lub teorya nie wpłynęła zbawiennie na zwyczaj — zagadka to psychologii narodowéj, któréj nie próbujemy rozwiązywać. Dość że u naszego Frycza napotykamy także przesadzone wyobrażenia o władzy królewskiéj, którą jak mówi: „prawie za boską poczytać mamy, ponieważ samego Boga, „który wszego świata jest królem, obraz na ziemi wyraża“ — a na inném miejscu dodaje, że nie godzi się powstać nawet przeciwko złemu królowi, bo święty Paweł naucza, że każda władza pochodzi od Boga. Doprawdy, nic lepszego nie potrafiłby wymyśleć żaden teolog oxfordzki z czasów Karola IIgo. Ale czekajmy; nie jest on dla tego zwolennikiem absolutnych rządów: „nie godzi się królom tak téj władzy używać, aby „mieli wedle swojéj woli albo prawa stanowić, albo podatki na„kładać“, zwłaszcza królom polskim, „którzy się nie rodzą, „ale bywają obierani.“ Rzecz godna uwagi jak on trafił od

razu w to co najskuteczniéj zabezpiecza lud od nadużyć i despotycznych dążności rządu: „podatki“.

Wszystkie narody germańsko-romańskie w wiekach średnich rozumiały się na téj rękojmi i strzegły jéj troskliwie. Dopiéro monarchizm i fiskalizm nowożytny, zatarł to poczucie, odnalezione w parę wieków późniéj przez teoretyków. Polska, która państwem nowożytném nie stała się nigdy, nie zatraciła nigdy tego poczucia; już Ludwik przyrzeka samowolnie podatków nie nakładać, Jagiełło rządzi na téj saméj zasadzie; Kazimiérz IV. zwołuje posłów ziemskich w tym wyraźnym celu aby nowe uchwalili podatki, co staje się pierwszym początkiem sejmów regularnych z udziałem ziemskich posłów. Prawo zatem uchwalania podatków było u nas rzeczą dawną i znaną, a jeżeli co dziwić nas może, to nieskorość nasza do dawania posiłków koronie w najnaglejszéj nawet potrzebie, to niezrozumienie potrzeb państwa, przez które już od czasów Ludwika podatek zwyczajny wynosił nie więcéj jak dwa grosze z łanu. Zaprzeczyć jednak nie można że to pojęcie prawa naznaczania podatków jako głównéj rękojmi wolności jest zaszczytnem świadectwem dla dawnéj Polski a z nią i dla naszego autora.

I nie jedném; bo idąc daléj, jeżeli nie spotykamy u niego właściwego programu reformy politycznéj, a raczéj tylko rady do reformy moralnéj, to natrafimy za to na cały szereg przekonań politycznych, które dziś są już w przeświadczeniu całego cywilizowanego świata, ale w wieku szesnastym tkwiły tylko w umysłach, które wiek ów znacznie wyprzedziły. Nie rozumiemy przez to jakoby Modrzewski był jednym z tych ludzi rzadkich którzy przewodniczą ludzkości na drodze postępu i pchają ją naprzód jedném przyłożeniem ręki. Jest to umysł trzeźwy, oświecony, zdrowy i normalny, ale nie gieniusz. Tém téż dziwniejsza, że mówi rzeczy, na jakie w ówczesnym świecie cywilizacyi tylko człowiek gienialny mógł natrafić, a mówi o nich nie jak o nowościach, nie jak o najświeższych odkryciach lub wielkich zdobyczach, ale bez prozopopei, najprościéj w świecie, jak o rzeczach wiadomych i powszechnie znanych. „A przetoż niechaj to wiedzą królowie, że oni dla ludu nie „lud dla nich jest postanowiony“ „król nad ludem jest prze„łożonym nie dla siebie ale dla tegóż ludu, a dobra swego od „dobra ludu niechaj nigdy nie odłącza.“

Jakie to wszystko proste, jakie łatwe do znalezienia, a przecież wiele potrzeba było systemów filozoficznych, wielu rewolucyi, wielu deklaracyi praw człowieka, żeby ta prawda tak oczywista weszła w przeświadczenie społeczeństw europejskich lub raczéj żeby raz sztucznie wygładzona potrafiła wrócić weń na nowo. Powtarzamy raz jeszcze, Modrzewski téj prawdy nie wynalazł; on ją przyjął, wychował się w niéj, znał i uznawał ją tradycyjnie. Za chwałę rewolucyi angielskiej roku 1688, za największą jéj zasługę przed narodem angielskim i światem uchodziło, że ona pierwsza określiła i opisała w prawie publiczném władzę królewską, jako obopólną ugodę, jako kontrakt z narodem, pociągający za sobą jak każdy kontrakt dla obu stron tak pewne prawa jak i pewne obowiązki i jak każdy kontrakt, podległy zerwaniu, jeżeliby zobowiązania nie zostały dotrzymane. Że wieki średnie w ten sposób pojmowały początkowo władzę królewską i stosunek jej do narodu, na to są liczne przykłady czy to w parlamentach angielskich, czy w dawnych zebraniach stanów francuskich, czy wreszcie w konstytucyach królestw hiszpańskich. Na zachodzie jednak zatracono to pojęcie. W Polsce czy nie zaginęło nigdy pomimo lub może właśnie z powodu rozbicia całości państwa w wieku XIII, czy téż odżyło tak wcześnie dość że objawia się wyraźnie w pakcie koszyckim z Ludwikiem, a późniéj objawiło się w sposób jeszcze pięknicjszy kiedy sprowadzony z głębi puszcz litewskich barbarzyniec po śmierci Jadwigi chciał złożyć koronę, bo nie przyznawał sobie do niéj prawa i mniemał, że ze śmiercią królowéj wyszedł kontrakt zawarty między nim a narodem polskim.

Takie pojęcie władzy i stanowiska swego przejmowali jedni od drugich królowie Jagiellońscy i mieli je pierwsi w świecie pomiędzy królami, a do osadzenia domu Hanowerskiego na tronie angielskim, jedyni. To téż pisze o nich Frycz w wieku szesnastym, że: „wszyscy królowie polscy aż do śmierci „zacność swoją w całości zachowali, nie tak jako królowie a Pa„nowie innych narodów, z których jedni abo od swoich abo „od postronnych ludzi byli wygnani, a drudzy gwałtem a zbroj„ną ręką pojmani etc. a królowie polscy odnieśli słuszną miar„kowania swojego i cnoty swojéj zapłatę, a przetoż y teraz „sławna y zacna jest ich pamięć, y każdemu wdzięczna“ —

a co on przed trzystu laty napisał, to dziś jeszcze potwierdza zgodne uczucie całego narodu.

Nie wyprzedza więc Frycz społeczeństwa swego, kiedy mówi że król jest dla ludu, a nie lud dla króla, ale oto ustęp, który wybiega daleko przed owoczesną, a daléj niestety przed późniejszą Polskę: A ponieważ Rzeczpospolita jest z różnych „ludzi które w sobie ma, zebrana, to jest z ubogich i z bo„gatych, z szlachty, z mieszczan y z innych stanów, tedy też „i król oto się ma pilnie starać jeźli chce mieć trwałą mię„dzy obywatelami swymi zgodę, aby postanowił między nimi „ileby być mogło porównanie. Nie tym sposobem aby już „wszystkie rzeczy były między nimi wspólne, abo żeby boga„tym miał ujmować to coby ubogim dawał, abo żeby miej„skiego stanu ludziom prerogatywy albo wolności szlacheckiéj „pozwalać miał, abo wszystkie stany mieszać, ale żeby tym „wszystkim stanom chlubę niepotrzebną, nadętość, pychę y in„sze zarazy towarzystwo ludzkie psujące odjął.“

Zobaczymy daléj, w księdze o Prawach, że nasz zacny autor, którego często znajdziemy niepraktycznym lub niedostatecznym, ale zawsze, stale, wiernie i niezmiennie w dobrym kierunku idącym, zawsze dążącym do wolności, do sprawiedliwości, do prywatnéj i publicznéj cnoty, zobaczymy że w księdze o Prawach żąda przedewszystkiém „jednego prawa dla wszystkich“ — czyli tłomacząc to na język naszego wieku: równości wobec prawa. Tutaj chodzi mu o co innego, o porównanie wobec obyczaju. Oburzają go „owe słowa i pisania „uszczypliwéj żółci pełne: chłopska krew nigdy nie może być „życzliwą abo przyjazną szlacheckiéj krwi. Za takiemi słowy, „a gdzie takie zarazy panują żadne porównanie, żadna skłon„ność, żadne dobrowoleństwo, żadne miłosierdzie y żadna spra„wiedliwość w Rzeczypospolitéj być nie może; zaś zjąwszy „z bogatych górne mniemanie, z narodu szlacheckiego nadę„tość y wysoką myśl, z możniejszych pychę, porównają się „zwierzchni i zacni z niższymi, a w rozmaitych i różnych rze„czach okażą się jednakie serca y umysły wszystkich stanów, „i nie będą ubodzy styskować na swe ubóstwo, ani nieszlach„cice na swój stan, ani poddani na poddaność swoją.“

Zważmy że nie chodzi tu o prawo i kodeks, ale o to by odjąć bogatym górne mniemanie, możnym i wielkim na-

dętość, ubogim i maluczkim powód do utyskiwania — nie o prawo zatém, ale o ową rzecz która trudniéj nierównie daje się zmienić lub wprowadzić, o obyczaj. W naszych społeczeństwach europejskich opartych na równości przed prawem, zrobiło się już wiele dla takiego porównania wobec obyczaju, zwłaszcza w demokratyczném społeczeństwie francuskiém; ale to pewna, że myśl ta podniesiona w wieku szesnastym jest czémś bardzo niezwykłém. Dodajmy do niéj pomienione już pojęcie władzy królewskiéj, dodajmy że nasz autor żąda równości prawa, że żąda dla narodu inicyatywy w prawach i prawa uchwalania podatków, a całość będzie bardzo zbliżoną do dzisiejszego naszego pojęcia o człowieku wolnomyślnym i postępowym. Nie żąda on wprawdzie żeby mieszczanie byli przypuszczeni do urzędów, bo w wieku swoim żądać tego prawie nie może, ale doprawdy, to czego żąda wznosi go tak wysoko nad wiek otaczający, że można mu cokolwiek wybaczyć.

To zaś „porównanie“ nie może być uczynione ani z strony bogactw, ani z strony rodzaju, ani z strony różności stanów — cóż więc pozostaje? Mybyśmy rzekli, że skoro nie może być ze strony rodzaju i różnicy stanów, więc nie może być wcale, bo tylko zniesienie téj różnicy otwiera wszystkim drogę do wszystkiego, a zatém prowadzi do takiego porównania. Frycz jednak wynajduje nań sposób inny i powiada, że „porównanie „to ma być uczynione ze strony skłonności abo układności je- „dnego ku drugiemu“, a „należy na samego tylko króla.“ Nasuwa się tu sama z siebie uwaga, że jak skłonność sama nie wystarczy, tak téż król na tę skłonność niewiele może poradzić, zwłaszcza téż tak mało mocny król polski; wszalako zaprzeczyć się nie da, że na „owe górne mniemanie“, na „nadętość i pychę“, na „słowa uszczypliwéj żółci pełne“ — przykład i obyczaj dworu może wiele. Autor żąda żeby król ludzi hardych a nadętych upominał, słów uszczypliwych a nieprzystojnych nie dopuszczał, ale żeby znakami twarzy, postawami, zfukaniem, dawał poznać iż mu się nie pobobają i łaskę jego naruszyć mogą. Środek drobny zapewne, ale obok niego są i inne. Król ma dbać zarówno o wszystkich poddanych, dla wszystkich być ojcem, wszystkich jednako bronić od krzywdy, w wszystkich nagradzać zasługę, a zwłaszcza nie waśnić poddanych i do waśni a zawiści między nimi nie dopuszczać,

„bo próżna jest o tém nadzieja, aby ci Rzeczypospolitéj w wiel-„kich niebezpieczeństwach wspólnie bronili, którzy tak nieprzy-„jacielsko o sobie zobopólnie i rozumieją i mówią.“ Prawda że to wszystko niedostateczne; prawda że skoro zachowuje różnicę stanów, całe jego porównanie jest bez podstawy, i lepiéj było przestać na saméj równości przed prawem, skoro równości politycznéj być nie miało; prawda że skłonność, układność i ciche zfukanie królewskie nie zastąpią tego co samo jedno jest istotą i rękojmią takiego porównania, to jest téj równości politycznéj, która wszystkim do wszystkiego drogę otwiera. Ale choć się pomylił w sposobie, choć koło jednego dobrego środka przeszedł mimo i nie dojrzał go, bo go podówczas nikt w Europie ani przypuszczał, za to już samo należy mu się cześć i uznanie, że rozumiał potrzebę tego porównania, kiedy wokoło niego mało kto lub może nikt jéj nie przeczuwał.

Zasługa jego leży w szlachetnych zasadach, w tem że stale i wiernie dąży do wolności i sprawiedliwości, że jest sam na dobréj drodze, i wskazuje ją drugim. Ale téż tylko wskazuje; wprowadzić na nią nie umie. Dla tego uważać go musimy za niepospolitego moralistę politycznego, raczéj jak za polityka. O tém na przykład czém po słuszności winien być król w społeczeństwie ludzkiém, ma pojęcie bardzo piękne, ale co ten król ma robić, na to odpowiada samymi tylko ogólnikami. Ma strzedz sprawiedliwości, utrzymywać zgodę, ma nie dawać ucha pochlebcom, znać się na rzeczy wojennéj, otaczać się ludźmi zacnymi a mądrymi, czytać księgi, a nadewszystko Boga prosić o światło i pomoc — oto jego rady. Książę Machiavela znalazłby je zapewne niedostatecznemi. Jak ten król ma rządzić — o tém nic wcale, bo słusznie za nic uważać możemy owo żądanie, aby sam osobą swoją objeżdżał ziemie i powiaty, śledził i naprawiał krzywdy. Pańskie oko konia tuczy, to prawda; ale objazdy takie, mizerny to środek administracyjny, tam zwłaszcza gdzie administracyi nie ma żadnéj. Że jéj nie było, tego nasz autor musiał chyba nie domyślać się wcale, bo nie spotkaliśmy ani jednego słowa, któreby naprowadzało na wniosek przeciwny. Zna on swawolę szlachecką i przewiduje jéj skutki — ale bezwładności króla nie widzi, a następstw jéj nie rozumie. Na pierwszą podaje tylko środki moralne jak spowiednik lub kaznodzieja, a dla króla jeden ma

tylko sposób oddziaływania przeciw téj zgubnéj swawoli, postawę, znaki twarzy i ciche zfukanie! Przyznajemy się, że zrobił nam pewien zawód. Widząc bowiem że tak dobrze rozumie niebezpieczeństwa szlacheckiéj buty i swawoli, spodziewaliśmy się, że jedyny przeciw niéj ratunek znajdzie się w rządzie, że jeżeli nie powie jakim sposobem rząd ten zaprowadzić, to przynajmniéj potrąci chociaż o wzmocnienie władzy królewskiéj. Spodziewaliśmy się istotnéj poprawy Rzeczypospolitéj, zastaliśmy tylko piękne oderwane pojęcia, i władzę wykonawczą uzbrojoną mową mądrą, napominaniem stateczném i cichém zfukaniem!

Rzecz tém dziwniejsza, że w gruncie serca autor nasz jest monarchistą stanowczym i gorliwym. Nie pojmuje on władzy wykonawczéj innéj jak w jedném ręku skupionéj; czyli to jest owocem jego własnych rozumowań, czy téż znowu odbiciem autorów starożytnych mianowicie Platona, trudno rozstrzygnąć, dość że podług niego „ani pospolitego człowieka, ani „przedniejszych w ziemi osób panowanie nie może się na urzędzie swym przystojnie zachować, jeżeliby pierwéj nie wzięło „na się podobieństwa panowania jednéj osoby“ — i sypią się zatém dowody psychologiczne, moralne i historyczne przykłady, dyktatorowie rzymscy i ona Rzeczpospolita, „która doznawszy „częstokroć jak ciężkie a szkodliwe jest panowanie wielu osób, „z wielką chęcią Augusta zwierzchnym Panem sobie obrała.“ Ten argument rozstrzyga wszystko; na przykład tak poważny nikt odpowiedzi nie znajdzie.

Senat na przykład, „który po królu w każdéj Rzeczy„pospolitéj jest najprzedniejszy, i bez którego rady, zdania „i zwierzchności nic ani w ziemi ani za granicą czynić się nie „godzi“ — wydaje mu się nie jednym pierwiastkiem władzy prawodawczéj, równéj wykonawczéj władzy królewskiéj, ale raczéj przyboczną radą króla dodaną mu dla tego, aby go wspomagała swojém światłem i strzegła od nadużyć lub despotycznych uroszczeń, ale wydaje mu się raczéj dobrym zwyczajem niż fundamentalną zasadą. „Ponieważ żaden król nigdy „nie był, któryby sam wszystkie urzędy abo powinności na „sobie mógł nosić, przeto królom senatory i insze urzędniki „przedstawiają, którzyby z nim Rzecząpospolitą rządzili.“

Stanowisko Senatu i Izby poselskiéj w Rzeczypospolitéj, musiało wydawać się autorowi takiém jakiém być powinno, bo nie podnosi przeciw niemu żadnego zarzutu, nie żąda żadnéj odmiany. „Widziałem to sam gdy wiele rzeczy zacnych a po„trzebnych postanowiono u nas za uchwaleniem szlacheckiego „stanu, wiele rzeczy szkodliwych odrzucono za nieprzyzwole„niem jego.“ Nie inaczéj podobno są ci „posłowie u nas jedno „jako u Rzymian bywali starsi nad pospólstwem, które zwano „*tribuni plebis* — a przetoż żadne prawa ani ustawy nie są wa„żne, jedno na które posłowie ziemscy pozwolą.“ I to wszystko; więcéj się od niego nie dowiemy. Władza prawodawcza zbyta dość krótkiém słowem jak na książkę o Poprawie Rzeczypo„litéj. Jedna tylko dodana do tego uwaga, jedna ale ważna: „Ale téż niekiedy dali się w tém uznać (posłowie), że nazbyt „swój stan miłują, a nie tak o Rzeczpospolitą dbają jako pil„nie wolności swoich bronią, co się okazało w niesłusznym „a niesprawiedliwym artykule o mężobójstwie. A tak niechaj „pilnie strzegą posłowie aby dla nich kiedy Rzeczpospolita „wielkiéj szkody nie wzięła, z wielką stanu ich sromotą i nę„dzą.“ To już niezaprzeczenie trafne pojęcie społeczeństwa polskiego, to nawet coś więcéj, bo przewidzenie jego przyszłości. Stosunek szlachty do ludu wiejskiego (a do tego stosunku odnosi się owo prawo o mężobójstwie), pojmuje Frycz w sposób, który mu zjednać winien cześć i uszanowanie dzisiejszéj Polski. Jeżeli nie mógł usunąć złego, to ma przynajmniéj tę wielką zasługę, że je poznał, że powstaje na nie z całém oburzeniem wielkiego serca, z całą siłą niepospolitego rozumu, a jeżeli współczesnych nie zdołał opamiętać, niechże potomni przyznają mu przynajmniéj, że był z tych, którzy im lepszą zostawić chcieli spuściznę. Do przedmiotu tego wrócimy jeszcze, bo stanowi on zdaniem naszém główną zasługę książki i autora; tu powiemy tylko nawiasem, że jak zawsze więcéj chce wpływać na sumienie i dobrą wolę ludzi, niżeli na instytucye polityczne.

Senatorami zajmuje się dłużéj niż Izbą poselską, ale niestety rozwodzi się tylko nad ich obowiązkami. Senator powinien mieć rozum, rozwagę, powodować się dobrem Rzeczypospolitéj a nie prywatą, — rzeczy to zawsze prawdziwe, często trudne do otrzymania, ale cokolwiek ogólne. Przeglądają tylko

przez te kazania obyczaje naszych senatorów. Widać na przykład z rad i upomnień Frycza, że nierzadką było rzeczą głosować nie ze względu na rzecz, ale na osobę wnioskodawcy, a jeżeli do tego miało się urazę, głosować przeciw niemu, gdyby chodziło nawet o samo zbawienie ojczyzny. „A nie wiem „by to nie on grzech był o którym Chrystus powiada, że ani „w tém ani w przyszłém życiu nie będzie odpuszczon.“ I jeszcze jedno, co lękamy się, poda biednego Frycza w pogardę i zgubi w opinii; nie uznaje on większości; wota podług niego powinny być nie liczone, ale ważone. Gdybyż można znaleść wagę i jedność ciężaru! Nie znajdzie ich pono ani Frycz ani nikt inny, i podobno do końca świata już musimy liczyć głosy a nie ważyć. On jednak nie przypuszcza tego wcale, i w bezbożnéj pogardzie dla większości pyta zuchwale: „a co po mnóstwie „bez rozumu?“ i popiera swoją sprawę apologiem następującej treści: „Miały między sobą jednego czasu członki ciała „człowieczego rozmowę o słońcu, jeżli jest światłe czyli cie„mne; a gdy wszystkie członki porządkiem wotowały że jest „ciemne, same tylko oczy powiedziały że jest jasne. Rozum „człowieczy odrzuciwszy owe wota chociaż ich było wiele, na „samych oczu wotum pozwolił i za niemi skazał. Rozgniewały „się bardzo drugie członki, że zdanie oczu nad takie mnóstwo „zdania ich przełożono. Ale gdy ich pytano coby za różność „była między światłością a ciemnością, a one tego nie mogły „uczynić okrom sprawy oczu, pozwoliły na ono wotum, które „oczy uczyniły, a rozumów rozsądek pochwaliły.“

Apolog ładny, ale zastósować się nie da. Między oczami a innymi członkami rozum człowieczy sprawę rozsądził, ale między ludzkiemi sprzecznemi zdaniami któż ma sądzić i rozstrzygać, kto je ma ważyć? Darmo, musimy liczyć, ale że po mnóstwie bez rozumu nic, więc jedno nam zostaje, starać się żeby tam gdzie się głosuje jak najwięcéj było oczów.

Obok tego wszystkiego znajdujemy żądanie jedno roztropne i praktyczne; żąda bowiem utworzenia oddzielnych jakoby wydziałów ministeryalnych: „Niektórzy monarchowie“, mówi, „mają do spraw domowych i postronnych poradniki abo sekre„tarze, z których każdy trudni się wyłącznie powierzonemi so„bie sprawami. A obyczaj to chwalebny i bardzo potrzebny, „bo się sprawy i rychléj i lepiéj odprawiają.“ Wiadomo że

nasi wielcy urzędnicy koronni nie składali prawdziwego ministeryum; byli nieliczni i u wielu z nich znajdziemy w jedném ręku atrybucye, które koniecznie rozdzielić należało. Ministerstwa w ścisłém znaczeniu słowa są w całéj Europie produktem czasów o wiele późniejszych, ale w tym ustępie jest jak żeby żądanie i przeczucie dzisiejszych tek i wydziałów.

Ale to wszystko jeszcze nie wystarczy; oprócz króla, oprócz panów rad i posłów, jest jeszcze lud pospolity, którego obyczaje gwałtem potrzebują naprawy. „Dawnoż to jak w jedném „mieście szlachcic ranił ceklarza, człowieka prostego stanu, a po„tém wywlókłszy go na ulicę od balwierza, gdzie poszedł żeby „sobie ranę oprawić, zabił, a potém z miasta wyjechał o połu„dniu, kiedy chciał. A kiedyindziéj zabił szlachcic na rynku nie „prostego już stanu człowieka, ale szlachcica którego gardło da„leko drożéj szacują, i nic mu za to; a innych gwałtów wiele, „a po karczmach, po szynkach, po domach nierządnych ile to „zgorszenia i gamracyey? a po wsiach jak się panowie z pod„danymi obchodzą? Sam nawet święty związek małżeński, pod„stawa wszelkiego społeczeństwa ludzkiego, jakież to ponosi „obrazy kiedy mąż żonę bije, kiedy żona harda a rzędziocha, „kiedy wzajem sobie niewierności popełniają.“ Trzeba na to radzić koniecznie, trzeba ratować porządek i bezpieczeństwo publiczne. Pomijając dozorców obyczajów, których ma być po dwóch w każdym powiecie, (dla tego głównie, że byli w onych sławnych Rzeczachpospolitych starożytnych), i dozorców małżeństw, których śmiało pominąć możemy, bo wszak wiemy dobrze co myśleć o tak potworném wtrącaniu się urzędu w domowe życie każdego, natrafimy tu na szereg rozporządzeń które wchodzą w zakres dobrze nam znajoméj instytucyi: policyi. Nazwiska nie ma, naturalnie, ale rzecz jest. Autor domaga się silnie zaprowadzenia władzy policyjnéj, tylko że jego pojęcie o téj władzy, różni się wielce od tego czém ona bywa w nowoczesnych państwach europejskich, a zbliża raczéj do ideału policyi. Jest to pojęcie takie jakie wyrobić się może tylko w społeczeństwie wolném, jest coś podobnego do policyi angielskiéj, a odległego jak niebo od ziemi od policyi francuskiéj lub petersburgskiego trzeciego departamentu. Przedewszystkiém żadnéj atrybucyi politycznéj, żadnego obowiązku śledzenia co kto myśli, żadnego systemu szpiegostwa i denun-

cyacyi. Straż porządku i bezpieczeństwa, nic więcéj. Zrobi się gwałt publiczny, imać sprawców; grozi budynek zawaleniem, dopilnować poprawy lub zwalenia, doglądać żeby na targu nie sprzedawano towaru fałszowanego lub niezdrowego, oto zadania tych urzędów; bo u naszego autora nie jest to urząd jeden z rozlicznemi atrybucyami i wydziałami, ale mnóstwo urzędów niezależnych od siebie i z sobą niepołączonych. Jest to niepraktyczne zapewne, jest to policya na pierwszym stopniu rozwoju, ale jest rzecz nie mała, w owym wieku który tak mało dbał o bezpieczeństwo publiczne, a zwłaszcza w owéj Polsce tak niedbałéj, tak płochéj, tak zawadyackiéj i nieskoréj do porządku. W tych wszystkich pomysłach widzimy z przyjemnością, że autor czuł brak i potrzebę większéj cywilizacyi, że zwracał uwagę na wszystkie drobne kwestye targu, szpitalu, straży ogniowéj, ubóstwa, i wolimy to jak nie jeden traktat o formie rządu, jak niejedną dzisiejszą broszurę polityczną przepowiadającą i rozstrzygającą losy świata. Kwestye to drobne i ciasne, ale dotyczące bezpośrednio bezpieczeństwa czy to osób czy majątków, zdrowia, wygody, słowem dobrego bytu ludzi. Cenimy téż wysoko w naszym autorze ten zwrot praktyczny, to zajęcie rzeczami drobnemi, które zamiast z góry urządzać szczęście i przyszłość Rzeczypospolitéj, przygotowuje je nieznacznie od dołu. Na to żeby ruch oświaty mógł rozpocząć się na dobre, trzeba żeby pierwéj zaspokojone były ile możności te wszystkie mizerne drobne potrzeby człowieka.

A powiedzieć się godzi, że między pomysłami Frycza znajdziemy wiele bardzo trafnych i praktycznych, a znajdziemy i takie, których my jeszcze nie wprowadziliśmy w życie. „Na „ludzie ubogie urząd ma dać pilne baczenie; które są do ro„boty zdolne, niech je przyuczają robić, a którzyby nie chcieli, „z miasta wyganiać, równie jak i cudzych żebraków. Abowiem „godzi się żeby każde zgromadzenie o tych staranie miało, „którzy abo się w niém porodzili abo długo mieszkali.“ Nic innego jak utrzymywanie ubogich przez gminę; a oto sposób bliżéj oznaczony: „ci którzy za złą sprawą swą majętność stra„cili, acz mają być cierpiani między ubogimi y trzeba o nich „myśleć żeby nie pomarli, ale i żywność skromniéj im ma być „dawana, i pracami trzeba im dokuczać; którzy zaś z niemocy „w ubóstwo wpadli, na to trzeba mieć większe baczenie, a dzie-

„weczki téż ubogie mają być posagiem jakimkolwiek opatrzone „i za mąż wydawane, żeby przez niedostatek nie traciły wstydu. Żywność ubogich niech nie będzie ani roskoszna, żeby „ztąd nie przyzwyczaili się źle robić, ani skąpa, a to téż trzeba „pilnie opatrzyć, żeby od próżnowania nie znikczemnieli ubodzy, ale każdy niech się zabawia jaką uczciwą robotą. A któryby już ubogi ku siłom zasię przyszedł, ten do roboty niech „będzie posłan, zaś którymby na siłach schodziło, iż nie mogą „o sobie radzić, o tych urząd niech staranie ma." Zkąd na to środków? Podatku Frycz nie nakłada, ale tak gorąco zaleca ujmowanie sobie na ten cel w zbytkach, że widocznie nałożyłby go chętnie gdyby tylko śmiał. Cała ta sprawa ubogich roztrząsana tylokrotnie przez ekonomistów, statystyków i filantropów, nie lepiéj i dziś stoi w naszym kraju; podobno *desideria* mamy te same, a kto wić, czy idąc za temi radami, którym lat już trzysta z górą, nie zaradzilibyśmy skutecznie na dzisiejsze tak uciążliwe i źle o kraju świadczące żebractwo.

Oto inny przykład wybrany na los szczęścia (z księgi o prawach), ustęp o uwiarowaniu pożogi i gaszeniu ognia. Przedewszystkiém trzeba ile możności stawiać budynki z cegły, i kryć je dachówką, a potém: kominy, ogniska, aby uczynione były gliną a dobrze obwarowane."

„Kominy niech będą nad wierzchy domów wywiedzione."

„Siano, słoma, paździerze, aby blisko tych miejsc gdzie ognie czynią, a zwłaszcza na piętrach wysokich nie były chowane."

„Każdy gospodarz niech ma drabinę y osękę, albo hak na długim drągu do rozrywania dachów."

„Skoro zadzwonią, wszyscy mieszczanie niech się zbiegą do gaszenia ognia."

„Ale iż naczynia y mnóstwo ludu bez rządu nie bywa pożyteczne, przeto domy miejskie porządkiem niech będą spisane a wszyscy mieszczanie niech będą na części rozdzieleni, każda zaś część niech z pośrodka siebie obiera starszego."

„Starsi mają przestrzegać obwarowania od ognia", i tam daléj. Nie jest to towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, ale przejdźmy się po naszych miasteczkach, o wsiach już nie mó-

wiąc, czy znajdziemy wszędzie kominy nad wierzch domu wyciągnięte, czy znajdziemy w każdym domu osękę, drabinę i wiadro, czy na strychach obok siana, słomy i paździerzów nie znajdziemy często wódki lub nowomodnéj kamfiny; i to wszystko pomimo naszéj cywilizacyi, pomimo naszych niezliczonych urzędów i policyi. I gdyby wstał dziś z grobu biedny Frycz Modrzewski, mniejby się może zdziwił nad tém, że Rzeczypospolitéj nie uratował, jak nad tém, że w tych drobnych rysach powierzchowność naszéj ziemi tak mało się odmieniła.

Powiedzmy jeszcze że on myślał o wszystkiém co należy do porządku i bezpieczeństwa. Drogi, mosty, czystość po miastach, środki przeciw szerzeniu chorób zaraźliwych, kanały, wszystko chce mieć urządzone i w porządku. Niekiedy nawet za daleko porywa go gorliwość, i urządza to nawet, co urządzić się nie da, jak np. ceny produktów. Urząd powinien mieć na pilném baczeniu rzeczy które przywożą i wywożą, aby doglądał jeźli są dobre i nienaruszone" — nic słuszniejszego, ale niebawem znajdziemy, że tenże urząd ma towarom ustanawiać i cenę; że co roku ma obrachować potrzebę Rzeczypospolitéj, tak w zbożu jak i innych produktach, a dopiéro co nad tę potrzebę zbędzie, to może być wywiezionem za granicę. Nie dość na tém, rząd ma skupować zboże czasu urodzaju i taniości, jak za Faraonów składać je w spichrze, a czasu drożyżny i głodu, sprzedawać po cenach wyższych cokolwiek niżeli zakupił. Tym sposobem i Rzeczposposolita (skarb) miałaby zysk i zapobiegłoby się oszustwu a chciwość handlarzy i przekupniów którzy wtedy właśnie najdrożéj żywność sprzedają kiedy jéj największa potrzeba. Co zaś jest rzecz gorsza i nie do darowania, to że gościowi drożéj przedawają niżeli sąsiadowi. Przecież mówi Bóg do Izraelitów: „Przychodnia nie zasmucisz a nie złupisz." — A cóż dopiéro rzec o téj sromocie, „iż na sejmie lub na onych miejscach na których król z Pany Radami y z wielkim zjazdem ludzi bywa, daleko drożéj wszystko przedawają niżeli na innych miejscach — to jest zaprawdę rzecz nieznośna, aby ci wszystkie potrzeby drożéj płacili którzy o Rzeczypospolitéj radzą."

Pojęcie to ekonomiczne różne wcale od naszych, a o wpływie odbytu na cenę, żadnego już zgoła pojęcia. Do tego ograniczenia handlu na które dziś żadną miarą przystaćbyśmy nie chcieli. Ale przypomnijmy sobie systemy ekonomiczne owego wieku — przypomnijmy sobie że monarchowie w których państwie słońce nie zachodziło, choć żyli w samém ognisku cywilizacyi europejskiéj i mieli ją na swoje rozkazy, mieli pojęcia ekonomiczne sto razy gorsze i zgubniejsze jeszcze jak nasz szlachcic. Niesprawiedliwie byłoby dziwić się lub gorszyć. — Przeciwnie; trzeba raczéj uznać w nim i szanować że zwrócił uwagę na stosunki handlowe, tak u nas lekceważone i zaniedbane.

Mylił się wprawdzie, doszedł do fałszywych wniosków, to prawda, ale myślał — czy wielu takich znajdziemy? A zważmy oprócz tego że kiedy chce wynaleść sposób na głód i drożyznę, to chodzi mu przedewszystkiém o klasy najuboższe, o zabezpieczenie bytu włościan, o dostarczenie chleba rzemieślnikom; bogatym drożyzna mniéj cięży, a głód czuć się im nie daje. Frycz się myli, nie trafia do swego celu, ale pomyłka jego zasługuje na pobłażanie ze względu na intencyę.

A obok tego zasada na którą zgodzi się niezawodnie każdy zwolennik wolnego handlu z dziewietnastego wieku: „Ów też obyczaj że jeden zakupuje jaki towar po wszystkiem państwie aby sam przedawał, trzeba zniszczyć a pod wielkiemi winami tego zabronić.“ Mamy tedy zniesienie monopolów; z powodów moralnych wprawdzie nie ekonomicznych: jest to rzecz sprośna, właściciel monopolu oszukuje przedawcę jeźli taniéj niżeli słuszna jest u niego kupi, albo kupca jeźli mu drożéj niżli słuszna jest sprzeda, abo obudwu; chęć taka zysku nie może być próżna występku, i tym podobne względy moralne. Ale dość, że monopol nie ma być cierpianym. Nie jedyny to wypadek w którym zdrowa zasada moralna schodzi się ze zdrowem prawidłem ekonomiczném.

Trudniejszą do rozwiązania będzie sprawa urzędu. Piastują je u nas sami tylko ludzie szlacheckiego stanu, i słusznie, bo oni sami posiadają majętności trwałe a dobrze ugruntowane, a takie przełożone mieć pożyteczna jest Rzeczypospolitéj, by zasię w przeciwnym razie dla niedostatku nie musieli z Rzeczypospolitéj zysku albo pożytku sobie czynić. Zatém dobrze jest, ale wieleż to znowu trudności, wiele kłopotu zanim

się dobrego urzędnika wynajdzie, i jak takiego wynaleźć? Cnoty szukać i godności, ale jakże ją przejrzeć i odgadnąć. „Na szlachtę zważać warto, bo jużciż idą oni od takich którzy „się dobrze zasłużyli ojczyznie, ale jestże pewność jaka że syn „podobnym będzie ojcu? Na dobrą sprawę nie miałoby to być „żeby się szlachcic rodził ze szlachcica; tak jak nie rodzi się „lekarz z lekarza, jak krew rzemieślnika nie czyni syny rze-„mieślniki. A cóż to jest ten herb? Nie inaczéj jeno jakoby dwa „kubki jednego kształtu i z téj saméj materyi, z których jeden „ma być ważniejszy że na nim co chędogiego napisano, albo „obrazek osobliwy namalowano. Gdyby to szlachta zrozumieć „chciała że herby obowiązują nas tylko abyśmy szlachetność „przodków naśladowali, gdyby wiedziała że prawdziwe szlachec-„two nie tak na zacności przodków a na starożytności herbów „zależy, jako na godności a cnotliwych postępkach, toby jeszcze „złe nie było. Ale cóż kiedy naszéj szlachty większa część „opacznemi dumami jest zarażona. Każdemu pochlebia że mu „się drugi ukłoni, każdy pragnie wyższego miejsca, czy to w do-„mu czy w kościele, każdy chce błyszczeć w świecie, każdy „zaufany w swoim rodzie mniema, że mu się wszystko należy „i ztąd owa gonitwa za urzędami, owo łapanie urzędów, owe „prośby naprzykrzone, a cóż dopiéro przekupstwo— małoż to „takich którzy za pomocą bogactw swoich do urzędów się gar-„ną? ztąd nie jeden niegodny wciśnie się do urzędu, nie jeden „godny zostanie na boku, a jaka ztąd dla Rzeczypospolitéj szkoda?“ Narzekanie takie na spaczone pojęcie szlachectwa znajdziemy nie u Frycza jednego, ale u wszystkich niemal poważniejszych pisarzy XVIgo i XVIIgo wieku, u wszystkich umysłów głębszych i szlachetnych, żeby wymienić samego tylko króla Stefana. Nie umniejsza to atoli zasługi naszego pisarza i nie powstrzymuje od przytoczenia jego zdania w téj mierze; bo nie o to nam chodzi żeby go ukazać wyjątkiem i fenixem którym nie był, ale zacnym obywatelem i mądrym człowiekiem którym był. Jego zaś dowody mogą nie jednemu wydać się oklepanem kazaniem. To prawda. Wszystko to kazanie, ale kazania mają tę właściwość, że służą wszystkim wiekom i pokoleniom — morał zostaje zawsze prawdziwym i trafnym bo natura ludzka i jéj ułomności zostają zawsze jedne i te same.

Jednak trzeba na to złe rady koniecznie; ale zkąd jéj wziąść? Król człowieka nie przejrzy, sumienia jego zbadać nie może, trzeba w to przynajmniéj utrafić żeby niegodni nie starali się o urzędy, i nie łapali ich fortelami a intrygami. Nie źle byłoby postanowić i ogłosić że król nie da urzędu żadnemu takiemu kto się oń naprzykrzać będzie, a natomiast wyszukiwać będzie godne i zacne. A jeżeli to trudno, to przynajmniéj tak uczynić się jak dzieje w Rzeczypospolitéj weneckiéj. Tam przy obiorze książęcia, jako Contarenus świadczy (jedyna to w całéj książce wzmianka o współczesnéj zagranicznéj Europie) każdy ma prawo zdanie swoje o kandydacie przed Senatem wypowiedzieć. Możnaby prawo podobne postanowić i u nas, a wtedy może, jako powiada Cato, nie byłyby drobne rybki szacowane wyżéj jak woły.

Najlepiéj atoli byłoby, gdyby urzędy z dożywotnich doczesnymi się stały, a przy składaniu onych gdyby z każdego liczba musiała być zdawana. „Tak było w Rzeczypospolitéj „rzymskiéj, a nic się nie zda w Rzeczypospolitéj wolnéj być „niesłuszniejszego, jako to, że jeden ktokolwiek aż do swéj śmierci „wolnie panuje, a jarzmo na szyję równych sobie wkłada, nie „bojąc się sam dozoru ani nad sobą ani nad swym urzędem." Wzgląd ten, że niesłuszna jest by jeden nad drugim panował, mógłby niezaprzeczenie doprowadzić nas daleko, aż do wyciągania urzędników losem; inaczéj zawsze ktoś może się uczuć skrzywdzonym, reformator który z téj zasady wychodząc chciałby reorganizować urzędy, zdezorganizowałby tylko spółeczeństwo. I to téż pomysł nie dobry, żeby urzędy miały pewien swój czas ograniczony. Może to być doskonałe gdzie idzie o to by prezydent Rzeczypospolitéj nie został pomału dyktatorem lub monarchą, ale pewnie nie jest stósownem gdzie idzie o dobrych i wprawnych urzędników administracyjnych, a jest stanowczo szkodliwém w zastósowaniu do sądownictwa.

Jedna jest rzecz atoli w tym całym pomyśle która na szczególną zasługuje uwagę, to owa liczba która miałaby być zdawana z urzędów,— odpowiedzialność — najlepsza rękojmia tak dobrych rządów jak wolności spółeczeństwa. Znajdujemy ją tu wypowiedzianą wyraźnie, a podnosimy z radością na dowód że stary nasz pisarz znał się na warunkach i rękojmiach wolności. Przypominamy czytelnikom przytoczone wyżéj słowa, że nie

godzi się królowi podatków nakładać ani praw stanowić. Teraz natrafiamy na odpowiedzialność urzędników, znajdziemy daléj równość w obliczu prawa, a nawet coś jak żeby przeczucie wolności druku; wielkie zasady wolności, nie zestawione obok siebie porządnie, nie ujętę w system, ale wypowiedziane wyraźnie i z zupełną świadomością rzeczy na lat sto przed rewolucyą angielską, na lat z góry dwieście przed rewolucyą francuską.

Ale tego wszystkiego złego, tego łapania urzędów, tego zbytku w szatach, biesiadach i sposobie życia, tych waśni i swarów, tych częstych publicznych gwałtów i rozbojów, i téj wreszcie coraz większéj, coraz groźniejszéj zawiści jednych ku drugim, jakaż może być przyczyna? Nie inna, jedno pycha i nadętość. Nią zaślepieni nie chcemy nikogo nad sobą uznawać, „i nikogo słuchać, przez nią kochamy się w strojach, czapkach, „kamykach osobliwych, w biesiadach i ucztach, za jéj sprawą „domagamy się urzędów i zdobywamy je fortelami, a tak za„szliśmy w niéj daleko, takeśmy marnochlubni w naszéj płochéj „próżności, że zatraciliśmy nawet prosty sposób mówienia, a „mowę swoją tak każdy musi dziś zformować jakoby nie z tym „co go widzi, ale z kim inszym albo o kim inszym mówił.— „Ztądże owo mnóstwo wielmożności, jasności, miłościwania y „inszych tym podobnych, wszystko to pycha i płochość.“ Przeciwko tym powstaje Frycz gwałtownie przy każdéj sposobności; i słusznie podobno, bo bodaj czy te dwa słowa nie rozwiązują całéj zagadki naszéj historyi.

Weźmy wszystko złe jakie nas na dno przepaści zawiodło, i popatrzmy czy zasadniczym pierwiastkiem nie będzie tam jedna z tych wad narodowych. Niesforność szlachty, buta magnatów, poniżenie lub ucisk ludu, rokosze, swawola i anarchija, płyną wszystkie z pychy. Przez cały ciąg naszych dziejów ma pierwiastek ten fatalny swoich wielkich reprezentantów, którzy występują po sobie jak prorocy starego testamentu, a jak tam każdy prorok dodawał rys jakiś nowy do obrazu przyszłego Mesyasza, tak tu każdy z tych złowrogich praecursorów zguby i upadku dodaje swoją cegłę do budowy narodowego nieszczęścia. Smutny ten szereg polskich Koriolanów, otwiera Kmita za Zygmunta Starego; za nim idą Zborowscy, Zebrzydowski, Opaliński i Lubomirski, co jeden to gorszy, co

jeden to głębiéj pcha w przepaść Rzeczpospolitą. Późniéj w tém powszechném u nas ogłupieniu i rozpuście, w końcu XVIIgo wieku i za Sasów, maleją i nikczemnieją nasze Koriolany, a rokosze spadają do drobnych rozmiarów burdy. W Lubomirskim jest jeszcze coś wielkiego, coś tragicznego, jest przecie coś szlachetnego i dobrego, w późniejszych wichrzycielach wszystko budzi tylko wstręt i obrzydzenie. Ale tradycya nie ginie, łańcuch się nie zrywa, choć ogniwa jego maleją, i w ostatnich chwilach Rzeczypospolitéj występuje pycha jak na finał w obronie władzy hetmańskiéj.

A jak dumę na dnie rokoszów pańskich i szlacheckiéj swawoli, tak płochość znajdziemy na dnie zrywanych sejmów, daremnych wypraw, praw niewykonanych, wojska niepłaconego, i tego wszystkiego co składało polski bezrząd i nieład. Zdawałoby się na pozór, że to wada mała która domy zdoła podkopać, nie Rzeczypospolite; ale u nas doszła ona do takiego stopnia, że mało było prawie obok niéj miejsca na miłość ojczyzny, na uczucie obowiązku, na obywatelską cnotę, a na porządek nie było go wcale. Popatrzmy w dzieje. Kokoszą wojnę co zrobiło jeżeli nie płochość? co rozwiało wszystkie możliwe korzyści bitwy beresteckiéj? płochość. Co sprowadziło klęskę pod Piławcami lub Żwańcem? Zawsze płochość. A jeżeli sejmy nie dochodziły, jeżeli nie było podatków na opłacenie żołnierza, który się buntował i robił konfederacye, to co było temu powodem? nic tylko polska płochość. W wojnie kozackiéj, w zrywanych umowach z Chmielnickim i niedotrzymywanych paktach, pycha i płochość podały sobie ręce żeby zachwiać raz na zawsze podstawy Rzeczypospolitéj — ale chwilę późniéj, w téj nieszczęsnéj Elekcyi króla Michała działa już tylko płochość sama. Późniéj jak pycha karłowacieje, tak płochość ogranicza się do gnuśności i opilstwa, ale przed upadkiem kraju raz jeszcze jaśnieje najświetniejszym blaskiem, raz jeszcze zdobywa się na kwiat wspaniały, a jak pycha w obrońców władzy hetmańskiéj, tak płochość wciela się w Stanisława Augusta, jego dwór i jego politykę.

Dwa wielkie pierwiastki jeżeli nie narodowego charakteru to przynajmniéj wszystkich wielkich nieszczęść narodu, przed- i porozbiorowych. Bo nie łudźmy się i nie pochlebiajmy sobie,

wyleczeni z nich nie jesteśmy. Kiedy Modrzewski powstawał na nie mową swoją energiczną męzką a poczciwą, groziły one dopiero skażeniem obyczajów prywatnych; że i jakie sprowadzą klęski publiczne, tego nie można było wiedzieć. Wytyka on też tylko złe ich strony moralne. Ale my, którzy znamy ich złe skutki polityczne, możemy dopełnić sobie jego kazania przeciw płochości i pysze.

(*Dokończenie nastąpi*).

St. Tarnowski.

JAN MAZEPA.

(Dokończenie.) *)

Widzieliśmy już, że car nie szczędził Mazepie przy odjeździe jego z Moskwy do Baturyna wyrazów życzliwości i zadowolnienia, te jednak oznaki carskiéj dobroci nie usypiały jego ostrożności, przeciwnie napawały go coraz większym niepokojem o przyszłość. Niczego téż nie zaniedbuje, aby na wszelki możebny wypadek być przygotowanym. Z jednéj strony urządza wspaniale dom swój w Baturynie, otacza się książęcym przepychem niby dowód, że o niczém nie myśli, jak o spokojném używaniu darów carskich, z drugiéj strony zakupuje dla swego siostrzeńca Wojnarowicza znaczne dobra na Podolu, gdzieby mógł w razie danym znaleść bezpieczne schronienie, służbę całą rekrutuje w większéj części z Polski, dowództwo nad pułkami, o ile to zrobić można bez narażenia się na podejrzenia i narzekania, powierza krewnym lub szlachcie polskiéj ruskiego pochodzenia. I tak kuzyn jego z matki strony Mokijowski jest pułkownikiem kijowskim, Skoropadzki pisarzem w pułku starodubowskim, na którego czele stoi Mikłaszewski Wołynianin, Mirowicz perejesławskim; gwardyą przyboczną (serdjukami) dowodzi Sudymontowicz Czeczel, którego potomkowie do dziś dnia znaczny majątek ziemski posiadają na Pobereżu i Podolu; Kożuchowski, Paszkowski, Jaślikowski dowodzą pułkami ochotniczemi zupełnie od hetmana zależnemi.

Ostrożność ta nie była zbyteczną, już w r. 1690 pojawił się w Kijowie paszkwil na Mazepę, zarzucający mu znoszenie się z Polakami, który to paszkwil ówczesny namiestnik carski

*) Patrz Przegląd z kwietnia b. r.

w Kijowie przesłał carowi. W roku następnym drugi podobny paszkwil obiegał po Ukrainie. Miał on pochodzić od obywateli podolsko-wołyńskich. Ostrzegają tam cara o zamiarze Mazepy poddania się Polakom, spiknieniu się jego wraz z Szumlańskim biskupem lwowskim co do formy szyzmatykiem, a w gruncie unitą, na obalenie prawosławia, oskarzają go o przywłaszczenie sobie pieniędzy publicznych, za które nabył dobra w Polsce na rzecz siostry swojéj Aleksandry *primo voto* za Obidowskim, *2do* za Wojnarowiczem sędzią ziemskim Kijowskim *), przytém odświeżają dawne jego stosunki z Golicynem, które nie zmierzały do czego innego, jak do pozbawienia obydwóch carów tronu i życia.

Mazepa dostawszy ten paszkwil w swoje ręce za pośrednictwem matki, natychmiast umyślnym gońcem posłał go carowi wraz z własnoręcznym listem, w którym uskarza się na zawiść nieprzyjaciół, pragnących go zgubić w umyśle carskim, zaręcza o swojéj wierności i przywiązaniu do Moskwy, oraz prosi, aby śledztwo zostało wytoczone jak najściślejsze przeciwko twórcom i rozsiewaczom podobnych niegodziwości. Dla ułatwienia poszukiwań podaje niektóre skazówki. Matka moja, pisze, dostała ten paszkwil od ihumeny frolowskiego monasteru, ta zaś otrzymała go od przechodzących czerńców z Zadnieprza. Polecono metropolicie kijowskiemu Barlaamowi Jasińskiemu dochodzenie sprawców, śledztwo nie wykazało niczego; metropolita w liście do Mazepy pisze: ihumena frolowska przyjęła pismo przez prostotę, o pochodzeniu czerńców i dokąd się udawali nic nie wié. Nie dziwiłoby nas, gdyby wynalezione kiedyś dokumenta okazały, iż sam Mazepa paszkwil ten wymyślił, aby przesyłając go carowi raz na zawsze wszelkie możliwe podejrzenia od siebie oddalić, trudno bowiem tego o zdradę winić, który sam wszystkie pogłoski o niéj skwapliwie zbiera, interesowanych uprzedza i ścisłego dochodzenia takowych wymaga. Obrotny Mazepa umiał nawet z tych paszkwili utworzyć sobie kapitalik polityczny na przyszłość, i ten to w 16 lat późniéj posłużył

*) Oprócz Aleksandry miał hetman jeszcze jednę siostrę, która była za Witosławskim. Tak przynajmniéj utrzymuje Bantysz-Kamieński; inni kronikarze małoruscy piszą, że Aleksandra miała trzech mężów, Witosławskiego, Obidowskiego i Wojnarowicza. Wszyscy trzéj Polacy.

mu do zniweczenia zabiegów jego nieprzyjaciół w znanéj powszechnie sprawie denuncyacyi Koczubieja.

Zdaje się że car po odebraniu pierwszego paszkwilu był trochę zaniepokojony i nakazał obserwować Mazepę. Ajenci carscy wybrali do tego Koczubieja jeneralnego pisarza wojskowego, jako człowieka najbliżéj boku hetmańskiego będącego i we wszystkie sprawy jego wtajemniczonego. Ale pan pisarz nie miał głowy po temu, będąc zupełnie pod wpływem żony swéj, jéj najprzód zwierzył się, jakiém zaufaniem go zaszczycono. Ta zaraz tajemnicę rozniosła kumoszkom i wnet wieść o tém gruchnęła po Baturynie, co téż przed hetmanem także długo ukryć się nie mogło. Mazepa skorzystał z téj okoliczności i własną ich bronią pobił cara i Koczubieja.

W liście pisanym tegoż roku do Piotra Wielkiego oskarża jeneralnego pisarza o podburzanie ludu prostego przeciwko sobie: „wszędzie on rozgaduje iż Wasze Przeswiatlejsze Weliczestwo nie ma do mnie najmniejszego zaufania i jemu nakazał śledzić wszystkie moje kroki. Ci którzy mnie nienawidzą dla gorliwego wypełniania Waszych imperatorskich ukazów, łatwo do buntów przeciwko mnie użyć się dadzą w tém przekonaniu, że tylko uprzedzają Wasze tajne chęci i zamiary."

Buntownicze usiłowania Petryka, które nastąpiły już w roku następnym t. j. 1692 nie tylko usprawiedliwiły w zupełności przypuszczenia Mazepy, ale jeszcze stawiały go w oczach cara jako przezornego i bystrego polityka, którego rada nigdy zbyteczną być nie może. Hetman i w tę sprawę potrafił wmieszać Koczubieja, kazawszy poufnym swoim rozgłaszać, iż Petryk działa z polecenia pana pisarza a nawet na ten cel pieniądze od niego otrzymał. Car już przedtém rozgniewany na Koczubieja za jego niedyskretność którą go skompromitował przed Mazepą, teraz jeszcze żywszą uczuł ku niemu niechęć, nie dla tego żeby miał wierzyć w jego winę, lecz taka już jest natura ludzka, że dla tych którzy nas kompromitują czy to z namysłu czy mimowoli, wielkiego współczucia nie mamy, zwłaszcza jeżeli ich niedołęztwu przypisać możemy przykre wypadki, do jakich obecnie należał bunt Petryka. Już wówczas byłby Piotr poświęcił Koczubieja zemście hetmana, gdyby ten tylko był tego wymagał. Hetman jedna-

kowoż z krytycznego położenia pisarza jeneralnego korzystać nie chciał, owszem znając słabą tę duszę chciał ją z początku przestrachem a póżniéj przebaczeniem i ofiarowaniem przyjaźni zupełnie dla siebie pozyskać. Przerażony Koczubiej widząc się zupełnie na łasce hetmana, za pośrednictwem metropolity Jasińskiego starał się przebłagać gniew Mazepy.

Najprzewielebniejszy arcypasterzu — pisze do niego — jaśnie wielmożny hetman ma na mnie porozumienie iżbym ja wraz z niektóremi osobami moskiewskiemi miał nadglądać reimentarskie jego czyny i o tém carowi donosić; posądza mię także jego miłość, że paszkwil przez ihumenę frolowskiego monasteru do wiadomości podany jest moim dziełem, po trzecie, że Petrykowi sprzyjam i do buntu go podmówiłem, wszystkich tych zarzuconych mi zbrodni nie dopuściłem się nigdy, gdyby tylko jedna z nich była prawdziwą, cierpliwie śmierć zasłużoną poniosę; zlituj się najprzewielebniejszy pasterzu, ty znasz całą moją niewinność, wstaw się za mną do jaśnie wielmożnego. Oto gorzkiemi łzami błagam waszą świątobliwość, duszę i żywot mój waszéj pasterskiéj opiece polecam. List datowany z Baturyna 1692 r.*). Hetman dał się przebłagać a nawet poufałe stósunki między obydwoma się zawiązały, które trwały aż do r. 1707.

Zapewnie łaskę Mazepy okupił sobie Koczubiej ostatecznie, sumienném wyznaniem jakiego rodzaju były dane mu informacye co do nadzorowania czynów hetmańskich.

Bunt Petryka także musiał być przyczyną nie jednéj bezsennéj nocy dla Mazepy, zwłaszcza że współcześni między innymi Wieliczko kolega Petryka, przypisują intrygom hetmańskim nowe te zamieszki. Nie znaczy to bynajmniéj aby hetman Petryka do buntu podmawiał, ale to zdaje się pewném, że lubiąc młodego chłopca więcéj od innych, nie raz w jego przytomności z oburzeniem o Moskwie przemawiał, dodając może nawet: lepiéjby nam było żyć pod Turkiem lub pod Tatarem. Takie zaufanie hetmana podchlebiało miłości własnéj młodego człowieka i zapalało jego wyobraźnię; w słowach Mazepy mógł on nawet widzieć życzenia i zamiary jego co

*) Wieliczko tom III. str. 124.

do przyszłości, nic więc dziwnego, że postanowił o ile czas i okoliczności pozwolą w skazanym mu kierunku działać. W tym zamiarze utwierdził go krótki pobyt w Siczy, gdzie wszystko nienawiścią do Moskwy oddychało, wynosząc nadewszystko przymierze z Tatarami. Petryk też po roku pobytu w Koszu gdzie piastował godność pisarza, udaje się do Krymu i tam hana podmawia do przyjęcia Ukrainy pod swoją opiekę. Jakiego rodzaju były przedstawienia Petryka i co hanowi obiecywał, niewiadomo, dosyć że han propozycye przyjął i jego hetmanem po obydwóch brzegach Dniepru ustanowił. Że Petryk nie dla siebie chociaż na własne imię i odpowiedzialność działał, to pokazuje się z tego nawet, iż stary lis Doroszeńko dotąd w Moskwie mieszkający, miejsce swego pobytu opuścił i do Krymu przyjechał. W rozmowach zaś prywatnych nowy hetman z hańskiego ramienia podnosił zasługi Mazepy a tylko postępowanie Koczubieja potępiał.

Petryk który się podpisywał hetmanem z łaski bożéj, zaraz na wstępie wygotował uniwersał do narodu wzywając Kozaków do łączenia się z nim przeciwko Moskwie odwiecznéj nieprzyjaciółce swobód i imienia kozackiego; osobne zaś pismo wysłał do mieszkańców pułku pułtawskiego z kąd był rodem.

Mazepa dowiedziawszy się o tém, wszystkich sił użył w celu sparaliżowania usiłowań byłego swego ulubieńca. Najsamprzód znaczne siły wojskowe zgromadził pod osobistém swojém dowództwem, powtóre z swojéj strony wydał uniwersał, w którym przestrzega Ukraińców przed skutkami jakie nastąpić mogą z powodu łączenia się z buntownikami. W uniwersale tym kryśli historyę Małorusi a wszystkie nieszczęścia jakie Ukrainę dotknęły, przypisuje niestałości i niesforności Kozaków — oto powiada: Ukraina polska niedyś ludna i zamożna, dzisiaj zamieniona została w step pusty na którym koczują tylko węże i dzikie zwierzęta, czy mielibyście chęć w takim samym stanie widzieć Zadnieprze, gdzie pod ojcowskim rządem carów moskiewskich ludność się podwoiła, dobrobyt i zamożność zostają w stanie kwitnącym. Półtawcom zaś kazał odpisać w sposób naigrawający się z hańskiego hetmana: „Ty szczeniuku chcesz ratować Ukrainę, któż ci dał prawo do tego, znamy cię dobrze i ojca twojego, który tu żyje wśród nas z jałmużny; jeżeli doznajemy jakich dolegli-

wości to rzecz jaśnie wielmożnego naszego hetmana postarać się w sposób prawny o ich uchylenie; rady ani pomocy twojéj nie potrzebujemy, a jeżeli przyjdziesz do nas, znajdzież godne siebie przyjęcie.“

Daremno po dwakroć wkraczał Petryk w granice Ukrainy, umysły były przeciwko niemu tak uprzedzone, siły wojskowe tak znaczne, że obydwa razy nic nie wskórawszy, ze wstydem cofnąć się musiał. Tak znowu jedna burza spokojnie po nad głową Mazepy przeminęła, a nawet wzmocniła ufność carską do osoby hetmana.

Tryumf ten nie zdołał go jednak zupełnie uspokoić a wnet nowe trudności zaczęły mu grozić ze strony Ukrainy polskiéj.

W czasie wojny tureckiéj od r. 1772 począwszy, zaczęły się tworzyć z téj strony Dniepru zbrojne oddziały ukraińskiego ludu pod naczelnikami z jego łona wybranymi, którzy już to na swoją rękę, już to w połączeniu z wojskiem polskiém, na oddziały tureckie napadały i takowe znosiły. Pomoc ich często bywała skuteczną a prawie zawsze bardzo potrzebną, ztąd nieszczędzono naczelnikom tych oddziałów zachęty i obietnic. Mianowicie dwaj między nimi się odszczególniali Samuś i Palej. Król Jan pierwszego zamianował hetmanem polskiéj Ukrainy z rezydencyą w Winnicy, drugiemu którego tytułowano pułkownikiem, pozwolono w opustoszałym Chwastowie majątku biskupów kijowskich zakładać osady i ciągnąć z nich podczas wojny wszelkie możliwe korzyści, z tym jedynie warunkiem, aby zawsze pewną liczbę zbrojnego ludu miał w pogotowiu na potrzebę Rzeczypospolitéj.

Z początku rzeczy szły bardzo dobrze, Samuś i Palej wysługiwali się Polsce, za co nowe nagrody i listy pochwalne z kancelaryi królewskiéj odbierali. Słabość polskiego rządu, brak wojska regularnego, któreby Ukrainę od nabiegów bisurmańskich zasłaniało, nie tylko obronę tych stron, ale nieograniczoną prawie władzę oddawały im w miejscach przez nich zajmowanych. Władza ta musiała ich odurzyć. Przyzwyczajeni samowolnie życiem i mieniem rozrządzać swoich podwładnych, powoli zaczęli nawet osiadłą szlachtę pod swoje rozkazy podciągać i kwatery zimowe zajmować tam gdzie im się podobało wbrew konstytucyom, uwalniającym majątki ziemskie od żoł-

nierskich postoi. Powstały ztąd skargi na dowódzców kozackich a szlachta na sejmikach gorąco polecała swoim posłom, aby w Warszawie starali się tym nadużyciom koniec położyć. Król polecił hetmanowi koronnemu sprawę tę rozpatrzyć, i gwałty Paleja powściągnąć, ale pułkownik Chwastowski już się uważał za niepodległego pana Ukrainy, przysłane od polskiego hetmana rozkazy rozjątrzyły tylko jego dumę i pobudzały go do coraz gwałtowniejszych wystąpień. Do tego przyszło, że przeciwko krnąbrnym, siły wojskowéj postanowiono użyć.

Piotr Wielki twórca do dziś dnia praktykującéj się polityki moskiewskiéj, mimo że go ściśle przymierze łączyło z Rzecząpospolitą od czasów grzymułtowskiego pokoju r. 1686, postanowił natychmiast z tego stanu korzystać, aby sobie utworzyć silne stronnictwo na Ukrainie polskiéj, a w oczach Zadnieprców uchodzić za obrońcę ludu ruskiego gdziekolwiek by się ten znajdował. Natychmiast wysłał ajentów tajnych do Paleja z obietnicami protekcyi w danym wypadku, radził mu jednak aż do czasu, zbrojnéj kolizyi z wojskiem polskiém unikać. Zaufany Palej w opiekę carską mniéj jeszcze niż przedtém zważał na rozporządzenia Rzeczypospolitéj, całkiem wysługując się Moskwie; porzucił nawet tytuł Chwastowskiego pułkownika i zaczął się pisać pułkownikiem pułku ochoczokonnego Jego carskiego weliczestwa. W roku 1693 napróżno Jabłonowski wzywał go do połączenia sił swoich z wojskiem polskiém wyprawiającém się na Wołoszczyznę, miasto rozkazowi zadość uczynić, poszedł posiłkować Moskali przeciwko Tatarom, a zapowrotem rozłożył się na Podlasiu w dobrach szlacheckich i duchownych, gdzie mieszkańcom mnogie wyrządzał krzywdy. Trzeba było koniecznie téj swawoli koniec położyć; hetman Jabłonowski dał więc rejmentarzowi Wildze rozkaz zniesienia Paleja i jego bandy.

Palej stósownie do informacyi carskich unikania aż do czasu, kolizyi z wojskiem polskiém, za zbliżeniem się Wilgi Podlasie opuścił spiesznie, straciwszy tylko nieco ludzi których do siebie ściągnąć już nie mógł, a sam pospiesznemi marszami trzymając się brzegów Dniepru uszedł w dzikie pola gdzie połączywszy się z pułkownikami zadnieprskimi: perejesławskim Mirowiczem i Paszkowskim, uczynił drugą wyprawę na Ta-

tarów i takowych pobił nad rzeczką Kodyma w okolicach dzisiejszéj Bałty.

Car w nagrodę tych usług przysłał mu 1000 efimików na ręce Mazepy z tém zastrzeżeniem, aby mu je hetman doręczył bez żadnego rozgłosu, szczególniéj aby Rzeczpospolita nic się o tém nie dowiedziała. Mazepa nie miłém okiem patrzył się na te stósunki cara z Palejem, raz przez wzgląd na Polskę, któréj dalszych klęsk i utraty pozostałych jeszcze przy niéj ziem ruskich, do czego widocznie dążyła polityka Piotra Wielkiego, pragnął oszczędzić, powtóre obawiał się współzawodnictwa i sąsiedztwa Paleja, mogącego sparaliżować wszystkie jego polityczne kombinacye na przyszłość. Hetman chociażby nawet w pierwszych chwilach objęcia swéj władzy nie był o zdradzie zamyślał, to rozpatrzywszy się w stósunkach, mógł już przypuszczać, że kiedyś same wypadki, zwłaszcza że jak dotąd widzieliśmy, jednéj chwili nie miał wolnéj od obawy postradania władzy i życia — zmuszą go szukać opieki i schronienia w Polsce, a Palej utrzymujący agitacyę między Rusinami polskiemi, jątrzył umysły, podtrzymywał dawną niechęć między Polakami i Kozakami, co projektom i kombinacyom Mazepy wprost się sprzeciwiało. Dodajmy do tego, że z większą częścią znakomitszych domów polskich na Podolu i Ukrainie był hetman w przyjaznych stosunkach, z wieloma prowadził poufałe korespondencye, pustoszenia więc ich majątków nie tylko sobie nie życzył, ale takowym zapobiedz pragnął.

W relacyach swoich do cara stara się téż wszystkiemi sposobami zdyskredytować Paleja, odwieść Piotra W. od związków ze zbuntowanym poddanym Rzeczypospolitéj. Kiedy Palej zażądał pomocy od niego przeciwko Wildze, przygotowującemu wyprawę na Chwastów, Mazepa pisał do cara: Nie wiem co wasza cesarska wysokość postanowi w téj sprawie, sojusz nas wiąże z Polakami, oni żadnego powodu do zerwania przyjaźni nie dają, przytém Palej jest niedyskretny, przechwala się moskiewską protekcyą, z daru który mu według ukazu sekretnie doręczyłem, chełpi się publicznie (owe 1000 efimików wspomniane wyżéj), a tu jak się dowiaduję Polska zamierza zawrzyć pokój z Turkami. Widocznie chce cara zastraszyć bliskim pokojem i możebnością ligi turecko-polskiéj

przeciwko Moskwie. W całym liście widać ogromną oględność, przedstawienia jego są czysto przedmiotowéj natury, rad własnych nie daje żadnych, oświadcza tylko w końcu, że wiernie rozkazy carskie wypełni.

Car w delikatnéj téj materyi uważał za najstósowniejsze pominąć list Mazepy zupełném milczeniem, drogą jednak prywatną przyobiecał Palejowi wyjednać mu przebaczenie króla polskiego. Obietnicę takową musiał zbuntowany Kozak uważać za równie znaczącą z przyrzeczeniem pomocy, w każdym razie mając sobie zapewnioną bezkarność, na ordynanse hetmańskie zważać nie potrzebował i tak jak poprzednio samowolnie postępował. Zdradliwe postępowanie Piotra Wielkiego przeciągło walkę bez potrzeby, lecz już w r. 1694 wojska polskie tak daleko podstąpiły, że Palej groził poddaniem się Turcyi, jeżeli innym sposobem uratować się nie zdoła. Jaki to miał być ten inny sposób czyli raczéj sposoby, wskazał je w liście do Mazepy: Szybka pomoc wojskowa, pozwolenie przenieść się z całém posileniem w okolicę Wasilkowa i Trylisow z téj strony Dniepru, lecz pod panowaniem moskiewskiém będących, wreszcie przyjęcie go wraz z ludźmi i dobytkiem na Zadnieprze. Mazepa odpowiedział mu: Do dania zbrojnéj pomocy nie mam żadnego upoważnienia od Jego Carskiego Wieliczestwa, w zakładaniu osad w okolicach Wasilkowa i Trylisow sprzeciwiają się traktaty z Polską, na Zadnieprze jako prywatny człowiek z żoną i dziećmi każdéj chwili przybyć może, jeżeli zaś koniecznie i swoich ludzi ratować pragnie, radzi mu udać się na Niż, tam wojsko rozpuścić, a potém każdy pojedynczo niech do Małorosyi przychodzi, gdzie przytułek i bezpieczeństwo znajdzie. Grozi mu zaś gniewem carskim i swoim, jeżeliby szukał protekcyi u pogan. Na pomoc zresztą Turkow spuszczać się nie powinien — są dalsze słowa hetmana — gdyż z pewnością zaręczyć mu może; iż między Warszawą a Konstantynopolem toczą się bardzo żywe układy o przywrócenie stałego pokoju. Równocześnie donosi hetman carowi o korespondencyi swéj z Palejem, lecz i teraz rady i sądu swego nie daje, cytuje tylko słowa dumnego diaka Emiliana Ukraińcowa wyrzeczone w téj sprawie: Mogliśmy pierwéj wziąść Paleja pod opiekę; dziś gdy między nim a Rzecząpospolitą przyszło do krwawych

rozpraw, musielibyśmy się wikłać w nową wojnę z państwem zaprzyjaźnioném.

Ostatnie listy Mazepy do cara i Paleja nie potrzebują komentarza, są one w ścisłym związku z poprzednim i wierném następstwem polityki wyżéj skreślonéj.

Car insynuacye hetmana uznał poniekąd za słuszne, jednakowoż Paleja ze wszystkiem opuszczać nie chciał, pragnąc zawsze przynajmniéj jednę nogę zachować w Ukrainie polskiej. Znowu więc poufnie wskazał Palejowi, aby z ludźmi swemi przyłączył się do wypraw moskiewskich, organizujących się przeciw Turkom i Tatarom, przyrzekając mu, że Polacy przez ten czas Chwastow zostawią w pokoju, a później zrobi dla niego co się tylko da.

Nie trudno było rząd polski, kierujący się szlachetnemi i rycerskiemi pobudkami, wstrzymać od wszelkich nieprzyjacielskich kroków przeciwko buntownikowi, który poszedł walczyć z nieprzyjacielem świętego krzyża, będącego zarazem w wojnie z Rzecząpospolitą. Tak Palej zabezpieczony w domu wojował pod Kazikirmenem z pułkownikiem Swiczką, pod Białgorodem posiłkował Lizoguba, a wszędzie męztwem, szybkością ruchów wojskowych i śmiałością w napadzie zdołał się odszczególnić. Po tych tryumfach powracał do Chwastowa przez Baturyn, gdzie odwiedził Mazepę. Hetman, aby go sobie zniewolić, okazywał mu wiele przychylności, za własne pieniądze kupił mu dom w Kijowie, zapewnie w tym celu, aby go tém łacniéj zniewolić do opuszczenia awanturniczego życia i zachęcenia do osiedlenia się w obrębie jego władzy. Inny atoli był plan cara; dla niego zawsze dogodném było utrzymywać agitacyę w granicach Polski, a Palej powodujący się jego wpływem był do tego najstósowniejszym. Bądź co bądź, trzeba mu było ułatwić powrót bezkarny do Polski, car więc przez posła swojego prosił o przebaczenie dla Paleja króla Jana, ażeby zaś prośba była tém skuteczniejsza, za radą i zezwoleniem carskiém wybrał Palej najznakomitszych jeńców tatarskich i takowych królowi i Rzeczypospolitéj posłał w darze wraz z listem, w którym się mieni wiernym poddanym króla Jegomości, co było wystarczającém, aby go nazad przyjąć do łaski; fakt zaś sam stanowi smutną ilustracyę rządu polskiego, który nigdy nie miał żadnego systematu polityczl-

nego ani w sprawach wewnętrznych ani zagranicznych, powodował się zawsze uczuciem nie bacząc na prawdziwe interesa, dla dogodzenia wymaganiom jednéj chwili poświęcał całą przyszłość. Co więcéj, król Jan zaszczycił go nawet listem, jak żeby mu miał zawdzięczać zbawienie Ojczyzny. List ten przytaczamy w całości: Urodzony wiernie nam miły! Oddali nam tu list wierności twojéj posłani z pułku jego mołojcy, przy którym czynili nam doskonałą relacyą rycerskiéj ochoty, tak ludzie Zadnieprskie Carów Ich Mościów Moskiewskich, jako też i Samego wierności twojéj, żeś napadszy Budziak, kraje nieprzyjacielskie og iem i mieczem pustoszył i wszystko to chwalebnie czynił, cokolwiek do pomnożenia wiary świętéj a poniżenia nieprzyjacielskiego należéć może. Więc jakośmy wdzięczni wiernéj i życzliwéj przysługi wierności twojéj, którą bezprzestannie nam i Rzeczypospolitéj oświadczasz, tak za istotny dowód przyprowadzonych więźniów skutecznie pomyśléć zechcemy, jakoby ta dzielność i odwaga wierności twojéj i ludzi jego należycie mogła być ukontentowana. Barwę gdy na insze pułki Zaporoskie rozdawać każemy, nie miniemy pewnie i ludzi wierności twojéj, którzy się tak mężnie niniejszéj popisali kompaniej. Względem zaś konsistenciéj zimowych, ażeby wcześniejsze i wygodniejsze niżeli tak roczne być mogły, dajemy list nasz do Jaśnie Wielmożnego Kasztelana Krakowskiego, żebyście za tak dowodną usługę według proporcyi osób obmyśléć zechciał; co nie wątpimy że uczyni, a my dobrego wierności twojéj od Pana Boga życząc zdrowia, wszystkie jego mołojce pozdrawiam. Dan w Warszawie dnia 6 Grudnia, Roku Pańskiego 1694, panowania naszego 21. Jan Król."

Pisał także Palej do hetmana Jabłonowskiego; w liście donosi mu, że przez zimę próżnować nie będzie, na co mu hetman odpowiada: „Deklarujesz Wasz Mość Pan, że z ludźmi swymi próżnować nie będziesz, dziękuję za taką ochotną wolę do przysługi publicznéj, którą teraz aby najbardziéj pokazałeś, proszę, kiedy wiadomości przychodzą, że orda wszystka budziacka do Kamieńca wsiada na koń, i w kraje nasze ma wtargnąć na czambuł wszystkiemi siłami." Waszéj Wielmożności Mościwemu Panu życzliwy przyjaciel Stanisław Ja-

błonowski, kasztelan krakowski H. W. K. Zaszczycili go także inni panowie polscy swemi listami, między innymi Franciszek ordynat Zamojski.

Nie mamy pismiennych dowodów, ale nie omylimy się utrzymując, że Mazepa także wpłynął na postanowienie Paleja, ukorzenia się przed Rzecząpospolitą, a nawet zachęcać go musiał do wiernéj służby Koronie polskiéj; być nawet może, iż pisał do panów polskich, z którymi jak np. z Jabłonowskim i Zamojskim w przyjaznych, a z Kątskim w poufnych zostawał stosunkach, ażeby położenia Palejowi nie utrudniali, owszem łaskami i przyjaźnią starali się go przyciągnąć do Polski, — bowiem pułkownik Chwastowski o ile był Mazepie niedogodnym na swym stanowisku jako stronnik moskiewski, o tyle jako wróg Piotra Wielkiego odpowiadał jego polityce. Tak więc polecając go łasce Polaków, jak i zakupując mu dom w Kijowie zawsze miał jedno na celu, uczynić Paleja nieszkodliwym dla siebie i dla dawnéj swéj Ojczyzny. Od tego czasu aż do r. 1699 żadnych zatargów między Palejem i Rzecząpospolita nie było. Jeżeli się ostatecznie Mazepie nie udało użyć Paleja za narzędzie przeciwko Moskwie, a mimochodem możemy tutaj przypomnieć, że było to zwykłą taktyką zadnieprskiego hetmana wojować z nieprzyjacielem własną jego bronią, to była wina nie jego, ale Rzeczypospolitéj, która ani przewagi swego oręża, ani zbiegu korzystnych dla siebie okoliczności zużytkować nie umiała, lecz z zawiązanemi oczyma dążyła do upadku, od którego ją nic wybawić nie mogło.

Ta słabość i chwiejność polityki rządu polskiego była jedną z najgłówniejszych przyczyn, że Mazepa tak długo udawać musiał wierność i przywiązanie do Moskwy. I teraz, kiedy z jednéj strony paraliżował zamiary Piotra Wielkiego, z drugiéj strony straszył go niebezpieczeństwami, które on tylko swém poświęceniem powstrzymuje i odwraca. „Kosz, pisze do cara w r. 1694, znowu wchodzi z Tatarami w konszachty przeciwko Moskwie; oddawna utrzymuję ja tam zaufanego człowieka, który mi o wszystkich podejrzanych czynnościach Siczy donosi; teraz bawi on u mnie w Baturynie, aby mi ustnie zdać ze wszystkiego relacyję, wyszlę go wkrótce do Waszego Przeświatłego Wieliczestwa, od niego najlepiéj dowiedzieć się będzie można, kto nam jest życzliwym a kto

knuje zdrady.“ W donosie tym nie wiele musiało być prawdy, kiedy w czasie ekspedycyi na Azów i Kazikirmen w r. 1695 wszystkie prawie kurenie brały udział w wyprawie.

Kampanię tę jak niegdyś Golicyna, z wielkiém przedsięwzięto wytężeniem. Samych wojsk wielkorosyjskich było 130 tysięcy, oprócz tego Kozacy mazepińscy i siczowi. Polacy jak wówczas tak i teraz mieli uderzeniem na Budziak uczynić dywersyę. Mazepa do obydwóch hetmanów polskich, koronnego Jabłonowskiego i litewskiego Sapiehy rozpisał listy nagląc o pośpiech. Sapieha w odpowiedzi życzy mu wszelkiéj pomyślności, donosi że przygotowania wojska litewskiego już na ukończeniu, i niebawem ruszy w pochód. Jabłonowski, do którego jeździł zaufany i daleki kuzyn Mazepy sotnik Troszczyński, narzeka, że zapóźno odebrał wiadomość o wyprawie moskiewskiéj, obiecuje jednak dołożyć wszystkich starań, aby równocześnie z drugiéj strony na Tatarów uderzyć.

Wyprawa na Azow pod osobistym dowództwem cara niepomyślnie się zakończyła, po trzechmiesięcznym bezskutecznem oblężeniu trzeba było od miasta odstąpić, natomiast Kazikirmen, gdzie dowodzili Mazepa i Szemeretow został wzięty częścią szturmem, częścią kapitulacyą, któréj jednak dotrzymać nie zdołano, gdyż rozpasane Kozactwo mimo zakazów i gróźb Mazepy wszystko w pień wycinało, co mu się tylko pod rękę nawinęło. W miejsce zburzonego Kazikiermenu kazał hetman zadnieprski założyć forteczkę Tawań, w któréj pułk kijowski pod Mokijowskim stanął garnizonem. Hetman osobiście doglądał budowy. Za powrotem do domu wysłał poselstwo do cara z jeńcami i zdobytemi buńczukami. Car bardzo mile posłów przyjął, a Mazepie oprócz pochwalnego listu posłał bogaty sobolowy kaftan z dyamentowemi guzami wartający 1300 rubli i szablę w złoto i drogie kamienie oprawną, szacowaną na 500 rubli. Za przykładem carskim posypały się powinszowania ze wszystkich stron. Patryarcha moskiewski, metropolita kijowski Jasiński, ihumemen monasteru kryłowskiego Inocenty Monasterski i prefekt kolegium bractwa kijowskiego Stefan Jaworski przesłali hetmanowi gratulacyjne listy.

Wszyscy trzej dygnitarze kościoła małoruskiego uczynili to w polskim języku. Po polsku koresponduje również władyka łucki Zabokrzycki tak z metropolitą jak z hetmanem

zadnieprskim. Współczesny arcybiskup czernigowski Łazar Baranowicz nawet książki duchownéj treści drukuje po polsku. Okoliczność tę przytaczamy, aby choć w przybliżeniu dać poznać, jaki był ówczesny stan oświaty i obyczajów w Małorosyi.

Hetman na podziękowanie Panu Bogu, a przedewszystkiem z politycznych względów, chcąc dać ludowi dowód gorliwości swojéj o wiarę, starał się kościół parafialny w Perejesławiu własnym jego kosztem budowany, wynieść do godności katedry biskupiéj, czego mu ani car ani patryarcha nie odmówili.

Kwestya religijna nadzwyczajnie podówczas zajmowała umysły na Rusi. Król Jan pragnął przyłączyć do wspólności z kościołem rzymskim biskupstwa przemyskie i lwowskie, które dotąd w szyzmie zostawały, mimo że nawet władyctwa białoruskie przyjęły unię. Usiłowanie to zupełnie spokojnie odbyć się nie mogło, fanatyzm religijny i polityka carska zarówno zjednoczeniu były przeciwne i dokazały tyle, że unia w projektowanych rozmiarach do skutku nie przyszła. Hetman osobiście sprzyjał kościołowi łacińskiemu i unii, o co posądza go Prokopowicz arcybiskup nowogrodzki, dla popularności jednak z wewnętrznemi swemi uczuciami taić się musiał. W każdym razie kwestyi religijnéj nie chciał użyć za powód do agitacyi przeciwko Polsce, o co znowu głównie chodziło carowi. Piotr Wielki unii sobie nie życzył, bo ta stanowczo Ruś od Moskwy oddzielała i bez wątpienia najbardziéj zabezpieczała indywidualności małoruskiego ludu, którego odrębne znamiona zatrzeć, było usiłowaniem moskiewskiéj polityki. Usiłowania te nie ograniczały się tylko na Zadnieprze, ale sięgały do Rusi polskiéj, któréj zabor był już wtenczas postanowiony, a co jego następcy wykonać mieli. Tak i na tém polu zamiary cara i hetmana krzyżowały się z sobą. Pierwszy chciał na biskupstwach polskich widzieć ajentów Moskwy, drugi nawet na Zadnieprzu protegował na wyższe posady kościelne ludzi sobie i Polsce życzliwych.

Antagonizm ten najlepiéj się uwidocznił w sprawie Dyonizego Zabokrzyckiego, nominata na władyctwo łuckie. Zabokrzycki był przedtém pisarzem grodowym, lecz po śmierci żony poświęcił się stanowi duchownemu. W czasie synodu lwowskiego, gdzie agitowała się sprawa unii obydwóch biskupstw czerwonoruskich dał się poznać jako gorliwy szyzmatyk,

dla tych przyczyn obywatele wołyńscy wybrali go swoim władyką. Bezpośrednim zwierzchnikiem eparchii łuckiéj był biskup lwowski natenczas Szumlański, skłaniający się do unii, lecz człowiek burzliwy, chwiejny, nominatowi niechętny. Dla tych przyczyn Zabokrzycki nie chciał wyświęcać się we Lwowie, lecz w Kijowie. Hetman zabiegi księdza nominata popierał u metropolity a nawet do cara wstawiał się za nim. Piotr dowiedziawszy się na razie, iż Zabokrzycki jest przeciwnikiem unii, myślał, że w nim znajdzie łatwe i potulne narzędzie do swoich celów, pisał nawet do metropolity, ażeby mu trudności w wyświęceniu nie robił, jeżeli tylko wskaże środki, jakimi pozbawić można swych stolic obydwóch świéżych uniatów, Winnickiego przemyskiego i Żochowskiego mohilewskiego biskupów. Żądanie to nie zmierzało do niczego innego, jak żeby nominat odezwał się do fanatyzmu religijnego i wywołał wojnę religijną. Zabokrzycki mimo różności wiary, czuł się obywatelem polskim, insynuacye carskie odepchnął, a tém samém cara przeciwko sobie obrócił. Natychmiast wynaleziono kanoniczne przeszkody jego wyświęceniu. Zabokrzycki ożeniony był z wdową, owóż w jakimś wschodnim synodzie wyszukano, że kanony zabraniają wyświęcać żonatych z wdowami jako niegodnych administrowania śś. sakramentów. Na powtórne wstawienie się hetmana odpowiedziano mu: żeby się nie mięszał w sprawy kościelne, jako nieświadomy zakonu. Mazepa musiał urazę połknąć, przez swoje jednak stosunki tyle dokazał, że ksiądz Zabokrzycki w Siedmiogrodzie wyświęcony został i dyecezyę objął. Nie zapomniał biskupowi Piotr Wielki odmowy; po upadku Mazepy kazał go pojmać pod pozorem, że jako przyjaciel hetmana o spisku wiedział i na Sybir go wysłać, gdzie żywota dokonał. Król August zawdzięczając koronę Piotrowi, żadnego kroku nie zrobił przeciwko pogwałceniu jawnemu prawa narodów i zdeptaniu swojéj własnéj monarszéj niezawisłości, tak jak w r. 1705 puścił płazem gwałt jeszcze bardziéj gorszący w Płocku, gdzie car pijany pozabijał i uwięził kilku księży za to, że błogosławionemu Jozafatowi Koncewiczowi posąg na ołtarzu wystawili. Porwanie w kilkadziesiąt lat późniéj biskupa Sołtyka nie było więc faktem izolowanym, miało ono już smutną tradycyę za sobą.

Mazepa przez cały ten czas, począwszy od swego wyboru na hetmana w żadne stosunki z urzędową Polską nie wchodził, gdyż ta była w przymierzu z Moskwą, na wszystkie atoli strony skarbił sobie przyjaźń wpływowych osób Rzeczypospolitéj, z Sapiechą, Jabłonowskim, referendarzem Rzewuskim osobistym przyjacielem króla Jana był w ustawnéj korespondencyi, starając się wszystkim ich życzeniom zadosyć uczynić; nawet zatrzymanych w r. 1695 na rozkaz z Moskwy kupców lwowskich Stefana Bogdanowicza i Bogdana Jaruchowicza posądzonych o szpiegostwo wolno puścił na instancyę hetmana koronnego.

Tylko z własnym szwagrem Wojnarowskim nie był jakoś w najlepszych stosunkach, przyczyną tego były podobno religijne niesnaski małżonków; ona była szyzmatyczką, on katolikiem. Do tego przyszło że Wojnarowska dom mężowski opuściła i zabrawszy dzieci, w Kijowie przy matce osiadła w monasterze i tamże niebawem życie zakończyła. Wojnarowski daremnie listami błagał hetmana o odesłanie mu dzieci. „Prawa przyrodzone i polityczne wkładają na ojca obowiązek pisze do Mazepy zajęcia się wychowaniem i pokierowaniem swego potomstwa — wiem ja że z łaski wujowskiéj na niczém im nie braknie, ale po śmierci żony niechaj mam przynajmniéj pociechę oglądania dziatek". Hetman pozostał niewzruszony, być może iż tutaj także działała polityka. Carowi przyjemném być musiało, że kuzyni hetmańscy wychowani będą w prawosławiu, i że hetman ostatnie związki organiczne z Polską zrywa; był to więc sposób polecenia się Piotrowi. Najstarszego syna Wojnarowskiego zamieścił zaraz przy swoim boku w charakterze towarzysza buńczukowego, był to rodzaj fliegiel-adjutantów odpowiadający stopniowi kapitana w dzisiejszéj armii. Co się stało z innemi dziećmi nie wiadomo, o najstarszym zaś synie sędziego kijowskiego nie raz jeszcze będziemy mówić.

Wojna z swojéj strony trwała ciągle. W r. 1696 wyprawił się car znowu na Azów i takowy zdobył dzięki dzielności Kozaków zostających pod dowództwem Lizoguba. Tatarzy mszcząc się wpadli w pułk miłgorodzki i półtawski. Daniel Apostoł odegnał ich ze stratą, w odwrocie pojmanemu kozakowi Wieczorkowi żywcem serce z piersi wydarli. W r. następnym i 1698 sam

Mazepa wyprawił się pod Kizikirmen którzy Turcy odzyskać usiłowali.

W pierwszéj wyprawie kuzyn jego Obidowski został pobity, a książe Czerwertyński synowiec zmarłego metropolity kijowskiego, ożeniony z Samujłowiczowną dostał się do niewoli. Zburzony Tawań zdołano jednak odbudować. W drugiéj kampanii łącznie z wojskiem moskiewskim przedsięwziętéj niczego także nie dokazano. Zachowanie się Mazepy było tak dwójznaczne, że mu nawet obrany w miejsce Petryka hetmanem z hańskiéj strony niejaki Bogaty proponował listownie zostawić Moskali losowi, których on z Tatarami w pień wyciąć obiecywał.

Hetman list oddał Dołhorukiemu niemniéj jednak od tego czasu spostrzegać się daje wyraźniéj nienawiść hetmana do Moskali i cara.

Do politycznych względów przyczyniła się obraza osobista jaką Piotr wyrządził hetmanowi. Na zjezdzie w Rybnem czyli inaczéj w Ostroróżku roku zeszłego po bardzo przyjacielskich powitaniach i ofiarowanych sobie wzajemnie prezentach, między innemi podarował Mazepa Piotrowi bardzo bogatą turecką szablę, car jak zwykle przy wszystkich zjazdach podpiły, szarpnął za wąs Mazepę, gdy ten mu właśnie relacyę o stanie Ukrainy czynił, i groźnie krzyknął: już czas wziąść się do was. Prawdę powiedziawszy hetman w swoich sprawozdaniach o usposobieniu Kozaków zawsze przesadzał. Cel tego postępowania skreśliliśmy już wyżéj, tutaj powtarzać się nie mamy już potrzeby. I tak w r. 1696 donosił Piotrowi że Zaporoscy myślą przyłączyć się do Polski i już teraz zaciągają się na żołd królewski; musiałem powiada daléj wysłać do Siczy jeneralnego chorążego Lizoguba i sotnika Kandybę aby ich w wierności dla Waszego Przeświatłego Weliczestwa utrzymać. Kiedy w Tawaniu tegoż roku załoga tameczna bunt podniosła przeciwko swemu pułkownikowi Mokijowskiemu ciotecznemu hetmana i na jego miejsce wybrała Sergiusza Sołowinę, hetman chociaż bunt bez krwi rozlewu przytłumił i ciotecznego do władzy przywrócił, przecież carowi zaburzenie to wystawił jako pochodzące z nienawiści do Moskwy, do któréj tylko on i jego powinni całém sercem są przywiązani i dlatego w kraju znienawidzeni. Car już z téj przyczyny mógł sobie reformy Kozaczyzny życzyć, pomijając inne polityczne względy.

Mazepa jednak urazy osobistéj przebaczyć nie był w stanie, chociaż nieprzytomność w jakiéj się Piotr z powodu pijaństwa znajdował postępek jego tłomaczy, i chociaż car wszystkich dokładał starań aby niemiłe to zajście w umyśle hetmana zatrzyć. Nic nie pomogło ani nadanie mu bojarskiéj godności zaraz nazajutrz po wyrządzonéj mu zniewadze, ani mianowanie go kawalerem orderu Aleksandra newskiego w r. 1669 ustanowionego, przyczém car posunął nawet grzeczność do tego stopnia, iż Mazepę drugiego z kolei tym faworem zaszczycił, tak że piérwszym kawalerem był kanclerz Gołowkin, drugim Mazepa, trzecim car, a czwartym Meńszczyków. Kość została już rzuconą; jeżeli dotąd zdrada była w umyśle hetmana ewentualnością możebną a nawet pożądaną, to odtąd została stanowczo zadecydowaną, a wykonanie jéj było tylko kwestyą czasu.

III.

Śmierć króla Jana w roku 1696 i pokój karłowiecki w r. 1699 który przywracał spokój i zgodę między chrześciaństwem a półksiężycem, a tém samém rozwiązywał przymierze faktyczne między Polską a Moskwą zdawały się ułatwiać plany Mazepy. Myślano powszechnie że nowo obrany król prędzéj czy późniéj rozpocznie bój z Moskwą o odzyskanie Zadnieprza a przedewszystkiém Kijowa, którego posiadanie przez Moskali militarnie i politycznie zabójczém było dla Polski. Mazepa tego samego był zdania. Wnet się przekonano, ze Augustowi II. następcy Sobieskiego bezpieczeństwo i całość Rzeczypospolitéj nie wiele na sercu ciężyły, owszem on piérwszy był gotów podać rękę rozszarpaniu Polski, byle mu tylko znaczną jéj część z tytułem króla prawém dziedziczném przyznano.

Zjazd Augusta z carem w Rawie ruskiéj a późniéj w Birzach r. 1701 gdzie sobie przyjaźń i mir ślubowali musiał odebrać stronnikom polityki antimoskiewskiéj w Polsce, na któréj czele stał Jabłonowski hetman — wszelkie nadzieje uskutecznienia jéj już teraz, Mazepę zaś zmusił do zwykłéj ostrożności i udawania.

Jak dawniéj tak i teraz jawnie gorliwie broni interesów moskiewskich, potajemnie podburza Kozaków, stara się wzniecić dawną ich nienawiść przeciwko Moskwie i bacznie śledzi symptomatów téj nienawiści. W tym celu chętnie starszyznę sprasza do siebie, poi ją i zarzuca grzecznościami, aby ich

myśli i zamiary wybadać, sam udaje czasami pijanego i wtedy półsłówkami objawia im swoje zapatrywanie się na stosunki Kozaczyzny. I tak jednego razu powiada im: Przyjąwszy opiekę moskiewską wpadliśmy podobno z deszczu pod rynnę. Takie znaczenie miały słowa przy innéj sposobności powiedziane: z moich poprzedników tylko Wychowski miał rozum, i tu wystawiwszy im siłę organizacyi kozackiéj, która dawała im militarną przewagę nad Polską gdyby tylko jednomyślnie byli działali, zakończył: od nas tylko zależało, aby król polski stał się królem ruskim. Koczubejowi zaś który mu na nowy rok składał życzenia trwałego szczęścia i długoletniéj władzy, odpowiedział: co mi za szczęście żyć ustawicznie jak wół pod obuchem i czekać aż go na sznurze do jatki powiodą.

Nakładane przez Piotra W. podatki na Kozaków ściągał z całą surowością, a gdy go o zwolnienie lub o wstawienie się do cara proszono, odpowiadał: Na niechęć carską narażać się nie chcę, bo gdy w niełaskę popadnę, nikt się za mną nie ujmie, nicby to jeszcze nie było, gdyby się tylko skończyło na mnie, ale i ojczyzna na tém ucierpi, jak tego mamy przykłady za każdém gwałtownem wstrząśnieniem. Wysłał jednak z przedstawieniem swego siostrzeńca Wojnarowicza do cara, dając mu list tak wystylizowany, iż carowi zdawać się musiało, że hetman sobie życzy, aby posła zle przyjęto; między innemi bowiem był ustęp: wszyscy są przekonani że mojem pośrednictwem mogę ciężary usunąć, boję się jednak żeby jakiekolwiek ustępstwo żądań ich nie powiększyło. Car też ofukał posła a nawet laską mu pogroził; dla zamiarów Mazepy więcéj potrzebném nie było.

Czy car w tym wypadku poszedł za popędem gwałtownéj swéj natury, czy téż mimowolnie wpadł w zastawiane nań sidła, to dla nas obojętne, pewném jest tylko że fakt ten ogólne wywołał oburzenie. Skutki tego dały się uczuć bezpośrednio, gdyż zaraz przy rozpoczęciu wojny szwedzkiéj, bardzo wielu Kozaków pojedyńczo przyjęli służbę w szeregach Karola XII i ani groźbą ani ogłoszoną powszechną amnestyą do powrotu skłonić się nie dali. Mazepa ze swojéj strony starał się być przygotowanym na każdy wypadek. Przedewszystkiém chodziło mu aby na czele kancelaryi wojskowéj, głównéj maszyny małorosyjskiego zarządu,

stanął człowiek zupełnie mu oddany i dzielący we wszystkiém jego plany i widoki.

Był dotąd jeneralnym pisarzem Wasil Leontiew Koczubiej tatarskiego pochodzenia o którego stosunkach z hetmanem mówiliśmy już wyżéj. Teraz hetman z pisarzem żyli wprawdzie w przyjaźni, Mazepa trzymał mu nawet córkę do chrztu, ale zaufania obopólnego nie było. Podsunięto więc pisarzowi myśl złożenia swéj godności, Koczubiej przychylił się do tego, hetmanowi jednak znającemu dokładnie jego charakter zależało na tém, aby go ze wszystkiém od spraw publicznych nie odsuwać, bo wiedział dobrze, iż człowiek ten ambitny a słaby, postawiony poza wszelką kontrolą, czas od zajęć wolny, do nowych intryg użyje. Postanowiono więc wynieść go do godności jeneralnego sędziego, urzędu rangą wyższego od pisarstwa, ale nie mającego żadnego wpływu na polityczne sprawy. Był wprawdzie wówczas sędzią jeneralnym Sawa Prokopowicz, dla Koczubieja jednak drugą taką samą posadę utworzono, a co więcéj nad Prokopowiczem przyznano mu pierwszeństwo; na pisarstwo zaś jeneralne powołano do tychczasowego regenta kancelaryi wojskowéj Filipa Orlika, prawą rękę hetmańską.

Przypatrzmy się teraz jawnym działaniom Mazepy. Pokój grzymałtowski zastrzegał aby opustoszałe miejsca po nad obydwoma brzegami Dniepru nie były na nowo ludźmi obsadzane, a to dla uniknięcia międzynarodowych kolizyi. Po pokoju zawartym w Karłowcach i odzyskaniu Ukrainy Turkom odstąpionéj, dawni właściciele polscy nie chcieli tyle ziemi urodzajnéj zostawić odłogiem, tém bardziéj że przez wiele bardzo lat nie ciągnąć z posiadłości swych żadnéj korzyści, teraz mieli ochotę straty swe powetować. Wzięto się zatém bardzo gorliwie do zakładania nowych osad.

Mazepa przestrzegając punktów traktatu, donosił o wszystkiem Gołowkinowi, a do Stanisława Jabłonowskiego pisze, aby z ramienia swego hetmańskiego podobnéj dowolności koniec położył, która może dobre stosunki między Polską a Moskwą zniweczyć. Oprócz tego skarży się na przeszkody jakie kupcom małorosyjskim handlującym w Polsce wyrządzane bywają. Kasztelan krakowski odpisuje: że o żadnych krzywdach wyrządzonych Zadnierpcom nic nie wié, gdy jednak takowe do jego wiadomości dojdą, nie zaniedba winnych ukarać, na do-

wód zaś że Polska z Moskwą zrywać nie myśli, posyła mu kopie dwóch uniwersałów wydanych do obywateli ziem ruskich. W piérwszym wzywa ich, aby żadnych krzywd poddanym carskim nie ważyli się robić, w drugim, zakazuje zakładać nowe osady wbrew pokoju grzymułtowskiego. Więcéj jeszcze sposobności miał Mazepa okazania swojéj gorliwości o dobro Moskwy w ponownym buncie Paleja, do którego przyłączył się teraz Samuś, ów nakaźny ukraiński hetman nieboszczyka króla Jana.

Widzieliśmy już w jakim stosunku był przedtém Palej do Rzeczypospolitéj. Ukorzywszy się w r. 1694 słuchał wprawdzie w rzeczach wojskowych rozkazów hetmanów koronnych, lecz pozą tém rządził sobie w ziemiach zajętych jako pan samowładny. Za jego przykładem poszedł Samuś. Właściciele tameczni liczne zanosili skargi, potrzebowano jednak zanadto pomocy obydwóch tych naczelników, aby ich do odpowiedzialności pociągać. Teraz gdy pokój został przywrócony, chciano ostatecznie Ukrainę uspokoić i urządzić; najlepszym do tego środkiem zdawało się zwinięcie raz na zawsze kozaczyzny w Ukrainie polskiéj.

Projekt mógł być dobry, trzeba było atoli piérwéj porozumieć się z naczelnikami kozaczyzny polskiéj, tak im jak i podwładnym obmyśleć stósowne wynagrodzenie, uwolnić zwiniętych od powinności pańszczyznianych od których odwykli. Nic z tego nie uczyniono; a konstytucya z r. 1699 orzekła tylko całkiem krótko, że odtąd kozaczyzna w Ukrainie polskiéj się znosi i każdy ma wracać do dawniejsych swoich zatrudnień. Postępowanie takie dałoby się pojąć gdyby Rzeczpospolita miała w pogotowiu przynajmniéj 10 tysięcy ludzi zbrojnych na Ukrainie. W braku tych gotowała tylko nowe burze i zawikłania z którychby tylko Moskwa korzystać mogła. Nic dziwnego, że Samuś i Palej odpowiedzieli buntem. Współcześni posądzali nawet Augusta i Piotra, iż w buncie tym umaczali ręce. Do Piotra i Mazepy wysłano ze strony polskiéj Piotrwskiego podkomorzego wieluńskiego, który miał całą tę sprawę zbadać i przekonać się jak Moskwa w tych zawikłaniach postępuje. Moskwa wyparła się wszystkiego, zachowaniem się jednak późniejszém dowiodła, że tak zupełnie czystą w téj sprawie nie była.

Równocześnie wybuchła wojna szwedzka spowodowana pokątnemi zmowami Augusta II. z Piotrem wielkim w Rawie

ruskiéj a następnie w Bierzy r. 1701 gdzie formalne zawarte zostało przymierze.

Kto był motorem téj wojny czy August czy Piotr nie wiadomo, to tylko pewném, że obaj wystawiali sobie pobicie Szwedów za rzecz łatwą; dla Augusta nawet wojna nie była celem, ale środkiem sprowadzenia wojsk swoich saskich do Polski, które użyte być miały dla poparcia dynastycznych jego widoków, a tém samém przeciwko Polsce. Król nawet nie zapytał się Rzeczypospolitéj czy chce wojnę prowadzić, co przecież dla niego jako konstytucyjnego monarchy było rzeczą konieczną, postępując bowiem inaczéj już przez to samo gwałcił prawa narodu i popełniał zamach stanu, który poddanych jego od przysięgi wierności uwalniał.

Kiedy August II. tak samowładnie postępował, Piotr wielki zasięgał zdania najznakomitszych swoich doradzców. Mazepa był jednym z piérwszych który wojnę doradzał, wiedząc dobrze że tém najlepiéj zaleci się carowi. Między innemi pisał: „Tak sposobnéj chwili jak obecna może już nigdy nie będzie, szkrupułów w tém nie ma żadnych, bo to sąsiad niespokojny, który naokoło mnóstwo grodów zagrabił i to więcéj podstępem niż wojenną fortuną.“

Kampania nieszczęśliwie się rozpoczęła. Duńczyk został pobity, Moskwa pod Narwią stanowczą klęskę poniosła, siostrzeniec hetmana zadnierpskiego Obidowski w bitwie téj zginął. Po tém ostatniém zwycięztwie rzucił się Karol na Polskę. Rzeczpospolita była zupełnie nieprzygotowana na prowadzenie wojny, większa część obywateli uważała ją jako prywatną sprawę Augusta, z któréj powinien się ratować jak może. Wśród swarów czy wojna ta jest narodową czy nie, Szwed wkroczył w serce Rzeczypospolitéj, wtedy to hetman Jabłonowski powziął plan najwięcéj interesom Polski odpowiedni: zwołać pospolite ruszenie, połączyć z niém wojska polskie i litewskie i wystąpić jako strona pośrednicząca między Augustem i Karolem z ofiarowaniem królowi szwedzkiemu przymierza z Polską przeciwko Rosyi. Gdyby August się wahał, miano przystąpić do wyboru nowego króla. Takim sposobem pisze Otwinowski cały ciężar wojny spadłby był na Moskwę, tém dla niéj niebezpieczniejszéj, że Han tatarski wchodził z Mazepą hetmanem zadnierpskim w tajne praktyki przeciwko Moskwie. Owóż zdaje się że już w roku 1701 i 1702 Mazepa był zdecydowany

zdradzić Moskwę, kiedy nagła śmierć kasztelana krakowskiego i hetmana w. kor. politykę tę udaremniła, a hetmana zaporoskiego zmusiła, decyzyę do późniejszego czasu odłożyć.

Mazepa tak zgrabnie rzecz prowadził, że car ani nie domyślał się zamiaru zdrady, owszem stósunki jego z hetmanem zadnieprskim nigdy nie zdawały się być serdeczniejsze jak właśnie wówczas.

Mieliśmy więc dwie wojny na karku. Samuś na Ukrainie rozpoczął szerzyć mordy i grabież r. 1701. Winnica, Niemirów, Bohusław, Korsuń wpadły w rękę buntowników. Regimentarz Ruszczyc z słabemi siłami wysłany na Ukrainę dla dopilnowania wykonania ustawy sejmowéj z r. 1699 dotyczącéj Kozaków, został pod Berdyczowem pobity, miasto wpadło w ręce zwycięzców.

Gdziekolwiek Kozacy wzięli na chwilę górę, wszędzie krew szlachecka i żydowska płynęła strumieniami. W r. 1704 przyłączył się do Samusia Palej i wziął podstępem warowny gród Białocerkiew, najmocniejszą fortecę na Ukrainie. Na wiadomość o tém, Mazepa który się znajdował na czele 20,000 ludzi w okolicach Mohilewa i Pskowa powrócił na Zadnieprze z obawy aby bunt nie rozszerzył się także po tamtéj stronie Dniepru. Piotr naciskany przez Polaków o pomoc do uspokojenia Ukrainy polskiéj, takową przyrzekł, Mazepie jednak dał tylko polecenie nieprzepuszczania zbiegów z tamtéj strony Dniepru, którzy zasilali szeregi buntowników. Zła wiara carska jeszcze bardziéj się uwydatniła w kwestyi forteczki brałockiewskiej. Palej trzymał w niéj swoją załogę, a na przedstawienia Polaków żądających zwrotu warowni odpowiadał: że ją wziął i trzyma z rozkazu cesarskiego. Udano się znowu do cara, ten publicznie forteczkę zwrócić nakazał, lecz potajemnie polecił mu trzymać ją daléj. Patkul Inflantczyk w służbie moskiewskiéj do boku Augusta odkomenderowany, nieznający jeszcze charakteru i chytrości Piotra, sądził z początku, że Palej rozkazom carskim się opiera, ofiarował więc swoje pośrednictwo, spodziewając się groźbą gniewu carskiego skłonić Paleja do uległości, zmiarkowawszy jednak dokąd zmierzają plany Piotra od pośrednictwa odstąpił.

Tymczasem udało się hetmanowi polnemu Adamowi Sieniawskiemu zgnieść Samusia r. 1704 i zmusić do ucieczki za

Dniepr; Palej bojąc się nastąpienia na siebie całych sił polskich, wpuścił do Białocerkwi załogę moskiewską i także udał się za Dniepr, gdzie go Mazepa z rozkazu carskiego kazał ująć, a potém skazano go na wygnanie do Sybiru.

Winą Paleja było, że nie umiał zakryć machinacyi Piotra w buncie ukraińskim, a mianowicie przy zajęciu Białocerkwi. Ci, którzy Mazepę o niewdzięczność dla Piotra oskarzają, mogą się budować rycerskiém postępowaniem cara względem wiernego swego sługi, jakim bez wątpienia był Palej. Bunt został uśmierzony, atoli forteca białocerkiewska pozostała jeszcze długi czas w ręku Moskali.

Przypatrzmy się teraz przebiegowi wojny szwedzkiéj w Polsce. Rozpoczął ją, jak już wiemy, August II bez przyłożenia się Rzeczypospolitéj wyłącznie swemi wojskami saskiemi. Karol w r. 1701 pobił Sasów pod Rygą, a przezimowawszy w Kurlandyi przez Żmudź i Litwę, gdzie w Sapiehach znalazł gotowych sprzymierżeńców wkroczył na Mazowsze. Warszawa 14 maja tego roku już była w jego ręku, a w rok późniéj po bitwie pod Kaliszem, Kraków otworzył mu swe bramy. August przestraszony chciał wszystkiemi sposobami pogodzić się z Szwedami, w tym celu wysłał kochanicę swoję Aurorę Königsmark a późniéj Vitzhuma z prośbą o pokój, gotów jak zawsze całością Polski okupić swoje bezpieczeństwo. Czém korzyści szwedzkie były więcéj stanowcze, tém ofiary Augusta były większe. Obiecywał mu odstąpić całą Litwę i Prusy królewskie, połączyć wojska swoje z Szwedami przeciwko Moskwie. Karol o żadnych układach z Augustem słyszeć nie chciał; co tém bardziéj zastanawia, że pierwsze kroki w téj mierze poczyniono jeszcze zaraz po bitwie pod Rygą przez hr. Königsmark, z którą król szwedzki ani widzieć się, ani mówić nie chciał. Postanowiwszy w pierwszych chwilach rozpoczętéj kampanii detronizować Augusta, żadnemi korzyściami od raz powziętego przedsięwzięcia odwieść się nie dał. Plan detronizacyi i w Polsce licznych miał zwolenników; Sapiehowie zazaz z początku połączyli się z Szwedami, prymas Radziejowski nigdy Augustowi przychylnym nie był, hetman koronny Lubomirski zawsze był gotów do odstępstwa, gdyby mu w perspektywie pokazano koronę, Jabłonowscy i Leszczyńscy przyjaciele domu Sobieskich tylko z konieczności trzymali się strony królewskiéj, Potocki

wojewoda kijowski spokrewniony z Leszczyńskiemi trzymał razem z krewniakami, Adam Sieniawski hetman polny także był niepewny. Materyałów do przeprowadzenia detronizacyi było dosyć; zastęp nieprzyjaciół Augusta jeszcze się zwiększył, gdy na zjeździe warszawskim r. 1704 Karol wszystkie propozycye Augusta kosztem Polski sobie czynione odsłonił, a niektóre skazówki kazały się domniemywać, że takiéj saméj osnowy były układy z carem moskiewskim, z tą różnicą, że temu obiecywał ziemie ruskie w nagrodę za udzielenie mu pomocy ku owładnięciu pozostałych ziem polskich prawem dziedziczném. August stanął przed narodem jako zdrajca, przeniewierca i krzywoprzysięzca. Po tém odsłonięciu tajemnicy nie pozostało Augustowi nic innego, jak napowrót zbliżyć się do Cara i od niego oczekiwać ratunku. Piotr Wielki nie był także wielce zbudowany postępowaniem Augusta, ale polityka nakazywała mu wspierać go, bo to zatrudniało Karola w Polsce, a jemu ułatwiało zdobycze wojenne w prowincyach nadbaltyckich; zresztą car Piotr uczuciem nie powodował się nigdy, dla niego interes był alfą i omegą działań politycznych. Pod tym względem był on żywém przeciwieństwem Karola XII; monarcha szwedzki to ostatni reprezentant na tronie europejskim średniowiecznéj rycerskości, Piotr to nowożytny mąż stanu ze szkoły Riszeliego, dla niego każdy środek dobry, który prowadzi do celu. W charakterze obydwóch znakomitych zapaśników tkwiło już źródło upadku pierwszego a wzniesienie się drugiego. Walka ich przypomina wiele walkę Karola Śmiałego burgundzkiego księcia z Ludwikiem XI królem francuskim. Karol Śmiały to nasz Karol XII, Piotr to nowa edycya Ludwika XI.

August II pragnąc w Polsce uczynić popularném przymierze z Moskwą, usilnie prosił Piotra, aby Stajki Trylisy i Wasilków Polsce zwrócił, opustoszałe grody nad Dnieprem pozwolił zaludnić a Białocerkiew wojskom swoim opuścić kazał. Piotr zapytał się o radę Mazepy, na co mu tenże odpisał: Trzy powyższe grody oddać można, ale zaludnienie brzegów od Czerkas do Kaniowa zanadto osłabi Kijów i ziemie do pułku łubeńskiego i perejesławskiego należące; Białocerkwi przy niepewnych stosunkach w Polsce trudno odstępować. Radzie hetmańskiéj we wszystkiém stało się zadosyć.

Hetman dostał oprócz tego rozkaz wspierania wszystkiemi siłami króla polskiego, którego interesa bardzo zły obrót brały mimo uchwały szlachty małopolskiéj pod Sandomierzem, iż króla Augusta wspierać należy. Wielka część panów polskich przeszła na stronę Szwedów, między innemi hetman Lubomirski, spodziewając się z rąk szwedzkich otrzymać koronę polską, a w których to nadziejach prymas Radziejowski go podtrzymywał. August chcąc posiłki przyspieszyć i hetmana zadnieprskiego sobie zniewolić, nadał mu order Orła Białego.

Mazepa jednak nie spieszył się z przygotowaniem do wojny, czekając, dopóki położenie rzeczy w Polsce się nie wyjaśni. Zawiązał tylko korespondencyę z Sieniawskim, zapewnie aby zamaskować przyczynę zwłoki. Przypadkiem zdarzyło nam się widzieć i czytać do czterdziestu listów oryginalnych Mazepy do Sieniawskiego dotąd jeszcze nie drukowanych, rzucają one wiele światła na charakter i postępowanie jego, a obejmują cztery najciekawsze lata z życia kozackiego naczelnika od r. 1704 do r. 1708.

Tymczasem plan Karola XII detronizowania Augusta prędko zbliżał się do urzeczywistnienia. Pozyskany prymas ogłosił Augusta za odpadłego od tronu i na dzień 15 czerwca r. 1704 naznaczył termin elekcyi nowego pana.

Trzech było kandydatów: królewicz Jakób Sobieski, którego serdecznie życzył sobie Karol XII widzieć na tronie, hetman Lubomirski popierany przez arcybiskupa gnieźnieńskiego i Stanisław Leszczyński wojewoda poznański. Ponieważ królewicz został z rozkazu Augusta uwięziony i do Saksonii wywieziony, Lubomirskiemu król nie sprzyjał, bo ten nie pochodził z jego własnéj iniciatywy, a jak wiadomo Karol chorował na samodzielność, i nie chciał, aby ktoś mógł pochwalić się, iż swoim wpływem skłonił króla do działalności wbrew jego chęci i woli, wybrano Stanisława Leszczyńskiego z wielkiém nieukontentowaniem prymasa i Lubomirskiego tak, że piewszy już się na polu elekcyjném nie zjawił i elekta nominował biskup poznański Święcicki, drugi niebawem do Augusta powrócił.

Nikt może temi wypadkami w Polsce tak się nie interesował jak Mazepa; kiedy dla panów polskich August czy Stanisław, sprzymierzeniec szwedzki czy moskiewski, byli tylko

kwestyą ich osobistego interesu, w którego ramy ani miłość ojczyzny, ani polityczna idea nie wchodziły, Mazepa sięgał wźrokiem daléj i budował na tém cały system polityczny, mający Polsce nadać rząd trwały, a Rusi zabezpieczyć obszerną autonomię w duchu ugody hadziackiéj. O ambicyę osobistą bezdzietnego starca tak bardzo pomawiać nie można.

Wykonanie zamiaru atoli nie było łatwe; plan mógł się udać tylko wtenczas, gdyby zwycięzkie wojska szwedzko-polskie wkroczyły do Moskwy, lub gdyby Piotr wszystkie swe siły wyciągnął do Polski i tam na głowę pobity został. Car jednak skwapliwie unikał stanowczéj rozprawy. Przejść w Polsce do Szwedów Mazepa nie mógł, bo tym sposobem wydawał całe Zadnieprze na srogą zemstę carską, coby znowu spowodować było musiało większą część jego wojska zaniepokojoną o familię swą i mienie do opuszczenia chorągwi. Bić Szwedów i Polaków, dopóki plan niedojrzeje, trudno, zamiast zbliżyć go bowiem do celu, oddalałoby go od niego na długo, a może na zawsze; dać się pobić jeszcze trudniéj, gdyż to zdyskredytowałoby go u Kozaków i mogłoby go narazić na odebranie komendy. Wśród takich to okoliczności, nadziei i obaw gotował się z rozkazu carskiego na kampanię polską. Jak się z zadania wywiązał, zobaczymy zaraz.

W wrześniu r. 1704 zgromadził wojska swoje pod Lubar nad Słuczą, Szwedzi uganiają się tymczasem po Małopolsce i na Mazowszu; gdy oddział ich jeden posunął się ku Rusi i zajął Sokal, Mazepa ruszył ku Zadnieprzu na leże zimowe. Aż do kwietnia przyszłego roku pozostaje bezczynnym, na listy zaś Sieniawskiego wojewody bełzkiego i hetmana polnego trzymającego się Augusta II z téj przyczyny, że Szwed już koronę rozdał, a drugiéj do dania nie miał, odpowiadał komplementami i wynurzeniami swego afektu dla całego domu Sieniawskich. Dopiero 30 kwietnia 1705 donosi mu z Baturyna, że podług rozkazu Jego C. Wieliczestwa *primo vere* ruszy z wojskiem na sukurs Rzeczypospolitéj, w tym celu kazał budować dwa mosty na Dnieprze dla ułatwienia przeprawy. Jak ten pochód był pospieszny, najlepiéj wykazują daty listów jego do Sieniawskiego. Lipca 31 był pod Zbarażem, sierpnia 10 pod Glinianami, 20 tego miesiąca pod Lwowem, 7 września pod Horodłem, 27

pod Zamojściem. Pochód odbył tak szczęśliwie, że nigdzie Szwedów nie spotkał, a ci także jakoś nie bardzo go szukali. Trzeba jednak było jakimś czynem wojennym uwieńczyć kampanię, a więc zabrał się do oblężenia Zamościa, którego właściciel był stronnikiem Leszczyńskiego. Po kilkutygodniowém oblężeniu Zamość się poddał przez kapitulacyę, warunki jéj są jedyne w tym rodzaju: Forteca przyjmuje załogę kozacką; komendant odbiera rozkazy od ordynata i klucz od bramy na noc ordynatowi oddaje. Żeby domysłów carskich nie budzić, pisze do Piotra: Menażuję miłość własną ordynata, którego pragnę pozyskać dla sprawy prawowitego monarchy. Pod koniec grudnia cofnął się do Dubna na kwatery zimowe, niektóre zaś pułki, jak czernichowski, pułtawski i łubieński zostawił pod rozkazami referendarza koronnego Rzewuskiego w Bełzkiém i na Podlasiu. W Dubnie zostawał aż do 20 lutego 1706, zkąd go car do siebie na Litwę powołał.

Podczas téj pierwszéj kampanii polskiéj wszedł Mazepa w bliższe stosunki z stronnikami króla Stanisława. Pośredniczyli w téj sprawie księżna z Chodorowskich *1mo voto* Wiśniowiecka *2do* Dolska, ksiądz jezuita Załęski, szlachcic jakiś nazwiskiem Wolski, i pewien biskup bułgarski wygnany z Ojczyzny, który dłuższy czas przebywał na dworze Mazepy w Baturynie, towarzyszył mu w kampanii obecnéj i w sukniach zakonnika żebrzącego często między jednym i drugim obozem się uwijał. Zdaje się jednak, że w tym czasie nie przyszło jeszcze do formalnego porozumienia się, zresztą chwila do działania nie była jeszcze sposobna. Żeby zaś cień cienia podejrzliwości Piotra na niego nie padł, taki list wystósował do cara: Już to nie raz pierwszy źli ludzie mnie kuszą, abym zmienił wierność dla W. C. Mości: zmarły król Sobieski, han tatarski, a dzisiaj król szwedzki i bezprawnie ukoronowany w Warszawie Leszczyński. Obietnicami i zdradliwemi pochlebstwy chcą mię przyciągnąć do siebie. Wolskiego, którego nasadzono na moją wierność, badałem torturą, zeznania jego posyłam W. C. M., jego samego zatrzymałem w więzieniu, aby go tém bezpieczniéj dostawić W. C. M. Historya o torturze była wymysłem; prawdą jest jednak, że Wolskiego zamknął, bo mu to potrzeba było do utwierdzenia cara w swoję wierność; na list nawet Sieniawskiego, który prośbami ro-

dziny Wolskiego zniewolony wstawiał się za nim i prosił o uwolnienie odpisał: że tego uczynić nie może bez ściągnięcia na siebie suspicyi. Jak mimo tego Wolski z więzienia uciekł, pozóstało na zawsze tajemnicą Mazepy. Dosyć, że fortel się udał, car z wierności i sprawności swego hetmana był zadowolniony, a nawet ufając w jego szczęście wojenne, powołał go do siebie na Litwę, gdzie osobiście przeciwko Moskalom dowodził król szwedzki. Na Litwie znajdował się także nieszczęśliwy August. Wyprawa ta dla Moskali poszła jak najgorzéj, Szwedzi bili ich na wszystkich punktach, najbardziéj jednak ucierpiały wojska kozackie. Pułkownik Mikłaszewski wraz z zięciem swym Gamaleją zginęli pod Nieświeżem, pułkownik Mirowicz z całym pułkiem dostał się do niewoli pod Łochwicami.

Przybycia Mazepy czekano więc niecierpliwie, ten jednakowoż nie spieszył się bardzo; rozkal wiosenna, brak dróg i amunicyi dostatecznie go przed odpowiedzialnością zasłaniały. W czerwcu zaś już tam obecność jego potrzebną nie była, gdyż Karol Litwę i Wołyń opuścił, spiesząc dniem i nocą do Saksonii, któréj zdobyciem chciał Augusta do pokoju zniewolić. Zagrożony w posiadaniu dziedzicznéj swéj dzierżawy, zgodził się August na wszystkie warunki stawiane przez zwycięzcę: koronę polską złożył, Stanisława królem uznał, stronników swych od przysięgi wierności uwolnił.

Karol załatwiwszy się z Augustem, umyślił to samo zrobić z Piotrem Wielkim. Chwili téj oddawna oczekiwał Mazepa.

Chodziło jeszcze o zupełne uspokojenie Polski; wprawdzie wielu panów po pokoju altstrandskim ukorzyli się Stanisławowi, car jednak umiał wojnę domową w Polsce przeciągnąć, pozyskawszy Sieniawskiego obietnicą korony. Duma zawsze u nas przodowała polityce magnatów. Daremnie własna jego żona starała się go skłonić do pogodzenia ze Stanisławem. „Spuszczasz się, pisze do niego, na obietnicę cara, a czyż on wkiedy obietnicy dotrzymał, ja przynajmniéj z zawiązanym łbem koło niego latać nie myślę i pamiętaj, że familia moja przywykła dawać, ale nie brać; piszę Ci to otwarcie nie cyframi, bom to gotowa samemu carowi w oczy powiedzieć, nie chcę, żeby mię ludzie posądzali, iż to ja Ciebie do tego podmawiam. Straciłeś w zeszłych latach 800.000 gotówki, nie żałuję straty, bo

to było potrzebne dla zachowania godności domu, dzisiaj inaczéj rzeczy stoją. Jak ty nie będziesz królem, to ma nim być p. miecznik (Denhof zięć hetmański), niech sobie nim będzie kto chce, choć i miecznik nie dudek i woli być hetmanem niż królem.“ W końcu z urąganiem dodaje: „staraj się teraz o siostrę cara w małżeństwo, kiedy ci się królem koniecznie być zachciewa, ja od wszystkiego umywam ręce.“

Tak to prawdziwy patryotyzm i godność narodową u nas w Polsce po wszystkie czasy tylko kobiety umiały reprezentować, tak było dawniéj, tak pozostało i dzisiaj. Wszystkie nasze usiłowania porozbiorowe są tego dowodem.

Osobiści przyjaciele Sieniawskiego odwodzili go także od przeciągania bratobójczéj wojny, przedstawiając mu nawet, że może jako buntownik, bo teraz już niczém innem nie był, stracić urzędy i mienie. Na to odpowiadał z wyniosłością: Jeżeli już koniecznie Sieniawski będzie się musiał pokłonić Leszczyńskiemu, to nigdy nie będzie za późno. Mazepa ze swojéj strony stara się także hetmanowi oczy otworzyć na postępowanie kręte i przewrotne cara, ale czyni to dyplomatycznie, żeby go nawet przesłany list carowi skompromitować nie mógł. Było to z powodu Białocerkwi. Sieniawski tak jak dawniéj August chciał, stosunki swe z Moskwą uprawnić pozytywnemi korzyściami dla Polski, domagał się zatém natarczywie zwrotu fortecy. Na to żądanie odpisuje mu Mazepa pod dniem 20 września 1707 z Kijowa: „Wasz Mość Pan żądasz komisyi o restytucyę Ukrainy dla Rzeczypospolitéj, gdy jednak ponowny ukaz carski nie wyszedł, nie będę mógł zjechać na komisyę.“ Dla zrozumialszego oddania swéj myśli pisze niżéj: „*Ad restitutionem* Ukrainy nietylko potrzebny mi jest nowy ordynans od dworu, lecz i o to *expedit* starać się, żeby własną ręką monarszą był ten ukaz corroborowany, bo bez tego nie możecie przyjść Wać Państwo *ad possessionem* Ukrainy.“ Widocznie daje mu tu do poznania, że car inne ukazy wydaje dla publiczności, a innemi muszą się powodować wykonawcy jego woli.

Cały rok 1707 zeszedł na pacyfikowaniu Polski, co się jednak nie udało.

Mazepa wszystkiemi siłami starał się u króla Karola i Stanisława, aby kampanię moskiewską przyspieszyć. Dziwna jest, że król szwedzki, który chętnie przyjmował usługi Sa-

piehów, Lubomirskich, Potockich, którzy także zdradzali swego króla, miał jakiś wstręt do związków z Mazepą; rycerska jego dusza wzdrygała się korzystania ze zdrady, przytém duma jego obawiała się, aby przeważnie nie zawdzięczać zadnieprskiemu hetmanowi pokonanie cara. Wszystkie więc jego przedstawienia z obojętnością i lekko zbywał, chociaż przyznawał im trafność.

Naciskany przez króla Stanisława, aby téj ofiarowanéj pomocy Mazepy lekko sobie nie cenił, odpowiadał: To rzecz Waszéj królewskiéj Mości, interesa te dotyczą tylko Polski, ja się w nie mięszać nie chcę. Skończyło się na tém, że król Stanisław sam jeden traktował z Mazepą. Ugoda brzmiała: Zadnieprze powróci do Polski na zasadach ugody hadziackiéj, hetman bierze w lenność księstwa Połockie i Witepskie z prawem przekazania ich siostrzeńcowi swemu Wojnarowskiemu i prawnym jego potomkom. Po téj ugodzie pisał Mazepa do króla Stanisława w r. 1707: „Na Ukrainie nie ma tylko 7000 Moskali, z temi prędko się uwinę, z ciał ich zbuduję Szwedom most na Dnieprze, niech tylko szybko przychodzą mi w pomoc.“

Tajemnica, o któréj nie wiedziało oprócz dwóch króli i hetmana tylko Piper kanclerz szwedzki, ów wspomniany biskup bułgarski i kanclerz króla Stanisława, zaczęła się jakoś przebijać. Korespondencye z księżną Dolską obudzały podejrzenia, wprawdzie nie wiedziano istoty rzeczy, lecz zaczęto rozgadywać: że hetman żeni się z księżną, że ona nakłoniła go do opuszczenia Piotra Wielkiego i inne tym podobne rzeczy, które dla Mazepy mogły być bardzo niebezpieczne. W Polsce szczególnie obiegały te pogłoski, tak że hetman Sieniawski pragnąc sobie zobowiązać Mazepę, listownie mu o tém donosi. Hetman zadnieprski w świętém oburzeniu taką daje odpowiedź datowaną z Baturyna pod d. 27 stycznia 1708 r.: „Dziękuję WPanu za przestrogę, ale są to jawne plotki białogłowskie, bądź WM. pewien tego, że ja nietylko dla Xnéj JM. Dolskiéj, ale i za cały świat sumienia mego, cnoty, poczciwości i wiary nie zamieniam. Ponieważ nietylko teraźniejszemu monarsze memu, ale jeszcze ojcu jego ś. p. i bratu, najjaśn. monarchom, uczyniłem na wierne poddaństwo przysięgę, i w niéj tak jestem stateczny, że chyba mnie grobowa deska od niej uwolni. Daję to pod wysoki rozsądek

WPana, jeżeli te plotki godne są wiary, kiedy tak wiele experymentów wojennych już po téj (jak udają) z księżną swadźbie znacznym są mojéj wierności dokumentem. Batalia w Lachowicach, gdzie pułkownik perejesławski zginął z półtoratysiącznėm towarzystwem, to w Nieświeżu, gdzie pułkownik Starodubowski ubity, przy którym i kilkaset towarzystwa w niewolę zagarniono, to pod Kleckiem przegrana batalia z p. Naplujowem i pułkownikiem Mirgorockim z Mińska na odsiecz pułkownikowi perejesławskiemu do Lachowiec ode mnie ordynowanemu; takie to są naszych lubicznych z księżną zalótów afekty i efekty. Nadto coby mnie stymulowało i zachęcało do inklinacyi ku nieprzyjacielskiéj stronie; jeżeli fortuna, to téj z łaski Boga mego i Pomazańca jego najjaśniejszego Cara Jegomości pełen jestem, na całe lubo krótkie życie moje i pewnie tam większéj mieć nie mogę. Są to jedynie białogłowskie plotki i nieprzyjaciół wymysły. To doniosłszy proszę, aby WMość takim plotkom nie dawał wiary, i stale o mnie trzymał, że chcę i powinienem najjaśniejszego monarchę mego wszelkie mandata w każdych okazyach wiernie *exsequi.*"

Wieści te na początku roku 1708 przedarły się na Ukrainę i były w kółkach jego nieprzyjaciół przedmiotem codziennych rozmów. W domu Koczubieja, gdzie koncentrowały się plotki całéj Ukrainy, komentowano działania Mazepy w najrozmaitszy sposób i najdziwaczniejsze robiono kombinacye. Koczubiej stary niedołęga, opanowany przez żonę, dał się w końcu połowicy swojéj nakłonić do zawiadomienia cara o wszystkiém co wiedział. Widzieliśmy w pierwszych latach hetmaństwa Mazepy, jakie niesnaski panowały między obydwoma dostojnikami Ukrainy. W sprawie paszkwilu z r. 1691 był Koczubiej mocno o jego napisanie i rozszerzanie podejrzany. Za wstawieniem się przyjaciół urazę umorzono, Koczubiej z natury dobroduszny ale słaby hetmana przebłagał, w gruncie nie czuł on nawet do niego żadnéj niechęci, właściwą nieprzyjaciółką hetmana była Koczubiejowa, któréj się zdawało, że gdyby nie intrygi Mazepy, buława ukraińska spoczywałaby dziś w ręku jéj męża, a ona jako pani hetmanowa byłaby pierwszą damą na Zadnieprzu i miałaby swój wstęp u dworu. Następnie stosunki się te złagodziły, Obidowski siostrzeniec hetmana, stolnik carski, ożenił się ze starszą córką

Koczubiejów, młodszę Motroną trzymał hetman do chrztu i kochał ją jak własne dziecko, ta oto Motrona była powodem nowéj nienawiści Koczubiejów do hetmana. Rodzice pragnęli ją wydać za Czujkiewicza znacznego towarzysza wojskowego, hetman swatał ją z Polakiem młodym Janem Sudymuntowiczem Czeczelem siostrzeńcem pułkownika swéj gwardyi i najbliższego przyjaciela. Pannie, młody szlachcic, wesoły i ukształcony więcéj się podobał, niżeli konkurent przez rodziców protegowany, to téż gdy w domu zanadto była prześladowaną za swój upór, uciekła do hetmana, gdzie zresztą stale zamieszkiwała jéj siostra, wdowa po Obidowskim. Rozżalona Koczubiejowa zaczęła wtedy rozgadywać, że hetman bałamuci jéj córkę, sam się w niéj kocha i dlatego tylko pragnie ją wydać za Czeczela, aby miłosne stosunki daléj z nią mógł zachować. Czy było co prawdy w tych żalach Koczubiejowéj, dziś o tém zawyrokować trudno. W archiwum kolegium dzieł zagranicznych w Moskwie pod napisem: małorosyjskie sprawy rok 1708 Nr. 19, znajduje się 12 listów uchodzących za autentyczne listy Mazepy do Motrony. Niektóre bez wątpienia są hetmańskie, jak np. odpowiedź Motronie na jéj prośbę, aby jéj pozwolił powtórnie osiąść w swym domu: „Moje serce kochane“, pisze Mazepa, „sama wiesz, jak ja serdecznie lubię Waszą Miłość, jeszcze nikogo tak nie lubiłem, największém mojém szczęściem by było, abyś u mnie mieszkała, ale zważ, jaki koniec tego będzie przy takiéj złości i zajadłości twoich rodziców. Proszę Cię moja lubeńko, nie odmieniaj się w niczém, a ja póki żyw Ciebie nie zapomnę.“ Już list ten jak na swata jest zanadto czuły, tłómaczyć go jednak można ojcowskiém przywiązaniem do swojéj chrzestnéj córki. Inne listy przepełnione są gwałtownemi oświadczeniami miłości, i tak w jednym przychodzi następujący ustęp: „Moje serdeńko, mój kwiecie różany! serdecznie boleję, że daleko odemnie jedziesz, a ja nie mogę oczków twoich i liczka bieleńkiego widzieć, przez to pismo zasyłam Ci ukłony i wszystkie twoje członki serdecznie całuję.“ W innym liście: „Moje serdeczne kochanie, racz obaczyć się ze mną dla ustnéj rozmowy, pamiętaj na słowa, żeś mię lubić obiecała, na coś mi swoją białą rączkę dała.“ Jeszcze w innym: „Szczęśliwsze są moje listy, co w rękach twoich bywają, niżeli moje biedne oczy, co Ciebie oglądać nie mogą.“

Gdyby była pewność, że te wszystkie listy są Mazepy, nie byłoby wątpliwości do jego stosunku z Motroną. Téj pewności jednak nie ma. Przy rewizyi u Koczubieja zabrano je wraz z innemi papierami i odesłano do Moskwy. Gołowkin kazał je przepisać, oryginały wrócił hetmanowi, kopie złożył w aktach sądowych, a ztamtąd przeszły do archiwum dzieł zagranicznych. Łatwo więc być może, iż większa część tych listów pisana była przez młodego Czeczela, a że podpisane są tylko imieniem chrzestném Iwan, tak dobrze do Mazepy jak do Czeczela zastósować się dającém, niektóre zaś są nawet bez podpisu, łatwo późniejsi pomięszali całą korespondencyę i Mazepie ją na barki wyłącznie wtłoczyli. Koczubiejowie zawsze i wszędzie przywiązanie Mazepy do ich córki przypisywali miłości, a schronienie w jego domu uważali za skandał i ohydę dla siebie.

Oto co pisze Koczubiej do hetmana będąc zaproszony do niego na rozmowę: „Jaśnie Wielmożny Panie Hetmanie, mój wielce miłościwy Panie i wielki dobrodzieju! Lepsza jest śmierć niżeli gorzki żywot, wolałbym umrzeć niż żyć po takiém zelżeniu. Biada mnie nieszczęśliwemu, czy mógłem ja się spodziewać, że po tylu moich wojskowych pracach pod sławnym regimentem Waszéj Wielmożności będę narażony na takie upokorzenie, czy zasługiwałem ja na taką bolesnemi ranami okrywającą mnie haniebność. W smutek zamieniła się nadzieja, jaką żywiłem do córki mojéj. W tém ciężkiém utrapieniu, gdzie dnie i noce płakać muszę z nieszczęśliwą żoną, nie mogę bywać u Waszéj Wielmożności, w czém do stóp i nóg się jego kłaniając, proszę miłosiernie o przebaczenie.“

Nic lepiéj nie maluje słabéj téj duszy, jak właśnie ten list, oburzony ojciec nie umie tylko płakać, wysoki dygnitarz nie umie z przełożonym zachować swojéj godności, widocznie jest on tylko pozytywką nakręconą przez żonę. Odpowiedź Mazepy tchnie oburzeniem na czynione mu insynuacye co do romansu z jego córką i ostréj podaje krytyce stosunki jego domowe. Brzmi ona: „Panie Koczubiej! Donosisz nam o swoim serdecznym żalu, raczéj powinieneś się skarzyć na swoją hardą i gadatliwą żonę, któréj jak widzę, nie umiesz czy nie możesz powściągnąć, powinieneś wiedzieć, że równy munsztuk na konia i kobyłę się kładzie, żona to jest przyczyną twojego

smutku, jeżeli jaki w domu twoim panuje. Święta męczennica Barbara uciekła od ojca swego Dioskura nie w dom hetmański ale do pasterzy, i kryła się w urwiskach skał. Narzekać i płakać powinieneś na pychę twójéj żony, jéj wyniosłość i zarozumiałość. Przez 15 lat przebaczałem twoim intrygom, za które nie raz na śmierć zasłużyłeś, widzę, że ani dobroć moja ani cierpliwość na nic się nie przydały. Paszkwilnego twego pisma nie rozumiem, chyba żony słuchasz, a pospolicie mówią: Gdzie ogon rządzi, tam pewnie głowa błądzi.“ Cały list pisany jest w języku ruskim, tylko przysłowie zacytowane po polsku.

List ten rozwścieklił Koczubiejową, odtąd przysięgła zgubić hetmana, i zaraz męża zaczęła nastrajać do denuncyonowania Mazepy o stosunki z Polakami.

Ale Koczubiej nie wiedział nic pozytywnego, słyszał że ludzie mówią o związku hetmana ze Szwedami, że hetman ma się żenić z księżną Dolską wówczas 58letnią matroną, co się prawdopodobném nie zdawało, do tego Piotr był uprzedzony do Koczubieja za jego zachowanie się w r. 1691 i 92, donos więc nietylko nie znalazł wiary, ale jeszcze rozgniewał cara, że w tak krytycznéj chwili, wobec najścia na Rosyę Szwedów jątrzy niepotrzebnie umysły, daje powód do zamieszek na Ukrainie. Gołowkin i Szafirow wzmocnili Piotra w przekonaniu, że to intryga, zasługująca na przykładne ukaranie, raz, aby hetmanowi dać dowód zaufania, którego pomocy teraz więcéj niż kiedykolwiek potrzebowano, powtóre, aby innych odstraszyć od agitacyj mogących zaburzyć pokój publiczny.

Koczubiej do téj sprawy przybrał sobie wspólników: Iskrę, Osipowa byłych pułkowników i popa Świtajłę, swego spowiednika. Pierwszy donos zrobili za pośrednictwem niejakiego Jacenka przechrzty z połtawskiego pułku, tego wprost posłali do Moskwy. Przypuszczając jednakowoż, że człowiek taki podrzędny nie znajdzie przystępu do znakomitych osób, a tém mniéj do cara, polecili Osipowi uwiadomić o wszystkiém Golicyna, carskiego wojewodę w Kijowie z prośbą, aby list jak najprędzéj przesłał gdzie należy. Dowiedziawszy się o tém Mazepa, wyprawił natychmiast pułkownika Skoropadzkiego do Moskwy z pismem, w którém zaręczając za swoją wierność uprasza, aby oszczerców przysłano mu do Kijowa, gdzie śledz-

two z nimi dokończy. Car odprawił Skoropadzkiego z listem do Mazepy, w którym go uspokaja, aby z takich intryg nic sobie nie robił i gdzie zapewnia go o niezmiennéj łasce swojéj. Mazepa na list ten odpowiedział: W smutku moim wielka to radość dla mnie własnoręczne pismo W. Carskiéj Mości, z którego przekonywam się, że W. C. Weliczestwo tym kłamstwom i potwarzy nie wierzy. Do stóp się ścielę i z miłością je całuję za taki dowód zaufania okazanego swemu wiernemu poddanemu. Pokorne jeszcze raz składam dzięki wraz z zapewnieniem mojéj niezmiennéj wierności, którą do końca życia chociaż krótkiego bez zmazy dochować pragnę. Golicyn i Szafirow z swojéj strony uspakajali hetmana zaręczając mu, że śledztwo zakończy się na jego pożytek i chwałę.

Ponieważ car wyjechał do głównéj kwatery, która była wtenczas w Witebsku, tam pod strażą kazano przystawić donosicieli. Konwoj ten z początku ich nie dziwił, gdyż im powiedziano, że to robią dla własnego ich bezpieczeństwa z obawy, aby Mazepa w drodze na nich nie napadł i ich nie zabrał. Ułuda ta niedługo jednak trwała.

Powołani przed komisyę powtórzyli swoje zeznania, między innemi, że Mazepa w czasie pobytu cara w Baturynie dał rozkaz serdiukom zamordowania go wraz z całą świtą. W Misku r. 1707 chwalił się przedemną Mazepa — mówił Koczubiej — że księżna Dolska obiecała mu wyrobić u króla Stanisława księstwo Czernichowskie, a dla Kozaków różne swobody; zostaje ona dotąd z nim w ścisłéj przyjaźni, niedawno przysłała mu bogate łoże i muzykantów, którzy dotąd bawią w Baturynie; inne zeznania opiewały: kiedy August II w latach 1703 i 1704 starał się o przyjaźń szwedzką, Mazepa był bardzo z tego kontent; odwodził mnie od zaślubienia córki z Czujkiewiczem mówiąc: jak będziemy z Polakami, znajdzie się dla niéj ktoś lepszy, jaki szlachcic polski; 10 czerwca, gdy hetman wstąpił do mnie i przyjął posiłek, my pijąc jego zdrowie życzyli mu szczęścia: Co mnie za szczęście, odpowiedział, nie mieć chwili spokojności, ale jak wół oczekiwać obucha. Wszystkich punktów oskarzenia było 26. Gdy zaczęto pojedynczo te skargi rozbierać i każdego z nich osobno badać, w odpowiedziach się krzyżowali, jeden zasłaniał się drugim, że to od niego słyszał, źródła żaden nie umiał poddać. Koczubiej wzięty na torturę

tj. pod knut, zaparł się, aby wiedział co o zamyśle hetmana zamordowania cara lecz że mu to Iskra powiedział, ten znowu powoływał się na świadectwo Koczubiejowéj, iż to w jéj przytomności od niego słyszał. Zawezwani pisarze i słudzy Koczubieja, którzy wraz z nimi do Witebska zostali przywiezieni, zeznali, iż po raz pierwszy w drodze od Koczubieja się dowiedzieli o tém wszystkiém, w domu zaś niczego podobnego nie słyszeli. Knutowany Iskra wszystko zwalił na Koczubieja: jego to złość zgubiła mnie, niejednokrotnie prosiłem go, aby zaniechał téj fałszywéj skargi, wołał za każdém uderzeniem. Poczem Koczubiejowi dano jeszcze powtórnie pięć razy knutem. Ostatecznie obydwóch skazano na śmierć, a wyrok miał być spełniony w obliczu całego wojska ukraińskiego. Wysłano ich więc do Mazepy pod Białącerkiew gdzie stał obozem, i tam w Borszczejówce 14 lipca spadły głowy Koczubieja i Iskry pod toporem kata.

Tak uniknął znowu największego niebezpieczeństwa, jakie mu groziło w czasie jego hetmaństwa. W jakim stanie umysłu przez cały ten czas procesu się znajdował, każdy łatwo domyślić się może.

Teraz już przedsięwzięcia na długo odkładać nie było można, car wprawdzie poświęcił Koczubieja i Iskrę, na Ukrainie zaprowadził jednak rozliczne środki ostrożności, które hetmana śmiertelną trwogą nabawiały. To téż w grudniu 1708 pisał znowu do króla Stanisława, aby kampanią przyspieszyć. List ten w całości załączamy:

Najjaśniejszy Miłościwy Królu Panie móy miłościwy! Już to powtórny list *cum expressione* poddańskiéj mojéj subjectiéj do Waszéj Królewskiéj Mości adresuję, wątpiąc jeźli mógł pierwszy *in hoc turbido rerum statu suum adire Corinthum.* A jakom wtamtym *effuso corde et publico* całéj Ukrainy *voto*, pokornie prosił Waszéj Kr. Mości, abyś *ad salvandum haereditatem suam*, *victricem* raczył *movere manum*, tak y teraz *geminale prece* toż samo powtarzam, y *expectans expecto* szczęśliwego y prędkiego Waszéj Kr. Mości przybycia, żebyśmy mogli *unitis armis et animis* nieprzyjacielskiéj moskiewskiéj imprezy *in herba sopire draconem*, teraz najbardziéj, kiedy Moskwa zaczęła hramotami swemi prosty fomentować naród, y *civile* wyrabiać *bellum*, i lubo go jeszcze żadnéj nie mamy apparencyi, jednak te iskierki *suppositas cineri doloso*,

zawczasuby trzeba gasić, żeby ztąd *in publicum damnum* jakowe nie wybuchnęły *incendia*, dla czego *tanquam Patres in Lymbo* oczekiwamy przyjścia W. Kr. Mości, jako Salvatora naszego, y suplikując o to pokornie całuję *mille basiis* waleczną Jego rękę. Waszéj Królewskiéj Mości Pana mego mlto wierny poddany y sługa nayniższy Jan Mazepa hetman.

Stanisław zakomunikował list Mazepy Karolowi a ten kazał oświadczyć hetmanowi, iż go sam o najstósowniejszym czasie do działania uwiadomi. Ten najstósowniejszy czas jednak już minął. Był to rok 1707, gdzie Mazepa wszystkie przygotowania porobił, pozawiązywał stosunki z dońskimi Kozakami, z Astrachanem i z Tatarami; ci ostatni wysłali nawet poselstwo do Warszawy pod pozorem złożenia powinszowania królowi Stanisławowi, w istocie zaś dla porozumienia się z Szwedami. Nawet Porta pragnąc odebrać Azów, godziła się na przymierze szwedzkie. W roku 1708 stosunki się zmieniły. Wielki wezyr nieprzyjaciel Moskwy popadł w niełaskę, a jego następcy zakazał Padiszach wchodzić w stósunki z Karolem, w Astrachanie i na Donie wybuchły powstania, które będąc odosobnione, a nie jak było w planie jednocześnie działające, zostały z łatwością przytłumione. Siły Piotra, które miały być rozerwane na wszystkie strony, tym sposobem pozostały skupione w jedném miejscu.

Wciągu saméj kampanii moskiewskiéj, którą Karol rozpoczął na początku roku 1708 zaszły takie wypadki, które nareszcie i umysły Kozaków ukraińskich, chociażby ci nawet najbardziéj sprzyjali byli pierwéj Szwedom, musiały w zapale ostudzić a nawet roztropność nakazywała tym, co bez niebezpieczeństwa dla siebie mogą pozostać pod rządem carskim, od wszelkiego udziału w przygotowanym buncie się odsunąć. Karol zwycięzko wprawdzie przeszedł całą Litwę, zdobył Grodno na Moskalach, pod Hołowczynem pobił Szemeretowa i Menszczykowa, pod Malatyczami świetną stoczył walkę z carem samym, lecz na tém skończyły się wszystkie korzyści.

Plan jaki sobie wytknął pod Mścisławiem nie udał się wcale. Polegał on na tém, że wysłał jenerała Lybeker na zdobycie Petersburga, który z tamtąd miał ciągnąć do Moskwy, dokąd przez Ukrainę zamierzył dotrzyć Karol, połączywszy się z Ma-

zepą, jenerała Löwenhaupta zaś jednego z swoich najdzielniejszych dowódzców, którego jednak nie lubił, wysłał do Rygi aby tam zabrawszy rozstrzelone siły szwedzkie i zaopatrzywszy się w żywność, według potrzeby podał rękę Lybekerowi lub Karolowi. Wyprawa Lybekera zrobiła zupełne fiasko, nasadzeni ajenci moskiewscy w mówili w niego, że następują na niego przeważne siły moskiewskie, czém zastraszony na statkach ratował się spieszną ucieczką ku brzegom szwedzkim. Lowenhaupt nie był szczęśliwszy. Król posłał mu rozkaz, aby 26 maja ruszył w pochód ku Berezynie, gdzie nowe zastanie rozporządzenia. Rozkaz doszedł go dopiero 8go czerwca, a że przygotowania nie były jeszcze pokończone, zaledwie pod koniec miesiąca zdołał woli króla swego zadosyć uczynić. Karol do 14go września czekał go pod Mścisławiem, naglony jednak przez Mazepę do spiesznego udania się na Ukrainę, gdyż mu już na seryo niebezpieczeństwo zagrażało, ruszył ku Starodubowi, uwiadamiając gońcem Lewenhaupta, gdzie go ma szukać. I tu niepojętym sposobem rozkaz mu w trzy dni późniéj doręczono, właśnie kiedy myślał, że tylko o kilka mil jest od króla oddalony. Natychmiast przeprawił się pod Szkłowem przez Dniepr i szedł we wskazanym mu kierunku. Piotr uwiadomiony o tém, ruszył na spotkanie Löwenhaupta. Już 27 września przyszło do starcia, Piotr stracił 1500 ludzi, a Löwenhaupt mógł daléj pochód swój odbywać. Car ściągnąwszy nowe posiłki, zastąpił mu powtórnie drogę pod Lisną nad rzéką Sozą. 29go przyszło do bitwy; mimo że siły moskiewskie były w trójnasób większe a do tego w ciągu dnia przyprowadził jenerał Bauer cztery tysiące świeżego wojska carowi, szwedzki jenerał do nocy utrzymał się na polu bitwy. Car w nocy znowu 15 tysięcy ludzi sciągnął do siebie, nie pozostało Szwedom nic innego do zrobienia jak forsownemi marszami się ratować. Aby pochód ułatwić, musiał Löwenhaupt bagaże i żywność poniszczyć, udało mu się przecie z 6 tysiącami ludzi przedrzyć do Karola z którym połączył się 11go października.

Położenie króla było do niepozazdroszczenia, ogołocony ze wszystkiego, w Löwenhaupcie pokładał całą nadzieję, on zgłodzone wojsko królewskie miał odżywić i ducha w nim podnieść. Wiadomości te nie mogły korzystnie wpłynąć na umysły kozackie; zamiast

króla, była przed nimi garsztka Szwedów zbiedzonych i źle odzianych, tuż opodal stał zwycięzki car rozporządzający prawie 100 tysięczną armią. Było się więc nad czém zastanowić. Mazepa także ze swojéj strony, aby jak najdłużéj ukryć swoje zamiary, mimowolnie przyczyniał się do depresyi umysłów, a nawet wzniecał nienawiść Kozaków do Szwedów, z którymi miał się wkrótce połączyć. Dla pokazania swojéj gorliwości i wierności do cara, kazał we wszystkich cerkwiach odprawiać solenne nabożeństwa za pomyślność oręża moskiewskiego. Uniwersałami wzywał ludność, aby majątek swój zakopywała w ziemię lub chowała po fortecach, gdyż inaczéj wpadłby w ręce Szwedów, których wśród takich okoliczności nazywać musi rozbójnikami. Przezorność ta posunięta była za daleko i musiała tych, którzy nie byli wtajemniczeni w działanie hetmana, oburzyć przeciwko Szwedom. Po bitwie nad Sozą przesłał nawet carowi list z powinszowaniem zwycięztwa, który to list wpadł w ręce Karola, tak iż ten zaczął powątpiewać w dobrą wiarę Mazepy, a nim nastąpiło wyjaśnienie, stracono znowu kilka dni drogiego czasu.

Przez cały ten czas nieodstępował hetman od swego Baturyna który wzmocnił, zaopatrzył w żywność i swemi serdjukami obsadził, nadając dowództwo wiernemu swemu przyjacielowi Czeczelowi. Daremnie wzywał go Piotr do pospiesznego działania, Mazepa udawał chorobę, całemi dniami leżał w łóżku obwinięty maściami, na nogach utrzymać się nie mógł. Aby zaś przeszkodzić wyborowi nakaźnego hetmana, lub rozdrobnieniu sił, przez oddanych sobie ludzi urządził zbiegowisko pod swemi oknami, gdzie Kozacy wykrzykiwali iż w dalekie strony nie pójdą, zwłaszcza że niebezpieczeństwo własnym ich domom zagraża.

Lecz i ten fortel nie wyszedł Mazepie na dobre. Car bojąc się niesforności Kozaków działających w kupie, właśnie postanowił ich rozdzielić. Trzy tysiące Kozaków powołał do swego boku, trzy przydzielił do korpusu Szemeretiewa, a dziesięć tysięcy kazał posłać w pomoc Sieniawskiemu.

Ten ostatni jeszcze na początku wiosny r. 1708 usilnie domagał się posiłków, a nawet oskarżał Mazepę przed carem o brak pospiechu i zbytnie folgowanie swoim ludziom. Mazepa tłómaczył się jak mógł Sieniawskiemu, zawsze zarzucając go

komplementami, to znowu aby go poróżnić z carem uniewinniał się brakiem rozkazu carskiego. „U mnie, pisze mu z Chwastowa, w kwietniu *sic volo, tollitur*, kiedy to*tus quidquid sum pendeo a nutibus* najjaśniejszego mego pryncypała I. C. W.“ W tymże miesiącu, w drugim liście datowanym z Białocerkwi, dokąd przeniósł wszystkie swoje kosztowności przygotowyjąc się na wszystko, pisze mu: Nieprzyjaciel grozi Rosyi, nie można sił rozrywać, trzeba bronić własnego domu. A mając do niego żal za nieuznanie króla Stanisława i podtrzymywanie wojny domowéj w Polsce, czém siły przyszłych jego sprzymierzeńców były paraliżowane, daje mu pod formą nowin z Kaukazu bardzo stósowną polityczną naukę: „Powstanie na Kaukazie już uśmierzone. Tak to u pogan zawsze nie długo trwa wewnętrzna wojna, znać z doświadczenia wiedzą, że wojna bratnia jest najgorsza i najhaniebniejsza, a czém dłużéj trwa tém większe na ojczyznę sprowadza klęski.“ Niestety, ani Sieniawskiego od bratobójczéj walki nie odwiódł, ani rozerwaniu sił kozackich nie zapobiegł:

Lecz wróćmy do głównego dramatu, który teraz już szybko miał się rozwijać i zakończyć.

Zostawiliśmy króla Karola XII. w księstwie siewierskiém, mianowicie na terytoryum pułku starodubowskiego, gdzie komendę miał Skoropadzki, jeszcze roku zeszłego wtajemniczony w zamiary hetmańskie, jak się o tém przekonać można z następującego listu Mazepy pisanego do niego z Dykterówki 30 października 1707 roku: Mój łaskawy przyjacielu, Panie pułkowniku Starodubowski! My hetman oznajmiamy Waszej Miłości, iż widząc Ojczyznę naszą Małorosyjską do ostatniéj zbliżającą się zguby, gdyż potencya moskiewska oddawna nam nieżyczliwa, to co od mnogich lat intrygami i podstępem sobie założyła, teraz przy upadku ostatnich naszych praw i wolności postanowiła do skutku doprowadzić, albowiem bez żadnego z nami porozumienia się grody małoruskie pod swoje władzę zagarnia, a powyganiawszy z nich ludzi naszych, porabowanych i zniszczonych, swemi wojskami obsadza; niechaj by to czyniła w pułku Starodubowskim, Czernigowskim i Nieżynskim, gdzie wrodzona jéj chytrość i kłamliwość, może przynajmniéj zasłonić się przyczyną, że czyni to dla obrony od

nadchodzących Szwedów, ale dla czego posuwa się do dalszych grodów aż ku Półtawie, dokąd wojska szwedzkie nigdy wtargnąć nie zamyślały, a przecież i tam odkomenderowano już wojska z Białogrodu; bezwątpienia chciałaby Moskwa z innymi grodami tak samo postąpić, gdyby gorliwe przywiązanie nasze ku Ojczyznie tym zgubnym jéj planom nie zapobiegło. Nie tylko dobrzy przyjaciele o niebezpieczeństwie nas ostrzegają, lecz i sami mamy jasne dowody i przekonani jestesmy, że nas hetmana, jeneralną starszyznę, pułkowników i cały wojska zaporożskiego zarząd pragnie zwykłemi swemi fortelami w żelazną swą ująć rękę, w tyrańską zaprządz niewolę, imie wojska zaporożkiego zniszczyć, Kozaków w dragonię i sołdaty zamienić, naród zaś małoruski oddać na pastwę Moskalom. Gdyby nam Bóg nie pozwolił wydobyć się z jéj tyrańskich rąk, to nieomylnie zamiar swój przyprowadzi do skutku; nie dla czego bowiem innego Aleksander Menszczykow i kniaź Dymitry Michajłowicz Golicyn z wojskami swemi do nas przybyli, nie dla czego innego wabili do obozu swego najprzód wojsko, potém starszyznę, tylko żeby nas mogli zabrać w ciężką niewolę, a może od czego niechaj nas Bóg obroni i na straszne męki. Widząc oprócz tego, że potencya moskiewska jest bezsilna i niewojenna, zawdzięczająca tylko ustawicznéj ucieczce przed przeważną bronią szwedzką swój dotychczasowy ratunek, że nas nie broni od nadchodzących wojsk szwedzkich, lecz ogniem, rabunkiem i nielitościwém morderstwem zabiera nasze grody, udaliśmy się za porozumieniem z panami jeneralnymi osobami, pułkownikami i starszyzny wojska Zaporożskiego pod najjaśniejszą protekcyę Jego królewskiéj Mości króla szwedzkiego. Mamy nadzieję w Bogu wszechmogącym jedynym opiekunie skrzywdzonych, który tylko prawdę miłuje a kłamstwa nienawidzi, że Jego królewska Mość szczęśliwym swoim i dotąd niezwyciężonym orężem obroni Ojczyznę naszą małoruską i wojsko zaporozkie od tego moskiewskiego tyrańskiego jarzma, odjęte nam prawa i wolności nie tylko przywróci, lecz z własnego popędu ku wiecznéj sławie wojska zaporozkiego takowe pomnoży i rozszerzy, w czém nas królewskiém swojém niezmiennćm słowem i pisemną asekuracyą upewnił i utwierdził: zaczém i Wasza Miłość jako jesteś prawdziwy syn téj ojczyzny, któréj zapewne nie życzysz ostatniéj zagłady,

zniszczenia i ruiny, łącz się z nami do wspólnéj obrony, staraj się według rozumu od Boga ci danego wszystkiemi sposobami wojsko moskiewskie w Starodubiu znieść, w czém porozumieć się możesz z panami pułkownikami peréjesławskimi i niżyńskim. Bądź Wasza Miłość przekonanym, że potencya moskiewska nie może Wam, ani Starodubowi być groźną, a wkrótce orężem Jego królewskiéj mości, króla szwedzkiego, zagnaną zostanie w swe naturalne granice. Jeżeliby zaś Wasza Miłość do zgniecenia tego garnizonu moskiewskiego w Starodubiu tyle siły i sposobów nie miał, radzimy Waszej miłości cofnąć się ku nam do Baturyna z całym pułkiem, by nie popaść w ręce moskiewskie.

Tego po Waszej Miłości najusilniéj żądam i w imię miłości i gorliwości ku Ojczyznie przykazuję. Życzę Wam od Pana Boga dobrego zdrowia. Jan Mazepa hetman i kawaler.

Od tamtego czasu postać rzeczy się zmieniła. Zamiast zwycięzców, stali Szwedzi prawie już zwyciężeni niedaleko Staroduba, gdzie hetman znaczne przygotował prowianty. Skoropadzki z początku bardzo życzliwy Szwedom ale człowiek bez energii i charakteru, zaczął się wahać. A kiedy hetman 15go września roku 1708 przesłał mu rozkaz wpuszczenia do miasta, tego, kto pierwéj przyjdzie, strach ogarnął go wielki. Chcąc zabezpieczyć się od wszelkich następstw, wysłał do jenerała moskiewskiego Ifflanta, kuriera z prośbą o posiłki, gdyż Szwedzi lada dzień mogą Starodub atakować, a siły jego nie są odpowiednie. O zdradzie i rozkazie Mazepy nie wspomniał ani słówka. Była to więc ta sama polityka na dwie ręce, jakiéj używał Mazepa, a która w Skoropadzkim nieodrodnym Rusinie gotowego zaraz znalazła zwolennika, bowiem ta polityka była w krwi ruskiéj. Tymczasem już 16go wysłał Karol ulubieńca swego jenerała Lagercrona z mocnym oddziałem pod Starodub, dając mu rozkaz, aby natychmiast za przybyciem swojém wezwał miasto do poddania się. Lagercrona przybył na miejsce przeznaczenia 20 t. m. zamiast jednakowoż działać wedle rozkazu, czekał aż go sam komendant do wejścia zaprosi.

Ponieważ przybył już pod wieczór, spokojnie na noc rozłożył się pod miastem. Nad ranem drugiego dnia nadciągnął Ifflant i przeciwną stroną wszedł do miasta. Skoropadzki li-

teralnie wypełnił rozkazy hetmana, wpuścił tego, kto pierwszy się zgłosił; Lagercrona odszedł nic nie wskórawszy, a nie ma wątpienia, żeby mu był komendant kozacki bramy otworzył, gdyby był natychmiast tego zażądał. Ta nieporadność Lagercrony była fatalną, Szwedzi znowu pozbawieni byli prowiantów, a Mazepa zamiast oczekiwać Szwedów pod Baturynem, musiał sam zbliżyć się do nich.

Miał pod ręką 5000 ludzi, z tymi ruszył w okręg starodubowski; znaczna część starszyzny i cała czerń była przekonana, że ich prowadzi na Szweda. Dopiéro w obliczu obozu szwedzkiego odkrył wojsku swój zamiar i w porywającéj mowie przyczyny swego postępowania wyłożył: Car, mówił — przygotował nam kajdany. Od dawna już przemyśliwa o zniesieniu nas i Zaporoża. Uprzedźmy zamach jaki nam gotuje, aby kiedyś dzieci nasze nie narzekały, żeśmy swobód odwiecznych bronić nie umieli. Szwedzi przyjmują nas w swoją opiekę, sam Bóg ich zsyła dla obrony naszéj. Ja stary i bezdzietny nie mogę w tym szukać własnéj korzyści *). Wicie jak car przyjął nasze zażalenia, na posłańca całego narodu podniósł rękę, w nim ukrzywdził was wszystkich. Od tyrana i okrutnika, czy możecie się czegoś dobrego spodziewać? osądźcie sami!

Słowa te były przyjęte jednomyślną aklamacyą, ale wnet duch niezgody i partyi opanował umysły, szczupłość sił szwedzkich potrwożyła serca, obecność Mеńszczykowa w obrębie Ukrainy, paraliżowała ruchy pułków, w których stały garnizony moskiewskie. Powstanie takim sposobem zamiast być ogólném, stało się częściowe, co ducha nie mogło podnieść, ale przeciwnie przytłumić musiało.

Piotr Wielki dowiedziawszy się o zdradzie, robił ze swojéj strony wszystko, coby mogło ohydzić imię Mazepy. Ogłosił że wszystkie podatki są ustanowione przez hetmana bez jego wiedzy. Kazał uroczyście wyklinać Mazepę po cerkwiach, co na nieoświecone a fanatyczne umysły ogromne wywarło wrażenie. Dla większego oburzenia pospólstwa opowiadano, że het-

---

*) Mazepa jeszcze jako asawuła za Samujlowicza ożenił się z bogatą wdową. Żona umarła mu w r. 1702. Jedyna córka jaka była z tego małżeństwa umarła przed matką.

man ze Szwedami plwał i kopał obraz Najświętszéj Panny, i że tenże jęk wydał i łzami się zalał.

Wszystko jeszcze nie było stracone, gdyby Szwedzi byli szczęśliwymi w polu; jedna zwycięzka bitwa sprowadziłaby była Kozaków wszystkich do obozu szwedzkiego, jednych z przekonania, drugich dla nowości, lecz wszystko zaczęło zły brać obrót.

Jak tylko Meńszczykow dowiedział się o zdradzie Mazepy zaraz pospieszył w 25 tysięcy ludzi na zdobycie Baturyna gdzie znajdowała się cała artylerya kozacka, — czterdzieści armat, — wielki zapas amunicyi i żywności, artykuły, na których własne Szwedom zbywało. Operacye wojenne przeciwko Butyrynowi rozpoczęły się 31 Października a 3 Listopada stolica hetmańska była już w ręku Moskali. Mazepa nie spodziewał się takiego gromu, załoga miasta wynosiła do 5 tysięcy wyborowych ludzi, dowódzcy ich Czeczel i Königseck szlachcic niemiecki w służbie hetmańskiéj byli ludzie odważni i hetmanowi oddani, z pewnością więc na długi bardzo opór liczyć można było. Zresztą jeszcze 2 Listopada Mazepa wraz z królem ruszył z pod Horek na odsiecz stolicy; załoga wiedziała o tém, co także na podniesienie jéj męztwa wpłynąć musiało. Meńszczykow ze swojéj strony znowu postanowił bądź co bądź Butyryn zdobyć przed przybyciem Szwedów, gdyż od tego prawie cała przyszła kampania zależała, nie dla strategicznego położenia miejscowości, ale dla środków jakieby tam Szwedzi znaleźli do prowadzenia wojny. Wysilenia téż z jednéj i drugiéj strony były wielkie. Kilka szturmów załoga odparła, lecz fortyfikacye okazały się słabe, resztę dokonała zdrada. Pułkownik Nos trzymany w więzieniu za liczne przekroczenia zdołał znieść się z Moskalami i przesłać im objaśnienia co do rozpołożenia sił kozackich i najsłabszych punktów fortecy. Wódz moskiewski potrafił zużytkować te skazówki i po kilkugodzinnéj krwawéj walce, stał się panem miasta. 3 tysiące Kozaków zginęło, Czeczel i Königseck dostali się do niewoli. Zwycięzca miasto spalił, mieszkańców wyrznął, jeńców tracono wśród najwyszukańszych mąk. Jednych przybijano gwoździami do desek i puszczano na wodę, drugich łamano kołem, wbijano na pal, odrzynano ręce i nogi. Gdy 12 Listopada nadciągnął Mazepa, tylko niedopalone zastał zgliszcza. Artylerya cała przepadła.

W miarę tych nieszczęść liczba wiernych Kozaków Mazepie zaczęła się zmniejszać, starszyzna która z nim do obozu szwedzkiego przybyła, zaczęła przemyśliwać o pojednaniu się z carem. Piotr 5go Listopada wydał z Głuchowa odezwę do ludu małoruskiego, w któréj wszystkie dawne prawa i przywileje jego zatwierdza; oprócz tego wzywa go do obioru nowego hetmana, a to żeby zadać kłam wieściom rozpowszechnianym przez Mazepę, iż car zamyśla znieść kozaczyznę. 7 tegoż miesiąca wybrany został następcą Mazepy Iwan Skoropadzki.

Nazajutrz po wyborze dokonanym w Głuchowie, zgromadzeni tamże duchowni i świeccy dygnitarze odbyli sąd na Mazepę. Najsamprzód metropolita w asystencyi biskupów czernichowskiego i perejeslawskiego wyklął go uroczyście w przytomności zgromadzonego licznie narodu, potém przyprowadzono bałwana mającego przedstawiać Mazepę, kanclerz Gołowkin stanąwszy tuż obok niego odczytał oba dyploma carskie, t. j. na hetmaństwo i nadanie orderu Aleksandra Newskiego, takowe rozdarł, — poczém zdjął z niego wielką wstęgę orderu i deptał nogami, w końcu przystąpił do bałwana kat, zarzucił mu powróz na szyję, ciągnąc go przez błoto do stojącéj opodal szubienicy, na któréj go powiesił. Zdawać się powinno, że do przyciągnięcia i przerażenia Kozaków — więcéj nie było potrzeba, car jednakowoż na tém nie poprzestał — pismem datowanym także z Głuchowa obiecał każdemu kozakowi co opuści Mazepę 10 rubli, starszyznie wyznaczono nagrody stósownie do stopnia. Korzystali z tego pułkownicy: Gałagan, Gamaleja, Kandyba — nieco późniéj Sulima i Daniel Apostoł. Dla Kozaków siczowych posłał car 60 tysięcy złotych polskich, a więcéj jeszcze przyobiecał. Ówczesny koszowy Konstanty Horodyński pieniądze przyjął, ale do żadnych robót przeciwko Mazepie wciągnąć się nie dał, obiecał wprawdzie zachować neutralność w wojnie z Szwedami, lecz już 19 Marca 1709 r. połączył się z Mazepą przeciwko Moskwie. 8 — 12 tysięcy mołojców przyprowadzonych do obozu szwedzkiego w chwili bardzo krytycznéj — oto jedyny fakt jasny w historyi przymierza Mazepy z Karolem. Wojenne działania nigdzie nie dopisały. W Grudniu utracił Mazepa Białocerkiew wziętą przez Golicyna, przyczém

skarby hetmańskie, które sam hetman cenił na 2 miliony złotych dostały się w ręce zwyciężców.

Ostra nadzwyczajnie zima przyczyniła się także wiele do zniszczenia armii szwedzkiéj. Karol w zimie zajął Hadziacz i Wespryk. Pierwszy bez oporu wprawdzie, kosztował go jednak do 1000 ludzi zmarzłych na śmierć lub dotkniętych nieuleczonym kalectwem, drugi, kapitulacyą po odpartych dwóch nieszczęśliwych szturmach pozbawił Szwedów do trzy tysięcy ludzi. Na wiosnę r. 1709 cała armia Karola XII liczyła 18 tysięcy Szwedów i 8 — 10 tysięcy Kozaków. Niektórzy jenerałowie radzili Karolowi Ukrainę opuścić, cofnąć się do Polski, tam połączyć się z wojskami króla Stanisława i generała Krassau i dopiero wojnę rozpocząć z Moskwą w okolicach Inflant i Finlandyi. Karol, który każdy marsz w tył uważał za ucieczkę, nic o podobnych planach słuchać nie chciał. Więcéj do jego przekonania przemawiał projekt dalszéj wojny zaczepnéj. Postanowiono więc uderzyć na Połtawę, któréj zdobycie obiecywało Karolowi otrzymanie ztamtąd żywności i amunicyi. Téj ostatniéj był brak wielki, a nawet zapas jaki się znajdował, był w bardzo złym stanie, i prawie do nieużycia. Mazepa, który zawiązał był z komendantem fortecy niejakim Hercykiem stosunki, radził opanować miasto przez nagły napad. I na to duma Karola zdecydować się nie mogła, on chciał zawdzięczać wzięcie miasta swojéj i wojska brawurze. Oblężenie rozpoczęto 1 Maja. Załoga moskiewska wynosiła prawie tyle ile cała armia szwedzka, a tu zaraz za Worsklą w obliczu Połtawy zgromadził Piotr 80 tysięcy wojska ze 150 armatami. W wojsku szwedzkiém nie było tylko 4 armaty, do tego proch, który kilka razy zamakał i był suszony stracił dawną swoją działalność, ledwie na bardzo blizką przestrzeń strzały skutkowały.

Do 16 Czerwca oblężenie na krok nie postąpiło daléj. Loewenhaupt od bitwy nad Sozą zostający w niełasce radził oblężenie zwinąć, a wszystkiemi siłami w otwartém polu spróbować się z Moskalami. „Jeżeli bitwę wygramy, mówił miasto samo nam się podda; zostaniemy zwyciężeni, miasto nawet zdobyte na nic nam się nie przyda“. Karol przyznawał słuszność téj radzie, ale od oblężenia odstąpić nie chciał. Ponieważ stoczenie bitwy uznawali wszyscy za konieczne, musiano małe

siły szwedzkie jeszcze bardziéj rozdrobnić, dzieląc ją na dwie części, z których jedna miała kończyć dzieło oblężnicze, a druga być użytą przeciwko Piotrowi.

Car chociaż z wielką obawą, gotował się przecie także do stanowczéj bitwy. 18 Czerwca przerzucił swoje siły na tę stronę Worskli nie bez znacznéj straty w ludziach. Karol sam bronił przeprawy, przyczém dostał postrzał w nogę. 27 obie strony stały w szyku wojennym przed sobą. Karol ranny oddał najwyższą komendę marszałkowi Rehnskjöldowi, car sam dowodził osobiście. 28 rozpoczęła się bitwa. Z początku szczęście sprzyjało Szwedom; na lewém skrzydle Spaare odparł Moskali, wziął kilka szańców i załogę wyciął. Zdekoncertowany Piotr myślał już o odwrocie. Nieszczęściem Piper widząc zamieszanie w szeregach moskiewskich sprawione natarciem Spaarego poradził Karolowi wysłać całą kawaleryę Kreutza na ich zniszczenie, Kreutz za nadto daleko się zaawaruntował i nie mógł być użyty w najbliższéj chwili, kiedy Roos na prawém skrzydle został przełamany, i potrzeba mu było posłać posiłki. W centrum jenerał Loewenhaupt także znaczne odniósł korzyści nad nieprzyjacielem. Już gotował się tutaj do ataku na bagnety, gdy nagle przysłał mu Karol rozkaz wstrzymania się na chwilę. To dodało Moskalom odwagi. Przyczyną rozkazu było nowe niepowodzenie Roos'a. Centrum i lewe skrzydło za nadto się wysunęły naprzód, co groziło Roosowi zupełném odcięciem. Rehnskjöld rozkazami króla bałamucony sam nie wiedział jak daléj działać; stracono do dwie godziny czasu. Nareszcie polecił król Loewenhauptowi odwrócić się frontem do obozu moskiewskiego. Rehneskjöld rozgniewany podskoczył do Loewenhaupta i krzyknął na niego z gniewem: iż postępuje jak zdrajca króla i ojczyzny, a gdy się dowiedział, że taki jest rozkaz królewski podsunął się do Karola, i z goryczą wyrzucał mu jego postępowanie: Wasza Królewska Mość zawsze tak robi, ja nie mogę tego uczynić co chcę, dałby Bóg, abym ja tu sam mógł rozkazować. Karol w milczeniu burę przyjął, ruchu jednak uczynionego przez Loewenhaupta już naprawić nie można było. Napróżno śmiałém natarciem, spodziewał się zaimponować Moskalom, ogień szwedzki prawie nic im nie szkodził, co ci postrzegłszy z wielką natarczywością, rzucili się na Szwedów. Loewenhaupt, Spaare, Hard, czynili nadludzkie usiłowa-

nia, aby odwagę w swoich ożywić, Karol na noszach kazał się zanieść w największy ogień. Prawie połowa ludzi zginęła, wszyscy wyżsi oficerowie polegli lub byli ranni, z 24 tragarzy przeznaczonych koleją do noszenia króla, 21 znalazło śmierć, sam król o mało nie dostał się do niewoli. Nakazany odwrót uskuteczniono jednak w dosyć dobrym porządku, po czém król skłoniony przez swoich jenerałów, zdał dowództwo na Loewenhaupta, a sam pospieszył ku Dnieprowi szukać schronienia na ziemi tureckiéj, jedynego miejsca odwrotu. Pod Pułtawą zginęło 3000 Szwedów, 2 tysiące dostało się do niewoli, między niemi marszałek Rehnskjöld, 4 jenerałów, 5 pułkowników, 6 podpułkowników, 4 majorów, 30 kapitanów i 56 poruczników. Straty kozackie były także bardzo znaczne.

Z początku spodziewano się pozostałe wojsko przeprowadzić szczęśliwie za Dniepr. Dla przyspieszenia odwrotu, zniszczono bagaże, a piechotę wsadzono na pozostałe konie. Dotarto do Przewołoczy, gdzie spodziewano się znaleźć materjały do przeprawy, car przewidujący wszystko, kazał kilkoma dniami pierwéj spalić materjały. Ostatnia nadzieja znikła, wojsko liczące jeszcze do 9 tysięcy ludzi, musiało się poddać zwycięzcy.

Karol uszedł niewoli, przeprawiwszy się jeszcze zawczasu przez rzekę, co zawdzięczyć miał jedynie radzie Mazepy i obrotności jego Kozaków, do takich wypraw przyzwyczajonych.

Mazepa schorzały podróż na tureckiéj ziemi, odbywać musiał w powozie. Stanąwszy w Benderze, położył się w łóżko, z którego już powstać nie miał. Tyle zawiedzionych nadziei, śmierć najbliższych przyjaciół, strata majątku złamały go zupełnie. 22 Września 1709 oddał Bogu ducha, polecając swego siostrzeńca protekcyi królewskiéj. Pogrzeb odbył się z wielką uroczystością. Przodem szła muzyka wojskowa, za nią jeneralny buńczuczny niósł laskę hetmańską, sadzoną drogiemi kamieniami i perłami. Przy karawanie, do którego zaprzężono 6 białych koni, postępowali buńczukowi towarzysze, okryci stalą, z obnażoną szablą w ręku; za trumną szli oficerowie szwedzcy, starszyzna kozacka, daléj wojsko w szeregu, z bronią spuszczoną na dół na znak żałoby. Od czasu do czasu bito z armat, pożyczonych od Turków, i strzelano z ręcznéj broni.

Uratowane skarby Mazepy — przy śmierci znaleziono jeszcze w gotówce 80 tysięcy dukatów, a przeszło 200.000 talarów

było u króla szwedzkiego, które tenże pożyczył zaraz przy wejściu na ziemię turecką, na utrzymanie swego dworu— zabrał Wojnarowski. Wiele jednak rozkradziono, a najwięcéj w téj nieczystéj sprawie, umaczał ręce jenerał Poniatowski, ojciec króla Stanisława Augusta. Stronnicy Mazepy, którzy mieli nieszczęście dostać się w ręce moskiewskie, zostali wszyscy straceni, cały ród Mazepy stał się ofiarą zemsty carskiéj. Młodego Wojnarowskiego, bawiącego w r. 1716 w Hamburgu kazał car swemu poselstwu porwać, i wysłał go w Sybir, gdzie go widziano jeszcze w r. 1736.

Otwinowski swoje relacye o Mazepie tak kończy: „Był ten Mazepa człowiek godności i przymiotów wielkich, żył w wielkiém szczęściu, będąc u narodu całego *in amore venerativo et adorativo timore*“. Na tych słowach i my naszą pracę zakończymy.

Ludwik Powidaj.

Rzemieślnicy Prezydentami *).

Wobec coraz szerzéj rozsiadającéj się zasady demokratycznéj w Europie, kiedy ją rządy swojemi życzeniami, uczeni swojemi rozumowaniami, pospołu popierają, kiedy wreszcie ci nawet, którzy dawnego stanu rzeczy żałują, zwycięztwo demokracyi uznają, na czasie jest zastanawiać się, nie już nad przyczynami historycznemi tego faktu, ale nad warunkami, przy których forma ta rządu zbawienną dla społeczeństwa być może, aby zrozumieć, po jakich poprzednich przygotowaniach i praktykach udział wszystkich w rządzeniu jest możebny.

Rozbierając szereg myśli i zasad, które się przy tym przedmiocie nasuwają, zastanawiałem się, czy prawda dziś powiedziana może być potrzebną i użyteczną, czy odsądzenie niektórych warstw ludności od prawa stanowienia o pytaniach spółecznych i politycznych nie będzie wzięte za dążność wsteczną i czy to co uważane za warunek, bez którego demokracya jest niedorzecznością, nie będzie miało pozoru negacyi saméjże zasady; jednakże przychodzę do przekonania, że czasy w których

*) Razem z artykułem niniejszym odebrała Redakcya następujące pismo szan. Autora:

„Do P. St. Tarnowskiego.

Zacny Przyjacielu!

Po rozmowie o stosunkach amerykańskich i naszych, namawiałeś mnie, abym myśli wtedy wypowiedziane uporządkował, spisał i podał do pisma, w którém tak żywy i zacny bierzesz udział. Obiecałem trochę lekkomyślnie, nie obrachowawszy się z siłami i z czasem. Zawodu jednak robić nie chcę, i tę zbyt pospiesznie ułożoną pracę, znając jéj niedostatki, przesyłam. Jeżeli ją za godną waszego zbioru osądzisz, dowiedziesz, że jesteś mniéj surowym sędzią niż ja, a może też, że napotkałeś tu i owdzie myśl zdrową i powszechności naszéj pożyteczną. H. W.“

żyjemy, sprowadzają zmiany tak nagłe, że co chwila zachodzą okoliczności, w których wszyscy do czynności wspólnéj są powołani, że w takiéj epoce możemy być niebawem w konieczności radzenia o nas samych, że zewsząd spotykamy się z ludźmi, którzy o wszystkiém wyrokują, a do rządzenia drugimi mienią się być i powołanymi i uzdolnionymi. Przychodzę do przekonania, że dziś już szczerze mówić należy, że każdego obowiązkiem jest, wyświecać choć cząstkowo niektóre strony stanu rzeczy i umysłów, aby nas w razie danym nie zawiodła rzeczywistość, i ażeby to co mamy za siłę, nie stało się naszą słabością, a to co mamy za środek, nie okazało się dopiero celem, do którego nam dążyć wypada.

Sądzę, że więcéj niż gdziekolwiekindziéj prawdy tego rodzaju u nas poważnie i bezstronnie rozbierane być powinny, a to dla tego, że z wyjątkiem kilku znakomitszych indywidualności i z wyjątkiem co nieco niższych urzędników, cały naród od rządzenia w swoim własnym kraju bądź sam się usunął, bądź usuniętym został. Cóż ztąd wynikło? oto, że sztuka rządzenia stała się u nas w ogóle wszystkim zupełnie obcą.

W takim stanie rzeczy przystępniejsi jesteśmy wszystkim teoryom, wszystkim naukom politycznym, wszystkim przykładom. Nie mogąc nabyć tego, co Francuzi nazywają *le maniement des affaires*, to jest wprawy w prowadzeniu interesów rządowych, chwytamy skrzętnie i te teorye, i te nauki, i te przykłady nie rachując się z danemi, wśród których żyjemy. Skutkiem tego znakomite różnych zasad osobistości na szkodę kraju popełniały błędy, bo czy za tym czy za innym szły kierunkiem, spuszczały z oka rzeczywistość, a ztąd mądrze osnowane zostosowując zasady, nic dobrego krajowi nie przysporzyli, przeciwnie oprócz sprowadzonych nieszczęść pogmatwali jeszcze więcéj i tak już niejasne wyobrażenia polityczne.

Powodem do tych uwag było przyjście w ostatnich czasach do najwyższéj władzy w stanach zjednoczonych Ameryki dwóch ludzi: Lincolna i Jonsona, obu rzemieślników. Fakt to dosyć uderzający a mający swoje wzniosłe, równie jak niebezpieczne strony. Wzniosłe, bo dające otuchę co do przyszłości na zasadzie demokratycznéj rozwijających się społeczeństw, niebezpieczne, bo mogące prowadzić do pomięszania

wyobrażeń o tém, co być powinno i o tém co jest, to jest prowadzące do najpłodniejszego w następstwa błędu, jaki społeczeństwo popełnić może; do fałszywego o sobie samym sądu, do zapoznania własnego stanu i własnych warunków bytu i postępu.

W odniesieniu się do stanu rzeczy w Europie, chcemy rozważyć to dziwne zjawisko amerykańskie, które nam przedstawia ludzi zaczynających od rzemiosła, a wstępujących później na najwyższe dostojeństwa w Rzeczypospolitéj i prowadzących sprawy krajowe z zadowolnieniem narodu.

Fakta takie jeżeli się nie zrozumie warunków, pod jakiemi stają się możebnemi a nawet normalnemi, mogą przy drażliwém usposobieniu umysłów przy niedokładnych pojęciach o władzy i sztuce rządzenia, do najfałszywszych doprowadzić wniosków, a zastosowanie ich drobnym ambicyom i niedorosłym umysłom tak pożądane, jest groźbą dla prawdziwego z wolnością połączonego postępu.

Życzyćby należało, aby zasady demokratyczne u nas zdrowo rozumiano, a poznano, pod jakiemi warunkami i w jakim czasie owoce dojrzałe przynieść mogą, w jakim wreszcie stanie rzeczy zastosowanie ich całkowite jest pożądane i możebne.

Chcąc pozostać w granicach zbyt ciasnych dla przedmiotu tak wielkiego, praca ta może być tylko ogólném na stan rzeczy poglądem. Zaczyna się od kilku uwag nad błędami z niewolniczego zastosowania obcych form wynikającemi, następnie daje zarys stosunków w Stanach zjednoczonych, kończy się rozbiorem stosunków w Europie, a mianowicie w naszym kraju.

I.

Dotkliwe chociaż dotąd bezowocne czynił świat już nieraz doświadczenie, jak teorye w sobie dobre, zastosowane bez odpowiednich warunków istnienia, błogich nie wydają owoców;— dotkniemy tylko bliższych nas czasów.

Kiedy porządek polityczny i spółeczny przez kilka wieków istniejący, a przez wszystkie warstwy społeczeństwa i przez same rządy podkopywany zużył się, stał się niewystarczającym i nie odpowiadał nowym stosunkom, szukano nowych form i nowych zasad.

Żeby urządzenie polityczne było dobre, powinno dawać równocześnie i nieprzerwanie wolność, postęp i porządek. Zdania tego dowodzić byłoby zbytecznėm, bo wolność bez porządku jest anarchią, porządek bez wolności jest niewolą, a postęp bez wolności i porządku jest niemożebny, z wolności zaś i porządku postęp jako konieczne następstwo wynika.

Naśladownictwo i zakochanie się w formach zupełnie stanowi społeczeństwa nieodpowiadających, szczególnie uderzą w wielkiéj rewolucyi francuskiéj z końca 18 wieku. Zaczęta w najwznioślejszym celu, pełna szlachetnych zasad i popędów, nacechowana gotowością do poświęceń tego wszystkiego, co było przywilejem dla jednych a krzywdą dla drugich, powołuje do współdziałania te wszystkie żywioły, które po kilkowiekowym despotyzmie zachowały jakieśkolwiek znaczenie i stanowisko. Po wspólnych tych usiłowaniach spodziewać się można było, że nowoczesne zasady nie zrywając całkowicie z tradycyami, przez powolne reformy znajdą swe całkowite z czasem zastosowanie. Spodziewać się można było, że z dawnych instytucyj krajowych wyrobi się porządek polityczny nowym potrzebom i dążnościom odpowiadający. Zawiodły oczekiwania i nadzieje pod wpływem różnorodnych zdarzeń i prądów, rewolucya burzy wszystkie podwaliny dawnego porządku rzeczy, ale nie mając wytkniętego kierunku, ani téż jasno określonego celu, przerzuca się do formy, któréj największym powabem było to, że z dawnym stanem społeczeństwa nic nie miała wspólnego, do formy republikańskiéj. Z właściwą rewolucyi przesadą, która jéj się w pół drogi zatrzymać nie pozwala, szuka pierwowzoru swego aż w starożytności, czerpie natchnienia w rzeczypospolitéj pogańskiéj i tam najpiękniejsze typy do naśladowania znajduje. Zapomina, że nic ze starożytnych republik oprócz nazwisk i słów nie pozostało. Rewolucya się krwią zbroczyła, bez tego byłaby się okryła śmiesznością, naśladując to, co się żadną miarą zastósować nie dało.

Zasługują na szczególną uwagę zdania o rewolucyi francuskiéj tych republikanów amerykańskich, którzy bądź przed samymi wypadkami we Francyi byli, lub téż saméj się już rewolucyi przypatrywali. Sami republikanie i to najznakomitsi z tych, którzy się do urządzenia Rzeczypospolitéj w Ameryce najdzielniéj przyczynili, nie mają żadnéj wiary w przy-

szłość republiki we Francyi, a to dla tego, że nie upatrują ani w żywiołach społeczeństwo ówczesne francuzkie składających, ani w tradycyach, ani w charakterach, podstaw téj formie rządu odpowiednich. Nauczające w tym względzie są szczegóły zawarte w życiu Morrisa. Był on przyjacielem Washingtona, Franklina, Jeffersona i innych znakomitości ówczesnych amerykańskich. Jego mowy i prace w kongresie dzielnie się przyczyniły do dobréj organizacyi federacyi demokratycznéj. Demokrata czynu a nie teoryi, wie on z doświadczenia, jak się ustala wolność. Rewolucya francuska nie miała bezstronniejszego sędziego, a będąc w stosunkach najbliższych ze wszystkiemi znakomitościami rewolucyi francuskiej, widział ludzi i rzeczy zbliska. Z krótkich wyciągów, które o nim daje Ph. Chasles, niektóre dla dziwnéj ich trafności podam. Już zaraz wrażenie, jakie na nim sprawił zapał powszechny, obyczaje dworu, gorączka nierozważna adwokatów, prawników, literatów, było niekorzystne, nie odpowiadało to wszystko powadze, prostocie i surowości republikańskich obyczajów. Nie wahał się też z góry przepowiedzieć nieuchronnego i krwawego upadku rzeczypospolitéj we Francyi. Do Lafayetta powiedział: „Nie słowami wielkiemi robią się rewolucye.“ Nie znajdował też nigdzie owych starożytnych greckich i rzymskich republikanów, których naśladować chciano. Gdzieindziéj pisze: „reformują tu z lekkomyślnością nieporównaną. Wszyscy się do tego mięszają, każdy ma swój plan, każdy przynosi swoją teoryę. Najlichszy skrybant, najdrobniejszy uczeń retoryki, staje się reformatorem. Gdzież jest siła moralna i umysłowa, któraby mogła zbawić Francyę. Trochę energii i lepsze obyczaje więcéjby jéj były użyteczne, niż te wszystkie słowa.“ Głęboka tu leży nauka dla niedojrzałych wielbicieli rewolucyi francuskiéj. Republikanin amerykański wyrzuca jéj brak energii, i słusznie, bo późniéj okrucieństwo, teroryzm, krwawe egzekucye, morderstwa, wygnania i konfiskaty wzięto za energię, i te to środki, które rewolucyę we Francyi zbezcześciły, są jeszcze ideałem karłowatych i miernych reformatorów po całym świecie, a jednak tak tam, jak wszędzie doprowadziły one do despotyzmu i były dowodem słabości i gorączki. „Słaby tylko rzeź wybiera, czy mu imię jest Mariusza czy mu imię Robespiera.“ Morris w zażyłych stosunkach od wojny amerykań-

skiéj z Lafayettem zostający, wyrzucał nieprzestannie temu ostatniemu zapominanie o stanie Francyi i o braku podstawy dla wszystkich jego planów; na słowo Lafayetta: „wiem, że ludzie mojego stronnictwa są szaleni, ale postanowiłem umrzeć z nimi“, odpowiedział Morris: „lepiejbyś zrobił, żebyś ich nawrócił i żył z nimi.“ Innym razem mówił Morris, że u nich wszyscy ludzie są królami, na to Boufflers: „jak pan chcesz, żebym do jednego z tych waszych królów powiedział: Mości królu, zrób mi parę butów? Amerykanin odpowiedziałby, z wielką przyjemnością, jest to moim obowiązkiem i powołaniem robić buty, i życzę szczerze, aby każdy na tym świecie pełnił swoje obowiązki.“

Nauczający jest plan konstytucyi, którą Morris ułożył dla Francyi. Jest tam izba parów dziedziczna, a przy tém wszelka łatwość do wzniesienia się dla zdolności i zasługi. Republikanin ten szanujący tradycye, niecierpiący czystych teoryi, nie podobał się w epoce, w któréj równość spartańska była ideałem i jako podejrzany o niesprzyjanie rewolucyi, musiał Francyę opuścić.

Z naśladownictwa republik starożytnych nic się nie zostało Francyi, tylko dowód, że naśladować bezwzględnie nic się nie da, że się trzeba z danemi rachować, łączyć tradycye z reformami, i doskonalić instytucye jakie się ma, a w miarę rozwijającéj się oświaty, dobrego bytu i moralności, powoływać coraz liczniejsze i coraz niższe warstwy społeczeństwa do udziału w sprawach publicznych.

Po wielkiéj rewolucyi francuskiéj, jedynym krajem, którego ludność używała wszystkich tych dóbr, jakich dobry porządek polityczny użycza, była Anglia. Ztąd wniosek, że aby je wszystkim ludom zapewnić, dosyć będzie wziąść żywcem formy konstytucyi angielskiéj, takowe przenieść i zastosować w Europie. Rzecz zdawała się prostą i łatwą. Zapomniano tylko, że Europa już żadnych warunków, na których się konstytucya angielska opiera, nie posiadała. Zapomniano, że tam jest zamiłowanie tradycyi i uszanowanie dla hierarchicznego uporządkowania społecznego. Zapomniano, że tam jest arystokracya przez cały naród uznana i przyjęta, a zasilająca się i odnawiająca wszystkiém, co tylko się znakomitego w kraju pojawi. Zapomniano, że tam władza i prawo są szanowane nie

dla siły materyalnéj, na jakiéj się opierają, ale z przekonania o ich potrzebie i użyteczności. Zapomniano, że równie w koronie jak i w ludzie są uznane granice, których się w żądaniach nie przekracza.

W Europie nie znaleziono nic z tego wszystkiego. Rządom i ludom zdawało się, że ich zbyt krępują właśnie te formy, w których Anglia swobodę znajdowała. Rządom zdawało się, że przy formach konstytucyjnych porządek jest niemożebny; ludom zaś, że wolność i postęp niepodobne, i do pewnego stopnia, ze względu na przeciwne wyobrażenia o wolności, porządku i postępie, z obu stron była słuszność. Ztąd zatargi i zajścia, wygórowane roszczenia i przesadzone obawy, ztąd rewolucye lub reakcye, anarchia lub despotyzm. Między temi dwoma ostatecznościami oscyluje Europa od pół wieku i do stanu zdrowego, stałego i normalnego przyjść nie może.

Jednę tylko dotąd naukę odniosła z tych wszystkich doświadczeń Europa, to jest, że despotyzm równie jest złym, jak anarchia. Że jednak nie znaleziono jeszcze właściwéj formy rządzenia w Europie wątpliwości nie podlega. Cóż więc robiono? doświadczano, szukano i naśladowano. Potomność kiedyś czytając naszą współczesną historyę, jeżeli ją kto napisać potrafi, dziwić się nie pomału będzie tym wszystkim próbom ustalenia rządów reprezentacyjnych, przez które przechodzimy. Napotka się np. państwo, w którém rządził panujący samowładnie lepiéj lub gorzéj, wedle swojéj indywidualności. Były w tym rządzie pewne tradycye, pewna patryarchalność, któréj nawet nazwa została, kiedy już rzecz minęła. Rządy w tym kraju były sprawowane li tylko przez mianowanych urzędników, żadne mięszanie się do spraw rządowych nie było przypuszczone, rozbiór i krytyka podejrzana. Dla uniknięcia nawet niebezpieczeństwa, aby ludzie przez naukę i oświatę nie przychodzili do zastanawiania się nad wadami panującego systemu, jak najskąpiéj nauki i światła udzielano. Wielki jeden minister tego państwa otwarcie wyznał, że mu nie potrzeba światłych obywateli, ale dobrych i spokojnych poddanych. Naraz wskutku wstrząśnień wewnętrznych, walk zewnętrznych i trudności finansowych; nadchodzi potrzeba zmian. Nie było planu, nie było ludzi, nie było myśli. Wziąść więc system reprezentacyjny w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu,—

nie była to reforma, która rozprzestrzenia coraz więcéj granice prawa wyborczego i przypuszcza coraz większą liczbę obywateli do udziału w sprawach publicznych, w miarę oświaty i zdolności; była to rewolucya, powołująca niemal wszystkich do stanowienia w sprawach właśnie tego państwa, w którém nikt o sprawach nie miał wyobrażenia, już z téj prostéj przyczyny, że się niemi nikomu zajmować nie było wolno. Ludzie o sprawach własnéj gminy nie wiedzący, którym brakowało pierwszych elementów oświaty, zasiedli w radzie; nie radzili wprawdzie ale głosowali; ci to ludzie byli właśnie kandydatami rządu do krzeseł poselskich. Czy kto kiedyś uwierzy, że ludzie poważni, ludzie stanu, siebie i drugich przekonywali, że to jest reprezentacya państwa i że taka reprezentacya państwo z toni wyratuje? Było to czyste naśladownictwo, czcza forma zkądinąd przyniesiona, nie dająca ani siły ani poważania. We Francyi widzimy dwie konstytucye dosyć dobrze z angielskiéj naśladowane, obalone nie przez rewolucye ale przez wzburzenia mniejszych rozmiarów *(émeutes)*, co dowodzi, że konstytucye te podstawy w kraju nie miały. O nowéj formie rządu we Francyi zaprowadzonéj, dziś jeszcze wyrokować nie można. Nie jest ona naśladowaniem to prawda, dotąd jednak widzimy, że jest tylko narzędziem do rządzenia, ale nie środkiem dla narodu rządzenia sobą samym.

Jeżeli atoli konstytucya angielska tak wypróbowana, na stały ląd przeniesiona, zawiodła wszystkie oczekiwania, cóżby wyniknąć musiało z zastosowania amerykańskich urządzeń, które w sobie dobre, ani gruntu ani potrzebnych żywiołów, ani odpowiedniego wychowania i wyobrażeń u nasby nie znalazły.

O Ameryce powiemy to tylko, co jest potrzebne, aby wytłomaczyć, jakim sposobem ludzie się tam sami rządzą, jak z najniższych szczebli wznoszą się do najwyższych urzędów i jakie ku temu mają środki.

II.

Trudno w granicach niniejszego pisma dać obraz instytucyi amerykańskich, a mniéj jeszcze ducha, jaki je ożywia. Podam więc tylko zasady i wydatniejsze rysy dowodzące, do jakiego stopnia to, co tam jest możebne, ze stanu instytucyi i społeczeństwa płynące, jest u nas niemożebne lub niedorzeczne.

Jedno z najlepszych dzieł, jakie kiedykolwiek napisano, a niewątpliwie najlepsze o Ameryce, jest pana Alexis de Tocqueville: o Demokracyi w Ameryce.

Kto chce poznać Amerykę, gdzieindziéj szukać nie powinien; znajdzie tam i pogląd ogólny i zajmujące szczegóły i ścisły związek między faktami, ich przyczynami i ztąd wynikającemi wnioskami. Nikt nie zaprzeczył dotąd ani faktom, ani twierdzeniom pana Tocqueville. Od niego więc biorę tych kilka rysów ze Stanów północnych zdjętych, najwydatniéj społeczeństwo amerykańskie charakteryzujących, dodając tylko krótkie własne uwagi.

Fakt, który góruje nad wszystkiem, daje kierunek wszystkiemu i wszystkie objawy życia amerykańskiego tłomaczy, będący przyczyną i cechą porządku publicznego, jest równość między obywatelami.

Ta równość nietylko jest w ustawach, ale w instynkcie, w naturze, w zwyczajach, w całém życiu tego ludu, i dla tego nie krępując wolności, mogła tam przeniknąć wszystkie stosunki.

Majątki się tworzą ogromne w krótkim przeciągu czasu, równie prędko znikają; uważano, że rzadko w dwóch pozostają pokoleniach. Własność ziemska, najbardziéj ludzi do siebie przywiązująca, najwięcéj wyradzająca tradycyi, przechodzi z nadzwyczajną szybkością z jednych rąk do drugich. Równość ta odbija się wszędzie, wpływa ona nawet do pewnego stopnia na wykształcenie umysłowe; niema w świecie kraju, w którymby było tak mało nieoświeconych ludzi, a tak mało uczonych.

Oświata początkowa jest przystępną dla wszystkich, oświata wyższa prawie dla nikogo; kiedy my zaczynamy wyższe nauki, Amerykanie zaczynają karyerę, obierają zawód, rzemiosło, zarobek. Nauka bywa środkiem tak jak rzemiosło, i skierowaną bywa szczególniéj do jakiego fachowego przedmiotu.

Fakt, który na szczególną uwagę zasługuje jest, że Amerykanie mimo zamiłowania w interesach i spekulacyach, mimo ubiegania się za majątkiem, które do namiętności posuwają, nie poświęcają im nigdy spraw publicznych. Materyalne ich zatrudnienia nie zaślepiają ich na to, że wolność jest podstawą i rękojmią ich powodzenia. Gdzieindziéj ludzie oddani swoim własnym interesom, odsuwają się od spraw pu-

blicznych i czas im poświęcony uważają za odjęty głównym ich zadaniom, a zapominają, że pierwszym interesem każdego jest być panem u siebie, jest być wolnym.

Do bronienia wolności mają także wszelką możebną broń: wolność druku i wolność stowarzyszenia; a tę ostatnią nawet w celach politycznych.

Przy równości i wolności są tu stronnictwa wielkie i walki, niema konspiracyi; konspiracya jak z jednéj strony jest dowodem braku wolności, tak z drugiéj jest jedynym środkiem przeciwko despotyzmowi. Tu jak wszędzie, jedno złe wyradza drugie.

Wszechwładztwo ludu doszło w Stanach zjednoczonych do ostatecznych swych granic. Społeczeństwo działa bezpośrednio; niema władzy tylko w jego łonie, nikomu na myśl nie przyjdzie szukać jéj gdzieindziéj. Lud bierze udział w prawodawstwie przez wybór prawodawców, a w wykonywaniu praw przez wybór wykonawców prawa. Można powiedzieć, że lud sam rządzi, tak jest mała cząstka zostawiona administracyi, a ta nie zapomina swojego ludowego pochodzenia i słucha władzy, od któréj pochodzi.

Konstytucya Stanów zjednoczonych jest jedna, ale odnosi się ona tylko do pewnych spraw ogólnych. Pod nią, a właściwie w niéj znajduje się dwadzieścia małych narodów, rządzących się samodzielnie. Jest więc jedność dla spraw ogólnych, a największa rozmaitość urządzeń osobnych Stanów.

Nad szczegółami téj konstytucyi zatrzymywać się nie będziemy, bo w rozmaitych formach znajdujemy i w innych krajach podobne cechy systemu reprezentacyjnego. Na jedno zwrócimy jednak uwagę, jako na dowód, że praktyczna strona zawsze przeważa u Amerykanów. Ideałem republikanów europejskich, jest jedna izba z nieograniczoną władzą. W Stanach zjednoczonych wszędzie przyjęto reprezentacyę dwuizbową. Izba wyższa, izba parów, izba panów, reprezentuje w wyobrażeniach europejskich albo element arystokratyczny, albo przynajmniéj zachowawczy. W Ameryce bez tradycyi i przy równości, ani jednego ani drugiego nie było i stworzyć go nie chciano. W reprezentacyach pojedynczych krajów senatorowie do jednéj izby a posłowie do drugiéj są wybierani przez tych samych

wyborców i w ten sam sposób, tylko pierwsi urzędują zwykle dwa lub trzy lata i odnawiają się seryami, drudzy urzędują rzadko więcéj niż rok jeden.

W reprezentacyi ogólnéj Stanów zjednoczonych deputowani są mianowani przez lud, senatorowie przez reprezentantów pojedynczych krajów. Pierwszych mandat trwa lat dwa, drugich lat sześć.

Tym sposobem zastosowano zasadę podziału władzy prawodawczéj, i zadosyć uczyniono potrzebie zwalniania i hamowania gwałtownych a często despotycznych popędów jednéj izby.

Dla uzupełnienia obrazu należy jeszcze powiedzieć słowo o wyborze prezydenta. Jest to arcydzieło rozumu politycznego, które zachowało prawo wyboru wszystkim a usunęło niebezpieczeństwo intryg nieuchronnych przy wyborze do tak znakomitéj funkcyi i skróciło czas tego, że tak powiem, bezkrólewia.

W pojedynczych stanach, tj. krajach wybierają osobnych wyborców dla wyboru prezydenta, uważając jednak słusznie, że zgromadzenia, które mają naczelników władzy obierać, stają się nieochybnie ogniskami namiętności i współzawodnictwa, postanowiono, aby wszyscy wyborcy głosowali jednego dnia w całéj Unii, ale nie zgromadzali się w jedno ciało. Wota przesłane prezesowi senatu obliczane są w przytomności obu izb. Gdy żaden kandydat większości nie otrzymał, izba deputowanych natychmiast do wyboru przystępuje, ale ma tylko wolność wybierania jednego z trzech kandydatów, którzy największą ilość głosów pisanych mieli za sobą. Tym sposobem powołuje się cały lud Stanów zjednoczonych do wyboru prezydenta, a w razie gdyby większości nikt nie otrzymał, reprezentanci tegoż samego ludu wybierają między tymi trzema, których sam lud wskazuje.

Na tém ograniczam rys o reprezentacyach w Stanach zjednoczonych, dostateczny jak mi się zdaje, aby przekonać, że rozum polityczny rozwiązał mta zadanie, nigdzie dotąd nierozwiązane, to jest pogodził interesa państwa z wolnością, a porządek z zastosowaniem systemu demokratyczno-reprezentacyjnego.

Nie tu jednak szukać trzeba przyczyn siły i jedności tego ludu, nie tu są tajemnice środków, jakiemi się zachowuje zamiłowanie wolności i uszanowanie dla praw i porządku, nie

tu jest szkoła, która wychowuje wolnych obywateli zdolnych do sprawowania władzy, z poszanowaniem rządzonych. Tu wszystko, całą podwalinę budowy znajdujemy w gminie i to jest najważniejsza część urządzeń amerykańskich.

Gmina w Ameryce jest ciałem samoistném, samodzielném, niepodległém i wolném. W stosunku do rządu centralnego uważana jako jednostka: zastosowano do niéj zasadę, że każdy jest najlepszym sędzią własnych interesów, i nie ma może obywatela w Ameryce, któryby przyznawał władzy centralnéj prawo mięszania się do spraw czysto gminnych. Społeczeństwo reprezentowane przez władzę tylko wtedy do spraw gminy się wdaje, kiedy od niéj współudziału do wspólnych potrzebuje celów. Reprezentacya stanu tj. kraju uchwala np. podatek lub drogę publiczną, gmina się poddaje, co zaś do rozkładu ciężarów ztąd wynikających, jest panią u siebie. Instytucye gminne czerpią siłę w ustawach, większą jeszcze w obyczaju, i wpływają przeważnie na całe społeczeństwo.

Gmina liczy mniéj więcéj 2000 ludzi, dosyć jest więc liczna, aby znaleźć w sobie żywioły dobréj admjnistracyi. W gminie jak wszędzie lud jest źródłem wszelkiéj władzy, ale jéj nigdzie tak bezpośrednio nie wykonywa jak w gminie.

Nie ma tu rady gminnéj,— urzędnicy, których wszyscy członkowie gminy wybierają, są wykonawcami ustaw ogólnych państwowych; co się zaś tyczy spraw gminnych, wykonują dane im przez wyborców polecenia. W nieprzewidzianych wypadkach, albo gdy nowa jaka potrzeba w gminie się okaże, jak np. ustanowienie szkoły, zbudowanie drogi i t. p. zwołują się wszyscy wyborcy i orzekają.

Tu winniśmy zwrócić uwagę na to, że rząd używa urzędników gminy, jako swoich wykonawców.

Jak żeby zadaniem gminy było wszystkich jéj członków do spraw jéj przywiązać, mnóstwo jest urzędów gminnych, każde niemal zadanie administracyjne ma swoich urzędników gminnych. Rozkład podatków, ściąganie takowych, policya, dozorowanie ubogich, kierownictwo oświatą, nadzór nad drogami, nad potrzebami służby bożéj, opieka nad żniwami i t. d. każde z tych zadań ma swoich przez gminę wybranych urzędników.

W tym to pełnym zajęcia ruchu i rozmaitości w życiu gminném, wyrabiają się zdolności umysłowe, w ciągłém ścieraniu się zdań wyrabia się hart duszy i niepodległość zdania. Tu się obznajamiają ludzie ze sprawami swojego kraju, tu ciągła sposobność wyszczególnienia się dla pojedynczych i odznaczenia się zdolnościami energią i poświęceniem.

Im się daléj zapuszcza analizę stósunków spółeczeństwa, tém się jaśniéj widzi że najważniejsze, najdroższe interesa obywatela są w gminie. W staréj Europie nauczono ludzi że interes państwa góruje nad wszystkiém — jemu się poświęca wolność i mienie — w nowym świecie przedmiotem wszystkich uczuć jest gmina — jéj niepodległość a ztąd i wolność osobista. U nas doszliśmy do tego niedorzecznego zdania, że mniejsza oto, że gmina będzie biedną, byle państwo było bogate, i doszliśmy do tego, że państwo jest równie biedne jak gmina. Do wolności obecnie dojść chcemy przez instytucye ogólne, przez konstytucye pisane, ale nie zaczynamy od tego, od czego zacząć należy, t. j. od niepodległości gminy.

Winienem tu zrobić zastrzeżenie, aby nie być posądzonym że w gminie upatrując najważniejsze zadanie spółeczeństwa, za mało cenię potęgę i niepodległość państwa na zewnątrz. Wiem z opłakanéj historyi naszego kraju jak się opłaca przywiązanie jednostek do swojéj własnéj wolności i uznaję obowiązek poświęcenia wszystkiego dla bronienia Ojczyzny, bo ona jest właśnie rękojmią wolności czy to gminnéj czy to indywidualnéj — ale o tém jestem także przekonany, że gdyby gminy w prawdziwém ich znaczeniu, były u nas istniały — usiłowania obrony całości, innychby były nabrały rozmiarów, niż to miało miejsce, gdy niektóre i małoliczne warstwy spółeczeństwa broniły swoich praw i wolności, a najliczniejsza część ludu zaprawdę nie miała czego bronić.

W takiéj to gminie amerykańskiéj wychowali się wszyscy znakomici ludzie, którzy najwyższą władzę w Rzeczypospolitéj piastowali. Tu od najmłodszych lat biorąc udział w sprawach gminnych, poznawali potrzeby spółeczeństwa i nabywali praktycznie sztuki rządzenia. Prawie wszyscy zaczynali od pracy ręcznéj, od walki z dziewiczą naturą, którą dla cywilizacyi zdobywali — dorabiali się sami zasobów i stanowiska. To czém byli, w niczém nie przeszkadzało im do otrzymania najwyższych

dostojeństw, ale też nie było tytułem do wynoszenia się nad innych.

Dopiero położone zasługi, dowiedzione zdolności, okazana wierność dla wyznawanych zasad wskazywały ich zaufaniu współobywateli. Przez różne stopnie nie hierarchii urzędniczej, ale zaufania obywateli dochodzili do najwyższych szczebli. — Odznaczyli się w gminie, obierano ich do sejmów osobnych krajów, póżniéj wysłano ich do kongresu, gdzie dopiero na wielkiéj scenie życia publicznego mogli sobie zjednać głosy całéj Unii.

Nie można tu pomieścić by najkrótszéj biografii prezydentów Stanów zjednoczonych; słowo tylko o Lincolnie, który w trudnych okolicznościach tak znakomitą rolę odegrał i którego tragiczny koniec żywe wszędzie wywołał współczucie.

W młodości wiódł życie osadnika karczującego lasy, w ciągłéj wojnie z żywiołami i dzikimi Indyanami. Próbował różnéj pracy, był kierownikiem statków przewozowych, chłopcem w sklepie, miernikiem, oddał się nareszcie nauce prawa. Będąc już prezydentem na prośbę wydawcy biografii sławnych ludzi, tak swoją własną skreślił:

„Urodzony 12go lutego 1809 w Kentuky. Wychowanie „niedostateczne. Z zawodu prawnik, kapitan w wojnie z Indy- „anami; urzędnik pocztowy na maleńkiéj stacyi. Cztery razy „posłem do ciała prawodawczego Illinois — nareszcie członkiem „drugiéj Izby kongresu. Lincoln.“

Jeczcze jeden rys z życia téj na wskróś republikańskiéj osobistości, rys który jest wierném odbiciem wyobrażeń tamtejszych. Młody Europejczyk wchodzi do służby Stanów północnych w ostatniéj wojnie. Łaskawie przez Lincolna przyjęty, opowiada mu swoje stósunki rodzinne i szlacheckie swoje pochodzenie. Na to prezydent:

„Jestem przekonany, że to panu wcale w jego zawodzie „nie przeszkodzi.“

Czy z tego krótkiego szkicu można powziąść wyobrażenie o spółeczeństwie Stanów zjednoczonych — nie wiem — sądzę jednak, że główne wytknąłem punkta mogące posłużyć do porównania ze stanem naszego europejskiego spółeczeństwa.

III.

Przepowiednia przez Napoleona I. wypowiedziana, że rewolucya obieży świat cały, ziściła się prawie całkowicie, ziściła się u nas więcéj niż gdziekolwiek indziéj, i więcéj niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Dotąd jednak zburzyła wiele, nie wybudowała nic. Ogłoszono zasady, nie umiano ich nigdzie zastósować. Zasady walczą ze zwyczajami, — teorye z tradycyami — dawne podstawy i uznane powagi zniknęły, nowe się nie potworzyły. Wszędzie czuć brak tego co było, równie jak brak tego, co być powinno.

Nienawiści i niechęci się potęgują, dla tego że to, co skazane na śmierć, zdaje się żyć jeszcze, choć nie ma przyczyny życia.

Demokracya równając wszystkich i obalając dawne stanowiska ograniczające władzę rządową, ale nie wynalazłszy jeszcze środków rządzenia społeczeństwem, stała się narzędziem despotyzmu zamiast być środkiem wolności. Sama przez się powołana do zbliżenia ludzi przez równość, jest dotąd tylko niechęcią i zazdrością do wszystkiego co się nad poziom wynosi lub co nad poziomem zdawnych pozostało czasów, i co się przywykło arystokracyą nazywać. Czémże jest i co może arystokracya bez udziału w rządzie, bez majątków i przywilejów, któreby ją z ogółu prawnie, faktycznie i stale wyszczególniały — a jednak ileż do niéj niechęci i nienawiści? myślałbyś, że ta arystokracya swoją potęgą umysłową i materyalną gotowa pochłonąć wszystkie nabytki wolności a wrócić do feudalnych stósunków. Gdy chcesz się jéj bliżéj przypatrzyć i poznać ten przedmiot niebezpieczeństwa i zgrozy; widzisz ludzi z trudem noszących historyczne imiona i niemogących odpowiedzieć wymaganiom jakie na nich dawne włożyły tradycye... Od nich żąda się wszystkiego jak za dawnéj potęgi, a prądy niwelacyjne i z góry i z dołu biegnące, zabrały im niemal wszystko. Znikli silniejsi którzy słabszych zasłaniać mogli, a słabsi nie związali się w ciała mające jakąśkolwiek siłę. Znikły korporacye a nie potworzyły się stowarzyszenia — społeczeństwo rozbiło się na atomy, na indywidualności, żadnym węzłem ani do działania ani do walki ani nawet do odporu nie związane. Runęła w gruzy dawna organizacya, nie ma dotąd żadnéj.

Taki stan niemocy trwający półwieku tłómaczy usadawianie się wszechwładztwa rządowego, które na swoją korzyść obracało hierarchię u rządzących, równość w nicości u rządzonych — organizacyę władzy w dezorganizacyę w spółeczeństwie. Pomijam tu te jeszcze rozkładowe wpływy, które dla utrzymania obcéj potęgi w krajach podbitych, powstaniu jakichkolwiek sił spółecznych przeszkadzały. Cóż się wyrodzić musiało z takiego stanu rzeczy? oto obojętność dla spraw publicznych, obojętność dla wszystkiego co nas bezpośrednio i chwilowo niedotyka, brak zaufania w sobie, brak jasnego i wytkniętego celu do jakiego dążyć należy, nareszcie brak ludzi, którzy bądź cobądź tylko w praktyce życia publicznego na ludzi stanu wykształcać się mogą. Czyż tych wszystkich niedostatków dowodzić potrzeba — czyż niewidzimy, że do brania udziału w sprawach publicznych, w sprawach gminnych, ludzi zachęcać trzeba — ambicya lub potrzeba popycha czasem ludzi do działania i tém się cieszyć należy, nie jest to jednak to zamiłowanie swobód publicznych nie jest to przekonanie, że przez udział wszystkich wywalcza się swobody, a broni się i utrwala już wywalczone.

Nie przeczę, że tu i owdzie są szlachetne popędy i aspiracye do wolności, ale i na tém koniec; bo ludzie chcieliby być wolnymi, ale przedewszystkiém chcą być prowadzonymi — chcieliby być wolnymi, ale w każdéj trudności, w każdém niebezpieczeństwie uciekać się chcą do pomocy rządowéj, i nic dziwnego, skoro rząd został wszystkiém. I rzecz uwagi godna, że rząd stając się wszystkiém, znalazł się właśnie słabym albo raczéj niedołężnym. Stanąwszy niejako po nad spółeczeństwem, pozbawił się tych sił i pomocy, jakie w spółeczeństwie czerpać mógł. Wszystkie wady rządu, wszystkie nadużycia urzędników, wszystkie zbrodnie, lepiéj są znane rządzonym niż rządzącym. Nie ma żadnéj solidarności między jednymi a drugimi, a gdy się opieki i pomocy od rządu jedynie wymaga, nikt się nie poczuwa do obowiązku pomagania władzom w ich zadaniu ani do odpowiedzialności za złe które się dzieje.

W Stanach zjednoczonych, urzędnicy wybierani są przedewszyskiém sługami obywateli, a potém wykonawcami władzy. Ztąd téż takie poczucie obowiązku wspierania władzy

i ułatwiania wymiaru sprawiedliwości, że nikt tam pomocy jéj swojéj nie odmawia — nie tylko że każdy osobiście pomaga urzędom do wykrycia zbrodni, bo wie, że broni prawa porządku i bezpieczeństwa wspólnego, ale nie raz zdarzało się, że się zawiązywały komitety w celu odkrycia zbrodni, która rozgłosu nabrała. Jakie u nas jest postępowanie władz przy dochodzeniu przestępstw, i jakie usposobienie ludności wszystkim wiadomo. Pochodzi to powtarzamy, żtąd, że rząd jest czémś obcym w społeczeństwie, że niewyobraża jego sił i interesów, ale zaspakaja a raczéj zaspakajać powinien pewne jego potrzeby.

Smutno jest wykazywać słabości, nie módz wskazać bliskich środków leczenia, i widząc stan doskonalszy gdzie indziéj, nie wskazywać krótkiéj doń prowadzącéj drogi — ale i dyagnoza ma swoją użyteczność jak i rozpoznanie kraju przez który ma się drogę prowadzić. Teraz wskazywać za przykład Stany zjednoczone, i żądać wybieralności władz wszystkich, byłoby niedorzecznością, i zapewne nikt nie wątpi, że zastósowanie téj teoryi u nas, do najokropniejszéjby doprowadziło anarchii. Otóż przedewszystkiém, trzeba stworzyć zamiłowanie spraw publicznych, zaczynając przez sprawy gminne, trzeba zaszczepić przekonanie, że ludzie powinni i mogą się sami rządzić, obudzić zaufanie we własne siły i zdolności, a z rozwijaniem się tych uczuć i samorządnych instytucyi kształcić się będą ludzie zdolni do bronienia swobód publicznych, i tacy którzy rządząc krajem będą jego sługami a nie panami, wtedy i u nas rzemieślnicy będą ministrami a może i prezydentami, jeźli tak Opatrzność zarządzi.

Ze stanu niedołęztwa w jakim się znajdujemy, wyradzają się koniecznie niedołężne ruchy i niedołężni przywódzcy. Zdaje się ludziom, że to co jest najtrudniejszego w świecie, to jest rządzić ludźmi, jest sztuką najprostszą. Do tego złudzenia dochodzi się bardzo prostém następującém rozumowaniem. Rządy są złe i rządzący niezdolni, a zatém ci, którzy nigdy nie rządzili, lepiéj rządzić potrafią. Dla tego téż nie brakło nigdy w Europie kandydatów na dyktatorów, naczelników i ministrów. Dowcipnie powiedziano w 1848 roku, że gdyby proponowano szewcowi żeby został krawcem, powiedziałby, że tego nie potrafi bo nie umie, gdyby mu proponowano, żeby

został ministrem, niewahałby się ani chwili. W Stanach zjednoczonych, być niczém, jak już powiedziałem, nieprzeszkadza nikomu zostać wszystkiém, u nas przewrócono cokolwiek tę zasadę, i zdaje się, że dosyć być niczém aby zostać wszystkiém. Tak nie jest, chociaż bywa, i przeciw temu staje zdrowy rozsądek i naturalne rozwinięcie się władz umysłowych człowieka. Mogli w Stanach zjednoczonych prości rzemieślnicy zostawać prezydentami, bo przez długi udział w życiu publicznem wykształcali się na ludzi stanu i jako tacy dali się poznać, u nas nie ma szkoły życia publicznego, — nie ma też ludzi stanu.

Nie na tém koniec złudzeń naszych. Dążąc i słusznie do rządów liberalnych i reprezentacyjnych powołano do Izb prawodawczych warstwy niezdolne same się reprezentować — postawiono formułkę, nie myślano (jeżeli działano w dobréj wierze) jaką ona będzie w zastósowaniu — i wprowadzono do Izb prawodawców, którzy nietylko o prawodawstwie, ale nawet o interesach krajowych żadnego nie mają wyobrażenia. To co tu mówię, nigdzie się tak jaskrawo jak w sejmie galicyjskim nie odbiło — ale co gorsza, wielu ludzi rozsądnych na taką się już reprezentacyę spraw krajowych zgodziło. Mówią że praw raz nadanych odbierać nie można, że pewne warstwy przez własnych ludzi reprezentowane być powinny, że zasada demokratyczna wymaga uszanowania równości. W imię postępu i demokracyi nie zgodzę się nigdy na takie rozumowanie. Do postępu mają tylko prowadzić ludzie światli, do wolności tylko ludzie mający poczucie godności osobistéj. Cóż znalazł kraj w nieoświeconych reprezentantach włosciańskich, oto powolne i posłuszne narzędzia wszelkich po sobie następujących systemów: znalazł narzędzia najwierniejsze reakcyi, tamujące wszelki postęp. Ani żadnym warstwom ani żadnym ludziom nie odmawiam prawa reprezentacyi, odmawiam go ciemnocie, i dopóty go odmawiać nieprzestanę, dopóki oświata z dobrym bytem równocześnie działając a ze zdrowym organizmem spółeczności, nie podniosą umysłów do wyższych, szlachetniejszych i niepodległych pojęć.

Zbytecznem by było daléj dowodzić smutnego rozstroju i bezwładności naszego spółeczeństwa, — każdy rozsądny człowiek je widzi i czuje — czy jednak wolno zwątpić o przy-

szłości? sądzę że nie, i dla tego należy szukać ścieżek i drożyn, któreby nas z tego labiryntu gruzów i zwalisk na szeroką drogę wolności i postępu wyprowadziły. Przedewszystkiém trzeba się rozpatrzeć w położeniu, trzeba przyjąć fakta dokonane za dokonane i do nich zastósować dalsze usiłowania i prace.

Faktem takim dokonanym jest zapanowanie demokracyi na całym stałym lądzie Europy. Z tym faktem, czy mu kto zwolennikiem czy przeciwnikiem, stanowczo i szczerze pogodzić się trzeba, nie oglądając się po za siebie z żalem za tém, co niepowrotnie minęło, ale męzkim umysłem badać przyszłość i dla niéj pracować — praca ta będzie nużąca powolna i długa, pół wieku, wiek cały upłynie, zanim ludzkość pierwsze jéj ujrzy skutki, i mojém zdaniem inaczéj być nie może. Jeżeli prawdą jest, to co na początku tego rozdziału powiedziałem, że rewolucya obiegła świat cały, to w obecném położeniu żadnemi już gwałtownemi ruchami, żadnemi skokami i przewrotami społeczeństwa naprzód prowadzić nie można. Rewolucya zrobiła swoje, usunęła zapory, zrównała ludzi, ale tylko wskazała do wolności drogę, bo nieuorganizowała społeczeństwa, co téż nie było jéj zadaniem. Rewolucya działa jak mina założona do wysadzenia w powietrze dawnego gmachu, — ale jeszcze nie odkryto sposobu budowania za pomocą min. Do budowania potrzeba pracy i czasu, bo jak powiedział Guizot: Czas nie szanuje niczego, co się bez niego robi". Rewolucya może ogłosić zasady, ale nieustali instytucyi, bo instytucye stoją ludźmi, a rewolucya nie stworzy ludzi, tylko znowu czas i praca. I tu leży głęboki błąd w który w najlepszéj wierze wpada wielu ludzi. Widząc brak odpowiednich potrzebom społeczeństwa instytucyi, z niecierpliwości i zwątpienia, jedyny środek upatrują w rewolucyi — nie bacząc na to, że dziś rewolucya jest marnowaniem sił, opóźnieniem postępu — bo jest przeszkodą do wyrabiania sił umysłowych i materyalnych, bez których żaden postęp nie jest możebny.

Tak więc usuwa się środek prędkiego i jednorazowego zaradzenia złemu, a pierwszym krokiem na drodze zdrowego postępu będzie przekonanie to wszystkie uczciwe umysły przenikające. Nastąpi to niewątpliwie gdy się jasno okaże, że rewolucyi nic już do czynienia nie pozostaje. Pytam, co się

oatało z dawnego porządku rzeczy, coby jeszcze zburzyć należało, jeno to, co jest podstawą i warunkiem ładu bożego i ludzkiego w spółeczeństwie, to jest rodzina i własność — kto tych obalić nie chce, dla czegóż chce rewolucyi. Nie mówię tu o wojnach, o usiłowaniach narodów do wywalczenia bytu, nawet nie o tych walkach w celu ulepszenia zgubnego rządu, co wszystko częstokroć rewolucyami nazywają, mówię o rewolucyi w społeczném jéj znaczeniu, i twierdzę że jest zbyteczną i szkodliwą. Kto niechce się znaleźć na drodze mniéj lub więcéj wyraźnego komunizmu, ten rewolucyi wywoływać nie może. Z tymi zaś co chcą rewolucyi dla tego, że jest anarchią i zamieszaniem, z którego korzystać można, albo dla tego, że jest dezpotyzmem który owładnąć można, aby stać się czemś, kiedy się nie było niczém i dostać czegoś, kiedy się nie mialo nic, z tymi nie mamy nic wspólnego, nie stoimy na tym samym gruncie, nie mamy tych samych pojęć ani tych samych uczuć, ani tych sanych celów — uledz im chwilowo możemy, poddać się im dobrowolnie nigdy.

Kiedy więc droga przewrotu i wstrząśnień jest niemożebną, cóż czynić należy. Nie pozostaje, jak uzbroić się w cierpliwość, w rezygnacyę, imać się pracy mimo przekonania, że sami jéj owoców pożywać nie będziemy, i w téj saméj nauce przyszłe wychowywać pokolenie.

Nie jest to droga ani powabna, ani pocieszająca dla nas, którzyśmy już tyle cierpieli, ale innéj nie ma, a wejść na nią odważnie i stanowczo, jest względem kraju i jego przyszłości świętym obowiązkiem.

Kończę słowami już przezemnie wyżéj powołanego autora p. Tocquevilla, które myśl moją lepiéj oddają niż bym sam potrafił:

„Kształcić demokracyę, ożywiać jéj wiarę, miarkować „jéj ruchy, zastąpić jéj niedoświadczenie nauką spraw ludzkich, „a ślepe jéj instynkta pojęciem prawdziwych jéj korzyści; „stósować rządy do chwili i miejsca; przerabiać je według „okoliczności i ludzi: jest pierwszym obowiązkiem ludzi „kierujących spółeczeństwem.“

Henryk Wodzicki.

Dwie odpowiedzi:

Dziennikowi Poznańskiemu na recenzyę broszury: „Kilka prawd z dziejów naszych“.

P. Flor. Ziemiałkowskiemu na „list otwarty“.

Przychodzi nam stanąć do rozprawy na wyzwanie jednego z najpoważniejszych organów prasy polskiéj i jednege z najznakomitszych ludzi politycznych naszéj prowincyi. Stając w gotowości obrony, wolni będziemy zapewne od zarzutu, jakobyśmy w naszéj stawali sprawie, przedmiot albowiem dotyka w obu wypadkach drogiéj nam sprawy narodowéj.... Narodowéj mówię, bo specyficznie galicyjskiéj polityki nie znaliśmy nigdy i uważamy ją zawsze za zerwanie z ojczyzną.

W odpowiedzi naszéj idziemy koleją czasu, w jakiéj się wspomniane na tytule pisma pojawiły. Zaczynamy od Dziennika Poznańskiego.

A najprzód wyznać nam się godzi, że się dziwimy gwałtowności napadu, prowadzonego z pewną „posunioną aż do zbytku bujnością języka i nieszczególną ścisłością rozumowania“. Ktokolwiek bacznie przeczyta artykuł, przyzna nam, że owe słowa cudzysłowem ujęte, zwrócone przeciw nam przez szanownego autora, dadzą się w zupełności użyć na scharakteryzowanie jego krytyki, namiętnéj raczéj, niż spokojnéj, wystraszonéj mniemanym naszym obłędem narodowym, a odpierającéj go nie siłą przekonania i dowodów, ale rzęsistą

kanonadą filippicznéj wymowy. Rzeczy, które w mojéj broszurze napisałem i w styczniu b. r. w świat rzuciłem, są, jak mi to może szanowny recenzent przyzna, dosyć hazardownem słowem wobec utartego i zakorzenionego przez długie lata zapatrywania się i politycznego usposobienia polskiéj powszechności, a jeżeli jak każda myśl z dobrą wiarą w rolę narodową siana, rachują na skutek, to zaiste nie mogły rachować nigdy na ryczałtową popularność. Wzgląd ten, zdaje nam się, winien był miarkować gwałtowność recenzenta, chociażby zwracając uwagę jego na łatwość poklasku i tryumfu, winien mu był oszczędzić przynajmniéj ów sążnisty okres przy końcu feuilletonu, w którym przypominając, że pod rządem rosyjskim każdy Polak za konspiratora jest uważanym, zwraca się zwycięzko do nas i zapytuje, czyli podzielamy opinie rządu rosyjskiego pod tym względem?.... Ustęp ten, wyznamy szczerze, walczy o pierwszeństwo z rozbiorami naszéj broszury w *Dzienniku literacko-politycznym* i *Dzienniku lwowskim* umieszczonemi, które nie zadając sobie fatygi aby z nami walczyć, zasłaniają się cenzurą austryacką, niedozwalającą im odpowiedzieć p. Szujskiemu tak, jakby tego godność narodowa wymagała!

Do nieszczęśliwych skutków naszéj niewoli, zaliczamy zawsze owo wstrętne sykofanctwo, podające w podejrzenie dobrą wiarę każdego przemówienia, głuszące każde śmielsze wystąpienie, licytujące poklask naszéj biednéj opinii publicznéj popularnemi frazesami. Sykofanctwo to spycha w utarte a czcze formy przezwisk stronniczych każdą myśl samodzielną, do owego gatunkowania się nieskłonną, piętnuje ludzi znienawidzonym ogólnikiem i ubezwładnia ich wpływ i rozwój. Ono to jest nieprzyjacielem dyskusyi, ścierania się opinii, szukania punktów wspólnego działania pomimo różnic politycznych, ono źródłem wszystkich kwasów, niechęci, rozbicia naszego społeczeństwa. Rozbujało ono jako chwast szkodliwy na górze i dole, wyziębiło serca, obudziło chęci teroryzmu. Nie chcemy przez to twierdzić, aby poważny Dziennik Poznański chciał podlegać téj grzesznéj namiętności; przeczy temu cały jego żywot, przeczy i ta obszerna nad niewielką moją broszurą dyskusya: konstatujemy tylko, że namiętny ton recenzyi potrącił blisko o sferę, niewłaściwą dla jego powagi i stanowiska.

Autor recenzyi godzi się ze mną w zapatrywaniu na historyczną część broszury, o ile takowa granic 1794 roku nie przekracza. Chce mi zapewne przez to powiedzieć, że nie wygłosiłem w niéj nic nowego. Zgoda. Zwracamy wszelako uwagę jego, że owe uznanie przyczyn naszego upadku od niedawna dopiéro wydobywa się z powodzi stworzonych *a priori* doktryn i teoryjek, upiększających naszą przeszłość i tłumaczących a przynajmniéj na cudze wyłącznie barki zgubę naszą zwalających.... Niedawno jeszcze należała historya ostatnich wieków Rzeczypospolitéj do poematów filozoficznych lub apologii polemicznych, przedstawiających nam walkę idei w czasach temi idejami wcale nieporuszanych, przenoszących dzisiejsze wyobrażenia, antypatye i sympatye na nieszczęśliwych ofiarnych kozłów (zwykle królów) lub ulubieńców przeszłości (najczęściéj rokoszanów). Wydobyto się z tego błędnego historycznego liryzmu, będącego jednym więcéj objawem naszéj jednostronności i wygaśnięcia politycznego instynktu. Przestajemy wierzyć, aby dla nas inne prawa bytu były istniały, jakie dla innych organizmów narodowych i państw nakreśliła Opatrzność. Wracamy poniekąd do zapatrywań tych mniéj pod względem naukowym cennych dziejopisarzy, którzy w końcu 18go i w początku 19go wieku obrabiali dzieje przeszłości, a przeszedłszy katastrofę upadku, doktrynom uwodzić się nie dali. Czyliżby ten zwrot na polu historyczném uczyniony nie rokował nam i na gościńcach praktycznego politycznego życia pewnéj korzystnéj zmiany, a przynajmniéj nie przemawiał za jéj potrzebą? Czyliżby przyłożywszy do dziejów politycznych lat ostatnich, skalpel sumiennego a roztropnego badania, wydobywszy się ile możności z więzów zdawkowéj monety szlachetnych wprawdzie myśli i uczuć, ale niepoddanych nigdy śmiałemu, choćby najboleśniejszemu rozbiorowi, nie dało się i z nich wyciągnąć pewnych prawd widocznych, jasnych, koniecznych, któreby sumienie narodowi podać nakazywało, chociażby to podanie niechętną zrazu odtrącił ręką?

Ale otóż owe prawdy z porozbiorowych wyprowadzone dziejów, są główną *petra scandali* dla szanownego recenzenta. Pozostawiwszy ustęp o „niewoli“ który w całości przyjmuje, przekreśla resztę niemiłosiernie, odrzuca naszą, jak się wyraża, nową polityczną drogę, pisze apologię konspiracyi i nazywa

nasze zdanie, jakoby epoka konspiracyi z r. 1863, t. j. z całkowitém ludu naszego uwłaszczeniem się skończyła, ustępem złożonym z tylu fałszów ile słów w sobie mieści. A że druga część broszury, schodząca do kwestyi polsko-galicyjskiéj jest zdaniem jego konsekwencyą premis poprzednich, musimy przypuścić, że i tę ryczałtowo odrzuca, w czém w oczywistéj z artykułami *Dziennika Poznańskiego*, po nad linijką feuilletonową zamieszczonemi, zostaje sprzeczności.

Ponieważ szanowny recenzent odtrącając nasze zdania, nie starał się wniknąć w ich myśl ale urywkowo je podając, rozbił ich konsekwentność i na słuszne a niesłuszne podzielił, nie mamy w odpowiedzi naszéj innéj drogi, prócz odbudowania konsekwencyi i omówienia rzeczy w sposób, który może więcej ze sobą rachować się każe. Prowadząc rzecz naszą historycznie, staraliśmy się ile możności przedstawić grozę naszych antecedencyi: dwa wieki nierządu i jeden bolesny wiek niewoli. Te antecedencye, ciężące na całém naszém społeczeństwie zasługują istotnie na baczny ze sobą obrachunek, bo owo łacińskie: *delicta priorum immeritus lues* okazywało się zawsze najfałszywszém w historyi zdaniem. Stan naszego społeczeństwa wewnętrzny nosi na sobie skutki dawnego politycznego rozstroju, podobnie jak zewnętrzny doznaje nieustannie okropnych rezultatów upadku. Jeżeli więc zatracenie pojęcia rządu i kłótnię wymogów rządu z zbytniemi roszczeniami wolności podaliśmy jako raka, który Rzeczpospolitą roztoczył, jeżeli w porozbiorowych czasach widzieliśmy pojęcie rządu w ustawnym sporze z dążeniem do niepodległości, nie czyniliśmy tego na darmo i mieliśmy słuszne do tego powody. Nie zbałamuci nas szanowny recenzent sarkastyczną uwagą, że każde usiłowanie do odzyskania niepodległości miało wybitne dążenie do postawienia rządu „ale — własnego, narodowego“, bo o tém dążeniu wié każdy, a więc i ja. Owszem, owa sarkastyczna jego uwaga posłuży nam jako woda na nasz młyn, posłuży nam jako punkt wyjścia naszego rozumowania.

Konfederacye, rokosze, związkowe koła dawnéj Rzeczypospolitéj wychodziły jako samozwańcze organizmy z pretensyą rządu i z przekonania, ze istniejący był przewrotnym i zgubnym. Im to przekonanie było słuszniejszém, tém więcéj miały one za sobą racyi historycznéj, nie przestając wszakże być

zgubnemi i rozprzęgającemi Rzeczpospolitę. Najszlachetniejsza ze wszystkich, wojna za wiarę, wolność i niepodległość, posuwając się do detronizacyi króla, narzuconego wprawdzie, ale bądź co bądź powszechnie uznanego, konfederacya barska miała zaprawdę najwięcéj racyi politycznéj w ostatnich wypadkach, a nie znalazła przecież usprawiedliwienia wobec patryotów sejmu czteroletniego, który pierwszy, trafném okiem ugodził w jądro długowiecznego złego, w samowolę zmian politycznych i na zawsze wszelkie usunął konfederacye. Nie będziemy zaiste odrodnym synem przeszłości, jeżeli usunięcie téj samowoli postawimy jako hasło nasze w czasach, gdzie ona po raz drugi kresu swojego dobiegła, jeżeli podniesiemy analogię, że podobnie jak samowola konfederacyi nie uratowała wolności i dawnego rzeczypospolitéj kształtu, tak samowola sprzysiężeń nie przywróci nam Ojczyzny.

Konfederacyi, rokoszów, kół związkowych dawnéj Rzeczypospolitéj przyczyną były zamachy, grzechy lub nieudolność rządu polskiego w obronie całości i niepodległości kraju. Porozbiorowe sprzysiężenie znajdowało nieustanną racyę bytu w obcym rządzie z jednéj, w niechęci do przedsięwzięcia czynu niepodległości z drugiéj strony. Zgadzam się z szanownym recenzentem, że jesteśmy poniekąd konspiratorami wszystkiém co czynimy, bo w piersi naszéj tkwi niepokonana dusza polska. Ale nie zgadzam się na mieszanie téj naturalnéj konspiracyi z polityczną. Chwytaliśmy się wielokrotnie téj drugiéj, nie dowierzając sobie, abyśmy mogli prowadzić pierwszą, co poczytam śmiało między dowody naszego powolnego dźwigania się z upadku. Chwytaliśmy się téj drugiéj, narzekając że koryfeusze majątku, imienia, inteligencyi usnęli snem gnuśnym i zapomnieli o narodzie i o myśli niepodległości, podobnie jak dawniéj kupiliśmy się w konfederacyę przeciw zdrajcom wolności, zostającym w konszachtach z takim Zygmuntem III, Janem Kazimierzem! Chwytaliśmy się, upatrzywszy sobie pomyślną jakąś polityczną konstelacyę, częściéj jeszcze czując za granicą proch z barykad, najczęściéj wyrywaliśmy się naprzód, aby leżeć jak dłudzy, w przyjaźniejszéj naszym zamysłom godzinie. Mówiliśmy, że potężne słowo o uwłaszczeniu ludu pozyska dla nas masy i powoła pod broń „dwadzieścia milionów Polaków“. Mówiliśmy, że warstwa jedna narodu prze-

gniła, że druga potrzebuje chrztu krwi i poświęcenia. Uważaliśmy w końcu konspiracye i ich krwawe wybuchy jako konieczne dla honoru i dobra duszy narodowéj, explozye, użyzniające grunt przyszłości. Wszystkie te zapatrywania się nasze i plany wychodzą stanowczo po za obręb opozycyi naturalnéj, broniącéj kościoła, tradycyi, obyczaju, języka, a tylko grube pomieszanie pojęć może je za jedno brać z tą opozycyą, którąśmy tutaj **naturalną konspiracyą** nazwać sobie pozwolili.

Widzimy owszem, że konspiracyę polityczną nazwać można dalszym ciągiem owéj, praktykowanéj w Rzeczypospolitéj, samowoli politycznéj' którąśmy nazwali *liberum conspiro* i postawili obok *liberum veto*. Czém dla dawnéj samowoli wolności był król, senat i sejm, t. j. naturalny układ rządowy, tém dla samowoli dążeń konspiracyjnych był każdorazowy stan przodkującéj społeczeństwa warstwy, która w latach niewoli stanowi niejako jego rząd naturalny, jego ton dominujący. Jeżeli dawna samowola wolności, rozpaczając, aby drogą legalnéj, sejmowéj opozycyi swoje przeprowadzić mogła, udawała się do dróg nadzwyczajnych, to porozbiorowa samowola dążenia do niepodległości, chwytała się dróg nadzwyczajnych, konspiracyjnych, nie dowierzając, aby przodkująca warstwa o niepodległości myślała a nawet w przekonaniu, że jéj przodownictwo w społeczeństwie, interes narodowy i honor narodowy na szwank naraża. Pod ową przodkującą społeczeństwa warstwą, rozumiemy oczywiście summę tych wszystkich w **dojrzałym** wieku obywateli, którzy o sprawie ojczystéj mają lub mieć powinni pewną ustaloną opinię, którym stanowisko, wykształcenie, majątek bez względu na rodowość, pewien wpływ i znaczenie w społeczeństwie zapewnia. Otóż jeżeli ta summa ludzi źle reprezentuje narodowy interes, jeżeli obraża narodowe uczucia, jeżeli się okazuje obojętną dla sprawy ojczystéj, jeżeli się zamyka w egoizmie i kastowości, jeżeli hołduje obcemu obyczajowi lub co gorsza honorowi kraju ujmę przynosi, łatwo zdarzyć się może, że żywioły młodsze, gorętsze a nawet jéj saméj części składowe, puszczają się na niebezpieczną drogę tajemnych związków, urastających następnie do rozmiarów organizacyi powstańczych. Taką była historya licznych związków pomiędzy r. 1831 a 1846 i temu to przypisać należy, że „stary konspi-

rator i koziarz" jest u nas prawie synonimem dobrego patryoty i zacnego człowieka. Ale jeżeli w broszurze oddaliśmy słuszny hołd wdzięczności za rozbudzenie ducha, pomnożenie obozu obywateli, jeżeli nazwaliśmy ją w owych czasach *malum necessarium*, nie możemy przez to nazwać ją inaczéj jak złem, którego usunięcie na zawsze jest koniecznym warunkiem dobicia się do lepszéj doli, a wśród dzisiejszych okoliczności warunkiem utrzymania bytu. Jeżeli konspiracya rozbudziła ducha, pomnożyła zastęp myślących o sprawie ojczystéj, to przez to samo z każdym rokiem traciła coś z swojéj racyi istnienia, przyczynę niecierpliwienia się na społeczeństwo, boć trudno przypuścić, aby wszystkie jéj nauki w las poszły. Rozpoczynanie od kilku indywiduów, zakrytych, nieznanych, przemawiających w imię ogólnych idei, stawało się tém zbyteczniejszém, im więcéj wyłoniło się we wszystkich sferach i przy wszystkich warsztatach narodowego życia indywiduów pracujących i myślących, mogących i chcących myśleć i działać dla sprawy narodowéj, znanych i widomych każdemu.

Jeżeli pierwszym punktem wyjścia konspiracyi politycznych był zły stan warstwy przodkującéj, to drugim było niezawodnie niedowierzanie, aby ta warstwa przodkująca prowadziła rozpoczętą przez sejm czteroletni i Kościuszkę sprawę reformy społecznéj. Przeprowadzenie téj reformy uznał zdrowy instynkt narodowy jako *conditio sine qua non* odrodzenia, nieszczęśliwe doktrynerstwo oddalonéj od kraju emigracyi, jako magiczną różczkę wywołującą za jednym zamachem niepodległość. Zrównanie społeczne, propaganda idei demokratycznych, wydała się kluczem przyszłości, środkiem pozyskania mas dla sprawy niepodległéj Polski, sprawa ta podsumowaną została pod sprawę ogólno europejską wolności i równości. Jeżeli pod tym także względem oddaliśmy starym naszym konspiracyom zupełną słuszność, to żądać musimy konsekwentnego uznania, że jeżeli na tém polu pracowały mową, pismem i czynem, to nie pracowały darmo, ale skutecznie, że rozszerzyły to, co szerzyły. W miarę rozszerzenia zaś, w miarę skutku, tracić musiały znowu na racyi bytu usiłowania konspiracyjne, bo im więcéj nauczonych, tém mniéj potrzeba nauczycieli. Dla tego téż jeżeli konspiracya po roku 1831 była prawie jednobrzmiącą z stronnictwem demokratyczném, ognisko jéj, centralizacya

ogniskiem propagandy demokratycznéj, to po r. 1848, gdy demokratyczne ideje powszechne sobie w kraju zjednały obywatelstwo, gdy literatura, dziennikarstwo, życie publiczne stanęły bądź co bądź na uznaniu tych zasad, gdy pokątne przeciw nim niechęci nie mogły już hazardować się na światło dzienne, konspiracya jako ognisko propagandy demokratycznéj za granicą stała się rzeczą zbyteczną, bo nauka się skończyła, a ucznia własnemu można było pozostawić rozumowi. Co do saméj reformy społecznéj, któréj dokonanie miało być środkiem powszechnego powstania ludu, widzieliśmy wszyscy fałszywość téj teoryi; konstatujemy tylko, że była ona jeszcze w 1863 r. ową licytacyą *in plus*, którego użyli epigonowie konspiracyjni w walce z stronnictwem „białém". Antidemokratyczném ani wyłącznie szlacheckiém nie można było nazwać stronnictwa białego, choćby ze względu że spotykano w niém demokratów najczystszéj wody!

Ale szanowny recenzent mówi nam, że konspiracya nie miała na celu ani reformy społecznéj, ani budowania społeczeństwa od siebie, tylko odzyskanie niepodległości. Zgoda na to! Wszyscy konspiratorowie dobréj woli myśleli o niepodległości i poświęcali się dla niepodległości, wszyscy pozyskani przysięgli niepodległéj Polsce. Ale ktokolwiek się bacznie dziejom naszych konspiracyj przypatrzył, komukolwiek o nich mówić przyjdzie z ręką na sercu, sumiennie, przyznać musi, że dążenie do budowania społeczeństwa od siebie, propaganda pewnych idei i dążenie do przeprowadzenia reformy spółecznéj, górowało niesłychanie nad właściwym sprzysiężeń celem tj. odzyskaniem niepodległości, identyfikowało te dwa zupełnie różne od siebie zadania tak, że cel brano za środek, a środek stawał się niepostrzeżenie jedynym skutkiem i celem. Niepodległość miała skłaniać do poświęcenia i ofiary jednych, drugich miała ofiara wolności zyskać dla sprawy niepodległości, pierwsi mieli się za kilkomiesięczną propagandą podnieść z wieloletniego rzekomego upadku ducha, drudzy za pomocą faktu usamowolnienia podnieść się odrazu na stanowisko spadkobierców przeszłości. Rozszerzenie pewnych wyobrażeń, uczuć, nadziei, objęcie osobników społeczeństwa w odrębne, zamknięte a przysięgą związane ciało, musiało stać się dla naszych konspiratorów naj-

walniejszą częścią zadania, podstawą przedsięwzięcia. Zanegowanie wszystkiego, co się z obojętnością lub niewiarą wobec tajemnéj władzy kierowniczéj zachowa, stało się drugą koniecznością, która była tém zgubniejszą, im wśród tych obojętnych lub niewiernych więcéj było jednostek a nie zer politycznych, im więcéj inteligencyi i patryotyzmu innych opinij proskrybować musiano. Wobec tych zajęć, łamań, trudności, walki z własnym narodem, wobec niepodobieństwa zyskania środków materyalnych, czyliż dziwo, że mimowoli spuszczono z oka główny cel zadania, a raczéj, że dla tego celu środków koniecznych, broni i t. p. zebrać nie było można? czyliż dziwo, że konspiratorowie nie mogli wolno rozporządzać chwilą wybuchu, chwilą czynu, najwalniejszą w tego rodzaju przedsięwzięciach, że ulegali sami chemicznemu procesowi zapalności nagromadzonych żywiołów z jednéj, siłom czychającego nieprzyjaciela z drugiéj strony? Więcéj nas to dziwi, że liczbę sprzysiężonych brano za liczbę przyszłego wojska, że każdy adept zostawał przyszłym idealnym naczelnikiem tysiąców, że wiara w niezawodne zwycięztwo masy mogła prowadzić do lekceważenia wszystkich najkonieczniejszych warunków wojennego ruchu, do poprzestawania na książeczce, receptę wojny ludowéj zawierającéj, fantazmagorycznym poemacie tęsknoty tułaczéj. Czyliż potrzebujemy cytować tutaj fakta? W razie potrzeby gotowi jesteśmy; na dzisiaj wystarcza cośmy przytoczyli, aby powiedzieć szanownemu recenzentowi, że celem konspiracyi było niezawodnie odzyskanie niepodległości ale że cel nie odpowiadał środkom a środki celowi.

Ależ zdawałoby się na pozór i wydaje się wszystkim naszym niewyleczonym z konspiracyjnego systemu głowom, że bezowocność konspiracyi jest skutkiem niedojrzałości. zepsucia, braku ducha narodu, gdy przeciwnie, twierdzimy to śmiało, skutkiem owéj *niedojrzałości, zepsucia, braku ducha, było samo lgnienie do konspiracyi.* Zdawałoby się, że w miarę postępu idei liberalnych, zrównania społecznego, konspiracya peryodycznie powracająca, musi być coraz silniejszą, a zatém i skuteczniejszą, aż w końcu doprowadzi do celu. Ten *najfatalniejszy* ze wszystkich błędów narodowych, sojusznik zniszczenia i exterminacyi, zasługuje na szczegółowe zbadanie. Hołduje mu widać i szanowny recenzent, gdy się

tak żywo oburza na nasze słowo, jakoby z r. 1863 epoka konspiracyi na zawsze była zamkniętą, gdy mu nie przypada do smaku twierdzenie, jakoby konspiracya od r. 1831 zacząwszy w miarę chybionych swoich przedsięwzięć na racyi bytu traciła. Wykazawszy, jak nam się zdaje, dosyć dowodnie, że konspiracya, jako dążenie do niepodległości, jest z natury swojéj nieodpowiadającą i rozmijającą się ze swoim celem, opieramy się na tych dowodach i twierdzimy z całą siłą przekonania, że cel jéj oddalać się musi w miarę, jak obóz obywateli powiększać się będzie, jak dzięki propagandzie patryotycznéj lat tylu, wzmacniać się będzie owa warstwa na górze, którą nazwaliśmy naturalnym rządem, ton dającym społeczeństwu w latach niewoli, warstwa ludzi znakomitych pracą, inteligencyą, majątkiem *), a nadewszystko pewném poczuciem narodowych obowiązków; w miarę nareszcie, jak żadna przeszkoda prawa lub przywileju nie będzie oddzielać stanów narodu od siebie. Warstwa ta rządząca i ton nadająca będzie utrzymywała konspiracyę naturalną, ale nie będzie zaiste skłonną do konspiracyi politycznéj, częścią dlatego, że w własném poczuciu narodowéj myśli będzie widziała gwarancyę przechowania narodowości, częścią dlatego, że nie opuści jéj nigdy trafność sądu o trudności przedsięwzięcia. Nie idzie zatém, aby ta warstwa, grubiejąca z dniem każdym, miała zapomnieć o niepodległości, aby miała się wyrzec przyszłości, aby miała zastrzęgnąć w interesie materyalnym, bo gdyby tak było, gdyby ją struła każda koncesya rządu, każdy uśmiech fortuny, jakże tę warstwę zmuszać do powstania, jakże przypuszczać, że jaka przyszłość jest przed nami? Przeciwnie, twierdzić można z zupełną słusznością, że wszystko, co zapracuje czy na materyalném polu, czy na intelektualném, stanie się nową dla narodu siłą, kapitałem żelaznym na wszelką przyszłość. Powiemy więcéj, że konserwatyzm jéj i reakcyjność, o które ją przychylne konspiracyi pomawiają głowy, jest w przeważnéj

*) Zastrzegamy się najmocniéj, że pod ową warstwą stanowiącą ów moralny rząd niewolnego społeczeństwa, nie rozumimy ani jakiéjś hierarchii kastowéj, ani pieniężnéj, ale sumę tych wszystkich w dojrzałym wieku obywateli, którzy o sprawach kraju pewną mają i głośną opinię, którym stanowisko pewien wpływ na społeczeństwo zapewnia.

części skutkiem samejże konspiracyi, przedsięwzięć nieobrachowanych i samozwańczych, jest skutkiem owego nacisku sztucznego, który sprowadza osłabienie, bo nie był skutkiem przekonania. Terroryzm jest ojcem cynizmu i odstępstwa, uzurpowanie przywileju na patryotyzm, źródłem tysiącznych waśni i niesnasków społecznych. Kto zna polski charakter, wie, że prześladowania od swoich i szczucia nienawidzi, że bierze na kieł i wybiega pod takiemi wpływami zbyt często z narodowéj kolei.

W wytworzeniu warstwy narodowéj, zgrubieniu jéj przyznaliśmy konspiracyi zasługę i oddaliśmy cześć jéj męczennikom. Imiona ich pozostaną na zawsze w panteonie chwały narodowéj. Przyznaliśmy niemniéj zasługę jéj w inicyowaniu reformy społecznéj. Cokolwiek konspiracya zrobić mogła, dokonała: nie przydałby się na nic rachunek, ile to kosztowało, na nic rekryminacye, że tyle kosztowało, bo była wypływem społeczeństwa moralnie podupadłego, kastowo rozdzielonego, w myśl narodową ubogiego. Czczość porozbiorowych czasów była jéj matką, miłość ideału narodowego ojcem. Nie dziw, że rodzice tacy wydawali poronione płody. Nie będziemy twierdzić, aby dzisiaj społeczeństwo nasze stało na stanowisku doskonałości narodowéj, nie będziemy twierdzić, aby nie potrzebowało bodźca, szczególniéj po katastrofie 1863, owszem powiemy, że dzisiaj, po nieobrachowanych klęskach, przychodzi nam prawie zaczynać *ab ovo*, od uprzątania rumowisk strasznego pogorzeliska. Ale bądź co bądź, doszliśmy do téj chwili stanowczéj, gdzie nam się daléj ryzykować nie wolno, gdzie zewnętrzne i wewnętrzne okoliczności żądają po nas skrzętnéj pamięci o pozostałym kapitale przeszłości, nadewszystko zaś: doszliśmy do chwili, w któréj upadła ostatnia zapora kastowa przez dokonane w Królestwie Polskiém uwłaszczenie. Doszliśmy do dna naszego narodowego kapitału, nie mamy już nikogo, aby go wezwać do wspólnego stołu, w imię obietnicy wolności. Czy możemy obiecywać co więcéj, co nieprzyjaciel nasz z wszelką dótrzyma gotowością? Czy z liberalizmu mamy zejść na socyalizm? Czy młode siły podszczuwać mamy na starsze, szukać w nich alfy i omegi narodowego poczucia, negując te, które konspiracye lat dawnych wychowały? Byłby to obyczaj Saturna zjadania własnych

dzieci. Czy szalonemi zamachami podobnego rodzaju mamy pchać do odstępstwa tych wszystkich, którzy z kataklizmu coś uratowali? Innych przecież środków niema dzisiaj konspiracya i nie może ich mieć nigdy. Jeżeli zaś potrzeba jéj ma wychodzić z upadku ducha narodowego, z zaprzaństwa, z konieczności elektrycznego wstrząśnienia, to potrzebie téj przeczymy stanowczo i wskazujemy na zastęp narodowy stojący na czele społeczeństwa, zastęp ludzi pracy, wiedzy, majątku, i twierdzimy, że w razie dalszych *experimentów in anima vili* nie postęp narodowy, ale zupełne ubezwładnienie go czeka. Widzieliśmy naocznie w r. 1863, że udział warstwy dojrzałéj, w przygotowawczych do powstania pracach był niesłychanie małym, że w obozie przeciwnym wybuchowi znajdowali się ludzie wszelkiego stanu i opinii politycznych, że na czele ruchu stanęli sami wyłącznie ludzie młodzi, nieznani i nieznający społeczeństwa. Widzieliśmy, że ilość ludzi z warstwy przodkującéj a udział biorącéj miała się w odwrotnym stosunku do swéj liczby, niezawodnie wielekroć większéj od kontyngensu lat poprzednich. Widzieliśmy, że owa warstwa tworzyła osobny o tym samym celu ale o innych środkach obóz i zyskała nazwisko b i a ł y c h w przeciwieństwie do c z e r w o n y c h. Nie było tu już kwestyi demokracyi lub arystokracyi, kwestyi niepodległości lub uległości, nie było nawet kwestyi opozycyi lub popierania rządu, bo oba rzekome stronnictwa były w opozycyi — była to kwestyi rostropności lub nierostropności, pędzenia na oślep lub wyczekiwania, kwestya młodocianego szału lub męzkiéj rozwagi, kwestya nareszcie rządzenia społeczeństwem za pomocą naturalnych lub nadzwyczajnych środków. Koniecznym skutkiem obu stronnictw było tarcie obopólne, odrzucanie i negowanie się wzajemne, bunt młodych przeciw starym, propaganda warstwy niższéj nie samym patryotyzmem, ale nadziejami społecznego przewrotu. Z przykładu tego widzieć możemy, że w z m o c n i e n i e w a r s t w y p r z o d k u j ą c é j, któréj przyznajemy naturalną dyspozycyę społeczeństwem narodowém, p o c i ą g n ą ć m u s i z a s o b ą c o r a z s i l n i e j s z ą j é j n i e c h ę ć przeciw wszelkim samozwańczym usiłowaniom konspiracyjnym a kontyngens konspiracyi ograniczyć do licznego ale tém niebezpieczniejszego za to zastępu ludzi młodych, luźnych, niedoświadczonych a zarozumiałych, którzy rzuciwszy

się raz na drogę przodowania, wytrąceni z prawidłowéj służby dla społeczeństwa, prześladowani przez nie i niechętnie widziani, ograniczą się znowu do żywiołów młodszych od siebie, wrażliwych a niemających wykształcenia. Jeżeli pomiędzy rokiem 1831 a 1848 konspiracya kształciła obywateli z narodowém poczuciem, to po r. 1863 mogłaby wydawać tylko anarchistów po jednéj, zakamieniałych na wszelki rozwój i obawiających się każdego żywszego ruchu po drugiéj stronie.

Dodajmy do tego wzgląd, że wśród klęsk konspiracyami sprowadzonych, rozrósł się bujnie żywioł, który z nich korzystał, który się wśród nich egoistycznie zachował. Do tego żywiołu rachujemy wszystkich owych spekulantów, finansistów, dorobkiewiczów, którzy zagarnęli ognisko nasze, zrujnowane w sprawie ojczystéj; rachujemy żydów, którzy od czasów upadku rosną w potęgę materyalną z szybkością niepraktykowaną. Łatwo to pocieszać sią miłém spostrzeżeniem, że nie jeden z potomków tych ludzi poniósł na ołtarz naszéj sprawy majątek i życie, ale trudno zaprzeczyć, że praktyczny zmysł ogromnéj większości nie da się zaprzągnąć do idealnego wozu naszych politycznych Ikarów; a jeźli rachując się z tym żywiołem, nie powinniśmy tracić nadziei przenarodowienia go, to nie możemy także postępować z nim podług naszego poetycznego widzimisię. Co tu powiedziałem o żywiole obcym, tyczy się w wysokim stopniu naszego ludu. Historya jego rozpoczyna się z dniem uwłaszczenia, poczucie narodowe i obywatelskie rosnąć będzie od tego dnia w miarę życia wspólnego z starszą bracią, w miarę utrzymywania dawnych stosunków, jakim jest religia, nowych, jakim jest gmina. Uwłaszczony raz stał się lud nasz w dwójnasób konserwatywnym, a przedsięwzięcia warstw wyższych będą tak długo obudzać jego podejrzenie, dopóki nie wydzieli z siebie dostatecznego procentu własnéj inteligencyi, dopóki się nią z innemi nie połączy warstwami. Propaganda nieprzyjacielskiego rządu stawiać będzie przeszkody — propaganda sztuczna polskości lub socyalnéj niechęci wyszłaby zawsze na korzyść rządu. W ten sposób pokazuje sie, że konspiracya jako środek dalszego kształcenia ludu i narodu byłaby zupełnie chybioną, cofając wstecz to, co się zyskało, a nie zyskując tego, co wymaga czasu i zachodu. Gubiłaby ona zasób przeszłości, przewracała pojęcia nowego

zastępu; który zwolna tylko do narodowych wznieść się może pojęć, stawała w sprzeczności z wrodzonym każdemu człowiekowi i narodowi instynktem zachowawczym, popadała w negacyę, coraz szersze koło rodaków obejmującą a udając się w odepchnięciu swojém do poszkodowanego lub chciwego zysku proletaryatu, sprowadzićby musiała kataklizm, w którymby eksterminacya ostateczne odniosła zwycięztwo. Czy mamy zwrócić jeszcze uwagę na to, że rządy zaborcze najlepszą pod tym względem dają nam wskazówkę, rzucając się po każdym ruchu na wszystko, co nawet bywało przeciwném konspiracyi znajdując w niéj najwyborniejszy pozór tępienia wszystkich narodowości objawów? Oczywiście musimy, skoro szanowny recenzent w sążnistym okresie, wyliczającym, co pod rosyjskim rządem konspiracyą się nazywa, chce w złéj wierze nieprzyjaciela poczytującego każdą opozycyę za konspiracyą widzieć poparcie konspiracyjnego systemu. Szczególniejsze to rozumowanie, chociaż nie przyznam, aby miało być nowém. Czy nie prostszém i nie naturalniejszém wytłómaczeniem tego objawu są korzyści, które nieprzyjaciel z konspiracyi wyciąga?

Potępiając konspiracyę polityczną, nie mieliśmy, jak o tém recenzent przekonanym być musiał, skoro naszemu zdaniu o pracy organicznéj przyklasnął, naturalnéj opozycyi narodowéj, którąśmy nazwali konspiracyą naturalną na oku, nie bluźniliśmy przeciw ideałowi niepodległości, który nas nie opuści, dopóki narodem być nie przestaniemy. Pojmowaliśmy epokę konspiracyi, jako jednę z epok porozbiorowego życia, a dzisiejszą chwilę jako rozdroże, otwierające nam prospekt na normalny rozwój społeczeństwa w danych warunkach lub anormalne wyczerpywanie sił społecznych. Owe dane warunki są niesłychanie ciężkie, w przeważnéj części ziem polskich pozostał tylko jeden węzeł — rodzina. Ale czyż osłabienie, rozpacz, usprawiedliwić mogą jakikolwiek czyn zbiorowy, rozpoczęty w skrytościach społeczeństwa? Wolno ryzykować się samemu, ale nie wolno ryzykować narodu. Płonne to zresztą przypuszczenie, że konspiracya jest jedyną uciśnionego społeczeństwa bronią. Widzieliśmy ją często a i w ostatnich czasach powstającą z osłabienia mikołajowskiego ucisku, z otwierającéj się lepszéj dla narodu doli. Najprzykrzejsza to z prawd, którę powiedzieć jesteśmy przymuszeni, ale nie przestaje być

prawdą. W przekonaniu, że ta lepsza dola zepsuje naród, że go przyprowadzi do zapomnienia o idei narodowéj, rozpoczynała ona robotę najtrudniejszą, robotę saméj niepodległości. Przypuszczała, jakeśmy to w naszéj broszurze powiedzieli, że ten, co się lada ochłapem łaski nieprzyjaciela struje, wystarczy do wykonania najtrudniejszego dzieła. Z tém przypuszczeniem raz nam zerwać należy, należy nam do tyla zaufać, że suma jego pracy dziejowéj, jego umysłowego nabytku nie jest tak szczupłą, aby od własnego społeczeństwa za nic uważaną i tak łatwo sprzedaną być mogła. Należy nam zaufać, że bez sztucznych środków organizacyi i przysiąg, społeczeństwo nasze w instytucyach swoich, w gronie ludzi wykształconych, w rodzinie nareszcie, gdzie co innego nie pozostało, doczeka się lepszéj dla siebie doli, przyjaźniejszych dla siebie konstelacyi, że się o jego cywilizacyjną i obyczajową wyższość rozbije nawet barbaryzm, że jeżeli konspiracya od kółka ludzi ze sobę związanych oczekuje niepodległości, społeczeństwo z większą daleko słusznością może się spodziewać odrodzenia od wielkiego pnia narodowego, choćby najsrożéj był prześladowanym. Tutaj zarazem znajdujemy punkt zaczepienia naszéj polityki prowincyonalnéj. Jeżeli nie wolno zbawiać całości wychodząc z ciasnego koła, najszczytniejszą chwytającego chorągiew, to wolno zaiste ratować narodowość, choćby w małym skrawku ziemi, któréj Opatrzność lepsze pozostawiła warunki. Jeżeli nie wolno brać sprawy narodowéj w monopol pojedynczych, to każda piędź ziemi polskiéj, ma w normalny sposób prawo tém większe stawania za całość i reprezentowania całości, im więcéj ta całość jest zagrożoną. Stawanie to zaś wtedy tylko może się redukować do prostéj abstinencyi i opozycyi, gdzie narodowość wprost, jak się stało w W. Księstwie poznańskiém, przez rząd zaborczy zaprzeczoną została.

Kończąc rzecz naszą, czy mamy wyznać, ile nas kosztuje walka z przeciwnikiem, który nierówną z nami walczy bronią, który mówi to, co się zwykle podoba, pozostawiając nam do powiedzenia to, co się nie podoba, o czém wyrzec musimy: *infandum jubes renovare dolorum.* Czy mamy powiedzieć, że pomimo naszéj negacyi tylu utartych u nas wyobrażeń, wierzymy mocno, że nie zginęliśmy i nie zginiemy, jeżeli trafnie chwytać będziemy znamiona czasu, jeżeli będziemy posiadali

tę muszkularną elastyczność charakteru, która umie się podporządkować ewidencyi doświadczenia? Czy mamy powiedzieć, że naród chociażby długo uciśniony nie utracił warunków niepodległego bytu, jeżeli zamiast wyczerpać się w nieustannéj ekspektoracyi swoich uczuć, umiał skupić się w sobie i rozkorzenić, niby ziarno przydeptane stopą szatańską? Czy mamy wskazać przykłady Węgrów i Czechów, tych Czechów, którzy się odrodzili z kilku gałązek bluszczu, rosnącego na starych ruinach a dzisiaj zawstydzają nas pracą około ludu, oświaty i narodowości? Nie! na jednéj tylko uwadze położymy cały nasz przycisk. Chcąc nowe rozpocząć życie nie trzeba miary i patryotyzmu brać z czasów, kiedy spoczywał w pieluchach, kiedy idea niepodległości była aniołem stróżem młodego pokolenia, wiodącym go za pomocą sennych marzeń i natchnień w życie poświęcenia i męczeństwa, kiedy wielkość i szczytność idei zaślepiała nas na braki rzeczywistości. Dzisiaj patryotyzm ma pochmurzone od cierpień czoło, schylone od nadmiaru boleści barki. To już niemłody, to stary patryotyzm, który tyle tysięcy widział ginących przed sobą, który widzi szalony pożar posuwający się coraz daléj w dziedziny ojczyste... Taki patryotyzm przypuszcza dyskusyę, bo z sfery uczuć i przeczuć, z sfery teoryi i ogólników musiał on pod wagą strasznéj rzeczywistości przyjść w sferę rozumu i praktyki, musiał się nauczyć rostropności. Do dalszéj dyskusyi takiego rodzaju, w duchu takiego patryotyzmu jesteśmy zawsze gotowi, ryzykując wszystko, choćby nawet umieszczenie oderwanych ze złą wiarą zestawionych ustępów pracy naszéj w *Dzienniku warszawskim.*

II.

Przechodzimy do odpowiedzi na list otwarty p. Floryana Ziemiałkowskiego, wystósowany do nas pod datą 7 kwietnia 1867. Spowodowanym on został artykułem naszym, umieszczonym w zeszycie *Przeglądu polskiego* z kwietnia b. r. pod tytułem: Uchwała 2 marca i delegacya do Rady państwa.

W życiu publiczném mało jest rzeczy przykrzejszych jak stanąć w sprzeczności z ludźmi, których się ze wszech miar wysoko stawia i poważa; w zawodzie publicysty do gorszych chwil należy ta, w któréj on zmuszony jest wystąpić lub się bronić przeciw głosowi, za którym radłby iść zawsze i w ka-

żdéj okoliczności. A przecież trafia się niekiedy, że w jednym względzie lub w jednym wypadku nie możemy się zgodzić nawet z ludźmi z którymi łączy nas cała prawie summa zasad i wyobrażeń, zdarza się, że wypadnie człowiekowi odeprzeć zarzut pochodzący z ust, z których pragnąłby przyjmować tylko nauki i rady.

W takiém położeniu stawia mnie „List Otwarty“ pana Ziemiałkowskiego z dnia 7 kwietnia b. r. Wszelka, najprzyjaźniejsza nawet i najżyczliwsza polemika z szanownym posłem, jest mi tak niemiłą, że cieszyłbym się prawie gdybym na list jego mógł odpowiedzi nie znaleźć. Gdy jednak p. Ziemiałkowski w zakończeniu swojéj odezwy wzywa mnie wprost, ażebym wytłómaczył co rozumiem przez ów grunt na którym zdaniem mojém delegacya nasza w Wiedniu stanąć powinna, a o którym mówiłem w artykule moim o uchwale sejmowéj z dn. 2go marca, rad nie rad muszę dać to tłómaczenie. Milczeć bowiem znaczyłoby tyle co podać się w posądzenie, że nie rozumiem com mówił i nie wiedziałem czegom chciał; a pod taką wątpliwością jak to każdy przyzna, zostawać nikomu nie jest miło.

Mówi więc najprzód pan Z., że w inkryminowanym artykule moim zarzuciłem sejmowi „abdykacyę“ a zarzutu tego ciężkiego nie usprawiedliwiłem. A przecież wierzyć mi może szanowny poseł, że słów tych nie rzuciłem na wiatr, że nie wyrwała mi ich złośliwa i nikczemna chęć poniżenia czy sejmu czy pojedynczych jego członków, ale że pisałem je z sercem prawdziwie zbolałem. Żem nie chciał jątrzyć ani poniewierać tego dowodem, pochlebiam sobie, może być właśnie owe pismo moje, a szanowny poseł sam przyznaje mi pewne umiarkowanie.

Czy atoli właśnie to słowo „abdykacya“ które szan. posła tak rozżaliło, było użytém niewłaściwie, to rzecz inna. Śmiemy twierdzić, że nie, i ufamy sobie, że tego dowiedziemy.

Od chwili ogłoszenia konstytucyi lutowéj panowało „w całym kraju“ (z wyjątkiem partyi śto Jurskiéj) przekonanie, że instytucya Rady państwa tak jak ją owa konstytucya stworzyła, jest zgubną dla naszego kraju i dla naszych praw narodowych. Wyrazem tych przekonań było zastrzeżenie pierwszego sejmu przy wyborze pierwszéj delegacyi, które, równie jak jego po-

wody szanownemu posłowi pamiętném być musi. Kilkoletnia praktyka Reichsrathowa i doświadczenie, nie osłabiły tego przekonania, ale je wzmocniły; świadczy o tém adres „dziękczynny“ podany do cesarza po zawieszeniu Rady państwa przez sejm w roku 1865, świadczy jeszcze wyraźniéj adres z miesiąca grudnia 1866 r., żaden zaś dobitniéj i lepiéj, jak ten który wyraźnie odmawiał prawomocności jéj uchwałom, a który przyjęty w pozasejmowych naradach i w ogólnéj rozprawie, cofniętym został na dniu 2gim marca. Zdaje się więc, że było zasadą naszéj krajowéj polityki, opierać się zwoływaniu i uchwałom Rady państwa? Nie zaprzeczy mi pan Z. że było zasadą, i że jeżeli jest zasada wskazana naturą stósunków i oparta na logice i praktyczném doświadczeniu, to właśnie ta. Odstąpienie zaś od zasady jak się nazywa? Apostazyą jeżeli chodzi o zasadę religijną; jeżeli zaś chodzi o zasadę polityczną, natenczas odstąpienie jest w najlepszym razie słabością. Jeżeli słabości téj dopuści się człowiek prywatny i nic nieznaczący, to przecież opinia go karci i rzadko kiedy usprawiedliwia; jeżeli ją popełni ciało, które powinno być treścią i głową narodowego życia w prowincyi, tak jak jest jego najwyższym wyrazem, to czém ta słabość będzie? jak ją nazwiemy? Co dla prywatnego obywatela jest złém, miałożby stać się dobrém przez to samo, że przez sejm było spełnione? Nie; uchybienia tego rodzaju rosną w stósunku prostym do stanowiska tego, kto uchybił, a większa powaga jest właśnie okolicznością obciążającą. Nikt odemnie więcéj reprezentacyi kraju nie szanuje, ale źlebym tego uszanowania dowodził, gdybym wszystko co sejm zrobi, uważać miał za dobre dla tego, że przez sejm zrobione. Zdaje mi się, że wytknąć złe jakie zrobił śmiało i odważnie, jest takim samym obowiązkiem, jak tłómaczyć go, uniewinniać i zasłaniać. Uniewinnienia z naszéj strony nie brakło; lecz czyż mogliśmy się wbrew naszym osobistym przekonaniom wstrzymać od zarzutu? Kto wytykając błędną wedle zdania swego drogę, tłómaczy jéj motywa, jakeśmy je wytłómaczyli, ale konstatując ją jako fakt dokonany, przestrzega przed konsekwencyami błędniejszemi jeszcze, ten zaiste nie daje sejmowi votum nieufności, ale zaufania; ten nie przemądrza go, ale przyjmuje jego postanowienia, jako wychodzące z motymów sumiennych i głębokich.

To w odpowiedzi na słowa pana Z., według których sejm miałby przestać być reprezentacyą kraju, gdyby zarzut uczyniony w piśmie mojém okazał się prawdziwym zarzutem.

Ale pan Ziemiałkowski zaprzecza nie już kwalifikacyi faktu, lecz faktowi samemu. Podług niego uchwała z dnia 2go marca nie była ani słabością ani poświęceniem zasady, a wycofanie adresu stoi w zgodzie z całém postępowaniem dawniejszém, i jest tém samém zupełnie, czém byłoby uchwalenie tego adresu. „Sejm, mówi pan Z., uznał adres za wyraz „swych uczuć i przekonań“ a przeto „każdy bezstronny przy„zna, że rzeczy o którą właściwie szło, stało się zadosyć, bo „przecież nie adres jest rdzeniem kwestyi, ale wypowiedzenie „w obec rządu i świata, że potępiamy system centralizacyjny „a chcemy autonomii narodowéj i systemu federacyjnego.“ T a k j e s t, o t o w y p o w i e d z e n i e c h o d z i ł o, n i e o a d r e s, t y l k o ż e b e z a d r e s u w y p o w i e d z e n i e t o n i e j e s t m o ż l i w é m, a m o ż l i w é m j e s t t y l k o w a d r e s i e i p r z e z a d r e s lub w czynie i przez czyn (w naszym wypadku czynem tym byłoby wstrzymanie się od wyboru delegacyi). Jakto, mowy posłów choćby, najlepsze, najdłuższe, najświetniejsze, mają znaczyć tyle, co akt urzędowy? dyskusya tyle co uchwała? Czy tak? z ręką na sercu, czy tak? Czy głos p. Grocholskiego, p. Krzeczunowicza, p. Wodzickiego, p. Ziemiałkowskiego jest tak samo objawem żądań kraju, testamentem jego politycznéj wiary, programem jego postępowania jak uchwała sejmu? czy w obec rządu i świata to samo ma znaczenie i na to samo wychodzi? Oddaję p. Z. sprawiedliwość z najszczerszego serca jak mu ją wdzięcznie oddał kraj cały, że wycofaniu adresu dał formę najgodniejszą kiedy oświadczył i Izbie podał do uchwały, że „sejm uznaje adres za wyraz swoich uczuć i przekonań, ale zmuszony, cofa go pod naciskiem.“ Przyznajemy chętnie, że te słowa mają swoje znaczenie, że ratują po części i sejm i sytuacyę delegacyi w Wiedniu, ale nie możemy przyznać, żeby pomiędzy temi słowami a uchwaleniem i wysłaniem adresu jedyna tylko zachodziła różnica „formy.“

Gdyby w zgromadzeniu prawodawczém francuskiém w roku 1789, kiedy ono przystępowało do głosowania nad deklaracyą praw, był się ktoś odezwał że po wypowiedzeniu „w mowach uczuć i przekonań“ można zaniechać téj zbytecznéj, niepotrze-

bnéj „formalności“ uchwalenia deklaracyi! Gdyby sejm węgierski był się bez téj formalności obszedł w roku 1861 i 1866? czyby to było wyszło na jedno? czy byłoby się „stało zadosyć temu o co właściwie chodziło“? Nie; w polityce, w życiu parlamentarném chęć nie staje za uczynek, a dyskusya nad adresem za adres!

Chciałbym jeszcze odpowiedzieć panu Z., że dążność do przymierza ze Słowianami w Austryi nie płynie u nas z przekonania jakoby droga do Polski wiodła jedynie przez Słowiańszczyznę, ale ztąd raczéj, że pomiędzy supremacyą Niemców i Węgrów nie wiem jakich znaleźlibyśmy w Austryi sprzymierzeńców ku obronie i pomocy jeżeli nie Słowian, i ztąd, że im daléj od tych Słowian odsuwać się będziemy, tém bliżéj oni przysuwać się będą ku Rosyi. Chcielibyśmy powiedzieć, że wierni zasadzie federacyjnéj, którą za jedynie prawidłową dla monarchii uznajemy, nie tylko dla tego jesteśmy przyjaciołmi Słowian, że są Słowianami, że mówią językami spokrewnionemi z naszym, że radzibyśmy ich widzieć nieszukających punktu ciążenia po za granicami państwa, ale dla tego, że dualizm węgiersko-niemiecki, zaliczający nas do Cislitawii uczynił z nich naturalnych sprzymierzeńców naszych w obec sprawy federacyjnego ukonstytuowania monarchii. Chcielibyśmy powiedzieć, że ową oświadczoną chęć „stania przy Austryi“ nie pojmowaliśmy nigdy jako bierną uległość, koncesye okupywać mającą, ale jako żywy współudział w losach jéj, najściśléj od wewnętrznego jéj urządzenia zależnych, jako zobowiązanie się do prawdomównego wypowiedzenia opinii naszéj krajowéj i narodowéj o każdéj zmianie kierunku z góry, przestrzeżenia przed tém, co nam się dla nas i dla monarchii szkodliwém być wydaje. Chcielibyśmy nareszcie powiedzieć, że słów przytoczonych z „Dziennika Warszawskiego“ użyliśmy nie jako pożyczonéj od Moskala broni na swoich, ale jako dowodu, że uchwała z 2go marca ma różne złe strony poboczne z których nieprzyjaciel skorzystać nie omieszkał; chcielibyśmy powiedzieć, że pomiędzy zwołaną przez byłego ministra Radą nadzwyczajną, a dzisiejszą „Radą konstytucyjną“ zachodzi nie sama tylko różnica nazwy, bo pierwsza miała mieć głos doradczy tylko a przeto niebezpieczną dla nas być nie mogła, podczas kiedy druga, w swoim fatalnym dla nas składzie,

stanowczo będzie rozstrzygać o naszém w państwie stanowisku. Chcielibyśmy rozszerzyć się nad tém cokolwiek, ale odpowiedź ta już i tak zbyt wielkie przybrała rozmiary, a pozostaje nam jeszcze odpowiedzieć na najważniejsze pytanie pana Z. i wytłómaczyć, co rozumiemy przez ten grunt wspólny, na którym radzibyśmy widzieli delegacyę naszą w Wiedniu.

Nie sądziłem doprawdy, żeby rzecz ta potrzebowała wyjaśnień i mniemałem, iż każdy dorozumie się łatwo, że gruntem tym wspólnym może być tylko ów przez sejm cichaczem wypowiedziany „wyraz uczuć i przekonań kraju"—adres. Wypowiedzieliśmy to przy końcu artykułu naszego w słowach: „Milczenie nałożone sejmowi groźbą rozwiązania, uczyniło delegacyę spadkobierczynią moralną adresu sejmowego." Pomimo wszystkich zarzutów jakie w swoim czasie robiły mu dzienniki, a które jak sądzę odnosić się musiały do układu i stylu a nie do treści, jest on nie „słabym i wodnistym" ale prawdziwym wyrazem uczuć i przekonań kraju, wyrazem zgodnym z zasadami wyznawanemi przez kraj od lat sześciu niezmiennie, a wyrazem tém potrzebniejszym dzisiaj, że delegacya nasza znajdzie się w Wiedniu sama jedna w obec większości sztucznéj, nieprzyjaznéj, a rozstrzygającéj o losach naszego kraju, że się znajdzie w obec konstytuanty. Co to za położenie, mieliśmy świeżo przykład na nieszczęśliwych posłach wielkopolskich w sejmie północno-niemieckim. Zamiast związku północnego, będzie Cislistawia, a zresztą ta sama niezawodnie sprawiedliwość, i to samo szlachetne i godne używanie siły, większości. Jak się w obec tego zachować, jaki mianowicie krok podyktuje delegacyi rozum i patryotyczne sumienie, tego dziś przesądzać nie można, ale już dziś każdy przewidywać musi, że jedyną podstawą operacyi, jedyną bronią tych którzy walczyć będą za odrębność i narodowość naszego kraju, nie może być nic innego jak adres. Jest on bowiem wiernem odbiciem całéj naszéj długoletniéj polityki w obec rządu i Rady państwa, a nawet kiedy został odłożonym, jeszcze sejm uznał go za wyraz „uczuć i przekonań", czyli zasad „całego kraju." Ile więc razy Rada państwa uchwałą jaką zechce nas zatopić i rozpuścić w Cislitawii, ile razy zerwie się przeciwko naszéj odrębności czy to narodowéj, czy administacyjnéj, czy ustawodawczéj, t. j. przeciwko naszym przyro-

dzonym, prawdziwie z bożéj łaski prawom (a na wypadki takie musimy być z góry przygotowani), tyle razy delegacya nie będzie miała innéj obrony, jak odwołać się do zastrzeżenia sejmu z r. 1861, do adresu z r. 1865, do adresu z r. 1866, wreszcie do ostatnich ustępów niedoszłego adresu z r. 1867, i powiedzieć, że nasz sejm, kraj i naród, z mocy swojego przyrodzonego prawa i swojéj przez Boga mu danéj odrębności, nie przyznawał nigdy i nie przyznaje większości z obcych złożonéj, prawa stanowienia o nim, a przeto uchwały Rady państwa uważa za nieprawomocne i jego przed Bogiem i sumieniem nie obowiązujące. Nie co innego rozumieliśmy pod owym wspólnym programem wybitniejszym, pod ową polityką, którą sejmowa mniejszość na dniu 2 marca, przez głosowanie za niewysyłaniem do Rady państwa objawiła.

W jakiéj chwili wypadnie delegacyi uczynić ten krok, i czy jéj wypadnie nadać mu formę protestu czy téż wyjść z Rady państwa, o tém mówić dziś nie mogę, bo to zależeć będzie od postępowania większości w Radzie państwa; ale że do tego kroku przyjść będzie musiało nie wątpię, a że jedynym do niego punktem wyjścia będzie adres, ów grunt wspólny o którym mówiłem, to każdemu jest widne. Wyraziłem nadzieję, że delegacya cała stanie na tym gruncie, i tego pragnienia nie wypieram się i teraz, ale wyznać muszę, że pod tym względem nie jestem bez obawy. Lękam się, a to co się stało we Lwowie 2 marca nie znpełnie mnie uspokaja, lękam się by delegacya lub część jéj, nie chciała odstąpić polityki zasad, dla tak zwanéj polityki utylitarnéj.

Jeżeli przed miesiącem można było z jakim takim pozorem słuszności spodziewać się, że ministerium i większość Reichsrathowa, pod groźbą silnego stronnictwa federalnego w Radzie państwa, zachce przyciągać nas koncesyami na swoją stronę, zechce po prostu, kokietować z delegacyą polską, to dziś po tak świetnym dla nich rezultacie sejmu morawskiego i czeskiego, z pewnością trudu tego sobie nie zadadzą, będą zbyt bezpieczni, żeby nas przyciągać potrzebowali, i będą nas po prostu majoryzować. Zasada „*do ut des*“ może być dobra i praktyczna tam gdzie obie strony wzajemnie się potrzebują; w razie przeciwnym strona mocniejsza zawsze powie słabszéj: „nie dam ci nic, a zrobię co zechcę.“ Są pewne wskazówki,

22

które dowodzą, że nie inaczéj myślą obchodzić się z nami w Wiedniu; panu Ziemiałkowskiemu zapewne tajném to nie będzie.

A gdyby nawet te wskazówki były mylne, gdybyśmy za poddanie się pod wyroki Reichsrathu mogli i mieli otrzymać jakie koncesye, to i wtedy jeszcze przestrzegałbym delegacyę przed targiem, choćby i zyskownym. Wierność zasadom zawiodła nas nieraz, to prawda; czyliż z tych zawodów wynosić mamy wyobrażenie, jakoby w polityce ten tylko był mądrym, kto zawsze dla nabytku gotów poświęcić zasadę? Jeżeli tak jest, to nowy ten obłęd polskiéj myśli nie byłby jednym z mniéj zgubnych, a byłby jednym z najmniéj pięknych. Poświęcanie purytańskie korzyści dla zasady, naraża na śmierć głodową, to prawda; ależ poświęcenie ryczałtowe zasady dla korzyści jest ową nierozmyślnością biblijnego Ezawa, który praw swoich pozbył za misę soczewicy, jest oddaniem *à fond perdu* całéj przyszłości. Jeżeliśmy wysłanie do Rady państwa abdykacyą nazwali, to wystawienie téj abdykacyi na targ, musielibyśmy nazwać więcéj jak nienaturalną i ubliżającą zgodą z tymi, którzy nas teroryzmem do abdykacyi zmusili. Przyznamy się, że wielokrotne oświadczenie się takiéj znakomitości jak p. Z. za adresem uspakaja nas, że tego rodzaju zachcenia miejsca mieć nie będą.

P. Z. kwestyonuje mi wyrażenie: „mniejszość sejmowa, polityka mniejszości sejmowéj“. Winienem się i z niego wytłumaczyć. A najprzód, niech mi pozwoli być tém, czém jestem, t. j. członkiem publiczności polskiéj, czytającym gazety i stenograficzne sprawozdania. Jako taki brałem i biorę mniejszość sejmową, jako tę, która uważała adres, czyli zastrzeżenie, za jedyną obronę naszéj odrębności w państwie, naszéj zasady. Dla tego nie chciała go poświęcić, dla tego w głosowaniu imienném oświadczyła się przeciw cofnięciu adresu. Pan Ziemiałkowski twierdzi, że mniejszość ta nie była mniejszością, bo chciała tego samego co większość, i że nie jest stronnictwem politycznem. Jabym myślał, że kto nie był w większości, tém samém był w mniejszości; czy zaś posłowie owi byli poprzednio, lub czy dziś są uorganizowaném stronnictwem, to rzeczy nie zmienia. W owéj chwili połączyli się wszyscy w jednéj i téj saméj zasadzie, zgodzili się na jednę i tę samą po-

litykę. Pan Ziemiałkowski mniema, że to się stało przypadkiem, domyśla się u tych posłów najrozmaitszych pobudek, twierdzi „że nie wszyscy byli przeciwni wysłaniu delegacyi“; a przez to daje do zrozumienia, że głosowali „nie“, bo byli pewni że stanie się „tak“. Wyznam szczerze, że ten ustęp w liście pana Ziemiałkowskiego najwięcéj mnie zadziwił, że nie pojmuję co posła sejmowego skłonić mogło do domysłów, podających w podejrzenie dobrą wiarę głosujących w kwestyi tak ważnéj i tak stanowczéj?.. Wyznam także, że owa różność zapatrywania się na kwestyę nie wydaje mi się przeszkodą w uważaniu mniejszości za koło znaczące i wybitne, skoro owe różne zapatrywania się zeszły się na gruncie jednéj wielkiéj zasady. Żadne stronnictwo nie może myśleć jednakowo aż do drobnych odcieni, boć każde składa się z indywiduów odrębnych.

Czemuż, pyta nareszcie pan Z., nikt nie miał więcéj od komisyi odwagi, i nie podjął cofniętego adresu? Wszak każdy miał do tego prawo; i odpowiada zaraz, że w owéj „solennéj chwili nie było ani jednego posła, któryby sobie był życzył wysłania adresu.“ Ja zapytałbym, czy którykolwiek z posłów mógł podjąć adres i poddać go pod głosowanie jako swój? Czy pan Ziemiałkowski jest tak bardzo pewnym i przekonanym, że adres, w owém chwilowém usposobieniu Izby byłby przeszedł? Wycofanie adresu było błędem, odrzucenie byłoby hańbą — sejm któryby taki adres był odrzucił, byłby rzeczywiście przestał być reprezentacyą kraju. Na to sejmu, kraju, narodu, imienia polskiego nie mógł wystawić żaden z posłów, takiéj odwagi żaden mieć nie mógł; żaden téż nie podjął adresu, ale dla tego tylko, że wolał widzieć adres cofniętym jak odrzuconym — i słusznie.

Nie podjęcie adresu przez jego bezwzględnych zwolenników było zupełnie naturalném. Dziwniejszém bylo to, że po jego upadku wielu z nich przyjęło wybór do Rady państwa. To było tak dziwném, że ani owa nagłość chwili i wypływający z niéj brak czasu potrzebnego do porozumienia się między sobą, ani niepodobieństwo zebrania się na krok jakiś wspólny i zbiorowy, nie może wytłómaczyć dostatecznie téj sprzeczności. Lepszą, a o ile wiem prawdziwszą wymówką jest to, iż skoro delegacya być musiała, uważali oni za dobre i po-

żyteczne, ażeby i ich opinia znalazła w niéj swój wyraz; sądzili, że w łonie delegacyi polityka zasady i polityka interesu zarówno reprezentowane być powinny, a spodziewali się, że w Wiedniu obie te siły ustawią się łatwo do równowagi, że te oba kierunki zbliżą się i spotkają na wspólnym gruncie adresu. Nadzieja ta niejednemu wydawała się illuzyą, dziś atoli przybiera ona niejakie podobieństwo do rzeczywistości. Wierność dla adresu, którą w liście swoim tak silnie wypowiada pan Ziemiałkowski, nada niewątpliwie wielką siłę zasadom i polityce adresu w łonie delegacyi, i dla tego téż list ten, choć mnie zmusił do nader wstrętnéj z przytoczonych wyżéj powodów polemiki, był mi przecież wielką pociechą; a o ile przykrą i bolesną była dla mnie konieczność tego pisemnego sporu z panem Ziemiałkowskim, o tyle jest i będzie mi zawsze miłą i pożądaną każda sposobność przyznania się jawnie i publicznie do tego wysokiego poważania, którém jestem dla niego przejęty.

Józef Szujski.

Kredyt w Galicyi.

Wobec sejmu swojego i Namiestnika znającego potrzeby prowincyi, przedstawia się Galicya jako ciężko chora pacyentka — wybrańcy kraju, jako lekarskie konsylium. Po wyauskultowaniu biedaczki, okazało się, iż używając od lat wielu niezdrowego pożywienia i żyjąc obcém niewłaściwém życiem podupadła na siłach, straciła żywotne soki, cały jéj organizm nadwerężony. — Radzą, lecz jak to zawsze bywa w radach, język srogo grzeszy; podług swéj specyalności, jedni lekarze uważają ratunek jednego organu za najżywotniejszą potrzebę, drudzy chcą przedewszystkiem inne wzmocnić; porozumienie trudne, czas upływa, chora o pomoc woła, bliscy narzekają i szemrać poczynają. Lekarze pełni poświęcenia i najlepszych chęci, uchwalili, choréj radykalnie nie leczyć, lecz podtrzymywać siły; zalecać pokój, cierpliwość i zaufanie w przyszłość, wskazując czas, ten odwieczny środek, jako lekarstwo na wszelkie dolegliwości. I nie mogli inaczéj postąpić przy tak zdezorganizowaném ciele, dla którego léki jeszcze sprowadzać trzeba z centralnego punktu Monarchii, gdzie takowe nie zawsze podług recepty sporządzają i nie kwapią się z ich przysłaniem, w przekonaniu, że diagnosis choroby przedstawiona w przestraszających, niezgodnych z prawdą rozmiarach.

Uważam dwa cierpienia, które spiesznie usunąć wypada, one bowiem wstrzymywać będą wszelki postęp ku polepszeniu, przeszkadzać rozwojowi instytucyi i uregulowaniu stosunków. 1). Podniesienie kredytu krajowego, zabezpieczenie od obcych wpływów, oparcie go na podstawach i źródłach krajowych, a przez to samo uwolnienie kraju od obcego drogiego kredytu który mu jest trucizną.

2). Uwolnienie jak najspieszniejsze Galicyi od służebnictw, rozgraniczenie mięszanych własności, zespolenie (kommasowanie) rozrzuconych gruntów, zabezpieczenie własności. a tém samém podniesienie jéj wartości. W dzisiejszych kajdanach, własność nie może znaléźć odpowiedniego kredytu, produkcya nie tylko że się nie podnosi, lecz cofa, instytucya gminy staje się anomalią, rozbrat i pieniactwo, przybiera coraz większe rozmiary, ubożące już i tak ubogich.

Zastanowimy się najprzód nad kredytem krajowym;

I.

Do niedawna jeszcze kredyt nasz miał następujące źródła: Towarzystwo kredytowe udzielające nader skąpych pożyczek na pierwszą hypotekę, wiedeńską kasę oszczędności nie grzeszącą zbytniem zaufaniem i szczodrobliwością, — żydka z lichwą zawsze do usług gotowego — i nareszcie sprzedawanie produktów naprzód, ze znaczną stratą, jak to mówią sprzedawanie jeszcze zielonego zboża.

Zmieniły się stosunki, instytucyje zagraniczne pod troskliwą opieką, mnożyły się corocznie i ofiarowały nam jak nieszczęśliwym graczom w karty, którzy już w domu żadnych zasiłków znaléść nie mogą, obcy pieniądz, i obcy kredyt. Zmuszeni gnębiącémi potrzebami, zaprzedawaliśmy i zaprzedajemy obcym ziemię naszą. Czy byt właścicieli podniósł się, czy bogactwo Galicyi wzrosło, czy obowiązki względem naszéj sprawy wypełnione, czy nareszcie obcym kredytem, zachowujemy w naszych rękach zarząd i kierownictwo kredytu? Czy kroczymy ku lepszéj przyszłości, ustalając nasz własny kredyt, potęgując bogactwo krajowe, wykazując nasze obfite źródła; niestety zwirem, że tak powiem, zasypane? bynajmniéj; — z cierpliwością bezprzykładną, z pewnym rodzajem podziwienia i zadowolenia, przypatrujemy się postępowi zagranicznych towarzystw kredytowych w Galicyi, poddajemy się ich wymogom, wozimy im miliony w rocznych procentach; zupełnie tak jakby Galicya tak szczodrze od Opatrzności uposażona, nie mogła wcale stworzyć własnego kredytu i utrzymać go.

A czyliż ona na prawdę musi się zaprzedawać hypoteken-bankom, kreditanstaltom i innym rozlicznym bankom stręczącym pieniądz na ojczystą naszą ziemię?

Nad postępem tego zagranicznego kredytu nie zastanawiamy się dostatecznie, pomimo że przybiera olbrzymie rozmiary; można śmiało twierdzić, że już jedna ósma część ziemi jemu zaprzedana, a te odsetki które miały w kraju pozostawać, wzbogacają towarzystwa zagraniczne, ze szkodą towarzystwa kredytowego galicyjskiego. Przyjdą niebawem czasy, że się zagraniczni o ziemię naszą upomną; niemal wszystkie te banki zastrzegły sobie statutami, licytowanie majątków obdłużonych w stolicy państwa, w razie naszéj nieakuratności; akuratność zaś, nie była nigdy naszą narodową cnotą.

Dobrodziejstwa spływające na kraj obcemi pieniędzmi wywierają wpływ szczególniejszy nie wiem czy dobroczynny, bo gdy porównamy stan majątków przed temi dobrodziejstwami, że stanem ich dzisiejszym przekonamy się, że ten ostatni jest gorszy i że grozi upadkiem majątków.

Statystyczne wykazy rządowe dowodzą, że w ostatnim lat dziesiątku w proporcyach zastraszających zmniejszyła się w Galicyi produkcya zboża, wódki, koni, bydła i owiec, dowodzą zatem upadku, a nie polepszenia.

Łudząca to pomoc, szkodliwa dzisiaj, zgubna na przyszłość, utrzymuje kraj w niemowlęctwie, uczy go żyć obcemi sokami, uczy zaniedbywać własne bogactwa, i obcym więcéj jak nam korzystać z nich dozwala.

Obrachowawszy procenta, koszta różnego rodzaju, podróże itd. pokaże się, że pożyczający gorszy robi interes, jak w krajowym instytucie kredytowym, a cóż dopiéro powiedzieć o pożyczkach w srébrze a zatem w srebrze procentowanych — jakiemiż one grożą niebezpieczeństwy! Jakąż lichwę płacić będą, gdy agio dojdzie do wysokości 49 procent, na jakiéj srébro stało w 1859 r.

Sąsiad mój znaczną bo przeszło 100.000 zł. wynoszącą pożyczkę w srèbrze zaciągnął; podnoszące się agio co roku mu procent podnosi i daléj podnosić może; produkcya ziemi jego nie nastarczy tym wymogom, a gdy przy najmniejszéj burzy europejskiéj, zachwieje się wartość papierowego pieniądza a niekoniecznie podniesie cena produktów, jak tego doświadczaliśmy już nieraz w jakiém świetle przedstawi mu się ów dobroczynny kredyt zagraniczny, który ani uwzględni okoliczności, ani chwili nie poczeka, lecz nie otrzymawszy pie-

nędzy zabierze ziemię? Nie łudźmy się, a spojrzyjmy zimno niebezpieczeństwu w oczy, zachartujmy się przeciw pokusom, ozdobionym w teoryi ponętnemi zyskami, przyznajmy głośno, że ten obcy pieniądz, ten cudzoziemski kredyt prowadzi nas bitą drogą do wywłaszczenia z posiadania; idzie on tą samą drogą, którą szedł pieniądz i kredyt pruski w Poznańskiém, a ten jak wiadomo opanował ziemię w jednéj trzeciéj części, i bez wojska i armat zdobył dla niemców szmat polskiego kraju; przyniósł bogactwo obcym, nam zagładę! Zasady ekonomii politycznéj są dogmatycznej prawdy lecz się nie dadzą zastosować do kraju wyzyskanego na korzyść obcych, do społeczeństwa trzymanego w niemowlęctwie, do systemu który wyczerpywał nasze zasoby na korzyść centralnego punktu Monarchii. Finansowe teorye dobroczynne na zachodzie, u nas wynaradawiają ludność, kraj ubożą, a jeżeli przynieść mają pożytek, muszą być zastósowane do przeszłości kraju i jego obecnego stanu. Mnożące się instytuta kredytowe zagraniczne, doznające najtroskliwszéj opieki, wzrastające kosztem naszym w bogactwo, dowodzą jasno grożącego niebezpieczeństwa politycznego i materyalnego! Utrudnienie reorganizacyi naszego Tow. kredytowego z każdym dniem przysparza obcym pieniędzy, nas uboży; to już samo wskazywać nam powinno jaką drogę obrać mamy. Pieniądz i kredyt zagraniczny, to najsilniejsza broń dla rządu, najniebezpieczniejsza trucizna dla uciemiężonego narodu, pożywa ją jak opium, niepomny na byt i życie braci. Rząd pruski poznał doniosłość tego czynnika i znakomicie go użył: bez gwałtów i prześladowania, z połyskiem postępu i dobrodziejstwa świadczonego, z pod nóg naszych ziemię zabierał i nie spoczął, dopóki nie wyrwał z rąk polskich Tow. kredytowego, tak zwanéj Landszafty. Skutki podobnego działania namacalne: obraz przyszłości jasny dla każdego; to samo i nas czeka nieochybnie, jeżeli się nie uwolnimy ze szpon zagranicznego kredytu; a nie stworzymy własnego na rodzinnych podstawach.

Niech dziś usuną służebnictwa, niech własność będzie zabezpieczoną, i niech ustanie zamęt stosunków, podtrzymywany ustawicznie, pracowitą ręką biórokracyi, niech kraj się wydobędzie ze sprawiedliwości sądowo-politycznéj, a z pewnością kupcy zagraniczni na dobra, pociągną zaraz szlakiem, którym

ongi ciągnęli urzędnicy, do téj żyznéj Galicyi. Za lat kilkanaście, dziwić się będziemy że w sejmie rozpocznie się dyskusya, czy protokołów nie wypada i po niemiecku drukować. Pożyczki zagraniczne na dobra galicyjskie udzielane, to forpoczty głównéj nieprzyjacielskiéj armii, która tylko czeka chwili sprzyjającéj do wkroczenia, niosąc postęp, światło i pieniądz dla Galicyi.

Mimowolnie stają mi w pamięci słowa ministra Bacha, wypowiedziane z podziwienia godnym cynizmem w roku 1852. Gdy mu deputacya oświadczyła, że Galicya nie jest w stanie opłacać wzmagających się podatków i że niebezpieczeństwo grozi wywłaszczeniem, nasz opiekun rzekł: „Rząd nie zna właściciela, jeżeli ten ciężarów ponosić nie może, znajdzie się inny, który tanio kupiwszy dobra, wypłacać się będzie, a w każdym razie rząd podatki wyciągnie i o to troszczyć się nie potrzebuje“. Obnażony system z ubarwienia; przedstawia się w tym prawdziwym obrazie.

Zasady ekonomii politycznéj stosują się do bogatych krajów, do uregulowanych stosunków, do narodów niepodległych, zostających pod pieczą rządów, które w pełni czerpią ze wszystkich źródeł krajowych, i temiż podług potrzeb zarządzają; te same teorye, zastósowane w całości do wycieńczonego kraju i podbitego narodu, okazują się szkodliwemi całemu ustrojowi narodowemu, hamują pracę ku polepszeniu bytu. Doświadczenie nasze kłam zadaje zasadzie ekonomii politycznéj: że wszędzie konsument płaci koszta producenta, tak w przemyśle jak i w gospodarstwie; że pieniądz zkądkolwiek przychodzi, wzmaga bogactwo. W wyssanym kraju na korzyść obcych; w narodzie obowiązanym, swą odrębność na przeszłości opartą, utrzymywać w najdrobniejszych nawet szczegółach, zasady ogólne nie dadzą się zastósować. Pieniądz jest kosmopolitycznéj natury, szuka wszędzie najkorzystniejszego umieszczenia; podnosi byt i potęguje bogactwo kraju do którego wpływa; tak twierdzą finansiści. W Galicyi obcy pieniądz zyski przynosi obcym; swe kosmopolityczne pochodzenie zaszczepia towarzystwem i mową, które za sobą prowadzi, zostawia ślady niezatarte swego pochodzenia; do podtrzymywania ducha narodowego nie pomaga; mojém zdaniem dziś Galicyi nie wzbogaca, a przyszłości szkodzi; nakoniec neutralizuje pracę

wskrzeszenia o własnych siłach kredytu krajowego. Przemysł krajowy stworzony naszemi funduszami, swobodny obrót handlowy, ustalony kredyt własny, na gwarancyach krajowych oparty, produkcya uwolniona z pętów, w których się dotąd ruszała, usunięcie centralizacyi wyzyskującéj nasz przemysł i handel niemal od wieku, oto do czego Galicya dążyć powinna; a gdy na tym stopniu stanie, może wtedy śmiało przyjmować i na swą korzyść zużytkować obcy pieniądz.

Timeo Danaos et dona ferentes! Ten obcy kredyt to pokusa, któréj się ani potrzeby nasze, ani dokuczliwa bieda opierać nie zdoła; barwisty to i ponętny szatan, który zamiast dusz porwie ziemię naszę i sparaliżuje prace około utrzymania ducha narodowego chroniącego się jeszcze w Galicyi. Każdy myślący człowiek przypuszczając dobrodziejstwo obcego kredytu w naszych stosunkach, obowiązany rozwiązać śmiało te pytania: *a)* Czy wyżéj stawiamy dobrobyt i bogactwo zdobyte kosmopolitycznym ustrojem, z zatarciem téj odrębności, która nas od wieku przechowuje jak żaby w gipsowych pokładach; czego nawet rozumni politycy pojąć nie mogą? *b)* Czyli téż wolimy opierać się obcym dobrodziejstwom przemysłowo-finansowym, jak to mówią biedę klepać daléj, a niezmordowaną pracą, własnemi siłami, z wytrwałością dźwigać kredyt i bogactwo krajowe, których źródła obfitsze, jak we wszystkich prowincyach austryackich? Muszę przyznać, że serce i sumienie obywatelskie; instynkt mój polski, wszystko mnie zmusza do odrzucenia tych ofert, ręką obcą i niechętną mi czynionych, odepchnąć rękę która krajowi zawsze szkodę, nigdy korzyści nie przyniosła.

Czy spieszne zreorganizowanie Tow. kredytowego na podstawach odpowiadających dzisiejszym potrzebom, czy wprowadzenie w życie świeżo założonego we Lwowie banku hypotecznego, czy nareszcie założenie banków i domów handlowych pożyczających na produkta krajowe, czy te instytucye nie zabezpieczą kredytu krajowego przez nas samych stworzonego? Czy nie zasłonią ziemi przed grabieżą? Czy bogactwa krajowe na swych podstawach nie mogą się dźwigać, czy nowych źródeł dochodu nie można już wydobyć?

Zdaje mi się, że śmiało odpowiedzieć możemy, affirmacyą, o ile szczerze rękę do pracy przyłożymy, i pod systematem

sprawiedliwszym, pod władzą nam życzliwszą a pojmującą, że nadeszła chwila, w któréj bogactwo wyżéj się ceni, jak wyzyskiwanie krajów na korzyść centra, jak gnębienie ducha narodowego.

W niemowlęctwie trzymani, straciliśmy wiarę w nasze własne siły, wyzyskiwani od tylu lat, przyzwyczailiśmy się do oddawania corocznie jak baranki naszych run, które po strzyży idą do Wiednia; a przecie mamy żywotne siły i nie potrzebujemy pokarmu obcego.

Ileż to lat miliony reńskich wychodziły za granicę na zabezpieczenia od ognia i gradu; a ledwie w ilości odsetków wracały do nas? Ten proceder uważaliśmy za dobroczynny, i poddawaliśmy mu się; bez myśli ratunku o własnych siłach. Za przykładem zabezpieczenia krajowego od ognia, mogą tak samo powstawać banki, domy komisowe i handlowe, na podstawie naszych funduszów, z prawdopobieństwem zysków, a z pewnością dobroczynnego wpływu na kraj; za kredytem dźwignie się przemysł i postawi nareszcie zaporę przed wywozem naszych surowych produktów, co kraj ubożyło na korzyść obcych przemysłowców; nastąpi to nieochybnie jeżeli kraj cały pojmie doniosłość zadania i nieustannie dopominać się będzie o tę także autonomię.

Pod parciem całego kraju, już w roku 1861 zgromadzeni właściciele dóbr, uznali konieczność reorganizacyi Towarzystwa kredytowego; w r. 1863 sejm uznał żywotność téj kwestyi; w r. 1865 uwolnił towarzystwo od bezowocnéj opieki, zabezpieczając mu autonomię, a zatém swobodę zmian i ulepszeń w statutach. Towarzystwo wszakże w roku 1867 stoi nieruchome ze swém skąpstwem; w pożyczkach krępowane, z listami zastawnemi po 70 za 100 bez rozszerzenia swéj działalności, o ile mi się zdaje dotąd, na krakowskie dobra.

Prawdopodobnie Bukowina nie przystąpi do nowéj organizacyi, lecz nie może być przeszkodą do pożytecznych zmian w statutach; jakże sobie tłumaczyć cierpliwość kraju; milczenie znaczących obywateli i orędownika dzisiejszego w galicyjskich reformach? Jak tłumaczyć zwłokę ogólnego zebrania w Towarzystwie kredytowém, i zwłokę w reorganizacyi tegoż towarzystwa? Jak pojąć że członkowie dyrekcyi specyalnie wykształceni pewnie zajęci myślą reorganizacyi i ulepszenia sta-

tutów, nie podali w gazetach planu tych zmian, aby posiadacze ziemi pod rozbiór je wzięli, a publicystyka je w kolumnach swych dzienników dyskutowała?

Zastosowanie Towarzystwa kredytowego do podstaw innych instytucyj i do potrzeb kraju jest dla właścicieli większych posiadłości kwestyą życia na ojczystéj ziemi, jest kwestyą być lub nie być, reorganizacya spieszna i skuteczna może jedynie tamę położyć wyzyskującemu, obcemu kredytowi. Czas traci, czas bogaci; a przewodnicy kraju i ludzie wpływu nie uwzględniają, że z każdym miesiącem zadłuża się nasza ziemia w Wiedniu z uszczerbkiem działalności Tow. kredytowego, ścieśniając na przyszłość pole jego czynności.

Chwila obecna jest pewnie korzystna; mamy przed rządem orędownika z wpływem i znaczeniem. Jeżeli się kraj uporczywie o pozwolenie ogólnego zgromadzenia upominać będzie, on je pewnie otrzyma; a grono interesowanych, o dobro kraju dbających obywateli, przygotowawszy się należycie, reorganizacyę w krótkim czasie przeprowadzi, jeżeli się wstrzyma od tak rozwlekłéj dyskusyi, jak była w tym przedmiocie w sejmie roku 1865. Nie zdaje się znowu prawdopodobném, aby przy dzisiejszém usposobieniu władzy, zapowiadającéj autonomię dla prowincyi, reorganizacya statutów, czekała lata na potwierdzenie, jak to bywało za dawnych systemów. Podstawa autonomii jest żyć o własnych siłach, zarządzać własnym groszem, istnieć na dochodach krajowych.

Podstawa galicyjskiego Tow. kredytowego istnieć nie może; zużyła się ona, a nie zastosowana do potrzeb kraju, nie może wytrzymać konkurencyi z innemi instytucyami tego rodzaju. Skąpe pożyczki udzielane na dobra, kurs listów zastawnych od czasu zaprowadzenia, agio na srebrze, a nareszcie czteroprocentowe papiery, któremi wszechwładny pieniądz gardzi znajdując wszędzie korzystniejsze umieszczenie, wszystko to sprawiło, że Tow. kredytowe ustępuje pierwszeństwa zagranicznym bankom, ze szkodą i niebezpieczeństwem rzeczywistém dla Galicyi.

Od lat wielu pożyczki w Tow. kred. Gal. ustają, a jeżeli tu i owdzie zgłosi się wołający o tę skąpą pomoc, jeżeli gnębiony lichwą a nie znający dróg wiedeńskich, zaciągnie pożyczkę i spienięży listy zastawne po 70 za 100, dopiero prze-

kona się, że ratunku nie znalazł, a oprócz politury operacyi finansowéj i dopełnionego obowiązku względem kraju; obrachowawszy się dokładnie, małą zmianę znajdzie w opłakanym stanie swego majątku.

Zdawałoby się, że organizacya Tow. kredytowego bez trudności przeprowadzoną być może; potrzeba dwóch zmian najżywotniejszych: oszacowania dóbr podług rzeczywistéj ich wartości przez mężów zaufania, jak to bywało w Prusiech i w stosunku do téj wartości udzielanie pożyczek w połowie lub w dwóch trzecich częściach; po drugie: wypuszczenia w obieg pięcioprocentowych listów zastawnych na tę nową pożyczkę.

Ogół przyznaje, że potrzeba odrodzenia Tow. kredytowego jest naglącą, wszakże nie ma téj świadomości i téj przodkującéj myśli, że spóźnienie téj reorganizacyi coraz więcéj uszczupla działalność przyszłego towarzystwa, coraz więcéj ziemi oddając w zastaw zagranicznym spekulantom, i że możemy się zreorganizować poniewczasie. „Za późno“, srogie klęski na państwa i kraje sprowadziło i nas czeka niebawem ten wykrzyknik.

Przygotowany jestem na potępienie z powodu myśli skreślonych tu niewprawném piórem, szczególniéj od tych czytelników, którzy przejąwszy się teoryami finansowemi z pożytkiem na zachodzie w praktykę wprowadzonemi, stosują je w całości do naszych ziem, którzy w swém patryotyczném uczuciu przekonani są, że polepszenie dobrobytu materyalnego, jakimbądź kosztem otrzymanego podniesie nasze znaczenie i poprowadzi prostą drogą ku lepszéj przyszłości; potępienie przyjmę chętnie i z pokorą, powtarzając przecież, że obcy kredyt zwichnie nasze dążności, zatrze pracę ku ustaleniu kredytu własnego, ku pomnożeniu bogactwa krajowego, że nam utrudni obowiązki nasze dla przyszłości, że z płaszczykiem dobrodziejstwa przyniesie nam i szatę kosmopolityczną, że systematycznie wyrywać nam będzie z pod nóg ziemię ojców naszych, i że przerzedzi nasze niezbyt zbite szeregi; kiedy my własny kredyt z łatwością możemy stworzyć i ustalić; a wtedy do niego obcy pieniądz sam będzie się garnął, a my będziemy mogli przyjmować go bez szkody.

(Dokończenie nastąpi).

Kaźmierz Wodzicki.

Przegląd polityczny.

30go kwietnia.

Naraz wszędzie a nawet na tutejszym galicyjskim horyzoncie zbladły i zmalały wszystkie inne sprawy wobec sprawy luksemburskiéj; jéj bezwzględna wartość i ważność wcale nie zasługują na to, ale kwestya luksemburska stała się na chwilę kwestyą wojny lub pokoju, a tém samém stała się największą, najważniejszą sprawą europejską. Z nią bowiem natychmiast połączyły się kwestye przymierzy, z nią wielkie zadania europejskie, z nią przyszłe losy Europy i wszystkich indywidualności składających ją. Dziś bowiem chwiejność stosunków europejskich do tego doszła stopnia, że wojna między dwoma mocarstwami zagraża wszystkim tak ogólnym jak szczególnym interesom społeczeństwa europejskiego, interesom prywatnych osób i politycznym jednostkom, a nawet ułamkom jednostek, że wpływa nawet przeważnie na wewnętrzne sprawy, słowem że kwestya wojny staje się zarazem dla wszystkich i każdego z osobna kwestyą bytu, co gorsza loteryą, w któréj wszystko zależy od wyciągniętego numeru. Być może, że wielu zechce upatrywać w tém solidarność europejskich interesów, my z tego zaś wyciągamy tylko wniosek, iż obecny stan Europy jest nieznośny, chorobliwy, niebezpieczny, i że niestety wyjść z niego można tylko wielką katastrofą. Zaprawdę budujące położenie! w którém nieporozumienie Francyi z Prusami, o Luksemburg, zagraża bytowi prawie wszystkich państw europejskich, grozi przeobrażeniem zupełném karty europejskiéj i kładzie w jednéj chwili w wątpliwość tak wszystkie prywatne jak publiczne interesa do tego stopnia, iż nikt nie wié nie tylko co po pierwszym wystrzale armatnim posiadać jeszcze będzie, ale czém będzie, czyim poddanym, jakiego aglomeratu cząstką. Smutno, ale tak jest i dla tego nie można się dziwić, iż kwestya luksemburska wyrugowała niemal wszędzie wszystkie inne.

U nas n. p. czyż wobec pytań jakie zdawała się stawiać kwestya luksemburska, czyż wobec starcia się Niemiec z Francyą, przyszłego stanowiska Austryi w tém zawikłaniu, możliwego wmięszania się Rosyi i poruszenia kwestyi wschodniéj nie musiały zblednąć wszelkie sprawy konstytucyjne, wszelkie spory o federacyę, dualizm i centralizacyę. Kwestya wojny i pokoju tak czyni niepewnym dzień jutrzejszy, tak na ostrzu oręża stawia kwestyę bytu dla wszystkich, iż wobec niéj blednieją zatargi stronnictw i walki systematów. To téż zaledwie miesiąc upłynął, a już nasze wewnętrzne zatargi i spory wydają się nieco liliputowemi wobec wielkich kwestyj i olbrzymich spraw, które poruszyć może mała sama przez się kwestya luksemburska. Ale bo téż pod tą sprawą o tak mały kraik ukrywa się widocznie wielka kwestya równowagi europejskiéj, może nawet coś więcéj — bo kwestya panowania nad Europą. Jak to łatwém było do przewidzenia, natura rzeczy, prawda sytuacyi przemogły w końcu i pokonały sofizmata, któremi przez czas jakiś rząd francuski chciał czy siebie czy téż innych łudzić. Odosobnienie Francyi, jéj niemoc w sprawach europejskich, błędy polityki napoleońskiéj, zawody ze wszech stron, omyłki pochodzące z fałszywyah rachub tak groźny stworzyły aglomerat, w tak krytyczném postawiły położeniu rząd francuski, a nienaturalny wzrost Prus i zjednoczenie całych prawie Niemiec pod ich przewództwem tak rzeczywiście jest niebezpiecznem, tak naturalnie niezgodném już nietylko z przynależnem Francyi stanowiskiem, ale nawet z jéj bezpieczeństwem, iż bądź co bądź i wbrew nawet woli ludzkiéj musiały się wyiązać z téj sytuacyi zawikłania, które wcześniéj czy późniéj fatalnie doprowadzić muszą do wielkiego, strasznego starcia. W zażegnanie i stanowcze zapobieżenie temu starciu nie wierzymy, tak wielce jest ono w naturze rzeczy, tak zdaje się nam nieuniknionem; przypuścić jednak możemy, iż odwleczoném zostanie, szczególniéj jeżeli damy wiarę ostatnim uspokajającym wiadomościom. Z dwojga jedno — albo kwestya luksemburska wywiązała się przypadkowo, czemu jednak trudno wierzyć — albo też uchwycił ją rząd francuski rozmyślnie jako środek wywołania zawikłań, w których mógłby znaleść odwet za tyle porażek, zawodów i upokorzeń doznanych w ostatnich czterech latach. W pierwszym wypadku wojna da się może chwilowo zażegnać, w drugim jest ona nieuniknioną, a wszelkie pośrednictwa, konferencye i kongresa są tylko etapami prowadzącemi do zbrojnéj walki. Jeżeli rząd francuski pozwolił przybrać kwestyi luksemburskiéj rozmiary, do których doszła, wbrew swéj woli i bez myśli i postanowienia odwetu, to niezawodnie przypieczętował nią wszystkie błędy, któremi od kilku lat zadziwia świat cały. Nawet osiągnięcie celu bez poniesienia ofiar nie byłoby dla Francyi dostateczném, nawet nabycie

Luksemburga nie zrównoważyłoby sytuacyi, wszelki zaś półśrodek, wszelkie połowiczne załatwienie sprawy będzie tylko porażką i nowem skomplikowaniem sytuacyi. Jeżeli zaś Luksemburg posłużyć ma za ligar do podniesienia innych ważniejszych spraw, za powód do walki między Francyą i jéj zbyt groźnym i potężnym sąsiadem, wtedy także widocznie wypadki prześcignęły rząd francuski, pomięszały mu szyki, zawiodły wszelkie rachuby i zmusiły go do walki w trudnych warunkach i to o wiele trudniejszych jak te, w których przed trzema laty lub przed rokiem mógł był wojnę rozpocząć. Zlokalizowana walka między Francyą i Prusami przedstawiałaby niemal równe z obydwóch stron szanse, bo liczba sił, któremi Prnsy rozporządzać mogą, zaledwie zrównoważyłaby była niezaprzeczoną wyższością, bitnością i dzielnością armii francuskiéj. Lecz trudno uwierzyć w zlokalizowanie walki, która tyle i tak ważne poruszyłaby interesa, która obudziłaby tyle obaw i nadziei. Skoroby zaś wojna przestała być lokalną, skoroby spór przestał być li tylko prusko-francuskim, przyszłe losy Europy zależnemiby się stały od kwestyi przymierzy. Otóż pod tym względem położenie wydaje nam się nader groźném i niebezpieczném; co do nas nie przestajemy wierzyć i twierdzić, że Prusy w każdym wypadku rachować mogą jeżeli nie na pomoc, to z pewnością na przychylną neutralność Rosyi. Sprzymierzeńców zaś Francyi pewnych, rzeczywistych dotąd nie widzimy. Pomijamy przypuszczenie, iż w razie wojny między Prusami a Francyą, Austrya stanęłaby po stronie Prus, nie chcemy bowiem ani na chwilę myśleć, iżby zaślepienie na własne interesa mogło dojść do tego stopnia; ale z drugiéj strony z ogólnéj konflagracyi europejskiéj spodziewaćbyśmy się mogli korzystnych rezultatów wtedy tylko, gdyby Francya wespół z Austryą podniosły stanowczą walkę. Otóż chwila do téj walki źle byłaby wybraną, bo niepodobna przed sobą taić, że Austrya nie jest do niéj gotową; aby w niéj mogła wziąść udział z jakąkolwiek nadzieją powodzenia, musi przedewszystkiem uporządkować sprawy wewnętrzne i posiadać armię odpowiednią ze wszech miar wielkości zawikłań i wypadków. W dzisiejszych zaś warunkach upatrywalibyśmy same tylko niebezpieczeństwa tak dla nas jak dla monarchii w ogólném zawikłaniu europejskiém. Lecz dziś więcéj niż kiedykolwiek wypadki górują nad życzeniami i wolą ludzką, przygotować się więc na nie spiesznie, energicznie, rostropnie i mądrze, jest pierwszym obowiązkiem, jest jedyném zbawieniem. A tak znów ogólna polityka europejska i jéj zawikłania sprowadzają nas do kwestyi wewnętrznego urządzenia Austryi, czynią z niej jednę z najważniejszych kwestyj europejskich, a na nas jako należących do monarchii i mających głos w jéj wewnętrzném urządzeniu wkładają ważne obo-

wiązki, od należytego spełnienia których zależeć będą i własne losy nasze.

Pod tym względem jeżeli nie najważniejsym to najbespośredniejszym faktem stanie się zapowiedziane zwołanie Rady państwa. O ile nam wiadomo, odbywały się narady między niektóremi członkami naszéj delegacyi o ewentualném zachowaniu się delegacyi w Radzie państwa. Wątpimy, aby te narady doprowadziły do stanowczych rezultatów; w saméj rzeczy położenie jest tak niepewne, wypadki tak spiesznie po sobie następują a zewnętrzne zawikłania tak stanowczo wpłynąć muszą na wewnętrzne, skoro przez wewnętrzne wzmocnienie się nie zdołano jeszcze dotąd wpłynąć na zewnętrzne stanowisko, iż trudno bardzo dziś nawet naszéj delegacyi powziąść stanowcze przedsięwzięcie, uczynić to będzie mogło zdaniem naszém dopiero w Wiedniu w chwili zebrania się Rady. Przedewszystkiem chcielibyśmy, aby wśród tak ważnych i groźnych wypadków nie powodowano się żadną doktryną, a tém mniéj doktryną utylitaryzmu, która także bądź co bądź jest tylko doktryną. Wypadki tak pospiesznym idą krokiem, że to co przed miesiącem wydawać się mogło nader ważném, dziś już wiele zapewne straciło z swéj doniosłości. Doktryną téż nazwalibyśmy wszelkie zapoznawanie zaszych wypadków, zmian i faktów. Że dziś sytuacya jest już inną jak była w chwili ustąpienia hr. Belcredego, tego dowodzić nie trzeba, ta więc droga, która w owéj chwili mogła być zbawienną, dziś jawnie nie doprowadziłaby do celu, jak we wszystkiém, tak w polityce są anachronizmy, których wystrzegać się trzeba. Największym może błędem byłoby nie uwzględnić sytuacyi stworzonéj poprzednim błędem. Dziś wiec przedewszystkiem rachować się trzeba z faktem umowy z Węgrami; wiemy doskonale, że o ile w gło-wnéj swéj treści jest ona nader pomyślnym faktem dla monar-chii, gdyż daje jéj niezaprzeczoną, siłę o tyle w następstwach swych groźną jest dla innych części monarchii i dla nas sa-nych. Trudność to nie mała, którą zdaniem naszém dopiero zas i doświadczenie usunie. Wyznajemy szczerze, iż nie wie-zymy w stanowcze i ostateczne ukonstytuowanie się monarchii a podstawach stworzonych dla innych krajów koronnych przez mowę z Węgrami i za pomocą mającej się zebrać Rady pań-twa, dla tego też mniejszą może jak inni przywięzujemy do ego zebrania wagę, a w każdym razie nie widzimy niestety zeczy w tak różowych barwach, jak *Monitor*. Jeżeli jednak laniem naazém Rada z natury swéj skazaną będzie na pewną iemoc co do radykalnego i stanowczego rozwiązania wielkiéj westyi reorganizacyi monarchii, to niemniéj jednak wiele ego zrobić może. Przeszkadzać temu złemu o ile się da, daniem będzie naszéj delegacyi; nie wątpimy, że gdyby dało ę coś zbawiennego zrobić, delegacya nasza przyłoży do tego

rękę, lecz równie spodziewamy się po niéj, że wystąpi energicznie i stanowczo przeciw zgubnym tak dla monarchii jak dla nas tendencyom. Tak pod jednym jak pod drugim względem punktem oparcia dla niéj musi być, jak już to w tym zeszycie powiedział nasz kolega i współredaktor p. Szujski, ostatni projekt adresu sejmu lwowskiego. Ugoda z Węgrami jest faktem, który zaprzeczać lub chcieć zwalić byłoby dziś doktrynerstwem, lecz jeżeli ugoda ta zagraża prawom i autonomii innych krajów koronnych, to jeszcze bynajmniéj zapoznanie i poświęcenie tych praw i autonomii nie stały się faktami; jest tylko niebezpieczeństwo; lecz powtarzamy to, co tyle razy mówiliśmy, zgoda z Węgrami nie może, nie powinna pociągnąć za sobą zapoznania autonomii innych krajów, w obronie téj autonomii zdaniem naszém walczyć jeszcze można nawet w Radzie państwa, a do téj walki najlepszym punktem oparcia będzie właśnie wzmiankowany projekt adresu. Mniemamy, iż pod tym względem delegacya stosując się do okoliczności, może wielkie oddać przysługi, wątpimy aby większość w Radzie była tak silnie spojoną aby nie można jéj w pewnych razach rozbić; pewni zaś jesteśmy, że delegacya nie zejdzie ani na chwilę z gruntu projektu adresu, że jedném słowem do upadłego bronić będzie autonomii krajów koronnych i własnego. Pierwszym jéj obowiązkiem będzie więc obrona praw sejmu, którego jedynie jest przedstawicielką; dla tego też gdyby miała się w Izbie pojawić rzucona w tych dniach przez dzienniki myśl bezpośrednich wyborów, napotka ona niezawodnie na energiczną protestacyę naszéj delegacyi, a gdyby, czego przypuścić nie możemy, miała pozyskać większość, wtedy delegacya galicyjska zmuszonąby się widziała do stanowczego kroku, do zupełnego jedném słowem usunięcia się z pod arbitralnych postanowień większości przekraczającéj kompetencyę swoją i zapierającéj się własnego pochodzenia. Tu by się skończyła wszelka dyskusya, pozostałaby tylko protestacya do wniesienia. Nie możemy, nie powinniśmy łączyć naszych losów i interesów li tylko z jakąś idealną i doskonałą Austryą tak jak my ją sobie wyobrażamy; interesa nasze połączone są ściśle z istnieniem Austryi a więc winniśmy uwzględniać położenie rzeczy w Austryi choćby ono nie zupełnie nam dogadzało; lecz z drugiéj strony nie podobna nam iść ślepo za każdém ministerium lub ministrem, niepodobna nam się poddać każdéj większości i wejść na każdą drogę, choćby najzgubniejszą dla Austryi.

W sprawach wewnętrznych naszéj prowincyi zapisać nam wypada wybory i ukonstytuowanie się gmin. Jest to pierwszy krok do prawdziwego samorządu. W praktyce jednak ukazują się wszystkie wady ustawy gminnéj, które wytykaliśmy. Prawie wszędzie gminy składają się tylko z jednéj gromady, nigdzie

nie łączą się z sobą aby utworzyć gminę, o łączeniu się z gminą dworską nie ma nawet mowy; tym sposobem powstają nader słabe gminy, które nie będą mogły służyć za silną podstawę samorządu; próba ta posłuży tylko do wykazania wadliwości dzisiejszéj ustawy gminnéj i zmusi wcześniéj czy późniéj do przyjścia w urządzeniach gminnych zasad bronionych przez mniejszość sejmową. Dziś już jednak zwrócić musimy uwagę władz administracyjnych na tę okoliczność, iż wedle uchwalonéj ustawy, gmina która nie może zadość uczynić wszystkim obowiązkom i przepisom ustawy, winna się z inną sąsiednią łączyć, o ile jednak wiemy, w ogóle nie dość wielki nacisk pod tym względem jest wywierany, a jednak posłużyćby on mógł do utworzenia przynajmniéj gdzieniegdzie silniejszéj gminy z wszelkiemi warunkami żywotności, inaczéj wszystko dziać się będzie po dawnemu i tylko dawne gromady nazywać się będą gminami. Na rozwinięcie instytucyi gminnych i samorządu wpłynie zdaniem naszem nawet z dzisiejszą ustawą gminną nader skutecznie, wprowadzenie w życie r a d p o w i a t o w y c h; nie wątpimy, że pod tym względem rząd nie będzie się ociągał, mamy na to rękojmię w mężu, który stoi na czele administracyi krajowéj; pośpiech pod tym względm jest konieczny, jest niezbędny, tém więcéj, że równoczesna zmiana urządzeń administracyjnych i wprowadzenie ustawy gminnéj musiały pociągnąć za sobą chwilowe rozprężenie, nader jeszcze nie znaczące, lecz które przedłużając się, mogłoby się stać szkodliwém. Nowe urządzenia gminne bałamucą nieco w niektórych okolicach umysły włościan, aby temu zapobiedz, potrzebna jest wielka stanowczość ze strony władz administracyjnych szczególniéj w kwestyach tyczących się własności. Prawdziwy jednak ład społeczny wtedy dopiero może zapanować, gdy wejdzie w życie instytucya r a d p o w i a t o w y c h jako niezbędne dokonanie dzisiejszéj ustawy gminnéj; oczekujemy więc wyborów do rad powiatowych z ufnością, lecz zarazem z niecierpliwoscią. —

Nie możemy pominąć i tego faktu, że rząd zajął się ostatniemi czasy energicznie i szczerze ważną sprawą serwitutową, o załatwienie któréj tyle razy upominaliśmy się w tém piśmie. Nie możemy na tém miejscu wdawać się w szczegóły, powiemy jednak, że jeżeli uda się hr. Gołuchowskiemu zakończyć stanowczo i ostatecznie tę sprawę w całym kraju, już tém samém wielce mu się zasłuży a rządy jego pozostawią po sobie niezatarty ślad, bo nie wątpliwą zgodę i harmonię społeczną. —

Jak to od początku przewidywaliśmy, posłowie polscy w parlamencie północno-niemieckim zmuszeni zostali do złożenia solennéj protestacyi i do złożenia mandatów. Nic w saméj rzeczy nie pozostawało im innego do zrobienia, najumiarko-

wańszych bowiem przełożeń i uwag nie tylko nie uwzględniono, ale odparto je z szyderstwem i naigrawaniem. Szyderstwo ze strony silniejszego zdradza jednak zawsze pewną słabość, i w saméj rzeczy w tym punkcie słabym jest i rząd i parlament, który chcąc reprezentować zasadę narodowości w Niemczech, gwałci ją tak widocznie i tak bezwzględnie w prowincyi polskiéj. Pojmujemy nadużycia siły, pojmujemy więc, iż wbrew własnym zasadom i loice, parlament niemiecki gwałtem wciela do związku niemieckiego W. K. Poznańskie, lecz czego już całkiem nie pojmujemy, oto owego niepotrzebnego frazesu prezesa Izby p. Simsona, który wydaje nam się tak mało godnym szczególniéj w ustach liberalnego kierownika wielkiego zgromadzenia parlamentarnego. Kto przesądza zdanie historyi, ten powinienby stać przynajmniéj na gruncie bezwzględnéj sprawiedliwości, takie zaś wybryki partykularyzmu a raczéj egoizmu niemieckiego, nie są tylko nadużyciem siły, ale są także skutkiem upojenia. Wszelkie zaś upojenie może się stać pierwszym początkiem zguby.

Wprawdzie nie uchwałami parlamentów, ale ukazami cesarskiemi znikają z każdym dniem wszelkie ślady odrębności tak politycznéj jak administracyjnéj Królestwa Polskiego; już finanse Królestwa przeszły pod zarząd ministra skarbu cesarstwa. Zupełna assymiliacya Królestwa jest koniecznie potrzebną do przeprowadzenia dalszych rozległych tak nazwanych sławiańskich planów.

W ogóle jak już to nadmienialiśmy dzisiaj Rosya ogranicza się do przygotowania gruntu na przyszłość, nie czując się jeszcze na siłach do czynnego i stanowczego wystąpienia. Temu to bardzo prawdopodobnie przypisać należy także pokojowy obrót kwestyi luksemburskiéj tak stanowczo stwierdzony nadeszłemi w téj chwili wiadomościami a spowodowany ustępstwami Prus. Rosya nie będąc może gotową do wystąpienia w sprawie wschodniéj, wpłynęła zapewne na Prusy aby odwlec jeszcze wojnę z Francyą i ogólną komplikacyę europejską. Lecz zato widocznie Rosya czyni spiesznie i energicznie przygotowania we wszystkich kierunkach. Do znaczących pod tym względem symptomatów policzyć należy ową etnograficzną wystawę w Moskwie, na którą wabią wszystkich Słowian z wyjątkiem naturalnie Polaków. Słyszeliśmy, iż wielu Słowian austryackich pospieszyło na tę wystawę, a między niemi i ludzie polityczni; w téj chwili podobna wycieczka jest demonstracyą, demonstracyą nad którą warto się zastanowić i która wiele nasuwa myśli. Powiemy szczerze nasze o niéj zdanie: w dzisiejszych okolicznościach wśród dzisiejszych kłopotów monarchii podobna demonstracya ze strony Słowian austryackich, zasługuje na surowe potępienie; błędy a nawet niektóre niesprawiedliwości rządu nie usprawiedliwiają podo-

bnego postępowania, dla innych zaś narodów i krajów koronnych takie objawy muszą się stać przestrogą, z któréj i my korzystać powinniśmy. Że redakcya lwowskiego „Słowa“ organizuje pielgrzymkę do téj ziemi świętéj prawosławia i knuta, to nas nie dziwi wcale, ale dziwi nas nie mało i boli, że ludzie miłujący i swój kraj i europejską cywilizacyę, znakomici ludzie z Czech mianowicie, tak dalece nie rozumieją znaczenia i zamiaru owéj wystawy, że swoją obecnością i swojemi szanownemi nazwiskami jadą sankcyonować i uświetniać te naukowym niby celem źle zamaskowane manifestacye. „Nie rozumieją“ mówimy, bo przecież nie można przypuścić, żeby tam znaleźć się chcieli gdyby cel i myśl owéj wystawy rozumieli tak jak ją pojmuje rząd rosyjski i Polacy.

W zewnętrznych stósunkach ściślejsze przymierze Rosyi z Ameryką na podstawie odstąpienia posiadłości rosyjskich w Ameryce, jest także nader groźnym symptomatem. W kwestyi zaś wschodniéj oddanie Belgradu Serbom jest niezawodnie także ważną korzyścią dla Rosyi a raczéj dla jéj na przyszłość zamysłów.

St. Koźmian.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawierać będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	12	Złr. w. a.
„ półrocznie	6	„ „
„ kwartalnie	3	„ „
W Prusach	8	Talarów.
We Francyi	25	Franków.
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	1	Złr. 50 c.

OZNAJMIENIE.

Administracya Przeglądu Polskiego przyjmować będzie wszelkiego rodzaju inseraty za cenę 6 centów od wiersza. Stępel w ilości 30 centów za każde pojedyńcze ogłoszenie płaci się osobno. Interesowani w téj mierze zechcą się zgłosić osobiście lub pisemnie do bióra Redakcyi przy ulicy Gołębiéj pod L. 173.

PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT XII.

1go Czerwca 1867.

KRAKÓW,
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.



PRZEGLĄD POLSKI.

ZESZYT XII.

Miesiąc Czerwiec 1867.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor St. Koźmian.

KRAKÓW
W DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1867.

Frycz Modrzewski.

O poprawie Rzeczypospolitéj.

(Dokończenie.)

II.

W całéj téj księdze o obyczajach z któréj zdawaliśmy sprawę, nie brak rad zdrowych, trafnych spostrzeżeń, ani dążności zacnych i szlachetnych, ani nawet pomysłów daleko poza wiek sięgających, a najmniéj prawd równie złotych jak gorzkich; ale brak jednéj rzeczy, i to najważniejszéj — konkluzyi. Co chwila ma się ochotę zapytać autora: więc co? Źle się dzieje, może się dziać jeszcze gorzéj; prawda; więc co? Nie dość powiedzieć, że powinno być inaczéj: jak ma być: to jest co powiedzieć trzeba, a tego w księdze owéj nie znajdziemy, i dlatego téż wydaje nam się ona jak żeby niedokończoną, niezupełną. Czyli to pochodzi z natury przedmiotu i z budowy dzieła, z tego że poprawę Rzeczypospolitéj opiera autor na niezależnéj od państwa poprawie obyczajów zamiast oprzeć ją na reformie instytucyi, czyli téż z właściwego autorowi kierunku umysłu, za którym idąc bawi się więcéj na polu filozofii moralnéj i moralności politycznéj, niżeli na polu polityki praktycznéj, tego orzekać nie śmiemy. Sądzilibyśmy że zeszły się tu obadwa te powody, bliskie siebie zresztą, bo ostatni jest może tylko przyczyną pierwszego. Ale jakkolwiekbądź, pewna jest, że w całéj téj pierwszéj księdze która zabiera połowę dzieła, znajdujemy nader ciekawe rysy do obrazu ówczesnego stanu Rzeczypospolitéj ale nie znajdujemy jéj poprawy.

Brak ten nagradza w części następna księga o prawach. W części tylko, bo podobnie jak w pierwszéj, nie znajdujemy w niéj téj zmiany prawa publicznego która sama jedna mo-

gła była stać się prawdziwą poprawą Rzeczypospolitéj. Król, rząd, senat, Izba poselska, szlachta, mieszczanie, chłopi, wszystko zostaje jak było. Autor przeczuwa niebezpieczeństwa ówczesnego stanu rzeczy, lęka się by nieograniczone wolności szlacheckiego narodu nie doprowadziły ojczyzny do ostatecznego bezrządu i zguby, ale nie próbuje zatrzymać go na téj pochyłości, lub raczéj próbuje go wstrzymać jak ksiądz Skarga, słowem; próbuje przemówić mu do sumienia i rozumu, ale innéj nie stawia mu zapory; wolności tych ograniczać nie myśli, zamach stanu uważałby może za zbrodnię.

I tak naprzykład, mówi Frycz o Elekcyi królów, ale mówi tylko, że sposób téj Elekcyi powinien być prawem postanowiony. Jaki być powinien, o tém milczy. A przecież, mógłbył może dostrzedz, że ta elekcya może stać się niebezpiecznym szkopułem dla nawy ojczystéj. Rzecz prosta, że nie mogąc w chwili kiedy to dzieło pisał, obawiać się zejścia domu Jagiellońskiego, nie mógł przewidywać że elekcya weźmie charakter tak niebezpieczny jak się to stało w r. 1573. Ale to mógł zrozumieć, że przy takiéj jaka już była niesforności szlachty, przy coraz większym jéj wpływie na sprawy, każda elekcya musiała być niebezpieczną, bo musiała rozbudzać namiętności i prowadzić do intryg, konszachtów i targów. Nie robimy mu zarzutu z tego że elekcyi nie znosi, nie można żądać od ludzi za wiele, ale dziwimy się naprzód, że o jéj niebezpieczeństwach nie ostrzega, a powtóre, że skoro żąda prawem opisanego jéj sposobu, nie powiada odrazu jakim go mieć żąda. I dlatego to rzekliśmy, że dalszy ciąg dzieła nie uzupełnia pierwszéj księgi.

Uzupełnia je wszakże w znacznéj części, bo stawia dwie zasady niesłychanéj wagi i niezmiernego zastósowania praktycznego, dwie zasady z których jedna jest podstawnym warunkiem porządku i pomyślności państw, a druga wpłynąć mogła na całe losy Polski i może polityczny byt jéj ocalić. Zasadami temi są: dobra administracya sprawiedliwości i równość w obliczu prawa.

Upadek Polski, państwa liczącego szesnaście milionów ludności i ośm wieków politycznego istnienia, zastanawiał jako jedyny w swoim rodzaju fenomen historyczny, wielką liczbę

poważnych umysłów w kraju i zagranicą. Jakim sposobem rzecz z natury tak trudna mogła stać się możliwą i podobną?

Wielu stawiało sobie to pytanie, wszyscy znaleźli jednę odpowiedź, wszyscy rozwiązali zagadkę jedném i tém samém słowem: Bezrząd. Rzeczywiście fakt bezrządu tłomaczy wszystko; ale sam siebie nie tłomaczy. Bezrząd nie powstał sam z siebie, musiał mieć jakiś powód i przyczynę. I tę odkryć nie trudno. Była nią wybujałość jednéj części narodu z uszczerbkiem drugich, swawola i niesforność szlachty, martwa obojętność i konieczna, naturalna nieczynność i ospałość miast i ludu wiejskiego. Tu niezaprzeczenie leży ostateczna przyczyna złego, ale gdzie i kiedy to złe się poczęło, jakim sposobem ta nienaturalna hypertrofia jednego organu stała się u nas możliwą?

Powody są liczne i różnorodne, jak zwykle powody każdego wielkiego historycznego rezultatu; najsilniéj atoli i najwidoczniéj działają tu dwa, o których w krótkich słowach pomówić nam trzeba.

Że różnice spółeczne istniały w Polsce od czasów najdawniejszych, że za Bolesława Chrobrego istniała i szlachta jako wyższa warstwa narodu, i stósunek poddańczy ludu wiejskiego, te jest faktem znanym i udowodnionym. Tylko że w owych czasach Piastowskich żywioły szlacheckie nie były się jeszcze skrystalizowały w kastę, a stan włościański choć poddany, nie był pozbawionym praw, miał przeto warunki po temu żeby rozwijać się i postępować w swobodach porówno ze szlachtą. Rzeczywiście w owych czasach pierwotnych widzimy kmiecia wprawdzie przywiązanym do gleby, ale widzimy także że wolno mu przenosić się z miejsca na miejsce, jeżeli swojemu panu zapłacił czynsz roczny i trzy grzywny srebra; widzimy, że podlega sądom zwyczajnym królewskim, a wyjątkowo tylko za osobnymi przywilejami oddanym bywa pod jurysdykcyę pana; że wreszcie kmieć miał prawo zapisywania gruntu swego testamentem, prawo niezupełne i ograniczone wprawdzie, ale dowodzące przecież że ziemia na któréj siedział uchodziła za jego własność.

Z postępem czasu jakiż smutny i rażący postęp wstecz w tych stosunkach. Za Kaźmierza W. włościanin może opuścić swoją rolę i pana jeżeli zapłaci trzy grzywny; już za Jagiełły każdy obowiązany jest pod karą donosić panu o miejscu po-

bytu zbiegłego chłopa; Kazimierz IV. jednemu tylko z synów kmiecia (jeżeli ich jest kilku) pozwala oddalać się z włości do szkół lub rzemiosła, i to tylko z pozwoleniem pana. Wreszcie konfederacya jeneralna po śmierci Zygmunta Augusta stanowi, że jak dotąd tak i nadal „wolno będzie każdemu panu „poddanego swego *tam in spiritualibus quam in saecularibus* „wedle rozumienia swego skarcić.“ Swoboda włościanina ścieśnia się coraz bardziéj z każdém panowaniem, prawa jego z każdém pokoleniem nikną, aż w końcu epoki Jagiellońskiéj chłop ukazuje się zupełnie w mocy pana.

Taki sam postęp wstecz widoczny i w swobodach mieszczan. Miasta te skazane były na stagnacyę, bo przybytkowi mieszkańców kładła tamę nieszczęsna adskrypcya. Syn kmiecy zamiast szukać losu w rzemiośle lub drobnym przemyśle, musiał żyć we wsi któréj nie godziło się opuścić. Zatém przybytek mieszkańców ograniczał się na samych tylko cudzoziemcach. Wolny rozwój miast hamowany coraz więcéj prawami wymierzonemi przeciw cechom, korporacyom i tym podobnym instytucyom które w innych krajach tak dzielnie się przyłożyły do wytworzenia stanu trzeciego. Handel miast napotykał znowu silną zawadę w konkurencyi kupców koczujących, zagranicznych najczęściéj, rozwożących towary na mocy osobnych listów i przywilejów królewskich, a z tém wszystkiém w parze idzie systematyczne poniżanie stanu mieszczańskiego, ciągłe spychanie tego stanu na dno społecznego i politycznego życia. Wcześnie wyrobiło się u szlachty polskiéj pojęcie, dziś jeszcze rozpowszechnione szeroko między ludem wiejskim, że tylko człowiek posiadający ziemię jest obywatelem kraju. Pojęcie to dąży ciągle do tego, żeby stać się prawem, jakoż faktycznie królowie przyrzekają że tylko szlachcie, tylko właścicielom ziemi nadawać będą urzędy. Ziemię jednak posiadali częstokroć mieszczanie, nie szlachta; przez co łatwo mogli wcisnąć się między uprzywilejowanych. Coraz butniejszy, coraz wyłączniejszy duch szlachecki musiał temu nadużyciu zapobiedz, i w istocie w r. 1496 wychodzi prawo, zabraniające nieszlachcie dóbr nabywać, a co więcéj nakazujące sprzedać te jakieby mieć mogli w posiadaniu. I otóż druga warstwa narodu odsądzona, wykluczona od wszystkiego, skazana na wieczną stagnacyę, na socyalną i polityczną

katalepsyę. Mimowolnie przypomina się tu bajka o zaczarowanéj księżniczce która z całym dworem spała przez lat dwieście; jak kto stał, tak skamieniał; kucharz przy rożnie, stangret na koźle, przędka z wrzecionem w ręku. Aż po dwóch wiekach zabłąkał się jakiś królewicz i zerwał ów sen zaczarowany. Dla Polski tym królewiczem który zdjął z niéj ów czar szlacheczczyzny, były wielkie wstrząśnienia europejskie w końcu XVIIIgo wieku. W epoce Jagiellońskiéj szlachta magnetyzuje miasta i lud wiejski, sen trwa przez cały ciąg epoki królów elekcyjnych, w końcu, konstytucya trzeciego Maja piérwsza usiłuje zbudzić uśpionych i powołać ich do życia na nowo.

Taki był przebieg téj choroby.

Początkiem jéj, był niezawodnie podział kraju na udzielne księstwa. Zamiast jednego króla dzierżącego całą władzę w jedném ręku, kilku lub kilkunastu drobnych książąt, w ustawicznych zapasach czy to z sobą czy z sąsiadami, a ztąd w ustawicznéj potrzebie pomocy, posiłków i pieniędzy. Ztąd naturalnie konieczność okupowania téj pomocy możniejszych ustępstwami i przywilejami. W całéj Europie średniowiecznéj feudalni panowie, u nas duchowni naprzód a za niemi możniejsza szlachta, umieli wyzyskiwać na swoją korzyść słabość lub niedostatek panujących. To téż mnożą się przywileje, a zmniejszają podatki w dobrach duchownych i szlacheckich; adskrypcya staje się coraz częstszą i uciążliwszą, coraz częstszą także staje się juryzdykcya pana nad chłopem, a podatek ciąży coraz więcéj na tym ostatnim, obarczając szlachcica zaledwie tylko dla formy. Jest to skutkiem sporów i intryg mnogich książąt Piastowiczów, swarzących się z sobą o swoje dzielnice i szukających pomocy u możnych.

Za Władysława Łokietka zwrot znaczny pod tym względem za Kaźmierza zwrot zupełny. Adskrypcya, juryzdykcya szlachecka, jeżeli nie wykorzeniona to bardzo ograniczona i ujęta w karby — podatki wyrównane, równowaga Stanów ustalić się może i ustali, jeżeli jakie nowe trzęsienie ziemi nie zachwieje tą nową niestężałą jeszcze formacyą. Na nieszczęście wstrząśnienie to nie dało na siebie czekać. Szlachta pamiętała jeszcze dobre czasy przed Łokietkowe, i następstwo Ludwika uczyniła zależném od powrotu do dawnych stosunków. Ludwik naj-

szerszemi ustępstwami zapewnia koronę sobie naprzód, następnie jednéj z córek. Korona zostaje bez dochodów, bez pieniędzy, bez siły. Późniejsi królowie począwszy od Jagiełły, ile razy chcą coś zrobić, muszą wytargowywać pomoc rycerstwa nowemi swobodami, nowemi przywilejami, a rycerstwo coraz możniejsze, coraz zuchwalsze, korzysta z każdego zbiegu okoliczności żeby zawarować sobie prawem stanowisko dominujące w narodzie i każe sobie płacić każdą pomoc nowemi hojnościami, które coraz bardziéj ogołacając skarb coraz bardziéj zostawiają króla na łasce uprzywilejowanych. Każda nowa koncesya staje się szczeblem do dalszéj. Dawna rada prałatów i baronów zaczyna się otwierać przed szlachtą, głos jéj doradczy pomału zmienia się w stanowczy. Zrazu szlachta wchodzi do sejmu (w Korczynie 1404 r.) tylko wyjątkowo, doraźnie dla uchwalenia jednorazowego podatku — w r. 1464 już Kaźmierz W. przyrzeka nie stanowić praw i nie wydawać wojny bez zezwolenia posłów, w r. 1468 ukazuje się ustawa, mocą któréj każda ziemia wysyłać ma na każdy sejm dwóch posłów; reprezentacya staje się stałą i w prawo ujętą.

Co za szybki rozwój parlamentarnego systemu, możnaby dodać, coza rozwój wspaniały, gdyby nie to że do sejmu wchodzą sami tylko posłowie ziemscy, że ten zaród reprezentacyjnych rządów sparaliżowany jest od razu swoją wyłącznością szlachecką, i że niebawem wydaje owoce takie jak owo prawo odsądzające mieszczan od posiadania ziemi, lub to drugie oddające panu zwierzchność sądową nad chłopem.

Jeżeli jedną przyczyną téj przewagi szlachty jest słabość panujących książąt w epoce podziałów, a następnie przywilej Ludwika i naturalne jego następstwa, przywileje Władysława Jagiełły, Kaźmierza IV. i Aleksandra, to drugą a niemniéj potężną téj przewagi przyczyną, było położenie Polski geograficzne i nieszczęśliwe ościenne stosunki. Kastowe wszechwładztwo szlachty, było naturalnym skutkiem tych stosunków. Kraj nasz stanowił wschodnie wrota Europy, któremi przed wiekiem dziesiątym waliły się na zachód tłumy najróżnorodniejszéj dziczy, a które późniéj zamknąć przyszło przed najgroźniejszym z napastników Bisurmanem. Przez sześć wieków Polska broniła

wejścia do Europy to Mongołom, to Waregom, to Turkom, przez sześć wieków żyła w nieustannéj i śmiertelnéj walce. Nie dość na tém, za plecami groziło jéj drugie niebezpieczeństwo od Niemców, od czasu piérwszych Piastów aż do zwycięztwa pod Byczyną. — W takim położeniu rycerstwo musiało koniecznie uróść do ogromnéj przewagi, bo w nim skupiała się dusza narodu, na niém leżała całość kraju. Rycerstwem tém zaś była szlachta.

A z drugiéj strony ustawiczna ta walka bez chwili wytchnienia, nie dała Polsce nigdy możności urządzenia się należycie u siebie. Za Kaźmierza Wgo ma ona wszystkie zarody instytucyi najwolniejszych i najsprawiedliwiéj wolnych. Zarody te giną wcześnie nie wydawszy owocu, bo późniejsze ciągłe wojny i boje zmuszają królów do szukania pomocy w rycerstwie, które za swoją pomoc wydziera im zawsze przywileje na korzyść swoją, na szkodę innych Stanów. Dziwimy się téj niesłychanéj przewadze szlachty, trudno nam pojąć zkąd się ona wzięła. Oto ztąd najpewniéj, że taka placówka jak Polska, wiecznie alarmowana, nie mogła utrzymać się długo w téj równowadze prawności w któréj stanęła za Kaźmierza Wgo; ci którzy się bili, musieli pomału stać się całym narodem, i skoro nie stała się państwem despotyczném, musiała Polska stać się rycerską Oligarchią czy rycerskiém gminowładztwem. I dla tego stało się że od początku wieku XVgo aż do rozbioru, miasta polskie nie dają ani jednego znaku życia. Lud wiejski daje znak życia straszny i ostrzegający w wojnach Chmielnickiego; miasta nie dają nawet takiego; do wzrostu czy to potęgi czy pomyślności Rzeczypospolitéj nie przyczyniają się wcale te dwa żywioły; żyją z dnia na dzień w jakimś konserwatyzmie obojętnym i odrętwiałym, takie same za Jagiellonów jak za Sasów. Nie żądają nic, nie dążą do niczego a przynajmniéj żądań swoich nie manifestują niczém. Po miastach kupcy nieliczni i niebogaci przestają na swoim handlu drobnym i ciasnym, po wsiach, chłopi przestają na ojcowskim zagonie; zresztą nie myślą o niczém. Przez cały ten ogromny przeciąg wieków czy przebiła się na wierzch z tych Stanów choć jedna zdolność, czy choć jeden człowiek zdołał zrobić sobie imie inaczéj jak w stanie duchownym i przez wyjątkowo szczęśliwe położenie tego stanu? Proszę mi wskazać w jakim-

kolwiek zawodzie publicznym jednego człowieka któryby nie był urodzonym? Istny paraliż dwoch części narodu, a tak kompletny, że nie ma w historyi śladu, żeby mieszczanie nasi byli się pojmowali jako stan, żeby byli czuli pomiędzy sobą wspólność interesów, praw lub dążności, z wyjątkiem chyba miast pruskich, i to dlatego właśnie że te w innych żyły warunkach. Co za smutne przeciwieństwo z miastami całéj Europy zachodniéj. Kraków Kaźmierza W. jest miastem pełném sił i soków żywotnych, ma wszystkie warunki po temu żeby wyrobić w sobie stan trzeci, zamożny, oświecony i potężny. Kraków Jagielloński jest miastem zamożném, spokojném, dzieje mu się dobrze, ale znać już na nim że ociężał, zniedołężniał i zgnuśniał. Warszawa aż do klęsk ostatnich, aż do Kościuszki jest najbezbarwniejszą z rezydencyi.

Nie mogło być inaczéj. Miasta te z geograficznego położenia kraju niehandlowe i niebogate, a z natury słowiańskiego spółeczeństwa przeważnie wiejskiego, z tego rozproszenia najznaczniejszych sił kraju po wsiach, z téj niesłychanéj polskiéj decentralizacyi, nie mogące stać się wielkiemi ogniskami narodowego życia, nie mogły nabrać dość potęgi, by złamać zapory któremi je prawo w oblężeniu trzymało, i wziąść czynny udział w życiu i historyi narodu. Nie dość zaś silne by te zapory złamać, tak się do nich przyzwyczaiły pomału, że nie myślały nawet o tém, by w koło siebie pole rozszerzyć, nie próbowały robić wycieczek i podjazdów; żyły jak te płazy które naturaliści znajdują czasem zamknięte w żywéj skale, bez powietrza, bez żywności, bez ruchu, w jednym i tym samym stanie odkąd się owa skała nad niemi zasklepiła. W takim letargu nie mogły ojczyźnie służyć, a kochać jéj nie miały bardzo za co.

A chłop? Historya jego gdyby ją kto napisał, byłaby dziwnie bolesna i bardzo jednostajna. Przez wieki jeden i ten sam stan niczém nieprzerwany. *Glebae adscriptus*, w jednéj osobie mający pana i sędziego, żadnéj drogi do prawa, żadnego przed sobą widoku choćby materyalnéj tylko poprawy bytu, — oto ogólne, jednostajne tło jego dziejów, na którém odbijają jaśniejszém a zbyt często krwawem światłem oburzające obrazy krzywd niepomszczonych, — miejscowych tyranii, prześladowań o których poza wsią nikt

nigdy nie słyszał. Stan chłopa polskiego nie był gorszym od stanu ludu wiejskiego, w reszcie Europy — był nawet trochę lepszym. Nie było u nas takich praw feudalnych pod jakiemi żył poddany baronów francuskich lub niemieckich, ale choć mniéj zły, stan ten ludu wiejskiego zaszkodził Polsce więcéj niż mógł zaszkodzić państwom zachodnim. Tam bowiem były rządy, i broniły powagi i całości państwa. Tutaj kiedy swawola doprowadziła naród szlachecki do ostatecznego rozstroju i rozkładu sił żywotnych, przy letargiczném uśpieniu miast, przy tym smutnym stanie ludu wiejskiego i przy zupełnéj bezwładności rządu, nie zostawało nic do obrony i ratunku. Jedyna siła żywa i działająca w Rzeczypospolitéj stargała się w rozpuście i swawoli; wszystkie inne były sparaliżowane, nie było więc żadnych. Społeczeństwo zniwelowane do stóp jednego despoty, może w niebezpieczeństwach ratować się i bronić siłą swojego rządu, swojém ślepem posłuszeństwem, swojemi stałemi wojskami; społeczeństwo wolne ratować się może tylko patryotyzmem i poświęceniem wszystkich, a tych nie będzie bez wolności dla wszystkich. Wolność jednéj tylko warstwy społeczeństwa zawsze się wyrodzić musi w swawolę uprzywilejowanych, w niewolę nieuprawnionych. W razie niebezpieczeństwa, ani jedna ani druga, nie zdoła bronić ojczyzny. Ludwik XIV. trzymający w swojém ręku wszystkie siły swojego kraju, mógł stawić czoło całéj Europie; szlachecka oligarchia w Polsce,— ograniczona na swoje własne siły, nie szukająca ani znajdująca pomocy w innych częściach narodu, nie zdołała oprzeć się Piotrowi ani Katarzynie. Zdaje się być jak żeby przyrodzoném prawem wolności, prawem świętém i błogosławioném, że ona przywilejem być nie może, że nie może żyć jeżeli jest wyłączną własnością jednéj tylko klasy w narodzie. Gdyby wolność szlachecka była pomału rozszerzała się na miasta i lud wiejski, gdyby żywioły te weszły były w historyę narodu, kto wie, czy dziś nie byłoby inaczéj, a raczéj każdy wie, że musiałoby być inaczéj. To przynajmniéj pewna, że władza wykonawcza, rząd, byłby znalazł podstawę operacyi przeciwko szlacheckiéj anarchii. Rozumiano u nas nie źle niebezpieczeństwa takiego stanu, przemyśliwano nie raz jak mu zaradzić; myślał o tém głęboko król Stefan i Władysław IV.; Jan Kaźmierz po powrocie ze

Szlązka, kiedy koronę swoją składał przed ołtarzem Matki Boskiéj, przysięgał, że poprawi stan włościan, jak żeby widział w nim groźbę na przyszłość i powód téj ciężkiéj chłosty, którą sam z narodem odbierał — ale nic nie zrobiono. Nie dziwimy się wcale, że nie myślano podówczas o równości politycznéj, o wolności dla wszystkich; nie można żądać od ludzi żeby o tyle swój wiek wyprzedzili. Ale sądzimy, że do poprawy tego złego z którego wypłynęły wszystkie późniejsze nieszczęścia kraju, byłby się zrobił krok ogromny, gdyby weszła była w życie równość przed prawem którą nasz Frycz zaleca.

Wydaje nam się to tak jasnem, tak prostem i dowiedzioném, że nie myślimy zatrzymywać się nad wskazywaniem tego co jest samo z siebie oczywistém. Chłop prawem i sądem zabezpieczony od krzywd i ucisków, byłby żył i rozwijał się swobodniéj, byłby doszedł łatwiéj do oświaty i zamożności, byłby łatwiéj stał się obywatelem którym na nieszczęście nasze nie był nigdy. Wielka to rzecz zaiste, że człowiek owego wieku, tak oddalony od naszych wyobrażeń i od naszych smutnych czasów, tak trafnie pojmował potrzebę równości praw jako takiéj, i potrzebę jéj dla Polski w szczególności. Wielka zasada konstytucyi 3 Maja, wielka zdobycz r. 1789, wypowiedziana w wieku XVI. przez człowieka o którym dziś swoi wiedzą mało, a obcy nic wcale, to rzecz godna zastanowienia, to świadectwo najzaszczytniejsze dla Polski ówczesnéj, to dla późniejszéj byłby chlubny tytuł do najsłuszniejszéj narodowéj dumy, gdyby poczciwy głos jednego szlachetnego obywatela nie był pozostał do końca głosem wołającego na puszczy. Tém gorzéj dla nas żeśmy go słyszeć i zrozumieć nie chcieli, ale jego zasłudze i sławie nic to nie uwłacza. Ludzie którzy wielkie zasady pojmują i rozszerzają należą zawsze do dobroczyńców swojego narodu; i jeżeli czcimy mężów wielkiego sejmu, to winniśmy czcić obok nich i tego który na dwa wieki przed nimi odkrył i wskazał jeden z wielkich środków odrodzenia ojczyzny.

We wszystkiém co mówi prosty i skromny, nie szuka on dla téj zasady najmniejszego teatralnego effektu; nie poprzedza jéj szumnym wstępem jak to czynić lubił wiek ośmnasty, nie uderza w trąby i kotły by zapowiedzieć jéj wyjście na scenę.

„Prawa — mówi — są jakoby lekarstwo, w którego „dawaniu żaden biegły lekarz na osoby nie ma baczenia. Dosyć „jemu jest poznać niemoc która chorego trapi, ale na to ba„czenia nie ma, jeźliże pan czyli chłop, jeźli szlachcic czyli „nie szlachcic, jest ten który leczenia potrzebuje. Tymże spo„sobem prawa niech się w sobie mają, aby występki winnych „jednakim obyczajem karały, a iżby jednako o pożytku, o po„koju y o zdrowiu wszystkich radziły. Nic nie jest Rzeczy„pospolitéj szkodliwszego jako praw a karania różność, wedle „różności występujących. Bo jednym a jednakim głosem prawo „ma do wszystkich mówić, jednem a jednakiem panowa„niem ma wszystkim panować, tak w rozkazywaniu jako „w zabranianiu, jednym a jednakim sposobem o pożytkach „y o trudnościach y krzywdach wszystkich w obec stanowić „i radzić.“

Oto wszystko; ale to tak wyraźne, że nikt nas nie posądzi jakobyśmy podsuwali autorowi rzeczy, o których nie myślał. Do wniosku tego nie dochodzi on na drodze oderwanéj spekulacyi, nie filozofuje wcale, nie wychodzi z ogólnego prawidła. Rażą go fakta, oburzają istniejące prawa, gwałty i nadużycia na które sam patrzał, i doprowadzają do wniosku praktycznie. „Dwa człowieki, jeden prostego stanu, drugi szlachcic srodze „zranili jednego człowieka, szlachcica, który potém z ran umarł. „Człowieka onego prostego stanu który go poranił, ujęto zaraz „a potém ścięto, bo statut jest, iż człowiek prostego stanu, „jeżeli szlachcica zabił abo ochromił abo srodze ranił, da „gardło“ — ale ów drugi morderca szlachcic jeszcze żyw, chodzi między ludźmi, i powiadają „że podług postępku prawa „polskiego pieniężną winą ma być karan.“ Otóż co go naprowadziło na tę potrzebę jednego prawa dla wszystkich. Człowiek prostego stanu ponosi karę śmierci za mężobójstwo, szlachcic płaci grzywny. A nie sądźmy, żeby Frycz tylko jeden w ówczesnéj Polsce rozumiał był ohydę i smutne skutki takiego prawa. Na chwałę jeżeli nie narodu który prawu temu długo dał żyć niestety*), to przynajmniéj na chwałę kilku wybranych

*) Prawo to zniesione w Litwie roku 1558. W Koronie dopièro 1768 r. i kara śmierci postanowiona na wszelkie zabójstwo.

powiedzieć trzeba, że już w wieku XV. za Kaźmierza Jagiellończyka uczony Jan Ostroróg zżymał się przeciwko pieniężnej karze mężobójstwa *)". Zygmunt Stary kilkakrotnie usiłował zmienić to prawo, wnosił stósowne propozycye na sejmie, i raz nawet, w Piotrkowie w roku 1538, przyszło w senacie do głosowania, ale propozycya królewska większością głosów upadła. Zygmunt August, na wskróś zawsze szlachetny, od młodości był nieprzyjacielem tego prawa. Nie był więc Frycz jedynym który je potępiał, ale był jednym z liczby wielkich i zacnych umysłów, które ze zgrozą patrzały na taką niesprawiedliwość, i był pierwszym, który przeciw niéj tak jawnie i tak głośno wystąpił. Prawo samo, i prawa obrońcy wprawiają go w oburzenie, które dochodzi niekiedy nieledwie do natchnienia, i nadaje mu taką moc wymowy, że nie jeden z jego ustępów nie zeszpeciłby samego Skargi: „nie wiem jeźli nie tak głowami „kmiecemi jako kostkami grać chcieli którzy ją za dziesięć „grzywien oszacowali, gdyż zaś kmiecia któryby szlachcica „zabił gardłem karać postanowili. Azaż ludzie pospolici nie „na wyobrażenie Boże stworzeni są, których gardło mniejszą „summą pieniędzy płacą? Niechby dosyć było prostym na „tem, że chociaby cnotliwi i dobremi naukami ozdobieni byli, „aby nie mogli trzymać przedniejszych urzędów, niechby na „tem dosyć że tę lekkość cierpią; niechaj im nie będzie „przydana ta wielka a ze wszech najsroższa nędza, aby ich „gardła trochą pieniędzy były płacone. Zaprawdę Rzeczpos„polita samą tylko szlachtą kwitnąć nie może. Cóż to tedy „za okrótność jest, iż bez których się posługi obejść nie mo„żemy, tych gardło tak lekceważymy. W tem prawie na „mężobójce nie masz nic coby się nie przeciwiło rozumowi, „prawu bożemu i ludzkiemu.

„Lecz to wszystko się mówi jakoby groch na ścianę „miotał. Nic nie dbamy na tak częste uskarżania, żyjemy „w wielkiem bezpieczeństwie, nic nas nie rusza utrapienie „pospolitego człowieka, nic nas nie rusza krew ludzi niesłusznie „pobitych, która zawżdy woła do nieba a płaczem niewypo-

*) Ossoliński. Wiadom. Histor. kryt. Tom IV. Z odwołaniem się na Czackiego.

„wiedzianym prosi pomsty na mężobójce, y na te którzy tego „prawa bronią, które za pieniądze podawa miecz w ręce mę-„żobójcom. Dla tego obawiać się trzeba nagłego jakiego gwałtu „z nieba, aby jaka gwałtowna burza nie spadła, a nas wszyst-„kich, y domów y narodów, a na ostatek y samego imienia „polskiego z gruntu nie wywróciła i nie potarła."

Żeby więc tę gwałtowną burzę zażegnać, a nie dopuścić do spełnienia tak groźnéj przepowiedni, żeby nie odezwała się kiedyś ta z krzywd pochodząca „waśń zastarzała, postanowić „należy przedewszystkiem prawo o krzywdach a o tem naj-„więcéj mieć staranie, aby podłego stanu ludzie od krzywd co „najwięcéj byli bezpieczni. Wiele szlachty, wiele ludzi boga-„tych lecą do czynienia krzywd ludziom podłym i ubogim, „a nie ma człowieka któryby krzywdę niezemszczoną a nie „skaraną skromnie miał znosić. Do czasu taić musi urazę, „ale wszystek ten ubogich ludzi naród baczy to że jest na „krzywdy wystawiony, przeto obawiać się trzeba aby się owa „waśń zastarzała kiedykolwiek ku szkodzie Rzeczypospolitéj „nie wywarła."

Wiele i wiele przeszło czasu zanim dojrzały gorzkie owoce tych krzywd niepomszczonych, téj waśni zastarzałéj, ale téż dojrzały tak, żeśmy dziś wszyscy niemi struci, że ich jad krąży po naszém ciele spółeczném, paraliżuje nam stawy i muszkuły i same nawet kości próchnem zaraża. Że kiedyś, po strasznéj chorobie, po bolesnych kuracych ciało wypoci z siebie ten zabójczy pierwiastek, o tém nie wątpić; ale téż i nie zaprzeczyć żeśmy struci, i że bylibyśmy dziś pono zdrowi, gdybyśmy byli poszli za radą tego wielkiego lekarza, który zły pierwiastek rozpoznał w ciele narodu, zanim to złe choćby najmniejszym objawiło się zewnętrznym, widomym symptomem.

Radą zaś praktyczną jest naprzód, żeby przeszkodzić krzywdom zadawanym przez szlachtę ludziom prostego stanu. Na nic się nie zda prawo, które na krzywdy takie naznacza karę pieniężną; bo kary takiéj nie boi się człowiek możny i bogaty. Ale jeźliby za krzywdę czekało go więzienie, sromota jaka, wygnanie, a w wielkich razach śmierć, niewątpliwie namyśliłby się dobrze, zanimby drugiego skrzywdził. Zatém

zmienić należy to prawo, a w miejsce kary pieniężnéj, postanowić inne, i spisać artykuły przeciw wszelakiemu „sromoceniu, zbiciu, łajaniu, osieczeniu y wszelakiemu oszpeceniu“ a zwłaszcza przeciw tym sromoceniom, którymi wszystkek stan ktorykolwiek sromocon bywa, jako naprzykład nie dawno jawnie napisano, pióro w jadowitéj truciznie nie w inkauście maczając, że chłopska krew nigdy nie jest życzliwą szlachcie.“

Rzecz niezawodna, że prawo o krzywdach takie jak je mieć chce Frycz, byłoby zapobiegło wielu zbytkom i nadużyciom, a że każde nadużycie, każde bezprawie, dodaje się koniecznie i fatalnie do summy owéj „zastarzałéj waśni“ więc rzecz można śmiało, że i na tę waśń i na wszystkie jéj opłakane skutki byłaby reforma ta choć w części zaradziła.

Do tych praw o krzywdach należy przed innemi prawo o mężobójstwie, przedmiot któremu autor oprócz licznych ustępów w niniejszém dziele, cztery osobne poświęcił oracye. Przedmiot ten wprawia go zawsze w zapał, w natchnienie zgrozy i oburzenia. Dziś, kiedy prawo to potępione już jest oddawna naszą historyą i naszém sumieniem, potępiać go już nie potrzeba; a zresztą, są rzeczy które najwymowniéj mówią same za siebie, bez wszelkiego komentarza. Z tych liczby jest i owo haniebne prawo o mężobójstwie, którego oto główne zarysy:

Od najdawniejszych czasów zbrodnia zabójstwa karana była w Polsce nie karą śmierci, ale karą pieniężną, główszczyzną. Dla czego tak było, kiedy inne zbrodnie, kradzież naprzykład lub gwałt, pociągały za sobą karę śmierci, któż dziś zrozumieć i wytłómaczyć może. Jeżeli prawodawstwo nie uznaje wcale kary śmierci, to bardzo pięknie; ale jeżeli już przypuszcza ją i stanowi, to pojąć trudno jakim sposobem wyjmuje z pod niéj zbrodnię mężobójstwa, zwłaszcza kiedy poddaje jéj zbrodnie inne i to mniejsze. Rozsądek, sprawiedliwość, sumienie, wszystko się oburza na ten fawor prawa dla morderstwa. Gdyby przynajmniéj był to fawor niepojęty, niedocieczony, ale ogólny, dla wszystkich zgoła mordów i morderców, możnaby jeszcze widzieć w nim tylko sprzeczność i nierozum. Ale było gorzéj, bo pewne wyjątki robiły to prawo ohydném.

Za rozmyślne zabójstwo szlachcica, płacił szlachcic głowszczyznę i odsiadywał rok tarasu, za zabójstwo nierozmyślne, płacił tylko grzywny w liczbie stu dwudziestu. Zabójstwo zaś nie szlachcica, opłacał także grzywnami, tylko w mniejszéj kwocie (dziesięć grzywien). Ale nie szlachcic który zabił szlachcica, karany był zawsze śmiercią, a dla tego, iżby téj kary nie mógł uniknąć, stanowiło prawo, że jeżeli nawet winowajca podlegał prawu teutońskiemu, to za zabicie szlachcica miał być sądzonym *jure polonico*; *jus polonicum* zaś wymagało krwi za przelaną krew urodzonego. Jeżeli więc mieszczanin żyjący na prawie niemieckiém, zabił szlachcica, natenczas nie należał pod juryzdykcyę swoich zwyczajnych sądów miejskich, ale sąd ten musiał się odbyć podług prawa polskiego, z przyzwaniem starosty grodowego.

Głowszczyzna za szlachcica, szła w całości dla krewnych zabitego — głowszczyzna za chłopa, dzieliła się między jego rodzinę i pana, któremu pieczołowitość prawa wynagrodzić chciała materyalną stratę. — Dość tych oburzających szczegółów o których bez wstydu mówić nie można, a które mszczą się na nas do dziś dnia słowami które często usłyszeć można z ust ludu wiejskiego: „za polskich czasów można było chłopa zabić za trzy złote.“

Nie myślimy téż dowodzić, że Frycz miał słuszność kiedy żądał przynajmniéj jednéj na wszystkich kary za mężobójstwo. Nie będziemy także ani go zbijać ani popierać w twierdzeniu, iż „każdy gwałt niesłuszny, tak rzeczom jako osobom wyrzą-„dzony, nie wiem jeżeliby inszem karaniem sprawiedliwszem „już gardłem miał być skarany.“ Pod tym względem odeszliśmy daleko naszego autora, i dziś już kara śmierci coraz mniéj liczy wyznawców i obrońców.

Do swoich czterech oracyi o mężobójstwie odsyła Frycz czytelnika chcącego się przekonać, że kara śmierci jest najsłuszniejszą karą nie tylko za mężobójstwo, ale nawet za cudzołóztwa, złodziejstwa i krzywoprzysięztwa. Tutaj zbywa nas tylko ogólnikami i wyjątkami z ksiąg Mojżeszowych, a słowom nawet: „kto mieczem wojuje od miecza zginie,“ podsuwa to znaczenie, jakoby przez nie Ewangielia żądać miała kary śmierci na zabójców. Dowodzenie to nie wywoła

zapewne zwrotu w opinii, i nie rozstrzygnie sprawy na korzyść rusztowań i katów — dajmy mu więc pokój, i powiedzmy tylko dla sprawiedliwości że Frycz rozróżnia przecież pomiędzy zabójstwem rozmyślném, a przypadkowém lub w obronie własnéj, i na pierwsze tylko żąda kary śmierci. Powstaje gwałtownie przeciw niesprawiedliwości prawa polskiego, które karząc gardłem złodzieja, na mordercę stanowi tylko rok tarasu lub grzywny. „Bo a kto może powiedzieć jako wiele złego „z tego prawa wynikło, które żałosne odszczepieństwo wniosło „do Rzeczypospolitéj, a popędliwościom złych ludzi zawsze „dodawa śmiałości — które spokojne a niewinne jakoby na „rzeź wydawa, które pospolitéj szlachty śmiałość zmocniło, „a srogie niewolnictwo na ludzi prostego stanu włożyło, które „zawdy miało w sobie nasienie zdrady, niezgody, zwady i wojny „wewnętrznéj.“ Niektórzy — mówi — farbują to w ten sposób, iż rok tarasu ma być kaźnią sroższą od utraty życia; gdyby i tak było — gdyby karanie to sroższem było na prawdę — to dopiero za głowę szlachecką — a za chłopską co? grzywny.

To ufarbowanie oburzającéj ustawy, ten pozór jakoby utrata wolności sroższą miała być karą od utraty życia, wydaje nam się rzeczą bardzo charakterystyczną. Słyszy się prawie butnego wichrzyciela, orędownika i rycerza złotéj swawoli, jak popełniwszy najokropniejsze bezprawie w tém największą upatruje karę, że przez rok cały siedząc w turmie, nie będzie mógł popełniać ich więcéj. Co za ucisk przyrodzonéj wolności szlachcica!

Obok téj żądanéj zmiany w prawie o mężobójstwie, znachodzi się druga, nie mniéj wielka i znacząca. Nie godziło się w owym czasie kmieciowi pozywać pana do sądu. Nie potrzeba rozwodzić się nad tém postanowieniem prawa, ani dowodzić, że autor ma słuszność kiedy przeciw niemu powstaje. Lepiéj przytoczyć ustęp odnośny w całości: „To też „trzeba postanowić aby żaden rzeczy swej sędzią być nie śmiał. „Bo na każdym sądzie trzy osoby być mają, strona powodowa, „strona obżałowana i sędzia. Barzo tedy niesprawiedliwie „czynią którzy o swą rzecz ludzie swemu panowaniu poddane „sądzą. Nie jest to ona wolność, która jest w uściech u każde„go, ale okrutne niewolstwo iż pan przywłaszcza sobie moc

„nad żywotem i śmiercią sługi swego. Boć jednak wszyscy „ludzie mają się z jakiejkolwiek wolności weselić, a jakąż „wolność kmieciowi twojemu zostawujesz. Nie jest wolen od „dawania dziesięcin, ani od płacenia czynszów i poborów, ani „od roboty tobie powinnéj, nie ma żadnéj wolności starać się „o urzędy którą ty masz zupełną, któraż się przeto wolność „zostawa? Azaż nie tu która w równem opisaniu praw y są„dów zależy? Y kmiecie y insze nieszlacheckiego stanu ludzie „pospolicie szlachta ma za psy. Ztądże one nieczystych ludzi „mowy: ktoby wieśniaka abo chłopa zabił (bo tak każdego „nieszlachcica zowią, chociaby też był daleko odewsi) jakoby „też psa zabił. To głos wyrzezania języka godny, który „z niesłusznego szacowania mężobójstwa i nierówności praw „wyrósł. Jeźliże tedy odejmujemy kmieciowi wolność pozywa„nia panów do sędziego, odejmujemy mu wszystką wolność. „Jeźli panom dawamy moc sądzić je o rzecz swą niszczymy „wszystek sposób sprawiedliwego sądu, który nie będzie spra„wiedliwy, gdzie tenże będzie sędzią który powodową stroną. „A przeto i kmiecie i wszyscy poddani od takiego tyraństwa „mieliby być wyswobodzeni. Sprawiedliwszyby to był postępek „sądu, kiedyby y panu poddanego y poddanemu pana do „sędziego pozwać się godziło. Bo ledwie takiego najdziesz „któryby rzecz swą sądząc, nie był sobie życzliwszym niżeli „z kim się prawuje. A jeźli kto taki jest, wszakże przedsię „na każdego należy nie tylko się krzywdy wystrzegać, ale téż „i podejrzenia krzywdy. A którzy na to niedbają, ci tego „dochodzą, co przedtem o niewolnikach napisano, że jako „wiele mają poddanych tak wiele nieprzyjaciół. Aleby kto „rzekł że tego teraz nie znać, y owszem daj Boże żeby się „nigdy nie okazało. Aleź to na mądre należy radzić o przy„szłych rzeczach, a na wątpliwe czasy Rzeczypospolitéj przy„jacioły sobie jednać.“

„Daj Boże aby się to nigdy nie okazało, ale na mądre „należy o przyszłości radzić.“ Cóż tu na tę przestrogę powiedzieć dziś, kiedy okazało się aż nadto? Wolność obywatelska, równość polityczna, była niepodobną, nieznaną, nieprzeczuwaną jeszcze w owym wieku. Ale sprawiedliwość, ale prawo człowieka do sprawieliwości, ale równość przed prawem, to zasady najpierwsze, najprostsze, wrodzone człowiekowi, te zdawałoby

się powinny były łatwiéj trafić do serc i umysłów ludzkich. A gdyby były trafiły — gdyby ustały były z czasem owe sądy w których obżałowany bywał zarazem sędzią, gdyby były ucichły owe mowy wyrzezania języka godne, gdyby zabójstwo chłopa karaném było jak zabójstwo człowieka — nie słuchalibyśmy dziś ze wstydem i żałością owych mów, które brzmią jak straszne urągowisko losu. „Za polskich czasów można było zabić chłopa za pieniądze.“ Ojcowie zjedli kwaśną jagodę, a zęby synów pocierpły — ale to pewna, że gdyby ojcowie chcieli byli posłuchać głosu tego mądrego, który chciał o przyszłości radzić, gdyby byli znieśli tę zgubną praw i karania różność, byłaby Polska wyszła z tego zaklętego koła szlacheckiego narodu, w którém obracała się dopóki nie dostała zawrotu głowy i nie padła. I dla tego to rzekliśmy na wstępie, że Frycz żądając dla Polski równości w obliczu prawa, natrafił na zasadę, która zmienić mogła całe jéj dzieje i smutne jéj przeznaczenie.

Drugą reformą istotną, któréj żąda Modrzewski, a która rzeczywiście posłużyć mogła do prawdziwéj poprawy Rzeczypospolitéj, była dobra administracya sprawiedliwości. Pierwszym warunkiem takowéj jest niezaprzeczenie owo „jedno prawo dla wszystkich“, o którém wyżéj; skoro zaś to jest daném i zapewnioném, pozostają jeszcze do ubezpieczenia warunki następujące: zbiór praw ułożony w sposób jasny i niedopuszczający błędnych tłomaczeń, niezależność sędziów, a wreszcie proste, łatwe i szybkie postępowanie sądowe. Znajdziemy w Fryczu wszystkie te trzy podstawy porządnéj i dobréj sprawiedliwości.

Nic błędniejszego, nic mniéj odpowiadającego celowi i pojęciu sprawiedliwości, od sądów polskich. Jest w nich niezaprzeczenie wiele pięknego, na przykład zasada wybieralności sędziów, ale rzecz jawna dla każdego, że taka mnogość różnych prawodawstw, taka plątanina instancyi, sądów zwyczajnych i nadzwyczajnych, tak niedokładne określenie atrybucyi tych sądów, a przynajmniéj tak częste przekraczanie tych atrybucyi przez sędziów, sprawiało, że machina ta nie mogła funkcyonować ani szybko ani regularnie.

Sprawy szlacheckie cywilne miały pierwszą instancyę w sądach ziemskich (powiatowych), kryminalne w grodzie. Sprawy włościańskie u dziedzica. Apelacyą dla szlachcica w spra-

wach cywilnych jak kryminalnych, były wieca, odprawiane raz na rok przez wojewodów, kasztelanów i innych urzędników. Dla poddanego nie było apelacyi żadnéj od wyroku pierwszéj instancyi. Instancyą zaś najwyższą we wszystkich sprawach był albo sejm, ciało liczne, ciężkie i niezasiadające stale i zawsze, nie mówiąc już o tém że do innych spraw przeznaczone, albo król, który gdyby nawet nic innego nie miał do roboty, jeszcze nie zdołałby spraw rozpoznać i rozstrzygnąć, bo temu jeden człowiek podołać nie może. Zatém, mówi Frycz, samo już urządzenie sądownictwa jest złe, a praktyka prawna jest jeszcze o wiele gorszą. Czy można pomyśleć coś niedorzeczniejszego jak ten sejm, który jest zarazem najwyższym trybunałem, a który zasiada tylko od czasu do czasu — wszystkie więc sprawy z całego roku i z całéj przestrzeni Rzeczypospolitéj zebrane, czekać muszą owego terminu, i tam, w natłoku spraw innych, rozstrzygać się dorywczo, lub nie rozstrzygać wcale.

Po sądach zaś grodzkich i ziemskich jakże się sprawy toczą? Możny klient staje przed sądem zbrojno, z orszakiem sług i przyjaciół, ujmuje, przekupuje lub zastrasza sędziów, cokolwiekby popełnił, uwolni się od tarasu rękojemstwem na czas śledztwa, sprawa tymczasem idzie w odwłokę, a obżałowany korzysta z czasu żeby sędziów i opinię przeciągnąć na swoją stronę. Sędziowie znowu łatwo dają się odwieść od prawego rozsądku przez powinowactwo lub inne względy — świadkowie za nic sobie mają świadczyć a nawet przysięgać fałszywie: „Naszedł kto na twój dom, zgwałcił twoją córkę pannę, „zabił ojca twego, brata albo syna, a ten złoczyńca jest szla- „checkiego stanu, bogaty, u ludzi ma łaskę, naznaczy mu sę- „dzia rok odkładając sprawę dla wielu przyczyn, a przez ten „czas zbroiwszy zły uczynek, chodzi gdzie chce, sługi i towa- „rzysze sobie jedna, zawżdy miecz przy boku, łotrosów na to „najętych mając około siebie dosyć, z siekierkami, z mieczami „i ze strzałami, z nimi do sądu chodzi i na biesiady i do ko- „ścioła. Cóż tedy wolisz, czy aby ten złoczyńca tak się wolno „wałęsał, czyli radniéj aby z więzienia wyszedłszy, sprawował „się? O nędzny stanie Rzeczypospolitéj, w któréj i ci co uczy- „nili krzywdę, i ci co ją odnieśli, i ci co od niéj są daleko „tęż jednaką niekarność odnoszą, abo w nadzieję sprosnego „pożytku, abo dla téj nieprzystojnéj wolności.“ Nic piękniej-

szego, nic słuszniejszego jak nasze prawo *neminem captivabimus* lub angielskie *habeas corpus*, ale tam tylko, gdzie będąc rękojmią wolności i hamulcem nadużyć, nie jest zarazem zaprzeczeniem sprawiedliwości. A jest niém niezawodnie tam, gdzie oskarżony „otoczony zgrają łotrosów" urąga sądowi i prawu pod pozorem wolności. Dziś gdy okoliczności przytarły znacznie polską butę i swawolę, prawo takie mogłoby nie być zgubą sprawiedliwości; było nią niezawodnie w możnowładczêj i szlacheckiéj Polsce, i dla tego pisać się musimy na ten antiliberalny pomysł Frycza, który żąda ograniczenia lub zniesienia tego prawa, Tylko przez karność dochodzi się do wolności, tylko przez uszanowanie dla sprawiedliwości nabywa się do wolności prawa.

A na ten opłakany stan sądownictwa w Polsce, obaczmy jak Frycz chce zaradzić.

Znajdziemy tu, rzecz rzadka u naszego autora, plan zupełny, wykończony, obmyślany nawet w szczegółach, coś jak żeby porządnie wypracowany projekt jakiéj sejmowéj komisyi w dziewietnastym wieku. Przedewszystkiém zarzucić należy dotychczasową szkodliwą praktykę odsyłania spraw do sejmu i króla. Tracą na tém i sprawy sądowe, i wszystkie inne. Jeżeli ma być dobrze, to należy postanowić sądy apelacyjne stałe, które zasiadając rok cały, niczém inném nie byłyby zajęte jak wymiarem sprawiedliwości. Sądy takie miałyby zasiadać gdzie w środku krajów Rzeczypospolitéj, w Piotrkowie na przykład lub w Krakowie (środek to niezupełnie zaiste zgodny z geografią, ale przyjęty zapewne dla tego, że Kraków choć nie geograficznie, był przecież środkiem całego życia krajowego) — daléj, z wyjątkiem krótkich feryi, od św. Małgorzaty do św. Bartłomieja na przykład, (czas żniwa), sędziowie mieliby przez rok cały urzędować. Za to należy im się słuszne wynagrodzenie, a najlepszym onego sposobem, byłoby nadanie każdemu na czas urzędowania wioski w pobliżu, któréj plony i dochody szłyby na utrzymanie sędziego, jego rodziny i czeladzi, a sędziowie mogliby bawić się sprawowaniem swoich pól i ogrodów. Na jednym zaś wielkim placu, staćby miały gmachy mieszkalne, dla każdego sędziego osobny, a wpośrodku placu kościół „gdzieby się sędziowie nabożeństwem bawili, a sprawy „swoje Bogu nieśmiertelnemu poruczali, od którego sprawie-

„dliwy sąd i wszystko dobre pochodzi.“ Podle kościoła niechby był gmach gdzieby się sądy odprawowały.... i tam daléj — porzućmy te szczegóły, a przejdźmy do rzeczy.

„Konsystorz“ taki sędziów miałby być obieranym na sejmie i przez sejm — w liczbie np. dziewięciu członków. Do liczby się nie wiąże, podaje ją tylko dlatego, że większa wydaje mu się niestósowną; ciało liczne staje się ciężkiém i więcéj rozprawia niż robi. Ale ci dziewięciu, ponieważ „wszystkie stany sądzić „mają, przeto ze wszystkich w równéj liczbie mają być wy„bierani, to jest po trzech z każdego, z szlacheckiego, z du„chownego i mieszczańskiego.“ Zasada wybieralności sędziów jest rzec można takim szczytem wolności, że nasza Europa jeszcze nań nie weszła, a Ameryka jedna wprowadziła w życie tę prerogatywę społeczeństw wolnych, to *desiderium* społeczeństw oświeconych. Polska posiadała tę wolność; warto się nad tém zastanowić, ale co zastanawia nas więcéj niż zasada sama, to to, iż autor żąda aby sędziowie ci wybieralni, wybieranymi byli ze wszystkich stanów. Nic podobnego nie znajdziemy już w historyi polskiéj, aż do trzeciego Maja. Sędziowie ci mają być (zacni, sprawiedliwi, biegli w prawie ma się rozumieć), jeżeli już nie dożywotni, skoro niektórzy boją się aby się to tyranią nie stało, więc niechby byli wybierani na lat kilka. Chociaż dla czego się boimy tyraństwa dożywotnich sędziów, a dopuszczamy innych urzędników dożywotnich, zrozumieć trudno. Nie wypowiada Frycz wyraźnie dla czego tak obstaje za dożywotnością sędziów, ale obstaje za nią widocznie. Żałujemy że nie tłomaczy się z powodów, bo rzeczą byłoby ciekawą widzieć czybyśmy w powodach tak się z nim zgodzili jak we wniosku. Niezależność sędziów jest pierwszym warunkiem dobrego sądownictwa, a środkiem do téj niezależności jest dożywotnie urzędowanie sędziego, i zabezpieczenie jego losu. Dożywotność ta rozumie się oczywiście w tych tylko razach, jeżeli sędzia nie wykroczył przeciw obowiązkom swojego urzędu.

Rękojmię zaś na sędziów znajduje Frycz w téj jedynéj rzeczy, która dać ją może, w odpowiedzialności. „W Rzymie „także był ten obyczaj, iż chociaż wszelka władność święta jest, „wszakże gdy z urzędu wystawali, możono z nimi prawem czy„nić o uczynioną krzywdę i o złe na urzędzie zachowanie.“

Oprócz tego statutem ma być obwarowane, ażeby sędziowie żadnych darów nie brali. Dla niezależności zaś sądów postanowić należy prawo, „ażeby żaden nie ważył się sędziemu za-„lecać rzeczy którejkolwiek strony, nawet sam król, bo przy-„słowie mówi: przymusza niższego wyższy gdy go prosi.“ Każdemu ma być wolno skarżyć na sędziego, a sędzia przekupiony lub taki, któryby z wiadomością sprawę krzywo rozsądził, ma „być słusznemi kaźniami aż do ucięcia głowy skaran.“ I obok tego powieść o Kambizesie, który z przekupnego sędziego skórę złupił, i na przestrogę dla innych w izbie sądowéj zawiesił.

W sądzie takim większość głosów rozstrzyga; powody wyroku mają być stronom podane na piśmie, „bo nic głupsze-„go ani przewrotniejszego jak wyrok, którego przyczyny nie „wiesz albo nie rozumiesz.“ Porządek spraw ma być postanowiony i przestrzegany, aby każdy wiedział kiedy na niego termin przyjdzie — a żadna sprawa nie miałaby leżyć w sądzie dłużéj nad trzy miesiące; zwłoki, dylacye nie mają być dozwolone, sposób świadczenia i przysięgi ma być dobrze opisany i obwarowany, ażeby nie wciskały się nadużycia. Uważmy że to wszystko nie mgliste jakieś życzenia i zachcianki, ale żądania jasno określone, praktycznie sformułowane, i do najdrobniejszych szczegółów opracowane, tak że od razu dadzą się w życie wprowadzić.

Od sądu takiego apelacyi nie ma, „chyba gdyby rzecz „jaka nowa i niesłychana, tożby dopièro sędziowie odezwania „na sejm i do króla dopuścili, a odesłaliby on wszystkiéj spra-„wy postępek.“

Nie rozstrzyga autor, czy do wszystkich spraw mają być ci sami sędziowie, czy téż inni do spraw cywilnych, inni do karnych, ale jedno zaleca bardzo, to żeby stronom nie było wolno stawać przed sądem zbrojno i w orszaku popleczników, a w obronie swojéj wyliczać czy to własne czy przodków zasługi. Wszystko to bowiem na to tylko służy, by sędziego ująć lub zastraszyć; dla biednych zaś Rzeczpospolita własnym kosztem utrzymywać ma rzeczniki, „żeby kto przez ubóstwo, „abo dla nieumiejętności swéj, abo dla ubłądzenia sędziego, „niesprawiedliwie nie był osądzon.“ Instygatora także postanowić należy, na tych którzyby „się czego dopuścili przeciwko

„Rzeczypospolitéj, abo domaganiem urzędów, abo jakimi złymi „uczynkami.“

Ale iż sprawiedliwość nie jest sprawiedliwością ale martwą literą, jeżeli wyroki jéj wykonane nie są, przeto „skazani niech „będą przymuszeni aby skazaniu zadość uczynili, bo nie masz „nic szkodliwszego jako gdy niektórzy możni nie podejmują „karania od Rzeczypospolitéj, a karania takiego nikomu nie ma „być wolno odpuścić, nawet samemu królowi.“

Oto mniéj więcéj krótki rys reformy sądownictwa, jak ją Frycz podaje. W późniejszych trybunałach widać, jeźli się nie mylimy, pewien wpływ, ślad téj myśli, ale brak w nich najcenniejszego jego pomysłu, sędziów wybieralnych z wszystkich stanów. Polska kastowa, kastowe téż miała trybunały, i te, z czasem tak się zepsuły, że nie szukać w nich owéj sprawiedliwości i czystości, nie szukać ówéj niezależności i niezważania na osoby, które Frycz tak zaleca; trybunały z końcem XVIIIgo wieku poszły w śmiech i poniewierkę, a wiadomo że w Lublinie, (podług charakterystycznéj legendy), djabli sprawiedliwiéj od sędziów rozstrzygnęli sprawę jakiéjś wdowy. Ale nie o trybunały nam tu chodzi, tylko o to, że w projekcie Frycza znajdujemy wszystkie znamiona dobréj administracyi sprawiedliwości, to jest: obwarowaną niezależność sędziów, odpowiedzialność sędziów, pośpiech i łatwość w postępowaniu sądowém. Znajdujemy nadto jedną z najwyższych zasad wolności: obieralność sędziów. Nie myślimy tu chwalić tego co się samo najwymowniéj chwali, więc obrócimy się zaraz do innéj zalety, którą nam jeszcze podnieść wypada. Wiadomo jak zawikłaném, jak niejednostajném było sądownictwo polskie — jaka tam mnogość i jaka różność sądów ziemskich, grodzkich, miejskich, magdeburskich, kanclerskich, zadwornych i t. d. — wiadomo że inném prawem prawował się szlachcic, inném mieszczanin, że każdy gdzieindziéj szukał sprawiedliwości, każdy dostawał ją na mocy innego prawa. Co to być musiał za chaos, co za nieład w téj sprawiedliwości, tego dziś ani sobie wyobrazić można. Frycz poddając wszystkich pod jedno prawo i pod te same sądy, próbuje dokonać dzieła niezmiernéj doniosłości i wagi. Wszak kodeks nie najmniejszą jest chwałą wielkiego Napoleona. Kodeksu także żąda i Modrzewski, a mianowicie, żeby ze wszystkich stanów wybrani byli ludzie biegli,

(zawsze te dwie zasady, wybór, i wybór ze wszystkich stanów), którzyby prawa spisali. A te prawa, jedne i te same dla całego narodu, mają być spisane jasno i zrozumiale, tak żeby je każdy mógł rozumieć, z pomocą prawodawstw zagranicznych, a przedewszystkiém z pomocą prawa rzymskiego, „z którego trzeba „wziąć drogę i sposób stanowienia praw.“ Na jedno zaś bardzo zważać należy, to jest aby o rzeczach podobnych podobne prawa stanowiono. Do tego przykład: „Jest u nas prawo o sołtysie niepożytecznym, aby go ruszono z tego stanu y z majętności skupiono. I dobre zaprawdę prawo; lecz czemuż na „insze urzędniki nie ma być rozciągane? Czemuby też niepo„żyteczni wojewodowie, niepożyteczni kasztelanowie, niepoży„teczni starostowie z miejsca nie mieli być ruszeni. Przecież „każdego z tych niegodność więcéj daleko może szkodzić Rze„czypospolitéj niżeli wielu sołtysów. Ale podobno ci którzy to „prawo o sołtysach stanowili byli pany sołtysów, a tak posta„nowili prawo straszliwe sołtysom, a im samym nic. Lecz, „a cóż innego jest tyranem być, jeśliże nie to jest? Bo kto „chce o Rzeczypospolitéj dobre staranie mieć, ma wszystkie „części jéj opatrzać. Bo jeśli niektóre tylko będziesz miał na „baczeniu, abo tylko większych opuściwszy drobniejsze popra„wujesz, właśnie jakobyś kraje ciała, włosy i paznogcie ochę„dożyć chciał, a o głowę i oczy i ręce chocia się źle mają „nie dbał“ *).

Pomijamy wiele pomysłów dobrych lub ciekawych, pomijamy prawa o zbytkach, o próżnujących, o łapaczach urzędów; zmuszeni ograniczać się do rzeczy ważniejszych, przestaniemy na podniesieniu pojęcia jakie miał autor, z całą zapewne owoczesną Polską, o zbrodni Majestatu. Pojęcie to ze wszech miar zasługuje na uwagę. „Majestat tedy jest wielmożność a do„stojność Rzeczypospolitéj y królewska y tych którzy słusznie „a przystojnie Rzecząpospolitą rządzą. Kto tedy oną zwierzch-

*) Mowa tu o skupowaniu sołtystw. Osady wiejskie, założone na prawie niemieckiém, podlegały własnemu sądownictwu przez sołtysów i ławników. Do sołtystwa przywiązany był grunt własny, często młyn lub karczma. Osady takie zakładał nietylko król, lecz częstokroć i prywatni, gdy chodziło o zaludnienie włości. Sołtystwa atoli skupowali w późniejszych czasach, co ze względu na władzę sądowniczą do nich przywiązaną, bardzo było ponętném i dogodném.

„ność miesza abo sądy gwałci, a kto abo przekaża abo odej-„muje urzędowi możność czynienia co na jego powinność na-„leży, ten, iż to przeciwko Rzeczypospolitéj czyni, niech bę-„dzie za występnego przeciw Majestatowi osądzon. Krótko mó-„wiąc, ten mi się zda być winien obrażenia majestatu, kto „przeciwko Panu abo Rzeczypospolitéj uczynił co złą zdradą, „zamieszaniem, zaburzeniem jawném, i ktoby co takiego du-„mał, zkądby teraźniejszego stanu Rzeczypospolitéj abo zwą-„tlenie, abo nachylenie, abo ku gorszemu odmiana urość „miała."

Jak występek ten ma być karanym, tego autor nie mówi; przestaje tylko na przypomnieniu, że w prawie rzymskiém kara spadała na potomstwo winnego. W każdym razie jest to pojęcie jasne i trafne zbrodni stanu; zbrodnią tą jest bunt lub spisek przeciw istniejącemu rządowi. Najsumienniejszy urzędnik policyi powinienby zadowolnić się tą definicyą, najzagorzalszy rewolucyonista musi się na nią zgodzić, bo musi się zgodzić na to, że każdy rząd musi bronić siebie i zasady swojego panowania. Ludzie zaś stojący pośrodku między urzędnikiem policyjnym a rewolucyonistą, mają się także czém pocieszyć, albowiem, zbrodnię tę podług Frycza stanowi bunt lub spisek, a nie niepodległość zdania, nie opozycya. „Nie przynosi to zwierzch-„nemu Panu ani Rzeczypospolitej pożytku, gdyby lud pospolity „i przedniejsi panowie zwyczaili się nie mówić ani rozumieć, „jedno coby się ich Panu podobało. Zwierzętami niememi „niechby taki rządził nie ludźmi, ktoby chciał aby się poddani „jego do tego zwyczaili."

Albo się bardzo mylimy, albo to wolność myślenia i mówienia wypowiedziana bardzo wyraźnie. „Nie przynosi pożytku „Rzeczypospolitéj jeżeli lud zwyczai się nie mówić i nie ro-„zumieć, jedno coby się Panu podobało." Dodajmy do tego jedno tylko słowo „pisać", a będziemy mieli w całości jednę z największych zasad wolności. Słowo to zaś tak blisko leży dwóch poprzednich, iż na śmiało przypuszczać możemy, że autor byłby go nie pominął, gdyby pisanie i drukowanie tak było w jego czasach powszechném jak w naszych.

Obraza zaś osoby panującego nie ma być uważaną za zbrodnię majestatu. Wolno go naganiać, wolno błędy jego wytykać — wszak dopuszczał tego Aleksander Wielki i cesarz

Teodozyusz — nadewszystko zaś zaleca to rozsądek i wspaniałomyślność, bo „jeśliś Pan a abo to czynisz co Tobie nie przy„stoi, abo tego co na twój urząd należy zaniedbawasz, winujże „się sam jeśli wedle tego jakoś zasłużył, ludzie o tobie mó„wią; a jeśli na urzędzie twoim nie błądzisz, a mimo to nie „inaczéj o tobie mówią, jedno jakobyś wiele wystąpił, przedsię „wspaniałego męża rzecz jest a prawie królewskiego serca, źle „słynąć gdy dobrze uczynisz, a za nic nie mając mów pospól„stwa, o wszelakiéj wielmożności, y godności, że w męztwie „a zacnych sprawach należą, rozumieć.“

Opinii zostawić wolność, a krzykactwem pogardzać, oto najlepszy sposób postępowania w tych drażliwych stosunkach, jakie pomiędzy rządzącymi a rządzonymi zawsze istnieć będą, bo istnieć muszą, bo jak mówi przysłowię: jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. Sądzenie i krytyka leży w naturze ludzkiéj, i usunąć się nie da, tłumiona staje się sama namiętnością, i nieraz pastwą złych niebezpiecznych namiętności. Opinia jakaś być musi. bo ludzie nie myśleć nie mogą, a skoro być musi, więc dla rządzących równie jak i dla rządzonych potrzeba, żeby była słuszna nie przewrotna, stateczna nie płocha, oparta na prawdzie nie na chwilowych zawiściach lub upodobaniach. A tylko jedna wolność mówienia i pisania wyrobić może poważną i szanowną opinię, tylko taka wyrobiona opinia moze obalić i rozbroić szkodliwą opinię krzykaczów.

Podnieśliśmy w powyższym ustępie zalety księgi o Prawach, mianowicie postawioną w niéj zasadę równości w obliczu prawa i projekt reformy sądownictwa. O jéj usterkach mówić nie chcemy. Odnoszą się one raczéj do tego, co autor pominął, niżeli do tego, coby był źle lub nietrafnie powiedział. Pominął, zbyt krótko elekcyę króla i sejmy, i to mu za złe mieć musimy; musimy z żalem przyznać ten brak w książce i w pisarzu, w których przez długie przestawanie rozmiłowaliśmy się nie mało. Bo można przywiązać się do ludzi dawno zmarłych, jeżeli przy pewnych koniecznych odcieniach wiekowi właściwych, łączy nas z nimi wspólność dążności i przekonań, można czuć dla nich wdzięczność i miłość, jeżeli się pozna, że znaleźli drogę, która mogła wyprowadzić Polskę z tego labiryntu, w którym błądziła, i że statecznie

wskazywali jéj tę drogę. Pomimo całego jednak przywiązania do Frycza, przyznajemy, że nie wszystko złe widział, nie wszystko próbował naprawić. Nie mamy go za wielkiego męża stanu, ale mamy go stanowczo za wielkiego obywatela, za wielkiego Polaka; a radzi pamięć jego w dobrém, słuszném postawić świetle, pozwolimy sobie przytoczyć tu jeszcze słów kilka, któremi on kończy swoją księgę o Prawach, a które pięknie świadczą o jego wyobrażeniach i zasadach:

„A gdy się to już o poprawieniu y stanowieniu praw „skończy, toż dopiero to trzeba ustawić, aby nic przeciwko „prawom nie mogło być ważne, ani samo rozkazanie królew„skie. Bo Rzeczpospolita nie wedle woli królewskiéj, ale we„dle praw pisanych ma być rządzona. Tyranów to jest wyrok, „którym zmyślają, jakoby król mógł co przeciwko prawom. „Pan zwierzchny jest pod prawem, i zwierzchność jego wisi „z zwierzchności prawa, a co się innym nie godzi, to się i „jemu samemu nie godzi. O jako dobrze napisał Arystoteles: „nie człowiekowi dopuszczamy panować ale rozumowi, to jest „prawu przyrodzonemu, a rozsądkowi ludzi mądrych do spraw „potrzebnemu.“

III.

Jest u nas zwyczaj jeden zły i szkodliwy, z którego, mówiąc nawiasem, koniecznie poprawić nam się potrzeba, jeżeli chcemy dojść do czegokolwiek na tym świecie, a zwyczajem tym jest, jeżeli nie pochlebstwo względem samych siebie, to przynajmniéj nader korzystne o sobie wyobrażenie. Zwyczaj to zakorzeniony oddawna, a utrwalony wielce przez najnowszą szkołę poetyczno-historyozoficzną. Szkoła ta, przed któréj prawdziwemi wielkościami pierwsi schylamy czoło, zrobiła nam jednak wiele złego, wpajając w nas to fałszywe a zgubne przekonanie, że wszystko co w świecie było dobrego, to było w Polsce, a poza Polską było go bardzo mało. Tak jak z Ojczyzny naszéj i jéj dziejów każdy z nas chlubić się może, tak przecie trudno zgodzić się na to, żeby ona jedna z europejskich narodów miała w sobie iskrę Bożego ducha. Wierzymy, że dobre i złe tkwi zarówno we wszystkich plemionach tego świata, a sądzimy, że przypisywać sobie jakąś w téj mierze nad drugimi wyższość, jest zgubném złudzeniem siebie

samych, a prowadzi do zarozumiałości, do fałszywego poglądu na siebie i swoje położenie, wreszcie do zgubnéj fatalistycznéj apatyi. Nam Polakom smakują pieczone gołąbki, nic dziwnego, że przystała nam do serca ta doktryna, która obiecywała nam deszcz owych gołąbków tak rzęsisty, jak ów cudowny deszcz przepiórek na puszczy. Ale pomyślmy, jak nauka ta jest niebezpieczną. Nic gorszego dla człowieka, jak zakochać się w sobie, bo wtedy, jak żeby przytomność stracił, nie zdoła cenić należycie ani siebie ani drugich, nie zdoła być rzetelnym z samym sobą, nie zdoła zajrzeć na prawdę w głąb własnego sumienia, i przez całe życie iść będzie błędną i fałszywą drogą. Z narodami tak samo. Jeżeli dadzą się olśnić własnémi, rzeczywistemi lub urojonemi cnotami, jeżeli zapatrzone w to pochlebne zwierciadło własnéj miłości zaślepią się na własne niedostatki i na zalety drugich, nie będą nigdy wiedzieć, czém są, czém być mogą i co im robić wypada, żeby zostać tém czém być chcą. A my jesteśmy, byliśmy zawsze bardzo w sobie zakochani. Dziś, kiedy kadzidło przez wielkich ludzi palone zmięszało się z wrodzoną naszą próżnością, a kiedy nasza opłakana i gruba nieznajomość zagranicznych narodów, dziejów i stosunków, dozwoliła tym dymom zaszumieć nam w głowach, dziś trudno może będzie się wytrzeźwić, choć nie zbywa nam na lodzie, którymbyśmy sobie głowy obłożyli. A jednak wytrzeźwić się nam trzeba koniecznie, i to prędko; trzeba nam koniecznie opamiętać się, wejść w siebie, uznać żeśmy między ludami Europy nie pierwsi, lecz jedni z ostatnich, jeżeli nie chcemy zostać ostatnimi na zawsze.

Bo i z czegóż nam się tak chlubić? Nie mówię już o teraźniejszości, w któréj tak mało powodów do otuchy, a tyle powodów do smutku i powiedzmy otwarcie, do wstydu, ale i w przeszłości naszéj, w dziejach Polski niepodległéj, przedrozbiorowéj, czyż tam wszystko na prawdę tak wielkie, tak czyste, tak mądre i święte, jak w siebie radzi wmawiamy? Strasznie to powiedzieć, ale kto wie, czy ze wszystkich ludów europejskich, tym, który najmniéj miał miłości ojczyzny, cnoty publicznéj i ducha poświęceń, nie był naród polski. Znajdziemy u innych zdrady, przekupstwa, konszachty z ościennym nieprzyjacielem, ale znajdziemy obok tego i upartą walkę na śmierć w obronie Ojczyzny. Nic bardziéj zepsutego, jak An-

glia XVII wieku, a przecież z jaką energią, z jakim uporem walczy ona z Ludwikiem XIV? Nic lekkomyślniejszego od dawnéj szlachty francuskiéj, ale to przynajmniéj można o niéj powiedzieć, że swojéj krwi nie żałowała nigdy. A my? my już za króla Ludwika warujemy się, żeby nam korona wracała wszystko, co na rzecz publiczną poświęcimy, my potém, gdy się wojna przeciąga, wracamy z pola nie ze strachu, lecz z lenistwa i niedbalstwa i częstokroć wypuszczamy z rąk zwycięztwo; z jakim oporem, jak skąpo, jak rzadko kiedy uchwalamy nędzny grosz na obronę kraju, a za to ile razy mścimy się na Rzeczypospolitéj za osobiste urazy? W końcu pod bagnetami obcymi wybieramy króla, a przeciw téj sromocie mała tylko garstka konfederatów powstaje. Inny naród dałby się raczéj wystrzelać temi armatami, ale nie byłby zniósł elekcyi Stanisława Augusta ani sejmu Grodzieńskiego. W porównaniu z ogromną sumą samolubstwa i prywaty, stosunek poświęcenia i cnoty obywatelskiéj okaże się dość miernym. Na jednego Żołkiewskiego wiele tysięcy pokaże się takich, którzy zazdrością i potwarzą pchnęli go w rozpaczliwą sprawę Cecorską; na jednego Władysława wielu ujrzymy miłośników słodkiego wczasu, wielu przeciwników jednego z największych w Polsce politycznych pomysłów? Czarniecki jest wspaniały i niepokalany, ale nie można o nim pomyśleć bez smutku, bo naprzeciw niego staje zaraz w myśli Radziejowski, Opaliński i Janusz Radziwiłł. A jak są piękne postacie tak i piękne chwile, ale cóż z tego, kiedy zaledwo możemy ucieszyć się tryumfem, już się zaraz wstydzić musimy, żeśmy z własnéj winy, z własnéj woli nie umieli korzystać z wygranéj. Dowodem Moskwa i Beresteczko, te dwie chwile jedyne i niepowrotne, utracone przez naszą opieszałość, gnusność i niesforność. Smutno powiedzieć, ale mało czém mamy się pochwalić, a wstydzić mamy się czego i bardzo. Podczas gdy w całéj Europie wyrabiają się wzajemne stosunki między państwami, wspólne interesa i choćby tylko tradycyjne nienawiści, kiedy wytykają się drogi zagranicznéj polityki każdego państwa, u nas czy jest jakakolwiek? Czy znamy Europę, czy dbamy, by wiedzieć co się w niéj dzieje, czy staramy się z tego korzystać? Gdy się rozwija handel, gdy wojskowość na nowych kształci się zasadach, u nas czy wszystko wstecz się nie cofa?

W XVI wieku nie prowadzimy cywilizacyi europejskiéj, ale przynajmniéj idziemy z nią równym krokiem, lecz w siedemnastym? lecz w osiemnastym dopóki ostateczne niebezpieczeństwo nie otrzęsło nas z tego obumarłego stanu? Nie pochlebiajmy sobie, nie chwalmy się; ze wszystkich naszych wad narodowych jedna nam dziś najmniéj przystoi... chełpliwość.

Chlubimy się naszą wolnością i mówimy, że my jedni mieliśmy ją w Europie. Naprzód, gdybyśmy chcieli zajrzeć choć cokolwiek w dzieje innych narodów, przekonalibyśmy się, że wolności hiszpańskie i francuskie choć prawda prędko zaginęły, były tak dobre jak nasze, że wolności angielskie i flamandzkie, które się utrzymały, były od naszych lepsze, bo z jednéj strony rozciągały się nie na jednę tylko klasę narodu, a z drugiéj godziły się z ładem i z rządem. Ale i bez porównania, w saméj téj naszéj wolności znajdziemy czém przytrzeć rogów naszéj zarozumiałości, bo cóż to za wolność jałowa i bezpłodna. Jakież to ona zrodziła instytucye odrębne i swojskie? Elekcyę *viritim* i *liberum veto* — jakie sprowadziła błogosławieństwa? bezrząd i swawolę — co z niéj wzięły, czego u niéj szukać przyszły inne narody? chyba przykładu, jak robić nie trzeba. A popatrzmy na wolność angielską, na wolność amerykańską, na wolność miast włoskich w średnich wiekach, wiele się od niéj świat uczył i uczy? My nie wyrobiliśmy nic, nie zostawiliśmy po sobie nic, ani instytucyj, ani bogactwa, ani śladów trwałéj i statecznéj polityki zagranicznéj, ani najmniejszego systemu polityki wewnętrznéj, ani rodziméj sztuki, ani stanu pośredniego między zuchwałym szlachcicem a przygnębionym chłopem, ani nic zgoła, tak, że nam raczéj wątpić o sobie niż chlubnie o sobie głosić przystało.

A jednak są w téj naszéj historyi takie pociechy, są piękności także, że i w największém zwątpieniu można podnieść czoło do góry, kiedy się o nich pomyśli, można powiedzieć sobie z dumą, z odwagą, z nadzieją, i pomimo wszystkiego dobre musi przemagać w tym narodzie, kiedy takich rzeczy dokazał.

Unija z Litwą, dobrowolna zgodna unija dwóch narodów, ten związek tak wierny, że go i śmierć sama nie zerwała, tak stały, że się na chwilę nie zachwiał, tak ścisły, że te na-

rody stały się jakoby jednym w dwóch ciałach, a tak serdeczny, że dziś Litwa jest najsroższym cierniem w duszy każdego Polaka — ten związek jest faktem jedynym na świecie i jednym z najpiękniejszych. Jest jak żeby przeczuciem jakiegoś braterstwa ludów, do którego niewiedzieć czy przyjdzie kiedy na świecie, jest jedynym jego rzeczywistym przykładem. Unija Anglii ze Szkocyą, dokonana po wielu walkach i zapasach kiedy słabszemu a niemogącemu w żadną inną obrócić się stronę nie pozostawało nic, jak połączyć się z mocniejszym, nie ma tak pięknego i wzniosłego charakteru.

Obok unii, jako jedna z wzniosłych stron historyi naszego narodu, staje ta jedyna w Europie na one czasy religijna tolerancya; zbyt prędko niestety stłumiona. Została stłumioną, to prawda, ale to powiedzieć sobie możemy z chlubą, i słuszną chlubą, że kiedy we Francyi była rzeź św. Bartłomieja, kiedy w Anglii Elżbieta prześladowała katolików zarówno jak purytanów, kiedy Niemcy trzęsły się od wojen religijnych a wszystkie posiadłości hiszpańskie dymiły się niezliczonemi stosami, wtedy w Polsce Zygmunt August nie chciał prześladować różnowierców, a protestanci nietylko mieli wszelką wolność wyznania, ale i najzupełniéjszą wolność polityczną.

Nie małym téż tytułem do chwały jest króla Jana wyprawa Wiedeńska; ale więcéj niż ona podnosi nas na duchu ten wspaniały testament, który Polska napisała w chwili, kiedy traciła byt polityczny, ten rachunek sumienia, który z sobą samą zrobiła, ten wiatyk, sakrament życia, który sobie podała w konstytucyi Trzeciego maja. To są świátłe, wielkie, chwalebne strony naszego żywota, nie zmniejszają one naszych wad i błędów, ale słuszną mogą nam dać otuchę, że nosimy w sobie wiele zarodów dobrego. A do tych dobrych stron naszego charakteru narodowego, do tych stron pięknych naszéj historyi, należy niezaprzeczenie nasza uczciwość w stosunkach z obcymi narodami.

Nie potrzeba dowodzić, że uczciwość i sprawiedliwość w stosunkach międzynarodowych, jest jeszcze wielkiém *desiderium* dzisiejszéj Europy, i że jest największém zadaniem, największym obowiązkiem przyszłych pokoleń. Nie oddając się wcale mistycznym marzeniom wierzymy jednak mocno, że jak ludzkość postąpiła wiele w wolności i w oświacie, jak po-

zostawiła już daleko za sobą prześladowania religijne, tortury, przywileje i rządy samowładne, tak z postępem czasu oprze na prawdzie i uczciwości swoje stosunki międzynarodowe, że wyrobi sobie jakiś kodeks polityczny, w którym grabież i zdrada opisane będą jako zbrodnie. Zdaje nam się nawet, że potrzeba takiego kodeksu coraz więcéj czuć się daje i pomimo wprost przeciwnych faktów w polityce, nieznacznie wchodzić zaczyna w przeświadczenie cywilizowanego świata. Widzimy, że dzisiejsze wzajemne stosunki narodów są największą skazą i największą klęską cywilizacyi, wierzymy, że świat postępuje i staje się lepszym, że „ludy płyną jak łańcuch żórawi w postęp", i że życie naszéj ludzkości skończyć się musi na jakiéjś wielkiéj ogólnéj harmonii, i wnosimy z tego, że przyjdzie czas, w którym dzisiejsze prawo publiczne europejskie upadnie, by zrobić miejsce innemu, opartemu na zasadach uczciwości i prawdy. Nie wierzymy owéj szkole historyczno-poetycznéj poczynającéj się w Księgach Pielgrzymstwa, a kończących na Psalmach Przyszłości, kiedy nam dowodzi, że są narody wybrane, święte i namaszczone na jakąś Chrystusową misyę na ziemi — ale wierzymy jéj zupełnie, kiedy mówi, że wszystkie narody powinny w polityce swojéj kierować się sumieniem, i że się niém kiedyś kierować będą. Bezwątpienia jeszcze nam do tego daleko, ale dzieje ludzkości nie mierzą się na dnie i godziny. Tymczasem, chcemy powiedzieć, i tu jest miejsce na słuszną chlubę narodową, że to wielkie zadanie przyszłości Polska spełniała rzeczywiście przez cały ciąg swojego politycznego istnienia. Nie skrzywdziła nigdy nikogo, nie zdradzała, nie zazdrościła nikomu i nie czyhała nigdy na cudzą własność. Jeżeli wielmożniała i rozrastała się, to na mocy dobrowolnych ugód, takich jak unia Litwy z Koroną; podboju nie znała i nie chciała, a z narodami postronnymi postępowała zawsze uczciwie i z dobrą wiarą. A nie myślmy, że to było skutkiem przypadku; nie, Polska czuła się dobrze do tego obowiązku uczciwości, mamyż rzec, miłości bliźniego względem drugich. Jedynym przykładem niedotrzymanego słowa w naszéj historyi, jest ten biedny Warneńczyk, a i ten jest świetnym dowodem owéj uczciwości, bo czegóż nie trzeba było użyć, aby go uwieść do złamania wiary. Jedynym przykładem zewnętrznego podboju jest Żołkiewskiego wyprawa na

Moskwę, a i ta nie w myśli zdobyczy, lecz obrony była podjętą i groziła Moskwie w najgorszym razie unią nie podbojem. Naszéj dobréj wiary nadużywano często i ohydnie, my nie nadużywaliśmy jéj ani razu i trzymaliśmy się wiernie w stosunkach z postronnymi owéj słuszności i prawdy, która jest obowiązkiem rządów i narodów. Że zaś w Polsce obowiązek ten pojmowano prawdziwie jako obowiązek, na to znajdzie się wiele dowodów w naszych pisarzach, a między innymi i w Modrzewskim.

Księga o wojnie dostatecznych dostarczy nam w téj mierze przykładów.

Straszną jest rzeczą wojna, mówi, i dlatego zwierzchność każda zawsze pilnie starać się ma o to, by z postronnymi pokój był zachowany. Ale skoro już taki jest rzeczy ludzkich porządek, że nie wszystkie spory dadzą się zgodzić i spokojnie załatwić, a więc, skoro już tak być musi, że czasem trzeba broni dostać koniecznie, to przynajmniéj tego trzymać się trzeba, aby jéj nie dobywać jak tylko w dobréj i słusznéj sprawie. Jakaż więc jest ta wojna słuszna i sprawiedliwa? „Kto uczyniwszy krzywdę dawa przyczynę wojnie, ciężko grzeszy; ale kto się krzywdy uczynionéj mści, kto o „nabożeństwo, o dom, o żywot y majętność ludzi swoich wal„czy, ten Rzeczypospolitéj zacną przysługę czyni. Wiele téż „panów Ebrejskich wiele wiedło wojen dla wolności.“ Oto więc są sprawiedliwe przyczyny wojny: obrona, wiara i wolność. Marna sława, żądza panowania i zdobyczy nie jest godziwym wojny powodem i nie przystoi dobremu królowi. „Któ„rzy nie dla inszéj przyczyny wszczynają wojnę jedno dla „sławy abo dla rozszerzenia państwa, ci bardzo źle sprzyjają „ludziom i ich rzeczom. Bo gdy swoje imię rozsławić chcą, „tedy swych obywatelów majętność y zdrowie w niebezpiecz„ność podają, morderstwy i porażkami obu stron wszystkie „miejsca napełniają i t. d.“ Swojém dobrze rządzić, cudzego nie żądać, oto co powinno być zasadą dobrego pana, „trzymać „wiele państw nie dobrze jest, a cóż dopiero mieczem je zdo„bywać. Bo a co jest nieprzystojniejszego jako chcieć rządzić „one, które cię o to nie proszą, chcieć rady i pomocy dawać „tym, którzy jéj nie potrzebują.“ Doprawdy te dawne wieki miały dziwnie zdrowy rozsądek.

Mamy więc nikogo nie krzywdzić i nie zaczepiać, nikomu na zdradzie nie stać, na niczyje prawa nie nastawać, „Lecz jeźliże krzywdy ani odegnane ani okrom miecza nagro„dzone być nie mogą, tedy koniecznie trzeba wojnę zacząć, a „któryby król taką wojnę opuszczał, nie ma być rozumian za „pana, ale za wydawcę Rzeczypospolitéj.“ Ale do słusznéj a sprawiedliwéj wojny nie wystarcza jeszcze słuszna przyczyna, potrzeba czegoś więcéj, potrzeba „kajać się grzechów, „a uczynkami Bogu przyjemnymi żywot ozdobić, bo bez tego „żadnéj nadzieje nie możemy mieć o zwycięztwie. Bo Bóg „używa posługi obcych narodów na skaranie złości ludu swo„jego, a od północy wyzywa narody świstnieniem swém, by „więc głosem trąby na wojnę;“ akkord ten złowrogi i ponury brzmi tak strasznie, jak Izajaszowa jaka groźba, i dlatego nie chcieliśmy go pominąć; znaczyłoby to bowiem z rzeczy bardzo pięknéj okraść czytelnika. Nie robimy nad nim komentarzy, i wyjdziemy zaraz z tych wszystkich ogólników o wojnie, tylko jeszcze jeden mały przytoczymy wyjątek: „A gdy „tym sposobem wojna będzie wiedziona, nie wiem, któraby „sprawa ludzka była zacniejszą, nie wiem, gdzieby się większe „męztwo okazać miało, jeno gdzie śmierci za nic nie mają, „gdy każdy gardło dla Ojczyzny nastawić musi. A gdzież „się jaśniejsza sprawiedliwość okazać może, gdzie dobrodziej„stwa większe, a wszystkiemu ludowi wdzięczniejsze stać się „mogą, jedno w zastawowaniu gardła dla ziemi, w którejeś „się urodził, dla domu, w którymeś wychowan, dla żony, dzia„tek, wszystkiéj majętności, naostatek dla Rzeczypospolitéj „i wiary ku Bogu.“

Wynika z tego, że w wojnie godziwéj wszystko należy poświęcić, ale nie koniec na tém, trzeba jeszcze obmyślić środki, żeby wojna taka była i pomyślną, bo i najlepszą sprawę można przegrać, jeżeli się koło niéj nie chodzi skrzętnie a rozumnie. Zobaczmy, jak się nasz Frycz wywiąże z tego praktycznego zadania.

Przedewszystkiem czasu pokoju pilnie sąsiadów mieć trzeba na oku i czuwać, czy zaś czego przeciw nam nie knowają. Trzeba wiedzieć zawsze, co się w każdéj chwili dzieje na świecie. Tu stańmy; i powiedzmy mimochodem, że Polska nigdy téj dobréj rady nie usłuchała. Żyła ona tak, jak

żeby innych państw nie było na świecie; stałych z niemi stosunków żadnych, stałych u nich posłów nigdy, służby dyplomatycznéj ani śladu. I ztąd pójść musiało, że Polska ignorując szczęśliwie Europę, nie wiedziała nigdy, co się w koło niéj działo, nie przeczuwała zamysłów Piotra, i spała snem sprawiedliwych podczas gdy Frydryk porozumiewał się z Katarzyną.

Idźmy daléj. Skoro spór jaki zajdzie, starać się należy załatwić go nie orężem, ale ugodnym sposobem, a mianowicie sądem polubownym, wybranym czy to z pomiędzy królów Europy, czy z pomiędzy poddanych, którzyby na ten czas uwolnieni być mieli z pod przysięgi poddańczéj, ażeby ich nikt o zależność i stronniczość nie posądził. Jakiś rodzaj Amfiktyonów międzynarodowych, na który dyplomacya dzisiejsza pogardliwie ruszyłaby ramionami. Kto wie, co przyszłość powie o takich sądach pokoju, to pewna, że jeżeli umysłom pospolitym wydają się one mrzonką, to wielkie umysły z tęsknotą nieraz o nich przemyśliwały. Wszak w jednym z największych pomysłów politycznych jakie się zjawiły w nowszéj historyi, w Republice chrześcijańskiéj Henryka IV znajduje się myśl bardzo do téj zbliżona.

Jeżeli zaś i sąd taki nie zdoła wojnie przeszkodzić, to jakże wtedy mamy ją gotować? Następuje cały szereg rad praktycznych. Przedewszystkiem trzeba strzedz granic; trzeba od Turka i Tatara odgraniczyć się warownemi zamkami, któreby opatrzone były dobrą załogą, a przez hetmana, nawet i przez samego króla często odwiedzane. Ukraina zawsze na pierwszy wystawiona impet, przyległa Bisurmanowi, w największéj zawsze powinna być gotowości do obrony. Czy nie byłoby dobrze zakładać tam jakoby osady rycerskie? Jest u nas szlachty nie mało, która rada bawi się żołnierskiém rzemiosłem; czemużby nie wysyłać ich na Ukrainę? możnaby tam nadawać im pola, i zameczki budować, a oni za to byliby obowiązani czuwać zawsze nad bisurmaństwem, donosić o ruchach nieprzyjaciela, i pierwsze jego napady (sztosy) na sobie wytrzymywać. Byłaby to zaiste dobra i skuteczna obrona; a Ukraina stałaby się i ludniejszą, i zamożniejszą, i bezpieczniejszą od nieprzyjaciela. Trzebaby tylko obrać na sejmie ludzi świadomych miejscowości, którzyby ziemię tę na po-

wiaty podzielili, a zamkom onym pewną przestrzeń pól, pewną liczbę wsi i miasteczek przydzielić. Czy się mylimy, czy to coś jak żeby przeczucie téj wielkiéj myśli organizacyi Kozaczyzny, téj myśli politycznéj, rycerskiéj, godnéj królewskiéj duszy wielkiego Stefana, téj myśli tak płodnéj w dobre skutki z początku, tak następnie przez nas skrzywionéj, zjałowionéj i zatrutéj, że w jéj owocach zamiast bezpieczeństwa i życia znaleźliśmy śmiertelną niemoc i zgubę.

A gdy już wojna wybuchnie, tedy nie czekać aż nas nieprzyjaciel napadnie, ale nieść tę wojnę w jego granice. Nie myślimy tu sądzić Frycza ze stanowiska wojskowego, więc wspomnimy tylko nawiasowo, że Frydryk i Napoleon byli tego samego zdania. Przejdźmy zaś do innéj materyi, to jest do wojskowéj karności i porządku.

Że téj karności nigdy w Polsce nie było, to aż nadto wiadomo. Że brak jéj był powodem większéj części naszych klęsk i naszych bezkorzystnych zwycięztw, o tém historya świadczy dostatecznie. Frycz zanim na tę niekarność poda sposoby, taki stawia obraz wojska Rzeczypospolitéj: „Lecz skoroby najmniejsza nowina o wojnie zacznie powstawać, Boże mój, jako „wielka rozpustność w ludziach szlacheckiego stanu razem powstaje! Próżnującym ludziom (bo tak oni tych nazywają, którzy „według zwyczaju i praw na wojnę nie jeżdżą) próżnującym „mówię ludziom grożą, księży odpowiadają, na kmiecie swoje „podatek wkładają, drugim łupieztwo i mord opowiadają; a „w ciągnieniu (marszu) cudze wydzierają zboże i paszą, bydło „i woły, abo darmo abo za barzo małe pieniądze trawiąc, i „tak wyjeżdżają przeciw nieprzyjacielowi niosąc na sobie płacz „i narzekanie pospólstwa życzącego im tego, aby się nigdy „nie wrócili.“ Przy takim stanie rzeczy nie będzie nigdy ani dobrego wojska, ani wojny pomyślnéj, trzeba więc radzić, a radzić w ten sposób:

Szlachta ma ciągnąć na wojnę nie samopas, jak się to praktykować zwykło, ale porządnie, każdy powiat pod swoim kasztelanem, a gdy go kasztelan do wojewody już doprowadzi, tedy każde województwo pod swoim wojewodą. Kasztelan ten lub wojewoda ma naprzód dla wojska żywność dostateczną obmyśleć i przygotować, żeby nie było niedostatku, a co za tym idzie, nadużyć, grabieży i gwałtów. Nadto postanowić należy

urzędniki, którzyby czasu ciągnienia swawolę hamowali, a łupieztwa nie dopuszczali. Daléj, ażeby uniknąć niesforności i buntów żołnierskich, ten porządek zaprowadzić należy, ażeby żołnierzowi niczego tknąć się nie godziło, ale iżby rotmistrze rozdzielali i łupy, i żołd, i nawet żywność. Wszelką zaś niekarność, wszelkie nieposłuszeństwo żołnierza karać ostro i surowo, do rady starszych nie dać mu się mięszać, junactw nie przepuszczać, bo „męztwo okrom posłuszeństwa upór jest.“ Zdaje się, że zasady powyższe podpisałby każdy najlepszy oficer z każdéj regularnéj armii w Europie; a obok tego prawidła innego rodzaju, jak żeby wzięte z purytańskiego obozu świętych Cromwella: „Niechajże żołnierze miłują Boga, imie-„niowi jego niech nie bluźnią i na darmo nie biorą, niech mi-„łują trzeźwość, zbytku i wszelakich rozkoszy niech się strzegą, „nierządnice niech z obozu wygonią, nierządnemi chuciami „niech się nie plugawią“, — i tak daléj.

Otóż co do karności. Przejdźmy do służby saméj i do porządków wojennych.

Naprzód ćwiczyć i jeźdzców i konie. „Wielekroć w po-„trzebie konie na przekazie były; przeto zuchwałe a nieobjeż-„dżone, abo płoche, abo dychawiczne, abo nietrwałe, abo „nieobrotne, niechaj bedą wyrzucone.“ Konie trzeba dobrze żywić, przejeżdżać, ćwiczyć, „do stępnego chodu, do ruszenia, „do zastanowienia, na stronę powracania, karer toczenia, po „górach i rowiech biegania...“ Zatrzymujemy się; może czytelnika nudzą te drobiazgowe szczegóły; niech raczy wierzyć, że są potrzebne, że Napoleon pamiętał o nich zawsze, a nasi Polacy pamiętali za mało. Ludzi zaś także ćwiczyć należy. Przed laty był u nas ten obyczaj, dziś niewiedzieć czemu zarzucony, że „po miastach trzecią część mieszczan do rycer-„skich rzeczy zwyczajono, a tym sposobem miasta same bro-„nić się mogły.“ Jakożkolwiek atoli jest, żołnierza ćwiczyć trzeba, bo jakże będzie „koniem powracać, strzelbą czynić, „broni używać, kopią składać, kto tego pierwéj nie skoszto-„wał.“ Po innych krajach są szkoły, w których się młodzież uczy rycerskiego rzemiosła, dlaczegóżby i u nas być ich nie miało? Myśl to nie mała, podparta zaraz drugą niemniéj doskonałą. Autor żąda, żeby cały stan rycerski zbierał się co roku na oznaczoném miejscu, na wojskowe ćwiczenia i prze-

glądy. Co tu dobrych pomysłów, które nigdy w życie nie weszły, a Rzeczpospolita marniała i marniała, aż zmarniała zupełnie! I na rocznych przeglądach mu nie dosyć. Żąda jeszcze, aby ze wszystkich powiatów, z każdego po kolei ludzie szlacheckiego stanu jeździli na Ukrainę, i tam uczyli się służby praktycznie. Istna Algierya, owa wielka szkoła zuawów; — istotnie trudno pomyśleć rad zdrowszych, prostszych, skuteczniejszych ku wyrobieniu dobrego wojska. Pomijamy ich wiele dla krótkości, jako to, że w marszu kolumny nie mają się przewlekać, ale iść gęsto i w zbitym szyku, że wojsko ma się kąpać tak dla zdrowia i czystości, jak dla wprawy w sztuce pływania, bo i to potrzebne; że żołnierze mają znać na pamięć sygnały, które się daje już to trąbą już schyleniem drzewca, już zagaszaniem ognia lub innymi sposoby; że żołnierze zebrani w obozie nie mają próżnować, ale wprawiać się w różne ćwiczenia, gonitwy i tym podobne igry rycerskie. Tak robią Janczarowie, tak robili ludzie Eneasza, jak świadczy Wirgiliusz w piątéj księdze Eneidy; dziwna, że obmyślając to wszystko, o służbie lekarskiéj zapomniał Frycz zupełnie.

Hetman ma swój rozdział osobny. Jakim być winien, jakie ma mieć przymioty, łatwo to odgadnąć; ma znać wszystko, co należy do sztuki wojennéj, jak sprawiać szyki, jak nacierać, jak się cofać, jak miasta oblegać, jak przebywać wody i góry, jak się zachować przeciw jeńcom, jak przeciw zdrajcom; ma dzielić trudy żołnierza, ma znać jego obyczaje i naturę, ma wiedzieć co się dzieje u nieprzyjaciela, i często słuchać szpiegów, a na kartę geograficzną pozierać. Powiniem tedy być biegłym w swéj sztuce i godnym dowództwa. „Lecz zkądże „tę godność poznawać? Pewnieć nie z rodzaju ani z bogactw. „Cóż to tedy za szaleństwo jest, gdzie idzie jakoby o zdrowie „całéj Ojczyzny, za życzliwością forytować trądy swoje, że są „twoi domowi i krewni, a przekładać je nad drugie pracowite, dowcipne i mężne ludzie. Wiele ich jest, którym ta„kowe urzędy dawają tylko względem rodu a bogactw, ludziom „niećwiczonym a ledwie w żołnierski rejestr wpisanym, którzy „jako się na urzędzie swoim zachowują, i ślepym jawno.“ Jeden jeszcze szczegół ciekawy, to że dla tych, którzyby się na wojnie odznaczyli, żąda słusznego wynagrodzenia, tém zaś być mają, oprócz szlachectwa i majętności jakich, hełmy, któ-

reby sobie nad herbami malować mogli, i złote łańcuchy, któreby im tylko nosić miało być wolno, wszystkim zaś innym wzbroniono. Tchórze, zbiegi, zuchwalcy, nikczemni, mają być karani utratą stopni, urzędów, majętności, szlachectwa a nawet i życia.

Wszystko to jest doskonałe, ale niedostateczne. Wiemy dopiero jakie wojsko być powinno, wojska nie mamy. Jednak poradzi Frycz i na to. Czy projekt jego jest zły czy dobry, nie nam o tém sądzić, dość że projekt jest. Dwóch rzeczy potrzeba, żeby było wojsko: ludzi i pieniędzy; projekt ten dostarcza obojga. Przedewszystkiem powiedzmy, że chce wojska stałego, nie w naszém wprawdzie pojęciu, nie rekrutowanego przez rząd ślepego narzędzia samowładzy, ale stałego, któreby zawsze było pod bronią gotowe na Turka. Dwojaki jest u nas sposób wojowania, pospolite ruszenie i żołnierz najemny. Ten ostatni opłaca się z podatku łanowego, ale to podatek zły i niesprawiedliwy, bo oparty na liczbie łanów, a przecież wiadomo, że łan łanowi nie równy, tak co do wielkości jak i co do jakości. Byli tacy, którzy chcieli. aby po wszech ziemiach Rzeczypospolitéj szacować dochody obywateli; a od dochodów tych podatek pewien żeby szedł na utrzymanie wojska, ci atoli rozdzielili się w zdaniu, bo jedni chcieli, aby cały naród płacił podatek od dochodu, a drudzy, ażeby płacili go ci tylko, którzy sami na wojnę nie idą. I nie byłoby to tak złe, gdyż jedni dostarczaliby pieniędzy, drudzy zaś, każdy wedle majętności swéj, stawialiby pewną liczbę jezdnych albo pieszych. Tu następuje jego organizacya wojskowa. Cały kraj ma być podzielony na siedm lub ośm części (jakoby okręgów poborowych), każda z tych części stawia przepisaną liczbę ludzi, którzy pod swoimi wojewodami odbywają służbę przez rok. Po nich następują drudzy, i tak kolejno aż do ostatniego okręgu. Mamy więc rodzaj stałego wojska. Dochody zaś możnaby obliczać w ten sposób, jak się oblicza czynsze. Jedna grzywna czynszu przypuszcza dziesięć grzywien majątku; kto ma trzy tysiące złotych majątku, niechby postawił jednego konia; dwóch ludzi po półtora tysiąca majątku, niechby się na jednego konia składali; ubożsi stawialiby pieszych. Łatwo zaś przez starostów, kasztelanów i posłów dojść, wiele kto istotnie ma majątku, a komi-

sarze przez sejm na ten cel wybrani, z pomocą wymienionych urzędników układaliby listy kontrybuentów i oznaczali powinności każdego obywatela.

Może to nie być doskonałém, ale na naszą bezładną Polskę, dalibóg nadzwyczajne, i widać że dobre, skoro przyjąć się nie mogło, jak się i sam Frycz uskarza: „Dziwne są na-„szego narodu dowcipy. Każde nowe a niesłychane rady, by „nie wiem jako uczciwe a pożyteczne były, przedsię je zarzucają.“

Dość, że wynalazł sposób na postawienie wojska, teraz jak go utrzymać? „A ponieważ wszystka moc wojny należy „w pieniądzach, przeto powiem nieco, jako ich dostawać.“ Przedewszystkiem trzeba myśleć o żołdzie i płacić go regularnie, bo inaczéj żołnierz niezadowolony staje się niesfornym. I téj przestrogi nie słuchano, a dziś wiemy, w jakie szkody, w jakie klęski, w jakie bunty i konfederacye wojskowe wyrosła ta kwestya żołdu za Jana Kazimierza, jednego z męczenników naszéj niesforności i swawoli. Frycz podaje znowu projekt, nie swój własny wprawdzie, ale Łaskiego, projekt całéj organizacyi skarbu, może jedyny w historyi Polskiéj prawdziwy projekt finansowy. Ważność tego wyjątkowego pomysłu mówi sama za sobą, wskazywać jéj nie potrzebujemy, podamy więc tylko rys owéj z włoska przez Łaskiego nazwanéj Góry Zbożności.

Funduszem zakładowym skarbu ma być: 1. połowa rocznego dochodu (tak w pieniądzach jak w zbożu), którą każdy właściciel ziemi raz w życiu złożyć powinien. Dań zaś tę składa 1. szlachta osiadła, 2. duchowni, którzy mają beneficya dożywotnie. Kmiecie mają być od niéj wolni, skoro czynsze przez nich płacone i ich praca objęte są już dochodem dziedziców. Mieszczanie posiadający rolę nie składają téj daniny, gdyż skarbowi nie wieleby z tego przyszło, a im uciążliwość wielka. O kupcach, rzemieślnikach, szynkarzach, którzy roli nie mają, trudno co postanowić, bo majątki ich są bardzo różne. Trzebaby zostawić to urzędowi miejskiemu (uważmy, że nie królewskiemu ale miejskiemu), żeby dochody ich obliczał, i stanowił, którzy mają składać połowę dochodu a którzy nie.

Dalszém źródłem dochodów dla skarbu ma być: dwudziesta część rocznego dochodu płacona co roku przez wszystkich, to jest szlachtę, duchownych i mieszczan wszelkiego

zatrudnienia, ale nie przez kmieci. Trzeciém wreszcie źródłem dochodu mają być wszystkie winy pieniężne, grzywny i t. d.

Skarb w ten sposób zebrany miałby być złożonym na zamku Krakowskim lub w Piotrkowskim kościele. Ma mieć trzech stróżów z których jednego wybiera Wielkopolska, drugiego Małopolska, trzeciego król. Ci biorą pieniądze od poborców za kwitami, co roku składają rachunki przed sejmem, a bez zezwolenia sejmu nie mogą wydać ze skarbu ani grosza pod najsurowszą odpowiedzialnością.

I znowu musimy zawołać ze smutkiem: Gdybyż był skarb choć taki!

Pożytki zaś takiego skarbu byłyby według Frycza:

1. Że na potrzeby wojska byłby zawsze wystarczającym i niewyczerpanym.

2. Że możnaby z niego płacić prócz tego sędziom po 1200 złotych rocznie, a skarbnym po złotych trzysta, dla obywateli zaś nie byłoby zbyt wielkiego ciężaru.

3. Że kmieci uwolniłoby się od podatków *).

Czwarty pożytek najciekawszy, najbardziéj uderzający.

W razie, gdyby Rzeczpospolita nie miała potrzeb i wydatków, lub gdyby zapasy skarbu przechodziły te potrzeby, obywatele mogliby ze skarbu pożyczać, na zastaw lub na rękojemstwo. Płaciliby za to cztery lub pięć od sta, albo i mniéj, ale musieliby poddać się temu warunkowi, że na

---

*) „Każdy baczyć może, że żywot kmiecy nie jest od niewolniczego „różny; do ziemie a do pługa ustawicznie są przywiązani, na każdy „dzień abo sobie abo panu robią. Wiele ich jest, co im chleba le„dwie do półrocza dostawa, a ostatek roku w wielkiéj nędzy wy„konywują. Którzy między nimi są bogatsi: ci wiele krzywd odno„sić muszą, ano źli panowie różne fortele, jako je łupić, umieją. „Bo kmieć nie może się na swego pana przed nikim skarzyć ani „go pozwać. Na każdy rok dawają y panom y plebanom. Jeżeli „który rok od podatku jest wolny, przedsię pod zasłoną potrzeby „wojennéj muszą swym panom często dawać, a tak tylko imię po„datku odmieniają, ale rzeczy nigdy. Nie wiem jeżli egipska nie„wola była nad tę kmiecą większa. Czyż więc tego mniemania nie „będziem, że to rzecz wielce słuszna y miłosierdzia pełna, gdyby „wżdy od tego podatku wolni byli.“ Przy każdéj sposobności zwraca tak uwagę na smutne położenie ludu wiejskiego i probuje je poprawić.

„dług ten mianoby pierwsze baczenie niźli na owe ludziom „prostym uczynione, i pierwéj je niźli insze długi wyciągano.“ Hypoteki żadnéj, a ewikcya tylko na zastawie lub rękojemstwie, żadnego obwarowania tego pierwszeństwa długów zaciągniętych u skarbu, ale jakkolwiekbądź, zawsze jakiś zaród instytucyi kredytowéj; w Polsce, w wieku szesnastym, rzecz prawie nie do wiary. Rozumie się samo z siebie, że nigdy w życie nie weszła.

Jeszcze słów kilka o tém, co po zwycięztwie czynić należy. Oczywiście postanowić pokój trwały i pewny; ale jeżeliby szczególne jakie okoliczności wiodły do tego, żeby wojna skończyć się miała przyłączeniem kraju pokonanego do kraju zwycięzkiego, cóż wtedy czynić? Napotykamy tu na pewne prawidła postępowania ze zwyciężonymi, które oparte na sprawiedliwości i ludzkości są i będą zawsze dla zwyciężonych rękojmią znośnego losu, dla zwycięzców najlepszą polityką i rękojmią spokojnego a trwałego panowania. Jeżeliby ziemia taka i sama swym nakładem „bronić się mogła i pożytkami „swymi do naszych się potrzeb zgodziła, tedy szukać trzeba „sposobu, abyśmy obywatele jéj sobie przyjaźne mieć mogli.“ „Trzeba je opatrzyć prawy i obyczajmi dobremi, na przełożo-„nych postanowić ludzi swoich, miejscowych. Żołnierzy naszych „trzymać w niéj wprawdzie, ale trzymać tak, żeby się nikomu „uprzykrzyć i narazić nie mogli; i żeby obywatelów téj ziemie „o straty i krzywdy nie przyprawiali. Najlepiéj byłoby wyzna-„czać żołnierzom grunta i osady. Tym sposobem mieszkańcom „nie byliby ciężarem, a przez wspólne sprawy, przez wspólne „życie i małżeństwa, w krótkim czasie mogliby się z nimi po-„kumać i pobratać.“ Dla zwycięzców więc jest pewność utrzymania ziemi zdobytéj, dla zwyciężonych niema ucisku ani prześladowania. Kolonie żołnierskie widocznie na wzór rzymskich. Ale cóż daléj z podbitym krajem czynić wypada? „Obywa-„tele, mówi do króla, niech dobrotliwość twoją pańską po-„znają. Niech czują ciebie być ojcem swoim y pasterzem tak „w sądziech jak y w karaniu krzywd y we wszech sprawach „Rzeczypospolitéj potrzebnych. Przełożeństwy i urzędami je „ku czci wydźwiguj, do żołnierskiéj służby gdy ich się wier-„ność pokaże przypuszczaj, y inne urzędy na nie wkładaj. „Tym sposobem serca ich sobie zniewolisz i przychylnymi

„uczynisz. Wywołanych i występnych w łaskę przyjmuj; tym „sposobem uczynisz sobie z nieprzyjaciół przyjacioły“ *).

Przystępuje w końcu do tego wszystkiego upomnienie do narodu, którego tu żadnym sposobem pominąć nie możemy. „Niech nas nie podżegają do wojny chciwość abo sławy abo „rozszerzenia granic. Najsprawiedliwsza to będzie przyczyna „wojny, krzywdy nie dopuszczać, a ludu naszego od nieprzy- „jaciela bronić, Ale do tego niech przystąpi y obyczajów „naszych polepszenie, bez którego trudno powiedzieć, jako się „kto ma zwycięztwa spodziewać. Następuje przykład ziemi węgierskiéj, któréj „iż grzechy bardzo były z brzegów wylały, „przeto ją przemożono, a co najlepszą jéj część nieprzyjaciel „posiadł. Bóg turecką moc na lud swój pobudził y dla ska- „rania złości ludu swego wyzwał, on y łuki naciągnął, y strzały „wyostrzył, y kopyta końskie jako krzemień y koła jako na- „walności burzy y ryczenie ich jako lwie straszliwemi im uczy- „nił. Cóż tedy mniemamy być przyczyną onego zwycięztwa „tureckiego (nad Węgrami)? Aża nie widzimy, że Turek jest „ten, przez którego Bóg i karze i karać będzie grzechy ludu „swojego? których jeźli my karać nie będziemy, przyciągnie „Turek z końmi, wozami, łuki, strzałami i szablami swojemi, „nieinaczéj karać nas jedno jako Węgry sąsiady nasze skarał. „Jeźli tedy nieprzyjaciela tego od szyi naszych odwrócić chce- „my, starajmy się, abyśmy żywot nasz w lepszy odmienili.

*) *Macchiavel, Principe Cap. V.* mówi, że trzy są sposoby zatrzymania krajów podbitych: „*il primo, è rovinargli; l' altro andarvi ad abitare personalmente*; *il terzo. lasciargli vivere con le sue leggi; piu facilmente si tiene una città usa a vivere libera con il mezzo de cittadini suoi, che in alcuno altro modo.*“ Charakterystyczną jest rzeczą, że nasz polski statysta podaje ten ostatni sposób za najlepszy, podczas gdy rosyjscy politycy statecznie trzymają się pierwszego, pamiętni może na inną przestrogę Macchiavela: *Chi diviene padrone di una città consueta a vivere libera, e non la disfaccia, aspetti di essere disfatto da quella; perchè sempre ha per rifugio nella rebellione il nome della libertà e gli ordini antichi suoi, li quali ne per lunghezza di tempo, ne per beneficii mai si scordano; e per cosa si faccia o si pro vegga, se non si disuniscono o dissipono gli abitatori, non si dimentica quel nome, nè quelli ordini, ma subito in ogni accidente vi si ricorre.*

„Bo obyczaje nasze skażone, wiara i powinność zaniedbana, „żywot nie umiejący się kajać, wielką a bardzo potężną jest „mocą nieprzyjacielską przeciwko nam. A gdy Bóg za nami „walczyć będzie, tedy wszyscy nieprzyjaciele i sami diabli „naostatek cofać się muszą.“

Kazanie to pobudzić może do pogardliwego uśmiechu wielu głębokich filozofów i polityków. Modą jest dość powszechną przeczyć wszelkiemu wpływowi Boga na dzieje, losy, i postęp ludzkości. Ze zdaniem tém nie myślimy walczyć; powiemy tylko, że gdyby Polska słuchała była tego kazania, gdyby była zreformowała obyczaje, a zwłaszcza swój obyczaj w rzeczach publicznych, byłaby tém samém dokonała największéj reformy politycznéj i społecznéj, byłaby uniknęła nieładu i rozkładu. Najwyższy rozum cnota, zasada ta po wielekroć stwierdzona w dziejach świata, po wielekroć ogłoszona przez naszych pisarzów, a między tymi jednym z najchwalebniejszych téj zasady obrońców jest właśnie Frycz Modrzewski.

Rzekliśmy na początku, że w myśli autora dobrze urządzona Rzeczpospolita zasadza się na dobrym obyczaju; skoro ten w zupełności utrzymać się nie da, przeto zachodzi potrzeba praw; a że już taki jest rzeczy ludzkich porządek, iż na trwały pokój liczyć zawsze nie można, więc należy jeszcze do dobrze opatrzonéj Rzeczypospolitéj dobrze uorganizowana wojskowość. Z tych trzech zasad: cnoty obywatelskiéj, ułomności natury ludzkiéj i zmienności postronnych stosunków, wychodzą trzy podstawy Rzeczypospolitéj: obyczaj, prawo i wojsko, i, w naszéj książce, trzy osobne rozdziały, o których wyżéj. Oto trzy warunki pomyślnego stanu społeczeństwa, oto trzy gałęzie, na które dzielić się ma wielkie dzieło Poprawy. Na tém też właściwie kończy się traktat o téj poprawie. To co jeszcze następuje, to dodatek luźny, nie mający związku z właściwą budową dzieła. Dodatkiem tym jest rzecz o Szkole. Niestety nie znajdziemy w nim ani wiadomości o ówczesnym stanie szkół, ani żadnego planu reorganizacyi; znajdziemy tylko dowodzenia, jako szkoła jest instytucyą potrzebną i zbawienną, a wychowanie młodzieży jedném z ważniejszych zadań społeczeństwa. Jest wprawdzie wzmianka pobieżna, że młodzież powinna się uczyć gramatyki, dyalektyki i retoryki, łaciny i języków; że byłoby dobrze, gdyby ćwiczono ją w dysputacyach

i deklamacyach, „w muzyce i innych naukach matematyckich,“ a wreszcie w sądach (nie wiemy, czy rozumie przez to naukę prawa czy praktykę sądową), ale to wszystko tak krótko i pobieżnie, jak tutaj jest powtórzone. O szkołach zatém nie dowiemy się nic, i cały ten ustęp musielibyśmy uważać za zbyteczny, gdyby nie ratował go jeden pomysł ciekawy. Pomysł ten tyczy się funduszu szkolnego, to jest „jaką nagrodą „i czcią tak mistrzowie jako i uczniowie w naukach mają być „zatrzymani.“

Otóż dowiadujemy się, że obowiązek ten i ciężar spadać ma na biskupów. Wiadomo, że dochody duchownych są bardzo znaczne, a wydawane bywają na rzeczy mniéj potrzebne, jakoto: wytworne sprzęty, biesiady i tym podobne. Nie byłożby lepiéj i słuszniéj obrócić ten nakład na rzecz tak potrzebną jak szkoła? klasztory mają także swoje majątki i dochody, czyżby nie powinny każdy w stosunku dochodów utrzymywać studentów? Wszyscy téż duchowni, którzy beneficia trzymają, winniby także część swoich dochodów składać na studentów. Przemawia za tém i sama słuszność. Wszakże oprócz proboszczów, zajętych wyłącznie pieczą dusz, widzimy tyle bogato uposażonych godności i posad duchownych, kanoników, dziekanów, kantorów, scholastyków i tym podobnych. Jużciż przodkowie nasi nie na to tak hojnie posady te dotowali, aby księża „mieli próżnować a nic nie robić.“ Same zresztą nazwy wskazują, że scholastyk ma być czynnym dozorcą szkół; kanonik zwie się od tego, że powinien znać kanony, a skoro ci wszyscy „wolni są od prac o duszach, któ„ryż będzie urząd ich, jeźli nie ten jakom powiedział.“ Potém delikatnie wyrzuca duchowieństwu polskiemu jego opieszałość i gnusność w służbie duchownéj, „wszak żaden nie był „u nas, któryby chciał na Koncylium być, gdy się dla wiary „świętéj i spraw i potrzeb mało nie wszystek świat niedawno „na nie zjeżdżał.“ Z tego zarzutu oczyściło się duchowieństwo nasze świetną rolą Hoziusza na późniejszych posiedzeniach Trydenckiego soboru, w ogóle jednak nie zdaje się, żeby wielka i czynna gorliwość była jego tradycyjną cnotą. Frycz atoli dotyka tego zlekka, z wielkiém umiarkowaniem i oględnością. Powstaje na złe obyczaje w kościele, ale faktu żadnego nie wymienia, nie chce wywołać skandalu, widocz-

nie boi się, iżby go kto nie posądził, „że się w nowinach kochał.“ A posądzano go o to powszechnie, i rzeczą jest niewątpliwą, iż ku tym nowinom lgnął nie mało, choć stanowczo nie odstąpił nigdy kościoła katolickiego. Nie polemizuje on tu wcale; skarży się na ten zły obyczaj w kościele i w Rzeczypospolitéj, iż beneficya dawane bywają dla rodu, dla faworu, dla tysiąca przyczyn, oprócz jak być powinno dla godności i nauki, i żąda ogólnie, aby na przyszłość zaprzestać tego nadużycia szkodliwego zarówno kościołowi i wierze, jak państwu i obywatelskiéj cnocie.

Oto cała treść, cała konkluzya, jaką zdołaliśmy wycisnąć z téj księgi o szkołach. Nie jest obfita, ale dzielimy się nią z czytelnikiem nie chcąc go skrzywdzić o żadną z tych myśli, do których autor sam widocznie przywiązywał wagę. Ze swojéj strony jedno tylko pozwolimy sobie zrobić spostrzeżenie, a tém jest, że dziwna jak człowiek mający skłonność do nowin, szukać mógł funduszu na utrzymanie szkół u duchowieństwa, a przez to samo szkoły oddawać pod przeważny wpływ władzy kościelnéj.

Na téj księdze o szkole kończymy nasze sprawozdanie z dzieła Modrzewskiego. Na wstępie staraliśmy się wyjaśnić, co nas skłoniło do przemilczenia księgi o kościele; za to wspomnieć musimy o inném dziełku Frycza, które treścią swoją wiąże się ściśle z poprawą Rzeczypospolitéj, a któremu szczupła broszurowa objętość bynajmniéj nie ujmuje wartości. Odnosi się ono do jednego z ciekawszych i więcéj oburzających symptomów téj wybujałości stanu szlacheckiego, która około połowy wieku XVI. coraz większe już szkody przynosić zaczynała innym stanom i rzeczy publicznéj.

Za Jana Olbrachta jeszcze, w r. 1496 ukazało się po raz pierwszy prawo odsądzające mieszczan od posiadania ziemi, i nakazujące wyprzedawać się z ziemskich własności tym z pośród nich którzyby takowe posiadali. Żywioł szlachecki więc, był już w końcu XV. wieku tak potężnym, że mógł pokusić się o wyłączne posiadanie ziemi, a co za tém szło, i urzędów, i nie tylko pokusić się, ale ten swój przywilej ubezpieczyć ustawą. Musiało atoli prawo to, czy że brakło jeszcze podówczas sił do ścisłego wykonania onego, czy też że zacni i mądrzy królowie przez szpary patrzyli na praktyczne jego zastósowanie, nie wejść w życie tak, jakby sobie stan

szlachecki był życzył, skoro w roku 1538 Zygmunt Stary „*subditorum petitionibus permotus*," nie tylko zatwierdza to prawo Albertowe, ale je zaostrza groźbą konfiskaty zawieszonéj nad mieszczanami, którzyby ziemskich posiadłości swoich do lat czterech nie pozbyli. Tym jedynie mieszczanom godziło się zostać przy ziemi, którzy mieli na posiadanie jéj przywileje dawniejsze niż owo prawo, czyli sięgające w tył po za rok 1496.

Widoczny postęp, nacisk coraz silniejszy; za Jana Alberta przysądza sobie szlachta ziemię z krzywdą mieszczan, za Zygmunta przeprowadza to bezprawie drugiém, bardziéj jeźli być może barbarzyńskiém, konfiskatą. Kronikarze milczą; ale bez zbytniéj zuchwałości godzi się domyślać, że pod słowami „*petitionibus permotus*" kryje się niechęć i opór „Starego króla," i że nie bez przymusu kładł on swoje piękne czcigodne imie pod tego rodzaju ustawą. W roku wreszcie 1543 ponownie zaręcza Zygmunt nietykalność owego prawa i oświadcza stanom, że niektórzy nieposłuszni mieszczanie już pozwani zostali przed sądy z powodu „nieprawnego" trzymania ziemi.

W tym samym roku, 1543, a widocznie z powodu owego dekretu senatu, ukazała się mała o kilkunastu kartkach książeczka, w naszym wieku nazwanoby ją broszurą, pod tytułem: *Oratio Philaletis Peripatetici, in Senatulo hominum Scholasticorum habita.*

Autor, który jak powiada, nie może odzywać się w senacie, zmyśla ów Senatulus Scholastyków, jak żeby kongres uczonych, i na tém zebraniu bierze owo prawo pod krytykę równie ostrą jak surową; gdyby w naszych czasach zachodzić mogła potrzeba zbijania takiego pomysłu, nikt nie mógłby zbijać go inaczéj, niktby nie zdołał zbić go lepiéj.

„Postanowienie to wydane za zgodą Senatu i Rycerstwa, „jest niegodziwe, przeciwne naturze i wszystkim boskim „i ludzkim prawem."

Oto wyrok umieszczony zaraz na wstępie Oracyi; za nim dopiero idą powody z których główniejsze podajemy:

„Jakąż przytoczyć można dobrą przyczynę, dla któréj „godziłoby się zmuszać niechętnych mieszczan do sprzedaży „dóbr odziedziczonych lub słusznie nabytych? Rozum i spra„wiedliwość nie uznają żadnéj. Jakiż bowiem cel i jaka moc

„kontraktów pomiędzy ludźmi, jeżeli posiadacz *bonae fidei* „rzeczy nabyte, publicznie i uroczyście do tabuli wniesione, „oddawać będzie musiał drugiemu, ilekroć tamten zechce „i jak zechce? Cóż u nas znaczyć będą prawa jeżeli posiadanie „wieloletnie lub nawet wiekowe nic znaczyć nie ma? W in„nych państwach wolno jest każdemu mienie swoje uczciwemi „środkami polepszać, wolno nowe uczciwie nabywać. Żałować „trzeba, że nasza Rzeczpospolita państwom owym nie chce „w tem być podobną.“

Ale posłuchajmy tych, którzy owego prawa bronią, jakimi to zastawiają się dowodami? „Mieszczanie — mówią — „nie są szlachetnego rodu, i nie wolno im (w szyku) stawać „w pierwszym szeregu, ani w rzeczach wojennych świad„kami być.“

Oto powód, lub pozór; Frycz zaś tak na niego odpowiada: „Wielu jest zacnych ludzi pomiędzy szlachtą, ale jest też „i wielu takich którzy mieszczanina ledwo za człowieka mają. „Cóż to bowiem jest za powód, żeby mieszczanin nie mógł „ziemi posiadać dla tego że nie może stać w pierwszym sze„regu ani świadczyć w rzeczach wojennych? Aristoteles mówi, „że prawo które nie ma sensu nie jest prawem. Mieszczanom „wolno wykonywać wszystkie sprawy wojenne, jako to bić się, „z pola nie schodzić, tyłu nie podawać, broni nie rzucać, „w nieprzyjaciela godzić; wszystko to im wolno. I nie jestże „rzeczą śmieszną, żeby ten który cnotę męztwa i waleczności „i inne cnoty może posiadać i wykonywać, nie był zdolen „o nich dać świadectwa? Prawda także jest cnotą. Dla czegóż „więc nie chcemy jej pozwolić plebejuszom, którym innych „cnót wzbraniać byłoby rzeczą niegodziwą i bezbożną? Często „podziwiam roztropność przodków naszych w ich prawach, ale „w tém prawie, wydaném przez nienawiść do plebejuszów, „boleję nad szkaradnym ich błędem. Czyliż miłość prawdy „większa ma być u szlachty jak u nieszlachty? Niedorzeczne „to prawo; bo i resztą, gdy szereg pierwszy szlachecki znu„żony jest lub złamany, czyż wtedy w jego miejsce nie wy„stępuje drugi plebejski i czy nie staje się pierwszym? Słuszna „jest ludziom szlacheckiego pochodzenia dawać pierwszeństwo „w wojsku i w sprawach wojennych, ale nie słusznie dawać „je niedołężnemu szlachcicowi nad zdolnym i dzielnym ple-

„bejuszem. „Lepszy rycerz niż panocha“ mówi przysłowie; to ma „znaczyć, że żołnierskie rzemiosło szlachetniejsze jest jak „szlachetne pochodzenie.“

„Drugim powodem owego prawa ma być to, że mieszcza-„nie nie są szlachetnego rodu. A cóż to innego znaczy, jak „że ziemia dla saméj szlachty jest stworzona, i że szlachta „tylko sami są ludźmi? Jeżeli mieszczanom nie godzi się „mieć wsi, to dla czegóż szlachta może mieć domy i grunta „po miastach? dla czego nie zakaże sobie handlować i wołów „prowadzić na Szląsk i do Niemiec?

„Bo to wszystko to pozór, a prawdziwym powodem jest „nienawiść ich do plebejuszów, wzgarda maluczkich i chciwość „cudzego. „Czy wam się nie zdaje o towarzysze“ pyta swoich kolegów w Senacie scholastyków „że to wszystko tak „wygląda jak żeby do upadku zmierzać miało? Nie „potrzeba tu astrologicznych przepowiedni; jawna jest że to zu-„chwalstwo i ta swawola nie co innego królestwu temu jak zgubę „i koniec przyniosą. Bo słyszy Bóg jęk ludu pospolitego i pomści „tę poniewierkę przez siebie odkupionych.“

„Mówię zatem że prawo to jest nieludzkie i okrutne, „z rozumnych powodów obrane, prawom boskim i ludzkim „przeciwne, a od naszych filozoficznych pojęć odleglejsze jak „ziemia od nieba.“ Gdyby był w senacie królestwa, mówi daléj, żądałby zniesienia tego prawa, a jeźliby się nie dało, natenczas żądałby uszlachcenia mieszczan, a gdyby i tego nie otrzymał, wyszedłby z senatu. „Biada tobie który grabisz,“ przytacza nakoniec Izajasza, „bo i ty zagrabionym będziesz; biada ci który gardzisz, bo i ty będziesz wzgardzonym.“

Niezaprzeczona wartość téj oracyi skłoniła nas do poda-nia czytelnikowi celniejszych z niéj ustępów; dorównywa ona najpiękniejszym rozdziałom z „Poprawy“, a przedmiotem jest im tak blizką, że stanowi poniekąd naturalne uzupełnienie tamtego dzieła, większego objętością, nie trafnością i szla-chetnością pomysłu. O zaletach i słuszności mówić nie trzeba, ani zwracać uwagi na wrażenie jakie sprawia ta Izajaszowa groźba na końcu. Nie chcemy komentarzami psuć tych pięknych rzeczy, ani powtarzać po raz setny, że czas w którym były napisane wartość ich i autora o wiele jeszcze podnosi. Prze-staniemy tylko na prostém przypomnieniu że stopniowe przy-

puszczenie mieszczan do szlachectwa, którego żąda Philaletes wchodziło w program autorów konstytucyi Trzeciego Maja. Przypadek to? czy też tajemniczy jakiś, niepodobny do wyśledzenia przechód i spuścizna pomysłów z pokolenia na pokolenie i z wieku na wiek? Cokolwiekbądź, spotkanie to w myśli tak szlachetnéj i zbawiennéj z wielkimi politykami i patryotami sejmu czteroletniego, stawia Modrzewskiego na niezwykłéj i rzadkiéj wysokości.

Mamyż na końcu zebrać rezultaty niniejszego sprawozdania o Poprawie Rzeczypospolitéj i wydać o niéj sąd? Sąd ten musi wypaść zaszczytnie dla dzieła i dla autora. Bez wątpienia jednemu i drugiemu zarzucić można wiele niedostatków, wiele niesystematyczności, można zauważyć, że reforma Frycza nie jest gruntowną ani zupełną, że zbyt wiele buduje na dobréj woli i sumieniu, za mało na instytucycah i władzy; że nie dość ujmuje w kluby polską niesforność, że nie stara się władzy królewskiéj wzmocnić i rozszerzyć. Ale łatwo nam mówić *post factum*. On na swoje czasy widział wiele ze złego, które już wtedy istniało, przewidywał dziwnie wiele z tego, które późniéj przyjść miało, a na jedno jak na drugie radził przezornie, poczciwie i mądrze. Widział już wtedy, że największe dla Polski niebezpieczeństwo leży we wszechwładztwie szlachty i w krzywdach wiejskiego ludu; nie mylił się podobno? — i jak Cato swoje *Carthaginem delendam* tak on wołał ustawicznie, niezmiennie, niezmordowanie, o zmianę prawa o mężobójstwie. Widział że takie mnóstwo prawodawstw i sądów nie dopuszcza w Rzeczypospolitéj sprawiedliwości, żądał kodeksu, a podawał gotowy projekt trybunału. Wiedział, że niesforność i prywata zostawia skarb bez środków, podaje sposób urządzenia skarbu; widział, że obrona kraju na łasce Boga i panów szlachty, znajduje na to radę w urządzeniu siły zbrojnéj, stałéj i zawsze gotowéj. Dla wychowania publicznego żąda przytém funduszu i opieki, dla osób i własności bezpieczeństwa od szkód i przypadków, słowem, żąda tak wiele, a rzeczy tak ważnych i dobrych, że pomimo wszystkiego czego mu braknie, uznać go musimy za jednego z tych, którzy najlepiéj o Polsce radzili.

Chcąc go zaś sądzić ze stanowiska nie już ściśle polskiego, ale ogólniejszego, to jak nie schylić głowy przed człowiekiem,

który na lat dwieście z górą przed rewolucyą francuzką żąda jednego prawa dla wszystkich, dla narodu udziału w rządzie, wolności mówienia, słowem wszystkich najistotniejszych rękojmi politycznéj wolności.

A patrząc ze stanowiska czysto moralnego, trzeba także oddać cześć téj sprawiedliwości i odwadze, która go robi wiernym i niezmordowanym obrońcą słabego przeciw możnemu, uciśnionego przeciw ciemięzcy — trzeba szanować tę myśl zacną i chrześciańską, która mu każe potępiać grabież, zabór, chciwość cudzego, słowem wszelką wojnę niegodziwą. Za tyle dobrego i pięknego, można mu wybaczyć, że nie wszystko objął w ramy swéj poprawy.

Jako człowiek zacny i sprawiedliwy, jako pisarz, wymowny, jędrny, męzki i logiczny, jako polityk bystry, a na wiek swój dziwnie wolnomyślny, każdemu narodowi przyniósłby Frycz chwałę, my jednak nie zupełnie chlubić się nim możemy. Bo jeżeli nie bez radości, nie bez dumy spojrzymy na tę postać szlachetną i znamienitą, jeżeli sobie pochlebić zechcemy i powiemy, że dobry musiał być grunt na którym takie rosły kłosy, to natychmiast nasuwa się myśl smutna: cośmy z tych kłosów zebrali i schowali? To prawda, że ludzie jak Frycz, ich przekonania i zasady pięknie świadczą za narodem, z którego wyszli, ale jak za nim świadczy to, że w las poszły rady, nauki, gorące prośby i prorocze niemal upomnienia tego człowieka którego wielkość tak nas dziś cieszy? Przeciw nam, nie za nami świadczą nasi znakomici ludzie jak prorocy starego testamentu przeciw Izraelowi niepoprawnemu i twardego karku, i nie mamy prawa chlubić się nimi tak bardzo, kiedyśmy ich nigdy słuchać nie chcieli.

St. Tarnowski.

O TEMPERAMENTACH.

Wykład publiczny, miany w dniu 11 marca 1867 roku na korzyść stowarzyszenia wzajemnéj pomocy uczniów w Uniwersytecie Jagiell.

przez

Prof. Dra J. Majera.

Mówimy że ludzie gdziekolwiek na kuli ziemskiéj zamieszkali, jeden tylko stanowią gatunek; to jednak nie przeszkadza, żeby, mimo téj jedności, nie zachodziły między nimi mniéj więcéj uderzające różnice.

Nie idzie mi tu o różnice jakie wyrobiły między ludźmi stosunki spółeczne, o różnice stanu, powołania, majątku i tym podobne, które przy sposobności posłużą może komu innemu za przedmiot naukowego wykładu; dla mnie są one tylko zewnętrznemi formami, mogącemi charakteryzować stosunki społeczne, po części nieobojętnemi dla rozwoju wrodzonych usposobień życia człowieczego, nie w ten jednakże sposób z życiem tém spojone, żeby się razem z niém rozpoczynać miały, żeby np. dziecko chłopskie, mieszczańskie, szlacheckie przychodziło już na świat z zarodem i cechą jednego z tych stanów, tak, jak np. rodzi się już chłopcem lub dziewczyną.

Inne jest zadanie Antropologii, któréj małym ustępem jest wykład jakim zająć się tu zamierzam; — bada ona człowieka pod względem jego wrodzonych właściwości i przymiotów, ażeby tym sposobem wskazać jego stosunek do innych stworzeń i ile można poznać jego fizyczno-moralną istotę.

Jednym z nader ciekawych i nauczających szczegółów takiego badania jest wykazanie znamion różnicy zachodzącéj nietylko między zwierzętami i człowiekiem, ale nadto wrodzonych różnic pomiędzy samemi ludźmi, mówię wrodzonych, t. j. takich, które jako z istotą życia człowieka związane, wraz z życiem biorą swój początek.

Jedne z tych różnic odnoszą się do pewnych przyrodzonych działów człowieczeństwa, jakiemi są różnice wynikające z rozmaitości rasy, płci i wieku człowieka; inne znów wynikają z pewnéj właściwości życia każdéj pojedynczéj osoby, tak, że mimo jedności rasy, płci i wieku, przecież jeszcze mniéj więcéj wybitnie spostrzegać się dają.

Jeżeli obok osoby z właściwą europejczykowi barwą, zarostem i fizyonomią, postawię inną, z barwą mniéj więcéj czarną, włosem kędzierzawym, wystającemi szczękami, grubemi wargami, skośnie osadzonemi zębami, przypłaszczonym nosem i ku tyłowi mocno pochyloném czołem, któż w tém nie pozna różnicy rasowéj, mianowicie w tamtéj człowieka rasy tak zwanéj kaukaskiéj, a w téj etiopskiéj? Nikomu téż nie tajna fizyczna i moralna różnica, jaka u ludzi jakiéjkolwiek rasy odznacza mężczyznę od kobiety. Każdemu wreszcie łatwo zrozumiałą będzie różnica, jaką pociąga za sobą właściwy każdemu wiekowi postęp rozwoju fizycznych i umysłowych zdolności. Czyż jednak na tém koniec wrodzonéj między ludźmi rozmaitości? Różnice dotąd nadmienione grubo zarysowują się w cielesnym i duchowym charakterze człowieka, łatwo więc podpadają pod oczy i znane są powszechnie; gdy tymczasem różnice, które na tle powyższych jeszcze w rozlicznych odcieniach charakteryzują właściwą każdéj osoby żywotność, tam zwłaszcza gdzie nie występują jaskrawo, trudniéj dają się pochwycić i ocenić.

Żeby się o nich przekonać, potrzeba przedewszystkiém wyłączyć różnice wynikające z rasy, płci i wieku; uważać zatém starannie osoby równie zdrowe, jednéj rasy, téj saméj płci i w tym samym wieku życia. Zdawałoby się, że po wyłączeniu tych różnic, osoby będące przedmiotem spostrzeżeń tak będą do siebie podobne, jak stado owiec jednego wieku i maści. Tymczasem, pomijając nawet różnice fizyonomii, spostrzeżemy jak wszystkie poruszenia u jednéj mają cechę mocy,

u drugiéj wątłości; tu są rącze, tu leniwe; tu silne wrażenie odbija się gdyby od twardéj opoki, lub grzęznie niby w miękkiéj glinie, tu znowu lekki bodziec silne podnieca działanie, lub wreszcie lada powiew, jakby z lutni eolskiéj, ulotne a coraz inne wywołuje brzmienia; tu rączy umysł w każdéj porze znajduje powab i użycie, tam mimo roskosznéj wiosny, zamknięty w sobie mniéj zważa na jéj ponęty, a obojętny na to co go otacza, chętniéj spogląda w przestwory przyszłości.

Ta różnica usposobień, szkicująca się jeszcze na tle téj saméj rasy, płci i jednego wieku, właściwym każdéj osobie odcieniem wrażliwości i popędów, nie może być obojętną w stosunkach życia spółecznego, a jako taka, z dawna téż stała się przedmiotem spostrzeżeń i naukowego badania. Do niejto stosuje się nazwisko temperamentu, oznaczające w najobszerniejszém rozumieniu tyle, jak pewne umiarkowanie właściwéj każdéj osobie żywotności.

Z tego co dotąd powiedziałem łatwo przekonać się można, że chcąc należycie zcharakteryzować osobę pod względem przyrodzonéj właściwości, niedosyć byłoby wskazać jéj narodowość, płeć i wiek życia, ale nadto należałoby ocenić jeszcze temperament, jako dopełnienie charakterystyki żywotności téj osobie właściwéj. Jeżeli zaś temperament jest wyrażeniem téj różnicy, która mimo równości wszystkich zresztą warunków, jeszcze spostrzegać się daje w wrodzonych usposobieniach każdego w szczególności człowieka, każdéj osoby; słusznie więc możemy go uważać za różnicę osobową, inaczéj osobniczą czyli indywidualną, a to dla odznaczenia jéj od właściwości objawów żywotnych wynikającéj z rasy, płci lub wieku, która nie odnosi się do pojedynczych osób, lecz do pewnego ich zbioru, do pewnych rodzimych działów człowieczeństwa, jak np. do ogółu murzynów, mongołów i t. d. lub do ogółu mężczyzn w porównaniu z kobietami, lub wreszcie do ogółu niemowląt, wyrostków, młodzieńców i t. d. w porównaniu między sobą.

Im więcéj części różnorodnych wchodzi do składu jakiéj organicznéj całości, tém wytworniejszą i doskonalszą przedstawia się ta całość; tém zaś prostszą i grubszą, im mniejsza różnica między częściami które ją składają. Rozmaitość odcieni usposobień pojedynczych osób, nadaje pojęciu istoty człowieka

tę rozliczność barw i tonów, bez któréj wielostronność konieczna na wskazanéj człowiekowi drodze postępu i udoskonalenia, pomyślećby się nie dała. Nic więc dziwnego, że téż naodwrót, im większy postęp cywilizacyi, tém rozliczniejsze wyróżnianie się indywidualności; że zaś wyrażeniem tego rodzaju różnicy są temperamenta, im zatém w spółeczeństwie wyższy stopień kultury, im obszerniejszy przemysł, nauk i sztuk powszechniejsza uprawa, dokładniejsze urządzenie stosunków spółecznych, słowem im wyższą cywilizacya, tém większa możność objawiania się najsubtelniejszych odcieni temperamentów. Ludy do których nie przedarła się oświata, w ogóle swoim mogą odznaczać się przeważnym jakimś, nieraz nawet jaskrawym temperamentem w porównaniu z ludami innemi; wszakże w tym razie temperament staje się charakterem nie osób, lecz rasy, narodu lub ludu. Właśnie bowiem jako charakter zbiorowy, tam tylko występuje on wybitniéj, gdzie u pojedynczych osób jest prawie jednaki lub mało odmienny; gdzie zaś wpośród ludności znaleść można najrozliczniejsze odcienie temperamentów, tam trudniéj pod tym względem o pochwycenie cechy spólnéj ogółowi.

Z tego jednak nie wynika, żeby między ludami cywilizowanemi uważanemi zbiorowo, różnica temperamentowa do szczętu zacierać się miała; z powodu bowiem o którym nadmienię przy końcu, temperament jak ze płcią i wiekiem, tak do pewnego stopnia wiąże się i z rasą, skutkiem czego, mimo rozliczności spowodowanéj wpływem cywilizacyi, przecież ten lub ów przeważniéj występować może. Różnica zatém temperamentu ludów nieoświeconych o tyle występuje jaskrawo, o ile porównywamy je między sobą ogółem; niezmiernie zaś blednieje, zaciera się i znika, jeżeli zwróci się uwagę na pojedyncze osoby téj saméj ludności; tak mało bowiem znajdzie się tam odcieni usposobień osobniczych, że gdybyśmy tylko z jednym takim ludem mieli do czynienia, zaledwie wtenczas mówićby można o temperamentach:

Bo twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc jako z wulkanów podziemnych
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,

Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.

. . . .

Ciało tych ludzi jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsiennica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytcze i ozdobi.

(Mićkiewicz.)

Gdzie cywilizacya nastręcza warunki swobodniejszego i wielostronniejszego objawiania się indywidualności, nie potrzeba tam szerokich przestrzeni, bo ludność jednego miasta dostarczy podostatkiem sposobności do spostrzeżeń nad rozmaitością wrodzonych usposobień osobniczych, czyli co jedno, temperamentów.

Łatwiéjto jednak w ogólnym zarysie wykazać, że ludzie rzeczywiście różnią się między sobą temperamentami, aniżeli wynaleść ostateczną téj różnicy przyczynę, a tém samém zasadę, według któréj możnaby temperamenta prawdziwie umiejętnie rozdzielić i uporządkować.

Nad rozwiązaniem tego zadania silili się uczeni różnych wieków i narodów, nie można jednak powiedzieć ażeby skutek odpowiedział tym usiłowaniom. I nie dziw; — bo wskazać zasadę różnicy dostrzeganéj w temperamentach, jest to wejrzeć w samą istotę życia, a zatém wyrwać główną tajemnicę z téj zawiłéj pracowni, któréj ostateczne zbadanie, jeźli w ogóle dozwolone jest człowiekowi, niewątpliwie będzie ostatniém na drodze postępu jego wiadomości.

Nie myślę nużyć uwagi słuchaczów szczegółowém przywodzeniem owych teoryj życia i opieranego na nich podziału temperamentów, do czego wreszcie nie starczyłoby i czasu skąpo przydzielonego temu wykładowi. O tém więc tylko nadmieniam, że jako w dawnéj starożytności cztéry rozróżniono temperamenta, tak liczba 4 zawsze była przeważną w dziedzinie téj nauki, wszelka zaś inna, bądź mniejsza 2, 3, bądź większa 5 do 8miu na długo nigdy utrzymać się nie mogła; byłato niejako chwilowa uzurpacya, którą powściągano rychłym powrotem do liczby jak gdyby z prawa panującéj. Co większa,

dochodzono częstokroć do tego wypadku, kiedy go z różnych wywodzono zasad, kiedy nawet nie pytano się o umiejętną podstawę, lecz w oznaczeniu liczby temperamentów postępowano czysto empirycznie. Wszakże i w Piśmie św. (Łuk. *Cap. IX. vers. 51 sq.*) przywiedzione oświadczenia uczniów towarzyszących Jezusowi, odpowiadają ściśle także czterem temperamentom. Tak bowiem Jakób i Jan rzekli: „Panie chcesz iż rzeczemy, aby ogień zstąpił z Nieba i spalił je?" — inny bez tego zapału ale równie rączo i bez zastrzeżeń: „Pójdę za tobą gdzie jedno pójdziesz"; — dwaj inni nie tak byli pochopni, ale znów z różnego powodu; jednego wstrzymywała śmierć ojca: „Panie dopuść mi abym pierwéj odszedłszy pogrzebł ojca mego"; — drugiego stosunki domowe: „Pójdę za tobą Panie, ale mi pierwéj dopuść rozprawić te rzeczy, które są w domu moim".

Jak liczba temperamentów, tak i ich nazwiska do dziś dnia utrzymują się takiemi, jakie nadała im starożytność. Wszakże prawo ich bytu opiera się jedynie na dotychczasowéj trwałości i rozpowszechnieniu; jeżeli bowiem uchylimy zasłonę, która niezrozumiałym językiem zakrywa rzeczywiste ich znaczenie, przekonamy się, że jako zgoła z istotą rzeczy niezgodne, dawno innemi zastąpićby je należało. Kiedy jednak bądź co bądź utrzymują się aż dotąd, i późniéj prawdopodobnie niełatwo ustąpią z użycia, warto zatém przynajmniéj dowiedzieć się co im dało początek? zkąd wzięli się między ludźmi owi flegmatycy, sangwinicy, cholerycy i melancholicy? Raczy więc szan. Zgromadzenie przenieść się ze mną po tę wiadomość aż do starożytnych Greków.

Najdawniejsi badacze greccy odpowiednio do 4ch mniemanych elementów: ognia, powietrza, wody i ziemi, rozróżniali 4 pierwotne czyli proste jakości: ciepło, zimno, wilgoć i suchość. Galen pierwszy (w II w. po Chr.) zastosowawszy te przypuszczenia do tworzenia się ciała człowieczego, nietylko dał początek nauce o temperamentach, ale ją zarazem w ten sposób wykończył, w jakim następnie przez długie wieki utrzymywała się między uczonymi. Stósownie do téj nauki miały znajdować się w ciele także 4 zasadnicze ciecze: krew, śluz, żółć żółta i żółć czarna. Otóż wszystko polegało na tém, która

zpomiędzy owych cieczy zasadniczych, przeważała w ciele stósownie do jego właściwości.

Galen rozróżnił przedewszystkiém jakiś stan średniego umiarkowania, w którym wszystkie byłyby w równowadze, co stanowiło niejako ideał temperamentu, obok tego zaś 4 temperamenta proste, odpowiednie 4em powyższym jakościom; a zatém temperament ciepły, zimny, suchy i wilgotny. Następnie spostrzegając, że w rzeczywistości proste owe temperamenta w pewien sposób łączą się ze sobą, rozróżnił temperamenta pośrednie czyli złożone t. j. takie, w których zawsze dwie z pomiędzy jakości oznaczających temperamenta proste, mają przewagę nad dwiema innemi. Ztądto początek temperamentu ciepło-wilgotnego i ciepło-suchego, zimno-wilgotnego i zimno-suchego. Że zaś znowu z pomiędzy owych pierwotnych własności, krwi przyznawano ciepło i wilgotność, śluzowi zimno i wilgotność, żółci zółtéj ciepło i suchość, żółci czarnéj zimno i suchość, od tych więc cieczy 4 temperamenta wzięły swe nazwiska, mianowicie od krwi (*sanguis*) krwisty czyli sangwiniczny, od śluzu czyli flegmy flegmatyczny, od żółci żółtéj (*chole*) choleryczny, od żółci czarnéj (*melaina chole*) melancholiczny.

Taki był początek nazwisk czterech temperamentów, któremi posługujemy się do dziś dnia, a które, gdyby nie mało komu zrozumiała grecko-łacińska maska jaka je zakrywa, razićby musiały więcéj niż niewłaściwością, bo wprost niedorzecznością. Potęga geniuszu Galena wprowadziła je w naukę; wyzyskał on na co ją podówczas starczyło, a że same zarysy temperamentów, bez względu na ich nazwiska, jak przystało na tak biegłego obserwatora, były wiernym obrazem natury, nie dziw więc, że rzecz samą w sobie prawdziwą, przyjęto wraz z jéj niewłaściwą sukienką; — różnicę temperamentów wraz z ich początkowemi nazwiskami. Zdrowsze pojęcia o życiu i jego warunkach zwolna wyrugowały mylną teoryę, a chociaż tradycye mniemanych czterech elementów za naszych jeszcze czasów dolatywały luźnie, niby mdły odblask przeszłości, to jednak ścisła nauka dawno się ich wyzbyła wraz z ich własnościami, przyczepianemi do rzeczywistych, lub, jak żółć czarna, równie urojonych czterech cieczy ciała.

Znikła więc niepowrotnie pierwiastkowa teorya temperamentów; nie można jednak powiedzieć, żeby ją zastąpiła jaka

bądź pewniejsza. Wszakże w nauce i to jest niemałą zasługą kiedy się pozbywa błędu, chociażby zresztą jeszcze nie wykryła prawdy; bo usunienie mylnych wyobrażeń toruje drogę do tego. Dla badacza przyrody, a takim być musi antropolog, środkiem dociekania prawdy, jest staranne postrzeganie i doświadczenie; jeżeli taką drogą dojdzie do wyrozumienia dostrzeganych faktów, wolno mu utworzyć teoryę, która chociażby z czasem innéj ustąpić musiała, stanie się przecież pomostem do tego postępu; gdy tymczasem teorye snute poprostu z głowy choćby i bardzo potężnéj, zajmą może chwilowo swoją umysłową gimnastyką, zresztą jednakże na nic się nie zdadzą, chyba na dowód jak dalece niedołężnemi są na tém polu wszelkie tak zwane abstrakcyjne zaciekania. Taki też tylko pożytek widzimy dzisiaj z prac tak zwanych filozofów natury, którym się zdawało, że jeżeli przy tworzeniu świata nie byli pomocnikami, to przynajmniéj byli naocznymi świadkami téj operacyi! Niech spoczywają w pokoju! my zaś weźmy ztąd naukę, że gdzie nie starczą jeszcze wiadomości, tam radniéj przestać na prostém zebraniu i uporządkowaniu dostrzeganych faktów, niż budować przedwcześnie teoryę, która jako niedojrzała, runąćby musiała nazajutrz po swém urodzeniu.

Ze względu na temperamenta taką przedwczesną teoryą było np. wyprowadzanie ich z mniemanéj przewagi jakiéjś cieczy w ciele, taką dziś jeszcze byćby musiała każda, siląca się na wykazanie ich ostatecznéj przyczyny według udziału czynników w organiczno-chemicznych sprawach ustroju człowieka. W przekonaniu, że w dzisiejszém stanowisku nauki jeszcze nie starczą do tego nasze wiadomości, poprzestaniemy na prostém odniesieniu różnic temperamentowych do pewnych umiarkowań tych objawów żywotnych, z któremi wiążą się one najbliżéj, ażeby zyskać jaką taką podstawę ich umiejętnego podziału.

W żywotnych sprawach organizmu człowieka i wszelkiego zwierzęcia rozróżniamy dwie strony, według tego, jak jedne z nich zmierzają do utrzymania materyalnéj podstawy bytu organizmu, spożywającego się samém wykonywaniem czynności, i dlatego wymagającego odnowy; inne zaś wprowadzają organizm w czynny stosunek z tém co go otacza, ze światem zewnętrznym;-- pierwsze dlatego nazywamy odnowczemi, odżywczemi lub wegetacyjnemi czyli roślinnemi, bo i życie rośliny

bez nich obejść się nie może, jak np. krążenie soków, wydzielanie pewnych materyj i t. d., drugie stosunkowemi czyli właściwie zwierzęcemi, jak czucie i ruchy dowolne i pośredniczące między niemi zjawiska duchowe.

Oglądając się na zjawiska cechujące różnice temperamentów, widzimy, że nawet ci, którzy zasady téj różnicy poszukiwali w mięszaninie pierwiastków materyi, szczegółowe ich obrazy dopełniali odcieniami ducha; że już w w. XVII w wykładzie temperamentów nie ograniczano się do saméj mięszaniny soków, lecz podciągano pod uwagę zjawiska samym zwierzętom właściwe, że wreszcie w ocenianiu temperamentu opierano się na stosunku umysłu do ciała. Z tego wszystkiego wynika, że to co cechuje temperament, wiąże się najbliżéj z temi objawami żywotnemi, które nazwaliśmy wyżéj stosunkowemi czyli zwierzęcemi.

Jeżeli jednak twierdzimy, że w tym zakresie czynności najbliżéj poszukiwać należy cech temperamentu, to jeszcze z tego nie wynika, jakoby sprawy wegetacyjne, tém samém właściwość pewna w stronie materyalnéj, całkiem miała w tém być bez wpływu. Grubą przynajmniéj byłoby omyłką, gdyby kto sądził, że jeden z rozróżnionych wyżéj działów organicznych czynności odbywać się może całkiem niezależnie od drugiego. Podział ten jest wprawdzie dla nauki koniecznym; przy rozliczności bowiem żywotnych spraw organizmu trzeba było dla ułatwienia poglądu zbliżać i zestawiać z sobą te, które objawem i znaczeniem swojém więcéj są spowinowacone; jest to jednakże tylko podział sztuczny, który o tyle nie zgadza się z rzeczywistością, że tu wiąże się z sobą wszystko, niby zamknięte w sobie ogniwa łańcucha; jedno służy drugiemu i wzajem zależne jest od niego; całość jest przez części, a części znowu w całości znajdują źródło swego bytu. Niewątpliwie zatém pewnym właściwościom objawów tak zwanych zwierzęcych, odpowiadać muszą jakieś właściwości w stronie wegetacyjnéj, tém samém każdemu temperamentowi jakaś właściwość ze strony materyi ciała. Gdybyśmy właściwość tę zdołali wyśledzić, mielibyśmy pożądaną teoryę temperamentów. Wszakże jak wyżéj powiedziałem, dziś jeszcze nie starczą do tego nasze wiadomości, a przynajmniéj nie prowadzą one jeszcze do takiego wypadku, którym, jako gotową już

prawdą, mógłbym się tu podzielić z publicznością. Niechaj więc ścisła nauka rozsnuwa wątek mozolnych w téj mierze dociekań, my zaś tymczasem zwróćmy uwagę na te sprawy żywotne, z którémi wiążą się najbliżéj zjawiska temperamentów.

Temperament objawia się sposobem, w jaki zachowuje się człowiek względem tego co go otacza. Stosunek ten wzajemny wpływu między organizmem a światem zewnętrznym zachodzi ściśle biorąc nietylko w zakresie spraw zwierzęcych, owszem bowiem bez niego i strona materyalna utrzymaćby się nie mogła. Wszakże potrzebne nam części powietrza i wszelkie pożywienie czerpiemy w siebie od zewnątrz; a nawzajem téż znowu, z siebie wydajemy twory przydać się mogące w ogólném gospodarstwie przyrody, tak jak po śmierci ciało nasze staje się w całości jéj pastwą i łupem. Są to materyały utrzymujące w ciele sprawę organiczno-chemiczną, która dopóki trwa życie, według pewnego porządku na chwilę wstrzymać się nie może, która wszelako odbywa się bez naszéj woli i wiedzy.

Inaczéj ma się rzecz ze sprawami zwierzęcemi; wchodzą one w zakres świadomości i dlatego są objawem w ścisłém rozumieniu czynnego stosunku między nami a światem zewnętrznym: przy ich pomocy świat ten poznajemy, i wzajem znowu, za ich pośrednictwem wywieramy nań dowolne działanie i przez to samo naszą wewnętrzną istotę jemu poznawać dajemy. Występują tu zatém znowu dwie strony działania, odpowiednie przyjmowaniu i oddawaniu przetworzonéj materyi w zakresie spraw wegetacyjnych; ale te ostatnie odbywają się mocą pracowni chemicznéj, działającéj w nas bez wiedzy i woli; — tamtym pośredniczy pracownia, któréj przymiotem świadomość, a taką jest dusza.

Dusza nabiera wiadomości o świecie zewnętrznym za pomocą wrażeń, które od niego odbiera. Przewodnikiem w téj mierze jest czucie, po którego rozmaitości przeświadczamy się o rozmaitości podniet działającego na nas świata zewnętrznego, tém samém o bycie i przymiotach tego co nas otacza. Czém pokarm dla ciała, tém dla duszy są te wiadomości; ona je spożywa, przerabia w wyobrażenia, pojęcia i sądy. Wszakże nie na tém koniec; — wywołany stan duszy, według zgodności lub sprzeczności z jéj własną istotą, łączy się zawsze

ze wstrętem lub zadowoleniem; ztąd miłe lub niemiłe uczucia, żądze, namiętności, ztąd popędy zmierzające do wyjednania tego co przyjemne, uniknienia lub oddalenia tego co wstrętne i przykre; ztąd jedném słowem powód i potrzeba czynnego wpływu na zewnątrz. I oto występująca z obsłonek druga strona objawów zwierzęcego zakresu!

Nie u każdego ta sama podnieta równie silne wywiera wrażenie, ani powzięta wiadomość staje się wszędzie równie jasném wyobrażeniem, nie wszędzie ocucone pasmo myśli snuje się równie silnym prądem i z równą chyżością, nie jednako też uczucie temu odpowiada, nierówno budzą się żądze, nierówny pohop do czynu, ani też równa energia; i to jest właśnie, co stanowi ową wrodzoną właściwość osobową, która obok właściwéj każdemu fizyonomii, znamionuje w ścisłém rozumieniu jego indywidualność, a przez to samo dostarcza barw i tonów dla odznaczenia różnic temperamentowych.

Jakkolwiek pojmowalibyśmy duszę, na to zawsze zgodzić się musimy, że o tém tylko mieć ona może bezpośrednią wiadomość, co dzieje się w niéj saméj; przypuszczanie w tym razie jakiegoś pośredniego ogniwa byłoby równie niedorzeczném, jak gdyby kto np. stawiał w izbie okno, ażeby ją rozjaśnić światłem gorejącego w niéj saméj ogniska. Jak przecież okno staje się potrzebném, gdy światło ma być wpuszczoném od zewnątrz, tak również i dla duszy pośrednictwo staje się niezbędném, gdy idzie o wiadomość tego, co się dzieje poza nią. Takim pośrednikiem są tu części ciała, które mocą odebranego wrażenia od podniet zewnętrznych dają początek czuciu zmysłowemu, a zatém narzędzia zmysłowe, jak oczy, uszy, nos, język i cała powierzchnia ciała.

Jak pewne części ciała są do tego konieczne, ażeby wrażenia od zewnątrz dochodzić mogły do duszy, tak znowu pośrednictwo innych staje się niezbędném, gdy idzie o to, ażeby dusza stan swój objawiła na zewnątrz. Co się dzieje wśród duszy człowieka, jest to dla drugiego najzupełniéj ukrytém, dopóki działanie owo nie objawi się w sposób dla zmysłów jego dostępny. Takim objawem stanu duszy są ruchy ciała, czyto w sposobie mimiki czy mowy głosowéj; częściami zaś ciała poruszenia te sprawiającemi, są mięśnie.

Widzimy zatém, że objawy tak zwanych czynności zwierzęcych, a więc te, które właściwie znamionują temperament, materyalnie przywiązane są z jednéj strony do narzędzi zmysłowych, z drugiéj zaś do mięśni. Nic więc dziwnego, że i stan tych części może się przyczynić do pewnego umiarkowania stosunku między duszą a światem zewnętrznym, tém samém do odcieniowania temperamentu. Nie bardzo téż minęlibyśmy się z prawdą mówiąc, że temperament polega na rozmaitości stosunków między czuciem zmysłowém a dowolnemi ruchami. Wypada jednak bliżéj cokolwiek wejrzyć w mechanizm téj sprawy.

Narzędzie zmysłowe choćby i najdoskonalsze, oko, ucho, i t. d. samo przez się nie jest w stanie doprowadzić nietylko do wyobrażenia, ale nawet do prostego czucia; widać więc, że brakuje tu jeszcze owego działacza, mocą którego wrażenie zmysłem pochwycone, łączy się z wiadomością, stając się przez to czuciem i wyobrażeniem; — niema tu jeszcze udziału duszy. Niemniéj znowu i mięśnie, choćby najzdrowsze i najwytworniejsze, w sobie samych nie znajdują takiego popędu, któryby je nakłaniał do skurczeń, tém samém do ruchów, zgodnych z wiedzą i wolą człowieka; a więc i w mięśniach dusza nie działa jeszcze bezpośrednio, skoro do działania dowolnego same sobie wystarczyć nie mogą.

Jeźli objawy duszy, tak jak je znamy u ludzi, potrzebują pewnéj części ciała, którąby była dla nich właściwém i najbliższém narzędziem, to takiém narzędziem jest dopiéro mózg. Przy jegoto pomocy, do skutku wrażeń odebranych przez narzędzia zmysłowe, dołącza się pierwiastek duchowy, podnoszący otrzymane wrażenie do stopnia świadomości, powstałe ztąd czucie wyrabiający w wyobrażenia, ku zachowaniu w pamięci i użyciu przy dalszém samoistném świadomém działaniu; przy jego pomocy ten pierwiastek duchowy działa na narzędzia ruchu i tym sposobem nietylko w sobie samym uczuwa dowolność działania, ale nadto dowolność tę na zewnątrz objawia.

Do dwóch zatém materyalnych podstaw objawów zwierzęcych, jakie poznaliśmy w narzędziach zmysłowych i mięśniach, przybywa trzecia między niemi środkująca a uczestnicząca w czynności i jednych i drugich, mianowicie mózg.

Narzędzia zmysłowe, mózg i mięśnie możnaby do pewnego stopnia porównać z trzema stacyami telegraficznemi, wzajem od siebie zależnemi, działającemi jednak w jednym zawsze kierunku, od zmysłów przez mózg do mięśni. Gdyby stacye nie były połączone drutami, nie byłoby też między niemi związku, a to coby się działo na jednéj, byłoby bez skutku dla innych. Takiemi więc, że tak powiem, drutami, a raczéj sznurkami, prowadzącemi od narzędzi zmysłowych do mózgu, od mózgu do mięśni, wiążą się z sobą i te trzy organiczne stacye; ale te sznurki są tu taką samą istotą jak i mózg, który umieszczony wpośród nich, uważa się też za środkową część układu, który od nich przybiera nazwisko. Jest to układ nerwowy, w szeregu istót organicznych występujący dopiéro u zwierząt, nie dziw więc, że też jak się pokazuje, najbliżéj związany z temi objawami, które obce roślinom, okazują się dopiero u zwierząt, a szczytu swego dochodzą u człowieka. Skoro zaś pewne odcienie tych właśnie objawów stanowią różnice temperamentowe, dochodzimy więc do przekonania, że najbliższą podstawą temperamentów ze strony ciała jest układ nerwowy, z swemi przyrządami końcowemi, jak narzędzia zmysłowe dla czucia, a mięśnie dla ruchu, z umieszczonym między niemi mózgiem, jako najbliższym pośrednikiem czynności duchowych, i wiążącemi te trzy stacye nerwami, które niby druty telegrafu, od narzędzi zmysłowych idą do mózgu, od mózgu do mięśni.

Pozwalając sobie dalszego porównania z trzema stacyami telegraficznemi działającemi w jednym zawsze kierunku, oczywiście najważniejsze stanowisko przyznać wypadnie stacyi środkowéj; kiedy bowiem pierwsza tylko przesyła, ostatnia tylko odbiera depesze, to środkowa musi wypełniać i jedno i drugie; łatwo zatém zrozumieć, ile od czujności, zręczności i energii zarządzającego tamże urzędnika, zależeć musi szybkość i akuratność działania telegraficznego. Cóż dopiéro powiedzieć o środkowém stanowisku, jakiém w naszém ustroju jest mózg względem dwóch stacyj końcowych? Zachodzi tu ta ważna różnica, że tylko przy stacyi środkowéj urzędowanie odbywa się z wiadomością i wolą, gdy tymczasem stacye końcowe pełnią swą czynność bezwiednie. Szybkość zatém i dokładność działania ostatnich, zależy tylko od dobrego stanu umieszczo-

nych tam narzędzi; jeźli te w niczém nie zbaczają, to i czynność w miarę otrzymanéj podniety odbyć się musi z taką ślepą koniecznością, z jaką np. lutnia eolska wydawać musi tony, gdy prąd powietrza wzruszy jéj strunami. Inaczéj ma się rzecz z instrumentem w ręku artysty; i tu wprawdzie przypadkowy podmuch lub trącenie może wywołać bezładny dysonans, ale od artysty zależy użyć go do wyrażenia prądu swojego uczucia, lub mimo doznanéj podniety wstrzymać się od tego objawu.

Porównanie to chociaż jak każde inne rzeczy nie tłómaczy i w ostatecznych następstwach przeprowadzićby się nie dało, może jednak posłużyć do jaśniejszego poglądu na udział duszy w sprawie temperamentów. Gdyby wrażenia dochodzące do mózgu od zmysłów, z ślepą koniecznością przerzucać się musiały na drugą stronę, na nerwy idące do mięśni, ruch byłby w każdym razie koniecznem następstwem. Bywa to nieraz rzeczywiście, kiedy np. w skutku wrażenia od światła zwężają się źrenice, lub przy zapruszeniu oka przymykają się powieki, przy załechtaniu w krtani następuje kaszel i t. p. Czemuż wszelako nie bywa to wszędzie? czemu nie każde wrażenie czuciowe zaraz wyjawia się odpowiednim ruchem? przykład może to wyjaśnić. Jeżeli mając myśl zajętą czém innem, nie jesteśmy przygotowani na jakie wrażenie, wtenczas i lekkie zakłócie szpilką sprawia mocne i ogólne drgnienie; gdy zaś przeciwnie oczekujemy wrażenia z wiadomością i wolą, nie usuwamy wtenczas ręki, jak ów rzymski S c e w o l a, nawet przed rażącym ogniem. Gdzie świadomość jest przyćmiona, jak u opitych, śpiących lub zemdlałych, tam za wrażeniem czuciowém z wszelką swobodą następują ruchy, które przy zupełnéj przytomności i woli dają się wstrzymać a przynajmniéj znacznie ograniczyć. Otóż świadomość i wola, tém samém dusza któréj są przymiotem, jest owym działaczem, który powstrzymać może do pewnego stopnia te nawet objawy, które inaczéj byłyby prostém następstwem mechanizmu nerwów, przewodzących wrażenie od zmysłów do mózgu a ztamtąd do mięśni.

Jeżeli tego rodzaju umiarkowujący wpływ duszy zaprzeczyć się już nie da ze względu na prądy nerwowe przez mózg przechodzące, toć musi on być nierównie znaczniejszym ze względu na możność ograniczenia objawu popędów rodzących

się w niéj saméj, z otrzymanych wrażeń, powstałych wyobrażeń, uczuć i pożądliwości. Nietylko zatém niema konieczności, ażeby za każdą wiadomością nabytą przez zmysły natychmiast następowało widoczne na zewnątrz działanie, ale nadto przy mocniejszéj do tego podniecie, dusza mocą rozwagi może mniéj więcęj panować nad objawem swojego popędu, jak tego wymaga wolność woli, idąca w parze z rozumem.

Jakkolwiek wszakże wielkie w téj mierze jest zadanie rozumu, to jednak nie jest on przy téj sprawie jedynym czynnikiem, prąd zaś myśli może być tak żywy, podnieta od wrażeń tak łatwą i silną, że przemoże skinienia rozumu i zgodnie lub mimo woli do objawu przychodzi; tak jak np. popęd do kaszlu wynikły z łechtania w krtani, do pewnego stopnia możemy wprawdzie mocą woli powstrzymać, przy większéj jednak drażliwości nerwów lub silniejszéj podniecie, wybucha on mimo naszéj woli.

Czasem stan owéj drażliwości nerwów, czyli możności wprawienia ich mocą podniety w stan czynny, zmienia się tu lub owdzie miejscowo, niekiedy jednak usposobienie to dosięga równo całego nerwowego układu, według czego we wszystkich stanowiskach czynność jego objawia się to żywiéj to słabiéj; te same wrażenia silniéj lub słabiéj podniecają prąd myśli i cały szereg objawów w obrębie uczuć i woli, tak, że pod tym naciskiem, miarkujący wpływ rozumu nie zawsze z równą mocą występować może. I *to jest ostatecznie najbliższém źródłem owego usposobienia wrodzonego, które w różnych swoich odcieniach jawi się jako temperament.*

W toku tych wszystkich objawów dusza zachowuje się już biernie, już czynnie: bierną jest wobec wrażeń, które przez nerwy dochodzą do mózgu, a które mogłyby tam dochodzić nawet przy braku przytomności; czynną jest, gdy stając się świadomą tych wrażeń, przerabia je w wyobrażenia, i stan swój mocą ruchów zależnych od woli daje spostrzegać na zewnątrz. Zdolność odbierania wrażeń nazywam dla krótkości *wrażliwością*, zdolność oddziaływania na zewnątrz *odpornością*. Nazwisko pierwsze samo się tłómaczy; dla zrozumienia drugiego powtórzyć mi tu wypada: że stan duszy wywołany odebraném wrażeniem i powziętém ztąd wyobrażeniem,

według zgodności lub sprzeczności z jéj własną istotą, łączy się zawsze z miłém lub niemiłém uczuciem, ze wstrętem lub zadowoleniem, zkąd następnie żądze i popędy do wyjednania tego co przyjemne, oddalenia tego co wstrętne i przykre. Właściwie zatém w działaniu swojém na zewnątrz dusza broni swéj istoty, swojéj indywidualności przeciwko wpływom zewnętrznym, odpierając je według usposobienia z mniejszą lub większą energią; zkąd téż nazwisko odporności. Że zaś od pewnych umiarkowań w sposobie odbierania wrażeń i oddziaływania na takowe, zależy właściwość zachowania się każdego człowieka względem tego co go otacza, czyli co jedno, temperament, krótko więc teraz powiedzieć możemy, że różnica temperamentów wyrażać się musi stanem i wzajemnym stosunkiem wrażliwości i odporności.

Między wrażliwością a odpornością głównie tylko cztery mogą być stosunki, według tego, jak nastrój każdego z tych czynników jest niższy lub wyższy od pewnego nastroju idealnie prawidłowego. Właściwie téż muszą być 4 główne temperamenta, a mianowicie: 1) przy drażliwości wyższéj równie wyższa odporność: temperament rączy (choleryczny); 2) przy wrażliwości wyższéj odporność słaba: temperament wrażliwy (sangwiniczny); 3) przy wrażliwości niższéj mała także odporność: temperament powolny (flegmatyczny); 4) przy wrażliwości niższéj odporność wyższa: temperament odporny (melancholiczny).

Zanim przystąpię do scharakteryzowania każdego z tych temperamentów, na dwie jeszcze okoliczności zwrócić winienem uwagę, mianowicie:

1) Za zasadę podziału temperamentów uznaliśmy w ogóle wyższy lub niższy nastrój wrażliwości lub odporności; atoli pomijając nawet modyfikujący wpływ rozumu i na nim opartéj woli, a oglądając się tylko na wrodzony stan nastroju, to niższość lub wyższość jego może się jawić w najróżniejszych stopniach, pociągających za sobą tyleż odcieni temperamentów. Cztery rozróżnione wyżéj, są niejako czterema stronami świata, między któremi jest przecież nieskończona ilość kierunków pośrednich. Jak jednak bez wskazania czterech głównych stron świata niepodobna byłoby kierować się żeglarzowi, tak bez

znajomości czterech zasadniczych temperamentów, rozlicznych w téj mierze odmian oceniaćbyśmy nie mogli.

2) Z powyższéj uwagi wynika, że w rzeczywistości trudno byłoby spotkać się z temperamentem w najściślejszém znaczeniu czysto rączym, wrażliwym, leniwym lub odpornym, trudniéj zapewne niż z wiatrem czysto wschodnim, zachodnim i t. d., jak bowiem np. wiatr zachodni zbacza najczęściéj bądź ku północy bądź ku południowi, tak i temperamenta zwykle mniéj więcéj zachodzą za siebie, i to na szczęście człowieka; wyłączność bowiem w téj mierze, wyróżniając jaskrawo jego indywidualność zarówno z dobréj jako i złéj strony, robiłaby go wstrętnym oryginałem. Zarysy zatém, które podamy, nie mogą być uważane za odwzór pojedynczych osób, za wizerunki charakterów, jak je podają powieści, ale raczéj za typy, czyli obrazy ogólnego pojęcia, jakich używają poeci w dziełach dramatycznych, jak ów Geldhab lub Papkin, który przypomina niejednego a jednak do nikogo w całości zastósować się nie daje. Takie tedy znaczenie przywięzując do zarysów czterech głównych temperamentów, przystępuję do ich nakreślenia.

Temperament choleryczny. Charakter ogólny: wrażliwość obok energii i wytrwałości działania. Człowiek taki nie może być bezczynnym, niepohamowany popęd do działania nietylko każe mu mięszać się do wszystkiego, ale prócz tego lubować się w sprawach o ile można znakomitych i dokonywać ich energicznie i silnie, z odwagą i determinacyą. Niepodobna mu przyglądać się w uspieniu i słodkim spoczynku temu, co się dzieje koło niego. Téj sile woli odpowiada bystra pojętność, żywość poglądu, bujna wyobraźnia, wytrawność sądu. Przy takiéj mocy ducha choleryk mimo wysokiéj wrażliwości panuje nad czuciem i popędami; prędzéj je wzbudza doznawany opór niż politowanie, prędzéj więc okaże się drażliwym niż tkliwym. Może on zachwycić się przedmiotami, dla których inni okazują się zimnymi i obojętnymi; nigdy jednak nie będą to drobnostki, ale przedmioty wyższego znaczenia. Przy woli silnéj, trwałéj, nieugiętéj bywa on wiernym w przyjaźni; obłuda, kłamstwo, plotkarstwo, oszczérstwo mają w nim jawnego nieprzyjaciela. Jego myśli i mowa, skłonności i czyny tchną prawdą i rzetelnością. Żywiołem jego jest honor, sława, swoboda, niezależność, umiejętność; niewola i ślepe

poddaństwo jest dla niego śmiercią. Może on oczekiwać, lecz nie upada na duchu; wesołość jego daleka jest od rozpusty i lekkomyślności.

Zobaczmy odwrotną stronę medalu: cześć i sława, za którą zdąża choleryk, wywięzują w nim nieznacznie dumę, pychę, wyniosłość, żądzę przewodzenia. Chciałby on zawsze rozkazywać nigdy nie ulegać, im zaś wytrwaléj i pewniéj bierze się do czynu, tém więcéj widać w nim chęć prowadzenia reju, uporu, niesforności i niepowściągliwości. Ufny w siebie, chciałby sam wszystkiego dokonać, odgrywać najważniejsze role, zyskiwać w każdym kroku uznanie i podziw. Nie umie znosić sprzeciwienia a tém mniéj oporu, wszystko to budzi w nim namiętność, która tém gwałtowniéj wybucha, im większe napotyka przeszkody. Jest to niebezpieczna chwila, w któréj choleryk łatwo staje się niesprawiedliwym, srogim a nawet okrutnym. Biada słabszemu, który zajdzie mu w drogę niebacznie!

Temperament sangwiniczny. Cecha ogólna: wrażliwość bez energii i wytrwałości. Z tego wynika przewaga uczucia, tkliwość na wszelkie wrażenia dobra, prawdy i piękna. Wszystko przychodzi mu łatwo: nauka, bo pojmuje prędko; posłuszeństwo, bo niewielka samoistność usposabia go do powodowania się i chętnego przyjmowania napomnień i przestróg; obejście się z innymi, rychło bowiem do nich przylega, jest szczery i dobrotliwy; zastósowanie się do okoliczności, bo jego wyobraźnia potrafi upatrzeć we wszystkiém wdzięczną i przyjemną stronę; jest usłużny, litościwy, pełen uprzejmości, zawsze na podoręczu i na pogotowiu. Z powodu małéj energii słabo oddziaływa, dlatego spokojniéj znosi przeciwności życia, które po myśli i sercu jego lżéj jakoś przechodzą; niepowodzenie może go zasmucić, ale nie nabawi go zmartwienia; postępki niegodziwe mogą go gorszyć i gniewać, nigdy wszelako nie stanie się on dobréj sprawy mścicielem, nigdy téż zgroza w duszę jego głęboko się nie wkorzeni. Z powodu wrażliwości jest on wprawdzie tkliwy, ztąd i himeryczny, nadzwyczaj jednak łatwo zapomina i przebacza urazy, skoro tylko spostrzega jakiś promyk żalu i miłości. Płynie więc powierzchnią życia zwykle w różowych nadziejach, korzystając w całéj pełni z przyjemności, jaką mu chwila nastręcza. Na-

mysły jego nie głębokie ale prędkie; prędkie postanowienie u niego najlepsze, prędkim téż jest w mówieniu i działaniu; w każdéj przygodzie słowo znajdzie mu się na języku, a w jego pamięci niespożyty zasób dykteryek i facecyj; jest to uosobiona dobroć serca, z umysłem dopuszczającym wprawdzie chwilowych dysonansów, niezdolnym jednak do wulkanicznego wybuchu.

Wszakże znaczna wrażliwość obok małéj samoistności, robi człowieka takiego dostępnym nietylko temu co jest dobrém, ale i dla złego; że zaś niczego głębiéj nie pokonywa duchowo, bierze więc lekko rzeczy nawet największego znaczenia. W tém w ogólności źródło zmienności jego usposobień i niestateczności. Pojmuje łatwo, łatwo daje się przekonać, powodować, ale téż łatwo odstępuje, bo przeciwne przedstawienia łatwo trafiają do jego przekonania; prędko przyrzeka ale mało dotrzymuje, nie doznając z tego powodu żadnego wyrzutu sumienia; łatwość przyjmowania wrażeń rozrywa jego uwagę, robi go roztargnionym; na pozór zuchwały, w istocie tchórzliwy, łatwo odwraca się z kierunkiem wiejącego wiatru, jedna godzina z przyjaciela robi go obojętnym a nawet, choć równie chwilowo, niechętnym. Z téj niestateczności i braku wewnętrznéj mocy wynika brak wytrwałości jawny we wszystkich czynnościach; wszystko go zajmuje, trudno mu jednak powzięty zamiar doprowadzić do końca; w słowach pośpiech, w przedsięwzięciach i postanowieniach niemała zawisłość od opinii nie tyle rozsądnych, jak raczéj ogółu. Nie powierzaj mu żadnéj tajemnicy, bo język jego nadzwyczaj świerzbiący nie dozwoli jéj dochować i już nazajutrz, jak się to mówi, nikt o niéj wiedzieć nie będzie, tylko wójt z całą gromadą. Nie spuszczaj się na jego przyrzeczenia, zaklęcia, łzy, słowa, umizgi, a tém mniéj na śmiałe i zuchwałe przedsięwzięcia, bo zanim się obejrzysz, to już cię zawiedzie, i to nie w złéj myśli, lecz dla słabości i chwiejności charakteru. Dobroduszność i łatwość w pożyciu robi tych ludzi bardzo ponętnemi; wszakże niestałość czyni ich niebezpiecznemi, bo właśnie ich wybitnym charakterem jest brak charakteru.

Temperament flegmatyczny. Cecha ogólna: mała wrażliwość i brak energii. Ladajakiém wrażeniem nie wzbudzisz tu ruchu w mechanizmie duchowym, który i przy silniejszym powodzie nie będzie zbyt rączy, zwykle powolny i gnuśny.

Widzisz tu obraz uśpienia, z którego umysł nie rad się ocuca; kto go do tego przynagla, czyni mu nie małą krzywdę. Przy tém usposobieniu tępa jest wyobraźnia, ale natomiast sądy prostsze, dobrze rozmyślane i pewniejsze. Ta cecha zewnętrznego i wewnętrznego pokoju odbija się w cierpliwości i obojętności umysłu; nie łatwo popada on w uniesienie i namiętność, dosyć jednak jest wiernym raz nabytym skłonnościom; sztuka i przyroda niełatwo zwróci jego uwagę, a nigdy nie wywoła zapału. Ta obojętność nadaje mu niekiedy pozór filozoficznego to jest takiego spokoju, który wynika nie z braku żywych prądów ducha, ale z ich szczęśliwéj równowagi; gdy tymczasem u niego jest to spokojność głowy, któréj gwałtowność takich prądów nigdy nie zakłóca, a która wtenczas się chyba rozgrzewa, kiedy się czapką nakryje. Wola jest słaba, trudne skłonienie się do działania, prędkie odstąpienie od zamiaru, gdy się przychodzi łamać z trudnościami. W tych kilku rysach widzimy zarody dobrego i złego. Główną zaletą są tu: spokój i rozwaga. Flegmatyk nie pospiesza się z niczém, jak w czynach tak w myśli i postanowieniach; wybiera średnią drogę, unika ostateczności. Dlatego zdania jego zwykle bywają rozsądne i trzeźwe, a zewnętrzne wypadki niełatwo go zakłopocą. Lubi on porządek i czystość, okazuje cierpliwość, a w spokojném zatrudnieniu nawet i wytrwałość; może więc być dobrym rachmistrzem, wiernym spostrzegaczem, cierpliwym nauczycielem, najpotulniejszym poddanym; nigdy zaś nie będzie nurtującym prawdę badaczem, a tém mniéj poetą, choćby już nie w rodzaju Słowackiego. Możnaby na niego liczyć; nie pomoże on wprawdzie w trudniejszém zadaniu, bo nie ma dosyć energii, ale téż i nie zdradzi dobrowolnie, za nic jednak ręczyć nie można pod naciskiem obawy. Dalekim jest od próżności i lekkomyślności, a ze spokoju duszy wynikająca wesołość, jest jego przymiotem do pozazdroszczenia.

Z drugiéj zaś strony, komuż na wspomnienie flegmatyka nie stanie na myśli powolność, obojętność, bezwładność? Im więcéj zimny panuje w nim rozsądek, tém większy spokój strony uczuciowéj, ztąd obojętność równie na złe jak i na dobre, na miłość jak i na nienawiść. Z téj spokojności i jednostajności nic wyrwać go nie potrafi; unika głębokich zaciekań, bierze się do tego co nie wymaga wielkiego natężenia umysłu

lub ciała, myśli jego powszednie, dowcip tuzinkowy, rozmowy nudne i suche, da ci dokładną informacyą ile kroków zrobił na przechadzce, ile schodów prowadzi do czyjego mieszkania; przyzwoitośćw obejściu jedyną u niego cnotą obywatelską, więcéj żądać od niego nie można. Zraża go każdy początek, chętnie więc przestaje na dawném, nienawidzi nowości; gdzie inni zaczynają, u niego bywa na tém koniec; nie posunie więc naprzód nauki lub sztuki; gdyby wszyscy ludzie byli flegmatykami, o postępie nie byłoby mowy. Chęć zapewnienia sobie spokoju i wygódek życia, budzi w nim jedyną może wyraźniejszą pożądliwość zysku i dostatków; zresztą bowiem, najczęściéj w opasłém jego ciele, drzémie sobie dusza gdyby na miękkiéj pościeli, chroniona obojętnością od wrażeń, które tę drzémkę przerwaćby jéj mogły. Dla świętego spokoju zgodzi się na wszystko: „A biało? biało; — a czarno? czarno.“ „Włodarzu są tu ryby? — są łaskawy panie; — ej podobno nie masz? — ha! zkądżeby się wzięły.“ „Ani do rady, ani do zwady!“ (Cnap. *Adagia*).

Temperament melancholiczny czyli zadumczywy. Cecha ogólna: mała wrażliwość obok wielkiéj wewnętrznéj energii. Im więcéj oko zadumczywego zamyka się dla świata zewnętrznego, tém bardziéj roztwiera się przed nim wewnętrzny świat ducha. Ma on równe z cholerykiem poczucie samoistności, mocno wyrobioną indywidualność, różny jednak u obu nastrój wrażliwości, nadaje téj wewnętrznéj energii odmienny kierunek. Podobnie jak choleryk śledzi on chętnie wszystko aż do gruntu, jest więc głęboki w myślach i postanowieniach, wyobraźnię ma bujną, pamięć niezbyt łatwą lecz trwałą i wierną, dowcip pełen myśli i znaczenia; — kiedy przecież choleryk mocą wrażliwości wiąże się silnie z tém co go otacza, czuje się wydatném ogniwem w łańcuchu społecznéj i czynność swą rozwija w kierunku praktycznym; to melancholik więcéj zamknięty w sobie, przeważnie jest teoretykiem. Zapuszcza się on łatwo w badania metafizyczne, w tajemnice przyrody i sztuki, umiejętność sama w sobie i religia szczególną są dla niego ponętą. W tym rodzaju zatrudnienia okazuje żelazną wytrwałość; dnie i noce gotów ślęczeć nad myślą, która duszę jego zajęła, dla jéj miłości gotów cierpieć niedostatek i ponosić ofiary. Dlatego lubi on nadewszystko

cichość i samotność, tam mu jakoś błogo, tam nie przeszkadza mu hałaśliwość świata i obojętne dla niego drobne jego zatargi, tam może sobie bujać po murawie zasianéj najmilszemi jego uczuciami, dogodzić najponętniejszemu zajęciu. Jeżeli jakiś temperament zamożny jest w wewnętrzną, zawsze krzepką i żywą samodzielność, jeżeli któryś nie potrzebuje zewnętrznego popędu do skłonienia się do tego, w czém prawda i piękno, lecz znajduje to sam w sobie i działa z własnéj wewnętrznéj pobudki; to nim jest temperament zadumczywy. Najwydatniejsze osoby na polu dziejów i oświaty, byli to cholerycy i melancholicy; gdzie się inni ukryli, tam oni wystąpili, tam, zbrojni przekonaniem stanęli niby opoka, gotowi do walki każdéj chwili w swoim rodzaju i w swoim zakresie.

Niebrak wszelako i u zadumczywego mniéj korzystnéj strony. Wzory które tu skreślam, są jak powiedziałem, niejako oderwanemi pojęciami, ostatecznościami we względzie dostrzeganych różnic, a zatém jako takie muszą występować z pożądanéj równowagi. Zadumczywy wszystkie swoje myśli, czucia, usiłowania i czyny chętnie obleka jakąś czarną zasłoną, łatwo staje się mistykiem; widać w nim niejaką smętność, jak gdyby w utęsknieniu do świata innego, bo podupadła wrażliwość rozbratała go z tutejszym. Ztąd częsta w nim skrytość, niezadowolenie, gorycz i cierpkość dla otaczających; ztąd téż trudno mu dogodzić. Często gryzie go robak podejrzliwości, obawy, wstrętu ludzi i mściwości; trudno o jego przyjaźń, zaufanie, bo obojętność na to co go otacza, dobrą stronę łatwo przed nim zakrywa, co wszystko, obok ognia wewnątrz tlejącego, nie wybuchającego wulkanem choleryka, niemniéj jednak trawiącego, uciążliwą robić musi jego doczesną pielgrzymkę.

Nakreślone tu w jasnych i ciemnych barwach 4 główne temperamenta, w rzeczywistości, jak już nadmieniłem, tracą wiele na wydatności i jaskrawości swojéj, przez tworzenie pośrednich odcieni prawie w niepoliczonéj ilości. Odcienia te częścią znowu są już wrodzoną właściwością życia, częścią wytwarzają się pod wpływami jakim życie w biegu swym ulega.

Jako usposobienie wrodzone, polegające na pewnéj właściwości całego ustroju, musi ono aż do pewnego stopnia być w związku z wrodzonemi właściwościami innego rodzaju, jak np. z właściwością wynikającą z płci lub wieku człowieka. Dla

tegoto kobiety w porównaniu z mężczyznami są przeważnie sangwiniczkami, gdy znowu mężczyzni w porównaniu z kobietami przeważnie przedstawiają się cholerykami; dla tego znowu między starymi trudno o sangwinika będącego zwykłym charakterem młodości, a między wyrostkami o melancholika odznaczającego się silném poczuciem samoistności i odstrychnieniem się od świata zewnętrznego, tyle ponętnego dla życia, które dopiéro rozkwita. Wszakże zależność ta do pewnego stopnia łatwo zrozumiała, nie wyłącza możności subtelniejszych różnic, jakie na tle tego samego, z płci lub wieku wynikającego usposobienia, jeszcze odznaczyć się mogą. Usposobienie to poniekąd w takim jest związku z temperamentem, jak melodya z przygrywką; przygrywka wprawdzie jest od niéj zależną, mimo to przecież, bez nadwerężenia harmonii może być urozmaiconą, przez co i melodya, choć zawsze jedna i ta sama, w każdym razie odmienne sprawia wrażenie.

Że wrodzona owa przygrywka, wtórująca właściwości życia wynikłéj z rasy, płci lub wieku, inaczéj mówiąc że temperament jako przymiot wrodzony, może uledz modyfikacyi skutkiem wpływów późniejszych; widoczném jest z tego, co w téj mierze wyżéj się już mówiło. Wszak nawet i u zwierząt przyswojonych człowiekowi, skutkiem tego obcowania, a zatém mocą doznawanych wpływów zacierają się niektóre charaktery, jakiemi odznaczają się w dzikości.

O ile temperament łączyć się musi z jakąś właściwością materyalnéj strony organizmu, o tyle naodwrót przez tę ostatnią działaćby można na umiarkowanie objawów temperamentowych. Klimat i rodzaj pożywienia szczególne pod tym względem miećby mogły znaczenie. Nie zbywa przynajmniéj na dziejowych dowodach, że ze zmianą sposobu życia zmienił się charakter narodów; jak również i to wiadomo, że mieszkańcy okolic suchych, wzgórzystych i jasnych, częściéj okazują temperament wrażliwy lub rączy, niż ludność głębokich i wilgotnych nizin. W bliższy rozbiór téj rzeczy zapuszczać się tu nie mogę; wyczerpnięcie bowiem wszystkich zastósowań jakie z nauki o temperamentach wywieśćby się dały, nie wchodzi w zakres mojego wykładu, przeznaczonego jedynie wykazaniu zasady, cech i znaczenia temperamentów. Lekarz, psycholog, moralista, prawodawca, pedagog znaleść tu może przydatne skazówki do za-

stosowań praktycznych każdy w odpowiednim sobie kierunku; ja zaś, ograniczony równie właściwém zadaniem, jak wreszcie i czasem skąpo wyznaczonym dla tego wykładu, kończę rzecz kilku uwagami pod względem wpływów bezpośredniéj na temperament działających.

Należy tu to wszystko co umysłowi nadaje pewien przeważny kierunek, jak zatrudnienie, sposób życia, towarzystwo, a nadewszystko wychowanie, zkąd pochodzi, że niektóre szkoły, przytuliska, fabryki, stany, rzemiosła wydają ludzi z pewnym właściwym temperamentem. Wychowawca szczególniéj mieć to powinien w pamięci, ażeby napomnieniem i trafnym doborem zajęcia poskramiał jaskrawą wyłączność jednego z temperamentów. Wielce nauczające skazówki znajdujemy w tej mierze w wyrazach Chrystusa wyrzeczonych w odpowiedzi na wyżéj przytoczone oświadczenia uczniów, mających mu towarzyszyć w drodze do Jeruzalem. Każde z nich dało powód do zbawiennéj nauki, chociaż były one po części wręcz sobie przeciwne, tak, że zdawaćby się mogło, iż upatrując w jednych coś złego, w drugich tém samém nic nie mogłoby być nagannego. Rzecz jednak ma się inaczéj. Wszakże i temperament flegmatyczny wręcz jest przeciwny cholerycznemu; czyż jednak dlatego, upatrując słabe strony w flegmatyku, możemy powiedzieć że choleryk jest wzorem bezwzględnéj doskonałości? Odpowiedź na to w podanéj wyżéj charakterystyce, wykazującéj w każdym temperamencie dobre i złe strony. Ztądto nauka, ażeby przywary jednego poskramiać i łagodzić wdrażaniem dobrych przymiotów drugiego; niewczesny zapał, zbytnią i nieoględną porywczość studzić zimną refleksyą; obojętność zagrzewać przykładem wiernego pełnienia obowiązku i gorącem własnego poświęcenia. Taka nauka wynika z wyrazów Chrystusa, który energicznemu Janowi, grożącemu niechętnemu miastu ogniem i pożogą, odrzekł: „Nie wiecie czyjego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić ale zachowywać“. Zbyt pospieszną gotowość sangwinika powściągnął uwagą na cierpienia i trudy: „Liszki mają jamy, ptacy powietrzni gniazda; lecz syn człowieczy nie ma gdzieby głowę skłonił“. Zadumczywego zagrzewał do czynu: „Szedłszy opowiadaj królestwo boże“; — ociągającemu się flegmatykowi wskazał obowiązek, mówiąc: „Ża-

den, który rękę swą przyłożył do pługa a ogląda się nazad, nie jest sposobny do królestwa bożego".

Trudniejsza w téj mierze sprawa z wychowaniem publicznóm, pozbawionóm możności wglądania w usposobienia indywidualne; wszakże tém więcéj w zakładach takich starać się należy o to, ażeby w samych przedmiotach naukowych, działających różnostronnie na popędy i władze umysłu, zachowaną była pewna równowaga, zapobiegająca temu, ażeby jedne kosztem drugich nie brały szkodliwéj przewagi.

Gdy dusza dojdzie do jasnéj świadomości o sobie i stanie się sędzią własnych swych czynności, zdoła natenczas wejrzeć w wrodzone swoje czynności i mocą woli na rozumie opartéj powściągać je i miarkować do pewnego stopnia. Jestto panowanie nad sobą samym godne oświeconego człowieka. Oświatę uważaliśmy wyżéj za warunek wyrabiania się indywidualności, tém samém występowania różnic temperamentowych; w oświacie zatém winny się znaleść zaradcze środki przeciw ich jednostronnemu wybujaniu, przeciw ujarzmieniu jakiego dusza w takim razie doznawaćby musiała, inaczéj oświata nie odpowiadałaby swojemu zadaniu. I nie ma w tém najmniejszéj sprzeczności! — wszakże i wolność druku otwiera niewątpliwie drogę różnym nadużyciom; cóż jednak skuteczniéj niż ona sama powściągnąć je może? niech jéj tylko nie gnębi czy żelazna ręka władzy, czy równie niebezpieczny despotyzm skoszlawionéj opinii, a gdy każdy swobodnie objawi swoje przekonanie, prawda wystąpi ostatecznie w pełni swego majestatu. Tak samo ma się rzecz i z oświatą odnośnie do przedmiotu który nas zajmuje; — ona nastręcza możność wyrabiania się temperamentów, ona téż nastręcza środki trzymania ich na wodzy.

O zadaniu konstytucyjném w Austryi.

Przed kilku miesiącami, świeżo po wielkiéj klęsce wojennéj, staraliśmy się w piśmie tém wskazać w ogólnych zarysach, konieczność odrodzenia się Austryi, tak w saméj treści wewnętrznego ustroju, jako i w systemacie zagranicznéj polityki*).

Nie posądzi nas nikt o przesadzony pesymizm, jeżeli powiemy, że na drodze ku spełnieniu żądania nie wiele naprzód postąpiono; sprawa ta dziś jak podówczas stoi na porządku dziennym.

A jednak zajmowano się nią szczerze; dowodzą tego liczne objawy opinii publicznéj, dowodzą usiłowania Rządu, który zwątpiwszy jak się zdaje w twórczość własnych ludzi stanu, aż poza granicami Państwa szuka światła i zdolności. Minęło już panowanie owéj zgubnéj zasady, że byle dzisiaj przetrwać bezpiecznie . . . . *après nous le déluge;* rząd i rządzeni osądzili zgodnie sprawę przeobrażenia Monarchii, nie tylko jako konieczną, ale jako nagłą.

Na nieszczęście zgody téj nie ma w wyborze kierunku; owszem odmęt wzmagać się zdaje dzieląc i rozkładając części składowe w Austryi, to podług narodowości, to podług pojęć społecznych i politycznych. Potworzyły się stronnictwa zapisując na swoich chorągwiach nazwy, których nie wypełniał jasno określony programat. Stronnictwa te rozbiły się na grupy i kółka, a nie wydały ludzi dość znakomitych potęgą swéj indywidualności, którzyby rozbite luźne żywioły znowuż w jakąś organiczną całość jednoczyli. Rozstrój całego organizmu odbija się w częściach składowych. Monarchia, a z nią wszystkie kraje koronne przechodzą cierpienia porodu.

*) Patrz Przegląd Polski z 1go Września 1866 r.

Że stan ten chorobliwy odbił się i w naszém spółeczeństwie, nic w tém dziwnego, a inaczéj być nie mogło. Nie ulega wątpliwości, że zmienił się stosunek kraju tego do monarchii austryackiéj. Byliśmy prowincyą podbitą, a losy Państwa względnie tylko i pośrednio nas dotyczyły. Podbiciem posłuszeństwo i bierną uległość wymódz można; zespolenie istotne, zespolenie interesów, nastąpić tylko może wolną wolą; wolną wolą téż, pod wrażeniem ucisku rządów ościennych, zawarła narodowość polska sojusz z monarchią austryacką. Stanowisko zajęte w téj mierze przez reprezentacyę krajową, poparły wszystkie organa dziennikarstwa; ani jeden protest nie podniósł się w kraju. Zmiany téj lekceważyć nie można, ani ją fałszywie sądzić należy; dyplomacyi wolno używać czasami fortelów, naród cały nie zdoła fortelu wymyśleć, a tém mniéj przeprowadzić.

Z lóż i galeryi do razu przenieśliśmy się na scenę. Jako publiczności, drogo przychodziło nam onego czasu miejsca nasze opłacać; dziś dzielimy kłopota i niepowodzenia przedsiębiorstwa, obawy bankructwa bezpośrednio nas dotyczą. Raz jeszcze — nie dziwno, że rozstrój całego organizmu w nas się uwydatnił, że i w sejmie stanęły naprzeciwko siebie zdania odmienne, wręcz co do środków, przeciwnego sobie kierunku.

Nie jest zamiarem piszącego stawiać programat na przyszłość, bo to przechodzi siły pojedyńczego człowieka; programata w stronnictwie tylko rodzą się i nawzajem stronnictwa ściśléj spajając, w praktyce się hartują; w wykonaniu dojrzewają lub giną, wedle tego, czy były ze stali, czy z kruchego żelaza.

Zadanie skromne zakreśliliśmy téj pracy: Rozdzielić i uporządkować o ile można pojęcia, które przeważnie wpłynąć mogą na dzieło przetworzenia się Monarchii, wskazać stronnictwa, dzieląc je wedle istoty, znaczenia, i myśli przewodniéj, w końcu uwydatnić możliwe kierunki, jakie z przeciętnéj powyższych danych prawdopodobnie wypaść mogą.

Dla ludzi do życia publicznego powołanych nie powiemy nic nowego; obowiązkiem każdego, z rzeczy tych jasno zdać sobie sprawę. Inaczéj rzecz się ma ż ludźmi czynu i pracy, którzy wolne tylko chwile, myślom i trosce o sprawie publicznéj poświęcić mogą. A jednak istotę i rdzeń kraju stano-

wią nie publicyści albo wybrani ale wyborcy. Jeżeli tym, a przynajmniéj niektórym z nich zestawieniem oderwanych szczegółów ułatwimy pogląd na całość położenia, a tém samém wpłyniemy na spełnienie najważniejszego prawa, a zarazem obowiązku obywatela kraju konstytucyjnego, praca ta straconą nie będzie.

I.

Niedawno temu, weteran parlamentarnego życia, ostrą a misterną krytyką postępowania rządu francuskiego, zjednał sobie uznanie Francyi. Cała ludność chciwie, nerwowo chwytała ustępy mowy, w któréj trafnie, z nieubłaganą logiką zestawione były kolejne niepowodzenia i pomyłki cesarskiego rządu. Słowa „nie wolno już ani jednego błędu popełnić„ z całą grozą odbiły się w przekonaniu i w samém sercu Francuzów. Skoro jednak mistrz słowa z krytyki przeszedł w twierdzenie, a jako ratunek i lekarstwo nic innego nie miał przytoczyć jak zużyte formułki dawnéj szkoły dyplomatycznéj, zawiało zimno, affirmacye starca nie znalazły już dźwięku. — Ludzkość, pomimo ciężkich zawodów i wstrząśnień, pomimo paroksyzmów a często i konwulsyi, pomimo egoizmu albo niedołężności, bądź co bądź, od czasu świetności Thiersów, Metternichów, Palmerstonów, a krok naprzód się posunęła. Dziś już sumienie publiczne nie uznaje żeby się godziło w imieniu równowagi Europejskiéj, kramarzyć ludnością, i tak zwane granice naturalne stawiać wyżéj od tych, które opatrzność wskazała. A chociaż szumne słowa i szczytne teorye zbyt często jeszcze służą za osłonę samolubnych widoków i siły przed prawem, sama potrzeba osłony jest już postępem i zdobyczą: *l' hypocrisie est un hommage, rendu par le vice à la vertu.*

Zmienił się téż nie mało stosunek wzajemny ludów i monarchii. Monarcha, wedle tego, jak się w dzisiejszym świecie wyrabiają pojęcia, jest poniekąd najwyższym w kraju urzędnikiem. Zanadto wielu z nich w oczach naszych gorzkiem doświadczeniem i ciężkim dziś losem stwierdzają powyższe twierdzenie, aby im samym możebném było prawdzie téj zaprzeczyć. Dawne rządy dynastyczne przedstawiają dziwne zjawisko, jakby dziedzicznéj z poddanymi umowy, mocą któréj

wszystkie obowiązki stały po jednéj, wszystkie prawa po drugiéj stronie.

Nie należymy do tych, którzy w niedalekiéj przyszłości Europę republikancką widzieć mniemają. Przeciwnie sądzimy na długie lata jeszcze władzę monarchiczną, zastósowaną do nowoczesnych pojęć wolności, pożytecznym dla saméjże wolności balastem. Urok monarchów, monarszych rodzin nie rozwiał się wcale w zdemokratyzowanych nawet spółeczeństwach, gdziekolwiek ukoronowany władca umie się wcielić w myśl narodu i w jego potrzeby, ująć w swéj osobie opatrzną misyę kraju, któremu przewodniczy, a gdzie tak jest, cześć tradycyjna ułatwia mu spełnienie zadania. Dodać należy, iż zapał sił i energii innym potrzebny do pozyskania podstawy działania, na tronie urodzonemu sam przez się starczy do wielkich czynów.

Lecz o prawach bez obowiązków mowy już być nie może. Za wyjątkowe położenie, za świetność i władzę, za nimbus nawet otaczający głowę namaszczonego, żąda spółeczeństwo rachunku korzyści i straty, i waży to bezwzględnie na szali. Nie dość dzisiaj urodzić się władcą z Bożéj łaski, z Bożéj łaski potrzeba mieć zdolność, aby pojąć, wolę, aby postanowić, hart duszy, aby przeprowadzić szczytne posłannictwo od opatrzności monarchom przekazane.

Przeszłość Austryi w kilku słowach scharakteryzować można. Nie była ona narodem, państwem w ścisłém znaczeniu tego słowa nie była, była dynastyą. Przed kongresem wiedeńskim, bez dynastyi nie tylko polityczne znaczenie, ale samo geograficzne pojęcie Austryi istnieć przestawało.

Dopiéro kongres wiedeński nadał scentralizowanemu już podówczas Państwu znaczenie przeważne odnośnie do systemu równowagi Europejskiéj; zadaniem Austryi było ważyć na szali zkądkolwiekby samowola panującego naruszyć usiłowała nietykalną budowę traktatu z 1815 r. albo gdziebykolwiek upiór pogrzebanéj niby rewolucyi, kamień grobowy odwalić próbował. Charakter przeważnie dynastyczny, położenie środkowe w samém centrum Europy, wzorowa podówczas organizacya wojskowa, wskazywały gabinetowe to posłannictwo Austryi, a wiążąc ją solidarnie z interesem wszystkich tronów europejskich, niezwykłéj dodawało siły i chroniło od możliwych nie-

bezpieczeństw. Dopóki stan rzeczy zaprowadzony kongresem wiedeńskim trwał w Europie, Austryi wolno było bitwy przegrywać i popełniać błędy; trywialne przysłowie o kocie, który zawsze na nogi upada, miało głęboką przyczynę w ówczesnym ustroju Europy. Za Austryę choćby zwyciężoną walczyła pamięć przez Napoleona I. upokorzonych majestatów i widmo rewolucyjne.

Austrya w r. 1848 nie oparła się rewolucyi, a zaborem Krakowa samowolnie przyczyniła się do naruszenia fundamentów budowy, którą pieczy jéj powierzono. Dziś traktaty wiedeńskie na wszystkie wiatry rozproszone, na tronie Francyi zasiadł inny Napoleon. Panujący małego kraiku włoskiego z woli ludu owładnął tronem wielkiego Państwa utworzonego z posiadłości wygnanych dynastów. Król pruski w imię jakoby prawa i zasady narodowości siłą wydziera Austryi tradycyjne stanowisko w Niemczech.

W obec zmian tych przeszłość Austryi, przyszłością jéj być już nie może. Dynastya przestała być spójnią dość silną, aby sama przez się wystarczyła jako jedyna racya bytu. Strzeżenie nietykalności budowy, utworzonéj do zabezpieczenia równowagi Europejskiéj być nią nie może, bo sama budowa runęła, a z nią wiara w system i jego skuteczność. Austrya przeciw zewsząd grożącym burzom dzisiaj już niczém niezabezpieczona, jest jak gmach stojący bez fundamentów. Konieczność znalezienia drogi przewodniéj, warunków bytu w nowym ustroju europejskich stosunków, nasuwa się groźnie, jak Hamletowskie pytanie, a znalazły się już głosy złowrogie, które odpowiedziały negacyą.

Nas nie zrażają dotychczasowe próby nieudane i doznane zawody; wielkie przeobrażenia dziejowe, nie są dziełem chwili, nie nastają bez cierpień i trudów; patrząc z oddalenia dopiero, zacierają się szczegóły robót przygotowawczych, a sam fakt jedynie pozostaje w całéj doniosłości.

Nam, opatrzne posłannictwo Austryi przedstawia się jasno, i nie wahamy się z wypowiedzeniem przekonania, że od podjęcia go lub odrzucenia zależy wielkość albo rozkład monarchii.

Zasadę narodowości w prawie publiczném, zrodzoną w poczuciu dojrzewających ludów, podjęli dziś mężowie stanu wielkiéj energii, nienasyconéj ambicyi. W zastósowaniu postępują z nią jak mocarz z bajecznych opowiadań starożytności, który podróżnych przycinał albo rozciągał do miary swojego łoża. Kto przerósł albo niedorósł samowolą naznaczonéj miary, temu ucinano głowę albo rozciągano stawy.

Podział wskazany naturą społeczeństw i przebiegiem dziejowym, nie wystarcza do zachceń i rozległych planów śmiałych eksperymentatorów; narodowości pojedyńcze, chociażby miały pomrzeć przy próbie, starają się oni pod firmą nowo wynalezionéj teoryi, tak zwanych aglomeratów, rozciągnąć do miary własnéj ambicyi. Nie narodowości ale rasy mają odtąd wedle nich, stanowić jednostki w odtwarzać się mającym systemie międzynarodowych stosunków.

Rząd ten nie jest naturalnym, nie wyrósł z przekonania i uczuć ludów, ale *a priori* ukuty i zręcznie wyzyskiwany przez ludzi u steru władzy stojących, służy za wyborną osłonę polityki zaborczéj i bezprawnéj. Napróżno pokrzywdzeni zakładają prawomocne i ze wszech miar uzasadnione protesta, dostają odprawę jak owo jagnię, które wilkowi wodę mąciło.

Protesta te jednak nie zginą bez śladu. Pomimo np. ulubionego frazesu koryfeuszów sejmu berlińskiego, że historya nad niemi przejdzie do porządku dziennego, historya starannie zapisze je jako dowód, że to gwałt i samowola wciskają odrębne narodowości w wielkie scentralizowane organizmy, naturze ich, potrzebom i prawnemu poczuciu żyjących indywidualności nieodpowiednie. Przeciw gwałtowi i samowoli z każdym dniem wzrastać będzie siła oporu, aż jawnie okaże się, że teorya była tylko dogodną maską, że system aglomeratów nie jest zadosyć uczynieniem zasadzie praw narodowości, jak nie był wolnością terroryzm konwencyi z czasów francuskiéj rewolucyi.

Austrya jest państwem wskazaném, aby podjąć właściwe znaczenie zasady skrzywionéj przez innych, i za środek nadużytéj, aby skupić na około siebie wszystkie ową teoryą aglomeratów zagrożone żywioły. Zapisane na chorągwi, a sumiennie w praktyce wykonane, poszanowanie praw narodowości w skład jéj wchodzących, samo przez się utworzy siłę do-

środkową wystarczającą do zabezpieczenia przeciw zaborczym zamiarom chciwych sąsiadów, i wszelkim możliwym wstrząśnieniom wewnętrznym. Austryi przystoi dowieść światu, że nie jest nieodwołalném następstwem uznanego prawa ludów do orzekania o swym losie, aby Czechy miały jedynie wybór między Pangermanią a Moskwą, że koleją dziejowego rozwoju Triest nie koniecznie do Prus przyłączonym być musi.

Postawienie i wykonanie jasno a szeroko nakreślonego programatu federacyjnego jest dla monarchii austryackiéj nie tylko ratunkiem wśród chwilowych trudności, ale podstawą i racyą bytu na przyszłość, drogą przewodnią ku potędze, świetności i chwale.

Kierunek przeciwny prędzéj czy późniéj prowadzi do rozkładu, choćby udało się najszczelniéj zamknąć granicę publikacyom przez austryackich Niemców w Lipsku wydawanym.

II.

Federalizm jest tedy dla Austryi koniecznością, posłannictwem dziejowém, od którego podjęcia zależą dalsze jéj losy.

W zakresie spraw politycznych i społecznych jednakże, nie dość jak w dziedzinie filozofii oprzeć naukową formułkę na ścisłym wywodzie logicznym. Ramy obrazu są tu równie ważne jak obraz, stawienie zasady bez wskazania możności wprowadzenia jéj w życie pozostanie abstrakcyą, ponętném ale zbyt często bezużytecznem ćwiczeniem umysłowém. Nie dość, aby statystyka wykazała przewagę elementów federalnych w Austryi; nie dość, aby dynastya przejęła się posłannictwem grupowania pod chorągwią federalizmu zagrożonych albo luźnych społeczeństw i narodowości; potrzeba znalezienia odpowiedniego ustroju państwowego staje na piérwszym planie, jako forma, bez któréj duch na tym świecie uwidocznić się nie da.

Przedewszystkiem zastrzegamy się przed krewkością owych utopistów, którzy bezzwłoczne przeprowadzenie *a priori* postawionego systematu możliwém być sądzą, a zrażając się każdém niepowodzeniem lub zwłoką do opuszczenia rąk są gotowi. Przeciwnie sądzimy, że zwolna tylko i oględnie drogą wzajemnych ustępstw i porozumiewań ustalać się będzie program federalistów w monarchii, a dojrzeje w zastosowaniu dopiero i w czynie. Na próżno byłoby łudzić się lub targać

gorączkowo; sumiennie wyznać należy, że nietylko plan budowy federalnéj Austryi nie gotów, ale co więcéj, że elementa, na których nowy ustrój monarchii oprzeć się musi, nie doszły do zgody same pomiędzy sobą, do wspólnéj akcyi nie są gotowe, do zajęcia odpowiedniego stanowiska niespełna dojrzałe. Gdyby wola monarchy oddała dzieło przeobrażenia w ręce kongresu federalistów, bodaj czy w dzisiejszym stadium, drobne zawiści i partykularyzm nie stanęłyby na zawadzie łączeniu się elementów, które wyższe pojęcia i dobrze zrozumiany interes z każdą chwilą bardziéj jednoczyć będą.

Te były powody, dla których tak chętnie przyjęto powszechnie projekt byłego ministra stanu, rady nadzwyczajnéj, ź atrybucyami ciała doradczego, a dlaczego z obawą i niedowierzaniem spoglądamy na zwołaną dzisiaj konstytuantę, chociaż znaczenie jéj zakryć się starano niczém nieusprawiedliwioną nazwą *des verfassungsmässigen Reichsrathes.* Pierwszą osądziliśmy jako środek dla krajów i ludów do niezbędnego porozumienia się pomiędzy sobą, jako środek dla korony do ocenienia stosunku części składowych monarchi, miary ich znaczenia i siły, warunków, w jakich ujemie lub dodatnio działać mogą w przyszłym organizmie państwowym. Droga ta nie była pospieszną, ale ona jedynie prowadzić mogła do uzyskania trwałych fundamentów stawiać się mającéj budowy.

Uchwały zaś konstytuanty, choćby ze wszech stron jeżące się trudności do czasu usunąć zdołano, jako oparte na fałszu dyktatury przypadkowéj większości, stworzą dzieło z zarodem śmierci w poczęciu; będą albo próbą galwanizowania kościotrupa lutowéj ustawy, albo téż nowym pomysłem opartym na wstrętnym sojuszu dwóch, w składzie monarchii zarówno hegemonii pragnących narodowości. Będzie to, podług obliczenia współpracownika naszego, ósma już z rzędu próba konstytucyjna w Austryi, a smutno powiedzieć, że każda z nich zużywa, nadweręża siły, utrudnia i opóźnia chwilę stanowczego odrodzenia.

Dla żywiołów federalnych w Austryi, dla samejże monarchii, ze wszech miar stanowczą będzie chwila, w któréj system dualistycznéj centralizacyi okaże się równie niepłodnym, jak bez warunków życia była centralizacya bezwzględna, choć pociągnięta pokostem pseudoliberalnych instytucyj. Czy *Reichs-*

rath zwołany na 20 maja umrze w poczęciu, czy wyda płód poroniony, przybędzie tylko nowy epizod drogo okupionych doświadczeń w kolei wewnętrznego przeobrażenia się Austryi. O ile rząd usiłować będzie raz jeszcze próbować drogi absolutnych rządów, nie do nas przesądzać należy, ale i to znowu byłoby tylko przejściem chwilowém w gorzkie nauki niezawodnie obfitém. Gdyby absolutyzm w środkowéj Europie był jeszcze możliwym, w Austryi i poza Austryą, nie zabrakłoby ochotników do podjęcia téj roli; przykładów daleko szukać nie trzeba. Król z Bożéj łaski i rycerz krzyżowego stronnictwa, którzy z woli ludu podjęli misyę unifikabyjną ludów Germanii, z tak widoczną niechęcią odgrywają komedyę konstytucyonalizmu, że, choćby z narażeniem własnych rozległych widoków, potrzeba jednemu przyprawy niegrzeczności i sarkazmu w Izbie, a drugiemu pozorów bohaterskiéj postawy i przemawiania jakby z trójnoga opatrznéj misyi, aby znieść gorzką konieczność popularnych umizgów.

Skoro kortyna zapadnie po odegraniu gotującego się obecnie przedstawienia, po krótszéj lub dłuższéj próbie rządów absolutnych albo bez takowéj, nadejdzie chwila, w któréj żywioły federalne z kolei do ujęcia steru zawezwane będą. Wszystko na tém polega, aby w téj chwili obóz federalistów był zorganizowany, gotowy, aby jasno wiedział, czego chce i jak chce, aby zdołał uwydatnić się ludźmi zdolnymi do ujęcia władzy zarówno, jak do kierowania opozycyą.

Ustrój Austryi, jako państwa federalnego sam w sobie wyrobić się musi, i samodzielnie i z własnego organizmu wysnuć formę. w któréj znajdzie się spójnia dość silna, aby utrzymać i wzmocnić potęgę państwa, dość luźna, aby nie naruszyć życia indywidualnego i odrębnych potrzeb poszczególnych krajów koronnych. Niełatwe zadanie zwłaszcza, gdy na tym gruncie potrzeba zaszczepić wolność, utrwalić porządek i ład społeczny, a poprzednio i przedewszystkiem wziąść się trzeba do tępienia szkodliwych roślin i chwastów, które głęboko pod dawnemi rządami zakorzenione, tak bujnie się rozrosły.

Istniejące w Europie i poza Europą federacye za wzór tu służyć nie mogą; inne jest położenie na zewnątrz, a wcale już różne warunki w samym składzie i naturze państwa.

Stany zjednoczone nie mają sąsiadów mogących choćby w części zrównoważyć potędze olbrzymiéj rzeczypospolitéj; patryotyzm amerykański, choć bez podstawy w jednolitości narodowéj, lub tradycyach przeszłości, choć świeżéj daty, a może właśnie dlatego, wyznawany z fanatyzmem a oparty na naturze energicznéj aż do brutalności, stanowi niezwykłą potęgę. Wzmaga się jeszcze pamięć niedawnéj walki o niepodległość i zaledwie co zrzuconego jarzma niewoli. Społeczeństwo demokratyczne z gruntu a nie przez doktrynę, nie zna innych praw jak własne, innéj walki, jak o własne interesa, innéj przewagi jak własnéj większości. Takie społeczeństwo samo może się psuć i rozstrajać popadając w zagorzały materyalizm ciemiężąc się kolejno, depcząc nogami słabszych, jeżeli tego wymaga interes silniejszych, ale z zewnątrz nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. Ztąd także taka Rzeczpospolita idąc za popędem interesu lub namiętności, bez obawy sprzymierzyć się może z najwyuzdańszym despotyzmem. Cyniczny alians z carem moskiewskim wstrętnym być może, ale zadziwiać nie powinien, ani przejmować obawą o stany Zjednoczone i formę ich rządu.

Szwajcarya znowu broni się własną słabością, każden z potężnych sąsiadów nadto troskliwie przestrzega nietykalności jéj, aby nie pojął, że i jemu najmniejsze targnięcie się na nią, bezkarnie nie ujdzie. Szwajcarya choć w środku Europy, jest także jakby po za jéj granicami, potrzeba takiéj fali, jak wojny pierwszego cesarstwa, aby przedrzeć się przez śnieżne jéj szczyty.

Bardziéj jeszcze republikańską formą Ameryka i Szwajcarya różnią się od Austryi i za przykład służyć jéj nie mogą. Nie o samą formę tu chodzi, ale o warunki jakie formy téj koniecznem są następstwem a które saméj treści wewnętrznego ustroju dotyczy. Dynastya w Austryi jest jedynym wezłem mogącym łączyć przeszłość z przyszłością. Z nią się zespolić, na niéj się oprzeć musi budowa federacyjna w państwie tém, aby stawić czoło burzom zewnętrznym, aby uzyskać grunt pod nogami. Dynastya być musi owym punktem środkowym, około którego do równowagi ustawiać się będą nierówne co do siły i liczby elementa składowe monarchii. Jeżeli do pieknego godła *viribus unitis* zechce odwołać się nie siłą bagnetów, groźbą

sądów wojennych i Kufsteinu, ale wzajemnym interesem i wszechstronnym wymiarem sprawiedliwości, jeżeli zohydzoną formułkę *divide et impera*, zamieni Austrya na odpowiednią nowemu zadaniu, *suum cuique*, odrodzi się ona w posłannictwie dziejowém i przewodniczyć będzie w epoce przeobrażających się stósunków międzynarodowych, zamiast leniwie i niedołężnie z każdochwilowém narażeniem całości albo i życia, wlec się za innymi.

W dynastyi téż spoczywać będzie rękojmia porządku i ładu. Dopóki nie ustalą się zagmatwane dotąd pojęcia praw i obowiązków poszczególnych krajów koronnych, dopóty rozdrażnienie i zazdrość nie ustąpią poczuciu miary i wszechstronnéj sprawiedliwości, prerogatywa monarsza odmówienia sankcyi uchwałom, które targnęłyby się na prawa innych, stanowić będzie tarczę przeciw nadużyciom, zabezpieczenie od wojny domowéj. Jakkolwiek rozbudzone namiętności sarkać mogą pod wrażeniem gorączki chwilowéj, z czasem i na zawsze uzyska bezstronne i sprawiedliwe wykonanie praw korony, uznanie wszechstronne. Od chwili, gdy władza wykonawcza niezmiennie przyjmie za zadanie godzić a nie waśnić, stając zawsze po stronie sprawiedliwości, ustaną spory, a upiór zaburzeń domowych i spółecznych wywrotów pójdzie szukać schronienia pod gościnnym dla niego dachem, sąsiedniego despotyzmu i pod jego opiekę wszechwładnéj swawoli socyalistycznéj.

Nie łatwa, a pewno nie najmniéj ważna strona zadania, zespolenie federacyjnéj monarchii z całą pełnią politycznéj wolności, czeka dotąd na rozwiązanie nawet w dziedzinie teoryi. Jest to jednak kamień węgielny, bez którego dzieła budowy, rozpocząć nawet nie można.

Dziwne to zjawisko, że wolność stanęła na widowni jako pierwsze i najważniejsze zadanie, stała się warunkiem dla spółeczeństw do życia niezbędnym, jak pojedynczym ludziom woda lub pożywienie, a w Europie dotąd tak mało wyrobiła form sobie odpowiednich. Kilka wstrząśnień i prób nieudanych, w których wolność w anarchii przepadła, drobna Rzplita szwajcarska i jedna tylko znana uznana i opisana forma monarchiczno-konstytucyjna na gruncie angielskim samorodnie powstała, w innych krajach mniéj lub więcéj niewolniczo na-

śladowana, mniéj lub więcéj szczęśliwie szczepiona. Zasady jéj naukowo sformułowane obowiązywać mają jak kodeks, uczony i niedouk na nią się powołuje jako na powagę bez apelacyi.

Jakto — więc rozum ludzki w najważniejszéj dla ludzkości sprawie, miałby był wyrzec już ostatnie słowo? więc przy postępie w każdym rodzaju i w każdéj gałęzi umiejętności, tu, droga napród byłaby zamkniętą, albo ściśle ograniczoną do posuwania się w pewnym tylko kierunku, i pewnym naprzód oznaczonym gościńcem? Parlament centralny o jednéj lub dwu Izbach, odpowiedzialność ministrów, uchwalenie budżetu jako jedyna namacalna rękojmia poszanowania praw reprezentacyi ludu, a niczém nie unormowany wpływ na sprawy zewnętrzne i ogólno państwowe drogą interpelacyi i dyskusyi adresowéj, toż mają być jedyne recepty do uzdrowienia społeczeństw chorujących na brak powietrza i swobody, toż lekarstwa uniwersalne i jedyne? Temu zaiste nie wierzymy; lekarstwo wybornie skutkuje w organizmie angielskim przetwarzając się na rodzinnéj roli w miarę potrzeb i postępu. We Francyi okazało się rozkładowym, do wstrząśnień i rewolucyi wiodącym, w Prusiech jawnie niedostateczném i już, już wolność konała, aż zapotrzebowano jéj, a przynajmniéj jéj pozoru do celów zezewnętrznych. W Austryi lekarstwo stałoby się wolności trucizną. Wolność jest jedna, ale formy, któremi unormowaną być mysi, aby stać się dobrodziejstwem poszczególnych społeczeństw różne być muszą, jak różne są społeczeństwa w składzie swoim, naturze, obyczajach i stopniu oświaty. Postęp prawdziwy pocznie się od téj chwili dopiero, gdy tworząc konstytucye, narody i państwa, przestaną oglądać się za wzorem po za sobą, a w sobie i ze siebie snuć poczną warunki odpowiedniego organizmu.

W kraju jednolitym władza większości prawowitą jest i zasadom wolności odpowiednią; mniejszość ulega chwilowo, ale każdéj chwili stać się może większością, byle tylko przekonanie skutecznie poprzeć i rozpowszechnić zdołała. W państwie różnonarodowém, w centralnym parlamencie większości i mniejszości pozostaną zawsze niezmienne, bo rozdział opiera się nie na przekonaniach, ale na odrębności narodowéj, zbyt często na niechęci, uprzedzeniach albo i nienawiści. Ciało

prawodawcze złożono z wiecznie uciśnionych i wiecznie uciskających, dziwném byłoby zaprawdę przybytkiem wolności.

Choćbyśmy mieli uchodzić za wstecznych, wystawić się na szyderstwo lub klątwę apostołów doktryny, wręcz wyznamy, że jeżeliby konstytucya w Austryi miała się wyłącznie oprzeć na parlamencie centralnym, konstytucyi takiéj nie chcemy. Przed wolnością polityczną stawiamy wolność życia narodowego, gardzimy atrybucyami prawodawców, gdyby nam mową ojczystą mówić i uczyć nie było wolno. Wolność polityczna obok uciemiężenia narodowości, byłaby urąganiem, jak żeby zastawiono stół z przysmakami konającemu na torturach.

A jednak rzecz jest tak prosta. Gdzie różne narodowości, a ztąd różne potrzeby i warunki, atrybucye prawodawcze należeć muszą do reprezentacyi owych odrębnych jednostek; centralnemu parlamentowi pozostawią, te tylko sprawy w udziele, które całości państwa dotyczą. Nie wypowiadam tu nic nowego. Środek właśnie co wynaleziony, tylko, że jako chemiczne pierwiastki, jako jednostki w zbiorowym Austryi organizmie dwa tylko orzeczono: Trans- i Cislitawię.

Co do nas, gdybyśmy po cislitawsku mówili i myśleli, cislitawską mieli przeszłość i tradycye, cislitawską literaturę, charakter i obyczaje, odrazu życzenia nasze za spełnione poczytując, wspieralibyśmy wszelkiemi siłami ten nowy porządek rzeczy. Czy język austryacki jest trudny? — pytał nas niegdyś Francuz ze światem po za Strasburgiem nie bardzo obeznany: Jeżeli dzieci nasze kiedyś po cislitawsku rozmawiać będą, wtenczas, ale wtenczas dopiero, stanie się wedle nas dualizm formą dla Austryi odpowiednią.

Zaprzeczyć się nie da, że fikcya odpowiedzialności ministeryalnéj jest w machinie konstytucyjnéj wielce pożytecznym przyrządem, za pomocą którego usunięto ze stósunków pomiędzy monarchą a reprezentacyą kraju, wszelkie szorstkości i drażliwe zajścia. Choć formą tylko, ale jest formą dla treści wielce przydatną, pozoruje ona ustępstwa, łagodzi zmiany i przejścia, chroni od zbyt nagłych wstrząśnień, a często od rewolucyi. Ministrom służy pożyteczna, choć nie zawsze powabna rola konduktorów, które neutralizują pioruny, i na siebie je ściągają.

Główny zarzut przeciw federacyi stawiany przez tych, którzy występują jako obrońcy swobód konstytucyjnych jest, niemożność zastósowania odpowiedzialności ministeryalnéj do ustroju federacyjnego. Zarzut uzasadniony o tyle tylko, że rozwiązania szukać należy, bo wzorów nie ma w instytucyach krajów, z których tak zwani reformatorowie, przyzwyczaili się żywcem brać gotowe formy. Nigdy się jednak nie zgodzimy, aby zadanie w praktyce wykonalném nie było. Przed wspólnym parlamentem odpowiedzialnymi byliby minister stanu, ministrowie spraw zagranicznych, wojny, handlu i marynarki, a odpowiedzialność w zakresie spraw wewnętrznych, przemysłu i oświecenia przechodzi tém samém na kanclerzy względem sejmów krajowych. Jedynie administracyę finansów rozdzielić potrzeba; ministeryum do spraw wspólnych obejmie budżet państwa, przekazując krajom koronnym prawo, a zarazem ciężki obowiązek, zastósowania do potrzeb ogólnych poszczególnych budżetów krajowych. Dotychczasowa administracya finansów nie była tak wzorową, ani rezultaty tak świetnymi, aby lękać się miano nowego doświadczenia, owszem repartycya na pojedyncze prowincye ułożona w porozumieniu gremium kanclerzy z ministrem finansów, przez parlament centralny zatwierdzona, a poruczenie sejmom krajowym nieograniczonego gospodarstwa krajowemi środkami na własną odpowiedzialność, przedstawić jeszcze może środek uratowania monarchii od grożącego kataklizmu finansowego.

Obok kanclerza z większości sejmowéj powołanego, a temuż sejmowi odpowiedzialnego, namiestnik cesarski sprawowałby władzę wykonawczą, jako bezpośredni monarchy i monarszéj powagi reprezentant.

Co do podziału reprezentacyi pojedynczych krajów w parlamencie do spraw wspólnych, miarą być winna przeciętna ze sumy na rzecz państwa opłacanych podatków, i liczby do obrony państwa powołanych rekrutów. Trzeci element rozległości terytoryalnéj pomijamy, chociaż z widoczną szkodą naszą, bo bezwzględna sprawiedliwość może tylko służyć za podstawę urządzeń federalnych, a bezwzględnie sprawiedliwą jest zasada praw, równych obowiązków. Liczbę reprezentacyi krajowych, sejmy krajowe same postanowią, same uchwalą sobie prawo

wyborcze, a delegacye do parlamentu centralnego ze składu swego każdorazowo bezograniczenie obierać będą.

Raz jeszcze, myśli tych nie stawiamy jako programatu, albo nawet jako zarysu projektu; służyć one mają za skazówkę tylko, że federalizm w Austryi, byle zdołał wyrobić sobie życie samodzielne i samodzielną, do wyjątkowego składu austryackiéj monarchii odpowiednią formę, ani jest niepodobieństwem, ani téż zagraża w przeprowadzeniu, utratą politycznéj wolności.

III.

Przechodzimy z kolei na pole faktycznego stanu rzeczy istniejących stronnicw, przekonań i kierunków.

Przedewszystkiém należy nam wspomnieć byłego ministra stanu, a wynurzywszy mu serdeczną wdzięczność za dobre chęci, za pracę i sumienność, z żalem wypowiedzieć przekonanie, że nie on mógł spełnić zadanie odrodzenia monarchii, że nie był jedną z owych rzadkich indywidualności, od których poczynają się nowe epoki w życiu państw i narodów. Zbywało mu na tém, aby trudności przedsięwzięcia zmierzyć, i wprzód się z niemi obliczyć, na niezłomnéj energii, aby z raz obranéj drogi nie zboczyć ani na krok jeden dla żadnych względów ubocznych. P. Belcredi pojął wybornie, w czém polega ratunek dla Austryi, w czém siła jéj i zdrowie na przyszłość. Z zamiarów odsłonił dosyć, aby uzbroić i skupić przeciwko sobie wszystkie nowemu kierunkowi wrogie żywioły; w przeprowadzeniu postępował zbyt wolno i lękliwie, aby wzmocnić i w silny obóz zespolić stronników zasad, które wyznawał. Na biórokracyę w Austryi targnąć się tylko może, kto ma silne przedsięwzięcie stoczyć z nią walkę na śmierć i życie. P. Belcredi rozdrażnił ją tylko, a dostateczną jéj siłę zostawił, aby mu grunt pod nogami usunęła. Na przeciw centralizacyi opartéj na podstawach ówczesnego porządku rzeczy i wiekowych tradycyi, stanął z dobremi chęciami, z planem nieokreślonym i wahającym się wykonaniem. Półśrodkami próbował jednych i drugich zodowolnić, jednych nie złamał, drugich całkowicie nie pozyskał. Zarzucamy p. Belcredemu nie, iż dzieła reorganizacyi Austryi dokonać nie zdołał, bo przed spełnieniem zadania tego nie jedno może jeszcze ministeryum

ulegnie, ale to, iż ustępując z władzy, nie zostawił zjednoczonego stronnictwa, nazwiska swego nie zapisał na chorągwi, około któréj luźne dotąd przekonania gromadzić się mogły.

Dzisiejsze ministeryum na pierwszéj karcie programatu jawnie i jaskrawo zapisuje myśl dualizmu. Skarżyć się nie będziemy, ani dziwić nie mamy przyczyny. Komu powierzchownie i z boku jedynie znajome stósunki Austryi, spór z Węgrami przedstawia się jako najbardziéj uderzający, najgroźniejszy symptomat. Skoro tylko do chorego przyzwano obcego lekarza, z wewnętrznym organizmem i długim przebiegiem choroby dokładnie nieobznajomionego, naprzód przewidzieć było można, iż lekarstwa zastósuje do rany najbardziéj w oczy bijącéj. Cóż naturalniejszego jak że Niemiec sercem i przeszłością, obok starania około zagojenia owéj rany, pieczołowitością otacza narodowość, do któréj należy. Nie dawno zrodzone, nie długo trwałe przymierze Węgrów z Germanizmem, uzyskawszy dostojnego protektora w przywołanym z obcych krajów kierowniku spraw austryackich, do czasu owładnęło kierunkiem Monarchii i rządzić będzie i może przez cały przeciąg miodowego miesiąca zgody i prowizorycznéj harmonii.

Węgrzy, oni jedni zjednoczeni wśród luźnych elementów w całéj Monarchii, oni jedni konsekwentni w raz obranym kierunku, wierni zasadom historycznéj przeszłości, silni karnością i wytrwaniem, zajęli téż stanowiskop rzeważne i zasłużone. Jeżeli tylko siły swéj użyć zechcą z umiarkowaniem, jeżeli w dalszym rozwoju poczynią nieuniknione ustępstwa, a to na rzecz dobréj sprawy, a nie jako okup swobody bezkarnego uciskania wewnątrz, Węgrzy przedewszystkiém przyczynić się mogą do przerzucenia Austryi na właściwą jéj drogę. Inaczéj pod wpływem namiętności narazić mogą byt Monarchii, wtrącić ją w przepaść, która i ich samych zarazem pochłonie. W stronnictwo w Węgrzech, któreby istotnie pragnęło rozbicia Austryi nie wierzymy, bo nie wolno nam wierzyć w brak zdrowego sądu i samowiedzy własnego położenia narodu, który umiał pozyskać znakomite stanowisko polityczne; obawiamy się tylko, ale obawiamy bardzo niestety, taktyki pod wrażeniem chwilowém przyjętéj.

Ramy artykułu tego nie dozwalają bliższego zastanowienia się nad elaboratem węgierskim. Gdyby zasady, na których

ciekawy dokument ten opiera się, miały być erygowane jako wyznanie wiary węgierskiego narodu, i ostatnie jego słowo, przyszłoby wyrzec się wszelkiéj nadziei uporządkowania stosunków Austryi, byłoby to skazaniem jéj na wieczną niemoc i nieustającą wojnę domową. Węgry broniąc z taką godnością i siłą nieograniczonéj wolnośći stanowienia o własnym losie, wolności téj w innych uszanować nie umieli. Żądania ich przesądzają w najżywotniejszych sprawach przyszły ustrój państwa, orzekają samowolnie, że w drugiéj połowie Monarchii różnice narodowe ani historyczne tradycye uwzględnionemi nie będą. Pomijamy strony ujemne w projekcie węgierskim, które w przekonaniu naszém grzeszą niepraktycznością, owe potrójne ministerstwa, głosowania bez dyskusyi w niemych parlamentarnych zebraniach, owe traktaty handlowe i cłowe, traktaty finansowe od czasu do czasu zawierać się mające, ale czego pominąć nam się nie godzi, to systematycznego przesądzania o unifikacyi drugiéj połowy Monarchii. Kto i w czyjem imieniu nadał Węgrom prawo tworzenia odrębnéj całości z wszystkich krajów i narodów w Monarchii, o ile z Węgrami nie są połączone? Kto upoważnił ich do przepisywania drugiéj częśći Monarchii formy konstytucyjnéj, do centralizowania jéj we wspólnym parlamencie, do oktrojowania jéj wspólnego ministeryum? Żadne wspomnienia z przeszłości, żadne uczucia sympatyi i braterstwa nie powstrzymają nas do wypowiedzenia, że droga ta jest drogą fałszu i odstępstwa, zaprzedaniem w niewolę jednych za prawo ciemiężenia innych. Że jest to targ nieuczciwy, a otrzymana zapłata jak śrebrniki judaszowe, wiedzie do samobójstwa. Groźne symptomata w Chorwacyi, co raz to jawniejsza propaganda w północnych okolicach powinny wcześnie posłużyć Węgrom za skazówkę, zkad zagraża prawdziwe niebezpieczeństwo, i w czém polega jedyny ratunek. Jeżeli sojusz niemiecko-węgierski Austryą prowadzi do upadku, Niemcy swobodnie i bezpiecznie zleją się z niemieckim aglomeratem, Węgrom pozostanie wybór między bohaterską śmiercią, a przyjęciem supremacyi słowiańskiéj pod wdzięczną i ujmującą opieką moskiewskiego caratu.

Że tak jednak nie będzie ufamy całą wiarą naszą w polityczną dojrzałość węgierskiego narodu i jego przewodców. Sądzimy, że dziś zależy im przedewszystkiém na uzyskaniu

praw historycznych, jako podstawy działania i przyszłego rozwoju. Tą drogą lub inną uzyskawszy co słuszna im się należy, z prawowicie ukoronowynym, konstytucyjnym królem węgierskim na czele, zrozumieją oni solidarność praw i interesów, a odrzuciwszy chwilowe przymierze jako broń zużytą, w wszechstronnéj sprawiedliwości szukać będą rękojmi na przyszłość.

Zastęp niemiecki w monarchii rozdzielił się dzisiaj na dwa obozy, różne co do środków tylko. Jednym i drugim przyświeca jak gwiazda przewodnia, wiara w misyę cywilizacyjną elementu germańskiego na wschodnich granicach; przeszkody do przyjmowania dobrodziejstw niemieckiéj kultury, języka niemieckiego, a mianowicie niemieckich urzędników, przez barbarzyńskie plemiona stawiane, jedni i drudzy uważają za niczém nieusprawiedliwioną krnąbrność, którą przy pierwszéj sposobności przykładnie skarcić należy. Centraliści mianowicie, pomimo gorzkich doświadczeń i widocznéj niemocy, na krok jeden nie ustąpili. Węgrzy są im tylko najbutniejszym z przeciwników, którego przed innymi upokorzyć należy, a chwila obecna, punktem zatrzymania, złą godziną, którą cierpliwie przeczekać trzeba. Najmilszém wspomnieniem dla stronnictwa tego są czasy szczuplejszéj Rady państwa, dyktatoryalném orzeczeniem na pełną zamienionéj, ustawodawstwo konstytucyjne dla Węgier w nieobecności węgierskich reprezentantów ułożone, parlamentarne rozprawy, z których zawsze wychodzili zwycięzko, bo z próżnych ławek przeciwników nie bywało odpowiedzi. Patronem téż obozu centralistów pozostał p. Schmerling, i byłby jego prorokiem, gdyby pewne nieporozumienia co do art. 13 konstytucyi i odmiennego zapatrywania się na sprawę odpowiedzialności ministeryalnéj. Dziś jednak sądzą, że utrata władzy jak zawsze działając skutecznie na rozwój liberalnych pojęć, wykorzeniła i te ostatnie antikonstytucyjne narowy, a w głębokiem przekonaniu, że p. Schmerling wolałby być odpowiedzialnym ministrem, jak ministrem nie być wcale, powrotu jego do władzy z upragnieniem oczekują.

Naprzeciw tym stanął obóz dualistyczny z obecném ministeryum na czele. Wychodząc z założenia, że nie zawsze robić można co miło, ale że z koniecznością rachować się trzeba, przyjmują dualiści za fakt dokonany, że naród węgierski

zgermanizować się nie da. Z dwojga złego rozsądnie mniejsze wybierając, Węgrów jak chory członek amputują, byle pozyskać swobodę działania w drugiéj połowie monarchii. Naczelnik gabinetu zgodę z Węgrami uważa jako warunek uzyskania siły dla armii i spraw finansowych, powagi na zewnątrz; dualiści cislitawscy widzą w niéj środek zwycięztwa połowicznéj centralizacyi, która stoi na pierwszym planie od chwili, gdy uzyskanie centralizacyi bezwzględnéj niepodobieństwem się okazało. Wysoko równie jak centraliści nosząc godła wolności, ani niemym parlamentem, ani troistym podziałem odpowiedzialności ministeryalnéj, wcale się nie zrażają, gotowi do większych jeszcze ustępstw, byle im wolno było Cislitawią bez ograniczenia cywilizować.

Zgodà więc jest zapewnioną, starano się utrwalić ją jeszcze wzajemnie oddawanemi usługami. Wspomnieliśmy już o punktach dotyczących centralnego cislitawskiego parlamentu w elaboracie węgierskim, ministeryum nawzajem usuwa przeszkody unifikacyi Translitawii, a indywidualności wybitne przeciwnego obozu uprzejmie wyprawia w podróż scyentyficzną na wystawę paryską.

A jednak zgodzie téj nie wróżymy tyle trwałości nawet, aby bez zerwania jéj przeszedł choćby pierwszy okres zwołanéj obecnie Rady Państwa. W pośród harmonijnéj symfonii obopólnych koncesyi, ozwie się fałszywa nuta spraw finansowych, i całą orkiestrę porwie w odmęt dyskordów i sprzeczności.

Poza dualistami i centralistami utworzyło się jeszcze kółko odrębne autonomistów, których przez pomyłkę albo naiwność niektórzy nazywają niemieckimi federalistami. Wychodząc z zasady, że w Austryi jak przedtém rządzić nie można, że słuszne żądania ludów pod berłem austryackiem w pewnéj mierze uwzględnić należy, podsuwają oni decentralizacyę administracyjną w miejsce decentralizacyi politycznéj, samorząd i autonomię w miejsce federalizmu. Z obozem tym, nie licznym, a na nieszczęście dostatecznie niezorganizowanym, porozumienie możliwém być powinno. Nie ma wątpienia, że samorząd pożyteczną będzie szkołą dla elementów federalnych, że decentralizacya administracyjna wykaże i wyrobi ludzi uzdolnionych i zadaniu odpowiednich; przez autonomię do federacyi droga najbezpieczniejsza może, chociaż nie najkrótsza.

Zachowanie się autonomistów niemieckich przy obecnéj zmianie kierunku, dobrze wróży na przyszłość; wierni stanowisku zajętemu podczas ministeryum Belcredego, zdaje się, iż pozostaną oni na uboczu, i przekonań swoich prądowi dualistycznemu nie zaprzedadzą.

Z głębokim żalem przychodzi nam zapisać ostatnie niepowodzenia stronnictwa narodowego w Czechach. Klęska przezeń poniesiona, jest i naszą klęską, boli nas nie tylko z powodu sympatyi dla pobratymczego szczepu, ale bezpośrednio dotyka interesów naszych. Co gorsza jeszcze, taić nie możemy, że błędy polityczne Czechów tyle przynajmniéj przyczyniły się do zwichnięcia stanowiska ich, ile od nich niezależny nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Doszedłszy energią, zdolnością i poświęceniem się kilku znakomitych przewodców do odzyskania nadwątlonego gruntu narodowego, do skupienia ludu, do przyciągnięcia napowrót w obóz narodowy zniemczałéj już szlachty i magnatów, naród czeski jakby własnym tryumfem upojony porzucił doświadczoną drogę normalnego rozwoju, która na uzyskanych już podstawach bezpiecznie do celu prowadziła. Przerzucono się na pole hazardu, a pomimo ostréj i pełnéj goryczy krytyki postępowania Węgier, Czechy z węgierskiego programatu przejęli co najdrażliwsze, i do własnéj polityki bezwzględnie stosują. Nie oglądają się na solidarność interesów z naturalnymi sprzymierzeńcami; projekt dla nich samych wyłącznie możliwy i na własnéj przeszłości jedynie oparty, stawiają jako programat nieodwołalny, w całości i szczegółach nie do zmienienia. A gdy od razu nie stało się po ich woli, wewnętrzną porażką bardziéj jeszcze rozdraźnieni, we własnym sejmie nieoględną szorstkością mszczą się na większości za to, że jest większością, a na zewnątrz próbują groźby wdzięcznem przyjęciem umizgów moskiewskiego caratu.

Zwrot w jednym i drugim kierunku fałszywym być nam się wydaje. Czechy dwóch milionów Niemców pozbyć się nie mogą, ani ich zmusić do opuszczenia kraju. Rozdraźnienie między dwoma narodowościami, które wiecznie obok siebie żyć są przeznaczone, posuwać do ostatnich granic, kardynalnym jest błędem politycznym. Owszem przyszłość Czechów wtedy tylko będzie zapewnioną, w takim razie tylko korona czeska

przeważną rolę w federacyjnéj Austryi odegra, jeżeli niemców w pośród siebie przekonać zdoła, że łagodną i znośną będzie im przewaga czeskiego elementu.

Jeżeli wspomnimy o uczestnictwie Czechów w moskiewskiéj etnograficznéj wystawie, to nie z obawy, aby szczerem było przymilenie się Moskwie. Za wiele u nich światła i postępu, nadto zakorzeniły się i rozrosły, poczucie prawa, zamiłowanie wolności i porządku, aby na prawdę naród ten mógł łudzić się myślą zbawienia pod opieką knuta, anarchii administracyjnéj i społecznéj, obok wyuzdanego despotyzmu politycznego. Ależ i jako środek rzecz nie jest bezpieczną; za przewodnim kierunkiem Czechów pójdą inne szczepy słowiańskie a niższe wykształceniem i polityczną dojrzałością, środek na cel przemienią. Czechom w razie panslawistycznéj powodzi nie pozostałaby słaba nawet pociecha wspólnie z resztą braci Słowian jedno dźwigać jarzmo; bo powódź ta, możliwa jedynie przy pruskim aliansie, musiałaby okupić się zaprzedaniem ich aglomeratowi germańskiemu; i zastósowanoby do nich żywcem systemat obliczeń statystycznych, tak dobrze już wyrobiony na W. Księstwie poznańskiém.

Dla Czechów bardziéj niż dla innych przyszłość Austryi jest sprawą życia i śmierci, im téż mniéj niż innym należałoby w bezwzględnym uporze stawiać nieprzełamaném jakoby *non possumus*, zaporę stopniowemu przeobrażeniu monarchii.

Nierównie mniéj szorstko stanął żywioł federalny w Morawie, choć warunków życia niewątpliwie w Czechach zaczerpnął, choć z Czechami najbliższe łączą go stosunki, historyczne tradycye, pobratymstwo rodowe, wspólność potrzeb i interesów. Morawianom widocznie nie dogadza gwałtowność czeskiéj polityki; szukają punktu oparcia, oglądają się za sprzymierzeńcami, aby znaleść równowagę pomiędzy germanizacyjnemi dążnościami w kraju ich szeroko rozwielmożnionych Niemców, a namiętném szamotaniem się dotychczasowych przewodników swoich. Zaliczamy tu również dzielny zastęp Krainców, którym należy się wszelka cześć i uznanie. Nieliczna ludność powodzią Niemców dokoła zalana, nie tylko, że samodzielność swą narodową skutecznie obronić umiała, ale nadto stałością a zarazem umiarkowaniem reprezentantów swoich, zyskała powagę u sprzymierzeńców a szacunek u przeciwników.

W końcu *) z niemałą pociechą w obozie federalnym zapisujemy większość ludności Tyrolu. Na fakt ten szczególny kładziemy nacisk, nie aby Tyrol sam przez się na szali stosunków Austryi tak bardzo zaważył, ale dlatego, że kraj ten z ludnością niemiecką samém przystąpieniem do myśli federalizmu, nadaje właściwe znaczenie zasadom, które w dobréj lub złéj wierze, częstokroć w fałszywém świetle przedstawić usiłowano. I tak, spotykamy nieraz myśli o słowiańskim wyłącznie federalizmie w Austryi. Jestto sprzeczność pojęć, która żadnéj krytyce logicznéj oprzeć się nie zdoła. Gdyby w Szwajcaryi federacya nazwała się francuską, włoską albo niemiecką, tém samém federacyą byćby już przestała. Federacya słowiańska w Austryi znaczyłaby supremacyę elementów słowiańskich, byłaby niesprawiedliwością jak dzisiaj, tylko w przeciwnym kierunku. W państwie z różnych narodowości złożoném to właśnie jako federacyę pojmujemy, aby supremacyi nie było wcale, aby zastąpić ją sprawiedliwością i wszechstronném równouprawnieniem.

W odmęcie tym wyobrażeń, w pośród sprzeczności pojęć politycznych i narodowych dążności, stanowisko polskiéj w Austryi ludności, jasno wytkniętém być nam się wydaje.

Upadek Austryi zagraża bezpośrednio narodowości naszéj, w ostatniém dziś bezpieczném schronieniu, pośrednio grozi jéj centralizacya zarówno jak dualizm. Byt Austryi stawiać musimy w pierwszym rzędzie, a zaraz następnie staranie o ustrój machiny państwowéj potrzebom naszym odpowiedni.

W rozmaitém ocenieniu stanowiska przez sejm krajowy zajętego, łączymy się z tymi, którzy uchwałę z 2 marca za krok fałszywy osądzili. Nigdy jednak nie zgodzimy się ze zdaniem, w tym kierunku tak daleko posuniętém **), jakoby samą tą uchwałą sejm już nieodwołalnie odsądził się od wpływu w duchu federalnym, na losy przeobrażającéj się monarchii. W walkach parlamentarnych, w działaniu polityczném,

*) Pominąć jesteśmy zmuszeni z braku miejsca, a także i z innych powodów stosunki krajów i ludów po tamtéj stronie Litawy położonych. Stosunki te w stósownéj porze może będą przedmiotem, osobnéj pracy. Przypisek autora.

**) Patrz np. programatologię, rzecz z wielu względów trafnie i ze znajomością rzeczy w korespondencyach „Czasu“ przedstawioną.

bitwy nie przegrywa się jak na wojnie jednym popełnionym błędem: Bezsilność tylko stanowczo potępia.

Niech nam wolno będzie wspomnieć przy téj sposobności o zwyczaju dość w ostatnich czasach rozpowszechnionym, dzielenia ludzi politycznych w kraju naszym na dwie oddzielne grupy: Jedni mieliby poświęcać dla zasad wszelkie względy i uwagę na rzeczywiste stosunki i faktyczny stan rzeczy w kraju i w monarchii, drudzy każdochwilowym a coraz to zmieniającym się potrzebom nieść w ofierze wszelkie zasady.

Sądzimy, że tak nie jest, ideologia w polityce równie jest niebezpieczną, jak bezwzględny utylitaryzm. Prawdy w drodze pośredniéj szukać należy: w słuszném ocenieniu potrzeb i niebezpieczeństw chwili dzisiejszéj i staraniu, aby nie zaniedbać jednych, a na drugie się nie narażać dla próżnych mrzonek lub niewykonalnych teoryi; z drugiéj strony w nieustającéj pieczy około przekazanéj nam spuścizny, w pilném strzeżeniu granic poza któremi leży już odstępstwo od myśli i posłannictwa narodowego, lub narodowéj godności, przesądzenie na przyszłość utraty nietykalnych praw naszych i naszych nadziei.

Wszak i w życiu prywatném nie uchodzi za praktycznego i rządnego, kto dniem dzisiejszym tylko zajęty, myśl o przyszłości wypuszcza z obrachunku, ale ten właśnie, kto z miarą i właściwém ocenieniem położenia, umie ponieść ofiary na razie, w przekonaniu, że nadal sowicie mu się opłacą.

Wiele u nas troszczono się temi czasy porównaniem stanowiska naszego ze stanowiskiem innych prowincyj w składzie monarchii austryackiéj; my jedni jakobyśmy byli bez gruntu pod nogami; Węgrzy, Czechy, mają prawa określone, dziedzicznemi umowami zatwierdzone.

Prawo w politycznych stosunkach służy tym tylko, którzy mają siłę, aby o nie upomnieć się. Węgrzy uzyskali wreszcie stanowisko poręczone im sankcyą pragmatyczną nie wskutek uczonych i wyczerpujących wywodów węgierskich prawników, ale dlatego, że rząd w sporze z Węgrami dostrzegł jednę z przyczyn własnéj słabości. Skoro tylko znajdziemy drogę, aby w składzie monarchii stać się pożytecznym, a zarazem silnym czynnikiem, odkryją się prawa nasze i spiesznie tychże wykonanie nastąpi.

Chwila sposobna niebawem przedstawić się może: Delegacya polska nie napotka w Wiedniu, jak początkowo sądzono, skupionéj niemieckiéj falangi z dzisiejszém ministeryum na czele. Owszem, pod wpływem wiadomości o zapatrywaniu się Węgier na stosunek spraw finansowych Translitawii do Cislitawii, niezgoda wkrada się podobno aż pomiędzy ściśnięte szeregi dualistów. Ze wszystkich stron, ze wszystkich obozów zaczną się starania o polskich sprzymierzeńców, od Polaków zależeć będzie, szalę zwycięztwa na tę lub ową stronę przeważyć.

Nie do nas należy przesądzanie stanowiska, jakie delegacya polska zająć w Radzie państwa za stósowne uzna; czy zaprotestuje ona słowem, czy w razie zbyt jaskrawego naruszenia zasad, których obronę powierzył jéj Sejm krajowy, usunąć się postanowi, pewni jesteśmy, iż włożone na nią obowiązki godnie spełnić potrafi. Zresztą zgromadzenie to zdaniem naszém w poczęciu już na niepłodność skazaném było. Ale stanowczy obrót sprawy naszéj, losów téj cząstki Polski, która dziś za cały kraj dźwiga odpowiedzialność, zależy od tego, czy Polacy z delegacyi lub poza delegacyą zechcą i zdołają ująć w swe ręce pośrednictwo między rozbitymi dziś elementami federalnemi.

Chwila, jak rzadko jest korzystną, nowy zwrot w Austryi prędzéj lub późniéj, ale nieodwołalnie nastąpi, dziś już spostrzedz można wahanie w dotychczasowym kierunku. Być może, że po dokładném rozpatrzeniu się w wewnętrznych stosunkach monarchii dzisiejszy minister stanu także, jeżeli sumiennie wypełnić zechce obowiązki względem państwa, którego losy mu powierzone, nie jedno zapatrywanie zmieni, inaczéj oceniać nauczy się siłę i stanowisko żywiołów Austryę składających.

Nam potrzeba być gotowymi, abyśmy w danym razie i porze właściwéj mogli przemówić tak, żeby skupić żywioły, z którymi łączyć nas powinny wspólne interesa i wspólne zasady, a zwrócić z fałszywéj drogi tych, którzy dzisiaj, skoro nie dogadza im chwilowy porządek rzeczy, niezręcznym i niechwalebnym manewrem poza granice Austryi tęskne zwracają spojrzenia.

Celu tego nie osiągniemy drogą bezmyślnéj agitacyi, albo hałaśliwéj a bezowocnéj opozycyi; gorszém jeszcze byłoby

kramarstwo, zaprzedanie za chwilowe, niczém nie poręczone drobne ustępstwa tych, których bądź co bądź za jednych dziś federalistów, a przeto za sprzymierzeńców naszych uważać winniśmy, a z nimi i zasad naszych.

Polityka nasza na dzisiaj wobec rządu i Rady państwa stanowczą być musi w tém tylko, co przesądzaćby mogło stanowisko nasze w przyszłości; w ogóle bierną raczéj być powinna i pełną umiarkowania. Staranie i wszelką usilność zwrócić należy na działanie pozasejmowe; na zaznajomienie się i porozumienie z żywiołami, z któremi możliwy jest wspólny kierunek w przyszłości. Jeżeli zasłużymy sobie na stanowisko reprezentantów federalizmu w Austryi, zyskamy siłę, na któréj zbywało nam dotąd, i damy dowód, że pomimo nieszczęść i uciemiężenia, duch polski i myśl polska żyć nie przestają.

L. Wodzicki.

BEZIMIENNA TRUCIZNA.

POWIEŚĆ.

Jest temu lat kilka. Siedziałem w otwartém oknie mego kawalerskiego pokoju puszczając fantastyczne kłęby dymu z dopalającego się cygara. Za oknem woniał mały ogródek gospodyni domu, rezedą, jaśminem i różami, było to w maju. Z daleka leciał śpiew nadrzecznych słowików. W powietrzu była ta urocza, wonna wilgoć, którą się majowe powietrze naszego klimatu odznacza.

Powietrze to było bardzo dobroczynném dla mojéj głowy, zamroczonéj jeszcze z wczorajszéj exkursyi na wieś do przyjaciela młodości pana Ignacego, ktory zanadto suto ugaszczał swoich dawnych kolegów i kommilitonów niejednéj wyprawy. Po głowie téj, jak to zwykle po przepitku bywa, biegały różne myśli, dumania, wspomnienia — marzeń, bo już u mnie mało, o ile że — starym jestem kawalerem.

Ogródek gospodyni zielony i wonny przypominał mi uroczy park angielski w dobrach pana Ignacego, park z odwiecznemi drzewami, z obfitą wodą, malowniczemi wyspami, bacikami i łabędziami — z otwierającym się widokiem na urocze sielskie pejzaże. I znowu snuły się przed oczyma memi gustowne pokoje pałacu — a czasami zdawało mi się że słyszę uroczysty szum samowaru, przy którym się tak swobodnie gwarzyło o dawnych czasach. Ułatwiwszy się z wrażeniami dnia minionego, który jeżeli upłynął na wsi, długie dla bióralisty

pozostawia wspomnienie, zatrzymałem się wyobraźnią nad dorodną i pełną wyrazu postacią pana Ignacego, młodszego ode mnie o kilka lat, mężczyzny w całym kwiecie piękności. Zdawało mi się, że widzę czarne jego, przenikające oko, czoło wyniosłe i dumne, kilkoma poorane zmarszczkami, że widzę ten uśmiech sardoniczny, który mógł się wydać cynicznym temu, co nie znał szlachetnéj mego przyjaciela duszy. Ile serca było w tym uśmiechu, gdyśmy o dawnych studenckich mówili czasach, ile rozczulenia i ognia w tych oczach, gdyśmy przy kieliszku starą zanucili piosenkę? Poczciwy Ignacy! pomyślałem. Głowa znakomitych zdolności, serce najzacniejszych przymiotów. Trochę materyalista, prawda! nie zgadza się w tém ze mną, ale może on ma słuszność, nie ja, który przy moim idealizmie pozostałem na tysiącu reńskich pensyi, pedantycznym, nudnym, skwaszonym starym kawalerem i piórogryzem na całe życie. On, szczęśliwy człowiek, dorobił się na adwokaturze najuczciwszą pracą, znacznego majątku, kupił piękne dobra i siedzi sobie teraz w najpiękniejszym pałacu okolicy....

— Ale czemu on także pozostał starym kawalerem? wpadło mi mimowolnie na myśl. Czemu w tych pięknych apartamentach nie ma jakiéj ślicznéj, dobréj, wykształconéj pani Ignacowéj, którąbym ja, niewinny sekretarz sądowy, mógł podziwiać i bawić konwersacyą, czemu nie ma małych Ignasiów lub Zosiów, którymbym mógł wozić cukierki i zabawki? Dziwna rzecz, że on się nie ożenił. Wczoraj była mowa o tém i wprawiła Ignacego w jakiś nienaturalny, afektowany humor. Wieczorem był nieswój, widocznie nieswój, a ostatni kieliszek na odjezdném podawał mi drżącą ręką.

Właśnie zapalałem nowe cygaro, kiwając głową nad temi spostrzeżeniami, gdy ktoś do drzwi moich zapukał.

— *Herein!* odezwałem się z niemiecka, wedle biórowego zwyczaju. We drzwiach stanął stary pana Ignacego służący. Różnił on się od swoich pałacowych kolegów, zręcznych i eleganckich, sztywnością postawy i flegmatycznością ruchów. Znałem go oddawna, był exwojskowym, exwoźnym, a późniéj przez kilka lat kancelaryjnym sługą mego przyjaciela. Urzędowość pozostała mu po dawnéj praktyce. Nosząc całe życie akta pod pachą, niewyzbył się giestów służbowych. Dzisiaj wracał widać do dawnego zajęcia, bo podał mi w milczeniu spory pakiet.

— Jak się pan miewa, Andrzeju? — zapytałem.

Andrzej mi nic nie odpowiedział, a kładąc pakiet na stole, rzekł z flegmą:

— Pan komornik kazał prosić pana sekretarza, abyś te akta zaraz przeczytał.

— Zaraz? Cóż w tém pilnego?

— Pan komornik bardzo kazał prosić i kazał mi czekać na rezolucyę.

— Zwaryował, pomyślałem i otworzyłem starannie opieczętowaną paczkę. Jakież było moje zdziwienie, gdy na tytule manuskryptu przeczytałem: „Dla czegom się nie ożenił? komunikacya uczyniona przyjacielowi“ i notatkę: „Przeczytaj zaraz, zanim wyjdziesz na miasto, zamknij się, aby ci nie przeszkadzano. Andrzej poczeka.“

— Ignacy bzika dostaje, pomyślałem. Jakże się pan miewa? zapytałem po raz drugi.

— Pan komornik kazał prosić pana sekretarza, aby natychmiast akta przeczytał i zreferował.

Rozciekawiony do żywego, posadziłem starego Andrzeja na stołku przy drzwiach, zamknąłem je na klucz i rzuciłem się na sofę z manuskryptem.

„Mój kochany sekretarzu, rozpoczynał się manuskrypt, nie dziw się że mi zależy na tém, abyś ten fascykuł przeczytał. Na końcu dowiesz się o pewném mojém postanowieniu, które nie chcę, aby w fałszywém świetle przed tobą stanęło.“

— A! a! pomyślałem, pewnie się myśli ożenić — i chciałem już szukać ostatniéj karty, gdy mnie wstrzymały dalsze słowa tekstu: „Nie bądź ciekawym i nie zazieraj, aby się dowiedzieć przed czasem, co postanowiłem. Miałem cię zawsze za najdawniejszego i najlepszego przyjaciela, chciałbym przed tobą wydać się konsekwentnym. Nie chciałbym, abyś mnie potępił. Czytaj więc od deski do deski.“

— Oczéwisty wstyd starego kawalera, pomyślałem w duchu. Niezadługo będziemy mieli panią Ignacową i panny Ignacówny. Czytajmy.

„Przypominasz sobie, gdyśmy obaj poszli na uniwersytet we . . . . . gdyśmy mieszkali w jednéj izdebce na przedmieściu, stołowali się razem w prawdziwie spartański sposób, a pomimo

różnicy usposobienia żyli w tym pięknym związku przyjaźni, jaka się na szkolnéj ławie zawiązywać zwykła.

„Byliśmy przecież bardzo niepodobni do siebie. Ty zawsze umiarkowany i chłodny, pokrywający tym chłodem niewyczerpaną serca dobroć, ja gwałtowny w sądach i uczuciach, szybki i prawie gorączkowy w pracach i postanowieniach, wytrwały w właściwy mnie sposób, bo ową wytrwałością namiętną, choleryczną, zaciętą. Ty chodziłeś na prawo, ja na filozofię, ty spokojnie rozkładałeś sobie czas na studya polityczne, ja rzucałem się w bezdeń historycznego i filozoficznego badania. Mieliśmy oba nasze spory i nasze punkta zgody, kłóciliśmy się rano przy fabrykacyi kawy, którąś z niesłychaną prowadził systematycznością, godzili wieczór przy herbacie, którą ja po mistrzowsku preparowałem. Dobre to były czasy, mój kochany sekretarzu, a jeżeli jest jaka pamięć za grobem, to nie zapomnę ich nigdy.

Przypomnij sobie sekretarzu, że byłeś trochę sentymentalny. Kochałeś się w poezyach lirycznych Szyllera, w Rusałkach i pieśniach do Zoryny Zaleskiego. Wzdychałeś co wieczora, ilekroć księżyc zajrzał do naszéj izdebki, a nieustanne moje szyderstwa zdołały cię zaledwie wybawić od koncertu na flotrowersie, na którym, przyznać to musisz, grałeś bez miłosierdzia źle. Podejrzywałem cię zawsze o jakąś miłość sielankową, w którą zaplątałeś się na wakacyach, o miłość nieszczęśliwą i utrzymującą się właśnie nieszczęściem.

Ja, przebacz kochany sekretarzu, lubiłem szydzić z twoich uczuć i twojéj tajemnicy. Marzyłem i ja o miłości, ale miałem nieprzezwyciężony wstręt do tych pokątnych studenckich miłostek, które z garderobianny lub panny służącéj robią heroinę, przedmiot wzdychania i zapału. Piękna moich marzeń była dostojną księżniczką z Torquata Tassa Göthego, arystokratycznych rysów i bieluchnéj, długopalczystéj rączki, dumna jak posąg greckiéj Artemidy, gracyjna jak średniowieczna dama turniejowa. Pokilkakroć uczuwałem coś nakształt emocyi miłosnych w kościele i teatrze, na widok pięknych pań i panien, zakochałem się na cały tydzień w amazonce, która przedemną na ślicznym angielskim przedefilowała koniu, z wiejącym u kapelusika woalem. — Ty w odwet kochany sekretarzu wyśmiewałeś moje marzenia górnolotne, kiwałeś głową na moje gusta,

które w istocie na ubogiego syna plenipotenta szalonemi zwać się mogły. Nie przeczyłem ci bynajmniéj, a jeżeli lubiłem piękne panie jeżdżące powozami, to razem z demokratyczną masą naszych kolegów, nienawidziłem młodzieży złotéj, uganiającéj się po mieście z nosem w górę wzniesionym, z pogardliwym uśmiechem na ustach, z manierami ubliżającemi kolegom, których nie usprawiedliwiała ani praca ani zdolność. W sądzie o nich ty byłeś nawet zawsze umiarkowańszym odemnie, wybierałeś pomiędzy nimi „dobrych chłopców“, a poprzestawałeś na ruszaniu ramionami nad niepoprawnymi.

Przypominam ci to wszystko, aby wytłumaczyć ową nagłą zmianę, którą przeszedłem w drugim roku studyów uniwersyteckich, a którąście wszyscy na mnie spostrzegli. Zmiana ta nastąpiła po wakacyach i objawiła się na powracającym ze wsi przyjacielu twoim. Jeżeli przódy marzycielstwo moje ukrywałem szatą sardoniczną, jeżeli z oczu moich tryskał płomień namiętnéj duszy, szarpiącéj się wysoko, to za powrotem sarkazm stał się codzienną moją strawą, a ów płomień namiętny przeszedł w jakiś nieubłagany chłód towarzyszący wielkiéj energii w pracy naukowéj. Z filozoficznego przeszedłem na wydział prawniczy, udałem się na praktykę do adwokata, a pożegnawszy filozofów i poetów, rzuciłem się w objęcia ekonomii politycznéj, finansowości i obu kodeksów.

Zachodziliście w głowę, jaka była przyczyna téj zmiany. Milczałem zawzięcie. Teraz czuję potrzebę powiedzieć ci o niéj słów kilka.

Nie potrzebuję ci mówić, jak mi się uśmiechały wakacye po miejskim skwarze, nudnym profesorze filologii klasycznéj i przenudnych lekcyach, które z przyczyny oszczędności mego ojca dawać byłem przymuszony. Była wszakże szczegółowa przyczyna pośpiechu. Podczas feryi wielkanocnych poznałem w domu mego ojca daleką naszą kuzynkę, córkę dzierżawcy pobliskiéj wioski, dla któréj odstąpiłem od moich arystokratycznych gustów. Nie powiem, aby odpowiedziała mojemu ideałowi — ale tyle było ciepła w łagodném spojrzeniu jéj niebieskich oczu, tyle pulchnego wdzięku w jéj całéj postaci, tyle figlarności w uśmiechu, że nie mogłem ominąć okazyi tak zwanego wzajemnego obdurzania się, które, przyznam szczerze, nie bardzo na seryo pojmowałem. Anusia nie okazała się wcale

niechętną, oczka jéj błyszczały tysiącem obietnic, a łatwość w rozmowie i żartach którą okazywała, mogła być skutkiem albo wrodzonéj, naturalnéj kokieteryi, albo téż pochlebnego dla mnie wypadku, żem się jéj podobał. I dla czegóż nie miałem jéj się podobać? Byłem przystojny, byłem akademikiem, a rachowałem zawsze na zabójczy skutek moich czarnych wąsików, które były nowalią na mojéj fizyognomii. Otóż pomiędzy delicye wakacyi, w porządek dzienny romantycznych przechadzek, jazd konno, śmietan z ryżem i waniliją, polowaniek na kuliki i dzikie kaczki policzyłem i ów szczęśliwie rozpoczęty stosunek z Anusią, nie wyłączając wcale platonicznego jakiego *rendez-vous* lub gorącego całuska, który złowiony ukradkiem, mógł mnie pasować na akademickiego Don Żuana. Przyznaję z bólem serca, że w myślach o Anusi nie przerażała mnie bynajmniéj rywalizacya z panem Antonim, czterdziestoletnim hreczkosiejem z sąsiedztwa, który bardzo poważne względem Anusi miał zamiary. Nim Anusia pójdzie za mąż, myślałem, może się pokochać trochę, co nie przeszkodzi bynajmniéj, aby potém wzorowo wychowywała liczną dziatwę i trudniła się troskliwie funkcyami kobiecego gospodarstwa wiejskiego.

Widoki moje nie zawiodły mnie bynajmniéj. W oficynie, gdzie mój ojciec jako plenipotent hrabiego Stanisława przemieszkiwał, było wprawdzie za gwarno, za hałaśliwie na żywot filozofa-akademika, a gdaczące kury, potakujące kaczki i gęgające gęsi wydały mi się nieznośniejszemi niż kiedykolwiek — ale poczciwi rodzice poczynili wszystko aby mi pobyt na wsi uprzyjemnić, a w obrębie gospodarskich budynków zostających pod nadzorem mego ojca, byłem szanowanym powszechnie i podziwianym paniczem, odróżniającym się strojem, powierzchownością od ekonomskich synów całego świata. Ojciec, chociaż zwykle małomowny i surowy, obmyślił dla mnie wybornego szłapaka, którego się od ulubionéj swojéj klaczy dochował, matka urządziła czyściutki pokoik z widokiem na grzędy pełne kwiatów i na bliski park pałacowy. Nie potrzebuję dodawać, że obfitowałem we wszystkie wiejskie specyały, które po chudéj kuchni miejskiéj przewybornemi były dla studenckiego żołądka.....

Miałem więc urocze *dolce farniente* przed sobą, które jako tako wypełnić należało. Jakoż szłapak poniósł mnie zaraz

nazajutrz do sąsiedniéj wioski, którą dzierżawił ojciec Anusi. Szczęśliwy traf zrządził, że zastałem mamę zajętą mocno gospodarstwem, nieobecną, papę w polu przy żniwie, Anusię w ogrodzie pod lipą, z robótką w ręce. Pół godziny upłynęło, zanim mama dowiedziała się o moim przyjeździe, drugie pół, zanim zmieniła toaletę. Tyle woni było w ogrodzie, tyle brzęku pszczół, tyle czarodziejskiéj muzyki polnych świerszczów w powietrzu, przytém zachodzące słońce — a u Anusi jakieś dziwnie marzące usposobienie. Godzina wystarczyła, aby z potocznéj pogadanki przejść na tor sentymentów, dusza dziewczęcia trzepotała się jak ptaszę ku mojéj, z śmiechów i żartów przyszło do wynurzeń, a twój przyjaciel, kochany sekretarzu, miał nieszczęście wypowiedzenia lekkomyślnego słowa: kocham, lekkomyślnego mówię, bo go nie czuł, bo szedł za tym brzydkim instynktem pochwalenia się przed samym sobą łatwą zdobyczą serca dziewczyny.

Anusia przyjęła wyznanie jako rzecz pożądaną i miłą sobie i obiecała mi wzajemność z oczyma łez pełnemi. Poczułem wtedy fałszywość mego położenia, zawstydziłem się przed samym sobą, przeląkłem prawie. Ale gdy za nadejściem matki trzpiotowaty powrócił jéj humór, gdy się usta i oczy kokieteryjnie rozigrały, gdy odjeżdżającemu serdecznie i poufale rękę ścisnęła, obawy moje znikły i w różowym humorze powróciłem na szłapaku do domu.

Biedne te kobiety. Cała rękojmia ich szczęścia polega najczęściéj na prawości charakteru człowieka, któremu serce oddały. Ileż rezyka w tém oddaniu, gdzież ubezpieczenie prawne, gdzie egzekucya, windykująca obowiązki, odpowiadające temu najkosztowniejszemu darowi, w którym się nieraz życie mieści? Najuroczystsze zobowiązania nie mają świadka prócz Boga i romantycznego pejzażu, prócz księżyca lub przelatującego ptaka, który na kochającą parę spoziera. Tak było i z Anusią. Moje wyznanie nie było sumienném, a przecież piękność dziewczyny, próżniactwo wakacyj, urok otaczającéj mnie natury utrzymywały czas niejaki stosunek mimo trudności, jakie się niebawem okazały. Rodzice Anny, przychylni hreczkosiejowi dawali pilniejsze baczenie na młodego sąsiada, który zanadto często zwracał spacery swoje ku ich wiosce.

Nie pozostało nam, jak widywać się ukradkiem, pisywać do siebie.... Anusia nie zyskała u mnie na tych rezykownych krokach.

Nie zyskała mówię, i to z wielu przyczyn. Im łatwiejszą była, tém bardziéj budził się w piersi mojéj ów ideał podniosłéj, dumnéj, pełnéj zazdrości dziewicy, który mimowoli w duszy mojéj żywiłem. Im więcéj obcowaliśmy z sobą, tém mniéj starczyło mi wątku rozmowy, bo nie kochając się prawdziwie, o miłości ciągle mówić nie umiałem. Im częściéj odbierałem listy, tém mocniéj przekonywałem się, że moja poczciwa Anusia nie ma pojęcia o gramatyce, ortografii i stylu. Wierutny głupiec ze mnie! Jakby ortografia i gramatyka miała coś do miłości.... Niedawno temu odnalazłem jeden z owych listów, pożółkły i pomięty, a oto wydał mi się pięknym poematem pełnym łez, pełnym natchnień, uroczym jak pieśń słowika, wonnym jak kwiat jaśminowy! Nie umiałem szanować miłości i oto takiego listu nie odbiorę już nigdy... nigdy....

Bądź co bądź, nieumiejętność ortografii, a mianowicie napisanie drugiego spadku liczby mnogiéj przez u w zamiast ó w zadało cios śmiertelny powierzchownéj mojéj miłostce. Wygadywałem tylekroć na romanse moich kolegów z garderobianami, a oto plątałem się w podobniuteńki stosunek. Anusia nie była garderobianą, ale miała ortografię garderobiany, Anusia nie czytała w życiu nic prócz powiastek z kalendarza, Rinalda Rinaldiniego, Ragany i Żalów Elwiry, które jéj się niesłychanie podobały. Anusia, kochany sekretarzu, grała na starym klawicymbale równie dobrze i z taktem jak ty grywałeś na flotrowersie, grała odwieczne waryacye Gellinka jako najwyższy popis zdolności, Anusia śpiewała jeszcze: Już miesiąc zaszedł — co wprawiało w zachwycenie p. Antoniego, hreczkosieja, mnie wszakże, miastowca i znawcę, do skromnego spuszczania ócz i zatapiania się w starych nutach skłaniało.

Łatwo pojąć, że kochające serce Anusi spostrzegło tę moją zmianę. Ale oto, jeżeli niespodzianką było dla mnie jéj szybkie skłonienie się do miłosnego stosunku, większą jeszcze był mistrzowski odwrót, który wykonała. Nie płakała i nie robiła mi scen, nieczyniła wyrzutów, wzrok jéj przedtém tak serdeczny, prawie namiętny, nabrał wyrazu jakiegoś ba-

dawczego, przed którym oczy spuszczać musiałem. Czasami błyszczała w nim gorąca łza zawodu, jaśniał promień urazy, który mnie przybijał do ziemi. Potém i to minęło, a nienaturalny stosunek nasz objawiał się tylko jakąś chorobliwą z jéj strony wesołością, któréj wszakże ja nigdy celem nie bywałem. Przyznam się, że odwrót ten obraził moję miłość własną i miłość własna kazała mi odzyskać to, com stracił. Nagabałem Anusię prośbami o schadzki, listami. Na listy nie odpowiadała, prośby zbywała milczeniem.

— Pani gniewasz się na mnie, nienawidzisz mnie?

— Ani jedno ani drugie, czuję się ukaraną.

— Ale cóż mogło się zmienić między nami?

— Nie zmieniło się nic, panie Ignacy. Pan pozostałeś ten sam, ja także.

W słowach jéj było tyle łez, że nie śmiałem daléj prowadzić rozmowy. Być może, iż przy dalszém zwróceniu uwagi mojéj w tę stronę, byłbym się zmienił a nawet zakochał. Ale nie pozwoliła na to nemezis losu, mszcząca się za Anusię.

Przed oknami mego kawalerskiego pokoiku spotykałem codziennie widok, który moje myśli w inną stronę przenosił. Zrazu byli to tylko liczni robotnicy, którzy pod okiem ogrodnika Francuza gracowali ścieżki i porządkowali ogród angielski hrabstwa Stanisławów. Państwo Stanisławowie, którzy zwykle letnie miesiące w kąpielach przepędzali, mieli obecnie przepędzić je na wsi, ku czemu liczne czyniono przygotowania. Głucha wieść niosła, że owa niespodziewana oszczędność była skutkiem nadszarganego majątku hrabiego, który nie mógł już mnogim żony swojéj wystarczyć wymaganiom.

Po kilku tygodniach przygotowań robotnicy znikli, a oko moje sięgające aż pod balustradę pałacu, mogło swobodnie śledzić ruch domowy nowoprzybylców, pryncypałów mego ojca.

Rano, około godziny dziesiątéj, dwaj zgalonowani lokaje nakrywali stół pod rozłożystemi, olbrzymiemi kasztanami, które tworzyły rodzaj wysklepionego liściem salonu. Skoro samowar zakipiał, zjawiła się z głębi gajów od południowego pawilonu pałacu panna wysokiego wzrostu, prześlicznych ruchów, a o ile przez lornetkę osądzić mogłem, zachwycającéj urody. Przychodziła w rannym negliżu, pełnym wybornego

gustu, z książką w ręku, którą na bok odłożywszy, zajmowała się przygotowaniem do herbaty.

Nie spuszczając jéj z oka, łowiłem każdy ruch córki pana Stanisława. Za chwilę zjawiał się zwykle szpakowaty mężczyzna pięknych rysów, a po długiém często oczekiwaniu kobieta średniego wzrostu; otulona w szal bogaty. Panna Stanisławówna całowała ojca w rękę z całém wylaniem przywiązania, on całował ją w czoło niemniéj serdecznie — z macochą powitanie było więcéj sztywne i konwencyonalne.

O ile córka i ojciec byli pełnemi wdzięku i budzili sympatyę, o tyle pani Stanisławowa wydała się prawie komiczną. Ciągłe zatulanie się w szal świadczyło, że jéj było zimno w naszym klimacie, częsta zmiana filiżanek z herbatą i nieustanny ruch dwóch lokai na wszystkie strony, że była niesłychaną grymaśnicą.

Panna Stanisławówna okazywała niczém niezmordowaną cierpliwość. Potrzeba jéj było, zwłaszcza, że obok grymaśnéj macochy plątał się podrostek, przyrodni brat panny, podzielający wszystkie wady mamy dobrodziejki. Patrząc z daleka, ile niedowcipnych psikusów płatał siostrze, brała mnie nieraz ochota pociągnąć nieznośnego bębna za uszy, które mu z pod eleganckiéj, szkockiéj czapeczki wystawały.

Po herbacie zostawała panna Stanisławówna chwilę sama, oddając się czytaniu. Skoro zegar pałacowy wybił jedynastą, znikała w drzwiach pałacowych, a ogród stał pustką przez południe i popołudnie.

Wieczorem rozpoczynałem obserwacye moje z innego punktu. Zauważałem, że piękna bogini ogrodu udaje się w jego zachodnią stronę, przypierającego do naszego warzywnego ogródka. Za warzywnym ogródkiem była rzeczka, odprowadzająca zbyteczną wodę z wielkiego stawu. Otóż diabeł ciekawości, który ludzi na guza naraża, kazał mi zająć pozycyę w wiklinach nad rzeczką, z których śledzić mogłem poobiednie bogini ruchy.

Ruchy te nie były codzień jednakie. Widywałem dostojną moją hrabiankę puszczającą się poza obręb parku z służącą, która niosła pełny kosz, przykryty serwetą. Droga pięknéj wiodła ku wsi. Wiedziałem z tradycyi, że kochając pocz-

ciwych Muchowianów, panna Helena odwiedzać lubi chorych i biednych, niosąc pierwszym leki, drugim zasiłek żywności.

— Bardzo to pięknie, pomyślałem, i świadczy o rozwiniętym sentymencie.

Kiedyindziéj znowu widziałem ją dosiadającą pięknego angielskiego konia i puszczającą się z masztalerzem gościńcem, który mnie tylekroć do Anusi prowadził.

Najczęściéj wychodziła panna Helena z książką na sztuczny kopiec, dominujący okolicę, a oddalony o kilkanaście zaledwie kroków od niefortunnéj wikliny, w któréj ja z Göthym, Szekspirem lub Słowackim w ręku, służącymi mi za pretekst ustronnego przesiadywania, pomiędzy krzakami odpoczywałem. Tam zatopiona w lekturze bawiła kilka godzin, dopóki zgalononowany lokaj nie wezwał jéj do samowaru.

Opisałem ci moje obserwacye, kochany sekretarzu, aby ci okazać, jak od chwili rozgoszczenia hrabstwa zająłem się wyłącznie boginią ogrodu, Heleną. Zdawało mi się, że spotkałem nareszcie ów ideał marzony, wzrok mój łowił chciwie każdy ruch jego, bystre ucho dalekie tony fortepianu mistrzowską poruszone ręką. Klawicymbał Anusi brzęczał mi wtedy w głębiach duszy, jak natrętna osa, niemiłém, wstrętném wspomnieniem.

Ależ natura moja nie umiała przestać na marzeniu. Z obserwatora z daleka przemieniłem się niebawem na obserwatora z bliska, do czego się jako akademik i człowiek wykształcony zupełnie uprawniony czułem. Spotkałem się kilkakroć z idącą na wieś Heleną, spotykałem ją na szłapaku moim jadącą konno — a wstydząc się mojéj pikiety w wiklinie, przemieniłem ją na stanowisko widoczne nad rzeczułką. Jako syn plenipotenta czułem się obowiązanym do ukłonu pełnego uszanowania i nieomieszkałem korzystać z przywileju. Wtedyto ujrzałem po raz pierwszy przepaść różnicy towarzyskiéj otwierającą się między boginią z angielskiego a wielbicielem z warzywnego ogrodu.

Panna Helena nieomieszkała odkłonić się lekkiém kiwnięciem głowy, nie okazała najmniejszego wstrętu spotkania się ze mną, nie objawiła śladu uczucia miłego lub niemiłego, widząc mnie czytającego książkę za granicą parku. Gdy patrzyła na mnie, patrzyła, jakby na rosnącą obok mnie wiklinę — a chociaż w wyrazie ócz jéj nie było ani dumy, ani lekce-

ważenia, to przecież tkwił w nim najprzykrzejszy cios dla mnie, nieporównana obojętność.

Obojętność ta doprowadzała mnie do wściekłości. Czego chciałem, nie wiedziałem wprawdzie sam, ale czułem dobrze, że zniósłbym był wszystko, byle inne spojrzenie sprowadzić, byle wywołać giest niechęci. Postanowilem być bezczelnym. Wpatrywałem się w pannę Helenę odłożywszy na bok książkę, zjawiałem się na wszystkich jéj exkursyach, mordowałem konia mego ojca krążąc drogą którędy bogini moja na przechadzkę jeździła, dopadłem sposobności podania jéj z zręcznością woltyżera, upadłéj szpicruty. Panna Helena nie opuszczała ławeczki na kopcu, ale ani unikała, ani szukała mego wzroku, panna Helena nie okazywała strudzenia, aby mi się ukłonić kilka razy na dzień, panna Helena podziękowała za podaną szpicrutę tak słodko ale tak poważnie, że się na chwilę zupełnie zapomniałem.

Rozumowanie moje ówczesne było następujące: prawda że panna Helena jest hrabianką a ja synem plenipotenta, ale panna Helena jest kobietą, a ja się w niéj kocham. O téj miłości musi i powinna wiedzieć, niech z nią robi, co chce. Układałem właśnie trudny plan kampanii, gdy sposobność wyborna ułatwiła mi zbliżenie się do hrabianki.

Ojciec mój zapowiedział mi, że mnie zaprowadzi do pałacu, że mnie hrabia Stanisław chce poznać, że hrabina życzy sobie, abym pełnemu nadziei bębenkowi, który był jéj najukochańszym synkiem, dawał lekcye podczas wakacyi.

Spodziewałem się, że panna Helena, zdrażniona moją efronteryą, nie pokaże się. Tymczasem popularny hrabia zatrzymał nas dłużéj, hrabina wzięła odrazu pod szczególniejszą protekcyę, hrabianka, gdy mnie jéj przedstawiono, rzekła z najsłodszą ale zarazem najspokojniejszą miną.

— My bo się już znamy z widzenia.

— Doprawdy? Pani uważała?

— Przecież wyświadczyłeś mi pan usługę, podniosłeś mi szpicrutę, która upadła. Kasztanek pański bardzo mi się podobał.

— Swojskiego chowu, swojskiego chowu, panno hrabianko dobrodziejko, wtrącił mój ojciec. Ja bo zawsze jestem nieprzyjacielem tych angielczyków.

— Ah! wpadła w mowę pani Stanisławowa, Helenka mi opowiadała, że syn lubi się zajmować pilnie lekturą.... To pięknie, to bardzo pięknie.... I można się spytać, co czyta?

— Czytałem Goethego, pani hrabino dobrodziejko, odpowiedziałem, przygryzłszy wargi na „co czyta“ i na myśl, co panna Helena o mnie powiedzieć mogła.

— Ah! Goethe, ciągnęła pani hrabina popisując się z erudycyą, to podobno bardzo znakomity niemiecki autor, ale my nie czytamy po niemiecku, a lubimy szczególniéj angielską i francuską literaturę.

— Są tłumaczenia na te języki, a nawet bardzo znakomite dzieło Anglika Lewesa o Goethym.

— To umie po angielsku? zapytała ciekawie hrabina.

— Jest tłumaczenie polskie Nowosielskiego.

— Ale.... otóż Fanio bardzo nie ma ochoty do niemieckiego języka, a to takie potrzebne. Może będzie tak łaskaw przypomnieć mu, co potrzeba, szczególniéj konwersacye. On słaby w niemieckiéj konwersacyi.

Fanio, który w impertynencki sposób mierzył okiem przyszłego nauczyciela, przybliżył się i rzekł cicho do matki: *je ne veux pas!*

— Faniu! przerwał surowo ojciec. Musisz i będziesz temu panu posłusznym, bo ja ci każę.

— On taki nerwowy! wtrąciła błagająco hrabina, szepcąc coś Faniowi na ucho. Fanio potrzebuje zdać egzamin po wakacyach, Fanio ma ambicyę, Fanio będzie się uczył.

— Będę się uczył, jeżeli Helenka także uczyć się będzie. Ona także nie umie po niemiecku.

— Ależ Helenka nie potrzebuje się uczyć po niemiecku.

Hrabiego twarz nabiegła chmurą gniewu. Panie Ignacy, rzekł do mnie, proszę zaraz popołudniu rozpocząć lekcye. Jeżeli Fanio będzie nieposłuszny, proszę donieść. Tu wyszedł.

Fanio jak młody źrubek rozwinął teraz całą swoją dziką naturę.

— A ja nie będę się uczył, rzekł z ściśniętemi pięściami. Ja mówię po francusku, po angielsku, ja byłem w Paryżu, ja się uczyć nie potrzebuję. Niech się uczy Helenka, to i ja uczyć się będę.

Byłbym grymaśnego bębna uściskał za oryginalny koncept. Ale żywy mnie oblał rumieniec, gdy impertynencki Fanio wskazując na mnie palcem, rzekł naiwnie: *Maman* nie wie, on się kocha w Helence.

Hrabina parsknęła śmiechem, panna Helena okazała trudny do opisania wyraz zniecierpliwienia.— *Maman* nie wierzy, ciągnął Fanio daléj, ale ja wiem. On siaduje z książką w wiklinie za ogrodem i nic nie czyta, tylko na Helenkę patrzy. Kiedy my pijemy herbatę, on patrzy przez lornetę z oficyny.

— Tak jest, na zdrowy i czerwony język Fania, rzekłem zdobywając się na heroiczny środek przerwania niemiłéj denuncyacyi, który mi Fanio wczoraj zapewne w celu uspokojenia mnie o swojém zdrowiu pokazałeś.

— *Fi donc!* Faniu! Co téż ty wyrabiasz — ile mi ty sprawiasz zmartwienia! rzekła hrabina płaczliwym ale karesującym głosem.

— Otóż, konkludował Fanio, ja się uczyć nie będę, jeżeli Helenki przy lekcyi nie będzie. Chcę widzieć jak ten pan - z oficyny.... ha! ha! ha! to będzie zabawne....

— Mój Faniu, przerwała panna Helena bardzo surowo, jesteś nieznośny i wstydzisz nas. Wiesz, że papa nie żartuje, wiesz, że się mama tobą martwi. Ponieważ się upierasz, aby ktoś z nas bywał przy lekcyi....

— Ale ty, ty.... nie ktoś z starszych.

— To ja przyjdę, ale nie wiem, czy na tém dobrze wyjdziesz. Możesz być pewnym, że powiem papie o każdéj twojéj sprawce.

— Ach! jakaś ty dobra! zawołała hrabina, całując pasierbicę z afektacyą. Przyjdzie więc popołudniu, dodała zwracając się ku mnie i żegnając mnie lekkiém pochyleniem głowy.

— Przyjdzie, odpowiedziałem, kładąc ironiczny przycisk na trzecią osobę i oddalając się z bijącém sercem a głębokim ukłonem.

Rozmaitém bywa usposobienie zwykłych śmiertelników względem tak zwanéj arystokracyi. Lud prosty pojmuje hrabiego i hrabinę jako ideały szczęścia materyalnego i otacza ich świetlaną aureolą bajki gminnéj. Czapkuje powozowi i cugowym koniom, a nienawidząc zresztą surdutowych, podziwia otoczonego hufcem plenipotentów pana, który jako półbożek rzadko

zjawia się w swoich dobrach. Bracia szlachta waha się dotąd między butą republikańską szesnastego wieku, przycierającą rogi pysze pańskiéj, a przeszłowieczném przyzwyczajeniem trzymania się pańskiéj klamki, które dzisiaj prócz dwuznacznego honoru, żadnych nie przynosi korzyści. Z małemi wyjątkami ludzi samodzielnych, zapamiętały szlachcic demokrata mięknie z łatwością na aksamitném krześle salonu, zmienia zdanie i daje, gdy potrzeba, posłuszne kréski. Znana to słabość poczciwych naszych hreczkosiejów, wywołuje u tak zwanéj demokratycznéj inteligencyi, drugą słabość: pilną aż do śmieszności baczność przed syrenowemi uśmiechami salonu. Drażliwość bywa zwykle tak wielką, tak niezgrabną, tak parafiańską, że mimowoli utwierdza ów świat salonowy w przekonaniu o jego wysokiém znaczeniu, jako nadawcy tonu i sędziego zasługi w społeczeństwie.

Nie podlegałem ani pierwszemu ani drugiemu obłędowi. Miałem coś z usposobienia owego rzeźnika warszawskiego w sobie, który damę wielkiego świata prosił o zdjęcie rękawiczki, aby mógł pocałować mięso, nie skórę. Śmiałem się w duchu z ojca, który dla hrabiego Stanisława miał tradycyjną jakąś cześć podstarościńską, a wszedłszy raz w dom hrabstwa, zdałem sobie na zimno sprawę z mieszkańców pałacu. Był we mnie jakiś duch nieznany, który stwarzał to nieubłagane zimno, ten krytycyzm, który mi kazał odrazu panią hrabinę nazwać głupią gęsią, Fania nieznośnym bębnem, pana Stanisława człowiekiem, któremu ruina z oczu patrzyła, który mnie zapalał ku pannie Helenie, niby tryumfatora, ku pięknéj brance zdobytego grodu. Ojciec mój zachwycał się łaskawém hrabiego na mnie spojrzeniem, matka wypytywała skrzętnie o każde grzeczne słowo hrabiny — co do mnie (możesz to kochany sekretarzu nazwać niewdzięcznością) nie dałem się ująć żadnemi staro-feodalnemi względami, a daleki od próżności klamkującego szlachcica lub drażliwości demokratów, czułem w sobie jakby tętno nowéj jakiéjś generacyi, przewracającéj starą bez gniewu ale i bez litości.

A jednak o dziwo! pałac, park angielski, życie salonu miały dla mnie nieprzezwyciężony powab. Ogniskiem tego powabu była panna Helena, taka majestatyczna, taka naturalna a sfinksowa. Gdy siadała z robotą przy lekcyi Fania, aby mi

w okiełznaniu nieznośnego chłopca pomagać, czułem tajemniczy dreszcz od stóp do głów, patrzyłem na nią jak na bóstwo lub czarodziejkę i odchodziłem z zaciśniętemi zębami na widok téj odległości, która ją odemnie rozdzielała. Noce moje schodziły na marzeniach rozmów z boginią, w które kładłem najszczytniejsze i najpodnioślejsze uczucia. Pisałem poezye, kochany sekretarzu, tak jest, popełniłem gruby plik poezyi w guście petrarkowskich sonetów. Macerowałem się miłością jak śledź w soli, a sięgając szaloną myślą do szczytu szczęścia, nie mogłem sobie przebaczyć, że codzień stawałem się głupszym i nieśmielszym wobec panny Heleny.

Dodajmy do tego, że hrabina zabijała mnie protekcyą, Helena dobrocią, Fanio szalonemi konceptami.

Hrabina patrzyła na mnie oczyma które mówiły: no proszę! jak on jest dobrze ten syn ekonomski! jaki on jest przystojny, ten syn ekonomski, jakie on ma piękne oczy i wąsy, ten syn ekonomski, jak on wiele czytał i nauczył się.... Jeżeli idiotyzm wielkiéj pani łagodził wrażenie tych spojrzeń, to protekcyjność panny Heleny była zabijającą, bo była rozumną, szczerą a nawet serdeczną. Helena wypytywała się troskliwie o moje przyszłe widoki, wywnętrzała się z uczuciami domowemi do mojego ojca, chwaliła moją cierpliwość i dobrą metodę w uczeniu Fania, naradzała się ze mną bardzo poufnie względem metody jego wychowania. Po ukończonéj lekcyi chodziliśmy po ogrodzie i rozmawiali o wielu rzeczach, przyczém panna Helena objawiała obszerne wiadomości, szczere piśmiennictwa i dziejów ojczystych zamiłowanie, wytworny gust estetyczny i nadzwyczajną podniosłość i szlachetność uczuć. Przekonywałem się, że przy wykształceniu odpowiedniém, przy dobrém wychowaniu, owa wyżyna społeczna rodem i majątkiem celująca, mogłaby mieć znakomite warunki pożyteczności i przyszłości dla sprawy narodu stanowczéj, że mogłaby od starego pnia, na którym rosły dziczki cudzoziemszczyzny i pasożytne rośliny niewydające owocu, puścić bujne i trwałe latorośle. Sama Helena miała o stanie swego towarzyskiego obozu bardzo trzeźwe wyobrażenie. Niecierpliwiły ją nerwowo zjawiające się od czasu do czasu przyjaciółki, mówiące nieustannie po francusku i zajęte drobnemi komerażykami świata, który się u nich „towarzystwem“ nazywał, niecierpliwiła ją kawalerya „złota“

pełna zarozumiałości a próżniacza, niecierpliwiła macocha, a ojciec, szlachetny lecz słaby, niejednę jéj chmurkę napędzał na czoło. Ale im więcéj czuła braki swego świata, tém bardziéj czuła się do niego przywiązaną, niby bohater do straconego stanowiska, gdzie jego honór pozostał.

Fanio, chłopiec z gruntu zepsuty, który okazywał zdolności nad wiek, ale nie do nauki, był prawdziwym koboldem pomiędzy nami. Pojmując wszystko w nikczemny sposób, zachwiany moralnie ukradkowém czytaniem głupich romansów, prowadził on daléj złośliwe obserwacye, z któremi się za pierwszą moją wizytą w pałacu wygadał.

— Co to za rzecz, to hrabstwo, uważał Fanio. Gdyby nie to że Helenia jest hrabianką a pan synem ek....

— Faniu! zawołała panna Helena surowo.

— Gdyby nie to, wiem, że już Henia kochałaby się w panu, jak pan w niéj. Co do mnie, ja na to uważać nie będę, ale się ożenię z Marcysią, garderobianną....

— Faniu! idę do papy.....

Groźba ta stała się zbyt powszednią, bo nie została wykonaną. Uradziliśmy, aby ją raz wykonać, aby papa raz Fania ukarał. Bystry chłopiec spostrzegł moje zamiary, a gdym wychodził (Heleny nie było w pokoju) rzekł do mnie:

— Nie chodź pan do papy. Powiem panu rzecz jedną, która pana ucieszy.

— Nie potrzebuję żadnych takich wiadomości, odrzekłem.

— Pokażę panu.

— Nie potrzebuję.

— Ale może to panu oddać? zapytał Fanio, podnosząc w ręce zwitek papierów.

Poznałem moje nieszczęśliwe poezye miłosne.

— Jakim sposobem przyszedłeś do tego? nieznośny malcze! Oddaj!

Fanio stanął w oknie, gotowy do skoczenia na dół z łupem.

— Wlazłem oknem do pańskiego pokoju, otworzyłem moim kluczem, który się nadał, i zabrałem. Tu zaczął przedrzeźniając, czytać w oknie początek sonetu.

— Jakie to ładne! Przerobię na Marcysię i dam Marcysi. Ale oryginał będzie czytała mama.

— Oddaj!

— Nie pójdziesz pan do papy?

— Nie pójdę! odrzekłem zgrzytając zębami.

— To panu oddaję, a w dodatku....

— Cóż to jest?

— Urywek z dzienniczka Heni! wyrwałem dzisiaj dla pana! Kocha się w panu!

Małoprzytomny powróciłem z oboma pismami do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Michał Skiba.

O reorganizacyi galicyjskiego Instytutu kredytowego.

W chwili, kiedy powstaje we Lwowie bank hipoteczny znamienitemi przywilejami przez rząd obdarowany, biedny Instytut kredytowy na próżno oczekuje pozwolenia do reorganizacyi. Z jednéj strony cieszyć nas powinno, iż przecie raz doczekaliśmy się krajowego zakładu, który uwolni nas od monopolu zakładów wiedeńskich i może oddać krajowi niezmierne usługi; lecz z drugiéj strony bolesno jest pomyśleć, że co zakład prywatny mógł uzyskać, tego zakład publiczny nawet w części doprosić się nie może. Czyja w tém wina? nie wiemy z pewnością; zdaje się jednak, iż część takowéj sami sobie przypisać musimy.

Rząd nie mógł sankcyonować przeszłoroczném uchwały naszego sejmu, uwalniającéj Instytut kredytowy od wszelkiéj kontroli, bez równoczesnego zniesienia gwarancyi ciężącéj na wszystkich majątkach tabularnych nietylko Galicyi, ale nadto Bukowiny, tém więcéj, iż sejm bukowiński słusznie się temu sprzeciwił. Gwarancyi téj w zupełności znieść nikt nie miał prawa, gdyż ona jest prawem nabytém właścicieli listów zastawnych. Należało więc zostawić gwarancyę i kontrolę dotychczasową dla listów zastawnych dotąd wydanych, a znieść takowe na przyszłość. Takiéj uchwale sejmu galicyjskiego byłby przyklasnął sejm bukowiński, a rząd byłby ją z pewnością sankcyonował.

Ciągle trwające rokowania między Instytutem kredytowym a rządem, których przedmiotem ma być, o ile wiemy, zniesienie gwarancyi, napotykają widać na nieznane nam tru-

dności; wszelako śmiało twierdzić można, iż trudności te i opóźnienie rokowania wynikają albo z złego przedstawienia rzeczy, albo z niedość energicznego jéj popierania. Niepodobna bowiem przypuścić, ażeby rząd tylko te przedsiębiorstwa brał w opiekę, które prywatnym osobom zysk zapewniają, a odmawiał jéj tym, których jedynym celem jest niesienie pomocy całemu krajowi.

Sądzimy więc, że możnaby uzyskać sankcyę najwyższą dla projektu reorganizacyi Instytutn kredytowego, gdyby jego dyrekcya rzecz tę w właściwém świetle rządowi przedstawiła i należycie ją popierała. Że ta reorganizacya jest potrzebna, o tém nikt nie wątpi, to sama dyrekcya przyznaje, zbyteczną byłoby więc rzeczą nad tém się rozwodzić. Ale zastanowić się trzeba nad naturą reform potrzebnych i nad sposobami ich przeprowadzenia. Nie dosyć bowiem jest zmienić pojedyncze paragrafy statutu, nie dość usunąć pojedyncze usterki, ażeby wykorzenić złe leżące w całém urządzeniu Instytutu kredytowego i zrobić z niego zakład prawdziwie użyteczny. W tym celu potrzeba go przekształcić na Towarzystwo kredytowe, czyli usunąć gwarancyę a zaprowadzić solidarną odpowiedzialność zaciągających pożyczkę i oddać im wybór władz Towarzystwem zarządzających *).

Kredyt jest dwojaki: rzeczowy czyli hipoteczny i osobisty czyli wekslowy.

Z saméj natury rzeczy wynika, iż w krajach przemysłowych i handlowych drugi, w krajach rolniczych zaś pierwszy rodzaj kredytu najważniejszą rolę odgrywa. Fabrykant i kupiec prędko obracają kapitałem i włożony w przedsiębiorstwo

*) Moim zamiarem nie może być dokładne i wyczerpujące obrobienie tego przedmiotu, na co ani rozmiary krótkiéj rozprawy, ani słabe siły moje nie pozwalają. Czując aż nadto ich niedostateczność, długo wahałem się z wystąpieniem publicznie w nadziei, że ktoś zdolniejszy ode mnie poruszy tę żywotną kwestyę. W końcu widząc, iż czekam napróżno, i mając najsilniejsze przekonanie, że Galicyę tylko dobrze urządzone Towarzystwo kredytowe z upadku podźwignąć może, postanowiłem ogłosić moją nieudolną pracę w celu wywołania dalszych rozpraw i agitacyi, które do przeprowadzenia reorganizacyi Instytutu kredytowego dopomódz i takową przyśpieszyć mogą.

odbierają wkrótce z procentem, lub tracą go bezpowrotnie. Przeciwnie rolnik nie może rachować na rychłe odebranie kapitału w ziemię włożonego, który, stósownie użyty, wydaje sowite owoce powoli dojrzewające, dające się zrywać tylko częściowo przez długie lata. Ztąd to pochodzi, że pożyczki krótkoterminowe gubią rolnika, choćby najracyonalniéj były użyte; ztąd nierzadkie przykłady bankructwa gospodarzy starannych, przemyślnych, którzy wkładając w ziemię pieniądze na krótki czas pożyczone, nie mogą ich odebrać przed terminem zwrotu, zmuszeni więc są uciekać się do nowych coraz cięższych pożyczek, albo do marnowania jeszcze niezebranych płodów. Przeciwnie pożyczki długoterminowe mogą go na nogi postawić, tém łatwiéj i pewniéj, im zwrot ich jest więcéj oddalony i ułatwiony. Pożyczki za pomocą amortyzacyi spłacane są najkorzystniejsze dla rolnika, jako najodpowiedniejsze naturze zatrudnienia, któremu się poświęca.

Galicya znajduje się pod względem kredytu w położeniu zupełnie nieprawidłowém. Kraj ten wyłącznie rolniczy nie ma wcale kredytu rzeczowego i ograniczony jest do osobistego tak dalece, iż pożyczający na hipotekę niemal więcéj patrzą na charakter zaciągającego pożyczkę, jak na stan jego hipoteki. Pomimo, że przyczyny tego smutnego zjawiska są powszechnie znane, musimy przecież napomknąć o najważniejszych, zwłaszcza, że nieraz dają się słyszeć zdania, na które przystać nie możemy.

Główną zawadą nie dającą się dostatecznie rozwinąć kredytowi hipotecznemu jest prawodawstwo austryackie, biorące w opiekę dłużnika przeciwko wierzycielowi, rozwlekające i utrudniające niezmiernie egzekucyę sądową, a tém samém odstręczające od lokowania kapitałów na hipotekach, nawet najlepszych; do czego się także przyczynia wysokość opłat stęplowych i po części złe urządzenie tabuli. O tém wszyscy są przekonani, nawet rząd, który powstające zakłady kredytowe wyjmuje zpod ogólnego prawa, nadając im uprzywilejowane stanowisko. Nie potrzeba więc tego dowodzić, lecz potrzeba odpowiedzieć tym, którzy utrzymują, iż to wszystko jest dla nas korzystne, bo nas chroni od wywłaszczenia, pod innem prawem czekającego niechybnie znaczną część właścicieli. To prawda, ale czyż kraj cały ma cierpieć dlatego, ażeby kilka-

set a choćby i kilka tysięcy ludzi w złych interesach będących mogło żyć kosztem drugich i czyż sama sprawiedliwość nie wymaga, ażeby raczéj cierpiał ten, który długów swoich zapłacić nie jest w stanie, jak ten, który mu swój kapitał powierzył? czyż nie byłoby lepiéj dla kraju, żeby majątki obdłużone przeszły w ręce ludzi majętnych, przemyślnych, rządnych, jak żeby marniały w ręku dotychczasowych posiadaczy? czyż właściciele zadłużeni nie lepiéjby wyszli, gdyby wcześniéj wywłaszczeni uratowali jakiś kapitalik na dzierżawę, jak że, spuszczając się na powolność egzekucyi, brną w coraz większe długi, bogacą adwokatów, opłacają stęple, a nakoniec wychodzą ze wsi bez grosza? czyż nawet zupełny upadek pewnéj liczby właścicieli marnotrawnych, nierządnych lub nieprzezornych nie byłby sowicie wynagrodzony zyskiem tych wszystkich, którzy postawieni w możności zaciągnięcia pod korzystnemi warunkami pożyczek hipotecznych, poprawiliby swoje gospodarstwa, lub pozbyliby się uciążliwych długów wekslowych? czyż nakoniec nie te długi wekslowe, nieuniknione przy braku kredytu hipotecznego, są główną przyczyną ruiny majątków, która przy powolnéj procedurze sądowéj nie usuwa się, tylko odwłóczy i staje tém zupełniejszą? Do tego dodać i to należy, że charakter nasz lekki, nieprzewidujący popycha nas częstokroć do zaciągania pożyczek w nadziei, iż termin zwrotu da się odwlec do nieskończoności, i że pewność szybkiéj egzekucyi, zagrażająca wywłaszczeniem, stałaby się dla wielu hamulcem, mogącym ich powstrzymać na téj ślizkiéj i bardzo spadzistéj pochyłości.

Ta lekkość charakteru wyradza się, niestety, częstokroć wbrak akuratności pod względem dopełniania przyjętych na siebie obowiązków i graniczy nieraz z nierzetelnością, co nam może głównie kredyt odejmuje. Nie da się bowiem zaprzeczyć, iż na robiony nam zarzut niesłowności w ogóle zasługujemy, tak w małych rzeczach i w życiu potoczném, jak w interesach wielkiéj wagi. Za tém idzie ogólna niewiara, trudność zawięzywania spółek i brak kredytu, który musi stronić od ludzi szukających go bez wiadomości, czy i kiedy będą się mogli uiścić, a nawet wcale się o to nie troszczących i mówiących sobie z najzimniejszą krwią: „Namęczyłem się dosyć, żeby dostać pieniędzy, niech sobie wierzyciel głowę

łamie nad ich odebraniem.“ Z boleścią wyznać musimy, iż w takim stanie społeczeństwa jedyny ratunek polega na surowości prawa i szybkim wymiarze sprawiedliwości.

Wewnętrzny rozstrój naszego społeczeństwa przyczynia się także do osłabienia kredytu przez upowszechnione nieuszanowanie prawa własności i niszczenie cudzego mienia podpalaniem, kradzieżą i gwałtami wszelkiego rodzaju. I tu zaradzić może tylko bezwzględny wymiar sprawiedliwości, którego się przy teraźniejszém prawodawstwie tak cywilném jak kryminalném spodziewać nie możemy.

Z tego pokazuje się, że do podźwignienia upadłego kredytu potrzeba przedewszystkiem radykalnéj zmiany całego prawodawstwa. Początek do tego zrobiono, znosząc tak szkodliwe prawo o lichwie, które obok wielkiéj ilości procentowych papierów znacznie wpłynęło na zmniejszenie pożyczek hipotecznych. Zniesienie tego prawa i chwiejny kurs papierów publicznych zachęciłyby niewątpliwie kapitalistów do lokowania pieniędzy na dobra, gdyby powyżéj przytoczone przeszkody były choć w części usunięte. Chociaż bowiem przyjemną jest rzeczą mieć w ręku kapitał i odcinać kupony, wszelako niewiara do publicznych papierów tak jest wielka, że niemal każdy wolałby poprzestać na nieco mniejszym procencie, byle nie potrzebował troszczyć się o kapitał. Dowodzi tego sam kurs różnych papierów, z pomiędzy których listy zastawne stosunkowo najwyżéj stoją.

Usunięcie nawet wszystkich zawad tamujących kredyt hipoteczny, nie odrazu przecież zwróciłoby do niego kapitały. Zanadto przywykliśmy już do procentowych papierów, zanadto zasmakowaliśmy w nich, ażebyśmy mieli z łatwością przystać na unieruchomienie naszych kapitałów, a że Galicyi, przy dokonaniu zamierzonéj poprawy kodeksu cywilnego i procedury sądowéj ciężkie zagrażają klęski, należy więc jak najprędzéj obmyślić środki skłonienia kapitalistów do przyjścia w pomoc rolnictwu.

Jedyną drogą do tego prowadzącą jest zakładanie towarzystw kredytowych, puszczanie w obieg listów zastawnych, które łącząc w sobie ruchomość innych papierów procentowych z pewnością hipoteczną, dają kapitaliście wszystko, czego żądać może i odpowiadają najlepiéj naszemu usposobieniu nielu-

biącemu ryzykować, z drugiéj strony zaś oddają na usługę rolnictwa kapitały dotąd dla kraju bezowocne, i to pod warunkami najkorzystniejszymi, bo najlepiéj odpowiadającymi jego stosunkom.

Kupujący listy zastawne chce mieć papier pewny, mało kurs swój zmieniający i dający dość dobry procent. Przedewszystkiem chodzi więc o pewność regularnéj wypłaty procentów i kapitału, czyli kuponów i wylosowanych listów, taką zaś daje tylko solidarność stowarzyszonych i oznaczony przeciąg czasu, w ciągu którego listy wylosowane być muszą.

Solidarności nic zastąpić nie może; rodzi ona zaufanie, daje na wszelki wypadek rękojmię łatwéj i szybkiéj egzekucyi, a zarazem pewność, iż stowarzyszeni dbając o własny interes, będą przestrzegali, ażeby nie przekraczano należytych granic w wysokości pożyczek, żeby dobra stowarzyszonych nie były niszczone i będą zarząd towarzystwa powierzali ludziom, na których prawość, zdolność i zabiegliwość mogą rachować.

Obok solidarności, dającéj pewność ogólną, potrzebna też jest pewność co do terminu wylosowania listów zastawnych, którą się otrzymuje przez podział na okresy i serye. Jest to rzeczą naturalną, iż ludzie chętniéj kupują papiery, o których wiedzą, iż w pewnym niezbyt długim przeciągu czasu będą spłacone *al pari*, jak te, które nie mają oznaczonego terminu wylosowania. Dowodzić tego nie potrzeba, dość spojrzeć na kursa giełdowe, żeby się o tém przekonać. Poznańskie listy zastawne stare, przynoszące $3\frac{1}{2}\,\%$ a w 35 latach spłacane stały (dopóki były na giełdzie notowane) zawsze wyżéj od nowych czteroprocentowych, które nie mają terminu wylosowania *). Takich przykładów możnaby wiele przytoczyć, gdyby to nie było rzeczą zbyteczną.

Galicyjski Instytut kredytowy grzeszy przeciwko obudwom tym warunkom. Zamiast solidarnéj odpowiedzialności zaciągających pożyczkę daje on posiadaczom listów zastawnych gwarancyę wszystkich dóbr tabularnych Galicyi i Bukowiny; zamiast podziału na okresy i serye wydaje on ciągle listy zastawne jednego gatunku.

---

*) Znany niemiecki patryotyzm berlińczyków musiał więc umilknąć przed interesem, który przemógł ich polako-żerstwo.

Rozciąganie gwarancyi na tych, którzy nie chcą, albo nie mogą zaciągać pożyczki, sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi i sprawiedliwości, a nadto jest bezużytecznem. Jest to prawda tak w oczy bijąca, iż obrońcy gwarancyi przytaczają jako najsilniejszy, prawie jedyny argument za jéj utrzymaniem niby przemawiający, iż: „Gwarancya, o któréj tu mowa, jest więcéj nominalną tylko“ (Alegat H. w protokóle czynności IV ogól. zgrom. 1761 r.).

Gwarancya, narzucona przez rząd Instytutowi, jakkolwiek nic nie znacząca, stała się przecież prawem nabytém jego wierzycieli, i jako takie szanowana być powinna, odnośnie do wydanych już listów zastawnych. Nic jednak nie zmusza do zachowania jéj na przyszłość; gdy może z większą loiką, sprawiedliwością i korzyścią być zastąpiona przez solidarność stowarzyszonych, która właściwie jest, tak jak gwarancya, fikcyą, — okazuje się jednak korzystną, bo z jednéj strony wznieca zaufanie u kapitalistów, z drugiéj strony zaś pobudza stowarzyszonych do starania się o dobro instytucyi, za którą są odpowiedzialni.

Przeciwnicy solidarności utrzymują, iż zaciągający pożyczki nie będą się jéj chcieli poddać. Tego się wcale nie obawiamy, widząc tę zasadę przeprowadzoną oddawna w Królestwie Polskiém, w W. Ks. Poznańskiém i w innych krajach, znając oprócz tego nader uciążliwe warunki, jakim się w Galicyi szukający pieniędzy bez namysłu poddają. Zresztą jeżeli się kto solidarności poddać nie zechce, wolno mu do towarzystwa nie przystępować; poddający się jéj dobrowolnie nie może zaś narzekać, jak to słusznie mogliby uczynić właściciele dóbr zmuszeni do dawania gwarancyi pomimo że nie chcą lub nie mogą zaciągać pożyczki.

Korzyść z podziału pożyczek na okresy i serye wynikająca tak jest widoczna, iż rozwodzić się nad tém byłoby zbytecznem. Za takim podziałem idzie z jednéj strony podniesienie się i ustalenie kursu listów zastawnych, z drugiéj strony zaś dla stowarzyszonych możność częstego odnawiania pożyczek i przychodzenia do nowego kapitału bez powiększenia opłacanych rat. Żeby zaś te korzyści stały się widocznemi, potrzeba naznaczyć ile możności jak najkrótszy termin amortyzacyi, odpowiadający długości życia ludzkiego. Tak dla

zaciągającego pożyczkę, jak dla kupującego listy zastawne najdłuższy jest termin lat trzydziestu, przy którym pierwszy może się spodziewać, iż dożyje umorzenia i odnowienia pożyczki, drugi zaś ostatecznego terminu wylosowania. Dla zbliżenia tego terminu w celu ustalenia dobrego kursu listów i żeby się cieszyć nadzieją odnowienia pożyczki jeszcze za życia, zaciągający takową chętnie przystanie na płacenie większego procentu amortyzacyjnego *).

Jeżeli zaś każdy trzydziestoletni okres podzielony będzie na serye, w takim razie właściciel dóbr, co lat kilkanaście biorący do rąk nowy kapitał, może interesa swoje dobrze urządzić, długi kolejno spłacać, gospodarstwo podnieść lub nowym nabytkiem dobra swoje powiększyć; jego wierzyciele zaś, widząc dla siebie coraz większe bezpieczeństwo w miarę rosnącego umorzenia pożyczki towarzystwa i pewni, że jéj odnowienie wkrótce nastąpi, będą takowego oczekiwali cierpliwie.

Instytut kredytowy pozwala wprawdzie zaciągać na nowo upłaconą część pożyczki, ale przy nader wolnéj amortyzacyi i złym kursie listów zastawnych — głownie zaś przy zbyt małych pożyczkach — nie przynosi to prawdziwéj korzyści właścicielom dóbr. Przeciwnie w Kongresówce, daleko więcéj różnemi wojnami zniszczonéj, pożyczki co lat 14 odnawiane uratowały bardzo wielu od zguby, dopomogły innym do należytego urządzenia majątków i wpłynęły przeważnie na utrzymanie stosunkowo wysokiéj ceny ziemi, równoważąc nawet w znacznéj części wpływ okropnych stosunków, w jakich się dziś kraj ten znajduje.

Nowy Bank hipoteczny nie może nakładać solidarnéj odpowiedzialności na swoich dłużników, musi więc gromadzić znaczne kapitały zapasowe, których użyciu odpowiadać będzie większe lub mniejsze zaufanie do papierów przez Bank wydawać się mających. Co się tyczy terminu ich spłaty, ma on być różny, a przy losowanych nieoznaczony, co za błąd uważamy, pomimo przykładu danego przez bank wiedeński. Sądzimy bowiem, iż łatwiéj jest uzyskać dobry kurs dla jednego gatunku papierów, jak dla kilku, a stosunkowo zły kurs listów

* Który najstósowniéj daje się oznaczyć na 2% wraz z kosztami administracyi i podatkiem dochodowym.

zastawnych przez bank narodowy wydawanych dowodzi, jak niekorzystnie wpływa brak terminu wylosowania.

Cały kraj i dyrekcya Instytutu kredytowego uznały, iż rozwojowi tegoż Instytutu kredytowego najwięcéj stała na zawadzie zbyt ograniczona wysokość pożyczek. Rzeczywiście bowiem tylko duże, często powtarzające się pożyczki mogą wyjść na korzyść dłużników, wierzycieli i całego kraju. Pierwszych postawiłyby w możności spłacenia uciążliwych długów prywatnych, drugim dałyby możność odebrania kapitałów bez kłopotu i kosztów, całemu krajowi zaś przyszłyby w pomoc przez uruchomienie kapitałów uwięzionych na hipotekach, przez dostarczenie gospodarzom funduszów potrzebnych na wkłady i popęd gospodarstwa przez ułatwienie nabycia ziemi i przez ściągnięcie do kraju kapitałów zagranicznych pod korzystnemi warunkami.

Korzyść z tego względu wynikająca bywa częstokroć podawana w wątpliwość, z powodu, „iż kapitaliści zagraniczni, biorąc od nas procenta, wyzyskują nas i zubożą.“ Byłoby to prawdą, gdyby nam obcy kapitaliści narzucali pieniądze pod uciążliwemi, przez nich nałożonemi warunkami. Ale wcale co innego jest ściągać do kraju kapitały zagraniczne pod dogodnemi warunkami, na tak mały procent, na jakim w kraju nikt poprzestać nie zechce. Lepiéj zaiste byłoby, gdybyśmy tego nie potrzebowali i gdybyśmy mogli sobie samym wystarczyć — świadczyłoby to bowiem o naszéj zamożności. Niestety, nie możemy się jeszcze nią pochwalić i zmuszeni jesteśmy szukać pieniędzy za granicą. Jeżeli zaś z czasem obniży się u nas stopa procentowa, jeżeli przez zabiegliwość i oszczędność trochę grosza uzbieramy a włościanie nasi, zamiast zakopywać pieniądze, zaczną ich produkcyjnie używać, któż nam wtedy zabroni wykupić choćby wszystkie listy zastawne rozrzucone po świecie? W nadziei, że kiedyś do tego przyjdzie, szukajmy tymczasem pieniędzy tam, gdzie ich pod najkorzystniejszemi dla siebie warunkami dostać będziemy mogli.

W tym celu i żeby zaciągających pożyczkę z towarzystwa ochronić od uciążliwéj dopłaty różnicy kursu, należy się starać o zapewnienie listom zastawnym jak najlepszego kursu i jak największego pokupu za granicą. Do tego służy, oprócz pewności, którą w solidarności upatrujemy i odpowiedni pro-

cent, — oznaczony nie zbyt daleki termin wylosowania, — pewna, wiadoma, nie powiększająca się bez końca ilość listów zastawnych i przecież dość znaczna, żeby mogła stanowić przedmiot spekulacyi i handlu, — dobry zarząd towarzystwa, — udzielani · pożyczek na zasadzie sprawiedl wego oszacowania, — nakoniec surowe i szybkie ściąganie zaległości.

Żaden papier czteroprocentowy nie może się dziś utrzymać przy mnóstwie różnych obligacyj i akcyi dających po 7 do 10%. Listy zastawne przynoszą według kursu obecnego tylko 5¼ do 5½%; gdyby więc były pięcioprocentowe, stałyby na 90 do 85%, a niezawodnie jeszcze wyżéj, gdyby im zapewniono odbyt za granicą.

W tym celu potrzebna jest natychmiastowa wypłata wylosowanych listów zastawnych, uskuteczniana, równie jak wypłata kuponów nietylko w kraju, ale także w Wiedniu, Wrocławiu i Berlinie, potrzebne téż jest znaczne powiększenie listów zastawnych, gdyż nikt się nie pyta o to, czego niema w handlu.

Zarzucą nam niezawodnie, iż przy większych pożyczkach 1. raty, teraz trudne o ściągnięcia, będą niezmiernie zalegały; 2. że ułatwienie pożyczek przyczyni się do ruiny majątków. Pierwszy zarzut ma pozór prawdy za sobą, opiera się przecież na fałszywem przypuszczeniu. Dotychczasowe małe pożyczki Instytutu kredytowego nie zmniejszają ciężarów, owszem powiększają je, gdy przeciwnie znaczne pożyczki mogłyby właścicieli dóbr uwolnić od płacenia części dotychczasowych procentów. Najlepiéj to przykład wyjaśni: Kto ma np. 20000 długów i płaci od 10000 po 5%, od 5000 po 7, a od 5000 po 10% (każdy przyzna, iż to procent bardzo mierny), jeżeli pożyczką w listach zastawnych spłaci owe 10000, musi na dopłatę kursu dopożyczyć 2500, czyli przybędzie mu do płacenia kilkaset reńskich procentu i dług wekslowy, o którego pozbyciu się będzie wprzód myślał, jak o zapłaceniu rat Instytutowi. Gdyby zaś nie 10000 ale 27000 mógł zaciągnąć, spłaciłby wszystkie długi, a przybyłoby mu nie całe 300 fl. do płacenia rocznie. O ileż korzystniejszym okazałby się ten stosunek, gdyby listy zastawne dobrze urządzonego towarzystwa stały prawie *al pari*, równie jak w często zdarzających się wypadkach, iż procent opłacany wynosi nie 5, 7 i 10, ale

24% lub więcéj! Pozbycie się takich długów mogłoby zmniejszyć ciężar opłat o ¼ lub o połowę, a wtedy jakże łatwo byłoby uiszczać raty towarzystwu!

Co do drugiego zarzutu przyznajemy, iż wielu z zaciągających pożyczkę może ją strwonić lub na złe użyć, ale nie widzimy w tém dostatecznéj przyczyny pozbawienia całego kraju tego dobrodziejstwa. Wszakżeż nie wahamy się używać nożów, które niektórym ludziom służą do poderznięcia sobie gardła.

Nie wdając się w sąd o czynnościach dyrekcyi Instytutu kred., ani w stawianie wniosków co do przyszłego zarządu Banku kred. smucić się musimy, że ich organizacya nie może wzbudzić takiego zaufania, jakiém się cieszą wybierane przez stowarzyszonych władze towarzystw kred. w Kongresówce, w Poznańskiém i t. d., przy czém decentralizacya czyli zaprowadzenie dyrekcyi szczegółowych (mogących z większą znajomością miejscowych stosunków przedsiębrać oszacowanie i przyznawać pożyczki, jakotéż pilnować, czy dobra pożyczką obciążone, nie ulegają zniszczeniu) i zebrań okręgowych dla wyboru członków dyrekcyi głównéj nie małą gra rolę. Nie mozoląc się nad wynajdywaniem nowych kombinacyi, naśladujmy więc pod tym względem i pod wielu innemi, długoletniém doświadczeniem wypróbowane urządzenia tych towarzystw, nad które nic lepszego wymyślić nie zdołamy.

Żeby zaś uprościć formalności przystąpienia i przyspieszyć udzielanie pożyczek, potrzeba znów, oprócz dobrego urządzenia dyrekcyi, pomocy rządu w celu uproszczenia form prawnych, a mianowicie zaprowadzenia zmian w urządzeniu hipoteki, przy czém dawne krakowskie przepisy i dotąd w Królestwie obowiązujące za wzór posłużyć mogą. Najważniejsze z nich są: zaprowadzenie osobnych ksiąg dla każdéj własności, urządzenie ksiąg hipotecznych rozstrzygających, że tak rzekę, na poczekaniu, rozdzielenie tabuli lwowskiéj na hipoteki okręgowe *), a przedewszystkiem dozwolenie wciągania do ksiąg

*) Przy udzielaniu pożyczek towarzystwa możnaby z wielką łatwością przyjść do dobrego urządzenia hipotek okręgowych, gdyby wykazy hipoteczne, które każdy zaciągający pożyczkę przedkładać musi, były następnie składane w właściwym sądzie krajowym. Wkładając

hipotecznych nowego długu na miejsce dawnego, jednym aktem przez podstawienie. Dodalibyśmy tu jeszcze życzenie, żeby pożyczki z towarzystwa kred. zaciągane być mogły bez proszenia o zezwolenie niższych wierzycieli, którzy na tém nietylko stracić nie mogą, ale zyskują dla swoich kapitałów coraz większą pewność w miarę, jak się pożyczka towarzystwa umarza i zbliża termin jéj odnowienia. Nakoniec chcielibyśmy, ażeby, jeżeli nie prywatne wierzytelności, to przynajmniéj tak zwane widerkaufy były spłacane listami zastawnemi *al pari*.

Wysokość pożyczek może się opierać tylko na oszacowaniu nieruchomości, które żeby było sprawiedliwe, powinno być przedsiębrane przez członków dyrekcyi szczegółowych z przyzwaniem innych stowarzyszonych, których interes, jako solidarnie odpowiedzialnych, jest gwarancyą, że na szkodę towarzystwa działać nie będą. Dotychczas obowiązujące w Austryi przepisy nie mogą być użyte przy szacowaniu dóbr przez towarzystwo, a mianowicie nie należy wcale do wartości liczyć niepewnego prawa propinacyi, ani osobno szacować budynków, które na wsi o tyle mają wartość, o ile są potrzebne i które żadnego dochodu nie przynoszą; nie powinny więc być dodawane do wartości ziemi, lecz przeciwnie od wartości ziemi należy potrącić koszt potrzebny na postawienie budynków niezbędnych, bez których rola nie może nieść dochodu. Przy takiém szacowaniu należy téż mieć wzgląd na dobre urządzenie gospodarstwa leśnego, zapewniające pewny i stały dochód z dóbr. Takie słuszne uwzględnienie rządności i porządku zrobiłoby wiele dobrego krajowi.

Im ostrzejsze będą kary, im sprężystsza i szybsza egzekucya, naturalnie z możliwém uwzględnieniem w pojedynczych wypadkach nieszczęść przypadkowych, niezasłużonych, tém większa pewność dla listów zastawnych, tém większe do nich zaufanie, a nawet tém większa korzyść dla dłużników. Znaczne kary pieniężne na zalegających, natychmiastowa sprzedaż realności, bez poprzedniego oszacowania, w razie nieuiszczenia

---

na każdego takiego właściciela obowiązek, stosunkowo wcale nieuciążliwy (w Królestwie sprawienie nowéj księgi z wciągnięciem do niéj aktów ze staréj kosztuje około 100 złpol.) sprawienia księgi dla siebie mielibyśmy odrazu rozwiązaną większą część tego zadania

dwóch rat po sobie następujących: są to rzeczy wprawdzie przykre, lecz niezbędne, i, jak powiedzieliśmy, wychodzące nawet na korzyść dłużników, których zmuszają do regularnego uiszczania się i tym sposobem chronią ich od zbytecznego nagromadzenia się zaległości. Fundusze z kar zebrane mogą posłużyć w części do utworzenia funduszu rezerwowego, w części zaś do skrócenia terminu amortyzacyi; nie będą więc stracone dla stowarzyszonych.

Skreśliwszy pobieżnie główne zasady, na jakich towarzystwo kredytowe — które i na miasta działalność swoją rozszerzyć może — opierać się winno, zostaje nam jeszcze do spełnienia najtrudniejsze zadanie, mianowicie: wykazanie, jaką drogą do jego urzeczywistnienia przyjść można.

Solidarna odpowiedzialność nie wystarcza do zapewnienia regularnéj spłaty kuponów i wylosowanych listów zastawnych. W początku, dopóki z kar i oszczędności pewien kapitał zebrany nie zostanie, potrze a na to innych funduszów. Bank hipoteczny zabrał w znacznéj części kapitały miejskie, na te więc nie wiele rachować można, zwłaszcza, że towarzystwo kredytowe nie może tak prędko obiecywać bezpośrednich zysków. Przedstawiają nam się trzy drogi do rozwiązania téj trudności:

1. użycie funduszu zapasowego Instytutu kredytowego;
2. udzielenie przez sejm kapitału zakładowego;
3. zebranie go przez subskrypcyę w gronie niewielu bogatych ludzi, albo w całym kraju za pomocą wypuszczenia akcyi.

Pierwszy środek jest najłatwiejszy, jeżeli nań przystanie dyrekcya Instytutu, bo w takim razie zapewne Sejm nie będzie miał nic przeciwko temu. Czy zaś dyrekcya zgodzi się, nie wiemy i rozbierać tego nie będziemy, zdaje nam się to przecież rzeczą wątpliwą z powodu, że potrzebne jest zupełne przeobrażenie Instytutu kredytowego, równające się jego zniesieniu i zastąpieniu przez nowe towarzystwo.

Dlatego prędzéj moglibyśmy rachować na fundusz krajowy, gdyby jego użyciu nie stała na zawadzie wysokość płaconych dotąd podatków. Uchwalenie nowego dodatku na ten cel byłoby zapewne słuszne i ciężar ztąd dla kraju urosły wynagrodziłby mu się sowicie, ale trudno przypuścić, ażeby

taka uchwała powziętą została przy ogólnéj niechęci, nawet niemożności zwiększania podatków. Zostaje więc właściwie tylko droga subskrypcyi, która o tyle udać się może, o ile przekonanie o potrzebie założenia prawdziwie dobrego towarzystwa kredytowego i o pożytku ztąd dla wszystkich mieszkańców kraju płynącym (z wyjątkiem lichwiarzy), wdroży się w przekonanie ogółu.

Tą drogą powinienby się zebrać dostateczny kapitał, zwłaszcza, że mógłby być składany w papierach procentowych, których towarzystwo nie potrzebowałoby sprzedawać, zastawiając je tylko w razie potrzeby, a następnie oddawałoby je właścicielom w miarę wzrostu oszczędności, które po dojściu do pewnéj sumy mogłyby w części być przeznaczone na premie dla składających się na początkowy fundusz zapasowy.

Gdyby się zgodzono na zebranie kapitału zakładowego przez subskrypcyę, należałoby zostawić Instytut kredyt. swemu losowi, a założyć towarzystwo kredytowe, któremu z czasem mógłby sejm przekazać fundusze krajowe w posiadaniu Instytutu zostające.

Może delegaci nasi do raichsratu znajdą czas zastanowić się nad tą kwestyą żywotną i naglącą, a jeżeli coś postanowią, nie będzie im zapewne trudno uzyskać zatwierdzenie rządu. Ich światłéj rozwadze polecamy więc jak najmocniéj tę sprawę.

Kończąc; jeszcze słowo o Banku hipotecznym. Spodziewamy się i wierzymy, iż będzie dobrze prowadzony, ale brak solidarnéj odpowiedzialności zaciągających pożyczkę, prywatny charakter zakładu, różnorodność papierów przez niego wydawać się mających, nieoznaczony termin spłaty listów zastswnych losowanych, wielość interesów, które równocześnie ma prowadzić, nakoniec na pierwszém miejscu stojący zysk akcyonaryuszów, zmuszający Bank do brania od dłużników większego, a płacenia właścicielom listów zastawnych mniejszego procentu — wszystko to zapowiada, iż zakład ten nie zastąpi towarzystwa kredytowego, obok którego miałby zawsze dość do czynienia, gdyby naśladując bank polski w tém, co ten ma dobrego, dawał zaliczki na płody rolnicze i wyroby

przemysłu, dostarczał funduszów na zakładanie fabryk, na zakupno machin i narzędzi rolniczych i t. d. i t. d. Przy takim podziale pracy mogłyby zakwitnąć obiedwie instytucye i wydać błogie dla kraju owoce, zwłaszcza, jeżeli zarząd Banku hipotecznego będzie, obok korzyści akcyonaryuszów, miał także dobro ogółu na celu.

Cezary Haller.

Kronika literacko-artystyczna.

Odczyty popularne w Krakowie. — Wystawa obrazów. Zimowy kurs teatralny. Monografia Mogiły. — X. Pękalskiego: Historya zakonu Bożogrobców. — Nowy tom Pamiętników 18go wieku, wyd. Żupańskiego. — Z r. 1866 rachunki przez Bolesławitę.

Nadużywszy trochę karnawałowych uciech, a to szczerze powiedziawszy i nad możność materyalną i nad zdrowy zmysł moralny, postanowił Kraków unieść się podczas postu w sferę bardziéj duchową. Odczyty na korzyść Towarzystwa pomocy akademickiéj, pp. Majera, Kremera, Łepkowskiego, Karlińskiego, Kuczyńskiego, Dunajewskiego, L. Siemieńskiego, Szujskiego i Oettingera, odczyty p. I. I. Kraszewskiego o „Boskiéj komedyi Danta" były pełne. Zapisujemy ten fakt, jako pocieszający i budzący nadzieję, że szczęśliwie wprowadzone odczyty chociażby w czasie postu, co rok pojawiać się będą. Funduszem zgromadzonym w tak łatwy sposób da się nie jedna łza osuszyć, nie jeden piękny cel dopiąć. Cel ekonomiczny lub dobroczynny łączy się tutaj z intellektualnéj potrzeby zaspokojeniem, a co ważniejsza dobroć serca prowadzi często do zysków głowy. Na sercu nigdy nam nie brakowało: głowy nigdy dosyć wyposażyć nie można. Dodajmy do tego znakomite korzyści, jakie z spotkania publiczności z ludźmi pracy naukowéj płyną i to korzyści obopólne, dodajmy owo zbawienne potrącenie chęci badania, które prelekcya popularna, chociażby tylko do godziny ograniczona sprowadza a nie będziemy wątpić, że szczęśliwie wprowadzone, staną się prawdziwą umysłową potrzebą miasta, jak się to dzieje w Warszawie, w Paryżu i indziéj.

Wiosna przyniosła nam jak zwykle wystawę obrazów, nie liczną, bo zaledwie sto kilkadziesiąt numerów liczącą, mniej świetną, jak nie jedna dawniejszoletnia, zawsze jednak godną uwagi i bliższego rozpatrzenia się. O zagranicznych gościach, między któremi głowa Amerlinga (N. 88) i kilka pięknych widoków oko nęcą, mówić nie będziemy boć wystawa nasza krakowska mało złotych z tamtąd nęci rybek, szczególniéj w roku, gdzie wysta-

wa świata w Paryżu stoi otworem. Zwracamy się wyłącznie ku obrazom naszych malarzy.

Tutaj przyznamy się szczerze, że co rok oglądając się za obrazami religijnemi, szukaliśmy ich i tego roku nadaremnie. Dziwne to zjawisko, to zaniedbanie u nas rodzaju, który tak ku sobie pociągać powinien, który w motywach narodowego uczucia i fantazyi, tyle świeżego mógłby znaléść pożywiołu. Każdy naród przynosi z sobą pewien odrębny odcień chrześciańskiego ideału, a porównywając szkołę religijną niemiecką, z hiszpańską, włoską lub francuską, znajdziemy w każdéj wybitne piętno odrębnego pojmowania tych samych wielkich postaci chrześciańskiego świata, piętno popularne, ludowe. Są to niby skrzydła domorosłe, które z każdej strony ziemi ku niebu niosą, jest to miara niebios, wzięta z życia ziemi, z doświadczeń i przejść ludzkich..... Dosyć przypatrzeć się nabożeństwu ludu naszego, posłuchać jego kantyczek, wczytać w naszego Zaleskiego i Lenartowicza, aby się przekonać, że istnieje u nas świat czysto-polskiéj, właściwéj nam religijności, że ideały nasze chrześciańskie mają odmienną postać i barwę od tych, które się w obrazach mistrzów niemieckich i włoskich znalazły..... Czemuż ten świat tak mało dotąd nęci malarzy naszych, czemu religijne malarstwo zepchniętém jest dotąd w sferę rzemieślnictwa, dostarczającego obowiązkowych do kościoła dekoracyi? Czy niebyłoby rzeczą pożądaną, aby owe obrazy przeznaczone do wiejskich kościołków, szły na wystawę?

Pomiędzy malarzami, wyszłemi z łona krakowskiéj szkoły kilku zwracało się ku religijnym przedmiotom. W p. Izydorze Jabłońskim upatrywaliśmy wbrew krytykom prawdziwe ku temu uzdolnienie, głębokość myśli i ciepło uczucia. P. Andrzej Grabowski objawial wiele motywów z fantazyi ludowéj wziętych, w swoich szkicach religijnéj treści, p. Cynk szczęśliwie zaczął śmiercią św. Jadwigi, która przed kilkoma laty była na wystawie. Na obecnéj spotykamy się zaledwie z jednym obrazem religijnym p. K. Sagnowskiego z Wiednia. Obraz zanadto jeszcze pogrążony w objęciach szkolnéj rutyny wiedeńskiéj, zanadto przypominający konwencyonalne obrazy Fiericha, aby mu prócz pewnego chwalebnego stopnia doskonałości w wykonaniu technicznem, wiele przysądzić można, cieszymy się jednak, że p. Sagnowski tą poszedł drogą i życzymy, aby na niéj wytrwał.

Malarstwo historyczne, w którém się Matejko tyle wsławił, uśmiecha się szczególniéj artystom naszym... Mamy F. Sypniewskiego b i t w ę p o d W a r n ą, Młodnickiego: M a r y n ę M n i s z c h ó w n ę, K. Mireckiego: dwa obrazy z Z y g m u n t e m Augustem, Jaroszyńskiego: A t a k n a S z w e d ó w i p o w r ó t G r a ż y n y z pobojowiska, mamy z n i e s i e n i e k l a s z t o r ó w w K o n g r e s o w e m k r ó l e s t w i e; Wł. Łuszczkiewicza obraz dużych rozmiarów przedstawiający J a n a K o c h a n o w s k i e g o

czytającego w domowém kółku psalmy. Do historyczno-rodzajowego policzyć należy także lutnistę podsłuchanego przez panny dworskie K. Mireckiego.

O przedmiocie wybranym przez p. Sypniewskiego powiedzieć musimy, że wymaga, zdaniem naszem większéj kolosalności, więcéj rozwinięcia siły indywidualnéj, którą się bitwy średniowieczne odznaczają. Niebrak obrazowi p. Sypniewskiego ruchu i życia, bohater Władysław, chociaż na drugim planie od razu wpada w oko, ciągnące zewsząd chorągwie pogan świadczą wymownie o zupełnéj klęsce, ale kompozycya nie zdaje się nam wystarczającą na obraz, sprawiający silne wrażenie, przejmujący grozą wypadku, który wstrząsał Chrześciaństwem. O ataku szlachty braci na Szwedów, i powrocie Grażyny, powiedzieć musimy, że p. Jaroszyński widoczne w kolorycie poczynił postępy, że w kompozycyi nie umie się dotąd ustrzedz od rażących często niestósowności. Do takich policzyć musimy w piérwszym obrazie owego przechylającego się w tył szlachcica, który może być prawdziwym, ale estetycznym nie jest, w drugim samą bohaterkę a mianowicie szyję bohaterki, niedopisującą warunkom piękności..... Rymwid wypadł wcale dobrze.

P. Młodnickiego Maryna Mniszchówna, natchniona Agaj-Hanem, jest nieszczęśliwym obrazem. Jakąkolwiek była Maryna, wyobrażamy ją sobie piękną: Maryna p. Młodnickiego ma być przerażająco fantastyczną, w rzeczy saméj jest brzydką. Leżące na ziemi carzątko, żółte jak wosk zamiast tragicznego robi szpitalny effekt. Najlepszy Zarudzki w głębię obrazu cofnięty. Nie życzylibyśmy artyście pozostawać na téj błędnéj i dzikiéj drodze, tém bardziej, że p. Młodnicki posiada niepospolite warunki techniki, które i w Marynie objawił.

P. Kazimierz Mirecki sprawił na wystawie przeszłorocznéj pomyślne wrażenie swoim Wacławem Potockim z ciekawemi i dobrze malowanemi akcessoryami martwemi. Na teraźniejszą wystawę dostarczył pracowity artysta cztéry obrazy staranną i biegłą malowane ręką. P. Mirecki lubi mieszać rodzajowość z historycznością, co mu się wszakże niezupełnie szczęśliwie udaje. Zygmunt August przy sarkofagu Barbary w kaplicy Stanisława Augusta razi nas, bo wiemy, że Barbara nie leży w Krakowie, że ją król wywiózł do Wilna, niechcąc aby spoczywała w miejscu, gdzie tyle cierpień przebyła. Czyliż właśnie ten konwój żałobny nie byłby dostarczył artyście malowniczego przedmiotu? Błąd przeciw historycznéj prawdzie w rzeczach znanych powszechnie, musi razić i psuć wrażenie. Scena miłosna w wileńskim ogrodzie trochę za konwencyonalna, illustracyjna.... Najlepszym i najlepiéj malowanym jest niezaprzeczenie lutnista podsłuchany przypominający kompozycye flamandzkiéj szkoły.

Zniesienie klasztorów p. Pikarda ma wiele myśli i powagi. Kilka postaci mniszych wcale się artyście udało, wprowadzenie starego pomnika, z lepszych czasów, pomnika brata, który pozostanie w opustoszałym kościele, można nazwać szczęśliwym pomysłem. Drugą stronę reprezentuje carski ukaz na ścianie i kilka żołnierskich postaci w głębi. Trochę za mało. Niepowiemy także, aby figury mnichów wyczerpały przedmiot wszechstronnie, aby oprócz powagi miały dosyć religijnego poczucia ważności chwili.

Kochanowski czytający psalmy prof. W. Łuszczkiewicza, prowadzi nas w uroczy świat dostojnego a wykształconego towarzystwa, którego obrazy poeta w swoich fraszkach pozostawił. Poeta czyta stojąco, w pozie poważnéj i prostéj, otaczają go Piotr Myszkowski, biskup krakowski, Mikołaj Rej z Nagłowic, Bielski i pani Hanna trzyma Urszulkę na kolanach. Chwila to letnia, popołudnie pełne brzęku pszczół i dalekiego zwoływania przepiórek w zbożu. Koloryt obrazu znacznie lepszy od kolorytu poprzednich dzieł professora: pragnęlibyśmy wszakże jeszcze więcéj decyzyi, pewności, świetności. Przyznamy się także, że wolelibyśmy Urszulkę spinającą się do kolan matki niż siedzącą na nich, zapatrzoną instynktowo w ojca „ucieszną śpiewaczkę“ niż owo pulchne i niewiedzieć dlaczego nagie dziewczę.... chcielibyśmy w twarzy Kochanowskiego więcéj zapału wieszczego.... W ogóle mniéj archeologii a więcéj odwagi twórczéj.....

Marya i miecznik p. Cynka otrzymała zasłużoną pochwałę od recenzenta „Czasu.“ Obraz to serdeczny, pełen wewnętrznego życia, umiejętnie i pracowicie wykonany. Chwila szczęśliwie obrana a urok poezyi otacza obie postacie. Obraz ten graniczący z rodzajowemi rozpoczyna szczęśliwie szereg najpiękniejszych produkcyi tegorocznéj wystawy, do których zaliczamy szczególniéj rekrutacyę Kotsisa i odpust na Mazowszu Kostrzewskiego.

Znany korzystnie z kilku pięknych rodzajowych obrazków p. Kotsis, w których na tle wiejskiego pejzażu postacie naszego ludu przedstawiał, objął szerszemi ramami scenę pełną wymownego wyrazu, pełną wzruszającéj tragiczności, któréj każdy z nas tyle raz się w życiu przypatrywał. Jest to pochód rekrutów. W scenie téj rozwinął pan Kotsis znakomite bogactwo pomysłów i właściwą sobie poważną, że nie powiem łzawą humorystykę. Na kilkudziesięciu twarzach i postaciach grają skutki jednego wypadku i wiążą je w artystyczną jedność. Kilka figur wysuniętych do pochodu, matka w żałobnéj sukni, żegnająca syna w ułańskim mundurze i skrajna grupa, z młodego dorodnego wiejskiego chłopaka, starego gospodarza ojca i siedzącéj na ziemi staréj matki złożona — stanowią główną treść obrazu; symboliczny rzeźnik niechętne cielę prowadzący i uśmiechający

się garbusek są smętno-ironiczną jego stroną. Najmniéj przemawia do nas owa pani w żałobie z ułanem i chłopięciem w polskim stroju, chociaż uznajemy sens i potrzebę téj grupy do całości; najwięcéj grupa po prawéj, w któréj mianowicie stara wieśniaczka mistrzowską nakreślona jest ręką. Ile tu prawdy w postawie, w twarzy, jaka prostota w pojęciu i przedstawieniu! Przewybornym jest także ów proletaryusz w grupie przodowéj na którego czole napisano tak wyraźnie, że nie ma domu ani rodziny, że obojętném mu jest owo wzięcie w rekruty, bo niepozostawia nic za sobą, bo nie płacze go nikt i on za nikim nie płacze. Prawdziwe *chair a canon*, z którym kapral uczący mustry niemało zażyje kłopotu. Przylepione na ścianie gmachu urzędowego odezwy odnoszą scenę do niedalekich wypadków, przypominają Königsgrätz i Sadowę....

Obraz pana Kostrzewskiego łączy dziki pejzażu z życiem rodzajowego obrazka. Wybornie malowany kościołek wiejski, z grupami kiermaszowemi — dzień letni, parny, niebo zaciągające się chmurami — oto wszystko, czego potrzebował artysta, aby nas zająć i do podziwu nakłonić. Z właściwą sobie trafnością chwycił p. Kostrzewski typy wieśniaków, przekupniów, dziadów — typy parafiańskie podstarościch i prowincyonalnych dandysów, a jeżelibyśmy mu co zarzucili, to chyba zbytek humorystyki, wybijającéj niemiłosierne dziury w dachu dzwonnicy i otaczającéj oddaloną karczmę krzywo chodzącemi czcicielami Bachusa.

Dużych rozmiarów płótno, uderzające jasnym kolorytem poświęcił p. Stryjowski z Gdańska przedmiotowi, który się każdemu dziwném wydać musi. Szlachcic w czerwonym kontuszu, sarmackiéj miny stoi z dwoma po staroświecku ubranemi brunetkami na zarosłym jakimś żydowskim cmentarzu; ku niemu zwraca się grupa cyganów z pięknym, po węgiersku ubranym skrzypkiem na czele. W oddali widać morze. Wiemy, że za dawnych czasów świecił nad Baltykiem kontusz, że szlachta bracia na Żmudzi graniczy z zielonemi falami morza, możemy sobie wyobrazić, że szlachcic mógł się na żydowskim cmentarzu spotkać z cyganami — ale co artystę skłoniło do zestawienia morza, cmentarza żydowskiego, cyganów i szlacheckiéj rodziny, niepopobna wytłomaczyć. Nierozumiejąc obrazu, nie możemy mówić o jego myśli: o wykonaniu niejedna pochlebna rzecz powiedzieć by się dała.

Pomiędzy mniejszemi obrazkami: Gustawa Budkowskiego: „Góralka tatrzańska“ figura pełna prawdy i pięknie malowana, Leopolskiego: „Żyd przed kantorem loteryi, uśmiechający się do złotych marzeń fortuny,“ słusznie zwracają uwagę. H. Lipińskiego, którego dotąd na wystawie nieoglądaliśmy: „Gra w guziki“ ma wiele szczęśliwych stron i pięknym jest dla młodego malarza początkiem. Mniéj przemawia do nas p. Koza-

kiewicza „Dorobkowicz szukający się w herbarzu,“ może dla tego, że typ przedstawiony rzadko się tam szuka, p. Bogu c-kiego: „Krawiec polityk“ trochę zanadto w karykaturę przechodzi.

W malowaniu wnętrzów p. Gryglewski utrzymuje się w swojéj sprawiedliwie nabytéj sławie. Część kościoła maryackiego z cyboryum na przodzie odsłania nam piękności oryginału, których cenić dosyć nie umieliśmy, bo pokazuje nam je zlane w piękną, harmonijną całość. Wnętrze kościoła św. Anny Swierzyńskiego ma szczęśliwie rzucone światło i kilka pracowitych a udatnych szczegółów, mianowicie wierzch ółtarza: szkodzi obrazowi zbytni ciężar kapitelów, rażący w kościele a mocniéj jeszcze w obrazie, niemniéj figurki pobożnych zaniedbane i niekształtne. P. Wojnarowski dał pracowite i ciekawe wnętrze kaplicy św. Kazimierza w Wilnie.

Krajobrazów dostarczyli pp. Leon Dębowski, Marszewski, Grabiński H., Swieszewski Aleksander. Rzeźbę reprezentuje tylko p. Gadomski Walery, krakowianin. Gipsowa grupa przedstawia Jeremiasza, podnoszącego bolesną głowę ku niebu — u kolan jego kobieta pogrążona w martwocie i zadumie cierpienia, u stóp kobiety dziecko z otwartemi usteczkami, z których przed chwilą uleciało życie. Niezwykliśmy przesądzać myśli artysty ani własnych podawać poprawek, wyznamy wszakże szczerze, że o ile oddajemy należytą słuszność pięknéj anatomii dziecka i kompozycyi obu dolnych postaci, o tyle nie możemy się zgodzić na złożenie ich w grupę w sposób, jak złożone zostały.— Refleksyjną postawę matki przypuszczamy raczéj u Jeremiasza, niż u matki dziecięcia, w ostatnim razie zgodzilibyśmy się na wyraz proroka, gdyby matka wyobrażała nam naturalny stopień moralny wyższy drażliwością, niższy duchową potęgą od proroka. Michał Anioł wyobraził Jeremiasza z spuszczoną głową— przyciśnionym i zadumanym, jeżeli p. Gadomski chciał ją podnieść, potrzebował na to wymowniejszéj postaci u stóp jego, potrzebował większej gwałtowności ruchów w postaci Jeremiasza, więcéj szturmującéj nieba siły w wyrazie jego twarzy. Patrząc na grupę, obawiamy się, aby owa niewiasta, więcéj panująca nad sobą, chociaż osobistą dotkniona boleścią, nie chciała pocieszać tego, który zbiorowe czuje cierpienie.

Wypomniawszy o odczytach i wystawie, niepodobna nam nie powiedzieć słowa o teatrze, który świeżo Kraków opuścił, udając się na zwykłe letnie exkursye. Kurs tegoroczny odznaczył się chwalebnem postępem tak pod względem gry jak repertoarza. Zapisaliśmy swego czasu piérwszą Szekspira reprezentacyę, a oto niebawem wyszły na deski komędye: „Wiele hałasu o nic“ i „Ukrócenie przekory,“ odegrane z starannością, na jakie przedmiot zasługiwał. Widzieliśmy na scenia „Maryą Sztuart“ i „Wilhelma Tella“ Szyllera: „Donnę Diannę,“ zna-

komity utwór hiszpańskiego poety Moreta. Z przyjemnością wyznać musimy, że każdy prawie artysta okazywał znakomite postępy i składał się wedle sił do całości. Publice uczęszczającéj gotowibyśmy także powiedzieć słowo uznania, na które szczególniéj przy reprezentacyach sztuk szekspirowskich zasługiwała, gdyby nie fatalne w końcu rozmiłowanie się kapryśnéj téj pani w prestidigitatorstwie p. Epsteina, które jéj sztuczki nad sztukę przenosić kazało.

Na stole księgarskim niestety! kilka zaledwie nowych znaleść mogliśmy publikacyi. Towarzystwo naukowe podało w ostatnim miesiącu piękną i obszerną pracę monograficzną o „Mogile, opactwie Cystersów pod Krakowem“ która rozpoczyna szereg zbiorowo dokonywać się mających opisów celniejszych miejscowości w okolicach Krakowa. Oprócz wiadomości historycznéj znajdujemy tam pogląd geograficzny na położenie Mogiły p. Adama Górczyńskiego, studya artystyczne nad zabudowaniami klasztornemi w ogóle, cysterskiemi w szczególności p. Wład. Łuszczkiewicza, uposażenie klasztoru Cystersów p. Hip. Seredyńskiego, biografie Opatów przez Konstantego Hoszowskiego, krótką rozprawę o mogile Wandy p. Józefa Łepkowskiego, grobowce i pomniki kościoła mogilskiego, wreszcie obszerny i ciekawy dyplomataryusz, wydany staraniem X. E. Janoty, mieszczący 192 dokumentów od 1220 do 1732 sięgających.

O ważności prac podobnych mówić nie widzimy potrzeby. Niepodlega wątpliwości, że zwłoka w ich podjęciu naraża na nieobrachowane straty. Z każdym rokiem ginie wiele z spuscizny przeszłości, z każdym rokiem specyalne studya konieczniejszemi się stają. Ciała zbiorowe, jakim są Towarzystwa naukowe, są naturalnemi stróżami zabytków i pamiątek; przyklasnąć więc tylko możemy myśli, jaką podał p. Józef Łepkowski oddziałowi archeologicznemu. Niejednostajności stylu, rozmiaru, sposobu pisania niedającéj się uniknąć w pracy zbiorowéj, nikt zapewne za złe nie poczyta, bacząc na pomoc, jaką mu książka podaje. Polecićby można chyba — jednę ekonomię w podawaniu przedmiotu, ograniczenie się do rzeczy nowych i prawdziwie ważnych, unikanie drobiazgów, unieszczęśliwiających przyszłego badacza, który książki potrzebować będzie.

Niemogąc w szczupłych ramach kroniki zająć się szerzéj obszerném dziełem „o Mogile“ zwrócimy uwagę czytelnika na piękny i nowy u nas artykuł p. Władysława Łuszczkiewicza, znanego już zaszczytnie z badań na polu archeologii architektury polskiéj. Mieliśmy aż do zbytku rysunków i opisów budowli przeszłości naszéj, opisy te wszakże i rysunki, nieoparte na umiejętném badaniu, nie odsłaniały nam ani tajemnic sztuki ani świadczyły o rodzaju życia. W swoich „zabytkach przeszłości“ rzucił się p. Łuszczkiewicz pierwszy z prawdziwém zamiłowaniem na to odłogiem leżące pole a jego rysunki kościoła

i klasztoru św. Katarzyny, zamku melsztyńskiego, dębnieńskiego, tęczyńskiego, fortyfikacyi różnowskich pozwoliły nam wglądnąć w stare naszych przodków budowy. Żałowaliśmy tylko zawsze, że rysunkom brakowało obszerniejszego tekstu i przypisywaliśmy ten brak, niechęci do pióra. Artystyczna wiadomość o Mogile, napisana nie tylko z znajomością rzeczy i poczuciem ale z wdziękiem, powinnaby przełamać ten wstręt w artyście i skłonić go, aby do zajmujących rysunków swoich dołączał rozprawy tyle pożądane. W ogóle mówiąc, pośpiech w badaniu budowli i pomników naszych, coraz potrzebniejszy, choćby dla honoru. Pan Essenwein wydał ostatniemi czasz obszerną swoją pracę „o zabytkach średniowiecznych Krakowa“ (*Die mittelalterlichen Kunstdenkmäler der Stadt Krakau)*, która może mieć swoje braki i błędy, która wszakże przewyższa wszystko, co w Polsce o zabytkach sztuki w Krakowie wydano. Pracując na miejscu, możemy śmiało przewyższyć pracę p. Essenweina dokładnością i precyzyą, jakoż kościoły krakowskie p. F. Pokutyńskiego (dotąd zeszytów trzy) zaspakajają pod tym względem najwybredniejsze wymagania: nie wolno nam będzie wszakże cofać się z umiejętnéj i badawczéj podstawy, na któréj p. Essenwein przedmiot postawił.

Co dla dziejów klasztoru mogilskiego uczyniło Towarzystwo naukowe krakowskie, to dla zakonu XX. Kanoników stróżów grobu Chrystusowego (Miechowitami lub Bożogrobcami zwanych) starał się uczynić ostatni żyjący ich w Polsce reprezentant X. Piotr Pękalski. W obec namiętnego prześladowania zakonów ze strony schyzmatyckiéj Moskwy, charakterystyczném jest to zajmowanie się klasztorném życiem u nas; tracąc je w przeważnéj przestrzeni ziemi polskiéj, rozpatrujemy się z rzewném uczuciem w jego zasługach i znaczeniu. Praca X. Pękalskiego nie jest obszerną i mieści tylko główne przedmiotu zarysy: jest ona wszakże pożytecznym przyczynkiem do dziejów kościoła. Przykrość sprawił nam tylko niepotrzebny spór z artykułem p. Michała Koczyńskiego: „o bursach“ umieszczonym w dziele „Zakłady uniwersytetu krakowskiego.“ Rozsądzać go nie jest naszą rzeczą, pragnęlibyśmy wszakże więcéj umiarkowania w polemice z człowiekiem, którego charakter poręcza, że bezzasadnie, lub z namiętności nie byłby chciał wdawać się w wywody prawne między uniwersytetem jagiellońskim a zakonem XX. Bożogrobców.

Pan Konstanty Żupański wydał w ósmym tomie swych Pamiętników 18go wieku, tłumaczenie dosyć już dzisiaj rzadkiéj książki Wojdego: *Versuch einer Geschichte der letzten polnischen Insurrektion im J. 1794.* Wybór trafny: książka Wojdego ma wiele wartości a niełatwo znaleźć drugiéj z owych czasów, któraby przychylność dla sprawy narodowéj z trzeźwiejszym sądem łączyła. Dzieła p. Hoffmanna: „O reformach

politycznych w Polsce," po którym się wiele spodziewamy, nie oglądaliśmy dotąd w Krakowie i zachowujemy je sobie do przyszłego zeszytu.

Najgłośniejszą ostatniéj chwili książką są niezawodnie „Rachunki z r. 1866," przez Bolesławitę (wyd. Żupański) z dewizą na czele: *All is true.* (Wszystko jest prawdą). Krajowe dziennikarstwo poświęciło książce Bolesławity nie jednę kolumnę a czytelników jéj niebrak, co niezawodnie w dzisiejszym marazmie niepospolitą jest jéj zasługą.

Przedmiot w istocie zarówno obszerny, jak ważny. Rachunki z r. 1866 są oczewiście rachunkiem sumienia narodowego, poglądem na jego stan obecny, na jego moralne usposobienie, na jego grzechy i wady.... Niemałe przedsięwzięcie — ale kompetencyi trudno odmówić człowiekowi, który od lat trzydziestu stanowił sam osobną rubrykę umysłowego i literackiego życia w narodzie, który znakomitym talentem trudną, do uwierzenia pracowitością i skrzętnością budził do koła siebie życie duchowe, który obecnie w tułactwie bawiący, zachowuje żywy związek z krajem ojczystym. Zdanie takiéj osobistości o sprawach naszych w r. 1866 niedziw że sprawiło wrażenie, że rozciekawiło i poruszyło.

Wyznamy szczerze, że nam z niemałą trudnością przychodzi wypowiedzieć zdanie o tém zdaniu, sąd o tém sądzie, już to dla tego, że książka mało zawiera faktów, dowodów, a więcéj osobistego zapatrywania się autora, już dla tego, że z każdéj karty jéj tchnie pewna drażliwość uczucia, którą umiemy szanować a któréj obrażać nie mielibyśmy ochoty. Bolesławita nie bardzo łaskaw dla młodéj generacyi, okazał się łaskawym dla autora niniejszéj rubryki w Przeglądzie, jako pracownika na polu historyi i literatury. Ta okoliczność uwalnia nas przynajmniéj od zarzutu, że to, co napiszemy, napiszemy osobiście dotknięci, bo gdyby pochwała obowiązywała do wzajemnéj pochwały, jak się to niestety w niejedném kółku literackiém dzieje, musielibyśmy w zamian za uznanie tak znakomitego pióra bezwzględnie chwalić „Rachunki." Wolimy się jednak odwdzięczyć szanownemu autorowi wypowiedzeniem przekonania naszego, choćby to wypowiedzenie było „apodyktyczném" — przysądzając sobie wprawdzie mniejsze prawo mówienia o kraju ale niemniejszą jego miłość — a co w tym wypadku bardzo jest ważném, wiarogodność naocznego świadka ostatnich lat po 1863.

Na 15 stronnicy książki swojéj przypisał autor emigracyi możność najbezstronniejszego sądu o sprawach krajowych. Nieczując „żółci do nikogo" przypisał i sobie, jako wychodźcy, możność tegoż bezstronnego sądu. Otóż nie myślimy, aby charakter wychodźcy dawał mu tę możność i widzimy przeciwnie że ten charakter właśnie odebrał mu bezstronność. Ktokolwiek bacznie książkę Bolesławity przeczyta, spostrzeże w niéj wybitną cechę szarpiącéj

się w obczyznie duszy, tęskniącéj za krajem i nużącéj się oddaleniem, które jej się bezczynnością wydaje. W jednym i tymże samym rozdziale grają często najrozmaitsze uczucia, wyrozumiałość i oburzenie, rezygnacya i zniecierpliwienie gorączkowe, nadzieja graniczy z zwątpieniem i prawie rozpaczą. Że nieprzesadzamy, świadczyć nam będzie stronnica 28, gdzie autor rzuciwszy straszliwy obraz usposobienia krajowego — obawia się, że za lat dziesięć, jeźli na téj drodze dalej wytrwamy, trzeba będzie szukać Polaków między Dnieprem a Wartą. Wyznamy szczerze, że szanując to drażliwe usposobienie, jak szanujemy każdą boleść, nie możemy przecież przyznać, aby do bezstronności wieść mogło. Prócz ogólnikowych zarzutów nie spotkaliśmy w książce Bolesławity popartych faktami zaskarżeń, prócz ogólnikowych rysów sytuacyi, nie spotkaliśmy poważnego i racyonalnego z nią obrachunku co więcéj, nie spotkaliśmy ani wyraźnéj rozprawy z objawiającemi się kierunkami pracy w narodzie ani wyraźnego programu na przyszłość. A przecież sąd bezstronny wymagałby co najmniéj dokładnego przedstawienia rzeczy, oparcia jéj na podstawie przeszłości, wymagałby motywów wyraźnych, punktów wyjścia dodatnich. Możemy Bolesławicie ręczyć, że i w kraju naszym niebraknie ani szczeréj boleści, ani poczucia narodowego nieszczęścia, możemy mu ręczyć, że na każdéj piersi ciąży całą wagą poniesiona klęska, aczkolwiek objawy bolesnego usposobienia mogą być różne. Ale godzi się nam wątpić, czy to bolesne usposobienie da się zmienić i odwrócić, jeżeli rzucimy garść niezupełnie uzasadnionych zarzutów, jeżeli drogę narodu nazwiemy drogą do apostazyi.

Postaramy się o bliższe rozprowadzenie naszéj myśli. W prześlicznym ustępie na 45 stronnicy nazwał autor dzieje lat ostatnich, marzeniem, poematem, epopeją raczéj niż życiem na ziemi, żądał dla nich historyka-poety. Naprężenie to ducha, trwało aż do r. 1861, w którym zolbrzymiało jeszcze i sprowadziło wybuch 1863... nacechowany najpotężniejszém uczuciem jakie kiedykolwiek w piersi ludzkiéj mieszkało..... Upadek powstania, sprowadził upadek ducha i dziś kończy autor „Królestwo, zabrane kraje, Galicya pod naciskiem ostatnich wypadków wyrzekły się długo piastowanego uczucia miłości ojczyzny w tém rozumieniu, w jakiém go dawniéj brano.“ Otóż, może najważniejszy ustęp książki cechujący stanowisko autora. W konkluzyi zgadza on się na kierunek praktyczny, kierunek pracy organicznéj, ale obawia się, abyśmy dla niego nie zapomnieli o ojczyznie. Przeciwko sposobowi rozumowania, tonowi artykułu, przeciwko obawom wypowiedzianym w końcu, przeciw nazwaniu kierunku dzisiejszego ultrapraktycznym, czujemy się obowiązani wystąpić, choćby w imieniu tych młodych głosów, które się w Galicyi za zmianą naszego frontu narodowego odezwały. Żadnéj epoki życia naszego, choćby najpiękniejszéj nie czujemy się w prawie brać jako poemat i patrzeć na nią przez szkło poetyczne, bo nie jesteśmy kochankami Ojczyzny, którzy się

zachwycają jéj męczeńską urodą ale czujemy się jéj synami, którzy ręce łamią nad jéj opłakanym stanem. Przymuszeni zatém jesteśmy wnieść w najbliższą przeszłość światło zdrowéj krytyki, przymuszeni jesteśmy zapytać się, dlaczego cofnęły się nasze granice, oddaliły widoki przyszłości, dlaczego matka nasza głębiéj pogrzebioną została. Cierpienia i ofiary lat ostatnich umiemy szanować, umiemy otoczyć częścią, ale nie możemy grzeszyć zbytniém zaufaniem w miłosierdzie boskie, że te cierpienia i ofiary staną nam za chleb ducha, który warunki realne bytu i utrzymania się narodu uczyni zbędnemi. Musimy w dziejach tych ofiar i poświęceń ocenić składowe pierwiastki, musimy sprawę zdać sobie, o ile uwzględniały sytuacyę narodu, o ile wychodziły z sumiennego obrachunku z rzeczywistością. Szanujemy czasy zapału i nieobrachowania, bo one powiększyły obóz narodowy, ale chcielibyśmy, by odtąd czyn nasz żaden nie był ani skutkiem wybujałości uczucia, ani skutkiem słabości, ulegającéj uczuciowym prądom. Pragniemy naprężenia ducha, ale nie takiego, który nie umie panować nad sobą i sytuacyą. Nie chcemy przez to przypuszczać, aby nasza miłość ojczyzny się zmieniła, ale przypuszczamy bardzo, że w dawne formy nic się wtłoczyć nie da, co raz z nich wyszło, że wielkie i stanowcze wypadki zmieniają usposobienie narodu. Chcieć sztucznemi środkami galwanizować dawny kierunek, uważalibyśmy za rzecz daremną, ewidencya faktów jest zanadto wielką. Dopóki młodzież nasza Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego i innych koryfeuszów naszéj literatury czytać będzie, dopóki się obznajamiać będzie z dziejami narodu, nie potrzebujemy się obawiać, aby w niéj duch narodowy wygasł, aby epoka ostatnia była daremną i bezowocną, chociażby ta młodzież oddawała się najrealniejszym studyom. Owszem, ufamy tak dalece potędze naszéj narodowości, naszéj literatury, naszéj myśli dziejowéj, że chociażby jedna generacya w przeważném staraniu o materyalną restauracyą przeżyła, to synowie téj generacyi nie będą przez to gorszemi Polakami, a idealny kierunek może z harmonią pożądaną i życiodajną z realnym się ułoży, mamy przekonanie, że wyzbycie się intellektualnych potrzeb bywa bardzo często skutkiem zupełnego materyalnego upadku, że nawzajem materyalne podniesienie się rodzi samo z siebie potrzebę intellektualnego zaspokojenia. Mamy przekonanie, że podobnie jak z haniebnego politycznego upadku wznieśliśmy się pomimo niewoli, odrodzili i rozwielmożnili duchowo, tak za łaską Bożą, możemy podołać i innym koniecznym, ludzkim warunkom odrodzenia, któreśmy dotąd pomijali. Ale do tego potrzeba więcéj jak obawy nieustannéj o upadek ducha narodowego, która prowadziła do explozyi, potrzeba wiary w niepokonaność, w treść tego ducha, która poprowadzi kiedyś do czynu.

Jeżeli chodzi o przechowanie ducha narodowego i spuścizny przeszłości, to przyznamy się, że pragnęlibyśmy zawsze dokładnego określenia zasad pierwszego i rzeczy godnych przecho-

wania z drugiej. Chcielibyśmy i w tem krytyki i wyboru. Niedosyć jest wziąść z epoki minionéj pewne uczucia i pojęcia i przechowywać je w drugiej, trzeba jeźli nie twórczością, to energiją zastósowania współzawodniczyć z poprzednikami..... Duch narodowy jest to wyrażenie tak nadużyte przez monopolistów, przez skrajne stronnictwo, przez ideologów i mistyków naszych, że naród ma prawo żądać skromności w jego używaniu a przynajmniej definicyi..... Jeżeli panowaniem ducha narodowego ma być stan naprężenia, wywołanego agitacyą — toć dosyć doświadczyliśmy już tych agitacyi i naprężeń abyśmy ich sobie życzyć mogli; abyśmy nie mieli na czele naszych usiłowań położyć przetworzenia ujemnej strony charakteru narodowego, zarówno skłonnego do gorączki, jak do następującéj po gorączce martwoty. Nie idealna więc ojczyzny miłość, nie chwytanie napowietrznego jakiegoś, wymarzonego ideału przyszłéj Polski, wydałoby się nam przechwywaniem ducha narodowego, ale płynące z zgodnego przekonania, z energii charakteru przywiązanie do tego, co było naszą istotą, naszą tradycyą, naszą missyą, czemu sprzeniewierzywszy się, upadliśmy. Do tych zasad narodowych policzylibyśmy wiarę katolicką, połączoną z chrześciańską tolerancyą dla innych wyznań a miłością dla ludzi innego wyznania. Do tych zasad policzylibyśmy ideje wolności, równości, przywiązania do zachodniéj cywilizacyi i zachodniego Chrześciaństwa. Do tych zasad policzylibyśmy nasze myśli o rządzie i rządzonych z złotego wieku naszego, nasze myśli o potrzebie karności i zgody społecznéj z ostatnich lat naszego bytu. I żądalibyśmy dla nich więcéj jak męczeńskich manifestacyi od czasu do czasu powtarzających się, ale usilnéj i wytrwałéj pracy, gdzie możebna, przechowania ich tradycyi, gdzie praca publiczna miejsca mieć nie może — żądalibyśmy przyzwyczajenia narodu do codziennéj orki tego rodzinnego zagonu!

Nie myślimy, abyśmy w tem pojmowaniu narodowego ducha innéj byli z szanownym autorem „Rachunków“ myśli..... A przecież przymuszeni byliśmy dotrzéć do definicyi, aby mu powiedzieć, że nie co innego pojmujemy pod kierunkiem realnym i nie innego pragniemy dla narodu kierunku, aby mu powiedzieć, że pomiędzy męczeńską śmiercią, za idealną Polskę a życiem dla Polski, pojętéj jednozgodnie, wyraźnie, z świadomością, jest różnica, jaka jest między szlachetnym porywem a żywotem pełnym trudów i pracy.....

Tyle o punkcie wyjścia szanownego autora. Krytyka krajowych stósunków, w wielu miejscach trafna i bystra, cierpi ogólnie na ten brak orzeczenia, czego żądać, czego pragnąć należy. Mówiąc o Galicyi, dał tego szanowny autor liczne dowody. Pomijamy już ironiczny predykat jaśniewielmożnéj, pomijamy ironiczne uznanie jéj znakomitości (str. 73), które mogłoby nie jednego źle uprzedzić o bezstronności autora: zwracamy tylko

uwagę na owe główne zarzuty zacofania, niechęci społecznych, bezowocnego krzątania się, zwracamy uwagę na smutne horoskopy stawiane prowincyi, która dzisiaj, bądź co bądź, ma jeszcze warunki rozwoju narodowego przed sobą..... Wierzym w życie nowe, kończy Bolesławita, bo go życzym.... Ale z kąd ono wytryśnie ...... nie wiemy.“ Uznajemy z szanownym autorem zacofanie, niechęci społeczne, brak energii prowincyi naszéj a wierzymy, nie dlatego tylko, że życzymy. Wierzymy, bo patrzeliśmy na to, jak ta prowincya zacofana, która pierwej oderwaną została od Rzeczypospolitéj, niż W. ks. Poznańskie, królestwo kongresowe i większa część krajów zabranych, która wystawioną była na wszelkie experymenta waśniącego umyślnie żywiołu obcego, prowincya, zostająca pod wpływem wyrachowanéj na obskurantyzm edukacyi i wycieńczającego soki żywotne systemu ekonomicznego, podnosiła się pod względem narodowym i podnosi, złożenie jéj społeczne było odmienném od innych dawnéj Rzeczypospolitéj krajów, w wschodniéj części możni panowie i zaścianki, w zachodniéj gniazdowa szlachta, do półpankowstwa skłonna, objęcie przez obcy rząd przypadło w chwilę najprzykrzejszą, powszechnego upadku ducha po konfederacyi barskiej. Od dalszych dziejów Polski była Galicya odciętą, dostała się w cień niewoli którego nie rozświeciło ani słońce 3 Maja, ani powstanie Kościuszki, nie zaznała ani wolnych księstwa warszawskiego ani autonomicznych królestwa Alexandrowego rządów.... Nielekceważmyż tych względów przeszłości i bądźmy wyrozumiałymi. Nie wprowadzajmyż prowincyonalizmów niewoli, a jeżeli je uznawać musimy, odrachujmy przyczynę od grzechu, starajmy się dociec co wpłynęło na wyrobienie osobnego charakteru Galicyi..... Przedewszystkiem zaś uznajmy, że od krwawéj katastrofy w r. 1846 rozpoczyna się w niéj epoka nowa, budzi literatura, życie polityczne, przyrasta zastęp intelligencyi, otwierają się od czasu do czasu przyjaźniejsze widoki. Nie omylimy się może, mówiąc, że ten przebieg historyczny, wprost dziejom innych zaborów przeciwny, jest główną przyczyną nieporozumienia między innemi zaborami a Galicyą..... Kocha i Galicya ojczyznę i dała tego dowody w roku 1831 i 1863 umie się i ona poświęcać, ale ta Galicya wyszła z innéj szkoły doświadczeń. Pomimo chaotycznego swego stanu które Bolesławicie tak niewierząco każe wierzyć w jej przyszłość mogła ona z oddalonéj nawet przeszłosci przechować niejedno, czego gdzieindziéj natrafić trudno. Mogły się w ciągu lat doświadczenia urodzić w jéj głowie myśli, którym Bóg swego błogosławieństwa nie odmówi. Wielokroć wytykana palcami nie dozwoliła ona przecie ponękać się niemieckiemu żywiołowi, nie wypuściła ojcowizny z ręku, zasymilowała niemało przybyszów....

Wierzymy więc w jej przyszłość, jeżeli Bóg będzie łaskawym a spodziewamy się postępu jéj — od sejmu krajowego, od rad miejskich i powiatowych, od coraz liczniejszych towarzystw i sto-

warzyszeń, chociażby niejedno przedsiewzięcie było próbą, macaniem drogi..... Dla pojaśnienia zaś dodać musimy, że w żadnym razie zakładanie prywatnych szkółek nie może być ważniejszym od projektu komisyi edukacyjnéj, bo prywatnych szkółek zakładać w Galicyi nie wolno — a chociażby było wolno, nie prowadziłyby one do celu przy trwającéj ludu wiejskiego nieufności. Praca więc nad ryczałtowem zaprowadzeniem dobréj edukacyi ludowej, jest zarówno konieczną jak jedyną.

Najwymowniejszym ale i najboleśniejszym dla nas jest niezawodnie w Rachunkach artykuł o wychodźtwie. Autor zarzuca krajowi nietylko niechęć, ale prawie nienawiść do wychodźtwa — a zarzut trafia głównie Galicyę. Trudno tej niechęci zaprzeczyć, trudno ją uniewinnić, ale nie trudno wytłómaczyć. Datuje ona z czasów powstania, z nieszczęśliwej kwestyi centralizacyi Rządu Narodowego i autonomii galicyjskiéj. Owa to smutna lukta między-zaborowa, od któtéj się i Bolesławita nie uchował, owe dawne wyrzuty, że Galicya nie ma ducha narodowego, że to kraj reakcyjny, że powstaniu niedostatecznie pomagał, że był siedliskiem partyi kontrarewolucyjnéj — stały się, szczerze to powiedzieć musimy, przyczyną rozdrażnienia, które niejedno zatwardziło serce. Przyzna nam szanowny autor, że nieprzyjemną jest rzeczą słuchać takich wyrzutów, jeżeli się słyszy drugi, że zbytnia gościnność Galicyi psuła ducha powstania. Jest to coś wedle przysłowia: Za twoje myto, kijem cię obito. Należałoby, jak szanowny autor uważa, a jakeśmy to przed dwoma laty w liście do p. Popiela napisali, zacząć od ogólnéj amnestyi — ale obopólnéj, obustronnéj. Nie wątpimy wcale, ze przy stósownéj inicyatywie ze strony emigracyi i kraju, za ustanowieniem poręczającego, niepolitycznego komitetu zagranicą, Galicya, chociaż uboga, znalazłaby jeszcze i z pod serca wydobyła fundusze dla tułaczéj braci. W nagrodę żądałaby tylko niewytaczania sprawy, która już i tak staje przed sądem historyi, a poruszana ustawicznie, kwasy tylko rodzić może.

Z ciekawych i wiele trafnych uwag zawierających artykułów o dziennikarstwie (Galicya i tutaj najsilniejsze odebrała cięgi), teatrze, sztuce, literaturze, wyjmujemy tylko dwie sprawy, osobiście nas niejako obchodzące, wspomnienie o Matejce i o „Przeglądzie polskim“. Bolesławita należy do licznych osób, gorszących się obrazem: Upadek Polski, a to ze względu narodowego. Wypowiedzieliśmy zdanie nasze o obrazie w grudniowym zeszycie Przeglądu i nie cofamy. Pojmujemy krytykę artystyczną, wobec któréj cały rodzaj, kombinujący historyczność z alegoryą, chybionym wydać się może, zgadzamy się, że wolelibyśmy Matejkę malującego przedmioty dodatnie naszej historyi, ale nie przypuszczamy, aby dzieło jego na paryzką wystawę posłane miało hańbę przynosić narodowi, albo mu nawet szkodzić. We krwi naszéj przelanéj za niepodległość zmylibyśmy tysiące ta-

kich obrazów i scen rzeczywistych ; jeżeli ta krew nie była wymowną, jeżeli obraz malarza mówi do zagranicy głośniéj niż nasze czyny i cierpienia — toć oczywiście ani na nią zważać nie warto! W każdym razie obraz może powiedzieć. ze jest w Polsce człowiek, co zakomicie maluje, a jeżeliby ktoś zagłębił się w jego znaczenie, że naród, z którego łona ten obraz wyszedł, przedstawia sobie w strasznych kolorach chwilę swego upadku i więcej na siebie, jak na przemoc winy ładuje. A nawiasem wyznać należy, że wina przemocy nie jest jeszcze w historyi usprawiedliwieniem ponękanego. O tem — nie potrzebują się Francuzi dowiadywać z obrazu. Przesadził téż Bolesławita, zowiąc obraz po studencku malowanym.... Może on zdawać się komuś hipokondrycznym, chorobliwym nawet, może być zbyt alegorycznym, ale za studencką przeszedł dawno wraz z autorem, ktory ma niepospolitą zaletę, że bardzo długo i bardzo na seryo był studentem.

Na zdanie szanownego autora o Przeglądzie polskim, jakoby był zbyt galicyjskim, odpowie nasz prospekt, słuszność zarzutu, że mało przegląda, chętnie przyznajemy i jako redaktor Kroniki bierzemy winę na siebie. *Paullatim majora petuntur:* z pomocą kolegów w redakcyi i współpracowników, może się w roku przyszłym wada ta da uchylić lub zmniejszyć, zwłaszcza, jeżeli nie braknie tak zajmujących, tak rozbudzających chęć dyskusyi przedmiotów, jakimi są niezawodnie: Rachunki *).

Józef Szujski.

---

*) Przy oddaniu pod prasę kroniki doszły nas dwa dzieła, wspomniana już Historya reform politycznych w Polsce K. Hoffmanna i Szkic dwuwiekowéj polityki narodu polskiego S. Mieroszewskiego. Rozbiór zachowujemy do lipcowego zeszytu.

Przegląd polityczny.

Kraków 31go maja.

Ktoby był skłonnym do optymizmu i w chwilowem utrzymaniu pokoju chciał upatrywać rękojmię ustalenia zachwianych stosunków europejskich, ten robiąc obrachunek z wypadków ostatniego miesiąca, miałby czém pokrzepić swoje nadzieje, a przynajmniéj zagłuszyć na chwilę obawy i niepokoje. Konferencya doprowadzona do szczęśliwego końca, (rzecz dawno nie widziana), i stwierdzająca podpisami zaręczenie pokoju, prawdziwa procesya monarchów i dyplomatów do Paryża, mająca ten pokój ustalić, i wszystkie sporne sprawy tak po bratersku załatwić, żeby zerwanie jego na długo stało się niemożliwém, niemałe to nadzieje błogosławionego *statu quo*. Ze sprawy luksemburskiéj wojny już nie będzie, a kto wie czy samo nawet widmo wojny wschodniéj nie da się zakląć do spoczynku podróżą cesarza Aleksandra do Paryża, i przyjacielską zgodną rewizyą traktatu paryskiego, na którą czemużby nie miał przystać rząd francuski, który przystał na zeszłoroczny pokój pragski i na wszystko co po nim nastąpiło.

A kiedy dyplomacya po świeżym londyńskim tryumfie obiecuje sobie nowe tryumfy w Paryżu, nie słychać nawet żeby ludy, tak często i niezadowolone i niewygodne, psuły swojém szemraniem wspaniałą harmonię europejskiego koncertu. Włochy i Węgry u celu swoich życzeń, dla Polaków, których czasem po ojcowsku musi skarcić ma przecież cesarz rosyjski najlepsze zawsze zamiary, słowem, patrząc na konferencye, wystawy i zjazdy monarsze, możnaby pomyśleć, że pokój zapewniony na długo, że stan dzisiejszy się nie zmieni, bo i po cóż miałby się zmieniać, kiedy jak zaręczają zgodnie rządy wszystkich mocarstw, *tout est pour le mieux dans les meilleur des mondes.*

Niestety, po téj robocie łatania i podpierania, na któréj uparcie i lekkomyślnie poprzestają dyplomaci tam gdzie ludzie

stanu zakładaliby raczéj fundamenta pod nowy budynek, znać coraz bardziéj, że nie jest to trwała choćby na jakiś czas restauracya, ale coraz powierzchowniejsze i coraz nietrwalsze ogipsowanie. Spór o Luksemburg zakończony to prawda, ale nie zakończona sytuacya stworzona Francyi ostatniemi pruskiemi zwycięztwami i zaborami, niepolepszone jéj stanowisko, upokorzenie jéj nie zatarte. Podróż króla pruskiego do Paryża da naturalnie powód do urzędowych z obu stron zapewnień przyjaźni i najlepszych stosunków, ale polityka pruska zmierzająca do celu prędzéj i coraz bezwzględniéj, ale pogłoski o wcieleniu Wgo Księstwa Badeńskiego do Prus, będą z każdym dniem więcéj niepokoić i obrażać nie już francuską miłość własną, ale francuski patryotyzm, i doprowadzi w końcu do zerwania, które tylko odłożone zostało na przyszłość.

Nie próbując odgadywać dyplomatycznych tajemnic, ani zapuszczać się w kombinacye bystre a bezpodstawne, wolno przecież domyślać się, że prawdopodobieństwo wojny z Prusami jest prawdziwym powodem téj grzeczności Francyi względem Rosyi, która jeżeli zbliżeniem jeszcze nie jest, może do zbliżenia na czas pewien doprowadzić. Od początku swego istnienia jako mocarstwo mają Prusy wiernego sprzymierzeńca w północném carstwie; wszystkich swoich zaborów dokonały z jego pomocą lub przynajmniéj o niego oparte, w każdém nowém przedsięwzięciu przeciw państwom zachodnim liczyć zawsze mogą na poparcie tego państwa, któremu każda szkoda Zachodu zawsze wychodzić musi na dobre. Przymierze to naturalne rozbić i zerwać na czas wojny z Prusami, odciągnąć Rosyę od dawnego wspólnika i okupić jéj neutralność nad Renem choćby wielkiemi ustępstwami nad morzem Czarném, byłoby dla rządu francuskiego grą na pozór dobrą i wskazaną. Dla nas, jak nie ma widoku wstrętniejszego nad wszelkie zbliżenie Zachodu do Rosyi, tak nie byłoby nic zgubniejszego nad ich zbliżenie prawdziwe. Tylko że w takie ich zbliżenie uwierzyć nam trudno, a przeto obojętniéj patrzeć możemy na pozory. Niech się w Paryżu w przewidzeniu wojny pruskiéj jakie chcą układają stypulacye z Rosyą, niech Aleksander II próbuje odgrywać tę rolę Jowisza pośród europejskich bogów, którą z taką arrogancyą i z takiém niestety powodzeniem odgrywał jego stryj i ojciec, a o któréj głoszą dziś wszystkie rosyjskie dzienniki, pewném jest przecież, że zbliżenie Francyi do Rosyi trwałém przymierzem stać się nie może, i że przyjaźń rosyjska dla Francyi w takiéj wojnie trwałaby tylko tak długo, dopókiby oręż francuski nie odniósł stanowczéj nad Prusami korzyści. Jeżeli Francya ustępstwami na Wschodzie zechce zapłacić neutralność Rosyi, zrobi nowy błąd i targ niekorzystny, bo rzeczywistą ceną zapłaci urojony nabytek, a ta sama siła któréj pozwoli rozprężyć się na Wschodzie byle nie działała w środkowéj Europie,

zwróci się przeciw niéj w téj saméj chwili, w któréj zwycięztwa francuskie lub francusko-austryackie zaczęłyby Prusom zagrażać. Dzisiejsze zbliżenie więc i podróż cara do Paryża może być dla nas niemiłym widokiem, może być dla Francyi mylnym rachunkiem, ale, tuszyć to można z zaufaniem, nie stanie się nigdy prawdziwą zgodą ani stałém przymierzem.

Podczas kiedy konferencye i odwiedziny monarchów służą pompatycznie a powierzchownie do przeprowadzenia wielkiego dzieła pacyfikacyi Europy, odbywa się w Wiedniu praca która do téj pacyfikacyi mogłaby się wielce przyczynić, jeżeli będzie prawdziwém odrodzeniem Austryi, a nie nową łataniną, jeżeli przyszły byt tego państwa oprze na opoce rzeczywistych stosunków i słuszności, a nie na lodzie doktryn i teoryi. Odrodzenie Austryi byłoby krokiem ogromnym ku owéj pacyfikacyi, nie téj która pokojem nazywa chwilowe odroczenie wojny, ale téj prawdziwéj, która dąży do stosunków normalnych i chcąc na nich przyszłość ugruntować, poddaje się konieczności wojny jeżeli inaczéj nie może usunąć tych sił przeciwnych, które z naturalnym przez Opatrzność wskazanym porządkiem rzeczy, zgodzić się nie chcą lub z natury swojéj nie mogą.

Podług przyjętego powszechnie ogólnika, położenie Austryi po wojnie pruskiéj byłoby nierównie gorszém jak przed tą wojną; i jeżeli zechcemy patrzeć tylko na stan jéj finansów i na osłabienie armii, to musimy się zgodzić na słuszność tego twierdzenia. Wszelako pod pewnym względem, i to może najważniejszym, położenie to wydaje nam się już dziś lepszém, i takiém, z którego do zupełnie dobrego przejść można. Przed rokiem jeszcze nosiła Austrya w swojém łonie dwie choroby chroniczne, dwa raki które absorbowały wszystkie jéj soki żywotne; jednym była Wenecya grożąca nieustannie i rewolucyą i wojną zewnętrzną, drugim niezłomna opozycya Węgier, która, gdyby się polityka rządu nie była zmieniła, byłaby musiała doprowadzić znowu do rewolucyi, może do oderwania się Węgier od cesarstwa, w każdym razie do wojny wewnętrznéj. Po oddaniu Wenecyi i po dokonanéj ugodzie z Węgrami, ustały te dwa niebezpieczeństwa, ustał ten fatalny stan przymusu i gwałtu, który się zawsze mści na państwach i na dynastyach, i Austrya tém samém zbliżyła się ogromnie do tego wewnętrznego spokoju, do tego zadowolenia poddanych, do téj zgody ludów z rządem, w któréj dla każdego państwa leży warunek bezpieczeństwa i bytu, i który nazywamy normalnym i sprawiedliwym jego stanem. Tego to stanu Austrya jest dziś bliżéj niż była przed rokiem, a jeżeli go w zupełności osiągnąć potrafi, zapewni byt swój, a przezeń i prawdziwą równowagę w Europie, nie dopuszczając supremacyi czy to pruskiéj czy rosyjskiéj.

Nad takiém to dziełem pracować ma zwołana świeżo Rada państwa; ma w krajach niemieckich i słowiańskioh zrobić to co zrobiło się w Węgrzech, to jest stworzyć nowe prawo zasadnicze, które przez rząd i narody dobrowolnie przyjęte, obowiązywałoby i zaspokajało obie strony.

W innéj zaiste myśli i pod inném natchnieniem rządowém byłaby się zeszła owa Rada państwa przeznaczona do wzajemnego się porozumienia, którą w styczniu b. r. zwoływał ówczesny minister stanu hr. Belcredi. Droga którą on iść zamierzał była niezawodnie dłuższa, i do bezpośrednich rezultatów na poczekaniu nie wiodła. Ale właśnie dla tego że poczynała się od porozumienia, wiodła do rezultatów trwalszych, i choć dłuższa była pewniejszą, była dla rządu i państwa lepszą, nie mówiąc już o tém, że dla krajów koronnych była sprawiedliwszą od dzisiejszéj konstytuanty. Czy ta, dzisiejsza Rada państwa spełni to zadanie, o którém mówiliśmy wyżéj, czy je pojmuje, to rzecz inna; ale zadanie jest takie nie inne, a od rozwiązania onego zależy przyszłość wszystkich razem i każdego kraju z osobna.

Posiedzenia Rady państwa zaledwo się rozpoczęły, a były dotychczas tak obojętne, że sądzić jéj jeszcze nie można. W chwili kiedy to piszemy układają komisye projekta do adresów; rozprawy nad temi projektami dopiéro pierwsze wniosą prawdziwe światło w zamysły i zapatrywania Izby. Pisma codzienne idąc za jéj obradami krok w krok, każdéj chwili będą miały sposobność sądzenia jak i o ile Rada państwa zmierza do nadania Austryi konstytucyi trwałéj, t. j. uwzględniającéj prawa i potrzeby wszystkich narodów. Kronikarz miesięczny w mniéj szczęśliwém znajduje się położeniu; jeżeli mu braknie w danéj chwili rzeczywistych podstaw do sądzenia, a domysłami bawić się nie lubi, musi milczeć, a po miesiącu dopiéro rekapitulować znane i nieraz powtarzane wyroki. Wszelako, choć nam zbywa na prawnych dowodach, żeby sądzić, to nie zbywa na poszlakach żeby wnosić i przepowiadać. Ze składu Rady państwa, ze znanych przekonań wielu znaczących w niéj osobistości, można jeżeli nie przewidzieć to przewidywać kierunek jaki wezmą jéj obrady i uchwały, i charakter tych zmian w konstytucyi które ona zaprowadzi.

A pod tym względem nie jesteśmy bez obawy; lękamy się, że Rada państwa zamiast wprowadzić do krajów niemieckich i słowiańskich ten pierwiastek obustronnéj zgody i wszechstronnéj sprawiedliwości, który konstytucyom i państwom nadaje żywotność i trwałość, zapali nową ofiarę doktrynom, zrobi nową, jeszcze jednę próbę, i przedłuży tylko ten stan chaotyczny, ten zamęt dążności, praw, interesów i niechęci, na który monarchia od tak dawna choruje.

Zebrana bowiem na podstawie ordynacyi z r. 1861 mieści Rada państwa w swém łonie przeważną liczbę posłów niemieckich, która to liczba wzrosła jeszcze znacznie w skutku owéj polityki na przebój, którą prowadzili Czesi źle się z siłami swemi obrachowawszy. Fatalne wybory czeskie i morawskie sprawiły, że oprócz trzydziestu kilku głosów polskich i kilkunastu głosów zebranych z Tyrolu, z Krainy, z Istryi i t. d., nie zasiada w Izbie nikt ktoby w autonomii krajów widział i sprawiedliwość i siłę monarchii. Dzienniki dzielą posłów niemieckich na różne stronnictwa i grupy, oznaczone różnemi nazwiskami: centralistów, dualistów, autonomistów i poniekąd słusznie, bo pomiędzy posłami tymi zachodzą liczne i znaczne różnice i odcienia opinii. Wszelako, pomimo wszystkich odcieni, kolor ogólny, dominujący, jest jeden i wszystkim wspólny, niemiecki. Uparci centraliści, którzy dziś jeszcze utrzymują, że Węgrzy powinni zasiadać w Reichsracie, dualiści z potrzeby, którzy fakt ugody przyjmują bo go cofnąć nie mogą, i dualiści z przekonania, którzy w dualizmie widzą najlepszą organiczną formę dla Austryi, są wszyscy, względem téj drugiéj, swojéj, niewęgierskiéj połowy państwa, centralistami i germanizatorami. Mówią i mówić będą o jedném prawie dla wszystkich, o szanowaniu narodowości, ale nie pojmują, żeby kto mógł żądać jeszcze czego innego, jeżeli ma prawo wybierania do Reichsrathu, to prawo jedno dla wszystkich, a zdaje im się, że prawa narodowości szanują i czynią im zadość, jeżeli pozwalają żeby nie-niemiec był do tego Reichsrathu wybranym. Jakiekolwiek są ich zapatrywania na kwestyę ugody z Węgrami, która główną między nimi stanowi różnicę, w tém są wszyscy zgodni, że sprawy niewęgierskich krajów skupić należy w jednym centralnym parlamencie, którego coraz większe atrybucye dawałyby istotną wolność..... większości tego parlamentu, zawsze niemieckiéj.

Na tym wspólnym gruncie stojąc, dzielą się posłowie niemieccy dopiéro podług swego zapatrywania na sprawę węgierską, na pewne grupy, których dotąd trzy można rozróżnić i naliczyć.

Pierwszą stanowią zatwardziali zwolennicy konstytucyi lutowéj, wierni nie jak politycy, nie jak fanatycy nawet, ale jak wyznawcy fetyszeizmu, zacięci do zaślepienia. Fakt sześcioletniego oporu Węgrów, fakt ugody z Węgrami, wszystko to dla nich nie ma wagi, nie istnieje; jedyną rzeczą którą uznają jest tak zwana nieprzerwalność prawna ustawy lutowéj. W szeregach tego stronnictwa błyszczą w Izbie niższéj imiona byłych ministrów z gabinetu pana Schmerlinga, panów, Lassera, Plenera, Pratobevery; w Izbie wyższéj zaś zastępuje ten kierunek sam pan Schmerling i dwaj z jego czasów prezesowie dwóch Izb, panowie Lichtenfels i Hasner. Jaka okaże się siła liczebna tego

stronnictwa w Izbie niższéj, dziś dokładnie obrachować się nie da, wszelako przyjąć można za pewne, że siła ta będzie nader małą w porównaniu z siłą dualistów, i że gdyby stronnictwo to chciało nawet opinii swojéj dać wyraz donośniejszy nad proste mowy, co jest wątpliwém, to ulegnie przewadze drugiego obozu popartego wpływem i usiłowaniami rządu.

Stronnictwo tak zwanych autonomistów, osobistości górujące: panowie Kaiserfeld i Rechbauer, liczy się więcéj z okolicznościami i ugodę z Węgrami przyjmuje bez restrykcyi, nie jako złe konieczne, ale jako prawdziwą deskę zbawienia. Zkąd ma ten tytuł autonomistów? Zapewne ztąd, że za pierwszego Reichsrathu, kiedy teorya o przedawnieniu praw węgierskich wielkiém cieszyła się powodzeniem, oni przecież radzili rachować się z tym krajem. Jeżeli zaś chcielibyśmy tytuł ten wywodzić z ich gotowości do przyznania istotnéj autonomii nie węgierskim krajom, musielibyśmy powiedzieć chyba, że nazywają się autonomistami, *sicut lucus a non lucendo.* Węgrom wszystko, a po téj stronie Litawy Reichsrath z całą pełnią ustawodawczych praw i atrybucyi, oto hasło tych panów i ich dążenie.

Pomiędzy temi dwoma stoi grupa trzecia, którą serce ciągnie do centralizacyi bezwzględnéj, kiedy rozum każe poddać się konieczności, zrzec się supremacyi nad Węgrami, byle ją zatrzymać zupełną i nieograniczoną w zachodniéj połowie państwa. W zastępie tym odznacza się pośród innych postać Dra Herbsta, który podług niektórych dzienników miał zawrzeć alians z poprzednią frakcyą dualistyczną Kaiserfelda. Alians ten wszelako istnieje do dziś dnia tylko jako życzenie; życzenie bardzo naturalne, bo gdyby te dwa odcienia zgodziły się na wspólny program i ze sobą zlały, nabyłyby co najmniéj niezmiernéj w Izbie przewagi, a prawdopodobnie stanęłyby od razu jako większość stanowcza i przemagająca. Zbliżenie to, gdyby doszło do skutku, jak z jednéj strony byłoby na długi czas stanowczą wygraną dla tego stronnictwa, tak z drugiéj byłoby dla autonomistów prawdziwych (Polaków, Kraińców, Tyrolczyków i t. d.) ogromną klęską, bo tak utworzona większość nietylko rozstrzygałaby arbitralnie o uchwałach Rady państwa, ale pociągnęłaby za sobą i dzisiejszych ministrów, i stanowiłaby niemal o zachowaniu się rządu wobec przyszłych zmian konstytucyi.

Rzeczą jest bowiem pewną, że dzisiejszy minister (nie mówimy o ministeryum, bo choć w Radzie korony zasiada kilku ludzi, jeden przecież prowadzi całą politykę), nie ma stale obranéj polityki wewnętrznéj ani programu z góry powziętego, ale czeka, aż się większość jakaś utworzy, żeby jéj program przyjąć i z jéj pomocą rządzić, i... utrzymać się przy władzy. Jedyny warunek, jedyna restrykcya, jaką p. Beust kładzie

i od któréj nie odstąpi, jest, żeby ta większość, jakakolwiek, zgodziła się na układ z Węgrami; jeżeli to zrobi, i jeżeli będzie dość liczną, by innych zawsze przegłosowała, może być pewną, że minister pozwoli jéj robić co zechce, i swoją politykę wewnętrzną do jéj zapatrywań, o zasadach nie mówmy, zastósuje. Sytuacya istotnie dziwna, dająca się wytłómaczyć tém tylko, że ten minister przybywa z innych krajów i stosunków, i tém, że do rekonstytucyi Austryi mniema, iż może przystąpić z tą zaletą dyplomatycznéj zręczności, którą podobno w wysokim stopniu posiada, ale która bodaj czy się dostateczną okaże przy téj herkulesowéj pracy, wymagającéj więcéj może siły, niż gibkości. Nie wiem, czy sama już mowa tronowa nie dowodzi wyraźnie, że rząd co do wewnętrznéj polityki nie zdecydowany, czeka i ogląda się, zanim jakiś kierunek wybierze. Jedno w niéj wypowiedziane silnie, jędrnie i stanowczo, to jest konieczność uznania układu z Węgrami i przykrojenia konstytucyi podług tego układu. Zresztą wszystko elastyczne, wszystko dyplomatyczne, wszystko dopuszcza dwojakiéj interpretacyi. Dla liberałów obietnice hojne, dla krajów koronnych obietnice bytu przynajmniéj, że wnosić można, iż w chwili pisania téj mowy rząd nie myślał uszczuplać jeszcze dzisiejszéj szczupłéj miary ich wewnętrznych narodowych praw i swobód, ale znamion jakiegoś systemu zasad, jakiejś reorganizacyi, reformy *in capite et membris*, próżnobyśmy w téj mierze szukali. Odpowiedzialność ministrów i zmiana paragrafu trzynastego, rzeczy to bardzo cenne, ale nie podwaliny całéj budowy państwa.

Że rząd stanie szczerze i śmiało na gruncie liberalnym, o tém wątpić nie można, a można się z tego cieszyć, bo ze swobód przyznanych część jakaś wejdzie w życie dla tych nawet, dla których one najmniéj są przeznaczone. Wierzymy, że liberalizm dzisiejszego rządu nie będzie pozornym, jak był liberalizm pana Schmerlinga, ale niestety wiemy naprzód, że liberalizm sam Austryi nie podźwignie i nie zbawi. Odpowiedzialność ministrów przed Reichsratem nie zaspokoi żadnéj prowincyi o jéj przyszłą automię nietylko ustawodawczą, ale nawet administracyjną, a autodafe z paragrafu trzynastego nie będzie tą ofiarą pojednania, po któréjby wszystkie ludy Austryi przyjęły przyszłą konstytucyę dobrowolnie i uznały ją szczerze za swoją i obowiązującą. Jest obawa, że nowa próba nie doprowadzi do uregulowania stosunków, i że minister, który myśli rządy swoje stósować do teoryi lub namiętności danéj, przypadkowéj większości, nie wyprowadzi Austryi z chaosu i na stałym gruncie jéj nie postawi. Że w takiém przymierzu zręczny dyplomata potrafii przez czas jakiś utrzymać swoją równowagę i nie spaść, to nie podpada wątpliwości, ale żeby mąż stanu prawdziwy na téj drodze szukał dla skołatanego

państwa konstytucyi, którąby mu dała wewnętrzną moc, długotrwałą czerstwość i stałą równowagę, to do pojęcia trudniejsze.

Bo i cóż ztąd, że Rada państwa w dzisiejszym swoim składzie ułoży i uchwali konstytucyę, która dostanie sankcyę i wejdzie w praktykę? czy się dojdzie tym sposobem do wewnętrznego pokoju? czy jest pewność, że ta ustawa nie zrazi i nie oburzy krajów koronnych tak, że zamiast pracować dla wzmocnienia państwa, jedne popadną w obojętność i apatyę, a drugie zwracać będą tęskne spojrzenia w różne zagraniczne strony? czy nie jest raczéj rzeczą łatwą do przewidzenia, że konstytucya przez większość dzisiejszéj Izby uchwalona właśnie taki będzie miała charakter i takie skutki? a w takim razie, kiedy dojdzie Austrya do normalnego stanu, do wewnętrznéj równowagi i zewnętrznéj powagi? Uchwycić się pierwszego lepszego programu, pierwszéj lepszéj przypadkowéj większości, i z nią rządzić, trud to niewielki, ale i zwycięzstwo nietrwałe i skutki nieobfite i nie daleko w przyszłość sięgające. W tym rozstroju, w tym politycznym i spółecznym rozkładzie, który Austryi grozi ostatecznemi klęskami, nie dać się prowadzić przez przypadkową i sztuczną większość, ale przystało rządowi, który patrzy w przyszłość i o przyszłość dba, wziąść inicyatywę, określić zasady reorganizacyi, postawić program sprawiedliwy i szeroki, i czekać aż się koło niego większość sama zgromadzi, większość prawdziwa, rzeczywista i trwała, większość nie z samych tylko bohaterów gazeciarskiéj opinii, ale z reprezentantów wszystkich narodów podległych temu berłu. Próżno żądać i czekać, żeby w tym odmęcie sprzeczności i niechęci parlamentarna większość niemiecka ułożyła konstytucyę, którąby chętnie przyjęli Polacy, Czesi, Morawianie i Kraińcy, jak zaręczano z góry przed kilkoma miesiącami, że Niemcy nie byliby nigdy przyjęli ustawy ułożonéj przez ewentualną większość nieniemiecką. Zawsze jedna strona narzuci konstytucyę, przeciw któréj będzie druga protestowała, zawsze rozdwojenie i rozbrat. W każdym innym parlamencie ułożenie konstytucyi przez większość byłoby drogą najprostszą, najlogiczniejszą, i dawałoby téj konstytucyi najpewniejsze rękojmie trwałości. Ale w tym, wskutku jego składu z żywiołów najróżnorodniejszych, nie może się wyrobić większość odpowiadająca wiernie rzeczywistym stosunkom ludności, a przeto nie można sobie pochlebiać, żeby ułożona przez tę większość konstytucyjna ustawa, odpowiedziała potrzebom i wymaganiom ludności, żeby mogła być czém inném jak ustawą wymajoryzowaną i narzuconą, którą zmienić i obalić będzie nieochybnie pierwszém tych różnych ludów staranien. W takim stanie rzeczy, jeżeli może się obejść bez oktrojowania, co dla nas dowiedzioném nie jest wcale, to przynajmnié nie może się

obejść bez inicyatywy rządu, bez rządowego programu, do któregoby przystępowały, choćby pomału i stopniowo, opinije różnych krajów i różnych odcieni. Takiego programu dziś nie ma, i dlatego jest obawa, że rząd przyjmie pierwszy, jaki mu pierwsza większość parlamentarna poda, że ta ustawa, sztucznie podtrzymywana utrzymać się da przez lat parę lub kilka, ale nie zabezpieczy ani potęgi Austryi, ani bezpieczeństwa Europy tak strasznie zagrożonego przez Prusy i Rosyę.

Jeden jest punkt stały w dzisiejszéj polityce rządu, ugoda z Węgrami. Rzecz to wielka naprawdę, ale téż taką do niéj przywięzują wagę, tak do niéj spieszą gorączkowo, tak chcą mieć ją jak najprędzéj faktem dokonanym i nieodwołanym, że wszystko inne, sam nawet Reichsrat schodzi nieledwie do marnego znaczenia czczéj formy. Gorzka to ale zasłużona ironia losu, że ci sami, którzy przed dwoma laty jeszcze tak zuchwale prawili o przedawnieniu praw korony węgierskiéj, dziś przyznają z wszelką gotowością, że prawa węgierskie starsze od patentów lutowych i że się cofnąć nie dadzą, że którzy przed dwoma laty niesprawiedliwe i bezczelnie chcieli Węgrom prawa dyktować, dziś pokornie i spokojnie muszą od nich przyjmować prawa. Ale obok téj nauki, którą niejeden z członków Rady państwa powinienby wziąść na uwagę, są i fakta dla znaczenia Reichsrathu samego więcéj charakterystyczne jak pochlebne. Ósmego czerwca odbyć się ma koronacya w Peszcie, ósmego czerwca król węgierski zaprzysiądz ma uroczyście pakt podany mu przez naród. Do ósmego czerwca zaś, parlament centralny drugiéj, równéj połowy państwa nie będzie miał czasu nawet pobieżnie i ogólnikowo wypowiedzieć, jak się na ów układ zapatruje i czy się nań zgadza bodaj w zasadzie, jeżeli nie w osnowie. Tymczasem nikt na to nie czeka, przyjęcie i zaprzysiężenie od tego nie zależy wcale, i cesarz austryacki nie pyta, co obradujący równocześnie austryacki parlament mówi o tych paktach, na które król węgierski węgierskiemu narodowi za dni kilka przysięże. To samo wystarcza, żeby poznać gdzie jest siła; siła jest tam, gdzie jest naród; w Cisleitanii go nie ma, nie ma téż siły i nie będzie, dopóki jéj rząd u narodów nie poszuka i rozwinąć się jéj nie da.

Obok téj siły, jeżeli co zasługuje na uznanie w dzisiejszym rządzie węgierskim, to pewne uszanowanie prawa drugich, którego dowód wymowny złożył świeżo hr. Andrassy z okazyi interpelacyi pana Zsedenyego. Czy postępowanie rządu węgierskiego względem trójjednego królestwa jest zupełnie i wszechstronnie sprawiedliwém, o tém w téj chwili nie mówimy, ale pokazało się jawnie przy owéj interpelacyi, że są prawa, których Węgrzy nie naruszą, choć mają po temu siłę, że są nadużycia siły, któremi gardzą. Wiadomo, że sejm chorwacki teraz

świeżo rozwiązany, stał w ciągłéj opozycyi do węgierskiego. Do aktu koronacyjnego zaś i do dyplomu inauguralnego potrzebna jest obecność posłów z trójkrólestwa, która ze względu na opozycyę sejmu zagrzebskiego wydawała się bardzo wątpliwą. Wnosił zatém p. Zsedenyi, ażeby skończyć rzecz *brevi manu* z tą krnąbrną reprezentacyą, i nakazać wybory bezpośrednie do Sejmu peszteńskiego. Wniosek ten, nie zapowiedziany poprzednio zastał i Izbę i ministrów nieprzygotowanych. Ale prezes gabinetu nie potrzebował namysłu i odpowiedział w téj saméj chwili, na razie, że do takiego kroku rząd nie posunie się nigdy i w żadnych okolicznościach, bo postąpiłby niesprawiedliwie. Otóż, jakiekolwiek są żale Kroatów do Węgrów, a wierzymy, że jest wiele słusznych, choćby tylko sam fakt koronacyi w nieobecności posłów kroackich, odpowiedź ta naczelnika węgierskiego rządu dowodzi, że ten rząd uznaje i szanuje odrębność Kroacyi, i że na jéj prawa, na jéj autonomię administracyjną i ustawodawczą targnąć się nie myśli i nie chce, choćby mógł, bo ma siłę po temu. Zaręczenie to uroczyste i stanowcze świadczy dobrze za rządem węgierskim. Oby było przykładem dla cis-litawskich polityków; oby to, co madyarski pierwszy minister nazwał niesprawiedliwością i krzywdą, nie było dążeniem, ideałem reichsratowéj większości. Dotychczas dążenie to niczém się otwarcie nie obiawiło, ale wielu przypuszcza, że niemieccy członkowie Reichsratu noszą *in petto* myśl i zamiar bezpośrednich wyborów, i że takiéj zmiany konstytucyi zażądają od rządu, że mu za tę cenę dadzą swoje poparcie i pomoc. Czy minister, który większości nie ma, ale za nią dopiero chce gonić, zdoła wobec téj pokusy zachować się tak godnie, tak uczciwie, i tak mądrze jak hr. Andrassy? trudno dziś przewidzieć; dziś tylko wiedzieć można, co delegacyi polskiéj zrobićby wypadało, gdyby aż do tego przyjść miało.

Jaki jest stosunek téj delegacyi do Reichsratu i jakie będzie jéj znaczenie, o tém mówić zawcześnie. Stôsunek do innych stronnictw jeszcze dotąd wyrobić się nie mógł, bo nie było ani czasu ani sposobności. Naturalny i wskazany, przyjacielski stosunek z autonomistami (Tyrolczykami, Kraińcami, Istryanami), łatwo, o ile wiemy, da się zawrzeć. Co do znaczenia zaś, to naturalnie zależeć będzie od liczebnego stosunku innych stronnictw. W razie rozbicia tychże, trzydzieści kilka głosów znaczyć może wiele, niejednę rzecz rozstrzygnąć, a przeto przyjaźń delegacyi polskiéj może być przez wszystkie inne stronnictwa usilnie poszukiwaną. W razie przeciwnym, jeżeli się połączą w jedno różne stronnictwa niemieckie, rola jéj stanie się o wiele skromniejszą, a prawdopodobnie nawet w szczegółach i drobiazgach bezpłodną. Pozostanie jéj wtedy jedno staranie, to jest, skupić około siebie tyle przynajmniéj

głosów, ile potrzeba, aby stanowić jednę trzecią część Izby, i nie dopuszczać nam szkodliwych zmian w konstytucyi, które jak wiadomo, uchwalone być muszą większością dwóch trzecich części głosujących. Dzisiaj zastęp ten dobrze w sobie uorganizowany, występujący solidarnie, a dotychczas gry swojéj nie odsłaniający, zwraca na siebie o ile wiemy, uwagę i Izby i Ministrów. Pan Beust oświadczył się kilkakrotnie z najlepszemi chęciami dla Galicyi, z pragnieniem zadośćuczynienia Polakom, ale ilekroć rozmowa schodziła na grunt praktyczny, ratował się zawsze dyplomatyczném wymijaniem kwestyi, i nie skompromitował się dotąd ani najmniejszą obietnicą przychylenia się do żądań Galicyi, lub sankcyonowania tych, które jako uchwały sejmowe rządowi już dawno zostały przedłożone.

Dyskusya adresowa pierwsza zapewne da sposobność do ugrupowania się stronnictw, do poznania ich składu, charakteru i wzajemnego stosunku. O jéj przebiegu dowiedzą się czytelnicy z dzienników; my domysłami uprzedzać jéj nie możemy. Jeżeli nas jednak nie zawodzą nasze wiadomości, to stronnictwo niemieckie w komisyi adresowéj, chce umyślnie unikać w adresie wszystkiego, coby odpowiadało zbyt wyłącznie stanowisku lub cechowało zbyt szorstko zapatrywanie jakiekolwiek frakcyi reichsratowéj, żeby innych frakcyj na samym wstępie nie zrażać. Jeżeli tak jest, to można przypuszczać, że adres będzie równie niewyraźnym i równie mało stanowczym, jak była mowa tronowa.

O ile sądzić można z wiedeńskich dzienników, zdawałoby się, że podróż Słowian austryackich na wystawę etnograficzną do Moskwy zajmuje jednak umysły do pewnego stopnia; i słusznie, bo jakkolwiek podróż sama choćby najznakomitszych osobistości sama przez się nie ma jeszcze wielkiego znaczenia, to mieć ją mogą te korzyści, które rząd rosyjski wyciągnąć potrafi z tego pozornego braterstwa, opartego na złym humorze jednych i na polityczném ignorancyi innych. Nikt lepiéj od rządu rosyjskiego nie umie wojować fałszem i pozorem. W kościele Grobu św. w Jerozolimie, gwóźdź wbity w ścianę daje w mniemaniu greckich popów prawo własności do całéj téj części kościoła, którą następnie dla inszych chrześcijan otwierać musi połączona powaga konsulatów i baszy. Ta wystawa może kiedyś posłużyć za taki gwóźdź rządowi rosyjskiemu i być jednym więcéj „dowodem“ jego praw własności w południowych i zachodnich słowiańskich krajach. Zachowanie rządu rosyjskiego wobec tych „braci“ jest istotnie ciekawe do widzenia. Rząd nie miesza się do niczego, stoi na boku, co najwięcéj pozwala na zjazd; książe Gorczakow odsyła do posła austryackiego tych austryackich poddanych, którzy chcieli mieć audyencyę u cesarza (z dziwną trzpiotowatością upatrują

dzienniki wiedeńskie względność i dobrą wolę rosyjskiego ministra, w tém co właściwie jest tylko największą względem Austryi i jéj posła złośliwością), jedném słowem, rząd się nie kompromituje, nie chce dać powodu ani nawet pozoru do zażaleń i rekryminacyi. Ale obok tego występuje, nie urzędownie, jako starszy brat, jako czuły i troskliwy opiekun téj nieszczęśliwéj słowiańskiéj rodziny. Cesarz z rozrzewniającém współczuciem ociera łzy Serbów i wskazuje im lepszą przyszłość (*vide* Polska, Litwa i Ruś), minister oświecenia wpada w liryzm mówiąc o braterstwie w duchu. Dla rozumnego widza tu leży strona ciekawa tego zjazdu, i tu, a nie w mowach panów Riegera lub Braunera jego niebezpieczeństwo — niebezpieczeństwo ani nowe ani większe jak przedtém, ale zawsze to samo i zawsze ogromne.

Są dzienniki czeskie, które utrzymują, że to Polacy popchnęli Czechów na tę drogę, i że wysyłając delegacyę do Reichsratu zdradzili ich i niejako wysłali do Moskwy. Czy na takie rzeczy odpowiadać warto? zapewne że nie, ale nam, stałym zwolennikom czesko-polskiego przymierza w Austryi (ze względu na własne i jéj dobro), bardziéj niż komu innemu wypada powiedzieć tym panom, że gdzie nie było ani zobowiązania, ani nawet układu, tam zdrady być nie może. Ze strony Polaków, wiedzą to Czesi dobrze, nie było nawet obietnicy, że do Reichsratu wybierać nie będą, przeciwnie była przestroga wyraźna i dobitna, że delegacya taka prawdopodobnie będzie wysłaną. Nie Polacy więc Czechów, ale Czesi zdradzili się sami, kiedy źle się z siłami obliczywszy, zawiedli się na swoich rachubach. Że dziś na nas chcą zwalić winę tego, co zrobili, to nas nie dziwi, bo zawsze człowiek lubi sam przed sobą zasłaniać się i tłómaczyć, kiedy co brzydkiego zrobi. Nie robimy się sędziami ich podróży, ale im musimy powiedzieć, że zrobili rzecz brzydką bratając się z Moskalami w Warszawie i w Wilnie. W czasie bombardowania Pragi w roku 1848 było w tém mieście wielu Polaków; widziano ich, gdzie padały kule, widziano ich uwięzionych, ale nie widziano żadnego na bankiecie u główno-dowodzącego jenerała. Nie porównywamy ani tych ludzi, ani tych rządów, ani tych wypadków, nie porównywamy zimnéj febry do morowéj zarazy, ani wezbranego miejskiego rynsztoka do potopu świata ale mówimy tylko to, że Polak, któryby po bombardowaniu Pragi był się tam na miejscu bratał ze zwycięzkiém wojskiem, byłby sumienie narodu głęboko obraził i za powrotem do kraju nie byłby znalazł ani świetnego przyjęcia, ani łatwego przebaczenia. Zresztą wszystko nam jedno; życzymy szczęśliwéj drogi, a to tém szczerzéj, że droga to zapewne pierwsza i ostatnia. Bo jak się ziszczą piękne plany i nadzieje

zjednoczenia Słowiańszczyzny, to kraje św. Wacława klinem wchodzące pomiędzy południowe i północne Niemcy, w zamian za inne dogodności ustąpione będą pewnemu sąsiadowi i alientowi słowiańskiéj Rosyi, który ich do zaokrąglenia koniecznie będzie potrzebował, a wtedy już na zjazdy słowiańskie, nawet niewinne, naukowe, Czesi jeździć nie będą.

Szczęściem dla nich i dla nas i dla świata, jeszcze jest przeciw temu obrona.

L. Powidaj.

ZAWIADOMIENIE

o fundacyi naukowéj

ś. p. księcia Jerzego Romana Lubomirskiego.

Ś. p. książe Jerzy Roman Lubomirski, ustanawiając kodycelem z dnia 14 marca 1863 r. z majątku swego dwie ordynacye, połączył z niemi obowiązek wypłacania c. k. Towarzystwu nauk. krak. corocznie po 1000 złr. z Rozwadowskiéj czyli starszéj na zbiory naukowe, z Mizynieckiéj czyli młodszéj na nagrody dla autorów najlepszych dzieł naukowych polskich bez różnicy przedmiotu, tudzież na nakłady takichże dzieł.

Przeznaczenie zapisu na nagrody, mającego nosić nazwę: „Fundacyi naukowéj Jerzego Romana księcia Lubomirskiego" art. XL powołanego wyżéj kodycylu w ten sposób określa:

„Towarzystwo naukowe krakowskie będzie przez przeciąg pięciu lat wpływającą roczną płacę zbierało, a zebrane pieniądze umieszczało w papierach procentowych. Po upływie każdego 5ciulecia oznaczy Towarzystwo naukowe z uzbieranego funduszu sumę na nagrody użyć się mającą i ułoży nagrody, z których pierwsza wynosić będzie $^3/_6$ téj smuy, druga $^2/_6$, a trzecia $^1/_6$. Równocześnie wydeleguje Towarzystwo naukowe krak. komisyę składającą się najmniéj z 5ciu osób, między któremi główne działy nauk i umiejętności reprezentowane być winny. Komisya ta przejdzie wszystkie dzieła naukowe polskie w ostatniém pięcioleciu ogłoszone, i oceniwszy onychże wartość naukową pod względem ogólnego postępu nauk i umiejętności i pod względem pożyteczności dla oświaty narodowéj, uczyni

wniosek do Towarzystwa, za które dzieło nagroda, i jaka, czy pierwsza, druga lub trzecia przyznaną być ma. Objawiam przy tém życzenie, aby także znakomite dzieła dramatyczne do nagród przyjętemi były."

Co do nakładu na dzieła, art. XLI wyraża się w ten sposób:

„Wolno Towarzystwu naukowemu część z funduszu ubiegłego pięciulecia, jaką za stósowną uzna, obrócić na nakłady dobrych dzieł naukowych polskich, przy czém albo wewnętrzna wartość naukowa, albo szczególna pożyteczność rozstrzygać winny."

Wykonanie tak szlachetnego zamiaru ś. p. fundatora nadługo zapewne iśćby musiało w odwłokę, gdyby nierównie szlachetna gotowość jego czcigodnego brata i spadkobiercy księcia Adama Lubomirskiego.

Wyjaśniają to następujące Jego wyrazy w liście pisanym do Prezesa Towarzystwa naukowego z Charzewic dnia 1 grudnia 1865 r.

„Obie fundaćye (na zbiory i nagrody) połączone są ściśle z postanowionemi przez ś. p. Brata mego ordynacyami, tak, że chociaż termin na rzecz fundacyj przeznaczonych wypłat, zaczyna się z pierwszą rocznicą śmierci jego, fundacye same dopiéro z utworzeniem ordynacyj, po nastąpionéj sankćyi Najjaśniejszego Monarchy, w życie wejśćby mogły. Stósownie do tego należące się wypłaty, lubo termin ich już z pierwszą rocznicą śmierci ś. p. Brata mego bieżyć zaczyna, dopiéro z wprowadzeniem w życie ordynacyi uskutecznione byćby powinny."

„Przekonany jestem, że jeżeli ś. p. Brat mój takie postanowienie uczynił, miał on nadzieję, że jeszcze za życia swego potrafi doprowadzić do skutku utworzenie ordynacyj i fundacye od razu w wykonanie wejdą."

„Lecz inaćzéj się stało! — a zadanie spełnienia szlachetnych zamiarów ś. p. Brata mego, spadło na mnie; — dlatego oświadczam: iż jakikolwiek los spotka utworzenie postanowionych przez ś. p. Brata mego ordynacyj, ja zawsze obie fundaćye, na zbiory naukowe i na nagrody dla autorów najlepszych dzieł polskich, w warunkach przez ś. p. Brata mego w kodycylu z dnia 14 marca 1863 roku określonych w mocy

utrzymam, a to nawet wtenczas, gdyby ordynacye do skutku przyjść nie miały."

Ponieważ stósownie do tego oświadczenia, kwota odpowiednia już za 2 lata wniesioną została do kasy Towarzystwa naukowego, uiszczanie zaś wypłat dalszych wobec gotowości dotąd okazanéj i stanowczości oświadczenia uczynionego z własnego szlachetnego popędu, uważać należy za zapewnione; pragnąc zatém wprowadzić w wykonanie zamiar fundacyi naukowéj ś. p. księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, Towarzystwo naukowe krakowskie zawiadamia o tém osoby interesowane, a mianowicie autorów dzieł polskich naukowych albo dramatycznych, z tém w szczególności nadmienieniem:

1) Pierwsze 3 nagrody, w myśl przytoczonego wyżéj ustępu z kodycylu, przyznane zostaną w ciągu r. 1870 za dzieła ogłoszone w ciągu bieżącego pięciulecia, t. j. poczynając od r. 1865 po r. 1869 włącznie.

2) Wysokość kwoty, jaka ze sumy wypłat przez 5 lat wnoszonych i z uzbieranych odsetków przeznaczy się na nagrody, zależną będzie od części, jakiéj z tego samego funduszu użyć wypadnie na wydanie prac naukowych, w tym celu Towarzystwu przedstawionych i za godne uznanych.

3) W najbliższym t. j. w r. 1870 przypadającym terminie, kwota ta wynosić będzie ogółem 3000 zł. w. a., w myśl zatém kodycylu przyznane będą 3 nagrody: jedna w ilości 1500, druga 1000, trzecia 500 zł. w. a.

4) Obdarzony nie zaciąga z tego tytułu żadnego obowiązku względem Towarzystwa naukowego, którego życzeniem byłoby jedynie, ażeby autorowie mogący mieć prawo do nagrody, dzieła swoje rychło po wydaniu nadsyłać mu raczyli.

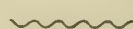
5) Autorowie którzyby pragnęli dzieła swoje mieć wydane nakładem w mowie będącéj fundacyi, przed nadesłaniem Towarzystwu naukowemu swoich rękopisów, zawiadomić je raczą o treści i obszerności zamierzonéj pracy.

Kraków dnia 25 kwietnia 1867 r.

Prezes Towarzystwa nauk. krak.
Dr. Majer.

Za sekretarza:
Zarański.

Ważniejsze omyłki druku.



Str.	431	wiersz	7	od dołu	*zamiast* i monarchii — *czytaj* i monarchów.
„	432	„	12	od góry	*zamiast* zapał — *czytaj* zapas.
„	438	„	7	„	*zamiast* się — *czytaj* ją.
„	441	„	1	„	*zamiast* złożono — *czytaj* złożone.



SPIS

przedmiotów zawartych w IV Tomie.

str.

Każdy zeszyt miesięczny **Przeglądu Polskiego** zawierać będzie najmniéj 10 arkuszy druku.

Cena Prenumeraty:

W Austryi rocznie	. . . .	12 Złr. w. a.
„ półrocznie	. . . .	6 „ „
„ kwartalnie	. . . .	3 „ „
W Prusach	. . . .	8 Talarów.
We Francyi	. . . .	25 Franków.
Pojedyńczy zeszyt kosztuje	. . . .	1 Złr. 50 c.

OZNAJMIENIE.

Administracya Przeglądu Polskiego przyjmować będzie wszelkiego rodzaju inseraty za cenę 6 centów od wiersza. Stępel w ilości 30 centów za każde pojedyńcze ogłoszenie płaci się osobno. Interesowani w téj mierze zechcą się zgłosić osobiście lub pisemnie do bióra Redakcyi przy ulicy Gołębiéj pod L. 173.

OD WYDAWNICTWA.

Od 1 lipca rozpoczyna Wydawnictwo „Przeglądu Polskiego“ drugi rok swego istnienia. Mimo strat, jakie poniosło, nie będzie i w bieżącym roku szczędzić nakładu dla udoskonalenia swego pisma. Uprasza się o szybkie nadesłanie prenumeracyjnych pieniędzy, aby można było wcześnie zastosować nakład do liczby prenumeratorów. Ci Panowie Abonenci którzy dotąd należytości za ubiegłe kwartały nie zapłacili, zechcą takową jak najspieszniéj przesłać do bióra redakcyi, Ulica Gołębia Nr. 172.



